J. SŁOWACKI

PISMA

UNIVERSITY OF
ILLINOIS LIBRARY
AT URBANA-CHAMPAIGN
BOOKSTACKS

JULJUSZ SŁOWACKI
PISMA

JULJUSZ SŁOWACKI

PISMA

WYDAŁ, WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

DR. STEFAN KOŁACZKOWSKI
DOCENT UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

TOM I

KRAKÓW — WARSZAWA
BIBJOTEKA KLASYKÓW

KRAKÓW – DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA, UL. ZIELONA 7

891.85
S63
IK83
v.1-2

ŻYWOT I TWÓRCZOŚĆ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

Juljusz Słowacki przyszedł na świat 23 sierpnia st. stylu t. j. 4 września 1809 r. w Krzemieńcu. Rodzice jego pochodzili z rodzin dawno osiadłych na Wołyniu; niezamożnych i nieodgrywających wybitniejszej roli społecznej. Matka miała w sobie krew ormiańską. Uzdolnienia i zamiłowania artystyczne cechowały zarówno rodzinę ojca jak i matki. Ojciec, Euzebjusz, wybitny profesor literatury, zrazu w liceum krzemienieckiem, później w uniwersytecie wileńskim, był autorem tragedyj pseudoklasycznych, stryj Erazm, palestrant, posiadał też zdolności literackie. Matka, Salomea z Januszewskich, córka zarządcy dóbr liceum krzemienieckiego, osoba wrażliwa i egzaltowana, pochłaniała powieści francuskie, ujmowała wszystkich darami towarzyskiemi. Wuj Teofil malował, Jan pisywał.

Chociaż Słowacki Krzemieniec specjalnie ukochał i pewnemi cechami południowego temperamentu, odziedziczonemi po matce, Ukrainie czuł się bliższym, wrażliwość jego kształtowały dwa środowiska. Pierwszy pobyt w Wilnie (od r. 1811 do śmierci ojca w 1814 r.) zapewne nie utrwalił się w pamięci i pierwsze wspomnienia wiążą się z Krzemieńcem, do którego matka w 1814 r. powróciła. Po czterech latach jednak znalazł się Juljusz znowu w Wilnie, gdy matka wyszła powtórnie zamąż za doktora Bécu, profesora medycyny w uniwersytecie wileńskim. Po skończeniu uniwersytetu (r. 1828), zanim objął posadę w ministerstwie skarbu w Warszawie, bawił Słowacki znowu pół roku w Krzemieńcu. Przyrodę litewską znał więc Słowacki równie dobrze, jak Ukrainę.

Po ojcu, suchotniku, odziedziczył Słowacki zdrowie wątłe; to stało się jedną z przyczyn zbytniej pieczołowitości w wychowaniu. Córki dra Bécu, Aleksandra i Hersylja, psuły i rozpieszczały wraz z matką małego Julka, wyrabiały w nim egoizm; dr. Bécu mało się nim zajmował, sam zresztą sybaryta i karjerowicz, nie mógłby oddziałać nań korzystnie. Nauką jednak, nie bacząc na zdrowie i harmonijny rozwój, przeciążono Słowackiego. Zamiłowanie do lektury i marzycielstwa przyczyniało się jeszcze do jednostronnego rozwoju chłopca. Nauczywszy się czytać, jak twierdził, na „Bajkach" Krasickiego, dzieckiem już zachwycał się Iljadą w przekładzie Dmochowskiego. Nauczyciel jego, zdolny pedagog, Hipolit Błotnicki, widząc przewagę uczuciowości i wyobraźni, chciał umysł chłopca nagiąć z pomocą arytmetyki do myśli ścisłej, usiłowania jego jednak okazały się bezskutecznemi. Późniejsze lata, szkolne i uniwersyteckie, nie rozbudziły w nim ani aktywności, ani uczuć społecznych. Jedynym przyjacielem lat młodzieńczych i dziecinnych Słowackiego był Ludwik Szpitznagel, taki sam samotnik i marzyciel. Uniwersytet wileński, jak wiadomo, po procesie filaretów podupadł, nauka (studjował prawo) zupełnie Słowackiego nie interesowała, związków młodzieży, jak za czasów Mickiewicza, nie było. Wczesna, napoły dziecinna, egzaltowana miłość do córki Jędrzeja Śniadeckiego, Ludwiki, to zamknięcie się w sobie, trawienie uczuciami i marzeniami jeszcze spotęgowała. Ten rodzaj życia, tak żywo i prawdziwie odtworzony później przez poetę w „Godzinie myśli", sprzyjał wczesnemu rozbudzeniu i spotęgowaniu twórczości poetyckiej.

A poczucie powołania poetyckiego miał Słowacki od wczesnego dzieciństwa. Jako dziewięcioletni chłopiec modlił się już kiedyś w kościele o sławę pośmiertną i bez żadnych wahań szedł konsekwentnie, nieustannie w tym jednym kierunku. Mało który z pisarzy żył tak wyłącznie, jedynie tylko sztuką i dla sztuki, jak Słowacki. W tem leży „sekret" jego wielkości i triumfu; w tem szczęście i klątwa jego życia, że życie utożsamia się z twórczością poetycką.

To przedwczesne nastawienie, traktowanie życia wyłącznie jako materjał na twórczość — postawa uwydatniona znakomicie w „Godzinie myśli" — odcięło go zrazu od bezpośredniego doświadczenia i uczyniło pierwsze jego utwory odbiciem lektury,

wyrazem zagadnień nie życiowych, lecz literackich, romantycznych. Pierwsze próby literackie, które matka Julka pokazywała Mickiewiczowi, spotkały się z jego pochwałą i zachętą. Gdy Słowacki próbował sił swoich, romantyzm już triumfował, kształcił więc Słowacki głównie smak swój na tem, czem zachwycali się młodzi romantycy polscy: na Mickiewiczu, Walter-Scocie, Byronie, Moorze, Chateaubriandzie i Lamartinie. Jako „Ukrainiec", rozczytywał się w Malczewskim, wsłuchiwał się w dumki ukraińskie, które lubiła jego rodzina, które śpiewano w domu często. Dlatego może twórczość jego rozpoczyna się melancholijnym motywem „Dumy ukraińskiej" (1826 r.), Piosnką dziewczyny kozackiej" (1829 r.), w których czuć wpływ sentymentalnego Bohdana Zaleskiego, a wydając pierwszy tomik, na czoło wysunął poemat o atamanie kozackim (Żmija 31 r.). Zapewne pod wpływem sonetów Mickiewicza próbuje pokonywać trudności tej formy i zwraca się ku orjentalizmowi w „Szanfarym".

W Warszawie samotność sprzyja twórczości, zwłaszcza że praca w ministerstwie i życie towarzyskie mało go absorbują. „Hugo", „Mnich", „Arab", „Jan Bielecki" oraz dwa dramaty, „Mindowe" i „Marja Stuart" powstają w Warszawie, rozpoczęty został „Żmija".

W poematach mało oryginalności, dużo konwencjonalnych literackich pomysłów. Jak u naśladowców uderza pewna krańcowość konsekwencji w przeprowadzeniu wątków. W liryzmie poszczególnych ustępów odsłania się dopiero oblicze Słowackiego, jak n. p. w marzeniach o „stepach bez końca" i samotności, któremi kończy się „Arab". Byron i „Konrad Wallenrod" Mickiewicza nasunęły mu na bohaterów renegatów, mścicieli i mizantropów w poematach. Walter Scott i Mickiewicz budzą w nim zmysł historyczny, którego pierwsze przejawy widzimy w lirycznym wstępie „Bieleckiego". Oddawna rozczytując się w dramatach swego ojca i tragedjach pseudoklasycznych, znając ze sceny wileńskiej Fredrę, już przed przyjazdem do Warszawy marzył Słowacki o napisaniu tragedji o Mahomecie. Tej jednak nie napisał. W Warszawie widywał na scenie utwory pseudoklasyków, gwiazdami byli mu jednak inni pisarze: Shakespeare, Wiktor Hugo. Efektowność, nastrojowość, zmysł historyczny i psychologiczny są już romantycznemi znamionami

tych pierwszych tragedji Słowackiego, na których wpływem swym więcej zaciąży historyzm Waltera Scotta, niż tragicy.

Wybuch powstania listopadowego napozór zwraca sztukę Słowackiego ku życiu, powstają „Hymn do Bogarodzicy", „Oda do Wolności", „Pieśń legjonu litewskiego". „Kulig". Więcej w nich reminiscencyj literackich, nawet pseudoklasycznych, niż tyrteuszowych porywów. Charakterystyczne to dla wpływu myślicielstwa wieku XVIII-go na młodzieńczą duszę Słowackiego, że w „Odzie do Wolności" więcej rewolucjonizmu i myśli spadkobiercy wieku oświecenia, niż uczuć patrjotycznych.

Do wojska Słowacki się nie zaciągnął, za namową matki wyjechał zagranicę; prawdopodobnie za jej też staraniem powierzono mu misję dyplomatyczną. Książę Czartoryski łudził się nadzieją interwencji Anglji i w związku z temi planami pozostaje podróż Słowackiego do Londynu. Później oceniał Słowacki ten swój postępek jako ucieczkę, wówczas jednak, gdy wyjazd postanawiał, troska o matkę i przyszłość poetycką silniejszemi były, niż instynkt społeczny, którego za młodu nikt w nim nie rozwijał. Warszawę opuścił 8 marca 1832 roku, w sierpniu stanął w Londynie. Z miesięcznego tam pobytu najsilniejsze wyniósł wrażenie z dramatów Szekspira, widzianych na scenie. Z początkiem września 1831 r. przybył do Paryża, gdzie sprawy literackie, zyskanie sławy i wydrukowanie swych utworów zajmują go najmocniej. W r. 1832 ukazują się wczesną wiosną dwa pierwsze tomy jego poezyj. Wstąpił też do zawiązanego niedawno „Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich, przemawiał na jego zebraniach, akcentując swój rewolucyjny demokratyzm. Zachęcony powodzeniem dwu pierwszych tomów, tworzył w szybkiem tempie dalej. Rozpoczął sztukę francuską, przeznaczoną do teatru, która jednak na scenie się nie ukazała i rozpoczął powieść p. t. „Le roi de Ladawa", z której dochowało się sześć rozdziałów. Powstają wtedy „Lambro", „Godzina myśli", „Duma o Wacławie Rzewuskim" oraz drobne wiersze liryczne. Wkrótce jednak emigranci dają odczuć Słowackiemu, że jego utwory, obce zupełnie zagadnieniom, które mogły naród w tak bolesnej chwili interesować, nie przemawiają do ich serc. Entuzjazm i uznanie, z którymi spotkał się zrazu Słowacki na emigracji, po przyjeździe Mickiewicza do Paryża ku temu ostatniemu się obracają, budząc gorycz i krytycyzm u Sło-

wackiego. Dlatego „Godzina myśli" jest melancholijnym rachunkiem sumienia, a chęć usprawiedliwienia się przed samym sobą przyjmuje formę ostrej, bezwzględnej krytyki emigracji już w „Lambrze". Dlatego to w przedmowie do III tomiku poezyj, skarży się już Słowacki na pustkę, w której czeluść rzuca swe utwory, usiłuje przypisać charakter narodowego utworu typowo byronicznemu poematowi „Lambro", tłumacząc, że poezja narodowa nie polega na narodowych wypadkach i, usiłując zdobyć własną ideologję współczesną, insynuuje dyskretnie Mickiewiczowi konserwatyzm jego religijnego kierunku, tłumacząc ją jedynie zależnością od ks. Lamenais.

Najgłębszym utworem z tych czasów paryskich, posuwającym naprzód psychologizm literatury romantycznej, jest autobiograficzna „Godzina myśli". Tam nietylko scharakteryzował swe dzieciństwo, pochwycił głęboko swą postawę życiową, całkiem swoistą, polegającą na patrzeniu na życie konkretne, rzeczywiste pod kątem materjału na wspomnienia przyszłego, wielkiego twórcy. Tam usprawiedliwiał powiedzenie Mickiewicza, iż poezja Słowackiego jest jak wspaniały kościół bez Boga, zniechęceniem i goryczą zawodu nieodwzajemnionej miłości. (To usprawiedliwienie ostatnie zda się być naciągniętem, w duchu tłumaczeń bohaterów Byrona). Tam zapoznaje nas ze swymi, wspólnie ze Spitznaglem a pod wpływem lektury Swedenborga, budowanym „systemem" mistyczno-filozoficznym, któremu w zasadniczych jego rysach pozostanie wierny później jako Towiańczyk, dając fundament najgłębszego przeświadczenia religijnego, tym, zrazu jako fantazje poetyckie traktowanym, spekulacjom. „Lambro" natomiast prócz piekących sarkazmem aluzyj do emigracji i narodu, zapowiadających późniejszy „Grób Agamemnona", będących wyrazem duszy samego autora, oryginalnego nic nie zawiera. Jest to ostatni z szeregu byronicznych utworów młodości. „Duma o Wacławie Rzewuskim", jak „Żmija" imponują muzycznym czarem wiersza.

Autoanaliza, jak później u Krasińskiego, doprowadzi go do wniosku o niezdolności do czynu; tylko, że nie uogólni tej swej właściwości, jak Krasiński, na wszystkich poetów; głównym przedmiotem oskarżeń stanie się tu wychowanie i romantyzm. Tak, jak Mickiewicz w „Dziadach", drugi młody nasz poeta romantyczny wcześnie poczyna dostrzegać wady romantyzmu, czuje

jednocześnie potrzebę ugruntowania nowej ideologji, uzasadnienia ideowego dla swej nowej poezji. Wtedy właśnie zachodzi niebawem wypadek, który będzie bolesnym bodźcem do dalszego współzawodnictwa: Wychodzi III cz. „Dziadów". Słowacki czuje się dotknięty osobiście przedstawieniem dra Bécu, posądza Mickiewicza, iż uczynił to, chcąc Słowackiego w opinji pogrążyć. Zrazu zamierzał wyzwać Mickiewicza na pojedynek, odstąpił jednak od tego zamiaru i 26 grudnia 1832 roku wyjechał do Genewy

Pobyt w Szwajcarji odbił się najkorzystniej na zdrowiu i usposobieniu poety, zwłaszcza że w pensjonacie pani Pattey znalazł atmosferę, jakiej pragnął, niemal rodzinnej życzliwości. Córka p. Pattey, Eglantyna, zakochała się w poecie. Słowacki darzył ją przyjaźnią. Później dopiero stosunek ten zakończył się zgrzytem i zerwaniem, na razie wszystko sprzyjało twórczości. Tu powstaje najprzód dramat „Kordjan" (1833). Planował poeta trylogję, napisał jednak tylko część pierwszą. „Kordjan" jest najostrzejszym wyrazem tej autokrytyki romantyzmu, która już przedtem nurtowała poetę. Trudność zrozumienia „Kordjana" polega na tem, że niepochwytnemi są granice między idealizacją a satyrą w wystylizowanej na przedstawiciela pokolenia romantycznego postaci głównego bohatera. Tu po raz pierwszy subtelność krytycyzmu Słowackiego święci swój, nieoczekiwany u marzyciela, oderwanego od życia, triumf. Walka z Mickiewiczem, jego ideologją, dają jednak jako rezultat pesymistyczną trzeźwość w osądzeniu narodu, przeciwstawioną idealizacji, mesjanizmowi. Ideologji własnej Słowacki jeszcze nie zdobył, uświadamia sobie tylko, jak jego Kordjan w skargach na jaskółczy niepokój, jej konieczność dla życia, choć tak niedawno dumny był jeszcze ze swego sceptycyzmu. Jedyną ideą Kordjana jest rewolucjonizm, któremu zresztą Słowacki dawniej hołdował. Ocena powstania listopadowego przez Mochnackiego niewątpliwie ugruntowała jeszcze silniej własne poglądy Słowackiego i w tym duchu przedstawia społeczeństwo polskie w przededniu powstania. Pod względem artystycznym „Kordjan" posiada tę samą rozmaitość techniki, co III część „Dziadów" wykazując jednaką zdolność do tworzenia scen zarówno realistycznych, jak symbolicznych i nastrojowo-fantastycznych. Monolog Kordjana na Mont-Blanc nie może być porównywany do improwizacji, bo-

wiem nie jest erupcją najwyższego natchnienia i wiary, lecz krytycznem przedstawieniem rozdartej duszy typowego romantyka. Wyraża walkę wewnętrzną Słowackiego i jednocześnie krytykę tej walki.

W Szwajcarji powstaje również „Horsztyński", którego bohater, Szczęsny, jest polskim Hamletem. W dramacie tym po raz pierwszy Słowacki okazał potęgę romantycznej intuicji w odtwarzaniu przeszłości. Tam też powstała pierwsza redakcja dramatu o Mazepie. Poczuwszy swą potęgę na polu dramatu, zamyśla Słowacki o roli polskiego Szekspira.

Pierwszym ogniwem tego cyklu (pomysł cyklu złożonego z 6-ciu dramatów historycznych powstał później), była „Balladyna", napisana w 1834 r. Wydał ją poeta jednak dopiero po powrocie z podróży na Wschód, poprzedzając przedmową, która interpretuje utwór może nie zawsze zgodnie z pierwotnym pomysłem. Jak Mickiewicz przeciwstawiał naukom ścisłym poznawanie „czuciem", tak i Słowacki okazać chciał zawodowym historykom, że intuicja i zmysł historyczny poety przenikają przeszłość zamierzchłą lepiej, niźli uczeni, w rozum tylko zbrojni i fakty kronikarskie. Przekomarzając się, piętrzył anachronizmy i fantazjował, pewnym będąc, że mimo to stworzony przez niego symbol ściślej będzie odpowiadał i charakteryzował epokę niż sucha kronika. Naigrywanie się z logiki i sprawiedliwości stanowić miało jednocześnie wyraz pesymistycznego poglądu na świat. Jednocześnie w tej symbolicznej tragedji historycznej czasów zamierzchłych chciał w całej pełni zastosować hasło ludowości w sztuce. Wszystko, cokolwiek w sztuce ludowej miało dlań urok artystyczny, właściwe jej motywy i środki techniczne, zużył tutaj Słowacki, pokazując jednocześnie w karykaturze pseudo-ludowość literatury sentymentalistów (postać Filona). Mimo stawiania sobie tylu celów naraz, mimo zapożyczenia szeregu wątków od innych autorów (Chodźko, Mickiewicz, Szekspir), stworzył całość wysoce oryginalną i harmonijną. Prymitywizm techniki pogodził z wyrafinowaniem, siłę z lekkością, fantastyczność z przenikliwością i krytycyzmem. Podczas pobytu w Szwajcarji powstaje cały szereg utworów lirycznych, związanych z przelotnemi przejściami miłosnemi (rozstanie z Eglantyną Pattey, znajomość z Marją Wodzińską), jak „Rozłączenie", „Przekleństwo", „Stokrótki". Nie sięgające głębiej wzruszenia mi-

łosne przypomniały poecie tę miłość, która w jego mniemaniu uczyniła go na zawsze do innych miłości niezdolnym i z temi myślami zapewne wiąże się jeszcze jeden wiersz z tych czasów „Ostatnie wspomnienie do Laury". Trzy miesiące, przepędzone poza Genewą (Veytoux) pogłębiło i zacieśniło związek jego uczuć i marzeń z obrazami przyrody, zanim jednak zrodzi się z tego zespolenia wspaniała synteza marzeń o miłości z cudami przyrody, poemat „W Szwajcarji", poeta wyjechał z Włoch w 1836 roku. W Rzymie zapoznał się z Krasińskim, co stało się tak doniosłym i płodnym w następstwa wypadkiem jego życia. Krasiński był bowiem pierwszym człowiekiem, który go w całej pełni zrozumiał i ocenił, ale zarazem, jako dojrzalszy myśliciel, choć młodszy latami, oddziałał pobudzająco. Może pod wpływem wspomnień niedawno opuszczonej Szwajcarji, wspomnień miłych a zarazem pełnych cichej melancholji, poczęły się coraz silniej domagać literackiego wyrazu te koncepcje, które zrealizowane, dały przepiękny poemat „W Szwajcarji". Lotność, zwiewność, panteistyczna tęsknota Słowackiego, idealizm (pojęty jako przeciwieństwo realizmu) sztuki Słowackiego, znalazły tu jeden z najharmonijnych wyrazów. Kiedy Słowacki utwór ten ostatecznie wykończył, niewiadomo, pewnem zdaje się jednak, że był on poprawiany w różnych czasach i dzięki temu cechuje go taka harmonja i doskonałość artyzmu.

Gdy niespodziewanie nastręczyła mu się podczas pobytu we Włoszech możność podróży na Wschód, skorzystał z niej skwapliwie. Wyjechał w sierpniu 1836, zwiedził Grecję, Egipt, przebył z powodu panującej dżumy kwarantannę w El-Arish i stanął w styczniu 1837 roku w Jerozolimie.

Podczas podróży na Wschód powstały najprzód wiersze liryczne (Hymn o zachodzie słońca i in.) oraz poemat na podobieństwo „Child-Harolda" Byrona, a w wielu wynurzeniach lirycznych przypominający późniejszego Beniowskiego, „Podróż na Wschód". Zapowiada też w niej „Beniowskiego", i ton satyryczny i wspaniałość świadomego swej potęgi wirtuozowstwa. Po przybyciu do Jerozolimy i odwiedzeniu grobu Chrystusa, spędził Słowacki dłuższy czas w osamotnieniu w klasztorze „Betchesz-ban", w górach Libanu. Tam powstał poemat „Posielenie", które można uważać za pierwszą redakcję „Anhellego". Jak ongi w „Balladynie" Szekspir dał Słowackiemu bodziec do stworze-

nia oryginalnej tragedji, tak teraz Dante był Słowackiemu mistrzem tego nawskróś oryginalnego i niezwykle dla naszego poety charakterystycznego poematu martyrologji polskiej. Ma on pewne, pokrewne „Księgom pielgrzymstwa" elementy dydaktyczne, jest jednak poematem symbolicznym. Sybir bowiem jest tylko symbolem wszelkiego wygnania i cierpienia Polaków. Przepoił go poeta bezbrzeżną melancholją i tęsknotą wygnańca, smutkiem duszy niepewnej losów i przeznaczeń swoich. „Anhelli" zrodził się bowiem z pytania, stawionego samemu sobie, „poco ja żyję", a odpowiedź na nie miała być odpowiedzią dla całego pokolenia. Sądził, że przeznaczone jest ono na ofiarę cichą, dopiero po jego śmierci, wraz z rewolucją powszechną w Europie, przyjdzie wyzwolenie. Jak „Balladyna" bogactwem zestrojonych środków artystycznych, tak „Anhelli" harmonją, jednolitością tonu świadczy, iż talent poety osiągnął całkowitą dojrzałość. „Anhelli" może być również uważany za moment przełomu w stosunku do Ojczyzny, współczucie i tęsknota rozbudziły w nim jej wielką miłość, taką, której w żadnym z poprzednich utworów nie było. Jednocześnie jest ten utwór momentem zwrotnym w stosunku do religji.

Po powrocie ze Wschodu (wylądował w Liworno w czerwcu 1837) osiadł poeta we Florencji, gdzie przeszło rok bawił. Stykał się tam i z Polakami (tam poznał bogatą Ukrainkę, Anielę Moszczeńską, która pewien ślad w twórczości poety pozostawiła) i znowu intenzywnie pracował, przekształcając dawniej napisane i pisząc nowe utwory. Tam powstaje poemat „Piasta Dantyszka o piekle", „Ojciec zadżumionych" i „Wacław", w którym Słowacki kontynuował „Marję" Malczewskiego. W grudniu 1838 r. udaje się Słowacki do Paryża, instynktownie czując jako poeta potrzebę polskiego środowiska społecznego. Ani wydany w r. 1838 „Anhelli", ani trzy poematy („W Szwajcarji", „Ojciec zadżumionych", „Wacław") ani „Balladyna" (wydana w r. 1839), nie otworzyły emigrantom oczu na wspaniałość twórczości Słowackiego.

Kontynuowanie w Paryżu „Podróży na Wschód" zrodziła właśnie potrzeba walki, wyładowania goryczy zawodu po długim okresie tęsknoty i — instynktu satyryka. Słowacki jednak na druk „Podróży" ostatecznie się nie zdecydował. Tem rozgoryczeniem usprawiedliwionem tłumaczy się siła inwektyw „Grobu

Agamemnona", który Słowacki (jak i dwie ostatnie pieśni „Podróży") w r. 1839 dopiero dopisał. W tym czasie powstał też zapewne wiersz „Testament mój".

Jak we Florencji tak i w Paryżu przerabia lub przystępuje do realizowania dawnych pomysłów. Stąd też różnorodność stylów artystycznych utworów powstających w pobliskim czasie. Mamy więc obok wspomnianych liryk, wskazujących na nową falę byronizmu, dramaty takie, jak „Mazepa" i „Beatrix Cenci", które ściślej się łączą z płytkiemi a efektownymi scenicznie dramatami romantycznemi francuskiemi (choć pierwszy wskazuje też na wpływy Don Carlosa). Oba dramaty coraz wyraźniej mówią o wchłonięciu pewnych pierwiastków sztuki baroku, zapewne pod wpływem malarzy barokowych, widzianych we Włoszech. Wielbicielem Calderona był Słowacki od dawna: uczył się wszak hiszpańskiego dla Calderona już za pierwszej bytności w Paryżu. Taki też barokowy charakter mają po części „Preliminarja Podróży do Ziemi Świętej księcia Radziwiłła Sierotki" i „Święcone księcia Radziwiłła Sierotki", które, jak twierdzi prof. Kleiner wtedy właśnie (w r. 1839) powstają. Wiążą się one skądinąd z temi impulsami twórczemi, z których zrodziła się pierwsza redakcja „Mazepy" (w Szwajcarji) pod wrażeniem lektury „Pana Tadeusza" i „Pamiętników Paska".

Najwyżej z tych utworów, które po powrocie do Paryża przed 40-tym rokiem powstały, stanęła „Lilla Weneda" będąca drugą z kolei tragedją w zamierzonym cyklu historycznych dramatów.

Na złośliwości, stronnicze i płytkie krytyki Ropelewskiego, odpowiedział Słowacki artykułem p. t. „Kilka słów odpowiedzi na artykuł pana Z. K.", ale ból głębszy, jaki mu przyniosło ponowne zetknięcie się ze społeczeństwem polskiem, wyrażony pierwotnie w „Grobie Agamemnona" znaleźć musiał ujście w koncepcji uzasadniającej przyczyny zła. Odczuciu dwoistości duszy narodu odpowiadała rozpowszechniona wówczas hipoteza historyków, według której szlachta polska pochodzić miała od Normandów (t. zw. teorja najazdu). Opierając się na tej hipotezie, przedstawił Słowacki w „Lilli Wenedzie" (1840 r.) swoją koncepcję dwoistości duszy narodu. Znalazła w niej odbicie i dwoistość samego Słowackiego, jego anhellizm w postaci Lilli a jego gwałtowność, bezwzględność i wola bohaterstwa w drugiej postaci —

Rozy. Technika Lilli Wenedy była również niejednolitą. Posągowość niektórych postaci, chór, fatalizm wskazywały na dążenia do przyswojenia techniki tragedji greckiej — surowej prostocie tej techniki przeczyła forma szekspirowska i calderonowska, również w tym dramacie stosowana.

Z koncepcją duszy narodowej związał Słowacki, podobnie jak w „Kordjanie", krytykę współczesnego romantycznego pokolenia, jego kultu dla poezji, niezdolności do czynu, oraz satyryczną charakterystykę, czerepu rubasznego" — szlachty. Rzutując te wady w przeszłość, reprezentantami duszy anielskiej czyni Wenedów, „czerepu" — Lechitów. W pesymistycznem uogólnieniu wad posuwa się nawet do tworzenia fatalistycznej koncepcji nieszczęść narodu. Mimo niej, przepoił dramat potężnemi wezwaniami do hartu i walki, usiłował wszczepić w nim wiarę, iż samo bohaterstwo walki stanowi moralną siłę, zdolną odrodzić naród i podnieść go po klęsce.

Utworem, który zdobył wreszcie sławę wśród emigrantów, był „Beniowski" (Pięć pieśni wydał w r. 1841). Stosując szczęśliwą kombinację techniki „Orlanda Szalonego" Ariosta i „Don Juana" Byrona, mógł rozwinąć w pełni bogactwo swej fantazji i dać ujście lirycznym wylewom, w których wypowiedział się wszechstronnie. Jednocześnie „Beniowski" był fragmentarycznym zarysem wspaniałej epopei narodowej. Jest to typowa epopeja romantyczna, bowiem, podobnie, jak w dramacie romantycznym, tak i w niej liryzm dominuje. Dzięki stopieniu w jedną całość tylu elementów artystycznych, w których Słowacki celował, mógł w niej okazać cały przepych swego bogactwa, a swobodna forma nie nastręczała musu konsekwencji i harmonji, którym nie zawsze mogła się poddać bujna, pełna sprzeczności, zmienna w nastrojach twórczość poety.

Do wcześniejszego wydania utworu, a zwłaszcza zakończenia 5-ej pieśni polemiką poetycką z Mickiewiczem, przyczyniło się niesprawiedliwe i nietaktowne postępowanie emigracji wobec Słowackiego. Gdy, mianowicie, na uczcie urządzonej dla Mickiewicza z powodu pierwszej prelekcji w „Collège de France", 22. XII. 1840 r. obaj poeci t. j. Mickiewicz, Słowacki po wygłoszeniu pięknych improwizacyj, pojednali się serdecznie, sprawozdanie dziennikarskie z tej uczty interpretowało słowa Mickiewicza na niekorzyść Słowackiego. Tę fałszywą interpretację Mickiewicz

zaniedbał sprostować. Zrozumiałem stało się u Słowackiego oburzenie i chęć odwetu. Rozmach, z jakim natarł na przeciwników, odniósł skutek. Niedoszły pojedynek z krytykiem Ropelewskim, który czuł się dotkniętym przycinkami poety i wyzwał go, był dlań nowym moralnym triumfem. (Słowacki bowiem okazał zimną krew i odwagę, a przeciwnik się cofnął), rozbudził na czas jakiś poczucie zwycięstwa i impet do dalszej walki. Przejawiał się on między innemi w satyrycznych artykułach o krytyce, które wówczas pisywał i wogóle zaostrzył zmysł satyryczny. Dłuższego zadowolenia to jednak poecie nie dało. Przyczyniła się do tego niemożność zdobycia serca pani Bobrowej, do której poeta zapłonął namiętną miłością, (dla niej na czas jakiś opuszczał Paryż udając się do Frankfurtu), jak i porównywanie swych zwycięstw z tymi, jakie mu nasunęły sprowadzenie zwłok Napoleona i pogrzeb kapitana Majznera, uczestnika powstania. (Oba pogrzeby uczcił pięknemi wierszami). Sztuka, której poświęcił życie, nie zdołała mu go całkowicie wypełnić. Już w „Grobie Agamemnona“ skarżył się na los, co mu każe „na grobowcach siadać i szukać smutków błahych albo kruchych“, z latami coraz silniejszym staje się instynkt społeczny, coraz głębszemi uczucia moralne i piękno samo głodu jego zaspokoić nie może. Tęsknota za czynem, za bohaterstwem prostych dusz każe mu coraz krytyczniejszem okiem patrzeć na siebie i sobie współczesnych, a coraz bardziej idealizować dusze takie, jaką obdarzył Beniowskiego. W takiej atmosferze uczuć powstają dramaty: „Fantazy“, tragikomedja, do której dostarczyli mu wątku Krasiński i Pani Bobrowa swym hiperromantyzmem oraz niedokończony „Złota Czaszka“. Pragnienie doskonalenia wewnętrznego, marzenie o świętości, przepajające już „Anhellego“, pragnienie bezpośredniego oddziaływania na naród przygotowywały w Słowackim grunt pod ziarna gorącej wiary, jakie zasiał w nim Andrzej Towiański.

Wpływ Towiańskiego okazał się tu silniejszym bodźcem do przemiany wewnętrznej, niż w działaniu na duszę Mickiewicza, który zasadniczo poglądów swych nie zmienił. Temu poczuciu gwałtownej, radykalnej przemiany dał Słowacki wyraz w przepięknym wierszu p. t. „Tak mi Boże dopomóż“, napisanym po wejściu do Koła Towiańczyków, 12 lipca 1842 r. Przenikliwy zmysł krytyczny Słowackiego spowodował wczesne usunięcie się

z Koła, w którym słusznie odczuł „sprowadzanie ducha do form", a brak istotnego natchnienia, ducha sekciarstwa i nietolerancji. Aczkolwiek nieco później Mickiewicz doszedł do tych samych wniosków, jak widać z jego listu (z 1847 r.) do A. Towiańskiego, narazie i on, jak wszyscy uczestnicy Koła, przypisywali usunięcie się brakowi ducha pokory Słowackiego i ostro go potępiali. Ponowne więc zbliżenie z Mickiewiczem w „Kole", znowu skończyło się przykrem rozejściem ich dróg twórczych. Towianizm doprowadził też do niezrozumienia wzajemnego między nim a Krasińskim, zwłaszcza, że stosunek obu poetów po usiłowaniach zdobycia serca Bobrowej przez Słowackiego stał się nieco mniej szczerym. Nieporozumienie tem smutniejsze, że poglądy na świat obu poetów były w zasadzie bliskie i że uprzedzenie Krasińskiego miało za podstawę nieznajomość tej ewolucji moralnej, jakiej uległ Słowacki od czasu ich zażyłych stosunków. Właśnie to Krasiński mógłby słuszniej niż Słowacki w tym czasie podlegać zarzutom oderwania od życia, estetyzowania i czczego teoretyzowania, a właśnie o te dwie pierwsze wady, najniesłuszniej, posądzał wtedy Krasiński Słowackiego. Miał bowiem nieufność do wszystkich, którzy się poddali wpływowi Towiańskiego. Zbliżył się poeta tylko wtedy na czas jakiś z Sewerynem Goszczyńskim, apostołem demokratyzmu i czynu, wówczas jak i Słowacki, towiańczykiem, odwołującym swój materjalizm w ujmowaniu spraw społecznych. Ten zapłonił wyobraźnię Słowackiego opowiadaniami z przeszłości Ukrainy, legendarnymi tradycjami o Wernyhorze. Przełom wewnętrzny, dokonany pod wpływem Towiańskiego był radykalny. Wystąpienie z Koła bynajmniej nie wpłynęło na stosunek do samej idei, pozwoliło mu tylko samodzielnie ją rozwinąć, nie krępowało jego twórczości.

Zyskawszy tę jedność wewnętrzną, do której palącą tęsknotę wyraził jeszcze w „Kordjanie", czuł się Słowacki moralnie pogodnym jak nigdy, silnym nową wiarą. Zrzadka nawiedzały go chwile depresji, zrozumiałe jako reakcja po podnieceniu nerwowem, wywołanem nadmierną pracą i ekstazami mistycznemi szermierza nowej wiary. Mącił mu ten stan błogiej pewności, poczucia misji i świętości, brak zrozumienia u jedynej przyjaciółki, matki, która słysząc niezbyt pochlebne o Towiańskim i towiańczykach wieści, niezdolna wczuć się w duszę syna,

trwożyła się o niego, ubolewała nad tem, że już nie troszczy się o sławę, że rezygnuje z triumfów i zdobyczy. Powierzchowne tłumaczenie nawrócenia się do religijności syna najwidoczniej przejawia się w jej obawach o to, czy Słowacki nie ma zamiaru zostać księdzem.

Odwrócenie się Słowackiego od swej dawnej drogi nie oznaczało zaniechania twórczości, równało się tylko wyznaczeniu jej innego kierunku, zmianie postawy w stosunku do świata i społeczeństwa. On, który dotąd nie interesował się nauką, teraz szuka sformułowania filozoficznego swej nowej wiary i głoszenie, rozwinięcie tych idei uważa za najważniejszą swą działalność, której podporządkowana zostaje twórczość artystyczna.

To zasadnicze przeświadczenie nie osłabia tej ostatniej, stąd w rezultacie tylko rozszerzenie zakresu twórczości do rozmiarów gigantycznych, przechodzących siły jednostki. Stąd też cały ten okres aż do śmierci poety będzie jednem wielkiem całopaleniem na ołtarzu twórczości. To porównanie, którego użył sam poeta o skrzypcach, napełnionych grzmotem, dałoby się przedewszystkiem zastosować do niego samego. Podobnie też stan, którym określił wrażenie lektury „Księcia Niezłomnego" Calderona o pogruchotaniu kości ducha, najlepiej określa siłę jego przeżyć religijno-moralnych.

W tych huraganach natchnień, które miotały wątłem ciałem Słowackiego, dają się odróżnić dwie potężne mgławice poczynań artystycznych. Jedna szła w kierunku dramatu — z tych najprzód zrodziły się: „Ksiądz Marek" (1843 r), „Sen srebrny Salomei" (1844) i poetycki przekład „Księcia Niezłomnego" (1845). Druga w kierunku epopei: próby kontynuacji „Beniowskiego" i „Król duch". Gdy weźmiemy pod uwagę taki utwór poetycko-filozoficzny, jak „Genezis z Ducha", uświadomimy sobie niewykonalność gigantycznych zamysłów Słowackiego. Te fragmenty, będące same w sobie całemi światami, które z twórczości tych lat Słowackiego zostały, wskazują na tendencję do wyczerpania i objęcia swą twórczością historji biologicznej świata oraz historji własnego narodu w syntetycznych skrótach rapsodów „Króla Ducha" i „dramatach historycznych". Mnóstwo pomysłów i prac artystycznych krzyżuje się tu i splata, różnorodność stylów i rodzaji literackich w tych ostatnich latach niezwykła! Tak n. p. jeszcze jesienią 42 r. usiłuje powrócić do „Beniowskię-

go“ i kontynuować go. Ale porzuca pracę, a postacie, których artystyczne przedstawienie go interesowało, ks. Marek i Wernyhora przedstawione zostają w dramatach o stylu calderowskim. Sny i widzenia prorocze, których spełnienie ukazuje się w rozwiązaniu końcowem dramatu zastępują tu swą suggestją mistyczne fatum tragedji greckiej. Ekstatyczność postaci, potężne wylewy liryzmu, niesamowita akcja, pełna grozę budzących sytuacyj, splata się w jedną całość raczej nastrojowo niż przyczynowo i logicznie.

Mimo oddania się sprawie szerzenia nowej, odnalezionej prawdy, powraca Słowacki w dramacie o „Zawiszy Czarnym“ do przypominającej „Anhellego“ mistyki egocentrycznej, porzuca ten pomysł, pisze dramat w stylu klasycznym o Agisie, reformatorze społecznym, przedstawiając tragiczny koniec wielkości, osaczonej przez ludzi małych. Po tym helleńskim dramacie powraca znowu do zarzuconego dramatu o „Zawiszy Czarnym“, którego znów nie kończy.

Nie brak i wstrząśnień zewnętrznych i gdy uwzględnimy jeszcze okoliczności życia poety, jak protest przeciwko adresowi Towiańskiego do Mikołaja 1-go, świadczący o trzeźwości politycznej Słowackiego, poznanie matki Makryny Mieczysławskiej (1845), na której cześć poeta napisał przepiękny wiersz, oburzenie wywołane „Trzema Psalmami“ Krasińskiego, na które odpowiedział wspaniałym wierszem „Do autora Trzech psalmów“, pojmiemy, jaką różnorodnością tonów mieniło się to, skądinąd skupione życie poety, pochłoniętego jedną ideą. A przy tem ten dawny samotnik otacza się teraz chętnie ludźmi, wśród których znajdujemy młodych poetów, artystów, jak n. p. obaj bracia Norwidowie, Ludwik i Cyprjan, Kornel Ujejski i Stattler, wogóle wybitniejszymi emigrantami z młodszej generacji, z których Feliński, (Szczęsny) Józef Reitzenheim, należeli do najbliższych. Nawet promień przeduchowionej miłości do pani Węgierskiej wplata się w to życie gasnącego a raczej spalającego się żarem twórczym poety.

Najpłodniejszym w następstwa okazał się zbawienny dla zdrowia poety (dwukrotny w 1843 r. i 1844 r.) pobyt nad morzem w Pornic. Wizja morza przepaja „Genezis z ducha“, dzieło poetycko filozoficzne, które sam nazwał alfą i omegą świata, bo też pierwsze pomysły do tego dzieła nad morzem się poczęły.

W małej pastereczce w Pornic poeta, patrzący na świat okiem mistyka, ujrzał rewelatorkę tajemnic. Wstrząśnienie i olśnienie duchowe widokiem oceanu olbrzymie, niezapomniane było dlań zródłem odnalezienia związku z przyrodą, napełniało go poczuciem przejrzenia jej tajemnic. „Genezis z ducha" jeden z najwspanialszych poematów świata, przepełniony tchnieniem kosmicznem, jest napoły modlitwą, napoły wspomnieniem przeszłości swojej. Mówi w nim poeta iż „uczuł się w przeszłości nieśmiertelnym". Wiedza jego więc była — według jego wiary — przypominaniem sobie (anamnezą) przeszłych żywotów. Uczuwszy się w przeszłości nieśmiertelnym, t. j. poczuwszy w sobie zmartwychwstającą pamięć przeszłych wcieleń (wiarę w metem-psychozę przejął już na poły w wieku młodzieńczym, utwierdził go w niej Towiański) odczytywał niejako z tej pamięci dzieje życia na ziemi. Fundamentami tej metafizyki Słowackiego były spirytualizm (wszystko dla ducha i przez ducha, nic dla materjalnego celu nie istnieje) i idea ewolucji. Rozwój jednak tłumaczył sobie jako łańcuch nieskończony twórczości ducha, który, niby poeta, stwarza sobie coraz to nowe i coraz to doskonalsze formy. Duch twórczy nieraz błądzi w szale poszukiwań i tęsknot do doskonałości, grzeszy i popełnia zbrodnie, lecz te odkupione są żarem tęsknoty do doskonałości. Na rozwój ciągły składają się ofiary ze starych form, walki i szamotania, rewolucyjne zmagania. Bóg „zapisuje w księgi żywota" tylko pewne formy, które przechodzi duch, idący ku doskonałości. Przewodnikami, twórcami form, są królowie duchy, w nich żyje duch „wieczny rewolucjonista". Zaleniwionych, zgnuśniałych duchów, trzymających się z uporem starych form, Bóg piorunami nieraz wypędza, zmusza ich do dalszego trudu, krusząc stare formy.

Filozofję swoją mistyczną, której podstawy dał w „Genezis" uzupełnił Słowacki w t. zw. „Wykładzie nauki" (czyli „Rozmowach z Helionem i Helois"), „Liście do Rembowskiego" i paru mniejszych pismach. Charakterystyczną rzeczą, że i teraz kryterjum prawdy u Słowackiego stawało się piękno, z warjantów bowiem i różnych swoich pomysłów filozoficznych wybierał pomysły najpiękniejsze i te były dlań najprawdziwszemi. Wśród dramatów, wcielających jego nową metafizykę, najwspanialszym, niestety zdefektowanym i niedokończonym jest „Samuel Zborowski". W nim łączy Słowacki filozofję swoją ze sprawą polską,

idealizuje liberum veto, jako prawo stanowiące bramę dla twórczych pomysłów królów-duchów. Zrozumienie go utrudnia głównie wprowadzenie do dramatu metempsychozy. Duchy bohaterów tego dramatu opuszczają jedno ciało i wchodzą w inne. Zbliża się tu Słowacki do mesjanistów, dopatrując się posłannictwa Polski w tej właśnie instytucji „liberum veto", sprzyjającej twórczym poczynaniom jednostek przewodniczych. Różni się jednak tem od innych mesjanistów, że rozbiór Polski uważa za zasłużoną karę za nadużycie liberum veto do spraw niskich, materjalnych.

Dziejami Króla Ducha w Polsce miała być ta wspaniała epopea wcieleń i ewolucji twórczej — „Król Duch". Pierwszy jego rapsod wyszedł w r. 1847, dalsze cztery wraz z mnóstwem odmian wydane zostały dopiero po zgonie poety. Za Króla Ducha polskiego uważał poeta siebie, stąd w pierwszym rapsodzie o jego dziejach opowiada w pierwszej osobie. Poglądom, iż duch słowiański pochodzi z Armenji dał wyraz w ten sposób, iż rozpoczyna opowieść od Hera Armeńczyka (postaci z dzieła Platona), który wciela się później w legendarnego króla polskiego, Popiela. W zaświatach jeszcze ukazują mu się dwie wizje, z których pierwszą („Umiłowana") jest kochanką, druga „córką słowa", według jednych komentatorów jest symbolem Polski, według innych personifikacją doskonałości. Służy on u Lecha, zostaje wtrącony do więzienia i oswobodzony przez Wandę. Trawi go pragnienie czegoś innego. Gdy zostaje królem (poeta tu utożsamił go z Rytygierem, bowiem tron zdobywa przy pomocy Germanów) popełnia szereg czynów okrutnych i zbrodniczych, poto, by przekonać się, czy istnieje Bóg, strzegący praw moralnych. Zabija między innymi matkę, knuje zamach na Śwityna, którego poseł Zorjan jest symbolem pieśni i ludu polskiego. Przez krew i cierpienia Polska zyskała od Popiela swe imię (w fantastycznej tej etymologji Polska = na ból skała).

W dalszych rapsodach Król Duch wciela się w Mieczysława i Bolesława Śmiałego. Mamy w nich dzieje pośmiertnego żywota Popiela, nawiedzenie chaty Piasta i Pychy przez aniołów. W Piasta wciela się duch Zorjana (Mickiewicza), który następnie przechodzi w św. Stanisława. Duch Wandy przechodzi w żonę Mieczysława, potem w Swentynę, siostrę Bolesława Śmiałego. Gigantycznego swego poematu po napisaniu pięciu rapsodów,

pozostawionych w nieładzie z mnóstwem warjantów, nie czuł się na siłach kontynuować wobec stanu swego zdrowia, z którego zdawał sobie doskonale sprawę.

Obraz wszechstronnego i nadludzkiego trudu ostatnich lat żywota Słowackiego nie byłby całkowity, gdybyśmy nie uwzględnili jego poczynań politycznych. Jak wiemy z „Anhellego" i z dalszego ciągu „Beniowskiego" przeczuwał on, jak wielu jemu współczesnych, rewolucję powszechną. Credo swoje społeczne najwspanialej wypowiedział w „Beniowskim" i wierszu „Do autora Trzech Psalmów (Krasińskiego). Gdy „wiosna ludów" zdawała się zbliżać, nie mógł być bezczynnym ten, który wyznawał wiarę w „ducha wiecznego rewolucjonistę". Nie wierzył on we Francję ani jej posłannictwo jak Mickiewicz, i w tem jego zasadnicza różnica z Mickiewiczem w postawie politycznej. Listy do ks. Adama Czartoryskiego i projekt Konfederacji są wyrazem jego idei politycznych. W 1848 r., na wieść o rewolucji w Niemczech i powstaniu w Poznańskiem, pośpiesza do Poznania. Nie mogąc brać udziału w walkach z powodu groźnego stanu zdrowia, bierze udział w naradach polskiego rządu rewolucyjnego. W nich okazuje się jako mistyk, wierzący w siłę ducha i entuzjazmu, lekceważy siły materjalne. Wogóle w poglądach jego politycznych łączy się w przedziwny sposób trzeźwość krytyczna z naiwnym spirytualizmem romantycznym. Po klęsce w poznańskiem nie traci wiary w przyszłość, choć wraca rozgoryczony do społeczeństwa poznańskiego. Przed powrotem do Paryża, we Wrocławiu przychodzi do skutku dawno projektowane spotkanie z matką. Syn obawia się tyleż, co pragnie tego spotkania. Lęka się, jakie zrobi na matce wrażenie wygląd człowieka chorego, wątpi, czy matka uwierzy w jego misję. Nie wiemy, czy matka nie zataiła swoich uczuć ze względu na syna, porozumienie i harmonja przy tym ostatnim widzeniu zdawały się zupełne. Wkrótce po powrocie do Paryża, przekonał się poeta, że siły go opuszczają. Myśl o śmierci przyjął z rezygnacją, przygotował się do niej ze spokojem. Otoczony gromadką młodych wielbicieli spędził ostatnie chwile. C. Norwid i S. Feliński przekazali nam piękny i wzruszający do głębi opis ostatnich dni żywota wielkiego poety. Zmarł 3 kwietnia 1849 r.

Stanowisko Słowackiego w literaturze polskiej, z współczesnych mu, najgłębiej i najtrafniej ujął w swym artykule o nim

Krasiński. Do dziś dnia przenikliwa ta charakterystyka nie straciła nic na swej wartości. Dziś z perspektywy lat lepiej tylko ocenić możemy wielkość Słowackiego, niż ten genjalny przyjaciel, który nie znał wielu jego utworów. Tragedją sławy tego wielkiego poety było między innemi i to, że twórczość jego, spoczywająca częściowo w rękopisach, nie była znana w całej pełni. Widziany w tej perspektywie historycznej przedstawia nam się Słowacki jako najwszechstronniejsze wcielenie poezji romantycznej, najwszechstronniejszy z pośród wszystkich naszych poetów mistrz formy poetyckiej i prekursor nowej sztuki. Pozostawił wspaniałe ujęcie naszej przeszłości historycznej w zdumiewającym obfitością skarbcu dramatów i epiki, stwarzając jednocześnie podwaliny dramatu polskiego. Jako organizacja poetycka był zadziwiającym fenomenem zdolności asymilowania wątków i stylów poetyckich, pozostając w imperjaliźmie swym mimo to nawskróś twórczym, niewyczerpanym w jej bogactwie i oryginalnym.

Droga jego żywota, poczynająca się od estetyzującego egotyzmu, a kończąca ekstatyczną wzniosłością świętego, obejmującego horyzonty kosmiczne, pozostanie jednym z najwspanialszych i najbardziej zdumiewających przykładów doskonalenia się. Żywot i twórczość Słowackiego są realizacją wielkiego powołania. Ascetyzm wyrzeczenia się wszystkiego dla jednego celu i wspaniałość pośmiertnego triumfu, oto dziś dla nas najgłębszy tragiczny sens, zawarty w brzmieniu jego nazwiska.

Wydanie niniejsze przeznaczone jest nie dla uczonych i literatów, żądnych materjału do badań, lecz dla tej publiczności która chce przeżywać i rozkoszować się dziełami wielkiego poety. Utwory więc, które stanowią tylko dokument rozwoju poety, albo pozostawione w stanie ułamkowym, uniemożliwiającym przeżycie artystyczne bez nakładu wielkiego trudu przebrnięcia przez złożone komentarze, uważaliśmy za stosowne pominąć. Wśród utworów zdefektowanych i fragmentów dzieł, wydanych po śmierci poety, uwzględnione zostały jednak najpiękniejsze, lub stanowiące przynajmniej względną całość.

Zdefektowany nawet tors posągu, czy odłam fryzu interesować może laika, drobne jednak ułamki członków posągu i gruz z arcydzieł to rzeczy, które winno się zostawić historykom, fachowcom — za kulisami. *Stefan Kołaczkowski.*

WIERSZE
I POEMATY MŁODZIEŃCZE

DUMA UKRAIŃSKA.

Czemuś smutny, Ruńko młody?
Słyniesz z wdzięków i z urody,
Szybko biega koń twój wrony,
I w pierścienie włos trefiony,
Bystre, czarne twoje oko
W sercach dziewic tkwi głęboko...

Jesteś paziem wojewody,
Lecz nie ciężka twa niewola;
Na stepowe lecisz pola,
Tam wyścigasz wiatr w zawody,
Lub w przyjaciół wiernych gronie
Śpiewasz, brzdąkasz na bardonie...

Ruńko! cóż ci smutek nada,
Jakiej w życiu płaczesz straty?
Źle gdy wiosną liść opada,
Źle gdy młode więdnią kwiaty;
Kozak zrodzon w Ukrainie
Wesołością, męstwem słynie...

Czemuś smutna, o dziewczyno?
Czemuś smutna, Hanko młoda?...
W cichem szczęściu dni twe płyną,
Jak ta czysta Dniepru woda;
Wśród przyjaciół, wśród rodziny
Nie doznałaś trosk przyczyny.

Ach! czyliż tylko od burzy
Więdnie kwiecie polnej róży?
Gdy ją rosa nie poleje,
Gdy ją wietrzyk nie obwieje,

Patrz, jak zaraz smutna, blada,
Patrz, jaka bliska skonania,
Listek po listku opada
I do ziemi głowę skłania.

Pod dąbrową, na dolinie
Widna zdala chatka biała;
Przy niej Dniepr szumiący płynie,
Nad nią brzoza wybujała,
I księżyca światłość blada
Na samotną chatkę pada;
To się srebrną mgłą zasłoni,
To się kryje za obłoki,
Igra w bystrej Dniepru toni,
Lub wśród cichej lśni zatoki.

Siedzi Hanka na kamieniu,
Sercem jej przeczucie miota,
Lica blade — a w spojrzeniu
Niespokojność i tęsknota.
Znika Ruńko ukochany,
Coraz słabszy tętent dzwoni;
Zniknął i tylko po błoni
Gęste snują się tumany.
Smutna chwila rozłączenia,
Smutna Hanki młodej dola,
Wzrok jej tylko i westchnienia
Na samotne lecą pola.

Hanko! słońce szczęścia znika
I na niebie i w twej duszy,
Smutek serce twe przenika,
Ach! któż twoje łzy osuszy?
Znikły, znikły szczęścia ślady,
Lecz widać jeszcze nadzieję,
Choć jej promień tak jaśnieje,
Taki drżący — taki blady,
Tak słabo błyszczy dokoła,
Jak nieśmiały blask księżyca,
Co ciemne niebo oświeca,
Lecz go rozjaśnić nie zdoła.

Hanko! Hanko! wstań z kamienia,
Słuchaj — czy to szum tej rzeki?
Czy mnogich rot tętnienia,
Albo ludu gwar daleki?...
Gęsta mgła okrywa błonie,
Księżyc w krwawym kurzu ginie;
Słuchaj, słuchaj, tam w dolinie
Coraz mocniej chrzęszczą bronie...

Spojrzyj — Hanko nieszczęśliwa!
I spojrzała — cała zbladła,
Do swej chatki drżąca wpadła,
Ojca, matki z trwogą wzywa.
Coraz bardziej rośnie wrzawa.
Głośne *Allach* grzmi po błoni;
I już dzicz Tatarów krwawa
Leci z wrzaskiem, z rżeniem koni.
Dzika w sercach ich uciecha,
Przez wyparte lecą wrota,
Zewsząd Tatar ogień miota,
Płonie chaty nizka strzecha.
. . . . . .
. . . . . .
Ledwie błysnął świt na niebie,
Już po stepach, już po błoniu,
Leci Ruńko na swym koniu,
Hanko! Hanko! to do ciebie.
Prędzej od dnieprowej wody
Spieszy wrony koń wesoło;
Lecz weselszy Kozak młody,
Pogodniejsze Ruńka czoło.

Czemuż? czemuż tak, Kozacze,
Przez parowy dzikie skaczesz?
Wkrótce gorzko ty zapłaczesz,
Już po tobie Hanka płacze.

Leci Kozak — a dokoła
Smutne stepy, puste pole,
Na niem dzikie rosną zioła,
Chwasty, głogi i kąkole.
Wicher bujną trawą miota
I ponuro w stepach szumi...
Bojaźń jakaś i tęsknota
Radość w sercu Ruńka tłumi...

I już słońca blask na niebie
Złoci stepów puste niwy.
Cóż, czy czeka Hanka ciebie?
Że tak lecisz niecierpliwy.
Pędzi, leci pośród błonia,
Włos mu czarny z wiatrem płynie,
Równy, grzmiący tętent konia,
Razem z echem zwolna ginie!
Patrz! mogiła i kamienie,
Na mogile krzyż wysoko,
A Ruńko westchnął głęboko —
Powiedz, powiedz, to westchnienie

Czy w tym grobie pozostało.
Czy za Hanką uleciało.
Rzucił Kozak szlak stepowy,
Wziął się w prawo na bezdroże,
Między krzaki i parowy,
Gdzie Dniepr więzi ciasne łoże.
Wyprężony w szybkim biegu
Śmiga koń po krętym brzegu,
Po manowcach i w gęstwinie
To się mignie, to znów ginie,
Tak jak płomień z pod ogniska,
Ze szkarłatu czapka błyska.
. . . . . .
. . . . . .

Patrz! już Ruńko na dolinie,
Już z rozpaczy łamie dłonie,
Żadna z oka łza nie płynie,
Chociaż serce we łzach tonie.
Patrz, i czegoż on wygląda
Błędnym okiem po tej błoni?
Czy wzrok jego spocząć żąda?
Czy za zbiegłym szczęściem goni?...

Ruńko! biedny, nieszczęśliwy,
W złej rodziłeś się godzinie;
Jak bluszcz dziki w Ukrainie,
Gdy wśród polnej błyśnie niwy,
Bez podpory w stepach ginie,
Lub go słońca skwar wypali,
Lub, gdy wzrośnie, gdy zakwitnie,
To go z trawą kosa wytnie,
Lub z podporą wiatr obali.

Pobiegł Kozak nad brzeg rzeki...
Ponura cichość na błoni...
Cóż to? słychać jęk daleki!
Ach to bardon w Dniepru toni,
Tłukąc się o skały z brzękiem,
Konającym zabrzmiał jękiem.
. . . . . .

I już koń powraca wrony
Zadyszany, zapieniony,
Grzywa z wiatrem rozigrana —
Wbiegł pod zamek wojewody.
Koniu! gdzież to Ruńko młody,
Gdzieś ty podział twego pana?

Nad brzeg Dniepru lud się zbiega,
Coraz bardziej tłum się mnoży,
Smutny okrzyk się rozlega:
Zginął! zginął Kozak hoży!
Ruńko burką swą okryty
W ponadbrzeżnym leżał piasku,
A włos czarny, wodą zmyty,
W hebanowym lśnił się blasku.
Ruńko! świetniałeś jak zorza,
Byłeś chlubą Zaporoża,
Teraz kopią grób dla ciebie;
Teraz zbladły twoje lica,
Tak jak blednie twarz księżyca,
Gdy spotka słońce na niebie.

Gdzieżeś płynął, o Kozacze,
Z zapienioną Dniepru wodą?...
Czy się złączyć z Hanką młodą,
Która gdzieś w jasyrze płacze?...
. . . . . .

Tam, gdzie dawniej chatka stała,
Stoi mogiła w dolinie,
Przy niej Dniepr szumiący płynie
Nad nią brzoza wybujała.
Gdzie głos Hance ulubiony
Nieraz głuchą budził ciszę,
Teraz brzozą wiatr kołysze,
Posępnemi jęcząc tony.
Ani jednej łzy, wspomnienia,
Ani żalu, ni westchnienia,
Cicho — jak w północną chwilę
Same niebo smutne, mgliste,
Lejąc krople rosy czyste,
Odświeża darń na mogile.

Takie tylko łzy, niestety,
Skoro świt zabłyśnie złoty,
Roszą smutny grób sieroty,
Grób Kozaka — grób poety.

Wilno, 1826, 26 august.

PIOSNKA DZIEWCZYNY KOZACKIEJ

I.

Dzisiaj, i co dnia, z blaskiem miesiąca
Idę w las krętą drożyną,
Wybieram kwiat ten z kwiatów tysiąca,
Nad którym rosła brzoza płacząca,
Nad którym łzy moje płyną.
Jak z obłąkanej ludzie się śmieją,
Nie znają ciężkiej mej straty;
Ja zbieram kwiaty, — kwiaty więdnieją,
Ja znowu idę po kwiaty.

II.

Nieraz łza płynie gorzka, ukryta,
Bo ciężkiej płaczę ja zguby;
Patrz, oto róża polna rozkwita,
Biała konwalja z różą uwita.
Mój drogi! drogi! mój luby!
Czy na ślub spieszysz, czy tam w kościele
Czekają druhy lub swaty?
Ach!... kwiaty zwiędły — nie na wesele,
Ja zawsze idę po kwiaty.

III.

Nie od rycerskiej zginął on stali —
Wznieśli mogiłę wysoką,
A ile garści piasku sypali,
Tyle mu przekleństw z piaskiem posłali —
Mój luby, śpi on głęboko.
Przekleństw nie słyszał, nie słyszał płaczu,
Nikt nie wdział żałobnej szaty,
Piasek pokrywa grób na tułaczu —
Ja codzień idę po kwiaty!

Warszawa, 28 grudnia 1829 r.

ODA DO WOLNOŚCI.

I.

Witaj, wolności Aniele,
Nad martwym wzniesiony światem!
Oto w Ojczyzny kościele
Ołtarze wieńczone kwiatem,

I wonne płoną kadzidła!
Patrz! tu świat nowy — nowe w ludziach życie.

Spojrzał — i w niebios błękicie
Malowne pióry złotemi
Roztacza nad Polską skrzydła;
I słucha hymnów tej ziemi.

II.

A tam, już w cieniu wieków za nami się chowa
Duch niewoli, i dumną stopą depcze trony.
Zgina się pod ciężarem skrwawionej korony,
Mówi — ale niezrozumiałe z ust wychodzą słowa.
Tak obelisk, co niegdyś pisanym wyrazem
Dziwił ludy, obwiany mgłą kadzideł dymu,
Dziś przeniesiony do Rzymu,
Niezrozumiały ludom — umarły — jest głazem.

III.

Niegdyś Europa cała
Była gotyckim kościołem.
Wiara kolumny związała,
Gmach niebo roztrącał czołem...
Drżącym od starości głosem
Starzec, pochylony laty,
Trząsł dumnych mocarzy losem,
Zaglądał w królów siedziby;
Zaledwo promyk oświaty
Przez ubarwione gmachu przedzierał się szyby.
Jakiś mnich [1] stanął u proga
Kornej nie uchylił głowy,
Walczył słowami Boga
I wzgardził świętemi kary.
Upadł gmach zachwiany słowy.
Błysnęły światła promienie...
Pierwsze wolności westchnienie
Było i westchnieniem wiary.

IV.

Jak sosny niebotyczne urośli królowie.
Deptane prawa ludów gdzież znajdą mściciela?...
Na Albionu ostrowie
Kromwel. — Któż nie zna Kromwela?...

[1] Luter.

On dawną krwią Stuartów zalał stopnie tronu
I nie chciał na nie wstąpić — on pogardził tronem.

I czemże dzisiaj jest król Albionu?
Błyszcząca mara — widziadło,
Księżyc na niebie zamglonem,
A słońce praw oświeca tę postać wybladłą.

Ale wielcy mężowie zasiedli do steru,
Świątynią praw dźwigają tysiączne kolumny, —
Patrzcie, jak długim rzędem za trumnami trumny
Wchodzą w posępne gmachy Westminsteru.

V.

O świat nowy hiszpańskie uderzyło wiosło,
Tam brat zaprzedał brata...
Na lądzie nowego świata
Żałobne drzewo wyrosło,
Pod którem, schyleni w trudzie,
Marząc o szczęściu boleśnie,
Usypiali tłumem ludzie,
Tłumami konali we śnie.

I śmiercią sen płacili — bo o lepszej doli
Pod tem się drzewem ludziom o wolności śniło.
Było to drzewo niewoli,
Rosło nad grobem — świat już był jedną mogiłą.

Ostatni więc człowiek skona,
Śmiercią z należnych władcom wypłaci się danin?
O nie! na głos Waszingtona
Zmartwychwstał Amerykanin
I zaprzysiężoną święcie
Wolność okrył wieńcem sławy.

A drzewo śmierci było masztem na okręcie
I zgon niosło na ludy saksońskie — i nawy.

VI.

Więc słońce już w wolności krajach nie zachodzi?
Wolności skrzydła całą osłoniły ziemię.
Godnem jest oczu Boga wolnych ludzi plemie.
On bohaterów nagrodzi.

VII.

Jakiż to dzwon grobowy
Z wiejskiego zabrzmiał kościoła?
Idzie tłum pogrzebowy —
Schylone do ziemi czoła;

Trumna — za trumną dzieci,
Smutna przyjaciół drużyna
Bladą gromnicą świeci,
Ciche modły powtarza.
Weszli we wrota cmentarza
Pod trumną ramię syna.
Czarną dręczeni rozpaczą,
Czarną okryci żałobą...

Czemuż płaczą nad sobą?
Bogatą wezmą spuściznę.
Dlaczegoż nad nim płaczą?
W grobie zapomni troski...
Bracia! — on umarł — on był ostatnim z tej wioski,
Co widział wolną ojczyznę.
Panowie jeszcze po nim nie zdjęli żałoby,
Już na wolnej żyją ziemi.
Idźmy więc nad ojców groby,
Wołajmy, bracia, nad niemi —
Może usłyszą w mogile?...

VIII.

Widziałem, jak młodzieniec w samej wieku sile,
Strawiony własnym ogniem — przeklął ogień duszy.
Wołał: — „Czemuż Bóg więzów moich nie rozkruszy?..."
Lecz wszędy cichość grobowa;
A więc sam odpowiadał: — „Jestem panem życia!" —
Okropne rozpaczy słowa!
Z umysłowych władz rozbicia
Została ta myśl straszliwa.
I bladość śmierci lice wyniosłe okrywa.
Ta jedna myśl tysiączne urodziła myśli;
Straszna cierpienia potęga,
Umysł je rozwija, — kryśli,
Z niedowiarstwa marą sprzęga...
O niedowiarstwo! Ty piekieł pochodnią
Niszczysz mgłę marzeń i blask urojenia złoty.
Gdzież cnota?... niema cnoty!...
I zbrodnia nie jest zbrodnią.
Na niepewnej ważysz szali
Wzniosłe uczucia w człowieku...
Już wszyscy tak myśleli — i wszyscy wołali,
Jest to chorobą czasu! — jest to duchem wieku!
Ta ciemność była tylko przepowiednią słońca.
Wolności widzim Anioła,
Wolności powstał obrońca.
Podnieście wybladłe czoła!

Dalej do steru okrętu!
Dalej! na morskie głębinie!
Rzućmy się w odmęt — z odmętu
Może niejeden wypłynie!
Podobni do nurków tłumu,
Co do morskiej toną fali,
Wśród wirów skręceni szumu,
Już ich fala w głąb porywa;
Ale niejeden wypływa,
Bliski brzegu, lub daleki,
Ten niesie gałąź korali,
Ów w Amfitryt [1] trąbę dzwoni.
Lecz niejeden zniknie w toni,
W morzu zostanie na wieki.

(1830)

HYMN.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon,
Wolności rośnie krzew.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew
Zanieś przed Boga tron.

Podnieście głos rycerze,
Niech grzmią wolności śpiewy,
Wstrzęsną się Moskwy wieże.
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie — i tam mają duszę.

Noc była... Orzeł dwugłowy,
Drzemał na szczycie gmachu,
I szponach niósł okowy.
Słuchajcie! Zagrzmiały spiże,
Zagrzmiały... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyń krzyże.

---

[1] Amfitryta = małżonka Posejdona, bogini morza Mit grecki.

Spojrzał — i nie miał mocy,
Patrzeć na wolne narody,
Olśniony blaskiem swobody,
Szukał cienia... i w ciemność uleciał północy.
O wstyd wam! wstyd wam Litwini!
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos potomności obwini,
Ten naród — gdzie czczą w narodzie
Krwią zardzawiałe korony.

Wam się chylić przed obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi,
I we własnych spać mogiłach. —
Do broni bracia! do broni!
Oto ludu zmartwychwstanie,
Z ciemnej pognębienia toni,
Z popiołów Feniks[1] nowy
Powstał lud — błogosław Panie!
Niech grzmi pieśń jak w dzień godowy.

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon
I wolnych płynie krew
Bogarodzico!
Wolnego ludu krew,
Zanieś przed Boga tron.

(1831)

KULIK.

Oto zapusty, dalej kulikiem,
Każdy wesoły, a każdy zbrojny,
Jedzie na wojnę, jakgdyby z wojny,
Z szczękiem pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej! kulika w przyjaciół chaty —
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziewać balowej szaty,
Ani okrywać czoła żałobą.

---

[1] Ptak mityczny, rzekomo odradzający się z własnych popiołów.

Tak, jak jesteśmy — dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą...
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy cali.
Ha! ha! koń parska — rade nam dwory —
Nie trzaskaj z bicza! — niechaj śpi licho!
Szybko po drodze, tak jak upiory
Śmigajmy szybko! — cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą
Jak błyskawica,
W okrąg księżyca,
Złote mgły koło.
Kagańce błyszczą.
Cha, cha, cha! jak nam wesoło!

Kto nas zobaczy — ten nie zostanie
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać — więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie. — My bez pomocy,
Tak jak jesteśmy — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! — oto dwór biały
I światło w oknach — dam znak — wystrzelę
Odpowiedziały mnogie wystrzały.
Ha! Dobra wróżba — wszak tu wesele,
Tu szlachta pije, — wyprawia gody;
Drużby za nami! swaty za nami!
Od młodej panny chodź panie młody,
Lecz nie patrz na nią — zalana łzami,
A łzy kobiece zmiękczą ci serce —
Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce.
Teraz za nami — tak z bukietami,
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica,
Dam znak, wystrzelę... nie, ciszej! ciszej!
Z nagła wpadniemy, nikt nie usłyszy —
Przebóg! tu pogrzeb — błyszczy gromnica —
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi trumna — a koło trumny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło...
Ha, ha! co robić? tu nie wesoło,
Lecz poco długie prawić androny:
Mój panie synu, prosimy z sobą.
Daj na pacierze — zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół. — Z czarną żałobą
Tak jak jesteście — dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał — więc drzwi uchylę...
Zielonym suknem stolik wybity,
A na stoliku świecą pamfile [1].
Panowie szlachta! do djabła karty —
Dalej do broni! a karty w kąty!
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty [2]
I Delfin grają... może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery [3]
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną... Mości panowie!
Niech w karty sami grają królowie!
A my do koni — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary.
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie jakieś widzę maszkary.
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory —
Słuchaj-no! słuchaj, mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory? [4]
Znasz ty Neapol? [5] a ty, Hiszpanie,
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie — mniejsza o to. — Włoch, Korsykanin.
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście — dalej i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna
Już w oknach wszelkie światło pogasło,
Dam znak, wystrzelę... nie — poco hasło.
Tu śpią — nie słyszą... nie nasza wina,
Że sen przerwiemy... Stukam we wrota...
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.
Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
— „O nie — on nie śpi — pan mój i dzieci
Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
Wyszli na czele zbrojnej czeredy,
A teraz cicho — pusto we dworze.
Wyszli na wroga — czy wrócą kiedy?“
Widzicie bracia, mylą pozory,
Takiemu panu błogosław Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory,
Jedźmy więc sami — dalej i dalej!... etc.

---

[1] Pamfil — wysoka karta atutowa. [2] Dej algierski i Karol X — obaj pozbawieni władzy. [3] Kozera — atut [4] Sycylijskie nieszpory — rzeź Francuzów na Sycylji w roku 1282 za rządów Karola Andegaweńskiego. [5] Aluzja do rewolucji w Neapolu.

Jakże noc pyszna — jak lecą konie!
Lecą i lecą — a z pod kopyta
Pryskają iskry, — połyska błonie,
Śmigają sanki, — już świta! świta!
Na niebie blednie czoło księżyca,
Droga skończona — oto granica.
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa.
Oto jest kulik Polaka.

PIEŚŃ LEGJONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!
Słońce dla niej błyszczy chwałą.
Tyle serc dla Litwy bije,
Tyle serc już bić przestało.
Trzeba być głazem! trzeba być głazem,
Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią.
Myśmy się za nie mścili żelazem,
I wolną myślą, i wolną pieśnią.
Zadrżały wrogi,
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi,
Jezus Marja! naprzód! hop, hop! urra!

Nauczyli nas Teutony
Śpiewać jako nam śpiewali.
Legijony! Legijony!
Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!
Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,
Jakże się rozstać z Ojców grobami?
Chyba odwiecznym powiemy prochom:
Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!
Zemsta na wrogi, etc.

Gdy Car groził Olgierdowi,
Odrzekł posłom Olgierd stary:
Nieście pochodnię Carowi,
Nim zgaśnie, powitam Cary.
I za posłami tej samej nocy
Obozem stanął na Moskwy górach,
Panował miastu jak orzeł w chmurach,
Wszedł z jajkiem kraśnem w dzień Wielkanocy.

Zadrżały wrogi
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi,
Na grom Perkuna! naprzód! hop, hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy
Nam rozkwitnie kobiercami;
Trud zapłaci wzrok dziewicy,
Pomięszany śmiech ze łzami.
A kędy baszta mchami okryta,
Zbudzony pieśnią kamień z tej wieży
Może się zerwie, do stóp przybieży
I Gedymina wnuków powita.
Dalej na wrogi, etc.

Nikt nas teraz nie obwini,
Nikt na świecie nie zapyta:
Czy jeszcze żyją Litwini?
Oto Pogoń nasza świta!
Lecz nie pytajcie, czemu tak mała
Garstka chorągwią mężnych powiewa?
Więcej nas było, — lecz z tego drzewa
Burza niejeden liść oberwała.
Zemsta na wrogi, etc.

Ho! Zaszummy proporcami,
Co wolności barwą świecą;
My lecimy, a za nami
Orły! orły! orły lecą.
Na nasze głowy jak szronu kiście
Spadają gromy... legjon umiera —
Jak laur zdobiący grób bohatera.
Kto chciwy sławy — rwie lauru liście.
Zemsta na wrogi,
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi.
Jezus Marja! naprzód, hop, hop! urra!

HUGO

I.

UCIECZKA.

Młoda dziewica dziś w klasztornym murze
Bogu na całe poświęcona życie,
Gdy odrzucała świeże wianku róże,
Łzy z pięknych oczu płynęły obficie;
Gdy pod całunem legła na marmurze,
Ustało prawie drżące serca bicie;
Łzy już nie płyną, lecz bladość straszliwa
Jak w chwilę śmierci jej lica pokrywa.

Już mrok zapadał, już wieczorne chłody
Wróciły niebu barwy lazurowe.
Przed krzyżowymi kryjąc się narody,
Słońce skwarami utrudzoną głowę
Chowało w morza Bałtyckiego wody;
Lecz nim się skryło w fale bursztynowe,
Zajrzało w gmachu zasępione skrzydła
Przez szyb kościelnych ciemne malowidła.

Już lud ze świętych wychodzi podwoi,
Skończone boskich tajemnic ofiary.
Czemuż ten rycerz nieruchomy stoi,
O marmurowe oparty filary?
Twarzy nie widać, ale znać ze zbroi,
Że to obrońca chrześcijańskiej wiary.
Lecz w noc tak późną czegoż jeszcze czeka,
Gdy wszyscy wyszli, on odejście zwleka?

Stał nieruchomy, jako posąg z głazu,
Co strzeże grobów zimnego marmuru.
Tam coś mignęło? — nie, to błysk obrazu,
Co tak pozłotą odbija od muru.
Jakiś szmer słychać? — to odgłos wyrazu
Cichej modlitwy, przyniesiony z chóru,
A rycerz zadrżał, to może ze strachu?
W tak ciemną porę! w tak posępnym gmachu!

Już księżyc wstąpił na niebieskie smugi,
I patrzał w ciche klasztoru ustronie.
Wychodzi rycerz, z rycerzem ktoś drugi;
Oba skoczyli z pośpiechem na konie:
Pewnie miał giermka, pazia do posługi:
Lecz czemuż pędzą tak spiesznie przez błonie?
Czemuż tak prędko z bitej zeszli drogi,
Biorąc się w lasy i dzikie odłogi?

Z początku żadnej nie wiedli rozmowy;
Starszy ostrogą zachęcał rumaka,
A potem nagle gniew gorzkimi słowy
Wyrwał się z piersi gorącej krzyżaka:
„Z radosnem sercem jam rzucić gotowy
Kraj ten przeklęty; chciałbym lotem ptaka
Z miejsc tych ulecieć, kędy mojej głowie
Grożą tajemnych wyroków sędziowie.

„Lubię zakonu turnieje, gonitwy,
Ale nie znoszę szpiegów tajnej sprawy;
Od nich uciekam w kraje dzikiej Litwy;
Lasy mi słodsze nad ciągłe obawy.
Jagiełło z bratem tocząc krwawe bitwy,
Przyzwał nas w swoje odległe dzierżawy;
Już zamek Trocki do niego należy,
I tam krzyżackich osadził rycerzy.

„Tam ja nad braćmi zakonu przewodzę,
Śledzę Litwinów i spraszam biesiady;
A ufny w silnej i licznej załodze,
Wrogów choć licznych nie lękam się zdrady;
I sąd, co trzymał mych czynności wodze,
Puścić je musiał i stracił ich ślady.
W Litwie podstępem zdrady nie otoczy,
W Litwie nie dojrzy, choć ma bystre oczy.

„Oto krzyżackie zniknęły klasztory,
I błyszczy Niemen szeroki przed nami!“
Zaraz się w rzekę rzucił rumak skory,
Parskał i pianę mięszał z wód pianami.
Na drugim brzegu czerniły się bory,
Srebrnymi nocy uwieńczone mgłami.
Księżyc posępny, płonąc na zachodzie,
Długim się słupem srebrzył w Niemna wodzie.

Nim je grom spali, nim je ludzie wytną,
Piękne są bory, cudny las sosnowy!
Tysiączne kwiaty w jego głębiach kwitną,
Wiatr tajemnicze prowadzi rozmowy;
Tam dzwonki barwą błyszczą się błękitną,
Owdzie kobierce ściele wrzos różowy.

Przez takie bory zarośnięte wrzosem,
Prędkim tętniły kopyta odgłosem.

W pośpiechu szybko mijają rycerze
Rozległe książąt na Lidzie dziedziny,
Z wschodzącem słońcem witały się wieże.
Choć cień pod zamkiem zalegał doliny;
Ze słońcem jeźdźców migały puklerze,
Słońcu nadbrzeżne kłaniały się trzciny;
Niejeden pączek przed słońcem rozkwita,
Błyszczy się ziemia kwiatami okryta.

Lecz prędko szybkie przemknęły rumaki.
Znikł obraz Lidy jak senne marzenie,
Znów ciemne bory, zarośla i krzaki,
I jednostajne rumaków tętnienie.
Słońce, przebiegłszy lazurowe szlaki,
Już za Ponary[1] chowało promienie;
Już cień na ziemię spuszczał się ponury,
Gdy starszy Krzyżak wskazał zamku mury.

„Patrz! oto pyszna Kiejstutów stolica,
To ich dzierżawy, kędy zajrzysz okiem.
Nad zamkiem wieża, to pogan kaplica;
Tam między gęstym kadzidła obłokiem,
Boga piorunu szczerozłote lica
Patrzą się jasnym, brylantowym wzrokiem.
Widzisz to wielkie błękitu przestworze?
To Trocki zamek! a to Trockie morze!“

II.

RYCERZ SĄDÓW TAJEMNYCH.

Stokroć weselsze są Malborga gmachy,
Niż te posępne Kiejstuta komnaty;
Ani je srebrne rozjaśniają blachy,
Ani kobierców złocą jasne szaty.
Sala zamkowa jak głuche więzienie,
Wiatr po niej szumi i wolno przewiewa,
Jej głębie wieczne zalegają cienie;
A setne z ziemi wybiegłszy filary,
To się zrastają jak altany drzewa,
To się znów dzieląc na setne konary,
Wspierają różnie łamane sklepienie,

[1] Ponary, góry lesiste na lewym brzegu Wilji.

A okna cięte w gwiazd rozlicznych wzory
W dzień dają światło słabe jak o świcie,
Inne, okrągłe lśnią w tęczy kolory,
Dziś okna, jutro strzelnice w potrzebie.
A jedno w sklepień zasępionych szczycie
Tak błyszczy zdala, jak miesiąc na niebie.

Choć noc głęboka, choć w tak późnej chwili,
Jeszcze się lampa w ciemnym gmachu pali:
I dwaj rycerze czuwają na sali,
Dwaj, którzy wczoraj jeszcze z Prus przybyli,,
Starszy miał szyszak i pancerz stalowy,
I płaszcz szeroki z wizerunkiem krzyża;
A ile razy do światła się zbliża,
Na piersiach miga krzyż djamentowy,
I miecz u boku obosieczny, długi.
Znam go! to komtur zakonu krzyżaków,
To młody Hugo... Lecz kto jest ten drugi!
Ile z widocznych poznać mogłem znaków,
Nie miał on jeszcze ostrogi rycerza,
Ani swej piersi krył ciężką kolczugą;
Ubiór miał pazia, lecz pan mu się zwierza,
Pan z nim rozmawia nie tak jak ze sługą.
Słowa Hugona skryte, tajemnicze;
Często na pazia spogląda oblicze.
Bo też oblicze tak piękne, czarowne,
Spojrzenie pazia tak czułe, dobitne,
I oczy, jasne jak niebo błękitne,
Ćmią długie rzęsy, gdy nadto wymowne;
Włos jego spływa w złociste pierścienie,
Ale na twarzy smutek, zamyślenie.

Jakiż to rycerz w tę porę przybywa?
Czarną miał ściśle zamkniętą przyłbicę,
I czarny pancerz i naramiennice.
Olbrzymią postać żelazo okrywa,
Schylił się, wchodząc pod wielkie filary,
Stanął w milczeniu i załamał dłonie.
„Czegoś tu przyszedł?“ rzekł Hugo ponuro,
„Czyś jest brat rycerz chrześcijańskiej wiary?
Co mi przynosisz? Twoję śmierć, Hugonie!“
Czoło komtura okryło się chmurą,
I rzekł do siebie: „Wybadać go muszę...“
„Twa mowa, bracie, śmiercią mi zagraża?
Czyliś gdzie widział Bodelszwingu [1] gruszę?
Czyli z Saudkirchen [2] powracasz cmentarza?“

[1] i [2] Nazwy miejsc, gdzie odbywały się sądy tajemne.

Na te nazwiska rycerz spuścił dłonie,
I milcząc, tylko dwakroć głowę skłonił...
Pielęgnowany troskliwie w wazonie
W oknach zamkowych kwiat róży [1] się płonił.
Zerwał go Hugo i rycerza bada;
A rycerz milczy, milcząc wziął kwiat róży,
Do piersi niesie i do ust przykłada.
Czoło Hugona posępniej się chmurzy,
Zgasły na licu rumieńca szkarłaty;
Ale dowodów jeszcze nowych szuka.
„Powiedz, rycerzu, czyliś jest bogaty?
Gdzie twoi bracia? Gdzie twoja rodzina?"
„Bogactwem mojem są trzy miary wina; [2]
A brat mój tutaj na mieczu wyryty:
W jednej ma ręce wieniec z róż uwity,
A w drugiej sztylet, co w krwi wroga tonie.
Tacy rycerze są braćmi moimi,
Taka rodzina jest w Czerwonej ziemi, [3]
Czy dosyć na tem? czy znasz mię, Hugonie?"

„Znasz mnie! i dom mój i moją rodzinę.
Słuchaj więc, krótkie są wyroku słowa:
Zbrodnia spełniona i kara gotowa.
Znasz wielkość zbrodni, umrzesz za godzinę!
A ty! co pazia pożyczasz ubioru,
Ażeby kazić ludzi świętej wiary;
Tam, skąd przybyłaś, wracaj do klasztoru,
Tam cię czekają wstyd, hańba i kary".

Wyszedł, a Hugo jak ze snu się zbudził.
Czy słyszysz, luba, odgłos jego kroków?
Słyszysz! to poseł okropnych wyroków!
On mi śmierć przyniósł, gdym się szczęściem łudził.
O łatwiej! łatwiej było skonać wczora,
Dziś szczęśliwszemu trudniej mi umierać.
Patrz! księżyc zaczął przez szyby przezierać.
Słyszysz, jak szumią tam fale jeziora;
Księżyc mię żegna, żegnają mnie fale.
A sen mój jaki będzie za godzinę?...
Lecz próżno! próżno! ja marnie nie zginę!
Mieliżby życiem zarządzać zuchwale?
Czekaj tu, Blanko, zostawiam w tej sali
Ten płaszcz, on w boju płatałby mi dłonie,
Ten hełm z piórami z nadto kruchej stali,
I miecz ten nadto lekki na ich głowy.
Weź, moja luba, i krzyż brylantowy,

[1] Róża była godłem trybunałów. [2] Każdy przyjęty do bractwa tajnych sędziów, powinien był wkupić się jedną złotą sztuką i trzema miarami wina. [3] Tak nazywała się Westfalia, główne ognisko trybunałów tajemnych, a nazwanie to wzięła od czerwonego koloru swoich herbów.

On długo, długo błyszczał mi na łonie,
Może ci kiedy przypomni po zgonie...
Nie, ja żyć będę, chcę żyć, moja luba!
Wszak jam w krzyżackim zhodował się domie,
I nieraz sławy szukałem za domem;
Mam miecz, co zdziwia Polaków ogromem;
Mam zbroję, której stal tak twarda, gruba,
Że ją żelazo żadne nie przełomie.
Gdy się tak Hugo na boje ustroi,
Nie wydrą serca z pod żelaznej zbroi."

„Jest jeszcze inna ocalenia droga:
Może w świątyni pogańskiego boga,
Można się ukryć w jej lochach podziemnych
W krętych przechodach i kryjówkach ciemnych;
Ta droga bardziej pewna i ostrożna,
Wszak zdradą zdrady uchronić się można".

To rzekł i wyszedł. Straszną zbroję wkłada,
W której już nieraz występował w szranki;
Potem zbiegł szybko przez zakryte ganki,
Do świątyń boga, który gromem włada.
Tu ogień Znicza dymny i ponury,
Czarne filarów łamały się cienie.
Szedł rycerz, ciemne przeglądając mury,
Może w tych murach tajemne schronienie
Zbiegów bezpiecznie do świtu zatrzyma?
Lecz przebóg! zadrżał: kamienne bożyszcza,
Stojąc wokoło święconego zgliszcza,
Żywymi w niego patrzyły oczyma.

III.

ZGON.

Nadeszła straszna godzina wyroku.
Znów wszedł do sali mściciel tajnych zbrodni
Wszedł pod filary i zatrzymał kroku.
Przy świetle blado tlejącej pochodni
Na dłoni rycerz oparty spoczywa,
Ofiara śmierci. Znany płaszcz komtura
Z posępnym krzyżem na barkach mu spływa;
Na hełmie znane kołyszą się pióra,
I dobrze znany krzyż na piersiach miga,
Lecz czyliż męstwo tak prędko ostyga?
Hugo ów śmiały, mężny przed godziną,
A teraz śmierci lęka się widoku?
Dlaczegóż kryje lica w obie dłonie,
Czy łzy zasłania, co po twarzy płyną?
Cichość ponura. „Czyś gotów, Hugonie?

Biada ci! milczysz?“ Błysnął zamach stali.
Krzyżak się długo nad trupem nie bawił,
Sztylet mu w piersiach rozdartych zostawił,
Spojrzał i zwolna wyszedł z krwawej sali.

Lecz przebóg! drzwi się otwarły zarazem,
Wszedł młody rycerz. To on! Hugo młody!
Cały hartownem odziany żelazem,
Męstwem młodzieńcze płonęły jagody.
Wszedł, spojrzał bystro: „Blanko! Blanko droga!
Poco ten ubiór? te pióra? ta zbroja?
Czemu tak milczysz? Ach! na miłość Boga
Odpowiedz słowo? droga! luba moja,
Odpowiedz słowo! przebóg, twarz jak sina?
Jej dłoń jak zimna! i szklisty blask oka!
I sztylet w piersiach! Więc biła godzina!
On był tu!...“ Zamilkł, tak boleść głęboka
I żal tak ciężki jego serce ścisnął!
Piersi pracują jak wzburzone fale;
Na chwilę w oczach płomień zemsty błysnął,
Lecz go zgasiły nowe łzy i żale.

„Może myślała Blanka nieszczęśliwa,
Że mnie swym zgonem od zgonu zachowa?
Nie, kiedy szczęścia zerwane ogniwa,
Ja mam żyć? luba, bądź zdrowa, bądź zdrowa!“
Księżyc nad rankiem srebrzył zamku wieże,
Niech on nam powie dalszy los Hugona.
Zbójeccy sądów zniknęli rycerze,
A strasznym losem pana przerażona
Cała się służba rozbiegła z wieczora...
Hugo już nigdy nie postał w zakonie.
Gdzież się więc podział? niech powiedzą tonie!
Niech mówią Nimfy Trockiego jeziora!
Płakały po nim, a gdy z nocy końcem
Słońce promienną ukazało głowę,
Długo w dzień jeszcze ich łzy brylantowe
Na srebrnych liljach lśniły się przed słońcem.

(1829)

MNICH

POWIEŚĆ WSCHODNIA.

Jeden z braciszków zakonu w klasztorze na górze Sinai w Arabji trudniący się, zwyczajem średnich wieków, przepisywaniem dzieł starożytnych pisarzy, na ostatniej karcie przepisanej księgi dodaje następujące słowa.

W samotnej celi w Sinaju klasztorze
Czekam posępny, aż wiek mój przeminie.
Modlę się, patrząc na Czerwone morze,
Albo na skwarne Arabów pustynie.
Oto jest owoc pracy zakonnika;
Oto na białym księgi pergaminie,
Co się na klamry srebrzyste zamyka,
Są dzieje Rzymian, są dumania Greków,
Wskrzeszone myśli, które się zatarły,
Wskrzeszona pamięć dawnych wielkich wieków,
Które bez pisma jak ludzie pomarły.
Moja to praca nadal je zachowa,
Pod mojem piórem wzrastały wyrazy.
Różnie barwiłem początkowe słowa,
Po ścianach błyszczą święcone obrazy.
Purpurę, złoto i drogie błękity
Łączyłem cudną malowidła sztuką,
Księga ta będzie dla wieków nauką,
Księgę tę pisał mnich w celi ukryty.

Oto została karta nieskalana,
Zapiszę na niej zdarzenie klasztorne.
Było to w roku — Narodzenia Pana —
W dniu, gdyśmy zbójców odparli napady;
Gdy już ucichły modlitwy wieczorne,
Stałem przy łożu śmiertelnem z gromnicą,
Brat jeden konał, posępny i blady,
Tak pod spowiedzi mówił tajemnicą:

SPOWIEDŹ MNICHA.

I.

W zakonnej celi pod habitem mnicha
Konam samotny. Włóż kamień pod głowę,
Niech na nim zasnę. Noc ciemna i cicha.
Myśl moja wyschła jak źródło stepowe,
Ja sam jak palma usycham i więdnę.

Niegdyś na czele pokolenia ludu
Ścigałem w piaskach z płócien miasta błędne.
Niegdyś szczęśliwy wśród nędzy i trudu,
Pogardy okiem patrzałem na nędzę.
A gdy mnie rozpacz przyciśnie gwałtowna,
Nie zwykłem jęków tłumić pod namiotem;
Sam cierpiąc, drugim cierpienia oszczędzę,
I cisnę sztylet; stal jego hartowna,
Tak można było pisać na nim złotem,[1]
Jako ty piórem piszesz w swojej księdze.

II.

Marzyła dusza. Ileż razy w spieki
Ścigałem w stepach znikome obrazy:
Często myślałem, że już niedaleki
Odpocznę w cieniu kwiecistej oazy;
Płoche to było i marne złudzenie.
Ale raz z wiatru zachodnim powiewem
Doszło mię dzikie, melodyjne pienie,
Wypuszczam konia i gonię za śpiewem.
Śpiew ten brzmiał w niebie, na ziemi, dokoła,
Coraz doganiam wyraźniejsze tony;
Wkrótce ujrzałem złoty krzyż kościoła,
Tym smutnym śpiewem brzmiały wasze dzwony

Wchodzę, stanąłem przy ciemnym filarze,
Już nie pamiętam wrażenia tej chwili.
W oczach się lśniły złociste ołtarze,
Wyście śpiewali i światła palili.
Ściana jak niebo gwiazdami okryta;
Każda kolumna jak palma stepowa,
A na jej czole złoty liść rozkwita,
A pod jej stopą skała marmurowa.
Promień z barwionych bijąc szyb kościoła,
Niósł z sobą obraz na szkle malowany,
A potem w dymie kadzideł zbłąkany,
W mglistych błękitach utworzył anioła;

[1] Prawdziwa stal damasceńska potarta złotem zatrzymuje na powierzchni ślady kruszcu.

Nie znałem wówczas sztuki malowidła,
Widziałem tylko, że anioł nademną
Roztaczał złotem malowane skrzydła,
Spływał i patrzał w duszę moją ciemną...
W ten czas rzuciłem ojców moich wiarę...

III.

Ty mówisz, mnichu, że to dzieło cnoty?
Ale Bóg ciężką zesłał na mnie karę:
Dni moje gorzkie zatruły zgryzoty.
Wszyscy odbiegli, bracia się zaparli.
Sam ojciec przeklął... „Idź, wyrodne dziecię!
Idź w świat i zostań sam jeden na świecie!"
Przeklął, i wszyscy przedemną pomarli.

IV.

Jej piękność wiecznie tkwi w sercu wyryta!
Piękność dziewicy jest jak piękność kwiatu,
Cudnie się błyszczy, lecz prędko przekwita.
Ale gdy róża strojna w liść szkarłatu
Utonie kiedy do mogiły piasku,
Jeśli ją tuman nakryje stepowy.
Róża w nim uschnie, lecz nie straci blasku;
Wiecznie zachowa swój liść rubinowy,
Jakgdyby wczoraj rosła wśród oazy,
Jakgdyby wczoraj zerwana na błoni;
Tak postać Zary kwitnącą od skazy
Mogiła myśli gasnących ochroni...

Pamiętam dotąd jej dziecinne słowa,
Patrząc na śnieżne gór Iranu szczyty,
Raz mnie pytała: „Tam, pod gwiazd błękity,
Co to za lampa błyszczy kryształowa?
Patrz, jakim blaskiem gór wierzchołek spłonął;
Zapewne księżyc w ich łono utonął,
I w alabastrach błyszczy się ukryty..."

Nie przeszła chwila, już byłem na górze
Wśród śniegów lodu; i w tak prędkim biegu
Wróciłem nazad, że doliny róże
Kwitły utknięte w wazonie ze śniegu.

V.

Ja miałem brata... Całe pokolenie
Było mi niegdyś jak wierna rodzina,
Dzieliło razem i głód i pragnienie;
A teraz każdy z braci mię przeklina,
I chce mi szkodzić jawnie lub obłudnie.

Raz zapędzony na łowach daleko,
Wracałem w skwarne pustyni południe.
Koń mój z pod kopyt miotał piasek wrący,
Chwiał się znużony pragnieniem i spieką,
W rozwarte nozdrza chwytał wiatr gorący.

Wtem jedzie Arab przez pustyni błonia.
Rzekłem do niego: „Słuchaj bracie młody!
Musisz mieć wodę, daj mi kroplę wody.
Widzę, że pełne twe juki podróżne,
Wody! nie dla mnie, lecz dla mego konia."

A on mi na to: „Czary moje próżne,
Ostatnia pełna, ciskam ją o głazy;
Umieraj, zdrajco! Giaur niech nie żyje!
Gdybym gdzie wiedział pobliskie oazy,

Z których ty pijesz, albo koń twój pije,
Zatrułbym wody — Bogdaj nie ochłódło
Niebo, skąd chłodu twa dusza wygląda."
Krzyknąłem wściekły: „W żywocie wielbłąda
Dla mego konia znajdę wody źródło!"

I oba zbrojni zwarliśmy się razem,
Jako dwa wichry wśród piasków tumanu.
Upadł przeciwnik przebity żelazem...
Koń mój pił wodę!!! Turban wroga zlata,
Patrzę się, przebóg! ta twarz z pod turbanu
Dobrze mi znana — Już nie miałem brata.

VI.

Lecz koń mi został i biegł przez pustynie,
Koń, który myśli Araba przenika.
Jak struś na stepach, gdy skrzydła rozwinie,
Ledwie się ziemi stopami dotyka;
I grzywa konia z wiatrami igrała.

Lecz przebóg! koń mój chwieje się, upada.
Patrzę! a w piersiach tkwi zbójecka strzała...
Ojcze mój! Ojcze! okropna to zdrada!
Tę strzałę w twoim widziałem kołczanie!

Rumaka mego przeszło śmierci drganie,
Parsknął i głowa na piasku zaległa.
Wtenczas spojrzałem na pustyni błonia,
Pierwszy raz mi się zdała tak rozległa...
Stepy bez końca... Już nie miałem konia,

VII.

Patrz! czy to śmierci posłaniec ponury
Wleciał do smutnej celi zakonnika?
Motyl nie strojny w złoto ni lazury,
Ledwo z jedwabnej dziś zmartwychwstał trumny,
I znów tak blisko pogrzebu świecznika.
Skrzydła czernieją jak zmarłych całuny,
I ma na skrzydłach pisany gniew boży [1]
Co mu tak cięży, że je w ogniu pali...
Tak dziki Arab, gdy się los rozsroży,
W dzień jest spokojny i zatłumi jęki;
Lecz gdy noc ciemne przywdzieje zasłony,
Lśni przed nim jasność samobójczej stali,
Patrzy posępny na niebios sklepienia,
Twarz ma pobladłą i wzrok zapalony,
I widać drżenie wstrzymywanej ręki,
Silne jak drżenie głodu lub pragnienia.

VIII.

Piękny nasz kościół! u stóp jego wały
Spienione miecą na głazy ukropy;
Stoi na skale, jego krzyż nad skały
Jak ptak uleciał aż pod nieba stropy;
A cudne palmy, pustyni królowe,
Przy nim się zdają jak powiewne zioła;
Czołem zmiatają ganki marmurowe,
Jakgdyby chciały w prochu złożyć czoła...

Lecz wczoraj! wspomnij godzinę przestrachu,
Kiedy na kościół napadli Araby.
Straszliwy odgłos rozbiegł się po gmachu,
W klasztornej sali zebrały się mnichy,
Ale cóż znaczył mnichów odpór słaby?
Już miano wydać kościelne kielichy,
Gdy ja stanąłem: „Bracia! czyż niegodnie
Mamy się poddać? niech nas Bóg ośmiela!
Weźcie do ręki psalmy i pochodnie
I czarne szaty i krzyż Zbawiciela.“
Rzekłem, i zbrojny rzuciłem się pędem
W sam tłum Arabów, niósłem ślepe ciosy.
Za mną się światła snuły długim rzędem.
I brzmiały hymnów pobożne odgłosy.

---

[1] Na skrzydłach wielu motyli a mianowicie szarańczy, znajdują się niewyraźne znaki; lud prosty wierzy, iż to są litery arabskie, i że zawierają napis: gniew boży.

Pod mieczem mnicha legł niejeden zbójca;
A kiedy wodza spotkałem na błoni,
Mnichu, widziałeś! on poległ z tej dłoni;
W twarz mu zaglądam... Już nie miałem ojca.

A gdy nieszczęściu nie mogłem uwierzyć,
Rzekł mi konając: „Synu! kryłem lica!
Abyś się w boju nie wahał uderzyć,
Abyś wyrzucał sobie śmierć rodzica.
Teraz, gdy możesz! teraz zapominaj
O zmarłych, ciesz się z tymi, co zostali...
Ona... umarła... od zgryzot? od stali?
Nie wiem, nie pytaj... lecz ojca przeklinaj!“

IX.

I pokolenie płacze po swym królu;
A jam ostatni z królów pokolenia,
Jako pszczół matka gdy w wymarłym ulu
Siedzi posępna nad córek grobami,
I sama szuka grobowego cienia,
Ale łza moja pamięć przodków plami.
Myśl moja niegdyś tak cudna, skrzydlata,
Błąka się w zbrodni i jak kwiat przekwita,
Dzisiaj w księżycu widziałem twarz brata;
Lecz kiedy oko podobieństwo czyta,
Znowu spostrzegłem rysy ojca twarzy;
I znów się głębiej oko moje wkrada,
I znowu patrzy, znowu dziko marzy:
Z łona księżyca wykwita twarz blada,
I znów poznałem... to były jej rysy;
Smutne pamiątki wzrastają bez końca,
I tak się krzewią jak czarne cyprysy;
Już duszy mojej odjęły blask słońca.

X.

To moje życie... Teraz śmierć się zbliża
I w sercu czuję nieznaną tęsknotę;
Wyznam ci, mnichu, choć ściskam znak krzyża,
Noszę na piersiach amulety złote.[1]
Przez nią mi dane, jej ostatnie dary.
A w nich koranu drzemie myśl zamknięta,

Nie drżyj... myśl godna chrześcijańskiej wiary,
Tak mówi prorok: „Dusza wiernych święta

[1] Amulety są rodzajem talizmanów, zawierają najczęściej wiersz koranu.

Niechaj miłością nienawiść odpłaca:
Niech jako muszla srebrzystego łona,
Kiedy pod ciosem chciwych ludzi kona,
Morderce swoje perłami zbogaca".
Mnie przyjaciele zdradzili najszczersi...
Mnichu, ty gniew mi ukazujesz z czoła,
Więc zerwij, zerwij talizmany z piersi!...
Muzułman, gdy się z amuletem dzieli,
Słyszy ostatnie westchnienie anioła...
Zerwij!... Co słyszę! czy to wiatr w tej celi
Smutnie zaszumiał?... Słyszałem westchnienie!

XI.

CIEŃ DZIEWICY ARABSKIEJ.

Ciebie głos westchnień stłumionych zasmucił?
Zniknęłam niegdyś jak senne marzenie,
A obraz drżący i zbladły powrócił
Do twojej myśli, gdy masz zawrzeć oczy,
Aby cię znowu do snu ukołysał.
Pomyśl! sen wieczny wkrótce cię otoczy,
A ty się wiersza pozbywasz koranu?
O luby! pomyśl, kto ten wiersz napisał!
Wspomnij na piękne krainy Iranu
I patrzaj na mnie... tu jestem, tak blisko!
Czyliż ci moje nieznane wyrazy?...

Pamiętasz skwarów stepowych igrzysko,
Te cudne, błędne pustyni obrazy,
Których cień miły podróżnego nęci,
A gdy się zbliży, we mgłach się rozpływa:
W nich teraz żyję, w nich cień mój przebywa,
Blady jak iskra gasnącej pamięci.

Oto przybyłam na blasku księżyca,
Patrzaj! cień Zary ciebie nie przerazi;
Śmiertelna bladość twarzy mi nie kazi.
Chciałam być piękną, ukrasiłam lica
Kolorem róży czarownego kraju;
Chciałam być piękną, ożywiłam oczy
Promieniem rosy; woń moich warkoczy
Jest tak łagodną, jak tchnienie róż maju.

Pomyśl, mój luby! chwila już się zbliża,
Czyliż być mamy wiecznie rozłączeni?
Odrzuć daleko ten czarny znak krzyża!
On nas rozdziela, odrzuć go daleko!
Pójdziemy błądzić — para błędnych cieni —
W błędne krainy... Tam pod skwarną spieką

Wiecznie nas skryją z mgły uwiane drzewa;
Wśród kwiatów źródła z sennym szmerem płyną,
Jaśmin srebrnymi kwiatami powiewa;
Inne tam słońce lśni nad tą krainą,
Inny tam księżyc srebrzysty jaśnieje,
Jak eter czysty wody kryształowe,
Czarne cyprysy i drzewa palmowe;
A wiatr liściami wonnych kwiatów wieje.

A gdy twa dusza już od ludzi stroni,
Będziemy żyli samotni w tym raju;
Ani Araba koń nas nie dogoni,
Gdy będzie ścigał, próżno się utrudzi;
Na skrzydłach wiatrów, po piaszczystej fali,
Kraj nasz czarowny i mieszkańce kraju,
Spłyniemy w stepy, coraz dalej! dalej!
Żeby już nigdy nie napotkać ludzi.

Ach! pomyśl! pomyśl nad szczęścia obrazem,
Powiedz mi słowo?... sen twój niedaleki...
Ty milczysz!... Chcesz nas rozdzielić na wieki?
Pomyśl!... już nigdy nie będziemy razem,
I nigdy nasze nie złączą się duchy...
Ty milczysz!...

MNICH.

Boże! zniknęła... O mnichu!
Precz mi z gromnicą! precz ze słowem skruchy!
Daj mi truciznę w święconym kielichu,
Albo mi powróć święty wiersz koranu!
Słyszałeś! smutna to była rozmowa!
Słyszałeś?...

SPOWIEDNIK.

Bracie, ufaj w niebios Pana.
Ty sam się łudzisz... swoje myśli, słowa
Brałeś za płonne wyrazy dziewicy...

XII.

MNICH.

Ojcze! zgrzeszyłem... Gniew boskiej prawicy
Rozkruszy serce obłąkane, wrące...
Mnichu! gdzie koń mój? gdzie koń mój stepowy?
Koń, co tak prędko pustynie przelata,
Miecąc kamienie i piaski kipiące...
Wody dla konia! choćby ze krwią brata.

Ach szybkie! szybkie, odbyłem dziś łowy;
Ledwo wieczorem chmura tu nadpłynie,
Którąm dziś rano wyścignął na wschodzie.

Mnichu! gdy potok lat prędki przeminie,
Zdaje się krótkim jako przelot konia.
A jam tak prędko spieszył się przez błonia,
Anim odpoczął gdzie w palmowym chłodzie.

XIII.

Napróżno oczy podnoszę ku niebu,
Ciężka śmierć moja... z podwoi kościoła
Dochodzi do mnie smutny śpiew pogrzebu;
I orszak mnichów niosą kir, kobierce,
I światła w rękach i zakryte czoła...
Modlą się za mnie, lecz nawet pozoru
Niema boleści... Zimne mnicha serce!
I modły zimne jak mury klasztoru!...
Nieście mnie w stepy tam szukać grobowca.
Miło umierać wśród kwietnej oazy.
Widziałem drzewa, co proszą wędrowca
Zachwianym liściem, by spoczął pod cieniem;
A gdy się zbliży, drżą radości drżeniem,[1]
Tam drzewa czują... tu ludzie jak głazy.

XIV.

Niech po mnie zabrzmi w pustyni jęk dzwonu,
A może Arab, co się jazdą strudzi,
Kiedy go odgłos pogrzebowy zbudzi,
Napół ockniony, nim znowu zadrzemie,
Przypomni sprawcę swego króla zgonu,
Senny, z przekleństwem wymówi me imię.

(1830)

---

[1] Tomasz Moor w poemacie *Lalla-Rook* wspomina o drzewach, które drżą liściami za zbliżeniem się człowieka.

ARAB

Klęka mój wielbłąd jak Iman[1] ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu,
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam.
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych — cierpień widokiem przerażam;
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bladną i śmiać się nie mogą...

Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze,
A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
Więcej ubiegnę drogi od księżyca.

I.

Możnym być muszę, gdy za moją sprawą
Tylu na świecie płakało i płacze.
Raz, kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,
Gdym biegł na stepy, wróg ludzkiej uciechy,
Z łez cudzych winne wybierać haracze,
Patrzę: nad morzem uklecona z trzciny
Chata uboga, z ziemi bite strzechy
Kwieciste morza okryły rośliny;
Światło błyszczało przez łatane szyby,
Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
Ha! czyż mieszkaniec jej nędznej siedziby
Będzie mi jeszcze weselem urągał?

[1] Duchowy kierownik modłów, które Arabowie odprawiają zwróceni twarzą do wschodu.

Niskiej zagrody przestąpiłem progi:
Nędza tam była, lecz mieszkaniec chaty,
Człowiek na pozór nędzny i ubogi,
Choć ciężką pracą utrzymywał życie,
Ten drżący starzec, pochylony laty,
Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecię.
Był to ubogi nurek, a w tym piasku
Odgrzebał perły... O nędzo żebraka!
Perły... to perły! tak małe? bez blasku?...

Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka,
I wiodłem starca po nad brzegi morza.
Patrz! rzekłem, oto z łupów karawany
Perła ogromna, błyszcząca jak zorza;
Oto ją rzucam w te wiry, w te piany;
Dostań ją z głębi, a który z mocarzy
Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
I wnet się rzucił w wiru fale ciemne;
Zginęła perła, starania daremne!
Wypłynął... była na twarzy zgryzota.

Zatrułem szczęście i pokój człowieka,
Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,
O jak obfite do morza łzy leje!
Widziałem potem, jak poszedł do chaty,
Z rozpaczą upadł na liściane łoże.
I wołał z jękiem i z płaczem: O Boże!
Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty.

Śmiałem się gorzko, był to śmiech szatana!
Dalej, wielbłądzie! dalej na pustynie!
Może gdzie radość błyśnie niespodziana,
Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;
Może gdzie zemsta to serce obudzi,
Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą,
Nieraz się smucił, przewidując burze:
Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
Koral jak majtek cieszył się pogodą;
Ale zerwany wichrami jesieni,
Skamieniał, błądząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
Płynęła zwolna wielka karawana:
Gdy przypłynęła nad pustyni studnię,
Powstała wrzawa ze śmiechem zmięszana;

Tłum cały bieży prędkimi zawody,
Potem jak stadem spłoszone żórawie,
Gwarzy wesoło i zaczerpa wody...
Ale śmierć była w tej wody przyprawie.
Była trucizna... Ha! Poco się śmieli?...
Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
Tam upadł drugi... tam bracia skościeli,
I drżąca czara z martwych rąk wypadła.
Rzekłbyś, że Diwy,[1] że ciemni Anieli
Na świat zarazy wyrzucili tchnienie.
Ani tak liczne na brzegu kamienie
Jak były trupy!... Z całej karawany
Pozostał starzec, młodsi go ubiegli,
Pięciu miał synów... wszyscy trupem legli...
Przybiegł nareszcie, gdzie rozbite dzbany,
Gdzie ciała synów leżały na brzegu;
O! rozpacz! martwe było całe plemię!
Chciwie, jak sorbet ochłodzony w śniegu,
Chwycił truciznę, z synami się złączy...
Przybiegłem, starca chwyciłem na strzemię,
I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,
Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.
Uniosłem starca i puściłem cało.
Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,
Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało...
Dalej, wielbłądzie po co zwalniasz kroku,
Gdy mię rozkoszne zajmują wspomnienia?
Tu cicho, pusto, i tylko z obłoku
Księżyc posępne czoło rozpromienia.
Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce, jak muszla wyrzucona z fali,
Pełna ślimakiem, życie zamknie w sobie
Cicha, lecz kiedy słońce ją wypali,
Słuchaj! usłyszysz gwar w kamiennym grobie,
Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,
Wszystkie zmięszanym rozpowiada szumem.

III.

Dawnymi laty... Jeszcze byłem młody;
Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
Bystrego konia puściłem w zawody:
Leciał i parskał i białymi piany

[1] Złośliwe duchy u starożytnych Persów.

Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła.
Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć ścigany,
A koń mój leciał, jakgdyby miał skrzydła.

Wtem patrzę, między dzikie pustyń głazy,
Jakby czarowne raju malowidła,
Kwieciem błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą, między źródła kryształowe
Stała dziewica, królowa oazy,
Omglona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku
W połowie widna, skryta przez połowę:
A promień szczęścia jaśniał w czarnem oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
Uciekać trzeba od szczęścia widoku,
Oto koń nawet spina się i zżyma.

Dalej, mój koniu!... Sroższy nad tygrysy
Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
Koń mnie zrozumiał, zaniósł pod cyprysy,

Tam Solim w cieniu cyprysowym drzemie.
Dzięki ci, koniu! Patrzę, jego rysy
Błyszczały szczęściem... zginąłeś, Solimie!

Dziewico, wkrótce wróciłem w te strony,
Chciałem się łzami nacieszyć twoimi:
„Ha gdzież twój Solim? gdzież twój ulubiony?
Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?

„Mój luby, rzekła, na piaskach spoczywa,
A wiatr pustyni jego ciałem miota;
Lecz skoro pierwsza błyśnie gwiazda złota;
Dusza się jego od ciała odrywa,
Ty nie wiesz, nie wiesz, jakem ja szczęśliwa!
Jego duch, w niebios niesiony błękicie,
Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
A dusza jego zgaduje przybycie.[1]

„Gdy nic milczenia nocy nie poruszy,
Gdy nawet serca, co wzruszone bije,
Zanadto głośne wydaje się bicie,
On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.
Nie są to zmysłów znikome utwory,
Ja go tu czuję, widzę, on ponury!
Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,
Ubrany w tęczy złociste kolory.

[1] Według podań wschodnich upiory piją krew i dręczą osoby, które niegdyś kochali. Arabowie zaradzają powrotowi na świat upiora, ucinając zmarłemu głowę.

Jego głos długie i długie godziny,
Jak szmer fontanny, duszę mi zachwyca;
A gdy ustami dotknie lekko lica,
Zda się, że spadły kwieciste jaśminy.

„Potem się zbliża i krwi krople pije,
Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie;
A kiedy od niej błyśnie i odżyje,
Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie,
Widzę z rozkoszą, jak źródło wysycha.
On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie
I sam z rozkoszą tem tchnieniem oddycha;
Na chwilę moje zatrzymuje serce
I jego serce zaczyna bić z cicha;
Z oczu mi bierze po światła iskierce
I jego oko tym się ogniem pali;
Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu
I jego lice bierze blask korali,
Cały rozkwita podobny do kwiatu.

„A gdy on smutny wini los i siebie,
Serca Solima zachwycona biciem,
Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie!
Że Solim jeszcze żyje mojem życiem.
Wśród nocy, w całej piękności i sile
Błyszczy, jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile;
Lecz skoro pierwsze promienie poranka
Oświecą niebo w mgły różane strojne,
Próżno go tuli do łona kochanka,
On drży i zwraca oczy niespokojne
I coraz gaśnie i coraz blednieje;
I tak jak księżyc, kiedy słońce zoczy,
Blednie i we mgłach topi się i mroczy,
Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje."

Więc jeszcze szczęścia usnułaś budowę?
Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci...
Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
Upiór mogiły stepów nie porzuci;
Teraz dziewica cienia nie zobaczy,
Napróżno czeka każdego wieczora;
I miała umrzeć w objęciach upiora,
Przezemnie tylko umarła z rozpaczy...

Dalej, wielbłądzie! tak pusto dokoła,
Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
Żaden jęk do mnie w pustyni nie wcła,
Tylko sęp krąży nad samotną skałą
I głośno bije skrzydłami czarnymi.
Szczęśliwszych niema odemnie na ziemi.

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa.
Źródło się kryje pod stopami drzewa,
Patrz, jako liściem miłośnie powiewa,
Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa:
Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody.
Lęka się oczu srebrnego księżyca,
Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
Wodom niebieskie odebrała szaty,
I dała swoją barwę, swoje lica:
Kocha się w źródle i stroi się w kwiaty.
Stój! stój, wielbłądzie! tę palmę podpalę,
O nie, zasypię źródlane kryształy
I skona palma w piekielnym upale.
Wkrótce z jej czoła kwiat opadnie biały.
Zostanie sama wśród pustej krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłej wskazuje godziny,
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój, wielbłądzie! zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom, śmierć się zbliża;
Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej cięciwy mniej chyża.
Widzę z daleka śmierć posępną, ciemną,
Już się czarnymi skrzydłami nasuwa;
Zasnę... Już widzę, jak wkrótce nademną
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,
Gdy wicher w stepach posępnie zawyje
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,
Że się pod śpiące skrada karawany.
Wielbłądzie! pan twój w innym błądzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raju.

Nie! Nie chcę raju, lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia
Step ten mych wrogów okryją mogiły;
Niech mi się wrócą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takiem szczęściu serce moje marzy.
Ach! wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy
Tej samotności przerwać się nie waży.

(1830)

JAN BIELECKI

POWIEŚĆ NARODOWA POLSKA

OPARTA

NA PODANIU HISTORYCZNEM.

I.

WYPRAWA NOCNA.

Oto się ciemne księgarnie otwarły.
Tu źródła bogactw w zapylonej ramie.
Czytam... Jak dziko ten język umarły
Pod piórem w kształty nieżywe się łamie.
Język i gorszy przesąd zakonnika
Jak rdzawa klamra myśl księgi zamyka.
Czy tu wygrzebiesz dzieła Gedyminów?
Czy głos Zygmuntów, jak echo daleki?
Są to jak Sfinksy, te ubiegłe wieki,
Mówią zagadką dziś ciemną dla synów.
Znajduję słowa: „kraj nasz dosiągł szczytu,
Chylić się musiał.“ Precz z myślą szatana!
Pamięć w dalekich wiekach obłąkana
Niech spocznie... Okno klasztoru otworzę...
O! jak spokojne otchłanie błękitu:
Tam zdala płynie złote kłosów morze,
A tu klasztoru szumią ciemne lipy;
Myśl rozwesela daleki szmer lasów.
Gdy pogrzebałem pamięć dawnych czasów,
Jestem wesoły, jak biesiadnik stypy

Snem jest ów obraz. Umysł się naigrawa
Z nieszczęść obecnych, bezwładny, bez steru.
Gdzie jestem? Oto mury Westminsteru,
Tam izba Panów, tu Tamiza mgława
Połyska słońcem. Przebiegałem chmurny
Ów pałac zmarłych z uczuciem przestrachu;
Bo ja sam byłem jak umarły w gmachu,
A oni żyli... Nie zajrzałem w urny,

Wybiegłem, więcej nie wchodzę w te ściany...
Ale samotny wracam dziś i codzień,
W dziedziniec głazem grobów brukowany,
Po których stąpa niemyślny przychodzień...
Ci, co posnęli w tych grobach dokoła,
Walczyli nędzni z niezdolności wrogiem;
Dążyli spiesznie do progów kościoła,
I umierając, kładli się przed progiem.

Z dziką rozkoszą napis mniej widomy
Niszczę do reszty śladem mojej stopy.
I czuję rozkosz, gdy mój cień znikomy
Grobowi gmachu nie dopuści cienia.
Szaleni! dążyć pod świątyni stropy,
Nie mając w duszy wrącego płomienia.

Posępny, siądę na odłamie głazu,
Smutna się powieść w pamięci rozwija.
Czytałem w księgach, a godło obrazu
Było: „kraj zdradził, lecz zdrada zabija".

W kronikach znajdziesz powieści osnowę,
Z kronik czerpane rysy i kolory.
Już Zygmunt August w grobie złożył głowę,
Na tronie zasiadł król Stefan Batory.
Ciężkie dla szlachty były rządy nowe:
Część po wsiach własne zamieszkała dwory.
Co było w kraju, nie skreślę do razu,
Jeden cień tylko maluję obrazu.

Pan Brzeżan w cudnej mieszka okolicy.
Zamek objęła rzeka w dwa ramiona.
Nad bramą klasztor, w murach zakonnicy,
Dalej kaplica blachą powleczona.
W komnatach żadnej nie ujrzysz różnicy
Od złotych komnat, gdzie mieszkała Bona.
Pan Brzeżan lubi żyć w królewskim dworze,
Co ma król polski i szlachcic mieć może.

Posadzki wzorem włoskim marmurowe,
Na ścianach srebrem tkane adamaszki;
Gęsto się lampy lśnią alabastrowe;
Z srebrnych sadzawek, niby dla igraszki,
Wytryska woda, tchnąca wonią róży.
I nazad deszczem brylantowym spada.
Dwóch karłów wiernie na skinienie służy,
W oczy się patrzy i chęci odgada,
Ani się kiedy śmie odezwać słowy;
Spodlonym tworom Bóg odmówił mowy.

Pan Brzeżan huczne wydaje biesiady,
Oto go łatwo rozeznać za stołem:
W złocistej szacie, ale bardzo blady,
Wydaje troski zachmurzonem czołem.
Może biesiada cierpienia ukoi?
Już od tygodnia szlachtę sprasza, poi.

Dzisiaj na czole pozbył zwykłej dumy.
Już raz dziesiąty zagrzmiały wiwaty,
Wesołej szlachty ozwały się tłumy,
Wesołym gwarem zabrzmiały komnaty;
Już wino słabsze zwycięża rozumy,
Dość jednej iskry, wnet ogień wybucha.
Pan Brzeżan mówi: szlachta wstaje, słucha.

„Bracia, na chwilę uciszcie te gwary,
Słuchajcie pilnie, a ja w krótkiem słowie
Wyjawię powód, wyłożę zamiary,
A potem każdy swe zdanie wypowie.

„Słuchajcie! szlachcic obraził mię podły,
Szedłem do króla, nie błagałem łaski.
Wnet sprawę długie indukta wywiodły;
I jam był winien! winien był Sieniawski!
I oko w oko, przed króla obliczem
Widziałem wroga, nie próżno przychodził,
Król go pochwalił, pochwalił, nagrodził,
Nie spojrzał na mnie i odprawił z niczem.

„Nasz dumny Stefan do czegóż on zmierza?
Śmiałżeby władać jak niemieckie książę?
Wszak nasze państwo to gotycka wieża,
Z tysiącznych kolumn składa się i wiąże;
Niechaj się jedna usunię kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże.
Ja się usunę! niech mię grom dosięże,
Gmach cały runie, dla mnie tylko trumna!

„Hej! Szlachta, znacie Bieleckiego Jana?
Dawniej w niewoli gnił u Bisurmana,
A dziś się z pany w jednym stawi rzędzie.
Jak król udzielny w darowanej grzędzie.
A kiedy zamki walą się pod gromem,
On podparł domu walące się ściany,
I tak spokojny między nimi żyje,
I tak szczęśliwy, że nad jego domem
Co wiosny bocian nowe gniazdo wije.
Lecz dzisaj ptaka ja wypłoszę z gniazda
Jękiem i dymem, iskrami płomieni.
Bracia! noc widna! niedaleka jazda!
Słyszałem, dzisiaj Bielecki się żeni;

Nim wróci, niech mi Bóg tak dopomoże,
Dom zrzucę, spalę, grunt, domu zaorzę."

Miodem i winem i ucztą zagrzany,
Tłum szlachty powstał z ochotnym oklaskiem.
I tam widziałbyś, jakim cudnym blaskiem
Migały w tłumie drogie aksamity,
Złociste pasy i jasne żupany,
Jak się wahały brylantowe kity
I oko ćmiły różnobarwne krasy.
Blask chyba równy, gdy w przedpotopowe
Wicher nowego świata zbłądzi lasy,
Gdy aż do ziemi nachyli drzew głowę,
Gdy się zmięszają wszystkie barwy borów;
Liście i kwiaty płyną jak potoki,
Zachwyca oczy cudna gra kolorów,
Szum razem miły, straszny i głęboki.

Pali się szlachta, już dosiadła koni,
Pieszym pan Brzeżan rozdaje rumaki.
Już most zwodowy pod kopyty dzwoni,
Dalej! na pola przez ubite szlaki.
Wino zagrzewa, zemsta pośpiech radzi...
Już pojechali... Niech ich Bóg prowadzi.

II.

WESELE.

W Brzeżan miasteczku, w kościele u Fary
Jaśnieje ołtarz; potężne organy
Wstrząsają pełne grobowców filary,
Po ławkach jasne migają żupany:
Tam pożółkniały ksiąg pergamin stary,
A ówdzie stoczek złotem malowany.
Ołtarz upstrzony woskowymi kwiaty,
Służba rozwija kobierzec bogaty.

Swaty i drużby wystąpili strojno,
I młoda para przysięgi powtarza.
Z otwartem czołem, Jan Bielecki zbrojno,
W husarskiej zbroi, w misiurce ze stali,
Jako do bitwy stanął do ołtarza:
Patrzy na młodą, a wzrok mu się pali.
Przy męskiej piersi, gdzie żelazo lśniło,
Od lubej w miłym dany upominku
Skłaniał się bukiet z róży i barwinku,
I drżał listkami, tak mu serce biło,
Tak silnie piersi wstrząsały puklerzem...
A dalej, swaty za młodym rycerzem,

A dalej, bracia husary, pancerni.
A dalej, służba w wielkiem stoi kole,
Zbroją od prostej odróżniona czerni,
Piękny to widok, gdy przed wrogów tłumem
Rozwiną skrzydła na barkach sokole,
I jako ptaki głuszą skrzydeł szumem.

Lecz panna młoda jakże przystrojona!
Trudno weselne opisać ubiory.
Ślubna jej szata była w dwa kolory:
Błękitną barwą lśniąca jedna strona,
Bo takie było męża herbu pole;
A na mienionym jedwabiu lazurze
Lśnił się herb, srebrne księżyca półkole,
Gwiazda, nad gwiazdą hełm o strusiem piórze.
A druga strona sukni szkarłatowa,
I herb dziewicy szyty na szkarłacie:
Srebrzyste strzemię i złota podkowa.
Piękna to szata, a przy takiej szacie
O jakże cudna, gdy się wstydem płoni!
Widne łzy w oku, widne drżenie dłoni,
I cała postać powiewna i drżąca.
Jej śnieżne łono westchnieniem odtrąca
Tę młodą różę, co wpół wychylona,
Aksamitnego dotknęła się łona.

Dlaczegóż smutna?... Patrz, na wód lazurze
Kwiat się przegląda w jeziora kryształe;
Choć chmury słońca nie zakryją światu
Kwiat liście zwiesza i kryje się w fale;
Lilija wodna może przeczuć burze;
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.

Wracają tłumnie weselne orszaki,
Zagrają grajki, grzmią liczne wystrzały
I pochodniami świecili kozaki:
Noc księżycowa, widna jak dzień biały.
„Stójcie!“ zawołał pierwszy swat, przedemną
Nie widzę domu... Janie, wszak tu droga
Do twojej chaty? ha! cóż to? dla Boga!
Czy dom twój zniknął? czy mi w oczach ciemno?
Ale nie, widzę — oto orzą pługi,
Wieśniak ostatniej miedzy doorywa...
Kiedy to mówił, przybiegł jeden, drugi,
Patrzą, nie wierzą; sam Jan staje, słucha,
Blednieje — nagle z tłumu się wyrywa;
A w tłumie była cichość straszna, głucha.
Wkrótce Jan wrócił: prędko jak błysk gromu
Stanął przed żoną obłąkany, blady.
Na jego szatach widać krwawe ślady...
„Anno!“, rzekł „Anno!“ wracaj! nie mam domu!

Nie wrócę z tobą, obelga dotkliwa!
Zniósłbym nieszczęście, lecz nie zniosę sromu.
Już mnie domowe szczęście nie omami,
Wracaj, o Anno! ty będziesz szczęśliwa,
W twojem objęciu zalałbym się łzami.
Ja nie mam domu!..." Zadrżał i spiął konia,
I jak wiatr szybko poleciał przez błonia.

Nazajutrz rano pochowali w grobie
Starca, co orał grunt ostatniej miedzy.

Bielecki zniknął, żadnej o nim wiedzy,
A po nim żona chodziła w żałobie.
Jej serce straszne skołatały ciosy,
Po śnie wesela został płacz — pierścionek.

Nazajutrz rano, skoro spadły rosy,
Gdzie był dom Jana, samotny skowronek
Wzleciał nad skiby przeoranej roli,
Nucąc piosenkę smutku i niedoli.

III.

BAL MASKOWY.

Oto ubogie szlacheckie komnaty,
Skromne, jak niegdyś naszych przodków życie.
Ściany drewniane, po ścianach obicie
W różne obrazy, w różne chińskie kwiaty.
Straszne jak mary, które roi dziecię,
Z ram poczerniałe patrzą antenaty.
A przed obrazem jedna lampa płonie,
Gdzie Matka Boska w gwiaździstej koronie.

Noc nadchodziła, mrok zapadał szary;
Lecz budzą ciszę wieczornej godziny
Głośnem wahadłem po ścianach zegary.
A na dziedzińcu lipy i osiny
Szumiały smutnie i gdzieś między szpary
Świerszcz się odzywał. — I pies, stróż rodziny,
U wrót podwórza nieraz się odwoła
Na psów szczekanie z pobliskiego sioła.

Siedziała Anna, przy niej ojciec stary
Otwiera świętych poważne żywoty,
I czyta głośno a spokojność wiary
Jak deszcz wiosenny krzepi bujną niwę;
Zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty,
I łzy zamienia w płacze nieszkodliwe;

Jako płacz dziecka, kiedy rozkwilone
Ściga za matką, chwyta za kraj szaty.

Wtem zaszczekały brytany zbudzone
I nagle drzwi się otwarły komnaty.
Wszedł mały karzeł, czapkę miał na głowie
Brzmiącą dzwonkami, obszytą w galony,
I rzekł: „Niech będzie Chrystus pochwalony!"
„Na wieki wieków" starzec mu odpowie.
A karzeł znowu nisko schylił głowy
I rzekł: „Sieniawski, pan mój na Brzeżanach,
Dziś mnie posyła po paniach i panach,
Jutro was prosi na swój bal maskowy.
Jutro do zamku tłum się wielki ściąga,
A wszyscy w dziwne przybrani maszkary."
„Ha! precz mi z oczu!" krzyknął cześnik stary,
Precz! pan twój z nędzy, z łez naszych urąga!
Precz! bo na Boga..." Lecz nie skończył mowy,
Upadł na krzesło i zdjęty niemocą
Już gniewu swego nie mógł wyrzeć słowy...

Była to straszna chwila przed północą;
Wokoło słychać nocnych kurów pianie,
I psy szczekały, co wrót chaty strzegły.
Znagła zadrżały obrazy na ścianie,
Znów się drzwi domu na ścieżaj rozbiegły:
Wszedł blady człowiek, lecz na powitanie
Jak zwykle Boga imienia nie chwalił,
I opatrzone w pieczęć zawinięcie,
Złożył na stole i sam się oddalił.

„O córko! córko! to Jana pieczęcie!"
Wykrzyknął starzec, wosk rozłamał kruchy
I znalazł słowa: „Anno! bądź na balu..."
A dalej szaty z tureckiego szalu,
Wielkie ze złota ulane łańcuchy,
Brylanty lśniące jak gwiazdy w noc ciemną,
Perły daleko łowione w Basorze[1].
Anna spojrzała i zbladła: „O Boże!
Zmiłuj się nad nim — zmiłuj się nademną."

Jak cudny obraz oczom się odkrywa!
Czy Zygmunt z grobu wstaje, tron zasiada?
Czy znów z Wenecji, co po morzu pływa,
Do Polski wnosi karnawału święta?...
Odkąd Batory sławną Polską włada,
Polak się bije, zabaw nie pamięta.

---

[1] Bassora — port Bagdadu.

Snem mu się zdają te świetne Brzeżany.
Oto są złote krakowskie komnaty,
Podobne kształtem, złoconymi ściany,
Strojne w atłasy i drogie bławaty,
Oto jest zgraja królewska barwiona,
Szaty ma cudne, dorobione twarze;
Weszli na salę... Ale gdzież jest Bona?
Może truciznę podaje Barbarze?

Snują się tłumem pomiędzy kolumny,
Ujrzysz tu wszystkie zwyczaje, narody.
Patrz! oto piórem błyska Hiszpan dumny,
Nadto poważny, chociaż jeszcze młody;
Krzyż ma na piersiach, jak obrońca wiary,
Krzyż ma na piersiach i szablę szlachcica;
A w ręku jego drżą struny gitary.

Patrz! oto w czarnej zasłonie dziewica.
Z różanym wiankiem, a przy niej młodzieniec.
Oboje widać z wysokiego stanu;
Ona zbierała w Neapolu wieniec,
On się urodził w Rzymie Oceanu.[1]
A pieśni majtków i szum cichej fali
Ukołysały umysł jeszcze młody:
I rzucił ślubny pierścionek do wody,
Poślubił morze i jak Tas[2] się żali.

Lecz w jednę stronę zbiegł się tłum balowy;
Dziwna tam maska! dziwne jej ubiory!
Kaszmirska szata w cudne szyta wzory,
Od szaty bije blask djamentowy,
We włosach toną przepaski z korali...
Wnet się rozlega szmer wielki po sali,
Kto jest ta maska? Sam król nasz Batory
Nie ma tak wielkich brylantów w Krakowie,
W skarbcu królewskim... Kto jest ta dziewica?...
Próżna ciekawość, pod maską jej lica,
Ani się słowem wydała w rozmowie.

IV.

ZEMSTA.

Zgiełkiem i wrzaskiem zabrzmiały komnaty,
Głośna to radość, lecz radość nieszczera;
Śmiech słychać!... śmiech to wymuszony świata
Na bladych licach nigdy nie umiera.

---

[1] Wenecja. [2] Tasso Wielki poeta włoski XVI w.

Śmiech ten jaśnieje jako kwiaty z płótna,
Którymi błyszczy biesiadnika głowa
Ich postać wiecznie, wiecznie jednakowa,
Wiecznie bez czucia, choć piękna lecz smutna;
Nigdy nie żyły i w nieba błękicie
Nie odetchnęły — i nigdy nie zwiędną.
Lecz któżby przeniósł takich kwiatów życie
Nad jednę chwilę rozkoszy, choć błędną?

Pan Brzeżan smutny, milczący, ponury,
Porzucił tłumu różnobarwne fale;
Szedł do komnaty, gdzie ciemne marmury
I wodotryski wychładzały salę.
Okna posępne gotyckiej struktury;
Przez okna księżyc pełnym blaskiem pada,
Cisną się krzewy kwitnące jaśminu.
Wokoło stoły z marmuru, bursztynu;
A z ram złoconych niejedna twarz blada,
Której wiekami ściemniały kolory,
Twarz przodków patrzy, smutna, nieruchoma.
Chodził starosta, — krok niepewny, skory,
Za nim się cienie kładły od księżyca:
A gdy na niebo podniósł blade lica,
Na twarzy była zgryzota widoma.

W tłumie biesiadnym nowe słychać wrzaski;
I zbiegł starosta do sali biesiady,
Zawołał pazia, pomięszany, blady.
„Paziu mój, paziu! co znaczą te maski?
Prawie połowę zajęli komnaty,
Czoła zakryte i tatarskie szaty...“
„O panie! twojej bojaźni nie dzielę,
To jakaś szlachta zjechała kulikiem.“
„Nie są to, paziu, nie są przyjaciele!
Szlachta by zaraz wpadła z hukiem, krzykiem,
Zarazby pełne obległa szklanice,
A oni milczą, kryją tajemnicę...
Paziu, wybiegnij przez drzwi boczne sali,
Niechaj odźwierny... Lecz cóż to? O Boże;
Zwodowa wieża i zamek się pali!
O zdrada! Bracia, kto mi dopomoże?
Miecz mój i zbroja! prędzej, paziu młody.“

Już nie czas... Zewsząd tłumne pogan wrogi
Biegną przez wielkie marmurowe wschody;
Trupami sali zawalili progi,
Ognie pożaru zażegli na gody.
Lecz któż na czele roznieca pożogi?

Któż tłumy pogań prowadzi do boju?
Jestże ich wodzem, baszą, atamanem?
Jakiś młodzieniec w muzułmańskim stroju,
Czoło złocistym przysłonił turbanem,
I wiarę złotym księżycem naznaczył.
Leci na czele i służbę pomija,
Nikogo dotąd uderzyć nie raczył,
Miecz jego w pochwach; on wzrokiem zabija
Już wpadł do sali, zaraz za nim w ślady
Straszny wiatr zawył na ściany zamkowe,
Światła zadrżały, zgasły, tylko blady
Świecił się promień lamp w alabastrowe
Ukrytych głazy... Wpadł, jak śmierci mara,
I wejście mnogą wartą zabezpiecza...
Pan Brzeżan z mieczem stał wobec Tatara...

Lecz patrzcie! patrzcie! Tatar dobył miecza;
Patrzcie! o zgroza! to miecz dobrze znany!
Nad emalji zaćmionym lazurem
Obraz Najświętszej Panny malowany,
I obraz krzyża — pod krzyżem, na dole,
Herb, jakby srebrne księżyca półkole,
I gwiazdy, nad nią hełm ze strusiem piórem.

Błysnęły szabli obrazy święcone,
I padł starosta na twarde granity.
Zaśmiał się Tatar, śmiechem obudzone
Zabrzmiało echo... Był to jęk kobiety.

Była to maska nieznana nikomu,
Którą brylantów moc wielka pokrywa.
Śmiech usłyszała i jakby od gromu
Zadrżała, padła na głaz jak nieżywa.
A Tatar przybiegł i padł na kolana,
Cuci ją, węzły ścieśnione rozrywa;
Twarz jego była straszna, obłąkana;
Chwycił ją w dłonie, unosił przez ganki,
Ona jak martwa była w jego dłoni;
Z głowy różane pospadały wianki,
I włos się rozwiał pełny słodkiej woni;
Rozwiany spływał aż do stóp Tatara,
A strasznie bladą była twarz dziewicy.

Budzi się, gdzież jest? w zamkowej kaplicy,
A przed nią postać jak przeszłości mara.
Dokoła było i straszno i ciemno,
A księżyc mury oświecał kościoła.
„Tyż to, mój luby? tyż to jesteś ze mną?
Zaklinam ciebie, zdejm zawoje z głowy!
Niech cię obaczę, rysy twego czoła...“
I zdjął Bielecki turban muślinowy,

Anna spojrzała — i padła omdlona.
Znów po niej życia rozlały się ślady.
I znów po chwili ciężko przebudzona
Rzekła: „O luby! tak straszny! tak blady!...“
„Cha! blady?“ przerwał rycerz z dzikim śmiechem.
„Wszak zdradzam!...“ zamilkł, lecz ostatnie słowo,
Trzykrotnie głośnem powtórzone echem,
Przerwało ciszę kościoła grobową.
A rycerz mówił: „Tak! twarz moja blada!
Z innąm cię twarzą w czas szczęśliwy witał.
Ja zdradzam! będęż jak róża rozkwitał?
Na mojem czole napisano: zdrada.
Kraj cały we krwi... Wznieś na księżyc oczy,
Patrz na te okna, na szkle malowidła.
Gdy błyśnie słońce, ów anioł roztoczy
Różane lica a srebrzyste skrzydła;
Lecz szklisty obraz przejęty księżycem,
Teraz do lekkiej widm podobny larwy,
Ciemniejszem patrzy i niepewnem licem,
Smutną ma postać, obumarłe barwy.
Inny jest człowiek, gdy o szczęściu marzy;
Lecz gdy te same, wzniosłe, piękne rysy
Oświeci nieszczęść lampa? od tej twarzy
Weselsze będą grobowe cyprysy.
O luba moja, poco te rozmowy?
Luba! chodź zemną wieść życie tułaczy!
Chodź za wygnańcem potępionej głowy!
Na twojem łonie dożyję siwizny,
Siwizny nieszczęść, zdrady i rozpaczy.“ —
„Mój ojciec!“ — „Ojciec?“... „Ojciec przeklnie ciebie!“
„I ty się lękasz?... Przeklnie! i cóż znaczy
Przekleństwo ojca, braci lub ojczyzny?...
Chodź w kraj daleki, tam będziesz jak w niebie,
Znajdziesz tam łąki, gmachy, wonne gaje;
Są ludzie, wszyscy przyjaciółmi mymi,
Jest wszystko! luba, czegoż tam nie staje?
Luba! jest wszystko! wszystko! prócz tej ziemi.“

V.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

Była to cerkiew, z modrzewiu jej ściany,
Już pochylone, wsparte na podpory;
Promieniem słońca błyszczał dach blaszany;
Słońce, wzierając przez te szyby drżące,
Różne już na nich wybiło kolory.
Nad cerkwią rosły trzy brzozy płaczące,

Krzyż się przeglądał przez ich szczyt wyniosły;
Na progu żebrak pacierze powtarza.
Wokoło cmentarz kwiatami zarosły,
I wiejskie groby błyszczą wśród cmentarza.

Daleko słychać, wiejski dzwon kościelny
Zadzwonił, zewsząd lud śpieszy przez pola.
Było to święto, był to dzień niedzielny.
Dziś pług spoczywa, zieleni się rola.
Dziewice ołtarz przystroiły w kwiaty
Zabrzmiała młodzież do śpiewu gotowa:
Wyszedł ksiądz ze mszą pochylony laty,
Tłumi się coraz pieśń ludu niknąca.
Ucichła... Księdza tylko słychać słowa,
Cichy szmer brzozy, co o szyby trąca;
Niekiedy dzwonek jękliwy uderzy.
Niekiedy starzec księdzu odpowiada;
Świergocą wróble, i pod szczytem wieży
Pierzchnie jaskółka i w gzemsy zapada.

Msza się skończyła. — Oto w niskie progi
Jacyś wędrowce weszli do kościoła.
Jeden padł na twarz, całował podłogi,
Drugi ponury, nie uchylił czoła.
Gdy się przypadkiem płaszcz odkrył, strój drogi
Błysnął z pod płaszcza i twarz niewesoła.
Bali się zasiąść w ławki, lub nie śmieli,
Oba pokornie przy progu stanęli.

Ksiądz modły skończył, mszał bogaty złożył.
Teraz zaczyna mówić boskie słowo:
„O bracia! dzieci! i tegożem dożył?
Ja stary wiekiem z ubieloną głową,
Że kiedy nieraz osładzałem troski,
Dziś żal pod strzechę niosę w bożem słowie.
Tu niegdyś siadał — oto ławka pusta,
Nasz pan, Bielecki, niegdyś pan tej wioski.
Zdradził kraj, wiarę. Ksiądz Prymas w Krakowie
Wyklął go, klątwę na me przesłał usta.
Raz go ostatni bez klątwy wspominam,
Módlcie się! ja się będę modlił z wami...
A teraz, bracia! dzieci! ja przeklinam!..."
Zachwiał się starzec i zalał się łzami,
Zabrzmiało amen, lecz amen żałoby.
Jakże niechętne? dźwiękiem ledwo żywe.
Potem się wzniosły łkania żałobliwe,
Jakby w dzień sądu otwarły się groby.

Ale zaledwo podniosło się łkanie,
Zaledwo doszło przed oblicze Boga,
U progu nowy zgiełk i zamięszanie.
Jeden z wędrowców, co stali u proga,
Zadrżał i upadł bez czucia na głazy;
Drugi zaś drżący i blady straszliwie
Klął nad nim, ciche przemawiał wyrazy,
Twarz towarzysza ukrywał troskliwie.

Ksiądz na ratunek spieszył od ołtarza.
Zaraz na cmentarz niesiono wędrowca,
I tam na zimnym kamieniu grobowca
Kładą martwego wśród kwiatów cmentarza.
Cieniem świeżości okryły go drzewa,
Cieniem, co groby kwitnące okrywa;
Wiatr go ochłodził, co w grobach powiewa;
Z pomocą pasterz troskliwy przybywa,
Spojrzał i zadrżał... jakby blaskiem gromu
Twarz go ta razi, twarz blada, nieżywa:
I rzekł: „Wyklęty!... my idźmy do domu!..."
Wnet się oddalił tłum kościoła wierny,
A ksiądz wychodził za kmieciów gromadą;
We wrotach stanął, twarz odwrócił bladą,
I rzekł poważnie: „Bóg jest miłosierny!
A jego litość, liczniejsza nad ziarna
Morskiego piasku i głębsza nad morza".

Jeden z wędrowców spał wśród mogił łoża;
Oto z drugiego spadła szata czarna,
I twarz odkryła... Przebóg! to dziewica!
To Anna! z ust jej nie słyszano słowa.
Czy brak w niej czucia? bo sucha źrenicą;
Twarz nieruchoma, jakby marmurowa,
A w oczach ogień gorączki się pali.
Jeszcze na czole miała zwiędłe kwiaty
I brylantami oświecone szaty:
We włosach jasne przepaski z korali.

„O! mój najmilszy!" rzekła „o! mój drogi!
Jesteśmy sami, już jesteśmy sami!
Tyś na mogile usnął, a w te progi
Umarli wchodzą i śpią pod grobami.
Ty milczysz? luby! odpowiedz mi łzami!.. "
Nagle spojrzała i krzyknęła srodze,
Potem nań kwiaty rzuciła wonnymi:
„Luby, nie zaśniesz na rozstajnej drodze,
Sama w święconej pochowam cię ziemi".

Rzekła; krzyż jeden wyrwała z mogiły:
Kopie grobowiec wśród świeżej darniny.
Lecz coraz słabsza, coraz mdleją siły...
I cicho smutne płynęły godziny.
Zachód ozłocił słońca blask jaskrawy,
Brzozy po grobach długie kładły cienie,
Wonnej czeremchy orzeźwiało tchnienie,
Szumiały wzniosłe po grobowcach trawy;
Lecz coraz bardziej ciemnieją kolory,
I przez liść brzozy, księżyc zapłoniony
Topił się we mgłach, w różne kształty, wzory,
Lica wysrebrzał, a nocne zasłony
Okryły cerkiew i groby cmentarza.

Już ciemno... Anna sama jedna w nocy
Do drzwi cerkiewnych stukanie powtarza;
Nieszczęsna boskiej wzywała pomocy.
Widna jej postać przy blasku miesiąca
Jak mgły ulotnej srebrzyste obrazy.
Bije we wrota coraz słabszą dłonią,
Smutne się echo o groby roztrąca;
Lecz echo coraz słabsze niosło razy,
I coraz słabsze, nikły, jako w Bogu
Tonące modły, jako śpiew daleki...
Dziewica blada, na kamiennym progu
Usnęła, może usnęła na wieki...

I cicho — niechaj głos pieśni stłumiony
Nie budzi ciszy w wieczornej godzinie;
Całego świata, gdy się odgłos spłynie,
Tworzy tę ciszę, co ziemię osłania;
Lecz myśl głęboko zadumana słyszy,
Jak gdzieś daleko brzmią pogrzebów dzwony,
Jęki rozpaczy i wrzawa wesoła,
I płacz boleści i śmiech obłąkania.
I wszystko można rozróżnić w tej ciszy
Słuchem anioła i myślą anioła.

MARJA STUART

DRAMA HISTORYCZNE W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

MARJA STUART, królowa Szkocji
HENRYK DARNLEJ, mąż Marji Stuart
MORTON, kanclerz
RIZZIO
BOTWEL, kochanek Marji
DUGLAS
LINDSAY
PAŹ Marji Stuart
NICK, błazen Henryka
ASTROLOG

Scena w pałacu Holy Rood.

AKT I.

SCENA I.

Sala w pałacu Holy Rood.

MARJA STUART, RIZZIO, PAŻ.

PAŻ, *wbiega prędko.*

Smutne wieści przynoszę, posłuchaj, królowo,
Oddawna cię znieważa płochy lud stolicy:
Dziś jeszcze byłem świadkiem, jak zniewagę nową
Wyrządził twym pałacom, królewskiej kaplicy.
Dziś, królowo, nad rankiem, za ogrodu murem
Ujrzałem piękne maski, orszak Robinhoda [1]:
Tłum tancerzy z dzwonkami, Tuck z czarnym kapturem
Mały Janek i strzelce i Marjanna młoda,
Biała jak kość słoniowa, wesoła dziewczyna.
Szedłem zdala za tłumem; wtem zgraja wesoła
Staje — ucichły dzwonki — tłoczy się dokoła;
Jakiś człowiek nieznany grozi, napomina,
A potem wszedł do domu na rogu ulicy.
Wszyscy się uciszyli... Znów ten człowiek blady
Stanął w oknie i z okna jak na kazalnicy
Przeciwko tobie, pani, lud budził do zdrady.

RIZZIO.

Poznałem z opisania, to był Knox [2], królowo;
Dzień i noc wiecznie z okna przemawia do ludu,
Lud modli się i słucha, w każde wierzy słowo,
I słuchając, z ust Knoxa oczekuje cudu.
Ten człowiek chrześcijańskie podaje nauki;
Raz wskazał na ten pałac i rzekł głosem gromu:
Zburzcie! zburzcie to gniazdo, a odlecą kruki!
Jak Papież klątwy rzuca na świat z okien domu,
A lud się jak świętemu kłania obrazowi.

[1] legendarny zbójnik. [2] Jan Knox główny propagator kościoła reformowanego w Szkocji, wróg królowej.

PAŹ

Królowo! śmielsi z ludzi, do zbrodni gotowi,
Wpadli do twej kaplicy z dzikimi okrzyki ;
Gniazdo papistów! krzyczą, obdzierają ściany,
Niszczą obrazy, palą, unoszą świeczniki.
Wtem patrzę, oto w szaty kościelne przebrany
Na ołtarzu stał trefniś Darnleja — i śmiele
Jak ksiądz zaczął kazanie w święconym kościele,
Lud wesoło bluźnierczym odpowiadał śpiewem,
A błazen skarby święte unosił bez braku.
Dobyłem miecza zdjęty rozpaczą i gniewem,
Rzucam się, spadły dzwonki na błazna kołpaku.
Może krew popłynęła? nie wiem — lud się tłoczył,
Okolił mnie orężem — o ścianę oparty
Miałem ulec — wtem Botwel z królewskimi warty
Przybył — ocalił pazia, kaplicę otoczył.

MARJA.

Rizzio! słyszałeś? Sama więc na tronie,
Opuszczona od wszystkich, lud mnie nienawidzi;
Ów Knox śmiało urąga kobiecej koronie,
Takżem to nisko spadła? przeklina mię, szydzi,
Rozdzierają to serce. Wszak dziś jeszcze rano,
Dziś się za nich modliłam! czyliż moja wiara
Tak różna od ich wiary? O Szkocjo!...

RIZZIO.

Przestaną!

Przestaną cię obrażać — zasłużona kara
Spadnie na tych zbrodniarzy. Tak, pozwól, królowo;
Paziu, pisz rozkaz — niechaj schwytani na zbrodni
Opłacą przewinienie więzieniem lub głową.

Paź bierze pióro i siada nad kartą pergaminu.

Pisz rozkaz, przewinili, litości niegodni.
Wszystkichbym jednym stosu ogarnął płomieniem.

MARJA.

Cały ludbyś wytępił? jaka zemsta dzika!
Lud mię zdradza.

PAŹ, *pisząc.*

Królowo! czyliż z twem imieniem
Połączę imię twego małżonka Henryka?
I dam mu tytuł króla?

MARJA.

Tak, wszak zawsze razem
Pisałeś jego imię. Nie, czekaj — co czynię?
Może lud działał zgodnie z Henryka rozkazem,
Wszak jego trefniś luby sam przewodził w gminie?
Nie pisz imienia króla — ja jestem królową!
Rizzio! co myślisz — nie wiem — może się obrazi?
Pierwszy czyn przeciw męża; opuszczone słowo
Struje szczęście domowe, dni pogodę skazi.
Ja mu dawałam tytuł króla w dni szczęśliwe,
Nieraz koroną jego dotykałam czoła.

RIZZIO.

Królowo! ty masz lice i serce anioła!
I czemuż siejesz kwiaty na tak dziką niwę?
Widziałem słońce, kiedy, na obłoków tronie
Tonące w Tybrze, patrzy na krzyż Rzymu złoty;
Ty jesteś jak to słońce, twój tron w falach tonie,
Lud cały już zatonął w obłędach ciemnoty;
Ty jedna wzniosłem czołem widzisz światło wiary.
Królowo! zbrodnia czeka zasłużonej kary,
A cnót przyćmionych kiedyś znajdą się obrońce,
Kto jak słońce zagasa, wstanie jako słońce.

MARJA.

Wiara każe przebaczyć.

RIZZIO.

Bóg ma kary w niebie,
Jesteś na tronie, karać od Boga masz prawo.
Obojętność twe imię okryła niesławą,
Obudź śpiące uczucia, lud patrzy na ciebie
Jak na zgaszoną lampę, trzeba w lampy łonie
Zapalić jasny świecznik, niech błyska i płonie.

Do pazia, który skończył pisać i wstaje.

Skończyłeś, paziu? dobrze, zawołaj rycerza,
Który dziś straż odbywa.

Paź wychodzi.

Wyrok swój usłyszą.
Niech straszny piorun zemsty na zdrajców uderza.
Jak pióra, co na mojej głowie się kołyszą,
Zadrżą przed tobą, do nóg twoich się uchylą.

SCENA II.

MARJA, RIZZIO, DUGLAS, PAŻ.

MARJA.

Witam ciebie, Duglasie, niedawno, przed chwilą,
Widziałam tu Mortona w bramie pałacowej,
Nieś mu ten rozkaz, trzeba pieczęci kanclerza.
Duglas odbiera pismo z rąk królowej, przegląda je i czeka.
Cóż to? wszak posłuszeństwo jest cnotą rycerza,
Śmiałżebyś w niem ubliżyć kobiecie? królowej?

DUGLAS.

Królowej? o nie, Duglas nie zna zdrady cienia.
Lecz wybacz, pani — oto na tym pergaminie,
Pewnie skutkiem pośpiechu, w tak nagłej godzinie,
Braknie tytułu króla, Henryka imienia.
Twego małżonka święta dla ludu osoba,
Imię z twojem imieniem zawsze było w parze:
Wybacz śmiałości mojej, może się podoba
Sprostować błąd?

RIZZIO.

Królowa nie błądzi, gdy każe.

DUGLAS, *ze wzgardą.*

Niech z samych ust królowej otrzymam odprawę,
Czekam jej odpowiedzi.

MARJA.

Spełń rozkaz.

DUGLAS, *zapalając się.*

Na Boga!
Wstrzymaj, pani! o! wstrzymaj te rozkazy krwawe!
Królowo! chceszże, aby krwią zalana droga
Wiodła do twego tronu? do tronu kobiety?
I niezgody pochodnia na królewskim dworze,
Nie wiem, kto ją zapalił? jakiś wróg ukryty,
Albo ją wiatr francuski roznieca przez morze.
Słowa wyroku wzięte z weneckiego śpiewu,
Z barkaroli harfiarza lub z hymnów Papieża.
Więc aż w Szkocji je słychać... pragną krwi rozlewu!
Ktoś umie radzić, może zastąpi kanclerza,
Może zostanie...

MARJA.

Dosyć! pamiętaj, Duglasie!
Mnie twoje płoche słowa obrazić nie mogą,
Lecz pamiętaj, pobiegłeś nie rycerską drogą,
Możesz stracić ostrogi, lub ozdobę w pasie...
A gdy pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.
Jestem królową...

DUGLAS.

Przebóg! ja stracę ostrogi?
Zetrze się z nich pozłota — żelazo zostanie,
Ani je podstępnymi zdobywałem drogi,
Nie dała mi ich harfa, nie dało śpiewanie,
Nie wziąłem — nie znalazłem ich u stopni tronu;
Gdziem je zyskał, powiedzą pola Albionu:
Winienem je potyczkom i niespanym wartom,
Szczycę się długim przodków szlachetnych pocztem,
A wszyscy! — wszyscy! mieczem służyli Stuartom.

RIZZIO.

Pozwól — nieraz Stuartom służyli sztyletem...

DUGLAS.

O nędzny! coś wymówił? co słyszałem? Boże!
Ha! więc znasz, jak Douglasy mścili swej zniewagi?
Mścili się na Stuartach, na królewskim dworze,
Na kimże ja się zemszczę? — lalka, bez odwagi,
Oto trefione włosy i różane lice:
Przystąp tu, małe dziecko — rzucam rękawicę!
Rzuca rękawicę.
Podnieś — jeśli ją podnieść, dźwignąć jesteś w stanie.

RIZZIO, *podnosząc.*

Podnoszę... Z mojej strony, oto masz wyzwanie.
Bierze kwiaty leżące na stoliku przez królową i rzuca je pod nogi Duglasowi.
Podnieś, gdy lubisz kwiaty — ta broń nam przystoi
Tu, w obliczu królowej...

MARJA, *do Rizzia.*

Z mojego rozkazu
Odrzuć tę rękawicę...

RIZZIO.

Rzucam, nie mam zbroi,
I nadto ciężka — dłoń ma nie sprzyja żelazu...
Daj mi wachlarz, królowo!...

DUGLAS, *z wściekłością.*

Jeszcze raz znieważył,
Odrzucił rękawicę... Królowo! królowo!
Znajdę go, pod zasłoną znajdę go tronową,
Już nie zaśnie pod dachem, gdzie pożar rozżarzył.

Przysięgam, ścigać będę... Nie zechce się bronić?
Zostanę podłym zbójcą, pójdę za nim w ślady;
Ścigając wiecznie, kiedyś zdołam go dogonić.
Znajdzie mnie tu, w pałacu, gdzie śmiał szerzyć zdrady,
Znajdzie mnie u podwoi, w ogrodach, w kościele,
Znajdzie na dworze Francji, przed tronem Papieża,
Choćby mu się słał tu nóg, jak się teraz ściele,
Wyrwę go — tu przysięgam! przysięgą rycerza...

Zimno, ze wzgardą.

Kiedyś, królowo... kiedy dworem okolona
Rzucisz na chwilę tronu ciężar i zgryzoty,
Gdy się będziesz uśmiechać — stanę pośród grona,
A naśladując dworzan uśmiech i zaloty,
Podam ci ten kwiat — we krwi!...

MARJA.

Rizzio! chodź z tej sali.
Widzisz, Duglasie! jestem ze Stuartów rodu,
Umiem pogardzać.

Odchodzi. Rizzio idzie za nią, ale potem wraca.

RIZZIO.

Jutro — w chłodnikach ogrodu
Czekam ciebie, Duglasie, i na ostrzu stali
Znajdziesz śmierć, albo zemstę.

Odchodzi spiesznie za królową.

SCENA III.

DUGLAS, *sam.*

Jutro — dzięki tobie!
Zdjąłeś mi przecie z czoła czarny srom zniewagi;
Mam czekać jutra — jutro zaśniesz w cichym grobie...
Któżby się po nim tyle spodziewał odwagi?
Tak się lękliwy zdawał?... nawet drżącą dłonią
Rzucał pod nogi kwiaty — gardził?... być nie może,
Żeby Duglasem wzgardził! on wie — śmiercią grożę...

Zamyślony, spokojniej.

Lecz czy ten podły harfiarz umie robić bronią?...
Czuję, że mógłbym w piersi odkryte uderzyć...
Dam Włochowi miecz dłuższy doświadczonej mocy,
Krótszemu mogę zemstę honoru powierzyć,
Oby już noc nadeszła — chciałbym zasnąć w nocy,
Uśpionemu czas prędko przeleci jak chwila,
Kiedy się zbudzę — będzie już jutro na niebie.

SCENA IV.

DUGLAS, MORTON *wchodzi.*

DUGLAS.

Witam, wielki kanclerzu, właśnie szukam ciebie;
Obacz, jako małżeńska miłość się przesiła,
Gdy się piękny głos harfy rozchodzi na dworze.
Daje rozkaz królowej.
Przyłóż pieczęć.

MORTON, *przeglądając pismo.*

Gdzież Henryk — o nim ani słowa?
Ja mam przyłożyć pieczęć — jeśli nie przyłożę,
Królowa powie na to...

DUGLAS.

Mówiła królowa:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Może ją weźmie ręka, co o struny trąca.

MORTON.

Tak mówiła? słyszałeś?...

DUGLAS.

Słyszałem.

MORTON.

Mówiła?!...

DUGLAS.

Cha! cha! straszna się przepaść przed tobą odkryła!
Trzeba pieczęć przyłożyć...

MORTON.

Lecz gdy się król dowie,
Co powie na to?

DUGLAS.

Łatwo zgadnąć, co król powie:
Jeśli pieczęć upuści dłoń Mortona drżąca,
Weźmie ją ręka dotąd dzwonkami brzęcząca.
Śmiejąc się, odchodzi.

MORTON.

Czekaj! czekaj, Duglasie — bojaźń mię przenika,
Pójść do królowej?... Nie, nie, pójdę do Henryka.
Odchodzi.

SCENA V.

Scena w pokojach Henryka Darnleja.

HENRYK DARNLEJ, NICK.

NICK.

Nagródź mi, królu...

HENRYK.

Za co?...

NICK.

Jak rycerz bez zbroi
Wracam z placu potyczki bez dzwonków.

HENRYK, *śmiejąc się.*

O! szkoda!...

NICK, *smutno.*

Jeśli je znajdzie Morton, pewno je przyswoi,
Chleb mi odbierze. Jakaż za trudy nagroda?
Co o tobie wiedziałem, wszystko w dzwonki kryłem,
Jak w ziemię, tajemnicę chowałem Midasa:[1]
Nicku — śmiać się nie będziesz — wesołość zabiłem!
Po chwili milczenia.
Zdejm biret z głowy Knoxa, hełm z głowy Duglasa;
Niech między nami żadnej nie będzie różnicy...
Takiej żądam nagrody...

HENRYK.

Cha! co ci się roi?...
Knox niech w birecie wiecznie prawi z kazalnicy,
Duglas niechaj ojczyzny wrogów ściga w zbroi;
A tobie sprawię dzwonki, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Prócz ubioru, coś jeszcze biedny Nick dostanie?

HENRYK.

Żądaj więc...

NICK, *myśląc.*

Królu, daj mi — daj —
Wesoło.
Portret królowej.

HENRYK.

Dam ci swój...

[1] Midas król Frygji. Apollo zamienił mu jego ludzkie uszy, na ośle. Znający tę tajemnicę gadatliwy balwierz wyszeptał ją w dołek w ziemi. Opodal rósł krzak bzu, z którego chłopcy kręcili fujarki. Fujarki te wyśpiewywały słowa: Król Midas ma ośle uszy.

NICK.

Twego nie chcę, daj mi szyling, panie,
Na nim jest wizerunek królowej w koronie;
A ciebie na szylingu nie ma...

HENRYK.

O! straszliwie
Słowo błazna jak sztylet w moich piersiach tonie,
Jestem królem — nie jestem królem, sam się dziwię,
Że tak długo cierpiałem honoru zakałę...
Dosyć już poniżenia!... jam na wszystko gotów,
Gdzie się obrócę — dziecko wytyka mię małe:
Oto jest mąż królowej!... Czemuż nie król Szkotów?
Mąż królowej — to wielka dla Darnleja sława?...

Zamyśla się.

NICK, *niby do siebie mówiąc głośno,*

Nie dał szylinga, pójdę, nie wytrzymam dłużej,
Pójdę służbę obierać, zła ze skąpym sprawa.
Ja służę Henrykowi — Rizzio Marji służy —
I któż z nas lepiej wyszedł?... Gdym przybył do dworu
Z zamkniętą torbą śmiechu, niewsławiony niczem,
Zaraz mi dano szatę różnego koloru,
I kij, na którym głowa z podwójnym obliczem,
I czapeczkę z dzwonkami i pas a przy pasie
Były dwa worki próżne i dziś jeszcze próżne.
I dziś ta sama szata. W jednym ze mną czasie
Przybył Włoch — wiatrem szyte miał sakwy podróżne,
Opatrzony podwójną twarzą... i okryty
Łataną szatą... W workach żadnego cekina;
Dziś patrz! Włoch już drogimi błyszczy aksamity,
Pióra nosi na głowie, ostrogi przypina,
Z pełnych worków twarz Marji wygląda przyjazna.
Ona go swoim płaszczem królewskim otula:
I gdyby miał takiego, jak ja jestem, błazna,
Możeby był podobny do takiego króla
Jakim jest...

Pokazuje ze złośliwym uśmiechem na Henryka.

Zasnął w myślach, zaraz go obudzę...
Królu, słyszysz głos harfy?

HENRYK.

Gdzie?

NICK.

W tronowej sali...

HENRYK, *z mocną boleścią.*

Szatanem jesteś, Nicku, ja się dręczę, trudzę —
Tak, dźwięk harfy. Niech zamek w gruzy się zawali,
Niech zagrzebie tron, harfę... Gdzież znajdę zacisze?
Coraz bliżej strasznymi nabawia mnie snami!
Budzę się zmordowany i znowu ją słyszę —
Jak jej nie słyszeć?

NICK.

Królu, wdziej czapkę z dzwonkami,
Ich dźwięk harfę zagłuszy.

HENRYK.

Sztylet struny przetnie.

SCENA VI.

HENRYK, NICK, MORTON.

MORTON.

Królu! racz słuchać, królu! z ważną wieścią dążę,
Z wieścią... Jestem życzliwy — i myślę szlachetnie.

HENRYK.

Któż o tem wątpi?

MORTON.

Racz więc posłuchać mię, książę.

HENRYK, *z oburzeniem.*

Książę?

MORTON.

Królu, racz słuchać!... Nie znajdę wyrazów...
Oto jest pismo, pieczęć przyłożyć kazano.

HENRYK, *przegląda pismo.*

Cóż to? Gdzież moje imię? z jakich to rozkazów?
Nie! to pomyłka...

MORTON, *z uśmiechem.*

Tak jest, króla nie wpisano,
Przez pomyłkę zapewne?

HENRYK.

Wątpisz o tem, starcze?
Wnet pójdę do królowej a wszystko przemieni!
Pójdę i wymówkami niewierną obarczę...
Nie, prosić będę... Długo, żyjąc oddaleni,
Nie czujemy tak zgodnie, jak dawniejśmy czuli;
To prawie moja wina... Jakaś zazdrość płocha
Rozdzieliła nas... zdradę podstępni uknuli,
Lecz królowa kochała i teraz mnie kocha.
Gdzie jest Marja?

MORTON.

U siebie — Rizzio u niej bawi,
O zmienienie rozkazu zapewne się wstawi.

HENRYK, *gwałtownie.*

Ten Rizzio! Rizzio! wkrótce sięgnie po koronę.
Któż mnie uwolni?

MORTON.

Panie! zdołam to uczynić.
Poświęcę się... Trzeba go o zbrodnię obwinić.
Panie, przyjm zaskarżenie, ja przyjmę obronę,
Zginie.

HENRYK.

O nędzny starcze! tyś dobry do rady!
Chciałbyś w oczach królowej być wolnym od zdrady,
Jak śnieg biało wyglądać, że krwi obmyć dłonie.
Ja mam stawać przed sądem? w purpurze, w koronie!
Ja, Henryk? przeciw Rizzia mówić w podłej sprawie?
Ten Włoch nikczemny może w sądzie uwolniony
Znów mi będzie urągał? Nie — ręce zakrwawię,
Bo zgon jego obfite przyniesie mi plony:
Powróci pokój w domu... Tak — ja się namyślę...
Poco myśleć, myślałem, wszystko mam w umyśle
Tak widne jak na niebie, tak czarne jak w piekle.
Myślałem długo, zimno, dziś wypełnię wściekle!
Dziś wypełnię! nad wieczór już go grób pochłonie,
Grabarze na cmentarzach już dlań kopią doły.

NICK, *widząc, że Morton nie może wesołości utaić.*

Cóż to? ty moje dzwonki znalazłeś, Mortonie,
Bo dziś byłeś dowcipny, a jesteś wesoły,
Oddaj mi dzwonki moje — bądź znowu kanclerzem.

SCENA VII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAY.

LINDSAY.

Królu! dostałem dzisiaj sokoła, król ptaków!
Norweski, cały srebrnem osłoniony pierzem,
Gdy się podniesie, tonie wśród powietrznych szlaków.

HENRYK.

Co mówisz? czy od mego sokoła piękniejszy?

LINDSAY.

Cha! cha! bez porównania, lekszy, trochę mniejszy,
Cacko dla kobiet, niegdyś Lady Hamiltonu
Nosiła go na dłoni nad Klydu [1] rozłogi;
Pięknie mi się popisał, nie wrócił bez plonu,
Jak rycerz w krwi przepiórek pozłocił ostrogi.
Jedźmy dzisiaj na łowy.

MORTON.

Dziś król ma zajęcie.

HENRYK.

Tak, prawda, przyjacielu, dziś mam inne łowy,
Raz na jaw wyszłe trzeba kończyć przedsięwzięcie.
Słuchaj, Lindsayu! spadła mi korona z głowy,
Jestem igraszką kobiet, celem pośmiewiska,
Odmówiono mi władzy, nawet i nazwiska,
Czczego nazwiska króla! czy wierzysz, Lindsayu?

LINDSAY.

Powinieneś się zemścić srogo! — to tak właśnie,
Jakby mi kto powiedział, że nie jestem w kraju
Pierwszym w sztuce łowieckiej.

HENRYK.

Nim słońce zagaśnie,
Lindsayu, dziś pomożesz zastawić mi sieci,
Wiesz, kto mię zdradza? Rizzio, ów podły przychodzień!
Dzisiejszy księżyc jego mogiłę oświeci.
Przyszedł tu jako tułacz, zginie jako zbrodzień.
Pomożesz mi?

---

[1] Klyd, Clyde — rzeka w Szkocji.

LINDSAY.

Najchętniej w twe zamiary wchodzę,
Czy wiesz? w swoich mi lasach polować zabronił,
Zemszczę się.

HENRYK.

Ja cię za to sowicie nagrodzę.
Będziesz w jego zwierzyńcu płoche sarny gonił.

SCENA VIII.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAY, DUGLAS.

LINDSAY, *do wchodzącego Duglasa.*

Jakże się zdołał Rizzio od śmierci wyprosić?
Odgłos o waszej zwadzie rozszedł się daleko,
Słyszałem . . .

DUGLAS.

Dobrześ słyszał, lecz gdy chcesz rozgłosić,
Pamiętaj, że dzwon na sznurze może zamilknąć, na wieki,
Kiedy mu serce wydrą.

LINDSAY.

Słuchaj! złącz się z nami.
Dzisiaj jeszcze sztylety, dzisiaj zemsta świeża
Pozbawi ciebie wroga, co twój honor plami.

DUGLAS.

Któż cudzej dłoni zemstę honoru powierza?
Ostrzegam was! ja pragnę, Rizzio niechaj żyje!
Jutro go oddam waszej zemście — dziś nie zginie;
Dziś własną piersią sztylet od Włocha odbiję.
Ze mną walczyć będziecie, krew wasza popłynie.
Spodziewam się, że boju nie zechcesz, Mortonie?
Lindsayu! jam nie jeleń, co w borach popasa?
Henryku! pomnieć zechcesz, że w twojej koronie
Słabszy daleko kruszec niż w mieczu Duglasa.
Na jutro złóżcie zemstę — kto pójdzie inaczej,
Jest wrogiem moim.

Odchodzi.

SCENA IX.

HENRYK, NICK, MORTON, LINDSAY.

LINDSAY.

Cóż to? oszalał z rozpaczy?

MORTON.

Królu! czyliż cię groźba Duglasa zachwieje?

HENRYK.

Nie — lecz na jutro wszystko odłożyć wypada.
Cieszę się nawet z tego, zamiar nasz dojrzeje,
Kwiat przed czasem rozwity, przed czasem opada.
Rycerze! niechaj żadna nie płoszy was trwoga,
Trzymamy w ręku życie nieszczęsnej ofiary.
A ty, mały trefnisiu, spiesz do astrologa,
Niech powie, jaki skutek odniosą zamiary.

AKT II.

SCENA I.

Teatr wystawia mieszkanie astrologa. Wśród sali stół zarzucony księgami; teleskopy w oknach obrócone na niebo.

ASTROLOG, *sam.*

Nicość nauki — gorzki owoc doświadczenia!
Myśleć, zgłębiać, i potem wszystkiemu nie wierzyć;
Dręczyć się, żeby okrąg swych marzeń rozszerzyć,
Czytać w gwiazdach! — sąż one księgą przeznaczenia?
Przeznaczenie!... szaleństwo walczyć z przeznaczeniem!
Ty, coś ręce zakrwawił, podnieś czoło blade!
Przeklinaj los, lecz przestań dręczyć się sumieniem,
Gwiazdy winne, że knułeś cudzą śmierć lub zdradę,
W kolebce byłeś takim, jak dzisiaj zbrodniarzem,
Z pokarmu matki ssałeś dni strute zgryzotą!
Ty, co posiadłeś cnoty, umierasz nędzarzem,
Przestań się dręczyć — cnota twoja nie jest cnotą.
O! gdybyś w późnej chwili, na śmiertelnem łożu,
Uznał ten błąd — tę nicość cnoty bez zasługi.
Dręczyłeś się — i po co? po świata bezdrożu
Szedłeś samotny nędzarz... Jestże więc świat drugi?

SCENA II.

ASTROLOG, NICK.

NICK.

Jak się masz, ojcze?...

ASTROLOG.

Ojcze!... skąd to pokrewieństwo?

NICK.

Z głupstwa rosną nauki — a z nauk szaleństwo;
Jestem więc twoim synem, a te wszystkie księgi
Są mi rodzone siostry, bo z ciebie się rodzą.

ASTROLOG.

O nędzny! nie znasz nauk i badań potęgi!
Myśli twoje okręgu ziemi nie przechodzą.

NICK.

Więc mi pokaż kres dalszy — Ojcze! proszę ciebie.
Patrzy przez teleskop na niebo obrócony.
Cha! cha! cha!

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK, *śmiejąc się.*

Niebo!

ASTROLOG.

A na niebie?

NICK, *spokojnie.*

Nic!...

ASTROLOG.

Zasiane jest ono światy rozlicznymi.

NICK *patrzy drugim końcem teleskopu zmniejszającym przedmioty.*

Widziałem...

ASTROLOG.

Cóż widziałeś?

NICK.

Ziemię!

ASTROLOG.

A na ziemi?

NICK.

Nic...

ASTROLOG.

Mnie musiałeś widzieć?

NICK.

Byłeś oddalony...
Byłeś mały jak proszek, mądry astronomie.
Nie patrz na niebo, znikniesz w tych światów ogromie,
Ale patrzaj na ziemię, patrzaj z tamtej strony,

Jak małą ci się wyda! Nauki! i sława!...
Tem lepszy jest teleskop, im bardziej oddala.
Ale coś błazen króla na mędrca zakrawa,
A mędrzec króla...

ASTROLOG.

Błaznom rozprawiać dozwala.
Lecz z czemże tu przyszedłeś?

NICK.

Pyta mąż królowej,
Jaki los czeka Rizzia?... Nie łam sobie głowy,
Przy mojej się pomocy rzecz łatwo wysłowi,
Powiadam ci, że zginie — ty powiesz królowi,
Że zginie...

ASTROLOG.

Precz mi z oczu! nie żądam pomocy.
Nieś to pismo królowi, w niem jest tajemnica;
Los Rizzia w jasnych gwiazdach czytałem tej nocy:
Wszystkie pobladły, srebrne zachmurzyły lica.
Precz mi z oczu.

NICK.

Lecz powiedz jeszcze, co mnie czeka?

ASTROLOG.

Śmierć prędka...

NICK.

A po śmierci?

ASTROLOG.

Nie wiem...

NICK.

Do widzenia,
Równośmy mądrzy...

Odchodzi.

ASTROLOG.

Podłe jestestwo człowieka,
Kiedy głupstwem okrywa głębokie marzenia.

SCENA III.

ASTROLOG, PAŻ.

PAŻ.

Już wyszedł trefniś — dobrze. Na twoje wezwanie
Stawię się mądry mistrzu.

ASTROLOG.

Słuchaj, paziu młody!
Czy ty kochasz królową?

PAŻ.

Skądże to pytanie?
Czy ja kocham królową? Jakież dam dowody?
Kocham ją jako matkę, siostrę, jak anioła.
Taki jestem szczęśliwy! dzień cały od rana
Przepędzam przy jej stopach — nieraz na kolana
Spadnie mi róża napół uwiędła z jej czoła?
Nieraz jej twarz ochładzam złocistym wachlarzem,
Twarz spłonioną jasnymi rumieńca szkarłaty;
Nieraz schylonej kornie przed boskim ołtarzem
Trzymam książkę modlitwy, lub niosę kraj szaty.
Szczęśliwy jestem!

ASTROLOG.

Paziu! nim chwila przeminie,
Masz stanąć u królowej i donieść jej skrycie,
Że człowiek milszy dla niej nad tron i nad życie
Zginie dzisiaj.

PAŻ.

Co mówisz? Botwel dzisiaj zginie?

ASTROLOG, *z zadziwieniem.*

Botwel? innego miałem w przestrodze na celu?
Paziu! ja nie myślałem wcale o Botwelu?

PAŻ, *z rozpaczą.*

Więc zdradziłem ją! Boże, w jakąż przepaść wpadłem,
Nie wierz mi! ona tego sobie nie wyznała,
I mnie się nie zwierzyła — z rumieńca odgadłem,
Jam zbłądził... Nie. Botwela nigdy nie kochała.
Nie wierz mi — niech cię prośba, rozpacz moja wzruszy,
Zatrzymaj wszystko w sobie, czcij honor królowej!
Nie dziw się, całą duszą słuchałem twej mowy,
Cóż dziwnego, że słowo wyrwało się z duszy?
O nieszczęśliwy paziu! Z serca mi wyrwałeś
Najskrytszą tajemnicę — zapomnij! zaklinam!
Daje astrologowi brylantową sprzączkę od kapelusza.
Weź tę sprzączkę — zapomnij!... Czy już zapomniałeś?
Ja nawet uraz moich prędko zapominam;
A ty byś nie zapomniał?

ASTROLOG.

Chodź tu, moje dziecię.
Czy myślisz, że nauki spodlić mogą starca?
Królowa mnie łaskami obdarza obficie,
Nie zasłużyłby na nie starzec i potwarca.
Zatrzymaj te brylanty, przebaczam, żeś dawał,
Nadtoś mię lekko sądził, za mało poznawał?

Patrz na komnatę, oto są królowej dary,
Oto księgi bez ceny — mam złoto, pałace;
Kiedyś wdzięczność zachowam, z darów się wypłacę.
Patrz na te czarnym płynem nalane puhary,
W nich złoto rodzą mojej sztuki tajemnice;
Takiego kruszcu z Peru Hiszpanja dostaje.
Ja przed królową większe otworzę skarbnice,
Będzie w nich czerpać, będzie zakupywać kraje.

PAŻ.

Lecz któż ma zginąć?

ASTROLOG.

Rizzio! Rizzio, w jego serce
Godzą mnogie sztylety — na Rizzia pogrzebie
Jutro płakać będziecie; silni są morderce,
Wiem to z ust ludzkich, w gwiazdach czytałem na niebie.

PAŻ.

Ojcze, więc spieszę.

Wybiega.

SCENA IV.

ASTROLOG *sam, bierze jeden z puharów.*

Tutaj są moje nadzieje.
Nie śmiem czar tych otworzyć — ha! kiedy otworzę,
Może mi dzisiaj w oczach złoto zajaśnieje?
Patrzy w puhar.
Nie, jeszcze niema — dzisiaj wcześnie, jutro może?
A więc czekać do jutra. Lecz na cóż mi złoto?
Spytaj się siebie, starcze, na co? na co sława?
Pierwszeństwo wynalazku — wytrwałość jest cnotą,
Wszak równych starań roli kosztuje uprawa?
Całe życie marzyłem, miałżebym nad grobem
Odkryć nicość marzenia? bezskuteczność sztuki?
Nie przeżyłbym odkrycia — nie — dziwnym sposobem
Wiążą się słowa pazia z pismem gwiazd nauki.
Królowa! Botwel! skądże razem dwa imiona?
Ona kocha Botwela? dziś nad jego głową
Zbiegły się razem Marsa Saturna znamiona,
To znaczy... Otóż Botwel zdziwi się gwiazd mową.

SCENA V.

ASTRONOM, BOTWEL.

BOTWEL, *zamyślony.*

Czemuż wszedłem w te progi? muszę być szalony?
Obaczyć przyszłość? zajrzeć w dno prawdy kielicha?
Przyszłości mi nie kryją nadziei zasłony,
Lecz przed śmiercią zasłona mgły tajemną, cicha;

Śmierć we mnie uśmiech budzi; zasłona odkryta
Może zgasi ten uśmiech?... I czegóż żądałem!
Tak, kto wie, co ten starzec z duszy mi wyczyta?
Może mi to odkryje, czego sam nie śmiałem
Dotąd odkryć przed sobą? przepaść mi odkryje;
Nad brzegiem się obudzę i w otchłań się rzucę.
Zgłębić przyszłość! niech tylko obecność przeżyję!
I czegóż tu przyszedłem? tak — wrócę się — wrócę.
Nie, już się stało, tak jest, stało się, zostanę.
Starcze, czytasz w przyszłości?

ASTROLOG.

Gwiazdami pisane
Zgłębiłem tajemnice.

BOTWEL.

Powiedz mi więc szczerze,
Czy wierzysz w twe wyroki?

ASTROLOG.

Wierzę, jak w śmierć wierzę.

BOTWEL.

Nigdy nie mylą?

ASTROLOG.

Nigdy.

BOTWEL.

Marność nauk świata!
Dziś rzeczywistość płonne zawiedzie rachuby.
Czy długo ja żyć będę?

ASTROLOG.

Trzy lata.

BOTWEL, *ze wzgardą.*

Trzy lata?
Kres nadto oddalony, błąd twój nadto gruby.
Trzy dni dla mnie za wiele, — trzy lata? daremnie.
Widzisz mnie, astrologu, na wybladłej twarzy
Gorzki uśmiech i wzgarda, nie patrz, co jest we mnie,
Któż się we wnętrze grobu zaglądać odważy?
Nie zniszczyły mię zbrodnie, jest to sytość życia;
Gorące serce wrzało we mnie od powicia,
Teraz jestem znużony — zimny umrzeć muszę.
Pokazuje truciznę w kryształowem naczyniu.
Patrz — oto jest trucizna, a przeszkody — żadne;
Tylko stałość twych mądrych przepowiedzeń wzruszę?
Cóż, jeśli ją wypiję i u nóg twych padnę?
Od długich bolów krótkim uwolnię się bólem.
Umieram...

ASTROLOG, *bierze go za rękę i prowadzi do stołu, gdzie leżą horoskopy.*

Nie, żyć będziesz trzy lata, Botwelu.
Patrz, co pisały gwiazdy — będziesz królem...

BOTWEL.

Królem?
Co mówisz? będę królem! do takiego celu
Dążyć z nad brzegu grobu? miałem zasnąć w grobie.
Będę królem... Kląć ciebie? czy dziękować tobie?
Nie wiem... powiedz mi, starcze, powiedz, czy na tronie
Spokojniej jest niż w grobie? ten wszystko pochłonie.
Może późniejsze życie gorzki owoc wyda?
I pocóż? poco ścigać tak znikomą marę?
Wypiję tę truciznę... nie, rozbiję czarę —
Ale poco rozbijać — może mi się przyda?
W taką drogę iść trzeba z obfitym zapasem...
Wszak nieraz we śnie złotą koronę widziałem?
Wygrałeś, astrologu! żyć będę!...

ASTROLOG.

Wygrałem.

BOTWEL.

Idę do celu... nie chcę umierać przed czasem.
Prowadź mnie, astrologu, w wysokie komnaty
I pokaż mi władnące moim losem światy...

Wychodzą.

SCENA VI.

Pokój królowej, w głębi okno gotyckie.

MARJA, PAŻ.

PAŻ.

Zaraz przybędzie Rizzio.

MARJA.

Czemuż nie przybywa?
On mi jeden pozostał z przyjaciół tak wielu
I wkrótce zginie.

PAŻ.

Pani — tyś niesprawiedliwa,
Wspominając przyjaciół, wspomnij o Botwelu,
Paź nie śmie się przypomnieć, może nie ma prawa.

MARJA.

Mój luby, ty dorastasz — rozdzielisz się ze mną,
Wachlarz na miecz zamienisz, powoła cię sława.
Któż mi wtenczas rozjaśni tę pustynię ciemną?

Botwel?... lecz ja Botwela nie znam. O! mój drogi!
Ty płaczesz? paziu! paziu?

PAŹ.

Dziecinne łzy ronię,
Daruj mi — ja myślałem, że w twojej obronie,
Na dworze pas pozyskam i złote ostrogi.
Nigdy mię nie budziła ze snu myśl rozdziału;
Teraz pierwszy raz czuję, że nastąpić może,
Już mi pół rycerskiego odjęła zapału.
Lecz, wszak Botwel rycerzem? przecież jest na dworze,
I mógłby jeszcze bliżej, bliżej być królowej.

MARJA, *zamyślona, jak echo.*

Botwel... tak... mógłby bliżej, bliżej być królowej.

PAŹ.

Był jednak blisko wczora, kiedy w dworzan kole
Towarzyszył ci, pani, na królewskie łowy;
Tajemniczy miał smutek wyryty na czole.
Potem, gdy cały orszak siadł na strojne łodzie,
Botwel stanął przy sterze, twarz jego pobladła,
Patrzał w głębinie wody, jakgdyby w tej wodzie
Widział jakieś straszliwe, dręczące widziadła;
I coraz się nachylał, drżałem, nigdy w świecie
Takiej myśli w człowieka nie widziałem twarzy;
I pojąć jej nie mogę — dotąd mi się marzy
Jak sen jaki okropny.

MARJA.

O! niewinne dziecię!
Ja łatwo ją pojmuję... dzika myśl szaleńca.

PAŹ.

Królowo! wiatr, co sprzyjał tej wodnej podróży,
Silniej w żaglach zaszumiał i z twojego wieńca
Rozkwitłe w jasnych włosach zerwał kwiecie róży.
Kwiat padł na wodne fale i z falą upłynął,
Zbudził się Botwel, zadrżał i na sługi skinął,
Łódź mu podano... usiadł samotny do łodzi
I ścigał kwiat zerwany... śledziłem go długo,
Aż zniknął we mgle.

MARJA, *niecierpliwie.*

Odejdź! odejdź, wierny sługo!
Lecz daj mi wachlarz, niechaj czoło mi ochłodzi...
Tak mi gorąco — odejdź! jest to czas pacierzy.

Paź odchodzi.

SCENA VII.

MARJA, *sama.*

Przenikliwe ma oczy ten paź — i nie wierzy,
Że miłość jest występkiem, w błędną wiedzie drogę.
Długo ją usypiałam, już uśpić nie mogę,
Będę widzieć Botwela... oddalę ze dworu.
Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie...
Co?... ja jestem niewinna, lękam się pozoru?
Wszak zdawna mnie obarcza czarne podejrzenie,
Myślą, że kocham Rizzia... O bojaźń dziecinna!
Któż ma prawo mnie sądzić? ja osądzę siebie,
Ludzie są u stóp moich, nademną Bóg w niebie.
Wczoraj tak było... dzisiaj nie jestem niewinna!
Kocham Botwela! kocham! Bóg mnie sądzić może.
Ciężko mi w tej koronie... francuska korona
Z lekszego była kruszcu... na chwilę ją złożę...

Zdejmuje koronę.

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona.
Ciężyłaś mi na czole, a twój połysk zgubny
Wielu, wielu przerażał i odstręczał wielu.
Teraz wolna... Nie — jeszcze cięży pierścień ślubny.

Zdejmuje pierścień.

O! teraz przybądź do mnie! przybądź tu, Botwelu!
Przybądź! nie mam korony, i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy.
Jak mię zachwyca urok twej posępnej twarzy,
I ten uśmiech goryczy, ten mrok zamyślenia.
Precz ta myśl śmierci, śpiąca głęboko na czole,
Niech tę chmurę rozprószy uśmiech szczery, tkliwy;
Długo w posępnych myśli obłąkany kole,
Będziesz jeszcze piękniejszy, gdy będziesz szczęśliwy.

SCENA VIII.

MARJA, RIZZIO.

RIZZIO.

Wezwałaś mię, królowo?

MARJA.

Bojaźnią dręczona,
Przyzwałam ciebie, Rizzio, w te skryte komnaty.
Jesteś w niebezpieczeństwie, bo rzucone kwiaty
W roli Duglasa, śmierci wydały nasiona.
Posłuchaj więc cierpliwie, mój błędny rycerzu,
Już nie możesz tu zostać. Przeciw mieczom wroga
Łatwo znaleźć obronę w mieczu i w pancerzu,
Lecz grożą ci sztylety, śmierć zdradziecka, sroga.

Wierzaj mi, źle, kto wrogom ukrytym zawierza,
Musisz uniknąć ciosu, dziś rzucić te strony.
Dam ci ważne zlecenie do dworu Papieża,
Okręt gotowy... żaglów rozpięte zasłony.
Bądź zdrów!

RIZZIO.

Królowo moja! powtórz te rozkazy!
O! nie! nie! nie powtarzaj — nad brzegiem otchłani
Nie posłucham... choć ściągnę twój gniew, twe urazy,
Wszak śmierć cię nie urazi? nie zasmuci? pani!
Marjo! o! ja zostanę — przysięgam, zostanę!
Postanowienia żadna nie naruszy siła!
Śmierć sroższą mi wyrzekły twe usta różane,
Żeby choć głos był zadrżał, gdyś ją wymówiła...
Marjo! posłuchaj!...

MARJA.

Rizzio, chciej mówić z królową,
Rozmawiałeś z kim innym.

RIZZIO.

I gdzież twa korona?
Nie widzę jej na czole... kwiatem uwieńczona
Jesteś mi równa... śmielszą przemówiłem mową.
Daruj mi! jam myślałem!... myślałem, szalony!
Że ją umyślnie zdjęłaś dla mnie...

MARJA.

Źleś osądził.
Wszak wiesz, że ja się zwykłam modlić bez korony,
I teraz się modliłam.

RIZZIO.

Przebacz mi, jam zbłądził.
Lecz nie kładź jej na czoło... czoło twe utrudzi,
I myśl jakąś posępną przykrywa żałobą.

MARJA.

Bez korony nie zwykłam przemawiać do ludzi.
Rozmawiam tylko z Bogiem — z Bogiem, albo —
Ciszej, kładąc koronę.
z sobą.

RIZZIO.

Śmiałość mi odebrała... więc dobrze... odjadę.
Staje w gotyckiem oknie i z udaną obojętnością mówi.
Dziś dzień taki pogodny... dobry do podróży,
Niebo czyste, błękitne, chmury lekkie, blade,
Pokazują mi drogę, lecz nie wróżą burzy.

Obacz proszę, królowo, jak cicho na dworze.
Kwiaty w twoim ogrodzie odświeżone kwitną,
Tam góry Szkocji barwą owiane błękitną,
Odległe jak marzenia: jak tam szumi morze!
Białą mgłą osłonione chwieją się okręty...

MARJA.

Rizzio! czemu tak zbladłeś?...

RIZZIO, *odwraca twarz od okna i zakrywa ją dłonią.*

Tam żagiel rozpięty...
Patrzeć nie mogę...

MARJA.

Rizzio! tyś jak dziecko słaby!

RIZZIO.

O pani! pani! ty mi chcesz zachować życie!
A życie wszelkie dla mnie straciło powaby.
Wkrótce ten zamek w mgły się roztopi błękicie,
Będę stał na pokładzie... a morze podemną.
Ha! kto wie, gdzie zapłynę? w tłum świata się rzucę,
Zapomnienie już szatą okrywa mnie ciemną,
Coraz! coraz ciemniejszą! wszak nigdy nie wrócę?
Już mnie boleść głęboka strawiła i zmogła.
Pocóż mam wracać? poco? łzy, westchnienia tłumić?
Jedna tu była dusza, zrozumieć mnie mogła!
I ta nie zrozumiała — nie chciała zrozumieć!...
Odjadę więc samotny — niech będzie szczęśliwa!

MARJA, *wzruszona.*

Rizzio!

RIZZIO.

Powtórz tym głosem! powtórz moje imię!
Z dźwiękiem mowy głos duszy twojej się wyrywa.

MARJA, *zimno.*

Rizzio, chciałam cię prosić, kiedy będziesz w Rzymie,
Proś odemnie Papieża, niech zamknięty w złoto
Przyśle mi chleb ze stołu Pańskiego.

RIZZIO, *z oburzeniem.*

Pobożna!
Gardzić, poniżać serce, zabijać jest cnotą,
Potem można się modlić? wszystko zgładzić można.
Żegnam cię...

MARJA.

Wszyscy losem jesteśmy miotani!
Bądź zdrów! Marja ci wiecznie pamięci dochowa.

RIZZIO.

Mamże odjechać?

MARJA.

Cóż to znaczy?

RIZZIO.

Przebacz, pani!
Ale twój głos był tkliwszym, smutniejszym niż słowa,
Pozwól mi dziś pozostać... jutro się oddalę.

MARJA, *z ironją.*

Zostań! zostań! dziś możesz pozostać bez grzechu,
Dziś bal na dworze, maski napełnią te sale,
Ja sama się ubiorę jak królowa śmiechu;
Przyjdź więc... tam nowe z nami będzie pożegnanie,
Przyjmiesz je, choć ze śmiechem, z ust śmiechu królowej.

RIZZIO.

Pani! żegnam na wieki!

Odchodzi.

MARJA.

Raniłam go słowy,
Lęka się mego śmiechu, dłużej nie zostanie.
Jedno słowo od pewnej śmierci go wybawia,
Zawsze gorzkie lekarstwo dobre skutki sprawia.

AKT III.

SCENA I.

Ogród. — Noc. — Wśród drzew i kwiatów widać pałac Holy Rood i kaplicę św. Krzyża. Okna pałacu oświetlone wewnątrz. Księżyc świeci.

BOTWEL, *sam.*

Zatrzymał mnie ten starzec nad przepaścią zgonu,
On marzył — a jam płocho marzeniom zawierzył.
Nie żyć, albo być królem — dotąd już bym nie żył!
Czyliż się na krok jeden zbliżyłem do tronu?
Jestem, czem byłem — marnym łudzę się pozorem.
Może ja nadto prędko chcę stanąć u celu?
Ranne przepowiedzenie chcę sprawdzić wieczorem,
Dziś wcześnie — jutro będziesz na tronie, Botwelu.

Gwiazdo, z tobą związane przeznaczenie moje,
Lecz twój blask nadto słabo mej drodze przyświeca.
Może krew na tej drodze, świeć — krwi się nie boję.
Oto świętego Krzyża posępna kaplica,
I kiedyż się w niej będą modlić za mnie? może
Wtenczas, gdy usnę w grobie, lub kiedy na tronie
W purpurę królów skryję zakrwawione dłonie,
Wtenczas modlić się będą? Oto na tym dworze
Tłum zalotników pełen nadziei, zapału,
Ja — jak nędzarz u progu... okna oświecone,
Cień się jakiś przesuwa po szybach kryształu,
Tak — to ona — królowa! poznałem koronę...
Bliżej! bliżej — o nieba! już mi sił nie stanie,
W oczach się snują dziwne gorączki kolory.
Gdyby mnie jaki człowiek obaczył w tym stanie,
Rzekłby z gorzką litością: Botwelu! tyś chory!
Idź do szpitala! słuchaj! ty jesteś szalony!

SCENA II.

BOTWEL, PAŻ.

PAŻ.

Szukałem ciebie, Botwelu — wszystkie zwiedzam strony,
A ty w murach zamkowych, w królowej ogrodzie?

BOTWEL.

Chciałem się tu orzeźwić przy wieczornym chłodzie!

PAŻ.

O! prawda, jak tu miło! w tym lesie topoli
Kwiaty milszą tchną wonią — i wszystko rozkwita.
Lecz najpiękniejsza róża w pałacu ukryta,
Chcesz ją widzieć?

BOTWEL.

Co mówisz! królowa zezwoli?

PAŻ.

Zezwoliła!

BOTWEL.

Widzieć ją! kiedy?

PAŻ.

Za godzinę.

BOTWEL.

Sama ci to mówiła?

PAŻ.

Spełniam jej rozkazy.

BOTWEL.

O gwiazdo! świeć mi, gwiazdo! na morze wypłynę,
Niech łódź moję strzaskają wodokryte głazy,
Nie dbam o nic, zaczęły sprawdzać się wyroki.

PAŹ.

Panie! panie! rozpogódź ten smutek głęboki,
Strwożyć możesz królową tych nieszczęść widziadłem,
A cień twojego czoła na jej czoło spadnie.

BOTWEL, *z ironją.*

Co? rozpogodzić czoło, paziu? to tak snadnie.
Idę, całą godzinę strawię przed zwierciadłem
To łatwo twarz ułożyć. Uśmiech gorzki twarzy
Nie jest owocem cierpień! igraszka dziecinna.
Twarz moja była niegdyś jak dziecka niewinna,
Będę się śmiał jak dziecko, co o świecie marzy.
O! paziu, łatwo zatrzeć na czole te rysy?
Tak jak na pergaminie zaloty pisane
Można przemazać! zetrzeć, nowe kłaść napisy.
Przemażę pismo czoła — zniknie przemazane.
Bywaj zdrów!

Odchodzi.

PAŹ.

Jak gorzkimi przeraził mię słowy;
Spieszę teraz do Rizzia z rozkazem królowej.

Wybiega.

SCENA III.

HENRYK, MORTON I LINDSAY. *Wchodzą spiesznie.*

HENRYK.

Więc to prawda, Mortonie! Rizzio nam uchodzi?

MORTON.

Źle nam wróży ten odjazd, zbyt nastąpił nagle.
Już służba jego sprzęty przenosi do łodzi
I przeprawia na okręt pod francuskie żagle.
Trzeba śpieszyć — nie wiemy, jakie ma zamiary?
Pod lilijami Francji bezpiecznie odpłynie.

HENRYK.

Co! miałżeby uniknąć zasłużonej kary?
Nim się na okręt schroni, niech na brzegu zginie.

LINDSAY.

Spieszmy więc!

HENRYK.

Czekaj! czekaj! niech dobrze rozważę.
Zanadto nas daleko zapędy uwiodły.
Czyliż sam we krwi zbiega dłoń królewską zmażę?
Na brzegu, gdzie tłum majtków, gdzie tłum ludu podły
Będzie wskazywał palcem... Jaka myśl straszliwa!
Będzie wskazywał, będzie urągał mej twarzy,
Jeżeli twarz poblednie. Kto wie, co się zdarzy?
Rizzio opuszcza brzegi — niech sobie odpływa!
Jego trup zakopany — tu blisko królowej,
Więcej mi będzie szkodził, niż sam Rizzio żywy,
Skoro się stąd oddali.

LINDSAY.

Panie! skończmy łowy!
Już prawie wpół dognany ów jeleń pierzchliwy.

HENRYK.

Nie, nie, niechaj odjeżdża.

MORTON.

Tak, niech z Bogiem płynie,
Niech po krajach rozszerza twoją sławę, panie,
Jeszcześ nie był dość znany francuskiej krainie.
Harfiarz na dobrowolne skazany wygnanie
Da cię poznać Francuzom. Na królewskim dworze
Kadzić mu będą, prosić na królewskie sale,
Błagać o jego przyjaźń — pomocną być może.
On trzyma serce Marji, trzyma rządu szalę,
A Henryk!

HENRYK.

Co chcesz mówić?

MORTON.

Że Henryk w tym kraju
Jest królem.

HENRYK.

Jestem królem! czy słyszysz, Lindsayu?
Co on śmie mówić?

MORTON.

Lindsay tym słowom zawierza.
Napiwszy się dowoli płochych kadzideł dymu,
Uda się może Rizzio do dworu Papieża;
Ujrzysz go wkrótce w kraju — przyjedzie tu z Rzymu,

I kapelusz czerwony przywiezie na głowie;
Z twarzy bardzo podobny Rizzio do Wolseja.[1]
Padniemy przed nim na twarz, a sam Darnlej powie,
Że już zemsty ostatnia zniknęła nadzieja.

HENRYK.

Przestań! już idę!...

Chcą wychodzić, w progu spotykają Duglasa.

SCENA IV.

HENRYK, MORTON, LINDSAY, DUGLAS.

DUGLAS.

Stójcie! już Rizzio odpłynął.

HENRYK.

Nieba! więc moja zemsta spełnić się nie może?
Jużbym się był nie wahał!... Pójdę ponad morze.
Każę okręt zatrzymać.

DUGLAS.

Już żagle rozwinął.
Jam winien! teraz na mnie mścijcie się, rycerze,
Oto piersi odkryte i miecz obnażony;
Ta krew warta krwi Rizzia. Jestem tak spodlony,
Że ludziom już nie wierzę, i sobie nie wierzę.
Sam chciałem przeciąć żywot tak podłej osnowy,
Lecz kto wie? może marna zatrzyma mię trwoga.
Bałem się zabić Rizzia w obliczu królowej,
Będę się bał zabijać siebie w oczach Boga.
Życie Włocha zostało na mojem sumieniu;
Myślałem, że ten harfiarz wierny przyrzeczeniu
Jutro jak rycerz bronią ze mną się rozprawi.
Ufajcie teraz ludziom? znoszę brzemię sromu,
Gdy szukam wyjść z tych nieszczęść ciężkiego ogromu,
Od wstydu aż do grobu widzę mały przedział:
Któż mię przed okiem wzgardy na świecie zasłoni?
Przynajmniej uciekając, gdyby był powiedział,
Że nie waszych sztyletów, mojej zląkł się broni,
Możebym żyć mógł jeszcze.

---

[1] Wolsej Tomasz, kanclerz Henryka VII, króla angielskiego.

SCENA V.

HENRYK, MORTON, LINDSAY, DUGLAS, PAŻ.

DUGLAS, *chwyta za piersi wbiegającego pazia.*

Paziu! paź ten zginie!
Ja go zabiję... Pazia tak kocha królowa
Jak Rizzia.

Postrzegając pismo w rękach pazia, wyrywa je.

Cóż to znaczy? na tym pergaminie
Widzę jakieś skreślone niewyraźne słowa,
Czytajcie...

PAŻ.

List — królowej oddać mi kazano,
Nie czytajcie! nie macie prawa!

LINDSAY, *biorąc z rąk Duglasa pismo.*

Prawem siła.

Czyta.

„Dzięki tobie, królowo, żeś mi pozwoliła
Wieczór z tobą przepędzić dzisiaj" podpisano:
Rizzio.

DUGLAS.

Rizzio? Rizzio! czyś dobrze wyczytał?

LINDSAY.

W klasztorze
Czytać mię nauczono, pojąłem nauki,

HENRYK.

Więc Rizzio dziś ma wieczór przepędzić na dworze?
To pewno jaka zdrada, jakie włoskie sztuki?
Lecz nie — musiał pozostać, zmyliły nas czaty.
Lindsayu, zamknij pazia do mojej komnaty,
Żeby nie zdradził, żeby nie mógł nam przeszkadzać.

PAŻ.

Żeby nie zdradził? od was nauczę się zdradzać.
Duglasie! wstyd ci wyrył znamiona na czole,
Daj mi miecz równej miary, jak miecz przy twym boku,
A czarną zdradę we krwi obmyję potoku.

LINDSAY.

Paziu mój, jesteś dziecko!... O! młody sokole,
Ty jeszcze pierwsze pióra utracasz na wiosnę.
Pójdź ze mną.

PAŻ.

Pamiętajcie! ja kiedyś dorosnę.

Lindsay wyprowadza pazia.

DUGLAS.

Więc Rizzio zginąć musi!

HENRYK.

Kiedy?

DUGLAS.

Dzisiaj zginie!

HENRYK.

Gdzie?

DUGLAS.

Ty się wahasz jeszcze? gdzie? w tronowej sali,
U nóg królowej — niech go w szaty swe zawinie,
I tam go znajdzie jeszcze ostrze mojej stali.

HENRYK.

Lecz w obliczu królowej spełnić czyn tak krwawy,
To mnie od niej na wieki! na wieki oddzieli!

DUGLAS.

Ha! więc idź i znoś brzemię wzgardy i niesławy,
Wzgarda nie ośmieliła, nic cię nie ośmieli.
Idź pełzać przed królową w udanej pokorze,
Lecz wiedz — kobieta kochać człowieka nie może,
Skoro śmiała nim gardzić.

HENRYK.

Gardzić? nigdy w świecie!
Dziś będę śmiałym ... dzisiaj męstwa dam dowody,
Chodźmy więc po sztylety święcone w Lorecie,[1]
Potem potajemnymi wprowadzę was wschody.

Odchodzi z Duglasem.

MORTON.

Poszli — nie pójdę z nimi. Marja się nie dowie,
Że z zabójcami Rizzia i Morton był w zmowie.

Odchodzi w stronę przeciwną.

---

[1] Loretto, miejscowość słynąca cudami, w Ankonie.

SCENA VI.

Pokój Marji, jak w scenię VI. aktu II.

MARJA, *sama, siedzi nad krosnami.*

Sama jestem. Gdzież paź mój? dotąd nie powraca.
Czemże czas sobie skrócę? tak pomału płynie!
Najmilsza ta godzina, gdy mię zajmie praca,
Kiedy się kwiat na płótnie pod igłą rozwinie,
Gdy jak wiejska dziewica siądę za krosnami.
Lecz jak mało tych godzin, wiecznie! wiecznie w tłumie
Podejrzliwych, nieczułych; ich łzy nie są łzami,
Uśmiech nie jest uśmiechem, nikt mnie nie rozumie.
Gdybym tak oświecona blaskami klejnotów
Zeszła do niskiej chaty, gdzie lud mój przebywa,
I spytała wieśniaka, czy królowa Szkotów
Jest szczęśliwa? odpowie: musi być szczęśliwa!
Byłem niegdyś w stolicy, widziałem pałace,
Widziałem oświecone okna jej komnaty;
A ja nędzny do grobu skazany na pracę,
Mchem i zielem porasta strzecha mojej chaty,
W pocie czoła uprawiam te skaliste góry;
Widziałem groby królów, na grobach marmury,
A prosty grób wieśniaka ciemny wrzos pokrywa;
Tak, królowa szczęśliwa — musi być szczęśliwa.

SCENA VII.

MARJA, RIZZIO.

RIZZIO.

Jakież mam składać dzięki? widzę cię, królowo!
U stóp twoich przepędzę ostatnią godzinę,
Każdą chwilę bym życia okupił połową.
Marjo! jakżem szczęśliwy! ja jutro odpłynę,
Ale to jutro, jutro, to kres zbyt daleki.
O pani! Marjo moja! tak się szczęściem łudzę,
Jakgdyby wieczór szczęścia miał trwać długie wieki.
O! kiedyż z zachwycenia, ze snu się przebudzę?

MARJA.

Serce mi ogarnęła tęsknota nieznana,
Wesołość nawet twoja smuci mię, przeraża.

RIZZIO.

Królowo! co ja powiem, niech cię nie obraża.
Zawsze bym tu pozostał do jutra, do rana,
Na jutro Duglasowi dałem przyrzeczenie,
Że się z nim widzieć będę, dotrzymałbym słowa.

MARJA.

Rizzio... to być nie może?

RIZZIO.

Zamiaru nie zmienię.
Ale to nadto smutna na dzisiaj rozmowa.
Pani! aż do szaleństwa jestem dziś wesoły,
O mojem oddaleniu myślałem z uśmiechem.
Słyszę! słyszę śpiew Tassa powtarzany echem.
Zda mi się, że już płynę na łonie gondoli
Czarnym wybitej kirem, jak na łonie trumny;
Okna pałaców długim świecą się szeregiem,
Ścieląc po wodzie jasne światłości kolumny;
Łódź moja płynie szybko, płynie z fali biegiem;
A nademną, daleko, na błękicie ciemnym
Posępnem światłem księżyc roztacza się złoty,
I w duszy czuję dzikie uczucie tęsknoty;
Dla serca trawionego ogniem niewzajemnym
Potrzeba takich cierpień, niech się karmi łzami.

MARJA.

O Rizzio! serce twoje nie wesoło marzy,
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

RIZZIO.

Za mną wszystko zostało. Uśmiech mojej twarzy
Jeśli kiedy rozkwitnie, prędko, prędko skona!
Można za szkłami róże rozkwiecić w jesieni,
Lecz jakże będzie smutna, blada, wysilona.
Ale poco się smucę? wszystko się odmieni!
Powrócę kiedyś! wrócę! czemużbym nie wrócił!
Czemu?... Świat jest przepaścią, kto się w przepaść rzucił,
Może nigdy nie wrócić... Nie, to niepodobna,
Ja będę kiedyś w Szkocji, w tych samych komnatach,
Sala ta, co się smutkiem wydaje żałobna,
Zabrzmi znów wesołością, rozjaśnią się mury
Tłumem zamaskowanych dworzan w jasnych szatach.

MARJA.

O Rizzio! patrzaj! patrzaj na ten dwór ponury,
Tu niewinne zabawy lud grzechami zowie;
Szemrać będą dworzanie.

RIZZIO, *z wzrastającą wesołością.*

Szmer zgłuszą oklaski,
Połowa nawet dworzan może przyjść bez maski,
Gdy który spyta: „znasz mnie?“ każdy mu odpowie:

„Nie znam cię, masko“ ani zbłądzi w odpowiedzi.
Ten, kto się śmieje, zawsze płaczących zwycięża.
Młodzież francuska tłumem ten zamek odwiedzi,
Wtenczas szczęśliwy!...

Słychać szczęk broni.

MARJA.

Słyszysz! jakiś szczęk oręża?

RIZZIO.

O nie, to moja harfa wisząca na ścianie,
Tknięta powiewem wiatru, smutnem jękła brzmieniem.
Harfo! przyjmuję z czuciem twoje pożegnanie.
Ty mnie jedna tak żegnasz, smutno i z westchnieniem.

MARJA, *z niespokojnością.*

Lecz gdzież się paź mój bawi?

RIZZIO.

Pani, rozjaśń czoło!
Niech ja zastąpię pazia. — Całe moje życie
Nie byłem tak szczęśliwy, szczęśliwy jak dziecię.
Siada na małym stołku pazia, u stóp Marji.
Siądę przy twoich stopach... Jak mi tu wesoło!
Nie chciałbym teraz umrzeć.

MARJA.

O! co ci się marzy?
Umrzeć tak młodo, z sercem tak pełnem nadziei.

RIZZIO

Nadziei? Chciałem na twej wyczytać ją twarzy;
Czytałem wszystkie, wszystkie uczucia z kolei —
Nadziei tam nie było... Pani! nie chmurz lica,
Niech paź z twarzy królowej gniewu nie wyczyta,
Paź dziecko, z wody chciałby dostać twarz księżyca...
Pani! piękny ci wieniec we włosach rozkwita,
Daj mi róż kilka.

MARJA.

Rizzio! na co ci te kwiaty?

RIZZIO

We Włoszech, na ołtarzów święconym marmurze
Zawieszę ten dar drogi, nad złoto bogaty,
Pokazywać je będą, patrzcie! oto róże
Marji Stuart Szkockiej, anioła w koronie.

MARJA, *dając mu kwiaty.*

Nie odmówię twej prośbie, lecz zamiaru bronię,
Weź te kwiaty, lecz kwiaty niegodne ołtarza.

Henryk wchodzi tajemnymi wschodami i staje za krzesłem Marji niepostrzeżony.

RIZZIO

Pani! jestem twym paziem — Paź ciebie zaklina,
Daj mu ten wachlarz, powiew twojego wachlarza
Ma jakąś woń czarowną, woń, co przypomina
To gór szkockich powietrze; nieraz w kraj daleki
Przyniesie zapach róży, co ciebie otacza,
Wtenczas zamknę na chwilę złudzone powieki,
Marzyć będę...

MARJA, *z uśmiechem.*

Królowa paziowi przebacza;
Rizzio nie śmiałby do niej użyć takiej mowy.
Paziu! czy mi nie zechcesz korony zdjąć z głowy?
Dobrze, żeś nie zapragnął purpurowej szaty!
Dobrze, żeś na wachlarzu przestał.

Daje mu wachlarz.

RIZZIO

Dzięki tobie!

SCENA VIII.

MARJA, RIZZIO, HENRYK, stojący zawsze za krzesłem Marji, DUGLAS, LINDSAY.

DUGLAS, *uzbrojony sztyletem, chwyta Rizzia za piersi.*

Właśnie! dziś rano trzymał i wachlarz i kwiaty,
Z kwiatami i z wachlarzem teraz legnie w grobie.

RIZZIO.

Królowo!...

MARJA, *powstając.*

Stój, Duglasie! skądże ta odwaga?
Ty w komnacie królowej! czy gardzisz królową?
Stój! stój! Duglasie, odejdź! królowa cię błaga.
Nie!... mogę rozkazywać... precz! odpowiesz głową!
Rizzio! chodź do mnie.

DUGLAS.

Próżno wołasz go do siebie,
Duglas trzyma go w dłoni, nie uniknie zgonu.

Do Rizzia.

Módl się! za chwilę będziesz lub w piekle, lub w niebie.

MARJA.

Duglasie! precz stąd! precz stąd! splamisz stopnie tronu.
Pomyśl! próżno mnie będziesz błagał przy skonaniu,
Kat ci zerwie ostrogi i twarz splami dłonią;
W obliczu ludu zelży kat na rusztowaniu.

DUGLAS.

Próżno grozisz, królowo! wiesz, że władam bronią.
Skoro Duglas na zamku kaganiec zapali,
Zbiegną się zbrojne tłumy poddanych wasali.
Mam się lękać kobiety? Po co wszczynać boje?
Na tym samym okręcie, na którym miał płynąć,
Odjadę w kraj Francuzów, wnet porzucam zbroję,
Mogę się w ten płaszcz jedwabny zawinąć,
Wezmę te strusie pióra, wezmę ten miecz złoty.
Podłego Włocha dobrze wyuczę się roli;
Wnet mię zgraja francuskich trefnisiów okoli,
Na dworze królów zdradne rozpocznę zaloty;
Będę pierwszym przy ucztą zastawionym stole,
Wkradnę się w łaski możnych — harfiarzem zostanę...
Chyba mnie zdradzi kropla krwi na mojem czole,
Lub te szaty splamione, pióra połamane.
Giń, Włochu !... Nie, sztyletem nie mogę uderzyć,
Nigdy nie zabijałem sztyletem.

Odrzuca sztylet.

MARJA.

O Boże!
Duglasie! ach Duglasie! — nie, nie mogę wierzyć,
Żebyś ty go śmiał zabić.

DUGLAS.

Przekonam cię może,
Duglas, słowy zelżony, mieczem spełnia groźby.

MARJA.

Duglasie! nieszczęśliwa zniżę się do prośby...
Nigdy krwi nie widziałam !... widok mi nieznany !
Oddal — oddal odemnie te krwawe obrazy!

DUGLAS.

Chciałbym, żeby tu były zwierciadlane ściany,
Abyś śmierć jego mogła widzieć tysiąc razy!
Chciałbym, żeby jęk Rizzia echem powtarzany
Zabrzmiał, abyś go mogła słyszeć tysiąc razy!
Niechaj krew jego wsiąknie głęboko w te głazy,
Niech zostawi na wieki zbrodni plamę ciemną.

Bierze od Henryka szpadę i przebija Rizzia.

RIZZIO.

Marjo! och! Marjo!... Boże zmiłuj się nademną.
Och! och! och!...

Kona.

MARJA.

Rizzio!... Boże! zmiłuj się nademną.
Stójcie! błagam was — jeszcze jęknął, jam słyszała.
O! gdyby tu był Henryk!... Tak cicho, jak w grobie,
Gdzież Henryk? Henryk! mąż mój!

HENRYK, *nachylając się, cicho.*

Jestem tu, przy tobie.

MARJA, *odwracając się zwolna.*

Był przy mnie? Henryk! mąż mój? Boże mój!

Pada na poręcz krzesła.

HENRYK.

Omdlała.
Wynieście jego zwłoki.

DUGLAS, *ponuro.*

Przyszedłem zabijać,
Lecz nie wynosić zwłoki — wołajcie grabarzy.

Lindsay wyciąga trupa z sali i wraca.

HENRYK, *do Duglasa.*

Duglasie! straszna teraz bladość twojej twarzy.
Czyliż męstwo rycerza zwykło tak przemijać?
Miałeś wdziać jego szaty?

DUGLAS.

Krwią czarną skalane?

HENRYK.

Ciebie dręczy zabójstwo?

DUGLAS, *zbliżając się, patrzy Henrykowi w oczy.*

Henryku! a ciebie?...
Słuchaj! i twoje ręce krwią Rizzia zmazane,
Ty zabiłeś człowieka! i wejdź teraz w siebie?...
Czy miałeś jaki powód zemsty lub urazy?
A jesteś tak spokojny! patrz, jaka różnica,
Ja pomściłem się czarnej na honorze skazy,
A jestem tak wzburzony! rozpogódź więc lica...

My się bardzo różnimy — idź teraz do łoża,
Będziesz miał noc spokojną — gdy się zbudzisz rano,
Życzę, aby na niebie powstająca zorza
Ujrzała twarz Darnleja jak dzisiaj rumianą.
Królowo! przebacz! przebacz! idę w kraj daleki,
Wygnaniec, zbójca podły, niosę piętno zbrodni.

Odchodzi.

LINDSAY.

Ci rycerze — mienia rycerzów niegodni.

HENRYK.

Słuchaj! Królowa wkrótce otworzy powieki,
Uciekajmy z tej sali.

LINDSAY.

Chodź! jedźmy na łowy...

HENRYK.

Lindsayu! ty znasz może uczucia królowej?
Będzie mnie nienawidzieć?

LINDSAY.

Zbądź niewczesnej trwogi!
Chodź! chodź, królu! chodź ze mną, słyszę czyjeś kroki!

Wyprowadza gwałtem ociągającego się króla.

SCENA IX.

MARJA omdlona. BOTWEL.

BOTWEL.

Królowa — czy usnęła? sen nadto głęboki.
Skąd ta krew? po raz pierwszy wstępuję w te progi,
A już tu we krwi brodzę? Ktoś zbrodni dokonał,
Spełnił czyn tajemniczy, zbrodnię bez nazwiska...
Świateł przygasłych promień błękitnawy błyska,
Sztylety na podłodze? sztylety! — któż skonał?
Może król!...

MARJA.

Och!...

BOTWEL.

Królowa budzi się...

MARJA, *z pomięszaniem.*

Duglasie!
Ach miej litość!... gdzież jestem? Boże, jak tu ciemno.
Za późnom się zbudziła! tak jest! już po czasie...
Jestem przy tobie... Boże, zmiłuj się nademną!...
On był przy mnie, mąż, Henryk, był przy mnie — zabijał.

BOTWEL, *z zadziwieniem.*

Henryk zabijał?...

MARJA.

Może krew plami te szaty?
Widzę go — pod sztyletem w cierpieniach się zwijał...
Precz! precz! o łzo natrętna... Mamże płakać straty?
Mścić się potrzeba — drżyjcie! czyż krew płacić łzami?
Krew za krew — drżyjcie! zemsta straszliwa nad wami!
Już śmierć weszła do zamku, będą zbrodnie nowe.

BOTWEL.

Jakaż to straszna boleść przenika królowę?

MARJA.

Tyś Rizzia krwią zmazany?

BOTWEL.

O! nie, chyba własną...

MARJA.

Tyżeś to w tej godzinie? słuchaj! w jakim celu?
O! niech teraz te światła, te pochodnie zgasną!
Żeby mój wstyd ukryły... Kocham cię, Botwelu!
Nie jest to czas ukrywać i taić uczucia,
Rzucam się na twe łono, już jestem zgubiona!

BOTWEL.

O Marjo! śmierć cię chyba wydrze z tego łona.
Czy żądasz zemsty? powiedz! zabójstwa? otrucia?

MARJA.

Nie, nic nie żądam — chodź przed ołtarz Pana,
Połączę z tobą dłonie, gdym serce złączyła.
Lecz nie, ta ręka z krwawą ręką powiązana,
On żyje jeszcze!... Boże! cóżem wymówiła!

Wyrywa się z rąk Botwela i ucieka.

SCENA X.

BOTWEL, *sam.*

On żyje jeszcze?... W dobrą trafiłem godzinę.
Wieki trzebaby czekać na takie wyznanie,
A teraz ją zdradziły rozpacz, obłąkanie.
Myśl zemsty w niej ukrytą jako kwiat rozwinę;
Piękny kwiat, choć zatrute owoce wyradza.
Teraz chyba szatana wyrwie mi ją władza!
Serce się moje kobiet łzami nie rozczula...
Chce, żebym myśl jej odgadł? nie, ja nie rozumiem!
Aż mi powie: Botwelu! zabij! zabij króla!
Za mniejszą cenę nie chcę zabijać — nie umiem.

AKT IV.

SCENA I.

Pokoje królowej.
MARJA, BOTWEL.

MARJA.

Dziś jestem spokojniejszą, czystych modlitw władza
Usypia wszystkie troski i uśmierza bole:
Czas, cierpliwość najsroższe rany ułagadza.
Wszystko znieść można.

BOTWEL.

Wszystko?

MARJA.

Troski i niedolę...

BOTWEL.

I wzgardę?

MARJA.

Dosyć! dosyć zniosłam na kobietę!
Jestem na tronie, ale z sercem zakrwawionem.

BOTWEL.

O Marjo! ty się nadto łudzisz blaskiem, tronem.
Ten tron, to proste deski szkarłatem przykryte;
Już zeń zdjęto szkarłaty, zasłano całuny;
Obejrzyj się, na tronie niedostaje truny.

Widziałem w kraju Franków, gdy król wielki kona,
Postać jemu podobną wnet z wosku utworzą,
Przykryją szkarłatami, na mary położą;
Dziwnie od martwej twarzy odbija korona;
Przeraża ludzi wstrętem ta postać woskowa,
Ustrojona w klejnoty, przy trumny żałobie;
Nie obrażaj się, Marjo, lecz Szkotów królowa
Podobna do tej maski leżącej na grobie.

MARJA.

Cóż uczynię?

BOTWEL.

Ha! módl się! przebaczaj!

MARJA.

Przebaczyć!
Komu przebaczyć?

BOTWEL.

Wszystkim.

MARJA.

Chciej mi wytłumaczyć

BOTWEL, *się żegna.*

Czego się żegnasz?

BOTWEL.

Pani! odmawiam pacierze,
Słyszę dzwon po umarłym.

MARJA.

Co? dzwon, po kim dzwony?

BOTWEL.

Po śmierci Rizzia:

MARJA.

Boleść zaledwo uśmierzę,
I modlitwą zagłuszę jęk w piersiach tłumiony,
Szatan budzi mię ze snu.

BOTWEL, *patrząc przez okno.*

Patrz, pani! tam zdala
Snuje się tłum pogrzebu, idą czarne cugi,
Płatna wymowa cnoty zmarłego wychwala;
A za trumną przyjaciół orszak smutny, długi,

Ale ten najwierniejszy, który w trumnie zaśnie.
Każdy, z domu wychodząc, trzymał świecę jasną,
Połowa już pogasła, inne teraz gasną,
Patrz! jedna jeszcze miga — i ta wkrótce zgaśnie;
Na chwilę mu ciemnego grobu nie oświecą.
I pamięć ich zagasa z tą gasnącą świecą.
Śpij, Rizzio, wszyscy, wszyscy ciebie zapomnieli!
Czyż nie dosyć? zmówili wieczne odpocznienie.

MARJA.

Słuchaj! słuchaj! kobieta na cóż się ośmieli?
Patrz, Botwelu! ten obraz wiszący na ścienie,
Jak w nim dobrze trafiona blada twarz Henryka,
Ściga za mną oczyma... Nie zniosę tej twarzy!
Patrz! za mną się obraca, wzrokiem mię przenika.
O! ten wzrok! nie jest dziełem ludzi i malarzy,
Na obraz szatan przeniósł myśl moję, sumienie,
I serce moje dręczy boleścią okrutną.

BOTWEL.

Cha! cha! więc ci niemiłe Darnleja spojrzenie?
Można obraz zasłonić.

MARJA.

Nie — rozedrzyj płótno!
Rozedrzyj je sztyletem — na co te obrazy?
Ja go mam w sercu.

BOTWEL.

Pani! spełnię twe rozkazy,
Czy będziesz spokojniejszą?

MARJA, *niecierpliwie.*

Spełnisz moje chęci?
Co wyrzekłeś?

BOTWEL.

Tak zniszczę ten obraz Darnleja.

MARJA, *z przytłumionym westchnieniem.*

Obraz!

BOTWEL.

Tak chciałaś?

MARJA.

Prawda, wyszło mi z pamięci,
Chciałam zgonu obrazu.

Na stronie.

Zniknęła nadzieja!
On mnie nie pojmie, ja się wyrzec nie ośmielę.

BOTWEL.

Pani! więc dziś się z tobą na wieki rozdzielę,
Przyszedłem cię pożegnać.

MARJA, *z rozpaczą.*

Co mówisz? mój drogi!
Dla nieszczęśliwej cios to nazbyt! nazbyt srogi!
Nie wytrzymam!

BOTWEL.

O pani! mam zostać przy tobie?
Każesz mi zostać? jesteś królową, masz władzę.
Dziś więc grób mój przy Rizzia każę kopać grobie,
Przeciw sztyletom słaba obrona w odwadze.

MARJA.

Ty mi serce rozdzierasz — piekło teraz we mnie!
Zemścić się! zemścić! cóż mi teraz pozostaje?
Zemścij się!

BOTWEL.

Nad Duglasem mścić się! to daremnie,
Duglas z Lindsayem oba uszli w obce kraje.

MARJA.

Idź! szukaj ich! nie, zostań! zostań tu! miej litość!
Chciej mnie zrozumieć! błagam! czyliż duszy skrytość
Mam wyjawić słowami? choć wiem, że ta mowa
Sumienie mi obarczy, z echem nie upłynie.
Powinien zginąć!

BOTWEL.

Kto?

MARJA, *długo pasując się z sobą.*

On!

BOTWEL.

Kto?

MARJA.

Król!

BOTWEL.

Zginie!

MARJA.

O! ty jesteś jak echo, powtarzasz me słowa,
Ja chciałabym, ażeby bez echa skonały.
Lecz tak, już przeważyłam jedną stronę szali,
Tak, już się pierwsze węzły skrytości przerwały,
Dalej! dalej iść trzeba, idę dalej! dalej!
Nie wiem, gdzie zajdę? Słuchaj! jesteś taki blady,
Jakbyś mi chciał wyrzucać?

BOTWEL.

Królowo! ja zbladłem?
To może dawnych cierpień pozostały ślady.

MARJA.

Botwelu! niech twe czoło nie będzie zwierciadłem,
W którem czarność mych zbrodni czytam z przerażeniem.
Mamże twe świetne myśli przykryć zbrodni cieniem!
Zapomnij słów niebacznych! ja marzyłam we śnie;
Zapomnij o snach moich! nie zwierz ich nikomu!

BOTWEL.

Królowo! on dziś zginie.

MARJA, *z przerażeniem.*

Dziś? to nadto wcześnie!

BOTWEL.

Gdzie Henryk?

MARJA.

Niedaleko, w małym wiejskim domu.
Mówią, że chory.

BOTWEL.

Chory?... Chory umrzeć może.
Nie lękaj się, dziś Henryk pod sztyletem skona,
Oddalę podejrzenie, chorobą się złożę.
Lecz dopomóc mi trzeba. Jako wierna żona
Powinnaś go odwiedzić jeszcze dziś z wieczora,
Dasz mu w lekarstwie napój, co go uśpi w nocy.

MARJA.

O! to, czego ty żądasz, nie jest w mojej mocy:
Ja mam go widzieć dzisiaj? widziałam go wczora,
Jutro mam widzieć trupem — widzieć dziś nie mogę!

BOTWEL.

Odwiedź go — zniszczysz wszelkie podejrzenia, trwogę,
Bez tego spać nie będzie, uchroni się zgonu.

MARJA.

Daj więc! daj mi ten napój — zejdę z mego tronu,
I przez tę noc straszliwą żaden z mych poddanych
Nie będzie równie podłym i występnym.

BOTWEL, *wyjmuje truciznę, którą pokazywał u astrologa.*

Pani!
Oto napój wyjęty z ziół mi dobrze znanych.
Niech Henryk spełni do dna, choć może smak zgani,
Sen dla chorego w bolach wielką jest przysługą.

MARJA.

Więc Henryk gdy wypije?

BOTWEL.

Zaśnie...

MARJA.

Na jak długo?

BOTWEL.

Nie wiem...

Odwracając się.

Skoro napoju użyje królowa,
Mój sztylet niepotrzebny.

Do Marji

Królowo! bądź zdrowa!

Odchodzi.

MARJA, *sama.*

Uważałam go pilnie, przez rysy oblicza
Chciałam czytać aż w sercu, odkryć by cień zdrady.
Smutny był? twarz Botwela zawsze tajemnicza;
Blady był? wszak on zawsze posępny i blady.
Nie, to nie jest trucizna; i któż się nie wzruszy,
Powierzając kochance narzędzie otrucia?
Chybaby nie miał w sercu żadnej iskry czucia?
Chybabym okiem duszy nie czytała w duszy?

Odchodzi.

SCENA II.

Teatr wystawia wnętrze wiejskiego domu, pomieszkanie Henryka.
HENRYK, NICK.

HENRYK.

Błąkam się jak wyklęty, słuszna kara boża,
Zbłąkana wyobraźnia blade widma roi,
Zgryzoty przy wezgłowiach stoją mego łoża.

NICK.

O! nie, przypatrz się, królu, tylko błazen stoi.

HENRYK.

Tak, błazen tylko, wszyscy już mię opuścili.
Oświecam widma bladą umysłu pochodnią,
Każdy kamień korony obciążyłem zbrodnią,
Ich ciężar głowę moję do grobu nachyli;
Przeważa mię korona.

NICK.

I ja równie błądzę.
Oto czapka w królewskich pokojach wytarta,
Dotąd na niej zdobyte wieszałem pieniądze;
Wkrótce czapka od błazna będzie więcej warta,
I wkrótce mnie samego ciężarem przeważy.
Nie trzeba nadto wielkich ciężarów na głowie,
Dość rozumu i głupstwa.

HENRYK.

Paziu! w twojej mowie
Więcej widać rozsądku, niż śmiechu na twarzy.
Ale gdy mnie widmami myśl drżąca otoczy,
Jak ich nie widzieć? ich wzrok serce mi rozkruszy.
Jak ich nie widzieć, Nicku?.

NICK.

Panie! zamknij oczy...

HENRYK.

One nie przed oczyma — one w mojej duszy!
Widzę je, tak jak ciebie; jak me własne cienie
Ścigają za mną.

NICK.

Panie! zagaś lampę w nocy,
Mnie nie ujrzysz przed sobą... Zagaś twe sumienie,
Widm nie ujrzysz przed sobą...

HENRYK.

To nie w mojej mocy!
Szalony jesteś! zgasić sumienie jak świecę?
Wpatrując się w głąb pokoju.
Patrz! tam stoi, w posępnej ubrany żałobie,
Jakgdyby chciał wyjawić śmierci tajemnicę?
Milczący, krwawy, blady, woła mnie ku sobie...
Wszak mu sztylety ciało rozdarły na ćwierci?
A on wstał z grobu świeży, jak z kołyski dziecię.

NICK.

O panie! Rizzio błaznów lubił całe życie,
Może więc przyszedł tutaj szukać ich po śmierci?
Dziwię się, że nie ze mną, lecz z tobą rozmawia,
Musisz być do mnie, królu, podobnym w tej chwili.

HENRYK, *nie słuchając słów Nicka.*

Precz! precz, Rizzio! twój widok serce mi zakrwawia.
Wszystko bym oddał, byle życie ci wrócili!
Nie obwiniaj mnie, odejdź, niech spokojny zasnę;
Ty może chcesz snu mego? spać nie możesz w grobie;
Więc i tam spać nie można?... Życie oddam tobie,
Lecz wróć mi sen! nie wracaj! życie oddam własne.
Twoje lica tak blade i ten wzrok rozwarty!

Śmieje się dziko z obłąkaniem.

Cha! cha! cha! to mi zmysły do reszty pomiesza.

NICK.

Ten cień lepiej cię, królu, odemnie rozśmiesza,
Więc go przyjmij za błazna — nigdy moje żarty
Z ust twoich nie wyrwały tak szczerego śmiechu.

HENRYK.

Czego chcesz, Rizzio? krwawe wskazujesz mi szaty?
Może ciebie zabiłem skalanego w grzechu?
Powiedz mi? jestem królem! ja jestem bogaty!
Dam na mszę; powiedz tylko, ile mszy potrzeba?
Zakupię msze na tydzień, miesiąc, rok, wiek cały;
Choćbyś był zbójcą, modły przebłagają nieba,
Głos księży słyszeć będziesz w grobie już spróchniały.
Ha! jeszcze słychać harfę!

NICK.

Uspokój się, panie!
To przywidzenie strachu... Królowa tu zmierza...

HENRYK.

Królowa!... Jakież będzie nasze powitanie?
Zabije wzgardą, wzgarda jak sztylet uderza.

SCENA III.

MARJA, HENRYK, NICK.

MARJA.

Henryku! ja sądziłam, że cię tu zastanę
Wśród zgrai twoich dworzan! tyś samotny, blady,
Powiedz, czyś ty nie chory? oczy obłąkane,
Na twarzy widać jeszcze bezsenności ślady.

HENRYK, *z rozpaczą.*

O Marjo!

MARJA, *przerywając.*

Uspokój się! tyś chory, mój luby!
Połóż się, zaśnij, widać bezsenność ci szkodzi.

HENRYK.

O Marjo! jestem winien! winien Rizzia zguby!

MARJA, *z udaną obojętnością.*

Ja nie wiedziałam o tem, cóż mię to obchodzi?

HENRYK.

Ty mi przebaczasz? powiedz!

MARJA.

I cóż mam przebaczyć?

HENRYK.

Śmierć jego.

MARJA.

Czyję?

HENRYK, *z przymuszeniem.*

Rizzia...

MARJA.

Jużem zapomniała.

HENRYK.

Chciałem się uniewinnić, czyn mój wytłumaczyć,
Lecz ten Włoch niewart, abyś o nim pamiętała.

NICK, *do Henryka.*

Włoch niewart, abyś o nim pamiętał, Henryku.
Powtórzę ci te słowa, twoje słowa własne,
Gdy nie będziesz mógł zasnąć.

HENRYK, *do Nicka.*

Precz! precz, nędzny Nicku!
Do Marji.
Przebaczyłaś mi, teraz już spokojny zasnę.

MARJA.

Trzeba sen sztuką zwabić, gdy od łoża stroni,
Przyniosłam senny napój, poznasz jego siłę,
Sen cię po nim skrzydłami lekkimi osłoni,
Zaśniesz jak małe dziecko, będziesz miał sny miłe.
Wmięszam go do lekarstwa.

HENRYK, *do Marji, która wlewa napój w czarę stojącą przy łożu.*
Dzięki ci, królowo!

NICK.
Zadrżała, przed mem okiem nic się nie ukryje.
Do Marji cicho.
Pani, podziel się z królem napoju połową,
Bo kto wie, gdy król twoje lekarstwa wypije,
Może ci się podobny napój w nocy przyda.

MARJA, *spojrzała na Nicka i odwróciła się ze wzgardą.*
O jakże trudna rola; lecz tak, kończyć trzeba!
Każde spojrzenie zdradzi, każde słowo wyda,
A myśl mnie już wydała przed obliczem nieba.
Oby się prędzej! prędzej! wyrwać z tej komnaty.

HENRYK.
O Marjo! czemu nosisz te żałobne szaty?

MARJA.
Tyś chory, chciałam przez to mój smutek wyrazić.

NICK, *na stronie.*
Więc szat nato potrzeba.

HENRYK, *z czułością do Marji.*
Ja cierpię tak mało,
Zwiększono wielkość cierpień, chciano cię przerazić...
Teraz z mojej słabości nic już nie zostało,
Skoroś mi przebaczyła.

MARJA.
Bądź zdrów!

HENRYK.
Jeszcze wcześnie!
Gdzie idziesz? zostań chwilę, jeszcze jedno słowo!
Wyznam ci szczerze, nieraz dręczę się boleśnie,
Nieraz cię obraziłem, przebacz mi, królowo!
Klęka przed nią.
Przebiegnij wszystkie chwile, któreśmy przeżyli,
Jeśli nas jaka w życiu czarna chwila dzieli?
Błagam cię! utrać pamięć tej nieszczęsnej chwili.

MARJA, *odwracając się z drżeniem.*
Przeprasza, jakby leżał w śmiertelnej pościeli.
Człowiek, co może jutra, jutra nie zobaczy,
U stóp moich klęczący błaga przebaczenia;
Gdy jemu nie przebaczę, czy mu Bóg przebaczy?
Wstań, Henryku! o przebacz! przebacz mi wzajemnie.

HENRYK.

Ty błagasz przebaczenia? błagasz go odemnie?
Powiedz mi, jakie w tobie mam odpuścić winy?
Ja ci nawzajem serce do głębi otworzę.

MARJA.

Bądź zdrów — prędko mi z tobą ubiegły godziny.

HENRYK, *z czułością.*

Kiedyż się zobaczymy?

MARJA, *drżącym głosem.*

Nie wiem — jutro może?

HENRYK.

Ty mnie tak zimno żegnasz? czylisz świeże śluby
Przebaczenia, miłości, znikły między nami?

MARJA, *całuje go w czoło.*

Bądź zdrów!...

HENRYK, *z przerażeniem.*

Tak mnie zimnymi dotknęłaś ustami,
Dreszcz mię przebiegł.

MARJA, *z gorzkim uśmiechem.*

Ty jesteś w gorączce, mój luby.
Odchodzi.

SCENA IV.

HENRYK, NICK.

HENRYK.

O Marjo! mój aniele! Boże, dzięki tobie!
Nawróciłeś jej serce, kocha mnie tak szczerze.

NICK.

Ty wierzysz temu, królu?

HENRYK.

Tak jest, wierzę! wierzę!
Rizzio jeden nas dzielił — Rizzio teraz już w grobie.
Wszystko się odmieniło, już jestem szczęśliwy.
Czy widziałeś jej uśmiech? uśmiech szczery, tkliwy;

Z pogodnem czołem przy niej zasiądę na tronie.
Ciesz się, ciesz się, Duglasie! zyskam przebaczenie,
Ja ciebie moim płaszczem królewskim osłonię.
Ciesz się, mój wierny Nicku! zgasiłem sumienie,
Już nie o bladych widmach, lecz o szczęściu marzę;
Ciebie, Nicku, darami sowicie obdarzę,
Czapkę złotem napełnię, sprawię ubiór nowy.

NICK.

Spraw mi żałobę.

HENRYK.

Po kim masz chodzić w żałobie?

NICK.

Spełń ten puhar, w nim znajdziesz lekarstwo królowej,
A wtenczas błazen wdzieje żałobę po tobie.

HENRYK.

Precz! precz! jesteś podobny do piekielnej jędzy!
Podły i podejrzliwy, kąsasz, trujesz jadem.
Precz! idź się błąkać, żebrać i umierać w nędzy!
Lecz nie, śmierć twoja będzie dla innych przykładem;
Obieraj rodzaj śmierci.

NICK.

Trudno mi obierać,
Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać,
Od wieków z nieprzerwanej wypływa osnowy.
Chciałbym skonać pod mieczem, ale kat zawoła:
Nicku, gdzie twoja głowa? Wszak ty nie masz głowy.
Cha! cha! nieprawdaż, królu, że to myśl wesoła
Nie mieć głowy. Więc węzeł założyć na szyję?
Lecz ja jestem tak lekki, sam wiatr mię utrzyma;
Nie, ja wisieć nie mogę, dla mnie śmierci niema,
Chyba — to śmierć najleksza, ten puhar wypiję.
Żądasz więc mojej śmierci?

HENRYK.

Precz, straszna poczwaro!
Nędzny! takąż to wdzięczność niesiesz panu w darze?
Sumienie niech ci będzie zasłużoną karą.
Wyganiam cię ze dworu.

NICK.

Ja sam się ukarzę.
Wypija prędko puhar nalany przez królową.

HENRYK.

Co czynisz?

NICK.

Nic, wypiłem królowej napoje;
Zasnę jak małe dziecko, będę miał sny miłe.

HENRYK.

Zadrżałem mimowolnie, lecz czegóż się boję?
On tylko zaśnie.

NICK.

Zasnę, gdy znajdę mogiłę!
I tej może odmówią.

Blednie, siada przy królu i głowę na dłoniach opiera.

Przed daleką drogą
Powrócę jeszcze myślą w rodziców mieszkanie.
Widzę tam, w końcu sioła, tę chatę ubogą,
Zczerniałe dymem ściany i obraz na ścianie;
A przy obrazie lampa, pies wrót starych strzeże,
Nad chatą dąb spróchniałe podnosi konary.
O Boże! widzę, widzę — tam mój ojciec stary
Na progu pług naprawia i mówi pacierze.
Oto matka ze łzami usiadła do przędzy,
Śpiewa pieśń, jak przy mojej kołysce śpiewała.
O! któżby! któżby sądził, że pod dachem nędzy
Urodzi się istota, co się będzie śmiała.

HENRYK.

Pierwszy raz wpadasz, Nicku, w tak czarną tęsknotę;
Ty byłeś tak wesoły.

NICK.

Tak, byłem tułaczem.
Któżby przyjął do domu płaczącą sierotę:
Panowie mogą smutek głosić jękiem, płaczem,
Nędzasz śmiać się potrafi — potrzebuje chleba.

HENRYK.

Powiedz! co ci jest, Nicku! ten napój! o Boże?
Może jaki ratunek?

NICK.

Już mi nic nie trzeba.
Słuchaj, królu! z dzieciństwa chowany na dworze,
Służyłem za igraszkę — śmieli się dworzanie,
A ja widziałem wzgardę w ich śmiechu... Na Boga!
I ja też miałem serce! tak jak pies u proga,
Jak twój pies się do ciebie przywiązałem, panie.

Wiedząc, jako śmiech rzadko królom towarzyszy,
Chciałem, ażeby zawsze towarzyszył tobie;
Teraz król już mojego głosu nie usłyszy,
Chyba się będzie jeszcze śmiał na moim grobie,
I dzwonki mu przypomną dzwony na pogrzebie.

HENRYK.

On umiera! Królowo, okropna to zdrada!
Nicku! Nicku! i cóż mam uczynić dla ciebie?
Oczy twoje ściemniały i twarz śmiercią blada.

NICK.

Królu! zawieś na czapce kilka sztuk pieniędzy,
Odeślij ją rodzicom. Złotem się pocieszą,
Może pocieszą, może poratują w nędzy;
A czapkę w niskiej chacie na ścianie zawieszą,
I będzie im niekiedy przypominać syna;
Niech matka, przędąc pod nią, tę pieśń przypomina,
Którą niegdyś w kołysce śpiewała nademną.
O Boże! jak mi słabo — jak mi w oczach ciemno.

HENRYK.

Nicku! ty mnie rozczulasz! patrz, łzy moje płyną.

NICK.

Królu! nigdy nie byłem łez twoich przyczyną,
Czemuż wesołość moja z życiem obumiera?

HENRYK.

O nie śmiej się! ten uśmiech smutny, wymuszony,
Do głębi mię przenika, serce mi rozdziera.
Umierasz za mnie, wierny, wzgardą nagrodzony.

NICK, *wesoło.*

Nagródź mi. Wybierz czterech najuczeńszych ludzi,
Niech niosą trumnę błazna, niechaj głupstwo noszą;
A gdy się każdy dobrze ciężarem utrudzi,
Tylko ciężarem głupstwa — po kraju ogłoszą,
Że Nick umarły więcej waży niż Nick żywy.
Tyś się uśmiechnął, panie! o jakżem szczęśliwy!
Chciałem cię jeszcze widzieć z uśmiechem na twarzy
Przebacz mi, panie, wszystko, zamykam powieki,
Już cię widzieć nie będę — tak mi się coś marzy,
Tak słabo...

HENRYK.

Nicku!

NICK.

Żegnam! żegnam cię na wieki!

HENRYK.

Przyjacielu mój! synu!

NICK, *podnosząc głowę, z obłąkaniem.*

Synu! któż mię woła?
Czy to mój ojciec? — Próżno! tak ciemno dokoła,
Już was widzieć nie mogę — muszę was porzucić!
Och! zostawcie mi miejsce, przyjdę tam do chaty,
Odpocznę — ja myślałem zawsze do was wrócić.
O matko! matko moja! daj mi inne szaty,
Matko! jak mi źle było na świecie. Och!

Pada u nóg króla i kona.

HENRYK.

Skonał!...
To przyjaciel ostatni! żono tkliwa, czuła,
Patrz! to twój senny napój tej zbrodni dokonał,
Tyś go otruła... myślisz, żeś męża otruła?
Nie, Henryk żyje, tylko został sam na ziemi,
Sam został — wszystko jedno, jakby zasnął w grobie.
Gdyś mnie pocałowała, piekło było w tobie,
Dlatego całowałaś ustami zimnymi...
Zobaczę go raz jeszcze... Jak twarz jego zbladła!

Bierze lampę i oświeca nią twarz Nicka.

Zsiniałe usta — twarde usłał sobie łoże.
O nieba! iskra z lampy na twarz mu upadła,
Szalony! ja ją gaszę — on jej czuć nie może,
Nic już nie czuje... Skończył. Tu rozpacz daremna!
Trzeba się gdzie uchronić przed zdradą kobiety.
Ujść przed nią — gdzież uchodzić? wokoło noc ciemna:
Może tu koło domu ukryte sztylety?
Czegóż się nie dopuszczą? na co nie odważą?
Niema większej poczwary na ziemskim przestworzu.

Po chwili

Zostanę tu! obaczę z jaką jutro twarzą
Przyjdzie szukać zmarłego męża na tem łożu.
A twarz jej uda bladość — może ubielona?
Może jęk jej usłyszę za drzwiami komnaty,
Pewna jest mojej śmierci, wprzód nim się przekona,
Czy ja umarłem! będzie płakać mojej straty.
Wtenczas ją jednem! jednem spojrzeniem zabiję.

Stawia lampę u głów Nicka.

Więc Bóg czuwa nademną i od śmierci strzeże.
Postawię przy nim lampę, całunem nakryję,
Będę nad umarłym w nocy odmawiał pacierze.
Tak samotny przy zmarłym i w noc taką ciemną,
Sam jeden... Boże! Boże! zmiłuj się nademną.

AKT V.

Teatr wystawia salę gotycką. W głębi wielki hebanowy krucyfiks, przed nim zawieszona lampa srebrna. Noc. Przez okna wpada blask księżyca.

SCENA I.

MARJA, PAŹ.

MARJA.

Paziu! wszak już wybiła godzina północy?
Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali,
Nikt wiedzieć nie powinien, że ja czuwam w nocy.

PAŹ, *gasi pochodnie i pokazuje na lampę przed krucyfiksem.*
Czy i tę lampę zgasić?

MARJA.

Lampa niech się pali,
Jej blask mię przed obcymi zdradzić nie powinien,
Chyba przed Bogiem zdradzi, ale boskie oko
I w cieniach nocy widzi winnego.

PAŹ.

Któż winien?

MARJA.

Czy król wypił lekarstwo? zasnąłże głęboko?
W Botwelu powolnego znalazłam mściciela;
Gdzież się on dotąd bawi?

PAŹ.

Widziałem Botwela:
Błąkał się w zacienionej drzewami ustroni,
Koło wiejskiego domu, gdzie Henryk przebywa.

MARJA.

Widziałeś! miałże sztylet?

PAŹ.

Żadnej nie miał broni,
Ale twarz jego była blada i straszliwa.

MARJA.

Jakże nagle czas płynie! jak straszna odmiana;
Teraźniejszość zatruła! przyszłość zatruć może!
Niedawno w kraju Franków, na królewskim dworze,
Kochałam wszystkich, równo od wszystkich kochana;

Z dziecinnym śmiechem nowe widziałam klejnoty,
Z dziecinnym śmiechem ciche słyszałam westchnienie,
Z uśmiechem przed zwierciadłem trefiłam włos złoty,
Przeplatając różami trefione pierścienie.
A dziś.

PAŹ, *przynosząc zwierciadło.*

Dzisiaj, królowo, spojrzyj w to zwierciadło,
Czy mogłaś być piękniejszą?

MARJA.

O! tyś mię obraził,
Pokazując w zwierciadle moję twarz wybladłą.

PAŹ.

To może blask kryształu oczy twoje raził?
Lecz tu ciemność głęboka, jedna lampa płonie...
Czy ci przykre to światło? ja lampę zasłonię...
Pani! ty mię przerażasz; coraz bardziej blada:
Czemże ten czarny smutek serca rozweselę?
Lubisz powieści? oto ciekawa ballada,
Dotąd krąży śpiewana między szkockim gminem.
Pozwól, królowo! milczysz? a więc się ośmielę...
Posłuchaj! stara matka tak rozmawia z synem:

Królowa siedzi zamyślona, paź dziecinnym głosem mówi następującą balladę.

Synu mój! synu! czemu od rana
Jesteś tak smutny? twarz obłąkana,
Miecz krwawą splamiony skazą?
O matko! syn twój zabił sokoła,
Dlatego dzisiaj twarz niewesoła,
Dlatego we krwi żelazo.

Synu mój! synu! po twym sokole
Nie miałbyś takich zgryzot na czole
I miecz nie taki czerwony?
O matko! matko! zabiłem konia!
On mię tak szybko nosił przez błonia,
Z wiatrami biegał w przegony.

Synu mój! synu! źleś się obronił,
Możebyś po twym koniu łzy ronił,
Bladości inna przyczyna?
O matko! matko! ojca zabiłem!
Bladością zgryzot czoło splamiłem,
I we krwi ojca — miecz syna.

Synu mój! synu! po takim czynie
Gdzież się obrócisz? w jakiej krainie
Schronisz się, synu mój miły?
O matko! matko! na świata kraniec
Pójdę wzgardzony, tułacz, wygnaniec,
Spokojnej szukać mogiły.

Synu mój! synu! idź w obce strony!
Lecz cóż zostawisz dla dzieci, żony,
Pod obce uchodząc nieba?
O matko! matko! niech na nich spada
W dziedzictwie nędza, pod próg sąsiada
Niech idą, niech żebrzą chleba.

Synu mój! synu! w czarnej żałobie
Została matka, i cóż po sobie
Zostawi matce zabójca?
O matko moja! o matko miła!
Przekleństwo tobie! tyś mnie namówiła,
Żem zabił ojca.

MARJA, *obudzona nagle z zamyślenia.*

Przekleństwo? co? przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — coś wyrzekł? ojca! męża! króla!
Paziu, coś do mnie mówił? twoich przekleństw siła
Zabija mnie!...

PAŹ.

Ballada smutna, mnie rozczula
A ciebie przeraziła?... Dziś cierpi królowa.

MARJA.

Paziu mój! kto ci w usta włożył takie słowa?
Ty mnie przeklinasz! kto cię nauczył przeklinać?
Jam dotąd przed tym paziem czarny zamiar kryła,
Nie śmiałam go przerazić, nie śmiałam wspominać.
Przekleństwo! tak, przekleństwo mnie, żem namówiła
Na zabicie — to Botwel mówi do mnie, Boże!
To Botwel mówi!

PAŹ.

Pojąć nie mogę przyczyny,
Czem ją mogłem obrazić?

MARJA.

On pojąć nie może?
A właśnie mię przeklinał, wyrzucał mi winy.
Dziecko, jeszcze tak młode, a tak się ukrywa.

PAŹ.

Królowo, oto Botwel w te progi przybywa.

SCENA II.

MARJA, PAŻ, BOTWEL.

MARJA, *wpatrując się w Botwela.*

Botwelu!... Cóż to? milczysz?

BOTWEL.

Czas wszystko odkryje,
Czas złym jest powiernikiem...

MARJA.

Botwelu!... On — żyje?...

BOTWEL.

Żyje? nie wiem, królowo — dotąd już mógł skonać...

MARJA.

Co? więc zaczętej zbrodni nie mogłeś dokonać...

BOTWEL.

Nie widziałem dziś króla...

MARJA.

Więc żyć będzie?...

BOTWEL.

Zginie...
Może już zginął?...

MARJA.

Jakto? ty go nie widziałeś?...

BOTWEL.

Aleś ty go widziała...

MARJA.

Czyż wzrokiem jedynie
Mogłam go zabić?...

BOTWEL.

Możeś chciała?

MARJA.

Nie, ty chciałeś!
Lecz ja zabić nie mogłam wzrokiem... O Botwelu!
Jeżeliś na mnie liczył, uchybiłeś celu,
Tak, jedynie obłudy zmazałam się grzechem...
Ja się do niego śmiałam...

BOTWEL, *szyderczo.*

Zabiłaś uśmiechem,
Dosyć, żeś go zabiła... Nie badaj, królowo,
Teraz potrzeba zgładzić naszej zbrodni ślady;
Król głęboko zasypia — lecz pod jego głową
Siarka z saletrą zdradne usłały posady.
Daj mi pochodnię.

MARJA.

Luby! dziś miesiąc na niebie,
Na co ci światło?

BOTWEL.

Umarł... pogrzebać go trzeba..
W gruzach własnego domu Henryka pogrzebię...

MARJA.

Lecz on żyje!...

BOTWEL.

Więc żywy uleci do nieba...
Pod jego domem mina burząca spoczywa
i czeka iskry... Ognia! ognia!

MARJA.

Nieszczęśliwa!
Cóż uczynię?...

BOTWEL, *z wzrastającą gwałtownością.*

Daj ognia!

MARJA.

Ciebie gruz przywali!...

BOTWEL.

Ognia!...

MARJA.

Zgasły pochodnie...

BOTWEL, *pokazując lampę.*

Ta lampa się pali,
Posłuży mi...

MARJA.

Tam moja domowa kaplica...

BOTWEL.

Paziu! daj mi tę lampę...

MARJA.

To lampa z ołtarza!

BOTWEL.

Nieraz kościelna lampa pogrzebom przyświeca,
Wszakże idę na cmentarz, grzebać wśród cmentarza...

MARJA.

Czyliż nigdy ucieczki nie szukałeś w Panu?
Patrz! przy świetle tej lampy błyszczy krzyż ze spiżu
I Chrystus hebanowy — on cierpi na krzyżu!
Zdaje mi się, że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo...
Boże!...

Klęka przed ołtarzem.

BOTWEL.

O śmierć Henryka modlisz się, królowo?
Wysłuchane modlitwy... Może w tej godzinie
Henryk kona...

MARJA, *zrywając się z przed ołtarza.*

Co mówisz? Henryk teraz kona?
A ja się modlę?

BOTWEL, *zdejmując lampę.*

Spieszę, niech ślad zbrodni zginie.

MARJA.

O Botwelu! Botwelu! to lampa święcona...

BOTWEL.

Wróci! wróci przed ołtarz, choć ją we krwi zmażem.

MARJA.

Lampa przed ołtarz wróci we krwi?

BOTWEL.

Marna trwoga!
Jeśli po zbrodni staniesz przed obliczem Boga,
Lampa po zbrodni może świecić przed ołtarzem;
Lampa, to tylko marne rąk naszych narzędzie,
I mniej Boga przerazi, bo mniej winną będzie.

MARJA.

O Boże! cóż uczynię w udręczeniu srogiem?

BOTWEL.

Czytaj książkę modlitwy.

MARJA.

Tak ciemno w tej sali!...

BOTWEL, *z szyderstwem.*

Więc udawaj, że czytasz, udawaj przed Bogiem!
Jeśli Bóg nie pochwali, człowiek cię pochwali.
Niejeden powie: patrzcie! ma świętość anioła!
Ta kobieta przed śmiercią już świętą zostanie,
Promień światłości wkrótce wystrzeli z jej czoła;
Patrzcie! ona się modli za męża skonanie...
O Marjo! porzuć trwogę i płoche przesądy,
Jeżeli Bóg ma sądzić? już zapadły sądy;
Bądź spokojną! ta lampa zdjęta z przed ołtarzy
Przeważonej już szali dalej nie przeważy.
Żegnam cię!...

MARJA.

Stój, Botwelu!

BOTWEL.

Bądź zdrowa!

MARJA.

Zaklinam!
Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam.

BOTWEL.

Lecz wahać się nie możesz.

Odchodzi.

SCENA III.

MARJA, PAŻ.

MARJA.

Poszedł... Nie wstrzymałam...
Czuję, że mogłam wstrzymać... Czarne moje serce!
Mogłam go jednem słowem wstrzymać — i nie chciałam.
Niech teraz dla nas ślubne rozścielą kobierce...
O nie! nie dla mnie szczęście. Paziu, powiedz szczerze,
Ja okropną być muszę?...

PAŻ.

Pani! jesteś blada.

MARJA.

Klęknij tam, przed ołtarzem, mów za mnie pacierze...

Paź odchodzi przed ołtarz, lecz niespokojny patrzy na królowę.

Na moje oczy jakiś sen trudzący spada,
Marzę i czuwam... barwę przybrały marzenia...
Tron i świateł tysiące... ja siedzę na tronie...
Teraz wszystko ciemnieje... w purpurze, w koronie
Idę — o Boże! Boże! to mury więzienia...

Któż mnie wtrącił w te mury, żywą zamknął w grobie.
Wokoło jeszcze wiernych przyjaciół drużyna,
Dlaczego płaczą? czemu ubrani w żałobie?
I ksiądz nademną czarne grzechy przypomina,
Jakież grzechy?... dzisiejszą noc... dzisiejsze zbrodnie!...
Teraz... wszyscy odeszli, kapłan się oddala,
Wchodzę do jakiejś sali? to tronowa sala.
Posępnym blaskiem płoną tysiączne pochodnie,
Na moim tronie obca zasiadła kobieta...
Boże! sala tronowa, a kirem wybita?
Zamiast kwiatów, ubrana w żałobne cyprysy...
Klękać mi każą — poco?... modlić się do Boga?
Ach!!!

PAŻ, *zbliżając się.*

Pani! w tych marzeniach widzę główne rysy
Przepowiedzeń dziwacznych twego astrologa.

MARJA.

Lecz czemuż w tej godzinie stają mi na myśli?
Umysł je przybrał w jasne obrazu kolory.
Postaci ich odbija, wszystkie twarze kreśli.

PAŻ.

Pani moja! masz umysł obłąkany, chory.

MARJA.

Czy nic nie słyszysz paziu?

PAŻ.

Wkoło głuche cisze,
Tylko echo pałacu słowom odpowiada.
Tylko wiatr gałęziami modrzewiów kołysze,
I przez gotyckie okna blady księżyc pada.

MARJA.

Co? księżyc świeci? jaka blada przy księżycu
Musi być twarz Botwela? Na ponurem licu
Głęboki zamysł zbrodni uśpiony spoczywa;
Za nim księżyc na trawie długie kładzie cienie;
Błąka się — w dłoniach lampy ognisko ukrywa,
Aby jej nie zgasiło silne wiatru tchnienie...
O! tak, bogdajby zgasła! wróci z twarzą ciemną,
Lecz przynajmniej nie ujrzę zbrodni na tej twarzy.
Nie, nie, lampa nie zgaśnie, sam wiatr ją rozżarzy.
Henryk zginie!... O Boże! zmiłuj się nademną!

Po chwili z wzrastającem przerażeniem.

To Rizzia! Rizzia słowa! Czyż ta noc wróciła?...
Patrzcie — on się w te szaty królewskie otula...
Nigdy krwi nie widziałam!... szat mi nie splamiła...
Stój, Duglasie! Patrz, paziu! patrz tam za mnie, w cieniu,
Czy tam kto stoi za mną?...

PAŻ.

Kto?

MARJA.

Niema tam króla?...

PAŻ.

To mara utworzona w twojem przywidzeniu...

MARJA.

Słyszysz, powtarza: — jestem! jestem tu przy tobie!
Jest przy mnie? tu w tej sali, jeszcze w takiej porze?
Lękam się spojrzeć za mnie... powinien spać w grobie
A on jest teraz przy mnie! Nie, to być nie może!
Lecz jeszcze czas! O paziu! on żyje! król żyje!
Spiesz! zatrzymaj Botwela, spiesz, mój paziu drogi!
O paziu! ty zadrżałeś? z radości? czy z trwogi?
Spiesz! spiesz! ja nieszczęśliwa! on króla zabije...
Na miłość Boga! Spiesz się...

PAŻ.

Botwel nie posłucha.

MARJA.

Prawda... Nieś mu odemnie, nieś ten pierścień złoty...
Wszak jeszcze czas! czas jeszcze. Wszędy cichość głucha.
Nie, król umrzeć nie może, nie zniosę zgryzoty.

PAŻ.

Spieszę...

Biegnie do drzwi, lecz nagle chwieje się i drży u progu.

MARJA.

O Boże! Boże! Spiesz, mój paziu miły
Czegoż czekasz?...

PAŻ.

Królowo moja! nie mam siły,
Tak mi słabo..

MARJA.

Spiesz, paziu!...

PAŻ.

Już idę, królowo!
Już idę! idę!... Och! Och!...

Pada.

MARJA.

Paziu! drogie dziecię!
Paziu! przemów, mój drogi! przemów jedno słowo!
I miałżeby on umrzeć, umrzeć w wieku kwiecie?
Nie... on umrzeć nie może.

PAŻ, *słabym głosem.*

Te bole przeminą...
Senny jestem... Królowo, kochasz mnie?

MARJA.

Jak syna!
Paziu! obudź się, drogi! weź tę kroplę wina,
Może ciebie orzeźwi?

PAŻ, *drżącym głosem.*

Już piłem dziś wino...

Kona.

Marjo moja! och! och! och!...

MARJA.

Paziu! moje życie!
Paziu! wołam, budzę, a on się nie budzi?
Boże! za moje zbrodnie skarałeś to dziecię!
Powiew zbrodni koło mnie już zabija ludzi,
A mnie zabić nie może, jak niegodną kary.

Klęka na stopniach przed krucyfiksem.

Boże! błagam cię! przyjmij mnie na twoje łono,
Przywykłam spokojności szukać na dnie wiary.
Na cóżeś moje czoło uwieńczył koroną?
Na cóż mię szata ziemskiej wielkości okryła?
Blask marzenia już zniknął, gdym tę noc przeżyła!

Słychać wybuch miny.

Ach!!!

Po chwili zrywa się i biegnie do okna.

Widzę! widzę! kłęby dymu i płomieni,
A tam, w czarnych obłokach, jakiś duch straszliwy
Ulatuje do nieba, chmurzy się i mieni;
To Henryk! Henryk! ja go poznałam — nieżywy!...

Odwraca się od okna i znów cofa się z przestrachem.

I tu znów Henryk! Henryk przedemną w tej sali!
Widziałam go przed chwilą, był blady i chory,
A teraz takie jasne na licu kolory,
Jakby żył jeszcze — oko płomieniem się pali...
Precz! precz odemnie! szukasz ślubnego pierścienia?
Oto go masz! już odejdź — nie jestem twą żoną.
Ach Henryku! Henryku! nie masz ty sumienia!
Dręczyć tak duszę tylu mękami dręczoną!...
Ach, zlituj się nademną — jestem nieszczęśliwa!
Chcesz może widzieć moje udręczenia, nędzę,
Patrz na twarz moją — z oczu strumień łez nie spływa;
Lecz ja cierpię, przysięgam! nie wierzysz przysiędze?
Wszak jeszcześ słowom moim ufał przed godziną.

SCENA IV.

MARJA, BOTWEL.

BOTWEL, *wchodzi ze zgaszoną lampą.*

O Marjo! uchodź! uchodź!

MARJA.

Patrz! patrz!... tam przedemną.

BOTWEL.

Tak, widzę, na podłodze krwi strumienie płyną...
Krew Rizzia.

MARJA.

Nie, nie widzę krwi, w sali tak ciemno,
Ale w ciemnościach widzę postać martwą, bladą.
Zdradę króla czarniejszą zmazaliśmy zdradą,
Musiałam mu przebaczyć, on mi nie przebaczy!
Patrz tam!

BOTWEL.

To paź nieżywy.

MARJA.

Boże! paź nieżywy!..
Botwelu, co to znaczy?...

BOTWEL, *z dzikim śmiechem.*

Cha! cha! co to znaczy?
Wiedział o naszej zbrodni... umarł...

MARJA.

Nieszczęśliwy!
O! Botwelu! Botwelu! nie jesteś aniołem!
Inny stworzyłam obraz niegdyś w mojem sercu,
Precz! precz odemnie, zbójco z tem wybladłem czołem!

BOTWEL.

Chodź ze mną!

MARJA.

Gdzie?

BOTWEL.

Odpoczniesz na ślubnym kobiercu...
Teraz idźmy się błąkać... słyszysz te okrzyki?
To lud nas ściga mściwy... wkrótce motłoch dziki,
Uzbrojony, napełni królewskie pokoje.
O Marjo! uchodź! uchodź!

MARJA, *odstępując od niego z przerażeniem.*

Ja się ciebie boję!

BOTWEL.

Serca zbrodnią skalane zbrodni się nie boją,
Słuchaj! otrułaś króla, jesteś moją!

MARJA.

Twoją?...
O! nie, Botwelu! ty mię skłonisz do szaleństwa.

BOTWEL.

Straszne okrzyki ludu w tę noc zbrodni ciemną.

MARJA.

Cóż w tych okrzykach słyszysz? co słyszysz?

BOTWEL.

Przekleństwa.
Chodź, Marjo! uciekajmy! chodź ze mną! chodź ze mną!

(1830).

UTWORY Z PIERWSZEJ EPOKI PARYSKIEJ

PARYŻ.

Patrz! przy zachodzie, jak z Sekwany łona
Powstają gmachy połamanych składem,
Jak jedne drugim wchodzą na ramiona,
Gdzie niegdzie ulic przeświecone śladem
Gmachy skręconym wydają się gadem,
Zębatą dachów łuską się najeża.
A tam, czy żądło oślinione jadem?
Czy słońca promień? czy spisa rycerza?
Wysoko strzela blaskiem ozłocona wieża.

Nowa Sodoma! pośród twych kamieni
Mnoży się zbrodnia bezwstydna widomie,
I kiedyś na cię spadnie deszcz płomieni,
Lecz nie deszcz boży, nie zamknięty w gromie,
Sto dział go pośle — A na każdym domie
Kula wyryje straszny wyrok Boga;
Kula te mury przepali, przełomie,
I wielka na cię spadnie kiedyś trwoga,
I większa jeszcze rozpacz, bo to kula wroga...

I już nad miastem wisi ta dział chmura,
Dlatego ludu zasępione tłumy,
Dlatego ciemność ulic tak ponura,
Przeczuciem nieszczęść zbłąkane rozumy;
Bez echa kona słowo próżnej dumy,
O wrogach ciągle toczą się rozmowy...
A straż ich przednia, już północne dżumy
Obrońców ludu pozwiewały głowy,
I po ulicach ciągły brzmi dzwon pogrzebowy.

Czy wrócą czasy tych świętych tajemnic,
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod katem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli,
Co kiedy śmieli pomyśleć, wyrzekli.
Lud cały kona, katy i obrońce,
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawej zorzy końce,
Jak Jozue wołali: „dnia trzeba, stój, słońce!“

I nie stanęło, pomarli przedwcześnie,
Lecz zostawili pamiątki po sobie:
Kraj po rozlewie krwi tonący we śnie,
I lud, nie po nich, ubrany w żałobie,
Krwi trójcę w jednej wcieloną osobie. [1]
Ten jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie
Drugą na zamku królów. — Gdzie oczyma
Sięgnął, tam wnet i ręką dostawał olbrzyma.

A kiedy posąg walił się z podstawy,
Tysiące ludu sławą się dzieliło,
Każdy się okrył łachmanem tej sławy,
Każdemu było dosyć, nadto było...
Marzą o dawnej sławie nad mogiłą,
I pod kolumną spiżu wszyscy posną [2];
Choć cięcie kata głowę z niej strąciło,
Choć na niej może jak na gruzach, z wiosną
Chwasty i z liljami Burbonów porosną.

Tu dzisiaj Polak błąka się wygnany,
W nędzy... i brat już nie pomaga bratu.
Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu.
I całej nędzy nie wyjawię światu...
Twarze z marmuru, serca marmurowe,
Drzewo nadziei bez liścia i kwiatu
Schnie, gdy wygnaniec złożył pod niem głowę,
Jak nad prorokiem Judy schło drzewo figowe.

. . . . . .

Zdala od miasta szukajmy napisów,
Gdzie wielki cmentarz zalega na górze [3].
O! jak tu smutno, kędy wśród cyprysów
Pobladłe w cieniu chowają się róże.
A pod stopami, dalej, miasto w chmurze
Topi się we mgłach gasnących opalu;
A dla żałobnych rodzin przy tym murze,
Przedają wianki z płótna lub z perkalu,
Aby dłużej świadczyły o kupionym żalu.

Patrz znów w mgłę miejską, oto wież ostatki,
Gotyckim kunsztem ukształcona ściana [4].
Rzekłbyś, że zmarła matka twojej matki,
W czarne brabanckie koronki ubrana,

---

[1] Napoleon. [2] Kolumna Vendôme. [3] Cmentarz Père la Chaise.
[4] Kościół katedralny Notre-Dame.

Z chmur się wychyla jak duch Ossjana [1].
Ludzi nie dojrzysz. — Lecz nad mgłami fali
Stoją posągi (gdzie płynie Sekwana) [2]
Jakby się w Styxu [3] łodzi zatrzymali,
I przed piekła bramami we mgłach stoją biali.

Tam gmachy Luwru, gdzie tron Baltazara,
A na nim siedział wyrobnik umarły;
Przez dnie lipcowe panowała mara,
U nóg jej ludzie snuli się jak karły;
Bo nad nią cienie śmierci rozpostarły
Wielkość olbrzymią, był to król narodu.
I aksamity krew mu z czoła starły,
Lecz jego dzieci umierały z głodu...
Zaczął dynastją trupów, był ostatnim z rodu [4].

(1832)

---

[1] Ossjan, legendarny autor poematu, napisanego faktycznie przez Macphersona w XVIII w. [2] Most Zgody albo Ludwika XVI z białymi posągami. [3] Styks, rzeka w Hadesie przez którą Charon przewoził umarłych. [4] po wzięciu Luvru, na królewskim tronie lud położył trupa.

GODZINA MYŚLI.

Głuche cierpiących jęki, śmiech ludzki nieszczery,
Są hymnem tego świata; a ten hymn posępny,
Zbłąkanymi głosami wiecznie wniebowstępny,
Wpada między grające przed Jehową sfery
Jak dźwięk niesfornej struny. Ziemia ta przeklęta
Co nas takim piastunki śpiewem w sen kołysze.
Szczęśliwy, kto się w ciemnych marzeń zamknął ciszę.
Kto ma sny i o chwilach prześnionych pamięta.

Trzeba życie rozłamać w dwie wielkie połowy:
Jedną godziną myśli trzeba w przeszłość wrócić;
I przeszłość, jako obraz ściemniały i płowy,
Pełny pobladłych twarzy, ku słońcu odwrócić,
I ścigać okiem światła obrazu i cienie,
Jak lśniące rozpryśnionych mozaik kamienie.
Tam, pod okiem pamięci, pomiędzy gór szczytem,
Piękne, rodzinne miasto wieżami wytryska
Z doliny wąskim nieba nakrytej błękitem.
Czarowne, gdy w mgle nocnej wieńcem okien błyska,
Gdy słońcu rzędem białe ukazuje domy,
Jak perły szmaragdami ogrodów przesnute.
Tam zimą lecą z lodów potoki rozkute,
I z szumem w kręte ulic wpadają załomy.

Tam stoi góra, Bony ochrzczona imieniem,
Większa nad inne, miastu panująca cieniem;
Stary, posępny zamek, który czołem trzyma,
Różne przybiera kształty, chmur łamany wirem;
I w dzień strzelnic błękitnych spogląda oczyma,
A w nocy, jak korona kryta żalu kirem,
Często szczerby wiekowe przesuwa powoli
Na srebrzystej księżyca wschodzącego twarzy.
W dolinie mgłą zawianej, wśród kolumn topoli,
Niech blade uczuć dziecko o przyszłości marzy.
Niechaj myślami z kwiatów zapachem ulata,
Niechaj przeczuciem szuka zakrytego świata;

To potem wiele dawnych marzeń stanie przed niem,
I ujrzy je zmysłami, pozna zbladłe mary.
Karmił się marzeniami, jak chlebem powszednim,
Dziś chleb ten zgorżkniał, piołun został w głębi czary.
Do szkieletu rozebrał zeschłe myśli ciało,
Odwrócił oczy, serce już myśleć przestało.

Gdy lampa gaśnie, kiedy pieśń piastunek ścicha,
Kiedy się małe dziecko z kołyski uśmiecha,
Ma sen całego życia... A gdy tak przemarzą,
Dzieci na świat nieznany smutną patrzą twarzą,
I bladem przerażają czołem od powicia;
Smutne pomiędzy ludźmi — bo miały sen życia.

Wśród litewskiego grodu, w ciemnej szkolnej sali,
Siedziało dwoje dzieci, niezmięszani w tłumie
Oba we współzawodnej wykarmieni dumie,
Oba wątłej postaci, marmurowo biali.
Młodszy wiekiem nadzieje mniejsze zapowiadał,[1]
Pierś mu się podnosiła ciężkiem odetchnieniem;
Włos na czole dzielony na ramiona spada,
I po nich czarnym, gęstym sypał się pierścieniem.
Widać, że włos ten co dnia ręką dziewic gładką
Utrefiony, brał blaski dziewiczych warkoczy.
Ludzie nieraz, „on umrze" mówili przed matką;
Wtenczas matka patrzała długo w dziecka oczy
I przeczyła z uśmiechem; lecz w smutku godzinie,
Kiedy na serce matki przeczuć spadła trwoga,
Lękała się nieszczęścia i myśląc o synie,
Nie śmiała wyrzec: niech się dzieje wola Boga.
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie.

Wśród ciemnej, szkolnej sali, było drugie dziecię:[2]
Włos miało jasny, kolor oczu lazurowy.
Ludzie na niem nadzieje budowali szczytne,
Pożerał księgi, mówił jak różne narody,
Do licznych nauk dziennie palące czuł głody,
Trawił się; jego oczy ciemne i błękitne
Jak polne dzwonki łzawym kryształem pokryte,
I godzinami myśli w nieruchomość wbite,
Tonąc w otchłań marzenia, szły prostymi loty
Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty.
Gdy patrzał w niewidziane oczyma obrazy,
Ludzie obłędność w oczach widzieli, lecz skazy

[1] Poeta mówi tu o sobie. [2] Przyjaciel poety Ludwik Szpitznagel.

Żadnej dostrzec nie mogli. Młoda pamięć obu,
Ogromna pamięć, z myśli uwita łańcucha,
Świadczyła o istności przedżywotnej ducha.[1]
A przeczuciami życie widzieli do grobu.
I nic ich nie dziwiło, co z lat poszło biegiem,
I smutni nad przepaści życia stali brzegiem,
Nie odwracając lica. W ciemnej, szkolnej sali,
Smutna poezja duszy dała dźwięk uroczy.
Na ciemnych mglistych szybach zawieszając oczy,
Wiosną, wśród szmeru nauk, myśleniem słuchali
Szmeru rosnących kwiatów. A w zimowe pory
Biegli na błonia białym pogrzebane śniegiem,
Tam prędkim po równinach zadyszani biegiem,
Twarze umalowane zimnymi kolory
Obracali na stronę, skąd przyjść miała wiosna,
I pierwszy powiew pili ustami jak życie.
Potem, gdy w wiosennego powietrza błękicie
W balsamy się rozlała czarna lasów sosna,
Znudzeni wonią kwiatów zmieszaną, stokrotną,
Wynaleźli woń tęskną, dziką i ulotną:
Była to woń wierzbami opłakanej wody;
Z cichej fali wstawała każdego wieczora
Tajemnicze w powietrzu rozlewając chłody.
Potem jesienią dzieci wyobraźnia chora,
Wypalona igrała z żółtym liściem lasów,
Smutna, jak w starcach pamięć przeminionych czasów.
Serce każdego równą miarę uczuć trzyma,
Smutna poezja duszy oba serca żywi;
Lecz wrażeniami duszy odmiennie szczęśliwi,
Odmiennie czuli. Dziecko z czarnemi oczyma,
Młodsze wiekiem, natchnieniom dało myśl skrzydlatą,
I wypadkami myśli żyło w siódmem niebie.
Młodszy marzenia stroił czarnoksięską szatą,
A potem, silną wolą, rzucał je przed siebie,
I stawały, i widział przed sobą obrazy,
Od których się odłamał zimniejszym rozumem:[2]
Więc przeczuł, że marzeniom da kiedyś wyrazy,
Że się zapozna myślą z myślnym ludzi tłumem.
Przed sobą miał krainę duchów do zdobycia.
Jego towarzysz, większy nauką i laty,
Nigdy od krain myśli nie odłamał życia;
Sprzągł razem i powiązał dwa niezgodne światy.
I nieraz go śmiech ludzi, śmiech, co czucia głuszy,
Budził, i rzeczywistość zimna roztrącała.
Jako posągom nieraz braknie w rysach duszy,
Posągom jego myśli brakowało ciała.

[1] Słowacki wierzył w wędrówkę dusz i pamięć poprzednich żywotów.
[2] t. zn. nie utożsamiał marzenia z rzeczywistością, przeprowadzał wyraźną linję graniczną między nimi.

Dusza, jak w kryształowem zamknięta przeźroczu,
Patrzała na świat dzikiem obłąkaniem oczu,
Niezupełności wrażeń łamana katuszą.

Nieraz te dzieci myślą dwoistą i duszą
Składali jedne, piękne całością obrazy.
W dnie wiosenne, przy ścieżce piaskowej na kwiatach,
Gdzie nad nimi różowe rozkwitały ślazy,
Gdzie wisznie jak dziewice, w białych wiosny szatach,
Między zarumienione kryły się jabłonie;
Tam wzajem na ramionach opierając skronie,
Zamieniali słowami uczucia wzajemne.
Oni marzeniem księgi rozumieli ciemne,
Nie rozumiejąc myślą. Z dziecinnego piasku
Na księgach Swedenborga[1] budowali gmachy,
Pełne głosów anielskich, szaleństwa i blasku,
Niebu Tytanowymi[2] grożące zamachy.

Przez tworów państwa snuli myślą dwa łańcuchy,
W światło zbite u góry, w ciemność spodem zlane;
Tych ogniwa, jak szczeble wschodów połamane,
Wiodą w światło idące, albo w ciemność duchy,
I świat tworów w dwa takie rozłamane ruchy
Wiecznie krąży. A dusza z iskry urodzona,
Różnem życiem przez wieki rozkwita, i kona
Przez długie wieki, biorąc kształty różnych tworów
W kwiecie jest duszą woni i treścią kolorów,
W człowieku myślą, światłem staje się w Aniele.
Raz wstępnym pchnięta ruchem, ciągle w Boga płynie,
W doskonalszem co chwila rozkwitając ciele.
Człowiek się silną myślą w anioła rozwinie,
Ten anioł zachwyceniem w światło się rozleje
I będzie częścią Boga na żywiołów tronie.
Lecz męty ziemskie w światła osiadają łonie;
Jak o spadłych aniołach święte uczą dzieje,
Ziemskimi sny ścigani, grzeszą myślą dumy.
I co dnia, z łona Boga dusz zagasłych tłumy
Lecą na ziemię, jak gwiazd zepchnięta lawina.
Każda się w kształty ziemskie kryształi i ścina,
I rosnącym ciężarem w bieg strącona skory,
Przechodzi w ludzkie, czuciem zardzawiałe twory;
I będzie jadem w gadzie, a trucizną w kwiecie.
Patrząc na tłumy ludzi na tym ciemnym świecie,
Oni widzieli, którzy z łona Boga spadli,
I po chodzących szczeblach szli w otchłań i bladli.

---

[1] Swedenborg, mistyk szwedzki XVIII w. [2] Tytani, synowie Zeusa, wypowiedzieli mu walkę.

W duszy dziecinnej, woli czarnoksięska siła,
Ciągłem myśleniem, ciągłem rozwijana snuciem,
Niewyjawiona słowy, często w ludzi biła.
Zaczarowanie wolą nazwali zaczuciem.
Bo nieraz wśród ciemnego tłumami kościoła,
Którą z klęczących dziewic natrafiwszy losem,
Wołali na nią silnie niemym duszy głosem;
Wtenczas twarz odwracała od Pańskiego stoła,
I pośród tłumu ludzi, jej wzrok w zadziwieniu
Nieobłędnie rzucony na twarz dzieci padał,
Jakgdyby na wołanie duszy odpowiadał,
Jakgdyby ją po znanem wołali imieniu.

Nieraz starszy błękitne topiąc w ziemię oczy,
Mówił: „Słyszysz, mój luby, jak obecna chwila
Pada w przeszłość, rzucając dźwięk tęskny, uroczy;
Ona nigdy nie wróci, ona nas nachyla
Smutniejszymi twarzami w przeszłość upłynioną.
Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną,
Niż gdy w sercu zamknięte; moje myśli gasną,
Słów nie cierpią, lecz nieraz w godzinie tajemnie
Tłumnymi słowy w piersiach jak szatany wrzasną
I wołają, ażebym je wypuścił z ciemnic,
Abym je wywiódł na świat, słów otworzył drogę.
Niech mi świat da poezję, dać mu jej nie mogę.
W tłumie myśli mam przepaść wiecznie czczą myślami,
Przepaść ciemną, głęboką; napełnię ją życiem...
Jeżeli nie wystarczy? biada! ciągłem gniciem
Myśl się w martwą przekształci ciemnością i łzami,
Stanę się myśli grobem, lub umrę przedwcześnie.
Słuchaj! wschodnie krainy dziś ujrzałem we śnie,
Piękne były, czarowne, nieraz o nich marzę.
Widzę słońcem ściemniałe Beduinów twarze,
Widzę lasy palmowe, świadki dawnych czasów.
Myśl moja, niewstrzymana w te krainy goni,
Chciałbym jak duch w kwiecistej roztopić się woni,
Chciałbym jak liść nieznany paść tam w głębi lasów".
Gdy tak marzył, to wisznie i kwiaty ogrodu
Bezwonne przed nim rosły, bo myśl dalej biegła,
I wkrótce marzeniami ognistymi wschodu
Zamknęła go w płomieni kole i obległa.
Więc pojechał do wielkiej na północ stolicy [1].
Gdzie długo patrzał w Koran, zwierciadło Kalifów [2];
Albo samotny słuchał wieków tajemnicy,
Wymówionej niepewną twarzą hieroglifów.
Po trzech latach nauki, miał wziąć kij pielgrzyma.

[1] Szpitznagel pojechał na studja orjentalistyczne do Petersburga.
[2] Kalif, piastun najwyższej władzy duchownej.

Przez te trzy lata dziecko z czarnemi oczyma
Poznało miłość [1]. Pierwszą i ostatnią była,
I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła.
Widziałem go przy stopach dziewicy — anioła,
Czarnemi weń oczyma patrzała i bladła,
Myśląc o dziecka życiu, bo z wielkiego czoła
Przyszłość mu nieszczęśliwą, jak wróżka odgadła.
Więc odwracała oczy, a wtenczas łzy lała.
Przed nią dusza dziecięcia, jako karta biała,
Czerniła się na wieki miłością daremną.
Ona go chciała wysłać na tę ziemię ciemną
Ze wspomnieniami szczęścia, chciała zbroić nimi
Przeciwko własnej duszy, i czczym chwilom ziemi;
Więc kładła w niego marzeń i myśli tysiące,
A słowa jej tak były łagodne, tak drżące,
Że we wspomnieniach dziecka zlane, dały dźwięki
Podobne do miłości zeznanej wyrazu.
Ona umiała oczom nadać wzrok rozkazu,
I nieraz wstrzymać zamach samobójczej ręki.

On sam od siebie śmierci odsunął widziadło.
Dziwnem wynalezieniem cierpiącego życia.
On przed sobą przyszłości postawił zwierciadło,
I rzucał w nie obecne chwile, i z odbicia
Wnosił, jaki blask przyszłe wspomnienia nadadzą
Obecnym chwilom życia. Taką myśli władzą
Śmiech nieraz słyszał, wspomnień powtórzony echem,
Smutny i połamany przyszłością niepewną,
I na wesołą chwilę twarzą patrzał rzewną;
A nieszczęście przyjmował pół smutnym uśmiechem,
Patrząc na nie z przyszłości. Był to wzrok wędrowca,
Co w drodze życia wstąpił na szczyty grobowca,
I stamtąd ściga mgliste rysy krajobrazów.

Nieraz z dziewicą bory przelatywał ciemne;
Gdy pod ich końmi iskry sypały się z głazów,
Mówili wzajem myśli głębokie, tajemne,
Jak do snu kołysani, marzący jak we śnie.
A dziecię, bolem uczuć złamane przedwcześnie,
Po takich mowach ludzi chroniło się tłumu,
I biegło w ciemne lasy; tam na dzikie wrzosy
Kładło się bladą twarzą, sosn słuchając szumu;
Tam uśpionemu myślą wiatr rozwiewał włosy,
A myśli rosły wielkie, ciemne, tajemnicze,
Jak gwiazdy ogromnymi płynące obroty.
Lub w niebo kładł się twarzą; wtenczas na oblicze
Padało światło lasów, promień słońca złoty,

[1] Do Ludwiki Śniadeckiej.

Pocięty cieniem liści w marmurowe plamy.
A potem w głębiach lasu wicher z szumem wzbity
Nad głową mu odmykał gałęziste bramy,
Skąd w ciemne myśli nieba spadały błękity.

Po trzech latach, ów drugi młodzieniec powrócił,
Biegły wschodnich narodów tłómaczyć się mową.
W otwarte dziecka ręce z rozkoszą się rzucił,
I rzekł: „Odjeżdżam na wschód, w krainę palmową“
A potem umilkł nagle. O jakże odmienny
Od marzącego dziecka; pobladł — jego oczy
Obłąkane jak dawniej, lecz wzrok miały senny,
Widać, że myśl, co niegdyś żywiła, dziś tłoczy,
I wbija go do ziemi; jakaś tajemnica
Niedocieczona spała w rysach martwych lica.
Mało mówił, i tylko raz, wśród dzikich sosen,
Wykrzyknął z obłąkaniem: „Ginę marzeń zdradą!
Wysyłają mię w kraje bez zim i bez wiosen.

„Chcą mię zabić!“ a potem uśmiechnął się blado,
I resztę zamknął w serca głębokim tajniku.
Potem wziąwszy uściski matki, druhów, bratnie,
Odjechał — i w drugiego dziecka imionniku,
Zapisał pożegnania wyrazy ostatnie:
„Po długich latach, gdy wiek sił ukróci,
Gdy będziesz myślą w złotej przeszłości się stawił,
Wspomnij na przyjaciela, który cię zostawił,
Jak przeszłość zniknął, jak przeszłość nie wróci“.

Wkrótce potem, pamiętam, o księżyca wschodzie,
Drugie dziecię wśród ciemnej, dębowej ulicy,
Siedziało pochylone przy stopach dziewicy;
Z drzew opadały liście, i w całym ogrodzie
Zaledwo kilka kwiatów szronami srebrzystych;
Na niebie ledwo kilka gwiazd zabłysło mglistych,
Księżyc płynął samotny, las szumiał daleki.
Tego wieczora dziecię ustami drżącymi
Anioła snów dziecinnych żegnało na wieki;
A potem bladą twarzą upadło do ziemi,
Jak zabite słowami, dumnym wstydem drżące.
Bo dziecko miało dumę wielkiego człowieka
Przeczuciem nakarmioną. Wtenczas lat tysiące,
Wtenczas mu w oczach przyszłość stanęła daleka,
Świetna okrzykiem ludzi, a z tymi obrazy
Obecna chwila czarnym łamała się cieniem,
Odrzuconą miłością, dumą, oburzeniem;
Serce jak kryształ w setne poryło się skazy

I tak wiecznie zostało. Wszystkie czucia skarby
Ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie,
Wyobraźnia złotemi rozkwitała farby,
I kładła się jak tęcza na ksiąg białej karcie;
Lecz nie było w niej wiary w szczęście ani w Boga,
Ludzie w nim mieli druha, w myślach świat miał wroga.
On, w głębi duszy słysząc krzyk szczęścia daremny,
Mścił się i gmach budował niedowiarstwem ciemny.
Ta budowa, ciężkiemi myślami sklepiona,
Stała otworem ludziom: lecz by się w nią dostać,
Musieli wprzód jak wielcy szatani Miltona,
Zmniejszać się, i myślami przybrać karłów postać.

Tak w rozstania godzinie młody anioł zginął...
Wzniósł twarz, już nad nim młodej nie było dziewicy;
Długo dumał, bo księżyc pół nieba przepłynął,
I patrzał drugą stroną dębowej ulicy,
Jak lampa w końcu ciemnej klasztornej arkady.
Młodzieniec zadumany patrzał w księżyc blady,
Potem nagle uśpioną budząc się pamięcią,
Wydobył pismo, całą zamknięte pieczęcią
I przy księżyca świetle czytał nieruchomy
Na nieznajomym liście podpis nieznajomy,
A w głębi listu smutne kryły się nowiny.

„Twój przyjaciel, wysłany w piramid krainy
Jako drogman poselstwa, zajechał po drodze
Do przyjaciół rodziców domu, trzy dni bawił,
Niewinnej wesołości długie puścił wodze,
I przy lampie wieczornej powieści nam prawił.
Wczoraj miał dalej jechać... Widzieliśmy rankiem
Jak po jesiennym liściu chodził smutny, cichy...
Potem konie pocztowe brzęknęły przed gankiem,
Potem wielkie, strzemienne podano kielichy..
Żegnał się, za łzy dawał wesołe uściski,
I puharem o nasze puhary uderzył.

Odszedł. Wtem ucztujących strzał przeraził bliski,
Tłumem biegliśmy w jego komnatę — już nie żył.
Przez serce przeszła kula, a broń trzymał w dłoni;
Spoczywa na rozdrożu, wśród leśnej ustroni.
Ksiądz grób jego poświęcił, wierząc w zdanie tłumu,
Że samobójstwo było w młodzieńcu chorobą
Obłąkania, ciemnoty, szału, nierozumu;
Ten wypadek dom cały napełnił żałobą".

Oto jest romans życia, nieskłamany w niczem:
Zabite głodem wrażeń jedno z dzieci kona,
A drugie z odwróconem na przeszłość obliczem
Rzuciło się w świat ciemny..
(1832). Powieść nieskończoną.

PRZEDMOWA

DO TRZECIEGO TOMU PARYSKIEGO WYDANIA.

Przed rokiem ogłosiłem drukiem w Paryżu dwa pierwsze tomy moich poezyj; niezachęcony pochwałami, niezabity dotąd krytyką, rzucam tom trzeci w tę otchłań milczącą, która pierwsze połknęła. Minął ów czas błogi, chociaż mało korzystny dla literatury naszej, kiedy umieszczona w „Dzienniku Warszawskim“ oda, duma lub ballada, nadawała imię poety. Trzydziestu prenumeratorów dziennika (albowiem tylu ich było) rzucało nazwisko nowe na woskowane posadzki salonów, i romantyczny poeta brał chrzest znajome nadający imię; nadto pisma czasowe dzienne, zamglonymi niemczyzną okresami, rzucały z paszcz sfinksowych zagadkę sławy autorskiej; szczęśliwy, kto ją zrozumiał, szczęśliwszy, kto w pokorze ducha niezrozumianej wierzył. Dziś dziennikarze, owi tworzyciele literackich królów, milczą. „Gazeta Warszawska“ umieściła wyjątkami, w sześciu numerach, całego prawie „Żmiję“, nie czyniąc żadnych uwag nad tak pociętym kozaków wodzem.

Nie spodziewam się, aby Lambro mógł się kiedyś podobnież ukazać na szarej bibule dzienników, bo Lambro jest to człowiek będący obrazem naszego wieku, bezskutecznych jego usiłowań, jest to wcielone szyderstwo losu, a życie jego jest podobne do życia wielu teraz mrących ludzi, o których przyjaciele piszą, czem by być mogli, o których nieznajomi mówią, że nie byli niczem.

Lambro stanął niegdyś na czele Greków, namówionych przez Katarzynę do powstania, i zdradzony przez północną carową, po wielu bezskutecznych usiłowaniach, morskim został korsarzem. Ryga, drugi bohater powieści, autor sławnego hymnu powstańców, wydany przez Austrję w ręce Turków, niesławną śmierć znalazł, powieszony na maszcie fregaty.

Pisząc niniejszą przedmowę, postanowiłem zamknąć się w jak najściślejszych obrębach potrzeby; dlatego nie będę tu bronił układu, ani żywotnej myśli poematu. Świat myśli tak jest obszerny, że można w nim wyciągnąć nieodparte granicami ra-

miona. Szanuję szkołę religijną, ową wieczerzę pańską polskich poetów, do której zasiedli w Paryżu — sądzę bowiem, że wypływa z przekonania, że nie jest sztucznie natchnięta słowami Fryderyka Schlegla, który w katolickiej religji źródło jedyne poezji upatruje. Oddaliłem się wszelako od idących tą drogą poetów; nie wierzę bowiem, aby szkoła De-la-Menistów i natchnięta przez nią poezja, była obrazem wieku. Dante pisał o piekle, kiedy ludzie w piekło wierzyli, Wolter zgadzał się z wiekiem materjalizmu, Byron, rozpaczający o wątpliwą przyszłość poeta, zaczął wiek dziewiętnasty; ci trzej ludzie wyobrażają epoki, w których żyli, oblicza wieków odbite są na ich umysłowej twarzy; gdyby z myśli większej liczby ludzi w owych czasach żyjących utworzyć można było jeden posąg myśli, ten posąg byłby Dantem, Wolterem, Byronem. Wyżej nad nich wzniósł się Szekspir, bo on nie własne serce, nie myśli swojego czasu, lecz serca i myśli ludzkie niezależne od epoki przesądów malował i stwarzał władzą do boskiej podobną. Na niższym szczeblu stoją poeci ściśle krajowemi zamknięci obliczami, jak Goethe, Calderon, Walter Scott, stoją jednak wysoko i mocno, bo ich podstawami są narody. Szukajmy więc różnemi drogami treściwej myśli żywotnej naszego kraju; szczęśliwy, kto w ognisku duszy własnej najwięcej promieni połączy i odbije. Lecz myli się ten, kto sądzi, że narodowość poezji zależy na opisywaniu narodowych wypadków: wypadki są tylko szatą, ciałem, pod którem trzeba szukać duszy narodowej lub duszy świata.

Znajdziemy poezję narodową, albowiem dziś dwory królów nie łamią i nie psują rozwijających się talentów, ani każą im sztucznie pod szkłami pałacowymi rozkwitać. Dziś poeci są minstrelami narodów i, podobni dawnym minstrelom, śpiewają miljonowo-głowemu panu, gdy usypia, budzą go pieśnią, i przy śmiertelnem łożu narodów przepowiadają zmartwychwstanie. Jeżeli literatura nasza wzrośnie na wygnaniu i przyczyni się do uświetnienia obecnej epoki, to kiedyś o tem będą rozpowiadać ze łzami wnuki nasze, i płynącego teraz czasu nie nazwą już wiekiem Stanisława Augusta, lecz wiekiem nieszczęścia narodu. Więc przebaczcie mi, Polacy, że się dobijam o jedno z niższych miejsc we wspomnieniach szczęśliwej niegdyś przyszłości.

Pisałem w Genewie, dnia 17 kwietnia 1833 r.

Autor.

LAMBRO

POWSTANIEC GRECKI

POWIEŚĆ POETYCZNA W DWÓCH PIEŚNIACH

PIEŚŃ PIERWSZA.

. . . . . Should we again provoke
Our stronger, some worse way his wrath may find
To our destruction; if there be in hell
Fear to be worse destroy'd . . . . . .

MILTON

I.

Falo błękitna, kołysz łódkę Greka,
Niech mu po morzu ściele księżyc złoty
Ścieżki obłędne, niech przed nim ucieka,
Gdy po tej drodze puści żaglów loty;
Kołysz go, falo, i łódkę Majnoty [1]
W samotną morza obłąkaj krainę,
I tam mu powiedz: ja nosiłem floty
Na moich skrzydłach aż pod Salaminę [2];
Płynęłam taką, jaką dzisiaj płynę.

W Archipelagu zanieś go ostrowy.
Tam góry chmurą owiane błękitną,
Na górach kolumn potrzaskane głowy;
Nad nimi wiecznie kwitnie laur różowy,
Pomarańczowe drzewa wiecznie kwitną,
I śniegiem kwiatów zasypują gruzy.
A ludzie cierpią, że umrzeć nie śmieli;
Twarz ich boleści rysem naznaczona.
Gdyby tu błysnął dawny wzrok Meduzy [3]
Gdyby ci ludzie, jak są, skamienieli,

---

[1] Mieszkaniec gór Majna, na półwyspie Morejańskim. [2] Wyspa archipelagu greckiego wsławiona zwycięstwem Temistoklesa nad Persami w r. 480 przed Chr. [3] Meduza, potworna postać niewieścia w mitologji greckiej, Ma zamiast włosów węże i jedno oko o zabójczem spojrzeniu.

Ileżby nowych posągów przybyło
Łamanych wiecznym bolem Laokona[1].
Tu, nad pomników i ludzi mogiłą,
Księżyc posępny płynie co wieczora.
Gdy góry światłem błękitnem przeniknął,
Mgły zasłonami doliny ośnieżył,
Szuka posągów, które widział wczora,
Do których twarzy wiekami przywyknął:
Blady jak starzec, co na ziemi przeżył
Zagasłe, mrące co dnia dzieci koło,
Gdy wszyscy padną, gdy ostatni padnie,
Tak ma wiekami wyniszczone czoło,
Że się nie chmurzy żalem ani bladnie,
I nikt cierpienia z twarzy nie odgadnie.

II.

Archipelagu wysp wieniec różowy
Lekkich kaików przerzynają wiosła.
Jak dawne Nimfy, tak dziś te ostrowy,
Przed tureckimi uciekając gwałty,
Odmienne pierwszym biorą na się kształty.
Jak niegdyś Dafne[2] w liść lauru porosła,
Tak dzisiaj Hydra zielona laurami.
Ispara[3] skalnym błyszczy stroma brzegiem,
Podobna córce głazowej Tantala[4];
Gdy pod nią śnieżna rozbija się fala,
Wiecznie od czoła wieńczonego śniegiem
Kryształowymi upłakana łzami.

Ipsarskie miasto, jak dłutem snycerza
Ze skał ciemnego łona wydobyte,
Barwy ma szare, od tła nie odbite,
I lasem masztów na poły schowane
Gdzieniegdzie lekka minaretów wieża
Niesie pod niebo szczyty ołowiane.
Tam rzędy okien od łuny zachodu,
Jak mnogie lampy rozpalone, drżące,
Co chwila bladsze, co chwila gasnące,
Już zaszły mrokiem, ale szczyty grodu
Długo złociste miały słońcem dachy.

Ostatnie światło z ciemnością się starło...
Chociaż to miasto na pół obumarło,
Gwar słychać w mieście, bo bezludne gmachy

[1] Kapłan Apollina za karę uduszony wraz z synami przez węże. [2] Boginka leśna, która uciekając przed miłością Apollina w laur się przemieniła [3] Ipsara, wyspa wsławiona podczas walki o niepodległość Grecji. [4] Tantal, postać mitologji greckiej, za karę cierpiał głód i pragnienie, nie mogąc dosięgnąć owoców, wiszących mu nad głową, ani zaczerpnąć wody w której stał.

Głośniejszem odgłos odbijają echem;
Gwar smutny, rzadko pomięszany śmiechem,
I tajemniczy jako te odgłosy,
Które wiatr z martwej muszli wydobywa.
W głębiach haremów lśniące perłą rosy
Palą się róże, smutno słowik śpiewa;
Przez szczyty murów na ciche ulice
Wonnych akacyj zwieszają się kwiaty;
Czasem pochodnia błyśnie z poza kraty;
Księżyc turbanu olśni bawełnicę.
To Turek dąży w znajomą gospodę,
Co inne gmachy przenosi wytworem;
Gdzie wielkie kotły wrącą źródeł wodę
Leją w kanały złotym dziwotworem;
Ta z kłębem pary wytryska w fontanny,
I wieczną walkę z zimną siostrą toczy;
Opryska warem, parą ją omroczy
Wprzód, nim zezwoli iść do wspólnej wanny.

Tam woń arabskich napojony duchem
Przechodzi Turek w marmurowe sale:
Jedna za drugą wiążą się łańcuchem,
Kłamane dalej w zwierciadeł kryształe.
Tam Grek usłużny obiega wokoło,
Dla muzułmanów nie szczędzi ukłonu:
Do ziemi chyląc osiwiałe czoło,
Nalewa mokkę w łono róż z Japonu;
Potem przed Grekiem stawia czarę z gliny,
Chowając aspra, do czary nalewa
Napój z makowej tłoczony rośliny,
Co śmierć sprowadza, jak cień tego drzewa,
Które usypia snem głębokim zgonu.
Mrok spada w dymu stambulskiego chmurze,
Gdzieniegdzie tylko z Etrusków wazonu
Widać w połowie wychyloną różę;
Gdzieniegdzie błyszczą sztyletów głowice;
Tam nieruchome wyznańców turbany
Porosły kołem, jak łąk tulipany;
Nad turbanami palą się księżyce.

III.

Wchodzi do sali młody Ipsarjota,[1]
Jak u śpiewaka twarz blada i smutna;
I na ramieniu miał kapotę z płótna,
Niegęsto nićmi przetykaną złota.

[1] Ipsarjota, mieszkaniec wyspy Ipsary,

Widać z gitary, znać po blasku oka,
Że z pieśnią sioła i grody przebiega...
Wnet go tłum Greków dokoła oblega,
Wypuścił bursztyn wierny syn proroka.
Greki i Turki zarówno ciekawi,
Jaki głos śpiewak, jaki lutnia wyda?
Czy ich upiorów powieścią zabawi?
Czy brylantową bajką Alraszyda?[1]
Śpiewak po sali wiódł wzrok obłąkany,
Jakgdyby liczył tureckie turbany:
A potem spojrzał w mnogie Greków twarze
I gdy w nie patrzał, znalazł dźwięk w gitarze.

POWIEŚĆ GREKA.

IV.

Małe tu znajdę dla pieśni pokupy,
Miłość ją kraju i rozpacz uprzędły.
Tu zżółkłe twarze, może serca zwiędły?
Miałem tu znaleźć ludzi, widzę trupy.
Niezdolni z życia wybić się skonaniem,
Wyście odważni, lecz napół otrucia,
Wyście przywykli zabijać pół czucia,
I zmartwychwstawać, lecz pół zmartwychwstaniem,
Wiecznie okuci w żelazne ogniwa.
Pieśń często z kajdan iskry wydobywa,
Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcjanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa;
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu, na dnie.

Myśl syna pieśni ciemna, niezgłębiona,
Jest jako fala umarłego morza:
Co jej powierzysz, wnet wyrzuca z łona,
Lecz barwą ciemnych głębi przyodzieje,
Da śmiertelność kamiennego łoża,
Kwiat w niej nie tracąc barwy kamienieje.
Lecz jeśli wieszczek nie znajdzie wyrazów,
W głąb jego serca słuchacz nie dosięga;
Często podobny sam do zimnych głazów,
Choć pieśń ognista w myśli się wylęga,

[1] Alraszyd, bohater bajek wschodnich z tysiąca i jednej nocy.

Często go słuchacz odbiegnie wesoły...
A pieśń, co ledwo dopłynie połowy,
Jak mórz zamarłych owoc rubinowy,
Bezpłodne w sobie zamyka popioły.

V.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potem chytra bezsilnych odbiegła.
Widziałem walkę, widziałem to błonie,
Gdzie siła naszych rycerzy poległa.
Ja byłem dzieckiem i patrzałem z chaty...
Powietrze chmura proporców krajała,
W tureckich szykach lśnił księżyc bogaty,
Nad nim dym srebrny wyrzucały działa;
Stamtąd huk leciał, stamtąd ziemia grzmiała,
I grad pocisków wyrzucały spiże;
A stąd, zachodnim złocone promieniem,
W ten dym ognisty szły błękitne krzyże,
Z upornem, z głuchem rozpaczy milczeniem.
Potem je dymy spiżowe pożarły,
Mignęły w ogniu złote, i pobladły.
Przed nocą wszystkie szeregi wymarły,
I wszystkie krzyże w szeregach upadły.

VI.

Tak się zwycięstwa przeważyły szale...
Lambra tureckie ominęły gromy,
Wdarł się na skałę, całą noc na skale,
Patrzał na groby, na groby bez końca!
I tak nazajutrz jeszcze nieruchomy
Błyszczał w promieniach wschodzącego słońca...
A stamtąd poszedł błąkać się po świecie.
Lecz nie samotny, znalazł się ktoś drugi,
Co przy nim giermka podjął się usługi;
Kto to był taki? — może odgadniecie.

Po długich latach, z krainy wygnania,
Ujrzał jak Grecy z wiatrem na wyścigi
Nieśli po górach hasło zmartwychwstania:
Pieśń grzmiała w dzwonach, była to pieśń Rygi.
Ale niedługo Grek o szczęściu marzy:
Kolejno w siołach milkła pieśń i dzwony,
Gdzieniegdzie snuł się Kleft[1], lecz zakrwawiony,
I z krwią miał rozpacz przysechłą do twarzy.

[1] Kleft, rozbójnik grecki.

Płacz, narzekanie wstrząsa Greków chaty,
Echami skał się rozpłakały łona.
Jutro, wołają, na maszcie fregaty
Haniebną śmiercią młody Ryga[1] skona.

VII.

Na dzikich brzegach skalistej Ipsary
Wznosi się klasztor wysoko nad morze;
Krzyż jego pierwszy wita ranne zorze,
Ostatnie słońcem złocą się filary.
Koło klasztoru bez czoła kolumny
Stoją jak palmy pozbawione liści.
Tam mnich pracuje koło własnej trumny,
Tam od tureckiej uciekł nienawiści...
Ów dzwon, co dzisiaj ogłasza pacierze,
Nieraz do broni powoła Majnotę;
Nieraz od Turków okrążone wieże
Czoła dział srebrnym uwieńczają dymem,
Z tych okien błyszczą śpiżu paszcze złote,
I mnich pokorny staje się olbrzymem.
Nieraz rozpaczy naglony potrzebą
Rozwala miną poświęcane ściany;
Rzekłbyś, że mnich ten chce zdobywać niebo
Skał odłamami, jak dawne Tytany.[2]

Na niższych skałach cmentarz muzułmanów,
Czarowny, cichy, pełny drzew i kwiatów,
I dłutowanych w marmurze turbanów,
Jak odłam z rajskich oderwany światów
I przesadzony na skalne urwiska.
Tam byłem wczora... Słońce zachodziło...
Za marmurowe skryty grobowiska,
Widziałem dwoje ludzi nad mogiłą;
Widziałem Klefta i Greczynkę młodą:
Ona, do Peri[3] podobna urodą,
Jak była piękną, wyraz nie określi!
Gdy długo, długo patrzałem w jej lica,
Kiedy się potem obudziłem z myśli,
Tak byłem tęskny, rozmarzony, smutny,
Jakgdybym długo patrzał w twarz księżyca.
Snać, że jej życie był to czas pokutny,
Za całą przeszłość szczęścia pogrzebaną;
Miała na twarzy smutek, lecz nie żałość,
Barwę koralu łzą nie opłukaną;
Rumieniec tonął w bezpromienną białość,

[1] Ryga, autor sławnego hymnu powstańców greckich. [2] Tytan, olbrzym z mitologji greckiej [3] Peri, postać mitologji perskiej, duch cudnej piękności.

I w białych szatach stała między drzewa
Wpół przeświecona błaskami zachodu,
Podobna srebrnej fontannie ogrodu,
Z której wiatr mgliste warkocze odwiewa.

Kleft, znać z ubioru, był kiedyś rycerzem,
I wierne rysom członków nosił szaty:
Piersi jedwabnym zamknięte pancerzem,
Co się od słońca w różne barwy łamie,
Wypukło w złote wyszywany kwiaty.
I miał kapotę rzuconą na ramię,
Białą jak śniegi, i pas złotolity:
Nogę złoconym wiązaną rzemieniem,
Małą misiurkę, której aksamity
Pod kruczych włosów tonęły pierścieniem;
Na niej z misternie ułożonej zwici
Węzeł w złociste rozpadał się nici.

Choć stłumionymi przemawiali słowy,
Mogłem dosłyszeć ułamków rozmowy.

VIII.

„Lambro! ty w słowach dajesz mi obłudę,
Nie odpowiadasz szczerze, gdy zapytam.
Na twojem czole z przerażeniem czytam
Ostatni stopień wszystkich nieszczęść — nudę.
Blask twego oka nie odbłyska z duszy.
Serce jak brylant, chociaż się rozkruszy,
W każdym odłamie iskra się zawiesza,
A każda czystym lśni tęczy promieniem:
Lecz na twem czole jakiś szatan mięsza
Rozpacz ze śmiechem, śmiech blady z cierpieniem . . .
Ty jesteś z ludzi, których serce żywi
Łzami, lub gorzką trucizną laurową.
O! bo też prawda, że my nieszczęśliwi,
I czasem czuję, że pociechy słowo
Ma dźwięk szyderczy i na serce spada.
Gdy myślą wracam w przeszłości krainy,
Widzę, jak przy nas stojąc, rozpacz blada
Czekała szczęściem niepełnej godziny,
Aby się poznać z nami — i być z nami . . .
Czekała długo, przyszła choć nieskora;
Ze wspólnych myśli jednego wieczora
Myśmy się w stronę rozbiegli myślami.
I dziś mi nie chcesz odkryć serca głębi,
Milczysz? . . .“ —

„Dziś nie chcę zabijać słowami.
Bo każde słowo do serca utonie,
I tak jak sztylet dreszczem je oziębi;

A potem długiem rozpamiętywaniem,
Jak żar piekielny rozpali się w łonie,
I potem, potem — cała przyszłość twoja
Stanie się długiem i ciężkiem konaniem.
O! patrzaj na mnie, ta złocista zbroja
Dzikiego Klefta nigdy nie stroiła,
Zmieniłem szaty, tyś serce zmieniła.
Winnaś wyczytać na pobladłem czole
Myśli ukryte i obecne bole,
I wszystkie zbrodnie — a żądasz wyrazów!
Tak jak wędrowiec wśród grobowych głazów
Nie umiesz czytać napisów cmentarza?
Więc poznaj Lambra, jak ludzie poznali...
Jam dzisiaj królem błękitnawej fali,
Mszczę się... Dziś czarna bandera korsarza
Rzuca cień śmierci, gdzie dosięgną działa;
I zapomniałem zetrzeć z mego czoła
Cieniu, co dzisiaj rzuciła nań rano;
Otarłem tylko szablę krwią skalaną.
Kłócę niebaczny spokojność anioła...
Napół przeklęty, napół zapomniany,
Rozpalam ogień miłosnej pochodni,
I wiążę serce dwoma talizmany:
Wielkością nieszczęść i wielkością zbrodni.
Mój obraz kształty przybierze olbrzymie
W głębi twej duszy — jak anioł upadły,
We krwi skalany, w dział omglony dymie,
W blasku brylantów i złota wybladły.
O! bo ja miałem wielką niegdyś duszę!
Lecz gdy ją znudził smutek jednobrzmienny,
Idę wśród ludzi jak przez las jesienny,
Kędy pod stopą zżółkłe liście kruszę,
I gardzę liściem, co ścieżki pozłaca
Barwą uwiędłą, lecz szum ich zasmuca!
Wolę niech moją łodzią fala rzuca,
Niechaj mi wzgardą za wzgardę odpłaca.
Morze — to wielka mogiła stworzenia,
Dumającemu na niej myśli płyną.
Nieraz na fali umieram z pragnienia,
Jak obciążony tantalową winą,
I mogę niebo przeklinać i morze.
Usłałem sobie rozwahane łoże,
Co mi piastunki daje kołysanie;
Bo spać nie mogłem na ziemi — a teraz
Często mię zorza śpiącego zastanie,
I nie obudzi skrawem światłem — nieraz
Działo mi dając ranne powitanie,
Zbudzić nie może — często sen przedłużę,
Aby w tem życiu żyć jak najmniej — nie snem.

Dziś nieszczęściami są mi niebios burze,
Lina zerwana ujęciem niewczesnem;
Mam jeszcze czucie, bo dziś mię rozczula,
I łzy mam w oku, gdy rozryje kula
Maszt, z którym długie przebiegałem drogi,
Wycięty z rosłej Epiru [1] topoli,
Co mi rodzinne wspominał rozłogi;
Lecz gdy mrą majtki, wtenczas poniewoli
Na moich ustach błyszczy uśmiech dziki,
Jakgdybym szydził, że niezręczni byli
Śmierci uniknąć — a ci ludzie żyli
Ze mną przez długie lata trosk, cierpienia,
Jak krwi tygrysy, druhy, niewolniki...
Ostatnia miłość, miłość przywyknienia,
Skamieniałego serca nie poruszy...
Ze złotem stawię człowieka na szale,
A potem złoto rzucam w morskie fale,
Jakby w tem była jaka wielkość duszy."

IX.

Słucha dziewica, jej rumieniec mgławy
Zrazu rozkwitał i blasku nabywał...
Gdy zaczął mówić, to uśmiech ciekawy
Twarz jej oświecił, we łzy się rozpływał,
I znów powracał tak w odcieniach zmienny,
Że słów kochanka wydawał się echem;
A gdy ten uśmiech gasiła zgryzota,
Gdy obumierał zadumaniem senny,
Podobną była do niewiasty Lota
W chwili, gdy tonie ostatnim uśmiechem
W nieodgadnioną boleść, w sen kamienny,
I jeszcze słucha w przeszłość odwrócona...
I tak posągów brała kształt nieżywy,
Tak opuściła bezwładnie ramiona,
Że z ramion szata płynąca do ziemi
Jakby w kamienne łamała się spływy.

I Lambro bladnął i usty drżącymi
Mówił: „O luba! wybacz, że te słowa
Zanadto czarną malowały duszę;
Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,
Patrzeć, jak cierpią i śmiać się szalenie.
Lecz twoja boleść, bladość marmurowa,
To już nad moje siły, nad sumienie!
Czy wierzysz, luba? ja się wyznać wstydzę,
Ja, korsarz krwawy, ja ludzi morderca!
Że się zabójstwem i zbrodniami brzydzę,
Że mam myśl jedną, wielką, w głębi serca,

[1] Epir, kraj w północnej Grecji.

Co kiedyś zbawi nawet pamięć moją.
O luba! teraz niech się ludzie boją,
Niech się przed czarnym chronią pawilonem;
Znajdę ich, zbudzę... jeśli nagłym zgonem
Bóg wielkiej we mnie myśli nie rozłamie.
Na mojem czole widzisz dumy znamię,
To jest przeczucie sławy: tam, tam w dali
Widzę okropną przyszłość, ale sławną!
Precz te obrazy... Luba! jakże dawno
Z tobą po obcych błądziliśmy światach?
Jakżeśmy dawno w przeczuciach szukali,
I w oberwanych po liściu róż kwiatach
Naszej przyszłości? Z tobą moje losy
I z tobą dotąd wiążę myśli moje.
Często przed ludźmi w kajucie ukryty,
Jak dziecię trefię przed zwierciadłem włosy,
Szaty poprawiam, brylantami stroję,
Bo widzę jasno, widzę w twych marzeniach
Mój własny obraz wyraźnie odbity;
Więc podobieństwa szukam w ukraszeniach,
I póty śmiechem rozjaśniam jagody,
Aż póki czyste wróci mi zwierciadło
Obraz twych wspomnień z twarzą mniej pobladłą
I mniej posępny, i smutny, i młody.

„O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
Dla tych, co płaczą czy to krwią czy łzami.
Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie;
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy,
I nie przebacza tym, co toną w błędzie.
Patrz, jak ten klasztor czoło w chmurach trzyma,
Ja ci wynajdę mieszkanie w klasztorze;
Zamknij się w cichej celi, i ze skały
Patrzaj nocami na rozległe morze,
I błękitnemi po fali oczyma
Mojego statku ścigaj żagiel biały.
A gdy zagrożą fali niepokoje,
Kiedy się będziesz modlić zdjęta trwogą,
Razem popłyną w niebo, jedną drogą,
Twoje modlitwy i przekleństwa moje.

„Lecz nim obierzesz klasztorny spoczynek,
Jutro nim zorza świtem się rozpali,
Przyjdź do mnie sama, tam, nad brzegi fali,
Odziana płaszczem bogatych Turczynek,
I miej kalemkiar ciemny z musselinu,
Lub czewrę gęsto haftowaną złotem;
Niechaj się z wiatru nie wznosi polotem,
Nie zdradzi twarzy przed oczyma gminu.

Jutro, pamiętaj! tam łódź moja czeka,
Gdzie się przy skale załamało morze.
Ja sam przebrany w tureckim ubiorze
Płynę na pogrzeb ostatniego Greka"..

Skończył, a kiedy z ostatnimi słowy
Na piersi chylił twarz cierpieniem zbladłą,
Zda się, widziałem, kilka łez upadło...
Nie wiem... to może z silniejszym powiewem
Opadał z drzewa kwiat pomarańczowy?
Nie wiem, czy płakał, czyli zachwiał drzewem?

X.

Ranek był. Morze rozpalone świtem
Wre zdala, szumi i srebrzy się w pianę,
Potem portową groblą odłamane,
Brzegi spokojnym oblewa błękitem;
A brzeg wysoko szarzeje granitem.
Wyżej palm błyszczy zieloność wesoła.
Te palmy w niebo sięgające szczytem,
Jako nam istność malują anioła:
W mgle mają stopy — a w błękicie czoła.

O! jakże smutny fali szum bezdenny,
Co się z cichego morza wydobywa!
I ten las masztów, jako las jesienny,
Z którego burza północy gniewliwa
Połowę jasnych liści poobrywa:
A pozostałym da rozliczne szaty,
Liść Statudera[1] złotem się pokrywa,
Róż Albionu płonią się szkarłaty,
Szronem się Franków[2] osrebrzyły kwiaty.

Słysząc szum żagli, słyszysz jakby we śnie
Gwarzące różnym językiem narody...
Rozdarte gromem skarżą się boleśnie,
Jakby mówiły doznane przygody.
I prześcignięte z wiatrami zawody,
A fala milczy, choć może w niej tonie
W tej chwili okręt nadziejami młody;
I jęk rozpaczy wydany przy zgonie
Uczuła fala, lecz zamknęła w łonie.

---

[1] Statuder, namiestnik holenderski. [2] Lilje Burbonów.

XI.

Okręt troistą opasany spiżą
Zatknął na maszcie księżyc, trzy buńczuki,
Omglił się dymem, dział rozesłał huki,
I wtenczas niby szatana był tronem.
Gdy wiatr poddany dym unosił chyżo,
Wszystkie go maszty witały pokłonem;
A okręt ucichł, pił dumy kadzidła.
Mgła ranna hukiem potrójnym rozbita,
Srebrne po masztach zawieszała skrzydła;
Na wschodzie skrawo dzień wschodzący świta.
Nie ma wyrazów język niezaskarbny
Malować słońcem ukazane czary.
Jako rozkwitłe Nilu nenufary
Z kwiatów kobierzec wiążą różnobarwny;
Jak odświeżone muszle i kamyki
Pieszczotą fali — tak na cichej wodzie,
Wiążąc się razem w jasne mozaiki,
Spłynęły żaglem oskrzydlone łodzie.
Tam turban kitą ozłocony świetną,
Tam srebrna dziewic zasłona powiała;
Od łodzi fala różny połysk brała,
Barwiona złotem, lub purpurą Tyru [1].
Cała ta przestrzeń była łąką kwietną,
Była doliną, szalem kaszemiru.
Łódź każda wiosłem drugą łódź prześciga,
Pod maszt fregaty, gdzie ma skonać Ryga.
I tak jak chciwe sępy albo kruki,
Gdy czują oddech śmierci, tak spłynęli
W bogatych łodziach, po morskiej topieli,
Z męczarni Greka różne brać nauki.
Wielu jest w tłumie, co się śmiać nauczą,
Śmiech taki wrzkomo wielkość serca kłamie!
Wielu stąd wróci i miecze rozłamie,
Co jutro w królów miały tonąć łona.
Gdy tacy zemstę Aniołom poruczą.
Nieliczny może z męczarni wyłamie
Prawdę, że skonać nie trudno — i skona.

XII.

Wstąpił na pokład Ryga wśród janczarów;
Kiedy chciał mówić, słowa mu nie dali,
Więc tylko okiem raz rzucił po fali,
Spojrzał na mgłami osrebrzone góry.
A wtenczas ucichł dźwięk niesfornych gwarów
W szmer się zamienił gasnący, ponury,

[1] Tyr, starożytne miasto fenickie słynące purpurowemi tkaninami.

I była cisza... Z ciszy wybłąkana
Pieśń między Turków urodzona tłumem,
Na kilka cichych głosów rozłamana,
Rośnie i z fali kołysze się szumem;
Rzuciła w tłumie grzmiące Rygi hasła:
Powstańcie, Grecy! ale Grek nie słyszy,
Powstańcie, Grecy! brzmiało — ale ciszej
Do broni — cicho — pieśń znikła — zagasła.
Pieśń serce Rygi przy skonaniu kruszy,
Lecz radość widna z twarzy i z postawy,
Jakgdyby przeczuł nieśmiertelność duszy
Może czuł tylko nieśmiertelność sławy.

XIII.

Widziałem! ja sam widziałem, o Greki!
Jako na wielkie wstąpił rusztowanie,
Widziałem wszystko, i tłumiłem łkanie...
On był tak młody, nie zmrużył powieki,
Choć śmierć tak bliska! choć śmierć tak straszliwa!
Jeszcze go widzę, jak zasłonę zrywa,
Jeszcze go widzę, jak pod nieba stropy
Na rusztowaniu stanął — i smutnemi
Oczyma dawał pożegnanie ziemi,
Siłom młodości, marzeniom młodości.
Wtem szczeble pękły, wymknięte z pod stopy...
Nie mam wyrazów... Któż mu nie zazdrości
Śmierci teutońską sprowadzonej zdradą?
Lecz któż się zemści? któż w całym narodzie?
I właśnie słońce wstawało na wschodzie,
I promień z rannej otrząśniony rosy
Pozłocił Rygi twarz martwą i bladą
I na ramiona spływające włosy.
Na twarzy siłę ukazał niezmienną,
Uratowaną z męczarni rozbicia;
Na twarzy walczy senna boleść życia
Z długą boleścią wieczności — bezsenną.

XIV.

A w tłumie widzów jedna łódź ożyła:
Jak po jeziorze trzcinami zarosłem
Wężową ścieżką z tłumu się wywiła;
Turek ją pędził obustronnem wiosłem,
I bawił Turków, rzucając nad głowy
Tysiączne kręgi wodnistych obręczy,
Umalowane kolorami tęczy,
A łódź, jak delfin w wodzie rozigrana,
Czasem tonęła w odmęt lazurowy
Równą powierzchni morza, tak że piana

Żagiel srebrzyła: czasem statek złoty
Po wierzchu fali szedł ptasimi loty,
I coraz bliższy fregaty sułtana,
Nie bacząc niby, pod srogimi kary
Wzbronione łodziom granice przechodzi.
Nie śmieli strzelać strzegące janczary,
I od płynących zdrady się nie bali;
Bo w tej złocisto-malowanej łodzi
Ujrzeli postać dziewicy, i głośno
Śmiejąc się wszyscy, wszyscy przeklinali
Szatę turecką, zamkniętą, zazdrośną,
I ów kalemkiar z musselinu biały,
Tak gęsto lśniącym haftowany złotem,
Że go powiewy wiatru nie odwiały,
Ani łódź szybkim odsłoniła lotem.
Ta pod zasłoną róża niewidoma
Snać z ciekawością dziecinną haremu,
Może przejęta zgrozą, nieruchoma,
Chciała się bliżej przypatrzyć zmarłemu?
Może się pod tą zasłoną ukrywa
Uśmiech w połowie ciekawy, wesoły?
Z takim uśmiechem liście róż obrywa,
Z takim uśmiechem te ziemskie anioły
Widzą zgon róży, serca, lub człowieka.

A wtem okrętu piersi niedaleka
Łódka uczuła silny popęd wiosła,
Biegła po fali, z fregatą się zrosła:
I wnet z jej łona dym się wybił szary,
A potem jasność błękitnawa siarki.

Majtek przez chwilę patrzał na pożary;
A gdy mu płomień ramiona otoczył,
Odrzucił turban i do fali skoczył.
Za zbiegłym setne strzeliły janczarki,
Przed kulą w morzu zanurzony zginął...
Po chwili błękit pianą się zakłócił,
Majtek na fali powierzchnię wypłynął,
Pobladłym Turkom śmiech szyderczy rzucił...
A gdy śmiech echo okrętu powtarza,
Gdy się twarz majtka słońcem oświeciła,
Śmiech ten poznałem, był to śmiech korsarza,
I twarz poznałem, to twarz Lambra była.

XV.

Spłonęła łódka, a w dymie z lazuru
Błękitna siarka błyska — z razu blada
Całuje okręt jak czarę z marmuru,
Jąć się nie może, ślizga się i spada,

Wgląda na pokład, potem z trzaskiem nagle
Czerwona dębu zajęła się ściana,
I w dymu kłębie iskra zabłąkana
Jak gwiazda z nieba upadła na żagle.
Wnet płomień szybko aż na maszty wbiega,
Spodem okrętu roztwiera szczeliny...
Pękały szyby i rwały się liny,
I maszt z węglowym padł na pokład dźwiękiem.
Odgłos rozpaczy w trzasku się rozlega,
A tysiąc jęków było jednym jękiem...
Ucichły razem... huk płomieni głuchnął:
Ciszą się zdawał, gdy doń słuch nawyknął.
Nagle, w płomieniach nowy blask wybuchnął.
Jak tknięty różdżką czarowną aniołów,
Z gromem wulkanu cały pożar zniknął.
Zostawił przepaść, i w niej wrącą pianę,
I wszystkie łodzie burzą kołysane,
A na nie chmura upadła popiołów.

XVI.

Takim był Ryga uczczony pogrzebem...
Nie poszedł próchnieć w marmurowe lochy,
Stos miał wzniesiony pod błękitnem niebem
Z dębów i trupów: jako do łzawicy
Do czary morza spadły jego prochy.
Lecz jak okropna śmierć młodej dziewicy!
Anielskim niby ożywiona duchem,
Kiedy ją ogień dokoła obchodzi,
Boleści żadnym nie zdradziła ruchem,
Bez jęku prochem opadła do łodzi.

XVII.

A Lambro w morze przechował się cały.
Do korsarskiego dopłynął okrętu;
Przywołał pazia, i napół omdlały
Padł na kobierce, mówił, a z odmętu
Myśli zburzonych płynie mowa skora.
W stu słowach ledwo jedna myśl rozkwita...
Mówił do pazia: „Już pora! już pora!
Zmienić banderę... ale czy powstaną?
Gdy krzyż na czarnej banderze zaświta,
Może powiedzą: szalony! za rano!
Więc dla niczego tyle znieść męczarni?
Paziu! idź w góry, gdzie się klefty kryją,
Do marmurowych zajeraj kawiarni,
I pieśń im śpiewaj, i zobacz, czy żyją?

Zobacz, na grobach czy płaczą mściciele?
Lecz wróć jak zwykle lać napój makowy,
O każdą kroplę napoju się spierać;
Bo dzisiaj czuję straszny ciężar głowy,
I ciężar myśli... wypiłbym za wiele.
Dzisiaj chcę marzyć dłużej i spać dłużej,
Ale żyć muszę, z Grekami umierać...
Idź, dobre wieści przynieś mi z podróży..."
Poszedłem...

Śpiewak cały się zapłonił.
Czuł, że się słowem nieroztropnem zdradził;
Kryjąc zmięszanie, silnie w lutnię dzwonił,
Ręką przez wszystkie struny przeprowadził.
Obejrzał koło Greków... myśli czyta.
Zaśmiał się gorzko, rzucił wzgardy okiem
I wyszedł... Za nim spiesznym wyszła krokiem
Jakaś Greczynka zasłoną okryta.
Może ciekawa pieśni tajemnicy
Za odchodzącym paziem zawołała?
Potem z nim długo, długo rozmawiała
Na osrebrzonej księżycem ulicy.
A choć rozmowy nie dosłyszeć dźwięku,
Snać gorącymi prosiła go słowy...
Musiał zezwolić, bo na jego ręku
Błysnął księżycem pierścień brylantowy.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Już noc zapada w korsarza kabinie,
Zalana falą szyba bursztynowa
Coraz ciemnieje; jak w piekła krainie
Mrok był ognisty i cisza grobowa.
Piekło to było... i te same słowa,
Co na piekielnej wypisane bramie,
Tu z pierwszym wiatrem na wchodzących wieją:
Bo kto tu wejdzie, żegna się z nadzieją.
Tu myśl starzeje w przeciągu godziny.
Gdy się nad głową grzmiąca fala łamie,
Gdy huczą płótna, jęczą starte liny,
Choćbyś wrażenia powiązał łańcuchem,
To się rozprysną, ogarnąć nie mogą
Ruchu, co ziemi wydaje się ruchem,
Pojęty tylko jednym zmysłem — trwogą.

Jest ktoś w kabinie, bo chociaż wśród cienia
Nie widać kształtu żyjącej istoty,
Lecz słychać często ciężkie odetchnienia.
Ktoś w tym się grobie musiał zamknąć żywy;
Jeżeli czuwa, to ma myśl zgryzoty,
Jeżeli zasnął, to ma sen straszliwy.

II.

Paź wszedł, postawił na stół lampę kryształową.
Przy stole siedział korsarz z pochyloną głową,
I zadrżał, bo to światło z marzenia go budzi,
Bo to światło natrętne było jak tłum ludzi,
Co widząc blade czoło, o szaleństwo woła.
Korsarz długo ze światłem godził rysy czoła,
Twarz jego jakby z kruszcu łamała się twardo,
Malowana na przemian śmiechem, bolem, wzgardą,
A potem się w bezwładną spokojność przybrała —
Jeśli twarz może skonać, twarz Lambra skonała.
I spoczywał bezwładnie, na stole oparty,
Przed nim rozwite świata znajomego karty,
Cała ziemia ramieniem Lambra opasana,
Leżała jak w żelaznych skrętach Lewiatana.[1]
A te ściany są krwawą powieścią korsarza
Lampa, co przed nim płonie, zdjęta z przed ołtarza,
Świeci zbrodni, jak niegdyś przyświecała Bogu.
Tam dalej blask księżyca rzucony na progu
Odbłyska jakby kawał śniegu błękitnawy.
I różne pawilony, z obcej wzięte nawy,
Skarżą się pod stopami korsarza rozdarte.
A tam, lampa oświeca pergaminu kartę,
Firman złotem w sułtańskie ustrojony słowa;
Na nim jak pieczęć z wosku leży trupia głowa,
Od sułtana samego głowy mało mniejsza,
Żółta, lśniąca i może z czaszek najpiękniejsza.
Dalej złotem wybite, krwią rdzawe oręże,
Nad czarami ze spiżu okręcone węże
Zginają kark do czary po szczątki trucizny.
Z tych ścian wyczytaj zbrodnie wygnańców z ojczyzny;
A sumieniem kajuty są ścienne zwierciadła,
Których powierzchnia parą wilgoci pobladła,
I co dnia zasłonami grubszemi ciemnieją,
I co dnia na co patrzą, spowiadać nie śmieją.

Czasem słychać szum morza, czasem cichość głucha.
W ciszy korsarz podnosi blade czoło — słucha.
Jego myślom, w dalekie rzuconym zawody,
Odpowiadają dźwiękiem krople morskiej wody,

[1] Lewiatan, potwór biblijny.

Co ze szczelin sączone dźwięk wydają szklanny,
Jak płacz łzawy dalekiej w cytrynach fontanny.

III.

Czegoż paź czeka? — powinien co nocy
Podawać czarę, w niej napój makowy.
Bo Lambro, co dnia bladszy, o północy
Szaleje trucizn namiętnem piciem;
I życie mieni na sen gorączkowy,
Sen tak jasnemi grający barwami,
Że chwile życia zdają mu się snami,
A sen szalony wydaje się życiem.
I co dnia czara, o kroplę pełniejsza,
Te same widma i sny mu dawała.
A choć twarz bladła, źrenica świetniejsza,
W ciemność wlepiona, krwawa, potem biała,
W krainę duchów biegła — i wracała
W krainę myśli... wtenczas cierpiał, szalał,
Żebrał u pazia trucizny nad miarę,
Lecz paź jak dziecku groził, nie pozwalał,
I nieraz w morze ciskał zgubną czarę.

IV.

Lecz cóż się stało, że choć noc zapadła,
Paź jak zazwyczaj nie podaje czary?
I korsarz milczy, choć mu twarz pobladła;
Snać, że się lęka ze wspomnień zwierciadła
Zamglić szaleństwem gorączkowej mary
Owego widma płonącej fregaty,
Co stoi przed nim pełna jęków, wrzasku
Przeraźliwego, wśród płomieni blasku,
Dotknięta palcem anioła zatraty,
Więc nie chce trucizn, ale czy wytrzyma
Przez noc zwyczaju przełamać narowy?
Obłąkanymi spogląda oczyma,
Wstał — i na pokład wyszedł okrętowy.

V.

Noc była cicha. Okręt na kotwicy
Niepełnym żaglem brał wiatru pieszczoty.
Powietrze szkliste, pełne tajemnicy,
Księżycowego blasku i tęsknoty.
I tak się błękit ochylił dokoła,
Że maszt najwyższy, schylony u szczytu,
Nie śmiał jakoby wznieść dumnego czoła
Pod kryształowem sklepieniem błękitu.

A w drżącej fali jak srebrne delfiny
Igrały wkoło blaski księżycowe,
A dalej mgłami błękitne krainy,
Archipelagu wyspy cytrynowe,
Na widnokręgu nieraz czarna skała,
Albo w lodowej — albo w gwiazd koronie,
Przejdzie przez księżyc — i we mgłach zatonie
I nieraz z szumem fali doleciała
Pieśń, którą słowik napełnia ogrody;
I róż woniami, co na brzegach kwitną,
Nieraz wiatr drżącą falę zakołysze.
I wszystkie barwy topią się w błękitną,
I wonie w zapach tajemniczy wody,
I wszystkie dźwięki toną w wielką ciszę.

Gdy wyszedł Lambro, drużyna korsarza
Długo, ciekawie śledzi rysów lica...
Twarz jego straszną bladością przeraża,
Pobłękitniała od blasku księżyca.
Odeszli... Lambro osłoniony w żagle
Patrzał na morze, na odległe skały,
I patrzał długo, dumał... potem nagle
Zachwiał się, chylił i upadł omdlały.

VI.

Wnet go tłum majtków dokoła otoczy...
Blady był strasznie, napoły nieżywy,
I paź krzyk wydał z piersi przeraźliwy,
Gdy omdlałego przyniesiono pana.
Lambro zbielałe na krzyk podniósł oczy,
Twarz mu roztlała, śmiercią obłąkana.
Otworzył usta — mówił nieprzytomnie:
„Kto tutaj jęczał, kto tu płakał po mnie?
Jeden znam tylko taki głos na ziemi,
W płaczu z miłosnym pomięszany dźwiękiem.
Paziu, płakałeś łzami nie twojemi,
Ty mnie zabijesz takim drugim jękiem!
Ten jęk dziewicy posłyszany we śnie
Dziwnym połamał myśli moje kształtem:
I wyciągnąłem dłonie i sił gwałtem
Z letargu wstałem... gdzież ona?... tu była!
Nie, tu paź tylko. Jakże mię boleśnie
Noc ta urokiem ciszy przeraziła!
Noc księżycowa, czemu nie ciemniejsza?
I noc przekląłem i morza zwierciadło.
Morze tak ciche, czemu burz nie miało?
Gdy w nie patrzałem, moje czucie mdlało,
Patrzałem w czucie, moje czoło bladło,

I mgły na serce spadały jak śniegi.
Lecz to minęło... niechaj noc przemarzę.
Paziu, daj czarę nalaną po brzegi,
Niech wiem przynajmniej, że w obfitej czarze
Śmierć trzymam pełną, dotkniętą ustami:
Nie spełnię całej, chociaż drżącej ręki
Nikt nie odchyli prośbą ani łzami,
Lecz nie chcę skonać, póki ziomków jęki
Będą pacierzem i grobu hymnami."

Wnet paź, posłuszny rozkazowi pana,
Podał mu czarę i odstąpił krokiem.
A czara była kształtnie dłutowana,
Niepełna z roślin wytłoczonej śliny;
Chwycił ją Lambro i pożerał okiem,
Blady na czole i na ustach siny.

VII.

Wypił — i zwolna płomieniem rozkwita;
Z czoła zasłony opadają mgliste,
W źrenicy płomień obłąkania świta,
Oczy tak jasne, błyszczące i szkliste,
Że można było przejrzeć w nie daleko,
Straciły barwę — stały się iskrami,
I gorączkową rozpalone spieką,
Kryształowymi pokryły się łzami.
A potem czoło wsparł na drżącej dłoni,
Oczy nie miały wzroku, choć bezsenne,
I wszystkie żyły wybłysły na skroni,
Jakby gałązki bluszczu powiązane;
I wszystkie włosy jak liście jesienne
Drżały na czole wiatrem nie rozwiane;
I w marmurowej na pozór postawie
Rozkołysanie widać zmysłów piane.
A o czem inni śnią, widział na jawie,
Tylko jaśniejsze. Jak węża kawały
Rozcięte widma jednem życiem drgały.

Ciszej! bo właśnie teraz sen czarowny
Rzucił go lotem po nieba błękicie...
Dzikiej rozkoszy urok niewymowny
W naglonem tchnieniu zamknął zmysły, życie,
Słowo poczęte śmiech porywa, łamie,
I śmiech poczęty w odetchnieniu kona.
Bo to nie skrzydło, ani silne ramię
W lekkiej powietrza pławiło go fali;
Lecz ciężar myśli opadł z głębi łona,
I ciężar wspomnień zniknął z uczuć szali.

Stanął i nagle tysiące błyskawic
Wieńcem ognistym mignęły dokoła.
Rzekłbyś, że tysiąc zamachniętych prawic
Wiało tysiącznym mieczem archanioła.
Pogasły, w błękit stopiły się ciemny,
Tak przeźroczysty, głęboki, tajemny
Jak nieskończoność... I słychać szum morza.
Potem z ciemnego błękitu przestworza
Wykwitał mglisty obraz sennych czarów.
I gmach z tysiącznych złożony filarów,
Lekką jasnością w powietrzu skreślony,
Od stóp korsarza w dwie się rozbiegł strony
Po całem niebie. A jedna połowa
Uwiana była z promieni księżyca,
Jasna i blada, jak noc księżycowa,
Cała w przeźroczu błękitnawo szklista;
A druga strona posępna, ognista
Jak piekło. Wielkie zwierciadło egidy
Gmach cały kryło jasności sklepieniem;
Pod niem schylone duchów karjatydy,
Dwubarwnym światła uwiane promieniem,
Z bliska ogromne, jak ciemni szatani,
Biegły w dwie strony oddaleniem mniejsze,
I coraz dalsze, i coraz świetniejsze,
Jak mgliste gwiazdy niknęły w otchłani.

A Lambro nie śmiał tchnąć, bo choć wyniosła
Była duchami otoczona sala,
Lecz taka lekka, że powietrza fala,
W otchłań człowieka tchnieniem potrącona,
Możeby duchów kolumny rozniosła.
Więc stał i tchnienie połykał do łona,
By czarownego nie zamglić zwierciadła.
A w lesie kolumn widział ludzkie cienie,
Kleftów oddawna pomarłych widziadła;
A wszyscy w gmachu wplątani promienie,
Bladzi — posępno-srebrni lub ogniści,
Lekcy i liczni, jako chmura liści
Wiatrem zwichrzona, wiązali się w tłumy.
Ale dotknięci żywego oczyma
W twarzach zdradzili wiele ziemskiej dumy.
Widać, że znaczni rysami Kaimá
I strojni dotąd w blask ziemskich kolorów,
Nie mogli zasiąść wśród niebieskich chorów;
I przed oczyma Lambra, napół sini,
Napoły lśniący od złota, szkarłatów,
Ziemskimi barwy, jak oazis kwiatów
Stali na srebrno-ognistej pustyni.

A skoro Lambro stanął w duchów kole,
Miljonowe patrzały nań duchy;
I tak go w spojrzeń zakuli łańcuchy,
Że nie mógł zamknąć oczu — i na czole
Palące uczuł znamię duchów wzroku,
I drżał, gdy szmerem rosnącym potoku
W ciszy setnymi głosy zawołali:
„Czemuś nie skonał, gdy wszyscy konali?“

VIII.

Straszna twarz Lambra łamana cierpieniem —
Otworzył usta, chciał mówić, i nie mógł...
A potem słowo złamane westchnieniem
To słowo „żyję“ rzucił z głębi łona...
I wstał z dywanu, wyciągnął ramiona,
Widać, że walczył ze snem i sen przemógł.
Spojrzał wokoło... „Paziu! daj mi czarę;
„Za mało trucizn zapalonych piłem,
Bo myślą ziemską we śnie się rozbiłem...
Że nie zginąłem, życie mam za karę;
A to piekielna kara niebios — życie...
Być w świecie dźwiękiem rozwiązanej struny,
Co razi serca tonące w zachwycie!
Być jako wieko przysypanej truny,
Co zrazu każdej garści zapomnienia
Posępnym, głuchym jękiem odpowiada:
A potem milczy... Paziu, chcę marzenia!
Lej mi trucizny, pić będę — pić będę,
Póki się wszystkich myśli nie pozbędę,
I tej ostatniej, co serce przejada.
Paziu, daj czarę...“

„Próżno błagasz, panie,
Tej czary żadna nie zdobędzie siła;
Bo dziś, jak niosło twoje rozkazanie,
Jam czarę (kłamał) do morza wrzuci...“

Nie skończył, Lambra przerażony wzrokiem,
Bo korsarz drżące wyciągnął ramiona,
I pochylony naprzód stąpił krokiem,
Patrzał w twarz pazia i krzyknął: „to ona...“
O nie! to widmo z piekielnej otchłani,
To mi upiora przysłali szatani.
Aby tak ze mną wiecznie szedł po świecie...
Ha! wy anieli piekieł! wy nie wiecie,
Że ona żyje, i tylko dziś rano,
W jej szaty lalkę ubrałem słomianą;

I tym podstępem omyliłem straże,
Palnego statku Turcy nie poznali...
O! gdyby ona spłonęła w pożarze;
Chciałżebym z morskiej wynurzyć się fali?...
Pocóż to widmo?... we mnie, lub koło mnie
Wiecznie i wiecznie — czemuż ludzi twarze
W jej twarz się mienią? paziu! chodź tu do mnie,
Chodź! niech przy lampie..."

Lecz paź nieprzytomnie
Nalewał napój w pozłacaną czarę,
I z drżącej ręki niezliczonych wiele
Kropel trucizny upadło nad miarę.
I szedł zachwiany i stąpał nieśmiele,
Jakby od blasku ręką zakrył oczy;
I tak przed lampą stanął, że ją cieniem
Swojej postaci nachylonej mroczy...
Lambro miał usta spalone pragnieniem;
Oczy, sennymi tłoczone ciężary,
Z oblicza pazia upadły w głąb czary.

IX.

Wypił. Wnet całe spłonęło mu lice,
W tym blasku, w oka obłąkanym rzucie
Nieodgadnioną widać tajemnicę;
Jakby niepewne boleści przeczucie.
Znów mu się senne ukazały barwy:
Ciemno-ognista i miesięcznej bieli;
I znów te same widział kleftów larwy.
Stanął w ich kole, słuchał, lecz milczeli.
A przed kleftami stali dwaj anieli:
Jeden, ognisty jak piorunu strzała,
Bezkarnie wzrokiem człowieka nietknięty,
Był w Lambra myśli jako płód poczęty,
I nie mógł w zmysłów narodzić się świecie.
Drugiego istność księżycowa, biała;
Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.
Widać, że kiedyś był Boga aniołem,
Lecz barwy skrzydeł spłowiały, pobladły,
Musiał je zrosić ów anioł upadły
We łzach człowieka nad świata padołem.
Ma w ręku czarę, z której błękitnawy
Płomyk wytryska i lice mu bieli...
I w ciszy Lambra marzeń dwaj anieli
Śpiewali razem hymn straszny i krwawy.

HYMN ANIOŁA.

Falo ludzi! falo ludzi!
Przewracasz się, pienisz — i mętna
Bez wiatru usypiasz... któż ciebie obudzi?
Czy sława paląca, czy miłość namiętna!
Falo ludzi! falo ludzi!
Przed tronami niższa czołem,
Przerzedzona mieczem wroga!
Gdy chciałaś się modlić i modlić do Boga,
Modliłaś się do mnie, jam zemsty aniołem.
O! byłem ja nieraz w ostatnim pacierzu
Na ustach zmarłego... Ja stoję przy grobach,
Gdy krewni przychodzą ubrani w żałobach,
A kiedy się modlą po zmarłym rycerzu,
Wzywają mnie więcej, i więcej niż Boga.

Płynęła od wschodu
Szarańcza złowroga;
Niszczona od głodu,
Na Stambuł upadła;
Z tej chmury lazuru,
Jak ciemne widziadła,
Wybiło się wieży tysiące;
I rzekłbyś, że wielkie olbrzymy milczące
Szarańcze rozgniotły stopami z marmuru.

A potem te mrące na głazach owady
Stworzyły myśl w chmurze, co duszą jej była.
I gryzły bezsilne z marmuru posady,
I marły — a mrących myśl we mnie ożyła.
Myśl zemsty mrącego narodu.
A kto chce iść za mną, gdy nie śmie lud cały,
Na inne uczucia niech lice ma z lodu;
Gdy lud będzie milczał do zemsty nieśmiały,
Gdy grobów gęściejsze porosną cyprysy,
Gdy głośne łez będą rozpacze,
Ja śmiechem złamane pokażę mu rysy,
Aż póki w nim śmiechu nie wzbudzę szatana;
I będzie go zgraja przeklinać spłakana,
Że z nimi na grobach nie płacze.

Wylany ze łzami
Mój duch obumiera,
Mnie światło dnia plami,
Mnie księżyc otwiera
Jak kwiaty, co kwitną nocami.
Ja czekam, aż Turki wychodzą z meczetu,
I płynę w ich serca przed Bogiem otwarte.

Ja jestem modlitwą na stali sztyletu.
Ja mieczem ognistym anioła
Wśród księgi wspomnienia zaginam tę kartę,
Co o krew woła.

HYMN ANIOŁA.

Gdzie kilka palm pustyni, gdzie wrące powietrze
Drży przebiegane falą żółtawą płomyków,
Tam ja byłem na spiekłym urodzony wietrze,
Tam jak szakal pilnuję gryzących się szyków.
A kiedy trupami pustynię pokryją,
Nim księżyc się w niebie wysrebrzy dwa razy,
Szakale nocami pieśń sławy im wyją,
Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy,
I lecę ich żony zabijać i dzieci,
Ażeby niedługo umarłych płakały.

A moje skrzydło krwi plamami świeci,
Ani ich w morza opłóczę kryształy.
I lecę miasta zamieniać w pustynie;
A w miastach ludzie czują, że ja lecę
W srebrno-błękitnej, w nadpowietrznej rzece,
Co nad krętymi ulicami płynie.

Z sułtana powracam ja grodu;
Sto głów dziś sułtański ściął miecznik;
A każda na postrach narodu
Z bram miasta jak żółty słonecznik
Spogląda za słońcem zachodu.
I oczy wlepiły w mgłę białą,
Co kraj im rodzinny zakrywa;
I każda się zda jakby żywa —
Krwią płaczą, gdy łez im nie stało.

Zemsty natchnąłem je duchem,
Mścijcie się, rzekłem, dam broni...
Czarnym zarazy łańcuchem
Sułtańskie grody związały,
W meczetów zakradły się woni.
Za bramy wybiegł lud cały,
Na bramach była zaraza;
Lud martwe dał jej pokłony.
Głowy, jak królów korony,
Świecą na słupach z żelaza,
I mają poddanych — trupy.

Ż syryjskimi łupy
Ja okręt przez wały
Po morza błękicie
Do portu zawiałem.
I stał oniemiały,
Nie spuścił szalupy,
A na żaglu szczycie
Nad cichymi trupy
Ja anioł siedziałem.

Lud widząc bitny
W grobów popiele,
Chciałem, by groby otwarli.
Złoty aniele!
Rzekli umarli,
Weź z naszych grobów promyk błękitny
I mścij się za nas... Duch grobów wziąłem
I lecę mściwy,
Bo lud nieżywy
Nazwał mnie zemsty aniołem.

Skonały dzikie dwóch aniołów pienia.
Lambro je we snach gorączkowych składał,
Hymn ostatniego tak rymami spadał,
Jakgdyby w piersi marzeń brakło tchnienia.
Wstał, chciał się zbudzić, lecz padł na dywany;
Usta mu tylko drżały blade, sine,
Jakby chciał mówić — i wzrok obłąkany
Przebiegał marzeń zamgloną krainę.
A jego twarzy powleczonej w bieli
Nawet szatani marzeń się przelękną.
I rzekł: „O Duchy! o ciemni anieli!
Wyście mi zemstę malowali piękną,
Jak najpiękniejszą ze wschodnich Odalisk,[1]
Bo w mojem sercu miłość zapaliła.
Choć sny wygasną, ona będzie żyła,
Dla niej utworzę, pośród mych zwalisk,
Krainę czucia, brylantowy Eden...
I nie sam będę... choć klasztorna krata
Już mię na wieki rozdzieliła z Idą...
Szalona zemsta!... burzę świat sam jeden
Mamże być znowu piekieł Danaidą,[2]
I krew lać wiecznie do tej czary świata,
Co się krwią nigdy napełnić nie może.
Czyż się bezemnie sam nie zemścisz, Boże!

---

[1] Odaliska, służebnica biała w haremie. [2] Danajdy, córki Danaosa, skazane za karę, na napełnianie wodą dziurawej beczki.

To są anieli twoi... ci... przedemną,
Przynieśli na świat myśl wielką i ciemną.
Całą na czołach ogniem wypisaną,
Ale nie mogę wyłamać z niej słowa.
Słuchajcie, ludy, mścić się nie za rano...
Nie... dziś nie mogę, dziś mi cięży głowa...
Jutro — dziś w marzeń upływam potopie...
Jutro. Lecz dzisiaj sennym wydrę cudom
Myśl wielką... potem tę myśl zmartwychwstania
Jak Kleopatry perłę[1] w krwi roztopię,
W czarze z kryształu, i dam czarę ludom...
A one może w chwili obłąkania
Odepchną czarę... wieczna im mogiła;
Jeżeli czarę od siebie odrzucą,
Jeżeli usta dla tego odwrócą,
Że się w krwi ludzkiej myśl ta roztopiła,
Chociaż tak była bezcenna i droga,
Że o niej dotąd nie śnił nikt — prócz Boga.
Lecz niech ją pojmę, niech przeniknę jasno,
Niech mi z posianych rozkwitnie zarodów...
Zemsta człowieka i zemsta narodów...
Jest w sercu... w myślach... moje myśli gasną...
Znów mię ogniste porywa marzenie;
Widzę je sercem i okiem zamkniętem.
Powietrze zda się wielkim djamentem,
W którym kolory grają i płomienie,
Szatani! o ciemni szatani!
Jak płyną wirem obrazy!
To mój okręt korsarski na ciemnej otchłani
W skrzydlate widmo się mieni;
A z prawej strony anioł zarazy,
A z lewej anioł ognisty,
Liny z promieni...
I morza obrus błękitno-szklisty
Nie łamie się w pianę pod statku piersiami,
I okręt białymi nie szumi żaglami;
I tylko czuję, że płynę,
Jak duchy w północną godzinę,
Posępny, okryty mgłami.
I mgła błękitna pobiela
Uciekające wstecz brzegi,
Topią się, nikną jak śniegi.
Znów widne... tam palma drżąca,
Jako kapłan Izraela,
Do cichej twarzy miesiąca
Wznosi dłonie, twarz odwraca
I mówi modlitwy szmerem.

[1] Istnieje podanie, że Kleopatra wychyliła na cześć Antonjusza toast octem z rozpuszczoną w nim perłą.

Anioł zemsty kieruje okrętowym sterem,
Odbłyskiem swego lica ciemny brzeg pozłaca.
Palmy się zamieniają w ogniste kolumny,
I brzeg cały przeraża pożarów ogromem,
Tylko czarne cyprysy, niedotknięte gromem,
Stoją, zmarłego świata pilnujące trumny...

A tam... Kolonny[1] wybrzeże,
Białe posągów narody.
Wśród kolumn tureckie wieże,
Na gmachach las ostów szumi,
Jak babilońskie ogrody,
I szmerem głos modlitwy Mahometa tłumi,
Głos, co się smutnym dźwiękiem po fali rozlewa.
A tam, gdzie laur różowy, gdzie oliwne drzewa,
Wybłyska jedna, druga i czwarta kolumna;
Szczęty gmachów Jowisza ściętą mają głowę.
Jakaż to jaskółka dumna
Na te gzemsy marmurowe
Zaniosła gniazdo? — skonała
W tych gmachach wiara i chwała,
A ta jaskółka nie skona?
O nie... to chata Santona[2]
Na gzemsów zawisła szczycie.
Posępna wokoło cisza...
Przed chatą postać derwisza
W nieba skreślona błękicie,
Jako posąg nieruchoma...
Modli się... depcąc świątynie."
Lambro marzył... a w twarzy zgryzota widoma
Czerni się, i łza wstydu po licach mu płynie.
Patrzał w anioła zemsty, w anioła zarazy,
I oba stali cicho, posępnie jak głazy,
I w ich postawach ogień potępieńców bladnie.
„Gdy cały kraj powstanie, ta chata upadnie"
Rzekli... i okręt płynął na błękitne morze.

Tam zdala, okryta mgłami
Turków stolica w Bosforze.
Tysiące gmachów, meczetów,
I tysiące minaretów,
Jakby złotymi głoskami
Jakiś napis alkoranu
Pisały w nieba błękicie.

Zemstę będziemy winni przedwiecznemu Panu,
Anioł zarazy siada na sofijskim szczycie.
I patrzy na stronicę... Gdzież sen mój? ciemnieje.

[1] Colonna, przylądek w Grecji. [2] W Atenach, na gruzach świątyni Jowisza, Santon, derwisz turecki, zbudował chatę.

Paziu, ty rozbić musiałeś zwierciadło,
W którem czytałem wszystko na te oczy.
Rozbić musiałeś, bo wszystko tak mgleje,
Czerni się, pierzcha, rozbija, pobladło.
I coraz grubiej wzrok mi się zamroczy,
Tak, że nie widzę nic prócz myśli własnych.
O męka! męka! z tych obrazów jasnych
W ciemność myślenia nagle wpaść oczyma.
O jak głęboko pośród myśli tłumu
Wzrok mój zabiega, jeszcze dna nie trzyma,
To wzrok ocknienia... to promień rozumu
Budzi się z marzeń piekielnych rozkuty..."
Tu korsarz zamilkł, sam w sobie zamknięty,
Długo na łożu leżał rozciągnięty,
Potem się zerwał, krzyknął: „jam otruty"

X.

Zrazu się wahał i myśli przędziwa
Żadnymi na jaw nie śmiał wydać słowy,
Jakby się lękał, aby śmierć skwapliwa
Nie rozwiązała wpół zaczętej mowy;
I widać było, jak na jego czole
Ze snu chmurami łamały się bole.
Chwyta za sztylet złotem wybijany,
A tak był drżący, że go ledwo dźwignął;
I krwi gwałtownem rozigraniem chwiany,
Nad bladym paziem dłoń wzniesioną trzyma.
Palił się cały, potem cały stygnął...
Żelazo z dźwiękiem padło na podłogę.
„Paź błękitnymi ściga mię oczyma,
On ma twarz Idy, zabić go nie mogę!
Idź w świat, tam ludzie wszyscy ciebie godni,
Obłudą w serca wkradaj się tajemnie:
Ty się odemnie nauczyłeś zbrodni,
Na Boga, szczęścia nie ucz się odemnie!
Idź, weź to złoto... może niem zapłacisz
Za snu godzinę, za czarę trucizny,
Weź i tę czarę, wśród domowych zacisz,
Jeżeli kiedy dożyjesz siwizny,
Niech do tej czary twoje dzieci własne
Cypryjskich jagód nalewają wina;
A może zaśniesz, jak ja teraz zasnę.
Ja nie przeklinam, śmierć ciebie przeklina,
Śmierć od trucizny bezsławna i marna
I nadto wczesna... Głębi mego łona
Bóg tajemnicze dał zarodu ziarna,
Dał samobójczą myśl: ta wykarmiona

Rosła jak bujne, głuszące rośliny,
Stała się zmysłem duszy, rozkwitała.
Czekałem tylko szczęśliwej godziny,
A wtenczas dusza, rozwiązana z ciała,
Mogłaby skończyć pasmo wyobrażeń
Uczuciem dumy i śmiercią bez marzeń.
Wtenczas koło mnie stałyby wokoło
Z grobów wezwane dawnych druhów twarze.
Z uśmiechem gorzkim odwróciłbym czoło,
Niechby widzieli, że śmierć bywa w czarze;
Bo oni niegdyś niedowiarstwa wzrokiem
Śledzili we mnie męstwa, nie dostrzegli...
I dziś, dziś jeszcze nie wszyscy odbiegli.
Widzę ją, widzę, tam, z błękitnem okiem,
O nie! to szatan ubiera w mgłę ciemną
Takie obrazy. Wściekłość mnie porywa!
To paź... to ona... martwa... jeśliś żywa?
Ja konam! konam! chodź ze mną! chodź ze mną!
Paź upadł we krwi. Lambro drżący, blady,
Zbył w nim sztyletu, szedł — i niezatarte
Stopami krwawe powyciskał ślady,
Pot miał na czole, usta wpół otwarte.

XI.

Taką twarz noszą anieli przeklęci.
Na czole myśli biegające tłumem,
Niepowiązane czuciem i rozumem,
Zlały się w ciemną niepewność pamięci.
Niepomny zbrodni, którą był wykonał,
Sennymi słowy trzykroć pazia woła;
Paź jeszcze słyszał, podniósł nieco czoła,
Westchnął głęboko, chciał mówić i skonał.
Lambro spalony truciznami bladnie,
Potem się drżący przyczołgał do stoła,
Chwycił za czarę, w czarze znalazł na dnie
Męty napoju — wypił je i ożył;
I sen od powiek na chwilę oddalił,
Śmierci przyspieszył, lecz marzeń przysporzył;
Jak lampa blaskiem ostatnim się palił.

XII.

„Oto mój żywioł, ta ciemność ponura,
Już do otchłani myśl moja należy.
I nieskończoność, jako ciemna chmura,
Świat opłynęła; myśl gdy w nią pobieży,

Wraca zbłąkana i znów się zamyka
W sennych marzeniach, moja nie wróciła...
Już nie mam myśli, odbiega mnie — znika.
Raz nad świat wzbita, nie jest częścią świata.
Zna nieskończoność, znała piekło, żyła.
Niech ją zabójca pierworodny brata
Leci płomienną naznaczona blizną,
W małej z początku żywiona iskierce,
Kiedy w popioły obróciła serce,
W proch się rozpadło dotknięte trucizną...
. . . . . .

O jak tu ciężko... poco pod sklepienia
Zamknięto kwiaty? ta woń kwiatów nudzi!...
Bo kwiaty nocą jak dawne wspomnienia,
Kiedy rozkwitną, zabijają ludzi.
Rozbić te okna! rozbić szklanne stropy!
Czy mi się zdaje? zali w tym wazonie
Rosnące róże i heliotropy
Podobne z siebie jak krew dają wonie?
. . . . . .

Wiele, tłum wspomnień zostawiam po sobie:
Sławę... i zbrodni przebieżone stopnie,
I krew — o sława! sława! to okropnie
Stać jako posąg na ojczyzny grobie.
. . . . . .

Wyście mnie wpletli w koło Ixyona,[1]
Wyście się po mnie wiele spodziewali;
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumu zanurzony fali
Nie mogłem czoła wznieść nad tłum, cierpiałem.
Precz ludzie... dajcie spokojnie mi zasnąć!
Ha! i ta lampa chce ze mną zagasnąć,
Świeć, blada lampo, kiedy ja się mroczę,
Świeć i świeć jutro nad korsarza ciałem...
Dotknąłem lampy i całe przeźrocze
Krwią poplamiłem. Tu wrogi być muszą...
Wpadli na pokład i krew się rozlała.
Słyszę nad głową, jak się deski kruszą,
Jak pierś okrętu rozbijają działa.
Chodźcie tu wszyscy, choć mam twarz pobladłą,
To nie od trwogi... Chodźcie wszyscy razem!
Jeszcze nad głową powieję żelazem...
O jak mi ciemno!... więc wszystko przepadło?
Przekleństwo temu, co pomiędzy tłumem
Jękiem rozpaczy przeraźliwie wrzasnął,

---

[1] Iksjon, cierpiał męki w Hadesie wpleciony w koło, mit grecki.

Przekleństwo fali, co z piekielnym szumem
Drze się, szczelinę rozwierając kruchą.
I okręt z głębi łona westchnął głucho...
W głąb idę"... Upadł na dywan i zasnął.

XIII

Lampa zagasła. A korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki...
A teraz... słychać tajemnicze kroki,
Ktoś przez otwarte cicho drzwi kajuty
Wchodzi ostrożnie w krainę męczarni...
„Cicho? rzekł, cóż to oboje uśpieni?"
Więc nieco tajnej otworzył latarni,
Rzucając kołem kilka mdłych promieni.
A gdy te biegły po ścianach komnaty,
Gdy od zwierciadeł wróciły przeźroczy.
Widać przechodnia... Pazia nosił szaty,
Do zabitego szat podobne krojem,
I równie bliski postawą jak strojem;
Ale miał czarne, jak noc czarne oczy,
I mniej był młody i piękny na twarzy;
Bo na niej uśmiech i bladość korsarzy,
Jako na miękkim wosku odciśnięte,
Świadczą, że bolem przed latami dojrzał;
Że miał już serce na czucia zamknięte.
Stał, słuchał chwilę, potem ku drzwiom spojrzał,
Chcąc niezgłębioną rzucić tajemnicę,
I tak jak ludzie niepewnością chwiani,
Znów się odwrócił, z potu otarł lice,
I wołał coraz głośniej: „Pani! pani!"
Już ranek świta... Pani! o na Boga!
Uciekaj ze mną, korzystajmy z cieni...
Bo teraz jeszcze mgłą pewniejsza droga,
I on się zbudzi... korzystajmy z mroku...
Choćbyś mi dała twoich sto pierścieni,
Za sto pierścieni nie chcę czekać kary,
Ja nie wytrzymam nawet Lambra wzroku,
Bo on jak człowiek, on się mści bez miary.
Pani! odpowiedz... chwil mamy niewiele...
A korsarz... Cóż to? podłoga zroszona,
I krew... na martwem potknąłem się ciele.
Lampę odkrytę... O Boże! to ona!
Sztylet ma w piersiach, to ona — zabita."
Umilkł, tysiączne uczucie nim miota,
Martwy z przestrachu, przerażeniem ożył.
Spojrzał przez okno, krzyknął: „świta! świta!"
I z obłąkaniem chwycił za wór złota,
Wybiegł i ryglę za sobą założył,

XIV.

Bogini nocy przed blaskami świtu
Gwiazdy z rozwianych strząsała warkoczy,
Deszczem spadały do morza błękitu,
Inne blask zorzy płonącej pochłonął.
Lambro otworzył mgliste snami oczy;
Połową czucia jeszcze we śnie tonął,
Połową myśli sen przenikał zdradny,
Rozkołysany pośród burzy wrażeń.
Lecz boleść była nicią Arjadny,[1]
Po której wyszedł z labiryntu marzeń.
A szatan ciemny, co się karmi łzami,
Skąpy swych darów, żadnych nie uronił;
I chwil boleściom ukradzionych snami
Większem cierpieniem i bolem dogonił.
Skoro w komnaty dzień przeniknął jasny,
Lambro krew ujrzał, stał nad martwem ciałem
I rzekł: „sztyletu głowicę poznałem.
To jam go zabił, to mój sztylet własny.
Boże! czyż w świecie byłem tak splątany
Z tym tłumem ludzi? że nawet samotny
Umrzeć nie mogę; ale w tłum wmieszany
Konam — i ludzie koło mnie padają
Jak oberwany z drzewa liść stokrotny.
O! boleść! boleść! umierać ze zgrają,
Jak pod gruzami zawalonej ściany!
Gdzie nawet śmierci ostatnie westchnienie
Głośnymi jęki ludzi zagłuszone;
Gdzie i ostatnie o zmarłym wspomnienie
Nie na człowieka, lecz na tłum upada...
Wzniosę ten zawój, pióra zakrwawione,
Ujrzę twarz pazia czy mściwa i blada?

XV.

Lambro schylony z drżeniem i nieśmiało
Zdjął zawój pazia ze strusimi pióry...
I uderzony jak gromem, o mało
Nie padł na ziemię, gdy spotkał oczyma
Na pół otwartej źrenicy lazury.
Upuścił zawój, sztyletu się ima...
Potem przypomniał śmierć, sztylet odrzucił...
Bo miał na ustach gorycze napoju:
I z obłąkaniem odszedł i znów wrócił,
I znów rękami od śmierci drżącymi
Zdejmował zawój; wtenczas z pod zawoju
Włos uwolniony sypał się po ziemi

[1] Arjadna, córka króla Minosa, króla Krety, ułatwiła Tezeuszowi wydostanie się z Labiryntu.

Ze smutnym szmerem, i dokoła twarzy
Kładł się w tysiączne pierścienie rozwity.
Okropny widok! Ta krew, co się warzy,
Co poplamiła jej szat aksamity,
Na twarzy smutek i miękka omdlałość
I przeźroczysta alabastru białość;
Kilka uwiędłych kwiatów w martwej dłoni
Trzyma na piersiach, a drugą dłoń dała
Jak śpiące dziecko za wezgłowie skroni,
W takiej postawie martwa, jakby spała.

XVI.

Siły korsarza na pomoc zwołane,
W serce wrzucone, z boleścią się łamią.
On tak jak ludzie, co przed sobą kłamią
Moc wielką duszy, wstydzi się cierpienia.
A gdy mu własne serce zlitowane
Niosło jałmużnę łez i użalenia,
On ją odrzucił, on sercem hartownie
Boleści ciała brał i nie wydawał.
Ale po chwili, nowych cierpień nawał
Wszystkie mu członki połamał gwałtownie.
Straszna to boleść! rwał na czole włosy,
Ręką bił w piersi i krwawymi ciosy
Rozdzierał w bojach odebrane blizny.
Skądże ta rozpacz? oto z głębi łona
Uczuł niknące cierpienie trucizny,
I myśl okropna, że siłami ciała
Bole zwyciężył — trucizny pokona,
Że się wyłamie śmierci — zabijała.
„Tak, rzekł posępny, pochowam ją święcie
W grób mej rodziny, w ciche fal błękity.
Sam dałem rozkaz, aby na okręcie
Pod tą zasłoną pawilonu krwawą
Nie przeszła stopa ani cień kobiety...
Miałżebym pierwszy łamać dane prawo?
Mogliby ze mnie urągać niegodni!
Przed nimi trzeba kryć wszystko, prócz zbrodni."

XVII.

Otworzył okna kajuty kratowe,
Siadł nad cichymi morza zwierciadłami.
Morze się lśniło ciemno-lazurowe,
Złociste słońcem, osrebrzone mgłami;
I wiatr po żaglach okrętowych szumiał.
Korsarz na łonie złożył Idy zwłoki,
I długo z martwą rozstać się nie umiał.
To patrzał w odmęt ciemny i głęboki,

To na jej lice zwracał smutne oczy;
A wiatr mu ranny przesłaniał oblicze
Mgłą rozwiewaną jej długich warkoczy;
Wtenczas czuł włosa wonie tajemnicze,
I dumał długo cichym wspomnień żalem.
Ani go zmarłej twarz raziła zbladła;
Na płeć jej niegdyś płonącą koralem
Śmierć bledsze barwy, ale piękne kładła.
Widząc jej kształty, zda się, że upadła
W uściski Lambra, zachwyceniem żywa;
I tylko drżąca tuli się do łona,
O nadto skore rozstanie lękliwa.
Zda się, że szumem morza przerażona,
Od grobu lice odwrócone trzyma;
I z okiem Lambra wiąże się oczyma.
I dłoń mu błędną kładzie na ramiona.
O! patrząc na nią, musiał czuciom kłamać,
Jeśli łzy nie miał na cierpienia nowe!
Gdy przyszło z objęć martwych się wyłamać,
Odrzucić z szyi ręce liljowe,
I twarz odsłonić z wonnej włosów chmury,
Przebył męczarnie wszystkie, wszystko przeżył...
Rzucił ją w morze i patrzał ponury,
Jak się krąg fali złamanej rozszerzył;
Patrzał, jak odmęt zrastał się rozbity,
A martwe ciało napoły widome,
Napół morskimi przykryte błękity,
Wzruszonej morza fali się broniło,
Łamiąc się w kształty życiem nieruchome;
I utonęło pod morza mogiłą.

A Lambro... on był szatanem, czy głazem!
Lambro schylony nad takim obrazem
Śmiech miał na licach, wesołość na czole.
Ten śmiech ustami wydany bladymi,
To były trucizn wracające bole,
Był to śmiech Lambra — ostatni na ziemi.

XVIII.

Lambro milczący usiadł na dywanie,
Cały się mroczył i bladnął i gasnął.
A potem głośno w obie dłonie klasnął,
Wnet stary majtek wbiegł na zawołanie.
Lambro rzekł: „Majtku, niech pop okrętowy
Zapali lampy jak o wielkiem święcie;
I niechaj głośno śpiewa hymn grobowy,
Przy mnogich światłach w mrocznym kadzidł dymie.
Za tych, co mają skonać na okręcie
I co skonali..."

„Panie! jakież imię
Wspomni w modlitwach? czyjeż gaśnie życie?“
„Powiesić pazia na masztowym szczycie.
Za niego modły niech wzniesie do Pana“.
„Lambro! twój rozkaz spełnić się nie może.
Twój paź gdzieś uszedł i zniknął od rana,
Musiał tajemnie spuścić łódź na morze.
Lecz choćby w Pera ukrywał się wieże,
Choćby się w gmachach zamykał sułtana,
Nakarmię kruki ciała jego ćwiercią“.
„To nic... Pop niechaj odmawia pacierze
Za konających i za zmarłych dusze;
Teraz ty odejdź... ja sam zostać muszę,
I cicho dodał: „sam jeden ze śmiercią.“

XIX.

Oto na czarnej okrętu banderze
Martwe korsarza spoczywają zwłoki.
Majtkowie wyszli na pokład szeroki,
I słychać było szeptane pacierze;
Szarawe kadzidł snuły się obłoki,
W dymach żółtawe płonęły gromnice.
I był to widok pięknością straszliwy,
Gdy majtki, patrząc w umarłego lice,
Cicho brzęczące zrywali kotwice,
I okręt płynął — a Lambro nieżywy
Po raz ostatni wędrował przez morze.
A skoro trzecie zabłysnęło zorze,
Umalowane czerwonymi świty,
Do fal rzucili ciało — i zniknęło...
I dział trzydzieście głęboko westchnęło
Na bezechowe otchłani błękity.

(1832)

PRZYPISY POETY
DO POEMATU LAMBRO

PIEŚŃ PIERWSZA.

Podobna córce głazowej Tantala
Gdy, etc.

Te cztery wiersze są tłumaczeniem z Antygony Sofoklesa.

Niegdyś nam północ miecz podała w dłonie
A potem chytrze bezsilnych odbiegła,

Mowa o Katarzynie Carowej, która Greków podburzyła do powstania i zdradziła oczekujących od niej pomocy.

...Była to pieśń Rygi.

Sławny hymn powstańców, napisany przez Rygę, zaczyna się od słów: Δεῦτε παῖδες των Ἑλλήνων.

I miej kalemkiar ciemny z muselinu,
Lub czewrę.

Rodzaj zasłony kobiet tureckich.

PIEŚŃ DRUGA.

W jej szaty lalkę ubrałem słomianą,
I tym podstępem omyliłem straże;
Palnego statku Turcy nie poznali.

W ostatniej wojnie o niepodległość, Grecy często pod tureckie floty puszczali statki palne, napełnione lalkami, czyli tak zwanymi manekinami, aby w Turkach podejrzenia nie wzbudzić. — A łodzie takie miały pozór handlowych statków.

Miał skrzydła u głów, u rąk, u stóp trzecie.

Obraz anioła naśladowany z Miltona.

Ja mszczę się umarłych, jam anioł zarazy.

Zaraza, która w ostatnich czasach mściła się na Europie opuszczającej naszą sprawę, podała mi myśl połączenia anioła zarazy z zemsty aniołem

...to chata Santona.

W Atenach, na gruzach kościoła Jowisza, Santon, derwisz turecki, zbudował chatę.

Korsarz otruty
Przed śmierci chwilą tonął w sen głęboki.

Otruci napojem opium usypiają, lecz przed śmiercią budzą się.

DUMA

O WACŁAWIE RZEWUSKIM.

Po morzach wędrował — był kiedyś Farysem [1]
Pod palmą spoczywał, pod ciemnym cyprysem,
Z modlitwą Araba był w gmachach Khaaba, [2]
Odwiedzał proroka grobowce.

Koń jego arabski był biały bez skazy,
Siedmiokroć na koniu przeleciał step Gazy, [3]
I stał przed kościołem, i kornem bił czołem,
Jak czynią w Solimie wędrowce.

Miał drogę gwiazdami znaczoną po stepie,
I życie niósł własne w skrzydlatym oszczepie,
Błądzący po świecie zaufał w sztylecie,
Bo sztylet mu dała dziewica.

Gdy nocą opuszczał haremu krużganki,
By odciąć drabinę, wziął sztylet kochanki;
Choć broń była żeńska, lecz stal damasceńska,
Hartowna — i złota głowica.

A kiedy odjeżdżał — ta bladła i mdlała,
O sztylet prosiła, bo zabić się chciała.
Żyj długo, bądź zdrowa, dziewico stepowa,
Twój sztylet położy mnie w grobie.

Bo kiedy już przeszłość ten step mi zakryje,
Gdy żyć będzie ciężko, to sam się zabiję,
Bo dziką miał duszę. Więc sztylet mieć muszę,
Twój sztylet mieć muszę przy sobie,"

Smutnego uniosły arabskie latawce,
Bo znikła z krużganku, bo widział w sadzawce
Pod oknem, w ogrodzie, fal koła na wodzie
I białą zasłonę... O Lachu!...

---

[1] Farys, po francusku chevalier, rycerz. [2] Khaaba, świątynia w Mekce, cel pielgrzymek. [3] Gaza, miasto w Palestynie.

I nocą obaczył kraj miły rodzony,
Gdy księżyc się wznosił na stepach czerwony.
W noc nawet i ślepy poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu.

A niwa mu do stóp kłaniała się złota,
I marzył, że wierny druh wyjdzie przed wrota.
Lecz druhów nie było... Pod zimną mogiłą
Posnęli, gdy błądził w pustyni.

Więc jechał samotny, nieznany nikomu,
Lecz jeszcze z dziedzińca, od wrót swego domu
Odwrócić chciał konia i jechać na błonia,
Gdzie błądzą jak wiatr Beduini.

Lecz konia podkowy rozkute od krzemion,
I koń był zmęczony... Więc skoczył ze strzemion
I wszedł do siedziby, bez zamka, bez szyby,
Gdzie rosą próchniało obicie.

I miło mu było, gdy ujrzał te skały
Nad ciemnym Smotryczem, gdzie orzeł żył biały [1]
I wił sobie gniazdo: nadziei był gwiazdą,
Po nieba szybując błękicie.

Dla konia w ogrodzie budował altany,
I żłoby pozłacał, z kryształu dał ściany.
Przed Cara żołdakiem mógł uciec tym ptakiem
Daleko — i wolnym być zawsze.

I ludzi żałował, że żaden z nich nie miał
Szybkiego tak konia: więc każdy oniemiał,
I był jakby głazem pod Cara rozkazem,
A były rozkazy co krwawsze.

Raz, starym zwyczajem pomarłych już rodzin,
Ten Emir arabski w dzień pańskich narodzin,
Na sianie, za stołem, z przyjaciół swych kołem
Połamał opłatek i spożył.

A potem, jak przodków święcono zwyczajem,
Wniósł toast nadziei stoletnim tokajem:
„Żyj Polsko wiek sławy!“ Wtem goniec z Warszawy
Przyleciał, zawołał: „kraj ożył!“

Więc Emir w stepowe zapuszcza się szlaki,
A za nim na koniach buńczuczne kozaki,

[1] Smotrycz, rzeka pod Kamieńcem. Były tam miejsca, gdzie istotnie gnieździły się białe orły.

W czerwieni i w bieli, po stepach płynęli,
Po smutnych kurhanach przeszłości.

I cały ten szereg, błyszczący od stali,
Zrównanym galopem jak morze się fali;
Gdzie słychać dział huki, tam lecą buńczuki,
Jak gwiazdy z ogonem jasności.

Emira kozaki gdy błądzą przez wrzosy,
Umieją pieśń dziką rozłamać na głosy.
Pieśń z echem odsyła stepowa mogiła.
Pieśń grzmiącą: „ho urra! nasz Emir!"

Do Cara pieśń doszła, wściekłością się pienił,
I głowę Emira na ruble ocenił;
Bo myślał, że w kraju z hordami Nogaju [1]
Czyngiskan szedł, Batt, lub Kantemir.

Bo umiał Rzewuski, jak Arab stepowy,
Płachtami rumakom ogłuszyć podkowy,
I cicho, gdy spali, pod obóz Moskali
Podkradać się, bić i brać działa.

Więc ściągnął, jak wszyscy ściągali, pod Daszów,
Gdzie nasza konnica ze szczękiem pałaszów,
Z wesołym okrzykiem, stanęła w mur szykiem
I chmurą proporców powiała.

A kiedy z mgły srebrnej wybiło się słońce,
Ujrzeli Moskalów, straż przednią i Dońce.
Mur dział, jak mur złota, a za nim piechota
W bagnety porosła jak zboże.

I cicho — Wtem bomba śmierciami ciężarna
Upadła w szeregi zwichrzona i czarna.
A nasi w tej chwili jeszcze się modlili,
Do nieba wołali: „O Boże!"

I razem bomb tysiąc zaryło się w stepy,
Rozpękłe wrącymi ciskały czerepy,
I grzmiały, dopokąd piechoty czworokąt
Nasz Emir opasał konnicą.

I strasznie ją ściskał, w żelazne brał skręty,
Przednimi nogami na bagnet koń wspięty,
Tak jak oczerety, połamał bagnety.
W złamanych miecz wiał błyskawicą.

Przemogliby nasi, choć bój był rozpaczny —
Wtem wódz od armaty dał rozkaz dwuznaczny:

[1] Nogaje, szczep tatarski.

„Konnica na skrzydła!“ zwinęli wędzidła,
Odbiegli, ostygli w zapale.

I popłoch się wmięszał. Ów, co był przyczyną
Wszczętego popłochu, nie przeżył godziną.
Bojaźni nie dzielił, dwa działa wystrzelił,
I sam się zastrzelił na dziale.[1]

On może, wśród bolów ostatnich zgryzoty,
Pamiętał, że dzieci zostawiał sieroty.
Lecz śmierć zwyciężyła, niech dziś więc mogiła
Ma łzy, a nie skargi wygnańca.

A Emir, gdy ogień ucichał armatni
Ujeżdżał z rozpaczą, choć zjeżdżał ostatni.
Któż męstwa zaprzecza? gdy szczerby nić miecza
Powlokły, jak perły różańca.

A kiedy opuszczał kraj miły, rodzony,
Znów księżyc się wznosił na stepach czerwony.
„Leć prędzej po błoniu, odpoczniesz, mój koniu,
Gdy w ziemi staniemy tureckiej.“

„O koniu! mój koniu, gdzie twoje zalety?
Czyś może się rozkuł deptając bagnety?
Czyś złamał w kul wiatrze? stój, koniu, opatrzę
Czy niema gdzie kuli zdradzieckiej?“

„Ha zdrowy! — to dobrze — lecz jechać w noc trudno“.
Więc chatę na stepach upatrzył odludną.
Koń zimne gryzł kwiaty, a Emir wśród chaty
Zmęczony zalegał na ziemi.

I zasnął głęboko, bo trud go osłabił —
Śpiącego od Cara najęty chłop zabił,
I sztylet dziewicy do złotej głowicy
W pierś nurzył rękami drżącymi.

O! czemuś, Emirze, nie oddał kindżała
Stepowej dziewicy, gdy zabić się chciała.
Dziś ona śpi w fali, lecz dar jej ze stali
Na wieki w twem sercu zostanie.

A w Moskwie z dział bito na górze pokłonnej,
I miasto się trzęsło od pieśni studzwonnej.
Cieszył się Car Ruski, że Emir Rzewuski
W stepowym śpi cicho kurhanie.
(1832)

[1] Orlikowski, kapitan artylerji konnej, dowodzący działami w bitwie pod Daszowem. Skończył jak powyżej dzieło opisuje.

WIERSZE LIRYCZNE

Z LAT 1835—1836

ROZŁĄCZENIE.

Rozłączeni — lecz jedno o drugiem pamięta:
Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku
I nosi ciągłe wieści. Wiem, kiedy w ogródku,
Wiem, kiedy płaczesz w cichej komnacie zamknięta.

Wiem, o jakiej godzinie wraca bolu fala,
Wiem, jaka ci rozmowa ludzi łzę wyciska.
Tyś mi widna, jak gwiazda, co się tam zapala
I łzę różową leje i skrą siną błyska.

A choć mi teraz ciebie oczyma nie dostać,
Znając twój dom i drzewa ogrodu i kwiaty,
Wiem, gdzie malować myślą twe oczy i postać,
Między jakimi drzewy szukać białej szaty.

Ale ty próżno będziesz krajobrazy tworzyć,
Osrebrzać je księżycem i promienić świtem:
Nie wiesz, że trzeba niebo zwalić i położyć
Pod oknami i nazwać jeziora błękitem;

Potem jezioro z niebem dzielić na połowę,
W dzień zasłoną gór jasnych, w nocy skał szafirem;
Nie wiesz, jak włosem deszczu skałom wieńczyć głowę,
Jak je widzieć w księżycu odkreślone kirem.

Nie wiesz, nad jaką górą wschodzi ta perełka,
Którąm wybrał dla ciebie za gwiazdeczkę-stróża;
Nie wiesz, że gdzieś daleko aż u gór podnóża,
Za jeziorem, dojrzałem dwa z okien światełka.

Przywykłem do nich, kocham te gwiazdy jeziora,
Ciemne mgłą oddalenia, od gwiazd nieba krwawsze;
Dziś je widzę, widziałem zapalone wczora,
Zawsze mi świecą — smutno i blado — lecz zawsze...

A ty wiecznie zagasłaś nad biednym tułaczem:
Lecz choć się nigdy, nigdzie połączyć nie mamy,
Zamilkniemy na chwilę i znów się wołamy,
Jak dwa smutne słowiki, co się wabią płaczem.

Nad jeziorem Leman, dnia 20 lipca 1835 r.

PRZEKLEŃSTWO.

DO **

Przeklęta! Ty wydarłaś ostatnie godziny
Szczęścia mego na ziemi, ty żądłem gadziny
Wygnałaś na samotność. Bądź wiecznie przeklęta! —
Każdy mój jęk zna ciebie, każda łza pamięta!

Bo kiedy nieszczęśliwy zaklinałem ciebie,
Abyś mi dała nieco przyjaźni i ciszy:
Toś ty mi łzy w powszednim podawała chlebie
I jęcząc, z jękiem w sercu mówiłaś: Niech słyszy!

Cierpiałem i uległem. — Dziś samotny jestem:
Lecz wiedz, że w samotności, okryty żałobą
Oczy błędne obracam za każdym szelestem:
Czekam — ale nie ciebie, tęsknię — nie za tobą.

Tej czekam omamiony, tej samotny płaczę,
Która mi była siostrą na wygnania ziemi,
Myśląc, że kiedyś duszy oczyma zobaczę
Tę, co w duszę oczyma patrzy anielskimi.

A nigdy serca mego nie umiała krwawić;
A tak się ze mną duszą i myślami dzieli,
Że już dziś sami boscy nie wiedzą anieli,
Czy ją dla mnie potępić, czy mnie dla niej zbawić.

A ty, a ty, co lałaś żółciowe gorycze,
Skoro się otwierała serca mego rana,
O gorzej, niż przeklęta — widmo tajemnicze
Złej przeszłości — przeklęta bądź i zapomniana!

STOKRÓTKI.

Miło po listku rwać niepełną stokroć
I rozkochanych słów różaniec cedzić,
Miło przy ludziach było raz powiedzieć,
Że się kochamy i mówić po stokroć.

Miło zabłądzić pod lipowe cienie
Z kwiatkami w ręku — i patrząc ukradkiem,
Wzajemnie mówić obrywanym kwiatkiem:
Kochasz!... i pani kochasz mnie szalenie...

Gdy nas różowa poróżniała sprzeczka,
A zgody ciągłe zabraniały świadki,
Pamiętasz, luba, jak te białe kwiatki,
Jeden mówił: n i ę — a drugi: t r o s z e c z k ą.

Dzisiaj samotny, dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach, wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrótki,
Co była siostrą stokrótek w alei.

Rwałem ją: listki leciały w błękicie
Aż na jezioro ze skały, gdziem siedział;
I wiesz, co listek ostatni powiedział? —
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Veytoux, dnia 21 lipca 1835 r. rano.

CHMURY.

Do was, chmury,
Wzrok ponury
Skrą i łzami,
Sam na ziemi
Pod czarnymi
Chmur wiankami.

Jak duch trumny,
Smutkiem dumny
Nad szmer domów
Trzymam skronie
Tam — w koronie
Chmur i gromów.

Gdzie wam droga,
Chmury Boga,
Mnie weźmiecie:
Bo ja ciemny,
Mgłą tajemny,
Sam na świecie.

Tam, za wami,
Gdzie wichrami
Burza kręci, —
Łzą do łzawic,
Do błyskawic
Skrą pamięci.

Lecę! błyskam!
Skrami ciskam,
Jutro zmarły;
Patrzcie na mnie,
Żyjcie za mnie,
Ludzie! karły!

Tu wam, ludzie,
Na ziem grudzie
Mogił grzędy:
Gdzie chmur droga,
Z wichrem Boga
Mnie tamtędy!

Veytoux, 21-lipca 1835 r. wieczór.

OSTATNIE WSPOMNIENIE DO LAURY.[1]

Dawniej bez serca — dziś bez rozumu —
O biedna Lauro — nim zginę,
Tobie śród głuchych pamiątek szumu
Wianek Ofelji uwinę,
Ty go drżącymi weźmiesz rękoma,
Jak wąż ci czoło okręci:
Oto bławatki, ruta i słoma,
A to są kwiaty pamięci.

[1] Ludwiki Śniadeckiej.

Burza żywota nad nami mija,
Przeminie, lecz głowę zegnie:
Śmiech nie pociesza, ból nie zabija,
Pamięć i rozum odbiegnie;
Cicha spokojność nigdy nie wróci,
Zniszczenia wicher nie wionie;
Słońce nie cieszy, księżyc nie smuci,
Cieniami śmierć nie pochłonie...

Za cóż tak zimny nieczucia kamień
Na serce moje się wali?
Żeśmy się kiedyś w kraju omamień
Na jednej drodze spotkali?
Że cię tak długo dźwiękami lutni
Budziłem i do snu kładłem?
A ty smutniejsza, niż ludzie smutni,
Biegłaś za innem widziadłem.

I coraz wyżej w niebo lecąca
Niknęłaś w marzeń lazurze,
I roztopiona w blasku miesiąca
Zwiędłą rzuciłaś mi różę.
Nie wiem, czy róża z twojego czoła,
Czy twoją skropiona łezką,
Czy mi jakiego ręka anioła
Rzuciła różę niebieską.

Ciemność twej duszy, jak dżumy plama
Od ciała przeszła do ciała:
Widzisz jad w sercu? — to łza ta sama,
Którąś ty w serce nalała;
Widzisz, jak zagasł dziecka rumieniec,
Gdzieś ty ustami przebiegła?...
A ten na głowie płonący wieniec
Tyś skrami oczu zażegła.

Dziś, gdy mi włosy burza roztarga,
Ogniami czoło mam sine,
A jakąś dumą drży moja warga,
Że w tych płomieniach nie ginę.
Lecz gdy do szczęścia świat mię zawoła,
Nie biegnę szczęśliwych śladem;
Przeklinam ciebie ogniami czoła,
Serca przeklinam cię jadem.

Więc niech mię prędko chmury czarnymi
Porywa wicher nicości,
Bo już przekląłem wszystko na ziemi,
Wszystko — z aniołem przeszłości...

Tam, gdzie tłum ludzi huczy, ucieka
I falą powraca ciemną,
Nic mnie nie żegna, nic mnie nie czeka,
Nic za mną, i nic przedemną.

Gdy bracia moi, gdy wędrownicy
Lecieli z szumem po niebie,
Ja nieruchomy, gwiazdą źrenicy
Patrzałem w przeszłość, na ciebie.
Dziewice ziemi nieraz postrzegły
Łzawymi oka błękity,
Że oczy moje za tobą biegły,
Żem był na sercu zabity.

Okruszynami nikłej miłości
Karmiłem blade widziadła,
Ale łza taka, jak łzy przeszłości,
Na żadne serce nie spadła.
Jak oczy moje topią się, mdleją,
Jak myśli rzucają ze dna,
Jak iskry sypią, jak łzami leją,
Ty wiesz! — lecz tylko ty jedna.

A teraz — smutny przeszłości echem,
O ludzie, idę za wami,
Choć śmiech wasz dla mnie — szalonych śmiechem,
Łzy wasze — szalonych łzami;
Lecz gdy się znudzę łez zimnych rosą
I zimnych uściskiem prawic,
Duszę mi od was wichry uniosą,
Lecz wichry pełne błyskawic.

Veytoux, dnia 30 lipca 1835 r.

RZYM.

Nagle mię trącił płacz na pustem błoniu:
„Rzymie! nie jesteś ty już dawnym Rzymem".
Tak śpiewał pasterz trzód, siedząc na koniu.

Przedemną mroczne błękitnawym dymem
Sznury pałaców pod Apeninami,
Nad niemi kościół ten, co jest olbrzymem.

Za mną był morski brzeg i nad falami
Okrętów tłum, jako łabędzie stado,
Które ogarnął sen pod ruinami.

I zdjął mię wielki płacz, gdy tą gromadą
Poranny zachwiał wiatr i pędził dalej,
Jakby girlandę dusz w błękitność bladą.

I zdjął mię wielki strach, gdy poznikali
Ci aniołowie fal, a ja zostałem
W pustyni sam, z Rzymem, co już się wali.

I nigdy w życiu takich łez nie lałem,
Jak wtenczas, gdy mnie spytało w pustyni
Słońce, szydzący bóg, czy Rzym widziałem?...

SUMIENIE.

Przekląłem — i na wieki rzuciłem ją samą
I wzburzony, nim księżyc zabłysnął wieczorem,
Jużem się od niej długiem rozdzielił jeziorem;
A gdy się toń jeziora księżycową plamą
Osrebrzyła, gdy wichry zawiewały chłodniej,
Jam jeszcze jechał, jeszcze uciekałem od niej.

I możebym zapomniał, bo koń leciał skoro,
Bo mi piosenkę grały tętniące kopyta,
Gdzie ona... oszukana... przeklęta — zabita...
Patrzę na niebo — księżyc — na gwiazdy — jezioro —
Wszak jęk tu nie doleci... wszak łez nie zobaczę,
To jezioro — to fala — to nie ona płacze.

I możebym zapomniał... lecz gdy to spostrzegła
Blada światłość księżyca — krok w krok za mną biegła.
Próżno się zatokami wężowemi kręcę,
Wszędy mnie księżycowa kolumna dopadła,
Jakby się ta kobieta do stóp moich kładła
I, niema płaczem, za mną wyciągała ręce.

Rzym, dnia 1 maja 1836 r.

W SZWAJCARJI

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci na niebieskie szranki,
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna kaskada,
Gdzie Aar wody błękitnemi spada.
Pozwól tam spojrzeć zawróconej głowie. —
Widzisz tę tęczę po burzy w parowie?
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
Nic jej nie zburzy, i nic jej nie zmiesza;
A czasem tylko jakie białe jagnię
Przez tęczę idzie na skrajne doliny,
Szczypiąc kwitnące róże i leszczyny.
Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
Przez tęczę szybko przeleci i błyśnie.
Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
Wierzyć zacząłem — i wierzę do końca;
Tak jasną była od promieni słońca!
Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
Tak rozwidniona źrenicą z błękitu!
Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
To zakochały się w niej moje oczy!
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
Poszło i serce, a za sercem dusza,
I tak się zaczął prędko romans klecić,
Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
Bo się lękałem, że, jak widmo blade,
Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
I roztopi się... i zgaśnie... i zniknie!

I byłem jak ci, co się we śnie boją,
Bo jużem kochał, bo już była moją! —
I tak raz pierwszy spotkałem ja samą,
Pod jasną tęczy różnobarwnej bramą;
Powiew miłości owiał mię uroczy —
Stanąłem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny,
I szliśmy razem u stóp tej lawiny,
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
Pamiętam chwilę: poranek był skwarny,
Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,
Stanęły blisko złote, nieruchome —
I utopiły oczów błyskawice
W kochanki mojej błękitne źrenice;
I długo patrząc, nieruchome obie,
Głowy promienne pokładły na sobie.
Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie,
Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie —
Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
Do swego gniazda — do pereł i róży;
A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
Całą jej białą twarz zamienił w różę.
A wiecie? ani tak za serce chwyta
Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita,
Ani tak oko wędrowca zachwyca
Gór nad-alpejskich śnieżysta dziewica
Kiedy od słońca różane ma lica:
Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
Płynąc szwajcarskich jezior błękitami.
I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
Chodzić po wodach i po niebie latać.
A ona tak mię prowadziła wszędzie!
Ach! ona była jak białe łabędzie,
Była jeziora błękitnego panią:
Płynęła lecąc — łódź leciała za nią.

Za łodzią jasność szafirowym szlakiem;
Za tą jasnością rybek korowody,
I wyrzucały się aż do niej z wody!
I z takimeśmy płynęli orszakiem,
Uśmiechając się w błękitu krainie.
Bo ona była jak wodne boginie:
Miała powozy z delfinów, z gołębi,
I kryształowe pałace na głębi,
I księżycowe korony w noc ciemną —
I mogła była co chce zrobić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem,
Myślałem całe długie pół godziny!
Wyspowiadałem się potem z tej winy.
Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem,
Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha,
I powiedziała mi w głos, że mię kocha —
I odesłała mię znów na jezioro,
Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...
A ja — ach nie wiem, co się ze mną stało
Czy mię anieli do nieba zabiorą,
Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
Czy uśmiechami rozerwie się łono;
Czy serce, jak lód rozegrzany taję,
Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
Na serce spadły, jak gołębi chmura,
Pić łzy i białe w nim obmywać pióra,
Aby się czyste rozlecieć po niebie. —
Wtem zawołała łódź ze mną do siebie.
Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
Stoi cichości pełna i kolorów
Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
Że się już dawno sercami kochamy;
A pod tym progiem są na wodzie plamy
Od sosen, co się kołyszą na niebie,
I od skał cienia, gdzie, mówiąc do siebie,
Wbite do wody trzymaliśmy oczy.
A pod tym progiem fala tak się toczy,

I tak swawolna, i taka ruchoma,
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,
I przybliżyła, łącząc je rękoma,
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
Ach! fala taka szalona i pusta!
Że połączyła nawet nasze usta,
Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
Fala tak pełna ruchu i promieni,
Że jednym światła objąwszy nas kołem,
Zmieszała niby anioła z aniołem.
Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
Falo! niewierna falo! — a tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty
Przez jasne łąki do lodowej groty.
Tam ją obielił dzień alabastrowy;
I mróz na czole mej jasnej królowej,
Perłami okrył wszystkie polne róże.
I ze sklepienia łzy leciały duże;
A we łzach sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Słysząc, że ściany płaczą coraz głośniej,
Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
Na alabastry widne, choć zakryte.
Tak nieruchomo stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej:
Ave Maria! — — —
Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej —
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich myślach myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy rzekła:
— Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...
Lecz prawda! — rzekła — jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija,
Można ją z lodu uwolnić westchnieniem —
Ave Maria! — — —

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem gdzie trzód jęczą dzwony!
Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleń przelatuje skory;
Gdzie orły, skrzydeł rozwianych żałobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
O, moja luba! tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd schwycili łańcuchy,
I ulecieli z plejadów gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,
Gdzie duchy skrzydła na ramionach kładną,
Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
Ach! najciekawsi na świecie nie zgadną,
W jakim szalecie żyłem z moją miłą!
I wiele nam róż do okien świeciło,
I wiele wiszeń naokoło rosło,
Ile słowików na wiszniach się niosło;
Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą
Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...
Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie!
Łąka, i szalet, i wisznie w parowie,
W takim parowie, że Stróż-Anioł biały
Rozwijał skrzydła od skały do skały,
I nakrywał ten cały parów dziki:
Szalet, i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,
I nadto barwy, co się w różach płoni:
I chciała nas już miłość ująć zdradą.
Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą;
Byliśmy niczem niestrwożeni — sami —
Czytając książkę pełną łez, ze łzami.

Wtem duch mi jakiś podszepnął do ucha,
Ażebym na nią z książki przeszedł okiem.
Rumieniec smutny twarz jej umalował,
Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało,
Alem ją w usta różane całował,
I czułem ją tu na mych rękach, białą,
Sercem bijącą, brylantową w oczach.
Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomieszało się i coś urzekło:
Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,
I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgłami.
Odtąd jużeśmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,
Smutniejsza, cichsza, i bielsza — i bladsza,
W głębszych się coraz zanurzała cieniach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni
Stawała słuchać tak, jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnem wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się krokiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
I rzekłem: — Luba! jak Bóg jest na niebie,
Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
Otoś ty wczoraj w tem źródle, co bije
Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
A tam za tobą prosta, niedaleka,
Jak służebnica co z rąbkami czeka,
Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
Oczekiwała aż wyjdziesz z kąpieli.
Widząc was obie takie białe, w parze,
Myślałem, że śpiąc, o aniołach marzę;
I drżeć zacząłem i zadrżałem wszystek,
I jeden tylko poruszyłem listek, —
Ten listek inne poruszył listeczki,
I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki

I takeś prędko uciekała zlękła,
Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
I lilijowa wnet łodyga pękła,
I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
A jam rozważać zaczął z twarzą bladą:
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
I oto dzisiaj rankiem, pod kaskadą —
Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
I widać było, że, nie wiedząc, płonie.
Głębszemi oczu stały się szafiry,
I prędszą fala białości na łonie,
I dziwnym ogniem rozpalone skronie,
Wczesne zwiędnienie dawały bławatkom.
Ona z tych była, co się skarżą matkom —
I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie,
Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
Co, zamyślone, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś teraz, o! miła, z rozpaczą
Aniołom boskim mówisz rozżalona?
Jak ci, co mówią, skarżąc się, i płaczą:
Że była burza gromami czerwona,
Że była grota posępna i ciemna,
I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
Że była trwoga w ciemności tajemna,
Razem niepamięć jakaś boskiej kary,
I skarga smutna czystych nimf, podziemna?
Że nas tak samych dzień odstąpił szary,
I zastał z twarzą ognistą przy twarzy,
I ptaszął nas tak obudziły gwary. —
Mówisz ty o tem? jak ta, co się skarży?
O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
Bo każda twoja brylantowa łezka,
Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
Z rozpromienionem na błękitach czołem,
I nieskończoność całą miał obszarem,
I mógł zarządzać gwiazdami wszystkiemi:
Nie chciałbym gwiazdy niebieskiemi świecić,
Lecz tylko rzucić błękity... i lecić,
I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
Słońca się może bała na lazurze,
Że zapromienne będzie i zaduże,
Albo że będzie jako czarna plama.
Ale na niebie była z tęczy brama
Na wypłakanej rozwieszona chmurze.
Wyszła — i najprzód ją zdziwiły róże,
Że takie były jak wczoraj różowe.
Zerwała jedną i podniosła głowę,
I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
Krążek księżyca tonący w błękicie:
Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
Aż gdzieś w krysztale jeziora spostrzegła
Na licu swojem przeźroczystą białość,
Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
I uśmiech pełny tęsknoty, i żałość.
Więc osłoniła się cała w warkoczu,
I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,
Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą.
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czem cichem pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, listeczkiem i z kwiatem.
Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyany:[1]
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzęczą,
I wszystkie źródła jęk wydają szklany. —
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czem zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,
Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
Z gór słychać było pustelnika dzwonek.

[1] Sierp księżyca.

Rzekła raz: — Chodźmy do staruszka celi,
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,
Szybko zamknęła wszystkie okienice,
Ażeby na nią nie patrzały kwiaty;
I, ustroiwszy się jak gór dziewice,
Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!
Ani jej oczy kiedy takie ładne,
Ani jej usta takie były świeże.
Motyla miała czarnego na głowie —
Ten alabastrów od smagłości strzeże,
I, przeświecony od słońca w połowie,
Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże.
A, pod motylem pochowane róże,
Z pod czarnej gazy patrzały ciekawe,
Nawpół zamknięte, świeże jeszcze, łzawe.
Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,
Złośliwy motyl usiadł przechylony.
Myślałem, że mu to skrzydło połamię.
Siadł, i na lewe przechylił się ramię.
I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,
Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
Gdym z góry spojrzał na dolinę naszą —
Szalet się oku wydawał jak trumna....
Maleńki, cichy; kiedym spojrzał z góry,
Nasz ogród z wiszeń — jak cmentarz ponury;
I niespokojne o nas gołębice,
I zadumane o nas w łąkach trzody!
Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody;
Zabite śmierci ćwiekiem okiennice:
Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.
Szedłem posępny i drżący na góry —
Jeziora czarne, głazy, śniegi, chmury;
Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
Dom pustelnika śniegiem przysypany,
I dwa ogromne na straży brytany.
Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
Cela, pustenik stary, księgi w pyle —
Wszystko to dzisiaj już podobne snowi.
Pamiętam tylko, że promień zachodu
Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
Kiedy na palec jej zimny jak z lodu
Kładłem pierścionek. — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
O nie pytajcie wy mnie smutnie o nią,
Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie:
I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
Co się zaczyna nademną litować —
I widzę usta, co mię chcą całować,
I drżę — i znów mię ogarną płomienie.
I nie wiem, gdzie iść? i gdzie oczy schować?
I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
I staję blady i kreślę jej rysy;
Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
Lub błądzę między róże i cyprysy,
Jak człowiek, który skarb drogi postrada,
Zmysły utracił, i, płacząc, usiada
Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemi oknami fontanna,
Co wiecznie jęczy zapłakanym szumem;
Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
Gdzie co noc blada zaziera Djanna,
I czoło moje smutnym blaskiem mami,
I tak mię budzą zalanego łzami.
To drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
I wstaję blady, przez okno wyzieram,
Słuchając różnych płaczów na doline.
Słowiki jęczą i fontanna płynie —
Mówią mi o niej — ja serce otwieram,
I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
I schnę, i więdnę — i, ach! nie umieram —
I co dnia, budząc mię, fontanny płaczą. —

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębię —
Nie wiem, jak sobie jej postać malować?
Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
Jak z rozwartemi skrzydłami gołębie?
Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
Czy, gdy na jedną ze mną księgi kartę
Wbijała oczy błękitne, otwarte,
Na każde moje spojrzenie ostrożna?

Czy, kiedy wiejskim otoczona dworem,
Chodziła gdyby zaklęta królowa?
Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
W księżyca blasku biała? — lub wieczorem
Od Alp na śniegu różowych — różowa? —

XXI.

Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
Tam pójdę! aż za ciemnych skał krawędzie.
Spojrzę w lecące po niebie łabędzie,
I tam polecę, gdzie one polecą.
Bo i tu — i tam — za morzem i wszędzie,
Gdzie tylko poślę przed sobą myśl biedną....
Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe —
Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
O moje serce rozdarte i krwawe;
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
Idąc po fali — zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się — i wyjdzie ze mnie.

KORDJAN

CZĘŚĆ PIERWSZA TRYLOGJI

SPISEK KORONACYJNY

Więc będę śpiewał i dążył do kresu;
Ożywię ogień, jeśli jest w iskierce.
Tak Egipcjanin w liście z aloesu
Obwija zwiędłe umarłego serce;
Na liściu pisze zmartwychwstania słowa
Chociaż w tym liściu serce nie ożyje,
Lecz od zepsucia wiecznie się zachowa,
W proch nie rozsypie... Godzina wybije,
Kiedy myśl słowa tajemną odgadnie,
Wtenczas odpowiedź będzie w sercu — na dnie.

J. Słowackiego „Lambro".

PRZYGOTOWANIE

Roku 1799 DNIA 31 GRUDNIA W NOCY.

Chata sławnego niegdyś czarnoksiężnika Twardowskiego w górach Karpackich. — Przy chacie obszerny dziedziniec, dalej skały. W dole bezlistne bukowe lasy. — Ciemność przerywana błyskawicami. — Czarownica czesze włosy i śpiewa.

CZAROWNICA.

Z gwiazd obłąkanych,
Z włosów czesanych
Iskry padają
Jak z polskiej szabli;
Widzą je djabli,
Odpowiadają
Błyskami chmur.
Lecą — świst piór
Buki ugina.

Szatan zlatuje w postaci pięknego anioła.

SZATAN.

Ha! czarownico! czy biła godzina?

CZAROWNICA.

Która?

SZATAN.

Godzina, której żaden człowiek
Dwa razy w życiu nie słyszy.

CZAROWNICA.

Uderzy
Za dziesiątem mgnieniem powiek
Z babilońskiej ludów wieży.
A gdy bić będzie, choć głucha, usłyszę.
Lecz gdzież są, panie, twoi towarzysze?
Leniwo spieszą z błękitu podniebień;
Żółw, z którego to zgrzebło utoczył mi tokarz,
Prędzej chodził...

SZATAN.

To zgrzebło... pokaż mi je, pokaż!
Łzy mi płyną... poznaję Twardowskiego grzebień,
On mię zgrzebłem tem czesał, gdy w psa wlazłszy skórę,
U nóg mu się łasiłem. Odejdź, moja pani;
Goście sproszeni zlecą się na Łysą Górę.

Czarownica odchodzi. — Szatan woła.

Szatani...

Błyska dziesięć razy i dziesięć tysięcy szatanów spada.

Spadł z nieba deszcz szatanów, niech ziemię polewa,
Jeśli jeszcze na ziemi są Edeńskie drzewa,
Niech rosną, to jesienią człowiek owoc zbierze...
Siadajcie! cóż, między wami
Nie widać Mefistofela?

ASTAROTH.

Zaszedł na grób przyjaciela,
Na grobie Twardowskiego odmawia pacierze.

SZATAN.

Taki się teraz zrobił czuły i pobożny
Jak poeta... Lecz księżyc zabłysnął dwurożny,
Czas przystąpić do dzieła...

DJABLI.

Co nam król rozkaże?

SZATAN.

Obejrzeć trzeba koła w wiekowym zegarze,
Krwią dziecięcia namaścić gwichty i sprężyny;
Niech nam bije wyraźnie lata, dnie, godziny.
Przynieście go, postawcie... Co? czy nie zepsuty?

ASTAROTH.

Wszystkie koła, wszystkie druty
Całe, rdza wieków nie trawi;
Godzinnik z hostji, co dławi,
Po nim żądło Lewiatana
Przez wieki wieków się toczy,
Na dnie wskazuje ząb smoczy,
Na godziny żądło osy;
I dotąd trwa nieprzerwana
Włosień siwa z kós szatana,
Któremu zbielały włosy
Od strachu, gdy grom z obłoku...
Pamiętacie?... A sprężyna
Z ojczyzny Tella, Kalwina,
Na ludzkiem wsadzona oku,

Chodzi jak na djamencie.
W kółek i sprężyn zamęcie
Zamknięta grzesznika dusza
Kurant po kurancie jąka.
Noga kosacza pająka
Wszystkie sprężyny porusza
Jak wahadło...

SZATAN.

Dość opisów.
Gehenno[1], Astarocie, najstraszliwsi z bisów,
Jak asesory sądu, gdy zegar bić zacznie,
Liczcie wieki, dnie, lata...

Zegar bije, szatani liczą.

Świecie! świecie! świecie!
Wąż wieczności łuskami w okrąg ciebie gniecie.
Zębem zatrutym boki ogryza nieznacznie!
I wieki mrą nad tobą zasypując pyłem
Umarłych pamiątek.
Ja widziałem twój początek.
Ta garść gliny powietrzem opasana zgniłem.
Ten trup chaosu w trumnie zamknięty błękitów,
Strawiony zgnilizną czasów,
Okrył się rdzami kruszców i kością granitów,
Porósł mchem kwiatów i lasów:
Potem wydał robaki, co mu łono toczą
I myślą.
Biada im! jeśli marzeń ziemią nie określą,
Kołem widzenia — biada, jeśli je przekroczą...

GEHENNA.

Królu, wiek dziewiętnasty uderzył.

SZATAN.

Astaroth
Niech liczy lata: może ten, co za obłokiem
Gromy ciska, chcąc wesprzeć jaki ziemski naród,
Może wiek który ludziom skrócił jednym rokiem,
Może ukradł szatanom dzień jeden, godzinę,
Więc się o nią upomnę u Boga,
Lub buntowną chorągiew rozwinę.
We mnie i w przyrodzeniu zgwałconem ma wroga.

ASTAROTH.

Tysiąc osiemset lat wybiło.

[1] Gehenno, Astarocie — Gehenna, nazwa piekła, użyta tutaj jako imię jednego z djabłów. Astaroth, bogini babilońsko-asyryjska przedstawiana z rogami na głowie.

SZATAN.

Więc się koło tortury całe obróciło?
Każdy ząb jej rozdziera, każda śruba ciśnie,
Teraz, gdy niebo zabłyśnie,
Błyskawica trwa dłużej, niż te wszystkie lata,
Zbiegłe męczarnią dla świata:
A każdy rok jak ślimak sunął się leniwo
Dla nędzarzy, dla głupich kochanków nadziei;
A gdy śliną osrebrzył ślad zbiegłej kolei,
Ślizgał się po niej człowiek pamiątką pierzchliwą.
Obłąkani w przeszłości żeglarze
Brali imię dziejopisów:
Sztuką ich było pisać wielkie kalendarze,
Pełne królewskich imion i dat i napisów.
Inni myślą ścigali treść myśli.
Filozofy — głęboko myśleli,
Aż nad ciemną przepaścią zawiśli.
Obudzili się, w przepaść spojrzeli
I zawołali — ciemno! ciemno! ciemno!
To hosanna dla nas szatanów,
To śpiew naszych kościelnych organów;
Kto myślał przez godzinę, jest lub będzie ze mną.
Wiek, co przyjdzie, ucieszy szatany.

Mefistofel wchodzi.

MEFISTOFEL.

Nasz szatan prorokuje w cudotwornym stroju,
Ma płaszcz cały Woltera dziełami łatany,
I pióro gęsie Russa sterczy na zawoju.

SZATAN.

Mefistofelu! przyszła do działania pora,
Wybierz jaką igraszkę wśród ziemskiej czeredy.
Już nie znajdziesz cichego wśród Niemców doktora,
Po szwajcarskich się górach nie snują Manfredy
I mnichy długim postem po celach nie chudną.
Więc obłąkaj jakiego żołnierza.

MEFISTOFEL.

Trudno!
Żołnierz, to ryba, która kruczkom nie dowierza
I ma rozsądek zdrowy; przy takiej latarni
Obaczy kurzą nogą djabła kusiciela.

SZATAN.

Samiż tylko rycerze ujdą nam bezkarni?
Słuchaj! wśród narodów wielą

Jednemu się ludowi dzień ogromny zbliża.
Idź tam, jego rycerze noszą krzywe szable
Jako księżyc dwurożny, jako rogi djable;
I rękojeść tych kordów nie ma kształtu krzyża.
Pomóż im — oni mają walkę rozpoczynać
Taką, jakąśmy niegdyś z panem niebios wiedli.
Oni się będą modlić, zabijać, przeklinać.
Oni na ojców mogiłach usiedli
I myślą o zemsty godzinie.
Ten naród się podniesie, zwycięży i zginie;
Miecze na wrogach połamie,
A potem wroga myślą zabije,
Bo myśl jego ogniste ma ramię,
Ona jak powróz wrogi uwiąże za szyje
I związanych postawi na takim pręgierzu,
Że wszystkie ludy zwrokiem dosięgną i plwaniem.

MEFISTOFEL.

Królu! niechaj poszukam w djabelskim psałterzu
Modlitwy na dzień, co się zowie zmartwychwstaniem:
Zmówię ją za ów naród... Dziś pierwszy dzień wieku,
Dziś mamy prawo stwarzać królów i nędzarzy
Na całą rzekę stuletniego cieku.
Więc temu narodowi stwórzmy dygnitarzy,
Aby nimi zapychał każdą rządu dziurę.
A gdy wzrośnie ich potęga,
Ten naród, jak piękna księga
W starą oprawiona skórę,
Pergaminowem świecić będzie czołem.

SZATAN.

Dobra rada, stańcie kołem.
Stwarzajmy ludzi do rządu.
Zawołajcie czarownicy...
Szatan daje rozkazy, djabli pracują.
Żywioły ziemi i lądu,
W atmosferowej szklenicy
Zamknięte i w jeden zlane,
Przez chemików połamane;
Kwasorody, gaz węglowy,
Zlewam w kocioł platynowy;
Dmijcie, duchy!...
Gromy biją w kocioł.
W żywioł ziemi
Dorzucić szpilek kaprala[1]

[1] Dorzucić szpilek kaprala-Napoleona.

Z główkami laku, którymi
Kreśli plany, królów zwala,
Szpilek czterdzieści tysięcy
Rzućcie w kocioł...

DJABLI.

I nic więcej?

SZATAN.

Nic...

DJABLI.

Coś z rozumu kaprala?...

SZATAN.

Nic.

DJABLI.

Skończony.

SZATAN.

Niechaj leci!

Gromy biją, duch ulatuje.

Stary — jakby ojciec dzieci.
Nie do boju, nie do trudu;
Dajmy mu, na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko,
Nazwijmy od słowa ludu,
Kmieciów,[1] czyli nędznych chłopów.
Teraz jak z niebieskich stropów
Rzućcie wodza ludziom biednym.

DJABLI.

Panie! czy skończysz na jednym?

SZATAN.

Wrzucić do kotła diament,
Diament w ogniu topnieje:
Wylać sekretny atrament
Z Taylleranda[2] kałamarza,
Co w niewidzialność blednieje
Od okularów rozsądku...
I dąć w kocioł... w kotła wrzątku
Obaczymy, co się stwarza.

DJABLI.

Już gotowy! mimo czary
Wyszedł jakiś człowiek godny,
Złe w tym kotle były wary,
Płyn za rzadki lub za chłodny.

[1] Karykatura Chłopickiego. [2] Tayllerand, słynny dyplomata francuski.

SZATAN.

To nic, to nic! takich trzeba
Biednym ludziom rzucać z nieba;
Będą przed nim giąć kolana:
Jest to stara twarz Rzymiana
Na pieniądzu wpół zatarta.
Dajmy mu, na pośmiewisko,
Sprzeczne z naturą nazwisko;
Ochrzcijmy imieniem Czarta.[1]
Teraz puśćcie! niechaj leci!

DJABLI.

Lepszy będzie człowiek trzeci.

SZATAN.

Teraz z konstelacji raka[2]
Odłamać oczy i nogi,
Dodać kogucie ostrogi,
I z trwożliwego ślimaka
Oderwane przednie nogi,
Cóż tam w kotle?

DJABLI.

Ktoś z rycerzy.

SZATAN.

Wódz! chodem raka przewini,
Jak ślimak rogiem uderzy,
Spróbuje — i do skorupy
Schowa rogi, i do skrzyni
Miejskiej zniesie planów trupy,
Czekając, aż kur zapieje...
Rzucić w kocioł Lachów dzieje,
Słownik rymowych końcówek;
Milion drukarskich czcionek,
Sennego maku trzy główek,
Cóż tam?

DJABLI.

Starzec[3] jak skowronek,
Zastygły pod wspomnień bryłą
Napół zastygłą, przegniłą.
Poeta — rycerz — starzec — nic
Dziewięciu Feba Sułtanic,[4]
Eunuch...

---

[1] Czartoryski. [2] Skrzynecki. [3] Niemcewicz. [4] 9 muz z orszaku Apollina, Febusa.

SZATAN.

Przyspieszajmy dzieła,
Bo z tamtej krakowskiej wieży
Słyszę dzwon rannych pacierzy;
W powietrzu się rozpłynęła
Woń kadzideł katedralnych.

CZAROWNICA.

Przeklęte wasze dzieło, wicher djablej mowy
Rozczesał z mojej chaty włos słomianej głowy;
Czy mi na nią dachówek dacie z hostyj mszalnych?
Zawierucha wierzbowe gałązki obrywa,
Ludzie nie znajdą ruszczek na kwietną niedzielę.

SZATAN.

Milcz, padalcze; — Czas upływa,
Twórzmy razem wielkich wiele.
Co nakażę rzucać w tygle?
Rdzę pozostałą
Na Omfalji igle
Od krwią wilgotnych Herkulesa palców;
Z rdzy się narodzi nie mało
Wymuskanych rycerzy — ospalców.

DJABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię
Jak chmura.

SZATAN.

Spieszmy nowe tworzyć brzemię,
Nim jutrznia błyśnie ponura
Nim się żywioły ochłodzą,
Rzucić język Balaama oślicy;[1]
A ci, co się z niego wyrodzą,
Narodowej się chwycą mownicy.
Mowców plemię...

DJABLI.

Tłum, tłum, tłum poleciał na ziemię,
Jak zwichrzone szpaków stado.

SZATAN.

Widzicie tę postać bladą,[2]
Z mętów kotła już napół urodną;
Twarz uwiędła i wzrok w czarnem kole;
Paszczę myśli otwiera wciąż głodną,

[1] Oślica Ballama proroka biblijnego, która przemówiła ludzkim głosem. [2] Lelewel.

Wiecznie dławi księgarnie i mole
I na krzywych dwóch nogach się chwieje,
Jak niepewne rządowe systema.
Chce mówić, posłuchajmy, co na świat posieje?

TWÓR, *pokazując z kotła głowę.*

Czy lepiej, kiedy jest król? czy kiedy go niema?

SZATAN.

Precz z tym Sfinxem, co prawi zagadki,
Sam jej djabeł rozwiązać nie umie;
Niech w szkolarzów zasiewa ją tłumie,
Oplątaną w dziejowe wypadki;
Niech z ministerjalnej ławy
Nad rozlewnem żyźniącym krwi Nilu
Ze złamanych kolumien podstawy
Gada hieroglifem stylu.

ASTAROTH.

Panie! patrz tam, z kotła pary
Znów się jakiś twór wylęga;[1]
Twarz ma okropnej poczwary,
Przez pierś jeneralska wstęga.

SZATAN.

Witajcie go! oto twór
Niszczyciel, jakby horda Nogajca.[2]
On w stolicy owłada dział mur.
On z krwi na wierzch wypłynie — to zdrajca!
A gdy zabrzmi nad miastem dział huk,
On rycerzy ginących porzuci;
Z arki kraju wyleci jak kruk,
Strząśnie skrzydła, do arki nie wróci.
Kraj przedany on wyda pod miecz!

GŁOS W POWIETRZU.

W imię Boga! precz stąd! precz!

Wszystko znika.

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziema — to plama
Na nieskończoności błękicie;
Ciemna gwiazda w słonecznych gwiazd świcie,
Grób odwieczny potomków Adama.

---

[1] Krukowiecki. [2] Nogaj wódz tatarski.

ARCHANIOŁ.

Onego czasu jedna z gwiazd wiecznego gmachu
Obłąkała się w drodze, jam ją zgonił lotem,
Czułem w dłoni jej serce bijące z przestrachu,
Jak serce ptaka ludzkim dotkniętego grotem;
I drżącą położyłem przed tronem Jehowy.
A Bóg rzekł do mnie światło tworzącemi słowy:
Krew ludzka skrzydła twoje rumieni.
Padłem twarzą na boskie podnoże,
Na proch gwiazd, na kobierce z promieni...
Boże! Boże! Boże!
Skrzydeł pióry otarłem o ziemię.
Krwawa była — widziałem! widziałem!
Za grzechy ojców w groby kładące się plemię,
Lud konał... gwiazda gasła... za gwiazdą leciałem —
Lud skonał...
Czas, byś go podniósł, Boże, lub gromem dokonał.
A jeśli twoja dłoń ich nie ocali,
Spraw, by krwi więcej niźli łez wylali.
Zmiłuj się nad nimi, Panie!
A Bóg rzekł: wola moja się stanie.

CHÓR ANIOŁÓW.

Ziemia — to plama
Na nieskończoności błękicie,
A Bóg ją zetrze palcem, lub wleje w nią życie
Jak w posąg gliniany Adama.

PROLOG.

PIERWSZA OSOBA PROLOGU.

Boże! ześlij na lud twój wyniszczony bojem
Sen cichy, sen przespany, z pociech jasnym zdrojem;
Niechaj widmo rozpaczy we śnie go nie dręczy.
Rozwieś nad nim kotarę z rąbka niebios tęczy,
Niech się we łzach nie budzi przed dniem zmartwychwstania
A mnie daj łzy ogromne i męki niespania,
Po mękach wręcz mi trąbę sądnego anioła;
A kogo przed tron Boga ta trąba zawoła,
Niechaj stanie przed tobą. Daj mi siłę, Boże,
A komu palec przekleństw na czoło położę,
Niech nosi znak na czole... Pozwól, Panie, tuszyć,
Że słowem zdołam cielce złote giąć i kruszyć.
Z bronzu wzniosę posągi, gdzie pokruszę gipsy.
A kto ja jestem? Jestem duch Apokalipsy.
Obróćcie ku mnie oczy zamglonych i twarzy.
Oto stoję wśród siedmiu złocistych lichtarzy
Podobny do człowieka... szata w długość szczodra
Spływa do stóp; pas złoty przewiązał mi biodra,
Głowę kryje włos biały, jak śniegi, jak wełna;
Z oczu skra leci ogniów diamentu pełna,
Nogi mam, jak miedź świeżem ogniskiem czerwona,
Głos huczy jako woda wezbraniem szalona;
W ręku siedem gwiazd niosę, a z ust mi wytryska
Miecz ostry obosieczny, a twarz moja błyska
Jak słońce w całej mocy wyświecone kołem.
A gdy przedemną na twarz upadniecie czołem,
Powiem wam... Jestem pierwszy... i ostatnim będę...

DRUGA OSOBA PROLOGU.

Ja wam zapał poety na nici rozprzędę,
Wy śmiejcie się z zapału mego towarzysza...
Kto on? do tureckiego podobny derwisza;
Owe siedem lichtarzy, jest to siedem grodów,
Stoi wśród siedmiu złotem nalanych narodów

Wygnaniec. — A włos czarny w siwość mu zamienia
Nie wiek, ale zgryzota... W oczach blask natchnienia,
W ręku gwiazdy... to myśli, z których jasność dniowa;
Miecz w ustach obosieczny — jest to sztylet słowa,
Którym zabija ludzi głupich, albo wrogów.

TRZECIA OSOBA PROLOGU.

Zwaśnionych obu spędzam ze scenicznych progów.
Dajcie mi proch zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił koturnie,
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed wami
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

Według mniemania historyków literatury 1-szą osobą prologu jest Mickiewicz, 2-ga walczący z nim Słowacki, 3-cia Słowacki wzniesiony do sądu objektywnego.

CZĘŚĆ I

AKT I.

SCENA I.

Kordjan; młody 15-letni chłopiec, leży pod wielką lipą na wiejskim dziedzińcu, Grzegorz, stary sługa, opodal niego czyści broń myśliwską. Z jednej strony widać dom wiejski, z drugiej ogród, za ogrodzeniem dziedzińca staw, pola i lasy sosnowe.

KORDJAN, *zadumany.*

Zabił się młody[1]... Zrazu jakaś trwoga
Kładła mi w usta potępienie czynu,
Była to dla mnie posępna przestroga,
Abym wnet gasił myśli zapalone;
Dziś gardzę głupią ostrożnością gminu,
Gardzę przestrogą, zapalam się, płonę,
Jak kwiat liściami w niebo otwartymi.
Chwytam powietrze, pożeram wrażenia.
Myśl Boga z tworów wyczytuję ziemi,
I głazy pytam o iskrę płomienia.
Ten staw odbite niebo w sobie czuje,
I myśli nieba błękitem.
Ta cicha jesień, co drzew trzęsie szczytem,
Co na drzewach liście truje
I różom rozwiewa czoła,
Podobna do śmierci anioła,
Ciche wyrzekła słowa do drzew: gińcie, drzewa!
Zwiędły — opadły.
Myśl śmierci z przyrodzenia w duszę się przelewa;
Posępny, tęskny, pobladły,
Patrzę na kwiatów skonanie,
I zdaje mi się, że mię wiatr rozwiewa.
Cicho. Słyszę po łąkach trzód błędnych wołanie.

---

[1] Ludwik Szpitznagel przyjaciel z czasów dzieciństwa Słowackiego, odebrał sobie życie.

Idą trzody po trawie chrzęszczącej od szronu
I obracają głowy na niebo pobladłe,
Jakby pytały nieba: gdzie kwiaty opadłe?
Gdzie są kwitnące maki po wstęgach zagonu?
Cicho, odludnie, zimno... Z wiejskiego kościoła
Dzwon wieczornych pacierzy dźwiękiem szklanym bije,
Ze skrzepłych traw modlitwy żadnej nie wywoła,
Ziemia się modlić będzie, gdy słońcem ożyje...
Otom ja sam, jak drzewo zważone od kiści,
Sto we mnie żądz, sto uczuć, sto uwiędłych liści;
Ilekroć wiatr silniejszy wionie, zrywa tłumy.
Celem uczuć, zwiędnienie; głosem uczuć, szumy
Bez harmonii wyrazów... Niech grom we mnie wali!
Niech w tłumie myśli jaką myśl wielką zapali...
Boże! zdejm z mego serca jaskółczy niepokój,
Daj życiu duszę i cel duszy wyprorokuj...
Jedną myśl wielką roznieć, niechaj pali żarem,
A stanę się tej myśli narzędziem, zegarem,
Na twarzy ją pokażę, popchnę serca biciem,
Rozdzwonię wyrazami i dokończę życiem.

Po chwili.

Jam się w miłość nieszczęsną całem sercem wsączył...

Myśli — potem nagle obraca się do Grzegorza...

Grzegorzu, porzuć strzelbę czyścić...

GRZEGORZ.

Jużem skończył,
Co mi panicz rozkaże?

KORDJAN.

Chodź tutaj, mój stary...
Nudzę się...

GRZEGORZ.

Nie nowina; cóż ja poczne na to?
Chcesz panicz, powiem bajkę szlachetnie bogatą,
Mam ja w szkatule mózgu dykteryjki, czary
Po babce mojej starej, co w Bogu spoczywa.
Chcesz pan tej, co się gada? czy tej, co się śpiewa?...

Kordjan milczy; Grzegorz mówi następującą bajkę:

Było sobie niegdyś w szkole
Piękne dziecię, zwał się Janek.
Czuł zawczasu bożą wolę,
Ze starymi suszył dzbanek.
Dobry z niego byłby wiarus,
Bo w literach nie czuł smaku;
Codzień stary bakalarus
Łamał wierzby na biedaku,

I po setnej, setnej próbie
Rzekł do matki: Oj kobieto!
Twego Janka w ciemię bito,
Nic nie wbito, — weź go sobie!...

Biedna matka wzięła Jana,
Szła po radę do plebana.
Przed plebanem w płacz na nowo:
A księżulo słuchał skargi
I poważnie nadął wargi,
Po ojcowsku ruszał głową.
Wysłuchawszy pacierz złego:
„Patrz mi w oczy, rzekł do żaka,
Nic dobrego! nic dobrego!"
Potem hożą twarz pogładził,
Dał opłatek i piętaka,
I do szewca oddać radził...

Jak poradził, tak matczysko
I zrobiło... Szewc był blisko...
Lecz Jankowi nie do smaku
Przy szewieckiej ślipać igle,
Djabeł mięszał żółć w biedaku,
Śniły mu się dziwy, figle;
Zwyciężyła wilcza cnota,
Rzekł: w świat pójdę o piętaku!
A więc tak jak był — hołota,
Przed terminem rzucił szewca,
I na strudze do Królewca
Popłynął...
Jak do wody wpadł i zginął...

Matka w płacz, łamała dłonie;
A ksiądz pleban na odpuście
Przeciw dziatkom i rozpuście
Grzmiał jak piorun na ambonie:
W końcu dodał... „Bogobojna
Trzódko moja, bądź spokojna,
Co ma wisieć, nie utonie."

Mały Janek gdzie się chował
Przez rok cały zgadnąć trudno.
Wsiadł na okręt i żeglował,
I na jakąś wyspę ludną
Przypłynąwszy — wylądował...
Ówdzie król przechodził drogą;
Jaś pokłonił się królowi
I dworzanom i ludowi;
A kłaniając, szastał nogą

Tak układnie, że król stary
Włożył na nos okulary.
I wnet tymże samym torem,
Dwór za królem, lud za dworem,
Powkładali szkła na oczy...
Owóż król ten posiadł sławę.
Jakoby miał wzrok proroczy;
I choć stracił oko prawe,
Tak kunsztownie lewem władał,
Że człowieka zaraz zbadał
Na co mierzy, na co zdatny:
Czy zeń ma być rządca kraju,
Czy podstoli, czy też szatny...
Lecz tą razą, wbrew zwyczaju,
Król pan oczom nie dowierza,
Czy żak Janek na tancerza?
Czy na rządcę dobry kraju?
Więc zapytał: „Mój kochanku,
Jak masz imię?“

„Janek.“

„Janku,
Cóż ty umiesz?“

„Psom szyć buty.“

„A czy dobrze?“

„Oj tatulu!
Czyli raczej, panie królu!
Jak szacuję, ręczyć mogę,
Że but każdy ostro kuty,
I na jedną zrobię nogę,
Czyli raczej na łap dwoje...
To na zimę. — Z letnich czasów
But o jednym szwie wystroję,
Na opłatku, bez obcasów;
A robota takiej wiary,
Że psy puszczaj na moczary,
Suchą nogą przejdą stawy.“ —
Masz więc służbę, złotem płacę“
Rzekł do Janka pan łaskawy
I za sobą wiódł w pałace.
A gdy dzień zaświtał czwarty,
Szły na łowy w butach charty
A szewc chartów w aksamicie
Przy królewskiej jechał świcie;
Złoty order miał na szyi,
W trzy dni został szambelanem,
W sześć dni rządcą prowincji,
W dni dwanaście został panem.

Starą matkę wziął z chałupy,
Król frejliną ją mianował.
A plebana pożałował[1]
W biskupy...

KORDJAN.

Cha! cha! cha! przednia powieść.

GRZEGORZ.

A widzi pan, widzi,
Jak zabawiłem gadką... niech się pan nie wstydzi,
W tej powieści moralna kryje się nauka.

KORDJAN.

Jaka? powiedz mi, stary.

GRZEGORZ.

A któż jej wyszuka?
Dość, że jest sens, powiadam.

KORDJAN.

Wierzę.

GRZEGORZ.

Trzeba wiary.
Bo widzi panicz, kiedy gada sługa stary,
To w słowach dziecku dawać nie będzie trucizny.
Błąkałem się ja długo zdala od ojczyzny,
I tak mi było ciężko od tęsknego żalu,
Że żołnierze ciosali kołki na wąsalu;
Odcinając się szablą, nie brałem pociechy,
Bo żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy
A smutek niby mądra książka w sercu żyje,
I mówi wiele rzeczy i człowiek nie gnije
Jak muchomór pod sosną, lecz zbiera po szczypcie
Przestrogę do przestrogi... Byłem ja w Egipcie!
Ponoś no o tej walce nie mówiłem panu?
Czy wolno?

KORDJAN.

Mów! mów, stary.

GRZEGORZ, *kręcąc wąsa.*

Daj go tam szatanu
Kaprala[2]... tęgi człowiek!... Wywiódł wojsko w pole,
Nie w pole, w piaski raczej; równo jak po stole,

[1] Po rosyjsku: pożałowat, raczyć zamianować, [2] Napoleona.

Otwarto na wsze strony, kędyś wzrok obrócił,
Oko biegnąc po piaskach, Boga szuka w niebie.
Wódz szyki w pięć kwadratów sprawił ku potrzebie.
I niby pięć gwiazd jasnych na pustynie rzucił.
Mnie, świecącemu w jednej, widać było cztery.
Przed walką, przypominam, śmiech nas ruszył szczery;
Bo trzeba panu wiedzieć: na wojska ogonie
Snuły się z bagażami osły... przy bagażach
Przywlekli się z Francji w bagnetów zachronie
Mędrkowie, co to baśnie piszą w kalendarzach.
Gardziliśmy jak Niemcem tą chmurą komorów,
Tą pisarnią, co jak truflów wietrzyła kamieni;
Więc gdy do walki wiele stanęło pozorów,
Zawołaliśmy głośno: osły! i uczeni,
Chowajcie się w kwadraty! dalej za pas nogi!
Dalibóg! korzystali z łagodnej przestrogi.
Przyznam się jednak panu, że choć żołnierz bitny,
Przed walką byłem nieco nadzwyczaj ponury.
Jak dziś pamiętam, zdala lał się Nil błękitny,
Dalej jakiegoś miasta widać było mury!
I nad głowami niebo czyste bez obłoku,
A powietrze, choć bardzo jasne, grało w oku,
Nad katafalkiem niby od gromnic płomyki...
Lecz co najbardziej ludu zadziwiło szyki,
To były owe wielkie, murowane góry;
Stądby je było widzieć, gdyby nie Karpaty,
I gdyby z nieba można zetrzeć wszystkie chmury.
Wtem wódz przyjechał konno... zagrzmiały wiwaty,
Acz bez winnych kielichów. Wódz wskazał na wieże
I rzekł: *soldats!* co znaczy: powiedział: żołnierze!
Słyszałem wszystko, wódz rzekł: patrzcie, wojownicy!
Ze szczytu piramidy — co znaczy: z dzwonicy,
Ze szczytu tych piramid sto wieków was widzi.
Więc spojrzałem, gdzie wskazał po nieba błękicie;
Aż tu patrz... niech kto ze mnie jak z prostaka szydzi,
Opowiem... Klnę się panu, na piramid szczycie,
Jak w kościołach sławnego malują Michała,
Taki stał rycerz, w zbroi, promiennego ciała,
I płomienistą dzidą przebijał z wysoka
Wijącego się zdala na pustyni smoka,
Co ku nam leciał w chmurze kurzawy i piasku.
Sto dział zagrzmiało, oczy zgubiłem od blasku.
A kiedym wzrok odpytał, aż tu mameluki [1]
Krzywymi nas szablami dziobią gdyby kruki,
To końmi do ucieczki obróceni wrzkomo
Siadają na bagnetach jak małpy.

---

[1] Mamelucy, żołnierze arabscy w Egipcie tworzeni z niewolników.

KORDJAN.

Cóż dalej?...

GRZEGORZ.

A wstydź że się pan pytać, każdemu wiadomo,
Żeśmy zawsze łamane parole wygrali.
I gdyby nie ta dżuma... Ale pan nie słucha!...

KORDJAN, *zamyślony, mówi sam do siebie.*

Wstyd mi! starzec zapala we mnie iskrę ducha.
Nieraz z myślą zburzoną w ciemne idę lasy,
Szczęk broni rzucam w sosen rozchwianych hałasy,
Widzę siebie wśród świateł czarodziejskich sławy,
Wśród promienistych szyków: szyki wstają z ziemi,
Ziemia wstaje, jak miasto odgrzebane z lawy...
Głupstwo... dzieciństwo marzeń... Z myślami takiemi
Nie śmiałbym się wynurzyć przed starców rozsądkiem.
Więc szukam — kogo? sługi, co rozwlekłym wątkiem
Snuje głupie powieści.

Myśli... potem nagle do Grzegorza.

Idź sobie, Grzegorzu!
Jak się panna na konną przechadzkę wybierze,
Dasz mi znać.

GRZEGORZ.

Panicz może dziś nie dospał w łożu?
Bo starego odpędza jak natrętne zwierzę.
Bywszy niegdyś w niewoli, znałem ja młodziana,
Co miał wielkie nauki, nie gardził mną przecie,
I dziękował za powieść, gdy dobrze dobrana.
Było to piękne wcale i szlachetne dziecię!
Smutno skończył!

KORDJAN.

Cóż, umarł?

GRZEGORZ.

A gdzie tam, mój panie!

KORDJAN.

Więc żyje!

GRZEGORZ.

Oj nie żyje! Gdy nas Rosjanie[1]
Wzięli w dwunastym roku; spędzili jak trzodę,
I na Sybir zawiedli... Dwóchset naszych było,
Wiarusy kęs nadpsute, oficerstwo młode;
A jak wzajem sprzyjali, wspomnieć starcu miło,

[1] Pogrom Napoleona w r. 1812.

Jeden drugiemu nigdy nie powie jak: bracie
Chleb łamią jak opłatki, w jednej chodzą szacie.
Ten, o którym rzecz wiodę, zwał się Kazimierzem.
Otóż kiedy się Moskal pastwił nad żołnierzem,
Pan Kazimierz za wszystkich cierpiał, potem z głowy
Dobył myśli — zawołał na tajemne zmowy
I odkrył zamiar wcale dostojny bo śmiały.
Nie szydź, panie, kto kupi niewolą włos biały.
Ten rozpaczy szalonej w ludziach nie potępi.
Więc on myślał, że straże kozackie wytępi,
Zmarłym wydrze żelazo, i polskie wiarusy
Do Polski odprowadzi ... Poznali się Rusy
Na malowanych lisach; wywiedli na pole;
Cały nas pułk Baszkirów[1] ostąpił w półkole,
Wołga stała za nami ... pułkownik tatarski
Przeczytał głośno niby jakiś dekret carski,
A w tym dekrecie stało, aby polskie jeńce
Rozdzielić na dziesiątki i w pułki powcielać.
Wtenczas nasze wiarusy wziąwszy się za ręce,
Krzyknęli: nie pójdziemy ... Zamiast nas wystrzelać,
Czy wierzysz pan, że owe tatarskie szatany
Rzucali nam na szyję rzemienne arkany,
Właśnie jakby na koni ździczałych tabuny.
Och! co czułem, to z sobą, poniosę do truny!
Związaliśmy się wszyscy rękoma co siły.
Pamiętam, z prawej strony — nie, z lewej od serca,
Stał przy mnie żołnierz wiekiem, ranami pochyły,
Ku niemu zwinął koniem baszkirski morderca;
Więc biedak rękę moją nakształt szabli ścisnął,
Potem ociężał na niej, bezwładny obwisnął;
Patrzę mu w twarz, posiniał cały nakształt trupa,
Oczy wybiegły, szyja związana powrozem.
Tu baszkir zaciął konia, koń spięty dał słupa,
Skoczył — a starzec jak koń uwiązany lozem
Pociągnął się po piasku, po krzemiennej warście.
Widziałem na krzemieniach włosów siwych garście
Z krwi wyrwane kroplami ... Koń leciał jak strzała,
Już trup zniknął — a jeszcze widać było konia,
I myśl przy koniu starca krwawego widziała.
Staliśmy jak garść kłosów pożółkłych śród błonia;
Głuche było milczenie, zgroza, obłąkanie.
Piszcząc, kołem jak krucy krążyli poganie,
Wybierali oczyma gdzie powrozem skinąć.
Śmierć dając, chcieli zabić przedśmiertną godziną.
Wtem panie, nasz Kazimierz! ów Kazimierz młody!
Skoczył w tłumy Baszkirów, i z tłumu wyskoczył
Z pułkownikiem tatarskim, rzucił się do wody;
Tak ujętego wroga między dwie kry wtłoczył,

[1] Baszkirowie, plemię mongolskie w Rosji europejskiej.

A kry się zbiegły, głowa z baszkira odpadła
Jak mieczem odrąbana i na krze usiadła
Z otwartymi oczyma...

KORDJAN.

A Kazimierz?

GRZEGORZ.

Zginął.

KORDJAN.

Grzegorzu, czy nie pomnisz zmarłego nazwiska?

GRZEGORZ.

Nie wiem. On pod imieniem Kazimierza słynął,
Co mu tam dziś nazwisko po śmierci? Pan ściska
Rękę starego sługi?

KORDJAN.

Boże! jak ten stary
Rósł zapałem w olbrzyma, lecz ja nie mam wiary,
Gdy ludzie oddychają, ja oddech utracam.
Z wyniosłych myśli ludzkich niedowiarka okiem
Wsteczną drogą do źródła mętnego powracam.
Dróg zawartych przesądem nie przestąpię krokiem.
Teraz czas świat młodzieńca zapałem przemierzyć,
I rozwiązać pytanie: żyć? alboli nie żyć?
Jam bezsilny! nie mogę jak Edyp zabójca
Rozwiązać wszystkich sfinxów zagadki na świecie;
Rozmnożyły się sfinxy, dziś tajemnic trójca
Liczna jak ziarna piasku, jak łąkowe kwiecie;
Wszędzie pełno tajemnic, świat się nie rozszerzył.
Ale zyskał na głębi... wierzchem człowiek płynie,
Lecz jeśli drogi węzłem żeglarskim nie mierzył,
Nie wie, czy bieg jest biegiem, gdy brzeg z oczu ginie.
Chyba że w owej drodze jak milowe słupy
Mija stare przesądy — zbladłe wieków trupy.
Nie, są to raczej krzyże przy ubitej drodze;
Prostak przy nich koniowi zatrzymuje wodze
I żegna się i pokłon oddaje — gdy mija.
Potem mędrkowie prostsze wytkną ludziom szlaki,
Zwolna na drogę nową zjeżdżają prostaki;
Na zapomnianym krzyżu bocian gniazdo zwija,
Mech rośnie, pod nim dzieci w piasku sadzą kwiaty.
Nieraz krzyż u stóp samych podgryziony laty
Pada, zabija dzieci z sielskiego pobliża,
A lud płacze, że zwalić nie pamiętał krzyża.
Więc idę na świat rąbać nadpróchniałe drewna;
Miłość? zapomnę o niej — wśród światowej burzy,
Pozostanie głos wspomnień... jak pieśń dzika, rzewna,
Jak pieśń żórawia, co się opóźnił w podróży

I samotny szybuje po błękicie nieba,
Ostatni z licznych, szczęsnych tłumów odbłąkany.
Trzeba mi nowych skrzydeł, nowych dróg potrzeba;
Jak Kolumb na nieznane wpływam Oceany
Z myślą smutną i z sercem rozbitem.

LAURA, *wołając z ganku.*

Kordjanie!

KORDJAN.

Ten głos rozwiewa złote zapału świtanie.
Zamknięty jestem w kole czarów tajemniczem,
Nie wyjdę z niego... Mogłem być czemś... będę niczem...

SCENA II.

Ogród, lipowe aleje krzyżują się w różne strony, wśród drzew widać dom opuszczony z wybitymi oknami. Jesień, liście opadają, wietrzno. Kordjan i Laura zsiadają z koni, przy których Grzegorz zostaje i wchodzą do alei. Długo nic do siebie nie mówią.

LAURA, *z uśmiechem na pół szyderczym.*

Czemu Kordjan taki smutny?

Kordjan patrzy na nią oczyma zamglonymi — i milczy.

Znalazłam dziś rano
W imionniku wierszami kartę zapisaną,
Poznałam rękę, pióro — o! nie, raczej duszę.

Kordjan zarumieniony schyla się ku ziemi.

Czemu się pan mój schyla?

KORDJAN.

Odmiatam i kruszę
Gałązki, ciernie, chwasty z pod stóp twoich, pani.
Cierń, co mi zrani rękę, nikogo nie zrani!

LAURA.

Kordjan zapomniał, że ma matkę, matkę wdowę.
Cóż to? Kordjan brwi zmarszczył, chmurzy się, rumieni?

KORDJAN.

Zapytaj się drzew, pani, dlaczego w jesieni,
Szronem dotknięte, noszą liście purpurowe?
To tajemnica szronu.

LAURA.

Usiądźmy w alei.
Któż z nas pierwszy obaczy gwiazdę dobrze znaną?

KORDJAN.

Nie ujrzę jej, jeżeli to gwiazda nadziei!

LAURA.

A jeśli gwiazda wspomnień?

KORDJAN.

O! dla mnie za rano
Na bladą gwiazdę wspomnień!...

LAURA.

Gdzież gwiazda Kordjana?
Kordjan wznosi oczy na twarz Laury i odwraca się.
Jak się nazywa?

KORDJAN.

Przyszłość.

LAURA, *z uśmiechem.*

W której stronie nieba?

KORDJAN.

O! nie wiem! nie wiem, jest to gwiazda obłąkana,
Co dnia ją trzeba tracić, co dnia szukać trzeba.

LAURA.

Kordjan ma piękną przyszłość, talenta, zdolności.

KORDJAN.

Tak, gdy mię spalą męczarnie,
To będę świecił ludziom próchnem moich kości.
Talenta są to w ręku szalonych latarnie,
Ze światłem idą prosto topić się do rzeki.
Lepiej światło zagasić i zamknąć powieki,
Albo kupić rozsądku, zimnych wyobrażeń,
Zapłacić za ten towar całym skarbem marzeń.

LAURA.

Jaki dziś Kordjan gorzki?
Usiada na ławce darniowej. — Kordjan u nóg jej się kładzie i mówi, patrząc na niebo.

KORDJAN.

Czarowna natura!
Jak koń Apokalipsy szara leci chmura
Jesiennym gnana wiatrem; a w chmurze myśl gromu,
Omdlała zimnem, iskry wydobyć nie może;
Więc co ma w łonie gniewu, nie powie nikomu?
I przepłynie nad światem... z gromem myśli złożę,
Niechaj płyną nad światem zimne i bez głosu.
Zrywa kwiat i obraca się z uśmiechem do Laury.

Pani, weź tę gałązkę purpurową wrzosu,
Ale jej nie otrząsaj że szronu brylanta.

Zamyślony patrzy na niebo.

Pani — patrz tam na niebo... oto duchy Danta.
Tam się na starem drzewie wichrzy szpaków stado,
Zaleciały przelotem i do snu się kładą,
Wiatr przez noc będzie liście zbijał — one prześnią
Noc całą, drzew ginących kołysane pieśnią;
Anioł przeczucia śpiącym wskaże lotu szlaki,
A gdy się zbudzą, drzewo powie: lećcie, ptaki.
Nie mam już dla was liści, jam się zestarzało
Przez noc, kiedyście spały.

LAURA.

Cóż stąd za nauka?

KORDJAN.

Cha! cha! nauka smutku, że drzewo nie spało
A ptaki spały.

LAURA.

Kordjan, co przyszłości szuka,
Powinien spać jak ptaki...

KORDJAN.

Gdzież anioł przeczucia?
Czy przyjdzie? poprowadzi? Więc myśli i czucia
Trzeba, skąpca przykładem, na lata rozłożyć,
I nigdy zmysłów w jednej nie utracić burzy.
Trzeba się dziś zwyciężyć, aby jutra dożyć.
Dziwna ciekawość życia prowadzi w podróży,
A za ciekawość trzeba nieszczęściami płacić.
I nigdy zmysłów w jednej burzy nie utracić.

Gwałtownie.

Jam je utracił! Boże! zmiłuj się nademną!

LAURA.

Kordjanie!...

Kordjan milczy.

Czas powracać, już wietrzno i ciemno.

KORDJAN.

O! pani, zostań jeszcze.

LAURA.

Więc pan mi przyrzeka,
Że będzie spokojniejszy?

KORDJAN, *z obłąkaniem.*

Tak.

LAURA.

Przyszłość daleka,
Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

KORDJAN, *zamyślony, patrząc na niebo.*

Ciemny się błękit nieba wyświeca za mgłami,
Ach księżyc! patrz tam, pani! księżyc srebrny, pełny
Stanął i patrzy na nas; chmur srebrzyste wełny
Spadły nań — leci jakby wyrywał się z chmury;
Teraz go napół gałąź rozcina spróchniała,
Teraz wśród czarnych liści krąg chowa ponury.
Pani! gdy kiedyś! kiedyś! twarz księżyca biała
Błyśnie wśród chmur błyszczących na jesiennem niebie,
Będziesz mój cień natrętny odpędzać od siebie.
Po chwili.
Bóg promień duszy wcielił w nieskończone twory,
Dusza się rozprysnęła na uczuć kolory,
Z których pięć wzięło zmysły cielesne za sługi,
Inne zagasły w nicość... ale jest świat drugi!
Tam z uczuć razem zlanych wstanie anioł biały,
Mniejszy może niż człowiek, atom, środek koła
Rozpryśnionych promieni! ale jasny cały,
I plam ludzkich nie będzie na sercu anioła.
Nieskończoności zmysłem dusza się pomnoży,
Bóg aniołowi oczy na przyszłość otworzy,
Aż przestanie zaglądać w ciemną wspomnień trumnę.
Bóg mu pod nogi światła wywróci kolumnę,
Po niej gwiazd miriady zapali i słońca;
Anioł je przejrzy wzrokiem nadziei do końca,
I do gwiazdy podobny, będzie w przyszłość płynął.
O! duch mój chce się wyrwać! już pióra rozwinął:
Dusza z ust zapalonych leci w błękit nieba.
Opuszcza ręce i z rozpaczą.
Na jednego anioła dwóch dusz ziemskich trzeba!

LAURA.

Źle, jeśli się pan będzie marzeniem zapalał,
Prawdziwie nie pojmuję, co mu jest?

KORDJAN, *ze wzgardą.*

Oszalał...

Laura odchodzi ku drzwiom ogrodu, siada na koń... i odjeżdża z Grzegorzem. Kordjan zostaje sam w ogrodzie nieruchomy.

KORDJAN, *sam.*

Światła nocy błyskają na nieba szafirze;
Myśl zbłąkana w błękity niebieskie upadła,
Oto ją gwiazdy w kręgi porywają chyże
I kręcą, aż zmęczona, posępna, pobladła,

Powróci z tańcu niebios w nudne serce moje.
Czekam — nad otchłaniami niebieskiemi stoję,
Zalękniony o myśli w gwiazd tonące wirze.
Gwiazdy! wy gdzieś lecicie jak żórawi stada!
Gwiazdy! polecę z wami po niebios szafirze.

Dobywa pistoletu.

Nabity — niechaj krzemień na żelazo pada.
Ból, chwila jedna, ciemno — potem jasność błyśnie.
Lecz jeśli nie zaświeci nic?... i ból przeminie?
Jeśli się wszystko z chwilą boleści rozpryśnie?
A potem ciemność... potem nawet ciemność ginie,
Nic — nic — i sobie nawet nie powiem samemu,
Że nic nie ma — i Boga nie zapytam, czemu
Nic nie ma? Ha! więc będę zwyciężony niczem?...
Śmierć patrzy w oczy moje dwustronnem obliczem,
Jak niebo nad głowami i odbite w wodzie.
Prawda, lub omamienie; lecz wybierać trudno,
Gdzie nie można zrozumieć...

Przykłada broń do czoła.

Nie... nie w tym ogrodzie.
Znajdę śród lasów łąkę kwietną i odludną.

Wychodzi z ogrodu.

SCENA III.

Noc. — Laura sama w pokoju przy lampie.

LAURA.

Dotąd Kordjan nie wrócił, jedenasta biła,
Natrętna niespokojność w serce się zakrada.
Gdybym też dziecię płochem szyderstwem zabiła?
Dmucham w różę, co słońcem palona opada?
A jeśli jego serce z takich kruszców lane,
Że co na niem napiszę, przetrwa napisane
Na wieki wieków? Boże! jeśli jego oczy
Przywykną do ciemności i do łez? co gorsza!
Jeśli miasto łez, w dzieciach zapalonych skorsza,
Duma gorzkie uśmiechy na twarz mu wytłoczy.

Zamyśla się, potem bierze sztambuch i przewraca.

Nudnymi grzecznościami zapisane karty,
Ten mię równa do kwiatu, ci do gwiazd — a czwarty
Do Dyany bogini — on sam jak Bóg Apis
Zwierzęcą nosi głowę. Ten kwiat chce rozkwitać...
Rysunek siostry mojej. — Ach! Kordjana napis;
Spojrzałam mimowolnie, muszę raz odczytać...

Czyta wiersz Kordjana.

O! przepłynę ja kiedyś we wspomnień łancuchu,
Zatrzymam się... wspomnienia krokiem się nie ruszą...
Aż powiesz: „Natrętny duchu!
Ciężysz na duszy mojej twoją cichą duszą.
Jak księżyc mórz oczyma podnoszący ciemnie.
Jesteś wszędzie, koło mnie, nademną i we mnie..."
Luba, jam koło ciebie i z tobą i w Tobie...
Nie przychodzę wyrzucać, ani przypominać,
Ani śmiem błogosławić, ani chcę przeklinać;
Przyśniło mi się tylko kilka pytań w grobie...
Słuchaj! niegdyś ze szczęściem brałaś zaręczyny,
Pokaż mi ów pierścień złoty;
Ha! zczerniał? zczerniał pierścień? to nie z mojej winy!
Dlaczego na twarz włosów rozpuszczasz uploty?...
Spostrzegłem we włosów chmurze
Bladość twarzy i coś błyska!...
Może to blask w pereł sznurze?
Może światło brylanta, albo kornaliny? [1]
Może rozgrzane słońcem topazu ogniska?
Może to łzy? — ty płaczesz? to nie z mojej winy!...
Mój Aniele! mój Aniele!
Kwiat ci niegdyś wieńczył głowę,
A było kwiatów tak wiele,
Że nim zwiędły, brałaś nowe.
Dlaczegóż dzisiaj w stroju zmianę widzę jawną?
Wszak kwiaty przeżyć burze musiały i spieki;
Prócz jednej bladej róży, która dawno, dawno!
Nie pomnę z jakiej przyczyny,
Zwiędła na wieki...
Jeśli tak wszystkie zwiędły — to nie z mojej winy!...

Przestaje czytać.

Słyszę tętent... to Kordjan!... więc okno otworzę —
Nie! możebym za zbytnią troskliwość wydała...
Co, nikt drzwi nie odmyka?

Otwiera okno.

Boże! wielki Boże!
Koń przeleciał bez jeźdźca... Co to jest? drżę cała!

Dzwoni. Panna pokojowa wchodzi.

Gdzie Grzegorz?

PANNA.

Nie wiem, pani, nie siadł do wieczerzy,
Widać było, bo dzbankiem z nami się nie dzielił
Jak żyd płaszczem Chrystusa.

LAURA.

Szukaj go! niech bieży...

GRZEGORZ.

Nieszczęście! Och, nieszczęście! panicz się zastrzelił!...

[1] Kornalin — krwawnik, minerał.

AKT II.

ROK 1828.

WĘDROWIEC.

James Park w Londynie — wieczór. — Kordjan siedzi pod drzewem — w około łąki zielone — dalej sadzawka ocieniona drzewami, trzody — dokoła parku pałace i dwie wieże Westminsteru.

KORDJAN.

Wyspę łąk porzucono na pałaców stepy,
Uciekam tu opodal od wrącego gminu;
Lud woli pić dym węgli i zaglądać w sklepy;
A ten ogród, czarowna sielanka Londynu,
Jak ustęp złoty w nudnym ginie poemacie,
Ludzie! wy się tym drzewom przypatrywać macie,
Jak cudom Boga, obok cudów waszej ręki,
Drzewa nietknięte, rajskie zachowały wdzięki;
Nieraz mgły nadpłynione w kłęby czarne zwiną
I liściowym wachlarzem na miasto odwieją.
Po sadzawkach łabędzie rozżaglone płyną.
Ludzie piaskiem Paktolu [1] węże ścieżek sieją,
A łąki flamandzkiego aksamitu puchem.
Tam! miasto... zegar ludzkim kręcący się ruchem,
A tu cisza — tu ludźmi nie kwitną ogrody,
Ale się po murawach wyperliły trzody...
Był wiek, żem ja w dziecinnych marzeniach budował
Wszystkie stolice ziemskie, dziś je widzę różne;
Alem pierwszych obrazów w myśli nie zepsował,
Są dziś porównań celem, jak księgi podróżne.
Rzeczywistości naga! wynagródź marzenie!
Obym się sam ocenił, skoro świat ocenię...
Kto wie? może w szczęśliwych grono mię powoła...
. . . . . .
Chciałbym bliznę Kaima mazać z mego czoła —
Pierwszy wzrok ludzi czoło samobójcy bada...

Zbliża się dozorca ogrodu, biorący opłatę za krzesła.

DOZORCA.

Panie mój! pens za krzesło!...

Kordjan daje szyling i nie przyjmuje reszty.

Pan mój jak lord płaci,
A jak lord siąść nie umie!

KORDJAN.

Jakże więc lord siada?

---

[1] Paktol rzeka w Lidji obfitująca w złoty piasek.

DOZORCA.

Na trzech krzesłach zarazem siadają magnaci:
Na jednem lord się kładzie, a na drugim nogi,
A na trzecim kapelusz, to trzech pensów suma.

KORDJAN.

Dziękuję, bracie! będę korzystał z przestrogi.

DOZORCA.

Szlachetny to jest zwyczaj, żyzna ludziom duma,
Lękam się, by go nowa reforma nie zniosła.

Ściemnia się.

KORDJAN.

Tam, gdzie gęstymi drzewy sadzawka zarosła,
Jakiś człowiek samotny, jak cień się przesuwa,
Patrzy na księżyc, wzdycha — to miłośnik czuły,
Zapewne wielkie serce smutkami zatruwa;
Może mu się marzenia złotym wątkiem snuły,
I przerwały się nagle — od świata ucieka.
Chciałbym go poznać... Bracie, znasz tego człowieka?

DOZORCA.

To pewien dłużnik, bankrut potępion wyrokiem.

KORDJAN.

Dlaczegoż nie w więzieniu duma lecz w ogrodzie?

DOZORCA.

Prawo w domy nie wchodzi; po słońcu zachodzie
Nie biega po ulicach za dłużnika krokiem;
Więc dłużnik we dnie sypia, a chodzi po nocy.
Myślałem, że pan także, przy Boga pomocy,
Mijasz się z prawem.

KORDJAN.

Nędzny!...

DOZORCA.

Pan jakby lord płaci!
Mam honor mu polecić siebie, moich braci...
Jeden, jak ja, przedaje krzesła w parlamencie;
Drugi, jak ja, przedaje groby w Westminsterze;
Trzeci robi na przedaż herbowe pieczęcie,
Na każdej ryje łokieć, szalki i dwie wieże,

Podobne kształtem do wież dłużników więzienia.
Czwartego lud nazywa Garrikiem [1] tragicznym;
Prawdziwie małpi talent wziął od urodzenia,
I Punsza bohatera przed tłumem ulicznym
Pokazuje, przez Punsza [2] usta opowiada,
Jak zabił żonę, dziecię wyrzucił przez okno,
Obwiesił kata, wreszcie w szpony djabła wpada;
A gdy go djabeł porwie, widze we łzach mokną.

Kordjan odchodzi.

Dover. Kordjan siedzi na białej kredowej skale nad morzem, czyta Szekspira — wyjątek z tragedji pod tytułem: Król Lear.

Kordjan czyta.

Chodź! oto szczyt, stój cicho... zakręci się w głowie,
Gdy rzucisz wzrok w przepaści ubiegłe z pod nogi.
Wrony przelatujące w otchłani połowie
Mało większe od żuków... a tam, na pół drogi
Czepia się ktoś... chwast zbiera — z ciężkiej żyje pracy!
Stąd go nie większym widać od człowieka głowy.
A owi, co się snują po brzegu, rybacy
Wydają się jak mrówki... Okręt trójmasztowy,
Spoczywający w porcie, widać stąd bez żagli,
Łupinę tylko, mniejszą od węzła kotwicy.
A szum zhukanej fali, którą wicher nagli,
I pokłada na brzegów skalistej granicy,
War piany i kamieni, równy głośnej burzy,
Ucha tu nie dochodzi... O! nie patrzę dłużej.
Bo myśl skręcona głową w otchłań mię zanurzy.

Przestaje czytać.

Szekspirze! duchu! zbudowałeś górę,
Większą od góry, którą Bóg postawił.
Boś ty ślepemu o przepaści prawił,
Z nieskończonością zbliżyłeś twór ziemi.
Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę,
I patrzeć na świat oczyma twoimi.

Wstaje.

Próżno myśl geniuszu świat cały pozłaca,
Na każdym szczeblu życia rzeczywistość czeka.
Prawdziwie, jam podobny do tego człowieka,
Co zbiera chwast po skałach życia — ciężka praca!

Odchodzi.

---

[1] Dawid Garrick, aktor angielski (1717—1779). [2] po angielsku punch: błazen,

Willa włoska — pokój cały zwierciadłami wybity — kobierce — wazony rznięte z lawy, pełne kwiatów — przez okna widać piękną okolicę. — Kordjan i Wioletta młoda i piękna Włoszka.

KORDJAN.

Duszo! niechaj ci włosy na czole rozgarnę!
Weź mnie w twoje ramiona, rozkoszą odkwitnę.
Patrz na mnie! Twoje oczy, jasne, skrzące, czarne,
Białka oczu jak perły śnieżysto błękitne.
Gdy rzucasz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję;
Tak na przesłodkiej róży mrą złote motyle;
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję!
I ożywam na całą pocałunku chwilę.

WIOLETTA.

Puść mię! omdlewam.

KORDJAN.

Luba! gdy padasz omdlona,
Odpychając mię falą kołysaną łona,
Wtenczas gdy z rozkwitłego na pół ust koralu
Płomień z niewysłowionym wybłyska wyrazem,
W którym miłość złączyła wszystkie głosy razem,
Dźwięk strun urwanych, wstydu głos i skargę żalu,
Jęk, śmiech dziecka, westchnienie — wtenczas moja droga,
Ty mię kochasz...

WIOLETTA.

Nad życie! Wszak lorda i Boga
Porzuciłam dla ciebie, czyż wątpisz szalony?

KORDJAN.

Wierzę! na koralowych ustach zawieszony
Jako motyl na róży. Twoja szyja płonie
A perły takie zimne na płomiennem łonie?
Rozerwij perły — czekaj, rozgryzę nić!

WIOLETTA.

Szkoda!...

KORDJAN.

Perły po twoich piersiach leją się jak woda;
Boisz się łaskotania pereł, moja miła?
Drżysz jak liść... Czy mię kochasz?

WIOLETTA.

Jam stokroć mówiła,
Żeś mi droższy nad życie; wiszę u twej szaty
Jak kropla rosy, strząśniesz? rozprysnę się cała.

KORDJAN, *coraz zimniej i z większem zamyśleniem.*

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty;
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała,
Skoro ostygła, snycerz kształt jej nadał drogi.
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety
Lawą ostygłą.

WIOLETTA.

Wyrzut dla płci naszej srogi!
Niezasłużony wiernem sercem Wioletty.

KORDJAN.

Luba! gdzieś na północy stał zamek wiekowy,
Herby pradziadów moich świeciły na bramie,
W salach portrety dziadów w ozłoconej ramie
Patrzały na mnie; dzisiaj wzrok ojców surowy
Aż tu, do włoskiej willi, ściga za mną — goni.
Bo zamek ojców moich stopiłem na złoto
A z tego złota nosisz przepaskę na skroni.

WIOLETTA.

Luby! zatruwasz serce niewczesną zgryzotą.

KORDJAN.

Droga! gdybym pałace mógł nazad odzyskać
Jedną łzą twoją, nie chcę, abyś łzę wylała.
Luba! tobie przystoi brylantami błyskać;
Tak droga mleczna światów milionem biała.
Chciałbym w tej pięknej willi przeżyć z tobą wieki,
Wśród laurów, wodospadów, róż, bronzów, zwierciadeł,
A kto wie? jutro może otworzysz powieki,
I spojrzysz w lice nędzy, najsroższej z widziadeł.
Przekleństwo! jam utracił wszystko!

WIOLETTA.

Mio caro!
Co się to znaczy?

KORDJAN.

U drzwi stoją wierzyciele!
Lecz bogactwo w miłości znikomą jest marą,
Dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę.

WIOLETTA.

Ach brylanty... gdzie klucze?

KORDJAN.

Stój! stój, moje życie!
Wczoraj — aby opóźnić majątku rozbicie,
Z twoimi brylantami siadłem do gry stoła;
Gra mi wszystko pożarła... Lecz serce anioła...

WIOLETTA, *ze łzami i gniewem.*

Ach! ach! ja nieszczęśliwa, zabrał mi klejnoty!

KORDJAN.

Zabijasz mię, kochanko, niewczesnymi łzami,
Serce twoje przekładam nad wszelki dar złoty.

WIOLETTA.

Przegrałeś moje serce razem z klejnotami!
Nędza! nędza mię czeka!...

KORDJAN.

Mnie zaś koń mój czeka.

WIOLETTA.

Jedź z djabłem!...,

KORDJAN.

Droga moja nie nazbyt daleka,
Koń ma złote podkowy, tysiąc czątych warte;
Wygrałem je był wczoraj na ostatnią kartę,
Przed wierzycieli okiem w podkowach uniosę.
Przez noc całą galopem popędzę przez błonia,
Złotymi kopytami srebrną bijąc rosę.
Potem w najbliższem mieście każę rozkuć konia,
I za cztery podkowy uczt wyprawię cztery;
A potem, jako czynią modne bohatery,
W łeb sobie strzelę... Panią na ucztę śmiem prosić.
A jeśli po kochanku chcesz żałobę nosić,
Upewniam, że ci będzie do twarzy z żałobą...
Pani! czy jedziesz ze mną...

WIOLETTA, *po chwili.*

Luby! jadę z tobą.

Wychodzą.

Droga publiczna. Kordjan na koniu, za nim Wioletta, przelatują cwałem, koń ślizga się i spada, Kordjan zsadza z konia Wiolettę.

WIOLETTA.

Cóż to?

KORDJAN.

Nic... koń rozkuty upadł.

WIOLETTA.

Koń rozkuty?

KORDJAN.

To nic... Kazałem słabo przybić mu podkowy,
Nie przybić, raczej związać spróchniałymi druty,
Zgubił je przy wyjeździe...

WIOLETTA, *z gniewem.*

Węzu Adamowy!

KORDJAN.

Ewo moja! Adama zastąpią ci drudzy,
A ja cieszę się z serca, że gdzieś moi słudzy,
Wygnani z willi, z czołem spuszczonem ku ziemi,
Pójdą tą samą drogą, za ślady moimi
I będą zbierać złoto, tam gdzie łzy upadną.

WIOLETTA.

Niech ludzie z pistoletów kule ci wykradną!
Niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie!

Odbiega drogą, Kordjan siada na konia i patrzy na nią z uśmiechem wzgardy.

KORDJAN.

Prawdziwie, ta kobieta kocha mię szalenie,
Poszła szukając śladów kochanka po drodze.
Dalej, mój koniu! leć, gdzie zechcesz! puszczam wodze.

Odjeżdża.

Sala adamaszkami wybita w Watykanie. Papież siedzi na krześle w złocistych pantoflach, koło niego na złotym trójnogu tiara, a na tiarze papuga z czerwoną szyją. Szwajcar, odmykając drzwi dla wchodzącego Kordjana, krzyczy głośno.

SZWAJCAR.

Graf Kordjan, Polak!

PAPIEŻ.

Witam potomka Sobieskich.

Wyciąga nogę — Kordjan przyklęka i całuje.

Polska musi doznawać zawsze łask niebieskich?
Dziękczynień modły niosę za ów kraj szczęśliwy,
Bo cesarz jako anioł z gałązką oliwy
Dla katolickiej wiary chęci chową szczere;
Powinniśmy hosanna śpiewać...

PAPUGA, *cienko i chrapliwie.*

Miserere!

KORDJAN.

W darze niosę ci, Ojcze, relikwią świętą,
Garść ziemi, kędy dziesięć tysięcy wyrznięto

Dziatek, starców i niewiast... Ani te ofiary
Opatrzono przed śmiercią chlebem Eucharistji;
Złóż ją tam, kędy chowasz drogie carów dary,
W zamian daj mi łzę, jednę łzę...

PAPUGA.

Lacryma Christi [1].

PAPIEŻ, *z uśmiechem do papugi, machając chustką.*

Precz Luterku! precz, mówię... Cóż, synu Poloniae,
Byłeś że w Piotra gmachu, w cyrku, w Panteonie?
Ostrzegam, bądź w niedzielę w chórze Bazyliki,
Bo właśnie nowy śpiewak przyjechał z Afryki,
Dej mi go przysłał Fezki [2]... Jutro z majestatu
Dam wielkie pożegnanie Rzymowi i światu,
Ujrzysz, jak całe ludy korne krzyżem leżą;
Niech się Polaki modlą, czczą cara i wierzą...

KORDJAN.

Lecz garści krwawej ziemi nikt nie błogosławi,
Cóż powiem?

PAPUGA.

De profundis clamavi! clamavi! [3]

PAPIEŻ, *zmięszanie śmiechem pokryć usiłuje i spędza papugę.*

Precz szatanku! Z tiary na pastorał rusza,
Przeklęte zwierzę ptasie... o mało nie powiem,
Że w niej zaklęta Lutra pokutuje dusza;
Pełna przysłówków *ergo*, ponieważ, albowiem.
Raz za firanką skryta wdała się w dysputy
Z kardynałem, prezesem datarii biura.
Rozumiał, że mu doktor jakiś tęgo kuty
Odpowiadał na kwestje — ona trzesła pióra
A kardynał rwał włosy i nadrabiał krzykiem:
Papuga odrzucała odpowiedzi ślepe:
Nakoniec go zabiła hebrajskim językiem,
Krzycząc: *Pappe satan! pappe satan! aleppe...* [5]
Głupie stworzonko! Tak to czasem Bóg pozwala,
Że słaby Goliatów rozumu obala.
No, mój synu, idź z Bogiem, a niechaj wasz naród
Wygubi w sobie ogniów jakobińskich zaród,
Niech się weźmie psałterza i radeł i sochy.

KORDJAN, *rzucając na powietrze garść ziemi.*

Rzucam na cztery wiatry męczennika prochy!
Ze skalanymi usty do kraju powrócę...

[1] Nazwa pewnego gatunku włoskiego wina. [2] Władca Fezu, stolicy Maroka. [3] Z głębokości wołałem; początek 130 psalmu Dawida. [4] Wydział kurji rzymskiej; udzielający odpustów i dyspens. [5] Słowa Plutusa z VII-ej pieśni *Piekła* Dantego.

PAPIEŻ.

Na pobitych Polaków pierwszy klątwę rzucę.
Niechaj wiara jak drzewo oliwkowe buja
A lud pod jego cieniem żyje.

PAPUGA.

Alelluja!...

Kordjan odchodzi.

Kordjan sam, z założonemi na piersiach rękoma, stoi na najwyższej igle góry Mont-Blanc.

KORDJAN.

Tu szczyt, lękam się spojrzeć w przepaść świata ciemną.
Spojrzę... Ach! pod stopami niebo i nad głową
Niebo... Zamknięty jestem w kulę kryształową,
Gdyby ta igła lodu popłynęła ze mną
Wyżej — aż w niebo... nie czułbym, że płynę.
Stąd czarne skrzydła myśli nad światem rozwinę.
Ciszej! słuchajmy... o te lody się ociera
Modlitwa ludzka, po tych lodach droga
Myślom płynącym do Boga.
Tu dźwięk nieczysty głosu ludzi obumiera,
A dźwięk myśli płynie dalej.
Tu pierwszy zginę, jeśli niebo się zawali.
A ten kryształ powietrza, by tchnieniem rozbity,
Kręgami się rozpłynie na nieba błękity,
I gwiazdy w nieznaiomą uciekną krainę,
I znikną, jakby ich nigdy nie było.
Spróbuję — westchnę i zginę...

Patrzy w dół.

Ha! przypominasz mi się, narodów mogiło!
Oto się przedarły chmury,
Igły lodu wytrysły z chmur kłębów;
Tam las ogromny sosen i dębów,
Jak garść mchu w szczelinie góry
A ta plamka biała — blada —
To morze.
Silniej wzrok napnę — oczy rozedrę, otworzę.
Chciałbym stąd widzieć człowieka.
Tam, koło jednej igły, krążą orłów stada,
Jak pierścionki żałobne na perłowych lodach:
A odemnie błękitna płynie szczelin rzeka,
Każda w jedną otchłań zlata,
I nikną jak w morza wodach.
. . . . . .
Jam jest posąg człowieka — na posągu świata.
. . . . . .

O gdyby tak się wedrzeć na umysłów górę,
Gdyby stanąć na ludzkich myśli piramidzie,
I przebić czołem przesądów chmurę,
I być najwyższą myślą wcieloną...
Pomyśleć tak — i nie chcieć? o hańbo! o wstydzie!
Pomyśleć tak — i nie móc! w szmaty podrę łono!
Nie móc? to piekło!
Mogęż siłą uczucia serce moje nalać,
Aby się czuciem na tłumy rozciekło,
I przepełniło serca nad brzegi,
I popłynęło rzeką pod trony — obalać?
Mogęż zruszyć lawiny? potem lawin śniegi,
Zawieszone nad siołem,
Zatrzymać ręką lub czołem?
Mogęż, jak Bóg w dzień stworzenia,
Ogromnej dłoni zamachem
Rzucać gwiazdy nad świata zbudowanym gmachem,
Tak, by w drodze przeznaczenia
Nie napotkały nigdy kruchej świata gliny
I nie strzaskały w żegludze?

Po chwili... z wyrazem zniechęcenia.

Mogę... więc pójdę! ludy zawołam! obudzę!

Po chwili... zrazu spokojnie, potem z zapałem.

Może lepiej się rzucić w lodowe szczeliny?...
Uczucia po światowych opadały drogach...
Gorzkie pocałowania kobiety — kupiłem...
Wiara dziecinna padła na papieskich progach...
Nic, nic, nic, aż w powietrza błękicie
Skąpałem się i ożyłem,
I czuję życie!
Lecz nim myślą olbrzymią rozpłonę,
Posągu piękność mam — lecz lampy brak.
Więc z ognia wszystkich gwiazd uwiję na czoło koronę,
W błękicie nieba sfer ciało roztopię tak,
Że jak marmur, jak lód, słonecznym się ogniem rozjaśni.
Potem piękny, jak duch baśni,
Pójdę na zimny świat i mogę przysiąc,
Że te na czole tysiąc gwiazd i w oczach tysiąc,
Że posągowy wdzięk narodów uczucia rozszerzy
I natchnie lud;
I w serca jak myśl uderzy,
Jak Boga cud...
. . . . . .
Nie — myśli wielkiej trzeba z ziemi, lub z błękitu.
Spojrzałem ze skały szczytu,
Duch rycerza powstał z lodów...
Winkelried[1] dzidy wrogów zebrał i w pierś włożył,

[1] Legendarny bohater Szwajcarski.

Ludy! Winkelried ożył!
Polska Winkelriedem narodów!
Poświęci się, choć padnie jak dawniej! jak nieraz!
Nieście mię, chmury! nieście, wiatry! nieście, ptacy?
Chmura znosi go z igły lodu.

CHMURA.

Siadaj w mgłę — niosęć... Oto Polska... działaj teraz!...

KORDJAN, *rzucając się na rodzinną ziemię z wyciągniętemi rękoma, woła.*

Polacy!!!

AKT III.

SCENA I.

Plac przed zamkiem królewskim w Warszawie, okna dokolnych domów przystrojone kobiercami, pełne widzów. Wielkie rusztowanie czerwonem suknem nakryte, zalega większą część placu — na niem siedzą rzędami przystrojone kobiety... Najbliżej widza kolumna Zygmunta, na podstawie lud zasiadł... Ludzie różnego stanu stoją dokoła i patrząc na zamek, rozmawiają.

PIERWSZY Z LUDU.

No! patrzaj, panie kumie, co przed zamkiem stoi...
To car nasz miłościwy kazał stawić w nocy
To wielkie rusztowanie... jeśli naród zbroi,
To będą ścinać głowy...

DRUGI Z LUDU.

Waść rzucasz jak z procy
Niepomyślane baje... na to rusztowanie
Wchodzą wielmożni nasi i wielmożne panie,
Co na koronację chcą patrzeć z wysoka...

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Kwiatem dam się pokrywa estrada szeroka.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Estrada! jakie słowo — ja przyswoić wolę
Wyraz wschodowidownia.

PIERWSZY MŁODZIENIEC.

Zgoda, mój purysto.
Lecz patrzaj, pióra, kwiaty, tiule, parasole,
To istna łąka... Chciałbym zostać ziemną glistą
I pełzać po tych kwiatach.

DRUGI MŁODZIENIEC.

Wolisz zostać carem
I chodzić po tych głowach.

SZEWC.

Uf! jak duszno! tłumnie!
Siła miejsca ubyło z grubym piwowarem,
Odkąd się przy Zygmunta zatoczył kolumnie.

SZLACHCIC.

Toć ten sam, który niegdyś jak koń w taczkach chodził,
Za jakieś przewinienie, z woli księcia pana,
Tak wychudł biedak wówczas i tak się wygłodził,
Że, jak mówią, aż własne obaczył kolana,
I łzami się rozpłakał.

SZEWC.

Któż mu tu przyjść radził?
Wstyd mu biją te kotły i wstydem gra trąba,
Chyba żywot kulami i siarką nasadził,
I chce się u nóg cara rozprysnąć jak bomba?

SZLACHCIC.

Ten szewc pojął honoru i zemsty prawidła.
Prawidła... Mój kalambur upadł — o lud głupi!
Nie podjął kalamburu! o! zgrajo przebrzydła,
Kto twoje berło kupi, kij pastucha kupi...

SZEWC.

Cha! chać cha! jak się szlachcic czerwony indyczy!...

PIERWSZY Z LUDU.

Cicho! słuchajcie — oto pierwszy szereg krzyczy,
Cesarz przechodzi — krzyczmy.

KILKU Z LUDU.

Niech żyje! niech żyje!

PIERWSZY Z LUDU.

Nic nie widać... Chorągiew z wiatrami się bije
I posuwa się zwolna...

DRUGI Z LUDU.

Idzie jakiś starzec,
Siwy cały — och! siwy, jak srebrzysty marzec,
Niesie złotą poduszkę, na niej szabla leży...

ŻOŁNIERZ

Oj dobrze cesarzowi, że polskie szablice
Śpią sobie na poduszkach...

PIERWSZY Z LUDU.

Wielki książę bieży,
I nakazał gardłowej przegrywać muzyce.
Słychać śpiew na nutę: „God save the king".

ŻOŁNIERZ.

Ha! ha! dmą sobie ludzie w gardła jak w oboje.

PIERWSZY Z LUDU.

Sypnęły się zielone szambelanów roje,
Pożółkłe haftami, niby pszczoły z ula...
Ha! idzie...

KILKU.

Kto?

PIERWSZY Z LUDU.

Król.

ŻOŁNIERZ, *śpiewa.*

Boże! pochowaj nam króla!

SZEWC.

Nie w takt śpiewasz i nie w sens...

ŻOŁNIERZ.

Ha! nie moja wina,
Pod Maciejowicami ogłuchłem od kuli,
I przyznam się, że nie znam, jak w marjaszu króli,
Gdy się z nimi kozyrna połączy dziewczyna [1],
To sobie ze czterdziestu choć na dyszlu walę...

SZEWC.

Ciszej no! waść o królach gadasz tak zuchwale,
Jak gdyby szpiegi butów nie umieli skroić?
Wierz mi waść — co masz gadać, to wolałbyś broić,
A kiedy nie masz dratwy, to dziur nie kol szydłem...

KILKU.

Cha! cha! cha!

PIERWSZY Z LUDU.

To go wstrzymał skórzanem wędzidłem.

GARBATY ELEGANT.

Pozwólcie też, panowie, spojrzeć człowiekowi...

KILKU.

Garbuś garbuś! ustąpcie miejsca garbusiowi...
Wsadzić go na ramiona...

[1] Kozyrna dziewczyna, dama atutowa.

SZEWC.

Zgodziłby się mały!
Wszak o nim historja świat obiegła cały.
Wracając nogą, nie mógł rynsztoka przeskoczyć,
Sajetowego sukna nie chciało się zmoczyć;
Czeka... Aż tu przechodzi drogą pozytywek,
Więc w prośby, by go ludzie zanieśli do domu;
Zgodzili się, na skrzyni konno usiadł krzywek;
Gdy go tam przywiązali, jak garść suchą łomu,
Nuż korbą kręcić, różne muzyki wygrywać
I do szynków zachodzić... musiał biedak śpiewać,
A nie śpiewać, to ludziom grać jak z dobrej woli...

KILKU.

Cha! cha! cha!

ŻOŁNIERZ.

Ze starego śmiejecie się żołnierza,
Lecz wara z ułomnego przedrwiwać niedoli.
Gdzie on...

PIERWSZY Z LUDU.

At, w inną stronę poszła wieża...

DRUGI Z LUDU.

Car przeszedł, a my wszyscy patrzali jak głupce
Na garb i nie widzieli cara...

PIERWSZY Z LUDU.

Idźmy lepiej po bruku wybijać hołupce,
Mówią, że z beczek wino leje się jak woda.

Lud się rozchodzi.

SCENA II.

Wnętrze kościoła katedralnego, ołtarz wielki rzęsiście oświecony. Prymas z bogato przybraną asystencją odprawia mszę... Muzyka... Cesarz stoi pod szkarłatnym baldachimem, na szczeblach tronu polscy dygnitarze państwa i jenerałowie moskiewscy... Prymas[1] *lud żegna i przystępując do cesarza, podaje mu koronę, cesarz kładzie ją na głowę — kanclerz podaje na wezgłowiu miecz państwa, cesarz mieczem robi znak krzyża na cztery strony świata. Prymas podaje księgę konstytucyjną.*

CESARZ, *kładąc rękę na księdze.*

Przysięgam!...

Znów cisza głęboka... Prymas odchodzi do ołtarza i intonuje psalm „Te Deum".

[1] Jan Paweł Woronicz.

SCENA III.

Plac przed zamkiem i lud jak w scenie pierwszej, muzyka gra pieśń: „Good save, Boże, zachowaj króla nam".

PIERWSZY Z LUDU.

Car się ukoronował, wychodzi z kościoła,
Przysiągł konstytucję święcić jak pacierze.

DRUGI Z LUDU.

Wróciwszy, pewnie w zamku zasiądzie do stoła?
Choć królem, to jeść musi jak i każde zwierzę.

SZLACHCIC.

A wiecież, co jeść będzie?

DRUGI Z LUDU.

A proszę waszmości,
Toć zapewne nie będzie ogryzał tam kości,
Toż królowi na pokarm dostateczny stawa.

SZLACHCIC.

Będzie zjadał bażanty, a na wety prawa.

SZEWC.

Waćpan musisz zagadki siać do Kurjera.
Co to za krzyk?

PIERWSZY Z LUDU.

Zapewne żandarm tłum przeciera.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

O! nie, to się sam książę wdał z babami w boje.

GŁOS KOBIECY, *w dali.*

Dziecię moje! o, dziecię! dziecię! dziecię moje!

PIERWSZY Z LUDU, *do stojącego na kolumnie.*

Cóż to za krzyk. waszmości czoło aż pobladło.

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Książę uderzył starą kobietę z dziecięciem,
Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło.
Zbiegł się tłum... teraz cały ucieka przed księciem,
I tylko widać starą nad dzieckiem kobietę,
Ciałem dziecię zakrywa.... To odwaga rzadka!

GŁOS DALEKI.

Dziecko zabite!

GŁOS BLIŻSZY.

Dziecko zabite!

STOJĄCY NA KOLUMNIE, *do dalszych.*

Zabite...

LUD.

A matka?

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Kto wie, czy to matka?

LUD.

O! to matka,
Inna by już uciekła; co się tam z nią stało?

STOJĄCY NA KOLUMNIE.

Czekajcie! Dwóch żandarmów niebogę porwało,
Zamietli przed cesarzem krwią polane bruki...
Lud częścią się rozchodzi ponury... Orszak koronacyjny powraca do zamku... Lud przerzedzony milczy — muzyka gra — ściemnia się. — Lud rzuca się na sukno pokrywające estradę.

LUD.

To dla nas sukno! dla nas! rozerwać je w sztuki!...
Ściemnia się coraz bardziej. — Ludzie rozerwali sukno, i w czerwone płachty okryci rozchodzą się po ulicach. — Przy beczkach z winem widać jeszcze garstkę pijących. — Człowiek, czarnym płaszczem okryty, miesza się między nich i śpiewa.

ŚPIEW NIEZNAJOMEGO.

Pijcie wino! pijcie wino!
Nie wierzycie, że to cud,
Gdy strumienie wina płyną,
Choć nie sadzi winnic lud.
Pij drużyno! pij drużyno!
Chrystus wodę mienił w winó,
Gdy weselny słyszał śpiew,
Gdy wesele było w Kanie...
Głośniej.
A gdy przyszło zmartwychwstanie,
Chrystus wino mienił w krew...
Jutro błyśnie jutrznia wiary,
Pijcie wino, idźcie spać!
My weźmiemy win puhary,
By je w szklany sztylet zlać.
Niech ten sztylet silne ramię
W piersi wbije i załamie...
Pijcie wino! idźcie śnić!
Lecz się będzie świt promienić,
Trzeba wino w krew przemienić,
Przemienione wino pić!...
Pieśń ustaje, nieznajomy odchodzi.

PIERWSZY Z LUDU.

Kto to śpiewał?

DRUGI Z LUDU.

Śpiew huczał we mnie i podemną...

TRZECI Z LUDU.

Idźmy do domu... jest coś strasznego... tak ciemno...

SCENA IV.

Loch podziemny w kościele św. Jana, w koło trumny królów polskich, w głębi mały ołtarz. — Przed ołtarzem stół okrągły, jedna lampa i krzesło. — Prezes spisku sam jeden siedzi za stołem, w czarnej masce i z siwymi jak śnieg włosami. — Widać wschody prowadzące na górę do korytarzów kościelnych, na wschodach szyldwach widny do połowy.

PREZES, *sam.*

Ciemna jaskinio trumien, znam ja ciebie!
Nieraz w te prochy iskrę myśli kładłem,
Budziłem królów, serca ich odgadłem,
Działali... w dziejach jak na jasnem niebie
Nigdzie czerwone nie padały plamy.
Gdybyście, króle, z trumien dziś powstali,
Ludzie by rzekli: O znamy was! znamy!
Starzec nam o was mówił, żeście biali
Jako Anieli... Tak nam starzec prawił.
Jażbym tron nieskalany Polaków zakrwawił?
Rzuciłem się w otchłani spisków czarne cienie,
Zapalonej młodzieży sztyletami władam,
Mam sto rąk, sto sztyletów... gdy chcę, sto ran zadam;
Wzrok mój przytępiał długim wiekiem, lecz sumienie
Ma bystre oczy, widzę, że światło zagasło.
Lepiej przy Waszingtonie było umrzeć...

SZYLDWACH.

Hasło?...

GŁOS.

Winkelried [1].

SZYLDWACH.

Tędy!

Schodzi do lochu zamaskowany w ubiorze księdza.

KSIĄDZ.

Prezes wszystkich nas ubiegłeś.

[1] To hasło świadczy, że organizatorem spisku jest Kordjan.

PREZES.

Nie dziw się, że mię w grobach pierwszego spostrzegłeś,
Starość mię prowadziła.

KSIĄDZ.

Powiedz mi, prezesie,
Jak się to skończy?

PREZES.

Nie wiem.

KSIĄDZ.

Burza nie rozniesie
Sztyletów tak jak liście... Byle się udało!

PREZES.

Pomnij, że nosisz szatę Zbawiciela białą.
Splamisz ją.

KSIĄDZ.

Głos twój drżący...

PREZES.

Zimno mi i ciemno...

KSIĄDZ.

A mnie krew pali...

PREZES.

Boże! zmiłuj się nademną!
Księże, powiedz mi, wiele lat masz?...

KSIĄDZ.

Pięćdziesiąty!

PREZES.

Gdyś się rodził, rok miałem dwudziesty dziewiąty
I biłem się za wolność!...

KSIĄDZ.

Cóż stąd?

PREZES.

Nic.. wspomnienie.

KSIĄDZ.

Zachwiałeś duszą moją — zbudziłeś sumienie,
Cóż rozkażesz? co robić?

PREZES, *z zapałem.*

Wstrzymać ich, na Boga!
Niech myśl młodych ciemnicy nie przestąpi proga,
Niech spisek z czarną twarzą na świat nie wychodzi,
Bo tam na świecie białym błyszczy Boga słońce!
Zwołałem tu szalonych, bo wiatr grobów chłodzi,
Bo mogę wezwać prochy królów za obrońce.

Jam niegdyś z piersi moich lał poety pienia,
Dziśbym je chętnie wydarł z kart wiekowej sławy
I spaliłbym je w ogniu, gdyby z ich płomienia
Myśl wydobyć głośniejszą nad młodzieńcze wrzawy,
Myśl łamiącą sztylety.

KSIĄDZ.

Źle począłeś sobie.
Oni tu miecze jasne wyostrzą na grobie.

PREZES.

Na grobie królów naszych! O hańbo! o wstydzie!
Ostrzyć miecz królobójczy? sztylety?

SZYLDWACH.

Kto idzie?

GŁOS.

Winkelried.

SZYLDWACH.

Tędy droga.

Schodzi zamaskowany podchorąży.

PREZES, *do księdza cicho.*

Wesprzyj mię, biskupie.

KSIĄDZ.

Poznany jestem... maski zdradzają nas trupie.

PODCHORĄŻY.

Ile się w trumnach królów robactwa wypasło?
Chciałbym podnieść te wieka, zajrzeć w prochy...

SZYLDWACH.

Hasło!

GŁOS.

Winkelried.

Schodzi zamaskowany pierwszy z ludu.

PIERWSZY Z LUDU.

Ha, prezesa głowa, chociaż stara,
Dobre obrała miejsce... Bo kościół otwarty
Na czterdziesto-godzinne pacierze za cara,
A przy bramie kościelnej stoją szpiegów warty
I spisują pochwały dla człeka, co wchodzi
Pomodlić się za cara. Więc to nic nie szkodzi,
Można jednem krzesiwem dwie hubki rozpalić,
Będzie nas i kraj kochać, i szpieg cara chwalić.

SZYLDWACH.
Kto idzie? ludzie, kto wy? hasło!

GŁOSY.
Winkelriedy.
Schodzi wielu zamaskowanych różnego stanu.

PIERWSZY Z LUDU.
Co to znaczy Winkelried?

DRUGI Z LUDU.
Jakieś słowo czarów.

PODCHORĄŻY.
Był to niegdyś dowódca u wolnych Szwajcarów.
Śród walki w obie dłonie zgarnął wrogów dzidy
I wbił we własne serce i drogę rozgrodził.

PIERWSZY Z LUDU.
Toby się dziś ów rycerz dobrze z nami zgodził!
Cicho! módlcie się raczej! miejsce nie do gwarów;
Zeszliśmy się w grobowce składać sąd na carów,
Patrzcie więc w serca wasze! patrzcie w serca wasze!
Aby je wiecznej ludów nie przedać ohydzie.
Niech nas Bóg wieńcem prawdy gwiaździstej opasze,
Niech anioł cichy zejdzie pośród nas...

SZYLDWACH.
Kto idzie?

GŁOS.
Winkelried.

Tu słychać ciągle głos szyldwach i odpowiadanie spiskowych. — Ludzie różnego ubioru zamaskowani schodzą po szczeblach i siadają w milczeniu na ławach. — Głosy szyldwacha coraz rzadsze, ustają zupełnie — cisza głęboka. — Zegar na wieży kościelnej bije zwolna godzinę dziesiątą.

PREZES.
Bracia! w imię Boga sąd otwarty.
Chwila milczenia.

PIERWSZY Z LUDU.
W imię Boga sztyletem piszę zemsty słowo...

DRUGI Z SPISKOWYCH.
W imię Boga, ja drugi.

INNY.
Ja trzeci.

INNY.
Ja czwarty...

PREZES.

Ludzie, stoję przed wami z osiwiałą głową
I powiadam: czekajcie! Moje oczy stare
Widziały wielkich mężów, i mówię wam święcie,
Żeście wy niepodobni do nich! Jeśli wiarę
Boga chowacie w sercu, stójcie! i sztylety wasze
Zamieńcie na święcone w kościołach pałasze;
A kiedyś uderzymy w zmartwychwstania dzwony
Tak, że odgłosem królów zachwieją się trony
Jak drzewa podrąbane.

PODCHORĄŻY.

W przeszłość patrzę ciemną
I widzę cień kobiety w żałobie — kto ona?
Patrzę w przyszłość — i widzę tysiąc gwiazd przedemną,
A cień przeszłości ku nim wyciąga ramiona;
Te gwiazdy, to sztylety... Kraj nasz dawny widzę.
Mądrość rządców na starem zaszczepiła drzewie
Kraj młody, oba kwitły na jednej łodydze,
Jako dwie róże barwą różne w jednym krzewie.
Jak dwaj równi rycerze w jednakowej zbroi
Chodzili pierś przy piersi z wrogiem staczać bitwy,
Jako dwie w łonie Boga tonące modlitwy
Jedną natchnięte myślą — jak dwa pszczelnych roi,
Które pasiecznik zlewa w jednych ulów ściany...
Onego czasu! wielkie południa Tytany
Powstali przeciw Bogu — królom — i niewoli.
Bóg uśmiechnął się tylko na tronie szafirów,
Lecz króle padły nakształt zrąbanej topoli;
Gilotyna okryta łachmanami kirów,
Niezmordowana, ręką wahała stalową,
A ilekroć skinęła, tłum umniejszał głową.
I widzieli ją króle, bo ta gilotyna
Była tragedją ludu, a króle widzami.
Więc zemsta! Nierządnica i Car: Katarzyna,
Zabijające oko trzymała nad nami;
Osądziła nas wartych męczeńskiego wieńca,
Wymyśliła męczeństwo... Wziąwszy czaszkę spadłą
Z Burbońskiego tułowu — krwawą i pobladłą,
Wsadziła ją na tułów swego oblubieńca,
I dała nam za króla — króla z trupią głową.
Potem z pod niego kradła dziecinę grobową.
A on ręką nie ruszył... I nie stało kiru
Na szatę matki naszej, więc w troje pocięto.
A dziś — zapytaj mewy lecącej z Sybiru,
Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrznięto?
Ilu przedzierżgnięto w zdrajców i skalano?
A wszystkich nas łańcuchem z trupem powiązano,

Bo ta ziemia jest trupem. Brat się wściekł carowi,
Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża!
Zębem wściekłym rozrywa. Mściciele! spiskowi!
Gdy car wkładał koronę u stopni ołtarza,
Trzeba go było jasnym państwa mieczem zgładzić,
I pogrzebać w kościele i kościół wykadzić
Jak od dżumy tureckiej, i drzwi zamurować,
I rzec: o Boże! racz się nad grzesznym zmiłować!
To wszystko — i nic więcej... Teraz car za stołem.
Satrapy nasze korni pokładli się czołem:
Win tryskają brylanty z kielichów tysiąca,
I palą się pochodnie, a muzyka grzmiąca
Gipsy ze ścian oprósza. Kobiety dokoła
Rozkwitłe, świeże, wonne jak Saronu róże,
Na rosyjskich ramionach opierają czoła.

Silnie.

Idźmy tam! i wypalmy ogniami na murze
Wyrok zemsty, zniszczenia wyrok Baltazara.
Carowi niedopita z rąk wyleci czara,
Błękitnym blaskiem mieczów napisane słowa
Wytłómaczy śmierć mędrsza niż głos Daniela.
A potem kraj nasz wolny! potem jasność dniowa!
Polska się granicami ku morzom rozstrzela
I po burzliwej nocy oddycha i żyje.
Żyje! czy temu słowu zajrzeliście w duszę?
Nie wiem... w tem jednem słowie jakieś serce bije,
Rozbieram je na dźwięki, na litery kruszę,
I w każdym dźwięku słyszę głos cały ogromny!
Dzień naszej zemsty będzie wielki — wiekopomny!
A dzień pierwszy wolności, gdy radość roznieci,
Ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą.
A potem długą ciemność niewoli przemierzą,
Siądą... i z wielkiem łkaniem zapłaczą jak dzieci,
I słychać będzie płacz ogromny zmartwychwstania.

Słychać szmer zapału.

PREZES.

Piekielna myśl złoconym obrazom przygania,
Nie śmiałbyś zgłębić myśli sumienia oczyma,
Ciebie młodzieńczy zapał nad przepaścią trzyma.
Patrz! car zabity — we krwi — zabita rodzina —
Bo to następstwo zbrodni... lecz nas Bóg ukarze!

PODCHORĄŻY.

Z Cezara karła weźmy zemstę Rzymianina.

PREZES.

A gdy jaki Antoniusz Europie pokaże
Płaszcz skrwawiony Cezara? ... i do zemsty zbudzi?
A kiedy się na Polskę wszystkie ludy zwalą,
Wielu przeciw postawisz wojska? wielu ludzi?
Czem zbrojnych? czy sztyletu zakrwawioną stalą?

KSIĄDZ.

Cóż powie głos z mownicy, gdy ciało mocarza,
Który swem berłem trony Europy podważa,
Wśród kadzidł, świec jarzących, na katafalk wniosą?
O ludy! ludy! płaczcie łez rzęsistą rosą,
I za ziemię Lechitów w prochy bijcie czołem,
I posypujcie czoła prochem i popiołem,
Bo ta ziemia Jaheli [1] uzbrojona ćwiekiem,
Niegodnie ...

PODCHORĄŻY.

Strój cię świętym wydaje człowiekiem.
Miałeś na cara pogrzeb mowę napisaną.
Wiatr jakiś chorągiewkę okręcił blaszaną,
Obosieczne kazanie przeciw nam obrócił.
Miało być tak w kazaniu ... Naród więzy zrzucił,
Więc przed ziemią Lechitów, ludy, bijcie czołem.
A króle niechaj głowy posypią popiołem,
I wyją na ulicach.

SPISKOWI.

Cha! cha! cha!

PREZES.

Przeklęty!
Kto śmiechem groby królów znieważa.

KSIĄDZ.

Wyklęty!

PIERWSZY Z LUDU.

Zwołali nas, ażeby naśmiać się do woli,
Obłąkać i przeklinać.

KSIĄDZ.

Sam Bóg nie pozwoli,
Aby zbrodnia w kościelnym rozwinięta domu
Miała ogień błyskawic ze skrzydłami gromu.
Bóg, co zabójców rzuca w piekielne ogniska ...

STARZEC Z LUDU.

Wiele potrzeba zabójstw, nim się kraj odzyska?

[1] Sysara, wódz króla chananejskiego Jabina, pobity przez synów Izraela, schronił się do namiotu Jaheli, żony Cynejczyka Heber, i został przez nią zdradziecko zamordowany.

GŁOS Z TŁUMU.

Car...

STARZEC.

To jedno.

GŁOS.

Carowa żona.

STARZEC.

Drugie.

GŁOS.

I dwóch braci.

STARZEC.

Cztery. Licz dalej, bracie, bo się liczba straci.

GŁOS.

Syn cara.

STARZEC.

Piąte.

GŁOS.

I już wszyscy.

STARZEC.

Zabijajcie.

A krew niech na mnie spada...

PREZES.

Masz włos biały, starcze!

STARZEC.

Do ciebie nic nie mówię... spiskowi, słuchajcie!
Jeśli krwi ciężarowi jeden nie wystarczę,
Syny moje i córki za was się poświęcą,
Krew dziecka i kobiety sam wezmę — książęcą
Syny wezmą; dwóm córkom nieszczęsnym na głowy —
Na dwie — bo słabe, rzucę lekką krew cesarza.
A kiedy Bóg zawoła w straszny dzień sądowy,
Stanę przed Bogiem obok jakiego mocarza,
Co się codzienną zbrodnią we łzach ludu pławi;
I powiem: Boże! Boże, patrz, otośmy krwawi!
Zdjęliśmy tę krew z ludzi, aby drzewo krzyża
Lżejsze było płaczącym na ziemskim padole;
A teraz się na twoję opuszczamy wolę.

PODCHORĄŻY.

O! błogosław mi, starcze!

KSIĄDZ.

On Bogu ubliża.

Sprawiedliwości boskiej...

PODCHORĄŻY.

Milcz, księże! milcz, księże!
Myśli w niebo lecącej twój wzrok nie dosięże.
Więc oto jest ogromna poświęceń nauka!
Mnie samego ten starzec nową natchnął wiarą.
Chyba was po tych słowach sam szatan oszuka,
Chybam ja Boga jakąś obciążony karą,
Jeśli wyrazy sieję jak kwiat bezowocny.
Wierzcie mi! wierzcie, ludzie! jam jest wielki, mocny.
Jedyną słabość zamknę w sercu tajemniczem,
Robak smutku mię gryzie... tak, że mówiąc z wami,
Chciałbym przestać i usiąść i zalać się łzami;
Lecz ten smutek, to żałość dziecinna, po niczem,
Może po kraju... Ludzie, wierzyć powinniście
Człowiekowi, co cierpi... nie siadać pod drzewem,
Któremu wiek spróchniałe poobrywał liście.

Z rozpaczą.

O gdyby lutni! jabym was poruszył śpiewem;
Gdyby historji księga! przeczytałbym kartę,
O Polsce, kiedy była kwitnąca, szczęśliwa,
A wstalibyście wszyscy jak groby otwarte
Rzucające mścicieli... Mnie zapał rozrywa,
Zdaje mi się, że piersi otworzył na poły,
Że powinniście widzieć czyste serce moje.
Nie przyszedłem was błąkać jak ciemne anioły,
Ani się waham myślą przecięty na dwoje,
Jestem cały i jeden... A gdy kraj ocalę,
Nie zasiądę na tronie, przy tronie, pod tronem,
Ja się w chwili ofiarnej jak kadzidło spalę!
Imienia nie zostawię po ciele spalonem,
Tylko echo... i miejsce jakieś wielkie! próżne!
A dzieje będą memu imieniowi dłużne
Pochwałą, a zapłacą tylko zapomnieniem.
Nic, nic po mnie! lecz imię ON, i tem imieniem
Piastunki na królewskie dzieci będą swarzyć,
Królątka zaczną płakać i nocami marzyć
O bezimiennym duchu, co zrywa korony.
Dla was życie, kraina wolna, dla was trony;
Ja wszystko skończę z chwilą ogromną odrodu.
Lecz dajcie mi się w ręce; zamiast trzymać berło,
Niechaj piastuję siłę olbrzymią narodu!
A koronę Jehowy przyozdobię perłą
Ludu zmartwychwstałego... Dajcie mi się w ręce!
Ani mię duma wstrzyma, ani sny zwierzęce.
Póki długiej wolności nie zaszczepię — wieki
Niechaj się sen do moich powiek nie przybliża.
Lękacie się? więc weźcie, przybijcie do krzyża,
Niech mam jako Regulus[1] obcięte powieki,

[1] Marcus Atilius Regulus, wódz rzymski, zamęczony okrutnie przez Kartagińczyków.

Niechaj wiecznie bezsenny, na kraj patrzę mrący.
Potem nieście przed sobą godło — krzyż cierpiący
Nie zgubi was... Przysięgam na ojcowskie cienie!
I na mękę Chrystusa! Przysięgam, że wiara
Mówi wam: wy jesteście krainy sumienie,
Zburzcie się — i z dusz waszych odrzućcie grzech cara.
I przysięgam wam jeszcze! że przysiągłem szczerze!
Jak chcę zbawienia duszy mojej! jak w nią wierzę!
Tak dajcie mi się w ręce...

PREZES.

O! głos mi zastyga,
Nie mogę mówić...

Siada i płaszczem twarz zakrywa.

PODCHORĄŻY.

Starcze! zapał cię prześciga?
Oto pierwsze zwycięstwo... pokonam! lub zginę!
Ha! carze, ty nam polską ukradłeś krainę?
Za to śmierć, bo wiedziałeś kradnąc, żeś wart śmierci!
Ha! carze, tyś ją zabił i rozdarł na ćwierci,
Potem kawały spadłe z gilotyny ścienic
Przybiłeś do trzech tronów, jak do trzech szubienic,
Gdzie na nie patrzą wzgardą królewscy zbrodniarze;
Carze! gdybyś dwa razy mógł umrzeć? O! carze,
Dwa razy ciebie przed sąd Boga zapozywam...

Słychać szmer w tłumie... podnoszą sztylety... wstają z ław.

PREZES, *zrzuca płaszcz z głowy — wstaje i robi znak umywania rąk, potem mówi zwolna i poważnie.*

Róbcie, jak chcecie. Lecz ja ręce z krwi umywam.

PODCHORĄŻY, *do spiskowych.*

A wy?...

Milczenie długie.

SZYLDWACH, *przy wejściu.*

Kto idzie? hasło?

Milczenie.

SPISKOWI.

Zginęliśmy! zdrada!

PODCHORĄŻY.

Ciszej...

Słychać odgłos padającego człowieka.

SZYLDWACH.

Nie wiedział hasła.

PIERWSZY SPISKOWY.

Trup po schodach spada.

PODCHORĄŻY.

Nie drżyj, prezesie! wszakże z krwi umyłeś dłonie?

Zbliża się z lampą do trupa.

Dajcie mi lampę... sztylet w zabitego łonie...
Na piersiach jakiś papier pomięty, rozdarty.
Tak... jest to zdanie sprawy ze szpiegowskiej warty.
To szpieg. Więc go zakopać tam — w kącie ciemnicy.

Dwóch ze spiskowych unoszą w kąt trupa, zapalają dwie latarnie i grób kopią.

PREZES.

Rozchodźmy się ze schadzki, drugiej nie naznaczam.

PODCHORĄŻY.

Starcze, umiesz korzystać z losu błyskawicy!
Z marnego przerażenia! Lecz ja nie rozpaczam,
Każdy z osobna cara osądzi zbrodniarza,
Rozłam myśli na głosów pojedyńcze wota,
A obaczymy, zapał, trwoga-li przeważa?

PREZES.

Niech tak będzie, przeważy staropolska cnota.
Czemże będziem głosować?

KSIĄDZ.

Radzi sługa boży,
Kto jest za śmiercią cara, rzuci na stół kulę,
Kto za uniewinnieniem, niechaj grosz położy.
Ten grosz znajdzie się zawsze w ubogich szkatule.

Rzuca pieniądz — za nim prezes pieniądz kładzie, potem spiskowi kolejno rzucają z brzękiem kule lub pieniądze.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Za prezesa przykładem niechaj grosz utracę.

INNY.

Nie mam grosza przy duszy, a więc kulę kładę,
Niech żyje wolność.

INNY.

A ja grosza nie zapłacę
Za cara życie.

INNY.

Może kupujemy zdradę.
Niech z grosiwa nasz prezes zda sprawę, czas przyjdzie.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH, *do ludzi kopiących grób.*
Wy, co tam grób kopiecie, chodźcie, rzecz tu idzie
O to, czy grosz czy kulę rzucić?

KOPIĄCY GRÓB.

. . . . . Wiemy! wiemy!
My dla głuchego człeka mogiłę kopiemy,
Lecz sami z łaski Boga nie głuszce.

PIERWSZY ZE SPISKOWYCH.

Grosz dali;
Widać, że się w grabarzy nie chcą pisać cechu,
Lękają się, by carom grobu nie kopali.
Obaczemyż, z którego wiatr powieje miechu
I pogra na organach?

Wszyscy przeszli koleją . . . Prezes liczy.

PREZES.

Świećcie mi pochodnią.
Dzięki ci, Boże, tylko pięć głosów za zbrodnią.

PODCHORĄŻY.

Więc car zginie.

PREZES.

Młodzieńcze, pięć kul tylko padło.
Stu pięćdziesięciu przeciw zbrodni głosowało.

PODCHORĄŻY.

Jakże mi nagle w oczach życie moje zbladło!
Na jedną kartę przyszłość postawiłem całą,
I nic. Olbrzymy spadli ze szczudeł — to karły!
Ludzie, wartoby przejrzeć wszystkich trumien wieka,
Czy w każdej leży człowiek przed wiekiem umarły?
Czy z której trumny nie wstał ten szkielet człowieka.

Do prezesa.

Starcze, gdy w twoje myśli zaglądam zgrzybiałe,
Widzę, żeś się ty w inne urodził stulecie,
Po co ta maską? ciebie nikt nie zna na świecie.

PREZES.

Wszak maski nie włożyłem na me włosy białe.

PODCHORĄŻY.

Wiecznie śpiewasz to samo! hymn starości piejesz;
Jako bakałarz szkolny w duszę dzieci siejesz
Naukę, aby wstali przed zbielałym włosem.
Pamiętaj, że są ludzie tknięci nieszczęść ciosem,

Ludzie z bijącem sercem i z duszą płomienną,
Których włosy zbielały w jedną noc bezsenną;
Więc ich uszanuj, wstań przed nimi, stare dziecię.

Do spiskowych.

A wam wszystkim śmiem długie przepowiedzieć życie,
Boście umieli wybrać gwiazdę-przewodnika;
Idźcie za srebrną głową w noc niewoli czarną,
We mnie wszystka nadzieja upada i znika;
Boście z tłumu wysiani jak największe ziarno,
A tak mali jesteście... idźcie! gardzę wami!
Kto nie śmiał się poświęcić, może zdradę knuje?
Więc na znak wzgardy ludziom okrytym maskami
Rzucam pod nogi życie moje — i daruję.

Zrywa maskę z twarzy.

SPISKOWI.

To Kordjan! Kordjan! Kordjan! nie znasz nas, Kordjanie,
Nie ma tu zdrajcy! nie ma! patrzaj w nasze twarze.
Wszyscy demaskują się. Kordjan rzuca wzrok dokoła, zamyśla się — i potem wznosząc głowę, mówi zwolna.

KORDJAN.

Pośród szlachetnych Kordjan zwycięzcą zostanie.
Wy oblicza, on myśli i serce pokaże.
Kordjan ma wartę w zamku tej nocy... słyszycie?
Kordjan ma wartę w zamku w nocy.

Zbliża się do stołu, na kawałku papieru pisze słów kilka i rzuca je spiskowym.

PIERWSZY SPISKOWY, *czyta.*

Narodowi
Zapisuję, co mogę... Krew moją i życie
I tron do rozporządzenia próżny.

KORDJAN, *opiera się o ołtarz i patrzy z obłąkaniem na milczących spiskowych, potem macha ręką i mówi.*

Precz spiskowi!
Rozchodzą się wszyscy w milczeniu... Kordjan stoi oparty o ołtarz, pogrążony w myślach. Dwaj grabarze zakopali ciało i zostawiwszy na mogile palące się latarnie, odchodzą. Prezes sądu sam zostaje i klęka u stopni ołtarza za stojącym Kordjanem.

PREZES.

Kordjanie!

KORDJAN, *obraca się i mówi z obłąkaniem coraz wzrastającem.*

Któż mię budzi? czy godzina biła?
Przychodzę do pamięci... latarnie — mogiła...

Jesteś jednym z grabarzy i żądasz zapłaty?
Ha! oto masz z Najświętszą Panną dwa dukaty,
Które mi dała matka, błogosławiąc syna.
Musisz mieć dzieci?... słuchaj, niech twoja rodzina
Westchnie za mną do Boga.

PREZES.

Och! ja nie mam dzieci!

KORDJAN.

Nie masz? a włos twój biały jako srebro świeci;
Tyś nic za twoje życie nie odpłacił Bogu.

PREZES.

Kordjanie! oto klęczę na ołtarza progu,
Lecz nie przed Bogiem, klęczę, Kordjanie, przed tobą.
Jam cię na śmierć poświęcał, teraz walczę z sobą,
Z sumieniem, jam sąd zmroził sumieniem...

KORDJAN.

Ha! stary!
Kładziesz zbrodnię za zbrodnię, klękłeś przed zbrodniarzem.
Chodź ze mną — zajrzym w księgi światu wykażem,
Że Polska cała żadnej niegodna ofiary,
Że ja będę zbrodniarzem...

PREZES.

Na Boga! Kordjanie!
Ty masz gorączkę. w oczach dziwne obłąkanie.

KORDJAN.

To nic, starcze... To włos mi siwieje i boli,
Włos każdy cierpi, czuję zgon każdego włosa;
To nic... Na grobie wsadzisz dwie różdżki topoli
I różę... Potem spadnie łez rzęsistych rosa,
To mi włosy ożyją. Masz pióro przy sobie?
Chciałbym spisać imiona płaczących nademną.
Ojciec w grobie — i matka w grobie — krewni w grobie,
Ona — jak w grobie. Więc nikt po mnie, wszyscy ze mną!
A szubienica będzie pomnikiem grobowym.

PREZES.

Kordjanie! oto pismo, któreś dał spiskowym,
Schowaj je, spal, bądź wolnym od przyrzeczeń słowa.

KORDJAN.

Raz, dwa, trzy, broń na ramię, warta pałacowa...
Czujność... Głupie wyrazy, stąpać jak nakażą?
Starcze, nudzisz mię! nudzisz nieruchomą twarzą,

Nie będę mógł zapomnieć, że starym nie będę.
Jeśli cię kiedy z kołem mych dzieci obsiędę.
Pluń mi na siwe włosy.

Zegar na wieży bije jedenastą.
To nieba wołanie.
Wybiega. — Prezes za nim wyciąga ręce.

PREZES.

Kordjanie, stój! na Boga zaklinam.. Kordjanie!
Wychodzi za nim.

SCENA V.

Sala tak nazwana koncertowa w zamku królewskim, oświecona lampą — w koło kolumny z marmuru, ściany zamalowane arabeskami — widać przez drzwi otwarte na przestrzał ciąg długi ciemnych pokojów, w końcu błyska słabe światło sypialnej komnaty cara. — Kordjan oparty na bagnecie karabinu. — Różne widma.

KORDJAN, *idąc naprzód z karabinem.*

Puszczajcie mię! puszczajcie! jam carów morderca;
Idę zabijać... ktoś mię za włos trzyma.

IMAGINACJA.

Słuchaj! ja mówię oczyma.

STRACH.

Słuchaj! mówię biciem serca.

KORDJAN.

Nikogo niema,
Ktoś gada...

IMAGINACJA.

Nie patrz na mnie, lecz patrzaj, gdzie ja palcem wskażę.

KORDJAN.

Palca twego nie widzę, lecz mój wzrok upada
Tam, gdzie wskazujesz palcem. Widzę jakieś twarze.
To arabeski, ścienne malowidła.

STRACH.

Przekonaj się! wpatrzaj się w ściany,
Ściana gadem się rusza... przebrzydła...
Każdy wąż złota ogniem nalany

Pierścieniami rozwija się z muru.
Kolumny potrząsają wężów zwitych grzywę;
Sfinksy straszliwe
Spełzły z marmuru;
Sfinksy płaczą jak dzieci — węże jak wiatr świszczą.
Nie nastąp na nie... patrzaj... wiją się i błyszczą.

IMAGINACJA.

Jak motyl płocha, powiewna,
Odleciała od ściany dziewica;
Może jakaś zaklęta królewna?
Królewna — lub czarnoksiężnica?
Przypomnij! widziałeś jej lica,
Przypomnij! do kogoś podobna,
Przypomnij!
Tamta była posępna i patrzała skromniej.
U tej szata gwiazdami ozdobna,
To gwiazdy prawdziwe — to światy,
Błyszczą na szafirze szaty...
Jest to pasterka z gwiazd sioła,
Kosz na głowie, w koszu kwiaty
I twarz anioła.

STRACH.

Lecz patrz na oczy! nieruchome oczy!
Gdzie się obrócisz, patrzą za tobą.

IMAGINACJA.

Czy czujesz woń jej warkoczy?

STRACH.

Rozgniotłeś węża pod sobą,
Pękła żmija.

KORDJAN.

Jezus Marja!!!
Przeciera oczy.
Sen zniknął... Naprzód! naprzód z bagnetem w pierś cara!
Wchodzi do następującej sali, zupełnie ciemnej. — Na lewo drzwi otwarte do gabinetu konferencyjnego. — Pokój ten w kształcie wyzłoconego jaja, zupełnie księżycem oświetlony. — W środku stoji trójnóg sztucznie ze złota urobiony, a na nim leży carska korona.

OBIE WŁADZE.

Stój...

KORDJAN.

Puśćcie! boska cięży na mnie kara!

OBIE WŁADZE.

Słuchaj! szum głuchy z milczeniem się bije,
Jak gdyby wicher wleciał w komnat szyje.
Niby szum suchego drzewa,
Niby ulewa
Grzmi o dachy pałacu... grzmi... a księżyc świeci!

KORDJAN, *patrząc do gabinetu konferencyjnego.*

Ta komnata srebrnego nalała się blasku,
Trójnóg złoty — korona leży na trójnogu,
Jest to korona carów dzisiaj — lecz o brzasku
Ta korona należeć będzie tylko — Bogu...
Idźmy! nie mogę oczu odpiąć od korony.

IMAGINACJA.

Patrz dłużej — krew z niej kapie, a pod nią schylony
Człowiek czarny jak smoła
Zajęty pracą...

STRACH.

Dwa rogi wytrysły mu z czoła,
Oczy jak żar — bez powiek...
Skąd on? i na co?

KORDJAN.

Skąd? i na co ten człowiek?

WIDMO.

Koronę nosił car,
Krew Piotrów, krew Iwana
Leje się z niej jak z czar;
Podłogę polską czyszczę,
Bo krwią carów zwalana;
Ale śladu nie zniszczę,
Chyba za drugi wiek!...

KORDJAN.

Jeśli nie zmyjesz wodą z polskich rzek,
Przyniosę krwi — podłogę całą
Wymyjemy, będzie białą
Jak twarz trupa.

Po chwili.

Jeszcze jedną komnatę przejść trzeba.

Wchodzi do sali tronowej.

Ciemno — i czarne okna; żadnej gwiazdy z nieba;
Tam wiedzie — droga nakształt ognistego słupa.
Lampa strzeże cesarza, oświeca mu łoże,
I leje światło na posadzki szkliste
Jak księżyc po wód jeziorze,
Chwyta łódź moję w kręgi ogniste...
Płynę zawrotem głowy... któż doda podniety?

IMAGINACJA.

Twój bagnet łysnął... płomienne bagnety
Zleciały się w powietrzu i z ostrzem się zbiegły...
Jak rybki, gdy w kryształe kruszynę spostrzegły...
Zleciały się i stal szczypią
I palą.
W powietrze uderzasz stalą,
Z powietrza jak iskry się sypią.
Czekaj, aż się ul cały płomyków wyroi.

STRACH.

Nie patrz tylko za siebie, bo tam u podwoi...

Kordjan obraca się.

IMAGINACJA.

Dwie z malakitu wazy, w nich dwa drzewa rosną
Zimą i wiosną...
Patrz liście z ludzkich uszu, z oczu ludzkich kwiaty
I zwykły nasionami języków się plemić,
Lecz cesarz rwie nasiona, by drzewa oniemić...
Więc jak nieme hajduki, przy wejściu komnaty
Patrzą kwiatem — liściem słyszą;
A wszystko z grobową ciszą
W grubiejący pień się wlewa.

KORDJAN.

Widzą! i słyszą drzewa...

STRACH.

Nie zaglądaj przez okna na ciemną ulicę!

Kordjan patrzy przez okno.

IMAGINACJA.

Z kościoła aż do zamku orszak zmarłych długi,
Niosą żółte gromnice,
Wiele trupów... jeden, drugi,
Setny, nie przeliczysz więcej...
Tysiąc tysięcy...
Berła — korony — szaty królewskie.
Z gromnic dymy niebieskie
Mglą trupom twarze kościane.
A trumien ile trupów — każdy niesie trumnę;
Rzucają pod zamku ścianę,
Budują wschodów kolumnę,
Wysoko jak stogi gumien...
Trumny się kruszą,
Lecz tyle trumien!
Wejść muszą.

KORDJAN.

Gdzie idą?

IMAGINACJA.

Tu.

KORDJAN.

Czy cara trumnami uduszą?

IMAGINACJA.

Ciszej! patrz, jakie straszydło,
Z ognistą twarzą, wyszło z sypialnej komnaty.
Nie słychać kroku jego, choć posadzek kraty
Rozstępują się — łamią pod nogą obrzydłą.

STRACH.

Czuć krew! wyszedł z tamtej komnaty...
Tam śpi cesarz w łożu białem.
Ten człowiek stamtąd wyszedł.

IMAGINACJA.

Widziałeś?

KORDJAN.

Widziałem!

STRACH.

Co on tam robił?

KORDJAN.

Co on tam robił?...

DJABEŁ.

Zdławiłem cara — i byłbym go dobił,
Lecz tak we śnie do ojca mojego podobny.

IMAGINACJA.

Słyszysz dzwonów jęk żałobny...
Po całem mieście i na wszystkie strony?

KORDJAN, *z przerażeniem.*

Słyszę — dzwony —

IMAGINACJA.

Błysk w szybach sali...
Po trumnach wszedł trup i stoi cichy w oknie,
Gromnicą szyby pali.
Wiatr zrywa mu płaszcz — a robak w każdem włóknie
Jak nić biała...
Gdzie oczu blask, tam świeci kość spróchniała.
To trupów kat... wykona, co uchwalą...
Patrz, w okno bije... rozbija...

KORDJAN.
Jezus! Marja!

IMAGINACJA.
Zniknął... trumny się walą
Jak grom.

STRACH.
Wracaj, tu czarta dom...

KORDJAN.
Pójdę mimo djabłów głosy,
Abym się we krwi ochłodził,
Tłum jakiś drogę zagrodził,
Przejść nie można... jak przez kłosy
Trzeba deptać... nie roztrącę.
Widma blade i milczące
Jak stooki strażnik pawi
Zaglądają w tamte drzwi,
Gdzie śpi cesarz... czy ciekawi,
Jaka barwa carskiej krwi?
Ha... mówcie... czy się nie budzi?
Pożarłbym teraz mowę stu tysiąca ludzi...
Jak w grobie głucho...
Słychać dzwon na jutrznię.
Ktoś mi przez ucho
Do mózgu sztylet wbija...
Jezus! Marja!
Wymawiając ostatnie słowo, pada bez czucia krzyżem na bagnecie u drzwi sypialnego cara pokoju.
Car wychodzi z sypialnego pokoju z lampą nocną w ręku.

CAR.
Słyszałem jaki stuk, i czułem we snów burzy,
Jakby mię ktoś za gardło cisnął szarfą.
Czułem, co niegdyś ojciec mój, lecz czułem dłużej.
Czyż zawsze sen ma być sumienia harfą,
Po której grają wichry strachu?
Idźmy!... Lecz nie znam dróg, zabłądzę w gmachu.
Chce iść i potyka się o leżącego Kordjana.
Cóż to? co to się znaczy? to trup jakiś leży...
Z bagnetem w ręku, mundur polskich ma żołnierzy,
Ze szkoły podchorążych. Pewnie stał na warcie?
I szedł do mnie zabijać?... padł na samym progu...
Wszak brat mi za nich ręczył? Kusicielu! czarcie!
Nie natrącaj mi na myśl brata — w każdym wrogu
Pokazujesz mi brata, nie, to być nie może...
O gdyby wstał ten człowiek i przemówił słowo!...
Ciepły... Wstań! mów! bo szpadą gardło ci otworzę.
Mów, czy to brat ci kazał?
Szpadą rani w rękę Kordjana, który oczy otwiera.

KORDJAN, *z obłąkaniem.*

Z pochodnią grobową
Trupy w oknie.

CAR.

Przemówił... Otwórz jeszcze usta,
Wymów: brat?... Słowo krótkie... brat?

KORDJAN.

Blady jak chusta
Car śpi... Jezus Marja!... świt zaczął pobielać...

CAR.

Nic z niego się nie dowiem, ni z ust, ani z twarzy...
O! to brat... brat mój pewnie...

Woła.

Straży! moja straży!

Wbiegają żołnierze. Car pokazuje na Kordjana.

Jeśli nie zwarjował ten żołnierz... rozstrzelać...

SCENA VI.

SZPITAL WARJATÓW.

Widać klatki, w których siedzą łańcuchami powiązani warjaci, niektórzy chodzą wolno. — Kordjan leży na łóżku w gorączce. Dozorca szpitalu. — Doktor obcy.

DOZORCA, *do doktora.*

Waćpan przyszedłeś zwiedzić szpital warjatów?

DOKTOR.

Oto jest pozwolenie.

Daje dukata.

DOZORCA.

Z podpisem dukatów...
Wolno panu gdzie zechcesz zazierać do klatek,
Tu warjaci, dalej sala warjatek...
Cały szpital rozłożę jak zegar po sztuce...
Pan zepewne w medycznej ćwiczysz się nauce?

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Jakież systemata pan doktor zachwala?

DOKTOR.

Macanie głów...

DOZORCA.

Rozumiem, to systemat Galla[1].

DOKTOR.

Tak.

DOZORCA.

Ciekawość mię bierze, czy się pan przekona
Z głów, która tutaj głowa najostrzej szalona?

DOKTOR.

O! ja odgadnę z twarzy sądem Lawatera[1].

Wskazując na Kordjana.

Ot — ta...

DOZORCA.

Wzrok Eskulapa nie dobrze przeziera,
Ten młodzieniec wszedł tutaj, bo cesarz osądził,
Że musi być szalony, lecz cesarz pobłądził,
Ten młody ma gorączkę, lecz rozsądek zdrowy,
Zdrowszy niż twój, doktorze, niż mój nawet.

DOKTOR.

Nawet?

DOZORCA.

Ha! obraziłem ciebie, paluszku Gallowy!
Chciałbyś mi ostrem słówkiem odpalić wet za wet.
I abyś dowiódł, że ten młody pstro ma w głowie,
Może dowiedziesz, żem ja szalony?

DOKTOR.

Któż to wie?...
Pozwól mi pan zapalić cygaro hawańskie...

DOZORCA.

Nie mam ognia.

Rzucając dukat.

Do krocset! dłoń mi piecze.

DOKTOR, *podejmuje dukat i zapala przy nim cygaro, potem go oddaje dozorcy.*

Dziękuję.

DOZORCA.

O! na Boga, to sztuki szatańskie!

---

[1] Franciszek Gall lekarz, twórca t. zw. frenologji, z wypukłości i wklęsłości czaszek wnioskującej o rodzajach uzdolnień. [2] Lawater Jan, twórca fizjonomistyki.

DOKTOR.

Tak ci się to wydało, rozumny, człowiecze,
Patrz, dukat zimny jak lód, pali, bo czerwony.

DOZORCA.

Czy mi się zdało? czym ja doprawdy szalony?
Niech mię Najświętsza Panna w swej opiece trzyma!

DOKTOR.

Nie patrz nigdy na dukat rozsądku oczyma,
Dukat jest elementem, żywiołem...

DOZORCA.

Prawdziwie!
Odejść muszę, gdy słucham, rozum sobie krzywię.

Dozorca odchodzi.

DOKTOR.

Wypędziłem go przecie, jutro oszaleje,
Myśląc o tym dukacie; teraz mam nadzieję,
Że sam na sam z szalonym pogadam młodzieńcem.

Siada na łóżku Kordjana.

KORDJAN.

Ktoś ty jest? brat mój? krewny?

DOKTOR.

Jestem zapaleńcem.

KORDJAN.

Musiałeś się więc chyba urodzić dziś rano?
Wszyscy dotąd mówili, żem jeden na świecie.

DOKTOR.

Ciebie znali, mnie jeszcze dotąd nie poznano,
Siedziałem sobie cicho zamknięty w sztylecie.

KORDJAN.

Daj mi pić... mam gorączkę... słów twych nie rozumiem.

DOKTOR.

Natęż uwagę... jasno tłómaczyć się umiem.
Ale natęż uwagę mocno! mocno! mocno!

KORDJAN.

Natężyłem..., Znam ciebie...

DOKTOR.

W godzinę północną
Wychodziłem z sypialnej cesarza komnaty.

KORDJAN.

Cóż tam robiłeś?

DOKTOR.

Ha! nic, polewałem kwiaty...

KORDJAN.

Co? owe drzewa pełne uszu, bez języków...

DOKTOR.

Tak, to klony... a inne rosną w liść krzyżyków
Jak gwoździki maltańskie; inne jako trzciny
Pełne kolan i puste, a cesarza syny
Na pustych kolankowych trzcinach grać się uczą.

KORDJAN.

Czemu twoje wyrazy tak brzęczą i huczą!
Gadaj ciszej... czy jakiej nie umiesz modlitwy?

DOKTOR.

Umiem jednę, co ludzi popycha do bitwy.

KORDJAN.

Nie chcę... za głośna będzie, a może bezbożna?

DOKTOR.

To modlitwa turecka, jak księżyc dwurożna:
Jednym rogiem zabija wroga, drugim siebie...

KORDJAN.

Wszak potrzeba bić wrogów?

DOKTOR.

Wiem o tej potrzebie...
Naród ginie, dla czego? aby wieszcz narodu
Miał treść do poematu, a wieszcz rym odlewał,
Aby nieliczną iskrę ognia, pośród lodu.
Z pieśni wygrzebał anioł i w niebie zaśpiewał.
Widzisz, jak cenię wieszczów gromowładne plemię.

KORDJAN.

Nie — to nie tak... inaczej... idź z nieba na ziemię.

DOKTOR.

Rozumiem. Hymn anioła w wieszcza się przelewa,
Zaśpiewał — naród ginie, bo poeta śpiewa.

KORDJAN.

Głupiś! Mów co ze starych testamentów księgi.

DOKTOR.

Faraon, kiedy stanął na szczycie potęgi,
Śniło mu się, że siedem wypasionych wołów
Siedem chudych pożarło.

KORDJAN.

Nie! to nie tak było...

DOKTOR.

Ale tak jest, zapytaj potomka Mongołów...

KORDJAN.

Mów o czem innem, pismo święte mię zabiło.
Czy nie jesteś botanik?...

DOKTOR.

Żądam tajemnicy,
A zwierzę się, żem wcale nowe odkrył ziele:
Rośnie na mojem oknie, w rycerskiej przyłbicy,
Posiane w stu miast dawnych ostygłym popiele.
Wkrótce, jak się spodziewam, wyda pączek liczny,
Jak myśli miljonów... a potem kwiat śliczny,
Czerwony jak krew ludzi, a potem nasienie
W strąkach wielkich zawarte, które pękną z trzaskiem
Jak miljony harmat... Wpadasz w zachwycenie?
Oczy twe poetycznym zapłonęły blaskiem.

KORDJAN.

Czy ta roślina kwitnie? plemi się?

DOKTOR.

Już wschodzi.

KORDJAN.

Wschodzi dopiero?

DOKTOR.

Tak jest, że mróz jej szkodzi,
Więc ją do czasu garnkiem przykryłem kuchennym.

KORDJAN.

Dręczysz mię, nudzisz, łamiesz, gryziesz, jestem sennym.
Gadaj mi nie o kwiatach.

DOKTOR.

Trzy są elementa,
Które składają rozum, trzy wielkie myślniki:
Przez nie wytłómaczona jasno Trójca święta.
Myślnik jedność urodził, wielości liczniki,

Z nieskończoności starszej określność wypływa;
A związek między nimi, myśl, co porównywa,
Jest trzecim elementem, z trzech Trójca się składa;
Bez wyobrażeń liczby wnet jedność upada;
Bez określności bytu nieskończoność niknie;
Więc jedna równa drugiej jak Ojciec Synowi,
Względność ich dała życie świętemu Duchowi,
A wszystkie trzy idee są Trójcą — rozumem.

KORDJAN.

Napełniłeś mi uszy oceanu szumem;
Mam gorączkę... Człowieku, co prawisz u kata?

DOKTOR.

Wyleczę ciebie... Teraz o stworzeniu świata,
Czy o stworzeniu ludów... Świat przed ludźmi ginie;
Ziemia to orzech w chmurnej zawarty łupinie.
Bóg przez sześć dni wiekowych stwarzał ziemskie ludy.
W pierwszym dniu stworzył państwo modlące się Judy,
To była ziemia, na niej wyrosły narody.
W drugim dniu porozlewał wschodnich ludów wody;
W trzecim, jak drzewa, greckie wyrosły plemiona;
W czwartym dniu zaświeciło z gór Sokrata słońce;
W piątym wzleciały orłów rzymiańskich znamiona,
To były ptaki... a na dnia piątego końce
Padła noc wieków średnich, długa, zachmurzona,
W szóstym człowieka zlepił Bóg... Napoleona.
Dziś dzień siódmy, Bóg rękę na rękę założył,
Odpoczywa po pracy, nikogo nie stworzył.

KORDJAN.

Łżesz, podły! Każdy człowiek, który się poświęca
Za wolność — jest człowiekiem, nowym Boga tworem.

DOKTOR.

Cha! cha! wolność garncarskie koło dziś pokręca,
Dobrze mówisz, to koło nowym idzie torem,
Wyda gliniany garnek.

KORDJAN.

Wyda wielkich ludzi!...

DOKTOR.

Widzisz, jak ci się płomień gorączkowy studzi,
Gadasz wcale do rzeczy...

KORDJAN.

Słuchaj, powiedz szczerze,
Czy nie widziałeś nigdy człowieka-anioła?
Co swe cierpienia ludom przynosi w ofierze
I gromom spadającym wystawia cel czoła,

I śmierć za Zbawiciela ponosi przykładem,
Za lud cierpiąc...

DOKTOR.

Ten człowiek szedł tu moim śladem.
Zawołam go.

Woła dwóch warjatów, jeden z nich trzyma rozkrzyżowane ręce, drugi jednę rękę podniesioną ma do góry.

Dwóch widzisz, za lud cierpią oba;
A jak cierpią, powiedzą, abyś sam ocenił...

Do warjata z rozkrzyżowanemi rękoma.

Bracie! powiedz mi, coś ty za wielka osoba?

PIERWSZY WARJAT.

Jam nie osoba, jam się dawno w krzyż zamienił.
Ja byłem krzyżem w Chrystusa męce,
Do mnie zmarłego przybili;
A jam go zamiast ćwieków unosił za ręce,
Jak małe dziecię, gdy kwili.
Jestem krzyżem, gdy papież daje krzyża drzewo,
Nie wierzcie! ja mam nogi, rękę prawą, lewą,
Nic ze mnie nie ubyło, niech kto części liczy...

Smutnie mówi, odchodząc.

Boże! odwróć odemnie ten kielich goryczy.

DOKTOR, *do Kordjana.*

Widzisz, on się poświęcił za lud.

KORDJAN.

Zwarjował!...

DOKTOR, *do warjata z podniesioną ręką.*

A ty, czemuś tak rękę w niebo wygórował?...

DRUGI WARJAT.

Ciszej mów! nieba sufit lazurowy
Trzymając na tej dłoni, zasłaniam świat cały.
Niebo, słońce, księżyc biały.
Chcą upaść ludziom na głowy;
Lecz ja stoję pod nieba nachylonym stropem,
Znużony, tęskny, bezsenny.
Módlcie się do mnie, jam zbawca codzienny,
Zasłaniam ludy przed nieba potopem...
Śpijcie, ludzie! dobrej nocy!

Odchodzi.

DOKTOR.

A cóż? to wielki człowiek! za lud się poświęcił!

KORDJAN.

To warjat...

DOKTOR.

Bluźnierstwa rzucasz z ustnej procy!

KORDJAN.

To warjaty oba! i tyś sam mózg skręcił.

DOKTOR.

A cóż wiesz, że nie jesteś jak ci obłąkani?
Ty chciałeś zabić widmo, poświęcić się za nie.
O! złota rybko w kryształowej bani,
Tłucz się o twarde brzegi niewidzianych granic;
Mały kryształ powietrza, w którym pluszczesz skrzelą,
Jest wszystkiem, a świat cały nicości topielą.

KORDJAN.

Myślę.

DOKTOR.

Więc świat jest myślą twoją.

KORDJAN.

Cierpię.

DOKTOR.

Nie myśl.

KORDJAN.

Nie mogę...

DOKTOR.

Możesz, sposób niemyślenia przemyśl,
Oszalej, będziesz świętym w Stambule.

KORDJAN.

Szatanie!
Przyszedłeś tu zabijać duszy mojej duszę;
Ostatni skarb wydzierasz, własne przekonanie;
Ostatni promień gasisz.

DOKTOR.

Glinę boską kruszę...

KORDJAN.

Niechaj Bóg litościwy wyrwie z twej paszczęki...

Wielki książę Konstanty wpada z żołnierzami i wskazuję na Kordjana.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wziąć go, prowadzić zaraz na śmierć i na męki!

KORDJAN.

To głos ludzki, o! Boże! raczyłeś mię przecie
Choć śmiercią wyswobodzić od tego człowieka...
Pokazuje na miejsce, z którego doktor zniknął.
Gdzież on! gdzież on?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Skoro go w mundur ubierzecie...
Prowadzić na Plac Saski...
Wychodzi.

KORDJAN.

Gdzież on?

ŻOŁNIERZ.

Książę czeka.

SCENA VII.

PLAC SASKI.

Wojsko polskie jeszcze nieustawione... W jednej stronie placu widać grono jenerałów, pośród nich car, wielki książę Konstanty niecierpliwy przechadza się. Zdala na około placu lud warszawski.

CHÓR.

Tysiące żołnierzy, bagnetów tysiące,
Obwisłe sztandary, bagnety nie drżące,
Cicho jak w ostatni sąd.

WIELKI KSIĄŻĘ, *komenderując.*

Do frontu! równać front!...

CHÓR.

W jeden rząd długi, prosty piechota się zwarła.
Gdybyś o cal z szeregu wykazał pierś cara,
A z drugiej strony szyku miał Tela Szwajcara;
Strzała by się o każdą pierś polską otarła,
I nie raziwszy żadnej, zbiła jabłko carskie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Grać.

CHÓR.

I zagrzmiały muzyki janczarskie,
Ucichły znowu... dają głos carowi.

CAR, *do żołnierzy.*

Zdrowiście, dzieci?

GŁOS ŻOŁNIERZY.

Z łaski Boga zdrowi.

CHÓR.

Co powiedzieli gwarem, Bóg tylko zrozumie,
Jak modlitwę rozbitą w morza głuchym szumie.

Sześciu żołnierzy przyprowadzają bladego Kordjana. Stawią go przed carem. Wielki książę przybiega z wściekłością.

WIELKI KSIĄŻĘ, *do Kordjana, pieniąc się.*

Ha! psie polski! przyszedłeś — czemuś taki blady?
Przewidziałeś, co czeka? Kacie! roskolniku[1].
Ty nosisz szlify? precz! precz! precz! Rozciskam gady.
Rzucę cię pod kopyta trójrzędnego szyku,
Albo tu zwalę w piasek... i moją ostrogą
Napiszę *wor*[2] na czole. Car ciebie darował
Zemście mojej. Car ciebie sam w grobie pochował!
Z książęcej dłoni djabły wydobyć nie mogą!

CAR, *na stronie.*

Myśli, że mię oszuka?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dać tu cztery konie.
Ha! ty psie masz gorączkę, ale ciało zdrowe?
Każdy z członków zostawisz na końskim ogonie,
A koń mój najsilniejszy zerwie z karku głowę.
Milczysz! Ha, ja się wścieknę.. ten pies ciągle milczy.

Uderza kułakiem w pierś Kordjana.

Słuchaj! do twego ciała głód uczułem wilczy,
Kąsałbym.

Zgrzyta zębami.

Cha! cha! carze, lubisz konne sztuki?
Pokażę ci ogromny skok. Znieść karabiny.
Ustawić w piramidy, poszczepiać za kruki
Ostrzem do góry — związać jak snopy, jak trzciny.

Żołnierze ustawili piramidę z karabinów.

Teraz psie, siadaj na koń i leć z nim do djabła.
Ty milczysz — co? na widok dusza ci osłabła?
Myślisz, że się zlituję. Wszak poświęcam konia,
Konia poświęcam, słyszysz? a ciebie? No! w drogę!
No! ruszaj! ruszaj! ruszaj! czemuż trąbą słonia
Wziąć ciebie i na kolce zarzucić nie mogę?
Wrzuciłbym.

[1] Roskolnik odszczepieniec od prawosławnej cerkwi. [2] wor, złodziej po rosyjsku.

Ostygając.

No, posłuchaj, Lachu, wstydem płonę.
Mówiłem o Polakach, że chłopy szalone,
Gotowi z królewskiego zamku w Wisłę skoczyć.

Z wściekłością.

Skacz! bo każę cię w lochy Karmelitów wtłoczyć!
Głodem zamorzę! wsadzę pomiędzy szkielety;

Proszącym tonem.

No, Lachu! jeśli żywy przeskoczysz bagnety,
To daruję ci życie.

KORDJAN.

Dzięki, książę, dzięki,
Żeś mi powiedział wszystko; gdyby dar żywota
Można zyskać ruszeniem palca u tej ręki,
To nie ruszyłbym palcem.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Boi się hołota!

CAR.

Jeśli oto ci chodzi, ręczę, że choć zdrowy
Jako ptaszek przeleciesz nad las bagnetowy,
To kule cię nie miną. Książę! on się boi!

WIELKI KSIĄŻĘ.

Widzisz! więc car zaręczył — zginiesz — martwy stoi!
Żołnierze! kto z was skoczy dam krzyż świętej Anny,
Świętego Stanisława... jeśli wyjdzie ranny
Tysiąc złotych pensji — tysiąc — dwa tysiące,
Cztery tysiące — o wy psy! nie psy — zające!
Polaki.

KORDJAN.

Niech mi konia podadzą.

Siada na konia i odjeżdża w koniec placu.

WIELKI KSIĄŻĘ, *woła Korutę.*

Kuruta!
O gdyby on przeskoczył!

KURUTA.

Ten człowiek wart knuta.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niechaj przeskoczy! słuchaj! ja chcę, niech przeskoczy!
Car ujrzy, jak mój żołnierz nad Moskale lotny.
Patrz! jedzie, zatrzymał się — tam obraca oczy,
Do ludu, tam lud stoi cichy, czarny, błotny.

Marszczy się jak tygrys.

---

[1] Kuruta, generał rosyjski.

Nie lubię tego ludu — patrz, chustkami wieje,
Kapelusze podrzuca. Kuruta! masz nadzieję?

KURUTA.

Jak wasza książęca Mość.

KSIĄŻĘ, *gwałtownie.*

Patrz! patrz! piasku chmura!
Nie widzę, spinaj konia! Ha! przeszkoczył.

WOJSKO, *krzyczy.*

Urra!

LUD, *krzyczy zdala.*

Żyje!

Żołnierze przyprowadzają chwiejącego się Kordjana, książę bierze go w swoje objęcia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Cóż ci, mój druhu? No! no! chwat młodzieniec!
Nieprawda, koń mój żartki? skacze jak szaleniec?
Musiałeś nie czuć skoku? Wasza Mość Cesarska
Widziałeś. Odprowadzić konia, niech wyparska.

Do Kordjana.

Ręczę za twoje życie — idź! tyś chory? senny?
Wziąć go — odnieść do łóżka.

Odprowadzają Kordjana.

CAR, *do jenerałów tak, że książę nie słyszy.*

Złożyć sąd wojenny,
Godził na moje życie, rozstrzelać.

WIELKI KSIĄŻĘ, *wesoło.*

Trębacze!
Niech grają Dombrowskiego, książę sam poskacze.

Parada na Placu Saskim.

SCENA VIII.

Izba klasztorna, obrócona na więzienie, okno kratowe, stół i łóżko drewniane. Kordjan skazany na śmierć gada z księdzem zakonnym. Grzegorz, stary sługa, chodzi po pokoju ze łzami w oczach.

GRZEGORZ, *do siebie.*

Ten ksiądz już od godziny dręczy mego pana,
Ot! dajcie mu przed śmiercią pokój! dajcie pokój!
Jaki tam Bóg powiedział: dziecko w więzy okuj?
Nie ma Boga, przystaję do cechu szatana.

KORDJAN.

Grzegorzu, módl się za mnie.

Grzegorz, jak skarcone dziecko pada na kolana i modli się. — Kordjan klęka u stóp księdza; ten błogosławi i mówi, podnosząc Kordjana.

KSIĄDZ.

Synu! powstań z prochu
I leć do Boga, ale przebacz światu.
Bóg cię wyrywa z lwiej paszczy i z lochu,
W którymbyś uwiądł nakształt mdłego kwiatu.
Teraz, mój synu, przed wieczności drogą
Nie masz co komu przekazać na ziemi?

KORDJAN.

Nic.

KSIĄDZ.

I nikogo na ziemi?

KORDJAN.

Nikogo.

KSIĄDZ.

Nie byliż ludzie przyjaciółmi twymi?

KORDJAN.

Nikt.

KSIĄDZ.

Tyś mi tego nie powiedział grzechu!
Zlituj się nad nim, Boże! Wielki Boże!

KORDJAN.

Nim zimne ciało do grobowca złożę,
Jakiś głos tęskny słyszę w duszy echu:
Pamiątek woła — i śladu na świecie.

KSIĄDZ.

I to grzech, synu. Wy młodzieńcy chcecie,
Schodząc ze świata, ślad wieczny zostawić,
Myślą wypalić, lub mieczem wykrwawić;
Pocóż ta żądza? Ani te opady
Liści uwiędłych chciwa rola zbierze,
Ani pomogą duszy, jak pacierze
W ustach przechodnia. I pocóż te ślady?
Jam cię zasępił — przebacz! bo ja może
Jestem za stary, a ty dziecię wiosen.
Więc nie rozumiem. Słuchaj! przy klasztorze
Jest ciemny ogród szpalerami sosen

Różnie pocięty — dzisiaj w tym ogrodzie
Zasadzę różę miesięczną i twojem
Nazwę imieniem, by zakwitła w chłodzie
Posępna, blada.

KORDJAN.

Niech ci pociech zdrojem
Bóg wynagrodzi — i nazwiesz tę różę
Mojem imieniem? i może nie zwiędnie!

Ksiądz odchodzi.

Spłyńcie się teraz w jednej myślnej chmurze
Wszystkie sny marzeń latające błędnie!
I bądźcie ze mną! Niebo! ty mi zapal
Słońce i księżyc i gwiazdy bo konam!
Bo tam przed ludźmi, choćby wbity na pal,
Zamknę cierpienia i bole pokonam!
Lecz tu łez moich duma nie zatrzyma.
O! gdybym wiedział, że tak bez powrotu
Ziemię żegnałem; przed chwilą odlotu
Patrzałbym na świat innymi oczyma
Dłużej! ciekawiej, a może ze łzami.
Bo tam pomiędzy ogrodu kwiatami
Jest pewnie piękny kwiat — a ja go nie znam!
Może dźwięk jaki nowy struna daje —
A jam nie słyszał. Czegoś mi nie staje!
Ludzi znać nie chcę, lecz niech się obeznam
Z ziemią, piastunką ludzi. O! ty ziemio!
Byłażeś dla mnie piastunką troskliwą?

Po chwili ze wzgardą.

Niech się rojami podli ludzie plemią,
I niechaj plwają na matkę nieżywą,
Nie będę z nimi! Niechaj z ludzkich stadeł,
Rodzą się ludziom przeciwne istoty,
I świat nicują na złą stronę cnoty,
Aż świat, jak obraz z przewrotnych zwierciadeł,
Wróci się w łono Boga, niepodobny
Do tworu Boga. Niechaj tłum ów drobny,
Jak mrówki drobny, ludem siebie wyzna!
Nie będę z nimi! Niech słowo ojczyzna
Zmaleje dźwiękiem do trzech liter cara;
Niechaj w to słowo wsiąknie miłość, wiara,
I cały język ludu w te litery,
Nie będę z nimi! Niech szubienic drzewa
W ogrodach miejskich rosną jak szpalery,
Niech się w ogrody takie tłum wylewa,
Śmiechom przyjazny, a łzom nienawistny;
Niech niańki w ogród szubienic bezlistny
Prowadzą dziatki, by tam dla zabawy
Grzebały piasek krwią męczeńską rdzawy,

Nie będę z nimi! — O zmarli Polacy!
Ja idę do was! Jam jest ów najemny,
Któremu Chrystus nie odmówił płacy,
Chociaż ostatni przyszedł sadzić grono;
A tą zapłatą jest grób cichy, ciemny,
Tak wam płacono.

GRZEGORZ.

Panie! nie mogę skończyć pacierza, co każe
Przebaczyć wrogom. Bóg ich na ziemi ukarze.
Oj paniczu mój drogi, nacóż tobie było
Ten pistolet przykładać do białego czoła?
Pamiętam, w lesie oko miesięczne świeciło,
Szedłem, a ciągle za mną ktoś: Grzegorzu! woła.
Szedłem po lesie — nagle widzę me dzieciątko
Na wrzosach, krew czerwona płynie jak rubiny.

KORDJAN.

Nie wspominaj mi o tem.

GRZEGORZ.

Szatańską pieczątką
Pan naznaczyłeś czoło, giniesz z owej winy.
Widzi pan. Człowiek siebie nad brata miłuje,
Gdy Bóg karał Kaima, a on zabił brata;
Więc każdy, co się kulą zabija lub truje...

Zatrzymuje się i z rozpaczą.

Przewidziałem nieszczęście! lecz śmierć z ręki kata!
O! o! o! Panie drogi! — pociesz mię, mów do mnie!
Pisarzowi napisać każę twoje słowa,
W życiu je stary Grzegorz na piersi przechowa,
Każe je dzieciom w grobie położyć — koło mnie,
Blisko, bo słowa dziecka, to staremu kwiaty.

KORDJAN.

Czy ty masz dzieci?

GRZEGORZ.

Och! mam syna.

KORDJAN.

Czy żonaty?

Grzegorz daje znak głową, że tak.

Więc jeśli się synowi twemu syn narodzi,
To go ochrzcij imieniem mojem Kordjan.

GRZEGORZ.

Panie,
Będę płakał, wołając na wnuczka: Kordjanie!

KORDJAN.

O! nie, tak nie nazywaj — imię mu zaszkodzi.
Nie nazywaj Kordjanem.

GRZEGORZ.

Paniczu mój drogi,
Nie wydzieraj, coś dawał jam się już oswoił
Z tą myślą, że mój malec choć nędzasz, ubogi,
Ja go będę nazywał Kordjan — jeśli zbroił,
Ja go nie będę karał. Niech rośnie jak kwiatek
Kordjanek mały! mój Kordjanek! mój bławatek.

Śmieje się ze łzami w oczach.

O! panie! panie! czemuż ty go nie zobaczysz!

KORDJAN.

Boże! dziecka za imię ukarać nie raczysz,
Ani mu stworzysz życie, równe memu życiu?
To dziwne, że jak człowiek tonący w rozbiciu
Chwytam się każdej słomki — szukam przeżyć siebie.

Zamyślony.

Więc gdy mi wezmą życie, a starzec pogrzebie!
Kiedyś!... za błędnem dzieckiem po łąkach, lub w borze,
Głos matki wołać będzie... Kordjan! Kordjan! długo...
Dziecię śmiechem odpowie, nad kwiecistą strugą...
A pośród ciemnych murów, gdzieś w cichym klasztorze
Róża moja zakwitnie... Ksiądz w czarnym habicie
Pacierze nad nią zmówi. . Więc róża — i dziecię.

Oficer wchodzi z księdzem zapłakanym.

KSIĄDZ.

Synu!...

KORDJAN.

Na jaką idę śmierć...

OFICER

Na rozstrzelanie..

Grzegorz pada na kolana. Kordjan bierze w obie ręce jego siwą głowę i całując mówi przerywanym głosem.

KORDJAN.

Bądź zdrów, mój wierny — ojcze...

Odchodzi.

GRZEGORZ, *wyciągając ręce.*

Panie! panie! panie!

Pada na ziemię... Potem zrywa się i wybiega spiesznie za Kordjanem.

SCENA IX.

Pokój w zamku królewskim

CAR, *sam.*

Nudno! Szkoda, żem puścił tego szambelana.
Co jak mops na dwu łapach przedemną tańcował.
Skacz! skacz! skacz! radbym dostać Machmuda sułtana [1]
Aby skakał przedemną... Będę go częstował
Dymami siarki, prochu, aż w dymie uduszę...

Patrzy na ściany.

Cóż to? na ścianach gmachu pył spostrzegam brudny?
Tam w końcu pająk sidła zastawuje musze.
Pył... pył... Ten pył mię bawi, świadczy gmach odludny
To chwast na grobie wroga... Polska już ostygła,
Umarła i na wieki... Jak magnesu igła
Na północ obrócona w Sybir patrzy mroźny.
Zdala trup tego kraju zdawał mi się groźny...
Marzące o podbojach myśli nieraz zwichnął ..
Przyjechałem... trup zadrżał, nawet się uśmiechnął...
Łez nie widziałem... domy kobiercami kwietne?
Dalej więc... Europę, jak jabłko rozetnę,
A nóż zatruty obie zatruje połowy.
Króle! dajcie mi pokłon koronami z głowy!...
Ha! ha! albom ja wielki? albo świat ten mały?
Albo głupi świat cały? albom ja rozumny?...
Część ogromnego kraju szach mi oddał dumny;
Garść tej ziemi kazałem spłomienić w kryształy,
I kryształowe łoże szach dostał i wdzięczny.
O wieki synu słońca! o bracie miesięczny!
Czy ci nie zimno w łożu kryształowem cara?
Na zachodzie stugłowa wyrasta poczwara,
Lecz wkrótce w petersburgskiej każę ulać hucie
Łoże drugie z kryształu — dla ludów zachodu;
Miarę na długość wezmę z moskiewskiego rodu,
A który naród dłuższy nad łoża okucie,
Kryształu nie rozciągnę, lud skrócę o głowę.
Ludy! poślę wam! poślę łoże kryształowe.
Któż to?... Brat mój!

Książę Konstanty wbiega zdyszany.

Jak się masz? Kostusiu! co słychać?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza cesarska Mość... niech...

---

[1] Machmud II, z którym Mikołaj I prowadził wojnę, zakończoną traktatem pokojowym w Adrjanopolu.

CAR.

Nie możesz oddychać?
Widać, żeś się tu spieszył? czemuż ci tak spieszno?
Zapewno mi przynosisz jąka wieść pocieszną?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ha, Wasza cesarska Mość... kazałeś...

CAR.

Mów śmiało...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Rozstrzelać... Ha!

CAR.

Tak mi się, bracie, podobało..

WIELKI KSIĄŻĘ.

Niech Wasza cesarska Mość odwoła! niech raczy
Odwołać wyrok śmierci.

CAR.

Książę, co to znaczy?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Proszę Waszej cesarskiej Mości, niech ten człowiek
Żyje... Nie traćmy czasu — chwili — mgnienia powiek,
Oto ułaskawienie, pióro...

CAR.

Pióro moje
Spisałem na wyroku śmierci przy nim stoję.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Wasza cesarska Mość niech stawi żyda na papierze,
Byle podpis... do krocset..

CAR.

Bracie, mówmy szczerze.
Chcesz ocalić Kordjana?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Chcę! chcę! chcę!

CAR.

I właśnie
Dla tego zginie.

WIELKI KSIĄŻĘ, *z zadziwieniem.*

Co? co?

CAR.

Bracie, skończmy waśnie,
Spać mi się chce...

Książę chodzi po sali, widać w nim burzę wściekłości... Bierze z kominka porcelanę i rozciska w dłoni...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Dla czegóż Wasza Mość cesarska,
Nie chce tej małej łaski? — Jam ci tron darował!...

CAR.

Bracie, pohamuj wściekłość, co nozdrzami parska.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Przebacz Wasza cesarska Mość będę hamował,
Lecz proszę, niech ten człowiek żyje.

CAR.

Tyś morderca,
Jeśli on nie morderca... Odejdź, bracie miły.
Nie chce mi się zaglądać w brudy twego serca;
Wolałbym dwumiesięczne rozrzucać mogiły.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? nie rozumiem...

CAR.

No! no! idź! i bądź spokojny.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Bracie! bracie, z tygrysem nie zaczynaj wojny!
Jam ci tron dał, na którym siedzisz, ja przy tronie
Leżę jak lew bronzowy, jeśli ja zawyję?
Jeśli usłyszą ludy, że lew ryczy? żyje?
Ludy przypomną, żem ja winien żyć w koronie,
A ty w stajni, w kazernie musztrować szeregi...

CAR.

Książę! widzę, że winą przelałeś nad brzegi.
Co? tyś mi tron darował? było go wziąć, bracie,
Boś ty się w purpurowej urodził komnacie,
Sto dział grzmiało nad twoją złocistą kołyską,
I dano ci greckiego cesarza nazwisko;
Lecz potem, matka twoja, żona Pawła cara,
Zbrzydziła cię, wyrodku! tyś miał nos Tatara.
Zamiast ssać łono, tyś je pokąsał jak szczenię...
Wyrosłeś. Przyszła matka i rzekła: tyś głupi,
A tobie powiedziało to samo sumienie.
Rzekła ci: daj tron bratu! rzekłeś: niech brat kupi...
Więc kupiono u ciebie zrzeczenie się tronu.
Było go wziąć... a coby ci zostało z plonu?
Czy śmiałbyś w oczy matki spojrzeć okiem cara?
A uśmiech jej? a słowo: tyś głupi? a czara
Nalana zmąszczonymi rękami twej matki?

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! carze! truciznę schowaj na ostatki.
Znałem was dobrze, katów bezczestnych i dumnych,
Was matka nauczyła zabijać słowami.
Dwóch było mądrych, trzeci był głupi; do rozumnych
Ktoś rzekł: waszego ojca udusim szarfami;
Odpowiedzieli: dobrze. Poszli... udusili...
Pomnisz, Beningsen przyszedł i rzekł: Pawła cara
Udusiliśmy... rzekli: amen... Więc zabili,
Sami zabili ojca — a na szarfy kara...
Ha! szarfy wyrzucili jak zużyte sprzęty
Za granice moskiewskie, na kraje sąsiadów;
Darowali Europie gniazdo żółtych gadów.
A do lochu rzucili zewłok ojca święty,
Zaledwo ksiądz odszeptał jeden pacierz prędki.
Nie wynieśliście trupa na tron złotolity,
Bo z pod nogi zbójców wyszedł zmięty, zbity,
Podobny do tygrysa z błękitnymi cętki.
Lecz naród krzyczał: syny! wyście nam ukradli
Komedją pogrzebu, łzy wasze książęce,
I widok miły królów, co tak nisko spadli...
Wynieście ojca ciało! całujcie mu ręce!
Bo my chcemy obaczyć, jakie to są cary,
Których można zabijać bez sądu i kary?...
Pamiętasz! jak zduszony kadzideł wyziewy
Całowałeś tę rękę i całun żałobny...
A potem myłeś usta całą wodą Newy.
O! jak ty jesteś, bracie, do ojca podobny,
Patrzeć nie mogę! zmyj twarz! zmyj twarz, podobieństwo..
Bo ja patrzeć nie mogę... Bo rzucę przekleństwo,
Które aż Bóg usłyszy...

CAR.

To królewska zbrodnia.

WIELKI KSIĄŻĘ.

A wszakże ci sybirscy, których karzesz co dnia,
Mogą krzyczeć z kibitek: Carze! z nami razem!
Jedź z nami! bo zabiłeś ojca: niechaj katy
Pocałują cię w czoło czerwonym żelazem...
Lecz ty lud trzymasz głupi, bez żadnej oświaty.
Kilka kłosów z gwardyjskiej wyrosło równiny,
Więc na Turków!... Michale, wiedź ich... on nie umie...
Wiesz, czego chcę po tobie? — Michał nie rozumie.
Głupcze, krzyknąłeś, podsadź pod szeregi miny
I wysadź na powietrze!... Brat Michał dwa palce
Do czoła... pokłon niemy... i odszedł... a w miesiąc
Pod gwardją zatopione saletry padalce
Wybuchnęły jak piorun... aż grunt musiał przesiąc

Krwią ruską... Car się uśmiał... i rzekł, to pomyłka!...
A wiesz, carze? że za to mało knuty! zsyłka
Katorgi nawet mało!...

CAR.

Bracie, twego serca
Powstydziłby się może najęty morderca.
Przypomnę ci zdarzenie...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Co? jakie?

CAR.

Nie skłamię.
Znałeś?

Mówi kilka słów do ucha księciu.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! milcz! milcz! milcz!

CAR.

Nie! aż cię połamię
Słowami knutowymi... aż czoło wypiekę
Do mózgu myśli twoich.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Carze! ja się wściekę!
Milcz!

CAR.

Milczeć?... Wszak nie jestem sumieniem książęcia,
Ani pochlebcą płatnym...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Na wszystkie zaklęcia!...
Milcz!

CAR.

Gdzie się owa piękna Angielka podziała?
Lat szesnaście, dziecinna, płocha, jak śnieg biała,
Z błękitnymi oczyma, na balach szczęśliwa,
Napół smutna, wesoła mdlejąca i żywa;
Tak nieświadoma uczuć i światowej burzy,
Że mogłaby się kochać sercem w białej róży,
I bronić się kotarą zakrytego łoża
Przed róż kwitnących wzrokiem...

Książę siada i trzyma oczy wlepione w ściany.

Na nią ręka boża
Wysypała brylanty wszystkie i gwiazd ognie...
Lekki twór kryształowy złamie się, nie pognie,
Tak właśnie ona...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Ona... widzę ją...

CAR.

W dzień pewny
Przed dom Angielki dworska zajeżdża kareta;
Zapraszają lokaje na bal do królewnej.
W lekkich szatach niemyślna jak motyl kobieta,
Przyjeżdża, wiodą w zamek — w nieznane komnaty.
Pyta, gdzie bal? gdzie światła? gdzie muzyka? kwiaty?
Wszędzie cicho... prowadzą... wiesz, gdzie wprowadzona?
Nie starłeś jeszcze z czoła śliny, którą plwała.
Mściwy — wołasz... żołnierzy wściekłych rota cała
Wali się...

WIELKI KSIĄŻĘ.

Nie kończ, carze! bo ci język skona!

CAR.

Siedź i słuchaj! wiem koniec zabawnej powieści.
Na piękny żart się zdobył lubownik niewieści:
Jak ukryć trupa? lato — nie włożyć do lodu?
A trzeba skryć przed carem, przed posłem narodu,
Z którego książę ukradł człowieka — gdzież schować?
Jeden z przyjaciół księcia podjął się usługi,
Nie zaniedbał wszelako włosów przemalować,
Twarzy przekształcić... Potem jak Pylades drugi,
Wziąwszy odzież bogatą, krzyże, tytuł grafa,
Najął w mieście część domu i zapłacił z góry.
Do pokojów z meblami weszła wielka szafa;
Co było w szafie? nie wiem — odźwiernego córy
Myślały, że w niej szaty wieszano dziewicze.
Zamknąwszy drzwi na zamek, zniknął Pylad wierny.
Upływa tydzień — drugi... szmery tajemnicze...
Przez szpary do pokojów zagląda odźwierny,
Nikogo... nagle krzyknął: zaraza! zaraza!
Więc drzwi wywalił z szafy, odbija żelaza,
Okropnego coś, razem wszystkie zmysły bije:
W szafie szkielet człowieka topi się i gnije...
Na trupie zapomniany brylant ogniem błyska.
Ten pierścień mówił... i dwa powiedział nazwiska:
Jej i twoje...

WIELKI KSIĄŻĘ, *budzi się z głębokiego osłupienia — i mówi z wyciem stłumionem, zrywając się z krzesła.*

Ha! carze! carze! znasz mordercę?
Ja ci muszę te słowa nazad w gardło wdławić!
Połknąłeś tajemnicę i nie możesz strawić?
Pomogę mieczem... ona w sercu? wydrę serce!

Ona w mózgu? więc z mózgiem na ściany rozprysnę!
Czy wiesz? że skoro szpadą z okna tego błysnę,
Wnet czterdzieści tysięcy bagnetów poruszę.
Na co? ja ci na gardle siądę i uduszę,
Do szaf zamknę królewskich i wyjdę wesoły.
Na ulicach Warszawy tłum ludu natrafię,
Cha! cha! cha! zapytają... gdzie brat? gdzie car — w szafie!
Cha! cha! Cara zamknąłem jak miecz kata goły
W pochwę zgnilizny... Cha! cha! niechaj go rdza toczy!
Niech lud czuje w powietrzu! A co? drżysz, mój bracie?
Wiesz, żem silny jak tygrys... wiesz, że w tej komnacie
Jesteś sam na sam ze mną... a co? patrz mi w oczy!..

Car spogląda w oczy brata... i patrzą długo na siebie, jeden drugiego chce wzrokiem przełamać... — Konstanty pierwszy spuszcza oczy... i oddala się... chodzi po sali... Car uważa na każde jego poruszenie i mówi do siebie...

CAR.

Dobrze! wyszedłem cało... ta moskiewska żmija...
Buntu dźwignąć nie mogła... myślą się zabija...
Gdyby zamiast słów szpady dobył, jużbym nie żył..
Zamyślony — w zmarszczone czoło się uderzył;
Muszę tę myśl uprzedzić... Konstanty!...

WIELKI KSIĄŻĘ, *odpasuje szpadę i podaje bratu.*

Niech Wasza
Cesarska Mość tę szpadę weźmie...

CAR.

Brat przeprasza...

Konstanty stoi milczący z czołem spuszczonem ku ziemi. Car bierze szpadę jego, potem podpisuje ułaskawienie Kordjana i zatknąwszy je na koniec szpady, podaje księciu mówiąc:

Weź razem ze szpadą.

Książę schyla głowę — bierze szpadę, potem dzwoni gwałtownie. Adjutant wchodzi... Książę daje mu ułaskawienie.

WIELKI KSIĄŻĘ.

Leć na plac Marsowy!
Weź mego konia, zabij w galop — a leć ptakiem...
Zanieś to... Biada! jeśli włos z Kordjana głowy
Spadnie, nim ty dojedziesz.

Adjutant wychodzi.

CAR, *ściskając dłoń wściekle.*

Mój brat... już Polakiem.

SCENA OSTATNIA.

PLAC MARSOWY.

Zdala widać Kordjana przed plutonem żołnierzy. Na przodzie sceny lud rozmawia.

PIERWSZY Z LUDU.

Patrz! teraz kat nad głową łamie lśniącą szpadę.

DRUGI Z LUDU.

Jaki to krzyk? czy krzyknął?...

PIERWSZY Z LUDU.

Nie, usta ma blade
I nic nie mówi — ale gdy kat szpadę łamał,
Jakiś starzec padł z jękiem, może stary sługa?...

DRUGI Z LUDU.

Więc mu wzięli szlachectwo...

TRZECI Z LUDU.

Dekret dobrze skłamał:
On jako chłop nie pójdzie do chłopskiego pługa,
Pług po nim orać będzie...

PIERWSZY Z LUDU.

Chcą zawiązać oczy —
Nie pozwolił...

DRUGI Z LUDU.

Oficer wystąpił po przedzie...
Już ma komenderować... coś mi serce tłoczy!
Podnieśli broń do oka...

KRZYK W TŁUMIE.

Stój! adjutant jedzie!

PIERWSZY Z LUDU.

Oficer go nie widzi... rękę podniósł w górę.

(1833).

HORSZTYŃSKI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

HORSZTYŃSKI, dawny konfederat.
SALOMEA, jego żona.
ŚWIĘTOSZ, sługa domu Horsztyńskich.
OJCIEC PROKOP, kapucyn.
HETMAN LITEWSKI [1].
SZCZĘSNY, MICHAŚ } synowie Hetmana.
AMELJA, jego córka.
KSIŃSKI, szlachcic
KARZEŁ, błazen
SFORKA, stary sługa
MAŁGORZATA, żona Sforki } dworzanie Hetmana.
SŁUGA
HAJDUK
MARYNA, dziewczyna wiejska.
NIEZNAJOMY.
WYRWIK.
SKOWICZ.
GARMOSZ, trombonista.
WSCHOWSKI.

Rzecz dzieje się na Litwie w 1794 r.

---

[1] Szymon Kossakowski, Konfederat barski, przeszedł później na służbę Rosji. W 1792 r. zajął Wilno, w 1793 r. ogłosił się hetmanem litewskim w 1794 powieszony na zamku w Wilnie.

AKT I.

SCENA I.

W pałacu Hetmana na wsi.

SZCZĘSNY — AMELJA.

SZCZĘSNY.

Piosenki świata zaczynają się od fałszywych akordów — a kończą się gwałtownem zerwaniem strun — stłuczeniem harfy...

AMELJA.

Smutny jesteś... zdziwaczałeś...

SZCZĘSNY.

Nudzę się.

AMELJA.

Szukaj zabaw.

SZCZĘSNY.

O!... nie potrzeba daleko szukać... Ojciec mój sprowadził mi dziesięciu arlekinów rewolucyjnych — otoczył mię płatnymi trefnisiami... i prawdziwie, że nieraz dziecinniejąc śmieję się do rozpuku, powiązawszy te wszystkie karciane figury jedną nitką, która pociągniona nadaje skoczne ruchy i zwroty całej psiarni darmojadów...

AMELJA.

Ojciec nasz nie może pojąć nagłej zmiany twojego charakteru i dlatego używa wszelkich sposobów, aby ciebie z nieczynnego życia obudzić, wyrwać i między ludzi postawić na wysokim szczeblu...

SZCZĘSNY.

Ojciec ma dla mnie wysoki ojcowski szacunek...

AMELJA.

Jak to?...

SZCZĘSNY.

Szacuje mnie, jak Holender rzadkiego tulipana... szanuje mnie jako rzadką osobę, której nie płaci — a która go kochać musi.

AMELJA.

To więc ja powinnabym droższą jeszcze być dla ojca osobą, bo mnie nie kocha, a ja mu płacę miłością. Zdaje się, że wszelkie uczucia moje zamykają się w miłości dla ojca... Nie prawdaż, Szczęsny, że on dobry i wielki człowiek...

SZCZĘSNY.

Tak... hetman!... wielki, jak hetman...

AMELJA.

Pomyśl, bracie mój, że on podpiera spróchniały tron Stanisława Augusta...

SZCZĘSNY.

Tak, on podpiera tron Stanisława...

AMELJA.

Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

SZCZĘSNY.

Trzy razy tylko powtarza twoje pochwały, a uwielbienie obcych ludzi ani razu.

AMELJA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Śmiesznie jest kiedy syn ojca chwali... A potem, raz pochwaliłem ojca przy ludziach, to mi zaraz zapłacił... tureckim koniem...

AMELJA.

Cóż powiedziałeś ludziom o naszym ojcu?

SZCZĘSNY.

Co?... Oto mówiłem, że lepszy od brata swego, a nam stryja, Biskupa... bo nie włożył fioletowej sukni —

AMELJA.

Stój! stój!... gorzki jesteś — i obrażasz dziewiczą i czystą wiarę siostry twojej... Także nieszczęśliwy jest biedny starzec, że w sercu syna nie ma dla niego poważnego uczucia, miłości sprawiedliwego sądu?... Patrz na te siwe głowy starców, które się przed nim schylają — patrz na oznaki zasług błyszczące na jego piersiach... a potem rzuć okiem na twoją samolubność — na nieczynność życia...

SZCZĘSNY.

Jestem niczem...

AMELJA.

Dlaczego nie starasz się zostać użytecznym?...

SZCZĘSNY.

Nie mogę — nie mogę... nie chcę...

AMELJA.

Ty masz jakąś tajemnicę... może miłość...

SZCZĘSNY.

Może miłość.

AMELJA.

Wyznaj mi wszystko, bracie miły... Ach! jak musi być szczęśliwa ta dziewczyna, którą ty kochasz... Ty nie odpowiesz jej nigdy z gorzką ironją... ty musisz być przy niej wzniosły i piękny. Ja znam duszę twoję, znam ją aż do najgłębszych uczuć i tajemnic... Gdybym nie była twoją siostrą, to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo... mniszką.

SZCZĘSNY.

Co ty mówisz?... Jestem taki roztargniony, że nie słyszałem ani słowa... Już późno... powoje błękitne w twoim wieńcu otwierają się na księżyc... Idź siostro, i czytaj biblją, moja świętoszko...

AMELJA.

Dobrej nocy!... zawołaj malućkiego Michasia braciszka, muszę go rozebrać — i zmówić z nim pacierz. Czy ty mnie nie pocałujesz za to, że twojego braciszka uczę modlić się za ciebie?...

SZCZĘSNY.

Dobrze robisz, że przez usta dziecka posyłasz modlitwy do nieba. Błogosławieni maluczcy...

AMELJA.

Czy mnie nie pocałujesz, bracie?...

SZCZĘSNY.

Nie.

AMELJA.

Dobrej nocy!

Odchodzi smutna.

SZCZĘSNY.

Jak oświecone prawe skrzydło pałacu! Ojciec ucztuje w gronie pochlebników — i płaci za śmiech i żarty, bo żarty i śmiech stały się prawdziwie rzadkim towarem w Polsce... O smutek! smutek! Czasem jakaś błyskawica myśli pokazuje mi nicość wszystkiego, a nawet nicość samej myśli, marzącej o nicości... Czasem zdaje mi się, że świat wart małpiarskich przymileń się twarzy...

MICHAŚ *wpada.*

Cha ! cha ! cha ! braciszku ! . . .

SZCZĘSNY.

Z czego się śmiejesz, chłopcze ? . . .

MICHAŚ.

Przez dziurkę od klucza patrzałem do jadalnej sali . . . Tata nasz z piórem brylantowem, piękny jak w książce obrazek Pana Boga . . .

SZCZĘSNY.

Gdzie twoja piastunka ?

MICHAŚ.

W kuchni ; a ja wolny jak ptaszek.

SZCZĘSNY.

Amelka czeka na ciebie — idź, zmów pacierz!

MICHAŚ.

Ale posłuchaj no, braciszku, co ja widziałem. Papa nasz nalał wielką dudkę szklaną — i zawołał : zdrowie naszej Kasi ! . . . Otóż kiedy zawołał : zdrowie naszej Kasi, wszyscy wstali, jak świeczki — a jeden staruszek, biały jak gołąb, siedział na końcu stoła i nie wstał. Nasz Tata zamalował go w papę . . . paf ! . . . i staruszek wywrócił się, jak moja drewniana lalka . . .

SZCZĘSNY.

Okropność ! okropność ! . . .

Chce wybiec z sali.

Michasiu ! gdyby twoja Mama żyła, płakałaby nad tobą !

MICHAŚ.

Za co ?

SZCZĘSNY.

Idź mi zaraz, chłopcze, do siostry ! To co widziałeś przez dziurkę od klucza, był to obrazek taki, jak ten . . .

MICHAŚ.

A dlaczego ludzie się ruszali ?

SZCZĘSNY.

Ja ci powiadam, że Tata śpi — a to był obrazek . . . Idź i nie mów nic Amelce, bo się będzie śmiać z ciebie, że ty się śmiejesz z obrazka. Pocałuj Amelkę w czoło.

Wtrąca go do pokoju Amelji.

Ach te ściany — to prawdziwa Sodoma! Starca, że nie pił zdrowia północnej nierządnicy, uderzyć w policzek ? A gdybym

ja ojca napiętnował znakiem?... Cicho!... Trzeba jednak tego starca ratować...

KSIŃSKI *wchodzi.*

Ojciec twój każe, abyś przyszedł na ucztę.

SZCZĘSNY.

A ten starzec? co się stało ze starcem?! Ksiński, idź powiedz zhańbionemu, niech tu przyjdzie — ja mu dam karabelę... i zemstę!

KSIŃSKI.

Nad ojcem?

SZCZĘSNY.

Syn za ojca stanie. Powiedz mu: że zrobię się starym, jak on — że będę miał drżącą rękę jak starzec... że... idź, powiedz mu, jeżeli ma dzieci, niech się o dzieci nie lęka.

KSIŃSKI.

Daj mi rękę...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślisz, że gram komedję?

KSIŃSKI.

Nie! bądź spokojnym o tego starca. Skoro twój ojciec uderzył go w policzek, zwalił się pod stół — a potem nagle skoczył na nogi i zaczerwieniony — —

SZCZĘSNY.

Co?... zarąbał... mego...

KSIŃSKI.

Nie! nie!... ukłonił się nisko i rzekł: Dziękuję Jaśnie Oświeconemu Panu memu Hetmanowi, że mnie przebudził, bom był zasnął...

SZCZĘSNY.

Ha!... tak?... czy śmiali się?...

KSIŃSKI.

Śmiali się, jak warjaty...

SZCZĘSNY.

A ty?

KSIŃSKI.

Pomyślałem sobie, że czytał ewangelję... i śpiącemu śniło się, że był świętym Piotrem...

SZCZĘSNY.

Wróć na ucztę... i pij za mnie i za siebie...

. . . . . .

(Tu braknie w rękopisie karty).

. . . . . .

KARZEŁ.

... wyskoczy ci na połach munduru Adama krzyż albo klucz szambelański. Uręczam, że zezwoliłbyś na zieloną kurację...

KSIŃSKI.

Błaźnie, obiję!

KARZEŁ.

Bij — ale słuchaj! Będziesz, panie Ksiński, posłem z Medjolanu...?

KSIŃSKI.

Ale mię Sforka pozna...

KARZEŁ.

Ugalonujemy ciebie, jak zebrę, panie Ksiński. Zje djabła, nim odkryje, że zebra jest Ksiński... On ciebie zawsze widział bez galonów i brał za Chrystusowego konia...

KSIŃSKI.

Wysmagam, psie!...

KARZEŁ.

Będę wysmugłym... a ty, Panie Ksiński, będziesz posłem z Medjolanu. Tylko jeżeli ciebie zaprosi pan Sforka na obiad, to nie jedz nic prócz sałaty — bo pan Sforka przekonany, że Włochy żyją liściami...

KSIŃSKI.

Powiedz mi karle, coś odkrył w postępowaniu pana Szczęsnego; a może pohandlujemy z tobą słowem dobrze...

KARZEŁ.

Odkryłem, że pan Szczęsny kocha się.

KSIŃSKI.

W kim?

KARZEŁ.

Wróciwszy tu z Warszawy, pan Szczęsny przepędzał dnie całe w łódce na stawie, wywrócony twarzą do nieba. Otóż razu jednego na staw nasz przyleciało parę białych łabędzi. Pan Sforka zagrabił je, jako należące do pana Horsztyńskiego z pobliskiej wioski, z którym Pan Hetman ma jakieś zatargi. Pani Horsztyńska przyjechała sama nad staw nasz kolaską i pan Szczęsny oddał na prośbę jej białe ptaszki. Ale tak długo rozmawiali o łabędziach, że... etc. etc...

KSIŃSKI.

Któż jest ten pan Horsztyński?

KARZEŁ.

Stary konfederat barski. Wpadł niegdyś w ręce Drewicza i Moskale zaprowadzili go do kościoła — położyli krzyżem na wznak i gromnicami zapalonemi kapali na oczy. Dziś nie potrzebuje okularów.

KSIŃSKI.

I Pan Szczęsny przyprawił mu to, czego w zwierciedle mężom nawet nie ślepym widzieć nie można... Jakże? ten stary ma młodą żonę? bo młoda być musi...

KARZEŁ.

Była to biedna dziewczyna, wychowana w klasztorze .Matka jej zwarjowała i znaleziono ją utopioną w rowie błotnistym. Doktor przepowiedział, że młoda panna Salomea wzięła dziedziczne usposobienie do melancholji, i dlatego panienka, mająca za posag ekspektatywę warjacji, nie mogła się spodziewać męża młodego — ani bogatego. Pan Horsztyński, ani młody ani bogaty, ofiarował jej swoję rękę... i dziś... żałuje może dawno pierścionka więcej, niż wykapanych gromnicami oczu. Ale sądzę, że starzec nie wie o niczem, bo pan Szczęsny zgrabny chłopak w takich rzeczach.

KSIŃSKI.

Powiedzże mi, moja beczułko śledzi holenderskich, co to ma obchodzić pana Hetmana, że pan Hetmanowicz zbałamucił żonę ślepego człowieka?...

KARZEŁ.

Panie Ksiński, zgódź się naprzód na to, że ja mam więcej rozumu od ciebie.

KSIŃSKI.

Rzecz nie dowiedziona!

KARZEŁ.

Wszakże nie jesteś zupełnie, Panie Ksiński, pozbawiony zdrowego rozsądku. Mów zatem, że szukasz rozumu, gdziekolwiek bądź sądzisz, że się znajduje.

KSIŃSKI.

Z czego to wnosisz?

KARZEŁ.

Kiedy wczoraj dano kurczęta, uważałem, że z wielką rozwagą wyjadałeś móżdżki w głowach kurczęcych...

KSIŃSKI.

Dalibóg, że ten błazen kpi ze mnie...

KARZEŁ.

Panie Ksiński, jakże można tak posądzać? a, wstydź się!

KSIŃSKI.

Pamiętaj, że ze mną niebezpiecznie...

KARZEŁ.

Boję się ciebie, bo jak się wyciągniesz, to podobny jesteś do pamfila.

KSIŃSKI.

A ty krótki! ty niźniku — ty kulko!...

Wybiega za uciekającym Karłem.

SCENA II.

Skromny pokój szlachecki w domu Horsztyńskiego.

KSIĄDZ KAPUCYN I HORSZTYŃSKI.

HORSZTYŃSKI.

To powiadasz, że moja szkółka owocowa dobrze podrosła.

KSIĄDZ.

Renety i bery szare już kwitną.

HORSZTYŃSKI.

Jesienią, mości księże, będziemy z sobą dzielić czerwone jabłuszka.

KSIĄDZ.

Jeśli Bóg da doczekać.

HORSZTYŃSKI.

Tak, jeśli Bóg da doczekać! Czy nie widziałeś gdzie Salusi?

KSIĄDZ.

Żona twoja chodzi sama jedna po lipowej alei.

HORSZTYŃSKI.

Księże, straciłem oczy i widzieć nie mogę jej anielskiej twarzy, Czy ona zawsze tak piękna, jak była?

KSIĄDZ.

Zdaje mi się, że zawsze piękna.

HORSZTYŃSKI.

Ale nie tak wesołą, jak niegdyś...

KSIĄDZ.

Dosyć zawsze wesoła. — Czy chcesz, Panie Horsztyński, to ci przeczytam jaki rozdział z pamiętników Janczara.

HORSZTYŃSKI.

Dziękuję, księże... już późno. Słuchaj, zdaje mi się, że żona moja nie tak wesoła, jak dawniej...

(chwila długa milczenia).

KSIĄDZ.

Mówią, że wielka jest niespokojność między wileńskim ludem. Coś nowego gotuje się w garnku.

HORSZTYŃSKI.

Nie mów mi o tem, księże —

KSIĄDZ.

A gdyby też Wilno powstało...

HORSZTYŃSKI.

To mu gromnicami wykapią oczy.

KSIĄDZ.

Może się uda...

HORSZTYŃSKI.

Księże, nie masz nadziei, że będziemy jedli czerwone renety z mojej szkółki — a spodziewasz się owoców na spróchniałem drzewie!... Słyszysz, ktoś nadjeżdża konno...

KSIĄDZ.

Młody hrabia.

HORSZTYŃSKI.

Dobrze, pogawędzimy sobie.

KSIĄDZ.

Lubisz tego młodzieńca?

HORSZTYŃSKI.

Głos jego przypomina mi... Potem ci powiem, księże, dlaczego lubię dźwięk głosu Szczęsnego... Jutro będę się komunikował.

KSIĄDZ.

Ten młodzieniec jest wielkim, ale niedokończonym tworem Opatrzności...

SZCZĘSNY, *wchodząc.*

Witam cię, Panie Horsztyński! Jak się miewasz, ojcze Prokopie?

HORSZTYŃSKI.

Siadaj, mój sowizdrzale! Cóż? nic nie przynosisz nowego?

SZCZĘSNY.

Nic.

HORSZTYŃSKI.

Powiedz mi, jakże tak żyć na świecie, nie wiedząc o niczem?

SZCZĘSNY.

Tak, jak gdybym spytał ciebie, Panie Horsztyński, jak ty żyjesz, nie patrząc na nic?

KSIĄDZ.

Młodzieńcze! źle, że przypominasz kalectwo...

SZCZĘSNY.

Przez zazdrość — przez zazdrość...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, księże, że mi ktoś jeszcze na świecie zazdrości.

SZCZĘSNY.

Ten, komu wypalano gromnicami wielkości oczy rozumu, oczy nadziei... który w krainie myśli błądzi jak ślepy... Ty musisz mieć piękne, słońcem oświecone wspomnienia, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Tak, mam miłe wspomnienie... Raz koło Baru, na wielkiem polu, przychodziło do walki z Drewiczem.[1] Piękny był ranek — tak cicho. Skowronki tylko śpiewały — na prawo był lasek brzozowy — za nami

Wchodzi Salomea i staje cicho. — Szczęsny słucha starca i oczy ma zakryte dłonią.

HORSZTYŃSKI, *mówi dalej.*

Mości panie, było miasteczko z blaszanemi wieżami. Dowodziłem całą jazdą... Marsz, marsz!... Pomyślałem sobie, co teraz robi moja żona?... Spojrzałem na zegarek, bo jeszcze miałem oczy, na zegarku była piąta godzina... Ha! żona moja śpi, spokojna jak dziecko, ani wie, że tu jej stary mąż, jak młody chłopiec, z rozwianymi włosami, z dobytym pałaszem krzyczy: marsz! marsz!... Myślałem, że zginę, a żona moja będzie spała spokojnie w godzinę śmierci mojej... Było mi smutnie i miło... Ha! jeszcze mi wtenczas przyszło do głowy jakieś dziwne zachcenie; chciałem był mieć przy sobie białego gołębia z mojej wio-

[1] Drewicz, generał rosyjski, walczył przeciw Konfederatom.

ski. Nie, nie! to po wygranej bójce, kiedy odpoczywałem w lasku brzozowym, przyszło mi takie zachcenie, żeby to wysłać gołąbka z listkiem, ołówkiem napisać — buzi, moja Sally!... Mości panie, zbiliśmy wtenczas dwa kara-bataliony na miazgę...

SZCZĘSNY.

Muszę ciebie pożegnać, Panie Horsztyński. Przypomniałem sobie, że mnie w domu czekają dwa kara-bataliony przyjaciół z szampanem.

Wstaje i spotyka się z Salomeą.

Ha! Pani...

HORSZTYŃSKI.

Co? żona moja nie słyszała?... jak ty cicho weszłaś, moja Salusiu... będziesz się śmiała z męża gaduły, co chciał wysłać gołąbka...

KSIĄDZ.

Jak ona zbladła.

SALOMEA.

Nigdy mi o tem nie opowiadałeś, mój mężu.

HORSZTYŃSKI.

A kiedy, a kiedy... Słuchajcie mnie, bo i to wspomnienie nie może zawsze leżeć w sercu mojem... Kiedy mnie wzięto w niewolę... wieczorem, wieczorem to było... dwóch Moskalów prowadziło mnie do kaplicy — pamiętam... cmentarz cały ocieniony lipami... na cmentarzu — okropnie!... dwudziestu moich żołnierzy zakopanych w mogiłach po szyję. Moskale kosili głowy... skoszone głowy toczyły się czasem pod moje nogi... Jedna spojrzała na mnie, przysięgam wam, że spojrzała na mnie!... A pod wielką lipą ujrzałem jakiegoś białego człowieka... nagi — stary. — Na piersiach miał wycięte mieczem wyłogi — w ciele wycięte wyłogi ułańskiego munduru. Spojrzał na mnie i rzekł: Żegnaj mi, Panie Horsztyński. Nic mu nie odpowiedziałem. Bóg mię skarze w godzinę śmierci mojej za to,, że nic nie odpowiedziałem temu człowiekowi w godzinę męki... Ale bo też ja nie mogłem rozpłakać się jak dziecko. — Był to Grzegorz, stary rybak z pobliskiej wioski. Musiałeś go znać, Panie Szczęsny? to twój chłop...

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

KSIĄDZ.

Co tobie młodzieńcze?...

HORSZTYŃSKI.

Bądź tam dobry dla jego dzieci... jeżeli ma dzieci.

SZCZĘSNY.

Rybak... Grzegorz...

HORSZTYŃSKI.

Wszak musisz wiedzieć, jego chata naprzeciw pałacu, na drugim brzegu Wilji; musisz wiedzieć... czy on ma dzieci?...

SZCZĘSNY.

Ma... córkę.

HORSZTYŃSKI.

Czy hoża dziewczyna?... wydaj ją za mąż, dam ze sto złotych na krówkę.

SZCZĘSNY.

Powiedz mi, Panie Horsztyński — jakiego uczucia doznawałeś kiedy ci gromnicami oczy wysmalano?

HORSZTYŃSKI.

Z razu ból wielki — potem niby kłucie szpilek. A kiedy zdzierano z rzęsami skorupę zastygłego wosku, aby... Czy żona moja jest w pokoju?...

KSIĄDZ.

Niech kobieta wycierpi słuchem, co inni wycierpieli ciałem! Mów, Panie Horsztyński...

HORSZTYŃSKI.

Wy, księża, zawsze chcecie, aby ludzie cierpieli dla niczego; dosyć, niech umieją cierpieć, kiedy potrzeba... Sally! dalibóg myślałem wtenczas o tobie... myślałem, że już nigdy nie zobaczę ciebie oczyma — że głosek twój będzie jak śpiew niedojrzanego w niebie skowronka...

SALOMEA.

O anieli niebiescy! czemużeście wy nie bronili?...

HORSZTYŃSKI.

Czy ty myślisz, Salusiu, że ten świat podobny do moskiewskiego obrazu w cerkwi, gdzie Abraham ze strzelby mierzy do syna Izaaka, a zaś anioł z nieba leje dzbankiem wody na panewkę, aby nie spaliło?...

SZCZĘSNY.

Bóg się nie mięsza do wypadków światowych. — Słuchajcie, kiedy byłem paziem króla Stanisława, raz zrobiłem okropny występek... Oto na Bielanach w ptaszkarni księżny Sapieżyny zacząłem rąbać pawie i papugi — podchmieliłem był sobie solennie!... Dalibóg, żaden anioł z palmą nie stanął w obronie biednych ptaszków! Okropna była rzeź. — Nazajutrz sławny byłem w Warszawie, jak książę Józef... Cha! cha! cha! nie śmiejcie się Państwo... Chciałem wam pokazać, żem wielki człowiek... Wszak, księże, miałeś o mnie wielkie i zarozumiałe wyobrażenie... Chciałem, żebyś dziś uwierzył, że ja jestem, czem

jestem... Jakiś Francuz w napisanej podróży o Polsce czyn mój umieścił... będę żyć na wieki wieków... cha! cha! nie prawdaż?... Dodajcie jeszcze, że miałem taki faeton jak książę Józef Poniatowski, i Francuz umieścił opis faetonu w swojej podróży...

SALOMEA.

Pan żartuje z nas smutnie...

SZCZĘSNY.

Na Boga! to wszystko prawda!... Przyniosę pani książkę, będziesz łaskawa przeczytać mężowi kart kilka o moich dziełach.

SALOMEA.

Pan Hrabia był dzieckiem.

SZCZĘSNY.

Byłem rozumniejszy od wielu starych. Sława to piękna rzecz; warto na nią pracować... Czyny ludzi dają blask krajowi.

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze, rozumiem ciebie... Dajesz mi wieniec laurowy na moje siwe włosy.

SZCZĘSNY.

Ja? ja? ja?... Powiem ci szczerze, że gdybym nie był mną, chciałbym być tobą, Panie Horsztyński. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do tego słowa j a... oprócz kobiet, które przywiązują się czasem do słowa m ó j... Ale źle robią — źle robią...

KSIĄDZ.

Salomeo! Idź przygotuj dla męża szarą polewkę.

SALOMEA.

Zaraz... O! nie teraz...

SZCZĘSNY.

Kobiety biorą nas za aniołów, a potem musimy z największem wysileniem grać komedję, aby się utrzymać na jednej nodze na wysokiej kolumnie, na której nas postawiły. Każde słowo rzucamy z bojaźnią, aż nareszcie znudzeni rzucamy się z kolumny w błoto... Od razu trzeba zakończyć z miłością własną... i być sobą... niczem...

HORSZTYŃSKI.

Do czego zmierzasz ironją taką...

SZCZĘSNY.

Nie! zamiast kobiety, położę słowo księdza. Mości Prokopie, wiele nocy nie spałem myśląc o tem, coś mi powiedział;

a powiedziałeś: widzę w tobie wielkiego człowieka. Z razu postanowiłem dążyć ciągle do tej wielkości, nareszcie znudziło mnie napięcie niezgrabne przyrodzonych władz — przerabianie ciągłe nicości na wielkość olbrzyma. Na Boga, powiedz mi, że zmieniłeś swoje zdanie, bo chcę spać spokojnie... Znudzony jestem, starając się myśleć tak, jak ludzie sądzą, że ja myślę... Dusi mnie maska, którą mi na twarz włożono... Ludzie krępują nas nitkami pochwał, i człowiek mija się z drogą swego przeznaczenia, nie śmiejąc rozerwać słabych węzłów. Pan Horsztyński opowiadał o wielkich cierpieniach; słuchałem wtenczas uderzeń mego serca... i na Boga! — co uczułem w sercu, powiedzieć nie mogę... Coś okropnego urodziło się we wnętrznościach mojej myśli... jakaś szalona duma...

HORSZTYŃSKI.

Obróć ją ku dobremu celowi!

SZCZĘSNY.

Trzeba mieć charakter, Panie Horsztyński... Trzeba się naprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć, a ja czasem zazdroszczę pastuchowi, co grzeje swoje ręce przy ognisku rozpalonem w głębi lasu. A czasem zazdroszczę królowi Stanisławowi, że w teatralnym ubiorze siedzi na tronie izby poselskiej. Pokażcie mi jaki cel, coby zaspokoił te dwie dziwne zazdrości!... Trzeba być aktorem krotochwili i tragedji.

SALOMEA.

Pan dziś jesteś, jak moja biedna harfa. Muzyk z Wilna nie przyjechał i nie naciągnął strun... Chciałam grać wesołą piosenkę mężowi, a z rozstrojonej harfy wychodziły takie dzikie tony, że nie mogłam dokończyć.

SZCZĘSNY.

I rozpłakałaś się może Pani, że harfa tak dziko grała...

HORSZTYŃSKI.

Widzisz, jak pan Szczęsny zna ciebie, Sally...

SZCZĘSNY.

Biada kobietom, które słuchają nadto długo szumu płaczącej brzozy, albo śpiewu słowika!... Czasy nasze mają dziwne lekarstwo na chorobę smutku, poezję.

SALOMEA.

Chciałabym znać naszych słowików...

SZCZĘSNY.

Zimna woda — letnia woda... rymowana!... Przypomnę Pani bajki Krasickiego i strofę:

„Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czują cię tylko..."
Panie Horsztyński, zapomniałem, że ty nie umiesz smakować w poezji, nie umiesz czuć wdzięku...

HORSZTYŃSKI.

Lubię hymn: Święty Boże — Święty mocny!...

SZCZĘSNY.

Nie ma rymów, nie ma rymów! — Ja wolę słuchać rymowanego galopu mego konia, niż poezji bez rymów!... Żegnaj mi, sąsiedzie!

SALOMEA.

Pan siostrze zawiezie bukiet naszych kwiatów.

SZCZĘSNY.

Moja siostra lubi tylko belles-de-nuit dlatego, że się po francusku nazywają.

SALOMEA, *zdejmuje z warkocza jednę.*

Więc niech jej Pan ten kwiatek zawiezie — chciałabym kiedy widzieć moję klasztorną przyjaciółkę...

SZCZĘSNY.

Bardzo zatrudniona! wyszywa na kanwie historję mego ojca czerwonym jedwabiem, i uczy pacierza mojego maleńkiego braciszka... Dobrej nocy!

Odchodzi.

HORSZTYŃSKI.

Księże, co mówisz o tym młodzieńcu?

KSIĄDZ.

Widzę, że w jego sercu jest jakaś okropna walka.

HORSZTYŃSKI.

Sądzisz, że ojciec nakłania go do jakiego przestępku przeciw sumienia i dobrej sławy?

KSIĄDZ.

Słyszałem, że Hetman zbiera silną partję; dom jego pełny płatnej namówionej zgraji...

HORSZTYŃSKI.

Czas, księże, użyć tych papierów.

KSIĄDZ.

Jutro... Sam pojadę do Wilna...

HORSZTYŃSKI.

Salomeo, odprowadź mnie do mego pokoju.

SALOMEA.

Księże, oto jest twoja latarnia, zapalona... Chodź mężu! — Dobrej nocy, ojcze!

Odchodzi z Horsztyńskim.

KSIĄDZ.

Ta kobieta zgubiona...

Wychodzi.

SCENA III.

Sala w domu Hetmana.

Wchodzi HETMAN I KSIŃSKI.

HETMAN.

Więc to pewnem jest, co mi Acan powiadasz o moim synie?

KSIŃSKI.

Niestety...

HETMAN.

Czy przypadkiem Waszmość nie jesteś żonaty?

KSIŃSKI.

Nie, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Ha, bo widzi mi się, że bardzo ubolewasz nad losem małżonka. Nie zapomnę o tobie, Mości Ksiński. — Zawołaj mi mego Karła albo Sforkę. Muszę niektóre z nimi załatwić interesa...

KSIŃSKI.

Nie mogęż ja usłużyć Hrabiemu?

HETMAN.

A to właśnie każę Acanu zawołać moich ludzi.

Ksiński wychodzi.

HETMAN, *sam.*

Ha, Panie Horsztyński! jeszcze jedna broń przeciwko tobie! Gdzie twoje stare serce, Panie Horsztyński? nauczę ciebie cierpieć — *(Wchodzi* SFORKA). Pójdź tu, Sforka... Posłałeś ludzi do miasta?

SFORKA.

Szpieguję, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Trzeba zająć szewców i krawców wileńskich. Sprowadź tu ze dwieście tych pijaków i każ im szyć w zamku liberję nową dla ludzi.

SFORKA.

Jutro poślę pięć ławek zaprzężonych po tę hołotę.

HETMAN.

Wybierać najśmielszych — i najburzliwszych!

SFORKA.

Prochy sprowadzone.

HETMAN.

Wiele?

SFORKA.

Dziesięć beczek i dwa jaszczyki ruskie.

HETMAN.

Gdzie je złożono?

SFORKA.

Na tej wieży.

HETMAN.

Kto mustruje moją legią?

SFORKA.

Pan Horda.

HETMAN.

Nakaż mu, niech zawsze zamyka bramy w tylnym dziedzińcu, gdzie się odbywa mustra. Nikt teraz nie zaziera do tego dziedzińca? — czy dobrze pilnujesz Acan?

SFORKA.

Od czasu, jak jaśnie wielmożny Hetman zastrzelił tego kuchtę, co przez ciekawość wysunął głowę z bocznej strzelnicy...

HETMAN.

Myślałem, że to był kot.

SFORKA.

Prawda, jaśnie wielmożny Panie! w kociej chodził czapce nieboszczyk kuchta... Otóż ja znów wrócę do dawnej piosenki: życzyłbym Panu Hrabiemu wykarczować las koniecznie... i zbudować osadę braci morawskich — poczciwi ludzie!... sto

chat przyniesie czynszu na rok dwadzieścia tysięcy złotych polskich... Drzewa handlowego...

HETMAN.

Potem, potem o tem!... Czy nie widzisz, Panie Sforka, że ja coś mam ważniejszego w głowie?

SFORKA.

Polityka, jaśnie wielmożny Panie!... znam się i ja cokolwiek na polityźmie. Życzyłbym Panu Hrabiemu...

HETMAN.

Dobrej nocy... co?

SFORKA.

Nie! jest ważna rzecz w zamku, która może obrazić Najjaśniejszą panią Carową, jeżeli się dowie.

HETMAN.

Co takiego w zamku moim?

SFORKA.

Oto jaśnie wielmożny Pan wie, że na tej wieży jest zegar tak mechanicznie ukształcony, że po uderzeniu godziny dwunastej w południe lub w nocy wyskakuje Pogoń litewski i pałaszem rąbie orła rosyjskiego. To może właśnie obrazić Najjaśniejszą Panią.

HETMAN.

Cha! cha! cha!... stary polityku! — Dziękuję ci bardzo, że tak ułatwiasz mi drogę wielkości... Prawdziwie, że rozsądny jesteś i przezorny.

SFORKA.

To ja każę, najjaśniejszy Panie, zegar wygrzebać z muru.

HETMAN.

Ani się waż, głupcze! Ten zegar bawił mnie, kiedy byłem dzieckiem. Pilnuj kur, Mości Sforka. I ty stary, bawiłeś mnie, kiedy byłem dzieckiem — dlatego siedzisz w murze pod zegarem.

SFORKA.

To już, kiedy Pan Hetman łaskawie mnie traktuje, muszę mu udzielić jednej wiadomości. Oto spada na mnie fortunka.

HETMAN.

Skąd... po jakim siwoszu?

SFORKA.

Jak z nieba.

HETMAN.

Winszuję... idź spać!

SFORKA.

Czy jaśnie wielmożny Pan zastanowił się kiedy nad mojem nazwiskiem jak mówi jeden uczony mój przyjaciel — estymologicznie?...

HETMAN.

Estymuję...

SFORKA.

Jaśnie wielmożny Pan słucha tak łaskawie, że mi się usta zamknąć nie mogą... Oto nazwisko moje pochodzi...

HETMAN.

Od — od?...

SFORKA.

Od Sforcji...

HETMAN.

Głupi siwoszu! Ojciec twój czy dziad był psiarzem w domu mojego ojca czy dziada i psy wiązał na sfory, i od tego nazwano ciebie Sforką. — Idź, bo mnie już nudzisz. Niech teraz Karzeł przyjdzie do mego sypialnego pokoju odmówić ze mną litanję.

SFORKA.

Natychmiast, jaśnie wielmożny Panie!

Odchodzi.

HETMAN.

Za kilka dni wszystko się rozwiąże. Bogdaj tylko syn mój chciał stanąć na czele!... Za kilka dni wszystko się rozwiąże... Dlaczego te psy tak wyją smutnie na moim dworcu?... Te psy wypędzą mnie do mojego pałacu w Wilnie... Czyny wielkie zawsze są ponure barwą i smutne nastręczają myśli...

Karzeł wchodzi.

Chodź, karle!...

KARZEŁ.

Czy śmieszyć Pana, czy cicho siedzieć i w pięty skrobać?

HETMAN.

Chodź mówić litanję.

Odchodzą.

SCENA IV.

Noc. Ogród nad Wilją. Na górze widać biały wielki pałac, na drugiej stronie Willji chatę rybacką.

SZCZĘSNY, *sam.*

Patrząc na te gwiazdy, dusza moja wyrywa się do nieba. Gdyby rozszerzenie i wzniosłość myśli, jaka przelatuje błyska-

wicami przez moję duszę, były naturalnym stanem człowieka i nie znikały ze słońcem: człowiek ten byłby wielkim bohaterem a przynajmniej byłby szczęśliwy uczuciem wewnętrznem wielkości i dumy!...

GŁOS DALEKI.

O! ho!...

SZCZĘSNY, *świszcze.*

To on... Nie spóźnił się o kwandrans!...

Przypływa łódka. — Nieznajomy człowiek w szerokim płaszczu wysiada na brzeg.

NIEZNAJOMY.

Czekałeś na mnie?

SZCZĘSNY.

Krótko.

NIEZNAJOMY.

Namyśliłeś się?

SZCZĘSNY.

Głęboko — i płasko...

NIEZNAJOMY.

Czy możemy liczyć na ciebie?

SZCZĘSNY.

Nie.

NIEZNAJOMY.

Ale ja ci zaręczam, że nasza sprawa pewna.

SZCZĘSNY.

Więc ja wam niepotrzebny.

NIEZNAJOMY.

Niepotrzebni są przeciwko nam!...

SZCZĘSNY.

Niepotrzebni jednak muszą żyć, bo nie widzą, jak być na świecie, a nie zajmować dwóch stóp ziemi. Człowiek, póki żyje, dwie tylko; jak umrze, sześć stóp potrzebuje miejsca... Pokaż mi jakie Eldorado dla niepotrzebnych ludzi, a będę ci bardzo wdzięczny. Wystaram się o obywatelstwo w kraju niepotrzebnych...

NIEZNAJOMY.

Nie wiem, co mam o tobie myśleć, Panie kolego.

SZCZĘSNY.

Myśl o mnie tak, jak ja o sobię myślę... Raz zdaje mi się że jestem zanadto wielki, abym mógł skonać na bruku między

bijącą się zgrają — i przeciąć niewiadomą śmiercią życie przeznaczone do wielkich czynów. Drugi raz zdaje mi się, że jestem tak mały — tak mały, że nie ma czem nabić harmaty...

NIEZNAJOMY.

Poświęć się wielkiej sprawie, a urośniesz z wypadkami...

SZCZĘSNY.

Otóż tu nieszczęście, że wypadki wydają mi się raz tak wielkie, że nie śmiem stanąć przy posągu olbrzyma, bojąc się, aby mnie ludzie nie wzięli za karła: drugi raz wypadki wasze zdają mi się tak małe, że boję się rozgnieść ludzi, chodząc nieuważnie.

NIEZNAJOMY.

Bądź zdrów! — Szkoda mi ciebie.

SZCZĘSNY.

Gdybym co zaczął, skończyłbym... To bieda, że nic zacząć nie mogę. Gdybym był Rzymianinem, zacząłbym od okropnej rzeczy... Wczoraj śniło mi się o niej, a oczy miałem otwarte...

NIEZNAJOMY.

Masz teraz twarz zabójcy!

SZCZĘSNY.

Okropniejszą! Znów mi się śni... Bądź zdrów! bądź zdrów!... Mam tutaj rendez-vous miłosne...

NIEZNAJOMY.

Żal mi ciebie, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Nie żałuj! nie żałuj! ja używam życia...

NIEZNAJOMY.

Więc nie chcesz być z nami?

SZCZĘSNY.

Nie chcę... nie mogę...

NIEZNAJOMY.

Koledzy moi osądzą ciebie tchórzem...

SZCZĘSNY.

Będzie to bardzo zasmucać mego ojca...

NIEZNAJOMY.

Sądzę, że jeszcze się zobaczymy razem... Masz czas do jutra... Bądź zdrów!

Odchodzi.

SZCZĘSNY.

To jest przecie — to się może nazwać postanowieniem... Odrzucam dziś od siebie mary. — Ty, kwiatku błękitny, zwiędły we włosach Sally, rzucam ciebie także na fale — to się nazywa także postanowieniem. Jak się te rybki pluszczą wesoło na błękicie rzeki!... *(Woła)* Maryno!

Słychać głos.

Płynę.

SZCZĘSNY.

Jak Nereida.

AKT II.

SCENA I.

Pokój w domu Horsztyńskiego.

Horsztyński i stary sługa Świętosz.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie moja żona?

ŚWIĘTOSZ.

Pani wyszła o wschodzie słońca do celi księdza Prokopa, zapewne komunikować się.

HORSZTYŃSKI.

Świętoszu, nabić moją dubeltówkę!...

ŚWIĘTOSZ.

Pan dawniej lubił z ptaszynki strzelać...

HORSZTYŃSKI.

Jakże ty chcesz, mój stary, żebym ja teraz strzelał ślepy? Dubeltówka nie na ptaszki!... nabij ją kulami...

ŚWIĘTOSZ.

Cóż Pan zamyśla?

HORSZTYŃSKI.

Pan Hetman ma przyjechać do mnie w odwiedziny...

ŚWIĘTOSZ.

Co? Jaśnie wielmożny Hetman w naszym domu? A weźże Pan przecie pas złoty...

HORSZTYŃSKI.

Nie trzeba, nie trzeba... Słuchaj! nabijesz dubeltówkę i staniesz tam za ścianą w ciemnej alkowie. Jeśli zaświszczę barską piosenkę — pal!

ŚWIĘTOSZ.

Jezus! Marja! Józef!

HORSZTYŃSKI.

Pal mu w łeb z dwu rur!...

ŚWIĘTOSZ.

Jak Pan zaświszcze barską piosenkę?

HORSZTYŃSKI.

Tak.

ŚWIĘTOSZ.

A może i Pan chrześcijańską rzecz radzi!... Mówią ludzie, że ten złotowielmożny pan coś zwąchał się z Moskalami.

HORSZTYŃSKI.

Idź, idź! bo zdaje mi się, że słyszę turkot powozu... cicho!... i nie pokazuj się!... W imię Ojca i Syna i Ducha... świętego!... Czyńmy, jak należy...

Święlosz odchodzi.

Śmierć będzie między mną a twoją wściekłą ręką, Hetmanie! Nie przyszedłem jeszcze na to, aby mnie hańbiono w moim własnym domu...

HETMAN wchodzi bogato ubrany.

HETMAN.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

HORSZTYŃSKI.

Na wieki wieków, amen.

HETMAN.

Sam jeden, jak tego wymagałeś po mnie, przyjeżdżam do ciebie, Mości Horsztyński, gotów ofiarować ci moją rękę.

HORSZTYŃSKI.

Ślepy jestem; nie wiem, czy mam moję dłoń na wschód, czy na północ wyciągać, aby się spotkała z twoją dłonią...

HETMAN.

Więc sądzisz, mój Horsztyniu, że ja zawsze trzymam z północą...

HORSZTYŃSKI.

Niech ciebie Bóg sądzi, panie Hetmanie.

HETMAN.

Horsztyński, wiem, że masz powierzchowne dowody...

HORSZTYŃSKI.

Na piśmie!...

HETMAN.

Tak! zabrawszy obóz Moskali, znalazłeś między gratami jakieś pismo, napisane może umyślnie na to, aby mnie oszkalować w oczach ziomków. Może umyślnie nawet dali sobie Moskale zabrać wojenne sprzęty, aby to pismo wpadło w ręce Polaków...

HORSZTYŃSKI.

Straciłem dwustu ludzi, mości Hetmanie, biorąc ten obóz umyślnie porzucony.

HETMAN.

Być może! być może!... Ale ja ci przysięgam, Horsztyński, że nic nie wiedziałem o tym szelmowskim papierze... Chcieli mnie zgubić! — A ty pomyśl... Wiedząc, że pismo takie jest w rękach mojego wroga, muszę się rzucać w przepaść, bo najczystsze moje zamiary, najświętsze postępowanie może nie przydać się na nic, skoro siwy starzec, nie przy zdrowym rozumie, zechce zwalić mnie tą oszczerczą bronią...

HORSZTYŃSKI.

Łagodniej. Panie Hetmanie, z wrogiem twoim!... wiesz, że nie jest przy zdrowym rozumie...

HETMAN.

Horsztyński! niech nasze dawne zatargi pójdą w zapomnienie! Wszak tyś mnie pierwszy obraził...

HORSZTYŃSKI.

Wydarłeś mi ją...

HETMAN.

Ty mi wydarłeś jej miłość! Słuchaj, hańba mojej małżonki żyje w moim domu i nazywa się moją córką...

HORSZTYŃSKI.

Hetmanie! gotów jestem na kolanach błagać ciebie, abyś nie rzucał przekleństw na jej mogiłę... Śmierć jej była okropna...

HETMAN.

Ha! okropna!... Widzisz, że nasze dwa serca połączone są okropną tajemnicą. Oddaj mi papiery! Daj! niech moje ręce mają co rwać i targać, bo kiedy patrzę na ciebie — —

HORSZTYŃSKI.

Ciszej — na Boga!

HETMAN.

Jutro nie przyjdę do ciebie, stary — po co dziś przychodzę...

HORSZTYŃSKI.

Choćbyś umarł, cień twój będzie klęczał na progu mojego domu co północy, błagając mnie o ten dowód okropnej — okropnej zdrady.

HETMAN.

Tak myślisz?... Są wysokie góry, na które człowiek może wejść i być niedoścignionym przez pociski ludzkie...

HORSZTYŃSKI.

Tak myślisz, Panie Hetmanie?

HETMAN.

Panie Horsztyński, ostatni raz mówię do ciebie: oddaj mi papiery! Spalę je na twojem ognisku i będę żył spokojny w moim zamku.

HORSZTYŃSKI.

Ale ja nie będę żył spokojnie w mojej chacie. Te papiery są oczyma, którymi patrzę na ciebie, Panie mój miłościwy — i spokojny jestem, bo zdaje mi się, że ciebie otrętwiłem, jak wąż, kiedy z biednej ptaszyny oka nie zwraca.

HETMAN.

Podły szlachciuro!

HORSZTYŃSKI.

Co?... jesteś w moim domu, miłościwy Panie!

HETMAN.

I syn bywa w domu twoim... dlaczego?

HORSZTYŃSKI.

Bo... bo mi przypomina głos twojej żony, miłościwy Panie!

HETMAN, *dobywając szabli.*

Ha!... powtóre...

HORSZTYŃSKI.

Nie dobywaj szabli, Mości Hetmanie, bo ja ci ją wyświszczę z ręku!...

Hetman tnie pałaszem w zwierciadło.

HORSZTYŃSKI.

Co za brzęk?

HETMAN.

Zabiłem twego zdrajcę, Horsztyński... zwierciadło...

HORSZTYŃSKI.

Nie rozumiem —

HETMAN.

W tem zwierciedle stał człowiek z dubeltówką.

HORSZTYŃSKI.

O! mój Boże!

HETMAN.

Choć tu... chodź! Stań za krzesłem twego pana — niech się nie boi!

Świętosz wychodzi żołnierskim krokiem.

Ludzie, jak ja, wchodzą sami do jaskini zdrady i nie boją się. — O hańbo! Nie można ufać szlacheckiemu słowu. Nie chcę twoich papierów, Horsztyński, tyś je może sam sfałszował. Ludzie będą wiedzieli, co mają o tobie myśleć, Panie Horsztyński. Jutro... zatraduję ci majątek, Panie Horsztyński; boś był winien żydom pięć tysięcy dukatów, a ja od żydów skupiłem weksle za połowę ceny, bo nikt nie wierzył twojemu obligowi, tylko na pół, Panie Horsztyński! a wyrok sądu ziemskiego gotowy leży u jurysty. A kiedy ci Hetman litewski zabierze majątek, to pójdziesz z żoną pod próg sali jakiej konfederacji i przedasz za kilka groszy papiery zdradzieckie i będzie to chleb ostatni kupiony — a nie wyżebrany, bo ty będziesz żebrakiem, Panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

I moja żona!...

HETMAN.

Żona twoja? Żonie twojej mój syn da pieniędzy, Panie Horsztyński.

HORSZTYŃSKI.

Syn... dlaczego twój syn?

HETMAN.

Głupi stary, jak but! — każ strzelać za mną!

Odchodzi.

ŚWIĘTOSZ.

Panie mój...

HORSZTYŃSKI.

Precz, precz! — czy on odszedł?

ŚWIĘTOSZ.

Odjechał.

HORSZTYŃSKI.

Idź Świętoszu, idź! Ja sam zostanę z hańbą. Co ten starzec mówił o mojej żonie? Myślę, myślę głęboko i nie mogę nic rozwidnić w głowie. Ludzie wlepiając oczy w jedno miejsce, dopomagają głębokiej pracy umysłu; moje oczy w ciemnościach utopione — a nie rozumiem! dalibóg, nie rozumiem.

Po chwili gwałtownie.

Cudzołożnica!...

Wstaje i pada na krzesło.

Ja zwarjuję!... Dlaczego ja mu nie oddałem papierów? Nie wiedziałbym... Więc to jeszcze okropniej nie wiedzieć i całować ją w czoło. Brr! O jak mi zimno! I ksiądz — i ksiądz — i ksiądz — wszak on ma oczy! gdyby co widział... stary przyjaciel! Ha! ja odzyskam jakiś wzrok, sięgający w przeszłość — okropne widzę obrazy: oszukują starca i śmieją się i czekają śmierci starca. Nie, ja nie mogę spytać mojej żony! czuję, że jakaś wstydliwość zamknie mi usta. A jeśli powie „nie“ — nie będę wierzył... a ona nic innego odpowiedzieć nie może, tylko „nie“ — nie! ja niewinna!“ a twarz jej, której ja widzieć nie będę, może się odwróci odemnie z wyrazem... O! Boże mój, Boże! niech się ziemia zapadnie podemną!

Sally! Sally! ty taka byłaś biedna i nieszczęśliwa, kiedym ciebie prowadził do ołtarza. Matka twoja obłąkana krzyczała mi nad uchem: kto weźmie moją Sally, weźmie warjatkę, bo Sally — to ja!... I biedna dziewczyna płakała, a ja przysięgałem, że będę ją prowadził kwiecistą drogą życia — że będę jej ojcem. I... byłem jej ojcem.

Zastanów się starcze, co ty jej na ziemi zostawisz po sobie — zgryzotę i żebractwo?... Biedna ona! biedna ona! Trzeba czynić, jak Jezus Chrystus nakazał. — Co mi po tym błahym świecie?! Zostawmy ludzi w pokoju, niech jęczą — śmieją się — szaleją — skaczą; niechaj szukają szczęścia w nieszczęściu drugich — ale niech nie przeklinają umarłych! Ja umarłem... Spokojność! spokojność, spokojność...

Mam jakąś dziwną wizję przeznaczenia ludzkiego — spokojność.

SALOMEA wchodzi w słomianym kapeluszu.

SALOMEA.

Czy on śpi? Trzeba przejść cicho i zamknąć okiennice — słońce pada na jego siwe włosy.

HORSZTYŃSKI.

Siwe włosy... ha...

SALOMEA.

Myślałam, żeś usnął. Idę przygotować pod lipą ogrodową śniadanie, zbiorę tobie sama świeżą śmietankę, sama nazbierałam poziomek.

HORSZTYŃSKI.

Gdzieś była, Sally?

SALOMEA.

U księdza Prokopa.

HORSZTYŃSKI.

Czy ty poziomki dla mnie zbierałaś na mogiłach cmentarza pod kościółkiem?

SALOMEA.

Nie, mój Ksawery, wracając zbierałam je po lesie.

HORSZTYŃSKI.

Spowiadałaś się dziś?

SALOMEA.

Poszłam do celi z tą myślą, bo byłam smutna, i nie znalazłam księdza u siebie. Może był we wsi u starego Grzegorza; mówią, że ten starzec bardzo chory. Usiadłam w celi czekając na księdza — i znudziłam się. Jak ta cela cicha oświecona wschodzącem słońcem, piękna i miła! — las sosnowy pod oknami kołysał się z szumem — wilgi smutno śpiewały. I zaczęłam dumać, potem chcąc się nieco rozerwać, zaczęłam przebierać książki na zapylonych policach szafy. Widać, że nasz księżulo nie często do szafy zaziera — a takie dziwne w tych książkach obrazki. Jakaś święta uderza białą lilją lwa po nosie, a w drugiej książce znalazłam piekło — jeden czarny djabeł pali czarną lulkę, a w lulce zamiast tytoniu palą i skwarzą i dymią biedne duszeczki.

HORSZTYŃSKI.

Ale czy się spowiadałaś?

SALOMEA.

Nie spowiadałam się, bo te obrazki tak mnie dziecinnie rozweseliły.

HORSZTYŃSKI.

Nie spowiadałaś się? dlaczego?

SALOMEA.

Mówiłam ci, mężu, że te obrazki... Jaki ty dziś roztargniony, mój Ksawery. Czy tu był kto?

HORSZTYŃSKI.

Żono! powiedz mi...

SALOMEA.

Co, mężu...

HORSZTYŃSKI.

Ale tak, bijąc się w piersi, powiedz mi...

SALOMEA.

Bijąc się w piersi...

HORSZTYŃSKI.

Powiedz!... Prawdziwie zapomniałem o czem cię chciałem pytać... jaki ja stary!

SALOMEA.

Może ja tobie przypomnę, mężu!

HORSZTYŃSKI.

Nie — nie — nie!... ty nie możesz wiedzieć o tem, o czem ja myślę. Podaj mi papier i pióro, napiszesz odemnie list... kilka słów.

SALOMEA, *siada do pisania.*

Dyktuj!...

HORSZTYŃSKI.

Wielmożny Mości Dobrodzieju —

SALOMEA, *pisząc.*

Dobrodzieju...

HORSZTYŃSKI.

Prawdziwie, że to śmieszne słowo!...

SALOMEA.

Cóż dalej?

HORSZTYŃSKI.

Poczekaj — pomyślę... Pisz: Jeżeli Acan jesteś honorowym człowiekiem, to czekam na ciebie dziś wieczór w moim domu.

SALOMEA.

Do kogo ten list?

HORSZTYŃSKI.

Daj! Podpiszę —

SALOMEA.

Ale na miłość Boga, do kogo?

HORSZTYŃSKI.

Co mi Acani!

SALOMEA.

O! to okropne słowo!

HORSZTYŃSKI.

Sally! bo ty mnie drażnisz, jak dziecko. Daj mi ten list — gdzie podpisać?

SALOMEA.

Tu.

HORSZTYŃSKI.

Idź teraz, przygotuj mi śniadanie i zawołaj mi Świętosza!

SALOMEA.

Dobrze! ale pocałuj mnie w czoło i przeproś za to słowo „Acani!"

HORSZTYŃSKI.

Dobrze!... Pocałuję ciebie, jeżeli mi będą smakować twoje poziomki.

SALOMEA, *bierze dzbanek i tłucze.*

Mężu, rozbiłam dzbanek.

HORSZTYŃSKI.

Umyślnie?

SALOMEA.

Umyślnie, żebyś mnie pocałował w czoło nie za poziomki.

HORSZTYŃSKI.

Źle zrobiłaś, Sally... Świętoszu!

ŚWIĘTOSZ wbiega.

ŚWIĘTOSZ.

Słucham...

HORSZTYŃSKI.

Po śniadaniu odprowadzisz mnie do mojego pokoju. Mam ci coś ważnego zalecić. — Daj mi rękę, żono! pójdziemy pod lipę.

Wychodzą.

SCENA II.

Chata rybacka.

SZCZĘSNY i MARYNA ubrana w długiej przewiązanej koszuli z szarawego płótna, z wiankiem bławatków na głowie.

SZCZĘSNY.

Gdzie ty chodziłaś, Maryno?

MARYNA.

Zbierałam w życie bławatki, żeby się paniczowi ustroić. Czy ja ładna?

SZCZĘSNY.

Tak sobie.

MARYNA.

Wczoraj panicz mówił, że ja ładna?

SZCZĘSNY.

Wczoraj, kiedyś wypłynęła z Wilji na brzeg ogrodowy — do jaśminowej altany — słowiki śpiewały, księżyc świecił — wczoraj byłaś ładna...

MARYNA.

A dziś... To paniczowi nigdy wierzyć nie trzeba.

SZCZĘSNY.

Jak chcesz sobie.

MARYNA.

Panicz był kiedyś lepszy... przychodził do chaty, uczył mnie czytać, jak bakałarz — i śmiał się i żartował...

SZCZĘSNY.

Cóż to czytasz?

MARYNA.

Książkę, co panicz dał.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój podobno umarł?

MARYNA.

Zabili Moskale.

SZCZĘSNY.

Modlisz ty się za niego?

MARYNA.

Jak pomyślę, to się modlę... jak nie pomyślę, to nie.

SZCZĘSNY.

Ojciec twój, gdyby żył, możeby się bardzo smucił z ciebie, Maryno?

MARYNA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Wszak ty wiesz, że ja się z tobą nie ożenię.

MARYNA.

Właśnie ja nie znajdę sobie chłopca?!

SZCZĘSNY.

To ty myślisz, Maryno, pójść za mąż... za poczciwego człowieka?

MARYNA.

Za poczciwego i przystojnego jeszcze.

SZCZĘSNY.

Więc ty mnie nie kochasz?...

MARYNA.

Czegoż panicz chce odemnie więcej?

SZCZĘSNY.

Prawda! ja szalony... ty dobra dziewczyna. — Co to za zgiełk?... Zobacz, kto to nadchodzi.

MARYNA wychodzi.

O dziwne serce ludzkie!... zmysły moje rozigrane do dziś nie spostrzegły, że to kamień... Zdawała mi się Nereidą Wilji — serca nasze biły razem — usta płonęły — cała altana wydawała mi się mitologicznym kościołem miłości. Słowiki, księżyc, były częścią tej kobiety... Ja się muszę już starzeć...

MARYNA, *wbiegając.*

Paniczu! jacyś panowie tu biegną!

SZCZĘSNY.

Cóż to? na ciebie polują?

MARYNA.

Za co mnie panicz bierze?

KSIŃSKI, WYRWIK i SKOWICZ wpadają.

KSIŃSKI.

Ha! dalibóg, Pan Szczęsny przy ładnej dziewczynie...

SZCZĘSNY.

Podoba ci się, Mości Ksiński?

KSIŃSKI.

Na honor ładna!

MARYNA.

Niech panicz mnie broni!... ci panowie śmieją się ze mnie.

WYRWIK.

A któżby zaś śmiał śmiać się? i śmiejąc się śmiał śmiać się?

SZCZĘSNY.

Czy ten jegomość pijany?

KSIŃSKI.

Biedny Wyrwik, chce sobie wyłamać język, bo się jąkał. To Demostenes naszej partji teraz.

WYRWIK.

Pozwól, zwolennico wdzięków — całopalenie całusem shołdować.

SKOWICZ.

Stój! czy nie widzisz, że pan hrabia krzywo patrzy na ciebie?

WYRWIK.

Krzywda krzywopatrzeniem nie konstytuuje obrazy.

KSIŃSKI.

Panie Szczęsny, czy doprawdy ta dziewoja trzyma w dłoni twoje serce?

SZCZĘSNY.

Abym dowiódł, że nie, daję tej dziewczynie tysiąc dukatów posagu; niech ją który z was weźmie za żonę.

KSIŃSKI.

Panie Skowiczu?

SKOWICZ.

Chłopka!...

SZCZĘSNY.

Bywajcie zdrowi, republikanie!

Odchodzi.

KSIŃSKI.

Czy pan Szczęsny kocha ciebie, dziewczyno?

MARYNA.

Co Panom do tego!

KSIŃSKI.

Wiecie Panowie, że ta dziewczyna posłuży nam w naszych widokach. Trzeba działać na imaginacją pana Szczęsnego, aby go posadzić na koń, jak tego żąda pan Hetman. — Słuchaj, jak się nazywasz?

MARYNA.

Maryna.

KSIŃSKI.

Moja piękna Maryno, umiesz ty jeździć konno?

MARYNA.

Odwagi nie brakuje.

KSIŃSKI.

Słuchaj! dziś wieczorem ubierzemy ciebie w piękny ułański mundur — nauczymy, co masz mówić, i pojedziesz z nami do zamku.

MARYNA.

Ja się lękam pana Hetmana... taki straszny — czerwony! on strzela w ludzi!

KSIŃSKI.

Nie bój się! Pan Hetman da ci owszem piękny posag, jeżeli zrobisz to, czego żądamy.

MARYNA.

A czy panicz się nie będzie gniewał?

KSIŃSKI.

I owszem, i owszem! — Panicz ciebie bardzo pokocha w twoim ładnym mundurze.

MARYNA.

Namyślę się...

KSIŃSKI.

Mości Panowie, otóż to głowa Ksińskiego! Stworzył Jeanne d'Arc... targowiczańskiej partji! Do tego szampan — wymowa twoja, Panie Demostenesie Wyrwiku...

WSZYSCY.

Brawo! brawo! brawo!

KSIŃSKI, do Maryny.

Do wieczora...

MARYNA.

Namyślę się.

KSIŃSKI.

Ale tu nie ma czasu myśleć...

MARYNA.

Kiedy ja nie rozumiem, o co chodzi...

KSIŃSKI.

No widzę, że się zgodzisz... Chodźmy! chodźmy!

Odchodzi.

MARYNA.

Czego oni chcą odemnie? Żartują... Pójdę zobaczyć, gdzie ci panowie pojadą...

Odchodzi za nimi.

SCENA III.

Gabinet Hetmana. — KARZEŁ układa papiery.

KARZEŁ.

Co to jest wielkość?... Ludzie wchodzą do tego gabinetu skurczeni we dwoje... Uważam często, z jakiem przerażeniem

patrzą na mnie, kiedy śmiem dotknąć koperty zapieczętowanego listu — albo hetmańskiego szlafroka... Głupcy! Ja widziałem, jak temu hetmanowi stawiał żyd pijawki: szlachcianki kałuży cięły za uchem, pompując krew z czerwonego nosa. Od tego czasu zacząłem być filozofem — i śmiać się z karłów.

SFORKA, *odsłaniając zasłonę.*

Czy Pan Hetman jeszcze nie wrócił?

KARZEŁ.

A czego chcesz, Panie intendencie?... Nic nie odpowiedział... zły na mnie od czasu, jak go nazwałem ekonomem...

SFORKA.

Co wolno karłowi, to wolno jest panu Sforce...

Wchodzi i siada.

KARZEŁ.

Słyszałem, Panie Sforka, że miałeś odwiedziny ważnej jakiejś figury.

SFORKA.

Co? czy ty wiesz o tem, Stynko?

KARZEŁ.

Poznałem pana po mundurze.

SFORKA.

Żebyś ty wiedział, jak to trudno z Włochami rozmawiać!

KARZEŁ.

Zwłaszcza temu, kto nie umie geografji...

SFORKA.

Ja umiem geografją przecie.

KARZEŁ.

A sprzeczałeś się ze mną, że Wezuwiusz był cesarzem rzymskim.

SFORKA.

Kłamiesz jak pies, moja Sielawo, Wezuwiusz to góra — zawsze mówiłem, że Wezuwiusz to góra...

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wezuwiusz to dziura.

SFORKA.

A ja ci powiadam, że to wulkan.

KARZEŁ.

A ja ci powiadam, że Wulkan to bożek mitologiczny.

SFORKA.

Ja wiem bardzo dobrze, że to bożek mitologiczny.

KARZEŁ.

A dlaczegoż mówiłeś, że to góra?

SFORKA.

Chciałem z ciebie pożartować, błaźnie.

KARZEŁ.

Jak będziesz panem, to będziesz miał błazna.

SFORKA.

Skądże ty wiesz, że ja będę panem?

KARZEŁ.

Świat — to loterja, Panie Sforka. Często głupi wygrywa los wielki — ogromne sumy...

SFORKA.

Ale ja nie głupi...

KARZEŁ.

Ja bardzo dobrze wiem o tem; ale kiedy głupi często wygrywa, to rozumny, jak ty panie Sforka, człowiek jeszcze częściej...

SFORKA.

I ty myślisz, że na mnie spadną ogromne sumy?

KARZEŁ.

Prawda, że to być nie może...

SFORKA.

Być bardzo może, panie karle! Mam coś w kieszeni — kilka słówek — położyć kilka słówek odpowiedzi — a rozmnożone przez B dziesięć pytań, plus dziesięć odpowiedzi — algebraicznie i arytmetycznie dadzą...

KARZEŁ.

Dadzą X.

SFORKA.

A wiesz ty, co to X?

KARZEŁ.

Przed nazwiskiem napisane znaczy Xiążę...

SFORKA.

Dalibóg, że ten karzeł nie głupi! Ja sam o tem nie pomyślałem...

Wchodzi HETMAN, KARZEŁ I SFORKA — wstają nagle.

HETMAN.

Co wy tu gałgany w moim gabinecie, w czapkach?

SFORKA.

Czekaliśmy na Jaśnie Oświeconego...

HETMAN.

Mogłeś zdjąć czapkę przed moim stołkiem — nawet przed synonimem tronu.

SFORKA.

Co to znaczy synonim tronu, karle?

KARZEŁ.

Znaczy, że syn O nie ma tronu —

SFORKA.

Syn Jaśnie Oświeconego Pana będzie zapewne na tronie, jeśli się nam uda...

HETMAN.

Słuchaj! jutro, jak świt, wyjeżdżam do Wilna.

SFORKA.

Sam Najjaśniejszy Hetman?

HETMAN.

Sam. Zmieniły się rzeczy — trzeba działać... Syn mój zostanie w zamku i wieczorem przyprowadzi mi moją legję...

SFORKA.

Czy zgodził się już Hrabia Szczęsny?

HETMAN.

Zgodził się? — Dziesięciu darmojadów odpowie mi głową za jego zgodę! Wszak mi odpowiadali zawsze: niepodobna, aby syn twój nie zechciał... nasza to rzecz, Panie Hetmanie.— Niech więc dziś dopną swego, albo — na Boga! powywieszam, jak wędzonki w kominach. Syn mój byle się raz skompromitował, już będzie mi niepotrzebny. Teraz ludzie uważają go za hak, na którym ojca powiesić trzeba... Wiesz ty, że sam Jasiński widział się z nim przeszłej nocy? ale nic nie zyskał...

SFORKA.

Jasiński? ten wisielec?

HETMAN.

Ksiński widział go przeszłej nocy w ogrodzie. Gdyby miał był kilku ludzi, schwytałby ptaszka... Mówią, że się kryje koło Pomar.

SFORKA.

Może napaść na Wilno...

HETMAN.

Ja wyjeżdżam do Wilna... słyszałeś?

SFORKA.

Zapewne, że Jaśnie Wielmożny Hetman...

KARZEŁ.

I Najświętsza Panna Ostrombramska...

SFORKA.

I Najświętsza Panna Ostrobramska... nie dopuszczą...

HETMAN.

Masz listę szlachty, co tu ma zjechać wieczorem?

SFORKA.

Oto jest.

Dobywa papieru.

HETMAN.

Daj mi okulary...

Wkłada okulary.

Czytajmy... jakie imiona?

Czyta.

Łatwe do zadania,
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

SFORKA, *pada na kolana.*

Jaśnie Wielmożny Panie! to nie ten papier...

HETMAN, *nogą bije go w piersi.*

Psie!...

Sforka wywraca się omdlały.

Co? czy zdechł? Karle, zobacz!

KARZEŁ.

Oddycha.

HETMAN.

Ten stary nie wie, że każde uderzenie mego serca jest zamkniętym w piersiach piorunem... Zawołaj hajduków!... Czaszka tego starca z okropnym dźwiękiem uderzyła o podłogę... Sforka! Sforka! Sforka!

Do karła z hajdukami.

Wynieście go i zawołajcie doktora... Ty bracie, masz jednę rękę wolną — weź ten znosek *(pokazując na karła)* i daj mu dziesięć bizunów!

KARZEŁ.

Panie!!!

HETMAN.

Dwadzieścia bizunów!

KARZEŁ.

Za co?

HETMAN.

Trzydzieści bizunów!

Wynoszą Karła i Sforkę.

Czy zgodzi się syn mój?... Pytają mnie o serce mego syna... Co to za zgiełk? hej...

HAJDUK wchodzi.

Co to za zgiełk?

HAJDUK.

To wypuszczono psów na zamkowego niedźwiedzia.

HETMAN.

Zawołać karła! poszedłem z nim w zakład, że niedźwiedź rozedrze sroczkę czarną — hej! zawołać mi karła!

Wychodzi.

SCENA IV.

Pokój inny w zamku. — KSIŃSKI sam.

KSIŃSKI.

Zbliża się godzina działania. Przyrzekłem panu Hetmanowi, że syn jego siądzie na koń — i dotychczas nie mogłem ani słowa prawdy wygrzebać z ust tego młodzieńca. Trzeba nareszcie, żeby się zdeklarował. Gdybym to ja był synem hetmana!... ha! ha! pani natura nie wie sama, co robi. Taka głupia jak człowiek, coby szampana zlewał do porterowej butelki... Pani natura dała mi długą szyję, nogi i ręce — i właśnie uczyniła mnie

człowiekiem pokłonnym, kłaniającym się. Ba! rzecz to jeszcze do rozwiązania, czy krótkiemu, czy długiemu człowiekowi łatwiej zgiąć się we dwoje. Nie! natura — rozumna pani! Zamiast grubego brzucha, dała mi w miejscu pasa coś nakształt pergaminowych zawiasów tekturowego pudełka, brzuch, mości dobrodzieju, podobny do pustej teki, zmarszczony — wpadły i nie skrzypiący w chwili ukłonu.

SZCZĘSNY wchodzi z książką.

Witam, Panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Jak się miewasz, przyjacielu?

KSIŃSKI.

Pan Hrabia bawi się lekturą...

SZCZĘSNY.

Tak.

KSIŃSKI.

To zatrudnienie wielkich ludzi.

SZCZĘSNY.

Czytasz często?

KSIŃSKI.

Ja, Panie Hrabio? Od czasu szkół...

SZCZĘSNY.

Rozumiem. Czemu nie idziesz patrzeć na walkę niedźwiedziów?

KSIŃSKI.

Ważny interes dobra pospolitego zajmuje mnie całego. Mości Hrabio! dziś ważny dzień dla naszej sprawy — cała Polska czeka ukazania się nowego słońca na horyzoncie politycznym.

SZCZĘSNY.

Czy przygotowała zaczernione dymem szkiełka?

KSIŃSKI.

Jak to, Panie Hrabio?

SZCZĘSNY.

Inaczej oślepnie, patrząc gołem okiem na słońce.

KSIŃSKI.

Twoi przyjaciele będą jako chmura koło ciebie, Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Ha! to ja mam być tem słońcem?...

Czyta.

KSIŃSKI.

Nie zechcesz zapewne, Panie Hrabio, zasmucić ojca twego haniebną opieszałością. Literatura dobra jest, Panie Szczęsny, w spokojnych czasach; ale wtenczas, kiedy działać potrzeba, co znaczy alembikowanie druków na esencją myśli?

SZCZĘSNY.

Czytałeś ty kiedy Platona o nieśmiertelnej duszy?

KSIŃSKI.

Zdaje mi się, że czytałem.

SZCZĘSNY.

Cóż sądzisz?

KSIŃSKI.

Sądzę, Panie Hrabio, że potrzeba zdecydować się.

SZCZĘSNY.

Na co?

KSIŃSKI.

Ale uważaj, Panie Hrabio, że kraj potrzebuje sprężystej pomocy inaczej... inaczej... Co mi tam nieśmiertelność duszy! gdyby Platon żył w tych czasach, byłby republikaninem, jak ja.

SZCZĘSNY.

Śmierć nie jest śmiercią...

KSIŃSKI.

Ale jeżeli kraj umrze...

SZCZĘSNY.

Dusza jest nieśmiertelna, Panie Ksiński... Słuchaj! rzecz wielka — a nawet błahy odłam wielkiej rzeczy umrzeć nie może. Oto, po przeciągu lat 2000 wiem dzisiaj, że Sokrates z Fedonem rozmawiał o piękności, jak ja z tobą. Może trochę inaczej, bo obaj byli bez butów...

KSIŃSKI.

Fatałachy!...

SZCZĘSNY.

Coś jest dziwnego w tych fatałachach, porównanych z wielkimi rzeczami tego wieku! Sokrates powiedział do Fedona: — Gorąco dziś: jeżeli chcesz, to pójdziemy nad błękitny strumień —

a rozmawiając nogi nasze zanurzymy w chłodnej wodzie. Poszli nad strumień... Widzę ich... siedzieli na lekkiej pochyłości okrytej bujną murawą; fale żywe łaskotały nagie ich stopy, platan rozłożysty dawał cień przyjemny i słychać było śpiewanie polnych koników, które się kryły w murawie przed upałem południowym...

KSIŃSKI.

Powiedz mi, Panie Hrabio, cóż jest w tem wielkiego?

SZCZĘSNY.

Nic.

KSIŃSKI.

Czegóż to uczy?

SZCZĘSNY.

Abyśmy poszli obadwa na trawę, bo gorąco. Jeżeli jesteś Platonem, ty albo kto z ludzi tutaj przytomnych, choćby karzeł mego ojca, to będą ludzie wiedzieli po upływie 2000 lat, żeśmy z tobą leżeli na trawie — nad Wilją.

KSIŃSKI.

To metafizyka!... nie rozumiem.

SZCZĘSNY.

Mówiąc o piękności, Sokrates przyrównał naturę człowieka do woza zaprzężonego dwoma końmi. Jeden czarny, rwie się i pieni: drugi, biały jak mleko, opiera się zapałowi towarzysza; Woźnica złotemi lejcami kieruje sprzeczne zapędy obu. Czarny koń — to zmysły, biały — to dusza; woźnica — to rozum.

KSIŃSKI.

Nie rozumiem, dalibóg nie rozumiem!

SZCZĘSNY.

Umiesz ty powozić z kozła?

KSIŃSKI.

Umiem.

SZCZĘSNY.

Na cudzym wozie, nie mając koni?

KSIŃSKI.

Na honor powiozę.

SZCZĘSNY.

Zepchnij woźnicę i bądź sam woźnicą.

Odchodzi — staje.

KSIŃSKI.

Ale na Boga! gdyby cię kto słyszał, Panie Hrabio, powiedziałby...

SZCZĘSNY.

Co?

KSIŃSKI.

Żeś zwarjował.

SZCZĘSNY.

Rozgłoś to po zamku...

Odchodzi.

KSIŃSKI.

Wywinął się... Czy on głupi, czy ja głupi?... Czy Szczęsny gada od rzeczy? Tak być musi, bo gada o niczem.

AMELJA wchodzi.

AMELJA.

Słyszałam tu głos mego brata.

KSIŃSKI.

Pani, przyjmij odemnie uniżony respekt!

AMELJA.

Słyszałam tu głos mego brata, chciałabym z nim pomówić.

KSIŃSKI.

Niech go Pani raczy różanymi ustami skłonić do działania. Ciągle zajęty fatałachami.

AMELJA.

Właśnie mam polecenie od ojca, abym go namawiała do czynniejszego życia.

KSIŃSKI.

Niech Pani wymoże na nim, aby był przytomnym uczcie dzisiejszej, a my go szampanem i wymową wyegzaltujemy.

AMELJA.

Szampanem? wstydź się, Panie Ksiński!... Ty myślisz jego wielką duszę podstępem skłonić do wielkiego dzieła? O! zaczynam wątpić o czystości waszych zamiarów, jeżeli sposoby do dopięcia celu macie tak błahe i podłe. Ja mego brata ochronię od waszej namowy. Niech pan będzie tak dobry, poszuka go w ogrodzie i przyśle tutaj.

KSIŃSKI.

Rozkaz Pani...

Odchodzi.

AMELJA.

Jaka różnica między tymi ludźmi a moim bratem! Nieraz rozmyślam głęboko, dlaczego Szczęsny wydaje mi się tak pięknym i wyniosłym, zwłaszcza kiedy spokojny; bo jak uleci w niebo myślami, nie mogę za nim ścigać i myśl moja gubi się w chmurach. O jakbym go chciała zobaczyć na scenie czynnego świata — wyższego nad ludzi!

SZCZĘSNY, *wchodząc.*

Siostro, dobry dzień.

AMELJA.

Szczęsny, ojciec mnie prosił, abym pomówiła z tobą...

SZCZĘSNY.

Wolałbym rozmawiać z tobą, niż z moim ojcem...

AMELJA.

Otóż będę mówiła słowami mego serca. Ty taki dobry dla twojej siostry; pamiętam te chwile, kiedy dziećmi będąc, razem biegaliśmy po nadwilejskich łąkach za motylami wiosny; kiedy jesienią w zasypanych liściem alejach lubiliśmy chodzić razem i dumać. Ja się nie odmieniłam, ale tyś się bardzo odmienił, Szczęsny...

SZCZĘSNY.

Czy ty myślałaś, że ja nigdy nie urosnę?

AMELJA.

Powiedz mi, czy ty mnie masz za tak błahe stworzenie, że niewarta jestem jednego smutnego słowa z twojej duszy?

SZCZĘSNY.

Ja bardzo smutnie mówię do ciebie...

AMELJA.

Widzę, że straciłam twoje zaufanie.

SZCZĘSNY.

Czy ci mówił Ksiński, że zwarjowałem?

AMELJA.

Zostaw tych ludzi w pokoju, Szczęsny — i bądź ze mną, jak z twoją przyjaciółką, raz tylko, przez kwadrans! Powiedz mi, dlaczego nie chcesz wypełnić woli twego ojca? Ojciec nic niegodnego żądać nie może. Czyż mógłby chcieć wtrącić ciebie w przepaść? Powiedz mi, bracie, cóż widzisz w ojca zamiarach, że nie chcesz im pomagać?

SZCZĘSNY.

Nic nie widzę i dlatego właśnie, że nic nie widzę...

AMELJA.

Dlatego?

SZCZĘSNY.

Jestem ślepy...

AMELJA.

Czytałam o królu Janie-bez-ziemi, że będąc ślepy, kazał się przywiązać między dwóch śmiałych żołnierzy i z pałaszem dobytym wpadł na wrogów i poległ. Bądź więc między twoją siostrą a ojcem! niech ciebie prowadzą na pole sławy!

SZCZĘSNY.

Jaka ty uczona! *(chodzi po sali zamyślony).*

AMELJA.

Widzę, mój bracie, mój najdroższy — mój najmilszy, że ty się zaczynasz nawracać na siostry twojej mowę. Widzę myśl wzniosłą w zmarszczkach twego czoła...

SZCZĘSNY.

Wzniosła... dziecinna!...

AMELJA.

O! nie wracaj do ironji.

SZCZĘSNY.

Dalibóg, że miałem myśl dziecinną... Masz w bukiecie twoim białą margeritkę. Oberwij ją mówiąc: t a k, n i e — za każdym listkiem. Jeżeli wypadnie t a k... to będę z moim ojcem.

AMELJA.

Jakże ty rzecz ważną możesz kłaść na te marne listki kwiatu? więc los ci może rozkazać, a siostra twoja nie może?

SZCZĘSNY.

Tak — los może mi rozkazać rzecz obojętną... bo prawdziwie, że teraz to rzecz obojętna dla mnie; a nawet wyznam ci, że tak zabrnąłem w zawikłanych sidłach tego świata, że będę się cieszył, jeżeli margeritka powie t a k... Obroni mnie od wyrzutów sumienia — rozwiąże z nienawistnych węzłów —

AMELJA.

Co ty masz na sumieniu? Bracie luby, nieraz patrząc na twoje zamyślone czoło, nie mogę znaleźć innego porównania, jak do pochylonej białej i nieskalanej lilji. Prawda, że twoja dusza czysta?

SZCZĘSNY.

Oberwij margeritkę!

AMELJA, *obrywa listek.*

Tak, nie... tak, nie...

SZCZĘSNY.

Patrzę na te spadające listki z okropnem przerażeniem. O! błahość ludzkich zamiarów...

AMELJA.

Tak.

SZCZĘSNY.

Szatani! Wypadło t a k!... Idź, powiedz mojemu ojcu, że jestem — na wieki — na wieki! i będę z nim aż w tamtem życiu odpowiadał za krew i jęki.

AMELJA.

O Boże! o Boże!

SZCZĘSNY.

Proś za mnie Boga, bo ja ci powiadam, że lepiej by dla mnie było, gdybym był umarł w żywocie matki! bo teraz spałbym, odpoczywałbym, a tak... a tak? czem ja będę?

AMELJA.

Bracie, przebacz mi!

SZCZĘSNY.

Tobie?... co przebaczyć?... Ja sobie tylko przebaczyć nie mogę, że w tajemnicy serca żądałem... O! wielkość, sława!... Ale na Boga! ja nie takiej chciałem sławy — nie takiej wielkości. Stało się...

AMELJA.

Bracie, ja skłamałam — wypadło n i e!

SZCZĘSNY.

Teraz skłamałaś, Ameljo! Wypadło t a k. Ja wiem, że mię los miał rzucić na taką drogę. Wahałem się — o włosek. Włosek się zerwał — a teraz będą się urywać wszystkie skały zawieszone nad moją głową.

SŁUGA *wchodzi.*

List do Pana Hrabiego.

SZCZĘSNY.

Kto przyniósł?

SŁUGA.

Jakiś siwy starzec, w szarej czamarze.

SZCZĘSNY.

Ale ten list bez adresu.

SŁUGA.

Powiedział, że od ślepego człowieka.

SZCZĘSNY.

Ha!...

Odpieczętowywa, czyta.

AMELJA.

Szczęsny! jaką ty masz twarz?! To jakaś zła nowina!

SZCZĘSNY.

I owszem, bardzo dobra! Zaczynam być, czem jestem. Ludzie mnie poznają... Powiedz temu człowiekowi, że przyjdę. O! gdyby się cofnąć o rok życia — nie przyszedłbym na taką godzinę!... Ameljo!... Ameljo!... Ameljo!...

AMELJA.

O jaki jęk!...

SZCZĘSNY.

Nic!... Siadaj! Prawda, że ja nie jestem złego serca człowiekiem? ty wierzysz we mnie; prawda, Ameljo?

AMELJA.

Bracie, jakie ja nieznane nieszczęście ściągnęłam na twoją głowę niewinnem, jak sądziłam, kłamstwem? Przysięgam ci na duszę matki mojej, że ostatni listek kwiatu powiedział n i e.

SZCZĘSNY.

Ameljo moja, teraz wcale mnie nie obchodzi przyszłość, ani przeszłość. Chciałbym ci wyznać wszystko, ale nie mogę. Jest okropna tajemnica, która by nas oboje zabiła, a bez wydania tej tajemnicy nie mogę usprawiedliwić najmniejszego wypadku w mojem życiu. Ameljo, błagam ciebie na imię matki twojej, nie sądź o mnie podług sądu innych ludzi — i zachowaj mi w sercu jedno długie wspomnienie! Takie wspomnienia smutne i jednobrzmienne wznoszą serca ludzkie do Boga.

AMELJA.

Ale ty się gotujesz na coś okropnego...

SZCZĘSNY.

Ja ciebie bardzo kochałem... więcej niż... *(wstaje gwałtownie).* Bądź zdrowa! Kochałem ciebie, jak brat... Słuchaj! ty kiedyś będziesz miała męża i dzieci, ale przyjdą godziny, że miłość ich nie wystarczy tobie, i porównasz ją z miłością twego

brata — i będzie ci czegoś niedostawać i będziesz płakać... O! jak my kiedyś byliśmy szczęśliwi dziećmi!...

AMELJA.

Co ci jest, bracie?

SZCZĘSNY.

Mam wielkie długi do zapłacenia.

AMELJA.

Długi? ale mój ojciec... mój ojciec zapłaci... wszystko... Ja ci przysięgam...

SZCZĘSNY.

Tak! i mój ojciec może zapłaci... Ale ja... Ty nie możesz rozumieć, siostro, zawiłych tego świata zdarzeń. To gorzej, niż w najokropniejszych przepowiedniach świętego Jana!... Są serca rozdarte na cztery części... jak zapisane głupim poematem karty papieru w ręku rozsądnego człowieka... Bądź zdrowa!... życzę ci wstąpić do klasztoru!

AMELJA.

Do klasztoru?

SZCZĘSNY.

Wszak ty nie masz męża, ani kochanka... Nie chciałbym, aby ciebie kto oszukał. — Ha! ale co ty powiesz ojcu odemnie? Czekaj, powiesz... że — pojechałem płacić długi... Ja może powrócę wieczorem. Jeżeli powrócę, to będę łachmanem, z którego nie można zrobić chorągwi dla żadnej partji... Więc niech ze mnie zrobi, co mu się podoba...

AMELJA.

Zrozumiałam... Mój Boże! teraz zrozumiałam... Szczęsny, Szczęsny!

Wybiega.

ZASŁONA SPADA.

AKT III.

SCENA I.

W domu Horsztyńskich.

HORSZTYŃSKI i SZCZĘSNY.

HORSZTYŃSKI.

Panie Hrabio, czy jesteśmy sami?

SZCZĘSNY.

Nikogo niema w pokoju.

HORSZTYŃSKI.

Był to pokój ulubiony ojca mojego... tam na prawo musi być jego portret. Cichą i łagodną miał twarz i białe włosy, jak moje włosy, ale srebrny włos jego żadnej hańby nie nosił.. Tam nad drzwiami musi być dotąd krucyfiks ze słoniowej kości na hebanowej desce.

SZCZĘSNY.

Tak.

HORSZTYŃSKI.

Pod krucyfiksem wisi para pistoletów...

Szczęsny zdejmuje pistolety.

Oto są.

HORSZTYŃSKI.

Nienabite... w stoliku na prawo — rożek z prochem i kule.

SZCZĘSNY.

Znalazłem.

HORSZTYŃSKI.

Pan wiesz zapewne, że potrzeba jeden z pistoletów nabić. Sądzę, że umiesz nabijać. Jeden pistolet w sandał, drugi w jabłeczne drzewo oprawny. Nabij Pan... Czuję zapach lip kwitnących pod oknami — myślałem, że będę spokojny — na starość!... Czy już pistolet nabity?...

SZCZĘSNY.

Wybierz Pan jeden z pistoletów.

HORSZTYŃSKI.

Ja ślepy...

SZCZĘSNY.

Wszak los powinien być sędzią...

HORSZTYŃSKI.

Los...

SZCZĘSNY.

I Bóg.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Ja wiem, który nabity.

HORSZTYŃSKI.

Proszę wybrać!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Siądź Pan tu blisko, daj mi lewą rękę. A wiesz Pan, że ja nic nie wiem, czy jesteś winny, czy niewinny — czy podły, czy szlachetny...

SZCZĘSNY.

Strzelajmy!

HORSZTYŃSKI.

Jeżeli zabijesz mię, będziesz zabójcą — jeżeli ja ciebie zabiję, będziesz samobójcą — ja będę czysty przed Bogiem.

SZCZĘSNY.

Strzelajmy...

HORSZTYŃSKI.

Może chcesz Pan pomieniać się na pistolety?

SZCZĘSNY.

Nie![1]

---

[1] Scena powyższa była pierwotnie inaczej przeprowadzona. Po napisaniu przekreślił ją poeta i dał natomiast to, co zamieszczamy w tekście. Pierwotne ułożenie było następujące:

HORSZTYŃSKI.

Czekaj, młodzieńcze! Oto chcę, abyś zobaczył, co po śmierci zostawiam na ziemi... Żebractwo!... żebractwo!... Czytaj...

SZCZĘSNY.

Cóż to? Sądów ziemskich wyrok...

HORSZTYŃSKI.

Czytaj głośno.

SZCZĘSNY.

W imieniu królewskiem...

HORSZTYŃSKI.

Idź dalej.

SZCZĘSNY.

Widzę nazwisko ojca mojego — herby sądowe... i głowa mi się zawraca.

HORSZTYŃSKI.

Wychodząc na wojnę pożyczyłem był u ojca pańskiego 5000 dukatów na całą hypotekę dóbr moich. Ojciec podczas mojej niebytności wytoczył sprawę — na nieprzytomnym wygrał — i oto wyrok... Jutro zatradowany cały mój majątek.

SZCZĘSNY.

Cały?...

HORSZTYŃSKI.

Czytaj Pan wyrok... z prelewacją na rzecz mojej żony, jej posagu i wiana...

SZCZĘSNY.

Boże!

HORSZTYŃSKI.

Żona moja nie miała posagu; a wiana zrzekła się, kiedym potrzebował pieniędzy.

SZCZĘSNY.

Jeden z naszych pistoletów nabity — jeden z nas zostanie na ziemi — i będzie czuwał nad...

HORSZTYŃSKI.

Młodzieńcze! Nieraz punkt honoru — duma tak jest silna w człowieku, że wystawiony na wybieranie między życiem a śmiercią, wstydzi się wybrać życie, myśląc, że się tym wyborem upodli — i myśli, że się poświęca. — Hrabio, ja się poświęciłem dla kraju mego i widzę teraz nicość mojego poświęcenia się. Jeżeliś niewinny, upamiętaj się i nie idź do grobu z taką obojętnością. Przypominam ci słowami starca: że Bóg nie napróżno wlał w serca nasze bojaźń śmierci. Śmierć jest coś okropnego — bardzo okropnego. Ślepy, nie mając co robić, myślałem po całych dniach, o tajemnicy grobu — i prawdziwie śmierć jest okropnością nieopisaną — cieniem wszystkiej myśli — sprężyną każdego wahania się. — Jeżeliś niewinny, upamiętaj się, nie kładź na moje siwe włosy ciężaru zbrodni — złóżmy pistolety — wybierzesz je po raz drugi..

SZCZĘSNY.

Wolałbym prędko zakończyć tę scenę.

HORSZTYŃSKI.

A teraz. Pan wiesz, że ja Pana zabić nie mogę. Ludzie powiedzą, że się chciałem pomścić straty majątku... plama haniebna pokryje moję nędzę, zatruje ostatni kawał czarnego chleba. — Rad będę jednak widział, jak osądziłeś siebie... w tym pistolecie jest wyznanie albo twojej podłej duszy — albo winy twojej.. i winy waszej... Słuchaj!

Strzela na wiatr w ścianę.

Ha! osądziłeś się winnym...

SZCZĘSNY.

Oddawałem moje życie.

SALOMEA *wpada.*

Co to za strzał?

HORSZTYŃSKI.

Prosiłem Szczęsnego, aby spróbował moich pistoletów...

SALOMEA.

Mężu! O!... Twój pistolet gorący... to ty strzeliłeś...

HORSZTYŃSKI.

Niechcący...

SALOMEA.

Strzaskałeś krucyfiks ze słoniowej kości.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfiks?...

SALOMEA.

Dlaczego Pan masz w ręku pistolet?

SZCZĘSNY.

Pani, mój pistolet nienabity — nikomu strasznym być nie może.

Skrzesza z panewki.

SALOMEA.

Mężu!

HORSZTYŃSKI.

Moja córko, zostaw nas samych. Gwarzyliśmy sobie o dawnych czasach — dziś wigilja wzięcia Częstochowy. — Jak żeńce będą z pola wracali

HORSZTYŃSKI.

Ale wiesz, że ja nie mogę jeszcze wierzyć, abyś ty był winny. Szanowałem ciebie, ufałem tobie — a choć mi oddasz życie twoje, będę pogardzał tobą — przysięgam, że nie wyleję łzy nad tobą, kiedy będziesz leżał u nóg shańbionego starca. Słuchaj! Między mną a ojcem twoim jest wielka nienawiść — i wiele do nienawiści powodów. Zdaje mi się, że Bóg wybrał rodzinę twoją, aby była ogniem strzechy mojej — trucizną studni moich — wichrem obrywającym sady moje... Walczyłem — teraz upadam jak robak rozciśniony nogami — szczęśliwy, ilekroć sobie powiem na pociechę: — Oto kraj wali się: nie dziw, że gruzy zasypały dom starego szlachcica... W ogromie takiego upadku gubię pamięć nieszczęścia; lecz kiedy pomyślę, że upadek mój, hańba domu mojego jest darem zdrajcy —

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński!...

---

każ im na dziedziniec beczkę piwa wytoczyć — dawno już nie słyszałem pieśni smutnej żeńców... Przyślę ci wkrótce Pana Hrabiego, aby wybrał najpiękniejszą żniwiarkę, której ty dasz czerwoną grażu wstążkę.

Wychodzi Salomea.

Panie Hrabio, mówmy otwarcie... W innych okolicznościach prosiłbym ciebie, abyś odjechał... Ja stary, kaleka — mam prawo do kilku dni cichego życia na tej ziemi... Ale rozmyśliłem się.. Żona moja spotkawszy mię tego rana, krzyknęła okropnie — inaczej nie wiedziałbym, że przez noc jednę osiwiałem .. Więc Bóg zamroził krew w żyłach moich... Nie mogę rosnąć jak chwast nieużyteczny pomiędzy ludźmi.. Skargi moje odprowadzają mię od celu. Proszę cię, Panie hrabio, zostań w domu moim — i czuwaj nad nią jutro.. Wiesz zapewne, że żona moja wzięła po matce usposobienie do melancholji czarnej. Jeżeli przebędzie dzień jutrzejszy, może będzie kiedyś szczęśliwa...

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, nie obrażaj się moją mową... Oto mój ojciec wydzielił mi małą wioszczynę nad brzegiem Wilji...

HORSZTYŃSKI.

Nie kończ Pan...

SZCZĘSNY.

Wyjeżdżam za granicę — wioska moja zniszczeje bez pańskiego oka...

HORSZTYŃSKI.

Co? ja mam być ekonomem?

SZCZĘSNY.

Mówiłem, że pańskiego oka potrzeba...

HORSZTYŃSKI.

Ja nie mam oczu.

SZCZĘSNY.

Nie mówmy więc o tem.

HORSZTYŃSKI

Rozmowa nasza urywa się...

SZCZĘSNY.

Więc odchodzę.

HORSZTYŃSKI.

Przysięgam, że to upodlenie, nieszczęśliwym zostać przez panów Kosakowskich. Nie oparłem chaty mojej o mury zamku waszego — przyszliście sami szukać mojej dziedziny. Ojciec bierze mi i wydziera chleb, ostatni kawał chleba na starość — a ty, ty może gorszy od ojca. Zdaje mi się, że wy bardzo podli — muszę zostawić tobie życie, Panie Szczęsny.

SZCZĘSNY.

Panie Horsztyński, wybierajmy pistolety.

HORSZTYŃSKI.

Słuchaj! tak pogardzam waszą rodziną, że jeżeli ona kochała ciebie: to lituję się nad nią — to nieszczęście i hańba i kara boska i plaga mojżeszowa, kochać podłego człowieka. Ale może ty niewinny tej ostatniej zbrodni... W takim razie... czy wiesz, że zhańbiłem ciebie śmiertelnie słowami — a mam broń, którą zabiję ciebie, ojca twojego i wasz honor — i pamięć waszego życia zabiję na wieki! — Wybieraj Acan pistolety!

HORSZTYŃSKI.

Daj mi rękę... Co ty płaczesz? — Wstydź się, dziecko! — Kiedyż byliśmy w szkołach z twoim ojcem i dawałem mu plagi, a śmiał się; — teraz on mi oddał wet za wet — i basta! — Uspokój się, mój synu. Kiedyś chodząc po tym domu, wspomnij starego wojaka...

SZCZĘSNY.

Ja nie winny twego nieszczęścia.

HORSZTYŃSKI.

Nikt nie winny; — kraj cały wali się, gruzy zasypały dom starego szlachcica. Zdaje mi się, że jakaś ogromna pochodnia pożaru przyświeca mojemu upadkowi; chciałbym tylko — jak czytałem niegdyś w dziejach o królu Janie-bez-ziemi — chciałbym siąść na konia, przywiązać go między dwa konie śmiałych ludzi — i rzucić się tak ślepemu z pałaszem w ręku na Drewicza szeregi!... Rąbać, póki zarąbią!...

SZCZĘSNY.

Kto wie, czy kiedy razem nie zginiemy tak, jak mówisz.

HORSZTYŃSKI.

Szaleństwo!.. Zasnęli Polacy, i czuję, że na długo, na długo .. Pułaski w Ameryce, król w Warszawie, kraj zaprzedany Moskalom — zdrajce!... dzieci ich kiedyś przeklinać im będą. Zaprawdę, że póki tyle głów z ich pokolenia pod toporem kata nie spadnie, ile rublów wzięli z kazny moskiewskiej, to kraj nie ożyje!..

Szczęsny załamuje ręce z rozpaczą i wychodzi.

Wyszedł.. Oto pierwsza kara na zdrajców, że dzieci ich uciekają od dźwięku imienia ojcowskiego. Szlachetny to jednak młodzieniec. Ona z nim będzie szczęśliwa.. Trzeba teraz pomyśleć, jak złamać nasz ślubny pierścionek. Śmierć! Nigdy przed sobą nie widziałem nędzy: a dziś.. jutro... Cóż robić na świecie?... siąść przy drodze i żebrać jałmużny: na litość Boga! dajcie grosz ślepemu?... Psa nie mam, co by mnie co dnia pod krzyż zaprowadził rano, a odwiódł do jamy wieczorem...

Nie chcę sobie w łeb strzelić: — śmierć taka nie ukryje się krew i mózg zawala te podłogi — i sędziowie ślizgać się będą, jak w dzień sądny na Jozefata dolinie... Może w domu jest trucizna...

Klaska.

SZCZĘSNY.

Poczekaj... chcę obaczyć jeszcze raz — myśl jednę...

HORSZTYŃSKI.

Wybieraj, zdrajco!

SZCZĘSNY.

Wybrałem.

HORSZTYŃSKI.

Boże! Boże! czuję w ręku ten sam pistolet, co pierwej *(odwraca się i strzela w ścianę)*. O! Boże!

Słychać głos Salomei za drzwiami.

Puszczajcie! Jezus! Marja! Umrę... puszczajcie!

HORSZTYŃSKI.

Otwórz, Szczęsny!

Szczęsny otwiera, Salomea pada omdlała w jego ręce, krzycząc:

Zabiłeś go?

HORSZTYŃSKI.

Żono!... dlaczego tak cicho?

SZCZĘSNY.

Omdlała.

HORSZTYŃSKI.

Ocuć ją. Czy tylko omdlała?... Chodź tu, młodzieńcze, wybierz drogę, jaką sądzisz, że należy ci wybrać. Ja wybrałem...

SZCZĘSNY.

O! zabiłeś mnie wzgardą!... Teraz gotów jestem na wszelkie niegodne postępki. Będę z nimi...

HORSZTYŃSKI.

Z kim?

SZCZĘSNY.

Z tymi, co pogardą wszystkich ludzi mszczą się za pogardę siebie.

HORSZTYŃSKI.

To mi jest obojętne, czem ty będziesz.

SZCZĘSNY.

I dla mnie to bardzo obojętne... Bądź zdrów, panie Horsztyński!

HORSZTYŃSKI.

Zostań — niech ona zobaczy, że ty żyjesz... (..... .*) a ja lituję się nad nią. Szkoda tej kobiety!

---

* Miejsce wydarte w manuskrypcie. *(Przyp. Wyd.)*.

SALOMEA.

Gdzie mój mąż? mój mąż?

HORSZTYŃSKI.

Przyprowadź ją do mnie!... Co ci jest, moja żono? Skąd tobie taki przestrach? próbowaliśmy pistoletów...

SALOMEA.

Mężu, to ty strzeliłeś!... twój pistolet gorący...

HORSZTYŃSKI.

Prochem był nabity... wszakże i prochu szkoda na wróble...

SALOMEA.

Mężu, strzaskałeś krucyfiks, co wisi nade drzwiami.

HORSZTYŃSKI.

Krucyfiks?

SALOMEA.

Czemu Pan masz broń w ręku?

SZCZĘSNY.

Nie nabita.

Skrzesza.

HORSZTYŃSKI.

Panie Szczęsny, to mówiłeś, że gotów jesteś dać mi swój turecki kindżał za te dwa francuskie pistolety — namyśl się... a jeżeli chcesz takiej zamiany, to ja zgodzę się nareszcie zyskać na tobie.

SZCZĘSNY.

Co do mnie, to rzecz skończona.

HORSZTYŃSKI.

Bardzo się cieszę — będę miał po tobie pamiątkę... miłą...

SZCZĘSNY.

Zapiszę ci jeszcze w testamencie pochwę mojego kindżała.

HORSZTYŃSKI.

Starzy pierwej umierają; — ale się jeszcze może zobaczymy, bo podobno masz wyjechać — walczyć za ojczyznę...

SZCZĘSNY.

O! to jeszcze nie prędko... Mam ojca —

HORSZTYŃSKI.

Ha! kiedy tak, to się będziemy widywali często.

SZCZĘSNY.

Życzę ci dobrego wieczora. — Niech Pani patrzy, jak piękny zachód słońca — kwiaty jej ogródka ożywają — i będą płakać rosą tego wieczora.

SALOMEA.

Gdzie Pan jedzie?

SZCZĘSNY.

Do domu — idę do ojca mojego...

SALOMEA.

Ale czy pan wie, co znaczą te słowa w piśmie świętem?

SZCZĘSNY.

Słowa mają różne znaczenia — podług księgi, na której je znajdują. Te same słowa, które są świętemi w piśmie świętem, są bezbożne w księdze bezbożnej — a nieszczęścia mają dźwięk — w księdze pełnej nieszczęśliwych wypadków. Bądźcie zdrowi!

Szczęsny odchodzi.

(. . . . . .*)

HORSZTYŃSKI.

Co tobie, Sally? wpadłaś do pokoju jak warjatka! ..

SALOMEA.

(. . . . . .).

HORSZTYŃSKI.

(. . . . . .). przestraszyłaś mnie bardzo.

SALOMEA.

O mój Ksawery! czy ty mnie jeszcze kochasz?

HORSZTYŃSKI.

Czemuż nie miałbym kochać — Sally? Byłaś dla mnie dobrą, długo (. . . . . .) pamiętam, jak wyjeżdżałem z moimi ludźmi na barską wyprawę: sama piekłaś nam chleby; — widziałem ciebie, jak z zakasanymi po łokieć rękoma mięsiłaś czarne ciasto, a kiedy wszedłem do kuchni, schowałaś ręce i podałaś się cała ku mnie różaną i liljową twarzyczką, abym ciebie pocałował — zawsze pamiętam tę scenę. —

* Wszystkie miejsca tu zapełnione kropkami znaczą, że rękopis tu uszkodzony. (*Przyp. Wyd.*).

Dlaczego ty klękasz przedemną? — nie lubię tych oznak teatralnych... Sally, dlaczego ty klękasz przedemną? — czuję głowę twoją na moich rękach. Wstań, moje dziecię, i wyjdź na dziedziniec — jak będą żeńce wracali z pola, śpiewając tę piosenkę, którą ja tak lubię, to każ im wytoczyć na dziedziniec beczkę piwa i daj żniwiarce czerwoną wstążkę. Proszę ciebie, Sally, niech się chłopi rozhulają i będą weseli.

SALOMEA.

Dobrze, mój Ksawery. Gdybyś ty wiedział, jak jestem szczęśliwa, kiedy mi dajesz jakie polecenia...

Wychodzi.

HORSZTYŃSKI.

Czy wyszłaś?... Wyszła... Czuję, że mi Bóg policzy tę godzinę w niebie na zmazanie grzechów moich. Tak, niech będzie spokojna — a ja?... Wszak uczyniłem stałe przedsięwzięcie... jakie? — usunąć się z tej drogi, po której idą szumiący ludzie wielkimi tłumami. Nędza albo śmierć! Nigdy tak blisko nie widziałem nędzy i śmierci... Co robić na świecie? — Siąść przy drodze pod krzyżem i śpiewać kantyczkową piosenkę: dajcie grosz ślepemu! — Żebrak przynajmniej ma psa wiernego, co go zaprowadzi pod krzyż, do karczmy, i odwiezie do wsi wieczorem — a ja... Jutro sąd tradycyjny w tym domu... ha! postawię im nowy sprzęt do zagrabienia — trumnę starca... Konfederat barski! — jak ja lubiłem, kiedy mnie tak nazywano. Muszę siebie sam nazywać przed śmiercią sławą życia mojego... Nie trzeba krwią plamić tych podłóg, po których raczkowałem niegdyś... nie trzeba... ha! gdyby staremu konfederatowi trucizny!... Może w domu jest trucizna — spróbujmy... *(klaszcze).* Świętoszu! Świętoszu!

ŚWIĘTOSZ.

Jestem, panie...

HORSZTYŃSKI.

Powiedz mi, co tam się dzieje w polu?

ŚWIĘTOSZ.

At — pszenica niezła i żyta dzięki Bogu dosyć.

HORSZTYŃSKI.

Dziś żną?

ŚWIĘTOSZ.

Tak, Panie, od chaty Szewruka aż do nagolickiego kopca... Nie wiem, czemu się też Pan konno nie wybierze na pole zobaczyć żyta.

HORSZTYŃSKI.

Głupi! — a czy nie pamiętasz jak mi gromnicami oczy wykapali.

ŚWIĘTOSZ.

Niech ich jasny Bóg piorunuje...

HORSZTYŃSKI.

Słuchajno, Świętoszu! czy mógłbyś ty pojechać do miasteczka — w ulicy liwskiej wisi ogromny szyld, gdzie żyd Josiel trzyma aptekę; kup za parę złotych u żyda acidum prussicum.

SWIĘTOSZ.

Cóż to panie? lekarstwo na prusaki?... a gdzież to znowu zagnieździły się u nas tarakany? — a to ja ogniem spalę...

HORSZTYŃSKI.

A to może ty w domu masz truciznę?

ŚWIĘTOSZ.

A jużci: — muchomory na muchy — i coś zostało jeszcze arszeniku we flaszeczce od gomułek na szczury.

HORSZTYŃSKI.

Ha! masz arszenik? — właśnie szczury za obiciem mego sypialnego pokoju porobiły gniazda — i całą noc szeleszczą obdartymi papierami.

ŚWIĘTOSZ.

To ja przyniosę gotowy pączek w maśle usmażony...

HORSZTYŃSKI.

Nie, przynieś mi flaszeczkę z proszkiem; — ja sam przyrządzę.

ŚWIĘTOSZ.

Ale to, Panie, jak na oczy upadnie, to człowiek oślepnie.

HORSZTYŃSKI.

Nie, mój Świętoszu, nie lękaj się — włożę okulary.

ŚWIĘTOSZ.

O głupi ja — głupi!

HORSZTYŃSKI.

Co? czy ty myślisz, że mam jakie zamiary?...

ŚWIĘTOSZ.

Co?! jakie zamiary? o co mię Pan posądza?

HORSZTYŃSKI.

O nic! — idź!... przynieś mi arszenik!

Świętosz odchodzi.

Już byłem pewny, że się ten człowiek domyślił i narobi hałasu... Ha, jeszcze trzeba będzie do księcia Prokopa napisać list: — będzie to moja spowiedź pośmiertna — z grzechu śmierci...

ŚWIĘTOSZ.

Oto, Panie, flaszczyna z proszkiem.

HORSZTYŃSKI.

Daj! Czy daleko jeszcze do wieczora?

ŚWIĘTOSZ.

Słońce zachodzi za nagolickim kopcem.

HORSZTYŃSKI.

Gdzie jest ten kopiec?

ŚWIĘTOSZ.

A tam, gdzie Panisko woził kiedyś kolaską naszą panią — a pani przejeżdżając koło kopca, zawołała: Świętoszu: zatrzymajno konie, bo widzę mnóstwo konwalji — zeżnę sobie bukiecik.

HORSZTYŃSKI.

Pamiętam... Przysuń mi tu stolik, podaj papier i pióro... Jeżeliby kto wszedł, kiedy pisać będę — to mię ostrzeż... Czy moja ręka na papierze? czy pióro umoczone? — jak dojdę pismem do końca papieru, to mi powiedz.

ŚWIĘTOSZ.

Niech Panisko jedzie... stąd — do góry — zawróć Pan!... Dalibóg, Pan cudownie pisze, dwie ryguły jedna przy drugiej, by kolej od kałamaszki... Noga w tył — nie zjeżdżaj!... To mi się widzi, że Pan by mógł jeszcze szablą pisać po wąsach Moskalom, gdyby te biesy nocą nie napadali... jak to było...

HORSZTYŃSKI.

Umiesz ty czytać?

ŚWIĘTOSZ.

Nie.

HORSZTYŃSKI.

Jutro jak świt... zaniesiesz ten list do celi księdza kapucyna Prokopa; — jak świt... nie zapomnij, bo to rzecz bardzo ważna.

ŚWIĘTOSZ.

Dobrze, Panie!

Odchodzi.

HORSZTYŃSKI.

Chciałem rzucić się na szyję temu człowiekowi i lękałem się, aby się nie domyślił, że go Pan żegna jak umierający. Człowiek najsamotniejszy — a któż samotniejszy nademnie — tyle ma nitek do zerwania, nim wyjdzie z tego świata! Już wieczór — świerszcze zaczynają śpiewać w szczelinach mojej chaty. Co będzie jutro ze mną o tej godzinie?... Mój Boże! mój Boże! Chryste Panie! sądź mię tak, jak sądzisz ludzi nieszczęśliwych — miej litość nademną! Boże, wszak ty bez cudu mógłbyś mię zatrzymać na ziemi: — powiedz sercu mojemu, niech mi powie, że jestem jeszcze potrzebny na ziemi rzeczom, wypadkom albo ludziom; — powiedz sercu mojemu: żyj! — a żyć będę. Żyłbym, gdyby była choć nadzieja odzyskania oczu... Jak zażyć tę truciznę? — muszę zawinąć w opłatek.

Idzie omackiem i dobywa z szafy opłatki.

Ślepy, a przecież znalazłem opłatek — kto rękę moję prowadził? Czuję te drżące listki chleba w moich dłoniach. Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski — jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce.

Łamię opłatek i sypie truciznę, potem skleja.

Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą te litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem, myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiej i z błękitnego języka... Gorąco mi — chciałbym się przejść po pokoju — i lękam się uderzyć czołem o ziemne ściany.

Słychać pieśń wracających żeńców — daleko.

Cicho!... pieśń żniwiarzy. — O! moja wiosko! moja wiosko!... Jutro w tym domu trumna — księża — sąd... Jutro ta pieśń... jutro inny pan — i nikt się nie zlituje nademną — Ja przecież wszystko poświęciłem krajowi! — ten dług strwoniłem prochem i kulami... a jutro gdybym żył, byłbym głodny jak pies — i nikt się nie zlituje nademną! Stary, i siwy — i sam — bez dzieci. — Oni mię nie pogrzebią w święconej ziemi. Mój ojciec musiał okropnie zawinić, bo ja cierpię.

Pieśń żniwiarzy wyraźnie:

Pożeli żyto, pożęli jarkę:
Niechaj nam pan da na wódki czarkę.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

Plon żyta — pochlebiają mi ci ludzie — plon żyta... Widać, że żona moja kazała im beczkę piwa wytoczyć... jaki gwar na dziedzińcu.

Pieśń.

Pożęli żyto, wygnali zajca:
Nie żałuj, Pani, wstążki okrajca.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

W tej pieśni widzę moje żółte łany — i zielone lasy... Z początku ta pieśń rozdrażniła serce moje, a teraz uciszyła je jak pieśń mojej mamki, jak pieśń kiedyś mojej Izabeli — niech jej światło niebieskie świeci na wieki wieków, Amen... I mnie także niech będzie tak cicho po śmierci, jak kiedyś przy niej, kiedy śpiewała... Cyt!... ktoś idzie! to ona... Słyszę i poznaję szelest jej sukni... w jedwabnej sukni ubrana...

Wchodzi SALOMEA.

SALOMEA.

Mężu, wyjdź na dziedziniec do ludzi.

HORSZTYŃSKI.

O nie — nie mogę, żono!...

SALOMEA.

Kilku starych chłopów weszło aż na ganek i kłaniali mi się do nóg, prosząc, abym im pana łaskawcę wyprowadziła.

HORSZTYŃSKI.

Żono... nie wyjdę!

SALOMEA.

Dlaczego żasmucać tych ludzi?...

HORSZTYŃSKI.

Dlaczego? Bo świat smutny, a ja świata rozweselić nie mogę jak arlekin — bo jestem ślepy — i stary... Powiedz mi, Salomeo, czy nigdy tu podczas mojej niebytności nie przyniesiono jakich sądowych papierów?

SALOMEA.

Nieraz na drzwiach przybijano mi różne manifesta: barskie, targowiczańskie. Z początku odczytywałam je pilnie — potem rzucałam wszystkie do wielkiej szafy w szpichlerzu.

HORSZTYŃSKI.

To dobrze. Czy ty mówisz zawsze wieczorną modlitwę z czeladką?

SALOMEA.

Zawsze modlimy się razem.

HORSZTYŃSKI.

Dzisiaj nie zapomnij, moja żono, modlitwy... za tych, co cierpieli — i żyli...

SALOMEA.

Mężu, módl się z nami.

HORSZTYŃSKI.

Nie zdrów jestem — muszę się położyć do łóżka.

SALOMEA.

Zaraz?

HORSZTYŃSKI.

Sally, przechodząc do twego pokoju, stąpaj cicho... Nie, tego ci nie trzeba zalecać.... Ale idź bez świecy, bo światło... o! ja szalony! — widzisz, że ja, tak jak mój Świętosz, nie mogę czasem zapomnieć o moich oczach... Nie obudź mię, żono, bo czuję, że mi snu potrzeba. Chciałbym spać tej nocy. Ty sama bądź przy wieczerzy.

SALOMEA.

Mężu, chcesz, bym czuwała przy tobie?

HORSZTYŃSKI.

Cóż ty, moja gołąbko? Już ci się zdaje, że ja śmiertelnie chory. Czyś ty zapomniała, że kilka miesięcy temu sypiałem na zimnej rosie, pod koniem moim... Jaki to był koń!... Czułem często, jak nogą zwolna poruszył i dotknął moich piersi — tak ostrożnie, jak Świętosz, kiedy szklankę kryształową stawia na stół. Ten koń w kopytach miał czucie: nie rozdarł nigdy moich piersi nawet przez sen...

Salomea zakrywa oczy dłoniami.

Salomeo, pomóż mi pas odwinąć.

Salomea bierze za jeden kutas pasa, Horsztyński odkręca się jak w walcu, ale zwolna, tak, że odchodzi aż na koniec pokoju; pas zostaje w rękach Salomei.

Widzisz, Sally moja, pas ci został w ręku, a mąż się odwinął — i na wieki... Oto historja życia. Rano trzymałaś za koniec pasa, ja zbliżałem się do ciebie; wieczorem... Co? ty klęczysz przedemną?... Córko moja, kochana moja Sally, ty mię nigdy nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać pamięci mojej, cobądź przyjdzie na ciebie — z mojej winy... Daj mi rękę — zaprowadź mnie ku drzwiom sypialnego pokoju i przechodź sama cicho — bo wiesz, że ślepi słyszą najmniejszy szelest... Dobrej nocy, Sally.

SALOMEA.

Do jutra...

HORSZTYŃSKI.

Co?...

SALOMEA.

Jutro może będziesz mężu spokojniejszy.

HORSZTYŃSKI.

Tak — spokojniejszy...

Wchodzi do sypialnego pokoju.

SALOMEA [1]

Muszę kazać, żeby się ci chłopi uciszyli na dziedzińcu, aby ten starzec biedny mógł zasnąć...

Odchodzi.

SCENA II.

Przedpokój Hetmana.
Słychać mocne dzwonienie — HETMAN wpada.

Cóż to, na miłość Boga! nikogo? nikogo?...

KSIŃSKI wbiega.

KSIŃSKI.

Cóż to, jaśnie wielmożny Panie?

HETMAN.

Gdzież moi ludzie? — Ten człowiek musiał rozpaplać przed zgrają o rewolucji w Warszawie... Każ mu wypalić w łeb, jak psu!... To nieprawda! Warszawa nie powstała... w Warszawie spokojniej niż w moim łbie siwym!... Na miłość Boga, zawołaj tu ludzi — zaprzęgać karetę — i wróć tu. — Gdzie jest mój syn?

KSIŃSKI.

Wyjechał konno.

---

[1] W rękopisie było dane pierwej takie zakończenie tej sceny. Później je autor przekreślił.

SALOMEA *sama.*

O mój Boże! jaka okropność... Koń mu nie rozdarł piersi nawet przez sen — a on pomyślał; a ty Salomeo.. Widziałam ich obu z pistoletami w ręku.. Mąż musiał strzelić i nie trafił w Szczęsnego. O Jezu Chryste! ty odwróciłeś tę kulę — wizerunek twój przyjął w piersi jeszcze jednę ranę. O Jezu! broń mię ty od czarnych myśli i snów... Kiedym zobaczyła mego męża z pistoletem, jakaś okropna myśl nienawiści ku niemu przewiała przez moje serce... ale to nie moja myśl — to myśli innej duszy. — Widzę Szczęsnego; idzie zwolna przez lipową aleję, zapewne do celi księdza... Pójdę zwołać ludzi na wieczorną modlitwę — może będę spała spokojnie.

Odchodzi.

HETMAN.

Kazałem Acanu, abyś kazał zaprząc karetę. — Przykuć łańcuchem do koła tego posłańca z Warszawy; zaciągnę go do gubernatora wileńskiego... *(Ksiński odchodzi).* Rwie się, rwie się skała — ale ja zatrzymam ją. Szewcy się burzą... Gdybym chciał, mógłbym się przyczaić w moim zamku i siedzieć jak mysz — ale te papiery... Ha! panie Horsztyński, papiery twoje zgubią Polskę... Pozajutro Moskale nadciągną...

KSIŃSKI, *wraca.*

Wydałem rozkazy.

HETMAN.

Panie Ksiński, ponieważ mam ciebie pod ręką, muszę cię użyć. Oto skoro szlachta zjedzie się do zamku, syn mój powinien stanąć na czele i natychmiast zjechać zbrojno pod Wilno od strony ostrobramskiej. — Są wieści, że jutrzejszej nocy Jasiński tamtą stroną chce się wkraść do Wilna. — Schwytać i natychmiast powiesić go jak szpiega, bez sądu — rozumiesz — nie wierzyć mu, że się nazywa Jasiński.

KSIŃSKI.

Tak, jaśnie wielmożny Panie.

HETMAN.

Ale wiesz ty, że mój syn... choć to niepodobna — może nie zechce stanąć...

KSIŃSKI.

Tak, choć to niepodobna, jaśnie wielmożny Panie... może nie zechce...

HETMAN.

Ty staniesz.

KSIŃSKI.

Będę się starał dowieść Hetmanowi, że...

HETMAN.

Milcz! milcz! milcz! — Słowa — to śmiecie... Otóż jeżeli syn nie zechce, zawołasz do sali moich żołnierzy, co zamknięci w tylnym dziedzińcu — i zaaresztujesz ptaszka. Rozumiesz?

KSIŃSKI.

Rozumiem.

HETMAN.

Wsadzisz go do jakiej ciupy — i sam na koń, pod Wilno! Pan Horda przyprowadzi mi 50 ludzi zbrojnych do mego zamku w Wilnie, a ty z resztą będziesz się uwijał koło Ostrejbramy.

KSIŃSKI.

Wszystko się stanie podług Jego woli.

HETMAN.

Sforka pokaże ci zapas prochu na wieży. Oto mój pierścień — rozumiesz, Mości Panie! Wszyscy ciebie mają słuchać, jak mego maleńkiego palca u ręki...

KSIŃSKI.

Dumny jestem zaufaniem...

HETMAN.

Ale mój syn... ja chcę, aby mój syn był na czele — rozumiesz?

KSIŃSKI.

Tak.

AMELJA wchodzi.

HETMAN.

Co to za kobieta? — Ameljo, czego Acanna?

AMELJA.

Ojcze, chciej mnie posłuchać.

HETMAN.

Jutro! — jutro!

AMELJA.

Dziś, ojcze. — Panie Ksiński, oddal się Pan.

Ksiński wychodzi.

HETMAN.

Co to znaczy? Ufasz zanadto w moję łaskawość.

AMELJA.

Ojcze drogi, gdzie ty jedziesz?

HETMAN.

Do Wilna.

AMELJA.

Zaklinam ciebie, ojcze, zostań w zamku... Jakieś ogromne grozi tobie nieszczęście.

HETMAN.

Śniło ci się.

AMELJA.

Ojcze, byłam sama w moim pokoju i patrzałam, jak wschodził księżyc czerwony. Psy zaczęły wyć głucho i okropnie — odwróciłam się — i wierz mi, ojcze, nie uważaj mnie za jasnowidzącą warjatkę: — matka moja była ze mną...

HETMAN.

Nieboszczka?...

AMELJA.

Ojcze, jaki ty dobry, że wierzysz mi. — Myślałam, że ty mnie odrzucisz ze wzgardą, a widzę mgłę zamyślenia na czole twojem. Spodziewałam się zawsze, że kiedyś będziesz kochał twoję córkę.

HETMAN.

Czy mówiła co do ciebie?

AMELJA.

Milczała długo... struny arfy mojej zaczęły grać same smutnie i powietrzną jakąś pieśń — potem zdawało mi się, że jakiś głos kobiecy jęknął — i z płaczem mówił: ojciec twój kona...

HETMAN.

Ojciec twój?...

AMELJA.

W okropnem poruszeniu leciałam do twego sypialnego pokoju — otworzyłam drzwi — i znów cień biały był przedemną... Zdawało mi się, że go przyniosłam z sobą w oczach...

. . . . . .

(Tu braknie kart czterech drobnego i nabitego pisma w rękopisie).

. . . . . .

AKT IV.

SCENA I.

SFORKA — MAŁGORZATA.

Pokój Sforki w pałacu.

SFORKA.

Idź Acani i nie przeszkadzaj mi.

MAŁGORZATA.

Ale mój mężu, dalibóg wbijają Acanu jakieś duchy w głowę, a ty wierzysz. Szkoda, że złożyłam czerepy twojej głowy, którą pan Hetman rozbił wczoraj, jak zgniłe jaje.

SFORKA.

Idź Acani, pilnuj kur i gęsi! Ja czekam na kogoś...

MAŁGORZATA.

Zamknę Acana na klucz i nie puszczę tych sowizdrzałów, co ci mózgi mięszają, jak rumianek w filiżance łyżeczką.

SFORKA.

To nie żaden sowizdrzał, moja duszko. Tu przyjdzie najrozumniejszy człowiek między muzykantami pana Hetmana, człowiek z imaginacją, pierwszy trombon.

MAŁGORZATA.

Jeżeli chcesz grać na trombonie, to za drzwi!

SFORKA.

Ale ja nie będę grać na trombonie. Czy ty mnie masz za takiego głupca, moja żono?

MAŁGORZATA.

Cóż Acan będziesz robił z muzykantem?

SFORKA.

Pracować.

MAŁGORZATA.

Zmyję ci głowę, panie siwoszu, jeżeli mi jeszcze będziesz gadał o tych napolitańskich sumach. Miej to zanadrzu i basta — a nie pijcie z tym trombonem, jak bibuły. Pójdę na mszą wyprosić u Boga trochę rozumu dla ciebie, bo już mi dziecinniejesz. Źle musiałeś prowadzić się w młodości, panie mężu, jeżeli w sześćdziesiątym roku przychodzi na ciebie grzybowa starość. Piaseczku tobie i kamyczków — baw się, lubko!...

Wychodzi.

SFORKA.

Głupia, głupia! To szczęście, że w księdze rachunków przepisałem na dwie ręce pytania pana Nuncjusza... Ha, pan trombonista!...

KSIĄDZ wchodzi

Do djabła, to ksiądz Prokop. — Witam, ojcze wielebny. Czy po barana?

KSIĄDZ.

Niech mi Jegomość wybaczy, że przerywam jakieś zatrudnienie, może rachunki. Chciałem widzieć pana Szczęsnego — mówiono mi, że całą noc niewiadomo gdzie przepędził i nie wrócił jeszcze do pałacu. Ważną mam rzecz do zakomunikowania panu Hrabiemu, rzecz, która obchodzi zdrowie i szczęście drogiej mu osoby. Udaję się do ciebie, panie Sforko, abyś był pośrednikiem między nami. Daj mi kawałek papieru i pióro — napiszę kilka słów do pana Szczęsnego, a ty, mój stary przyjacielu, zechcesz mu je jak najprędzej wręczyć.

SFORKA.

Co mówiłeś, ojcze...

KSIĄDZ.

Prosiłem o kawałek papieru i pióro...

SFORKA.

Natychmiast... proszę siadać — może kieliszeczek wódeczki?

KSIĄDZ.

Na miłość Boga, panie Sforko! nie zatrzymuj mnie grzecznościami, bo muszę jak najśpieszniej czuwać nad nieszczęśliwą sierotą. Pić nie mogę z tobą, panie Sforka, albowiem mam odprawić mszą żałobną.

SFORKA.

W czemże mogę usłużyć?

KSIĄDZ.

Proszę o kawałek papieru i pióro...

Do siebie.

Czy ten starzec ogłuchł?

SFORKA.

A! kawałek papieru. Oto jest... siadaj i pisz, mości księże; wybacz mi, że cię nie mogę zabawić rozmową — bo prawdziwie ważną mam rzecz do rozwiązania...

Ksiądz pisze przy biurku.

SFORKA.

To dziwne! Wieczorem zdaje mi się, że ta fortuna nie jest niepodobną — a rano zdaje mi się, że to wszystko głupstwo. — Czy ja rozumny rano, a głupi wieczorem? — czy też rozumny wieczorem, a głupi rano?

Wchodzi TROMBONISTA.

Ha! witaj, mości Garnoszu.

TROMBONISTA.

Sługa. — Co tu robi ten ksiądz?

SFORKA.

Wyprawię go natychmiast, mości Garnoszu. Bardzo obowiązany ci jestem, żeś raczył przyjść i dopomóc mnie biednemu... Natychmiast zbędziemy się tego księdza —

KSIĄDZ.

Panie Sforko, zaklinam ciebie na starą naszą zażyłość, abyś oddał ten list panu Szczęsnemu, skoro tylko powróci. To rzecz bardzo ważna; los wielu osób zależy od tego kawałka papieru...

SFORKA.

Bardzo dobrze, przyrzekam. Los zależy od kawałka papieru — zdarza się to często. Czy ten ksiądz wie o mojej historji?

KSIĄDZ.

Pokój temu domowi!

SFORKA.

Uniżam się do nóg, Ojcze wielebny.

Ksiądz odchodzi.

TROMBONISTA.

Cóż będziemy poczynać?

SFORKA.

Panie Garnoszu, zdarza się często na świecie, że ludzie grają w loterją. Otóż, jeżeli los wielki wygrają, to są wielkimi panami... otóż... Cóż to jest los, mości trombonisto, co to jest los?— głupstwo — i nie głupstwo! Bo jeżeli stawiasz na loterją, a nie wygrasz: to mówią ludzie, że głupi. A jeżeli wygrasz, to mówią ludzie, żeś rozumny. Cóż to więc jest rozum, panie trombonisto?— rozum — to los.

TROMBONISTA.

Postaw, panie Sforka, kufel — i daj ten papier, o którym bajałeś... Obaczymy.

SFORKA.

Do Acana! *(pije)*. Otóż choćby te pytania do niczego nie prowadziły, to wszelako pij, panie trombonisto! Zdaje się, że łatwo będzie rozwiązać... Czytaj!

TROMBONISTA.

Ja czytam nuty na trombon pisane — ale skoropisu nie łaska.

SFORKA.

Słuchaj!... Łatwe do zadania
Ale trudne do rozwiązania
Zapytania...

TROMBONISTA.

Mówią, że trudne do rozwiązania?

SFORKA.

Chcą nas przestraszyć!... Odczytajmy i zaczniemy od najłatwiejszych...

Czyta:

Primo: Dla czego kij ma dwa końce?
Secundo: Co ja myślę?

TROMBONISTA.

Kto myśli, panie Sforka?

SFORKA.

Nic... Napisano: co ja myślę... i basta... i punkt. Ale posłuchaj dalej!...

Tertio: Jak najprędzej świat objechać?
Quarto: Bóg pierwej stworzył, czy jajko, czy kurę?
Quinto: Co to — ja?...

TROMBONISTA.

To, mości Sforka, głupie pytanie!... to głupie pytanie!...

SFORKA.

Sexto: Co wiecej waży... czy funt piasku czy funt żelaza.

Septimo: Czem byłby człowiek, gdyby nie był człowiekiem?

Octavo:

TROMBONISTA, *przerywa.*

Zacznijmy odpisywać na pierwsze pytanie, to drugie same się odpiszą...

SFORKA.

Trzeba przeczytać do końca.

Octavo: Dlaczego mówią: ma ćwieka we łbie?...
Nono: Dlaczego dziewięć pytań, a nie więcej zadano do rozwiązania?

W postkrypcie jeszcze dodano wierszem:

„Jeśli rozwiąże
Quaestiones, quae pendent,
Sforka intendent:
To będzie książe..."

„Prosimy jeszcze, aby wynalazł sposób puszczania baniek kwadratowych z mydła... i przysłał nam jednę bańkę do Medjolanu na próbkę, pocztą albo balonem."

Cóż sądzisz Acan?

TROMBONISTA.

Sądzę, że bańkę z mydła trzeba wydmuchać. Inaczej, wszystko będzie jak banka z mydła.

SFORKA.

Ale ja sądzę, że ostatek na ostatek... Naprzykład, powiedz Acan, dlaczego kij ma dwa końce.

TROMBONISTA.

Dlaczego? jakto dlaczego?

SFORKA.

Mnie się to wszystko takiem głupstwem wydaje, że przyznam ci się, mam ochotę plunąć... i basta.

TROMBONISTA.

Otóż ja przeciwnie... Radzę Acanu nie zrażać się trudnościami. — Ale pójdźmy do drugiego zapytania... czytaj Pan!

SFORKA.

A z pierwszem co zrobić?

TROMBONISTA.

Pst!... pierwsze to głupstwo!... Co tam dalej?...

SFORKA.

Secundo... co ja myślę?

TROMBONISTA.

To bardzo łatwe do rozwiązania, co ja myślę...

SFORKA

Ale co ja myślę?

TROMBONISTA.

Jakto co Acan myślisz? — Czy ja wiem, co Acan myśli?

SFORKA

Ale kto to ten ja? —

TROMBONISTA.

Ten, co pyta Acana... To jasne, jak słońce...

SFORKA

Może się to jakoś rozwiąże. Idźmy dalej... Jak najprędzej świat objechać?

TROMBONISTA.

To, mości Sforko, rzecz najłatwiejsza. Gdyby na świecie nie było morza, to pocztą... Gdyby nie było ziemi, tylko morze, to okrętem. Ponieważ jest i ziemia i morze na świecie, więc objechać pocztą i okrętem! Pisz, panie Sforka: pocztą i okrętem.

SFORKA

No, niech tak będzie! Choć mi się to nie bardzo podoba... pocztą i okrętem... Ujdzie!... ujdzie!...

TROMBONISTA.

A ja mówię Acanu, że to nawet bardzo ujdzie...

SFORKA

Winien ci będę, panie trombonista... No basta!... dalej!... Pij, przyjacielu....

TROMBONISTA.

Widzisz, że nie tak straszny wilk, jak się wydaje.

SFORKA

Hum! Hum!... Ale ty wiesz, że to trzeba wszystko wygotować przed wieczorem; bo jeżeli nie... to finfa...

TROMBONISTA.

Więc spieszmy się, panie Sforcja!

SFORKA

To już mnie Acan nazywasz panie Sforcja?

TROMBONISTA.

Ha! wszystko idzie jak z płatka. Czytaj, mości Sforko!

SFORKA

Co pierwej Bóg stworzył, czy jajko, czy kurę?

TROMBONISTA.

Jak się Acanu wydaje?

SFORKA

Kurę.

TROMBONISTA.

Mógł wprawdzie stworzyć kurę ale mógł stworzyć i jajko. Trzeba odpisać z pewnością.

SFORKA

Ale gdyby stworzył jajko — któżby je wysiedział?

TROMBONISTA.

Kura.

SFORKA.

Omyliłem się na Acana imaginacji, mości trombonisto! Jakżeż kura?... to głupia odpowiedź.

TROMBONISTA.

A ja dowiodę Acanu, że nie głupia. Ja pewny jestem, że jajko stworzył. A naprzykład, gdyby kury nie było, to wiesz Acan, że ciepło człowieka może... albo w piecu...

SFORKA.

Ale kiedy pieców nie było, mości dobrodzieju!

TROMBONISTA.

To Ewa mogła wysiedzieć. Więc to rzecz najłatwiejsza do rozwiązania. — Każ Acan żonie swojej spróbować. A jeżeli wysiedzi jajko, to Bóg stworzył jajko.

SFORKA.

Ja niechcę zaczepiać mojej żony.

TROMBONISTA.

Więc odpisz prosto: jajko — odpisz: jajko. Ja ci ręczam, że jajko.

SFORKA.

Zdaje mi się, że ja to wszystko przemienię, namyśliwszy się głęboko. A teraz, do czasu, niech tak będzie! — Czytajmy... Quinto: co to ja?

TROMBONISTA.

Ale to już było to pytanie.

SFORKA.

Gdzie?

TROMBONISTA.

Wyżej!... już rozwiązałem i zapomniałem dawno.

SFORKA.

Ale ja ci ręczam, że nie było... Co to ja?

TROMBONISTA.

Głupie pytanie, co to ja?

SFORKA.

Ty — trombonista.

TROMBONISTA.

Ha! więc pisz: trombonista.

SFORKA.

Za pozwoleniem! Któż wie że Acan byłeś ze mną i pytałeś się mnie, co to ja? Owszem, nietrzeba, aby się domyślili ludzie, że Acan pomagałeś mi w skrypturze.

TROMBONISTA.

Ładu z Acanem dojść nie można!

SFORKA.

O! gdyby tu karła hetmańskiego! ma więcej rozumu w garnku, niż cała muzyka Hetmana.

TROMBONISTA.

Karzeł by tobie inaczej nie odpowiedział, mości Sforko! Spytaj go: co to ja? a powie: trombonista. A karzeł spyta mnie, to mu powiem: jesteś karzeł. A spytaj mnie, Panie Sforko, co to ja?

SFORKA.

Dalibóg od godziny pytam, co to ja?

TROMBONISTA.

Ty — intendent Sforka.

SFORKA.

Ja wiem, że ja intendent Sforka.

TROMBONISTA.

A dlaczegóż pytasz Acan o takie głupstwo?

SFORKA.

Ale kiedy to nie ja pytam Acana, ale ten papier pyta.

TROMBONISTA.

Jak to papier?

SFORKA.

Żegnam ciebie, panie trombonisto. Bałamucisz mnie i potem kłócisz się ze mną, jak z dzieckiem. Odczytam Acanu te pytania, jak sam na nie odpiszę.

TROMBONISTA.

Nie odpiszesz, panie Sforka — dalibóg nie odpiszesz!

SFORKA.

Pęknę, a odpiszę.

TROMBONISTA.

Do dziś wieczora?

SFORKA.

Do dziś wieczora!

TROMBONISTA.

Na wszystkie?

SFORKA.

Co do joty!

TROMBONISTA.

I na bańkę z mydła odpiszesz?

SFORKA.

Bańka!... Dalibóg nie pomyślałem o bańce.

TROMBONISTA.

Otóż jeszcze przez przyjaźń poradzę tobie, panie Sforko, względem bańki. Wszak powinna być kwadratowa?

SFORKA.

Tak.

TROMBONISTA.

Otóż trzeba wynaleść kwadratową słomkę...

SFORKA.

I ja wiem o tem... ja wiem o tem... Ale jak posłać próbkę... pocztą!

TROMBONISTA.

Posłać mydło i kwadratową słomkę, to rzecz jasna. Niech sami Medjolańczycy puszczają bańki.

SFORKA.

Prawdziwie! Pójdę na pole szukać słomki... a ty gdzie idziesz?

TROMBONISTA.

Grać na trombonie.

SFORKA.

Przyjdź Acan zajrzeć wieczorem w pytania.

TROMBONISTA.

Uniżam się do nóg.

SFORKA.

Wyjdziemy razem...

Zapomina listu na stoliku — wychodzą.

SCENA II.

Odkrywa się głąb teatru — ogromna sala zegarowa, — wieża w głębi — stoliki nakryte zielonem suknem. Młodzież gra w karty, pije i pali lulki. KSIŃSKI pomiędzy nimi. Jedni grają, drudzy tłumami chodzą i rozmawiają; ciągły gwar i śmiech.

PIERWSZA GRUPA.

— O dwie butelki szmpana!

— Na honor...

— Ale kiedy ja się zakładam z tobą...

— Dajcie pokój!... Zakładacie się o rzecz bardzo jasną dla drugich.

— Cha! cha! cha!... Widziałeś ty kiedyś Kościuszkę?

— Gdyby mu był szlachcic[1] dał córkę, siedziałby teraz spokojnie i siał grykę. A tak — bruździ i hałasuje.

— Acan także podobno w konkurach nieszczęśliwy?

— Wygrał! wygrał Wschowski — płać szampana!...

— O co zakład?

— Mówiłem wam, że gdyby się był ożenił Kościuszko z córką tego szlachcica, który pogardził biednym inżynierem: nie byłby pojechał do Ameryki i nie byłby dziś straszny człowiek.

— To tak, jak Kromwel, co już był wsiadł na okręt, płynąc do kolonij jako majtek. Aż tu rozkaz królewski przyszedł, aby okręt nie odpływał. Kromwel został — i z nudy zaczął być wielkim republikaninem.

— Co? ty Kościuszkę równasz do Kromwela?

— Słuchajcie — założył się Wschowski i nie może kupić szampana, bo tu darmo dają!

— Szampan taki, to nie szampan zakładowy!

— Do Wilna — kupi w Wilnie...

Ksiński włazi na stół.

KSIŃSKI.

Panowie! uciszcie się na chwilę! Panowie! proszę o chwilę milczenia!... Panowie! Oto całą noc przepędziliśmy wesoło na kartach, czekając na Pana Hetmanowicza, który miał nam dowodzić — który się nie pokazał w zamku... Więc...

— Więc i który! — Brawo, Ksiński! — więc!...

KSIŃSKI.

Panowie! Oto pierścień Hetmana — uszanowanie! Otóż ja obowiązany jestem wziąć nad wami dowództwo i prowadzić na wskazane miejsce.

— Czekać na pana Hrabiego!... Czekać... czekać!

KSIŃSKI.

Poczekamy nań jeszcze kwadrans. Dłuższa zwłoka ściągnie na mnie wielką odpowiedzialność. Skończyłem.

Złazi ze stołu.

— Brawo mowca! podrzucać go — podrzucać go!

Chwytają Ksińskiego i podrzucają w górę.

Hej! zdjąć firanki i na firankach podrzucać!

KSIŃSKI.

Ale ja mam ostrogi — zaczepię się i rozedrę firanki. Dosyć Mości Panowie! to za wysoko! dosyć! Bardzo proszę — bo się będę gniewał.

— Przestańcie już grać w pęcherzowy balon!

---

[1] Wojewoda Sosnowski, który odmówił ręki swej córki Kościuszce.

— Gdzie poeta? niech improwizuje!

— Albo niech pan Kleofas śpiewa piosenkę swojej kochanki, która, kiedy gra na gitarze, to zdaje się, że woda leje się ciurkiem w cynowe naczynie...

— Jaka woda?

— Z czego?

— Śpiewaj poeto piosenkę panny Anieli!

Poszła Filis do ogrodu,
Nie mówiąc matce powodu...

Wchodzi SZCZĘSNY czarno ubrany. Gwar z początku głośny ucicha stopniami. Niektórzy ściskają Szczęsnego za rękę, inni kłaniają się z daleka.

KSIŃSKI.

Mamy ciebie, panie Hrabio. — Bardzo się cieszę, że przecie... Chcesz? zapoznam ciebie z głowami...

SZCZĘSNY.

Jakto z głowami?

KSIŃSKI.

Koledzy! widzę że nasz hetman w różowym humorze... Wszak hetmanisz nam, panie Szczęsny? Gdzie to noc przepędziłeś? Widzę kwiatki polne pozaczepiane na twoim kontuszu i we włosach... *(po cichu)*. cyt! u Maryny? — *(głośno)* Sentymentalnie z gwiazdami pan Szczęsny noc przepędził, moi mości koledzy szlachta, ale uręczam, że na koniu nie zaśnie.

JEDEN Z OBECNYCH.

Ale patrzaj, on dalibóg tak śpiący. Co jemu dolega?

SZCZĘSNY.

Proszę panów bawić się — i być jak we własnym domu... Panie Ksiński, bardzo mi smutno, że zamroziłem tak nagle wesołość...

KSIŃSKI.

Panie Hrabio, zaklinam ciebie: obudź się i bądź przecie człowiekiem! — tak nie pójdziesz z nami!

SZCZĘSNY.

To rzecz obojętna.

KSIŃSKI.

Jakto obojętna?

SZCZĘSNY.

Obojętna dla mnie... Panowie grają w karty?

GŁOS Z TŁUMU.

Faraonik... Panie Hrabio, spróbuj szczęścia!

SZCZĘSNY.

Szczęścia?

KSIŃSKI.

Dajcie pokój z faraonem, na Boga!

SZCZĘSNY.

I owszem, będę grać.

Zbliża się do stołu.

JEDEN Z GOŚCI.

Co pan Hrabia stawi?

SZCZĘSNY.

Moją osobę — to jest, moje przedsięwzięcie. Jeżeli wygracie będę z wami; jeżeli ja wygram, zrobię, co mi się podoba.

KSIŃSKI.

Szczęsny, to śmiesznie!

SZCZĘSNY.

Wcale nie! Mówię z wielkiem zastanowieniem się... Król...

Ciągną faraona.

GOŚĆ.

Król!... Wygrałeś, Panie Hrabio.

SZCZĘSNY.

Karta bankiera?

GOŚĆ.

Król... to rzecz dziwna!...

SZCZĘSNY.

W takim razie...

GOŚĆ.

Połowa sumy dla bankiera.

SZCZĘSNY.

Połowa mojej woli do was należy. — Cóż wy zrobicie z połową mojej woli?...

KSIŃSKI.

Połowę twojej woli mamy, Panie Hrabio! to już wiele!... Musisz nam drugą darować!...

SZCZĘSNY.

Ha!... zapomniałem spytać o cel wyprawy?

KSIŃSKI.

Jakto?... Żartujesz, Panie Szczęsny!... Sprawa twojego ojca — sprawa narodu...

SZCZĘSNY.

Wy myślicie o sprawie narodu? Czy państwo wszyscy jesteście szlachta?

GŁOSY.

Wszyscy! wszyscy! wszyscy!

JEDEN.

Oprócz mnie.

SZCZĘSNY.

Kto to krzyknął; oprócz mnie?

KSIŃSKI.

Któryś z panów chciał pożartować.

SZCZĘSNY.

Niech ten, kto się nie zaparł, stanie przy mnie. Jak to? żaden z panów?

— Pan Hrabia jak Dyogenes, z latarnią szuka człowieka.

SZCZĘSNY.

Jak dziwnie ten głos zabrzmiał w sercu mojem!... Ja go muszę odkryć, tego człowieka. — Słuchajcie mnie, Panowie! Jest coś w atmosferze rewolucyjnej tego zamku, co zapala moje zmysły i duszę. Konia i lancę!... Dajcie mi konia i lancę! — będę z wami. Ludzie — mrówki — robaki — kamienie — mijam w przelocie konnym. Nic, z którego noc zrobić nie można, a co się nazywa narodem — to wszystko w moich oczach przybrało dziwną błahość. Jeżeli wy nie macie dosyć ognia na topienie koron, dosyć brylantów na tworzenie innych: — to ja wam wleję cały ogień, wysypię na was wszystkie skarby duszy mojej. Bo ja wam przysięgam, że wasza myśl nigdy nie ogarniała takich przestrzeni, jak moja powszednia kraina marzeń!

GŁOSY.

Vivat Szczęsny! vivat! vivat!...

SZCZĘSNY.

Cicho! — Wiecie wy, że my stworzymy kraj z bronzową twarzą dawnych narodów? — Miecz będzie dłutem... Serce kraju ukształcimy na wzór żelaznego wołu Dyonizyusza. — Będzie ryczeć okropnie paszczą ognistą na cztery końce świata — jękiem zamkniętych i palonych we wnętrzu nędzarzy i męczenników... Czy serce wasze bije litością?... Ojcowie nasi mieli prawo zabi-

jania, a my nie możemy wystawić teatru gladiatorów na zahartowanie serca dzieci naszych. Powiedzcież, żaden z was nie doznał niebieskiej rozkoszy? nie czuł się wyższą istotą, kiedy go chłopi wioski jego czcili jak Boga i przyznawali zwierzęcym instynktem wyższość natury? — Szaleńcy i przeklęci, co chcą pozbawić następne pokolenia tego uroku, tej spuścizny, dawanej przez los szczęścia, zaczętego w kołysce, a skończonego wspaniałością marmurowych grobowców!...

KSIŃSKI.

Szczęsny!...

SZCZĘSNY.

Wszystkie wasze dumy pomieszczą się w mojem sercu. Starałem się długo otruć żywotną myśl wielkości błahymi napojami uczuć. I nie mogłem!... Myśleliście, że wy mnie będziecie prowadzić... Ja was wtrącę w taki wir, że będziecie jak ludzie pijani albo lunatycy chodzić po gzemsach ogromnej budowy. Biada temu, co się przebudzi — któremu nad uchem zawołają: zdrajca!... Zbudzi się — i upadnie w przepaść. Macie wy czoła tak blade, że na oczy świata blednąć nie będą? — albo policzki tak rumiane, że napiętnowane uderzeniem całego ludu, płonąć nie będą? Jeżeli utworzeni jesteście z żelaza, to mówię wam, że będę z wami. — Bo ja szukałem czegoś twardego i wielkiego na ziemi — będę zgrzytał i giął w ręku żelazne sztaby, a raz zasnąwszy snem okropnym upojenia — nie obudzę się, póki ostatni z was nie skona za moję wielkość i dumę. Duma jest duszą duszy mojej. — Będę szczęśliwy, wywracając przesądy i prawa — jak byłem szczęśliwy nieraz, wygrywając partją kościanych szachów. Duma jest to harfa, która ma tysiąc strun — tysiąc wielkich i cienkich tonów, tysiąc wzniosłych i błahych triumfów. — Stańcie wy na szachownicy świata . . . . . .

. . . . . .

(Tu braknie dwóch kart w manuskrypcie).

. . . . . .

. . . . . pismu, które ja sam podpisałem.

KSIŃSKI.

Pan hrabia odpowiesz przed ojcem!

SZCZĘSNY.

Podpisałeś, Panie Ksiński?

KSIŃSKI.

Podpisałem.

SZCZĘSNY.

Koszta podjęte przez Panów zapewne zwrócone będą przez mego ojca. Żegnam was, Panowie!

KSIŃSKI.

Dalibóg, tęgi z ciebie chłopiec, Panie Szczęsny! zadrwiłeś z nas.

SZCZĘSNY.

Nie! to mi wcale obojętne. Bywaj zdrów, sąsiedzie!

KSIŃSKI.

Zarekomenduj mnie twojemu przyjacielowi...

SZCZĘSNY.

Poznam was kiedyś... To bardzo godny człowiek — ale nie wiem jego nazwiska.

KSIŃSKI.

Upadam do nóg.

. . . . . .

SZCZĘSNY, *do Nieznajomego.*

Chodź tu!... Jakiś mam ciężar na sercu. Przyrzecz mi, że nikomu nie powiesz o tej dzisiejszej scenie. Dziecinną mi się wydaje, marzyliśmy kiedyś z tobą w szkołach o wielkiej sławie. Widzisz, że ja teraz pokazuję marjonetki, zabity jestem na sercu, jak inni ludzie zabici na duszy. Jutro może będę i na duszy zabity...

MARYNA.

Panie Szczęsny, Pan gniewa się na Marynę?

SZCZĘSNY.

Co? ty płaczesz, dziewczyno! Dalibóg ładna, jak aniołek!... chodź... *(całuje ją w czoło).* Gdyby widok tej dziewczyny nie obudzał w sercu mojem nikczemnych pamiątek, kto wie, czem byłbym teraz.

MARYNA.

To już ja paniczowi niepotrzebna?

SZCZĘSNY.

Idź do chaty — weź twoję płócienną spodnicę i wianek bławatkowy. I siedź w oknie, uśmiechając się do młodych chłopców. Przyślę ci posag...

MARYNA.

Ale panicz mnie będzie zawsze kochał?

SZCZĘSNY.

Idź, kochaj męża i potem kochaj dzieci twoje! Niech twoje życie będzie spokojne i szczęśliwe!

MARYNA.

Jak Panicz mówi, to mi się chce płakać... Mnie tak dobrze było, kiedy się Panicz do mnie uśmiechał.

SZCZĘSNY.

Zapomnisz o mnie...

MARYNA.

Kto wie!... A może zawsze, jak pomyślę o Panu... jak pomyślę o Panu... kochaj mnie panicz, bo ja biedna dziewczyna!

SZCZĘSNY.

Słuchaj: czy jak umrę, posadzisz mi różdżkę rozmarynu na mogile?

MARYNA.

Panicz nie umrze! Panicz nie umrze!... Jak panicz mówi takie rzeczy — bo już Panicz raz mówił, że chce umrzeć: to ja płakałam przędąc na kołowrotku.

SZCZĘSNY.

Posadzisz mi garstkę rozmarynu... Ale nie rwij tego rozmarynu potem do ślubnego wianka, bo to mnie bardzo zasmuci. Idź do chaty...

MARYNA.

Ale Pan przyjdzie?

Odchodzi.

SZCZĘSNY.

Może... jutro... przyszlę ci posag...

MARYNA.

Ale Pan przyjdzie...

Odchodzi.

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, ty marzysz o jakiejś smutnej rzeczy...

SZCZĘSNY.

Nie wiem, dlaczego — ale jestem senny. Czy sądzisz, że mój ojciec...

NIEZNAJOMY.

Na ojca twego padają podejrzenia — ale nie lękaj się o jego życie. — Lud nasz przywykł szanować wielką władzę — i blaskiem bogactw odepchnięty jest daleko od możnych ludzi...

SZCZĘSNY.

Ale są jakie podejrzenia na moim ojcu?

NIEZNAJOMY.

Tak, oskarżają go o dumę — i ambicją... Mówią nawet... ale to tylko między wyższymi osobami...

SZCZĘSNY.

Gdyby mnie nazwano zdrajcą — zdrajcą?... Ty jedziesz do Wilna...

NIEZNAJOMY.

Tak.

SZCZĘSNY.

Czuwaj nad nim!... weź arabskiego konia z mojej stajni. Jeżeliby co się zdarzyło tego wieczora, znajdziesz mnie jeszcze...

NIEZNAJOMY.

Co to znaczy: jeszcze?

SZCZĘSNY.

Ojciec mój niedoczekawszy się swoich ludzi, zapewne jutro rano wróci do zamku.

NIEZNAJOMY.

Cóż zamyślasz robić?

SZCZĘSNY.

Nic... W bramie będzie sosnowy próg — z czterech desek.

NIEZNAJOMY.

Szczęsny, czyliż ja ciebie widzę wyniszczonym przez pierwszy czyn twojego życia? Wysiliłeś się, rzucając pierwszy pocisk na świat spróchniały?

SZCZĘSNY.

Nie pytaj, co się dzieje w sercu mojem... Słyszałeś, jakem gadał do tych ludzi, kiedy byłem w zapale.

NIEZNAJOMY.

Kłamałeś sam sobie i tym ludziom.

SZCZĘSNY.

Kto wie?... Może w tych wyrazach była część najprawdziwcza myśli mojej —

NIEZNAJOMY.

Nie wierzę!... nie wierzę, na Boga!

SZCZĘSNY.

Jedź do Wilna i zostaw mnie samotności... Przebyłem wiele smutnych wypadków, a mam przeczucie, że to nie koniec wszystkiego...

AKT V.

SCENA II. [1]

Sala w pałacu Hetmana, jak w akcie I.

AMELJA prowadzi maleńkiego MICHASIA za rękę.

AMELJA.

Nie wiesz ty, gdzie braciszek Szczęsny?

MICHAŚ.

Widziałem go, siostrzyczko. Spał na sofie zielonej.

AMELJA.

Spał? Od nikogo dowiedzieć się nie mogę, co się stało w tym zamku. Taki był gwar — teraz tak cicho i spokojnie.

MICHAŚ.

Czy ty, Ameleczko, powiesz mi dziś jaką śmieszną bajeczkę.

AMELJA.

Wczoraj zapomnieliśmy zmówić pacierz, Michasiu.

MICHAŚ.

Cóż to szkodzi, Amelko?

AMELJA.

Bozio może się będzie gniewał na ciebie.

MICHAŚ.

Nie będzie gniewał się, nie będzie — ja mu dam bębenek.

AMELJA.

Mój kochany wróbelku, chodź, pocałuj mnie, mocno — mocno...

MICHAŚ.

O tak! *(rzuca się jej na szyję).*

SZCZĘSNY wchodzi zadumany.

SZCZĘSNY.

Co to? już noc?... Jakiś sen ciężki spadł na moje powieki. Śpię od południa.

Spostrzega Amelję.

[1] Sceny I-szej tego aktu braknie.

Ha! — Ameljo, dobry wieczór. Spałem, jak przed burzą, ciężko i głęboko... Czy pogodny czas?

AMELJA.

Księżyc świeci, wieczór bardzo spokojny i chłodny.

SZCZĘSNY.

Pogodny?

Otwiera okno.

Czy nie przyjechał ojciec?

AMELJA.

Nie. — Chodź Michasiu spać, już późno...

MICHAŚ.

Nie późno — nie późno... Braciszku, pohujdaj mnie na nodze!...

SZCZĘSNY.

No — trzymaj się, chłopcze.

MICHAŚ.

Jeszcze — jeszcze!

SZCZĘSNY.

Dosyć... jutro pojedziemy na koniku.

AMELJA.

Jeżeli grzecznie zmówisz paciorek.

MICHAŚ.

To ja przed braciszkiem zmówię paciorek.

AMELJA.

Dobrze. Klęknij tu na dywanie i złóż rączki. Mów za mną: — Boże...

MICHAŚ.

Bozio...

AMELJA.

Daj zdrowie...

MICHAŚ.

Daj zdrowie...

AMELJA.

I szczęście...

MICHAŚ.

I szczęście...

AMELJA.

Mojemu papie...

MICHAŚ.

Mojemu papie...

AMELJA.

Bratu Szczęsnemu — siostrze Amelce...

MICHAŚ.

Bratu Szczęsnemu i siostrzyczce Amelce...

AMELJA.

I wszystkim ludziom.

MICHAŚ.

I wszystkim ludziom.

AMELJA.

Zmiłuj się, Boże, i weź do nieba...

MICHAŚ.

Zmiłuj się, Boże, i weź do nieba...

AMELJA.

Mamę moję...

MICHAŚ.

Mamę moję...

AMELJA.

I miej litość...

MICHAŚ.

I miej litość...

AMELJA.

Nad mamą Amelki.

MICHAŚ.

Nad mamą Amelki.

AMELJA

Boże...

MICHAŚ.

Boże...

AMELJA

Daj Michasiowi rozum...

MICHAŚ.

Daj Michasiowi rozum...

AMELJA

I kochaj mnie, jak będę grzeczny...

MICHAŚ.

I kochaj mnie, jak będę grzeczny...

AMELJA

Amen.

MICHAŚ.

Amen.

AMELJA

Szczęsny, jak daleko od nas czas, kiedy mówiliśmy tak cichy pacierz...

SZCZĘSNY.

Bardzo daleko!

AMELJA

Wiesz ty, jaki smutny wypadek w zamku? Biedny staruszek Sforka zwarjował — żona powiozła go do Wilna do szpitalu Bonifratrów.

SZCZĘSNY.

Jakto do szpitalu?

AMELJA.

Mówi, że tam bardzo dobry doktor — i dlatego woli męża oddać pod dozór dobrych księży, niż go wystawiać w zamku na śmiech lokai.

SZCZĘSNY.

Cóż za przyczyna warjacji?

AMELJA.

Żona pana Sforki wróciła z kościoła i zastała męża puszczającego bańki z mydła. Puszczał je i śmiał się — dmuchał i płakał. Rozgniewana i zadziwiona staruszka rozbiła spodek filiżanki z mydlaną wodą — i połamała słomki. Starzec rzucił się na nią, jak wściekły— aż nareszcie musiano go związać. Widziałam, jak go związanego wynieśli ludzie i posadzili w kałamaszce. Pytał wszystkich: co to ja? co ja myślę? — Hajduki śmiali się — a żona biedaczka tak płakała, że aż litość była patrzeć...

SZCZĘSNY.

Warjacja — to rzecz okropna!... Idź połóż spać Michasia... Przyjdę potem pomówić z tobą... Wiele mam smutnych myśli, które dawno leżą na sercu. Przyjdę do ciebie, siostro, może się wyspowiadam z całego serca.

AMELJA.

Mój najmilszy, będę ciebie czekać i nastroję moją harfę... Pocałuj braciszka, Michasiu, pójdziemy spać...

MICHAŚ.

A jutro na koniku...

AMELJA.

Będę ciebie czekać, Szczęsny...

Odchodzi z dzieckiem.

SZCZĘSNY.

Jak sen dziwnie odświeża i hartuje myśli. Zdaje mi się, że gotów jestem zacząć drogę czynnego życia. — Myślałem o śmierci, jak o ostatniem schronieniu. Nie! Zacznę jeszcze walczyć z wypadkami i z ludźmi — wytrzymam spojrzenie ojca i pokonam go spokojnością czoła...

Wchodzi sługa.

SŁUGA.

Panie! dziwne biegają wieści. — Żydzi mówią we wsi, że rewolucja w Wilnie.

SZCZĘSNY.

Rewolucja?... dzisiaj?...

SŁUGA.

Powiadają, że zaczęła się o siódmej godzinie wieczorem... Wzięto arsenał... lud cały uzbrojony...

SZCZĘSNY.

Każ osiodłać konie! zbierz co jest ludzi w zamku, niech się uzbroją natychmiast! natychmiast!

SŁUGA.

Żyd arendarz, rozsądny człowiek, radził, aby iluminować zamek; to płyty idące do Wilna zaniosą wieść o tem, że się nasz pan zdeklarował...

SZCZĘSNY.

Nie trzeba!... Nasz pan w Wilnie... Nie lubię tych świateł, co z poza szyb rzucają jakieś blade światła na pokoje. Osiodłać konie!

SŁUGA.

Mówią jeszcze żydzi, że kilka dni temu była rewolucja w Warszawie...

SZCZĘSNY.

Osiodłać konie!... *(Sługa odchodzi).* Warszawa — Wilno — Polska cała — naród — ja. — Orszak ogromnych wypadków przesuwa się przed moimi oczyma. Jak się weń wmięszać — jak stanąć — gdzie?... Czem być?... Czem będzie mój ojciec?... O! ja mu się rzucę od nóg i będę płakał jak dziecię, prosząc za biednymi ludźmi, co się miotają w ogromnej sieci wypadków. Zdaje się, że słyszę krzyk rewolucyjny ożywających gruzów... Boże wielki! ja się dawno nie modliłem do Ciebie, a teraz czuję serce moje wołające z głębi wnętrzności o litość nad nami... Nad nami? Czem ja jestem? Ja nie powstałem!... Krzyczę między czterema murami wtenczas, kiedy inni umierają w milczeniu... Będę spokojnie patrzał na walkę ludu, jak na rzeź gladyatorów... W imię Boga idę skonać!...

Wstaje i chce wychodzić. CIEŃ HETMANA wchodzi przez drzwi przedpokoju, staje na środku i macha ręką na Szczęsnego, aby został.

SZCZĘSNY.

Ojcze... ty wracasz?... Co mamy robić?

Cień pokazuje ręką, aby został.

Ojcze... ale mów!... Przecie ty będziesz z narodem?...

CIEŃ.

O! o! o!...

Przechodzi przez salę i wchodzi do gabinetu.

SZCZĘSNY.

Na Boga!... taki cichy i biały... włosy mi powstają na głowie...

Dzwoni — wchodzi SŁUGA.

Co to? Pan przyjechał?... co wam rozkazał?... czy mówił do was?...

SŁUGA.

Pan?!

SZCZĘSNY.

Czy byli ludzie w przedpokoju?

SŁUGA.

Było nas czterech.

SZCZĘSNY.

To spaliście pewnie! Idź do gabinetu i zapytaj pana, czy nie chce czego.

SŁUGA.

Ale ja przysięgam Panu Hrabiemu, że pan Hetman nie wrócił. — Słyszelibyśmy zajeżdżający powóz.

SZCZĘSNY.

Musiał konno przyjechać... Jest teraz w tym gabinecie — zobacz...

Sługa otwiera drzwi do gabinetu.

SŁUGA.

Panie Hrabio — tu niema żywej duszy.

SZCZĘSNY.

Kłamiesz!... Mój ojcze!...

Patrzy do gabinetu.

O!... czy ja dostałem pomięszania zmysłów?... szklankę wody!

GŁOS HETMANA.

Szklankę wody!...

SZCZĘSNY.

Czy słyszałeś?... Wszak to głos mojego ojca — prosi o szklankę wody.

SŁUGA.

Ja nic nie słyszałem, Panie.

SZCZĘSNY.

Ale ja przysięgam, że słyszałem głos mego ojca...

SŁUGA.

Gdzie?

SZCZĘSNY.

Tu! *(uderza nogą).* Może wszedł do pokojów na pierwszem piętrze — szukajcie ze światłami, może jest na pierwszem piętrze...

SŁUGA.

Ale Pan mówiłeś, że wszedł do tego gabinetu... Z gabinetu niema wyjścia.

SZCZĘSNY.

Logika sługi... to rzecz dziwna!... Idź, bo ja muszę być chory... Nie mów nikomu w zamku... Na Boga, nie mów nikomu!... bo ja muszę być chory...

SŁUGA.

Czy zawołać doktora?...

SZCZĘSNY.

Nie — nie!... Co to za tętent?... Ktoś jedzie konno w mojej głowie.

GŁOS, *w przedpokoju.*

Gdzie pan Szczęsny! gdzie Szczęsny?...

Wpada NIEZNAJOMY.

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Szczęsny!... *(do Sługi).* Odejdź!...

Sługa odchodzi.

SZCZĘSNY, *odpycha Nieznajomego, patrzy na niego długo.*

Ojciec mój — musiał umrzeć... Ja widziałem cień mojego ojca... Ojciec mój musiał umrzeć...

NIEZNAJOMY.

Umarł.

SZCZĘSNY.

Ha!...

Pada na krzesło.

NIEZNAJOMY.

Nie wiem, co mu powiedzieć...

SZCZĘSNY.

Daj mi rękę... pomóż mi wstać... trzeba wiedzieć o wszystkiem... Wiesz... a przynajmniej dowiedź mi w godzinie nieszczęścia, że mnie masz za człowieka. Opowiedz wszystko... jak tam było... w Wilnie. Patrz mi ciągle w oczy i trzymaj oczyma myśl moją, bo mi się głowa zawraca... Ale powiedz wszystko... bo jeżeli moja imaginacja będzie musiała kończyć obrazy, to gotów jestem — rozumiesz?... Co widziałeś?...

NIEZNAJOMY.

Siądź.

SZCZĘSNY.

Nie... stać będę... lżej... opowiadaj!...

NIEZNAJOMY.

Otóż... w nocy o godzinie siódmej Jasiński z trzystu ludźmi przeszedł wyłomem muru koło Ostrejbramy — księżyca jeszcze nie było — przed Ostrąbramą świeciła lampa... Spiskowi idąc przed nią, żegnali się... i cicho podsunęli się wszyscy pod odwach naprzeciw ratusza. Jasiński poskoczył szybko i zabił szyldwacha, tak że Moskal nie jęknął... Chwycił za karabin. Spiskowi rozebrali broń z kozłów i tarabany. Jasiński rozesłał barabańszczyków na wszystkie ulice — i rozkazał, aby skoro uderzy ósma godzina, wszyscy zaczęli bębnić. Sam ulicą zamkową z dwiestu pięćdziesięciu ludźmi poszedł na Arsenał... Uderzyła ósma... we wszystkich ulicach ozwały się bębny — Moskale w popłochu sądzili, że na każdej ulicy stoi oddział żołnierzy — i uciekali od bębna do bębna... Jasiński wziął arsenał — i kazał bić we dzwony... Okropny rozgłos dzwonów obudził lud — zaczął w arsenale zbierać się — broń rozebrał i mordował Moskali... Byłem przy Jasińskim — wszyscy polscy panowie będący w Wilnie nie mieli się czego lękać — bo lud zajęty był Moskalami... Wtem jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papierów. Jasiński kazał podać pochodnie i przeczytawszy papiery, plunął i rzucił ze wzgardą. — Lud rozerwał między siebie listy... zaczął się zbierać koło tych, którzy umieli czytać, i długo nie mogłem pojąć tej sceny. Myślałem, że to proklamacje i manifesta... Nagle słyszę... krzyk z tysiącznych ust! Hetman zdrajca!... potem... jeszcze okropniejsze słowo...

SZCZĘSNY.

Mów!

NIEZNAJOMY.

Wieszać!...

Szczęsny chwieje się cały i daje znak ręką.

Przedzierając się, a raczej niesiony z falą ludu, oparłem się aż o sztachety pałacu twego — Hetmana... Lud zapchał całe schody — i wył, jak hiena... Nagle coś zleciało z otwartego okna

i przebiło się na pół na żelaznych sztachetach... to był Karzeł. — Skonał wijąc się jak robak na ostrzu żelaznem...

Szczęsny trzęsie się.

W kilka chwil potem wyprowadzono... Blady był, ale spokojny.

SZCZĘSNY.

Ubrany?

NIEZNAJOMY.

W szlafroku. W ręku coś ściskał — tak mocno, że nikt mu nie mógł ręki otworzyć.

SZCZĘSNY.

Mówił co?

NIEZNAJOMY.

Mówił: szklankę wody.

SZCZĘSNY.

Dali mu?

NIEZNAJOMY.

Jeden w tłumie chciał lud odwrócić namową od zapędu: chciał, aby sądowi oddano nieszczęśliwego...

Szczęsny ściska za rękę.

Potem jakiś ksiądz zbliżył się i słuchał spowiedzi. Spowiadający się był nieco roztargniony i patrzał często.

SZCZĘSNY.

Nie dręcz mnie!... patrzał w stronę zamku... czekał, jeszcze czeka!...

NIEZNAJOMY.

Spokojny był... i uśmiechnął się. Potem otworzył dłoń ściśnioną — w dłoni była papierowa tabakierka — zażył... i jednemu człowiekowi, co nic nie mówił i patrzał na niego, oddał tabakierkę.

Szczęsny wyciąga rękę, ale nagle odsuwa ją machinalnie.

Krótko cierpiał...

SZCZĘSNY.

Jak krótko?...

NIEZNAJOMY.

Pół minuty, nie więcej...

Szczęsny dobywa zegarka i patrzy.

SZCZĘSNY.

Ale to długo!... patrz, jak to długo!... widzisz, że ja spokojny... Bądź zdrów!

Chce iść.

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Na miłość Boga, gdzie idziesz?

SZCZĘSNY.

Ale... idę odczepić ojca z szubienicy.

NIEZNAJOMY.

Spokojności — rozwagi, mój przyjacielu!

SZCZĘSNY.

Ja nie zabiłem ojca mego — ale gdybym był pojechał z ludźmi przed kilku godzinami, to mój ojciec jeszczeby żył. Ale ja nie zabiłem mego ojca. — Czy sądzisz, że ja mógłbym był go obronić?...

NIEZNAJOMY.

Nie, na Boga nie!

SZCZĘSNY.

Tak! — przysięgam, tak, mogłem go był obronić!... Przekonaj mnie, że nie — bo padnę trupem na podłogę...

NIEZNAJOMY.

On nie może płakać... Szczęsny, daj rękę.

Kładzie mu rękę na tabakierce.

SZCZĘSNY.

O!... tabakierka.

Zakrywa oczy i słychać łkanie.

NIEZNAJOMY.

Biada! biada!

SZCZĘSNY.

Patrz — na tabakierce mój portret, kiedy byłem dzieckiem. Widzisz, miałem taką różową twarz, taki uśmiech... Ojciec mnie takim całował i pieścił na kolanach. Biedny mój ojcze! biedny mój ojcze!... Idź! bo ty płakać nie możesz... Zaklinam ciebie, nie patrzaj na mnie — ja chcę być dzieckiem.

Przychodzi SŁUGA.

SŁUGA.

Panie! przyjechałem co koń miał ducha z Wilna. Lud wściekły wali się tłumem z miasta rabować ten zamek. Za półtorej godziny będzie w bramie... Ojciec Pana zamordowany...

SZCZĘSNY.

Ha!... lud się wali rabować zamek?

NIEZNAJOMY.

Szczęsny zaklinam ciebie: nie bierz przedsięwzięcia oporu. Trzeba mieć Rzymianina serce, Szczęsny... trzeba lud wyjący zostawić, aby się wysilił na ścianach i zwierciadłach. Trzeba się poświęcić, Szczęsny!

SZCZĘSNY.

Ha! chcesz, abym ja był latarnią zamku mojego?...

NIEZNAJOMY.

O! na Boga, nie mów tak okropnie!

SZCZĘSNY.

Czy on mnie zna, ten motłoch?... Czy nie zechce rzucić mi w oczy skrwawioną w sercu ojca mego chustką? *(Dzwoni — wchodzi SŁUGA).* Wszyscy! *(dzwoni).*

Wiele SŁUG.

Rozbierzcie między siebie wszystko złoto, które się znajduje w skarbcu — i idźcie spokojnie czekać mnie na górze o pół mili stąd. Nie ruszać sprzętów, a tak sprawiać się spokojnie, aby siostra moja nie posłyszała najmniejszego szelestu! Będę z wami o godzinie pierwszej w nocy; ale rozkazuję — ja teraz pan wasz, aby przed dwunastą godziną żadnego już w zamku nie było.

SŁUDZY.

Słuchamy...

SZCZĘSNY.

Dziękuję wam za wierne usługi. Czy są między wami tacy, co od dzieciństwa znają ojca mojego? *(Kilku sług wychodzi).* Módlcie się za duszę pana waszego!

Ściska za rękę, daje znak, aby odeszli. Odchodzą. Szczęsny chodzi po pokoju.

NIEZNAJOMY.

Co myślisz robić?

SZCZĘSNY.

Powiedziałeś, że mam serce Rzymianina... Wysadzę zamek w powietrze... żadna go ręka nie dotknie... na wieży są prochy...

NIEZNAJOMY.

Jakto? więc chcesz zginąć? — słuchaj: ja jestem silny — wyniosę ciebie, iak dziecko z zamku.

SZCZĘSNY.

Nie! wszak można zamek wysadzić na powietrze i żyć. Mam sposób — sam mi dopomożesz... Wiesz, że nawet nie chciałbym zginąć. Muszę oczyścić w oczach narodów dwie pamiątki, zmazać dwie plamy. — Słuchaj! na wieży są prochy — włożysz

ten pistolet nabity rurą do jaszczyka — cyngiel pistoletu połączysz długim sznurkiem z mechaniką zegara na wieży. Przywiążesz go do pałasza Pogoni litewskiej. Po wybiciu godziny dwunastej w nocy ta Pogoń podnosi pałasz i uderza w orła rosyjskiego — podnosząc pałasza, pociągnie sznurkiem za cyngiel pistoletu i wszystko będzie... popiołem, błyskawicą, niczem... Uczyń to!

NIEZNAJOMY.

Ale ty nie zostaniesz w zamku?

SZCZĘSNY.

Słuchaj! Oto biorę na siebie zbawienie siostry mojej i braciszka, którzy nie wiedzą o niczem i śpią w tym pokoju. Jakże chcesz, abym ja z nimi skonał? zostanę chwilę po tobie w zamku, aby moją siostrę przygotować i nie przestraszyć boleścią mojej twarzy. Muszę dlatego przez chwilę samotnie pomyśleć i uspokoić się, aby uspokoić drugich. Czekaj mnie na drugiej stronie Wilji, ale przyrządź pierwej wszystko, jak mówiłem... przysięgnij!

NIEZNAJOMY.

Przysięgam...

SZCZĘSNY.

Chodź, uściśnij mnie!... Prawda, że to noc okropna?...

NIEZNAJOMY.

Będzie mi się śniła w grobie nawet.

SZCZĘSNY.

Czekaj! w grobie się nic nie śni... Czy sądzisz, że myśl jest tak silna, że jej nie mogą całkiem stargać wypadki okropne życia? Czy dusza jest niewypaloną nigdy lampą? Czy ziemia grobowa może dać nowe kolory i siły wilgocią, jak kwiatowi? Czy dla tego niszczy ciało, aby dusza śnić mogła?... więc niszczy coś — dla niczego! Zastanów się i postaw się na mojem miejscu i myśl. Gdybyś ty mógł teraz rozwiązać tę zagadkę wszystkich religij na świecie... Ja nie mogę do nieba zanieść pamiątki tej nocy. A jeżeli nie będę pamiętać o tem, czem byłem: — cóż znaczy to słowo: b ę d ę?

NIEZNAJOMY.

O jakże ty złamany nieszczęściem!

SZCZĘSNY.

I owszem: myślę — więc żyję...

NIEZNAJOMY.

Czekam ciebie z drugiej strony rzeki.

SZCZĘSNY.

Nie żegnamy się... *(odchodzi Nieznajomy).* Nie widzę żadnej drogi przed sobą... Zdaje się, że chodzę na gzemsach zamku. Ja... i siostra... i to dziecię... dziecię, co się modliło dziś jeszcze: Boże, daj zdrowie!... Jak głos tego dziecka stał się piosenką duszy mojej... Boże, daj zdrowie! Ale co robić? powiedz wahająca się myśli, co robić?

KSIĄDZ, *wchodzi.*

(Dokończenia dramatu niema).

WIERSZE I POEMATY
ZWIĄZANE Z PODRÓŻĄ NA WSCHÓD

HYMN

O ZACHODZIE SŁOŃCA NA MORZU

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przedemną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową,
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową,
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu bliski,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski;
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj na wielkiem morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości
W straż nieoddane kolumnowym czołom;
Alem jest jako człowiek, co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc, że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić się za mnie codzień, a ja przecie
Wiem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc, że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie,
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością[1] ukorzę,
Smutno mi, Boże!

(d. 20 paździer. dopływając do Alexandrji, 1836).

---

[1] W jednym z rękopisów jest:
Nim się przed Twoją wiecznością ukorzę *(P. W.)*

PODRÓŻ NA WSCHÓD

PIEŚŃ PIERWSZA.

WYJAZD Z NEAPOLU.

I.

Muzo mdlejąca z romantycznych cierpień,
Przybądź i pomóż! Wzywam ciebie krótko,
Sentymentalna, bo kończy się sierpień,
Bo z końcem sierpnia i koniem i łódką
Puszczam się w drogę przez Pulią, Otrauto,
Korfu... Gdzie jadę? powie drugie canto.

II.

Tymczasem pierwsze odpowiedzieć musi,
Skąd się wybrałem, poco i dlaczego?
Chrystusa djabeł kusił, i mnie kusi;
Na wieży świata postawił smutnego
Życia nicością, i pokazał wszędzie
Pustynie, mówiąc: „tam ci lepiej będzie".

III.

A jednak, gdyby mniej pamięci bolu,
Zachceń i marzeń, a więcej rozsądku:
Toby mi dobrze było w Neapolu,
Gdzie przed oknami na prawym przylądku
Widziałem szare więzienie stolicy,
A zaś Wezuwiusz górą, po lewicy.

IV.

Błękitne morze pomiędzy więzieniem
A między górą popiołu i lawy
Czekało ciche, aż góra płomieniem,
A konstytucją buchnie wulkan prawy.
Tak było niegdyś, nim się na Francuzów
Król i Fra-djabeł ruszyli z Abruzów.

V.

To jest za króla ruszał się kardynał,
Z kardynałem Fra-djabelska banda,
Ta rozgrzeszała, rak czerwony ścinał
W imieniu Boga, Papy, Ferdynanda;
Gdy zaś wyrąba do Kyrie Elejson
Litanją świętych, wyręczył go Nelson. [1]

VI.

Mówiłbym dalej, ale *Pan Podstoli,*
Dziady, a zwłaszcza tych *Dziadów* część czwarta,
Uczą porządku w opowiadań roli,
Rysując proste ścieżki. Więc do czarta
Mego pegaza wyskoki, i liczne
Opowiadania semi-historyczne!

VII.

Więc do porządku! A jednak mię boli
Dawać odsyłacz do pana Coletty [2]
Gdzie opowiada, jak trup Caracciolli [3]
Z łańcuchem u nóg na morzu... Niestety,
Przyrzekłem trzymać wędzidło na pysku
Apolinowym. Lecz powiem w przypisku. [4]

VIII.

A jeśli drukarz znajdzie, że do treści
Z podróży wątkiem zlewa się przypisek,
To go pod strofą poprzednią umieści,
Zmazawszy parę skrzyżowanych kresek,
I nie dozwoli, by za gwiazdek tropem
Czytelnik gonił z Herszla teleskopem. [5]

IX.

Przypisek winien być pisany prozą,
Lecz ja nie mogę pisać, tylko wierszem.
Ktoby pomyślał, że mnie rymy wiozą,
Że sobie konno usiadłem na pierwszym,
A za mną drugi jedzie krok za krokiem
Rym z parasolem, z płaszczem i tłumokiem.

X.

Wierzcie mi jednak, że leksza od rymu
(Dla śniegów jechać nie mogłem przez Turyn)
Para mnie gnała z Marsylji do Rzymu;
Do Neapolu zaś przywiózł veturyn. [6]
Carozze jego i cabrioletti
Zalecam wszystkim — zowie się Paretti.

[1] Nelson admirał angielski powołany przez Ferdynanda I-go do Neapolu. [2] Pietro Coletta, neapolitański minister wojny. [3] Caraccioli, książę neapolitański, zginął podczas rewolucji. [4] Przypisku tego w rękopisie niema [5] Herschel, znakomity astronom. [6] Weturyn z włoska-woźnica.

XI.

Zalecam nowy hotelik Vittoria,
Który staremu nie ująwszy sławy,
Tak się podzielił famą, jak cykorja
Wmięszana zgrabnie do mokańskiej kawy.
I marmurami, wygodą i luxem
Ze starym idzie, jak Kastor z Polluxem.[1]

XII.

Zalecam także (zostanę Astolfem[2]
Bo mój hipogryf staje się skrzydlatym),
Zalecam tobie mieszkanie nad golfem
Na świętej Łucji; a jeśliś bogatym,
Jeśli ci kura złote nosi jaja,
Mieszkaj przy Villa Reale, na Chiaja.

XIII.

Dosyć już, dosyć! Wyznaję ze wstydem,
Że pohamować nie umiejąc weny,
Z wieszcza zostanę prozaicznym gidem;
Ja, com zamierzał wypłakiwać treny
Nad Caracciolim i kląć Ferdynanda,
Dziś piszę, jaka gdzie stoi lokanda.

XIV.

Bo też kto dzisiaj jest na stałym lądzie
A jutro myśli wędrować po morzu,
A pozajutro jeździć na wielbłądzie,
Nie jedząc mięsa, ani śpiąc na łożu:
Chciałby Europę, co mu z oczu znika,
Unieść jak Jowisz przemieniony w byka.

XV.

Jeśli Europa jest Nimfą — Neapol
Jest Nimfy okiem błękitnem, — Warszawa
Sercem, — cierniami w nodze Sewastopol,
Azow, Odessa, Petersburg, Mitawa: —
Paryż jej głową — a Londyn kołnierzem
Nakrochmalonym, a zaś Rzym ... szkaplerzem.

XVI.

Gdzieś porównanie podobne w Szekspirze
Na Niderlandach kończy się zamknięte...
Lecz ja wyjeżdżam pod Golgoty krzyże
Po święte myśli i szkaplerze święte.
Więc przed wyjazdem robię ślub niezłomny,
Że będę nieco zabawny — lecz skromny.

[1] Kastor i Pollux synowie Zeusa, wzór przyjaźni. [2] Bohater „Orlanda Szalonego“ Ariosta.

XVII.

A jeśli kiedy mój przyjaciel Szekspir
Na złą myśl zagna rymy buntownicze,
Położę jaki suspir albo ekspir:
Z muzyki znaku milczenia pożyczę
I muzę moję w rymowym balecie
Na zakręconym wstrzymam piruecie.

XVIII.

O Neapolu! ty nie pożegnany
Czekasz, aż ciebie pożegnam epicznie.
Jak biała Wenus, urodzona z piany,
Wyszedłeś z morza zapłoniony ślicznie
Skrawymi słońca zachodniego łuny.
Cichy, pod górą, co ciska pioruny.

XIX.

O Neapolu, gdzie jest twoja dusza?
— Bo duszą twoją nie jest ruch i życie! —
Patrzę na ciebie z grobu Wirgiljusza,
A ty na niebie i na fal błękicie
Tak roztopiony w zorzy malowidła,
Jak upuszczona na brzeg bańka z mydła.

XX.

O Neapolu! wieczorne wyziewy
Tym są rumieńcem, twe dymy są tęczą.
Harmonizujesz się tak, jako śpiewy
Z ciszą powietrza; twe dzwony nie jęczą;
A twój domami okryty pagórek
Ma białość lekkich na błękicie chmurek.

XXI.

Tylko po Chiai i po Margelinie[1]
Idą przeciwne sobie dwa rynsztoki;
Rój mrówek lezie i rząd karet płynie,
Wszystko się rusza. Grób wieszcza wysoki
Właśnie tam stoi, *dove fal il torso*
Ulica; — z grobu patrzałem na Corso.

XXII.

A choć przejeżdżał w prześwietnej osobie
Królewic mały, choć mu się rój kłaniał,
Jam się nie skłonił; bom siedział na grobie.
Mastalerz jechał i kijem rozganiał
Mrówki idące w przeznaczenia drogę
Z królewicami... gdzie? zgadnąć nie mogę.

[1] Ulice w Neapolu.

XXIII.

Choć bardzo lubię filozofję Kanta,
Gniewam się na nią, że ludzi nie uczy,
Gdzie iść po śmierci. Wolę piekło Danta:
Właśnie je czytam podług nowych kluczy,
Które przyczyną może będą schizmu
Mówiąc, że Dant chciał republikanizmu.

XXIV.

I w poemacie używał języka
Sekretnych związków. A gdy tajemnicze
Kładł majuskule, to podług krytyka
Na końcu rymu położone B. I. C. E.
Wcale znaczyło co innego w pieśni
Niż Beatricze. Wam się o tem nie śni!...

XXV.

A ja dowodzę, że Dant o kochance
Nie śnił, a jeszcze mniej śnił o Vororcie[1]
Albo Konwencji — i nie topił w szklance
Cesarza Niemców, i w piekła retorcie
Nie smażył rządu lepszego, co przyjdzie,
Jak niegdyś Platon kiep na Atlantydzie.

XXVI.

Z grobowca wieszcza widzę, jak nad głową
Wulkanu księżyc wysunął się biały,
A u stóp góry Castello dell'Ovo,
Zamek podobny do sterczącej skały,
Gmach, co się trzyma przez królewską wolę
W morzu, jak jaje Kolumba na stole —

XXVII.

Zczerniał przy fali migającej złocie; —
A gdy na niebie szafirowem ze dna
Gwiazd zapalonych wychodziły krocie:
I z okiem zamku błysła gwiazda jedna
Czerwona, rubin zamglonych błękitów,
Siostra błyszczących gwiazd — u Karmelitów.

XXVIII.

O gladjatory, wydarci ludowi
W godzinie zgonu i mrący na słomie!
Idę powiedzieć o was Chrystusowi
Pod Jego krzyżem, w Jego męki domie;
Idę zapytać głośno w Oliwecie
Gdzie się zbudzicie i zmartwychwstaniecie?

[1] *Vorort* Dyrektorjat federalny w Szwajcarji. *(P. W.)*.

XXIX.

I tam, gdzie Chrystus zapłakał sam w sobie,
Z oliwy bladej gałązki rwać będę;
A jeśli znajdę, że już śpicie w grobie,
Liściami płaczu posypię tę grzędę,
Pod którą będzie cichy sen grobowy —
Kości bez czaszek i trupy bez głowy.

XXX.

O bracia moi, łańcuchami zbrojni!
O nie targajcie wy się jak w rozpaczy!
O bracia moi, bądźcie wy spokojni!
Słońce was jutro po kratach zobaczy
Bledszych wilgocią, strawą i myślami,
A ja was żegnam . . . niech śmierć będzie z wami!

XXXI.

Żegnam i ciebie, o garsteczko prochów
Leżąca zawsze pod laurem klasycznym;
Turkot powozów z Pauzylipu [1] lochów
Woła pod tobą hymnem romantycznym,
Że sława przejdzie, a bryki nie przejdą,
Że ta bryk droga jest wielu Enejdą . . .

XXXII.

Most pod Tamizą jest kupców Iljadą —
I wiele będzie do sprzeczki powodów,
Czy jeden Rotszyld, jak wieszcz nad Helladą,
Czy też brzęczących kompanja Rapsodów
Autorem mostu, gdzie w oknach przez szyby
Anglikom się w twarz przypatrują ryby.

XXXIII.

Lecz niech mnie ciemność Erebu [2] ogarnie,
Jeśli okłamię Pauzylipu grotę!
W ciemny korytarz spadają latarnie —
Jedna za drugą, jak gwiazdeczki złote;
A tam, gdzie niknąą i gdzie ciemność krucza,
Światło dnia wpada, jak z dziurki od klucza.

XXXIV.

I jeszcze wyżej wzniósłszy się na duchu,
Powie ci muza w opisaniach szczytna,
Że na uwitym z latarni łańcuchu
Zawisła mała gwiazda dnia błękitna,
A w tej gwiazdeczki w lazurowem łonie
Rodzą się ludzie, powozy i konie.

[1] Pauzylippo, góra pod Neapolem. [2] Ereb, podziemie.

XXXV.

Rodzą się, rosną i w latarni błyskach
Idą, większejąc długim korytarzem.
Jeżeliś nie był w romantycznych spiskach,
A jesteś przyszłych wulkanów malarzem,
Tu, nie lękając się dyb i powroza.
Zbieraj modele, jak Salvator Rosa [1].

XXXVI.

Lecz chodźmy w miasto! Już księżyc wysoko,
A golf ubrany latarni przepaską.
Stolico! gdzie nikt nie myśli głęboko,
Gdzie zabroniono nawet myśleć płasko,
Niech twój rząd stworzy jakie słowo święte
Na niemyślenie, jak na *farniente!*

XXXVII.

Dyogenesów lud rynki zasiada.
Czego chcesz? pyta wolność lazarona:
Zejdź z mego słońca — nędzasz odpowiada.
Jeżeli nie ma karlinów, to skona
Z głodu i pójdzie do łódki, gdzie Charon
Dusze przepławia... wolność? czy lazaron?

XXXVIII.

Wolność!... Już dla niej uszyto symarę [2]
Z gazet *Giovine Italia*... lazaron
Będzie żył, póki ma *frutti di mare,*
Niebo błękitne i żółty makaron,
I koszyk, w którym leży jak ostryga.
Pytasz się, co w dzień porabia? — dościga!...

XXXIX.

A młodzież lepsza, co ma grosz w kieszeni,
Tytuły contów i w oknach firanki,
W cieniu dopiero się ledwo zieleni...
Kto temu winien? — Neapolitanki!...
One to winnę, że się lud nie budzi;
Bo kto z młodzieży umie robić ludzi?

XL.

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować, (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać,
Na archipelag uciekać po laur
I awantury — jak *Korsarz* i *Giaur.*

[1] Salvator Rosa, malarz XVIII wieku, poeta satyryczny i muzyczny.
[2] Symara, całun.

XLI.

Ona uczyła mię chodzić, jak scenarz
(Lepsze niż aktor słowo niech zostanie);
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie;
Dziś mię nawraca bez żadnego skutku
Na katolicyzm... mam religją smutku!

XLII.

I odpisałem... co? już nie pamiętam —
Coś odpisałem, lecz nie tak gorąco
Jak Russo — ani tak sucho, jak Bentham!
„Jako dwie skały, kiedy je roztrącą
Strumienie rzeki, choć je nurt rodziera,
Patrzą na siebie niebem" et cetera.

XLIII.

I znowu wspomnień pieśń dzika, echowa,
Zagrała w sercu i łzy moje płyną.
O Ludko![1] dziecka kochanko, bądź zdrowa!...
Jeżeli kiedy pod tą jarzębiną,
Co nieraz kładła koralowe grona
Na twoje włosy, siądziesz zamyślona;

XLIV.

Jeżeli książkę położysz przy sobie,
Jeśli szalona ta pieśń z tobą będzie: —
Kart nie odwracaj!... bo nim spocznę w grobie,
Będę ci śpiewał, jak mrące łabędzie
Tak nieśmiertelnym płaczem, że raz jeszcze
Łez brylantowych osypią cię deszcze.

XLV.

I łzy się żywe rozbiegną po łonie
I strumień palce różowe otworzy,
Jeśli spłakaną twarz ukryjesz w dłonie.
Ja wtenczas będę spokojny: jak w zorzy
Gwiazda nikająca, blady; lub z obliczem
Pełnem promieni Boskich... albo niczem.

XLVI.

Jednak jeżeli ten, co jest na niebie,
Słyszał o słońca mówione zachodach
Modlitwy moje — wszystkie nie za siebie,
A tak rozlane na świat, jak na wodach
Mórz lazurowych rozlewał się cały
Krąg tonącego słońca skrawo biały;

[1] Ludwika Śniadecka, córka Jędrzeja, później żona Michała Czajkowskiego, Sadyka paszy: ob. *Godzina Myśli.*

XLVII.

Jeśli Bóg wiedział, jak mi było trudno
Do tego życia, co mi dał, przywyknąć
I nie przeklinać.. i drogą bezludną
Iść po tym świecie szalonym, i niknąć,
Co dnia myśl jednę rozpaczy zaczynać,
Myślą tą modlić się... i nie przeklinać;

XLVIII.

Jeśli i Boga nie zwiodła udana
Spokojność moja, ta Chrystusa szata,
Krwią poplamiona i drugi raz wdziana
Na duszę pełną bólu... i ze świata
Uciekająca na chmurach jesiennych
We dnie tak smutne, jak noce bezsennych: —

XLIX.

To mojej duszy, dobytej z popiołów,
Da wiele ciszy — i na jaką bladą
Gwiazdę do smutnych krainy aniołów
Przeniesie senną. Trupi prędko jadą,
Mówi poeta ballad w Leonorze;
Więc na niemieckim chciałbym siąść upiorze

L.

I ruszyć w podróż; bo się pieśń przewlecze
Nie jedną jeszcze przerwaną ideą.
Jutro kurjerem wyjeżdżam do Lecce,[1]
Jutro więc zacznę śpiewać Odysseą,
Albo wyprawę o Jazona runach[2]
Na nowej lutni i na złotych strunach.

PIEŚŃ TRZECIA[3]

STATEK PAROWY.

I.

Na morze statek wyleciał parowy;
Wre par, słychać dźwięk żelaza szklanny...
A jako z płaskiej wieloryba głowy
W niebo srebrzyste tryskają fontanny,
Tak z pod okrętu młyńskiem bita kołem
Wytryska piana — a dym leci czołem.

---

[1] Lecce, stolica włoskiej prowincji Otranto. [2] Jazon, bohater wyprawy po złote runo. [3] W autografie zaraz po *Pieśni I-ej* następuje *Pieśń III.* Niewiadomo dlaczego, odpisując na czysto, wypuścił poeta *Pieśń III.* W rękopisie, z którego drukujemy, nie została wydarta, bo w paginacji ręką poety dokonanej, nie ma żadnej przerwy.

II.

Jeszcze nie rzucę porównania, chyba
Słów mi zabraknie. Ogień wre zamknięty
W drewniano-smolnem łonie wieloryba.
A jako niegdyś płynął Jonasz święty,
W łonie okrętu bez desek i miedzi
Wesoło, w licznem towarzystwie śledzi,

III.

Zapewne nieraz śmiejąc się z kłopotu
Trawionych flądер, ostryg i czefalów:[1]
Tak nasz kapitan i wódz paketbotu
Z pasażerami jak z tłumem wasalów,
Otyły, wesół, dowcipny i mądry
Nas ma za śledzie, ostrygi i flądry.

IV.

Tu majtek rudel obraca mosiężny;
Dalej zantejski sędzia i sędzina,
A między niemi synek niedołężny,
Sędziątko z twarzą zwierzęcą kretyna,
Może przekleństwo jakiego klienta
Ubrane w takie ciało, jak zwierzęta.

V.

Zdziwiony patrzy na okręt i twarze;
Nie wie, co znaczą łzy na matki licu,
Nie wie, że przezeń Bóg rodziców karze;
A nam widniejsze góry na księżycu,
Morza przy górach i na morzach statki,
Niż temu dziecku łzy na oczach matki...

VI.

Kapitan krzyknął Wirgilem: *et tantae,*
Tantaene divis coelestibus ira?"
Na to się podniósł hraf Solomon z Zante,
Poeta grecki; ucho mu rozdziera
Zmiana wyrazów i kradzież średniówek;
Więc chciał poprawić — lecz żałował słówek.

VII.

Może też słabość, bo prędko rękoma
Wziął się za serce i na dwóch lokai
Głośno zawołał nazwiskami dwoma;
Bo skoro tylko jeden się narai,
Zaraz poeta na drugiego krzyczy,
Aby wiedziano, że dwóch w służbie liczy.

[2] Czefal, głowonóg.

VIII.

Wielki poeto! Jako między skały
Rzucony Tytan, tak ty w puchowniczki
Strącon słabością; a twój surdut biały
I glansowane białe rękawiczki
I twój z usłużnych lokajów paszalik
Świadczą, że jesteś *coxcomb* [1] lub migdalik.

IX.

„O! znam ja ciebie, której ręka trzyma
Miecz w piorunową uzbrojony jasność;
O! znam ja ciebie, skrawemi oczyma,
Na świat patrzącą, jak na przyszłą własność ... ?
Z takim to niegdyś do Wolności żarem
Przemówił ów graf — i został Pindarem. [2]

X.

Gdy go raz wieńcem uwieńczyła oda,
Mówią, że dzisiaj co napisze, spali;
Mówią, że wierszy popalonych szkoda;
Mówią, że przy nim wszyscy wieszcze mali.
Szkoda, że zamiast wiersze chować w szafę,
Czyni z nich codzień pan graf *autodafé!*

XI.

Przy tym poecie, co był tak ognistym
Wewnątrz, a zwierzchu drżał jak galareta,
Siedział na środku w krześle rozłożystem
Senator, starzec z twarzą Epikteta, [3]
Z uśmiechem słodkiej starości na twarzy,
Z podagrą w nogach, z tłumem sekretarzy.

XII.

Jeden sekretarz był jak kropla wody
Podobny ... Muzo, cyt! niechaj opinja
Żadna i żadnej nie poniesie szkody.
Taki był pokład. Dalej biała linja
Od indywiduów oddzielała masy,
To jest podróżnych, ale drugiej klasy.

XIII.

Tam pod żelazną kolumną komina
Siedział Grek w czapce czerwonej i Turek,
Wzajemnie dymy rzucając z bursztyna;
A między nimi z tłumoków pagórek
Żółtych i czarnych — a koło tej góry
Kuchnia, kuchciki, kucharze i kury.

[1] Fanfaron, chłystek. *(P. W.)* [2] Wielki poeta liryczny grecki.
[3] Epiktet, stoik.

XIV.

Przy piersi matek rozpłakane dzieci,
Przy bokach starców stoją flasze z gliny;
Czasem iskierka czerwona wyleci
Z czeluści statku i pomiędzy liny
Błąka się długo, nim zagaśnie smutna,
Nie doleciawszy pod namiotu płótna.

XV.

Nad pierwszą klasą cień i lekkie chłody,
Nad drugą klasą cięży jakaś para
I komin sypie deszczem wrącej wody.
Proszę! za czworo nędznego talara
Można uniknąć piekła... ale za to
W Paryżu nazwą cię arystokratą.

XVI.

Miło tak płynąć w tym okrągłym świecie
Po morzu cichem, jasno-lazurowem.
Wkrótce choroba z pokładu wymiecie
Tłum pasażerów, i zostawi zdrowym
Odgłos dalekiej po salonach czkawki,
Rozległy pokład i bezludne ławki.

XVII.

Cicho. Dzień cały po błękitach bije
Okręt kręconą machinami skrzelą.
Już zbłękitniało Korfu — już się kryje;
Już się fortece Santa Maura[1] bielą;
A z drugiej strony przedzielona żwirem
Forteca Turków, w górach pod Epirem.

XVIII.

Ta ani w buńczuk ustrojona koński,
Ani w błyszczące pióro półksiężyca,
Cicha jak kamień; kiedy zamek Joński,
By ustrojona do ślubu dziewica,
Ma kwiat na głowie, tysiąc iskier w oku,
Bukiet z latarni portowej u boku.

XIX.

A niech wie każda poetyczna Laura,
Każda sawantka z twarzą bardzo bladą
I księżycową, że ta Santa Maura
W starożytności zwała się Leukadą.
I pod błękitnym unosi obłokiem
Skałę wsławioną biednej Safo skokiem.

[1] Santa Maura, Leukada, twierdza osławiona przez śmierć Safony.

XX.

Znałem... lecz szczęściem uleczoną z żalu
Safonę, bardzo podobną do greckiej.[1]
Ta się nieszczęściem kochała w Moskalu,
A Moskal zginął na wojnie tureckiej;
Ta poszła zabrać na Warneńskiem polu
Zwłoki — a uszy w Konstantynopolu.

XXI.

Smutna, ubrana w kwiaty sympatyczne,
Poszła nieszczęsna na brzegi Marmora,
Kędy osobne biuro statystyczne
Liczyło uszy z rana do wieczora
I oddzieliwszy od niezgrabnych zgrabne,
Nizało sztucznie na sznurki jedwabne.

XXII.

I przyszła sama, smutna jak Armida,[2]
I rzekła z płaczem: „oddajcie mi skarby!"
— „Jakie?" rzekł gruby Emir Bej Raszyda.
Chciała powiedzieć, lecz rumieńca farby
Zeszły na twarzy płaczącej dziewczynie,
Bo nie znalazła frazesu w *Korynie*...[3]

XXIII.

„Wróćcie mi, wróćcie!" i znowu zamilka,
Patrząc na skarbów znizanych pół-pluton.
Zrozumiał Emir i dał sznurków kilka,
I gładząc brodę śmiał się jak bóg Pluton;
Śmiał się, zważając na prośby szalone —
Orfeuszowskie, co prosił o żonę

XXIV.

I musiał piekłu grać, jak Paganini,
Na jednej strunie cały płaczu kwartet.
Ale powróćmy do naszej bogini;
Chciała z rozpaczy umrzeć *broken-hearted*,[4]
Więc wiodła ciągłą z doktorami sprzeczkę
O krwi troszeczkę i jeszcze miseczkę...

XXV.

Skało Leukady tykająca nieba!
Śmiej się echami grot tłuczonych falą
Z lancetów, mdłości i pigułek z chleba! —
Noc bezmiesięczna i gwiazdy się palą —

[1] Ludwikę Śniadecką, która kochała się była w synu generałgubernatora Korsakowa. Ten istotnie zginął w 1828 r pod Warną, dokąd udała się po latach Śniadecka i założyła szpital. Z czasem wyszła za Michała Czajkowskiego (Sadyka-Paszę). [2] Armida, czarodziejka (Jerozolima Wyzwolona). [3] Korynna, bohaterka powieści p. de Staël. [4] mający serce rozdarte.

Sam na pokładzie, wichrem bity, blady,
Płynę przy skale nieszczęsnej Leukady.

XXVI.

Piana pod piersi okrętu się garnie,
Stukanie pompy jak dźwięk idzie rymu;
Na maszcie statku błyszczą dwie latarnie
Pod obłokami kirowego dymu;
Zda się, że światła te, zamglone sadzą,
Okręt w krainę piekielną prowadzą.

XXVII.

Te same gwiazdy i ta sama skała,
To samo morze! Lecz gdzież na tej skale
Postać kochanki pogardzonej biała
Jak drugi księżyc? gdzie? tu — o dwa cale,
Pod tą podłogą, gdzie lampa się pali,
Safo śpi jakaś — sama, w kobiet sali...

XXVIII.

Raz tylko wyszła na pokład i słońce,
Siadła na ławce, spojrzała w błękity
Tak mglistem okiem, że się zeszły końce
Rzęs długich, czarnych, — i wzrok był przykryty
Cyprysem oczu; nie spojrzała w żadną
Twarz na pokładzie. Kiedyś była ładną.

XXIX.

Zniszczył ją smutek. Smutna poszła w ciemność
Na dno okrętu; a zwierzchu mówiono,
Że tę kobietę dręczy niewzajemność,
Że przed miesiącem była mniej niż żoną,
Więcej niż... djabła! niech dokończy zycer...
Że ją angielski porzucił oficer.

XXX.

Mój czytelniku, uderz się ty w piersi!
Bądź na pokładzie okrętu w noc ciemną,
Przy skoku Safo: a będziemy szczersi.
Ja ci opowiem, jaki cień był ze mną
W ciemnościach nocnych... co za mną tułaczem
Biegło po morzu z przekleństwy i płaczem.

XXXI.

Sumienie moje, niewidome światu,
Jak Nereida wyszło z morza głębi;
Na czole pełne liljowego kwiatu —
I znów, jak Wenus, na wozie gołębi
Leciało między gwiazd sferami śliczne,
Pół chrześcijańskie, pół mitologiczne.

XXXII.

Bo przez noc całą tak ciemną i mglistą
Co robić? — serce własne gryźć i kąsać?
Trzeba nareszcie zostać panteistą.
Poznać się z duszą natury i pląsać
Z czarownicami, co się stają widne,
Podług strawności — piękne lub ohydne.

XXXIII.

Ave Maria! Już rosy brylanty
Sypią się z nieba i niebo różowe.
Już przypływamy — i nad czołem Zanty
Widać fortecy uzbrojoną głowę
W niebie, nad miastem. Już wychodzą różni
Na pokład statku zmytego podróżni.

XXXIV.

Ten pije kawę, ów rozciąga członki;
Wszyscy się zdają rozrastać jak krzewy.
(Nasze by damy mówiły koronki).
Bon jour! Tak do mnie akcentem z Genewy
Przemówił młody Zantejczyk, figura
Przez lat dwanaście kształcona na *jura*.

XXXV.

Przez lat dwanaście uczony w Genewie,
Zdala od ojca, matki i ojczyzny...
Może, czy wszyscy jeszcze żyją — nie wie;
Może nie pozna pod śniegiem siwizny
Zmienionych twarzy. Nim został studentem,
Jechał, dziś wraca tym samym okrętem...

XXXVI.

Te same deski, co go dzieckiem niosły,
Dziś odnosiły do domu człowiekiem.
Gdyby tak drzewom przypomnieć, że rosły:
Toby się sęki zasklepione wiekiem
Same otwarły, przez kory szczeliny
Niepowstrzymanych łez lejąc bursztyny.

XXXVII.

Ale ten człowiek był, jako Ilissos [1]
Pod Atenami, bez fal i bez wody;
I ten sam statek, ten sam Heptanissos, [2]
Co go odnosił w rodzinne zagrody,
Dla niego prostą był tylko machiną,
Na której ludzie za pieniądze płyną.

[1] Rzeka w Grecji. [2] Siedem wysp. *(P. Aut.)*

XXXVIII.

Z jakiejże gliny byli ulepieni
Ci, co wracając na ziemię ojczystą,
Padali czołem na czoło kamieni,
Całując ziemię chwastami nieczystą,
Zimną... co nieraz, nim usta oddarli,
Na głazach ziemi całowanej marli!...

XXXIX.

Ojczyzno moja! może wszyscy wrócą
Na twoje pola, ale ja nie wrócę!
Śmierć — lub to wszystko, co mi losy rzucą
Na kamienistej drodze życia — płuce
Ogniem pożarte.[1] widziane oczyma
Sny straszne twarzą: wszystko mię zatrzyma!

XL.

Wszystko mię wstrzyma w obcej ziemi łonie
Umarłym, może jedną chwilę wcześniej
Niż zmartwychwstanie twoje, o Syonie,
Jerozolimo, trapiona boleśniej,
Niż gród Chrystusa!... A gdy na twą grzędę,
Ojczyzno, inni powrócą — spać będę!

PIEŚŃ CZWARTA.

GRECJA.

I.

I zaraz ku nam olbrzym Adamastor[2]
Wyjechał z Zante na barce Trytonów;
Na głowie swojej miał pomięty kastor,
Surdut na plecach, parę pantalonów.
Nie epopeję pisząc, nie idylią,
Powiem, że to był metr hotelu Giglio.

II.

Stanął i zaczął trwożyć: O! nie płyńcie
Na greckie brzegi — w Patras[3] kwarantanna!
Lepiej do mego hotelu zawińcie,
Oberża moja podróżnikom znana!
W Patras musicie dni dziesięć i cztery
Przebyć kwarantan — od osp i cholery.

---

[1] Poeta przepowiedział tu sobie rodzaj śmierci, a nawet sny z lat ostatnich. *(P. W.)* [2] Adamastor, olbrzym (mit grecki) [3] Patras, miasto w Grecji.

III.

Chociaż poznałem, że to syn Adama,
Nie Adamastor stał przy nas na łodzi,
Zląkłem się bardziej, niż bohater Gama.
Lecz pomyślawszy rzekłem: nic nie szkodzi —
Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.

IV.

A ty, co trwożysz, maleńki Cyklopie,
Zamiast nas pożreć zatrzymanych trwogą,
A może miłych jakiej Penelopie,
Prowadź nas w miasto, — albo lotną nogą
Spiesząc przed nami, na stołach bez Harpji
Postaw nam zrazów, bifsteku i karpi.

V.

Zamiast nas pożreć, my ciebie pożremy,
Jeżeli obiad nie wystarczy głodnym.
Z taką odprawą oberżysta niemy
Odjechał. Ja zaś z czołem niepogodnem
Jako Eneasz modliłem się : „Panie,
Nie daj mi w greckiej siedzieć kwarantannie!"

VI.

A potem wszedłszy na fortecy góry
Spojrzałem: Zante szmaragdami siana,
W szczerych szafirów oprawna lazury,
Niebem i morzem dokoła oblana,
Taiła mnóstwo domków w głębi łona
Z domkiem poety, hrabi Solomona.

VII.

Szczęśliwy! zastał swój ogród i drzewa,
Swoję kanapę i okno na morze,
Swój miły stolik, gdzie pisze i ziewa,
Swoje gazami oskrzydlone łoże;
Może dziś będzie cieszył się lub szlochał,
Patrząc na domek, gdzie kocha, lub kochał...

VIII.

Miło powrócić i usiąść na ławach
Przed własnym domkiem, gdy ucichną gwary,
Gdy nocne świerszcze i koniki w trawach
Zaczną piosenkę nocy, a pies stary
Łapą drzwi chaty zawartej otworzy,
Przyjdzie i u nóg pana się położy;

IX.

I myśleć wtenczas! O fale! o fale!
Szumcie wy głucho pod okrętu łonem.
Patrzę na gwiazdy i cygaro palę
I nieraz wielkim rozpaczy pokłonem
Biję przed Bogiem, gdy z chmurnych obsłonic
Błyska... modlę się... lecz nie proszę o nic.

X.

Miło być także na morzu ozłotnem
Błyskawicami i białym ognikiem;
Miło być także dumnym i samotnym,
I niedzielone mieć uczucia z nikim,
I nad powietrza ulatując ciszą,
Słuchać harf takich, jak ludzie nie słyszą.

XI.

Chrystus nas woła: wy, którzyście smutni,
Chodźcie na łono Ojca!... Patrz w błękity:
Oto gwiazd siedem — wszystkie w kształcie lutni — [1]
Wychodzą z fali tam, gdzie zorzy świty
Mają zabłysnąć. Lutnio ogniem sina,
Na tobie dzwoni północna godzina.

XII.

Godzina cicha, tajemnicza, senna —
Na wielkiem morzu falą wahanemu:
Oto nad lutnią lśni gwiazda promienna —
Dowiąż gwiazd dziesięć ogniowi złotemu
Okiem i myślą, a z niebios wyleci
Koń, który parska gwiazdami i świeci.

XIII.

Gdy go raz oko z błękitów wyczyta,
Już go nie straci i myślą nie zmaże.
Na strunach lutni położył kopyta;
W nozdrzach, jak w rumu zapalonej czarze,
Płomyk wytryska wielki, błękitnawy,
Czasem, jak w nozdrzach arabskiego [2] krwawy.

XIV.

Za temi gwiazdy wychodzi Djanna,
Z gwiazd najświetniejsza, a najmilsza oku,
Gdy ją obleje światłem zorza ranna,
Kiedy w różanym topniejąc obłoku,
Z błękitnej razem staje się zielona
Jak listek, potem czerwieniąc się kona.

[1] Ob. List z d. 21 sierpnia 1837. [2] W I-ym wydaniu: arabczyka.

XV.

Lecz kiedy wyjdzie, nim zorzą pobladła,
Zapowiadając prędkie cieniom końce;
Błyśnie ci w oczy jak kawał zwierciadła,
Z którego dziecko tobie rzuci słońce;
A gdy nad smutnym takie blaski roni,
Przywykasz razem do smutku i do niej.

VXI.

Niebo na wschodzie okrywa purpura,
Potem ją skrawa zastępuje białość,
A róż odcięty, jako lekka chmura,
Płynie w błękity... O! klasyczna stałość!
Nieraz widziałem przez ten obłok cienki
Łono sypiącej różami jutrzenki.

XVII.

I dzisiaj — pełna jasnego brylantu,
Rosy, róż pełna, wyleciała do mnie
Z błękitnej fali, z ponad gór Lepantu;
A za nią słońce rozlane ogromnie
Wyszło, jak zegar wieczystego czasu,
Nad błękitnemi górami Patrasu.

XVIII.

Takie olbrzymie twarze Nibelungi
W północnych pieśniach opisują. — Słońce!
Pierwszy twój promień padł na Missolungi,
Gniazdo, gdzie niegdyś wolności obrońce
Sto razy większym oparli się siłom,
Kapitulacyj nie biorąc mogiłom.

XIX.

Jeślibyś widział rząd domków i fraszek
Poustawianych na dziecinnym stole,
Tak owo miasto. — Cóż to? biedny ptaszek
Leci przez morza lazurowe pole,
I pada przy mnie na ławie, a potem
Kania z ogromnym twardych piór łoskotem

XX.

Lecąc, o ławki stuknęła się drewno,
I długo w statku zabłąkana liny
Na morze wyszła z pieśnią płaczu gniewną.
A ja patrzałem na serce ptaszyny,
Jak biło, jak się układały piórka
Do spokojności... była to przepiórka.

XXI.

O Missolungi! czy pieśń moja zdąży
Za pieśnią wieszczów, co sławili ciebie?
O Missolungi — Jak ta kania krąży
Żelaznem skrzydłem po morzu i niebie!
Jak oczy iskrzą się nad dziobu hakiem...
— Ten biedny ptaszek jest prawie Polakiem.

XXII.

Dla niego może Kościuszkowskim czasem
Biło zniszczenie w Missolungi gniazda;
A dziś — gdy kania z okropnym hałasem
Piór natężonych, jak lecąca jazda
Kirasjerów na polach Grochowa
Goniła... Lecisz, ptaszyno? bądź zdrowa!

XXIII.

Lub niech cię kania zje — boś mi przerwała
Do Missolungi już zaczętą odę.
Ta sobie stoi maleńka i biała
Pod górą — patrząc na błękitną wodę,
Jako nad Styksem zebrane do kupy
Białe umarłych domków kościotrupy.

XXIV.

Stoi nad brzegiem, nie owiana liściem
Żadnego drzewa; lecz na nie upada
Z gór czatujących nad Lepantu wniściem
Ciemność i światło — a każda z gór blada
Mgłą błękitnawą, a jedna z gór mroczna,
Jak piramida stoi sześcioboczna.

XXV.

Tak równe ściany pokazuje słońcu,
Tak równe boki ma cieniem pokryte,
Tak ciężka spodem, tak lekka na końcu,
Jako pod niebo ręką ludzką wzbite
Z cegieł pomniki... Nim się ten kraj wsławił,
Bóg wielki przeczuł i pomnik postawił.

XXVI.

Nieuwieńczona śniegowemi srebry,
Musi być u stóp śniegiem kości biała.
Gdybyś, Byronie, był nie umarł z febry,
Ale od bomby, kuli lub kindżała: —
Dałbym tej górze posępnej nazwisko
Grobu twojego — a Parnas tak blisko!

XXVII.

I mnie dziś łatwiej wleść na szczyt Parnasu,
Niż ludziom przebyć przed świętym aljansem
Rów wykopany. Trzeba na to czasu!
Na Parnas będą jeździć dyliżansem
Wieszcze Europy — a republikanie
Za lat dwadzieścia... kto wie, co się stanie?

XXVIII.

Wierzę w respublik ojca jedynego
Robespiera (to *Trybuny* wina,
Że został Ojcem). Credo w Mochnackiego,
Rzeczpospolitej jedynaka syna,
Co wielkich marzeń nie przestając snować,
Przez Dyktatora dał się ukrzyżować.

XXIX.

Potem zaś wstąpił do arystokracji
I trzy dni bawił; a po tej troszeczce
Przyszedł w obliczu przyszłej generacji
Sądzić umarłych i żywych — w książeczce!
Weń uwierzywszy z dwóch tomów zaczętych,
W emigracyjnych wierzę wszystkich świętych,

XXX.

I w obcowanie ich ducha z narodem
I w odpuszczenie naszym wodzom grzesznym
I w zmartwychwstanie sejmu pod Herodem
Obieranego: a gdyby mię śmiesznym
Nie okrzyczano, powiedziałbym grzeczny,
Że w tego sejmu wierzę żywot wieczny.

XXXI.

Zrobiwszy taki sumienia egzamen,
Takie wyznanie, biedny wierszokleta,
Chciałbym dokończyć i dobić... lecz Amen
Uwięzło nagle, jak w gardle Makbeta.
Zacząłem pisać — teraz z wielką biedą
Biję się w głowę, jak dokończyć Credo?

XXXII.

Wierzę, że idą ludy, jako chmura
Pełna błyskawic na trony zachwiane,
Wierzę, że nawet królewska purpura
Próchnieje w trumnach; wierzę w zatrzymane
Lawy żołnierza, tam gdzie stanął Kokles;
Wierzę, że Milcjad żył i Temistokles.

XXXIII.

Wierzę, że jeszcze żyje dziś Kanaris,[1]
Bo właśnie teraz wracam z jego domu;
Bo sam widziałem, jak błękitów Farys
Od ogniowego opalony gromu
W Patrasie grecką dowodzi flotylą,
Wierzę, bo sam go widziałem przed chwilą.

XXXIV.

On, co żył niegdyś jako salamandra
W ogniu brulotów[2] — dziś spokojny mieszka
W domku glinianym, jak domek Ewandra;
Dzikimi chwasty zaplątana ścieżka
Do progów jego prowadzi — przed progiem
Odłam marmuru, co był kiedyś bogiem.

XXXV.

Belek się ledwo dotykały heble,
W ścianach obficiej powietrza niż gliny;
Sosnowe szczeble i niebieskie szczeble,
To jest deszczułki z sosen i szczeliny,
Wiodą na piętro — wejście, pierwsza próba,
Już było dla mnie, jako sen Jakóba.

XXXVI.

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską
Niezabudkami rzeczułkę — przy zdroju
Miejsce kładkową przeskoczone deską,
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,
Dokoła w kalin ustrojone wianki
Było kąpielą gwiazd i mej kochanki.

XXXVII.

Nie wiem, dla czego — lecz nieraz w gorąco,
Gdy się na upał zaczynają skarżyć
Świerszcze piosenką po trawach syczącą,
Szedłem na kładkę — czytać albo marzyć.
I tak czytałem niegdyś walkę Greka
Jak dziecko, które czegoś chce i czeka.

XXXVIII.

Chce z głębi wody ślad srebrzysty dostać,
(Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie)
Czeka, czy biała i powiewna postać
(Widać aleje i lipy w ogrodzie)
Może z pod wielkiej jarzębiny wstanie
I wyjdzie... Dziwnie ucząće czytanie!

[1] Jeden z bohaterów walki o niepodległość Grecji. [2] Brulot, łódź z materjałami do podpalania okrętów.

XXXIX.

I czytam marząc, jako Ipsylanty[1]
Zwyciężył — ginął... i dał Grecji brata;
A kiedy czytam, to rosy brylanty
Strząsając, zefir po kwiatach przelata
I fale w złote pomarszczywszy prążki,
Przewraca karty welinowe książki...

XL.

Kartki rozwiane przycisnę kamykiem
I będę czytał. Oto wódz naczelny
Demetrius, licznym dowodzący szykiem,
A za nim... czarny hufiec nieśmiertelny;
Każdy z nich mocny, każdy bez nadziei...
Skąd są? — powstali z mogił Cheronei...[2]

XLI.

Wszyscy — prócz wodza!... ten nie zmartwychwstanie,
Zabity mieczem zgubionej stolicy!
Lecz innych dusze jak w urnowym dzbanie
Chowane w piersiach marmurowej lwicy,
Która im była pomnikiem po śmierci,
Wyszły i pomnik rozpadł się na ćwierci,

XLII.

Pierś lwa rosnące roztargały dusze!
I dzisiaj leży na samotnem polu,
Jak wielkim prochem rozsadzone kusze;
A głowa pełna przedwiecznego bolu
Padła na ziemię — zda się, że spoczywa,
Wydaną duszą smutna i straszliwa.

XLIII.

Długo Grek patrzał na tę lwicy głowę,
Jak na zamilkłe nieszczęściami wróżki.
Snycerz dał smutną marmurowi mowę;
Patrząc — słyszałem dwa słowa Kościuszki:
Finis Poloniae, przechowane w głazie,
Jak łza w kamieniu — albo myśl w obrazie.

XLIV.

O Cheroneo! o Maciejowice!
Cyt... coś białego śród liści jaśnieje...
Ach nie! to tylko białe gołębice
Przez ogrodową leciały aleję...
Chodź znowu, książko na kwiaty rzucona
Będę znów czytał — to jeszcze nie ona.

[1] Ipsilahtis, jeden z przywódców walk o niepodległość Grecji.
[2] Ostatnia batalia Greków przeciw Alexandrowi.

XLV.

Pieniędzy, krzyczą — Grek rzuca na szalę
Djamentową oprawę pałasza;
Nie dosyć jeszcze — rzucił miecza stale,
Płaci żelazem... Już Ibrachim basza,
Jak Nil, co wszystkie wody na świat wyda,
Lub jak waląca się, z gór piramida,

XLVI.

Spada na Grecją. — Gdzie są Termopile,
Po których kiedyś wąż Xerxesa przelazł?
Gdzie są ci ludzie, co żywota chwile
Licząc, nie drżeli i marli?... Zavellas
W polach Klissowy z ośmią set człowieka
Zastąpił drogę dwom baszom — i czeka.

XLVII.

Słyszę, jak serce w moich piersiach bije;
Zda się, że patrząc w trup Leonidasa,
Patrząc głęboko — czekam, aż ożyje: —
A wtenczas ani jasnych kwiatów krasa
Ani lecący aleją gołąbek
Nie obłąkały mych oczu, na ząbek.

XLVIII.

Lecz w tem nadzieja odbiegła mię wszystka:
Zerwałem różę, co tam kwitła świeża,
I przywiązawszy do każdego listka
Myśl i życzenie i życie rycerza
I Zavellasa... o szaleństwo młode!
Wszystkie te listki rzuciłem na wodę.

XLIX.

I jeszcze listków zostało mi trocha;
Myśląc, że siane w ziemi nie zakwitną,
Więc jeszcze jeden listek — czy mnie kocha?
Posłałem falą wędrować błękitną;
I nie wiem, jaki los tamte pochłonął,
Ale ostatni — pamiętam — utonął...

L.

I znowu książkę rozłożyłem białą
I zimne karty zacząłem całować,
Wołając: Greki, niechaj ginę z chwałą!
Wy mnie nauczcie, jak wrogów mordować,
Jak rzucić drogę marzeń księżycową
Z umarłem sercem i z twarzą surową...

LI.

I marząc o krwi z uczuciem tygrysa,
Stężałem członki, krew czując na licu...
Słyszycie tętent?... to koń Botzarisa!
W obóz turecki leci po księżycu;
A nim się straże obudzone zwarły,
Botzaris[1] w baszy namiot wpadł — umarły...

LII.

I odezwały się w górach klasztory;
A nie były to pogrzebowe dzwony,
Które kupuje na śmierć człowiek chory;
Lecz jakieś wielkie pomięszane tony
Płaczu, rozpaczy — wyjące po skałach,
I większej zemsty głos — zamknięty w działach.

LIII.

A wielkie morze, lazurowe morze,
Któremu niegdyś poświęcano w Aulis
Córy królewskie ... ciebie teraz porze
Między flotami tureckimi Miaulis;[2]
Z nim jest drewniana ateńska forteca,
Którą Kanaris brulotem oświeca.

LIV.

Obydwa płyną uwieńczeni w laury
Wydarte morzu — prędkim idą lotem;
A ów Kanaris zda się, jak centaury,
Na pół człowiekiem, a na pół brulotem.
Ten człowiek śmiały i pan dwóch żywiołów,
Którymi niszczy — czy ma twarz aniołów?

LV.

Czy pod nim, jako pod niebieskim duchem,
Cicha się łódka nastąpiona nie gnie?
Czy jego wiosło niesłyszane uchem?
Czy ogień za nim jak pies wierny biegnie?
Jak on wygląda, gdy błękitne morze
Pięć jego czółen oblało w Bosforze?

LVI.

Sułtan go widzi — lecz zniszczyć niezdolny!
Nie zgasi nawet płomyka w stambułce
Wodza greckiego... Oto konik polny
Usiadł przedemną na cichej rzeczułce,
I suszy skrzydeł przeźroczystych szkiełka
Błyszczące w słońcu, by tęczy perełka.

[1] Botzaris, jeden z przywódców powstania w Grecji (1820 r.) [2] Admirał grecki.

LVII.

I suchą nogą na źdźble suchej słomy,
Dziecko powietrza wędruje na łódce
Przez zwierciadlane rzeczułki załomy,
I port w rozchwianej znajdzie niezabudce,
Albo popłynie dalej z nurtem wody
Pod brzóz płaczących nachylone chłody.

LVIII.

A kiedy płynął i srebrzystym rysem
Znaczył rzeczułki fale zwierciadlane,
Myśl moja cała z wielkim Kanarisem
Płynęła za nim w kraje malowane
Piękną przyszłością... i widziałem życie
Z twarzą na słońcu — z oczyma w błękicie.

LIX.

O przyszłość, przyszłość! — Jam się tak do ciebie
Uśmiechał dzieckiem: — ty z taką światłością
Dni moje siałaś, jak gwiazdy na niebie.
A moje smutne dzisiaj... jest przyszłością.
Kwiat spodziewany na wątłej łodydze
Życia mojego — rozwinął się... widzę —

LX.

Co? Jeszcze w myślach owa przeszła chwila,
Jeszcze marzone dawniej Greków twarze,
Jeszcze Kanaris na słomce motyla,
Jeszcze nad księgą leżę, jeszcze marzę...
I chciałbym cały włosem się osłonić
Nad dawną księgą — i dawne łzy ronić;

LXI.

I być zbudzonym, jak dawniej — nad rzeką,
Gdy na aleje złote słońce spadło;
Kiedy słyszany jakiś głos daleko
Wołał, jak echo; gdy w rzeki zwierciadło
Patrząc — patrzałem na twój wzrok uroczy,
Nie śmiejąc prosto patrzeć... w twoje oczy.

PIEŚŃ PIĄTA.

PODRÓŻ KONNA.

I.

Czytałem kiedyś wielkie porównanie...
Jak wystawiony na niebieskie rosy
Pielgrzym, gdy ze snu głębokiego wstanie,
Listek uwiędły, co mu spadł na włosy,
Odrzuca z czoła: — takeś ty skaliste
Nakrycie grobu precz odrzucił, Chryste![1]

II.

Lecz kiedy przyjdzie zmartwychwstanie ludu,
Kiedy się skończy sen pełny omamień:
Jakiegoż trzeba będzie wtenczas trudu,
Aby odwalić nasz grobowy kamień?...
Ów marmur, pełny naszych cierpień rytych,
Na którym modlą się dzieci — zabitych?

III.

Patrząc na oczy pełne błyskawicy,
Na czoło króla płomieni bronzowe,
Pytałem znanej mu już tajemnicy,
Bo sam odwalał kamienie grobowe
Z grobu uśpionej głęboko ojczyzny;
Musi znać leki — bo zna wszystkie blizny.

IV.

Pytałem Greka — ale w nim już nie ta
Z kradzionym ogniem pierś Prometeusza!
Moje pytanie było, jak Hamleta
Metafizyczne słowo — czy śni dusza?
Kładzione zawsze na grobach od wieka,
Nierozwiązane dotąd przez człowieka.

V.

Chciałem mu nadać wielkość Waszingtona,
Mojem pytaniem na zbawcę pasować;
Bo też mu złotych brakło miljona
A mógłby spalić Stambuł, zamordować[2]
Tylu wezyrów, tyle krwi wytoczyć,
Że Sułtan miałby gdzie pióro umoczyć.

---

[1] Odo Manoniego na Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa *(P. Aut.)*.
[2] Był pod Stambułem i Alexandrją. *(P. Aut.)*.

VI.

I czem podpisać na wolność firmany
I Kanarisa odesłać z krainą
Temistoklesa, przez drewniane ściany
Zdobytą. Dzisiaj Rigny — Navarino[1]
Kanarisowi wykradły jak Paris
Helenę sławy. — Czy cierpi Kanaris?

VII.

Nie wiem... Czy orzeł kiedy myśli o tem,
Że kiedy w zimie słońce zda się nisko,
Mógł o południu natężonym lotem
Dolecieć — patrząc oczyma w ognisko
Niebieskich krain? — myśl głupia dla ludzi,
Lecz może dręczyć orła, co się nudzi...

VIII.

Ale powtarzam, myśl głupia dla świata
Mogła się przyśnić orłowi na skale,
Lub temu z ludzi, co jak orzeł lata...
Dosyć! — cygaro hawańskie zapalę
Tymi strofami, które nie są odą
I do niczego mądrego nie wiodą.

IX.

I właśnie takie ciężkie i nietrafne
Z ust wychodziły moich parabole,
Kiedy żądałem, by słowa jak Dafne
W laur przemienione kładły się na czole
Zapomnianego przez ludzi Greczyna;
Lecz że świat taki — to nie moja wina.

X.

Możebym także chciał, (to wszystko miary),
By jaki człowiek, spotkawszy w ulicy
Moją figurę... włożył okulary...
Po djabła nosić sławę w tajemnicy?
Cieszył się Dante, gdy przekupka rzekła:
Patrzcie! ten człowiek dziś powrócił z piekła.

XI.

Ja bardzo lubię sławę popularną,
Lękam się bardzo wymuskanej sławy;
Dla tego każę na bibułę czarną
Bić nowe dzieło — gołe, bez oprawy;
I wyjdzie na świat książeczka pokorna,
Jak gdyby z pod pras Bogumiła Korna.[2]

[1] Rigny-Novarino, admirał francuski pomagał Grekom. [2] Głośny czasu swego księgarz i wydawca wrocławski.

XII.

O! moja głupia Muzo, zapominasz
Uszanowania winnego księgarzom!
Ja nie znam Korna — mówią, że luminarz...
A zaś skład jego podobny cmentarzom,
Gdzie sobie cicho autorowie leżą,
Co lato ziemią przysypani świeżą.

XIII.

A czasem zajrzy Bogumił na cmentarz,
Patrząc, czy kiedy nie zjadł się w letargu
Jaki kalendarz albo elementarz;
A kogo kocha — tego na świat targu
Drukiem prowadzi... i stawia za kratą,
Wieńcząc go świeżą laurową erratą.

XIV.

O mój księgarzu wrocławski, o Kornie,
Dokończ tej strofy!... dalibóg zaczęta
I pindarycznie żywo i wytwornie;
Lecz moje pióro nigdy nie pamięta
O drugim wierszu... wbrew dawnej przestrodze:
Nim pierwszą stawisz, myśl o drugiej nodze.

XV.

Tak chciał Feliński: wiersz skomponuj drugi,
A potem pierwszy dosztukowuj zgrabnie;
A będą mocne — i łańcuch się długi
Nie przerwie nigdzie, nigdzie nie osłabnie;
Na takim niańki uwiązane pasie
Chodzą dawniejsi wieszcze po Parnasie.

XVI.

Lecz ją... Dobranoc!... Jutro zorza złota
Ujrzy mię w siodle i na Rossynancie,
Tam, gdzie Cerwantes, autor Donkiszota,
Utracił rękę — mój obraz w Lepancie
Będzie odbijał się tak lazurowie,
Jak cień Quichota w Cerwantesa głowie.

XVII.

Naprzód małować trzeba kawalkadę,
Która się brzegiem Lepantu pomyka.
Guid jedzie przodem, a ja za nim jadę....
Lecz wam opiszę pierwej przewodnika,
Który albańskie rozwiawszy wyloty,
Jechał na koniu, gdyby motyl złoty.

XVIII.

Na kapeluszu słomianym miał mycę
Do roziskrzonych podobną płomyków;
Ze sztuki płótna marszczoną spodnicę;
Gadał mozaiką dziesięciu języków;
Śmiał się jak dziecko — a dzieckiem był prawie;
Śpiewał — jak polny konik śpiewa w trawie.

XIX.

Twarz jego młodą gdzieś widziałeś we śnie,
Może na jakim widziałeś rysunku,
Gdzie młody Greczyn, wysłany zawcześnie
Z ojcowskiej chaty w wojennym rynsztunku,
Patrzy na Turków oczyma tygrysa...
Na litografji zgonu Botzarisa.

XX.

Są twarze w ludach powszechne, *c'est tout clair* —
Tłumaczyć przyczyn byłoby to wstydem;
Wreszcie opisze go wam książę Pükler —
Muskau — co z naszym podróżował guidem
I pokazywał swą karykaturę
Grekom, wylazłszy nad Parnasu górę;

XXI.

Który się nie kładł spać, aż biła czwarta;
Który chciał ogród założyć niemiecki
W guście angielskim tam, gdzie była Sparta;
Dla Bawarczyków pozawieszać niecki,
By się hojdając, z krainy Likurga
Mogli przenosić myślą — do Strasburga;

XXII.

Który — to zawsze mówię o tym księciu, —
Niechaj pamięta autor o autorze —
Który zasnąwszy wieczór w przedsięwzięciu,
Zbudzony — spytał się: w jakim kolorze?
A rząd bawarski, myśląc o sadzonym
W Sparcie ogrodzie — powiedział: w zielonym...

XXIII.

Który się na to obraził... i chwilę
Zastanowiwszy się — po kilku chwilkach
Tak zadrżał gniewem, że wszystkie motyle
Na kapeluszu siedzące na szpilkach
Zaczęły spadać i kłuć w nos Ottona.[1]
O zemsto... mówią, żeś słodka — ty słona!

[1] Król grecki.

XXIV.

Zwłaszcza, gdy ciebie Pückler w sól attycką
Całą osypie... i da na zabawkę
Figurę wroga — pod Momusa[1] mycką,
Osolonego solą — jak pijawkę —
Tak się zapewne kręcić i wić będzie
W dziele... pan Otton... na króla urzędzie.

XXV.

Lecz kłaniaj za to ogrodowi w Sparcie;
Ziemia gruzami pozostanie skalna...
Sparta zostanie na światowej karcie
Spartą... historja straci naturalna
Na jakim kwiatku, co ma kształt pantofli
Lub na rodzaju spartańskich kartofli.

XXVI.

Adjeu, Pücklerze, bo mi nie do uszu
Twe imię, w rymów sadzone ogrodzie;
Podróżuj w twoim wielkim kapeluszu,
Co tak wygląda, jak żagiel na wodzie,
W górach jak tarcza okrągła Pelida,
Nad ruinami bogów... jak egida...

XXVII.

Bądź zdrów! — a jednak miałbym prośbę małą
Do waszej Mości książęco-autorskiej,
Ażebyś także moje grzeszne ciało,
Na koniu skreślił — na szkapie cecorskiej...
Tak musiał niegdyś Żółkiewski ponury
W trzy dni po zgonie straszyć grzeszne ciury...

XXVIII.

Trudno znać siebie, powiada przysłowie;
A ja powiadam: trudniej widzieć siebie
Przez te szkła biedne, które w naszej głowie
Oprawił Stwórca — kryjąc się na niebie
Tak, że choć błękit przenikniecie do dna,
Skryta wam jedna rzecz... widzenia godna...

XXIX.

A druga także rzecz bardzo ciekawa
Dla nas — my sami... także nam ukryta;
Szczęściem, że wierne zwierciadło — i sława
Często niewierna — wszak wiecie, kobieta —
Dopomagają nam szkłem i umysłem
Patrzeć na siebie... i są szóstym zmysłem.

[1] Momus, bóg ironji. (mit grecki).

XXX.

Dlatego bardzo i gorąco żądam
Widzieć się kiedy w gazet artykule
Takim, jak jestem — albo jak wyglądam...
Tymczasem muszę całą ziemską kulę
Przebiegać sobie samemu nieznany
Z twarzy i z głowy... niewymalowany.

XXXI.

Szczęśliwy Józef Poniatowski (czyli
Szczęśliwy, gdyby nie umarł), że widzi
Siebie samego w najciekawszej chwili
Na każdej ścianie. — A niech nikt nie szydzi
Z tej strofy, bo ją skończy myśl Solona:
„Nie mów że człowiek szczęśliwy — aż skona".

XXXII.

Zaprawdę ja wam powiadam, co rzekły
Przedemną usta filozofów wielu,
Że... Lecz nadzwyczaj staję się rozwlekły;
Więc nic nie powiem — i prosto do celu
Nie zatrzymany strofą ni morałem
Na moim koniu biednym pędzę czwałem.

XXXIII.

Hop! hop!... jak unior... obracam tak nogi,
Że kwadratowe tureckie strzemiona
Kola w bok konia jakoby ostrogi;
A moja szkapa z wiatrami puszczona
Pędzi, jak gdyby czuła żłób koniczyn;
Lecz wtem zwolniłem kroku... dla trzech przyczyn.

XXXIV.

Primo: towarzysz mój, (a tu mi skłonno
Aż do łez, pomnąc na konia strukturę),
Był jako człowiek, który idzie konno;
A kiedy biedne zwierzę szło pod górę,
I chociaż mogło iść o własnej mocy,
Jeździec udzielał mu swych nóg pomocy.

XXXV.

I tak sie razem nieśli. O widoku
Rozczulającym! łez nie pojmie profan.
A jako niegdyś w błękitnym obłoku
Sokrata skreślił błazen Arystofan
Latającego po niebieskim sklepie
Na żółwia nogach, w szyldkretu czerepie:

XXXVI.

Tak ja po greckich w gimnazjum naukach
Mógłbym podobną ubawić was sceną,
Wymalowawszy na głębokich jukach
Ukochanego filozofa Zeno...
Który w tej chwili przez niemożność skoku
Był pierwszą z przyczyn, że zwolniłem kroku.[1]

XXXVII.

Druga z tych przyczyn była także cnotą
Filantropiczną: właściciele koni
Za kochanymi końmi szli piechotą;
Jeden, jak Turek, miał turban na skroni,
Drugi, jak ojciec podobny do syna,
Belwederskiego miał twarz Apolina.

XXXVIII.

Trzecią z tych przyczyn, dla których wstrzymana
Wietrzność mojego była wiatronoga:
Oto że nagle ja i karawana
Przyszliśmy, gdzie się zakończyła droga
Przeszkodą — wprawdzie dla Mojżesza małą:
Z tej strony morzem, a z tej strony skałą — —

XXXIX.

Więc wszystkich świętych wezwawszy i biesa,
Rzucam się w morze... czy w cuda wierzycie?
Z fali stracona ręka Cerwantesa,
Jak cień wielkiego nosa na suficie
Wyszła, figowe pokazując godła
Światu — a mnie zaś przez fale przewiodła.

XL.

I opryskani falą o brzeg bitą,
Na popas w małym stanęliśmy khanie;
Tam z głową senną, cieniem drzew nakrytą
Inni spoczęli przy chróścianej ścianie,
A ja, nie spity napojami maku,
Znalazłem grotę — w rododendrów krzaku.

XLI.

Na samej wstążce srebrzystego żwiru,
Co się nad morzem pod krzakami winął,
Jak sztuczna biała oprawa szafiru,
Spocząłem... i wzrok na błękicie zginął
I myśl smutniejsza przyszła mnie kołysać,
Niż myśli, które chcę i mogę pisać.

[1] Zenon Brzozowski, który w tej podróży towarzyszył Słowackiemu.

XLII.

Smutna! Myślicie, że grzechów siedmioro
Przyszło mnie dręczyć — lub łza emigranta?
Nie! — Ach, myślałem, że już madreporą [1]
Stało się ramię biednego Cerwanta,
Ramię nieszczęsne, które zaczynało
Czuć, że się jakiś duch oblekał w ciało...

XLIII.

I urodzony w Cerwantesa głowie
Będzie radością wstrząsał wszystkie nerwy;
Ramię, co było w romansu połowie,
Potem doznało takiej wielkiej przerwy,
Jak kiedy zabrzmi trąb dziesięć tysięcy,
Potem milczenie... nic nie słychać więcej.

XLIV.

Dziwnie utracić jaki ciała członek
I myśleć potem, że już leży trupem,
Że już w nim żadna z kosteczek ni z błonek
Nie myśli o nas... i stała się łupem
Robaków — a zaś dusza pełna sromu
Do ciaśniejszego przeniosła się domu.

XLV.

Dziwnie być musi płakać nad cząsteczką
Własnej mogiły i czyśca męczarnie
Od niej odwracać;... bo jeszcze jest sprzeczką,
Czy dusza za nas płaci solidarnie;
Czy członek, co się na ciała pogrzebie
Nie znajdzie, w piekle zapłaci za siebie...

XLVI.

A tu bym bardzo mądrze i głęboko
Dowiódł: że kiedy nasz Zbawiciel kazał
Wyłamać rękę lub wyłupić oko...
Więc trzeba, abym tę strofę przemazał,
Bo jej dokończyć, jak chcecie, nie mogę,
Bo osiodłany koń... i ruszam w drogę.

---

[1] Madrepora, zwierzokrzew.

PIEŚŃ SZÓSTA.

NOCLEG W VOSTIZY.

I.

Dalej, mój koniu, powoli — dość czasu.
Krajograficznie strofami wyłożę,
Jaka mię droga prowadzi z Patrasu.
Po prawej stronie góry — z lewej morze,
Za morzem znowu i skały i góry,
Nad niemi niebo błękitne bez chmury.

II.

Niema tu ziemia czego złożyć w stercie:
Koń dzwoni w głazy — depce chwast — dziewanny;
Czasem po drodze w rozłożystym mircie
Widać rudery tureckiej fontanny,
Gdzie w kamień woda płacząca nie tętni,
Na które patrząc, nawet Grecy smętni.

III.

Taka głęboka przy fontannach cisza,
Tak ciemne mirty i tak liściem szumią
Nad fontannami, jak pacierz derwisza.
Cały ten smutek błękitami tłumią
Wody Lepantu i z czystego nieba
Patrzące czoło (jestem w Grecji) Feba.

IV.

Ani po drogach bawiącej się dziatwy,
Ani człowieka w polu, ni na drodze;
Czasem szumiącym lotem kuropatwy
Porwą się w stado, tuż przy konia nodze,
I padną blisko — i znów cisza wielka...
Jaskółek żadna nie wyśle ci belka.

V.

Niebo tych czarnych gwiazdek pozbawione —
Wdzięcznie błękitne... zda się, że nad smętnym
Krajem przeszłości leży zamyślone
Jakim obrazem dawnym i pamiętnym
Tylko samemu Bogu, co w niem duma.
Kraj ten zniszczyła tak wolności dżuma...

VI.

Ząbek się lasu dopiero wyrzyna;
Małe sosenki, jako pszczoły, brzęczą
Jedwabnym kolcem... Jeżeli masz syna,
A twego kraju ludzie nie zamęczą:
Może zobaczy Grecją pełną krasy,
Ubraną w ludzi szczęśliwych — i w lasy.

VII.

Ale my, dzieci nieszczęścia, stąpamy
Po głazach, chwastach i ruinach głuchych:
My się przez wielkie pustynie wołamy
W ciszy bezludnej; my przy źródłach suchych
Szukamy wody spaleni zarzewiem.
Gdzie będą szukać naszych mogił? — nie wiem.

VIII.

Gdy tak myślałem, mrok osłonił szary
Przybywających wreszcie do Vostizy[1]
Tu jeszcze pomnik turecki... dąb stary
Na podniesieniu z głazów, przy ulicy,
Siedział spokojny. O tej godzinie
Turek tu niegdyś pił dymy w bursztynie.

IX.

Lubiłem lipę, co nad sławnym Janem
Cień rozstrzelony zbierała pod siebie
I co rok miodu obdarzała dzbanem
Nie wymyślnego w żądzach i w potrzebie,
Co była drugiem poety mieszkaniem,
Głośna słowików — szpaków narzekaniem;

X.

Pod którą nieraz błyszczał dzban na stole;
Co tak wysoko niosła czoła wianki,
Jakby ze dworu wyglądała w pole
Na przyjazd pana lub pańskiej kochanki;
Co nad szmerami słodkich ust dziewicy
Szumiała cicho, pełna tajemnicy.

XI.

Ta lipa dla nas, jak Partenon[2] grecki,
Ma pełno smutku niewymówionego.
Stanąłem patrząc na ów dąb turecki;
Smucił mię także — lecz nie wiem dlaczego;
Bezużyteczny liściami i chłodem,
Oko zadziwia wielkim pnia obwodem.

XII.

Pieśń jego w sobie ma siły potęgę
I wielki smutek starości... i żałość
Nad tymi, co go znali... *Stone-henge*[3]
Zaniesie myśli w olbrzymią zuchwałość
Tytanów dawnych... W tej świątyni progu
Myślisz o człeku, co ją siał... i Bogu.

[1] Vostiza, miasto nad zatoką Korynecką. [2] Partenon, świątynia Pallas Ateny na Akropolis. [3] Stone-henge, ruiny pomników druidycznych.

XIII.

O, mój turecki dębie, dębie stary!
Ty mi cudownym wyrosłeś kościołem:
Tutaj się mogą modlić wszystkie wiary,
Tu wszyscy ludzie bić ugiętem czołem.
Lubię cię, dębie wyniosłego czoła,
Z liściem rozwianym, jak skrzydło anioła.

XIV.

Szczęśliwi ludzie, których anioł dzierży
W swojej opiece! szczęśliwe te kraje,
Co mają drzewa — na miejscu oberży —
Siane po łąkach, gdzie płaczą ruczaje;
Wędrowiec staje, gdzie kwiatów najwięcej...
Nagle krzyknąłem: — „do krocset tysięcy

XV.

Miljonów!..." tu mi kochany Eurypid
Słowo Eumenid dał do wykrzyknika;
A mój towarzysz rzekł: *mais c'est insipide*
Spać tu... w tej klatce... co ma kształt kurnika;
Comment, Giuliano? — tak się zwał nasz sługa —
W Vostizy musi być oberża druga!

XVI.

Non c'è, rzekł sługa. Więc spać tu — na ziemi?
Wszak to nie ściany, lecz z łuczywa krata,
Pajęczynami wybita czarnemi —
A ja dodałem: jak horyzont świata
Zawarty zewsząd, bez okien, którędy
Dusza by mogła wyjść za zmysłów błędy...

XVII.

I zakończyłem słowami: daj świecy!
— Świecy? rzekł kompan — wszak tu wiatr zagasi
Słońce w lichtarzu, księżyc w szabaśnicy!
Rzekłem: Giuliano, Hej! *tho se mu krassi*...[1]
Gorzkie jak piołun — niech Bóg będzie z nami!
Jest co jeść? niema? więc *„tho se mu psami!"*

XVIII.

To się po grecku znaczy: daj mi chleba!
Przyniósł... postawił... i znowu zapytał
Bardzo układnie: czego panom trzeba?
A gdym na chlebie zębami pozgrzytał,
Zdjęty przeczuciem nieszczęśliwych wróżek,
Nie spodziewając się, wołałem — łóżek!

[1] Wino w całej Grecji zaprawiają żywicą *(P. Aut.)*

XIX.

I światła! Tu jak na biegunie
Północnym ciemno — i wiatr wszędy świszcze;
Pusto jak w zgniłym orzechu świstunie...
Tu mój towarzysz rzekł: więc ja przepiszczę
Na hebanowym moim flażolecie
Tę noc — przepędzę ją najlepiej w świecie.

XX.

I już wyciągał wiatro-brzmiący bardon;
Lecz ledwie zaczął, dmuchnąwszy w otwory,
Przegrywać: jakiś głos: *„I beg you pardon*[1]
But I don't like the music, I am sorry"
Z prawej się strony wydobył przez kratki —
Anglik zamknięty był do drugiej klatki.

XXI.

I była Babel okropna języków,
Aż wreszcie jakaś Opatrzności ręka
Zesłała parę płonących knocików,
I dwa, napięte jak struny, krościenka;
To były łóżka... jeśli kto nie wierzy,
Tłumaczę jaśniej — to, na czem się leży.

XXII.

Ach! leży tylko! — bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula — gdzie się go dotkniesz, tam kąsał.
Ach, jam się dotknął — i ogień mię złapał
I byłem w piekle — mój towarzysz chrapał.

XXIII.

Są chwile w życiu, w których człowiek zda się
Samemu sobie bardzo poetycznym:
Na skały igle — na ruin terasie
W usposobieniu umysłu Vehmicznem,[2]
Kiedy głos przeczuć bardzo głośno gada
Trzykrotnym głosem: biada! biada! biada!

XXIV.

Gdy patrzy w słońce, o zachodzie krwawsze,
Kiedy się żegna z kim, i przy miesiącu
Mówi z westchnieniem głębokiem: na zawsze!
Gdy przy dognanym zeskoczy zającu,
Dobędzie noża i odcina skoki —
Gdy nań piorunem strzelają obłoki;

[1] Bardzo przepraszam, lecz nie lubię muzyki, bardzo mi przykro.
[2] Sądy Vehmiczne, tajemne w Niemczech.

XXV.

W chwili, gdy skończy szkoły i nauki,
Gdy go za rękę uściśnie sam rektor;
Gdy go mianują sędzią — gdy go wnuki
Obsiądą — gdy kraj obroni, jak Hektor,
Albo gdy myśli o zbawieniu Lachów —
Gdy wygra partję bilardu lub szachów;

XXVI.

Albo gdy idzie sam w nocy na cmentarz
I na kochanki usiądzie mogile;
Albo gdy mówi doń kto: czy pamiętasz
Paryż? — Są różne poetyczne chwile:
Kiedy naprzykład w towarzystwie znanem
Siądziesz pośrodku... na cenzurowanem —

XXVII.

Albo gdy ciebie nazwą obskurantem,
To jest, że możesz zgasić oświecenie;
Albo gdy jesteś dział asekurantem
I w Napoleońskie wierząc przeznaczenie,
Słuchasz bez drżenia kul lecących świstu;
Gdy „*Comte*“ przeczytasz na kopercie listu —

XXVIII.

Gdy... i tam dalej. Z tych miłości własnych
Żadna nie przyszła mię do snu kołysać;
Przy dwóch światełkach, jak gwiazdy niejasnych,
Chciałem z krosienek moich wstać i pisać,
Czekając zorzy różowego świtu,
Wtem deszcz... w tej klatce nie było sufitu...

XXIX.

I zawołałem: „Ty śpisz, Eneaszu,
A tu deszcz na nas leje się z dachówek!“
Wnet rozbudzeni oba na poddaszu,
Więcej do czynu sposobni niż słówek,
Wściekać się więcej zdolni, niż łzy ronić,
Przemyślaliśmy, jak i gdzie się schronić.

XXX.

Szczęściem, że w ścianie uwitej z sośniny
Po obu stronach były dwie framugi;
Ach, nie framugi — zaczęte kominy!
Więc ja jak krótki, mój kompan jak długi,
Oba jak dłutem z marmuru wycięci
W niszach przeciwnych — ktoby rzekł, że święci.

XXXI.

Przy naszych nogach zapalone lampy,
Ręce złożone na piersiach pobożnie;
Każdy z nas biały, jak w operze Zampy
Wiedźma z marmuru — bardzo nieostrożnie
Pierścionkiem złotym za żonę pojęta;
Lub jak niewiasta Lotowa w sól ścięta;

XXXII.

Lub jak mumija w ścianie piramidy...
(Niech porównania dalej lecą kłusem!)
Byliśmy, jako ów posąg Tetydy [1]
Zakryty wody srebrzystej obrusem,
Stojący sucho w wodnej samołówce,
Który czytelnik ujrzy w Zofijówce.

XXXIII.

Tu, wychyliwszy głowę, mój towarzysz
Głosem żałosnym rzekł: „czy żyjesz?“ — „Żyję.“
A on mi znowu rzekł: „O czem ty marzysz?“
A ja mu rzekłem: że się nie ukryje
Żadna zasługa pod żadną przeszkodą;
Ja mówię pacierz... Bóg słyszy nad wodą.

XXXIV.

Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Nie spali ogień... a kompan: „nie słyszę;
Woda tak szumi, już mokre mam nogi...“
A ja mu na to: „cierp, a ja opiszę
Nasze cierpienia ściągnięte bez winy
I przedam wiernie córkom Mnemozyny [2]

XXXV.

I kiedyś, w późne wieki, wstanie mściciel
I tu postawi hotel, mości panie!
Tu, na tem miejscu, gdzie teraz Jan Chrzciciel
Mógłby duszeczki kąpać, jak w Jordanie;
Tu, gdzie stoimy — ja ci przepowiadam —
Że stanie hotel — tu, gdzie w nurty padam,

XXXVI.

W nurty natchnienia, myśląc o żegludze
Dawnych rycerzy — Eneja — Ulissa“...
A mój towarzysz rzekł mi: „ja się nudzę,
Stojąc w tej niszy jak kozacka spisa;
Wyznaj, że Grecja *c'est ennuyeux en diable,*
Ja cały mokry — *mais c'est insupportable!*

[1] Tetis, czyli Tetyda jedna z Nereid. [2] Mnemozyna, matka muz, bogini pamięci.

XXXVII.

Nie masz zegarka? ja mój do kompasu
Zregulowałem, tam na łóżku leży"
A ja mu na to: „mamy dosyć czasu!
Nim Febus we drzwi Aurory uderzy,
Gadajmy sobie o czem pożytecznem,
Lub o zbawieniu... lub o ogniu wiecznym...

XXXVIII.

Albo śpiewajmy sobie kontredansy
Tańczone dawniej — ja dyszkantem wlekę;
Albo ci powiem powieść Sancho Pansy
O trzystu owcach wiezionych przez rzekę —
Ty licz, ja będę tron mówcy dziedziczył;
Jeśli chcesz, ty mów... a ja będę liczył.

XXXIX.

Czy znasz Byrona?" — „Nie!" — „To wielka szkoda!
Mógłbyś się teraz przenieść w ideały;
Czajld Harold niegdyś był w Grecji... Ta woda
Łóżka nam porwie srebrzystymi wały.
Czy znasz Platona?"... przyszło mi do głowy
Zaczęcie jednej Sokrata rozmowy:

XL.

„Chodźmy — rzekł — w klonu szerokiego cieniu
Na pochylonej odpocząć murawie;
Oto zanurzmy tu stopy w strumieniu; —
Jak tu cień miły, jak tu świerszcze w trawie
Śpiewają słońcu!..." Dalej w mowie walnej
Sokrat piękności daje idealnej

XLI.

Rysy, granice — i w mgliste przeźrocze
Obwija posąg cudownego wdzięku,
A strumień żywy stopy mu łaskocze...
Tu nasz Giuliano z latareńką w ręku
Wszedł i zobaczył nasze dwie figury,
Jak dwa posągi, oprawione w mury,

XLII.

Z lampami w nogach. — Rzekłem: „Pigmalionie,
Jeśli z posągów chcesz mieć żywych ludzi,
Przynieś parasol!" — Tak przez wodne tonie
Przeszliśmy oba — a jeśli was nudzi
Ta pieśń, pomyślcie, że to jest obrazem
Greckich oberży, łóżek... i nas razem.

PIEŚŃ SIÓDMA.

MEGASPILEON KLASZTOR.

I.

Wiem, że ze śmiechu przeskakiwać w smutek
Jest wielkim błędem... charakteru wina,
A raczej nerwów rozkiełznanych skutek —
Brak sentymentu — że w trop Lamartina
Idąc, nie łączę w pieniach — o herezja! —
Trzech westchnień ciągłych: Miłość — Bóg — Poezja!

II.

Miłość od Boga staje się odporem,
(Spytaj się o to panny... (Choło)niewskiej,
Co rządzi młodych panienek klasztorem.
Miłość — (prócz czystej miłości niebieskiej) —
Wprowadza duszę w jakiś grzeszny zamęt —
Niewolno kochać, jak święty sakrament.

III.

Lecz pierwsza miłość — pierwsza, platoniczna...
O wstaw się za mną — o Najświętsza Panno!
Ty jesteś taka na obrazach śliczna —
Widziałem Ciebie dziś — pod tęczą ranną,
Nad błękitami Lepantu — w niebiosach —
W tęczy — na chmury rozpłakanej włosach...

IV.

Poezja także często walczy z Bogiem;
Chybabyś pisał ciągle o myślistwie,
Jak Pan Tadeusz obeznany z rogiem. —
Bóg Lamartina jest w złem towarzystwie!
Chrystusa trzeba dać do takich kmotrów,
Byłby znów Chrystus między dwojgiem łotrów.

V.

Więc rozwiązawszy tak dobrze zawiłość
Teologiczną, przyjmuję za godło
Tych kart — Poezją, Chrystusa i Miłość —
I to mię będzie teraz ciągle wiodło
Z góry na górę — od boru do boru —
Do Megaspilion [1] na tę noc, klasztoru.

---

[1] Megaspileon, klasztor w Grecji

VI.

A ty, Poezjo, nie bądź więcej mniszką,
Ale opowiedz, jak szedłem wysoko
Nad przepaściami zawieszoną ścieżką;
Jak coraz dalej posyłałem oko
Za laurem pięknie kwitnącym podemną,
I za otchłanią mórz — błękitnie ciemną;

VII.

Jak o południu cień kolczastej gruszy
Osłonił całą podróżnych gromadę;
Jak ciernia krzaki, które wiatr wysuszy,
Dały nam ognie w oczach słońca blade;
Jak źródło w naszym zajęczało dzbanie,
Jakeśmy orłów słyszeli krakanie...

VIII.

A morze jasnym wabiące lazurem
Daleko od nas — szukane oczyma —
Za gór przebytych błysnęło się murem
Przez dwie szczeliny maczugą olbrzyma
Albo Rolanda rozcięte zamachem.
Powietrze cząbrów poiło zapachem...

IX.

A teraz myślę, jak z liter i cyfer
Ułożyć oczom klasztor Megaspilion,
Klasztor, gdzie niegdyś bronił się Lucyfer
Mahometowi — tak długo, jak Ilion,
Albo jak nasza piękna Częstochowa,
Kulami ryta — cudem boskim zdrowa...

X.

Zjeżdżaj na koniu w dolinę głęboką.
Góra zielona... wjeżdżaj na tę górę
Ślimaczą drogą... teraz podnieść oko!
Gdzie patrzysz? wyżej!... tam, tam aż pod chmurę!
O jaki widok!... skała rośnie złota
Z arabeskowym rysunkiem Callota.[1]

XI.

Z łona zielonych krzewin i cyprysów
Wyrasta ścianą prostopadłą skała
Porysowana, jak mnóstwem napisów,
Mnóstwami domków — a jaskółka śmiała,
Ów miły piastun wieśniaczy i boży,
Tak nie przylepi gniazd i nie ułoży.

[1] Callot, rysownik XVII wieku.

XII.

Cała budowa, jako wachlarz płaska,
Jeden ma tylko bok i jedno lice;
A wytnij sobie z jakiego obrazka
Całą niemieckich miasteczek ulicę,
Niechaj mur jeden jednostajnie siny
Nosi te domki — krużganki — kominy

XIII.

I galeryjki — i sine okienka —
I domki wczora tynkowane świeżo,
Niechaj to wszystko różnorodnie wsiąka
W jednę podstawę — pożegnaj się z wieżą
I z dzwonnicami, któreś sobie roił,
A jeśliś domki pobudował, spoił,

XIV.

I sobie całą ułożył strukturę —
Zanieść to wszystko wyobraźni okiem
Na szmaragdową cyprysami górę,
Przylep do skały... jeszcze pod obłokiem
Na samym szczycie, gdzie głazu ułomek,
Postaw forteczkę i jaskółczy domek...

XV.

Niech dym, co mnichów kominami goni,
Framugę sadzy zrobi nad klasztorem;
Niech się to wszystko kiedyś Turkom broni,
Niech teraz będzie spokojne wieczorem,
I zda się lekkiem pajęczyny włóknem,
W promieniach słońca jasne każdem oknem;

XVI.

Niechaj to wszystko razem się pokaże
Nad głową twoją i za drzewy znika,
I znów, jak dziewic szpiegujące twarze,
Gdy z poza liści śledzą wędrownika
I same także śledzone ciekawie,
Znów błyska — znika — i śni się na jawie; —

XVII.

A będziesz widział — nie widzisz? więc próżno!
Ja doskonalej nie opiszę rymem...
Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną,
Mój czytelniku; i został pielgrzymem;
Inaczej z wielką litością i żalem
Będę o tobie myślał w Jeruzalem.

XVIII.

Tymczasem... co to? wieczorny skowronek
Śpiewa nad nami w obłoków błękicie?
Nie — to klasztorny na krużganku dzwonek
Już zapowiedział pielgrzymów przybycie.
Widzę na ganku dzwoniącego mnicha,
Znów karawana idzie w górę — cicha.

XIX.

Oczy po takiem ciągłem wniebowzięciu
Patrzą w obłoki — a klasztor przed nami,
A mnichów trzystu sześćdziesięciu pięciu
W błękitnych szatach, z czarnemi brodami,
Snuło się w słońca złotego odbłysku,
Jak rój komarów — lub mrówki w mrowisku,

XX.

Lub jak rój pszczelni — bo tak doskonale
W plastrze tynkowym porobił komory;
Tak poświdrował korytarze w skale
Wiszącym domkom takie dał podpory;
Tyle zapasów nagromadził w doły,
Że Bóg się spyta: — ludzie wy, czy pszczoły?

XXI.

Czy jakie inne i mniejsze robaki,
Co w przylepionym na skale listeczku
Nagromadziliście wina, tabaki,
Cnót po troszeczku, grzechów po troszeczku,
Czekając jasnej zmartwychwstania chwały,
Gdy cicho listek odedrę ze skały?

XXII.

I wy myślicie, że ja wam przepuszczę,
Patrząc na tynku odpadłego łatę,
Na korytarze wasze — co jak bluszcze
Idą na skałę kręte, węzłowate —
Na źródło wasze cudowne, na składy?
O moje małe bezpłciowe owady!

XXIII.

Wy, którzy świecę zapalacie jasną,
Gdy pielgrzym kładzie grosz swój do skarbony,
Nie obrazowi — lecz na miłość własną
Rzucając blaski, wy, kraczące wrony
W kraju bezpłodnym i pięknego nieba,
Gdzie się i modlić — lecz i orać trzeba!

XXIV.

A tażto beczka? (to wszystko Jehowa
Mówi do mnichów tam, gdzie sąd ich czeka,
A ja powtarzam tylko boże słowa)
Ta beczka, votum chorego człowieka,
Którą dał biedny — ach, nie mnie, Jehowie,
Lecz wam — za cudem odzyskane zdrowie...

XXV.

I wasze głupstwo, żeście się chwalili
Z takiego daru, i wasza ciemnota —
Życie podobne do próżniackiej chwili —
I wasza grubość chłopska, nie prostota —
I wasze kłamstwa cudów — i tam dalej...
Weź, Lucyferze! niech ich piekło spali!

XXVI.

Tu się jednego twarz archimandryty
Odwróci, z jednem mnichów pokoleniem,
I rzeknie Bogu: „Nasz dom, niezdobyty
Ibrahimowym mieczem i płomieniem,
Zniszczyłeś, Boże: a Lucyfer dumny,
Żeś odkrył pełne prochem grzechów trumny.

XXVII.

„A ślad na skale gmachu — jak na belce
Znak skruszonego gniazdeczka jaskółek;
A pomyśl, kiedyś, zatrwożony wielce
W naszym klasztorze lud znalazł przytułek
Wtenczas widziałbyś dla mrących z przestrachu
Aniołem stróżem każdy kamień gmachu.

XXVIII.

„I gmach się wtenczas cały w lud zamienił,
Jak twój tron jasny mieni się w aniołów;
Tak wiele duchów zebrał i spromienił
W twoje podnórze... i do naszych stołów
Siadało wiele — nas mnichów niegodnych,
Lecz wiele sierót płaczących i głodnych...

XXIX.

„I w nocy pełnej pioruna i błysku
Sam szedłem — własne zapalić spichlerze,[1]
Co pod nogami na skały urwisku
Stały, ubrane w cyprysowe wieże;
I zapaliłem... i przy tym pożarze
Widziałem w dole białe Turków twarze.

[1] Budynek spalony. *(P. Aut.)*

XXX.

„Potem z klasztoru patrzaliśmy mnichy
Na mur poryty ognistymi rysy,
Na dom nasz własny... już jak węgiel lichy,
I na stojące w płomieniach cyprysy,
Jak ci szatani, co tam — widzisz, Boże —
Stoją przy piekła płomiennym otworze.

XXXI.

„Niejeden mrący, spragniony i ranny
W ostatniej chwili — usłyszał nad sobą
Płacz brylantowej cudami fontanny,
Otworzył usta — westchnął — i był z Tobą...
Źródło, że wiecznie płakało nad ludem
Żywych i mrących — nazwaliśmy cudem".

XXXII.

Wtenczas przytomny obronom szlachetnym,
Na potępienie mnicha rzekłem z boku:
A owa, owa — w tysiącznym ośmsetnym
Trzydziestym szóstym (nie mylę się) roku,
Dnia trzynastego września (tak mi świeża
Data i dzień ten) dana mi wieczerza?

XXXIII.

Sam ją kazałeś zastawić na stole
I sam przyszedłeś, o archimandryto,
Cieszyć się patrząc, jak mię w gardło kole
Kość twoich garnków — twego chleba żyto —
Mszcząc się, że paszport wydała mi Francja,
Że czczę papieża — lecz gdzie tolerancja?

XXXIV.

Czyliż dlatego, że wam do kościoła
Przysłano z Moskwy obraz Nikołuszki?[1]
Tu mnich uleciał na skrzydłach anioła,
A ja na łonie tureckiej poduszki
Budząc się, widma spłoszyłem niesforne.
Słońce błyszczało przez szyby klasztorne.

XXXV.

Lubię, gdy cichy promień słońca strzeli
W ciemną altanę — lub na sklep, gdzie prix fixe
Błyszczą klejnoty — lub do księżej celi
Złotym promieniem lecąc na krucifiks —
Albo na rzymskich kościołów mozajki,
Lub na błękitny dym rzucony z fajki.

[1] Obraz istotnie przysłany z Moskwy. *(P. Aut.)*

XXXVI.

Lubię, gdy pada promień złotolity
Na siwe włosy starego żebraka;
Albo na czoło umarłej kobiety,
Albo na skrzydła pływające ptaka;
Albo na róże, co wysoko niosą
Jesienne czoła błyszczące się rosą.

XXXVII.

Lubię, gdy pada z chmur na odsłonioną
W pochmurnym rynku statuę Kopernika;
Lubię, gdy pada w nasze ciemne łono
I znów z człowieka robi słonecznika,
Za światłem życia obracając twarzą
Myśli marzące... póty, póki marzą.

XXXVIII.

W komnacie mniszej, otoczonej w koło
Rzędem tureckich sof kwiecistej barwy,
Promień słoneczny padł na moje czoło;
I snów zwichrzone rozpędziwszy larwy,
Rozwinął znowu moje myśli senne
Na życie marzeń mglistych... cało dzienne.

PIEŚŃ ÓSMA.

NAPOLI DI ROMANIA.[1]

Gdzie nasz Neapol — i morze i ganek?
Skąd widać było dwa białe miesiące,
Skąd widać było wybrzeże — i wianek
Białych żagielków — i światła płonące
Pod żagielkami — gdzie ostrygi szare
Ze srebrną piersią — i *frutti di mare?*
Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
Żagiel przy żaglu — przy świetle światełko,
I tych światełek na brzegu bez liku,
A każde swoje białe ma skrzydełko,
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.

---

[1] Napoli di Romania, miasto stołeczne prowincji Argolidy, (w Grecji) w głębi zatoki Argos.

Czarowny widok — czarowne wieczory!
Ciebie [1] zachwycał zgiełk ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawem morzem w pół obręcza.
Jam patrzał w księżyc — co lotem aniołów
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów. [2]
Dziwnie dziś jestem w mieście — miniaturze
Znanego tobie Neapolu. Domy
Zaległe tutaj ponad morskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stromej,
Mniejsza zaś druga w otchłań lazurową
Weszła się kąpać — jak Castel dell'Ovo.
Morze błękitne — i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte, jako cukru głowa
Ani jak krater..." [3]

PIEŚŃ DZIEWIĄTA.

I.

Jest na korynckiej górze mała grota,
Figowem drzewem od wejścia zakryta,
I tam odbiegła mię moja tęsknota;
Stamtąd albowiem oko tęskne wita
Kraj cały, żyzny, zielony, szeroki,
Przerżnięty wstęgą korynckiej zatoki.

II.

Nigdzie tak pięknie i tak szafirowe
Morze nie świeci, jak tu w tej dolinie.
Kiedy przez szarą drzew oliwnych głowę
Oko na morze to błękitne wpłynie,
To zamyślone odwrócić się nie chce,
Tak go ten błękit rozwidnia i łechce.

---

[1] Teofila Januszewskiego Ob. wiersz do niego.
[2] Warjant tej trzeciej zwrotki opiewa:

Czarowny widok — czarowne wieczory
Ciebie zachwycał ów zgiełk — owa tęcza.
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Jam czekał cichy, aż po ławy ścianie
Drący się księżyc wejdzie na szczyt stanie;
Aż spojrzy na mnie z ogromnej mogiły
Czarnych popiołów. — I mnie także trzeba
Na takim wielkim grobie nabrać siły
Nim się puścimy w świat... nie drogą nieba

[3] Więcej niema.

III.

A tam na prawo, gdzie drzew nagle braknie,
Korynt... już myślisz... że tam kolumnady,
Jakich wzrok często północnika łaknie;
Lecz Korynt dzisiaj, to chatek gromady,
Nad niemi kolumn niewielkich wierzchołek,
A matką wszystkich kolumn ten kościółek.

IV.

Wszedłem... w świątyni dwie młode Greczynki
Miotłami z ziemi zmiatały na kopce
Czarne od prochu korynckie rodzynki,
A na kolumnach ściętych mali chłopce,
Pasterze... w dudki z trzcin wycięte grali,
Kilka baranów sennych i tam dalej...

V.

Już wiesz, jakie są obrazy sielanek...
Lecz nie widziałeś ich na greckiej ziemi;
Ten smutny kolumn już bezżennych wianek,
Te drzewa żywe, co z marmurowymi
Takimi są tu nieraz przyjacioły,
Jak u nas lipy z wiejskimi kościoły.

VI.

Tu słońca krwawy blask czerwieni niwy,
Pełny baranów cień każdej kolumny,
I pełny owiec cień każdej oliwy,
A pasterz na te cienie patrzy dumny,
Bo są jak sznury pereł dla kochanki,
A w cieniu od drzew leżą owiec wianki.

VII.

Tu duch przeszłości spokojność rozlewa
Na śpiące owce, na pasterzy twarze.
Zefir się rzadko na trawy rozgniewa
I Jowisz rzadko tu piorunem karze.
Wszystko zamknięte na wiekowe blizny...
I w takiej ziemi być! i bez ojczyzny!

VIII.

Czemuż nie jestem tu owiec pasterzem?
Czemuż nie jestem panem tej winnicy,
Panem tej chaty nad morza wybrzeżem,
Nad którą Parnas, w hełmie z błyskawicy,
Czuwa — i cicho sny bogów nastręcza,
Co się w powietrzu unoszą jak tęcza.

IX.

O słońca wschodzie wstawałbym, pobożny.
Od moich owiec raniej — od jaskółki,
Do mnie by gołąb zlatywał nietrwożny,
Z Hymetu by się zlatywały — pszczółki,
I kładły miody w złamanej kolumnie,
Bóg byłby ze mną i spokojność u mnie.

X.

Na mej policy... czara starożytna
I pełna wina starego amfora;
Przed chatą — jaka Najada błękitna,
Wylewająca łzy w ciszy wieczora,
Brzęcząca smutno o marmur wymyty;
Kilka drzew, kilka malw z jasnymi kity.

XI.

I sad, gdzie ciemna liściami cytryna
Słońce odstrzela liściem zwierciadlanym,
Pod którą wcześnie noc być już zaczyna,
Noc sprzyjająca myślom zadumanym,
Zielono-ciemna, cicha, wonna, świeża,
Noc dla poety i owiec pasterza.

XII.

O wy, amora słudzy, wieczne duchy,
Z motylowymi skrzydłami wietrzniki...
Jabym rozesłał was gdzie na podsłuchy
I przez was wiedział natury tajniki,
I co wieczora, pijąc nektar słodki,
Strącałbym z czary — was mówiących plotki...

XIII.

O różnych ludzkich miłościach tajemnych,
O sercach, które nie kochane — pękły,
O skarbie w straży aniołów podziemnych,
A gdybyście mi o czem smutnem jękły,
O jakim kraju, co leży w mogile,
Wziąwszy was, duchy, za skrzydła motyle,

XIV.

Skąpałbym całych w czerwonym Falernie,
Malwy rozkwitłą schłostałbym łodygą,
Między różami zarzucił, gdzie ciernie:
Lub wziąwszy za łeb, zrobiłbym go frygą,
Aby się kręcił, szedł w ciemne Ereby,
Że mi przypomniał smutek bez potrzeby.

XV.

Przed moją chatą przyjaciele młodzi,
Kiedy się dla nich cały baran piecze,
Pokazaliby słońcu, co zachodzi,
W piryjskim tańcu wydobyte miecze;
Przed nimi z twarzą jasną i wesołą
Grałbym na lutni i prowadził koło.

XVI.

A tam na szarej kolumny ułomku
Wianek sąsiadów moich siwobrodych,
Pochyłych ludzi, przy pochyłym domku,
Dawałby ręką takt tańcowi młodych...
I przyklaskiwałby temu rymowi.
Duchy, sny, straty, starce, bądźcie zdrowi...

XVII.

Czy nie widzicie żem chory? szatanizm,
Bajronizm, siedem mnie dręczy boleści;
Wierzę w religją mas, w republikanizm,
W postęp... a nawet... wierzę w te czterdzieści
Cztery... choć nie wiem, co ta liczba znaczy,
Ale w nią wierzę jak w dogmat... z rozpaczy.

XVIII.

Mam także ufność wielką w jezuicką
Reakcją... lecz się nie łączę i czekam;
Tymczasem trudnię się mową sanskrycką,
I z Europy znudzony uciekam,
Jak człowiek, co się na przyszłość sposobi
I chce przekonać ludzi, że coś robi.

XIX.

Najwyćwiczeńsi w tej sztuce kłamania
Nie warci są mi rozwiązać trzewika;
Ciągle mam czarny palec od pisania
I w oczach ciągle coś nakształt płomyka
Poetycznego... stąd mię częściej wita
Poetą — ten, co widzi, niż, co czyta.

XX.

Biorę na świadki te strofy ostatnie,
Czy w nich poezji jest choć za trzy grosze.
Nie bój się, niech je twa krytyka płatnie,
Od nieprzyjaciół moich więcej znoszę,
Te strofy są złe, powiedz to otwarcie;
Pisałem, jakbym nigdy nie był w Sparcie.

XXI.

Te strofy są złe, no więc na to zgoda;
Niepoetyczne... zgadzam się i na to...
Chodźcie tu do mnie... patrz... błękitna woda
Igra pod moją kaiką skrzydlatą;
Łódka przez fale rozbudzone pędzi,
Jak najkształtniejszy z Olimpu łabędzi.

XXII.

Przez nachylone żagle księżyc blady
Pokazuje mi majtki zadumane;
Stoją jak dawni rycerze Hellady
O maszt oparci... złotem haftowane
Pancerze mają i białe kapoty...
Księżyc jest na nich błękitny i złoty.

XXIII.

Oni umieją zostać nieruchomi,
Jako posągi, patrząc w niebo czyste,
Eol sam wichry szalone poskromi
I z żaglów muszle porobi srebrzyste,
W których się oni... na pół skryci, mieszczą,
Jak duchy — myślą wywołane wieszczą.

XXIV.

I cicho, i wraz... o! godzino święta,
Łódka się w morskie rzuciła głębiny,
I z jękiem nagle stanęła wzdrygnięta...
To była pierwsza fala Salaminy:
Spotkać pierwszego Polaka przybiegła,
I wstrzęsła mnie tak... i jękła i legła.

XXV.

A za nią inne fale z wielkim gwarem
Od brzegu biegły, szerzące wzdychania.
Jutrzenka żywym spłonęła pożarem.
Słońce... już było bliskie swego wstania;
Myślałem, że w tym wiekopomnym kraju
Stanie w piorunach, jak Bóg na Synaju.

WSCHÓD SŁOŃCA NAD SALAMINĄ.

Pamiętam jedną godzinę żywota:
Leżałem w greckiej łodzi... Spało morze —
A każdy żagiel był, jak muszla złota,
W której się chował w albańskim ubiorze
Majtek. Słuchałem, jak fala klekota,
Kiedy ją złotą pierś kaika porze —
Księżyc się cicho błyszczał, złoty taki,
Jak słońce... Łódź płynęła z Kalamaki.

I zwolna wschód się oczerwienił siny —
Ponad Pireą powiał wiater świeży;
Wzdrygnęła się łódź śród morskiej równiny,
Jak rycerz, gdy go w piersi wróg uderzy.
Była to pierwsza fala Salaminy —
Szła od mogiły, gdzie Temistokl[1] leży,
Zatrzęsła łodzią, wkoło ją obeszła,
Zagrzmiała — jękła żałośnie — i przeszła.

Wstałem; tańczyły fal różane bryły —
Słońcu się niebios otwierała droga.
Słońce! — Myślałem, że wstaniesz z mogiły
Temistoklesa, jak z mogiły Boga
Zmartwychwstający anioł blasku, siły!
Lecz nie; gdzie był tron złoty jego wroga,
Skąd Xerxes[2] patrzał na zniszczenia dzieło,
Wyszło ogromne słońce i stanęło...

Wtenczas zacząłem urągać się w duchu
Grobowi, co był rzuconym w ciemnoty,
I morzu, które chodziło w łańcuchu;
I obróciłem się, gdzie stał tron złoty,
Paląc się w słońca czerwonym wybuchu...
Bo tak stać musiał, gdy minęły floty,
I marli za kraj rozpaczni obrońce,
Xerxes, na tronie tym ubrany w słońce!...

---

[1] Temistokles, jeden z największych wodzów i mężów stanu Grecji.
[2] Xerkses I, król perski, który w wojnie z Grecją został pobity w bitwie pod Salaminą.

ODWIEDZINY PIRAMID.

Wyjechałem z Kairu dziś ze słońca wschodem.[1]
Mgła biała nad palmowym Kairu ogrodem
Kryła mi złote słońce... i łzy brylantowe
Zawieszała na palmach; a gmachy różowe
Zorzą mglistą, tysiącem wieżowych promieni
Przesuwając się w tajnej ogrodu zieleni,
Odchodziły gdzieś na wschód. Oślątko me chyże
Leciało, aż się w starym oparłem Kairze.
Łódka stała u brzegu, wsiadłem do niej — płynę.
Za Nilem widać było zieloną równinę;
Po obu stronach domki białe, pełne krasy;
Za domkami dwa wielkie daktylowe lasy,
Między lasami przestwór i na tym przestworze
Trzy piramidy — dalej żółte piasków morze
I niebo blade — czyste, jak Ptolomeusza[2]
Krąg z kryształu... Na oczach usiadła mi dusza...

Przez Nil cichy prędkimi przeprawiony wiosły
Wysiadam... już zbliżone daktyle przerosły
Czoła dumne piramid — zniknęły pomniki
I tylko las błędnymi pocięty promyki,
Wystrzelony pod niebo, koronami szumny,[3]
Jak przysionek piramid bogaty w kolumny
Przy ludzkich dziełach ręką zasadzony Boga...
I trzy godziny trwała pełną dumań droga,
I więcej, bo Nil jeszcze nie wrócił do łoża.
Przepływałem jeziora — aż na piasków morza
Wyniosło mię oślątko... Na piaskowym wale
Stały przedemną gmachy błyszczące wspaniale,
Twarzami obrócone do słońca — i do mnie.
Patrzałem na nie — potem na siebie... Jak skromnie
Wyglądałem przy grobach takich! na osiołku,
W pustyni piasku, w każdym topiącym się dołku.

Bliżej — z pokorą wszystko opisywać muszę —
W dolinie piasku stoją trzy drzewa: dwie grusze,
A w środku spleciona z kilku palma jedna.
Chociaż w piasku, zieloność je kryje nie biedna;
Jak szmaragdy się błyszczą stojące na straży
Przy dolinie piramid. Szczęśliwy, kto marzy
Pod liściem rozłożystem tej szerokiej gruszy,
Gdy lawiną kamieni grobowiec się kruszy
I spada z wielkim hukiem.

---

[1] D. 2 listopada 1836. [2] Klaudiusz Ptolomeusz, geograf, astronom i matematyk żył w II wieku. [3] *War.* Drzew wysoko pod niebem koronami szumny.

Na białym kamieniu

Siadłem strudzony w drzewa szerokiego cieniu;
Myślałem, jak ten wąwóz cały piasku przebrnę?
Co czuć będę? i oto... jakieś mrówki srebrne
Pod nogami ujrzałem grzebiące się w piasku.
Wziąłem do rąk stworzenie perłowego blasku
I bawiło mię małe, jak ziarenko żyta...
A domek ich, jak ślady końskiego kopyta,
Obłożony wałami w budowę półkolną,
Przejrzałem cały — potem puściłem je wolno
Obie do rozbitego sarkofagu żłobu,
I wstawszy szedłem prosto do Cheopsa[1] grobu.
A kiedym był u piasków przebytych połowy,
Wzniosłem czoło — spojrzałem górą ponad głowy,
I nie mogłem oczyma dolecieć do szczytu
Grobów, co uleciały w krainę błękitu.
A więc oczy ogromem piramid odparte
Spuściłem... W koło były grobowce otwarte,
W których i proch umarłych dawno powymierał.
Sfinks czarną Kopta głową nad piasek wyzierał.
I straszna była dzikość grobowej doliny.

Wtenczas wypadli słońcem wyschli Beduiny,
Bronzowi, w białych płaszczach, jak grobowe sępy,
I porwały mię czarnych szatanów zastępy
I wiedli z krzykiem w groby od wieków milczące,
Paląc pochodnie — blado na słońcu płonące.

Nim doszedłem zaściennej piramid ulicy,
Schyliwszy się podniosłem kamień soczewicy,
Która dawniej karmiła królów[2] robotniki
I stała się pomnikiem pomiędzy pomniki:
Ta sama kształtem, tylko wosku wziąwszy białość,
Dziś — różniąca uczone głowy — skamieniałość!
Postrzegłszy, żem krainę głazów ruszał senną,
Jakby mi chcieli w piaskach zadać śmierć kamienną,
Araby mię w grobowcach otoczyli gęściej,
A każdy trzymał granit ważony na pięści —
Od nowej się napaści obroniłem skoro[3]
Głaz pamiątek kupiwszy za *para* pięcioro.
I szedłem z Arabami w piramidy łonie,
Szukając drzwi — te były na zachodniej stronie.
Przed drzwiami do niskiego podobną pagórka
Piramidę maleńką ma Cheopsa córka.
Stanąłem — tak pokornie tu się położyła
Przy mogile ojcowskiej dziecięca mogiła,
Że łzy miałem na oczach...

[1] Cheops, król egipski, panował około 1178 r. przed Chr. [2] *War.* Głazów robotniki. [3] *War.* Natenczas, chcąc zebrany tłum rozpędzić skoro.

W piramidy ścianach
Jest otwór, gdzie do grobu wchodzisz na kolanach.
Arab z pochodnią wpełznął i zniknął. Musiałem
Synom stepów się oddać i z duszą i z ciałem.
Dwóch zaprzęgło się do mnie, dłonie wzięli w kleszcze [1]
Trzeci lazł rakiem świecąc, a czwarty mię jeszcze
Popychał — i w ciemnościach mnie gmachu pogrzebli
I śliskimi kominy, bez schodów i szczebli
Wiedli w górę, aż wreszcie mogłem podnieść głowy,
Obaczywszy się żywym w *Komnacie Królowej.*
I dalej korytarzem trumnianego ula [2]
Pełznąc, obaczyłem się w Sali trupa Króla.
Blask pochodni się lekko po ścianach rozpłonił.
Sarkofag próżny — ręką uderzyłem — dzwonił,
Jak rzecz pusta...
Wyszedłem z granitowej skały
Jak senny, zadziwiony dniem, co świecił biały,
Palm zielonością, piasków oświeceniem złotem,
Westchnąłem z głębi piersi... za niczem... a potem
Obróciwszy się, czarne zapytałem guidy,
Gdzie — którędy się idzie na szczyt piramidy?
Pokazali mi lewy brzeg nierówno zlany
Z ciemnej nie oświeconej promieniami ściany.
Przemierzywszy, jak czynią podróżni roztropni,
Wielkość każdego — mnogość do przebycia stopni,
Wiedząc, jak się grobowce pod nogami [3] kruszą,
Arabom się oddałem ciałem, Bogu duszą.

Z dwóch Beduinów tylko mój orszak się składał,
Każdy na wyższy kamień wskakiwał, przysiadał
I podawał mi ręce... i tak szedłem długo.
Raz mi kamień był stołem, drugi raz framugą.
Trzy a zaledwie z dołu widziane szczelinki
Były jak trzy komnaty, na trzy odpoczynki.
W głowy zawrocie jużem nie pomniał, gdzie idę,
I tak wszedłem na pierwszą w świecie piramidę.

---

[1] *War.* Dwóch mnie za ręce ręką chwycili kościaną
A raz stopę drugi raz kolano,
Stawiałem w korytarzu, gdzie mi ścianę spodnią
Twarzą do mnie idący Beduin z pochodnią
Oświecał. ..

[2] *War.* I znów jak przez korytarze kamiennego ula. [3] *War.* Kamienie pomnikowe.

NA SZCZYCIE PIRAMID.

Jak dwaj czarni z białemi skrzydłami anieli
Dwaj Arabi na rogach pomnika stanęli,
Ja na głazie najwyższym... Chciałem zebrać wzrokiem
Cztery ściany spadzistym lecące potokiem
I nie mogłem ogarnąć — bo na to potrzeba
Być słońcem — i na królów groby patrzeć z nieba.
Arabi stali cicho — za nimi zwierciadłem
Był sklep błękitu — w niebo spojrzałem i siadłem,
Patrząc na różne w koło napisów kobierce.
Cicho — zegarek słyszę idący — i serce...
Czas i życie. — Spojrzałem na błękit rozciągły,
Świat przybrał kształty Bogiem widziane — był krągły.
Zdala Kair... Nil... łąki... daktylowe laski...
Bliżej — pustynia... złotem oświecone piaski...
Bliżej — trzy drzewa, figa, pod nią cienia chłodnik,
A w nim stał mój osiołek i Arab przewodnik.
Patrząc na nich myślałem o mrówce ze srebra...
Bliżej — dolina piasku, cała w równe żebra
Wichrem zmarszczona — i Sfinks, i grobowce białe [1] —
Ziemia widoma... wszystko dojrzane, lecz małe...

Inny widok na prawo, inna była scena:
Naprzeciwko Cheopsa stał pomnik Cefrena,
Tak że orzeł po równej krainie błękitu
Mógł płynąć od jednego do drugiego szczytu.
Dwie piramidy wąwóz tworzyły głęboki, [2]
A zachodniego słońca czerwone potoki
Jakby falami ognia płynęły tamtędy,
Lejąc się przez grobowców utworzonych rzędy.

Ale większy był jeszcze widok z innej strony:
Pustynia — i ogromny krąg słońca czerwony
Chylił się do zachodu...
I większy był jeszcze
Widok — w myślach — na wieki, lecące jak deszcze
Po granitowych ścianach; na pożarów łuny,
Na ogromnych wypadków bijące pioruny...
Kiedym to wszystko wstawił i w grobie pochował,
Zdało mi się, że Mojżesz krwią Nil zafarbował

---

[1] *War.* Grobów okruszyny białe.

[2] *War.* Dwie równe — myśli trwożne trzymające w grozie
Tworzyły wąwóz gmachów... w głębokim wąwozie,
Na ziemi — właśnie słońce patrzało tamtędy —
Widać było aż w głębi dwa mrówczane rzędy
Czarności nieruchomej... były to poryte
Mogiły, niecałemi kamieniami kryte.

I że płynął czerwony wypadków posoką;
A tak myśląc, po głazach obłąkane oko
Padło na jakiś napis — strumień myśli opadł...
Ktoś dwudziesty dziewiąty przypomniał Listopad,
Polskim językiem groby Egipcjanów znacząc...
Czytałem smutny — człowiek może pisał płacząc.

PIEŚŃ NA NILU.

Nie szumi liść, nie szumi gaj,
Jakie niebo, jaki kraj!
Z cegieł stoją wielkie góry,
A na cegłach leżą chmury.

I jam cierpiał i jam żył,
Jam w letejskich wodach pił,
Dziś w Nilowe fale mętne
Patrzą oczy moje smętne.

Patrzę smutny, patrzę w dół,
Czy kto moje serce struł,
Że śpi teraz jak łabędzie,
Że mu wszystko jedno wszędzie...

Łódko, łódko, dalej nieś!
Tu na brzegu stoi wieś,
Tu gołębi jakby śniegu,
Chmura ptaków, wieś na brzegu.

Dalej, łódko, od tych kras!
Tu palmowy stoi las
I gliniana chata w głębi
Z wiankiem ciernia i gołębi.

ARAB.

O ! nie zazdrość szczęścia im,
Patrz, nie idzie z chaty dym.
Nieszczęśliwy los lepianek,
Choć z gołębi mają wianek.

Może tam zarazy strup,
Może w chacie leży trup,
Dzieci płaczą przy tapczanie,
Trup nie słyszy i nie wstanie.

Trupa trzeba ziemi dać,
I gołębie będą spać,
Gdy wychodzi trup nędzarza,
Gdy powróci syn z cmentarza.

POETA.

Jeśli tak, to łódko tam
Te błękitne fale łam.
Do tej chaty nieś mię, łodzi!
Wejdę tam, skąd trup wychodzi.

Tam nieś, łódko,.. tam mi żyć,
Będę jęczeć, będę wyć,
Serce kąsać nadaremno
A gołębie spać nademną.

ARAB.

Co zamyślasz? czy ty śnisz?
Gdy uczują ptaki krzyż,
Świty białe, wschodu róże,
Rozlecą się po lazurze.

Allach! wicher będzie wiał
I przyniesie czworo skał,
I położy grób na grobie
Na gołębiach i na tobie.

POETA.

Jeśli tak, ha! jeśli tak,
Niechajż śpi i wichr i ptak!
Ja nie spocznę w głębi chaty,
Lecz polecę jak skrzydlaty.

Jak od młodych moich lat,
Ja polecę lotem w świat.
Dalej, łodzi!

ARAB.

Nocleg tobie
W Ramazesa starym grobie.

POETA.

Tam przynajmniej jednę noc
Odzyskam sen, odzyskam moc,
I spać będę z cichą twarzą
Pod gołębi sennych strażą.

Czy daleko stąd ten grób,
Gdzie ja będę spał jak trup
Umęczony?

ARAB.

Niedaleko!
Za tą palmą, tam, nad rzeką;
Lecz go teraz kryje mgła.

Mówił tak, a łódka szła.

ROZMOWA Z PIRAMIDAMI.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, sarkofagi,
Aby miecz położyć nagi,
Naszą zemstę w tym bułacie
Pogrześć i nabalsamować,
I na późne czasy schować?
— Wejdź z tym mieczem w nasze bramy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny, grobowniki,
Aby nasze męczenniki
W balsamowej złożyć szacie;
Tak, by każdy na dzień chwały
Wrócił w kraj choć trupem cały?
— Daj tu ludzi tych bez plamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy wy macie
Takie trumny i łzawice,
By łzy nasze i tęsknice
Po ojczystych pól utracie
Zlać tam razem i ostatek
Czary dolać łzami matek?
— Wejdź tu, pochyl blade lice,
Mamy na te łzy łzawice.

Piramidy, czy wy macie,
Takie trumny zbawicielki
Aby naród cały, wielki
Tak na krzyżu, w majestacie

Wnieść, położyć, uśpić cały
I przechować — na dzień chwały
— Złóż tu naród, nieś balsamy,
Mamy takie trumny, mamy.

Piramidy, czy została
Jeszcze jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha?
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny,
My umarłych tylko znamy
A dla ducha trumn nie mamy.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Maleńkie dziecko karmiła mi żona,
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona
Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów [1]
A wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
Synowie moi ogień rozkładali,
Żona, z synaczkiem przy piersiach, warzyła.
Wszystko to dzisiaj tam, gdzie ta mogiła
Promienistemu słońcu się odśmiecha,
Wszystko tam leży pod kopułą Szecha. [2]
A ja samotny wracam — o! boleści!
Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści;
Odkąd do mego płóciennego dworu
W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu ,
Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!
Wracam na Liban, do mojego domu:
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki.
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
Naprzód błękitne na Libanie chmurki
Pytać mię będą o synów, o żonę,
O dzieci moje — wszystkie — pogrzebione
Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha;
I wszystkie będą mię pytały echa,
I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
Pytać się będą — Cóż ja im odpowiem?

[1] Roślina, podobna do tataraku. [2] Szech nazwa grobowca, gdzie kładano umarłych na dżumę.

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
Wielbłądy moje cicho się pokładły;
Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
Od niej wracała najmłodsza dziewczyna
Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
Przyszła do ognia i wodą z potoku
Śmiejąc się lekko trysnęła na braci;
Najstarszy, z ogniem zapalonym w oku,
Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie
I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
Powalił się tu jak palma złamana.
Przybiegłem — nie czas już było ratować.
Siostry go chciały martwego całować;
Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
Porwałem trupa i rzuciłem straży,
Aby go wzięła na żelazne zgrzebła,
I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebła.
A od tej nocy, tak pełnej boleści,
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
A patrz! tak cicho umierały obie!
Że choć po śmierci najstarszego syna
Oczy się moje do snu nie zawarły,
A nie słyszałem, jak obie umarły.
I nawet matka własna nie słyszała,
Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
Rankiem obiedwie sine jak żelazo,
Dwie moje córki zabite zarazą
Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
I porzuciły nas! i bez powrotu!...
A jak dorosłym przystoi dziewicom,
Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz to słońce w niebie lazurowem?
Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
Zawsze zachodzi za tą piasku górą:
Zawsze to niebo niesplamione chmurą;
A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
Że słońce słońcu nie równe złotemu;
I już nie takie, jakie było wczora,
Ale podobne do słońca upiora.

A niebo, które patrzało na zgubę
Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
Tak mi się mgliste zdawało i grube
Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
Reszta mych dzieci żyła, wszystko czworo.
Małżonka moja serce miała lżejsze,
I nawet moje dzieciątko najmniejsze
Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać;
Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
Bo nie wierzyłem, żeby wziąwszy troje
Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.

O! była to więc piekielna godzina!
Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
Śmierć zobaczyłem. Ach, ja go tak strzegłem!
Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
Niktby nie dostrzegł, ja ojciec spostrzegłem.
On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się, jak mój trup pierworodzony,
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! Na twarzy plam żelaznych krocie,
Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
I pochwyciwszy go z takimi trądy,
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy,
Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
I żeby na to nie patrzała — matka.

Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
Ja z wielbłądami, na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:
Oby nie umarł! lub się był nie rodził!
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wschodził
I patrzał: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć?
Gdy skonał w moim, w ojcowskim uścisku:
Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
Wyrwałem trupa i rzuciłem straży;
Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
Od tego zgonu i od tej boleści
Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym
I pod namiotem tym zapowietrzonym
Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
I śmierć przed samą śmiercią udawali,
Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
Że się ten bałwan zarazy przewali.
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mem rodzinem gronie
I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bolów, bez żadnych omamień,
Skonał i skościał i stał się jak kamień.
A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał;
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci
Z twarzą, co woła: jesteście przeklęci!

Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpaczy!
Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli anioła śmierci przyszle po nie,
Dziecko mi weźmie, żonę — a po żonie
Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
Do liljowych brała chłodzić rączek,
Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,
Około cedru biegała po trawie,
Jak pracowity snując się pajączek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przesłaniała, że patrzałem na nią
Jako na różę przeze łzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołyszeczce strzegła,
I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła,

I wszystkie nasze opłakała ciosy,
I wszystkie nasze łzy wzięła na włosy.
Dziesięć dni przeszło i nocy tak długich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć;
Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie:
I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
Nawiedzać inne po namiocie śpiące.
Szły cicho, zwolna, schylały się nisko
Nad matki łożem, nad dziecka kołyską:
Potem na moję najmłodszą dziewczynę
Obiedwie ręce położyły sine!
Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
Rzuciła mi się rączkami na szyję,
I przekonałem się, że Hatfe żyje,
Słysząc jej serce bijące na sercu.
Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
Córka!!! — lecz na co z boleścią się szerzyć?
I to mi dziecko sroga śmierć wydarła!
I ta mi córka na rękach umarła!
A była jedna — najstraszniejsza chwila —
Kiedy ją bole targały zabójcze,
Wołała: ratuj mię! ratuj, mój ojcze!
I miała wtenczas czerwone usteczka,
Jak młoda róża, kiedy się rozchyla.
I tak umarła ta moja dzieweczka,
Że mi się serce rozdarło na ćwierci
A piękna była jak anioł — po śmierci.

Przyszli nademną płakać nieborakiem
Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
I nieostrożni zaczepili hakiem;
Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, białą,
I tu... Bogdajby jak ja nie umarli!
Tu ją pod memi oczyma rozdarli.
Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
Wziąłem ją i sam zaniosłem na cmentarz.
Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma

W kącie namiotu, żółta jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna;
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słychać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie!
Ona inaczej wydaje się tobie,
Może złocistą, jasna i weselna?
Lecz dla mnie — jest to równina piekielna!
Przez tę równinę, przez te piasku kupy
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,
Dla ciebie szumi morze, dla mnie wyje;
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko, dla mnie płacze.
Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
Śpiewającegom słyszał muezina:
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzycząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach! Akbar![1] Allach! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzędły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się, i lekko napięte,
Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie —
I wiesz, że nawet tych wróbelków krocie,
Co zlatywały się tutaj o brzasku
Jeść okruszyny i kąpać się w piasku,
Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
Czy odstraszyło je podarte płótno
Namiotu mego? czy twarz moja biedna?
Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna.
I spostrzegłem to i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o Boże mój! Boże!
Z wieczora huczeć już zaczęło morze
I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.

[1] Akbar, po arabsku wielki.

Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję, i widzę, i słyszę,
Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho;
Więc natężałem wzrok, serce i ucho,
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdradziecko.
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?!
Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko:
A płacz ten musiał być strasznym wyrazem,
Bo zaraz matka, ja, oboje razem
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obojgu głośny
I tak rozdarty i taki żałośny
I tak z głębokich wnętrzności wyjęty!
I tak rozumny i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już, i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie
Moje najmilsze! i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca — gwiazdami.
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
Że gdyby mogło choć tak z nami zostać
Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej,
Ubyło by mi z serca pół rozpaczy.

A to już, ani zarazy strażnicy,
Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
Gdzie się nam trupia otwierała brama,
Ale je matka tam zaniosła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żoną,
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć
Boleść, obojgu nam rozdarłszy łono,
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
Smutek podobny był do nienawiści,
I stanął czarny, wielki między nami.
Wiec rozłączeni byliśmy i sami.
I nie mówiliśmy do siebie słowa —
Bo powiedz, jakaż mogła być rozmowa
W pustym namiocie między mną i żoną?
Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
Słońce wschodziło w upały czerwono,
Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
Jak jaka skrawa pożaru pochodnia.
Więc tak bezdzietnym było — i tak co dnia —
Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
Zgoła innego jęku ni szelestu...
Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
I kwarantanny przybyli lekarze,
Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
Bo nachyliłem się był i posiwiał.
A żona moja od niespań i troski
Była jak bursztyn, albo żółte woski;
Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
Jakiś okropny ceglany rumieniec,
A oczy pełne takiej błyskawicy
Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy:
Zdrów byłem. Ludzie! czy będziecie wierzyć?
Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
Z tej kwarantanny wychodziłem zdrowy;
Żona, co nawet nie tknęła połowy,
Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
I zachwiała się z jękiem — i upadła.
A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
Zaniosłem w namiot i rzuciwszy brzemię
Upadłem przy niej jak martwy na ziemię.
I obudziłem się — na dni czterdzieści...
Przed samą śmiercią, wyznała mi matka,
Że chciała z grobu swojego dzieciątka

Jakiej pamiątki, kamienia lub kwiatka,
Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
I ta po dziecku umarłem pamiątka —
Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
W mogiłce z główki maleńkiemu zdjęte —
Bo biedna matka miała tyle mocy,
Że odkopała dziecko o północy,
Znalazła jeszcze nie zepsutem wcale,
Pocałowała w usteczek korale
I znów włożyła do trupich obsłonek. —
Te upominki i ten pocałunek,
Zazdrosnej ziemi Szecha ukradzione,
Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
Potem wróciłem do płóciennej nory
Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
Ani mnie ludzie widzieli na stepie .
Stałem się jako zdziecinniali starzy;
W pamięci mojej żadnej żywej twarzy.
Tylko te sine i okropne lica,
Które mi wzięła zarazy martwica.
I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
Gadałem z nimi, zmyślałem rozmowy,
W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
I często dziwnym natrafiłem losem
Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
Z obłąkanego budziły mię śnicia
Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
Tam nad trumnami... i słuchałem blady.
Jak nad trupami płaczą trupo-jady.
Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie,
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bolów, pamiątek, omamień,
Stałem się twardy i zimny jak kamień.
I raz... Ach! boska nademną opieka!
Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda;
I ach! nie była to już twarz człowieka,
Lecz głowa mego starego wielbłąda.
Spojrzał — i spojrzał z twarzą tak litośną,
Że rozpłakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
O! gorzka wolność i chwila odlotu!
Jam do ciemnego już przywykł namiotu;

Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
Będę wyrywał koły i powrozy,
Które... (o! Boże wiekuisty, świeć mi!...)
Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
Ach! pomóż ty mi je zerwać, sam jestem!
A może tobie posępnym szelestem
Te płótna więcej boleści powiedzą?
One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
Czy nie są teraz jak męki obrazy!
Patrz na nie, dotknij, nie bój się zarazy,
Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
Lecz nie! uciekaj! ja wiem, że te płótna
Straszne się muszą ludziom obcym zdawać.
Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okrutna!
Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
Potem cię ogień pali, piersi gorą...
Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś, oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
A na nich, patrzaj, osiem juków próżnych,
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga.

(1839)

ANHELLI

STEFANOWI H.[1]

NA PAMIĄTKĘ SPOTKANIA SIĘ W ZIEMI ŚWIĘTEJ
I POD GÓRAMI LIBANU

---

[1] Hołyńskiemu.

ROZDZIAŁ I.

Przyszli wygnańce na ziemię Sybirską i, obrawszy miejsce szerokie, zbudowali dom drewniany, aby zamieszkać razem w zgodzie i w miłości braterskiej; było zaś ich około tysiąca ludzi z różnego stanu.

A rząd dostarczył im niewiast, aby się żenili, albowiem dekret mówił, że posłani są na zaludnienie.

Przez jakiś czas był między nimi wielki porządek i wielki smutek, albowiem nie mogli zapomnieć, że są wygnańcami i że już nie zobaczą ojczyzny; chyba Bóg zechce...

A gdy już zbudowali dom i każdy się zajął swoją pracą, oprócz ludzi, którzy chcieli, aby je nazywano mądrymi i zostawali w bezczynności mówiąc: oto myślimy o zbawieniu ojczyzny, ujrzeli raz wielką gromadę ptaków czarnych, lęcącą z północy.

Za ptakami zaś ukazał się obóz, jakoby i tabor i sanie zaprzężone psami i trzoda renów z gałęzistemi rogami i ludzie na łyżwach niosący oszczepy; był to cały lud Sybirski.

Na czele zaś szedł król ludu, a zarazem ksiądz, ubrany podług zwyczaju w futrach i w koralach, na głowie zaś miał wieniec z wężów nieżywych zamiast korony.

Więc mocarz ów, przybliżywszy się do gromady wygnańców przemówił językiem ich ziemi: Witajcie!

Oto ja znałem ojców waszych także nieszczęśliwych i widziałem, jak żyli bogobojnie i umierali, mówiąc: Ojczyzno! Ojczyzno!

Więc chcę być przyjacielem waszym, i zrobić przymierze między wami a moim ludem, abyście byli w ziemi gościnnej i w kraju dobrze życzących.

A z ojców waszych już nie żyje żaden, oprócz jednego, który jest już stary i mnie sprzyja; a mieszka stąd daleko w samotnej chacie.

Jeżeli chcecie, aby przyjaciel ojców waszych był przewodnikiem waszym, zostanę z wami i lud mój opuszczę; albowiem wy jesteście nieszczęśliwsi.

Mówił jeszcze dłużej starzec ów, i uszanowali go i zaprosili do swojej szopy.

I zrobiono przymierze z ludem Sybirskim, który się rozszedł i zamieszkał w swoich śnieżnych siołach; a król jego został z wygnańcami, aby je pocieszał.

I dziwiono się mądrości jego, mówiąc: oto jej zapewne od ojców naszych nabył, a słowa jego są od przodków naszych.[1]

Nazywano go zaś Szamanem,[2] tak albowiem nazywa lud Sybirski królów i księży swoich, którzy są czarownikami.

ROZDZIAŁ II.

Rozpatrzywszy się Szaman w sercach owej zgrai wygnańców, rzekł sam w sobie: zaprawdę, nie znalazłem tu, czegom szukał, oto serca ich słabe są i dadzą się podbić smutkowi.

Dobrzy byliby z nich ludzie w szczęściu, ale je nędza przemieni w ludzi złych i szkodliwych. Co uczyniłeś, Boże.

Azaż każdemu kwiatowi nie dajesz dokwitać tam, gdzie mu jest ziemia i życie właściwe? dla czegóż ci ludzie mają ginąć?

Wybiorę więc jednego z nich i ukocham go jak syna, a umierając oddam mu ciężar mój, i większy ciężar, niż mogą unieść inni, aby w nim było odkupienie.

I pokażę mu wszystkie nieszczęścia tej ziemi, a potem zostawię samego w ciemności wielkiej z brzemieniem myśli i tęsknot na sercu.

To powiedziawszy, przywołał do siebie młodzieńca imieniem Anhelli i położywszy na nim ręce, wlał w niego miłość serdeczną dla ludzi i litość.

A obróciwszy się do gromady, rzekł: odejdę z tym młodzieńcem, abym mu pokazał wiele rzeczy bolesnych, a wy zostaniecie sami uczyć się, jak znosić głód, nędzę i smutek.

---

[1] Poeta ma tu na myśli Konfederatów Barskich. [2] Szaman, kapłan-mag, nazwa pochodzenia sanskryckiego.

Ale miejcie nadzieję; bo nadzieja przejdzie z was do przyszłych pokoleń i ożywi je; ale jeśli w was umrze, to przyszłe pokolenia będą z ludzi martwych.

A to, o czem pomyślicie, wypełni się i wielka radość będzie na ziemi w on dzień zmartwychwstania.

Lecz wy będziecie w grobach, i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wasze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych odwróci robaki, i ubierze was w umarłych dumną powagę... będziecie piękni.

Tak jak ojcowie wasi, którzy są w grobach; bo spojrzyjcie na każdą czaszkę ich; nie zgrzyta ani cierpi, lecz spokojną jest i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła.

Czuwajcie nad sobą, bo jesteście jak ludzie stojący na podniesieniu; a ci, co przyjdą, widzieć was będą.

Oto powiedziałbym wam tajemnicę, że jednych dusze idą w słońce, a drugich dusze oddalają się od słońca na ciemne gwiazdy, lecz nie zrozumiecie mnie!

Powiedziałbym wam, dla czego żyjecie, i dla czego się rodzą miliony dusz nowych, i na jaki cel dane jest ciało; lecz nie pojmiecie mnie!

Lecz mówię wam, bądźcie spokojni nie o jutro, lecz o dzień, który będzie jutrem śmierci waszej.

A gorsze jest jutro życia, niż jutro śmierci. Choć nie tak myślą ludzie podli i ludzie małego serca.

Rzekły więc do Szamana zgraje: Któż ci dał władzę nauczać o życiu i o śmierci? oto mamy między sobą księży, do nich należy słowo boskie.

Na to im odpowiedział Szaman: słyszeliście o Mojżeszu i o cudach, które czynił? Jam jest Mojżesz między Sybirskim ludem, a cudy czyniłem straszniejsze, niż tamten, co przed wiekami.

A nie wyszedłże z zorzy północnej Anioł, kiedym go wywołał z płomieni? spytajcie ludu mojego.

Na moje słowo ten śnieg stał się krwią, a to słońce szczerniało jak węgiel; wiele bowiem we mnie jest Boga.

Lecz nie kuście mnie o cudy; albowiem jesteście ludem starym, a wskrzesić was cudem jest. Oto proście Boga,

Aby was wskrzesił, mówię, i dobył z mogiły i uczynił was narodem, który drugi raz kładziony jest w kołysce i spowity; by wyrósł prosty i nie skrzywiony na ciele.

Tak mówił Szaman, i nie śmieli mu odpowiedzieć wygnańce; lecz przyrzekli z ludem Sybirskim chować przymierze.

ROZDZIAŁ III.

A oto raz nocą obudził Szaman Anhellego, mówiąc mu: nie śpij, ale chodź ze mną, albowiem są rzeczy ważne na pustyni.

Wdziawszy więc białą szatę, Anhelli udał się za starcem, i szli przy blasku gwiazd.

Niedaleko więc zaszedłszy, ujrzeli obóz cały małych dzieciątek i pacholąt gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu.

A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem.

I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej i podług nowego katechizmu.

I pytał dzieci o rzeczy niegodne, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, albowiem miał u siodła kosze z chlebem i mógł je nakarmić; a były głodne.

Więc obróciwszy się ku Anhellemu, Szaman rzekł: powiedz nie przebrałże miary ten ksiądz, zasiewając złe ziarno i każąc czystość dusz tych maleńkich?

Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka; szczekając rzeczy złe i które są przeciwko wierze.

Powiadając, że Car jest głową wiary i że w nim jest Bóg i że nic nie może rozkazać przeciwko Duchowi świętemu, nakazując nawet rzeczy podobne zbrodniom, albowiem w nim jest Duch święty.

Użyję więc przeciwko temu księdzu ognia niebieskiego, aby go spalić i stracę go w oczach dzieciątek.

A skoro wyrzekł Szaman słowo przekleństwa, zapalił się ów pop na koniu i wyszły mu z piersi płomienie, które się złączyły w powietrzu nad głową.

I przelękniony koń unosić go zaczął po stepie palącego się a potem wzdrygnąwszy się, zrzucił z siebie węgiel siedzący na siodle do ostatka.

A oto na owem próchnie człowieka chodziły skry... jak owe skierki, które są na spalonym papierze, błędne i snujące się w różne strony.

Przybliżywszy się więc Szaman ku dzieciątkom, rzekł: nie lękajcie się; Bóg z wami.

Ogień przestraszył was jak gołąbki śpiące, aleście zasypiały w domie pożaru i ciałka wasze już więdły.

I wyciągały do starca rączki owe dzieciny, krzycząc: staruszku, weź nas z sobą!

I rzekł Szaman: gdzież was zaprowadzę? oto ja idę w drogę śmierci, chcecież, abym was wziął i ukrył pod płaszczem i wysypał was z poły mojej przed Panem Bogiem.

Odpowiedziały mu dzieciątka: weź nas i zaprowadź nas szerokimi gościńcami aż do matek naszych.

I wszystkie krzyczeć zaczęły z wielką dumą: my Polaki, odprowadź nas do ojczyzny i do matek naszych, aż Szaman począł płakać, uśmiechając się...

I nie mógł odejść. bo mu jedna dziecina usnęła na płaszczu, i na pole płaszcza jego, wtenczas gdy rozmawiał.

A przybywszy Kozacy, patrzali w zadumieniu na owe dzieło; i zaczęli odganiać dzieciątka od ludzi obcych, nie śmiejąc jednak bić żadne, pamiętni na ów ogień.

ROZDZIAŁ IV.

I przechodził Szaman z Anhellim pustyni drogami Syberji, gdzie stały turmy.

I widzieli twarze niektórych więźni przez kraty patrzących się na niebo, smutne i blade.

A przy jednej z onych turm spotkali ludzi niosących trumny, i zatrzymał je Szaman, każąc otworzyć.

Więc gdy zdjęto trumien wieka, wzdrygnął się Anhelli, widząc, że umarli byli jeszcze w łańcuchach i rzekł: Szamanie, oto się boję, żeby nie zmartwychwstali ci umęczeni.

Obudź którego z nich, albowiem masz siłę cudów; obudź starca z siwą brodą i z białymi włosami: bo mi się zdaje, żem go znał żywym.

A Szaman, spojrzawszy surowo, rzekł: Cóż więc? Oto go wskrzeszę a ty go znów zabijesz. Zaprawdę, i dwa razy go wskrzeszę i dwa razy od ciebie śmierć weźmie.

Lecz niech będzie, jak żądasz, abyś wiedział, że śmierć nas ochrania od smutków, które już się były w drogę ku nam wybrały a znalazły nas martwymi.

Tak mówiąc, spojrzał Szaman na starca w trumnie i rzekł: wstań! A ciało w łańcuchach podniosło się i usiadło, patrząc się na ludzi, jak człowiek śpiący.

A poznawszy go wtenczas, Anhelli rzekł: witaj, człowieku możny niegdyś w radzie i jeden z najmędrszych.

Cóż więc przywiodło ciebie w więzieniu, abyś się spłaszczył przed władzą i czynił owo wyznanie winy, o czem słyszeliśmy?

Dla czego zaparłeś się serca twojego i przeszłości twojej? czy ci mękami odebrano rozum i pamięć? Cóżeś uczynił!

Zaszkodziłeś nam: albowiem dziś mówią do nas ludzie obcy: oto przewodnicy wasi zapierają się i zmieniają serca dla narodu, a tylko ludzie mali trwają w stałości.

Ta więc stałość małych uporem jest, gdy ludzie pierwsi w narodzie uznają błąd swój, nie spodziewając się nawet przebaczenia.

A gdy to mówił Anhelli, stało się podług słów Szamana, że wskrzeszony ów, jęknąwszy, umarł na nowo.

Rzekł więc Szaman: zabiłeś go, Anhelli, powtarzając ludzkie obmowy i oszczerstwo, o którem nie wiedział przed śmiercią.

Lecz ja go wskrzeszę raz drugi, a ty się strzeż, abyś go powtórnie o śmierć nie przyprawił.

To powiedziawszy, zbudził umarłego, i podniósł się ów człowiek w trumnie, łzy wylewając z otwartych powiek.

I rzekł doń Anhelli: przebacz, bom nie wiedział, że mówię obmowę i oszczerstwo.

Oto widziałem cię w radzie narodu z bratem twoim, i widziałem wasze dwie głowy zawsze razem, a białością podobne dwom gołębiom, które razem zlatują na proso.

Bo zaprawdę, że jak dwaj gołębiowie zlatywaliście na urnę projektów i wyłuszczaliście ziarno praw; a na plewy wasze zlatywali się maleńcy wróblowie, świergocąc o rzeczach mniejszej wagi.

Przebacz mi, że was porównywam ptakom bożym i rzeczom błahym; ale białość wasza i prostota ta każe.

O nieszczęśliwi! Oto jeden na cmentarzu Sybirskim szuka spocznienia, a drugi leży pod różami i cyprysami Sekwany. Biedni gołębiowie i rozłączeni i umarli.

Usłyszawszy owe słowa wskrzeszony, krzyknął: mój brat! i powalił się w trumnie i umarł.

A Szaman rzekł do Anhellego: nacóżeś mu powiedział o śmierci brata? oto chwila, a dowiedziałby się od Boga i spotkałby się z bratem miłym w krainie niebieskiej.

Stało się! Niech zakryją te trumny i zaniosą je na cmentarz A ty nie proś mnie więcej, abym wskrzeszał tych, którzy śpią i odpoczywają.

ROZDZIAŁ V.

I tak odbywali Szaman z Anhellim wędrówkę po ziemi smutnej i po gościńcach pustych i pod szumiącymi lasami Syberji, spotykając ludzi cierpiących i pocieszając ich.

A oto jednego wieczora przechodzili około cichej i stojącej wody, nad którą rosło kilka wierzb lamentujących i mało sosen.

A Szaman, ujrzawszy wyskakujące rybki ku zorzy wieczornej rzekł: oto widzisz tę płotkę, co przeleciała przez powietrze i znów utonęła.

A teraz opowiada siostrom swoim na dnie, że zobaczyła niebo i opowiada o niebie różne rzeczy, i z tego ma sławę między inszymi rybkami.

Słuchając więc powieści o niebiosach, zapłyną do sieci i jutro będą sprzedawane na rynku.

Nie jestże to nauka dla ludzi i dla tych, którzy za ludźmi bo i opowiadającymi o Bogu i o niebiosach wędrują girlandami, a tak dają się ułowić sieciom ludzkim i sprzedawani są.

A chorobą zgubną, mówię, jest melancholja i zamyślenie się zbytnie o rzeczach duszy.

Dwie są bowiem melancholje: jedna jest z mocy, druga ze słabości; pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.

Mówię ci o tem, albowiem poddajesz się smutkowi i tracisz nadzieję.

Tak mówiąc, nadeszli na gromadę Sybirców, którzy łowili ryby w jeziorze. A rybacy owi, spostrzegłszy Szamana, przybiegli ku niemu, mówiąc: Królu nasz! opuściłeś nas dla ludzi obcych i smutni jesteśmy, nie widząc ciebie między nami.

Zostań przez tę noc, a zastawimy wieczerzę i pościelemy ci miejsce w łodzi.

Usiadł więc Szaman na ziemi, a kobiety i dzieci rybaków otoczyły go i zadawały mu różne pytania, na które Szaman odpowiadał z uśmiechem, bo były błahe.

Lecz po wieczerzy, gdy wstał księżyc i rozciągnął swoje światło po gładkiej wodzie, jakoby gościniec złoty ku południowi

Kobiety i dzieci zaczęły gadać smutniej, mówiąc: oto opuściłeś nas i nie robisz więcej cudów między nami.

Więc zaczęliśmy wątpić o rzeczach wiary, i wątpimy nawet czy jest w nas jaka dusza.

Na to Szaman uśmiechnąwszy się, rzekł: chcecież, abym duszę pokazał oczom waszym?

A wszystkie dzieci i kobiety zawołały zgodnie: chcemy! uczyń to!

Obróciwszy się więc Szaman do Anhellego, rzekł: cóż uczynię z tą zgrają kawek? Chceszli, abym ciebie uśpił i, duszę twoją wywoławszy z ciała, pokazał ją tym ludziom.

Anhelli odpowiedział mu: czyń, jak ci się podoba, jestem w twojej mocy.

Przywoławszy więc Szaman jedno dzieciątko z gromady posadził je na piersiach Anhellemu, który się położył jak do snu, i rzekł do owego dzieciątka:

Oto połóż twe rączki na czole tego młodzieńca i zawołaj go trzy razy imieniem Anhelli!

I stało się, że na dziecka wołanie wyszedł z Anhellego duch mający postać piękną i barwy rozmaite i skrzydła białe na ramionach.

A ujrzawszy się wolnym, poszedł ów anioł na wodę i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe.

Gdy więc już był daleko i na środku stawu, rozkazał Szaman owej dziecinie zawołać duszę, aby wróciła.

I obejrzał się duch jasny na wołanie dziecka i powracał leniwo po złotej fali, wlokąc po nich końce skrzydeł obwisłych ze smutku.

A gdy mu rozkazał Szaman wstąpić w ciało człowieka, jęknął jak harfa rozbita i wzdrygnął się; lecz posłuchał.

A zbudziwszy się Anhelli, usiadł i zapytał, co się z nim stało?

Odpowiedzieli mu rybacy: Panie! widzieliśmy duszę twoję i prosimy cię, bądź królem naszym! albowiem nie w takiej jasności ubrani są królowie chińscy, jak dusza, która jest z twego ciała.

A nie widzieliśmy nic jaśniejszego na ziemi oprócz słońca i nic jaśniej migającego oprócz gwiazd, które są różowe i sine.

Skrzydeł takich nie mają łabędzie przelatujące w maju przez ziemię naszą.

A nawet uczuliśmy woń, jakby woń tysiąca kwiatów i zapach konwalji.

Słysząc o tem Anhelli, odwrócił się do Szamana i rzekł: prawdaż ty jest? a Szaman rzekł: prawda, opętanyś jest przez anioła.

Cóż więc, zapytał Anhelli, uczyniła dusza moja, będąc wolną? powiedz, bo nie pamiętam.

Odpowiedział mu Szaman: oto poszła po tym gościńcu złotym, co jest na wodzie od księżyca i uciekała w tamtą stronę jak człowiek, co się spieszy.

A na te słowa spuścił głowę Anhelli i zamyśliwszy się, zaczął płakać, mówiąc: oto chciała powrócić do ojczyzny.

ROZDZIAŁ VI.

Uspokoiwszy więc Szaman płacz w Anhellim, opuścił rybaków i odszedł w pustynie.

A księżyc jeszcze był wysoko, gdy zaszli do chaty starego człowieka, który przywitał Szamana, jak dawnego przyjaciela. Był to jeden z wygnańców Barskich ... ostatni.

Chata jego ocieniona szeroką jabłonią i pełna gniazd gołębich i śpiewająca od świerszczów, ustronna była i spokojna.

I postawił ów starzec przed gośćmi cynowy dzban, chleby i jabłka czerwone, a potem zaczął, jak zwykle, rozmowę o dawnych czasach i o ludziach już umarłych.

Nic wiedział zaś nic, że nowe pokolenie w Polsce i nowi byli rycerze i nowi męczennicy; i nie chciał wiedzieć o tem, będąc człowiekiem przeszłości.

A nie było już w nim żadnej pamięci, ale była pamięć o rzeczach, które mu się zdarzały za młodu; lecz o dniu wczorajszym nie wiedział, i nie myślał o jutrze.

A utrzymywał się z robaczków, które nazywają czerwcem; i z nich płacił podatek Carowi, a był właśnie dzień składania daniny.

Jakoż o godzinie później zajechał przed chatę celnik, i napiwszy się ze dzbana, dopomniał się o rzecz winną.

Stary więc ów człowiek obnażył się ze wszystkiego, aby wystarczył podatkowi i sługę onego zbogacił.

A zabrawszy wszystko, celnik wychodził z chaty, mówiąc: oto masz jabłoń owocami okrytą, muszę z niej wziąć dziesięcinę.

To powiedziawszy, sługom swoim rozkazał trząść drzewo stare i rozrosłe, a Szaman do Anhellego rzekł:

Pójdź i stań przed jabłonią,[1] a nic nie mów do tych, co trzęsą drzewem, aż się moc boska pokaże.

Poszedł więc Anhelli i stanął pod ulewą jabłek czerwonych, jak człowiek spokojny.

A oto jabłoń okryła się wielką jasnością, a owoce na niej stały się gwiazdami i błyszcząc bardzo, nie upadały więcej.

[1] Symbol tradycji.

I gołębie śpiące obudziły się, myśląc, że już jest godzina ranna, i umywszy pióra, wyleciały w powietrze różane.

Więc światłość owa przeraziła celniki tak, że zostawiwszy cały podatek, uciekli w przestrachu i wsiadłszy na wóz, odjechali.

A Szaman, zawoławszy Anhellego, rzekł: chodźmy stąd, albowiem gospodarz pytać nas będzie, jaką władzą to czynimy, a to jest tajemnicą i znaczenie tych gwiazd tajemnicą jest.

Tak mówiąc, otoczył się ciemnością z Anhellim i wyszli.

ROZDZIAŁ VII.

I rzekł Szaman: oto już nie będziemy cudów okazywać, ani mocy bożej, która w nas jest, ale płakać będziemy, bo zaszliśmy do ludzi, którzy nie widzą słońca.

Ani nauk im dawać należy, bo ich więcej nauczyło nieszczęście; ani nadziei im dawać będziemy, bo nie uwierzą. W dekrecie, co je potępił, napisano było: na wieki!...

Oto są kopalnie Sybiru!

Stąpaj, tu ostrożnie, bo ta ziemia brukowana jest ludźmi śpiącymi. Słyszysz? oto oddychają głośno, a niektórzy z nich jęczą i gadają przez sen.

Jeden o matce swojej, drugi o siostrach i braciach, a trzeci o domie swoim i o tej, którą miłował sercem, i o łanach, gdzie mu się zborze kłaniało jak panu swemu, i szczęśliwi są teraz przez sen... lecz się obudzą.

W innych kopalniach wyją zbrodniarze, lecz ta jest tylko grobem synów ojczyzny i pełna cichości.

Łańcuch, co tu szczęka, smutny ma głos, a w sklepieniu są różne echa, i jedno echo, które mówi: żałuję was.

Gdy się litował Szaman, weszli strażnicy i żołnierze z lampami budzić śpiące do pracy.

Powstali więc wszyscy z ziemi i rozbudzili się, i szli jak owce ze spuszczonemi głowami, oprócz jednego, który nie wstał, bo był umarł we śnie.

Więc przystąpiwszy Anhelli do tych, co szli na pracę z młotami, zapytał jednego z nich cichym głosem: kto był ten umarły i z jakiej choroby skończył.

Na to mu odpowiedział [1] człowiek blady i aresztant... Ten, o którego pytasz, księdzem był, ja go znałem; spowiadał żonę moję i dzieci w ojczyźnie.

A gdy przyszła wojna, siadł na koń z krzyżem w ręku i z bosemi nogami; a gdy był ogień, przed szeregami stał, krzycząc: za ojczyznę!... za ojczyznę!

I przywołał go biskup i wydał katom w ręce, ale wprzódy zdjął z niego poświęcenie na rynku miejskim i wypuścił z rąk pastorał i omdlał.

A katy pochwycili człowieka bożego i wepchnęli go w ciasną siermięgę, a potem go w niej zamknęli z trudnością, bo był otyły ten człowiek, i stał bez ruchu jak rzecz martwa.

Więc przywieziono go do kopalni, udawał, że mu jest dobrze na sercu; alem ja widział, że był blady i smutny.

I poddał się rozpaczy i sechł jak stare drzewo. A przystąpiwszy raz do niego, rzekłem: bój się Boga! dlaczego się gryziesz?

I rzekł mi z wielką tajemnicą, jak człowiek obłąkany: zapomniałem wyrazów pacierza... i pogroziwszy mi palcem, abym był cicho, odszedł.

I zobaczyłem go raz, że brał w ciemności ołów zgniły i truciznę owę pożywał.

A po kilku dniach rumieniec ceglany wyszedł mu na twarz, a ciało opadło na kościach, jak zmoczone płótno namiotu, oczy zaś miał błyszczące.

A dziś nie wiem, jak umarł, bo oto spałem przy nim a nie słyszałem, aby choć westchnął...

A jeżeli macie serce, żałujcie go, bo go znam, był człowiek uczciwy.

Więc Anhelli odwróciwszy się do Szamana, rzekł: to samobójca!

Lecz Szaman zasłonił oczy i podniósłszy kawałek ołowiu z ziemi, rzekł: ten ołów zabójcą jest i doradcą złym, bo mówił: weź mię i zjedz, jam jest końcem i spokojnością.

Ten ołów oszukańcem jest, bo się udał przed człowiekiem za Boga, który sam tylko cierpienie kończy na wieki i serce uspokaja.

[1] Ob. załącz. urywek listu poety.

A przeklęty, kto przed najmniejszym wichrem pada na ziemię i łamie się ! !... podobny strzaskanej kolumnie.

Lecz przed wichry silnymi wam padać wolno... będziecie żałowani.

Cóż więc! odmówią wam poświęconego cmentarza? kto wie, jaki jest sen w niepoświęconej mogile?

Wszakże lepiej jest umierać w gromadce dzieci i wnucząt, które płaczą, i patrzeć na rozwijanie się drzew wiosenych, i mieć godzinę cichą.

Gdy tak mówił Szaman, otoczyli go kołem nędzarze i rzekli: dobrze nauczasz, jesteś człowiekiem z serca, a może przysłanym od Boga.

Więc oto wiedz, że przed pięcią dniami upadła skała i zawaliła jeden z korytarzów, gdzie pracował człowiek pewny stary z pięcią synami, a strażnicy nie chcą jej rozwalić prochem, mówiąc: to długa praca, niech umrze.

A my stajemy co dnia przy owej skale słuchać, czy jeszcze żyją, lecz nie słychać nic w tej jaskini, nawet jęku.

Jeżeliś jest człowiek boży, odwal kamień, może jeszcze żyje ojciec lub które z dzieci jego.

Spraw przynajmniej zadziwienie katom naszym, uwolniwszy tych ludzi, albowiem pomrą z głodu.

Przyprowadzili więc Szamana ku owej skale i stało się wielkie milczenie, a Szaman, podniósłszy oczy w górę, modlił się.

I przyszedł wiatr podziemny i wywrócił skałę, tak, że otworzyła się czeluść ciemna i głęboka, a żaden w nią nie śmiał wstąpić najpierwszy.

Więc Szaman wziąwszy kaganiec, wszedł do lochu po rozwalonych kamieniach, a za nim Anhelli i więźnowie.

I okropny ujrzeli widok! Oto na ciele najmłodszego syna leżał ojciec, jak pies, co położy łapy na kości i gniewny jest.

A oczy tego ojca otwarte błyszczały jak szkło, a czworo innych umarłych leżało w bliskości, leżąc jedni na drugich.

I spojrzawszy na nie Szaman, rzekł: : co uczyniłem? Oto ojciec żyje a synowie pomarli już. Dla czegożem się modlił!

Tak mówiąc, wyszedł z lochu, a połowa zgrai szła za nim.

ROZDZIAŁ VIII.

A przechodząc dalej, ujrzeli wiele ludzi bladych i umęczonych, których imiona wiadome są w ojczyźnie.

I przyszli nad jezioro podziemne, i postępowali brzegami ciemnej wody, która się nie ruszała, a złota była gdzie niegdzie od światła kagańców.

I rzekł Szaman: jest że to morze Genezaretańskie Polaków? A ci ludzie sąż rybakami nieszczęścia?

Jeden więc z tych, którzy siedzieli smutni nad brzegami czarnej wody z twarzą zadumaną odpowiedział: pozwalają nam odpoczywać, albowiem dziś są imieniny królewskie i dzień wytchnienia.

Więc usiadamy tu nad ciemną wodą dumać i rozmyślać i odpoczywać; bo serca nasze są strudzone gorzej niż ciała.

A oto utraciliśmy niedawno naszego proroka, którego ta skała była miejscem ulubionem i te wody miłymi mu były.

Człowiek to był blady, z błękitnymi oczyma, wychudły i pełny ognia.

A oto przed siedmiu laty ogarnął go pewnej nocy duch proroctwa, i uczuł wstrzęśnienie, które było w ojczyźnie i rozpowiadał nam przez noc całą to, co widział, śmiejąc się i płacząc.

A dopiero o poranku zasmucił się i krzyknął: oto zmartwychwstali, lecz nie mogą odwalić mogiły! i to powiedziawszy, upadł martwy. A myśmy tu postawili jemu ten krzyż drewniany.

A we dwa lata później, powiedzieli nam nowi wygnańcy, co się stało, i policzywszy noce, poznaliśmy, że ów prorok nam prawdę mówił; więc chcieliśmy go uczcić, lecz już był w ziemi.

Szanujemy więc ten krzyż, nie mówiąc więcej: oto człowiek, który leży pod nim, był warjatem i obłąkanym i godnym śmiechu. Cóż mówicie na to?...

A obróciwszy się Szaman ku Anhellemu, rzekł: czemuś się tak zamyślił nad tą czarną wodą, co z łez jest ludzkich? czy o tym proroku dumasz, czy o sobie?

Gdy mówił, rozeszło się się wielkie echo od wybuchu miny, i powtarzało się nad głowami, bijąc jak dzwon podziemny.

I rzekł Szaman: oto jest dzwonienie po umarłym proroku! Oto jest Anioł pański dla tych, którzy nie widzą słońca. Módlmy się.

I podniósłszy oczy, rzekł: Boże! Boże! prosimy Cię, aby nasza męka była odkupieniem.

A nie będziemy Cię już błagać, abyś powrócił słońce oczom naszym, i powietrze piersiom naszym, bo wiemy, że Twój sąd nad nami jest zapadły... lecz nowonarodzeni niewinnymi są. Zlituj się, Boże!

A przebacz nam, że ze smutkiem krzyż dźwigamy i nie weselimy się jak męczennicy; bo nie powiedziałeś, czy męka nasza policzoną nam będzie za ofiarę: lecz powiedz, a rozweselimy się.

Bo cóż jest życie, aby go żałować? czy to jest Anioł dobry, który nas opuszcza w godzinie śmierci?

Gorąco krwi jest ogniem ofiary, a ofiarą są chęci nasze. Szczęśliwi, którzy się mogą za lud poświęcić.

I rzekli na to nędzarze; oto prawdę mówi ten człowiek; albowiem nieszczęśliwszą jest od nas ta niewiasta, która tu za mężem przybyła i cierpi za serce człowieka.

Chodźcie a pokażemy wam tę wilgotną jamę, gdzie żyje ta męczennica z małżonkiem swoim.

Wielką panią i księżną była, a dziś jest jako służebnica żebraka.

A niegodzien jest litości ten, którego ona ukochała; albowiem, klęknąwszy przed cesarzem, błagał o życie, i dano mu je, pogardziwszy nim.

Tak mówiąc, przyszli pod ścianę i przez kratę ujrzeli owych dwoje małżonków.

Niewiasta klęczała przed mężem i w misie wody obmywała jego nogi; powracał bowiem z pracy jak wyrobnik.

A woda w misie zaczerwieniła się krwią jego i niewiasta nie brzydziła się mężem i krwią, a była młoda i piękna jak Anieli niebiescy.

Tych dwoje ludzi byli cesarscy.

ROZDZIAŁ IX.

A gdy już miał Szaman wychodzić z Anhellim na gwiazdy, pocieszywszy niektóre więźnie, usłyszał szczęk wielki w jednym z korytarzów.

Więc obróciwszy się do jednego z tych, co szli za nim, spytał go: coby to było, ów szczęk żelaza i bicie? a zaś aresztant odpowiedział: karzą jednego z nas.

Zapewne starca, który wczoraj nie chciał pracować dla święta boskiego, pędzą przez łańcuchy.

A udawszy się na miejsce męki Szaman z Anhellim, ujrzeli w korytarzu dwa szeregi ludzi stojących z łańcuchami w ręku, każdy w postawie człowieka, co się zamierza uderzyć.

I ujrzeli postępujących naprzód dwóch żołnierzy z lampami, a we środku za nimi obnażonego po pas człowieka z brodą siwą.

A za każdym krokiem, gdy się przybliżał, słychać było uderzenie łańcucha, i szczęk drugi wychodzący z chudej piersi bitego starca.

Gdy zaś już był u końca kary, i zostawało mu zaledwie dziesięć kroków lub mało więcej, usłyszał Anhelli dwa uderzenia słabsze jakoby dane przez ludzi litosnych.

Lecz starzec, odebrawszy je, upadł krzyżem na ziemi i był martwy.

Więc owi dwaj młodzieńcy, którzy go uderzyli litośnie, padli mu na ramiona . położyli się na trupie, wołając jeden i drugi: mój ojcze!...

I odwrócił się Szaman, a spojrzawszy na Anhellego, nakrył mu głowę połą szaty swojej.

I kazał się wynieść duchom niebieskim, a otworzywszy oczy, Anhelli zobaczył śnieg i gwiazdy.

I przekonany był, że widzenie kopalni snem było, albowiem nie wiedział, jak z nich wyszedł.

ROZDZIAŁ X.

A oto wygnańcy owi w szopie śniegowej, w niebytności Szamana, kłócić się zaczęli pomiędzy sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir,[1] który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lachem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę,[2] który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i z cyganami.

A trzecia na czele swojem miała księdza Bonifata,[3] który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy.

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrażając się, że u pierwszych dowie się jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z tych, co był z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć.

I rzekł do nich ów doradca: oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie rycerzy; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięstwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli i być ukrzyżowanymi, jako Chrystus Pan przed wiekami.

Postawiono więc trzy krzyże z najwyższego jakie było w tym kraju drzewa, i wystąpili trzej męczennicy po jednemu z każdej gromady; wszakże nie wybrani losem, lecz z własnej woli. Nie byli to gromad wodzowie, lecz jedni z najmniejszych.

Kiedy więc cieśle postawili krzyże na wysokiem wzgórzu śniegowem, odezwał się głos z nieba jakoby wicher, pytając: co czynicie? lecz go ci ludzie nie przelękli się.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami, a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten co był z lewej, krzyczał: krew! wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

---

[1], [2], [3], Aluzje do prądów na emigracji; zwolenników Czartoryskiego, demokratów i mistyków.

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami, czekając, co się stanie, i tak je noc zastała na śniegu, a była wielka ciemność i okropne milczenie.

Aż o północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy, i ogniste wystrzeliły z niej miecze a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtenczas strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: źle czynimy! godziż się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: chcecie, a zdejmiemy was? lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi.

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali ż wędrówki podziemnej i zadziwili się, postrzegłszy na ognistych niebiosach trzy czarne krzyże, i rzekli z przestrachem: co się stało?

A przyszedłszy bliżej, strwożyli się, widząc na krzyżach ciała trupów, i poznali w nich swoje znajome; więc Szaman usiadłszy pod krzyżami płakał...

A powstawszy, rzekł do Anhellego: oto mi Duch boży oznajmił winę tego ludu, i wiem, dlaczego tych ludzi ukrzyżowano; lecz ażeby ciała ich nie ucierpiały jakiej nowej sromoty, zdejmiemy je i zaniesiemy na cmentarz.

Niech mają spoczynek w ziemi, albowiem w dobrej wierze na śmierć się wydali, i nie będzie im to na potępienie, ale na zagładę grzechów. Krzyż je oczyścił.

Tak mówiąc, zdejmowali owe zmarzłe i skościałe na krzyżu, i przenosili je na dawne grobowisko wygnańców.

ROZDZIAŁ XI.

A gdy się zbliżali ku cmentarzowi, Anhelli usłyszał hymn skarżących się mogił, i jakoby skargę popiołów na Boga.

Lecz skoro się jęki podniosły, Anioł siedzący na szczycie wzgórza skinął skrzydłami i uciszył je.

I trzy razy to uczynił, albowiem po trzykroć rozpłakały się mogiły.

I zapytał się Anhelli Szamana... co to za Anioł z białymi skrzydłami i ze smutną gwiazdą na włosach, przed którym uciechają grobowce?

Lecz nic mu nie odpowiedział starzec: zasypywał bowiem śniegiem ciała umarłych i był zatrudniony.

A przybliżywszy się Anhelli ku owemu Aniołowi, spojrzał na niego i upadł jak człowiek martwy.

Skończywszy więc Szaman grzebanie umarłych, szukał go oczyma i nie widząc nigdzie, szedł na wzgórze.

A natrafiwszy ciało Anhellego, spotknął się na niem, krzyknął boleśnie; ale poznawszy, że młodzieniec żyje, ucieszył się.

Wziął go zatem za rękę i rzekł: wstań! nie jest jeszcze czas spoczynku.

A powstawszy, Anhelli oglądał się wokoło i spuścił przed Szamanem głowę jak człowiek, co się wstydzi, mówiąc:

Otom zobaczył Anioła, podobnego tej niewieście, którą kochałem z całej duszy mojej, będąc jeszcze dzieckiem.

A miłowałem ją w czystości serca mego; dlatego łzy mię zalewają, kiedy myślę o niej i o mojej młodości.

Bo oto byłem przy niej jak ptak swojski, co się boi, i nie wziąłem nawet pocałowania od jej ust koralowych, choć byłem blisko, jak gołąb, mówię, siedzący na ramieniu dziewczyny.

Dziś już to snem jest. Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie: sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?

Dlaczegoż nie powstanie wicher, co mię z ziemi zwieje i zaniesie w krainę cichą! dlaczego ja żyję?

Oto już jednego włosa niema na mojej głowie z tych, które były dawniej, oto się nawet kości we mnie odnowiły, a ja zawsze pamiętam.

A niema jednej kawki w powietrzu, któraby nie spała przez jednę noc życia w spokojnem gnieździe. Lecz o mnie Bóg zapomniał. Chciałbym umrzeć.

Bo zdaje mi się, że gdy będę umarłym, to sam Bóg pożałuje tego, co ze mną uczynił, myśląc: że oto już nie narodzę się raz drugi.

Wszak rodzić się nie jest to, co zmartwychwstać; trumna nas odda, lecz nie spojrzy na nas jak matka.

Oto mi więc smutno, że ujrzałem tego Anioła, i wolałbym był wczoraj umrzeć.

A Szaman, zapatrzywszy się w gwiazdy, rzekł: zaprawdę, że jak dawniej wiele było opętanych przez czarty, tak dziś wielu jest opętanych przez czyste Anioły.

Cóż zrobię! Oto wypędzę wszystkie te duchy z ciał i pozwolę, aby weszły w lilije wodne, i rozleciały się po gwiazdach różanych, i zamieszkały w tem, co jest najpiękniejszego, a opuściły ludzi.

A wieszli kto to jest ten Anioł smutny na cmentarzu? Oto się zowie Eloe,[1] a urodził się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która wylana była nad narodami.

Gdzieindziej napisano jest o Anielicy tej i wnuczce Marji Panny... jak zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność.

A teraz jest wygnaną, jak wy jesteście wygnani, i ukochała mogiły wasze i piastunką jest grobowców, mówiąc kościom: nie skarżcie się, lecz śpijcie!

Ona odpędza reny, kiedy przyjdą mech wyciągać z pod głowy trupów, ona jest pasterką renów.

Przywyknij do niej za życia, albowiem będzie na mogile twojej stąpać przy blasku księżyca; przywyknij do głosu jej, abyś się nie obudził, gdy mówić będzie.

Zaprawdę, że dla tych, co są smutni, ta kraina piękną jest i niebezludną; albowiem tu śnieg nie plami skrzydeł anielskich, a gwiazdy te są piękne.

Tu przylatują mewy i gnieżdżą się i kochają się, nie myśląc, że jest jaka piękniejsza ojczyzna.

Tak mówił i podniósł jednę z czaszek tych, które leżały odkryte; a w niej było rodzeństwo małych ptasząt.

[1] Postać przejęta z poematu Alfreda de Vigny, tu, symbol litości.

I wyciągały główki przez miejsce, gdzie były oczy ludzkie, i pełna była płaczącej troski kość śpiącego człowieka.

A wziąwszy ją, rozgniewany Anhelli rzucił o ziemię, mówiąc: precz, kościele shańbiony.

A płomień z ziemi wyszedłszy, stanął przed nim w kształcie jakoby ludzkim, i w ubraniu biskupim z infułą i z krzyżem na głowie, a wszystko ogniste.

I rzekł z wielką zgrozą: oto przyszliście ruszać umarłe; czyż nie dosyć trupom wichry mieć nad sobą i zapomnienie?

Ręce moje łamały hostję, a teraz je wyciągnę nad wami i przeklnę, mówiąc: bądźcie przeklęci, burzyciele grobów.

Azaż nie dosyć wycierpiałem na moim tronie, i na biskupim oparty pastorale, modląc się za kraj, który miał ginąć jak człowiek potępiony.

Kiedy Kimbar [1] wywołał Sybir i postawił go przed obliczem sejmu bladego, mówiąc: oto jest krzyż.

Nie poszedłemże na wygnanie jak człowiek czysty? któż mi co zarzuci i grobowi mojemu? Oto umarłem i zapomniano o mnie; czegoż więcej chcecie od ludzi, co umarli?

Widzicie tę białą ziemię, jam tu mieszkał; widzicie kości te, ja żyłem z nimi.

A to jest moja kość, ta kość spróchniała. Ludzie ją niegdyś szanowali, a dawniej jeszcze całowała ją matka moja, a dzisiaj mewa w tej czaszce uwiła gniazdo i mieszka; dajcie wy pokój białemu ptakowi Boga.

Ja znałem matkę jego matki, gdzież jest? gdzie są gile, które przylatywały ubierać róż girlandami suche drzewa Syberji, abym sobie przypomniał jabłonie sadów moich w ziemi ojczystej.

Tak skarżył się; i przepraszał go Anhelli za obelgę kości jego, mówiąc: oto ja wkrótce przyjdę położyć się z wami, nie klnij mnie.

Myślałem, że się smucisz za wzgardę kości twojej... jestże to świątynia pełna ptasiego wrzasku? lecz niech tak będzie, jak się Bogu podobało.

A nie powiem ci, co się stało z nazwiskiem rodu twojego bo nie mógłbyś zasnąć, choć jesteś umarłym, i poszedłbyś, jęcząc po świecie.

[1] Ob. załącz. urywek listu poety.

A teraz przestań być latarnią grobu własnego i zrzuć ogniste szaty i rozbierz się z płomieni.

Gdy to mówił, utopił się duch w śniegu i stało się ciemno, gdy zgasnął.

Więc pobiegł za nim Anhelli, wołając: powiedz mi nazwiska tych ludzi, którzy tu spoczywają przy tobie.

Skoro to wyrzekł, usłyszał z pod ziemi jakoby głosem tym co był w ogniu, wychodzący długi szereg imion już zapomnianych.

I obudził Anhellego Szaman, mówiąc: wróćmy do ludzi, grobowce bowiem powiedziały nam swoje tajemnice.

I zeszli ze wzgórza mogił, modląc się.

ROZDZIAŁ XII.

A gdy przyszli pod dom wygnańców, usłyszeli zgiełk wielki, i śmiech, i wrzaski, i szczękanie kielichów, i brudne pieśni; a stanąwszy Szaman pod oknami, słuchał, nim wszedł do tej jaskini nieszczęścia.

A gdy się ukazał pośród zgrai, ucichła; poznano bowiem człowieka silnego w Bogu, i nie śmiano mu się urągać.

A podniósłszy Szaman oczy błyszczące, zaczął mówić, zapalając się w smutku.

Cóżeście uczynili, rzekł, bezemnie? widziałem waszą Golgotę. Biada wam!

A nie zostanę z wami, lecz to, co powiem zostanie z wami. Bądźcie potępieni, kłótliwi ludzie.

Wichry rozsiewają dębu nasiona i roznoszą je po ziemi, lecz wichry te będą przeklęte, co wasze mowy i rady do ojczyzny zaniosą. Pomrzecie.

Zbliża się wielki dzień, a żaden nie dożyje wieczora dnia tego. Zbliża się dzień sybirski i słońce zatracenia.

Dla czegożeście nie słuchali rad moich i nie żyli spokojnie w zgodzie i miłości braterskiej, jak przystoi na ludzi, którzy nie mają ojczyzny?

Oto obraziliście ludy tej ziemi, i z oszczepami stoją, czyhając na was; psy ich nawet czyhają, aby z was którego rozedrzeć,

Spotkałże z was kto kiedy Ostjaka i obszedł się z nim łagodnie i po ludzku? Zaprawdę, koło psa nie przeszedł żaden, nie uderzywszy go nogą jak węża. O ludzie bez pamięci i serca!

Więc wstanie słońce i dzień przyniesie straszniejszy niż ciemność, a ciszę okropniejszą, niż są burze na morzu, bo będziecie się lękać sami siebie.

A śnieg ten stanie się morzem, a fala jego zieloną będzie, a dom wasz ginącym będzie okrętem.

Wyostrzcie wasze topory, bo potrzebne wam będą; a kto z was umie zabijać, jest człowiek pożyteczny.

Zbliża się wielkanoc i krzyż czerwony napiszecie na waszych wrotach, lecz jaką krwią? Zaprawdę, nie krwią baranka.

Gdy to mówił Szaman, niektórzy się przelękli, lecz jeden z pijanych chwyciwszy za dzban gliniany, rzucił go na proroka i włos mu krwią poczerwienił.

Ująwszy więc za topór, Anhelli chciał się zemścić, ale go zatrzymał Szaman, mówiąc: bądź cierpliwy.

Kto tu za rok powróci, będzie płakał nad nimi; dlaczegoż brać zemstę z tych, którzy jutro będą rzeczą godną litości.

Boże! nie karz ich.

Tak mówił, a jeden ze zgrai zawołał: czarowniku! urzekłeś nas, oto dzban był pełny i wysechł.

A inni, zajrzawszy w dzbany, potwierdzili to zgodnie, mówiąc: odczaruj nas, albo cię ukarzemy śmiercią.

I stał się wielki wrzask, i groźne podniosły się przeklinania; a jeden, wziąwszy nóż, wraził go w piersi Szamana, mówiąc: oczarowałeś nas.

Upadł starzec na ręce Anhellego, a ten go wyniósł z chaty, i pomogła mu młoda niewiasta Ellenai, która kiedyś była zbrodniarką.

A gdy wyszli na miejsce oświecone gwiazdami, przemówił starzec: nieście mnie blisko grobowców, bo już zasnę.

Położyli go więc na jednej z mogił, i zimno śniegu ożywiło go, a kobieta owinęła nogi jego włosami i trzymała je na łonie.

I otworzywszy oczy, starzec zawołał po trzykroć: Anhelli! Anhelli! Anhelli! a głos jego był smutny.

I rzekł mu: weź reny moje i pójdź na północ, znajdziesz mieszkanie w śniegu i spokojność. A będziesz żył mlekiem renów.

Weź z sobą tę niewiastę, i niech ci ona będzie siostrą; ona mię ukochała w godzinę śmierci, więc nie chcę, aby zginęła jak tamci.

Cóż ci mówić będę! Oto śmierć będzie mówić za mnie i wyręczy mnie. Ja cię kochałem.

Boś czysty był jak lilija, biorąca z wody liście i kolory niewinne, boś mi był jak syn dobry.

Nie smuć się aż do śmierci po zgonie ojczyzny twojej... Ani płacz, myśląc, że jej nie zobaczysz; wszystko jest snem smutnym.

Gdy tak mówił, usłyszał Anhelli stąpanie po śniegu i rzekł: ktoś nadchodzi, czy to śmierć stąpa głośno?

Lecz był to ren, który stanąwszy nad umierającym panem, zadziwione oczy napełnił wielkimi łzami; i odwrócił się od niego Szaman, płacząc.

A po chwili, przystąpiwszy doń Anhelli, wziął go za rękę i poczuł, że była martwa.

Więc pochował starca w śniegu, i obróciwszy się do niewiasty, rzekł: chceszli mnie wziąć za brata? chodź ze mną. A ta mu do nóg upadła, mówiąc: Aniele mój.

Podniósł ją z ziemi Anhelli, i udali się oboje na północ, a za nimi szli renowie Szamana, wiedząc, że za nowymi idą panami.

A zaś Anhelli milczał, bo miał serce pełne łez i boleści.

ROZDZIAŁ XIII.

Odeszli więc Anhelli z ową niewiastą i z renami Szamana, na daleką pustynię północną, a znalazłszy pustą chatę w lodzie wykutą, zamieszkali w niej.

A po krótkiem pożyciu, Anhelli przyzwyczajał się nazywać siostry imieniem zbrodniarkę tę i pokutnicę.

Ona mu była sługą i uścielała łoże liściami i doiła reny wieczorem, a rano wypędzała je na paszę.

Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i wypiękniało na niej ciało.

Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu; a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubrała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma.

I dziwił się Anhelli, że była spokojną o przyszłość, popełniwszy niegdyś zbrodnię wielką, a nawet krwią mając zmazane ręce.

I dziwił się, że skarga jej była maleńką i skarżącą się jak płacz niewinnej dzieciny, kiedy zazdrościła ptakom skrzydeł niebieskich, widząc, jak rybitwy białe wędrują ku słońcu złotemu i toną w promieniach.

A lękała się zmazać słowami nieczystymi, mówiąc: oto nas dwoje na ogromnej pustyni, więc nas Bóg pewnie słucha i na nas patrzy; a jeśli o rzeczy dobre prosić go będziemy, to nie opuści nas.

Przyszedł więc dzień sybirski, a słońce nie zachodziło, lecz biegało niebem, jak koń w zawodzie z płomienistą grzywą i z białem czołem.

Straszliwe światło nie kończyło się nigdy, a huk lodów był jakoby głos boży, odzywający się na wyskościach do ludzi nędznych i opuszczonych.

A długi smutek i tęsknoty przyprawiły o śmierć ową wygnankę, i położyła się na łożu liściane pomiędzy renami swoimi, aby umrzeć.

A był zachód słońca; albowiem od niejakiego czasu zaczęły się noce w ziemi sybirskiej i słońce coraz dłużej zostawało pod ziemią.

Obróciwszy więc ku Anhellemu szafirowe oczy, zalane łzami wielkimi, rzekła Ellenai: umiłowałam ciebie, bracie mój, i opuszczam.

A powiedziawszy, gdzie ją miał pochować, że pod sosną, która była w smutnym parowie, leżeć pragnie, rzekła: czemże ja będę po śmierci?

Oto chciałabym być jaką rzeczą żyjącą przy tobie, Anhelli, pajączkiem nawet, który jest miły więźniowi i schodzi jeść z jego ręki po złotym promyku słonecznym.

Jam się przywiązała do ciebie jak siostra i jak matka twoja, i więcej jeszcze... Ale grobowiec wszystko kończy...

Nie zapominaj o mnie, bo któż o mnie będzie pamiętał po śmierci, chyba ren, któregom doiła, zalewając się łzami.

Jeżeli wiesz, gdzie ludzie idą po śmierci, to mi powiedz, bo niespokojna jestem, choć mam nadzieję w Bogu.

Oto ja polecę do krainy twojej rodzinnej i obaczę dom twój, sługi twoje i rodzice twoje, jeżeli jeszcze żyją.

I nawet miejsce to, gdzie stało twoje łóżeczko dziecinne, mała niegdyś kołyska twoja.

Ty powiesz, że to są myśli gminne, że człowiek po śmierci nie lata... Cóż! kiedy z taką myślą śmierć piękniejsza.

A oto patrzaj, nad łożem mojem ta szyba lodu słońcem czerwona, z dwoma skrzydłami promieni: nie jest że to Anioł złoty stojący nademną?

Reny wyciągają mech z pod mojej pościeli i skubią łoże śmierci, jedząc... Biedne reny moje, żegnam was.

A teraz podniosę oczy do Królowej Niebieskiej i będę się modliła do Niej.

Zaczęła więc tu umierająca mówić litanje do Matki Chrystusowej, i właśnie wymówiwszy: *Różo złota!* skonała.

I na znak cudu, upadła róża żywa na białe piersi umarłej, i leżała na nich, a w jamie rozeszła się od niej woń różana i mocna.

Nie śmiał więc Anhelli ruszyć ciała umarłej, ani złożyć rąk, które były wyciągnięte, lecz usiadłszy na końcu łoża, płakał.

A oto jakoby o północy stał się wielki szelest, i myślał Anhelli, że reny szeleszczą, wyjadając mech z pod łoża śmierci; lecz inna była przyczyna.

Chmura jakoby duchów ciemnych zatrzymała się nad jamą, śmiejąc się głośno, a ciemne twarze pokazały się przez rozszczepione lodu sklepienie i krzyczały: nasza jest!

Lecz róża owa cudowna, dostawszy skrzydeł gołębich, podleciała w górę, i spojrzała na nie oczyma niewinnego Aniołka.

Ciemne więc owe duchy i chmura ich wzniosła się z dachu, krzycząc w ciemnem powietrzu smutne przeklinania, i stała się znów cichość, jaka przystoi w miejscu, gdzie trup spoczywa.

We trzy zaś godziny po północy usłyszał Anhelli stukanie do drzwi, które były z lodu, i odwaliwszy bryłę, wyszedł na księżyc.

I zobaczył owego Anioła, który mu był przypomniał miłość dla niewiasty i pierwszą jego miłość na ziemi; więc spuściwszy przed nim głowę, stał cicho.

I rzekła do niego Eloe: wynieść mi tu umarłą twoję siostrę, ja wezmę ją i pochowam litośnie; moją jest.

Odszedłszy więc Anhelli do jamy, wziął na ręce trupa, wyniósł i położył go na śniegu przed Aniołem.

A Eloe, uklęknąwszy nad śpiącą, podłożyła pod nią z obojej strony końce skrzydeł łabędzich i zawiązała je pod umarłą.

I z pełnymi trupa skrzydłami, wstawszy na księżyc, odeszła.

Wrócił więc Anhelli do jamy pustej, i spojrzawszy na ściany, zajęczał, bo już jej nie było.

ROZDZIAŁ XIV.

Około więc onego czasu, gdy ziemia zaczyna się od słońca odwracać i zasypia w ciemnościach.

Zawołał Jehowa dwa odwieczne Cherubiny przed tron swój, i rzekł: idźcie na równinę Syberji.

A patrząc w światło boże, zrozumieli Aniołowie, jaka była wola Pana, i zeszli w krainę mglistą, ukrywszy w sobie światłość.

I przyszli na miejsce, gdzie była posieleńców szopa, lecz nie znaleźli śladu jej, wicher ją był bowiem powalił.

A z owych tysiąca zostało jakoby dziesięciu ludzi bladych i strasznych z postaci.

A przybliżywszy się, Aniołowie ujrzeli ich przy stosie wielkim z drzewa, na którym leżał trup człowieczy.

I wzdrygnąwszy się, rzekli: ludzie, co czynicie? Azaż to jest ofiara bogom piekielnym.

Odpowiedział im na to człowiek najstarszy: Zaprawdę, że ofiarą naszą jest trup, a bogiem, który go przyjmie, jest głód.

Zrobiliśmy rzecz równą z naszego społeczeństwa, a rządzi nami los, nie zaś żaden pan ziemski, ani króle.

A cóż więc mieliśmy czynić z wnętrznościami naszymi i z gniazdem węży, które nam gryzło wnętrzności.

Czy Bóg pamiętał o nas? i dał nam umrzeć w ojczyźnie i w ziemi, gdzieśmy się urodzili?

Nie! Uczynił nas ludem Kaimów i ludem Samojedów. Przeklęty!

Tak mówił ów człowiek i ocierał usta, na których była krew świeża! A na to zaś Anieli:

Nawróćcie się, rzekli: i proście Boga! albowiem pokażemy wam znak jego gniewu ten sam, który był niegdyś znakiem przebaczenia.

I roześmieli się głośno ci ludzie, nie wiedząc, że z Aniołami rozmawiali, i rzekli: jakiż jest znak?

A wyciągnąwszy rękę, Anieli pokazali na wielką tęczę, która przebiegła i położyła się na połowicy chmurnych niebios, mówiąc: Ot ten jest.

I straszliwe przerażenie zdjęło te ludojady na widok rzeczy tak pięknej i błyszczącej, której Bóg użył na znak swego rozgniewania.

A usta ich były otwarte, a języki czarne jak węgiel, a oczy ich, jakoby szklane, nie odwracały się od niebieskich kolorów

I w zadziwieniu wyrzekli imię Chrystusa i poupadali martwi.

ROZDZIAŁ XV.

Tego samego dnia, przed wschodem słońca, siedział Anhelli na bryle lodu, na miejscu pustem, i ujrzał zbliżających się ku sobie dwóch młodzieńców.

Po wietrze lekkim, który szedł od nich, poczuł, że byli od Boga, i czekał, co mu zwiastować będą, spodziewając się, że śmierć,

A gdy go pozdrowili jak ziemscy ludzie, rzekł: poznałem was, nie kryjcie się; Aniołami jesteście.

Przychodzicie li pocieszyć mnie? Czy sprzeczać się ze smutkiem, który się nauczył w samotności milczenia?

I rzekli mu ci młodzieńcy: oto przyszliśmy ci zwiastować, że dzisiejsze słońce wstanie jeszcze, lecz jutrzejsze nie pokaże się nad ziemią.

Przyszliśmy ci zwiastować ciemność zimową i większą okropność, niż jacy ludzie doznali kiedy; samotność w ciemnościach.

Przyszliśmy ci zwiastować, że bracia twoi pomarli, jedząc trupy i będąc wściekli od krwi ludzkiej: a ty jesteś ostatni.

A jesteśmy ci sami, którzy przed wiekiem przyszli do chaty kołodzieja i usiedli za jego stołem, w cieniu lip pachnących.

Lud wasz wtenczas był jako człowiek, który się budzi i powiada sobie: oto mnie rzecz miła czeka o południu i weselić się będę wieczorem.

Zwiastowaliśmy wam nadzieję, a teraz przyszliśmy zwiastować koniec i nieszczęście, a Bóg nie kazał nam wyjawić przyszłości.

I rzekł im, odpowiadając Anhelli: zaprawdę, urągacie mi, mówiąc o Piaście i o początku, wtenczas, kiedy ja czekam śmierci, a w życiu mojem widziałem tylko nędzę?

Czy przyszliście przerazić mnie, wołając: ciemności nadchodzą! Na cóż wam przerażać tego, co cierpi? nie dosyćże jest przerażenia w grobowcu?

Życie moje zaczęło się od przerażenia. Ojciec mój umarł śmiercią synów ojczyzny, zamordowany; a matka moja umarła z boleści po nim, a jam był pogrobowcem.

Pierwsza lilja na grobie ojca mego jest moją rówieniczką, a pierwsza róża na grobie matki mojej była mi siostrą młodszą.

Oto mię w kołysce owionęła woń krwi ojcowskiej, i wyrosłem z twarzą smutną i przelęknioną.

A gdym usiadł dzieckiem na kolanach u ludzi obcych, to gadałem wyrazami przerażenia z ciemnością, a liść jesienny szumiący z wichrami rozumiałem, co szeptał.

Nad kołyską moją był przestrach; więc niech przynajmniej sam smutek cichy będzie w godzinę śmierci.

Idźcie i powiedźcie Bogu, że jeżeli ofiara duszy przyjęta jest, oddaję ją i zgadzam się, aby umarła.

Taki mam smutek w sercu, że mi światła anielskie w przyszłości natrętnymi są, a obojętny jestem na wieczność, a nawet znużony jestem i chcę zasnąć.

A choć Bóg wie, że jestem czysty na duszy i nieskalany żadnym grzechem podłym — oto powiedzcie mu, że jeżeli chce ofiary z duszy mojej, to ją dam.

I przerwali mu anieli, mówiąc: gubisz się, żądanie człowieka jest sądem na niego.

A wieszli ty, czy od spokojności twojej nie zależy żywot jaki, a może żywot i los miljonów.

Możeś jest wybrany na ofiarę spokojną, a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny i być rzuconym w ciemność dla przestrachu zgrai?

I upokorzył się Anhelli, mówiąc: Anieli, przebaczcie mi! uniosłem się, i skrzydła myśli moich uniosły mnie:

Więc będę cierpiał jak dawniej: oto język mój rodzinny i mowa ludzka zostanie we mnie, jak harfa z porwanemi strunami... do kogoż mówić będę?...

Ciemność będzie towarzyszem moim i krajem moim.

A oczy moje jak służebnice, które przestają pracować dla braku oliwy w lampie wieczornej.

A wzrok mój jak gołębie latające po nocy, które się tłuką o drzewa i skały piersią zlęknioną.

Płomieniste koła urodzą się w mózgu moim, i staną przed oczyma, jak wierne sługi, idące z latarniami przed panem.

I wyciągnę ręce w ciemności, aby ułowić którą z plam płomienistych, jak człowiek obłąkany.

Lecz okropności ziemi są niczem, zgryzota moja dla ojczyzny okropniejszą jest. Cóż uczynić?

O! dajcie mi moc miljona ludzi, a potem mękę miljona tych, którzy są w piekle.

Czemużem się targał i męczył dla rzeczy będącej szaleństwem? czemu nie żyłem spokojnie?

Rzuciłem się w rzekę nieszczęścia i fala jej zaniosła mnie daleko i już nie wrócę — nigdy!

A znowu przerwali mu Anieli, mówiąc: oto się raz uniosłeś aż do bluźnierstwa przeciwko duszy własnej, a teraz bluźnisz przeciwko woli, która była w tobie, kiedyś się poświęcił za ojczyznę.

Jestże jaki zły duch w najczystszych sercach ludzi, który je mięsza i przerzuca za kres dobrego?

Ostrzegamy więc ciebie z woli boskiej, że za niewiele godzin umrzesz, przeto bądź spokojniejszy.

Usłyszawszy to, Anhelli spuścił głowę i poddał się woli boskiej. A zaś Aniołowie odeszli.

ROZDZIAŁ XVI.

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem: więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi? byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych, zaczerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień.

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkiemi tłumami leciały jęcząc.

Więc spojrzał Anhelli na nie i zawołał: gdzie wy lecicie, o mewy?

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos odpowiadający mu: lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo? czy usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich, i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia,

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowcowa, i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świetniały na szafirowem niebie, jak róż białych girlandy, ulatujące ku południowi.

Anhelli był umarły.

ROZDZIAŁ XVII

W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby gołąb biały, spadający wieczorem na chatę czerwoną od słońca zachodu.

Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: tu był żołnierz, niech wstanie!

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza tam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody! oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa!

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych.

Tak mówił rycerz a Eloe, powstawszy z nad trupa, rzekła: rycerzu, nie budź go, bo śpi.

On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go.

Jam jest w części odpowiedzialna, że serce jego nie było tak czyste jak djamentowe źródło, i tak wonne jak lilje wiosenne.

To ciało do mnie należy, i to serce mojem było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej!

I poleciał ów rycerz ognisty z szumem jakoby burzy wielkiej; a Eloe usiadła nad ciałem martwego.

I uradowała się, że serce jego nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

(1837—1838) [1]

---

[1] Dla zrozumienia trudniejszych ustępów *Anhellego* najlepszym komentarzem jest list Słowackiego do Gaszyńskiego którego urywek podajemy

„Anhelli" potrzebuje komentarza, jak Dante, albowiem pisałem go umyślnie zwięźle i z wielką ekonomją detalów. — Kto więc nie popracuje imaginacją własną nad każdym frazesem „Anhellego", temu wszystko w nim będzie blade, literatura bowiem teraźniejsza w tem właśnie błędna, że się nad wszystkiem z wielką miłością własną rozwleka — i wszędzie fałszywymi sypie brylantami — ochwaciły się więc imaginacje czytelników — i leniwe są. — Szczegóły, których żądasz do not, są następujące.

Bonawentura Niemojewski umarł w Paryżu dnia 15 czerwca 1835 r. z obłąkania... Choroba ta pierwszy raz objawiła się w nim dziwnym sposobem i melancholją napełnia serce... Oto przyszedł raz do przyjaciela swego, jednego ze starych jenerałów, który się dosyć nędznie z żołdu francuskiego utrzymywał i stanąwszy zamyślony przy kominku z wielką powagą, jak zwykle: pożycz mi, rzekł Niemojowski, miljon złotych — albowiem już wszystko ułożone i tylko sumy mi tej potrzeba... Zdziwił się biedny jenerał, że go o taką pożyczkę proszono.... ale przypatrzywszy się błękitnym oczom starca, poznał, że już w nim harfa

myśli jęczała rwąc się wszystkiemi strunami.... Od tego czasu choroba melancholji ciągle gryzła tę wielką i milczącą postać — i nareszcie, jak Hamlet, powiedział ostatnie: „The rest is silence".

— Ksiądz w rodziale VII historyczną jest osobą — imienia jego nie wiem... wielu księży w Łucku wysyłanych było na Sybir podczas naszej rewolucji, a to podobno dla tego, że w klasztorze znaleziono kije z wbitemi na nie ostrzami dzid. Omdlenie Biskupa, a nie wiem, czy to był Cieciszewski, czy jego Sufragan, prawdziwe jest... Otyłość nawet księdza i zgroza ludu, kiedy widział, jak go kat z szat księżych obrywał i w ciasną wpychał siermięgę — prawdziwą jest.

— Prorok w kopalni — jest fantastyczną osobą... i nie trzeba z niego zdzierać tajemniczości — może Zan — może książę Jabłonowski — nie wiem.

Co do tej niewiasty, która z mężem swoim cierpi za serce człowieka, jest to księżna Trubecka. — Ma ona siostrę w Petersburgu... (Podobno Grafinię Lieven) do tej listy pisze z kopalni, które cały świat wielki i modny Petersburski (!) czyta ze łzami... W jednym z tych listów pisała, że mężowi swemu co wieczora obmywa nogi skrwawione... ten szczegół dziwnie musiał i okropnie przerazić salonowe towarzystwo.

— Biskup w Rozdziale XI jest to Krasiński.

— Kimbar na Sejmie Grodzieńskim powstawszy z ławy, krzyknął — Sybir! Sybir! straszą nas Sybirem... niech więc przyjdą, niech nas wiodą w tę krainę... wszak i tam żyją ludzie — zelektryzowany Sejm powstawszy z ław zawołał: — Na Sybir! Idźmy na Sybir...

Co do nocy Sybirskich... trzeba zajrzeć do jakiego dzieła Astronomicznego... do podróży Pallasa... Nareszcie z przeszłego numeru Revue des deux mondes z artykułu Pana Marmier o Finlandji — można coś napisać wyjętego o tej górze, skąd o północy widać słońce w dzień letni... Wreszcie Francuzi wiedzą bardzo dobrze o nocach sybirskich — a okropność zostawiona imaginacji powiększa się.

Trzeba dać notę o Aniołach Piasta kołodzieja — albowiem wtenczas dopiero przyjście ich do Anhellego stanie się pięknem poetycznie.

Rozdział X jest spoetyzowaniem kłóteń Emigracji...

O wiadomość Eloi — odeszlij do pana Alfreda de Vigny. Ale powiedz, że Eloe ta może jest pod zasłoną poetyczną — dawną jaką kochanką poety.

Trzy litery ogniste na chorągwi rycerza — wyświeć tylko domysłem swoim — mówiąc, że znaczą L u d".

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ TOMU I-GO:

str

Wstęp. Rys życia i twórczości 5

WIERSZE i POEMATY MŁODZIEŃCZE

Dumka ukraińska 27
Piosnka dziewczyny kozackiej 32
Oda do wolności 32
Hymn do Bogarodzicy 36
Kulik 37
Pieśń Legjonu Litewskiego 40
Hugo 42
Mnich 49
Arab 58
Jan Bielecki 64
Marja Stuart 79

UTWORY Z PIERWSZEJ EPOKI PARYSKIEJ

Paryż 149
Godzina myśli 152
Przedmowa do trzeciego tomu paryskiego wydania . 160
Lambro 162
Duma o Wacławie Rzewuskim 199

WIERSZE LIRYCZNE

Rozłączenie 205
Przekleństwo 206
Stokrótki 206
Chmury 207
Ostatnie wspomnienie do Laury 207
Rzym 209
Sumienie 210

str.
W Szwajcarji 211
Kordjan 223
Horsztyński 313

WIERSZE i POEMATY
związane z podróżą na Wschód.
Hymn o zachodzie słońca 413
Podróż na Wschód (IX pieśni) 415
Wschód słońca nad Salaminą 468
Odwiedziny Piramid 469
Na szczycie Piramid 472
Pieśń na Nilu 473
Rozmowa z Piramidami 475
Ojciec Zadżumionych 477
Anhelli 487

JULJUSZ SŁOWACKI
PISMA

JULJUSZ SŁOWACKI

PISMA

WYDAŁ, WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

DR. STEFAN KOŁACZKOWSKI
DOCENT UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

TOM II.

KRAKÓW—WARSZAWA
BIBLJOTEKA KLASYKOW

KRAKÓW — DRUKARNIA PRZEMYSŁOWA, UL. ZIELONA 7.

BALLADYNA

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

KOCHANY POETO RUIN![1]

Pozwól, że pisząc do ciebie, zacznę od apologu,[2] który mi opowiedziano nad Salamity zatoką.

Stary i ślepy harfiarz z wyspy Scio[3] przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgiełku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. — Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi; a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął.

Kochany Irydjonie! ta powiastka o falach i harfiarzu zastąpi wszelką do Balladyny przedmowę. Wychodzi na świat Balladyna z ariostycznym[4]) uśmiechem na twarzy, obdarzona wnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i z ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia, Kirkor, pada ofiarą swoich czystych zamiarów; niech Grabiec miłuje kuchnię Kirkora; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnych i umarłej kochanki; niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy; a jeżeli to wszystko ma wnętrzną siłę żywota, jeżeli stworzyło się w głowie poety podług praw boskich, jeżeli natchnienie nie było gorączką, ale skutkiem tej dziwnej władzy, która szepce do ucha nigdy wprzód niesłyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet niewidziane istoty; jeżeli instynkt poetyczny był lepszym od rozsądku, który nieraz tę lub owę rzecz

---

[1] Odnosi się do Krasińskiego, miłośnika Rzymu. [2] Apolog, bajka, przypowieść. [3] Homer. [4] Lodovico Ariosto, poeta włoski XVI wieku. Tu słowo ariostyczny użyte jest jako synonim dowolności, kapryśności, — taką bowiem nieliczącą się z prawdopodobieństwem fantastyką odznaczył się poemat Ariosta, „Orland Szalony".

potępił, to Balladyna, wbrew rozwadze i historji, zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błyśnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.

Uśmiechnij się teraz, Irydjonie, bo oto, naśladując francuskich poetów, powiem ci, że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj, czyli kronik dramatycznych. Cienie już różne ludzi niebyłych wyszły ze mgły przedstworzenia i otaczają mnie ciżbą gwarzącą; potrzeba tylko, aby się zebrały w oddzielne tłumy, ażeby czyny ich ułożyły się w postaci piramidalne wypadków, a jednę po drugiej garstkę na świat wypychać będę: i sprawdzą się może sny mego dzieciństwa. Bo ileż to razy, patrząc na stary zamek, koronujący ruinami górę mego rodzinnego miasteczka, marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów nasypię widm, duchów, rycerzy; że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy, a sklepieniom każę powtarzać dawne Sofoklesowskie: „niestety!“. A za to imię moje słyszane będzie w szumie płynącego pod górą potoku, a jakaś niby tęcza z myśli moich unosić się będzie nad ruinami zamku. — O! nie mów mi, że z dzwonków polnych większa ozdoba ruinom, niż z tego wieńca myśli, w który je ubierze poeta, — bo choć róże rosnące na ruinach pałacu Nerona rozwidniły nam pięknie te gruzy, to jednak jaśniej mi je oświecił ów duch Irydjona, któregoś ty pod krzyżem w Koloseum położył i nakrył złotemi skrzydłami anioła.

Tak więc, kiedy ty dawne posągowe Rzymian postaci napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego: ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie — i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej, dantejskiej chmury prowadzę lekkie, tęczowe i ariostyczne obłoki, pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką ale tylko grą kolorów i cieni z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura, większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia, moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

Doniosły mi Sylfy,[1] żeś powędrował teraz odwiedzić Etnę czerwoną[2]; posłałem natychmiast Skierkę, aby ci na drodze wszystkie pootwierał kwiaty i wszystkie gwiazdy nad tobą zapalił; za to przez wdzięczność, stanąwszy na szczycie wulkanu, spojrzyj na mórz rozległe błękity i pomyśl, że niedawnymi czasy przez te zwierciadła wędrował okręt mój jak łabędź żaglami nakryty. Powiedz, czy nie dojrzysz jakiego rysu na fali, jakiego śladu po zniknionym okręcie? Księża wtenczas śpiewali hymn do Najświętszej Panny, a ja stałem z wlepionymi w ogień Etny oczyma, smutny, że mnie fala znów tylko do Europy odnosiła. Słuchaj w ciszy powietrznej, czy echo tego hymnu, który mi serce uciszał,

[1] Sylfy, duchy powietrzne, w „Balladynie“ sylfami są Skierka i Chochlik. [2] W r. 1839 Krasiński pojechał na Sycylję.

nie drga dotąd w kryształowej atmosferze? Szukaj mojego śladu w powietrzu i na fali, a jeśli o mnie na fali i w powietrzu nie słychać, to znajdź mnie w sercu twojem, i niech ja będę jeszcze z tobą przez jedną godzinę. Wszak darem to jest Boga, że my umiemy myślą latać do siebie w odwiedziny.

Rozpisałem się długo, a zamierzyłem był tylko napisać:

AUTOROWI IRYDJONA

NA PAMIĄTKĘ

BALLADYNĘ

poświęca

JULJUSZ SŁOWACKI.

OSOBY.

PUSTELNIK, Popiel III. wygnany.
KIRKOR, pan zamku.
MATKA, wdowa.
BALLADYNA, ALINA } jej córki.
FILON, pasterz.
GRABIEC, syn zakrystjana.
FON KOSTRYN, naczelnik straży w zamku Kirkora.
GRALON, rycerz Kirkora.
KANCLERZ.
WAWEL, dziejopis.
PAŻ.
POSEŁ ZE STOLICY GNIEZNA.
OSKARŻYCIEL SĄDOWY.
LEKARZ KORONY.

Pany — rycerze — służba zamkowa — wieśniacy — dzieci.

OSOBY FANTASTYCZNE.

GOPLANA, Nimfa, królowa Gopła.
CHOCHLIK.
SKIERKA.

Za czasów bajecznych, koło jeziora Gopła.

AKT I.

SCENA I.

Las blisko jeziora Gopła. — Chata pustelnika ustrojona kwiatami i bluszczem. — KIRKOR wchodzi w karaceńskiej[1] *zbroi, bogato ubrany z orlimi skrzydłami.*

KIRKOR, *sam.*

Rady zasięgnąć warto u człowieka,
Który się kryje w tej zaciszy leśnej;
Pobożny starzec — ma jednak w rozumie
Nieco szaleństwa: ilekroć mu prawisz
O zamkach, królach, o królewskich dworach,
To jak szalony od rozumu błądzi,
Miota przekleństwa, pieni się, narzeka;
Musiał od królów doznać wiele złego,
Więc teraz został przyjacielem gminu.

Stuka do celi.

Puk! puk! puk!

GŁOS Z CELI.

Kto tam?

KIRKOR.

Kirkor.

PUSTELNIK, *wychodząc z celi.*

Witaj, synu!
Czego chcesz?

KIRKOR.

Rady.

PUSTELNIK.

Zostań pustelnikiem.

---

[1] Karacena, pancerz naśladujący łuskę karpią.

KIRKOR.

Gdybym podstarzał dziesiątym krzyżykiem,
Możebym w smutne schronił się dąbrowy;
Ale ja młody, pan czterowieżowy,
Przemyślam dzisiaj, jakby się ożenić...
Poradź mi starcze!

PUSTELNIK.

Lat dwadzieścia z górą
Jak żyję w puszczy...

KIRKOR.

Cóż stąd?

PUSTELNIK.

Więc ocenić
Ludzi nie mogę — ani wskazać, którą
Weźmiesz dziewicę.

KIRKOR.

Te, co rozkwitały
Z dzieciństwa pączków, gdyś ty żył na świecie,
Są dziś pannami... czerwony li biały
Pączek na róży, taka będzie róża...
Przypomnij niegdyś najpiękniejsze dziecię,
Białą jak w ręku anielskiego stróża
Kwiat lilijowy — niech jej słowik śpiewny
Zazdrości głosu, a synogarlica
Wiernością zrówna... gdzie taka dziewica?
Wskaż mi, o starcze? Mówią, że królewny
Słyną wdziękami?

PUSTELNIK.

Nieba! to ród węża,
Żona zbrodniami podobna do męża,
Córki do ojca a do matek syny;
Jak w jednem gnieździe skłębione gadziny.
O! bogdaj piorun!...

KIRKOR.

Nie przeklinaj!

PUSTELNIK.

Młody!
Przeklinaj ze mną — oni klątwy warci.
Bogdaj doznali co pomór i głody.
Bogdaj piorunem na poły pożarci,
Padając w ziemi paszczę rozdziawioną,
Proch mieli płaszczem, a węża koroną.
Bogdaj!... Klnąc zbójcę potargałem siły,
Wściekłem się jako brytan uwiązany.
Bo też ja kiedyś byłem pan nad pany,
Stutysięcznemu narodowi miły,

Żyłem w purpurze, dziś noszę łachmany;
Muszę przeklinać. Miałem dziatek troje:
Nocą do komnat weszli brata zbóje,
Różyczki moje trzy z łodygi ścięto!
Dziecinki moje w kołyskach zarżnięto!
Aniołki moje!... Wszystkie moje dzieci!

KIRKOR.

Któż jesteś, starcze?

PUSTELNIK.

Ja... Król Popiel trzeci...

KIRKOR, *schyla kolano.*

Królu mój!

PUSTELNIK.

Któż mię z żebraki rozezna?...

KIRKOR.

Uzbrajam chamy i lecę do Gniezna
Mścić się za ciebie!

PUSTELNIK.

Młodzieńcze, rozwagi!

KIRKOR.

Bezprawie gorzej od Mojżesza plagi
Kala te ziemie i prędzej się szerzy;
Popiel, skalany dzieci krwią niewinną,
Niegodny rządzić tłumowi rycerzy.
Niech więc się stanie, co się stać powinno
Pod okiem Boga na tej biednej ziemi.

PUSTELNIK.

Czy ty skrzydłami anioła złotemi
Z nieba zleciałeś?

KIRKOR.

Na barkach orlicy
Para tych białych skrzydeł wyrastała;
Gdy na rycerskiej są naramiennicy,
Będzież-li rycerz mniej niż owa biała
Ptaszyna ludziom użyteczny? — ma-li
Gadom przepuszczać rycerz uskrzydlony
Orła piórami?

PUSTELNIK.

O mężu ze stali!
Ty jesteś z owych, którzy walą trony.

KIRKOR.

Ty wiesz, jak nasza ziemia wszeteczeństwem
Króla skalana. Wiesz, jak Popiel krwawy
Pastwi się coraz nowem okrucieństwem...
Zaczerwienione krwią widziałem stawy:
Król żywi karpie ciałem niewolników.
Nieraz wybiera dziesiątego z szyków
I tnąc w kawały, ulubionym rybom
Na żer wyrzuca; resztę ciał wymiata
Na dworskie pola i czerwonym skibom
Ziarno powierza. Sąsiad ziemię kata
Na pośmiewisko zwie Rusią czerwoną.
Dotąd żyjącym pod Lecha koroną
Bóg dawał żniwo szczęścia niezasiane,
Lud żył szczęśliwy; dzisiaj niesłychane
Pomory, głody sypie boża ręka.
Ziemia upałem wysuszona pęka;
Wiosenne runa złocą się, nim ziarno
Czoła pochyli, a wieśniacy garną
Sierpami próżne tylko kłosy żyta.
Ta sama Polska, niegdyś tak obfita,
Staje się co rok szarańczy szpichlerzem;
Niegdyś tak bitna, dziś bladym rycerzem
Z głodami walczy i z widmem zarazy.

PUSTELNIK.

Ach, jam przeklęty! przeklęty! trzy razy
Przeklęty! winien jestem nieszczęść ludu.

KIRKOR.

Jako tyś winien?

PUSTELNIK.

Z rozlicznego cudu
Korona Lecha sławną niegdyś była,
W niej szczęście ludu, w niej krainy siła
Cudem zamknięta... oto ja wygnany,
Lud pozbawiłem tej korony.

KIRKOR.

Starcze!...

PUSTELNIK.

Korona brata mego jak liczmany
Fałszywa... moja pod spróchniałe karcze
Lasu wkopana... miałem ją do grobu
Ponieść za sobą.

KIRKOR.

Skądże tej koronie
Cudowna władza?

PUSTELNIK.

Ku ojczystej stronie
Wracali niegdyś od Betleem żłobu
Święci królowie — dwóch Magów i Scyta.
Ów król północny zaszedł w nasze żyta,
Zabłądził w zbożu jak w lesie, bo zboże
Rosło wysokie jak las w kraju Lecha;
Więc zabłądziwszy, rzekł: „wyprowadź, Boże!"
Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiej chaty, bo Lech mieszkał w chacie;
Wszedł do niej Scyta i rzekł: „Królu! bracie!
Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
Twoich bławatków ciągle szła przedemną,
Aż tu zawiodła". — Lech rzekł: „zostań ze mną!
Kraina moja szczęśliwa i bitna,
Jeśli chcesz, to się tą ziemicą z tobą
Dzielę na poły". — Scyta rzekł: „zostanę,
Lecz kraju nie chcę, bo ziemie złamane
Rozgraniczają się krwią i żałobą
Dzieci i matek". Więc razem zostali,
Ale to długa powieść...

KIRKOR.

Mów! mów dalej!

PUSTELNIK.

Więc jako dawniej czynili mocarze,
Z Lechem się mieniał Scyta na obrączki;
A pokochawszy mocniej sercem, w darze
Dał mu koronę... stąd nasza korona.
Zbawiciel niegdyś, wyciągając rączki,
Szedł do niej z matki zadumanej łona
I ku rubinom podawał się cały
Jako różyczka z liści wychylona,
I wołał caca! i na brylant biały
Różanych ustek perełkami świecił.

KIRKOR.

O! biedny kwiatku! na toż ty się kwiecił,
By cię na krzyżu ćwiekami przybito?
Czemuż nie było mnie tam na Golgocie,
Na czarnym koniu, z uzbrojoną świtą,
Zbawiłbym Zbawcę, lub wyrąbał krocie
Zbójców na zemstę umarłemu.

PUSTELNIK.

Synu!
Bóg weźmie twoją pochopność do czynu

Za czyn spełniony. Wróćmy w nasze czasy.
Gdy mię brat wygnał, uniosłem w te lasy
Świętą koronę...

KIRKOR.

Wróci ona, wróci!
Przysięgam tobie... Lecz...

PUSTELNIK.

Co chcesz powiadać?

KIRKOR.

Nim Kirkor w przepaść okropną się rzuci,
Szukając zemsty — chcę — chciałbym cię badać.
Na jakim pieńku zaszczepić rodowe
Drzewo Kirkorów, aby kiedyś nowe
Plemię rycerzy tronu twego strzegło?
Kogo wprowadzić w podwoje zamkowe
Z żony imieniem?

PUSTELNIK.

Tylu ludzi biegło
Z pierścionkiem ślubnym za marą wielkości,
A prawie wszyscy wzięli kość niezgody,
Zamiast straconej z żebra swego kości.
Postąp inaczej — ty szlachetny, młody;
Niechaj ci pierwsza jaskółka pokaże,
Pod jaką belką gniazdo ulepiła;
Gdzie okienkami błysną dziewic twarze
A dach słomiany, tam jest twoja miła.
Ani się wahaj, weź pannę ubogą,
Żeń się z prostotą, i niechaj ci błogo
I lepiej będzie, niżbyś miał z królewną...

KIRKOR.

Tak radzisz, starcze?

PUSTELNIK.

Idź, synu, na pewno
Do biednej chaty — niechaj żona karna,
Miła, niewinna...

KIRKOR.

Jaskółeczko czarna!
Ptaszyno moja, gdzie mię zaprowadzisz?

PUSTELNIK.

Słuchaj mię, synu!...

KIRKOR.

Starcze, dobrze radzisz...
Prowadź, jaskółko!

Odchodzi Kirkor.

PUSTELNIK.

O! ci młodzi ludzie,
Odchodzą od nas i wołają głośno:
Idziemy szukać szczęścia. Więc my starce,
Cośmy przebiegli po tej biednej ziemi,
A nigdy szczęścia w życiu nie spotkali,
Możeśmy tylko szukać nie umieli...
Idź! idź! idź, starcze, do pustelnej celi...

Chce wchodzić do celi i zatrzymuje się na progu.

Wchodzi FILON, pasterz zamyślony — fantastycznie we wstążki i kwiaty ubrany.

FILON, *z egzaltacją.*

O! złote słońce! drzewa ukochane!
O! ty strumieniu, który po kamykach
Z płaczącym szumem toczysz fale szklane!
Rozmiłowane w jęczących słowikach
Róże wiosenne! z wami Filon skona!
Bo Filon marzył los Endymiona,[1]
Marzył, że kiedyś, po blasku miesiąca,
Biała bogini, różami wieńczona,
Z niebios błękitnych przypłynie, i drżąca
Czoło pochyli, a koralowymi
Ustami usta moje rozpłomieni.
Ach! tak marzyłem! Ale na tej ziemi
Niema Djany. Samotny uwiędnę;
Jako fiołek, albo kwiat w jesieni.

PUSTELNIK.

Co znaczą owe narzekania zrzędne?
Młody szaleńcze, gdzie zimny rozsądek?
Wywracasz świata boskiego porządek;
A że ty chciwy Akteona[2] wanien.
Czekasz na ziemi anielskiego bóstwa;
Dlatego tyle zestarzałych panien
Dotąd się mężów swych nie doczekały;
Szukaj kochanki na ziemi.

FILON.

Świat cały
Napróżno zbiegłem, przeglądając mnóstwa
Dziewic śmiertelnych. Nieraz wzrok łakomy
Śledził z pod złotej kapeluszów słomy

---

[1] W Endymionie kochała się bogini Selene, zstępowała w nocy na szczyt góry Latmos w Karji i całowała uśpionego kochanka. [2] Akteon zakochany w Artemidzie odważył się oglądać ją w kąpieli. Za karę został zamieniony w jelenia i rozszarpany przez psy.

Żniwiarek twarze, podobne czerwienią
Makom zbożowym. Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią
Słońcu podane; rojąc serca szałem,
Że z bieli płócien, jako z morskiej piany,
Alabastrowa miłości bogini
Wyjdzie na słońce. Ach! tak obłąkany,
Żyłem na świecie, jako na pustyni,
Nienasycony, dumający, rzewny.
Byłem na dworach, widziałem królewny,
Podobne gwiaździe Wenus, co wynika
Wieczorem z nieba różowego zorzą,
Zaczerwieniona, ale bez promyka.
Serca nie mają, a sercem się drożą
Więcej niż koron brylantami.

PUSTELNIK.

Głupcze!
Niedoścignionych gwiazd szalony kupcze!
Ty, co na dworach szukałeś kochanki,
Precz! precz odemnie, kwiecie beznasienny,
Studniom niezdatny jak stłuczone dzbanki,
Światowi jako słońca blask jesienny
Bezużyteczny. Skoro na tron wrócę,
Zamknę cię w szpital szalonych, lub rzucę
Na bakalarską ławę między dzieci.

FILON.

Mój dobry ojcze! niechaj ci Bóg świeci!
Musisz być chory, gadasz nieprzytomnie.

PUSTELNIK.

Wszyscy szaleńcy zlatują się do mnie,
A wszyscy marzą o królewskich dworach;
Myślą o królach, a kryją się w borach,
I jęczą, jęczą jak oślepłe sowy.

FILON.

Wsadź, starcze, głowę w strumień kryształowy.
Może ochłonie.

PUSTELNIK.

Woda nie obmyje
Na mojem czole czerwonego pasu,
Widzisz! czy widzisz, jak korona ryje?
Dwudziestoletnie życie w głębi lasu

Nie zagoiło rany. Pas na czole,
A drugi taki pas mi serce płata;
Ten od korony,
ten od mieczów kata.

Pokazując na serce.

O! moje dzieci! o! sieroctwa bole!
O! moja przeszłość!

FILON.

Nudzi mię ten stary;
W głowie ma jakieś bezcielesne mary,
Pewnie oszalał samotnością, postem.

PUSTELNIK.

Cierpienie myśli jest kolącym ostem,
Lecz rzeczywistość... O! ta jak żelazo
Rani, zabija...

FILON.

O tem inną razą
Mówić będziemy, a przekonam ciebie,
Że smutek serca...

PUSTELNIK.

Niechaj cię pogrzebie,
Mdława istoto. *Nic* niech *nic* zabije;
A twój grobowiec zamknie *nic*.

FILON.

O luba!
Nieznaleziony twój obraz

Pokazując na serce.

tu żyje!
Nieznalezienie gorsze niźli zguba;
Jam cię nie znalazł, a widzę przed sobą!
Idę do lasu, gdzie będę sam... z tobą.
Błogosławiony wyobraźni cudzie,
Ty mnie ocalasz!

Odchodzi w las.

PUSTELNIK.

Jak szaleją ludzie!

Wchodzi do celi.

SCENA II.

Inna część lasu, widać jezioro Gopło. Skierka i Chochlik wchodzą.

SKIERKA.

Gdzie jest Goplana, nasza królowa?

CHOCHLIK.

Śpi jeszcze w Gople.

SKIERKA.

I woń sosnowa,
I woń wiosenna nie obudziła
Królowej naszej! woń taka miła!
Czyliż nie słyszy jak skrzydełkami
Czarne jaskółki biją w jezioro,
Tak że się całe zwierciadło plami
W tysiące krążków.

CHOCHLIK.

Za nadto skoro
Zbudzi się jędza i będzie
Do pracy nas zaprzęgać. To w puste żołędzie
Wkładać jaja motylic; to pomagać mrówkom
Budującym stolice i drogi umiatać
Do mrownika wiodące; to majowym krówkom
Rozwiązywać pancerze, aby mogły latać;
To zwiedzać pszczelne ule i z otwartej księgi
Czytać prawa ulowe, lub rotę przysięgi
Na wierność matce pszczelnej od zrodzonej pszczółki;
To na trzcinę jeziora zwoływać jaskółki
I uczyć budownictwa pierworoczne matki.
Już zamykać stawiane na ptaszęta klatki,
Nim jaki biedny ptaszek uwięźnie w zapadni,
Naprzekór ptasznikowi; już to pani sroce
Ciągle trąbić do ucha naukę: nie kradnij;
Albo wróblowi wmawiać, że pięknie świegoce,
Aby ciągle świegotał nad wieśniaczą chatą.
Pracuj jak koń pogański, pracuj całe lato,
A zimą śpij u chłopa za brudnym przypieckiem,
Między garnkami, babą szczerbatą i dzieckiem.

SKIERKA.

Bo też ty jesteś leniwy, Chochliku!

Patrzy na jezioro.

Ach patrz! na słońca promyku
Wytryska z wody Goplana;
Jak powiewny liść ajeru,[1]
Lekko wiatrem kołysana;

[1] Ajer, tatarak.

Jak łabędź, kiedy rozwinie
Uśnieżony żagiel steru,
Kołysze się — waha — płynie.
I patrz! patrz! lekka i gibka
Skoczyła z wody jak rybka,
Na niezabudek warkoczu
Wiesza się za białe rączki,
A stopą po fal przeźroczu
Brylantowe iskry skrzesza.
Ach czarowna! któż odgadnie,
Czy się trzyma fal obrączki?
Czy się na powietrzu kładnie?
Czy dłonią na kwiatach się wiesza?

CHOCHLIK.

Ona ma wianek na głowie.
Czy to kwiaty? czy sitowie?

SKIERKA.

O nie — to na włosach wróżki
Uśpione leżą jaskółki.
Tak powiązane za nóżki,
Kędyś, w jesienny poranek,
Upadły na dno rzeczułki:
Rzeczułka rzuciła wianek,
Wianek czarny jak hebany
Na złote włosy Goplany.

CHOCHLIK.

Radzę ci, uciekajmy, mój Skierko kochany,
Wiedźma gotowa zaraz nową pracę zadać.
Albo obracać młyny, skąd woda uciekła
Biednemu młynarzowi, lub każe spowiadać
Leniwego szerszenia, nim pójdzie do piekła
Za kradzież słodkich miodów... lub malować pawie.

SKIERKA.

Więc uciekaj... ja się bawię.
Promienie słońca przenikły
Jaskółeczek mokre piórka.
Ożyły — pierzchły — i znikły,
Jak spłoszonych wróbli chmurka.
Królowa nasza bez ducha,
Zadziwiona stoi, słucha;
Nie śmie wiązać i zaplatać
Kos rozwianych, nie wie czemu
Wianeczkowi uwiędłemu
Przyszło ożyć? skąd mu latać?
Goplano! Goplano! Goplano!

Wchodzi Goplana.

GOPLANA.

Narwij mi róż, Chochliku! poleciał mi mój wianek.

CHOCHLIK.

Już się zaczyna praca.

Chochlik odchodzi, mrucząc.

GOPLANA.

Czy to jeszcze rano?

SKIERKA.

Pierwsza wiosny godzina.

GOPLANA.

Ach! gdzież mój kochanek?

SKIERKA.

Co mi rozkażesz, królowo?
Zadaj piękną jaką pracę:
Winąć tęczę kolorową,
Albo budować pałace,
Powojami wiązać dachy,
I opierać kwiatów gmachy
Na kolumnach malw i dzwonów
Lazurowych.

GOPLANA, *zamyślona.*

Nie!

SKIERKA.

Chcesz tronów
Z wypłakanych nieba chmurek?
Czy ci przynieść pereł sznurek,
Z owych pereł, które dają
Lep na ptaszki: ale mają
Takie blaski, takie wody,
Jak kałakuckie[1] jagody,
Chcesz? lecę na trzęsawice,
Dojrzę — dogonię — pochwycę
Błędnego moczar ognika;
I zaraz w lilijkę białą
Oprawię jak do świecznika
I nakryję białym dzwonkiem,
By ci świecił... Czy to mało?
Rozkaż pani! co pod słonkiem,
Co na ziemi, wszystko zniosę:
Drzewa, kwiaty, światło, rosę.

[1] Perły indyjskie z Kalkuty; poeta stale używa tej formy miast poprawnej, Kalkuckiej

Co nad ziemią, w ziemi łonie:
Dźwięki, echa, barwy, wonie,
Wszystko, o czem kiedy śniły
Myśli twoje w jezior burzy
Kołysane.

GOPLANA.

Skierko miły,
Ja się kocham.

SKIERKA.

W czem? czy w róży
Bezcierniowej? czy w kalinie?
W czterolistnej koniczynie?
Może w kwiatku: *niech Bóg świeci,*
Który posadzi macocha
Na grobie mężowskich dzieci?
Może w Magdaleny nitce,
Co bez wiatru leci płocha?
Może w białej margierytce,
Co piątym listkiem: *nie kocha,*
Zabiła młodą pasterkę?
W czem się kochasz? poślij Skierkę!
A przyniesie ci kochanka,
I wplecie do twego wianka,
I będziesz go wiecznie miała,
Pieściła i całowała
Do przyszłej wiosny poranka,
Do drugiego kwiatów wieku.

GOPLANA.

Ach! ja się kocham, kocham się w człowieku.

SKIERKA.

To ludzkie czary.

GOPLANA.

Tej zimy gdym usnęła
Na skrysztalonem łożu, światło mię jakieś
Z głuchego snu gwałtownie ocuciło.
Otwieram oczy, patrzę... płomień czerwony
Jako pożaru łuna bije przez lody,
I słychać głuchy huk. Rybacy to rąbali
Przełomkę biednym rybkom zdradliwą... Nagle
Okropny krzyk — w przełomkę człowiek pada.
Na moje upadł łoże; a czy to światło
Podobne barwie róż, które świeciło
W moim pałacu szklistym? czy też prawdziwe
Róże na jego licach śmiercią mdlejące;
Ale się piękny wydał, ach! piękny tak, że chciałam
Zatrzymać go na wieki w zimnych pałacach,

I nie rozwiązać z wieńca ramion, i przykuć
Łańcuchem pocałunków. Wtem zaczął konać...
Musiałam wtenczas, ach! musiałam go wypuścić!
Gdybym przynajmniej mogła była go wynieść
Z wody na rękach moich, usta z ustami
Spoić i życie wlać w ostygłe jego piersi:
Ale ty wiesz, co to za męka dla nas,
Kiedy podobne kwiatom, musimy składać
Rumieniec nasz i piękne barwy wiosny,
I do kamieni białych podobne leżeć
W głębiach jeziora. Taką ja wtenczas byłam.
Musiałam leżeć na dnie, ani się płocho
Na światło dnia wyrywać. Napół martwego
Wyniosłam drżącą ręką i przez otwory
W lodzie wybite rzucam: sama boleśnie
Wracam na puste łoże, na zimne łoże;
A serce moje rozdarł okrzyk rybaków,
Którzy witali wtenczas, gdy ja żegnałam.
Jakżem czekała wiosny, przyszła nareszcie.
Z miłością w mojem sercu budzę się... kwiaty
To nic przy jego licach — gwiazdy gasną
Przy jego jasnych oczach. Ach! kocham! kocham!

SKIERKA.

Ktoś idzie tutaj lasem.

GOPLANA.

To on! to on! mój miły.
Bądź niewidomym, Skierko.

Skierka odchodzi.

Wchodzi na scenę Grabiec — rumiany — w ubraniu wieśniaka.

GRABIEC.

A cóż to za panna?
Ma twarz, nogi, żołądek; lecz coś niby szklanna.
Co za dziwne stworzenie z mgły i galarety!
Są ludzie, co smak czują do takiej kobiety;
Ja widzę coś rybiego w tej dziwnej osobie.

GOPLANA.

Jak się nazywasz, piękny młodzieńcze?

GRABIEC.

Nic sobie.

GOPLANA.

Miły! nic sobie!

GRABIEC.

Jakżeś głupia, mościa pani;
Nic sobie, to się znaczy, że nic nie przygani
Mojej piękności, to jest, żem piękny. A zwę się
Grabiec.

GOPLANA.

Cóż cię za anioł obłąkał w tym lesie?

GRABIEC.

Proszę, co za ciekawość w tym wywiędłym schabku!

GOPLANA.

Proszę cię, panie Grabiec!

GRABIEC.

Wolno mówić: Grabku!
Panie Grabku!

GOPLANA.

Któż jesteś?

GRABIEC.

Aśćki panny sługa.
A pytasz, kto ja jestem? to historja długa.
W naszym kościółku stały ogromne organy,
Mój tata grał na dudach; pięknie grywał pjany,
Ale kiedy na trzeźwo, okropnie rzępolił;
Do tego był balwierzem i wieś całą golił,
Golił i grał na dudach, bo golił w sobotę,
Na dudach grał w niedzielę; a miał taką cnotę,
Że nie pił, kiedy golił, a pił, kiedy grywał.
I wszystko szło jak z płatka. Wtem kogut zaśpiewał
I mój ojciec małżeństwem z żoną los zespolił.
Panna młoda wąs miała, ojciec wąs ogolił,
I wszystko szło jak z płatka. Lecz tu nowe cuda!
Żona grała na dudach, a tatuś był duda;
Grała więc po tatusiu, i dopóty grała,
Aż go na cmentarzyku wiejskim pogrzebała.
Ja zaś pośmiertne dzieło pana organisty,
Jestem, jak mówią, ojca wizerunek czysty,
Bo lubię stary miodek i kocham gorzonnę,[1]
I uciekam od matki.

GOPLANA.

Słowa jego wonne
Przynosi wiatr wiosenny do mojego ucha.
O luby! ja cię kocham...

[1] gorzonna, gorzałka.

GRABIEC.

Cóż to za dziewucha?
Obcesowo zaczyna. Wprawdzie to nie dziwy.
Ilekroć przez wieś idę, to serca jak śliwy
Lecą pod moje nogi — wołają dziewczęta:
Panie Grabku! Grabiątko, niech Grabiec pamięta,
Że jutro grabim siano — pomóż Grabku grabić.
O, to znaczy, że za mnie dałyby się zabić,
I to, że się na sienie dadzą pocałować.

GOPLANA.

Czy mię kochasz, mój miły?

GRABIEC.

Ha? trzeba skosztować...
Naprzykład... daj całusa...

GOPLANA.

Stój! pocałowanie
To ślub dla czystych dziewic. Na dziewiczem wianie
Za każdym pocałunkiem jeden listek spada.
Nieraz dziewica czysta i smutkami blada
Dlatego, że spadł jeden liść u serca kwiatu,
Nie śmie kochać i daje pożegnanie światu
I do mogiły idzie nigdy nie kochana.

GRABIEC.

Coś waćpanna jak mniszka.

GOPLANA.

Raz pocałowana,
Będę twoją na wieki — i ty mój na wieki.

GRABIEC.

Ha, pocałunek bliski a ten *mój* daleki.
Całuje.

GOPLANA.

O mój luby!

GRABIEC.

Dalibóg... pfu! pocałowałem
Niby w pachnącą różę... pfu! — róża jest ciałem,
Ciało jest niby różą... niesmaczno!

GOPLANA.

Mój drogi!
Więc teraz co wieczora na leśne rozłogi

Musisz do mnie przychodzić. Będziemy błądzili,
Kiedy księżyc przyświeca, kiedy słowik kwili,
Nad falą szklistych jezior, pod wielkim modrzewiem
Będziemy razem marzyć przy księżycu.

GRABIEC, *do siebie.*

Nie wiem
Co odpowiedzieć babie.

GOPLANA.

Ty smutny? ty niemy?
O! my z tobą będziemy szczęśliwi!

GRABIEC.

Będziemy,
Lecz nie wieczorem — i nie przy jeziorze.

GOPLANA.

Czemu?

GRABIEC.

Bo ja nie lubię wody jak wściekły.

GOPLANA.

Mojemu
Kochankowi rwać będę poziomki, maliny.

GRABIEC.

Lecz ja nie lubię malin... a kiedy dziewczyny
Niosą dzbanek na głowie, nieraz zrzucam dzbanek,
Ale to nie dla malin.

GOPLANA.

Lecz ty mój kochanek,
Ty musisz lubić kwiaty. Więc przyjdź co wieczora...

GRABIEC.

A to już tego nadto! co za nudna zmora!
Nie przyjdę w żaden wieczór.

GOPLANA.

Dlaczego?

GRABIEC.

Za borem
Pewna dziewczyna czeka na Grabka wieczorem.

GOPLANA.

Dziewczyna?

GRABIEC.

Tak — dziewczyna.

GOPLANA.

Czy piękna dziewczyna?

GRABIEC.

Ha? co pannie do tego? zwie się Balladyna.

GOPLANA.

Siostra Aliny? córka wdowy? ale ona
Złe ma serce.

GRABIEC.

Waćpanna, widzę, coś szalona.
Nie wierzę w babskie dziwy, sądy i przestróżki.
Wszystkie dziewczęta, które mają małe nóżki,
To mają piękne usta i serce, a właśnie
Ona piękną ma nóżkę.

GOPLANA, *zapalając się.*

Niech słońce zagaśnie,
Jeśli mi ciebie kto wydrze, kochanku.
Ty jesteś moim! moim! moim wiecznie!
Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścionek,
Choćbyś miał księżyc, to ja go rozłamię,
Zagaszę księżyc, który cię prowadzi
Do pocałunków, do kochanki domu.
Ach bądź mi wiernym! błagam cię! zaklinam!
Na twoje własne szczęście. Ach! zaklinam!
Bo zginiesz luby — nie — razem zginiemy,
Ale ty zginiesz także, gdy ja zginę.
Więc nie chcę zginąć, abyś ty nie zginął.
Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam wieczorem,
Przynajmniej dzisiaj nie chodź tam... ja każę.

GRABIEC.

A któż ty jesteś, co każesz?

GOPLANA.

Królowa!
Królowa fali, Goplana.

GRABIEC.

Ej! w nogi!
Jezus Marja! a tom popadł w biedę,
Szatana żona chce być moją żoną.

Grabiec ucieka.

GOPLANA, *sama.*

Niech słońce gaśnie, niechaj gwiazdy toną
W bezdrożne niebo! niechaj róże więdną!
Co mi po słońcu, po gwiazdach, po kwiatach,
Wolę je stracić, niż kochanka stracić.
Co mam potęgi, co nadprzyrodzonej
Siły nad światem to obrócę na to,
Aby to serce podbić i mieć mojem.
Skierko! Chochliku!

Skierka przybiega.

Czy słyszałeś, Skierko,
Moją rozmowę z kochankiem? aniołem?

SKIERKA.

Nie karz... ciekawość... szczera moja skrucha,
Biały powoju kwiatek uszczyknąłem,
I końcem różka włożywszy do ucha,
Słyszałem... przez kwiat.

GOPLANA.

Gdzie Chochlik?

SKIERKA.

Leniwy,
Ciągnie się z wiankiem.

Wchodzi Chochlik z wiankiem.

GOPLANA.

A wstydź się, Chochliku!
Patrz, coś ty narwał chwastu i pokrzywy,
Brzydkich piołunów, koniczyn, trawniku.

SKIERKA.

Pozwól mi pani, niech ja go wysiekę
Za taki wianek.

CHOCHLIK.

Ej! ja cię urzekę.

GOPLANA.

Słuchajcie mię cicho, djabliki.
Oto, Chochło, polecisz za moim kochankiem;
Idź przy nim, przed nim, za nim, jak skoczne ogniki,
I błąkaj po murawach, tak, by przed porankiem
Nie trafił do mieszkania, ani do tej chaty,
Gdzie mieszkają dwie piękne dziewczęta, dwa kwiaty,
Córki wdowy... Rozumiesz... a o wschodzie słońca
Tu miłego przyprowadź.

CHOCHLIK.

Będę go bez końca
Błąkał i sadzał w błocie... cha! cha! cha! cha! cha! cha!

Odchodzi Chochlik.

GOPLANA.

A ty, mój Skierko, leć na mały mostek,
Gdzie jest mogiła samobójcy stracha.
Ukryj się w łozy zarostek.
Za godzinę, przez ten mostek
Będzie jechał pan bogaty,
Ustrojony w złote szaty,
Jak do ślubu — bez oręży,
I kareta złotem błyska,
I pięć rumaków zaprzęży;
Cztery karych, i klacz biała
Przodem lecąc iskry ciska.
A na mostku wypróchniała
Leży belka drżąca, śliska.
Czy rozumiesz?

SKIERKA.

Wywrócić?

GOPLANA, *skłaniając głowę.*

Lecz nie szkodzić żywym,
Ani ludziom ni koniom.

SKIERKA.

A potem?

GOPLANA.

Tego pana w płaszczu złotym
Hymnem wiatru czułym, tkliwym,
Zaprowadzić aż do chaty,
Gdzie mieszka uboga wdowa
I dwie młode córki chowa.
Uczyń tak, by pan bogaty
Wziął tam żonę i we dwoje
Odjechał złotą karetą.
Luby Skierko! dziecię moje!

SKIERKA.

Dziewczyna będzie kobietą,
Nim dwa razy zaśnie,
Nim dwa razy księżyc zgaśnie.

Odlatuje.

GOPLANA, *sama.*

Więc rozesłałam Sylfy; niechaj pracują
Na moje szczęście. Teraz nie idzie o to,
Aby wojskami kwiatów zdobywać niwy;
Nie kwiatów strzec mi teraz, nie tęcze winąć,
Ani słowiki uczyć piosenek, ani
Budzić jaskółki wodne, kocham! ginę!
A jeśli on mię kochać nie będzie? cała
W mgłę się rozpłynę białą, i spadnę łzami
Na jaki polny kwiat i z nim uwiędnę.

Rozpływa się w powietrzu.

SCENA III.

Chata wdowy.

WDOWA i córki jej BALLADYNA i ALINA wchodzą z sierpami.

WDOWA.

Zakończony dzień pracy, moja Balladyno,
Twoje rączki od słońca całe się rozpłyną
Jak lodu kryształiki. Już my jutro rano
Z Alinką na poletku dożniemy ostatka;
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą.

ALINA.

Nie! nie, nie, jutro odpoczywa matka,
A my z siostrzycą idziemy na żniwo.
Słoneczko lubi twoję główkę siwą
I leci na nią, by natrętna osa
Do białych kwiatów, ani go od włosa
Liściem odpędzić; że też nigdy chmurki
Bóg nie nadwieje, aby cię zakryła
O! biedna matko!

WDOWA.

Dobre moje córki.
Z wami to nawet ubożyzna miła;
A kto posieje dla Boga, nie straci.
Zawsze ja myślę, że wam Bóg zapłaci
Bogatym mężem — a kto wie? a może
Już o was słychać na królewskim dworze?
A my tu żniemy, aż tu nagle z boru
Jaki królewic — niech i kuchta dworu,
Albo koniuszy — zajeżdża karetą...
I mówi do mnie: poczciwa kobieto,

Daj mi za żonę jednę z córek. Panie!
Weź Balladynę, piękna jak dziewanna —
Tobie się także Alino, dostanie
Rycerz za męża — ale starsza panna
Powinna prędzej zostać panną młodą.
W rzeczułkach woda goni się za wodą,
Mój królewicu, żeń się z Balladyną.

BALLADYNA.

Gdzie ty mój grzebień podziałaś, Alino,
Co ty tam słuchasz, jak się matce marzy.

ALINA.

Wiesz, Balladyno, że to jej do twarzy,
Kiedy śni głośno, kiedy się uśmiecha.

MATKA *do Balladyny.*

Dobrze ty mówisz! chata taka licha,
A mnie się marzy Bóg wie nie co. Ale
Bogu się także w wiekuistej chwale
Musi coś marzyć... a gdyby też Bogu
Chciało się matce dać złotego zięcia.

BALLADYNA.

Ach! słychać jakiś turkot na rozłogu,
Jedzie gościńcem dwór jakiegoś księcia.
Pięć koni... złota kareta... ach kto to?
Jedzie aleją. Jak to pięknie złoto
Między drzewami błyska. Ach! mój Boże,
Co im się stało? śród naszego mostu
Powóz prrr... stanął... i ruszyć nie może...

WDOWA.

Pewnie chcą konie napoić...

BALLADYNA.

Ot właśnie
Pan poi konie na drodze po prostu.

WDOWA.

Ha! jeśli pić chcą.

ALINA.

Już słoneczko gaśnie,
Trzeba zapalić sosnowe łuczywo...

BALLADYNA, *biegnąc od okna.*

Ach lampę zaświeć... ach lampę... co żywo...
O! gdzie mój grzebień?

Słychać pukanie do drzwi.

WDOWA.

Cóż to? co? ktoś puka...
Otwórz, Balladyno.

BALLADYNA.

Niech siostra otworzy.

WDOWA.

Prędzej otwórzcie, ktoś do chaty stuka.

ALINA.

Ach! ja się boję...

WDOWA.

Niech wszelki duch boży
Boga wychwala... ja odemknę chatę.

Patrzy przez dziurkę od klucza.

O! jakie stroje złociste bogate.

Otwiera.

Czy w imię Boga?

Kirkor wchodzi.

KIRKOR.

Tak, z Boga imieniem.
Proszę wybaczyć, ale nad strumieniem
Mostek pod mojem załamał się kołem,
Szukam schronienia.

WDOWA.

Proszę poza stołem,
Mój królewicu, siadać, proszę siadać.
Chata uboga — raczyłeś powiadać,
Że powóz... O! to nieszczęście! Dziewczęta!
To moje córki, jasny królewicu...
A to już dawno człowiek nie pamięta
Takich przypadków, chyba przy księżycu
Młynarz, co jechał przeszłej wiosny.

BALLADYNA.

Matko,
Dosyć — daj panu mówić.

Wchodzi Skierka niewidzialny dla aktorów.

KIRKOR.

Przed tą chatką
Słyszałem dźwięki luteń... Czy to córki
Wasze grywają na lutni?

WDOWA.

Przepraszam,
Nie, królewicu.

SKIERKA.

Z niewidzialnej chmurki
Sympatycznymi kwiaty poukraszam
Obie dziewczęta, bo moja królowa
Nie powiedziała, do której nakłonić
Serce Kirkora. Muzyka echowa
Zacznie hymnami powietrznymi dzwonić;
A wieniec kwiatów taką woń rozleje,
Że serce tego człowieka omdleje,
Że jednem sercem dwa serca pokocha.
Wkłada wieńce kwiatów na głowę dziewicom. — Słychać muzykę.

WDOWA.

Może królewic chce odpocząć trocha...

KIRKOR, *z zadziwieniem i niespokojnością.*

Odpocząć, kiedy dźwięki takie cudne
Słyszę... Dziewice, wasze są to pieśni?
Słyszę śpiewanie...

ALINA.

Czy się panu nie śni?
Tu w chacie... cicho...

KIRKOR.

Ach! jakże mi nudne
Wspomnienie zamku pustego!...

SKIERKA, *na stronie.*

Czar działa...

KIRKOR.

Z jakich kadzideł ta woń się rozlała?...
To z pewna wasze wieńce, uroszone
Łzami wieczora, dają takie wonie?

BALLADYNA.

Lecz my nie mamy wieńców.

Wchodzi sługa Kirkora bogato ubrany.

SŁUGA.

Naprawione
Koło w powozie...

KIRKOR.

Wyprząc z dyszla konie,
Ja tu zostanę...

Sługa odchodzi.

WDOWA.

Cóż to za zjawienie?
Królewic w chacie! Na jakiem on sienie
Spać będzie?... Jemu listki róży cisną...

KIRKOR, *do siebie.*

Prawdę wróżyłeś, pustelniku stary,
Gdzie okienkami dwie różyczki błysną,
Gdzie dach słomiany...

SKIERKA, *do siebie.*

Zakończone czary...

KIRKOR, *do wdowy.*

Słuchajcie, matko! na świat wyjechałem
Szukać ubogiej i cnotliwej żony;
Dalej nie jadę, bo tu napotkałem
Cudowne bóstwa... O! gdybym dwa trony!...
Ach! powiem raczej, gdybym miał dwa serca!
Lecz zdaje mi się, że dwa serca noszę...
Dwoma sercami o dwie córki proszę;
Ale Bóg jednę tylko wziąć pozwala
I do ślubnego prowadzić kobierca;
Więc trzeba wybrać... Czemuż losu fala
Rozbiła serca moje o dwie skały?
Ach! czemu oczy moje nie wybrały
I nie powiodły czucia. Dziś nie umiem
Wybrać...

WDOWA.

Ja ciebie, panie, nie rozumiem!...

KIRKOR.

Proszę o rękę jednej z córek... może
Słyszałaś kiedy o hrabi Kirkorze,
Co ma ogromny zamek, cztery wieże,
Złocisty powóz, konie i rycerze
Na swych usługach?... Otóż Kirkor... to ja!...
Proszę o jedną z córek.

WDOWA.

Córka moja?...
Ja dwie mam córki — ale Balladyna...

KIRKOR.

Czy starsza?

WDOWA.

Tak jest... A młodsza Alina
Także jak anioł...

KIRKOR, *do siebie.*

Jaki wybór trudny,
Starsza jak śniegi — u tej warkocz cudny.
Niby listkami brzoza przyodziana;
Ta z alabastrów — a ta zaś różana —
Ta ma pod rzęsą węgle — ta fijołki —
Ta jako złote na zorzy aniołki,
A ta zaś jako noc biała nad rankiem.
Więc jednej mężem, drugiej być kochankiem;
Więc obie kochać, a jednę zaślubić!
Lecz którą kochać, którą tylko lubić?
Niech się przynajmniej z ust różanych dowiem,
Która mnie kocha?

Do dziewic.

Moje smukłe łanie,
Czy mnie kochacie?

BALLADYNA.

Ach! ja ci nie powiem,
Nie... ale śmiem wymówić — tak, panie —
Ale ty zgadniesz, choć będę milczała,
Zgadnij, rycerzu.

KIRKOR, *do Aliny.*

A ty, różo biała?

ALINA.

Kocham!...

KIRKOR.

Obydwie kochają.

WDOWA.

Zapewne,
Że muszą kochać!... tożby to dopiero,
Gdyby nie kochać rycerza, co szczerą
Mógłby za żonę wziąć sobie królewnę,
Piękny i śmiały.

KIRKOR.

Któraż z was, dziewice,
Będzie mnie więcej kochała po ślubie?
Jak będzie kochać? lubić, co ja lubię?
Jak mi rozchmurzać gniewu nawałnice?

BALLADYNA.

O panie! jeśli w zamku są czeluście,
Z czeluści ogień bucha, a ty każesz
Wskoczyć, to wskoczę. Jeśli na odpuście
Ksiądz nie rozgrzeszy, to wezmę na siebie
Śmiertelne grzechy, którymi się zmażesz.
Jeżeli dzida będzie mierzyć w ciebie,
Stanę przed tobą i za ciebie zginę...
Czegóż chcesz więcej?...

WDOWA.

Weź! weź Balladynę!
Szczera jak złoto.

KIRKOR, *do Aliny.*

A ty, młodsza dziewo,
Co mi przyrzekasz?

ALINA.

Kochać i być wierną

KIRKOR.

Ach nie wiem, której oddać rękę lewą
Jako szwagierce — a której z pierścionkiem?
O! gdybym ujrzał tę gwiazdę przedsterną,[1]
Co wiodła króle do dzieciątka żłobu,
Serce mam jedno a ciągnie do obu.
Którą odrzucić? której być małżonkiem?
Obie kochają; więc niesprawiedliwość
Poniesie jedna, jeśli wezmę drugą.
W obojgu jedna prostota i tkliwość,
W obojgu miłość jednaką zasługą...
Którą tu wybrać?...

ALINA.

Jeśli mnie wybierzesz,
Szlachetny panie, to musisz obiecać,
Że mię do zamku twojego zabierzesz
Z matką i siostrą... Bo któż będzie matce
Gotować garnek? kto ogień rozniecać?
Ona nie może zostać w biednej chatce,
Kiedy ja będę w pałacach mieszkała.
Patrz, ona siwa jak różyczka biała.
O! widzisz, panie... Musisz także ze mną
I matkę zabrać...

KIRKOR.

O! jakąż tajemną
Rozkoszą serce napełnia... o! miła...

[1] Gwiazda przewodnia, wskazująca drogę sterowi okrętu.

WDOWA.

Lecz Balladyna to samo mówiła
W sercu i w myśli... Wierzaj mi, rycerzu,
I Balladyna kocha matkę starą.

KIRKOR.

Jużem był wybrał i znów mi w puklerzu
Dwa serca biją...

BALLADYNA.

Byłabym poczwarą,
Niegodną twej ręki, ale piekła,
Żebym się matki kochanej wyrzekła.
Prócz matki, siostry, wszystko ci poświęcę.

KIRKOR.

Oślepionego chyba losu ręce
Wskażą mi żonę...

SKIERKA, *śpiewa do ucha wdowy.*

Matko, w lesie są maliny,
Niechaj idą w las dziewczyny.
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.

WDOWA.

Coś matce staruszce
Przyszło do głowy... Mój ty królewicu,
Jeśli pozwolisz twej pokornej służce,
To ci poradzi, piękny krasnolicu.
Oto niech rankiem idą w las dziewczyny,
A każda weźmie dzbanek z czarnej gliny
I niechaj malin szukają po lesie;
A która pierwsza dzban pełny przyniesie
Świeżych malinek, tę weźmiesz za żonę.

KIRKOR.

Wyborna rada... O! złota prostoto!
Ty mi dasz szczęście niczem nieskłócone,
Dni rozkoszami przeplatane z cnotą.
Tak, moja matko, niech o słońca wschodzie
W las idą córki z dzbankami na głowie.
A my w lipowym usiądziemy chłodzie;
Która powróci pierwsza, ta się zowie
Hrabini Kirkor... Sądź sam, wielki Boże.

WDOWA.

Królewic znajdziesz w tej chateczce łoże,
Pachnące siano, zakryte bielizną.

Wierzaj mi, panie, żabki się nie wślizną
Do twego sianka... proszę do alkowy.

KIRKOR *klaszcze, wchodzi sługa.*

Przynieś z powozu puhar kryształowy,
Wino i zimne żubrowe pieczywo.

Sługa odchodzi.

Bądźcie mi zdrowe, piękne narzeczone...

Odchodzi do alkowy poprzedzany przez wdowę.

ALINA.

Siostrzyco moja, o! jakież to dziwo,
O! jakie szczęście!

BALLADYNA.

Jeszcze nie złowione,
To szczęście, siostro, może nie dla ciebie...

ALINA.

O! moja siostro! wszakże to na niebie
Jeśli nie słońce, to gwiazdy nad głową;
Jeśli nie będę panią Kirkorową,
To będę pani Kirkorowej siostrą.
A tobie trzeba jutro wziąć się ostro
Do tych malinek, bo wiesz, że ja zawsze
Uprzedzam ciebie i mam pełny dzbanek.
Nie wiem, czy na mnie jagody łaskawsze,
Same się tłoczą... czy tam... twój kochanek...

BALLADYNA.

Milcz!...

ALINA.

Ha, siostrzyczko? a ja wiem dlaczego
Malin nie zbierasz...

BALLADYNA.

Co tobie do tego?

ALINA.

Nic... tylko mówię, że jabym nie chciała
Rzucić kochanka ani dla rycerza,
Ani dla króla... A gdybym kochała,
Wzajem kochana, rolnika, pasterza,
To jużby żaden Kirkor...

BALLADYNA.

Nie chcę rady
Od głupiej siostry.

Słychać klaskanie za chatą. — Balladyna zapala świeczkę i ukrywszy ją w dłoni wychodzi.

ALINA.

Ha, zaklaskał w borze —
Wyszła ze świeczką... O! mój wielki Boże,
Co tam pan Grabek powie na te zdrady?
Bo też ta siostra chce iść za Kirkora,
A jam widziała na kwiatkach ugora,
Baʃ i pod naszą osiną słyszałam
Sto pocałunków... przebacz mi, o! Chryste,
Że sądzę miłość, której, ach! nie znałam...
Widzisz, mój Boże! ja mam serce czyste,

Klęka.

A przysięgając, nie złamię przysięgi...
Boże! ptaszęta u twojej potęgi
Mogą uprosić o wiszeńkę czarną,
Jaskółkom w dzióbek dajesz muszkę marną.
Jeśli ty zechcesz, Boże mój jedyny,
Gdzie stąpię... wszędzie czerwone maliny ..

Siada na ławie i usypia.

SKIERKA *śpiewa.*

Niech sen szczęścia pozłacany
Zamyka oczy dziewczyny,
A ja lecę do Goplany...

Odchodzi.

ALINA, *przez sen.*

Wszędzie maliny! maliny! maliny!

AKT II.

SCENA I.

Las przy jeziorze Gople. — Wschód słońca.

CHOCHLIK i GRABIEC w czerwone błoto trzęsawic uwalany i dobrze podpiły.

GRABIEC.

Nie pójdę krokiem dalej.

CHOCHLIK.

Ale tu już blisko
Do twojego domostwa.

GRABIEC.

Moje czarne psisko,
Nie wierzę tobie... bo mię błąkasz, sadzasz w błocie
I wykręcasz ogonem... Nie, mój czarny kocie,
Chciałem ciebie pogłaskać a ogień wytrysnął...
Spać chcę.

CHOCHLIK.

Zażyj tabaki!...

GRABIEC, *trzymając się dębu.*

Patrz, dąb mię uścisnął;
I nie dziw, dąb przyjaciel grabiny... Mój dębie,
Wierz mi, że cię szacuję, co w sercu to w gębie.

CHOCHLIK.

Chodźmy dalej...

GRABIEC.

Znalazłem dęba przyjaciela;
Choćbyś mi raj pokazał, gdzie Bóg wróble strzela,
To nie porzucę dębu, co się cały chwieje
I potrzebuje wsparcia. — Patrz, biedaczek mdleje.
Tu, psie! tutaj z latarnią! zgubiłem dębinę.
Ha! dąb uciekł... nie poznał mnie... obrosłem w trzcinę,
Siedząc w błotach noc całą...

CHOCHLIK.

Chodź do karczmy.

GRABIEC.

Na to
Masz ze mnie przyjaciela — na to jak na lato...
Nie... to już nie przystoi... jeśli karczma dama
Kocha mię, jak ja kocham, to nadejdzie sama...
Głupstwo chodzić do dziewcząt... Skąd ty masz tabakę.

CHOCHLIK.

Od pana Lucyfera.

GRABIEC.

Ty mi świecisz bakę.
Psie mój miły, poszukaj zająca, a strzelę.

CHOCHLIK.

Czem?

GRABIEC.

Gromem... Cośmy z tobą dobrzy przyjaciele,
Przepraszam ciebie bardzo, żem cię zawiódł w błota,
Siedzieliśmy w kałuży po uszy jak cnota
I kichali — kichali... mój nos w nos waćpana.

CHOCHLIK.

Pamiętasz, co nam trzcina mówiła?

GRABIEC.

Kochana!

Przyszła na pomoc...

CHOCHLIK.

Trzcina ratowała dudę...

GRABIEC.

Ja zawsze obwiniałem trzciny o obłudę...

CHOCHLIK.

Chodź dalej!

GRABIEC.

Spać chcę.

CHOCHLIK.

Lepiej wleź na dąb.

GRABIEC, *śpiewa.*

Na dębie
Siedzą gołębie,
Na stawku pływają kaczki...
Jeżeliś przyjacielem, to zanieś do praczki
Moje spodnie...

CHOCHLIK.

Co? jak to? chcesz spać bez szlafmycy?

GRABIEC.

Nie chcesz? to idź do djabła, kocie czarownicy.

CHOCHLIK.

Dobrej nocy...

GRABIEC.

Dobranoc, dobranoc, psie miły,
Szedłbym jeszcze do karczmy, ale nie mam siły.
Dobranoc...

Zasypia.

CHOCHLIK.

Co za głupie stworzenia ci ludzie!
Spił się, cały w czerwonej umazgał się rudzie,
I śpi, niech sobie teraz nadchodzi Goplana.

Goplana wchodzi ze Skierką.

GOPLANA.

Gdzie on? ach! zasnął... Niech zorza różana
Pierwsze mu blaski na oblicze rzuci;
Lecz niech się zorza napoły zasmuci
I płaczem rosy tak słońce przesłoni,
Aby łagodne powiek nie raziło...
A ty, Chochliku, weźmij z hojnej dłoni
Twoję nagrodę.

CHOCHLIK, *biorąc dar.*

Orzech świstun,[1] zgniłą
Pełny tabaką... dzięki ci, królowo;
Przez dwa dni będę częstował hiszpanką
Chłopstwo pijane...

GOPLANA, *do Skierki.*

Któraż jest kochanką
Kirkora?

SKIERKA.

Obie.

GOPLANA.

O szalona głowo!

SKIERKA.

Przyjdą do lasu szukać malin obie,
Jak ci mówiłem...

GOPLANA.

Poradź mi, co zrobię?

SKIERKA.

Spuść się na czarne Balladyny serce;
Zazdrość widziałem w maleńkiej iskierce,
Więcej niż zazdrość...

GOPLANA.

Cóż robiły w nocy?

SKIERKA.

Alina boskiej wzywając pomocy
Usnęła cicho, marząc o malinach;
A Balladyna zapaliła świecę
I wyszła, bo ktoś zaklaskał w osinach.
Leciałem za nią śledzić tajemnicę
Nocnej przechadzki... Jako mgliste mary
Szła po murawach i drżąca i cicha;
A płomyk świecy przez różowe szpary
Białych paluszków, jak z róży kielicha,

[1] Orzech dziurawy.

Błyskał i gasnął, to błyskał, to gasnął,
Zbudził się ptaszek w osinach i zasnął,
Tak cicho przeszła wietrznymi poloty,
Tak cicho przeszła... Ćmy wianeczek złoty
Zwinął się, leciał nad dziewicy głową.
Stanęła... słucham... ona ciche słowo
Wmięszała w szmery listeczków osiny...
Ktoś odpowiedział...

GOPLANA.

Może Balladyny
Drużka?

SKIERKA.

Nie, pani.

GOPLANA.

Kto?

SKIERKA.

Mamże powiedzieć?

GOPLANA, *pokazując na śpiącego Grabka.*

On?

SKIERKA.

Tak.

GOPLANA, *do Chochlika.*

Chochliku!... kazałam ci śledzić,
Przeszkodzić.

CHOCHLIK.

Djabeł kochankom przeszkodzi.

GOPLANA.

Zamknij Chochlika, Skierko, w muszli żabiej
I na jezioro puść by kota w łodzi.

CHOCHLIK.

O! pani! pani! lepiej ty mię zabij!

GOPLANA.

Zabić nie mogę, lecz mogę ukarać...

SKIERKA.

Pójdź, panie Chochło, o łódkę się starać.

Chochlik, przekrzywiając się jak krnąbrne dziecko, odchodzi za Skierką.

GOPLANA, *sama.*

Więc on ją widział... on ją widział nocą;
Przekleństwo! wczoraj widział ją w osinie.
Niechaj te gwiazdy nigdy się nie złocą,
Co im świeciły! Niech ten miesiąc ginie!
Niechaj anielskiej drogi mleczne stopnie
W proch się rozsypią!... On był tam? — okropnie!
Żeby ta dziewa jedno mi spojrzenie
Przedała dzisiaj za brylanty światów...
Jak go ukarać? ach! ja się zamienię
W błękitny powój i węzłami kwiatów
Na śmierć uścisnę... O nie... z tego wianka
Kochanek żywy wyjdzie, a kochanka
Rozpłomieniona miłością omdleje.
Jak go ukarać?... Niechaj wrośnie wszystek
W płaczącą wierzbę, korą się odzieje,
Niech się na drzewie skłoni każdy listek,
Jakoby smutny przewinieniem spadał
I płakał... Luby, gdy cię tak zobaczę,
Że będziesz płaczem na płacz odpowiadał,
To będę płakać, ach! że wierzba płacze.

Skierka wraca.

SKIERKA.

Zamknięty w muszli po strumykach skacze,
I na jezioro wyjeżdża w powozie
Nieboszczki żaby.

GOPLANA.

Wytnij rózgę w łozie.

Skierka podaje Goplanie pręcik.

Obudź się teraz! obudź się, kochany!
Powiedz dlaczego?...

GRABIEC, *senny.*

Śpię... bo jestem pjany.

GOPLANA.

Powiedz, dlaczego jak miłosny słowik
Piosnką wieczora?...

GRABIEC, *śniąc na pół.*

Podaj mi borowik
I włóż pod głowę za poduszkę... a nie?
To idź do stawu, rybo, koczkodanie.

GOPLANA.

Więc poznaj władzę Goplany!
Wrośnij w ziemię i z tej ziemi
Wyrośnij korą odziany
I liściami płaczącymi.

Grabiec tonie w ziemię, wierzba na tem miejscu wyrasta.

Rośnij, wierzbo płacząca;
Skarż się, gdy ptaszek trąca,
Gdy cię strumyk podrywa;
Kiedy wietrzyk rozniesie
Twoje listki po lesie.
Skierko! przyślij słowika, niech tej wierzbie śpiewa
Słowa miłosne, i niech ją nauczy
Kochać i płakać;
Ale niech żaden dziób kruczy
Nie śmie nad nią smutnie krakać
Pieśni pogrzebu,
Bo ta wierzba nie umarła.

SKIERKA.

O! jakże pięknie listki rozpostarła!
Jak się kłania kwiatom, niebu.
Wierzba wyrosła z człowieka,
I piękniejsza, niż był człowiek.

GOPLANA.

Niechaj teraz kochanek Balladyny czeka,
Niechaj sękowem okiem z pod korzanych powiek
Upatruje dziewicy...

SKIERKA.

Widzę dwie dziewczyny.
Niosą na głowach czarne dzbanki z gliny.
Szukają malin.

GOPLANA.

Skryjmy się w gęstwiny.

Goplana i Skierka kryją się. — Alina wchodzi z dzbankiem na głowie.

ALINA.

Ach! pełno malin — a jakie różowe!
A na nich perły rosy kryształowe.
Usta Kirkora takie koralowe
Jak te maliny... Fijołeczki świeże
Wzdychacie próżno, bo ja nie mam czasu
Zrywać fijołków — bo siostrzyczka zbierze
Dzban pełny malin i powróci z lasu

I weźmie męża; a ja z fijołkami
Zostanę panną... Choćbyście wy były,
Fijołki moje, złotymi różami,
Wolę maliny.

Śpiewa, szukając malin.

Mój miły! mój miły!
Złoty, wielki pan.
Mojemu miłemu
Niosę malin dzban.
Bo on woli, mój kochanek,
Taki pełny malin dzbanek,
Niż zbożowy łan. Och!
Niż zbożowy łan.

Odchodzi w las. — Wchodzi Balladyna z dzbankiem na głowie.

BALLADYNA.

Jak mało malin! a jakie czerwone,
By krew. — Jak mało — w którą pójdę stronę?
Nie wiem... a niebo jakie zapalone,
Jak krew... Czemu ty, słońce, wschodzisz krwawo?
Noc wolę ciemną niż taki poranek...
Gdzie moja siostra?... musiała na prawo
Pójść i napełnić malinami dzbanek,
A ja śród jagód chodzę obłąkana
Jakąś rozpaczą i łzy gubię w rosie.

ALINA, *z głębi lasu.*

Siostrzyczko moja! siostrzyczko kochana!
A gdzie ty?...

BALLADYNA.

Jaki śmiech w Aliny głosie.
Musi mieć pełny dzbanek.

Alina wchodzi.

ALINA.

Cóż, siostrzyczko?

BALLADYNA.

Co?...

ALINA.

Czy masz pełny dzbanek?

BALLADYNA.

Nie!...

ALINA.

Bladyno,
Cóż ty robiłaś?

BALLADYNA.

Nic!...

ALINA.

To źle, różyczko,
Ja mam dzban pełny mniej jedną maliną.

BALLADYNA.

Weź tę malinę z mego dzbanka.

ALINA.

Miła!
Siostrzyczko moja, powiedz, gdzieżeś była?
Wyszłyśmy razem, miałaś dosyć czasu;
Wszak ja ci, siostro, nie ukradłam lasu.
Dlaczegóż teraz z taką białą twarzą?
I z przyciętymi ustami...

BALLADYNA.

Wyłażą
Z twojego dzbanka maliny jak węże,
Aby mię kąsać żądłami wymówek.
Idź i bądź panią! siostra się zaprzęże,
Jak wół do pługa, będzie tłoczyć olej
Z kolących siemion i z brzydkich makówek.

ALINA.

A wstydź się, siostro! proszę cię, nie bolej
Nad mojem szczęściem.

BALLADYNA.

Cha! cha! cha!

ALINA.

Co znaczy
Ten śmiech okropny? siostro, czy ty chora?
Jeżeli wielkiej doznajesz rozpaczy,
To powiedz... Ale ty kochasz Kirkora?
Ty bardzo kochasz? Siostro! powiedz szczerze!
Bo widzisz, rybko, są inni rycerze,
Jak będę panią, to ci znajdę męża...

BALLADYNA.

Ty będziesz panią? ty! ty?

Dobywa noża.

ALINA.

Balladyna!
Co ten nóż znaczy?...

BALLADYNA.

Ten nóż?... to na węża
W malinach.

ALINA.

Siostro, jesteś blada, sina.
Kalinko moja! co tobie? co tobie?
Czemu ty blada? ach! jak to okropnie!
Przemów choć słówko! Usiądźmy tu obie,
I mówmy z sobą otwarcie, roztropnie,
Jak dwie siostrzyczki.

Siadając na murawie.

Ja kocham Kirkora,
Ach, nie dlatego, że Kirkor bogaty,
Że wielki rycerz, pan możnego dwora,
Że ma karetę złotą, złote szaty;
A jednak miło mi, że chodzi w złocie,
Że miecz ma jasny, służebników krocie;
Bo to jak rycerz w bajce, co się rodzi
Z wielkiego króla i w lesie znachodzi
Jakąś zaklętą królewną...

BALLADYNA, *wstając z pomięszaniem.*

Och!...

ALINA, *wstając.*

Miła!...
Co tobie?...

BALLADYNA *ze wzrastającem pomięszaniem.*

Gdybym cię, siostro, zabiła?...

ALINA.

Co też ty mówisz?...

BALLADYNA.

Daj mi te maliny!

ALINA.

A kto wie, siostro? gdybyś poprosiła,
Pocałowała usteczka Aliny,
Możebym dała?... spróbuj, Balladynko...

BALLADYNA.

Prosić?...

ALINA.

Inaczej, żegnaj się z malinką.

BALLADYNA, *przystępując.*

Co ?...

ALINA.

Bo też widzisz, siostro, że ten dzbanek,
To moje szczęście, mój mąż, mój kochanek,
Moje sny złote i mój ślubny wianek,
I wszystko moje...

BALLADYNA, *z wściekłością natrętną.*

Oddaj mi ten dzbanek.

ALINA.

Siostro !...

BALLADYNA.

Oddaj mi, bo...

ALINA, *z dziecinnem naigrawaniem się.*

Bo !... i cóż będzie?
Bo ?... nié masz malin, więc suche żołędzie
Uzbierasz w dzbanek — czy wierzbowe liście?
I tak... ja prędzej biegam i przez miedzę
Ubiegnę ciebie...

BALLADYNA.

Ty ?...

ALINA.

A oczywiście,
Że ciebie w locie, siostrzyczko, wyprzedzę.

BALLADYNA.

Ty?

ALINA.

O, nie zbliżaj się do mnie z takimi
Oczyma !... Nie wiem... ja się ciebie boję.

BALLADYNA, *zbliża się i bierze ją za rękę.*

I ja się boję... połóż się na ziemi...
Połóż! ha!

Zabija.

ALINA.

Puszczaj !...och !... konam...

Pada.

BALLADYNA.

Co moje
Ręce zrobiły?... O!...

GŁOS Z WIERZBY.

Jezus Marja!

BALLADYNA, *przerażona.*

Kto to?... zawołał ktoś?... czy to ja sama
Za siebie samą modliłam się?... Żmija,
Kobieta, siostra — nie siostra. Krwi plama
Tu, i tu, i tu!

Pokazując na czoło, plami je palcem.

I tu. — Któż zabija
Za malin dzbanek siostrę?... Jeśli z bora
Kto tak zapyta, powiem — ja. — Nie mogę
Skłamać i powiem: Ja! — Jakto ja?... Wczora
Mogłabym przysiąc, że nie... W las! w las!... w drogę!
Wczorajsze serce niechaj się za ciebie
Modli. — Ach! jam się wczoraj nie modliła.
To źle! to źle! — dzisiaj już nie czas... Na niebie
Jest Bóg... zapomnę że jest, będę żyła,
Jakby nie było Boga.

Odbiega w las.— Goplana i Skierka wchodzą.— Alina leży zabita.

GOPLANA.

Ach! okropność...
Ludzie tak siebie zarzynają nożem.
Nie wiem, jak ludzka poczyna roztropność
W takiem zdarzeniu? My duchy nie możem
Znać owych ziółek, które rany leczą;
A ona ciepła, może jeszcze żywa?
Pustelnik nieraz ziółka w lesie zrywa,
Więc może, gdyby miał koło niej pieczą,
Do życia wróci... Ach Skierko, mój drogi,
Sprowadź tu pustelnika.

Skierka odbiega.

Wy ciernie i głogi.
Jeżeli zabójczyni padnie na kolana,
Bądźcie pod jej kolanami.
Niech leci wiatrem ścigana,
Przerażona strumyka mruczącego łzami
Jak siostry płaczem...

Patrząc w las.

Widzę tego pasterza, co się zwie tułaczem
Wygnanym z kraju szczęścia i po całym świecie
Szukał próżno kochanki... dziś kocha się w kwiecie,
W słońcu, w gwiazdach, w jutrzence... niech ujrzy to ciało.

Odchodzi w las.

Wchodzi Filon, patrząc w niebo.

FILON, *z emfazą.*

Po co mi świecisz, małżonko Tytana,[1]
Twarzą, co przeszła z różowej na białą?...
Po co mi świecisz, Febie? Tyś do rana
Miłością konał na Tetydy[2] łonie;
A teraz puszczasz rozhukane konie
I z szat wilgotnych srebrną trzęsiesz rosę,
Szczęśliwy Febie!... Tam blada Djanna,
Patrząc na twoje czoło złotowłose,
Przed Endymionem kryje się w błękicie,
Do głębi serca promieniami ranna...
Miłość — to światło, to niebo, to życie!
A jam nie kochał! o! biada mi! biada!

Spostrzega ciało Aliny.

Cóż to za bóstwo?... Jak marmury blada!
Nieżywa?... Boże! a taka podobna
Do nieśmiertelnych bogiń — i nieżywa —
Jak nad nią płacze ta wierzba żałobna?
A moja dusza na marzenia tkliwa
Łez dla niej niema? Samotność popsuła
Źródło łez moich... Jaka postać cudna!
Jak ona wczoraj musiała być czuła!
Jak do niej wianek przypadał weselny!
Jak mogła kochać!... A dziś... śmierć obłudna
Życie wydarła, a dźwięk pośmiertelny
Na moję zgubę nieżywej nadała...
O! mój aniele! ty śmierci kochanka!
O! jak miłośnie twoja ręka biała
Ujęła czarny dzbanek... z tego dzbanka
Płyną maliny, a z alabastrowej
Piersi wytryska drugi taki strumień,
Piękniejszy barwą od krwi malinowej.
Ach! twój zabójca od dwu będzie sumień
Ścigany za te dwa strumienie krwawe...
Nie!... to zwierz leśny musiał zabić ciebie,
Człowiek by nie mógł. — Boże! oto rdzawe
Leży żelazo — to człowiek!... Ach! w niebie

[1] Mylnie u Słowackiego: Eos była małżonką Tytona, a nie Tytana.
[2] Niema mitu o miłości Feba do Tetydy, poetę zawodzi tu pamięć.

Szukać schronienia przed tłumem tych ludzi.
Śpij, moja luba! ciebie nie obudzi
Ten pocałunek... a mnie niech zabije...

Całuje usta umarłej i podnosi nóż. — Pustelnik nadbiega.

PUSTELNIK.

Stój! stój, zabójco! — On żelazo kryje
Do swoich piersi...

FILON.

Ojcze! patrzaj na nią!
Znalazłem przecie kochankę... nieżywą.

PUSTELNIK.

Czyjeż to miecze takie kwiaty ranią?
Któż te pustynie krwią czerwieni żywą?
Czy tu Król Popiel zawitał i plami
Białe lilije naszych lasów?...

FILON.

Łzami
Krew tę obmyję...

PUSTELNIK.

Wstydź się łez!

FILON.

Ach ona
Umarła... patrzaj tu! tu! tu!... niebieski
Kwiatek — znak śmierci śród białego łona...
Gwiazdeczka śmierci...

PUSTELNIK.

Ty młody i rzeski,
Podnieś umarłą i weź na ramiona;
Ja ci pomogę dźwigać lekkie ciało.
W celi mam ziółka...

FILON.

Ty duszę omdlałą
Krzepisz nadzieją; ty podajesz ramię
Duszy nieszczęsnej, która się już kładła
W mogiłę żalu... pozwól, że ułamię
Gałązkę z wierzby, pod którą upadła
Kochanka moja okropnie zabita...
Tu ją zobaczył — tu pokochał — stracił,
Wprzód nim pokochał... Ach! w przeszłości świta
Szczęście stracone; jam się nie zbogacił,
A skarb znalazłem...

Urywa gałązkę z wierzby.

GŁOS Z WIERZBY.

Nie trącaj, bom pijany...

FILON.

Ta wierzba gada...

PUSTELNIK.

W lesie są szatany,
Ja znam się z nimi; nieraz mi do celi
W okna stukają...

FILON.

W lesie są anieli,
Ale umarli...

PUSTELNIK.

Chodź z twoim aniołem...

Filon bierze na ramiona ciało Aliny i odchodzi z pustelnikiem. — Goplana i Skierka wychodzą z gęstwin.

GOPLANA, *wskazując na wierzbę.*

Przeklęci ludzie! jakim oni czołem
Śmieli ułamać gałąź tego drzewa?
On musi cierpieć...

SKIERKA.

Ach! coś się wylewa
Gorzkiego z rany... to zapewne woda
Z ziarnek pszenicy ogniem wymęczona,
Którą ci ludzie piją...

GOPLANA.

Łza stracona...
Ach każdej łezki brylantowej szkoda,
Kiedy nie dla mnie płynie ze źrenicy.
Jutro ty będziesz wolny, mój kochanku;
Jutro wymawiać będziesz okrutnicy,
Że cię dręczyła z ranka do poranku...
Ukryj się, Skierko — patrzaj, Balladyna
Zbłąkana w lesie tu nadchodzi, sina,
Okropnie blada, z rozpuszczonym włosem.
Ja twarz zakryję i pod wierzbą siędę;
Będę mówiła do niej siostry głosem
I obłąkaną gryść będę... gryść będę...

Skierka odchodzi.

BALLADYNA, *wbiega na scenę obłąkana.*

Wiatr goni za mną i o siostrę pyta,
Krzyczę: zabita — zabita — zabita.
Drzewa wołają: gdzie jest siostra twoja?...
Chciałam krew obmyć... z błękitnego zdroja

Patrzała twarz jej blada i milcząca...
O! gdzie ja przyszła? to wierzba płacząca...
Ta sama, gdzie ja — Siostro moja!... żywa!...

GOPLANA.

Siostro!...

BALLADYNA.

Okropnem wołasz mię imieniem!
Trup... trup... trup na mnie białą dłonią kiwa...
Wszystkie mi włosy przesiąkły sumieniem
I ciągną nazad wstając z głowy. — Ale
Nogi przykute...

GOPLANA.

Czy ci smutne żale
Nie mówią, siostro, żeś ty źle zrobiła?
I gdyby siostra twoja żyła?...

BALLADYNA.

Żyła?

GOPLANA.

Mogłażbyś ty ją zabić po raz drugi?

BALLADYNA, *szukając koło siebie.*

Zgubiłam mój nóż.

GOPLANA.

Ach, nie dosyć długi
Nóż twój był, siostro.

BALLADYNA.

To nie moja wina.

GOPLANA.

Siostro! lecz jeśli przebaczy Alina?
Jeśli zapomni i powie: siostrzyczko,
Miałam sen taki: Do chaty wieczorem...
Nim wyszłaś w ciemne osiny za świeczką,
Przyjechał rycerz; rycerz był upiorem,
Upiór dwie siostry pokochał szalenie
I obie wysłał na maliny; śniłam,
Że gdyśmy zaszły w głuche lasu cienie,
Siostra mnie nożem... Wtem się obudziłam...
Chodźmy do wróżki, niech sen wytłumaczy.

BALLADYNA, *zamyślona.*

To sen... ach! prawda... i mnie się wydaje,
Że to sen, siostro...

GOPLANA.

Ten sen nic nie znaczy...

BALLADYNA.

To sen...

GOPLANA.

I tylko matka nas połaje,
Żeśmy się długo zabawiły w borze.

BALLADYNA.

A rycerz...

GOPLANA.

Zniknął! to sen...

BALLADYNA.

Być nie może...
Co? ha, okropnie! rycerz jak sen zniknął!

GOPLANA.

Ale ja żyję...

BALLADYNA.

Bogdajbyś umarła!
To sen... to sen — ha?.... rozum już przywyknął
Do twojej śmierci. Skorobym otarła
Krew z mojej ręki.... byłabym szczęśliwa.

GOPLANA, *odkrywa twarz.*

Bądź nią, szatanie! twa siostra nieżywa.

BALLADYNA.

O, wielki Boże! a ty co za widmo?

GOPLANA.

Bańka z kryształu, którą wichry wydmą
Z błękitu fali... i barwami kwiatu
Malują zorze. — Ale bądź spokojną,
Ja nie wyjawię tajemnicy światu.
Zostawię ciebie przeznaczeniem spojną
Z ręką rycerza i ze zbrodni ręką;
A ręka zbrodni dalej zaprowadzi.
Usychaj wiecznie tajemnicy męką.
Każda malina może ciebie zdradzi.
Ta wierzba ciebie widziała,
Korą wyśpiewa...
Lękaj się drzewa!
Lękaj się kwiatu!
Każda lilja albo róża biała,
I na ślubie i po ślubie,
Będzie plamami szkarłatu

Na wszystkich liściach czerwona.
Idź ... weź ten dzbanek ... ja ciebie nie zgubię.
Ale natura zbrodnią pogwałcona
Mścić się będzie — idź do chaty.

Balladyna bierze z rąk Goplany dzbanek Aliny i odchodzi milcząca.

Odeszła i splamione krwią obmyje szaty,
Ale na czole plama zostanie czerwona;
Nie ostrzegłam jej, próżno było ostrzegać,
Ta plama nie zejdzie z czoła. —
Ja zaś idę po fali kryształowej biegać.
Rzucę ten ciemny obraz zbrodni w jasne koła
Zwierciadlanego Gopła ... O blasku miesiąca
Wrócę słuchać, jak szumi ta wierzba płacząca.

Odchodzi.

SCENA II.

Ganek przed chatą wdowy, ocieniony lipą.

WDOWA i KIRKOR na ławie.

KIRKOR.

Nie widać córek ...

WDOWA.

Wrócą, panie! wrócą
Jedna za drugą jak dwie gąski białe,
Jedna za drugą. Ach! łzy mi się rzuczą
Ze starych oczu, na Chrystusa chwałę,
Gdy je zobaczę ...

KIRKOR.

Któraż pierwszą będzie?
Czy Balladyna?

WDOWA.

Pewnie Balladyna.
Wszak ona pierwsza w kościele i wszędzie
Pierwsza ... z organem piosenkę zaczyna.
Alina także pierwsza.

KIRKOR.

Więc Alina
Może powróci?

WDOWA.

Ha! może Alina,
Bogu to wiedzieć.

KIRKOR.

Czy wiesz, moja stara,
Żem niespokojny o twoje dziewczęta.

WDOWA.

To i ja właśnie... jakaś niby mara
W głowę mi wlazła. Choć nikt nie pamięta,
Aby na wiosnę kiedy być nie było
Malin... a gdyby się też przytrafiło,
Że niema malin... tak marzyłam wczora,
Nim sen przyleciał, gdyby też śród bora
Nie było malin? — potem sama sobie
Mówiłam: głupiaś — wszakże koń przy żłobie,
Gdy niema owsa, to zajada siano,
Jeśli dziewczęta malin nie dostaną,
To nazbierają poziomek. — Wy króle,
Może wam w zamkach nie znać się co ziomka,
A co malina, co siano a słomka,
A co są dziuple, a co pszczelne ule.
Wam tylko złoto, złoto, zawsze złoto...

KIRKOR.

Ach! nie wierz temu — nieraz my zgryzotą
Trapieni w zamkach dnie pędzimy liche.
Po stokroć, matko, wolę twoje ciche
I wiejskie życie... Miło na tym ganku
Czekać wieśniaczej małżonki, jak lubo
Kołysze sercem ten powiew poranku;
Ty taka dobra, choć masz szatę grubą.

WDOWA.

To mój świąteczny przecie ubiór — proszę!
Cycowa suknia, tylko w święto noszę
Takie ornaty... Wraca Balladyna.

KIRKOR.

Gdzie?

WDOWA.

O! nie widać; lecz matce wiadomo.
Patrz, panie! oto jaskółeczka sina
Zamiast wylecieć, kryje się pod słomą
I cicho siedzi... Gdyby zaś Alina
Wracała z gaju, tobyś to, mój panie,
Usłyszał w belkach szum i świegotanie,
Jedna za drugą pyrr... pyrr... lecą z gniazdek
Do tej dziewczynki i nad nią się kręcą,
Niby chmureczka małych, czarnych gwiazdek,
Nad białą gwiazdką...

KIRKOR.

Dlaczegoż się nęcą
Ptaszki do młodszej córki?

WDOWA.

Któż to zgadnie?
Idzie Balladyna, widzisz?

KIRKOR.

Jak jej ładnie
Z tym czarnym dzbankiem na głowie.

Balladyna wchodzi ze spuszczoną głową.

Dziewico!
Oddaj mi dzbanek, ja ci zaś nawzajem
Daję pierścionek...

Bierze dzbanek. Balladyna odwraca głowę. — Kirkor kładzie na jej palec pierścionek.

WDOWA.

Brylanciki świecą.

KIRKOR.

Oby nam życie było słodkim rajem.
Idź do komnaty, starym obyczajem,
Niechaj ci warkocz zaplatają swatki,
Niechaj świeżymi przetykają kwiatki,
A za godzinę, drżącą, uwieńczoną,
Wezmę z rąk matki, i będziesz mi żoną.
Kareta czeka, po księdza pojadę.

Odchodzi Kirkor.

BALLADYNA.

Och!

WDOWA.

Czegoż wzdychasz? i coś niby blade
Usteczka ściskasz?

BALLADYNA.

Matko moja droga,
Nie wiem, jak wyznać?

WDOWA.

Cóż, córeczko miła?
Czy ty już drżąca od łożnicy proga
Chciałabyś uciec jak sarneczka?

BALLADYNA.

Siła
Złego mam donieść...

WDOWA.

Co?

BALLADYNA.

Ach! nie dasz wiary?
Ale Alina. — Ach... ta siostra młoda
I tak kochana — Ach! jaka jej szkoda!

WDOWA.

Co, córko?

BALLADYNA.

Bo też psułaś ją bez miary.
Twoja to wina, że dziś...

WDOWA.

Mów, bo skonam.

BALLADYNA.

Lękam się mówić, może nie przekonam
Ślepej miłości, matki przywiązania.
Lecz któżby myślał, że ta młoda łania
Ucieknie...

WDOWA.

Córko... Alina?

BALLADYNA.

Uciekła...

WDOWA.

Gdzie... jak? z kim? Boże! Matki się wyrzekła.

BALLADYNA.

Ach, przewidziałam dawno, że tak będzie,
Jakiś obdarty młokos chodził wszędzie
Za tą dziewczyną, szeptał jej do ucha.
Napominałam. — Wiesz, jak ona słucha
Kazań od siostry? I dziś... z nim uciekła...

WDOWA.

Wyrodne dziecko! Więc idź aż do piekła!
Nie pomyślałaś na te stare oczy,
Że będą płakać — dobrze, bo nie będą
Płakać po tobie. — Bo matka ma smoczy
Płód zamiast serca, można serce krajać,
To się kawałki węża znowu sprzędą,
Jak płótna kawał... Chciałabym ją łajać...
Przeklinać... dręczyć... Ot wiesz, że te oczy
Jak noże ot tak... wlepiłabym w łono,
Jak noże... tylko bez tej łzy, co mroczy.
Możebyś ty mnie widziała szaloną,
Ale co płakać... Nie! nie! nie!

Płacze łkając.

BALLADYNA.

Mój Boże!
I tak zasmucić!

WDOWA.

O! i tak zasmucić!

BALLADYNA.

Zasmucić matkę starą?

WDOWA.

O! mój Boże,
Tak starą... Ale ona może wrócić.
Kto wie!... Nieprawdaż? ona wrócić może?
Jak sama kiedy siądzie przy oświatce
Nocą — pomyśli: gdzie matka? a jużby
Serca nie miała, żeby też o matce
Nie pomyślała nigdy...

BALLADYNA.

Idą drużby...
Słychać weselną muzykę.

WDOWA.

Jak oni grają smutnie i wesoło.
Ty teraz skarbem moim — daj mi czoło,
Niech pocałuję... Cóż to jakaś plama
Jak krew czerwona?

BALLADYNA, *z przerażeniem.*

Krew?

WDOWA.

To od maliny
Może... daj... zetrę.

BALLADYNA, *ścierając.*

Matko... zetrę sama.

WDOWA.

Jeszcze jest.

BALLADYNA, *trąc czoło.*

Teraz?

WDOWA.

Jeszcze — jak rubiny
W twoim pierścionku pięknie sobie świeci.

BALLADYNA, *na nowo usiłując zetrzeć.*

A teraz?

WDOWA.

Jeszcze jest — by na osieci
Listek czerwony.

BALLADYNA.

O! o! to okropnie!

WDOWA.

Daj mi tu czoło, a zetrę roztropnie.
Może to ranka...

Wspina się na palcach.

BALLADYNA.

Matko, nie dotykaj
Tej plamy.

WDOWA.

Czy cię boli?

BALLADYNA.

Nie — nie boli.

WDOWA.

Przyniosę wody z pod owej topoli,
Gdzie piją wróble.

Wdowa odchodzi.

BALLADYNA.

Plamo krwawa, znikaj!

Wchodzą swaty i drużki, ustrojeni, z muzyką, zbliżają się do Balladyny, ta odwraca twarz.

SWATY, *śpiew.*

Nie odwracaj czoła,
Wstydliwa dziewczyno;
Mąż na ciebie woła,
Młodziutka kalino.
Nie odwracaj czoła...

DZIEWICE, *śpiewając.*

Chcą nam ciebie wydrzeć swaty;
Niech cię bronią białe kwiaty
Twego wianka...

SWATY, *śpiew.*

Kwiaty ciebie nie obronią
Ni białością, ani wonią,
Od kochanka.

Dziewice podają Balladynie kosze z kwiatami.

BALLADYNA.

Precz! precz! — Odkąd zaczęły kwitnąć białe róże
Z czerwonemi plamami?... Wynieście te kosze.

Balladyna ucieka do chaty.

JEDNA Z DZIEWIC.

Pogardziła kwiatami, które ja przynoszę,
Ja, dawna przyjaciółka.

JEDEN Z MŁODZIEŃCÓW.

Patrzcie, w pyłu chmurze
Błyska złota kareta, jedzie Kirkor z księdzem.

DRUGI Z MŁODZIEŃCÓW.

Przy tej karecie słońce zdaje się mosiędzem.

AKT III.

SCENA I.

Dom wdowy dopalający się — przed pogorzeliskiem garstka wieśniaczek ludu.

PIERWSZA KOBIETA.

Oj widzicie, jak djabły ludziom szczęście noszą,
Ta nędzarka, ta wdowa ze swoją kokoszą
W złotej karecie błotem na nas biednych bryzga.

DRUGA KOBIETA.

Oj prawda, że to gorzko, nam się to wyślizga,
Co się drugim dostało.

STARZEC.

A ja wam powiadam,
Że staruszka poczciwa, sam nasz ojciec Adam
Mógłby ją wziąć za żonę, lepiej mu przypadła
Niż Ewa.

PIERWSZA KOBIETA.

Bo bez zębów, jabłek by nie jadła.

STARZEC.

Pamiętajcie, że ona ubogie leczyła,
Ty sama, co tu wrzeszczysz, moja pani miła,
Już by cię dawno szatan pojął do swej chwały,
Gdyby nie ta staruszka.

DRUGA KOBIETA.

I mój Stasiek mały
Także jej winien życie, więc jej nie zazdroszczę,
Dalibóg nie zazdroszczę; wóz sianem wymoszczę
I pojadę w zamczysku odwiedzić staruszkę.

DZIEWCZYNA.

I Balladynie miło będzie widzieć drużkę.
Pojadę z tobą, matko.

DRUGA KOBIETA.

Jak chcesz, moje dziecię
To narwijże róż polnych i bławatów w życie,
Na wianek dla tej pani.

STARZEC.

Oj! nie jedź, kobieto!
Widzisz ten pożar?

DRUGA KOBIETA.

Cóż stąd, że słomą podbitą
Chatę spalili — cóż stąd?

STARZEC.

Widać, że się wstydzą
Chaty, słomy, bławatków i nas.

PIERWSZA KOBIETA.

Na to zgoda,
A mówiłam, że oni z biednych chłopków szydzą.

STARZEC.

Dajcie im święty pokój.

DZIEWCZYNA.

A ta panna młoda,
To zadzierała nosa! Widzieliście wczora.
Wstążkę czarną na czole miała zamiast wianka:
Wszystko, by się odróżnić... a w kosach równianka
Nie z białych róż, ze złotych. Twarz niby upiora
Blada. A uśmiech hardy; a kiedy się śmieje,
To ząbków ani widać.

DRUGA KOBIETA.

Nim słońce dogrzeje,
Jedźmy, dziewczyno, wozem do zamku Kirkora.

DRUGA DZIEWCZYNA.

Nie jedź! nie jedź.

DZIEWCZYNA.

Nie jadę.

DRUGA KOBIETA.

Stara wóz wymości
I pojedzie. Jak do nich mówić po godności?

STARZEC.

Grzecznie mówić.

DRUGA KOBIETA.

Pojadę.

DZIEWCZYNA.

Tego im i trzeba.
Każą ci na dziedziniec wynieść kawał chleba,
A ty się kłaniasz nisko jak wieko u skrzyni;
A pani z okna plunie. — Ha! mościa grabini,
Przyniosłam ci kosz jajek. — Wiecie wy, że ona
Była już na grabinę z dawna przeznaczona,
Bo miała wziąć za męża Grabka pijanicę,
Wiecie o tem? na Boga — to nie tajemnice;
Zwąchali się z Grabiczem; to dziw, gdzie on siedział?
Nie było go na ślubie.

PIERWSZA KOBIETA.

Może się dowiedział
I poszedł do jeziora z rozpaczy.

DZIEWCZYNA.

Nie łatwo
Wisusowi utonąć.

PIERWSZA KOBIETA.

Otóż Grabiec pędzi
Z lasu, jak zwykle wiejską otoczony dziatwą,
Niby kania od wróblów.

Grabiec wpada na scenę, za nim tłum dzieci.

DZIEWCZYNA.

Niech z wami gawędzi,
Jeśli dotąd nic nie wie, nie mówcie o niczem;
Narwę grochu na wianek.

Odchodzi.

DZIECI.

Z Grabiczem! z Grabiczem!
Tańcujmy! tańcuj, Grabku!

GRABIEC.

Precz, bachury!

STARZEC.

Gdzieżeś ty bywał? czemu tak ponury?

GRABIEC.

Co? gdziem ja bywał?

DZIEWCZĘTA.

I coś robił?

GRABIEC.

Rosłem.

DZIEWCZĘTA.

Co ty powiadasz?

GRABIEC.

Rosłem.

DZIECI.

On był osłem!
Grabiec był osłem.

GRABIEC.

Milcz, przeklęty tłumie,
Bo mi się zdaje, że liściami szumię.
Gdybym przynajmniej miał tyle gałązek,
Co miałem wczora, nie szczędził bym wiązek
Na wasze plecy.

DZIECI.

Co pan Grabek plecie?

GRABIEC, *do starca.*

Powiedz mi, starcze? czy to można w lecie?
Czy można to być? — dotąd korą świerzbię! —
Być wierzbą?

STARZEC.

Wierzbą można zostać wierzbie,
Ale Grabinie to nie.

GRABIEC.

A ja byłem
Wierzbą.

STARZEC.

Co mówisz?

GRABIEC.

Mówię, co mówiłem.
Bogdaj was djabeł pozamieniał w łozy,
Córki tej wierzby, i piekielne kozy
Wypuścił na was. Ale ja w rozpaczy;
Ja byłem wierzbą.

STARZEC.

Jednak to coś znaczy.
A byłeś w karczmie?

GRABIEC.

Wprzód nim wierzbą byłem,
To byłem w karczmie.

STARZEC.

I piłeś?

GRABIEC.

A piłem.

STARZEC, *śmiejąc się.*

Więc to sen, panie Grabku, wierzba owa!

GRABIEC, *pokazując na pogorzelisko.*

A gdzie ta chata?

DZIEWCZYNA.

Jaka?

GRABIEC.

Ta, gdzie wdowa
Żyła z córkami?

DZIEWCZYNA.

A toż chata stoi.

GRABIEC.

Gdzie?

DZIEWCZYNA.

Ty pijany!

GRABIEC.

Gdzie?

DZIEWCZYNA.

Tu!

GRABIEC.

Niech was poi
Rosą djablica, jak mnie napoiła,
Jeśli tu chata.

DZIEWCZYNA.

Chata się zmieniła
W twój nos czerwony, kiedyś ty się zmienił
W płaczącą wierzbę.

GRABIEC.

Bogdaj cię ożenił
Stokfisz w habicie z djabłem — a gdzie ona?

DZIEWCZYNA.

Kto?

GRABIEC.

Balladyna.

DRUGA DZIEWCZYNA, *wchodzi z grochowym wiankiem.*

Także przemieniona
W ten grochowy wianuszek, w grochowy wianuszek.

Rzuca na głowę Grabkowi wianek.

DZIECI.

Cha! cha! cha! groch na wierzbie rośnie zamiast gruszek,
Cha! cha! cha! panie Grabku! Grabku, gdzieś ty bywał?
A tu słowik kochance mężulka wyśpiewał.

DZIEWCZYNY.

A pan Grabek był wierzbą!

DZIECI.

Grabek rosnął w lesie!

DZIEWCZYNY.

A żoneczka w złocistej smyknęła kolesie.
Cha! cha! cha!

DZIECI.

Żeń się, Grabku, z miotłą czarownicy!
Cha! cha! cha!

STARZEC, *bierze Grabka za rękę.*

Chodź do karczmy, przy miodu szklanicy
Ja ci wszystko opowiem.

Wyprowadza Grabka.

DZIECI, *lecąc za Grabkiem.*

Gil, wróbel i dzierzba
Śpiewały na grabinie — a on rzekł: jam wierzba.
Nuż z niego kręcić dudy. Smyknęła dziewczyna!
Cha! cha! cha! wierzba, wierzbie, wierzbiątka, wierzbina.

Dzieci i cały tłum wychodzą za Grabkiem.

SCENA II.

Sala pyszna w zamku KIRKORA.

BALLADYNA wchodzi zamyślona w bogatej szacie — z wstążką czarną na czole.

BALLADYNA, *sama.*

Więc mam już wszystko... Wszystko... teraz trzeba
Używać... pańskich uczyć się uśmiechów
I być jak ludzie, którym spadło z nieba
Ogromne szczęście... Wszakże tylu ludzi
Większych się nad mój dopuścili grzechów
I żyją. Rankiem głos sumienia nudzi,
Nad wieczorami dręczy i przeraża;
A nocą ze snu okropnego budzi...
O! gdyby nie to!... Cicho — mur powtarza:
O! gdyby nie to...

Wchodzi Kirkor zbrojny z rycerstwem.

KIRKOR.

Moja młoda żono!
Jakże ci w moim zamczysku?...

BALLADYNA.

Spokojnie.

Wchodzi Fon Kostryn.

KOSTRYN.

Rycerze zbrojni czekają przed broną.[1]

BALLADYNA.

Grabia! dlaczego tak rano i zbrojnie?

KIRKOR.

Kochanie moje, odjeżdżam...

BALLADYNA.

Gdzie?

KIRKOR.

Droga!
Przysiągłem święcie taić cel wyprawy.

BALLADYNA.

Odjeżdżasz! ach, ja nieszczęsna!...

[1] brona, brama w starym polskim języku.

KIRKOR.

Na Boga!
Nie płacz, najmilsza... bo ci będzie łzawy
Głos odpowiadał nierycerskim echem...
Ani mię trzymaj przymileń uśmiechem,
Bo moje oczy, olśnione po słońcu,
Drogi nie znajdą... Niech pierś uniesiona
Ciężkiem westchnieniem z krągłego robrońcu[1]
Czarów nie rzuca, niech twoje ramiona
Wiszą ku ziemi jak uwiędłe bluszcze.

BALLADYNA, *rzucając się na szyję.*

Gdzie jedziesz? Mężu?... ja ciebie nie puszczę!
Dlaczego jedziesz? czyś poprzysiągł komu?

KIRKOR.

Sobie przysiągłem.

BALLADYNA.

Bogdaj ogień gromu
Bóg rzucał tobie przed konia podkową;
Może piorunem twój koń przerażony
Piorunem w bramę powróci zamkową.
Więc ty na długo chcesz zaniechać żony?

KIRKOR.

Za trzy dni wrócę...

BALLADYNA.

Czyś ty kiedy liczył
Ile w dniu godzin? ile chwil w godzinach?

KIRKOR.

Niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył
Życia na krótko, niechaj odda w czynach,
Co winien Bogu.

BALLADYNA.

Lecz ty winien żonie
Pozostać z żoną...

KIRKOR.

Nic mię nie zatrzyma,
Muszę odjechać — daj mi białe skronie.

Całuje w czoło.

Przed ludzi okiem, ty wiesz, że prawdziwe
Pocałowania dają się oczyma,
A biedne usta tak jako pierzchliwe

[1] Robroniec, robron suknia szeroka.

Jaskółki muszą w lot z białego kwiatka
Chwytać miodową pocałunku muszkę:
Bądź zdrowa, żono... Gdzie jest nasza matka?
Może śpi jeszcze, pożegnaj staruszkę:
Nie mogę czekać.

Odprowadzając na stronę.

W skarbcu masz pieniążki,
Szafuj i baw się... daj mi czoło białe
Jeszcze raz... żono! nie lubię tej wstążki,
Czoło należy do mnie, czoło całe,
Rozwiąż tę wstążkę...

BALLADYNA.

Mężu, uczyniłam
Ślub.

KIRKOR.

Ślub po siostrze... tak... lecz gdy powrócę,
To wiedz się z Bogiem, ale mi się wyłam
Z takiego ślubu.

BALLADYNA.

Tak...

KIRKOR.

Bo się pokłócę
Z tobą, kochanko... i to nie na żarty.
Bądź zdrowa... Chamy, na koń! niechaj warty
Czuwają w zamku.

Do Balladyny.

Wspominaj mnie

Odchodzi Kirkor i wszyscy, prócz Balladyny.

BALLADYNA, *sama.*

Mężu!
Odjechał... po co? Gdzie? Sumienia wężu,
Ty mi powiadasz: oto mąż odjechał
Szukać Aliny... ona w grobie... w grobie?
Lecz jeśli znajdzie grób? Tak się uśmiechał,
Jakby chciał mówić: przywiozę ją tobie,
A zdejmiesz wstążkę, jak przywiozę.

Fon Kostryn wchodzi.

KOSTRYN.

Pani!
Hrabia zaklina, abyś mu przez okno
Posłała uśmiech...

Balladyna staje w oknie i uśmiecha się.

Mężowie żegnani
Żon uśmiechami, sami we łzach mokną.

BALLADYNA, *odchodząc od okna.*

Pojechał.

Do Kostryna.

Ktoś ty, rycerzu?

KOSTRYN.

Dowódzca
Warty zamkowej.

BALLADYNA.

Nagrodzę ci hojnie
Czujność i wierność.

KOSTRYN.

Nie potrzeba bodźca
Temu, kto służy rycersko i zbrojnie
Tobie, grafini... Otośmy dostali
Zamkowi temu obronę tajemną:
Ach! my oboje będziemy czuwali,
Ja nad aniołem — ty anioł nademną.

BALLADYNA.

Jak się nazywasz?

KOSTRYN.

Fon Kostryn.

BALLADYNA.

Nie z Lachów?

KOSTRYN.

Z niemieckich książąt rodzę się.

BALLADYNA.

Wygnany?

KOSTRYN.

Jak biedny ptaszek z pod płonących dachów
W lot się puściłem... dziś obcy, nieznany
Własnej ojczyźnie, sługa w obcym kraju;
Niech to nie będzie mojem potępieniem,
Ty także obca...

BALLADYNA.

Co?

KOSTRYN.

Ty jesteś z raju.
Odchodzi.

BALLADYNA, *sama.*

Jak się ja prędko poznałam spojrzeniem
Z tym cudzoziemcem — Ja mu nic nie winna —
Szukałam okiem przerażonem w tłumie
Kogoś. — Wierzyłam, że tu być powinna
Bratnia mi dusza... dusza moja... z moją...
Zacząć — jak? spojrzeć — jeżeli zrozumie,
Przemówić. — Dziwnie, że się ludzie boją
Ludzi jak Boga i więcej niż Boga. —
Będę odważną z ludźmi...

Wchodzi wdowa ubrana jak w drugim akcie w świątecznym ubiorze.

WDOWA.

Córko droga!
Co to się stało? królewic odjechał?

BALLADYNA.

Cóż stąd?

WDOWA.

Nazajutrz po ślubie zaniechał
Żoneczki młodej... czyś go zagniewała?
To by źle było! Jakże ty dziś spała,
Gołąbko moja? wszak mówią, że trzeba
Pamiętać zawsze sen na nowem łożu.
Otóż ja śniłam, że do mnie aż z nieba
Przyszła Alina, ot tak, niby w morzu
Płynąc w obłoczkach... i rzekła...

BALLADYNA.

Różaniec
Mów lepiej, matko.

WDOWA.

Czy ty chcesz kaganiec
Włożyć na usta matce?

BALLADYNA.

Matko stara,
Zamek nie chata, tu zatrudnień chmara,
Tu nie snów słuchać...

Wchodzi sługa.

SŁUGA.

Jakaś tam hołota
Stoi przed bramą i wykrzyka hardo,
Aby ją puścić przez zamkowe wrota.
A straż złożoną na krzyż halabardą

Zamknęła bramy... Ta chłopianka stara
Z drabiniastego woza bez ustanku
Krzyczy żołnierzom: powiedz, mój kochanku,
Matce Kirkora żony, że Barbara,
Jej przyjaciółka zjeżdża w odwiedziny.

WDOWA.

To moja kuma... jakie tam nowiny?

BALLADYNA.

Odprawić ten wóz.

WDOWA.

Balladyno?

BALLADYNA.

Matko!
Czy ci się sprzykrzył zamek?... dobra droga,
Możesz odjechać z tą starą.

WDOWA.

Co? klatką?
Tym drabiniastym wozem? — A! na Boga!
Córko! co mówisz?

BALLADYNA.

O! to żarty... żarty...
Każ, matko, wóz ten wyprawić.

WDOWA, *z westchnieniem.*

Wyprawcie. —
Powiedzcie, że śpię.

BALLADYNA, *do sługi.*

A jeśli uparty
Wóz nie odjedzie, rozumiecie — warty
Czuwają w zamku...

WDOWA, *do sługi.*

Tylko nie nabawcie
Biedy, to stara.

Sługa odchodzi.

Prawda, córko moja,
Gdyby przyjmować, toby tu jak z roja
Sypało chłopstwo. Niechaj nas kochają
Zdaleka — prawda? Córki rozum mają,
Ty nie głupiutka; kiedy zaczniesz prawić,
To księdza nawet nie zrozumie głowa.
Moja córuniu! każ ty przecie sprawić
Sukienkę matce, bo już ta cycowa

Ma blade kwiatki, a jak tu kobiecie
W szarak się ubrać? Córko! moje życie!

BALLADYNA.

To jutro, matko, przypomnij. — A tobie
Starej kobiecie lepiej nie wychodzić
Z ciepłej komnaty...

WDOWA.

Ach! nudno jak w grobie
Tak samej siedzieć... Czy ty chcesz zagrodzić
Zamek matuli?

BALLADYNA.

Nie, nie!

WDOWA.

Balladyna
Kocha mię? prawda, córko? A malina
Na twojem czole? ta plama... o! pokaż...
Czy boli ciebie? Ty nigdy nie kwokasz,
Kurko, choć boli... a to może boli?...

BALLADYNA.

Dosyć już, matko.

WDOWA.

Woda z pod topoli
Obmyć nie mogła... o! córko kochana...
To jakaś dziwna i okropna rana,
Bladniesz, by o niej wspomnieć...

BALLADYNA.

Więc dlaczego
Wspominasz, matko?...

WDOWA.

To z serca dobrego...
Z dobrego serca.

BALLADYNA.

Wierzę, wierzę, wierzę!
Matko! idź teraz do siebie na wieżę.

WDOWA.

Do mojej ciupy?...

BALLADYNA.

Tam ci jeść przyniosą...
I pić przyniosą.

WDOWA.

I pić jak ptaszkowi?

BALLADYNA.

Idź, matko.

WDOWA.

To już z moją siwą kosą
Będę się bawić... Tylko służalcowi
Każ mi jeść przynieść... nie zapomnij...

Odchodzi.

BALLADYNA, *sama.*

Piekło!
Mieszam się, bladnę... Ja się kiedyś zdradzę
Przed matką, mężem... Wszystko się urzekło
Na moją zgubę. Ludzie jako szpaki
Uczone mowy przez okropną władzę
Sprawiedliwości, nie myśląc o mowie,
Tak mówią, jakoby tajnymi szlaki
Dążyli ciągle w głąb serca. Surowie
Kładą sędziego pytanie: czyś winna?
Krętymi słowy... Matka, mąż, oboje,
I mąż i matka — ta kobieta gminna,
Trzeba ją kochać, to matka.

Kostryn wchodzi na scenę.

KOSTRYN.

Pokoje
Kazałem suto osnuć w złotogłowy.
Dziś dzień poślubny... dziś na dwór zamkowy
Zjadą się liczne pany i rycerze,
Wasale twoi...

BALLADYNA.

Trzeba zamknąć wieżę.
Gdzie mieszka moja... mamka... ona chora,
Snu potrzebuje.

KOSTRYN.

Jakto? ta potwora
Mlekiem poiła twoje usta śliczne?
Ach! nie... Ta chyba bogini niebieska,
Co na błękity lała drogi mleczne,
Tak, że się każda białych piersi łezka
W gwiazdę mieniła, i dziś ludziom płonie;
Ta sama chyba na śnieżystem łonie
Ukołysała ciebie.

BALLADYNA.

Mój rycerzu,
Złote masz usta.

KOSTRYN.

Ty djamentowe
Serce — kazałem na Gopła pobrzeżu
Zapalić smolne beczki i ogniowe
Słupy; do ognia weselnego lecą
Weseli goście. Czy pochwalasz, pani?

BALLADYNA.

Czyń, jak przystoi.

KOSTRYN.

Wieże się oświecą
Jasnym kagańcem, i tylko wybrani
Goście do zamku mają być przyjęci.
Właśnie dziś jakiś prostak bez pamięci
Wdzierał się tutaj, kazałem go psami
Poszczwać za wrota. Śmiałek nad śmiałkami,
Psom odszczekiwał ciągle, że znał ciebie,
A w takich ustach to bluźnierstwo srogie.

BALLADYNA.

Któż by to mógł być?

KOSTRYN.

Ktoś z tych, co po chlebie
Pańskim się włóczą, i szaty ubogie
Łatają nitką wyskubaną z płaszcza
Panów, gdy nadto blisko przypuszczają
Taką hołotę... wyszczekana paszcza.
O! ty go nie znasz... twe usta nie mają
Zgłosek na takie imię — jakiś gbura
Grabiec.

BALLADYNA.

Co? Grabiec? tego chłopstwa chmura,
To jak szarańcza.

KOSTRYN.

Przebacz im, Grabini.
Królowa kwiatów napróżno obwini
Chłopianki ulów, że koło niej brzęczą.
Albo się obwiń niewidzialną tęczą
Przed ludzi okiem; albo znoś cierpliwie
Nasze wejrzenia.

BALLADYNA.

O! ty syn książęcy
Mięszasz się próżno z tymi, co na niwie
Wiejskiej wyrośli... z tysiąca tysięcy
Możesz być pierwszym, byleś tajemnicy
Umiał dochować.

Kostryn przyklęka i całuje kraj szaty.

Chodźmy do skarbnicy
Zaczerpnąć nieco złota, aby godnie
Gości przyjmować.

KOSTRYN.

Poniosę pochodnię.

Kostryn poprzedza z pochodniami Balladynę — wychodzą.

SCENA III.

Las przed chatą pustelnika.
KIRKOR zbrojny — PUSTELNIK z koroną w ręku.

PUSTELNIK.

Kirkorze, oto złocista korona.
Więc może kiedyś za twoją pomocą
Wróci na Gniezno, i nie zakrwawiona
Błyśnie ludowi.

KIRKOR.

Widzisz, jak ją złocą
Promienie słońca; dobra wróżba.

PUSTELNIK.

Boże!
Świeć naszej sprawie... Dam ci jedną radę.
Młodziutką żonę pojąłeś, Kirkorze?

KIRKOR.

Pełna prostoty, spokojny odjadę.

PUSTELNIK.

Wtenczas w kobiecie całą ufność kładę,
Jeżeli wolna od wad matki Ewy.
Doświadcz ją. Poślij zapieczętowaną
Skrzynię małżonce, i srogimi gniewy
Zagroź, jeżeli znajdziesz rozłamaną
Pieczęć małżeńską.

Wynosi żelazną skrzynkę.

KIRKOR.

Dobrze, niech tak będzie.
To moja pieczęć, dwie złote żołędzie
W paszczy dzikowej. Pójdź sam, wierny sługo.

Wchodzi sługa.

Zanieś to żonie, a jakkolwiek długo
Będę się bawił, niechaj nie owtiera,
Bo ja tak każę.

Sługa odchodzi.

Ona taka szczera!
Ach! ty mi szczęścia pokazałaś drogę,
Czynami tylko zawdzięczyć ci mogę.
Żegnaj mi, starcze... Królem cię powitam.

PUSTELNIK.

Na twojem czole już zwycięstwo czytam.

Odchodzi Kirkor, słychać tętent oddalających się koni.

KIRKOR.

Na koń, rycerze!

PUSTELNIK.

Czemu się ten rycerz
Dwudziestą laty pierwej nie urodził.
Byłem na tronie, to kraj cały płodził
Same poczwary; jak niezdatny snycerz,
Który w kamieniach szuka ludzkiej twarzy
I czyni ludziom podobne kamienie,
Ale bez duszy... Czyli przyrodzenie,
Nim stworzy, długo o stworzeniu marzy,
Długo próbuje, naprzód tworząc karcze,
A potem ludzi jak Kirkor.

Wchodzi Filon — fantastycznie ubrany.

FILON.

O! starcze!
Gdzie jest kochanka moja?

PUSTELNIK.

Nie ożyła.

FILON.

Ach! to mi pokaż, gdzie leży mogiła
Serca mojego? Niechaj widzę, jakie
Kwiaty wyrosły z posianej nadziei.
Blade być muszą.

PUSTELNIK.

O! wieczna płacznico!
Czemu bezczynny błądzisz w leśnej kniei?
Biegnij z Kirkorem twoje złote włosy
Odziej żelazną rycerza przyłbicą
I na tę szalę, która ludzkie losy
Waży na ziemi, rzuć ziarnko makowe
Twojego życia, może los przeważy.

FILON.

Gdzie jej mogiła? gdzie?

PUSTELNIK.

Gliny surowe
Pierś już wyjadły, a po białej twarzy
Robactwo łazi.

FILON.

O nie! ona w ziemi
Jako rzek Nimfa na glinianym dzbanku
Dłonią oparta, dzban malinowymi
Leje gwiazdami, i w różowym wianku
Trzyma zaklętą na malin ruczajek
Białą jej postać... zbudzić się nie może;
Oczka aż listkiem niezapominajek
Z grobu wyrosną, w rubinowe zorze
Mogiły patrzą gwiazdami błękitu.
W grobie się błyszczy.

PUSTELNIK.

W grobie tyle świtu,
Co nad kołyską marzeń.

FILON.

A cień blady
Nieraz tam błądzi, gdzie zwieszone smutnie
Nad grobowcami brzozy jako lutnie,
Od słowikowej trącane gromady,
Płaczą i szumią listkowymi struny.
Nieraz ją srebrne uplączą piołuny,
Nieraz rozkwitły zatrzyma bławatek,
Nieraz jak dziecko staje... i westchnieniem
Zdmucha cykorji opuszony kwiatek.
Ciało jej leży pod zimnym kamieniem;
Duch na promykach księżycowych pływa,
I nieraz płocho te kwiatki obrywa,
Co każdym listkiem liczą szczęścia chwile.
Ach, powiedz, starcze... więc ludzie w mogile
Marzą o szczęściu?...

PUSTELNIK.

Umrzej, to się dowiesz.
A jeśli wrócisz z grobu, to opowiesz
O tych marzeniach sumieniom zbrodniarzy;
A może będą spali cicho w łożu...

FILON.

Pójdę... i stanę na leśnem rozdrożu.
Jeżeli jaka jaszczurka zielona
Pobiegnie w prawo, to w grobie się marzy...
Jeśli na lewo... to człowiek — nic — kona
I nie śni...

Odchodzi Filon.

PUSTELNIK.

Ileż rodzajów nędzarzy
Na biednym świecie — ziemia, to szalona
Matka szalonych — któż to znowu?

Balladyna wbiega prędko.

Kto ty?

BALLADYNA.

Pani z bliskiego zamku.

PUSTELNIK.

Czego żądasz?

BALLADYNA.

Wiem, że znasz ziółek lekarskie przymioty,
Że leczysz rany.

PUSTELNIK.

Zdrowo mi wyglądasz.
Pokaż zranione miejsce.

BALLADYNA.

Starcze!

PUSTELNIK.

Lekarz
Powinien wiedzieć...

BALLADYNA.

Czy ty mi przyrzekasz
Wyleczyć?

PUSTELNIK.

Pokaż tę ranę!

BALLADYNA.

Na czole.
Patrz! ha... co?

PUSTELNIK.

Niby miesiąc w mglistem kole
Krwi... twoja rana... czerwona i sina.
Powiedz mi, jaka, jaka straszna wina
Przyczyną?

BALLADYNA.

Żadna.

PUSTELNIK.

Lekarz musi wiedzieć,
Wprzód nim wyleczy.

BALLADYNA.

Czerwona malina
Splamiła czoło.

PUSTELNIK.

Musisz mi powiedzieć,
Kiedy to było?

BALLADYNA.

Wczora.

PUSTELNIK.

Wczora rano?

BALLADYNA.

Tak.

PUSTELNIK.

Daj mi ręką posłuchać uderzeń
Twojego serca — Czy pod zapłakaną
Wierzbą nie rosły maliny? Mów śmiało;
Żądam od ciebie spowiedniczych zwierzeń.
Czy ta malina była kiedyś białą?
A tyś ją może sama zczerwieniła?
Przyłóż do serca tę, co cię zraniła,
Malinę...

Odpycha ją gwałtownie.

Biada tobie! serce twoje
Wydało...

BALLADYNA.

Starcze!

PUSTELNIK.

Tyś siostrę zabiła!

BALLADYNA.

Nie — nie — masz złoto — jeszcze tyle troje
Przyniosę...

PUSTELNIK.

Słuchaj, za co płacisz?

BALLADYNA.

Nie wiem...

PUSTELNIK.

Ta rana ciebie piekielnym zarzewiem
Pali... ha?...

BALLADYNA.

Pali...

PUSTELNIK.

I spałaś dziś?

BALLADYNA.

Spałam.

PUSTELNIK.

Z tą raną?...

BALLADYNA.

Starcze, ja nic nie wyznałam.

PUSTELNIK.

Nic! o przeklęta! a za coś płaciła?

BALLADYNA.

Za twoje leki.

PUSTELNIK.

Bogdaj rana gniła,
Aż cienie śmierci na całą twarz padną;
A moje ziółka piekłu nie ukradną
Żadnego bolu...

BALLADYNA.

Starcze, biada tobie!

PUSTELNIK, *z ironją.*

Co? ty mi grozisz, kiedy ja chorobie
Obmyślam leki? czary piekieł trudzę,
Aby tę ranę zmazać z twego czoła.
Chcesz? siostrę twoję umarłą obudzę.

BALLADYNA.

Obudzisz?

PUSTELNIK.

Siostra niech siostry zawoła,
Umarła wstanie i tę ranę zmaże.
Chcesz?

BALLADYNA.

Gdybym miała trzy wybladłe twarze,
Na każdej twarzy trzy straszniejsze plamy,
Wolę ja nosić aż do Boga sądu,
Niż...

PUSTELNIK.

Milcz, zbrodniarko! teraz my się znamy
Do głębi serca... Niechaj z tego trądu
Lęgną się w mózgu gryzące robaki,
W sumieniu węże; niech kąsają wiecznie,
Aż umrzesz wewnątrz, a zgniłymi znaki
Okryta, chodzić będziesz jako żywe
Trupy! precz! precz! precz! ty musisz koniecznie
Czekać, co Boga sądy sprawiedliwe

Uczynią z tobą... A coś okropnego
Bóg już przeznaczył, może jutro spełni.
Może odmówi chleba powszedniego,
Może ci włosy kołtunami zwełni,
Potem zabije niewyspowiadaną
Ogniem niebieskim... Biada! jutro rano
Na murach zamku ujrzysz Boga palec.
Ty jesteś jako zjadliwy padalec,
A jeszcze gorszą plamę masz wyrytą
Na twojem sercu, niż na twojem czole.
Co... Czyś ty martwa... Obudź się, kobieto...
Obudź się... słuchaj.

BALLADYNA, *jak ze snu.*

Co to? ha! wyrzekłeś,
Że siostra moja zbudzi się?... ja wolę
Umrzeć — Dlaczego ty się, starcze, wściekłeś?
Biada ci! Biada!

Ucieka.

PUSTELNIK, *sam.*

W smutnej lasów ciszy,
Zbrodnia jak dzięcioł w drzewa bije suche;
A cięcie noża daje takie głuche
Echo, jak topór kata, kiedy rąbie
Głowy na pniaku. Bóg to wszystko słyszy,
Wszystko zamyka w tej okropnej trąbie,
Co kiedyś będzie na sąd wołać ludzi.

Słychać śmiech w lesie.

Wszelki duch! W lesie śmieją się szatani!
Wiedźma Goplańska z djablików orszakiem
Śmieszy ponure dęby, a z płaczących
Brzóz się najgrawa.

Słychać odgłos łowów i psów ujadanie.

To łowiec umarły
Mglistymi psami mgliste pędzi tury,
Błyskawicowym wichrem oślepione.
Pójdę... i łowy przeżegnam, niech giną
Na wieki wieków... Lecz to nierozsądek!
Sąsiedztwo djabłów mienić w nieprzyjaciół.

Słychać dzwony podziemne.

Cóż to?... zalane przed wiekami miasta
Wołają z Gopła do Boga o litość
Płaczem wieżowym... Może jaki krzyżyk
Wieży sodomskiej między lilijami

Widać na fali?... pójdę — nie wytrzymam —
Pójdę przeżegnać miasto potępione;
Może spokojne pod modlitwą starca
Snem cichym zaśnie w pogrobowej fali,
Jak potępiony człowiek, za którego
Dziecię się modli.

SCENA IV.

Las jak poprzednio. SKIERKA i CHOCHLIK.

CHOCHLIK.

Poleciał... głupi jak wrona.

SKIERKA, *bierze porzuconą na kamieniu koronę.*

Patrz, oto starca korona.
Niechaj na włosach Goplany
Od księżycowych promyków
Błyska jak wianek ogników,
Związany włosem i wlany
W gniazdeczko złotych warkoczy.

CHOCHLIK.

Patrz, nasza pani tu kroczy.

Grabiec i Goplana wchodzą na scenę.

GRABIEC.

Moja najmilsza wiedźmo, deszczowa panienko,
Tobie jezioro łożem, a chmura sukienką;
Gdy po lesie przechodzisz, każdy kwiat i drzewo
Wołać by cię powinien, chodź, panno ulewo!
Oraczowi by ciebie mieć nad suchą niwą.
A gdybym ja był kwiatkiem, gorczycą, pokrzywą,
Albo rumiankiem, wtenczas wieczną tobie miłość
Przysiągłbym i w małżeńską wstąpiłbym zażyłość.
Ale ja, na nieszczęście, nie kwiat, ani ziele;
Człowiek mięsny, panienko; a moje piszczele
Skórę wychudłą podrą jak ostre nożyce,
Jeśli je mgłą napoję, gwiazdami nasycę.
Więc kłaniam uniżenie.

GOPLANA.

O! biada mi, biada!
Dziś moja róża na pieńku opada,
Dziś jakiś rybak otruł złotą stynkę,[1]
Pieszczotę moję; dziś miłą ptaszynkę,

[1] drobna rybka *salmo eperlanus. (P. W.).*

Co mi śpiewała nocą nad jeziorem,
Na srebrnej brzozie chłop zabił toporem
I drzewo zrąbał...

GRABIEC.

Dzisiaj mnie sowito
Wierzbami pod zamczyskiem Kirkora obito;
To prawdziwe nieszczęście, plecy świerzbią. — Ale,
Skoro w tym zamku biją a karmią wspaniale,
Gdy z odkręconych dzióbków u rynien w rynsztoki
Płynie jasna gorzałka; więc każą wyroki,
Abym przystał na służbę do kuchni Kirkora.

GOPLANA.

Co? zawsze do niej! do niej! Jeszcze wczora
Widziałeś serce tej kobiety. Miły,
Czego zażądasz? władzy, bogactw, siły,
Zmienionej twarzy; chociażby kamyka,
Co sprawia cudem, że przed ludźmi znika
Człowiek, jak widmo rozpłynione we śnie;
Wszystko mieć będziesz. Jakże mi boleśnie
Czarami twoje zakupować serce! —
Chcesz li mieć owe skrzydlate kobierce,
Co noszą ludzi, gdzie myślą zażądać?
O! miły, powiedz?... Czy pragniesz wyglądać
Jako ów rycerz zjawiony na chmurze
Szykom Lechitów? w złocie i lazurze
Od stóp do głowy?

GRABIEC.

Więc od stóp do głowy
Miłoby mi wyglądać jako król dzwonkowy,
W koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na prawicy,

Na stronie.

Jak się teraz wywikła wiedźma z obietnicy?

Głośno.

Niech mam berło, koronę, płaszcz, złote trzewiki,
Od stopy aż do głowy jak pan król...

GOPLANA.

Djabliki!

Lećcie u zorzy
Prosić purpury,
Pereł u róży,
Szafiru u chmury,
U nieba błękitu.
A złota u świtu;

A może gdzie zawieszona
Na niebie tęczowa nić,
To tęczę wziąć na wrzeciona,
I wić i wić i wić.

Odbiegają Skierka i Chochlik.

Do Grabka.

O jakiej zamarzysz postaci,
Zakreślony, w czarów kole,
Taką moc Goplany da ci
Postać, szaty, rysy, dolę...

GRABIEC.

W mojej myśli dzwonkowe szastają się króle.

GOPLANA, *zakreśla koło.*

Stój cicho, nie wychodź z koła.
Słyszysz, jak szumi puszcza wesoła,
Jak po gałązkach sosen, leszczyny,
Zlatują na dół śpiewne ptaszyny,
Złociste wilgi, gile, słowiki.
Z nimi ciekawe słońca promyki
Spływają do nas przez listki drżące.
Ale się wkrótce niebo zachmurzy,
We mgle przelecą złote miesiące,
I gwiazdy blade jak tuman burzy
Z błyskawicami.

Skierka i Chochlik niosą szaty i koronę.

SKIERKA.

Wszystko gotowe.

GRABIEC, *poziewa.*

A! a! spać chcę...

GOPLANA.

Pochyl głowę.
Zaśnij — obudzisz się skoro.
We śnie cię duchy ubiorą
Na marę twego marzenia.

GRABIEC, *kładąc się.*

Cudy... Dobranoc, panie Grabku... do widzenia
Na tronie... dobrej nocy, synu organisty,
Polecam się pamięci i afekt strzelisty
Łączą...

Poziewa.

A! a! a! cudy...

Zasypia.

GOPLANA.

Czuwajcie nad sennym,
Ja czary piekieł zamówię.

Ściemnia się — czerwone chmury przechodzą i widma otaczają Goplanę odwróconą.

SKIERKA.

Okryć go płaszczem promiennym,
Wdziać mu złociste obuwie.

Ściemnia się zupełnie. — Na głowie Goplany pokazuje się półksiężyc.

Perła rosy z płaszcza kapie;
Zbierz te perełki po trawie
I znów przyszyj na rękawie.

CHOCHLIK.

Król dobrodziej w dobrej chrapie,
Na drugi bok się przewraca.

SKIERKA.

Goplano, niech światło wraca,
Już się twój miły przetwarzył.

Goplana daje znak — księżyc z jej czoła znika — i światło wraca.

GOPLANA, *patrząc na śpiącego.*

Jaką on sobie dziwną postawę wymarzył?

Grabek wstaje z ziemi jak król dzwonkowy.

GRABIEC, *poziewając.*

A—a—a—a dobry dzień... a — piękna pogoda.
Co to? włosy na brodzie. — Djabła! — siwa broda.
Co to znaczy? w co znowu przewierzgnęły biesy?
Jaki płaszcz! jakie dziwne na piersiach floresy.
Śniło mi się... Dalibóg nie wiem, co się śniło,
Karczma podobno, piwo z beczek się toczyło,
I był potop, w potopie pływałem jak ryba.
Sztuczka djabla zrobiła ze mnie wieloryba,
Lewiatana [1] w złocistym płaszczu, z siwą brodą.
Ha! chodź tu, moja wiedźmo, moje szklane dziwo,
Powiedz, kto mnie tak złotem i brodą ozdobił?
Powiedz, co się zrobiło ze mnie?

GOPLANA.

Król się zrobił.

[1] Lewiatan, potwór biblijny.

GRABIEC, *sięga do głowy, znajduje koronę.*

Więc niech się nie odrabia to, co już zrobione.
Sięgnęła ręka głowy, znalazła koronę.
Cudy...

GOPLANA.

Nosisz prawdziwą koronę Popielów...

GRABIEC.

Widzę, że służy ludziom do tych samych celów,
Co czapka, kryje uszy. A to?

Pokazuje berło drewniane.

GOPLANA.

Berło twoje.

GRABIEC.

Jak chesz, miły węgorzu, ja sobie uroję,
Że to berło; niech oko rozumowi sprzyja
I powie, że to berło. Skąd wy tego kija
Wzięli, djabliki moje?

CHOCHLIK.

Gdy cię Grabkiem zwano

GRABIEC, *ze wzgardą.*

Nie mów mi o tym Grabku.

CHOCHLIK.

Gdyś był wczora rano
Obywatelem lasu, wierzbą, z królo-drzewa
Filon ułamał gałąź.

GRABIEC.

I ta ręka lewa
Nosi tę samą korę, którą ja porastał,
I ta kora jest berłem... Ha! to będę szastał
Tym berłem po grzbiecinach. — Ach! wielka mi szkoda,
Że się do nieba dostał ojciec golibroda,
Wrazby oszastał długie kędziory po brodzie.
Moja wiedźmo, co chodzisz jak święta po wodzie,
Nie możesz ty mię z łaski swojej brody zbawić?
Nie?... basta... jaki balwierz potrafi się wsławić
Na tej królewskiej brodzie. Ha! a jeszcze warto
Dać mi jabłko do ręki, a z dzwonkową kartą
Będę chodził po świecie jako ze zwierciadłem.

SKIERKA.

Na jabłko królewskie skradłem
Chłopakom z bliskiego sioła
Bańkę z mydła; a dokoła

Tak piekło słońce, że z głową
I z nogami w kryształową
Siadłem kulkę. Lecę, lecę...
Wtem banieczka moja złota
Na błękitnej siadła rzece;
I konik polny — niecnota!
Kiedy pod tęczowem szkiełkiem
Usnąłem spokojnie w łódce,
Zbił ją gazowem skrzydełkiem
I uciekł... a ja rozespan
Na niebieskiej niezabudce
Ocknąłem się.

GRABIEC.

Djabliku, to znaczy, że jest pan
Głupi jak but; bo jabłko, choć jabłko królewskie,
To jabłko, nie zaś żadne migdały niebieskie.

Chochlik daje mu jabłko.

Dzięki składam waszeci — dobre... a czy winne?
Więc mam wszystko, co król ma. Ach! ach! A gdzie gminne

Kosztuje.

Szołdry? poddani moi, którym ja panuję?

GOPLANA.

Wszystko, co na tej ziemi moją władzę czuje,
Ptaszyny, drzewa, rosy, tęcze, każdy kwiatek
Jest twojem.

GRABIEC.

Trzeba zaraz nałożyć podatek.
Słuchajcie mnie... a kodeks niech będzie wykuty
W spróchniałej jakiej wierzbie. Odtąd brać w rekruty
I żubry i zające, i dziki i łosie.
Kwiaty, jeżeli zechcą kąpać listki w rosie,
Niech płacą, rosę puszczam w odkupy żydowi;
Niech mi wódką zapłaci. Każdemu szpakowi
Kazać nie myśleć wtenczas, kiedy będzie gadał.
Zabronić, aby sejmik jaskółczy usiadał
Na trzcinach i o sprawie politycznej sądził.
Wróblów sejmy rozpędzać; ja sam będę rządził
I wieszał i nagradzał. Jaskółkom na drogę
Dawać paszporty, w takich opisywać nogę,
Dziób, ogonek i skrzydła i rodzinne znaki.
Odtąd nie będą dzieci swych posyłać ptaki
oD niemieckich zakładów, gdzie uczą papugi;
Wyjęte sroki, które oddają usługi
Ważne mowie ojczystej. Z cudzych stron osoby,
Jak to: kanarki... śledzić. Na obce wyroby

Nakładam cło... od łokcia tęczy wyrobionej
W kraju słońca, księżyca, białej lub czerwonej,
Albo fioletowej, byleby jedwabnej,
Płacić po trzy złotniki... a od sztuki szwabnej
Płótna z białych pajęczyn...

GOPLANA.

O czem gadasz, drogi?

GRABIEC.

Co? króluję — skarb łatam ubogi.
Róża płaci od pączka, od kalin kalina,
Od każdego orzecha zapłaci leszczyna,
Czy to pusty, czy pełny; mak od ziarnek maku,
Nie od makówek. Głowa na mnie nie dla znaku...

GOPLANA.

Zostawiam ci Chochlika, Skierkę, niechaj służą,
Niechaj zrywają kwiaty, a strzęsioną różą
Osypią, kiedy zaśniesz. Bądź zdrów, do wieczora.
Będę ciebie czekała nad brzegiem jeziora,
I płacząc, piosnką płaczu wabiła słowika.

Odchodzi Goplana.

GRABIEC.

Aż mi lżej, że ta rybia galareta znika.
Hej, poddani!

Do Chochlika.

Ty jesteś królewskim ministrem,
Boś głupi.

Do Skierki.

A ty, drugi djable z oczkiem bystrem,
Błaznem; śmiesz mię, łajdaku, aż z radości pęknę.
Ministrze, gdzie mój powóz?

CHOCHLIK.

Cztery konie piękne,
Czarne, księżycowymi wierzgają podkowy;
I wóz na ciebie czeka Mefistofelowy,
Ale nie mów Goplanie.

GRABIEC.

Dlaczego?

CHOCHLIK.

Bo ona
Nie chce pożyczać z piekła.

GRABIEC.

Szalona! szalona!
Jeśli djabeł pożycza, bierz, bo takie wozy
Oszczędzają ci butów...

Do Skierki

Ty będziesz wiózł z kozy.
Minister za forysia... teraz jechać pora.

SKIERKA.

Gdzie król jedzie?

GRABIEC.

Na ucztę ślubną do Kirkora.

Odchodzą wszyscy.

SCENA V.

Sala w zamku KIRKORA. — KOSTRYN sam.

KOSTRYN.

Za pustelnika celą drzewami ukryty,
Słyszałem tajemniczą spowiedź tej kobiety.
O! szczęście! — teraz panem złotej tajemnicy;
Mógłbym ją z pałacowej rozkrzyczeć wieżycy,
Albo mojemu panu wiernie opowiedzieć,
Albo okropną powieść wyrazami cedzić
Jako piasek klepsydry w pani trwożne ucho,
Aż zobaczę skarbnicę tego zamku suchą
Jak czoło Araratu... Wraca Balladyna.
Mogę mieć ją i skarby... Szczęśliwa godzina.

Staje na stronie.

BALLADYNA

O wszystkiem wie ten człowiek stary... powie drzewom,
Drzewa będą rozmawiać o tem w głuche noce,
Aż straszna wieść urośnie. O! biedneż wy myśli,
Jak dzieci nierozumne cieniów się lękacie.
Ten starzec słowa moje łączy, składa, zbiera,
I mówi: być nie może... ta kobieta młoda
Nie zabiła. A jeśli nie, jeżeli pewny;
A któż w taką rzecz może uwierzyć jak w pacierz...
Ale jeśli uwierzył — jeśli przechodniowi
Zbłąkanemu opowie straszną zbrodnię pani,
Nim wymówi nazwisko, zlęknie się jak prostak
Zemsty możnego pana. A może — jeżeli
Dobre ma serce starzec, na końcu języka
Znajdzie litosną radę: na co ludziom szkodzić?

A może już zapomniał, a ja nierozsądna
Myślę, o czem ten starzec myśleć już poprzestał .
Bo i czemże ja jestem, aby mną się ludzie
Zajmowali, śledzili, chcieli gubić? Piekło!
Tysiącem słów nie mogę zabić tego słowa:
On wie. Na cóżem poszła do tego człowieka?
Straciłam się: szatańska ręka mnie zawiodła.
I pomyśleć? że gdyby nie te odwiedziny,
Starzec byłby jak owe ludzi miljony,
Których nigdy na świecie nie spotkałam. Myśleć!
Że ta sama godzina, trwożnych myśli pełna,
Byłaby jak wczorajsze godziny, i może
Spokojniejsza; bo wszakże wieleby się strachu
Przez jeden dzień zatarło tajemniczą ciszą.
Teraz wszystko na nowo odradza się z twarzą
Okropniejszą. Zazdroszczę tej, co dzisiaj rano
Mną była.

Kostryn zbliża się.

KOSTRYN.

Pani! od Grafa przysłany
Z darami goniec — na rozkazy czeka.

BALLADYNA.

Dary od męża? zawołaj człowieka.
Niech je tu złoży. Stój... czy tobie znany
Ów żebrak, który mieszka w lesie, stary?

KOSTRYN.

Pustelnik?

BALLADYNA.

Nie wiem, czemu się nawinął
Na myśl... gdzie goniec z przysłanymi dary?
Zapewne drogie?

KOSTRYN.

Pan Graf zawsze słynął
Szczodrobliwością ... i był nakształt słońca,
Co wszędy żywne rozsypuje blaski.

BALLADYNA.

Ciekawa jestem nowej męża łaski.
Zawołaj zaraz — zawołaj tu gońca.

Kostryn odchodzi.

Gdyby te dary, gdy nie przerażona
Myśl — Na co było pytać się Kostryna
O tego starca?

Wchodzi Kostryn i Gralon.

GRALON.

Przezemnie Gralona
Kirkor pozdrawia.

BALLADYNA.

Zdrów?

GRALON.

Zdrów jak malina.

BALLADYNA.

Czy mąż ci kazał taką osłodzoną
Przynieść odpowiedź?

GRALON.

Graf dał polecenie,
Abym tę skrzynię z pieczęcią czerwoną
Przyniósł do zamku i nakazał żonie,
Tobie, Grafini, abyś nie ruszała
Pieczęci jego, ni kłódek u wieka,
Aż sam powróci.

BALLADYNA.

Bogdajbym skonała,
Jeśli rozumiem głos tego człowieka!
Powtórz.

GRALON.

Graf Kirkor...

BALLADYNA.

Wiem, ale dlaczego
Skrzynię okutą i przysłaną w darze
Kazał mi chować aż do dnia sądnego
Zamkniętą.

GRALON.

Mówił pan: bo ja tak każę...
Nic więcej...

BALLADYNA

Głupcze! Twoją głowę ciasną
Nosisz na karku w skorupie blaszanej,
Aby w niej wróble jak w dziurawym garnku
Gniazda winęły. Skrzyni okowanej
Nie ruszać? Ha! ha! w Kirkora podarku
Widzę nieufność, nie zaś wierną miłość.
Ty, podły chłopie,

Do Gralona.

choć długa zażyłość
Łączy cię z panem, nie miałbyś odwagi
Ruszyć tej skrzyni? bo ty chłosty, plagi

Czujesz na grzbiecie... Ale ja! małżonka,
Jeżeli zechcę... Gdyby mi szepnęła
Mucha... ha, gdyby cichego skowronka
Głosek poszepnął: otwórz, a od dzieła
Szatan odpędzał ognistymi skrzydły,
To wiesz, ty podły służalcze obrzydły,
Że wola moja?...

GRALON.

Grafini...

BALLADYNA.

Ty może
Chcesz przypominać, że mój mąż ma prawo?
Więc niech doświadcza! co mi tam... Mój Boże,
Gdybym ja była, jak inne, ciekawą,
To... Ale wy mnie nie znacie, przysięgam!
Ja tak trwożliwa, że nawet w ogrodzie
Po jabłko z drzewa upadłe nie sięgam.
Jeśli mąż zechce, o chlebie i wodzie
Żyć będę, zawsze wesoła jak wrona
Na cudzym płocie. Anim teraz w złości.
Masz, stary.

Do Gralona.

Oto złotówka czerwona,
Weź ją i przepij, albo przegraj w kości
I goń za panem; powiedz, że go czekam
Z niecierpliwością, że łzy po nim ronię;
Że jedwabiami złotymi wywlekam
Szarfę dla niego. Gdzieżeś ty, Gralonie,
Odjechał pana?

GRALON.

W nadgoplańskim borze.

BALLADYNA.

Nie zatrzymywał się nigdzie po drodze?

GRALON.

U pustelnika stanął w celi.

BALLADYNA.

Boże!
U pustelnika... Mów... Ja ci nagrodzę
Za każde słowo garścią złota; ale
Chcę wiedzieć wszystko... rozumiesz? wspaniale
Nagrodzę ciebie, ale mów otwarcie.
Choćby co było okropnego — powiedz.

GRALON.

W borze, przez głucho zarosły manowiec,
Pan jechał przodem na koniu lamparcie
A my gęsiora jechali za panem.
Wtem nagle pański koń dał w górę słupa,
Jakby się spotkał z ognistym szatanem.
A pan Graf z konia; rzekł: czuć w lesie trupa.

BALLADYNA, *z przerażeniem.*

I z konia zsiadł... i...

GRALON.

Krzyknął: za mną służba.
I pieszo z mieczem pod wierzbę poskoczył,
Na mchu trup leżał, a piersi mu toczył
Wianek żelaznych gadzin.

BALLADYNA.

O!!!

GRALON.

To wróżba
Naszej wyprawy, rzekł Graf... Oto leży
Przed nami ścierwo zabitego tura.

BALLADYNA, *oddychając.*

Ach!

GRALON.

Dobra wróżba dla mężnych rycerzy,
Mówił Graf Kirkor; my krzyknęli: urra!
I znowu na koń...

KOSTRYN.

Mówiłeś, Gralonie,
Że trup pod wierzbą? a na białem łonie
Trupa żelazne leżały gadziny?

GRALON.

Na ścierwie tura.

KOSTRYN.

Nieszczęśliwa łania!

GRALON.

To był tur samiec.

KOSTRYN.

Gdzie wierzba się kłania
Ponad strumieniem? gdzie rosną maliny?
Wszak tak?...

GRALON.

Tak, panie.

KOSTRYN.

Blisko starca chaty?

GRALON.

Tak...

KOSTRYN.

I ty mówissz, że tur rosochaty
Leżał pod wierzbą?

GRALON.

Tak.

KOSTRYN.

Przysiąż!

GRALON.

Dlaczego?

KOSTRYN.

Bo ja przysięgnę na szatana złego,
Że nie tur... ale — broń kłamstwa żelazem!
Do Balladyny, dobywając miecza.
Tego człowieka trzeba zabić.

BALLADYNA, *z pomięszaniem.*

Trzeba.

KOSTRYN, *napadając.*

Broń się —

GRALON, *broniąc się.*

Co znaczy?

Biją się. — Balladyna zdejmuje miecz ze ściany i, zachodząc z tyłu,

BALLADYNA.

Masz!

GRALON.

O jasne nieba!...
Zbrodnia!!!

Kona.

KOSTRYN.

Grafini, napadliśmy razem
Na tego starca: czy wiesz, co to znaczy?

BALLADYNA.

Wiem! o mój Boże!

KOSTRYN.

Ja biorę połowę
Twojego strachu, tajemnic, rozpaczy.

BALLADYNA.

Co teraz robić, Kostrynie ?

KOSTRYN.

Mieć głowę.

AKT IV.

SCENA I.

Sala w zamku Kirkora. — Uczta. — Przez okna widać błyskawice. — Grabiec, ubrany jak król, siedzi na pierwszem miejscu. — Balladyna, Kostryn, Szlachta, Służba zamkowa, Chochlik i Skierka stoją za krzesłem Grabka.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Zdrowie jasnego króla!

GRABIEC, *do Chochlika.*

Podziękuj ministrze.

CHOCHLIK, *ze śmiesznym giestem.*

Król dziękuje.

GRABIEC.

Mój błaźnie, każ, niech pieczomistrze
Przynoszą nowe danie . . .

SKIERKA.

Już kuchta zamkowy
Niema nic na półmisek prócz cielęcej głowy,
Lecz ta niedopieczona, na królewskim karku.

GRABIEC.

Widziałem dwa chodzące pawie na folwarku,
Upiec je i dać na stół, ja poczekam na nie.

KOSTRYN.

Służba! przed jasnym królem na ostatnie danie
Postawcie złotnikami napełnioną tacę.

GRABIEC, *biorąc z tacy złotniki, rozdaje Chochlikowi, Skierce, a potem sam napełnia kieszenie.*

Ministrze, za rok usług z góry ci zapłacę,
A nie drzyj tak poddanych; tobie, miły błaźnie,
Za tysiąc żartów, złotnik: spraw nam śmiechu łaźnię.
Sobie także za ciężkie płacę panowanie.
A to — to mi schowajcie jutro na śniadanie.

BALLADYNA.

Honor to dla mnie, że gość tak dostojny
Raczył nawiedzić mój zamek i stoły.
Pijcie, panowie:

Do Kostryna, który ją za rękę ściska, mówi cicho.

Chłopcze! siedź spokojny!
Na Boga! patrzą, odgadną, zginiemy,

Do innych.

Pijcie, panowie! Panie Chrząszcz z Jemioły,
Pij waść! — Dla czego pan Gryf siedzi niemy?
Proszę wynaleźć wesołą rozmowę.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Mówmy o herbach.

GRABIEC.

Ja mam w herbie króla,
Złote trzewiki, koronę i głowę.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Ja mam dwie trzaski.

DRUGI ZE SZLACHTY.

A ja mam pół ula.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

A ty grafini?

BALLADYNA.

Ja?

KOSTRYN.

Pani! wszak byłaś
Księżniczką możnej Trebizonty.[1]

GRABIEC.

Proszę!...
Najświętsza Panno! co ty narobiłaś
Książąt na ziemi! Miałaś aśćka grosze?

[1] Trebizonda, Trapezunt miasto w Azji mniejszej.

BALLADYNA.

Ja?... o! wspomnienie! Wuj nielitościwy
Wygnał mię z państwa, zagrabił dzielnicę;
Przez niego bracia moi królewice
Zamordowani.

GRABIEC.

Proszę! co za dziwy!
Ktoby uwierzył?

BALLADYNA.

I mnież odmówicie
Wiary? — nie proszę o pożałowanie.
Ach! ja szczęśliwsza, ja uniosłam życie;
Lecz matka moja!... Matkę moję, panie,
Zamordowano w pałacu framudze.

GRABIEC.

Biedna starzyzna!

BALLADYNA.

Ale ja was nudzę
Opowiadaniem tego, co mię boli.
Proszę pić! proszę! Gdzie krajczy? podstoli?
Niech daje wina!... Wy czar dolewajcie,
Bądźcie weseli...

GŁOS SŁUGI ZA KULISĄ.

Stój, matko!

GŁOS WDOWY ZA KULISĄ.

Puszczajcie!

BALLADYNA.

Gdzie ja się skryję?

WDOWA, *wpada, przebijając się przez służbę, i staje śród sali — dygając pomięszana.*

Kłaniam pięknie, moi
Rycerze. — Córko! ha, to się nie godzi
Zapomnieć o mnie.

BALLADYNA.

Co się babie roi?
Co to za stara kobieta?

WDOWA.

Wy młodzi
Hulacie? dobrze. — Ale też o matce
Warto pomyśleć... A to mnie jak w klatce
Zamknięto... stara czeka, czeka, czeka..
Ani przysłała kawałeczka chleba.
A to głód, córko! A przynajmniej mleka
Kropelkę dajcie, wszak tu manna z nieba
Padać nie będzie dla biednej staruszki.

BALLADYNA.

Co to się znaczy? to jakaś szalona.

WDOWA.

A daj mi, córko, te złote dzbanuszki,
Matce się pić chce.

BALLADYNA.

Czemu tu wpuszczona
Ta stara?

KOSTRYN.

Wziąć ją! idź z Bogiem! — Mój królu,
To obłąkana.

WDOWA, *do Balladyny.*

A powiedz: matulu,
Do twojej matki, nie nazywaj: stara,
Stara, ta stara...

BALLADYNA.

Wziąć ją! wyprowadzić!

GRABIEC.

Cha! cha! cha! jaka to chłopska maszkara!
Dajcie jej pokój! trzeba ją posadzić
Z nami do stołu.

WDOWA.

To mi pan dobry!
Widzicie! dajcie ławkę, niech usiędę.
Tak, tak, tak trzeba, mój rycerzu chrobry,
Czcić starą matkę... Czy to ja uprzędę
Piękniejszą sobie suknię z pajęczyny?
To wina mojej kwoczki, Balladyny,
Że ja w łachmanach, rada, czy nie rada.
Niech się nie dziwi żaden z was acanów,
Że ot

Pokazując na suknie.

nie złoto, lecz kilka łachmanów
Ze starych kości na proszek opada;
Proszę wybaczyć córce mojej...

BALLADYNA.

Piekło!
Jak tu wpuszczono tę żebraczkę wściekłą?
Powiedz, jak weszłaś do złotych pokoi?
Ja ciebie nie znam...

WDOWA.

O! święci anieli!
Nie znasz?... ty matki nie znasz? matki twojej?

GRABIEC.

Cha! cha! cha! uszy królewskie weseli
Taki rozhowor.

WDOWA.

Powtórz, córko, śmielej,
Ty matki nie znasz? twojej własnej matki?

BALLADYNA.

Czy wy ją znacie, panowie? powiedźcie,
Co to za wiedźma?

WDOWA.

Świećcie mi! ach, świećcie,
Niebieskie gwiazdy! — Wy mi bądźcie świadki,
Jeśli z was który ojcem?... O! ty jędzo!
Ach! okropnico, córko! to ja ciebie
Nie znam.

BALLADYNA, *do Kostryna.*

Każ, niech ją za wrota przepędzą,
Szczeka za głośno.

WDOWA.

Urodziłam z siebie
Trumnę dla siebie — o Boże mój! Boże!...

Służalce, na znak dany przez Kostryna, chwytają za ręce wdowę.

Puszczajcie! córko!... niech pomyśli... córko!...
O córko! pomyśl... ale tam na dworze
Ciemno, deszcz pada, a piorun pod chmurką
Czeka na siwy mój włos, by uderzył.
Patrzaj przez okno... grom nie będzie wierzył,
Jak mię zobaczy samą w taką burzę,
Że ja nie jestem jaką zabójczynią,
Co się po nocy błąka...

Ciągną ją na znak gniewliwy Balladyny.

Powiem chmurze,
Niech bije w zamek gromem! nie targajcie,
Ja pójdę sama... Świat teraz pustynią
Dla starej matki.

BALLADYNA.

Chleba kawał dajcie.

WDOWA.

Bodaj cię chleb ten zadławił! zadławił!
O! nie targajcie, bo i tak podarta
Sukienka moja... wiatr się będzie bawił
Z łachmanem starej matki. O! to czarta
Córka, nie moja! nie moja! nie moja!

Wychodzi, wyprowadzona przez służbę.

BALLADYNA, *po długiem milczeniu.*

Czemużcie smutni? Wszak pod uczty koniec
Ludzie szczebiocą, co język przyniesie.
A wy milczycie, jak w zamczysku zbója?

Słychać tętent.

Co to za tętent?

SŁUGA.

Przybył Grafa goniec.

BALLADYNA.

Niech wejdzie.

Goniec wchodzi.

Jakie od męża nowiny?

GONIEC.

Pan Graf pozdrawia...

BALLADYNA.

A kiedy z powrotem?

GONIEC.

Burza go w bliskim zaskoczyła lesie.
Konie, ognistym przerażone grzmotem,
Grzęzły po bagnach; sosny się jak trzciny
Gięły z okropnym hukiem i łoskotem.
Nie można było dotrzeć do zamczyska,
I pan Graf czeka w pustelnika celi,
Aż się ta burza wygrzmi i wybłyska.

BALLADYNA.

Cóżeście z panem nowego widzieli?

GONIEC.

Pan Graf pomyślnej dokonał wyprawy.
Zaledwieśmy wjechali w gnieźnieńskie ulice,
Koło czerwonej bramy spotkaliśmy orszak
Rycerzy uzbrojonych: na ich czele Popiel
Jechał konno. Koń jego dumny piął się nieraz,
I zawieszał w powietrzu żelazne kopyta
Nad głowami pokornie klęczącego ludu.
Wtem Kirkor, któżby myślał? Kirkor samotrzeci
Chwyta dłonią koniowi królewskiemu cugle,
Krzycząc: srogi tyranie! trzema zabójstwami
Doszedłeś aż do tronu: idź w piekło! To mówiąc,
Mieczem rozciął przyłbicę ukoronowaną.
I za szaty chwyciwszy podniósł, wstrząsnął trupa,
I ludowi pokazał. Lud zrazu oniemiał;
Potem w niebo ogromnym uderzył okrzykiem.

Nie można było wiedzieć, pochwalał czy ganił.
Nagle się cały ku nam rzucił szumną falą,
Chwila — a już nas jako trzy maleńkie mrówki
Zalał, strzaskał, zdruzgotał. Kirkor jedną ręką
Trzymał trupa, a drugą swój miecz zakrwawiony.
My zaś, jego rycerze, pełniąc rozkazanie,
Mieczów nie dobywali. Wtem tłok ludu, jako
Bałwan rzucony wiatrem, zniżył się kolanem
Przed olbrzymią postawą Kirkora i wołał:
Niech żyje ludu mściciel! Kirkor król niech żyje.

BALLADYNA.

Co mówisz, Kirkor królem?

GONIEC.

Racz końca wysłuchać.
Gdy lud zgłosił go panem, Kirkor miecz błękitny
W trupiej ocierał szacie; widać, że głęboko
Dumał, jakimi słowy myśl wyrazić zdoła.
Nakoniec rzekł: O! Lachy, ja nieznany rycerz,
Nie mogę przesławnemu władać narodowi;
Com uczynił, czyniłem nie dla wyniesienia
Głowy mojej, czyniłem to dla szczęścia ludu.
Jam stworzony do ciszy wiejskiej i prostoty,
Dla mnie za ciężką nawet była godność Grafa
I zniżyłem ją szczeblem, pojąwszy w małżeństwo,
Zamiast jakiej królewnej, ubogą chłopiankę;
Ona, zamiast herbowych znaków, połączyła
Z herby moimi dzbanek pełny malin; ona
Nie podobna królowej; ani państwa pany
Zechcą chłopianki dzieciom na przyszłość podlegać.

BALLADYNA.

Niegodne kłamstwo! kłamstwo! to kłamstwo!

GONIEC.

I dalej
Kirkor tak rzecz prowadził: Ogłoście po kraju
Bezkrólewie; a kto się na zamku pokaże
Uwieńczony prawdziwą koroną Popielów,
Koroną, w której znany brylant *żmije-oko*
Między dwoma rubiny na trzech perłach leży,
Tego królem obierzcie. Lud zgodnym okrzykiem
Przyzwolił na tę mowę i osierocony
Czeka, aż się ukaże król, dziedzic korony.

GRABIEC, *na którego wszyscy patrzą.*

Czemu ci ludzie patrzą na mnie jak gawrony?

SZLACHTA.

Klękajmy wszyscy przy tym ukoronowánym,
On królem.

GRABIEC.

Co, ja królem? gdybym nie był pjanym,
Upiłbym się z radości. Los głupi jak rura!
Wyskoczyłbym ze skóry, gdyby moja skóra
Nie była teraz skórą królewską.

SZLACHTA.

Żyj długo.

GRABIEC.

Sto lat! Sto lat żyć będę: wziąłem skórę drugą
Jak wąż — jak wąż, panowie, mam oko z brylanta
Puściłbym się po sali z grafinią kuranta,
Gdyby nie godność, prawda? która siedzieć każe.
Tak się w mój tron złocisty królowaniem wrażę,
Że nie oderwą ludzie od tronu człowieka.
Proszę! co za dziw!

BALLADYNA, *do Kostryna.*

Słyszysz, jak burza się wścieka,
Dzwonią deszczowe rynny, W tej okropnej burzy
Słyszę głosy płaczące...

KOSTRYN.

To krzyk nocnych stróży.

BALLADYNA.

Nie, to są jakieś głosy inne, jęk ze świata
Umarłych. Lej mi wina. Wszystko się tak splata,
Że chyba się powiesić.

GRABIEC.

Teraz po obiedzie
Trzeba wymyślić wesołą zabawę.
Każcie tu wpuścić kuchenne niedźwiedzie,
Co kręcą rożnem, niech tańczą.

PIERWSZY ZE SŁUG.

Kulawe,
Pan Graf podstrzelił je.

GRABIEC, *do Chochlika.*

Więc ty, ministrze,
Weź moje berło wierzbowe i na niem
Graj jak na dudzie — a zatykaj bystrze

Dziurki palcami, jeśli pomysł nowy,
Dążący prosto ku uszczęśliwieniu
Przyszłych poddanych, wymknie ci się z głowy
Przez głupie wrota. Słuchajcie w milczeniu.
Graj!

CHOCHLIK.

Co grać, panie?

GRABIEC.

Kładź palce na dziury,
To berło z mojej wykręcone skóry
Wie, co ja lubię.

SKIERKA.

Graj! ja do wtóru
Zawołam echa ciemnego boru,
Co rzecz widziały.

Chochlik gra na flecie smutną pieśń wiejską, a zamięszane głosy w powietrzu poczynają śpiewać,

ŚPIEW.

Obie kocha pan,
Obie wzięły dzban;
Która więcej malin zbierze,
Tę za żonę pan wybierze.
Cha! cha!...

Pieśń niknie jak echo.

BALLADYNA.

Co to się znaczy? Kto śpiewał i taką
Pieśń skończył śmiechem?

KOSTRYN.

Cyt... to przywidzenie!

BALLADYNA

Ktoś śpiewał...
Do Chochlika.
Proszę, graj.
Do Kostryna.
A ty, Kostrynie,
Patrz w twarze ludzi, a jeśli dostrzeżesz,
Z których ust wyjdzie pieśń, powiedz — obmyślę,
Co z tym człowiekiem stanie się.
Do Chochlika.
Dudarzu,
Zagraj mi jeszcze wieśniaczą balladę
I obudź echa wiszące nademną
W kopule sali. Objaśnić pochodnie.
Chochlik gra.

ŚPIEW DUCHÓW.

Tobie szatan stróż
Włożył w rękę nóż;
Siostra twoja rwie maliny.
A ty? a ty? Nóż twój siny
Poczerwieniał krwią. O!...

Pieśń kończy się echowymi jękami.

KOSTRYN.

Przestań, grafini mdleje.

BALLADYNA.

Nie, ja żywa.
Śpiewajcie... jeszcze. Objaśnić pochodnie...

Chochlik gra.

ŚPIEW DUCHÓW.

Na twej czarnej brwi
Niby krople krwi.
Kto wie, z jakiej to przyczyny?
Od maliny? lub kaliny?
Może... cha!...

Pieśń kończy się echem.

BALLADYNA, *daje ręką znak.*

Dalej...

JEDEN Z PANÓW.

Co znaczy takie obłąkanie
W oczach grafini? Czy prosta piosenka,
Którą wieśniacy przy grabionem sianie
Nucą na fletniach, tak ją biedną nęka.

BALLADYNA.

Dalej!

JEDEN Z PANÓW.

Obudźcie tę kobietę bladą.
Ona zasnęła i śpi z otwartymi
Oczyma...

KOSTRYN, *do Balladyny.*

Pani!...

JEDEN Z PANÓW.

Rozkaż, niech ją kładą
W gorące łoże, skościała jak drewno.

Grom bije głośny... Balladyna budzi się.

BALLADYNA.

Co ze mną było? Jak ja okropnymi
Sny przerażona.

Do Kostryna.

Słuchaj ty, ja pewno
Gadałam we śnie. Czy we śnie gadałam?

KOSTRYN.

Nie...

BALLADYNA.

Bogu dzięki. Ale gdy ja spałam,
Wyście musieli rozpowiadać głośno
O czem okropnem?

Do gości.

Proszę, pijcie! widzę,
Że lepiej zrobię, usiadłszy za krosno
Niż przy puharach.

GRABIEC, *budząc się.*

Przepraszam, panowie.

BIESIADNICY.

Za co?

GRABIEC.

Przepraszam i bardzo się wstydzę,
Że byłem zasnął.

Pije.

Zamku pana zdrowie!

BIESIADNICY.

Zdrowie Kirkora!

GRABIEC.

Poczciwy! poczciwy!
Zamiast panować, woli jeść maliny.
Każcie, niech jaki leśnik lub myśliwy
Pójdzie do boru i malin przyniesie.

BALLADYNA.

Straszne zachcenie.

GRABIEC.

W podzamkowym lesie
Muszą być słodkie maliny i duże
I smakowite, skoro Kirkor woli
Dzban takich malin, niż meszty papuże
I płaszcz królewski. Każ, niech nam podstoli
Malin dzban poda na pokosztowanie.

BALLADYNA.

Odwagi! nic się gorszego nie stanie.
Słyszałam echa grobowych rozwalin,
Ujrzę, czy więcej prócz słów co wyrzucą
Wzruszone groby. Malin! dajcie malin!
Pokazuje się cień biały Aliny z dzbankiem malin na głowie.
Czułam cię dawno w powietrzu, a teraz
Widzę, jak błyszczą oczy twoje? Biała!
Ja się nie lękam — widzisz; ale ty się
Nie zbliżaj do mnie.

JEDEN ZE SZLACHTY.

O czem ona gada?

BALLADYNA.

Mów ze mną przez stół. Niech mi jaki człowiek
Da rękę — ja się boję.

JEDEN ZE SZLACHTY.

Czy słyszycie,
Jak ząb jej dzwoni o ząb z przerażenia?

BALLADYNA.

Idź, potępiona — odnieś, skąd przyniosłaś
Ten dzbanek pełny czegoś, co się rusza
Jak to, co w grobie. Czy powieszonego
Na zamku wieży przed latami trupa
Cień padł do sali i stoi na nogach,
Nie oddychając. O! precz... widmo białe
Zarzniętej.

Cień znika.

PIERWSZY ZE SZLACHTY.

Jaka woń malin! czujecie?

DRUGI ZE SZLACHTY.

Powietrze pełne malin.

BALLADYNA, *padając.*

O! umieram!

KOSTRYN.

Wody! hej, wody! Ja szaty rozdzieram,
Lejcie tu na pierś — niech służebne wnijdą.

Wchodzą kobiety.

Wynieście panią.

Wynoszą Balladynę.

Raczcie wstać od stołu,
Pochodnie gasną. Napełnia ohydą
Ten stół splamiony, resztki chleba, wołu.
Czy chcecie rzucać ogryzione kości
Wzajem na siebie, jak czynią Duńczycy?
Proszę do komnat. Wy stoły wynoście;
Wy z pochodniami poprzedzajcie króla,
Gdzie dlań usłano w przybocznej wieżycy
Łoże puchowe. Jutro się rozhula
Zamek i będzie wesoły jak wczora.
Lecz na dziś dosyć. Panowie, spać pora.
Proszę porzucać puhary i ławy. —
Jak ciężko Lachy odpędzić od strawy
I od napoju; wiszą by pijawki
Na uszach dzbanka, przy muzyce czkawki.

Podczas tej mowy wynoszą stoły. Grabiec wyprowadzony przez służbę z pochodniami, za nim wszyscy biesiadnicy i Kostryn wychodzi ostatni.

SCENA II.

Las przed chatą pustelnika. Burza trwa.

PUSTELNIK i KIRKOR.

KIRKOR.

Chroń się, starcze, do celi, burza tobie z głowy
Okradnie siwe włosy. Ludzie i zdarzenia
Kradną... złodziej płaszcz zedrze, a nędza koszulę.
Trzeba wszystkiemu zbrojną ręką się opierać.
Lecz smucisz się zawcześnie, bo ja ci przysięgam,
Że zginę, lub skradzioną koronę odzyskam.
Oto, choć bliski domu, mógłbym za godzinę
Z ust żony pocałunków tysiąc wziąć na drogę,
I napić się jak ptaszek w różanym kielichu,
Dziobiąc rosy perełki: wolę tej rozkoszy
Zaniechać, a do Gniezna zaleciawszy nocą,
Lud zebrać i obwieścić wszystkiemu gminowi,
Jakoś ty dziedzic prawy bezecną kradzieżą
Dobra twego postradał. Potem zaś trębaczom
Każę głosić po kraju i mieście, że kto się,
O tron Lachów zgłaszając, pojawi na zamek,
Uwieńczony prawdziwą koroną Popielów,
Temu ja fałsz zarzucam; takiemu na czole
Mieczem wypiszę słowo zasłużone: *złodziej*.
Módl się więc za mnie, starcze, aby mi Bóg żywy
Dał zwyciężyć na szrankach, i czekaj z powrotem.

PUSTELNIK.

Niech cię Bóg błogosławi.

KIRKOR, *klaszcze, wchodzi żołnierz.*

Wsiadać na koń! lotem
Trzeba spieszyć do Gniezna.

Rycerz wychodzi.

PUSTELNIK.

Słuchaj, ja ci radzę,
Wróć do zamku, odpocznij, po dalszej rozwadze
Obaczysz, co przedsięwziąć.

KIRKOR.

Ja, starcze leniwy,
Dzisiaj odrobić chcę całą pańszczyznę;
A odrobiwszy całą, żyć szczęśliwy
Z drogą małżonką. Całą ci ojczyznę
Włożę na barki, a gdy będziesz dźwigał
Rzeczy i ludzi, to ja się zakopię
W zamku spokojny. Niechby mi dościgał
Sad owocowy, niechbym małe chłopię,
Dzieciątko moje, na rękach kołysał,
O to się modlę. Ty mi zaś co roku
Z tronu do chaty listy będziesz pisał.
Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
Biały gołąbek i pod skrzydełkami
Przyniesie powieść pełną tych wielkości,
Co budzą uśmiech i sen pod lipami
Dają smaczniejszy... Król mi pozazdrości
Żony i dziecka i lipy i chłodu
I snów pod lipą i złotego miodu.
Żegnaj mi! żegnaj; Nim słońce zaświeci,
Będę w stolicy. Hop! hop! na koń, dzieci!

Kirkor wychodzi. Słychać tętent oddalających się.

PUSTELNIK, *sam.*

O! Boże! Boże! Wolę, niech do Gniezna wraca,
Niżby miał do tych piersi szlachetnych przycisnąć
Krwawą swoją małżonkę. Bogdajbyś ty nigdy
Nie znał, Kirkorze, z jakiej matki się urodzą
Dzieci twoje. Bogdajby za pierwszą nagrodę
Bóg uczynił cię wdowcem, nim ojcem uczyni.

Słychać głos wdowy.

WDOWA, *za sceną.*

Biedna ja! biedna!

PUSTELNIK.

Co to za wołanie
Tak pełne płaczu?

WDOWA, *za sceną.*

O, biedna ja, biedna!

Wdowa wchodzi jak ślepa, szukając drogi ręką.

PUSTELNIK.

Jakaś kobieta jak łachman w łachmanie,
W noc tak okropną, ślepa, sama jedna!
Do wdowy.
Skąd, moja matko?

WDOWA.

Matko? O! na Boga!
Tak nie nazywaj, córko niegodziwa!
Matka? psia matka!

PUSTELNIK.

Skąd idziesz, uboga?

WDOWA.

Ja nie uboga... Siwa, siwa, siwa
Jak gołąbeczek. — Nie wiesz, co się stało?!
Grafini, moja córka, wielka pani,
A ja na wietrze z głową taką białą
Mówię piorunom: bijcie! bijcie we mnie!
I nie chcą słuchać... A w zamku zebrani
Pijaki sobie winszują wzajemnie,
Że córka moja pije, wielka pani...
Czy to rozumiesz?... Ma zamek i wieże...
Grafini...

PUSTELNIK.

Jak się córka twoja zowie?

WDOWA.

Zowie się córką. Ale ja nie wierzę,
Ażeby ona miała oczy w głowie,
Oczy, co płaczą. — W taką zawieruchę!
W takie pioruny na deszcz wygnać matkę!
Co ją karmiła, co piersi ma suche,
Starością suche, a włos taki biały,
Jak co świętego.

PUSTELNIK.

Chodź pod moją chatkę,
Ty drżysz od zimna, chodź!

WDOWA.

I zamek cały
Do niej należy, wielki jak pół świata...
Widzisz!... Grafini!

PUSTELNIK.

Chodź!

WDOWA.

Tu będę czekać,
Czy córka moja wie, gdzie twoja chata?
A kto wie? może, jak pies zacznie szczekać
Na jaki łachman, to wspomni o matce
I każe szukać po świecie... Być może!
Wszak Bóg ma litość?

PUSTELNIK.

Chodź, przepłaczesz w chatce
Tę noc burzliwą, a gdy błysną zorze
Ja cię powiodę do wielkiego króla;
Do nóg się rzucisz, błagając o litość
I...

WDOWA.

Powiem jemu... ja, biedna matula:
Do nóg się rzucam...

Klęka.

Królu! złoty panie!
Każ córce, która ma złota obfitość,
Niechaj mnie kocha.

Wstaje.

A król z tronu wstanie
I zaprowadzi mnie do serca córki.
O! o! o!

Płacze.

Wiesz ty, za szkaplerza sznurki
Wieszałam się na sośnie skrzypiącej za gardło,
Drzewo się ułamało...
Głupia, ślepa, wybrałaś gałązkę umarłą,
Gałązkę, córkę drzewa. Żelazna gadzino,
Nie zlitowałaś się ty matki wdowy?
A jabym żyła chleba okruszyną
W twoich pałacach! Niechby twoja ręka,
Sypiąc gołąbkom w trawę żer perłowy,
Nie odgarniała od pszenic ziarenka
Zgłodniałej matki. — Wygnać w las! na burze!
Wypędzić matkę!... Upadłam w kałużę,
I grom czerwony wyjadł z powiek oczy,
Wyjadł do szczętu...

PUSTELNIK.

Oślepłaś? . . .

WDOWA.

Mózg toczy
Okropna ciemność. Miałam przed wieczorem
Tyle światłości, że mogłam za borem
Rozróżnić białe słońce od księżyca
A teraz . . .

Błyska.

PUSTELNIK.

Jakto i ta błyskawica
Nie świeci tobie?

WDOWA.

Wzrok ludzi nie strzeże
Od Boga ręki — co mi dziś po wzroku?
A wiesz ty? wiesz ty, że ja teraz wierzę,
A nie wierzyłem dawniej, że co roku
Ptaszki paskółki, nim pójdą za morze,
Stare, zgrzybiałe, biedne matki duszą.
Tak, tak, tak . . . ludzie prawdę mówić muszą.
Żebrząc po świecie piosenkę ułożę,
Groszową piosnkę o jaskółkach czarnych,
Co duszą matki . . . proszę! w ptaszkach marnych
Taka nielitość! Wygnać matkę starą,
Głodną, na cztery wichry targające
Za siwe włosy.

PUSTELNIK.

Poczciwych tysiące
Padają na tym świecie złych ofiarą.
Gdybym ja ciebie wziął za nieszczęść świadka?

WDOWA.

To i ty matka? i ty także matka?
Nie pójdę z tobą, bo się będziem kłócić
O piękność imion naszych córek . . . moja . .
Ach! gdybyś ty mię z grobu chciał ocucić,
Wołaj: Bladyna. Pójdę szukać zdroja
I pić jak wróble, zadzierając główkę,
Do pana Boga . . . dzięki mu! dał wody.

Śpiewa, mrucząc.

Stara miała jedną krówkę,
I chacinę i ogrody
I dwie córki . . .

Odchodzi w las.

PUSTELNÍK.

Po kraju całym szukać każę
Tej matki — i okropny sąd wydam na dziecko.

Odchodzi do celi.

SCENA III.

Noc. — Błyska. — Sala bez światła w zamku Kirkora.

SKIERKA i CHOCHLIK wychodzą z drzwi, którymi wyprowadzono po uczcie Grabka.

SKIERKA.

Nasz pan usnął tam na wieży
I śpi głęboko; ja lecę,
Nim się ta burza uśmierzy,
Kąpać się w błyskawicach.

CHOCHLIK.

Ja wyprawiam hecę
W stajni, gdzie nad wrotami nie przybito sroki.
Czy wiesz, że na tej wieży puhacz jednooki
Zaprosił mnie na ucztę; będzie patrzał krzywo,
Jeśli pogardzę udom zadzióbanej myszy.

SKIERKA.

Ja matkę bociana siwą
Lecę nakarmić; nie słyszy
Na prawe ucho i ślepa;
Wczoraj od chłopskiego cepa
Uratowałem niebogę...
Polecę, czekać nie mogę.
W taką burzę biedna stara
Może z przestrachu umarła.

CHOCHLIK.

Co to za stuk?

SKIERKA.

To burza drzwi zawarła.

CHOCHLIK.

Cyt... ktoś idzie...

SKIERKA.

Jakaś mara
W bieli... przez okno wylecę...

Wylatuje przez okno.

CHOCHLIK.

Za nim! na koniach w zamku wyprawować hecę.

Wylatuje.

SCENA IV.

Sala taż sama.

BALLADYNA, *sama, wchodzi w nocnym ubiorze z nożem w ręku.*

Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie, wzięłam.
W koszuli — wstyd! gdyby cię kto zobaczył
W koszuli, z nożem w ręku?... Jak tu ciemno!...
Idzie ku wieży.
Cyt!... jakiś szmer? — wiatr mi zagasił świecę...
To przywidzenie... nic nie słychać, zamek cały
Głęboko śpi... Lecz jeśli śpi ten człowiek
Z otwartą tak powieką, to co? to co?
Jeżeli dziś nie zrobię rzeczy, jutro
Żałować będę, wiem, żałować będę.
Wiatr zamknął za mną drzwi, a ja myślałam,
Że jaki ciemny duch zamykał za mną;
I dotąd nie spojrzałam w tamtę stronę,
Jakbym się bała spotkać z czem okropnem.
Ogląda się.
A widzisz, niema nic, nic niema. Ciemne
Powietrze, mgła; żadnych nie widać mar.
Błyska.
Wszelki duch Boga chwali! Jaka to była
Błyskawica czerwona! jak wszystkie ściany
Widziałam białe... Cyt... Nie słychać nic...
Spiesz się!... Lecz jeśli żar błyskawic lunie
Na moję twarz, gdy będę z nożem stała
Nad nim, to co? Ogień pokaże tobie
Miejsce, gdzie masz uderzyć. — O! błyskawice,
Stwórzcie czerwony dzień na łonie nocy,
Bądźcie mojego czynu słońcem. — Idę!
Wychodzi na wieżę.

SCENA V.

Sala taż sama.

KOSTRYN, *wchodzi zbrojno z dobytym mieczem.*

Drzwi otworzone. Teraz mię, fortuno,
Prowadź i pomóż ze złotego cielca
Jak Jazonowi[1] złote obciąć runo,
A ja przysięgam, że choć syn wiselca,

[1] Wódz wyprawy Argonautów, który w Kolchidzie przy pomocy czarów Medei zdobył złote runo.

Będę na tronie jako syn książęcy:
Dziś sługa gorszych, jutro pan tysięcy
Lepszych odemnie... Cyt! To puhacz huczy
Na wieży zamku. Idźmy na drabinę...
Wszystko gotowe. Mam pęk cały kluczy
Od bram zamkowych; płachtami obwinę
Konia podkowy, i z ową koroną
W pochmurnej nocy, jak duch czarny zginę;
A co nad wszystko, z cudzołożną żoną
Rozbrat na wieki. O! szatanie, prowadź!

Chce iść na wieżę i we drzwiach spotyka się z powracającą Balladyną.

Kto to?

Cofa się z przerażeniem.

BALLADYNA.

Ja.

KOSTRYN.

Sama... w ciemnościach... co znaczy?
Słyszałem jakiś jęk, szedłem ratować.

BALLADYNA.

Przynieś mi światła; niech światło zobaczy,
Jak ja okropnie muszę być czerwona.
Skończyłam... Kogo ty ratować chciałeś?
Już zdaje mi się, że ta burza kona,
Ustało błyskać. — To i ty słyszałeś
Ten jęk okropny?... aż tu było słychać?
To dziwne! Kiedy przestawał oddychać,
Raz westchnął... Idź ty po światło, Kostrynie,
Idź na dół.

Kostryn wychodzi.

Dziwnie krew pachnie odemnie...
Stało się, stało; teraz nadaremnie
Żałować rzeczy. Stało się... przeminie.
Z nas wszystkich kiedyś będą takie trupy...
Świecy!... mój cały zamek za błysk świecy!

Kostryn wchodzi bez światła.

KOSTRYN.

Wszystko śpi w naszej ceglanej fortecy,
Nawet zagasły latarniowe słupy
Przy bramie zamku. Czy służbę rozbudzić?

BALLADYNA.

Nie budź nikogo; musiałam zabrudzić
Ręce po łokieć. Dziwną pachną wonią.

KOSTRYN.

Wzięłaś koronę?

BALLADYNA.

Nie... stój! pójdę po nią,
Ja się nie lękam... Wiem, gdzie stoi łoże.

Wychodzi Balladyna na wieżę.

KOSTRYN.

Straszna odwaga. Omal tobie, Boże
Nie podziękuję, że mi ona kradnie
Czyn ten okropny... Chciałbym na jej czole
Zobaczyć, jaką barwą lwica bladnie.

Balladyna wraca bez korony.

BALLADYNA.

Próżno w ciemnościach macałam po stole,
Ten stół miał jakieś rysy zimnej twarzy.
Może to nie był stół...

KOSTRYN.

Ty stój na straży,
Ja pójdę szukać...

BALLADYNA.

Stój! Nie idź... wszak ja się
Nie lękam siebie... Nawet nie żałuję...

Kostryn wychodzi na wieżę.

Ja wiem, że zwykle Lachom żal po czasie
Zawraca głowy i sen cichy truje.
Może się teraz trup czerwony snuje
Przed ludzi śpiących oczyma, a oni
Przez sen żegnają krzyżem cichą marę.
Schodzi po wschodach... jak te szczeble stare
Trzeszczą...

Do Kostryna, który wchodzi z koroną.

Znalazłeś?... ty coś trzymasz w dłoni?

KOSTRYN, *ponuro.*

Tak.

BALLADYNA.

Daj!... Nie, nie, nie! nie zbliżaj się do mnie,
Bo będę wołać ratunku od ludzi...
Stój tam!...

KOSTRYN.

Co znaczy? mówisz nieprzytomnie.

BALLADYNA.

Stój tam, bo krzyknę, zamek się obudzi...
Stój tam, zdaleka, aż w tobie przeminie
Ta myśl. W powietrzu ją czuć... o! Kostrynie!
Chciałeś mię zabić, serce twoje biło
Głośno, jak moje bije, gdy zarzynam.

KOSTRYN.

Jeślim to myślał, na wieki przeklinam
Ów zakąt mózgu, gdzie się urodziło
Szalone dziecko.

BALLADYNA.

Chodź tam do komnaty,
A namówimy się po cichu razem,
Co jutro czynić.

Rozwidnia się trochę.

KOSTRYN.

Doniosły mi czaty,
Że Kirkor wrócił do Gniezna, żelazem
Grożąc takiemu, co by się z koroną
O tron upomniał.

BALLADYNA.

To nic, będę miała
Ludzi i miecze; a za moją stroną
Będzie ta tłuszcza ludzi omal cała
Karmiona w zamku. Kirkor nie poskromi
Złotego deszczu. — Cyt.

KOSTRYN.

Nic, to na dworze
Wróble świegocą.

BALLADYNA.

Jakto! już dzień? Boże!
Jak biała światłość... mdło mi! mdło mi! mdło mi!

KOSTRYN.

Idź, prześpij szarą godzinę poranku,
Ja sam obudzę, gdy słońce zaświeci.
Staniesz w rycerzy uzbrojonych wianku.
Jakoś to będzie — wojsko nam się skleci.
Daj klucz od skarbu, będę mierzył garcem
Przekupne złoto.

BALLADYNA.

Skończ także ze starcem,
Co mieszka w celi, a n
Będzie wiedziało.

KOSTRYN.

Ty ciężarna, troje.

BALLADYNA.

Jakto i dziecko noszone w żywocie
Będzie wiedziało, Idź! — w biednej istocie
Nieurodzonej taka tajemnica.
Ty się naigrawasz? jeśliby tak było,
Jak ty powiadasz; czy ja szalenica
Porodzić żywe! Lecz nie, będzie żyło,
Dziecko nic nie wie.

KOSTRYN.

Niechaj moja lwica
Spać się położy i zbudzi się świeża
Do nowych czynów, w przyłbicy rycerza.

Wychodzą.

AKT V.

SCENA I.

Poranek na leśnej łące.

SKIERKA i CHOCHLIK.

SKIERKA.

Jak po burzy ranek świeży!
Byłem u matki bociana
I nakarmiłem.

CHOCHLIK.

Ja na zamku wieży
Uczłowałem u sowy. Gdzie pani Goplana?

SKIERKA.

Znów polecę po rozłogach,
Polecę łąką i borem;
Kwiatki postawię na nogach,
Rozczeszę żyto na grzędzie;
Zatrzymam się nad jeziorem,
Zawołam labu! labusie!
I dwa Goplany łabędzie
Po wód błękitnym obrusie
Przypłyną do mnie z ajeru;
Garsteczką złotego żeru

Śnieżne ptaszęta przysypię;
I znów lecę pod leszczynę,
Gdzie łania Goplany szczypie
Błyszczącą deszczem krzewinę;
I tęcze nad nią zawieszę,
I różę nad nią rozwinę;
I znowu dalej pospieszę
Na skrzydłach babki konika.

Przypływa tuman mgły rannej, oświecony tęczą; z pod bramy kolorów wychodzi Goplana.

GOPLANA.

Chodźcie mnie uścisnąć, aniołki,
Bo Goplana na wieki wam znika.
O! zapłakane fijołki!
Róże moje, bądźcie zdrowe.

SKIERKA.

Co ty śpiewasz?

GOPLANA.

Niestety! niestety!
Piosenkę pożegnania.

SKIERKA.

Jeszcze oczerety
Nie gną się od jaskółek, jeszcze dnie wiosnowe.

GOPLANA.

Polecę w okropną krainę,
Gdzie sosny i śniegi sine,
Gdzie słońce jak gasnący żar;
Gdzie księżyc jak twarz tych mar,
Co z grobu wychodzą na cmentarz.
Anioł kar za mną popłynie,
Krzycząc mi w duszy: *pamiętasz*
O róż i malin krainie.
Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!
Poplątałam ludzkie czyny,
Tak, że Bogu mścicielowi
Trzeba wziąć grom i upuścić
Na ludzkie dzieła i winy.

SKIERKA.

My cię nie chcemy opuścić,
Goplano! Goplano! Goplano!

GOPLANA.

Puszczajcie biedną, wygnaną,
Kiedyś wam o mnie zaśpiewa

Piosenkę obca ptaszyna,
Usiadłszy na gałązce płaczącego drzewa.
Bądźcie zdrowi! moja wina,
Że wygnana w północ lecę.

CHOCHLIK.

Jeszcze ci w drodze poświecę,
Jak hajduk biegnąc z ognikiem.

GOPLANA.

Dziś długim związane szykiem
Na północ lecą żórawie,
Uczepię się tego wianka,
I w powietrzu się przepławię.
Jak biedna dziewic równianka
W błękitne rzucona fale.

SKIERKA.

O biada! o biada! o biada!

GOPLANA.

Próżne żale! próżne żale!

Pokazuje w głąb lasu.

Tam szarfa żórawi spada
Na łąki błyszczące rosą;
Gdy się żórawie podniosą,
Uchwycę się szarfy końca
I w błękit polecę blada,
Blada jak miesiąc od słońca,
Lekka jak liść, co opada.
Lecz nad mury gnieźnieńskimi
Lecąc, zaśpiewam smutne pożegnanie ziemi.

Wychodzi. Skierka i Chochlik lecą za nią.

SCENA II.

Pod murami Gniezna wał.

KIRKOR z dobytym mieczem, ze skrzydłami orlemi na barkach, wchodzi na czele wojska — chorągwie rozwinięte — trąby grają.

KIRKOR, *do rycerzy.*

Człowiek, co się o berło Lachów upomina,
Nie chciał wystąpić w szranki, jak podła gadzina
Kryje się, a zebrawszy, co mówię! ten podły
Obietnicami, złotem, zakupiwszy sobie
Mnogich stronników... rycerz z nieznanymi godły,
Walką chce tron owładać, i na moim grobie

Stanąć jako na pierwszym szczeblu królowania.
Mnodzy rycerze nasi, (niech nas Bóg ochrania
Od takiego szaleństwa i takiej ślepoty)
Mnodzy nasi rycerze przeszli pod namioty
Jasnego oszukańca, lecz Bóg patrzy z nieba
W serca ludzkie; nam zdrajców przekupnych nie trzeba.
Skoro przybędzie Popiel, po którego w lasy
Posłałem trzech rycerzy, z orlemi hałasy
Rzucimy się na złoty obóz samozwańca.

Do rycerzy stojących na murach.

Wy, zamykajcie bramy... Niech z każdego szańca
Na pole walki patrzą mnogie samostrzały.
Gdybym ja przegrał, zginął, to jeszcze te wały
Długo bronić się mogą... Niech wam siwe głowy
Przypomną w chwile strachu, że mur południowy
Najsłabszy, że tam trzeba postawić mur ludzi.
Ale, da Bóg, że miasto jutro się obudzi
Wolne od zgrai łotrów.

RYCERZE.

Zwyciężysz, Kirkorze!

KIRKOR.

Jeśli Bóg da... ach! kiedyż ja przyłbicę złożę!
Kiedyż wrócę do żony? kiedyż ujrzę koniec
Krwawym sprawom królestwa i rozbojom

JEDEN Z RYCERZY.

Goniec.

Wchodzi goniec kurzawą okryty.

KIRKOR.

We trzech wysłani w bory, nie przyprowadzacie
Pustelnika Popiela?

GONIEC.

Okropność.

KIRKOR.

Czy w chacie
Nie znaleźliście starca? mów... walka nas czeka.

GONIEC.

W celi nie było starego człowieka;
Lecz na skrzypiącej gałęzi przed chatą
Trup jego wisiał, na grubym powrozie.
Z białemi włosy i z podartą szatą
Wicher się bawił i trupa kołysał
Jak stara mamka.

KIRKOR.

Trąbić po obozie
Hasło do walki. Los jemu dopisał,
Do śmierci gonił nieszczęściem i zabił
Nieznaną ręką... Serceś mi osłabił
Twoją powieścią, spraw się dobrze w boju...
Mówisz, że wisiał?

GONIEC.

W pustelniczym stroju
Wisiał przed chatą. Na nieszczęsnem drzewie
Wrona krakała...

KIRKOR.

Idźmy! niech w powiewie
Tańczą chorągwie... idźmy! ścisnąć szyki!
Nadzieja w męstwie. Niech zaczną łuczniki!

Wychodzi z wojskiem.

SCENA III.

Namiot BALLADYNY.

KOSTRYN i BALLADYNA w zbrojach, z hełmami zapuszczonymi wchodzą na scenę.

KOSTRYN.

Zostań w namiocie, nie wychodź na pole,
Bo, jak przeczuwam, wkrótce Kirkorczycy
Walkę rozpoczną. Obóz jego w dole,
A nasz na górze jak gniazdo orlicy.

BALLADYNA.

Wiele dusz stanie za chwilę przed Bogiem.

KOSTRYN.

Gdzie młócą żyto, tam plewy z omłotku
Lecą pod niebo. Stój za gumna progiem
I nie rozplątuj znów na kołowrotku
Szczero-sumiennym zaplątanych pasem
Dziwnej przeszłości.

Wchodzi żołnierz.

ŻOŁNIERZ.

Z okropnym hałasem
Idą do boju szyki Kirkorowe.

KOSTRYN.

Królewiczątko moje, bądź mi zdrowe!

BALLADYNA.

Czy zwyciężymy?

KOSTRYN.

Siedź pani w namiocie.
Niechaj cię próżność nie prowadzi w złocie
Na oczy słońca i na łuków żądła.
Bogdajbyś cicho śpiewała i prządła
Szatę królewską, lub śmierci koszulę;
To, albo drugie, pewnie ci się przyda...
Ha! ha! z proc lecą ołowiane kule,
Patrz, jak kolczate... hej, giermku, gdzie dzida
I tarcza moja?

Bierze tarczę i dzidę z rąk giermka i wychodzi.

BALLADYNA, *sama.*

Jeżeli zwycięży,
Jak mu nagrodzę? w ziemi całej łonie
Nie znajdę kruszcu na zalanie gardła
Temu Niemcowi. Lecz jeżeli przegra?
Jeżeli przegra, to się wszystko skończy
Chwilą okropną, wszystko się rozwiąże
Jak straszna bajka jakiej czarownicy:
Przegrała, w piersi przebiła się nożem,
A nóż zatruty był jadem gadziny.
Gdzie ta kobieta? Obaczyłam w lesie
Babę podobną do roztrzaskanego
Piorunem dębu... kazałam potworze
Z krukami śmierci gonić za obozem
I przynieść jadu czerpanego z węży.

Stara kobieta w łachmanach wchodzi, podnosząc zasłonę namiotu.

Jesteś

STARA.

Przyniosłam rożek ludomoru.

BALLADYNA.

Daj... i uciekaj do ciemnego boru,
Uciekaj, mówię, stara czarownico;
A spróbowawszy na kim tego jadu,
Zapłacę tobie... precz, bo cię pochwycą
Rycerze moi i na rzece spławią.

Ucieka stara kobieta.

Okropna jędza... Włos by gniazdo gadu
Wisi w postronkach, a oczy się krwawią
Jak zęby wilcze, obroczone w ścierwie.
Nóż ten zatruty piersi mi rozerwie,
Jeżeli w ręce męża wpadnę żywa,

I serce moje bijące ukąsi
Jak żądło osy. Już po jednej stronie
Jadem zmazany, okropnie poczerniał
I zarumienił się rdzą, pozieleniał;
A druga strona jeszcze niedotknięta
Śliną wężową, czysta jak tasaki
Świeżo na krętym brusie pociągnione.
Co słychać?

Wchodzi żołnierz.

ŻOŁNIERZ.

Panie! wszystko zawichrzone
Na polu walki jak w burzliwej chmurze.

BALLADYNA.

Czy przegrywamy?

ŻOŁNIERZ.

Na szańcowej górze,
Gdzie rosną brzozy nad źródłem, widziałem
Grafa Kirkora; otoczony wałem
Zabitych ludzi, trzyma się i siecze
Jasną siekierą.

BALLADYNA.

Z czemże ty, człowiecze,
Do mnie przysłany?

ŻOŁNIERZ.

Donoszę ci, książę,
Że dwiestu ludzi przekupionych wczora
Przeszło na polu z szeregów Kirkora
Na stronę naszę. Jeśli się rozwiąże
Na lewem skrzydle łuczników gromada,
Kupiona złotem, pole będzie nasze.

BALLADYNA.

Jeszcze nie przeszli! opieszała zdrada
Gorsza niż wierność... Idź w bojową kaszę
Z łyżką żelazną, jeżeli w nią wpadnie
Głowa jakiego wodza, będziesz panem...
Rozumiesz? można poza góry snadnie
Podejść — zaskoczyć na plecy — czekanem
Ciąć w łeb stalowy... Idź bić... i zabijać.

Wchodzi drugi goniec.

GONIEC.

Lewe się skrzydło zaczęło rozwijać
I pierzchać w Gniezno... Wkrótce walki koniec.
Przy nas zwycięstwo...

BALLADYNA.

Dobrej wieści goniec
Niech ma zapłatę...

Daje pieniądze.

Czy wódz wrogów wzięty?

GONIEC.

Widziałem sztandar Kirkora zatknięty
Na małym wzgórku, gdzie rosną trzy brzozy;
A trupów szaniec urósł tak wysoko
Około niego, że my, pełni zgrozy,
Ani wziąć wodza mogliśmy na oko,
Ani przestąpić umarłego wału.

BALLADYNA.

Jeżeliś pełny męstwa i zapału,
Jeśli chcesz kiesy po wierzch pełnej srebra,
Idź na ten wzgórek; niech ci trupie żebra
Będą drabiną, postronkami włosy.
Idź i zabijaj...

Słychać okrzyki.

Co to są za głosy?

Kostryn wchodzi zbrojny i krwią pomazany.

A Kirkor?

KOSTRYN.

Zginął!

BALLADYNA, *chowając nóż zatruty po jednej stronie.*

Miałam nóż gotowy...
Winnam ci życie. Naczelników głowy
Niech kat pościna! idź, wydaj rozkazy...

Kostryn wychodzi.

GŁOSY ZA NAMIOTEM.

Niech żyje wódz nasz, Fon Kostryn!

BALLADYNA.

Niech żyje
Wódz wasz Fon Kostryn!... powtarzam wyrazy
Jak głupia sroka... rzucę się na szyję
Niemca i węzłem pocałunków zduszę

Kostryn wprowadza poselstwo ze stolicy. — Jeden z obywateli niesie na tacy złotej chleb i sól.

KOSTRYN.

Oto poselstwo z poddanej stolicy.

BALLADYNA.

Kazałeś wieszać?

KOSTRYN.

Pierwsi buntownicy
Już zgromadzeni pod maćkową gruszę;
A ta się cieszy, że dosiego roku
Dwa razy będzie nosiła owoce.

BALLADYNA, *do poselstwa miejskiego.*

Czego wy chcecie?

Posłowie klękają.

POSEŁ MIEJSKI.

Aniele z obłoku!
Do ciebie serca narodu sieroce
Wznoszą się wszystkie, ty bądź kraju panem.
Stolica całem zniżona kolanem
Czeka na ciebie z otwartymi bramy.
Witaj więc! witaj, miły hospodynie!
Serca i skarby i wszystko, co mamy,
Pod nogi twoje strumieniem popłynie,
Boś już zasłużył na wdzięczność narodu
Skaraniem hersztów, którzy nas uwiedli.
Ci nas mękami, karą miecza, głodu,
W mieście trzymali; a nasze zaś serca
Ciebie szukały. Obyśmy dowiedli,
Że między nami żaden przeniewierca
Na gniew twój, wielki panie, nie zasłużył,
Obyś żył długo, obyś skarbów użył,
Obyś nieszczęsnych, przyciśnionych dolą
I tu przed sobą klęczących na prochu
Przyjął łaskawie. Chlebem cię i solą
Witamy, panie.

BALLADYNA, *do Kostryna.*

Czy z tego motłochu
Żaden przeciwko mnie nie nosił broni?

KOSTRYN.

Dwóch językami walczyło po mieście,
Lud namawiając do boju.

BALLADYNA.

Gdzie oni?

KOSTRYN, *wskazując.*

Pan burmistrz „Kurjer“ i „Pismo“.

BALLADYNA.

Powieście
Obu rycerzy burmistrzów na dzwonie
Wieży zamkowej.

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Panie! w twojem łonie
Kamienne serce.

BALLADYNA.

To wreszcie, to wreszcie
Na wasze prośby ułaskawiam obu.
Wybić im zęby i wyłamać szczęki,
Niechaj nie walczą.

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Więc niema sposobu
Ubłagać ciebie przez łzy ani jęki,
Żelazny panie nasz.

BALLADYNA.

Jestem kobietą.
Widząc, że się cofają z przerażeniem.
Cóż to? cofnęli się jak od zarazy,
I znów jak wiatrem kołysane żyto
Biją głowami?

PIERWSZY Z POSŁÓW.

Na twoje rozkazy
Czekamy, pani, panuj z ludu wolą.

BALLADYNA.

Bez ludu woli... Dajcie mi chleb z solą.
Posłowie, ufam drożdżom tego ciasta.
Chodź tu, Kostrynie. Winnam ci tak wiele,
Że ci połowa zdobytego miasta,
Połowa kraju i chleba połowa
Słusznie należy...
Wyjmuje nóż zatruty po stronie i rozcina na dwoje chleb.
Wszystkiem się podzielę...
A serce weźmiesz całe.

KOSTRYN, *klękając.*

O! królowa!

BALLADYNA, *kosztując chleb, widzi, że Kostryn je podaną sobie połowę.*

Czyń, co ja czynię. Nie lękam się jadu
W chlebie poddanych. Choćby zamiast żyta
Użyli łusek żelaznego gadu,
Smaczną ci będzie żelazem zdobyta

Bułka... Jedz, proszę... trzeba ludziom wierzyć.
A teraz każcie z tryumfem uderzyć
W trąby zwycięskie. Idźmy, wojownicy,
Do otworzonej żelazem stolicy.

Wychodzi oparta na Kostrynie, za nią posłowie i lud.

SCENA IV.

Sala królewska w Gnieźnie. — Tron w głębi. — Kanclerz u stóp tronu. — Panowie państwa. — Wawel, dziejopis. — Paź. — Dwór.

KANCLERZ.

Wszystko gotowe na przyjęcie pana.
Zasiądźcie teraz ławy po urzędzie,
Przy samym tronie wodzowie i sędzie,
Szafarze zboża, dolewacze dzbana.
Niech wszystkich razem nowy król powita.

Wchodzi goniec.

GONIEC.

Świetny urzędzie, wieść przynoszę ważną.
Nasz król, pan nowy: kobieta.

KANCLERZ.

Kobieta?

WSZYSCY.

Królem kobieta!

KANCLERZ.

Niech będzie odważną,
Jak była Wanda, niech tak dobrą będzie,
Ale szczęśliwszą.

Goniec drugi wchodzi.

GONIEC.

Prześwietny urzędzie!
Królowa weszła już do bram stolicy.

KANCLERZ.

Każcie, niech wszystkie serca na dzwonicy
Biją dzień cały, tak jak serca ludu.

PIERWSZY Z PANÓW.

Wieszczbiarz nie może wytłumaczyć cudu,
Co się ukazał dzisiaj narodowi.
Lud niespokojny.

KANCLERZ.

Co za cud?

PIERWSZY Z PANÓW.

Nad opis.
Jeżeli chcecie, to go wam opowie
I w księgi wpisze szlachetny dziejopis
Królów na Gnieźnie.

KANCLERZ.

Przemądry Wawelu,
Czy sam widziałeś?

WAWEL.

Co widziało wielu,
Mogę poświadczyć, jak świadek naoczny.
Dnia tego, ranek był po stronach mroczny,
Lecz się wyjaśnił ku wschodowi słońca.
Więc jak widziałem prawie sam... od końca
Niebios, skąd błyszczy gwiazda Oriona,
Wyleciał, lecąc, sznur żórawi biały,
A na nim, wisząc za śnieżne ramiona,
Mglista niewiasta.

KANCLERZ.

I wszystko widziały
Twe własne oczy, przemądry Wawelu?

WAWEL.

Nie ja widziałem, lecz widziało wielu;
Mogę przyświadczyć na rzecz z mego czasu.

PAŻ.

Ja sam widziałem z goplańskiego lasu
Za żórawiami lecącą dziewczynę.
Ta na ostatnią orszaku ptaszynę
Padając, białe zawiązała rączki
Za szyję ptaka; a głową do ziemi
Sypała włosów rozwite obrączki,
Jasne jak słońce, i tak na warkoczu,
Gdy promieniami rozwiał się złotymi,
Leżała, płynąc.

KANCLERZ.

Trzeba dziecka oczu,
Aby na szmatach niebieskiego płótna
Obraz widziały.

Ściemnia się jak przed burzą.

PIERWSZY Z PANÓW.

Co to? ciemność smutna
Na tron upadła i nam na oblicza,
Jak zaćmionego słońca tajemnicza
Zieloność; bladzi staniemy przed panią.

KILKU.

Okropna ciemność.

Wchodzi strażnik z wieży.

STRAŻNIK.

Nad blaszaną banią
Królewskich zamków, skąd w niebo wytryska
Igła złocona, okropne chmurzyska
W koło się czarnym owinęły wiankiem,
I coraz grubsze już wiszą nad gankiem,
Gdzie ustawiona myzyka królewska.
A cała nieba równina niebieska,
Jakby się z jednej urągała chmury.

KANCLERZ.

Bijcie we dzwony.

STRAŻNIK.

Łono ma z purpury
Ognistej...

KANCLERZ.

Deszczu potrzeba, niech pada.

STRAŻNIK.

Na czarnym wozie jakaś jędza blada
Stu żórawiami wywieziona z piekła,
Wężami stado wędrujące siekła
I kierowała nad zamek do chmury.
Siedzi w mgle teraz, ale jęk ponury
Piekielnych ptaków z mgły się wydobywa.
Słyszycie?

Słychać jęk z wieży.

KANCLERZ.

Prawda jakiś jęk nieznany!

PANOWIE, *zrywając się z ław.*

Okropność!

KANCLERZ.

Niech się żaden z ław nie zrywa.
A ty, strażniku, musiałeś być pjany
I sam stworzyłeś wieść o czarownicy.

STRAŻNIK.

Ja sam widziałem i lud z okolicy
I lud gnieźnieński.

OKRZYKI, *za sceną.*

Niech żyje królowa!

Balladyna wchodzi w królewskim ubiorze, w koronie. Kostryn w zbroi. Lud.

KANCLERZ.

Pani, niech będzie poświęconą głowa,
Co nam przynosi koronę Popielów.
Witaj i panuj tak mądrze i szczodrze,
Ażebyś z Bogiem do najświętszych celów
Lud prowadziła. Przewiąż się na biodrze
Szatą czystości, czoło wznieś do nieba.
Daj łaskę winnym, daj łaknącym chleba
A wszystkim niechaj rządzi sprawiedliwość.

BALLADYNA, *z tronu.*

Cóż mam uczynić?

KANCLERZ.

Praw naszych gorliwość
O dobro ludu stanowi oddawna,
Że król, nim siądzie do pierwszego stołu,
Nim da spoczynek strudzonemu czołu,
Które uciska w dzień korona sławna,
Wprzódy na ławie sądowniczej siada
I rozwiązuje kryminalne sprawy.

BALLADYNA.

Niech się tak stanie, jak wasze ustawy
Każą...

Kostryn chwieje się i pada.

PIERWSZY Z PANÓW.

Co to jest! wódz blednie i pada?

BALLADYNA, *przystępując do leżącego Kostryna.*

Co to znaczy... słabo ci?

KOSTRYN.

Umieram.

BALLADYNA.

Panie mój! drogi!

KOSTRYN.

Precz! jędzo trująca!
Zrzućcie ją z tronu, ja pierwszy otwieram
Grobowiec ciemny dla ludzi tysiąca,
Co będą żyli pod nią.

BALLADYNA.

On w malignie.
Wynieść go! wynieść! ciało jego stygnie...
Niech lekarz jaki uzdrowi go, za to
Połową kraju zapłacę.

LEKARZ.

Już skonał.

Wynoszą ciało Kostryna, lekarz idzie za nim.

KANCLERZ.

Pani, okropną zasmucona stratą,
Znoś ją cierpliwie. Bóg ciebie przekonał
Na samym wstępie u złotego tronu,
Że przy tych szczeblach stoi widmo zgonu
I czeka na nas.

BALLADYNA, *do siebie.*

Już przeszłość zamknięta
W grobach. Ja sama panią tajemnicy.

Głośno.

Każcie wojennym brańcom rozkuć pęta,
Zastawić stoły na rynkach stolicy
I dawać co dnia dla żebraków strawę.

KANCLERZ.

Wdzięczność i sława tobie.

BALLADYNA.

Ja o sławę
Nie dbam, a wyższa teraz nad sąd ludu,
Będę, czem dawno byłabym, zrodzona
Pod inną gwiazdą. Życie pełne trudu
Na dwie połowy przecięła korona.
Przeszłość odpadła jak od płytkiej stali,
Którą po stronie jednej ośliniła
Żmija — połowa jabłka leci zgniła
I czarna jadem. Wyście mnie nie znali
Taką, jak byłam, niech więc lud nie śledzi
Przeszłości mojej. Wiecie, com wyznała,
A resztę wyznam księdzu na spowiedzi.
Ha! jeszcze jedno — poszukajcie ciała
Grafa Kirkora między gęste trupy.
I na ten wzgórek, gdzie już tylko słupy
Brzóz obrąbanych mieczami się bielą,
Zanieście mary z jedwabną pościelą;
Na tej pościeli przyniesiecie śpiące
Zwłoki Kirkora... Niech ludu tysiące

Płacze przy marach tego, co z orężem
Poległ mym wrogiem... a był moim mężem;
Zaprawdę mówię, ja po Grafie wdowa.
Lecz niech nie roi bajek tłum gawiedzi,
Co miała wyznać, wyznała królowa,
A resztę powie księdzu na spowiedzi.
Teraz, kanclerzu, wywołaj przedemnie
Zbrodniów — na pierwszym siedzę trybunale.
Jeśli fałsz wydam, niechaj będzie ze mnie
Gniazdo robaków! niech się ogniem spalę!
Ani mię ujmie dobroć ani trwoga,
Ani odwiodą ludzie, ani czarty.
Przysięgam sobie samej, w oczach Boga,
Byś sprawiedliwą.

KANCLERZ.

Woźni!

WOŹNI.

Sąd otwarty.

KANCLERZ.

Oto jest księga praw, oto Zbawiciel
Na suchem drewnie krzyża rozpostarty.
Ucałuj księgę i krzyż.

WOŹNY.

Oskarżyciel.

Staje lekarz zamkowy.

KANCLERZ.

Ktoś jest!

LEKARZ.

Królewski lekarz.

KANCLERZ.

O co sprawa?

LEKARZ.

O jadotrucie.

KANCLERZ.

Na kim?

LEKARZ.

Na Kostrynie
Twój wódz, o pani można i łaskawa,
Otruty skonał; wielki rycerz ginie
Od jadu, co się zowie ludomorem.
Na jego ciele żelaznym kolorem
Wyszło tysiące plam; skonał otruty.

KANCLERZ.

Kogo posądzasz?

LEKARZ.

Niech sąd szuka winnych.

BALLADYNA.

Zbrodniarz nieznany? odłożyć do innych
Sądów tę sprawę. Niech ma czas pokuty.

KANCLERZ.

Zwyczajem kraju jest, mościa królowo,
Wydawać wyrok, choćby nad nieznanym,
I zawieszony miecz trzymać nad głową
Tajnego zbrodnia, aż będzie schwytanym
I da nam gardło.

BALLADYNA.

Są jednak zbrodniarze
Wyżsi nad wyrok, święci jak ołtarze,
Niedosiągnieni . . .

KANCLERZ.

Takich Bóg ukarze.
Do ciebie ziemski wyrok dać należy,
Szczero sumienny.

BALLADYNA.

Cóż wyrzekły prawa?

KANCLERZ.

Jeżeli który z szlachty i z rycerzy
Trucizną gorzką na życie nastawa
Równego sobie i dopełni czynu,
To kara miecza. Jeśli zaś kto z gminu
Otrucie spełni . . .

BALLADYNA.

Dosyć! . . .

KANCLERZ.

Sądź, królowo.
Niechaj u ciebie mniej waży praw słowo,
Niż głos sumienia.

BALLADYNA.

Skończmy! Otrawiciel[1]
Winien jest śmierci.

---

[1] Otrawiciel, truciciel.

KANCLERZ.

Na zamkowym progu
Otrąbić wyrok. A jeżeli mściciel
Kat nie wypełni, zostawiamy Bogu!

Słychać trąby.

Niech teraz stanie drugi oskarżyciel.

Wchodzi Filon z nożem i z dzbankiem malin, ubrany w kwiaty

Ktoś jest?

FILON.

Cień tego, czem byłem. O! smutki!
Wyście mi pamięć odjęły na wieki,
Dręcząc pamięcią. Jako niezabudki,
Trącane ciągle od płynącej rzeki,
Znajdują radość w ciągłem kołysaniu
Błękitnej fali, tak ja, bity falą
Płynących smutków, we łzach i w niespaniu
Ulgę znajduję.

KANCLERZ.

Prawodawczą szalą
Nie można ważyć tego człeka mowy.
Tłumacz się jaśniej.

FILON.

Oto malinowy
Dzbanek, a oto nóż... A te maliny
Były pod głową zabitej dziewczyny,
Nóż był w jej piersiach. Niechaj z tego dzbanka
Wypłynie nowy Eurotas[1] płaczu,
Niech zaprowadzi smutnego kochanka
Falą przejrzystą do kochanki grobu,
A ja mu powiem: strumyku tułaczu,
Dzięki ci wieczne, w grobie dla nas obu
Będzie spoczynek i cichości morze.
Przebacz, Apollo! promienisty Boże!
Że łzy przyszedłem przed ludźmi wylewać
I smutek z nimi łamać jako chleby.
Przychodzę ludziom smutną pieśń wyśpiewać,
Przyszedłem, jako Orfeusz w Ereby[2],
Prosić Plutona, by mi wrócił żonę.
Słuchajcie, ona żoną moją była,
Żoną mej duszy; dziś jedna mogiła
Zamyka białe ciało, zakrwawione
Tym nożem... patrzcie! Oto na tym dzbanku
Znalazłem martwą, o wiosny poranku,
Zabitą nożem.

---

[1] Eurotas, rzeka w Lakonji. [2] Ereb, podziemie, miejsce pobytu zmarłych, w Hadesie.

KANCLERZ.

W tej zawiłej skardze
Czuć zbrodni zapach...

BALLADYNA.

Kanclerzu, ja gardzę
Szalonych ludzi zaskarżeniem.

KANCLERZ.

Pani!
Sąd winien śledzić do ostatka, ani
Pogardzać smutnym psa na kogo wyciem.
Więc-że, pasterzu, rozstała się z życiem
Twoja małżonka? i znalazłeś ciało
Nożem przebite? Kiedy się to stało?

FILON.

Trzy razy księżyc i gwiazdy pobladły
Przed Apollinem.

KANCLERZ.

Mów, na kogo padły
Twe podejrzenia o zabójstwo krwawe?

FILON.

Ach! Parki! Parki! Parki niełaskawe
Przecięły srebrną nitkę jej żywota;
Może też z nieba jaka gwiazda złota
Pozazdrościła mej kochance blasku
W oczach, i oczom zawrzeć się kazała.

KANCLERZ.

Gdzież ją znalazłeś?

FILON.

W dumającym lasku,
Pod cieniem wierzby rozpłakanej, spała
Snem nieprzespanym.

KANCLERZ.

Zawikłana sprawa.
Wydaj, królowo, wyrok na nieznanych,
Radź się sumienia.

BALLADYNA.

A jak sądzą prawa?

KANCLERZ.

Za śmierć chcą śmierci.

BALLADYNA.

Z tych pozabijanych
Nie będziem mieli prochu ani ćwierci.

KANCLERZ.

Wydaj sumienny sąd.

BALLADYNA.

Winna jest śmierci.

KANCLERZ.

Winna... Więc sądzisz, że zbrodniarz niewiasta?

BALLADYNA.

Sądzę, jak sądzę...

KANCLERZ.

Niech ludowi miasta
Otrąbią wyrok na zamkowym progu.
Katowi zemsta należy lub... Bogu.
Trąby.
Niech teraz stanie oskarżyciel trzeci.
Wchodzi ślepa wdowa, matka Balladyny.
Ktoś ty jest?

WDOWA.

Wdowa.

KANCLERZ.

Na kogo?

WDOWA.

Na dzieci
Skargę zanoszę... Mówią, że królowa
Piękna jak anioł, niechaj ona sądzi...
Miałam dwie córki stara, biedna wdowa,
Żywiłam obie. Jak to często błądzi
Człowiek na ziemi, czekając pociechy...
Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy;
Niedobre dziecko. Lecz druga... o Boże!
Królowo moja, ty jak anioł biała,
Sądźże ty sama!... Druga poszła w łoże
Wielkiego Grafa: bogdajbym skonała,
Jeśli ja kłamię; Graf ją wziął za żonę.
Królowo moja, bogdaj ci koronę
Bóg wiecznie trzymał na tej mądrej główce,
Osądź!... W tej drugiej córce jak w makówce
Było rozumu, Graf ją kochał bardzo,
Ale ja matka kochałam jak matka!
Aż tu w jej zamku już służalce gardzą
Biedną staruszką; cierpię do ostatka

Wzgardę służalców, grób był dla mnie blisko;
Aż tu mnie jednej nocy to córczysko
W obliczu ludzi zaparło się głośno...
A! córko, mówię, bądź że ty litośną
Dla starej matki, co już bliska truny.
Była noc straszna i deszcz i pioruny,
Pioruny i deszcz i ciemno i burza.
Córka kazała wypędzić z podwórza
Mnie, starą matkę, na wichry i deszcze,
W noc i w pioruny i w burzę i jeszcze
Głodną kazała... Niech jej Pan Bóg Stwórca
Przebaczy!... głodną wypędzić z podwórca,
Do lasu... Wiatr mię poniósł za łachmany,
Piorun wypalił oczy. O! różany
Mój królu! złoty mój panie! litości!

KANCLERZ.

Pani, ty milczysz? Takiej nieprawości
Mszczą się okropnie nasze mądre prawa.

BALLADYNA.

Przecież nie śmiercią.

KANCLERZ.

Lechitów ustawa
Śmierć przepisuje na niewdzięczne dzieci.
Niechaj cię księga naszych praw oświeci,
Czytaj... i czytaj we własnem sumieniu.
A ty, staruszko, nazwij po imieniu
Wyrodną córkę, a kat ją ukarze,
Chociażby z pierwszym Grafem państwa w parze
Los ją powiązał... powiedz Grafa miano
I córki imię, a prawa dostaną
Przez mury zamku jej serca i głowy.

WDOWA.

Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy.
Żegnaj, królowo, ja wracam do boru,
Będę żyć rosą...

KANCLERZ.

Podług ustaw toru,
Kto zaniósł skargę, odstąpić nie może.
Wyznaj...

WDOWA.

Nie! nie! nie!

KANCLERZ.

Wziąć na tortur łoże,
I wszystkie stawy jej w żelazne kleszcze.
Cóż? wyznaj, stara...

WDOWA.

Nie, panie.

KANCLERZ.

Raz jeszcze
Pytam się ciebie o imię złej córy.

WDOWA.

Ona niewinna.

KANCLERZ.

Wziąć ją na tortury.

WDOWA, *wydzierając się straży.*

Królowo moja, zlituj się! ja stara!
Jabym być mogła matką twoją... Boże!
Ty nic nie mówisz? Nic?... To jakaś mara
Straszna na tronie. Więc ja się położę
Na tych żelazach i skonam, a w niebie
Bóg wam odpuści.

KANCLERZ.

Wygadasz w boleści.

WDOWA.

Panie! jasny panie! i u ciebie
Żelazne serce...

Odchodzi ze strażą.

KANCLERZ.

Praw się trzymam treści.
A za to niech mię wielki Bóg obwini,
Lub uniewinni... A ty, monarchini,
Wiedz, że mam serce pełne łez, goryczy
I przerażenia.

Słychać jęk.

Co to jest?

ŻOŁNIERZ.

To krzyczy
Stara kobieta.

KANCLERZ.

I nic nie wydała?

ŻOŁNIERZ.

Nic...

KANCLERZ.

Poczekajmy.

BALLADYNA.

Z mego teraz ciała
Kat zrobił sercu torturę... rozciąga...
Wody!...

Podają pić.

ŻOŁNIERZ.

Już zdjęta z żelaznego drąga.

BALLADYNA.

Już!... powiedziała co w bolach?

ŻOŁNIERZ.

Umarła.

BALLADYNA.

Umarła, mówisz?

ŻOŁNIERZ.

Jak ją kat położył
Na tortur kleszczach, to oczy zawarła;
A patrząc na nią, ktoby się pobożył,
Że to kościany Chrystus był bez ducha.
Każda kosteczka wywiędła i sucha
Przez rozciągniętą skórę wyglądała,
Prosząc o litość...

KANCLERZ.

I nic nie wydała?

ŻOŁNIERZ.

Umarła cicho... A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
I w obu dołkach stoją łzy.

BALLADYNA.

Od rana
Siedzę na sądach, a żaden z nędzarzy
Tak nie pracuje długo i tak znojnie.
Już noc, panowie.

KANCLERZ.

Nie, to czarna chmura
Wisi nad zamkiem. Poradź się spokojnie
Twego sumienia, czego warta córa,
Dla której matka taką śmiercią kona?

BALLADYNA.

Wy ją osądźcie.

KANCLERZ.

Niech twoja korona
Przybierze blasku sądem sprawiedliwym.
Ona zaprawdę winna ogniem żywym
Być obrócona na węgiel piekielny.
Osądź ją...

WSZYSCY.

Osądź!

KANCLERZ.

Jak Bóg nieśmiertelny,
Winna jest sądu.

WSZYSCY.

Pociąć ją na ćwierci.

KANCLERZ.

Radź się sumienia i sądź.

BALLADYNA, *po długiem milczeniu.*

Winna śmierci!

Piorun spada i zabija królowę. — Wszyscy przerażeni.

KANCLERZ.

Król-kobieta piorunem boskim zastrzelony,
Zamiast w koronacyjne, bić w pogrzebu dzwony.

EPILOG

PUBLICZNOŚĆ, *wywołując.*

Dziejopis, Wawel![1] Wawel, narodu dziejopis.

Wawel wychodzi, kłaniając się.

WAWEL.

Prześwietna publiczności, oto mój skoropis
Zaczął rzecz wydarzoną wpisywać do kronik.
Przerwaliście mi pracę.

PUBLICZNOŚĆ.

Czyjże jesteś stronnik?

WAWEL.

Jestem sędzia bezstronny i naoczny świadek.

---

[1] Karykatura Lelewela.

PUBLICZNOŚĆ.

Jakżeś ty piorunowy opisał przypadek?
Powiedz! myśmy widzieli rzecz całą do końca.

WAWEL.

Z ziarnka piasku dojść można do obrotu słońca,
Zaciekając się w rzeczy wydarzonej jądrze.
Królowa jak Salomon panowała mądrze,
Więc musiała być mądrą, przy mądrości cnota.

PUBLICZNOŚĆ.

Panie Wawel, za prędka twych sądów szczodrota.
Było za kulisami stać od pierwszej sceny.

WAWEL.

Komponowałem wtenczas nad Popielem treny.

PUBLICZNOŚĆ.

Cóż o rodzie królowej?

WAWEL.

Z historycznych szczytów
Patrząc, ród jej prowadzę z kraju Obotrytów [1]
Którzy mięsa nie jedzą. Choć jeden uczonek
Mieni, że pochodziła z kraju amazonek;
Ale ja mu zarzucam fałsz w kroniki nocie
I dowodzę dowodem i topię go w błocie.
Obaczycie go piórem zabitego w trunie.

PUBLICZNOŚĆ.

Cóż powiadasz na piorun?

WAWEL.

Sądzę o piorunie,
Że kiedy burza bije, trzeba bić we dzwony,
Że gałązka laurowa lepsza od korony,
Bo w laur piorun nie bije, ani głowie szkodzi.

PUBLICZNOŚĆ.

Czy jesteś tego pewny?

WAWEL.

Ten, co w laurach chodzi,
Autor niniejszej sztuki, słusznie wam opowie,
Że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie,
Piorun weń nie uderzył.

PUBLICZNOŚĆ.

Pochlebiasz, mój łysy
I królom i poetom... Idź precz za kulisy!

(1834—1839).

---

[1] Obotryci, dawny lud słowiański

LILLA WENEDA

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

LECH.
GWINONA, żona Lecha.
LECHON, KRAK, ARFON } synowie Lecha.
DERWID, król Wenedów.
LILLA WENEDA, ROZA WENEDA } córki Derwida.
POLELUM, LELUM } synowie Derwida.
SYGOŃ, GRYF } Lechici.
ŚWIĘTY GWALBERT.
ŚLAZ, jego sługa.
DWUNASTU HARFIARZY, DWUNASTU WODZÓW } Wenedzi.

Orszak dziewic Gwinony. — Rycerze Lechici.

Z czasów bajecznych. — Blisko Gopła.

DO AUTORA IRYDIONA

LIST II.

Kochany Endymionie[1] poezji, drzemiący w cieniu gajów laurowych, z lekkością i ciszą letniej błyskawicy przedzieram się przez czarne liście drzew nieśmiertelnych i trzema błyskami budzę ciebie ze snów niespokojnych. Wstań! wstań, mój Endymionie, tajemniczej Muzy kochanku, i postąp krokiem ku mnie, a napotkasz nowy gaj fantazji, zielony sosnami teatr; bo oto dla ciebie jedynie, mój drogi, wybudowałem nową scenę, sprowadziłem duchów aktorów i rozłożyłem na leśnej murawie biegającego po świecie kolportera małe bogactwo. Odeślij mnie z nowym zarobkiem przyjaźni, ze łzą, jeżeli można, z pochwałą, jeżeli można; a będę spokojny na wieczność.

Obudź się! obudź, rzymski, w złotej zbroi, z ognistym pancerzem, rycerzu! Nowe mary stoją przed tobą; oto jest wzgórze okryte zieloną murawą, na wzgórzu stoi dwanaście druidycznych[2] kamieni i trzynasty tron z omszonego granitu; oto wzgórze ukoronowane wieńcem dwunastu białowłosych harfiarzy, zewsząd jakby morzem czerwonego połysku oblane... to straszne wzgórza zwierciadło — to krew narodu. Śpiew dwunastu harf rozlega się nad ludem umarłych i wbiega w puste, szumiące lasy sosnowe, wołać nowych na zemstę rycerzy. Czy ci nie smutno?

Oto jest rycerz z dwojgiem serc, z mieczem jedynym, z Tella[3], z Kastora i z Polluxa[4] złożony; rycerz, którego jedna połowa jest tarczą, a druga śmierci żelazem — wódz, mający dwie dusze i dwa ciała; nieszczęście narodu; przeznaczenie dowodzące potępionemu przez Boga ludowi... Wódz z dwojakiem i nie śmiesznem już więcej nazwiskiem: oto stoi na stosie ostatecznym jako posąg przyszłości. Czy go widzisz?

Oto wróżka, która zabrania harfiarzom rozpaczy, a jednym strasznym i mściwym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich, kruszy je pod swymi nogami. Eumenida[5] eschylowska krzycząca:

---

[1] Endymion, kochanek Selene bogini księżyca, zwykle przedstawiany we śnie, z którego budziły go promienie kochanki. (Mit grecki). [2] Druidyczne kamienie, grobowce starożytnych Celtów z głazów. [3] Tell Wilhelm, bojownik o wolność Szwajcarji. [4] Kastor i Polluks, synowie Zeusa, wzór miłości braterskiej, to określenie odnosi się do Lelum i Polelum. [5] Eumenida, bogini zemsty w mitach greckich, tu oznacza Rozę Wenedę.

zwycięstwo! sto serc ludzkich za zwycięstwo. Czy się nie wzdrygasz?

Oto jest stary i święty człowiek[1], który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych i zamieszkał w czaszce olbrzyma, a przyjazne jemu ślimaki przylazły i śliną kryształową zalepiły czaszki już pustej źrenice, powoje owinęły ją dokoła. Oto we wnętrzu groty kościanej i ludzkiej krzyż stoi, lampa się pali i błyszczy obraz rafaelowskiej Boga Rodzicy. Widzisz, jak dno złote obrazu pięknie jaśnieje w ciemnościach pustego czerepu? słyszysz, jak szemrze modlitwa? Lecz — o! biada, o! losy... słowo świętego starca, miecz rolandowy wyprzedził i jeszcze lud jeden konia z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę. Cóż, mój Galilejczyku?

Oto jest brat Rolanda,[2] a praszczur Sobieskiego; człowiek silnej ręki i molierowskiej w domostwie słabości; kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. — Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje... bez jutra.

Oto nareszcie jest twarda dziewka skandynawska[3]; oto mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wybiegów, tchórzostwa w osobie Ślaza. Oto jest cały sklepik kolportera, wysypujący przed tobą swe fantastyczne figurki, za które autor sam gada; a czasem szczebioce Alfierego[3] językiem. Na cóż to wszystko?

Zaprawdę ci powiadam, jam tych mar nie wołał — przyszły same; przyprowadziła je z sobą biała Lilla Weneda; a ja ujrzawszy ten tłum ludzi, harf złotych, hełmów, tarcz i mieczów dobytych, usłyszawszy głosy zmięszane dawno już wymordowanego ludu, wziąłem jedną z harf wenedyjskich do ręki i przyrzekłem duchom powieść wierną i nagą, jaka się posągowym nieszczęściom należy.

Ile razy więc, zwyczajem teraźniejszych poetów, chciałem zacząć kwilącą serca dyssekcję, lub melancholizowaniem sztucznem obrazów prostą legendę okrasić, tyle razy mary zjawione krzyczały z krajów przeszłości: „serca nasze były zdrowe i ciała, w mowie naszej nie było niespodziewanych *concetti*[5]. Choć córki królewskie, nie wzdychałyśmy do księżyca, choć synowie królewscy, pędzimy woły na paszę. Ossjan[6] usłyszał naszego zgonu historję, lecz nie znalazł w niej dosyć chmur księżycowych, duchów, sarn, błyskawic i wiatru wzdychającego po mogiłach, ani więc ruszył harfy na omszonym dębie wiszącej, ale odpędził nas w mgłę niepamięci rozpacznie. Lecz ty, mówiły dalej mary, któregośmy widziały w ciemnym Agamemnona[7] grobowcu, ty, ja-

[1] Oznacza św. Gwalberta. [2] Roland rycerz z czasów Karola Wielkiego tu „brat Rolanda“ oznacza Lecha. [3] Gwinona, żona Lecha. [4] Alfieri, dramaturg włoski z XVII. wieku. [5] Concetti po włosku zręczna igraszka słów. [6] Ossjan, rzekomy pieśniarz kaledoński z III go wieku Właściwym autorem pieśni ogłoszonych w 1760 r. był Macpherson. [7] Agamemnon, wódz grecki z wyprawy trojanskiej. grobowiec o którym tu mowa znajduie się w Mykenach, dziś uważany za skarbiec Atreusza.

dący niegdyś brzegami laurowego potoku, gdzie Elektra[1] królewna płótno bieliła matczyne, mów o nas prosto i z krzykiem".

Tak namówiony, wziąłem pół posągową formę Eurypidesa[2] tragedji i rzuciłem w nią wypadki wyrwane z najdawniejszych krańców przeszłości; a jeżeli Bóg mi pozwoli, to na tej nieco marmurowej podstawie, oprę szersze, bardziej tęczowe, lecz mniej fantastyczne niż Balladyna tragedje; tylko ty, Irydjonie, nie opuszczaj mnie śród zimnego świata słuchaczy, tylko ty mi nie daj uczuć chłodu, który mi na czoło od twarzy ludzkich powiewa; a gdybyś widział na mnie idące węże, weź w rękę harfę Lilli Wenedy i przemień te gady w słuchaczów. Ile razy z tobą byłem, zdawało mi się, że wszyscy ludzie mają oczy rafaelowskie, że dosyć jest jednym słowa zarysem pokazać im piękną postać duchową, że dbać nie trzeba o niedowidzenie, a chronić się tylko przesytu; sądziłem, że wszyscy ludzie obdarzeni są platońską i attycką uwagą; że dodawszy do stworzonego już przez poetów świata jedną taką postać jak nimfa uwieńczona jaskółkami, które pierzchają z włosów, dotknięte słońca promykiem; jedną taką postać, jak nimfa uwiązana rączkami za łańcuch smutno gwarzących po niebie żurawi, można te Ateńczyki obrócić na niebo oczyma. Teraz widzę, że innych widm, innych kolorów, innych potrzeba obrazów. Nie schodzę jednak z mojej drogi; a że jest pustą i szeroką, to przypomina mi złote pustynie Suez, na których tak mi dobrze było, gdym się tylko za słońcem i gwiazdami kierował. Jest to wreszcie dla mnie droga konieczna: ile razy bowiem zetknę się z rzeczywistemi rzeczami, opadają mi skrzydła i jestem smutny, jak gdybym miał umrzeć; albo gniewny, jak w owem wierszu o Termopilach, który na końcu księgi umieściłem, niby chór ostatni śpiewany przez poetę. Na Odyna[3] niech wrzeszczą samochwalce, a ja z drgającymi ustami wracam pod skrzydła twoje ochłonąć.

A teraz, słyszę, że mnie pytasz, skąd się w mojej myśli biała postać Lilli Wenedy zjawiła... posłuchaj. Przed pięciu laty mieszkałem nad jeziorem Szwajcarji, blisko miasteczka Villeneuve, dawnego Avencium. Miasteczko to, położone na zielonej równinie w końcu jeziora, niedaleko zamku Chillon i skał Heloizy[4], czarowało mię swoją wiejską i spokojną pięknością; na jasnych i wodnistych łąkach zbudowane, uśmiecha się wiosenną zielenią z pod czarnych gór, które, podobne rzymskiemu legjonowi, stoją groźne, nachylone, gotowe spaść i rozprószyć... Co? kilka małych domków, biało odbitych w jeziorze, mały kościółek z piramidalną wieżyczką i rząd ciemnych drzew kasztanowych, które jesienią owieszone mnóstwem chłopiąt, tłukących z koron owoce, rumienią się hożą czerwonością wesołych twarzy, niby jabłonie sadów naszych mnóstwem owoców spłonione. Takiem jest dzisiaj to miasteczko; lecz niegdyś, przed wiekami, na

[1] Elektra, córka Agamemnona. [2] Eurypides, tragik grecki. [3] Odyn, bóg piorunu w mitologji starogermańskiej. [4] Heloiza, bohaterka powieści J. J. Rousseau.

tem samem miejscu odbywała się okropna jakaś ofiara: musiało być poświęcenie się, rozpacz, szczęk broni, miecz katowski ucinający głowę starca i słowo: S. P. Q. R.[1] błyszczące na rzymskich chorągwiach. Czas wszystko uciszył. Z całej owej historji został tylko jeden grobowiec z następującym napisem:

JULJA ALPINULA.
TU LEŻĘ.
NIESZCZĘŚLIWEGO OJCA NIESZCZĘŚLIWA CÓRKA,
BOGÓW AVENTYŃSKICH KAPŁANKA.
WYPROSIĆ OJCA OD ŚMIERCI NIE MOGŁAM.
NIESZCZĘŚLIWIE UMRZEĆ W LOSACH JEGO BYŁO.
ŻYŁAM LAT XXIII.

Mój Irydjonie, ta młoda dziewica, ta czysta kapłanka, co żyła tylko lat 23, skarżąca się tak cicho a tak przeraźliwie z przeszłości, ona to zamieniła się w Lillę Wenedę; chciałem kwiat łączny przenieść do Polski: niosłem go ze świętem uczuciem, aby nie strącić zeń rosy, listka nie ułamać. Ta mara srebrnej białości, która na dziwnej zieleni łąk szwajcarskich, na odłamie skały stawała przedemną, teraz zmartwychwstawszy nad Gopłem, opowiedziała swego poświęcenia się historję; cicha, czysta, biała i spokojna, ale głęboko w serce nawet przez ojca własnego raniona.

Dawniej jeszcze, jadąc przez pińskie błota, widziałem mnóstwo lilij wodnych i mnóstwo chłopów wychudłych od głodu; między chłopami a nenufarem litewskim taki był związek, że chłopstwo jadło kwiatów łodygi, nie mając chleba: łodygi te bowiem rdzeń mają słodką, gąbczastą, która za pokarm służyć może. Co z tego pińskiego wspomnienia do tragedji wniknęło, zobaczysz.

A teraz, kiedym ci się wyspowiadał, usiądź na ułamku jakiej dawnej ruiny, albo pod cieniem wirgilowego lauru i niech cię gwarząca moja przeszłość otoczy; usiądź nad kryształową jaką i smętną wodą, abyś z książką moją mógł to zrobić, co zamyślona z białą różą w ręku dziewczyna: to jest, oberwać ją liść po liściu, rzucić w wodę płynącą i pytać się losu listków o los człowieka; a zniszczywszy tak ciało Lilli Wenedy, odtwórz ją na nowo w myśli swojej większym blaskiem odzianą i piękniejszą sto razy, i niech ta postać do nas obojgu należy, niech będzie jako łańcuch łączący dwóch Wenedów ręce, nawet w śmierci godzinie. A tych dwóch wodzów! czy ty myślisz, Irydjonie, że tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją, że kiedyś i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią . . . ty mnie wtenczas umarłego będziesz trzymał na piersiach i mówił mi do ucha słowa nadziei i zmartwychwstania, albowiem za życia słyszałem je od ciebie jedynie.

Paryż, dna 2 kwietnia 1840 r.

[1] S. P. Q. R., skrót: Senatus Populusque Romanus (senat i lud rzymski).

PROLOG

Obszerna grota wróżki wykopana w ziemi, w ścianach okrągłe dziury, przez które widać rozległe pola i daleki krajobraz — światło zachodzącego słońca.

ROZA WENEDA i LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

O! siostro moja, jak ty zadumana!
Idź, spojrz na walkę, zaczaruj zwycięstwo.

ROZA WENEDA.

Na nic nie przyda się tu czar szatana.
Przekleństwo! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona i na wieki...
Widzę umarłą...
I ty umarła... ja ci zamknę powieki,
Zimnego piasku w usta nasypię a w gardło
Przekleństw, które ty z sobą poniesiesz w daleki
Kraj... na tamten świat... o! nieszczęśliwa!

LILLA WENEDA.

Mówisz i wicher się zrywa
I płacze nademną biedną.
Więc ja mam umrzeć? o! Boże!

ROZA WENEDA.

Cicho! czy Bóg ciebie jedną
Stworzył? Czemu trudzisz Boga?
Tam krew nasza i krew wroga
Zrobiła strumień i łoże
I Gopło zaczerwieniła.
Będziesz ty jak płaczka wyła
Nad sobą, gdy rycerze konają?

Słychać dźwięk harfy.

O! cyt, harfy nasze grają.
Słyszysz ich głosy ponure,
Płaczące i rozstrojone?
Harfiarze wchodzą na górę...
Wszystko stracone!

LILLA WENEDA.

Za harfiarzami tu wejdą rycerze
I nas zabiją i wytną harfiarzy.

ROZA WENEDA.

Co? a z chmurami przymierze?
A piorun posępny, złoty,
Co stoi jakby na straży
U wejścia groty?
Co? a szatański mój głos,
Podobny zimnym sztyletom?
A zmartwychwstanie dane przezemnie szkieletom!
A mój smutek! a mój los!
I ty nie ufasz w tę straż?
I ty się lękasz, o krasna.

LILLA WENEDA.

Ty mówisz, lecz twoja twarz
Jak księżyc smutna choć jasna,
Jak księżyc, umarłych słońce.
Gdzie nasi bracia obrońce,
Czy wiesz, co z nimi się stało?

ROZA WENEDA.

Wnętrze groty zajęczało,
Słyszałaś odpowiedź skał. —
Wyjdź i wprowadź harfiarzy, ja ogień rozpalę.

Wchodzi dwunastu starców ze złotemi harfami.

Proszę was, przy ciemnej skale
Postawcie te harfy rzędem,
I powiedźcie, co stało się z Wenedów ludem.

LILLA WENEDA.

Czy mój ojciec i bracia moi jakim cudem
Wyrwali się od śmierci?

HARFIARZ.

Starce, z takim pędem
Szliśmy na górę, że nam w piersiach głos zamiera.

LILLA WENEDA.

O! wy nie chcecie mówić.

HARFIARZ.

Niestety! Niestety!

LILLA WENEDA.

O! bracia moi! O! mój drogi ojcze, gdzie ty?
Ci ludzie milczą... mój ojciec umiera!
O! wy nie macie litości.

HARFIARZ.

Jak żądasz,
Abyśmy z trwogi już przyszli do siebie?

LILLA WENEDA.

Starcze! ty na mnie, starcze, tak spoglądasz
Jak na sierotę.

HARFIARZ.

Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty... O! biada nam, biada!
Twój ojciec wzięty; rycerzy gromada
Otoczyła go z harfą jego złotą.
Widzieliśmy to i, bladzi zgryzotą,
Rwaliśmy włosy... Bracia twoi wzięci.

LILLA WENEDA.

Więc nie umarli?... o! mówcie mi jeszcze!..
Więc nie umarli?...

ROZA WENEDA.

Nie, ale przeklęci!

LILLA WENEDA.

O! nie mów tego! o! nie mów, przez litość!
Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O! błogosław ty mi, siostro moja,
Ty smutna, byłaś mi wesołej matką.
I wy mi, starzy ludzie, błogosławcie,
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach.
O! bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie;
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co, biały jak ja, swą mnie siostrą mniema;
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżej lata;
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą...
A wtenczas płaczcie wy biednej dziewczyny.

Wychodzi.

ROZA WENEDA.

Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy...
Cóż wy myślicie, harfiarze?

HARFIARZE.

Wszystko stracone!

ROZA WENEDA.

Na jad węża, co w tej czarze
Karmi płomienie czerwone,
Zaklinam się wam, o! starzy,
Że kości z pobojowiska
Wstaną i będą walczyć w takt pieśniom harfiarzy.

HARFIARZE.

Wstaną i zginą raz drugi ...

ROZA WENEDA.

I trzeci raz jeszcze zginą,
I przejdą po nich zapomnienia pługi
I stokrocie się rozwiną
Na krwawym umarłych stepie;
I cóż !... czy płakać?

HARFIARZE.

Słuchaj, tam wrony zaczynają krakać
I wilcy gryzą śpiące na oszczepie
Ciała rycerzy.

ROZA WENEDA.

Za trzy dni sto piorunów uderzy,
Tysiące się podniesie prawic;
Będzie okropna walka przy świetle błyskawic.
Żywi się pomięszają z umarłymi,
I nikt ich nie rozbroni.
Wy umarłych poznacie po zapachu ziemi,
Po ognistym śladzie koni;
Lecz ci, co oko w oko spojrzą, nie poznają.

HARFIARZE.

O! cud !... Harfy nasze grają
Rycerski śpiew.

ROZA WENEDA.

Te harfy uczuły krew
I drżą ...

HARFIARZE.

O! chodźmy tą pieśnią jak skrą
Ożywić ludy po siołach.

ROZA WENEDA.

Dębowe wieńce na czołach
A w ręku harfy złociste;
W piersiach serca bursztynowe,
Jak słońca złote i czyste;
A w ustach pieśni grobowe,
Co budzą narodów lwy;
To są harfiarze! to wy!

HARFIARZE.

Wlałaś nam ogień do łez...

ROZA WENEDA.

Ogień, nim we łzach ostygnie,
Dwanaście ludów podźwignie;
Za trzy dni wszystkiemu kres,
Walka i zgon!

HARFIARZE.

Nasze harfy tobie w ton
Odgrały smutnie.

ROZA WENEDA.

Uciszcie wy rękami rozpłakane lutnie,
Brońcie, by między ludzi ta pieśń nie wybiegła,
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła,
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu,
Jeśli nie obronicie tego — potępieni!

HARFIARZE.

Więc za trzy dni noc płomieni?...

ROZA WENEDA.

I noc okropności mściwa
I wiek haraczu...
Pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza.
Wódz dwie głowy mieć będzie, jedna człowiecza,
Drugą głowę trupią wódz mieć będzie.
Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią:
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mnie zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach,
A łożem ślubnem będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny;
Ja go zemszczę lepiej od ognia i wojny,
Lepiej niż sto tysięcy wroga,
Lepiej od Boga...

HARFIARZE.

Idźmy! wróżkę szał porywa.

Wychodzą.

ROZA WENEDA.

O wróżka! wróżka ludu nieszczęśliwa!
Ona ma serce... Lecz noc już... już ciemno!
Chodźmy umarłych palić... Duchy, ze mną!

Wychodzi.

AKT I.

SCENA I.

Pole nad Gopłem.

LECH, GWINONA, SYGOŃ, GRYF, wchodzą zbrojni.

LECH.

Zapalić ognie na pobojowisku
I tu mi wzięte przyprowadzić jeńce.

Wchodzą DERWID z harfą złotą w ręku, LELUM i POLELUM w łańcuchach.

SYGOŃ.

Z ręki mu złotej harfy nie wydarto,
Jest to Wenedów król z dwoma synami.

LECH, *do Derwida.*

Cóż myślisz, starcze, o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem tej krainy,
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj temi ludy.
Szaty na sobie teraz porozdzieraj,
Okup się, starcze, łzy brylantowymi,
Bo ci czekanem łeb roztrzaskam siwy.

Do Lelum i Polelum.

Cóż to szczekacie jak psy łańcuchami?
Cóż to, niedźwiedzie, uczcie się pokory!
Gdzie mój kat? Ten mi człowiek plunął w oczy
Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie.
Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły.
Ja komar, i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w ręku jak cytrynę.
Jak się Czech dowie, to nie będzie wierzył.
Poślę mu tego starca w podarunku,
I tych dwu młodych poślę królewiców,
Niechaj porobi z nich obudwu psiarzy.

GWINONA.

Ja chcę usłyszeć ich głos. Każ, niech mówią.

LECH.

Psy, łatwiej zmusić ich, aby jęczeli.

GWINONA.

Ta harfa musi być zaczarowana.

LECH.

Na Boga! prawdę mówisz, moja lwico,
Ta harfa musi być zaczarowana.
Stary! czy w harfie twojej siedzi djabeł,
Że tak o nią dbasz? Na Boga! to mruki!
My tu przed nimi jak na nitce wróble,
A oni patrzą z góry jak na frygi.
Gryfie, odprowadź ich do rzymskiej wieży,
Jak się wygłodzą, to głos odzyskają.

Derwid, Lelum, Polelum, wychodzą pod strażą.

To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono,
I głuchoniemy król. Na koń! hej, na koń!
Ufundujemy na trupach królestwo.

Wychodzą wszyscy.

SCENA II.

Cela pustelnika podobna kształtem do wnętrza czaszki olbrzymiej. W głębi obraz N. Panny na dnie złotem.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Splamiłeś moje oczy, mości Ślazie,
Wlazłem za twoją poradą na sosnę,
Splamiłeś moje oczy krwi widokiem.
To sprawa djabla, przybyłem nawracać
A jacyś ludzie przybyli wycinać;
Wycięli prędzej, niż ja nawróciłem;
Za to się trzeba aż do krwi biczować
Mnie, jako panu, tobie, jako słudze,
A obu jako sługom Pana Boga.

ŚLAZ.

Et fit voluntas tua.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Tak, tak, Ślazie,
Et fit voluntas Tego, co na niebie.
A jednak szkoda, że ten lud wycięto,
Bo lud był dobry, choć niechrześcijański.

ŚLAZ.

Domine, wszyscy więc poszli do piekła?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ziemia przed krzyżem krwią czerwoną ściekła,
Z tej krwi wybuchnie płomień w kształcie krzyża.
Śmierć kruszy ciała, lecz wieczność przybliża.

Narody będą wkrótce okupione;
Widziałeś, Ślazie, komety czerwone
Z długimi chwosty, co tu wróżą zmianę,
Komety, co jak wiedźmy rozczochrane,
Goniły za mną aż od Jeruzalem,
Grożąc mi chłostą, krzyżem, albo palem.
Cóż mi zrobiły? Kiedy będzie trzeba,
Te straszne gwiazdy palcem zetrę z nieba.
Bóg swemu słudze, za wiek długi trudów,
Przerażających da godzinę cudów.
Cóż mi ten mocarz, co tu krwawi lasy?
Nowy Faraon, wejdę z nim w zapasy,
Złamię i różdżkę ognistą otrupię;
A potem jedną łzą gorącą kupię
Żywot dla niego wieczny i zbawienie.

ŚLAZ.

Domine, z czego, proszę, są promienie,
Które ty nosisz na głowie.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Są ze mnie,
Z mojej wewnętrznej wiedzy i z anioła,
Co w ciele mojem pali się tajemnie.

ŚLAZ.

Myślałem, że te płomieniste koła
Są z włosów?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ergo, nie byłyby z duszy?

ŚLAZ.

Domine, a kot kiedy się napuszy,
To mu tak iskry z włosów wylatują.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Są ludzie głupi jak ty, co się trują
Porównywaniem dwóch natur w stworzeniu.

ŚLAZ.

Domine, wiara jest w mojem wątpieniu.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Wątpienie z djabła jest.

ŚLAZ.

Więc mię on szuka?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Obacz-no, Ślazie, ktoś do chaty stuka.

Ślaz otwiera, wchodzi Lilla Weneda.

LILLA WENEDA.

W imię Marji.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Patrzcie, to królewna,
To neofitka moja. Cóż tak rzewna?
Cóż tak spłakana? Córko, czemuś drżąca?

LILLA WENEDA.

Przyszłam do ciebie, mój ojcze, płacząca,
Mój ojciec, bracia moi są w niewoli;
Chcę ich ratować, lecz mi serce boli
A nie podaje żadnej mądrej rady.
Świat cały teraz dla mnie smutny, blady,
Za łez strumieniem nie widać mi słońca.
Ty mój poradnik jedyny, obrońca.
Nieszczęśliwego ojca mam w niewoli,
Braci w kajdanach.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Cóż ja ci poradzę?

LILLA WENEDA.

Już w ostatecznej się widzę niedoli.
Powiedz, o! powiedz, czy ten Lech ma władzę
Ojca mojego zabić?

ŚWIĘTY GWALBERT.

To człek srogi.

LILLA WENEDA.

Powiedz-że, czem są twoje wielkie Bogi,
Jeśli nie mogą mi dopomóc biednej?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bluźnisz, dzieweczko, Bóg w osobie jednej.

LILLA WENEDA.

O! ja wiem! ja wiem! ty mnie uczył długo
Nie zapomniałam wcale twej nauki;
Lecz teraz naucz, jak ocalić ojca.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Gotować jest ślub czystości uczynić?

LILLA WENEDA.

Mój ojcze, jeśli tem ojca wybawię,
Ja będę czystą jak marcowe śniegi,
Jak po moczarach białe konwalije,
Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają
I brudnej ziemi nie widzą i giną.
Dosyć mi będzie, że mi starzec siwy
Pobłogosławi i obleje łzami.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Zrób więc intencją przed obrazem Matki
Boga na krzyżu... ukrzyżowanego.
Zrób jej ofiarę z dziewiczego serca.

LILLA WENEDA.

Jakże mam mówić?... O! niebios Królowo!
Oddaj mi ojca, a ja Ci dam siebie
Jako białego gołębia bez plamki,
I nic nie będę więcej pożądała,
I nic mię nigdy na świecie nie splami.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Teraz, dzieweczko, ona będzie z nami.
Ślaz, daj mi kostur. Gdzież obozem leży
Ten Lech?

LILLA WENEDA.

On, ojcze, mieszka w rzymskiej wieży.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Na stare nogi droga niedaleka.

Święty Gwalbert i Lilla Weneda wychodzą.

ŚLAZ, *sam.*

Djabeł mi każe służyć u człowieka,
Co mnie suchemi korzonkami głodzi.
Wychudłem jak szczep... człowiek się raz rodzi,
Pamiętaj o tem dobrze, mości Ślazie,
Żeś się urodził... I raz się umiera,
Pamiętaj dobrze na to, mości Ślazie,
Że raz umiera i że się raz rodzi.
Ergo, ponieważ się już urodziłeś,
Więc-że korzystaj z tego, mości Ślazie.
Ergo więc, nogi zapas i w świat jasny!...
A zrób intencją z czystości... A na co?
Czy masz w niewoli ojca, panie Ślazie?
A jak się w tobie zakocha królewna

A ty w czystości jak w błocie po uszy!
Chciałbym coś znaleźć niepotrzebniejszego
I z tego zrobić votum panu Bogu,
Aby mi trochę sprzyjał na początek.
Naprzykład, zróbmy votum z przywiązania
Do mego pana... ot i lżej na sercu...
A teraz niech tę celę biorą djabli
Już niepotrzebna mi, niechaj się pali.

Podkłada ogień pod ściany... i z zapalającej się celi wychodzi.

SCENA III.

Sala w rzymskiej wieży.

LECH i GWINONA wchodzą.

LECH.

Cóż robić z temi ludźmi żelaznemi?
Ulec mi niechcą. Cóż robić, Gwinono?

GWINONA.

Rada jest moja, zbyć się ich na zawsze.

LECH.

Co?... pozabijać?

GWINONA.

Znów się wzdrygasz, mężu,
I w czynach boisz się ostateczności.
Dwa razy, przez tę naturę kobiecą,
Straciłeś kraje już podbite prawie;
Rycerzy ledwo ci zostaje garstka.
Ty zawsze ufasz w szczęście i fortunę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwa, a nie myślisz o tem,
Że mamy dzieci, które pójdą z torbą
I miecz ojcowski sprzedadzą za szeląg,
Jeśli ich w życiu nie postanowimy
Na dobrze, stale zbudowanym tronie.

LECH.

To wszystko prawda.

GWINONA.

Patrz na brata Czecha:
Jemu się także ty oszukać dałeś,
To też postąpił z tobą jak z dzieciną:
Sam zabrał kraje we dwóch pokonane

A ciebie wysłał aż w północne lody.
Cóż, moja frygo z rozpalonej stali,
Kto cię pokręci, choć dłoń sobie sparzy,
Kontent, bo sęi ty kręcisz zato długo.

LECH.

Widzę to czasem, że mnie oszukują.

GWINONA.

Kto z boku patrzy, ten to widzi zawsze.

LECH.

Cóż ty ze starym zamyślasz Derwidem?

GWINONA.

Co? Zdaj to na mnie, sam idź do sokołów,
Ty dobry w boju i na polowaniu:
Ale gdy trzeba robić, to co nudzi,
To się ty wzdrygasz. Ty masz lwią naturę:
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.

LECH.

Ja to do siebie znam.

GWINONA.

Cóż, mój tygrysie!
Dajże na moję już odpowiedzialność
Tych jeńców... jeśli zrobię źle, wyłajesz.

Lech daje znak, że zezwala i wychodzi.

Gryf, przyprowadź mi tutaj Derwida.

DERWID wchodzi jako więzień z harfą w ręku. — GRYF.

GWINONA.

Jeszcze mu z ręki harfy nie wydarto,
Wy się boicie wszyscy tego starca.

Przystępuje do Derwida i chce mu harfę wyrwać. Derwid podnosi harfę, jakby nią chciał uderzyć.

DERWID.

Precz!

GWINONA.

O! widzicie! on mię chciał uderzyć,
Nie zabijajcie go, ja z nim pomówię.
Człowieku! chcesz ty mnie nauczyć czarów?
Słyszałam, że ty masz w tej harfie ducha,
Który zgaduje przyszłość, czy to prawda?

DERWID.

Mam w harfie ducha, co zgaduje przyszłość

GWINONA.

Każ mu wystąpić, niechaj go zobaczę.

DERWID.

Póki ja żyję, ten duch w harfie będzie.

GWINONA.

A jak ty umrzesz?

DERWID.

Do nieba uleci.

GWINONA.

Ja mogę ciebie dziś pozbawić życia.
Ja tego ducha widzieć chcę. Rycerze,
Przynieście jemu pić, niech się ożywi.
Do Derwida.
Ty mi wywołasz z harfy tego ducha,
Inaczej, klnę się na Hekatę[1] i trzy
Starki[2], co w piekle krwawemi nożami
Nić przecinają ludzkiego żywota,
Że zginiesz.

DERWID.

Nigdy! o! nigdy, piekielna!
Ty nie usłyszysz pieśni niewolnika,
Nigdy ta ręka od łańcuchów sina
Strun się nie dotknie! Nigdy moje oczy
Łez nie wyleją, póki te łzy moje
Mogą posłużyć wam na wywołanie
Z ust okrwawionych serdecznego śmiechu.
O! nie — nigdy wy z króla niewolnika
Nie uczynicie służalca harfiarza,
Ta pieśń, co do krwi pędziła rycerze
I w miecze kładła dusze nieśmiertelne
I wściekliznę swą ducha ojczystego
Dawała mieczom ząb, co gryzł wam kości
I truł wam rany, nie zabrzmi w niewoli.
Możecie wy tę harfę wziąć i rzucić
W ogień i ogrzać przy niej ręce wasze,
I wasze trupie twarze rozczerwienić;
Możecie spalić ją, ale nie zgwałcić.
O! spróbuj! połóż twe palce na strunach,

[1] Hekate, bogini księżyca, nocy i śmierci. [2] Trzy starki, raczej trzy parki z mitu greckiego, które przędły i przecinały nić żywota ludzkiego.

Czy wywołają z nich co więcej, niż dźwięk
Śmieszący ludzi? — I ty myślisz, że ja,
Gdy na mem sercu położysz twe szpony,
Poddam się palcom targającym żyły
I z mego jęku zrobię pieśń? O! jędzo!
Ty myślisz, że ja, gdy dziś jeszcze z góry
Widziałem lud mój, co jak jeden człowiek,
O! nie, jak jeden trup leżał na polu,
Myślisz, że takim okropnym widokiem
Rozhartowany będę i pokorny?
Spróbuj, czy ze mnie co więcej wyciśniesz
Nad krew, co będzie przeciw tobie świadczyć
Przed memi ludy ... Nie, ja nie mam ludu! ...
Lecz po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz bladnąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz;
Weźże krew moję do twej gotowalni,
Czarna kobieto, i co dnia jagody
Czerwień krwią moją, aby cię mąż kochał
I nie zobaczył, że masz krew zieloną.

GWINONA.

Skończyłeś, starcze?

DERWID.

Nie jeszcze! nie jeszcze
Ja czuję w sercu jakąś moc zabójczą,
Która mym słowom da moc zabijania
I ciebie mi tu da za niewolnicę,
I z twego trupa mnie pokonanemu
Tron nowy zrobi. Stój tu! ja ci łono
Osuszę, piersi napełnię popiołem,
W żywot nasypię gadzin. — O! gdybyś ty
Była kobietą — gorzej niż to wszystko,
Bo bym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście.
Ale ty jesteś nie z tych, które płaczą.
Ciebie zabijać trzeba przekleństwami;
I piekło całe zakląć przeciw tobie,
Ażeby piekło całe było w tobie.

GWINONA.

Ten starzec śmierci chce. Wydrzeć mu oczy.

DERWID.

Czekaj, niech jeszcze raz spojrzę na ciebie
Temi oczyma, co będą wydarte.

GWINONA.

Precz z nim.

DERWID.

Przez oczy moje wyłupione
Niechaj na ciebie patrzy Bóg.

Żołnierze wyprowadzają Derwida.

GWINONA.

To dziwnie.
Te oczy siwe ze srebrnymi rzęsy
Serce mi do krwi ugryzły... Mój Gryfie,
Zawołaj mi tu Kraka i Arfona,
Niech się z tą złotą harfą przyjdą bawić.
A najmłodszemu Gwinonkowi zanieść
Oczy wydarte, niech z nimi poigra.

Wchodzi święty Gwalbert. — Lilla Weneda.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Czy tu znajome jest Chrystusa imię?

GWINONA.

Cóż to za człowiek? czemu tu wpuszczony?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Straż twoja cudem pokonana drzemie.

GWINONA.

Ty jak Hekate masz księżyc czerwony
Na siwych włosach. — Cóż to jest za człowiek?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ja ciemne chmury zdzieram z ludzkich powiek
I światło niosę dla duszy słoneczne,
Ja ludziom biednym daję życie wieczne.
Ktokolwiek jesteś, schyl przedemną głowę.

GWINONA.

Jakiś czarownik.

LILLA WENEDA, *do świętego Gwalberta.*

O! panie, mów za mną,

ŚWIĘTY GWALBERT.

Przyszedłem tutaj w imię Boga mego
O pognębionych ludzi się upomnieć.
Oto jest córka króla tej krainy,
Która ma braci i ojca w niewoli
I przyszła prosić za niemi.

LILLA WENEDA.

O! pani,
Ja przyszłam prosić za ojcem i braćmi.
Nie patrz ty na mnie srogo — ja pokorna.
Ja przyszłam twoje nogi rosić łzami,
Ja będę za to twoją sługą; będę
Płótno twe bielić, twoje krowy doić,
Twe szpaki takich nauczę wyrazów,
Że w dzień i w nocy będą dziękowały
Za moich braci, za mojego ojca.
Ja z moich oczu ci zrobię zwierciadła,
W których się będziesz ty widziała piękną,
Wesołą, dobrą i pełną litości;
I sama siebie, widząc, będziesz kochać;
A ja cię więcej jeszcze będę kochać,
Niż ty się możesz kochać sama siebie.

Derwid wchodzi z wyłupionymi oczyma i podnosi ręce nad Lillą Wenedą.

GWINONA.

Za późno przyszłaś.

LILLA WENEDA.

O! nie mów! o! nie mów!
Ja tu leciałam jak gołąb do dzieci.
I gdyby nie ten stary człowiek, pani,
Jużbym tu była dawno zawieszona
Na szyi mego ojca. Gdzie mój ojciec?

DERWID.

Puśćcie mnie! krwią chcę ją widzieć i mózgiem.
Ona tu musi być. Tu, tu ją widzę,
O! bądź przeklęta!

LILLA WENEDA.

Ojcze! to ja, ojcze.

DERWID.

Co? to głos mojej córki, o! niebiosa!
Ja córki mojej nie widzę.

LILLA WENEDA.

Mój ojcze,
Tobie wydarto oczy! — Czy zupełnie?
Czy ty zupełnie mnie nie widzisz, ojcze?
Poczekaj, krew ci obetrę włosami,
I nigdy moich włosów nie obmyję;
Lecz je rozpuszczę do ziemi czerwone,
I w tej koszuli okropnej uklęknę
Skarżyć się Bogu. Ojcze nieszczęśliwy!
O! srodzy ludzie! o! ludzie okrutni!

Pani! ty jesteś niewinna? co — prawda?
Tego nie mogła uczynić kobieta?
Ty sama teraz cierpisz! — o! na Boga,
Dajże mi teraz, pani, tego starca!
Wszakże ty widzisz, że on niema oczu,
Tylko te biedne moje dwie źrenice,
Które łez pełne. O! dajże mi teraz
Mego ślepego ojca.

DERWID.

Mój słowiku,
Cicho bądź! jędzy tej nie ruszaj.

Do Gwinony.

A ty,
Wściekła kobieto! jeśli cię ten widok
Ślepego starca i córki, co widzi
Czerwone ojca swego oślepienie,
Dręczy? jeśli cię dręczy ta męczarnia?
A musi dręczyć, bo cóż ty zdobyłaś
Tem okrucieństwem prócz kilku perełek,
Co z oczu mojej córki upadają,
I kilku tych łez okropnych, co cieknąą
Z mej próżnej czaszki. Więc jeśli cię dręczy
Ta niemoc twoja, ta bezsilność twoja,
Spróbuj, czy moja cię śmierć nie uleczy
I tygrysiego serca nie nakarmi.

GWINONA.

Pamiętaj, że ja mam cię zabić władzę.

LILLA WENEDA.

Okrutna pani! nie, ty nie masz władzy!
O! nie, ty nie masz w sobie takiej władzy:
Ja ci powiadam z głębi rozdartego
Serca, że nie masz nad nim władzy żadnej.
Wymyśl trzy razy śmierć najokropniejszą,
Trzy razy wszystko wymyślisz napróżno.

Do świętego Gwalberta.

Nie prawdaż, starcze, że matka Chrystusa
Będzie mnie bronić razem z aniołami
I da zwycięstwo nad tą dumną, krwawą:
Trzy razy będę ojca zbawicielką,
A ty się spłonisz, żeś taka bezsilna
Przeciw rozpaczy mojej ostatecznej.

GWINONA.

Dziwne wyznanie! słyszeliście wszyscy,
Ta mnie dziewczyna wyzywa. Już miałam

Oddać ci ojca, bo ten łachman stary
Stał mi się wcale niepotrzebny; teraz
O niego będą toczyć się turnieje.
Gryfie, weź starca, za włos jego siwy
Uwieś na drzewie, niech słońce go pali
I dzióbią kruki; dla większej męczarni,
Niech końcem stopy ziemi się dotyka.

LILLA WENEDA.

Gdzie król? ja pójdę do króla ze skargą.

GWINONA.

Idź.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Klątwa Boga na tym krwawym domie.

Wychodzą.

CHÓR.

Dwunastu harfiarzy.

Oczy wydarto staremu królowi,
Pęka się córki bursztynowe serce,
A w naszę starą kość strach idzie mrowi,
Lecz nie lejemy łez, bo ci morderce
Gotowi ludziom rzec: zwycięstwo nasze!
Zwątpił o sobie lud! harfiarze płaczą!
Niech spojrzy w piersi wróg, niech patrzy w czasze,
Czasze nalane krwią, serca rozpaczą,
Z ust się wydziera krzyk o zemstę Boga,
Czekamy wszyscy, drżąc, na piorun z chmur,
A kiedy milczy niebo — śpiewa chór.
A kiedy śpiewa chór — drży serce wroga!

AKT II.

SCENA I.

Pobojowisko, noc. ROZA WENEDA w głębi pali kości rycerzy i śpiewa. ŚLAZ wchodzi.

ŚLAZ.

Dalibóg! trupów tu jak maku: głupcy!
Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
Dlaczego teraz się nie mogą ruszyć?
Jeden odpowie: brak mi kawałeczek
Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
W mym pacierzowym ogonie; i każdy

Miałby wymówkę; ze mną tak nie będzie.
Nie, ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
Będzie, jak Bóg chce i jak chce pan Gwalbert.
Cóż to za wiedźma przed stosem z płomieni
Trupich piszczeli ogniem oświecona?

ROZA WENEDA.

Czar się nie robi, tu jest człowiek żywy.

ŚLAZ.

Jezu Marja! gotowa mnie zabić.

ROZA WENEDA.

Wężu, kto jesteś?

ŚLAZ.

Umarły ze strachu.

ROZA WENEDA.

Gdzie idziesz?

ŚLAZ.

Wszędzie, gdzie każesz waćpani.

ROZA WENEDA.

Ja wiem, czem jesteś... ty będziesz zabójcą
Mam tutaj sztylet.

ŚLAZ.

Jakaś warjatka!

ROZA WENEDA.

Przed tobą płynie krwi bolesnej rzeka,
Z tych trupów cieknie i płynie.
Za tą wodą dom człowieka,
Ten człowiek zginie;
Życie jego jest dla mnie jak psa życie.
Ty go zabić powinien.

ŚLAZ.

Ja?

ROZA WENEDA.

O świcie
Go zabijesz, idzesz po to.
Słuchaj! — jesteś złodziejem.

ŚLAZ.

Ja?

ROZA WENEDA.

I złotą
Harfę ukradniesz mego ojca.

ŚLAZ.

Pięknie!

ROZA WENEDA.

I słuchaj, jeśli z bolu harfa jęknie,
Jeżeli jęknie, ojcu mojemu kradziona,
Ty ją utulisz w płaczu jak dziecko — i skona
Ojciec mój, ale harfa zwycięży narody!
Pamiętaj!

ŚLAZ.

Dobrze.

ROZA WENEDA.

Lub z głazem do wody
Rzuć się i toń, bo serce ci wydrę i oczy.

Oddala się w głąb do płomieni.

ŚLAZ.

Rozumiem, ukraść harfę i zabić człowieka,
A to mi wcale piękna awantura!
Wylazła z trupów i z płomienia mara
I mówi do mnie: Ślazie, jesteś zbójcą.
Dziękuję pani, że tak dobrze trzymasz
O mojej cnocie. A do mnie ta znowu:
Mój mości Ślazie, waść jesteś złodziejem.
Chciałem ją za to w pysk, a ona w ogień
Jak Salamandra[1]; szukajże z nią ładu!
Gdyby przynajmniej była powiedziała,
Czy mnie powieszą, jak będę złodziejem?
Co teraz robić?... Widzę tam na górze
W złocistej zbroi nieboszczyka — pójdę,
Obedrę zbroję i na siebie włożę,
Może cokolwiek znajdę w niej odwagi.

Wychodzi.

ROZA WENEDA, *śpiewa.*

Trzaska w płomieniach kość,
W czaszkach się warzy mózg,
Tu kwiatów będzie dość
I lilijowych rózg
Z kwiatami o! z białymi kwiatami...
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami

Ja palę trupy wciąż.
Tu mój kochanek był,
Do czaszki przylazł wąż,
I krew mu z oczu pił,

[1] Salamandra, jaszczurka ognistego koloru według wyobrażeń ludowych nie ginie w ogniu.

I do czaszki wlazł krwawymi ustami.
O! o! — o! o!
Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!
Oddala się — płomienie gasną.

ŚLAZ, *wchodzi w zbroi, sam.*

Otóż ubrany jestem jak na święto.
Ta wiedźma wrzeszczy tu na całe gardło,
A tu są ludzie, co chcą spać. Naprzykład
Ten obywatel, co mi dał tę zbroję,
Chciał spać, musiałem dobić nieboraka.
Ergo, ta wiedźma powiedziała prawdę;
Bo jeśli dobić — żyć nie mogącego,
Znaczy to samo, co odebrać życie,
Więc ja zabiłem... nie — tylko dobiłem.
Gdzież w przykazaniach boskich: nie dobijaj,
A gdyby nawet było w przykazaniach
To ja nie wierzę w boskie przykazania
I tak... a jeszcze na moję obronę
Mógłbym przytoczyć, że mię ten nieboszczyk
Prosił, abym go zrobił nieboszczykiem...
Tymi wyrazy... widzisz tu Salmona
Z połamanymi kościami — więc dobij!
Więc ja dobiłem go i rzecz skończona.
A teraz pójdę w tej zbroi do Lecha;
I będę, jakbym przywędrował z Lechem,
Służyć u Lecha i zwać się szlachcicem.
Wychodzi.

SCENA II.

Sala w zamku Lecha.

LECH i SYGOŃ.

LECH.

Więc ty widziałeś, jak mój Salmon zginął?
Opowiedz jego śmierć.

SYGOŃ.

Kiedy się, Lechu,
Za ostatnimi Wenedy puściłeś
Na czarnym koniu, Salmon twój kochany,
Ujrzawszy wzgórze, na którem dwunastu
Stało Derwidów, z harfami złotemi,
Tak, że z tych starców i z harf pagórkowi
Była korona, rzucił się z dobytym
Mieczem na owo wzgórze Salmon młody,

I nie znajdując żadnego oporu,
Króla Derwida wziął za siwą brodę
I ciągnął z tronu kamienego gwałtem:
Gdy oto nagle, harf złotych dwanaście,
Jako dwanaście siekier podniesionych,
Na hełm Salmona spadło... a jam słyszał
Jęk tego hełmu i jęk harf dwunastu...
Przybiegłem... wzgórze całe było puste,
A na niem leżał cichy trup Salmona.

LECH.

Na Boga! każda z tych harf mi odpowie
Życiem za życie mojego rycerza.

SYGOŃ.

Już się królowa zemściła na królu.

LECH.

I cóż?

SYGOŃ.

Kazała mu wyłupić oczy.

LECH.

Na Boga! mała kara, mała kara!
Psy! psy! psy! — zabić harfami rycerza.
Chicałbym ten kielich cały krwią napełnić...
Rycerz rozbity jak garnek, nie bronią
Ale harfami!... pfu!... zgroza. Sygonie,
Gdyby mi kiedy taka śmierć groziła,
Utnij mi głowę, zrąb mi głowę z karku.

Wchodzi LILLA WENEDA.

Cóż to za biała jakaś Wenedzianka?

SYGOŃ.

Córka starego króla.

LECH.

Tego starca,
Który mi zabił Salmona?

SYGOŃ.

Tak, panie.

LECH.

Czegóż odemnie ona chce?

LILLA WENEDA.

Litości.

LECH.

Właśnie mi teraz z litości wystygło
Serce: twój ojciec jest mi jak wąż sprośny.
Młodocianego mi zabił rycerza.

LILLA WENEDA.

Więc nie litośny bądź, lecz sprawiedliwy.
Ty ojcu memu zabiłeś tysiące
Młodych rycerzy i przyjaciół starych:
A żona twoja mu nie zostawiła
Oczu, by płakał nad swoją niedolą.
Wyście mu wszystko wydarli! ach, wszystko!
Nawet pociechę, którą ma płaczący,
Przez ołzawione oczy widzieć niebo,
Lub twarz człowieka, który nad nim płacze,
Lub lice córki, co chce być wesołą
I twarz umila nadziei promieniem.
O! panie, wszystkoście mu już wydarli!
Wszystko prócz serca córki nieszczęśliwej.
Idź, Lechu... obacz go... a będziesz płakał!
Idź, Lechu!... on tam na twoim dziedzińcu
Za siwe, święte włosy przywiązany...
Głodny mój ojciec! cierpiący mój ojciec!
Idź, Lechu! obacz, co oni zrobili
Z moim nieszczęsnym ojcem... ty masz oczy:
Więc idź i obacz... a jeśli ty, Lechu,
Na taki widok nie będziesz litośnym,
To chyba jesteś, Lechu, nie człowiekiem.

LECH.

Sygonie, moja Gwinona się biesi,
Ona tu miarę przebrała.

LILLA WENEDA.

O! panie,
Ona tam teraz przed wiszącym starcem
Do okrucieństwa zaprawia twe dzieci,
Ojca mojego im nazywa królem,
A to maleństwo za matką świegoce:
Król, król, i w mego ojca oczy puste
Niegodziwymi rzuca kamyczkami.
O! idź ty, Lechu, i obacz tę zgrozę!
O! idź ty, Lechu, i skarz tę kobietę!
Ona ci psuje, Lechu, twoje dziatki,
Z tych dziatek będą potem królobójce,
Ty będziesz się bał, gdy cię nazwą królem,
Tak jak zwą dzisiaj ojca mego królem:
Król, król, jak kawki świegocą. O! Lechu,
Idź sam i obacz...

LECH.

Wszak niema w tem grzechu,
Sygonie, mojej miłej podciąć skrzydeł...

Wychodzą.

LILLA WENEDA.

On mi uwolni ojca z rąk straszydeł...

Wychodzi.

SCENA III.

Dziedziniec zamkowy. Na jednej z bocznych ścian widać cień przywiązanego Derwida do gałęzi dębu. Na przedzie sceny GWINONA, KRAK i ARFON.

KRAK.

Mamo, ja nie chcę więcej tego starca
Bić kamyczkami. On się już nie rusza.

GWINONA.

Krak, jak wyrośniesz, będzie z ciebie baba.

KRAK.

Nie, mój braciszek Arfon będzie babą,
A ja rycerzem sławnym jak mój papa.

GWINONA.

Chcesz być rycerzem? a kiedym kazała
Wziąć łuk i trafić w serce tego starca,
To skowytałeś jak psiątko: — nie, mamo,
Nie, ja żałuję dobrego staruszka.
Wstydź się, czyżykiem jesteś nie chłopakiem.

KRAK.

Cóż ten staruszek zrobił tobie, Gwina?

GWINONA.

Co? nie pamiętasz już, Kraku, Salmona?
Salmona, co cię nieraz na rumaku
Sadzał i uczył harcować... ten stary
Zabił Salmona, Salmon już nie wróci.

KRAK.

Ten stary zabił Salmona?

GWINONA.

A widzisz?
Już rączki ściskasz w kułak, jużeś gniewny...
Arfonie, daj łuk braciszkowi... daj mu.
On lepiej strzela niż ty.

ARFON.

Ja sam trafię.

GWINONA.

Idź, baw się z harfą, daj łuk braciszkowi.

Dając Krakowi łuk.

Na, i mierz w serce, w serce — wiesz, gdzie serce?

KRAK.

Wiem, mamo, bo mi teraz głośno puka.

Mierzy z łuku w stronę, gdzie się znajduje męczony Derwid..

Wchodzi LECH, SYGOŃ i LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

O! widzisz, panie, chcą mi zabić ojca.

LECH.

Gwinona, każ mu spuścić łuk, na Boga!
Bo go tu zetnę szablą jak makówkę.
Cóż to?... czy ojciec jest tu u was niczem?
Spuść łuk! bo łebek ci ukręcę... spuść łuk!

GWINONA.

Spuść łuk, mój Kraku, papa tobie każe...
Cóż to tak gniewny, mój człowieku? cóż to?

LECH.

Mam się nie gniewać? ja mam się nie gniewać,
Kiedy tu widzę moje własne dzieci
Urągające z niedoli królewskiej,
Jedzące mięso jak orlątka młode.
Cóż to? czy moje dzieci są chowane
Jak psy rzeźnika?... precz mi stąd, szczeniaki!

Dzieci odchodzą.

Gwinona, dosyć już tych okropności.
Każ tego starca odwiązać.

GWINONA.

Ty panem,
Każ go odwiązać.

LECH.

Cóż to? jużeś gniewna?

GWINONA.

O! dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z islandzkiego brzegu,
Abym tu była teraz niewolnicą
Twojego gniewu i niestałej żądzy.
Lepiej mi było morze rozhukane
Poślubić, albo wulkan płomienisty,
Lub zostać Niksów albo Farfadetów [1]
Małżonką: lepiej o! lepiej sto razy,
Niż teraz za mym ubogim rycerzem
Przez świat wędrować i znosić obelgi
I nie być pewną dnia, że mąż mię kocha.
Bo jakże kocha mnie ten lew ryczący?
Serce mi ciągle gryząc, albo głaszcząc
Dłonią żelazną — jakże mi pochlebia?
Z rana pochlebia a wieczorem karci.
Jakże mi wierną miłość wynagradza?
Co mi da z rana, odbierze wieczorem;
Tak, że ja nie wiem, żoną ja czy sługą
Jestem u niego? miłą mu czy gorzką?
Szlachetną w jego myśli, albo podłą?
O! jeśli tak ma być zawsze, o Lechu!
To mię odegnaj a ja pójdę bosa
W te ciemne lasy wilkom i niedźwiedziom
Pochlebiać, łasić się, prosić o litość.
Wstydzisz się; nic mi już nie odpowiadasz?
Bo ty szlachetny i wiesz, że mam słuszność.
Dzisiaj mi dałeś w moc tego Derwida,
Pierwszy raz rzekłam: on mi przecie ufa!
A teraz muszę znów wyjść z omamienia.
Chodźcie tu wszyscy! patrzcie, jak Lech rycerz
Żonie danego dotrzymuje słowa.
Ja w słowie jego zaufana święcie.
Na jego słowo dałam moje słowo:
Teraz on swoje święte słowo łamie;
A ja się muszę oszkalować sama
I zaprzysiężeń moich nie dotrzymać...
Chodź tu, dziewczyno! wyzwałaś mnie dzisiaj
Na zakład, że trzy razy ojca twego
Wyrwiesz od śmierci — a ja ci przyrzekłam,
Że twego ojca oddam ci, jeżeli
Trzy razy śmierci go wyrwiesz okropnej.

[1] Niksy i Farfadety, złośliwe duchy w podaniach germańskich i celtyckich.

Ó! łatwo zakład ci wygrać z królową,
O której honor nie dba mąż i rycerz.
Ciesz się więc. — A ty, Lechu, tej dzieweczki
Zdrowie pić będziesz moją krwią — ty znasz mnie
Islandzką jestem królewną, pamiętaj!
Do obelg takich nieprzyzwyczajona.

Chce odchodzić.

LECH.

Stój!

GWINONA.

Idę z wieży się rzucić.

LECH.

Kobieto!

GWINONA.

Jak mię nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twej harfy złotej,
I starzec ci ten będzie o mej śmierci
Grał... albo wicher islandzki przyleci
Z ojczystej mojej ziemi i na strunach
Położy usta przekleństwem wyjące.

LECH.

Za nadto jesteś teraz rozżalona,
Mówić nie można z tobą.

Chce odchodzić.

LILLA WENEDA, *zatrzymując go.*

O! mój panie.

LECH.

Czego odemnie chce ta wiedźma! wszyscy
Przeciwko mnie są.

LILLA WENEDA.

Więc mój ojciec skona?

LECH.

Twój ojciec na śmierć zasłużył sto razy,
Niechaj rycerze go dokończą... i niech
Więcej nie słyszę o nim.

LILLA WENEDA.

Ach! okrutny!
Słuchajże teraz mnie, straszny człowieku!
Słuchajże teraz mnie, ty pani krwawa!
Ja tu wynajdę, aby wam nakarmić

Zemsty łaknące serca, taki sposób,
Taką wam straszną rzecz wynajdę myślą,
Taką rzecz powiem, że wy struchlejecie
Na samą pierwszą myśl tej okropności.
Słuchajcie tylko! słuchajcie! Ten starzec
Ma dzieci... dzieci te u was w niewoli,
Dwóch macie synów tego starca w rękach;
Otóż wybierzcie z nich którego losem,
Dajcie mu w rękę topór wyostrzony,
Niech o sto kroków stanie i toporem
Rzuci na ojca... co? czy pozwalacie?

GWINONA.

Przywieść tu jeńców.

LILLA WENEDA.

Lecz, królu! lecz, królu!
Jeżeli brat mój rzuciwszy toporem
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
O! patrzaj... ten włos, co tak przeźroczysty
Jak blady gwiazdy błękitnej ogonek,
Pomiędzy drzewem a starego głową:
Jeżeli ten włos tylko mu ustrzyże,
To więźnie będą wolni... czy przerzekasz?

LECH.

Ów, co rzecz taką zrobi, będzie wolnym.

LILLA WENEDA.

Oba?

LECH.

Tak, oba...

LILLA WENEDA.

I mój ojciec?

GWINONA.

Ojciec
Do mnie należy... zbaw go tak trzy razy
A będzie wolnym.

LILLA WENEDA.

Ach! czyliż niedosyć
Raz tylko ojca tak zbawić, królowo!

Wchodzi LELUM i POLELUM. Oba łańcuchem złączeni, tak, że prawa pierwszego ręka do lewej ręki Polelum przykuta.

GWINONA.

Otóż są więźnie; mów, czy się podejmą?
Ty siostra, srogi targ zrobiłaś za nich.

LILLA WENEDA.

O! mówcie do nich wy... ja cała drżąca.

LECH.

Jest wieść, że celnie rzucacie toporem.
Jeśli z was który o sto kroków rzuci
Topór na ojca i tak weń wymierzy,
Że wiszącemu na drzewie za włosy
Starcowi tylko włos ustrzyże siwy:
To będzie wolny razem ze swym bratem.

LILLA WENEDA.

Nie zechcą! oni nie zechcą!... Polelum
Jedyny to jest dla ojca ratunek,
Ojciec na drzewie powieszony, skona,
Jeść mu nie dano ani pić... on skona!
On was nie widzi... wydarto mu oczy.
Jeżeli topór mu roztrzaska głowę,
Nie będzie wiedział, że to syn tak rzucił.
On śmierci swojej przed śmiercią nie ujrzy,
Jeżeli umrze... o śmierć nielitosną
Swego własnego syna nie posądzi...
Polelum... topór weź, Ojciec nie widzi.
Weź, tylko śmiało.

POLELUM.

Daj.

LILLA WENEDA.

Ale go nie rań.

POLELUM.

I cóż mam robić?

LECH.

Psie! ty godzisz we mnie.

POLELUM.

Mówisz, że trzeba godzić w mego ojca?

LECH.

Zgnijesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz.

Polelum rzuca topór na ziemię.

LELUM.

Bracie, napróżno targasz się w łańcuchu,
Niewolnikami jesteśmy, Polelum.
Pomyśl... ty dobrze władasz tym żelazem.
Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił;

Więc zatruj serce na chwilę i pomyśl,
Że to nie w ojca włos uderzyć trzeba,
Lecz w łona ludzi tych, co będą czuli
Hańbę ze swego zwycięstwa nad nami...
Polelum! podnieś ten topór okropny;
Tyś niewolnikiem mojej ręki prawej:
Ty cały jesteś moją ręką prawą:
Ty będziesz rzucał, a ja będę cierpiał...
Mamyż na wieki i my i nasz ojciec
Już pokonani być dolą, i nigdy
Nigdy tym krwawym ludziom nie pokazać,
Co wreszcie może rozpacz niewolnika.
Polelum! zemsty!... Ja skonam w więzieniu...
Mnie trzeba słońca... tobie zemsty trzeba.
Ach! bądź odważny.

POLELUM.

O! Bogi piekielne!
Z jednej mi strony brat cierpiący kona...
Tam ojciec nędzny... tu mi dają topór...
Co robić!

LILLA WENEDA.

O! mój Polelum! o bracie!
Zbawisz nas wszystkich.

POLELUM.

Daj topór. O! Boże!
Odwróćcie oczy, abym ja nie widział
Na waszych bladych twarzach przerażenia.
Więc trzeba włosy te odciąć... te włosy...
Te siwe włosy?... Nie patrzcie wy na mnie,
Bo mi się oczy łzami ćmią. Okropnie!
Czy wy jesteście pewni, że mię ojciec
Nie widzi... tylko czy jesteście pewni?

LILLA WENEDA.

On ma wydarte oczy.

POLELUM.

Przez błyśnięcie
Mego topora utraciłby oczy,
Gdyby mu ludzie oczu nie wydarli.
Ach! dosyć było taką rzecz wymyśleć
A starzec by sam sobie wydarł oczy,
Aby nie patrzał na zabójcę syna.
O! do czegóż ty przyprowadzasz, Boże,
Człeka, co stracił ojczyznę!... O! patrzcie,
Ażeby teraz wyratować brata
Muszę być ojca mego męczennikiem.
Siostra mnie własna o zabójstwo prosi,
Ludzie z boleści mojej urągają.
O! przyjdź, godzino zemsty albo śmierci.

GWINONA.

Cóż to, więc nie masz odwagi?

POLELUM.

Bezczelna!
Ja się odwagi mojej własnej boję...
Prowadźcie mnie tam, skąd mam rzucać topór.
O tem ciśnięciu straszliwem Weneda
Będzie wam śnić się...

Prowadzą okutych razem braci na metę rzutu — zasłona spada.

CHÓR.

Dwunastu harfiarzy.

Niestety! niestety!
Gdzie sprawiedliwość boska? gdzie pioruny?
Syn na własnego ojca topór rzuca,
Niebo się całe ćmi krwawemi łuny,
Błyskawicowych chmur rzygnęły płuca
Piorunów deszcz okropny.... świat się wzdryga!
Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
Topór, co w drżącej ręce syna miga:
O! synu! serce twe z boleści pęknie,
O! córko, ojca twego krew cię splami!
O! biada wam! o! biada, niewolnicy!
Mięsza się wasza krew z waszemi łzami,
Serca dajcie krew pod dziób orlicy,
Ona wyściela gniazdo waszemi włosami.
O! niewolnicy!
Zemsta! zemsta! dopóki serce bije, zemsta!

AKT III.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.
LECH i SYGOŃ.

LECH.

Poznałeś teraz Wenedów, Sygonie?
Wiesz, jak ciskają od oka toporem?
W uszach mi dzwoni okropne żelazo;
Ażem był jęknął trwogą zadławiony,
Gdy nad Derwida głową zobaczyłem
Drzazgi z żelaza rozsypane skrami.
Jużem się lękał, że w topora jęku
Zarąbanego starca jęk usłyszę:

Lecz nie, wyciągnął ręce i od drzewa
Jak widmo, z włosem równo odrąbanym,
Odstał; krwawymi łzami zapłakany,
Z obliczem pełnem boskiego uśmiechu...
Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
Nasze mogiły... Czy wiesz co? Sygonie,
Stań mi pod drzewem, stań mi tak na celu;
Niechaj na twoich włosach zaprobuję
Oka i miecza!

SYGOŃ.

Lechu, jestem łysy.

LECH.

Ty łysy, prawda, to sęk! lecz ja muszę
Niedźwiedziom wydrzeć sławę pozyskaną;
Dziś spać nie mogłem; a kiedy nad rankiem
Zamknąłem oczy, to widmo Salmona
Jawiło mi się i mówiło do mnie
Samemi tylko urągowiskami.

Słychać trąbkę rycerską.

Cóż to? czy słyszysz? słyszysz róg Salmona?
To Salmon trąbi przed zamkową bramą.
Jakże — mówiłeś mi, że Salmon zginął?

SYGOŃ.

Klnę się na Boga, żem go widział trupem.

LECH.

Ale to Salmon, patrz, stoi przed bramą.

SYGOŃ.

Ten mi się rycerz zdaje trochę chudszy.

LECH.

Stare masz oczy, nie poznajesz zbroi?
To Salmon... o! mój Salmon! Chodź, to Salmon!

Wychodzą.

SCENA II.

Sala taż sama.

GWINONA, *wchodzi.*

Co słyszę? Salmon zatrąbił... O! Boże!
Gdy ja tortury straszne wymyśliłam,
Aby się pomścić za niego — on żyje.
Także to pewna, że serce przywyka

Do konieczności. choć najokropniejszej,
I z jakiejkolwiek bądź rozpaczy — nie chce
Powracać w przeszłą radość, i z trupami
Powróconymi znów się zapoznawać;
Także to pewna, że osierocone
Przez zmarłych miejsca, gdy raz już są puste,
Muszą pozostać tak, dla niezmienienia
Naszych nadziei, które jak pająki
Wnet zarabiają sieć, gdzie los przeleciał,
By w niej nie widzieć pustki i rozdarcia.
Zaczęłam się mścić za niego... on wraca.
Zemsta bez celu jest i bez przyczyny,
A już jest rzeczą zaczętą. Więc znowu
Do mego serca miłości nieczystej
Wraca gorący wąż na dawne miejsce,
I na wystygłe miejsce znów powraca.
Trzeba więc wszystko rozpocząć na nowo
I nigdy nie być pewną końca, nigdy!

LECH, ŚLAZ, w zbroi, wniesiony na rękach rycerzy, SYGOŃ.

SYGOŃ.

Salmon! niech żyje Salmon!

LECH.

O! Gwinona!
Witajże ty go... przynieście puhary...
Kto dziś nie pije, z tym ja dojdę ładu?
Jakżeś, Salmonie mój, uniknął śmierci?

ŚLAZ.

Zaraz opowiem, tylko mnie postawcie
Na moje nogi, na me własne nogi.
Tak, jestem Salmon, Salmon bez wątpienia,
Zaczarowany Salmon, lepszy Salmon
Niż tamten Salmon nie zaczarowany;
Jestem Salmona dusza w innem ciele.

LECH.

Odsłońże hełmu, niechaj cię zobaczę.

ŚLAZ.

O ba! mój także hełm zaczarowany,
Jakem się zamknął w nim, tak dotąd siedzę...
Przeklęta klatka!

LECH.

Co mówisz?

ŚLAZ.

Niech zginę,
Jeżeli kłamię. Nie ja w hełmie chodzę
Ale hełm, ze mną włóczy się po świecie
I będzie trzymał, aż mu się spodoba
Uwolnić moją głowę, aby jadła.
Ten hełm jeść nie chce i ust nie otwiera;
Przeklęta, djabla machina, panowie,
Na ogłodzenie człowieka.

GWINONA.

Rycerze!
Zrąbcie mu głowę z karku, to nie Salmon.

ŚLAZ.

Przysięgam! mości panowie, ja Salmon.

GWINONA.

Salmon zabity był wczora.

ŚLAZ.

Ja wczora
Byłem zabity, do śmierci zabity.
Nie dobywajcie mieczów, mospanowie,
Bo jak mnie teraz zabijecie, to już
Gotowem nigdy nie żyć. Zabijanie
To na raz sztuka; raz mi się udało,
Drugi raz może mi się już nie uda
Chodzić po śmierci.

LECH.

Cóż więc? jesteś duchem.

ŚLAZ.

Schowajcie miecze a powiem czem jestem.

LECH.

Jeśliś nie Salmon, to śmierć?

ŚLAZ.

Jestem Salmon.

LECH.

Więc mów jak Salmon.

ŚLAZ.

Otóż to jest sztuka
Mówić jak Salmon zaczarowanemu.

LECH.

Któż to na ciebie rzucił takie czary?

ŚLAZ.

Kto? Wczoraj martwy leżałem na polu;
Wtem jakaś wiedźma, co paliła trupy,
Przyszła i wzięła mię za nogi; to nic,
Ja byłem martwy, nie mówiłem słowa;
Aż mię ta straszna olbrzymka dlatego,
Że byłem martwy, chciała rzucić w ogień;
Więc ja zacząłem krzyczeć... więc ta wiedźma
Puściła moje nogi, więc ja wstałem —
Więc ona gniewna, że ja nie umarłem,
Zaczarowała mnie: wyjęła oczy
I dała inne oczy na pamiątkę,
Oczy wydarte z kota, szare, kocie,
Przez które zaraz zobaczyłem w nocy,
Że mi już także nosa odmieniła,
I bocianowi wziąwszy dziób, przypięła
Do mojej twarzy, pomiędzy oczyma;
Więc zaraz, wstydząc się takiego nosa,
Spuściłem na nos przyłbicę... więc potem
Chciałem odemknąć, aż moja przyłbica
Nie chciała; i tak — szlachetni rycerze,
Jeżeli teraz chcecie się przekonać,
Jak ja okropnie jestem odmieniony
Czarami wiedźmy tej, to z łaski waszej
Przyłbicę mi tę otwórzcie.

GWINONA, *otwierając hełm Ślaza.*

O nieba!

ŚLAZ.

No cóż? i jakże wy mnie znajdujecie?

GWINONA.

Straszydło chude!

ŚLAZ.

Co chude, to chude!
Mój pan już na mnie został anatomem.

GWINONA.

O jakim panu ty mówisz?

ŚLAZ.

O jakim?
O Panu Bogu.

LECH.

Ale ci ta wiedźma
Mężnego serca nie zaczarowała?

ŚLAZ.

Serca? to byłoby już bez potrzeby
Czarować serce; i cóż? — czy nie dosyć
Takiego nosa?

LECH.

Tyś był najpiękniejszy
Z moich rycerzy, dziś brzydki straszliwie.

ŚLAZ.

Tylko mi dajcie jeść a obaczycie,
Że jak utyję, to nie będę szpetnym.

LECH.

Oby ci pierwszą Bóg przywrócił postać.

Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.

GWINONA.

To jakiś oszust w Salmona zbroicy.
O! jak ryczerze są ci łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka;
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć kłębka; jedni przez lenistwo,
Drudzy widzący w tem może pożytek,
Albo zabawę: i tak oszukani
Potem przez dobroć rosnąć pozwalają
Fałszu krzewinie, wstydząc się za ludzi,
Którzy się wstydzić powinni. O! głupi
Lud z rąk rycerskich i z głów nie myślących;
Któremu chciałabym wlać moją twardość,
Inaczej... pierwsza burza... a już po nich.
Pokażę im myśl skierowaną wiecznie
Jako sztyletu ostrze w serce wroga;
Pokażę, co to jest kobieca wola,
Jaka głuchota na postronne jęki,
Jakie wlepienie oczu w samo łono
Raz przedsięwziętej rzeczy być powinno.
Jeśli niczego nie nauczę — biada!

SCENA III.

Pole przy lesie.

LILLA WENEDA, LELUM i POLELUM w łańcuchach.

LILLA WENEDA.

Wolni jesteście. Niech Roza Weneda
Rozerwie wam te na rękach łańcuchy,
A ja do ojca idę niewolnika.
Za trzy dni ojca wam żywego wrócę.

Lelum, ja byłam twoją narzeczoną,
Dziś jestem smutnej śmierci narzeczoną,
I może więcej nigdy nie powrócę,
I może nigdy się nie zobaczymy.
Pamiętaj o mnie, o! pamiętaj o mnie!
Ja cię kochałam jako siostra twoja,
Ja cię kochałam jak wierna kochanka,
Dzisiaj cię kocham jak ta, co ma umrzeć.
Pamiętasz, jak my dziećmi maleńkimi
Z obu stron ojca harfy uklęknieni,
Przez złote struny dawaliśmy sobie
Pocałowania; dziwiąc się, że każdy
Nasz pocałunek strun się kończył jękiem;
Była to dziwna losu przepowiednia!
Cóż teraz myślisz o tym harfy jęku?

LELUM.

Jeżeli śmierci masz wczesnej przeczucie,
Chodź, przedśmiertelne weź pocałowanie.

LILLA WENEDA.

Harfa naszego ojca jest w niewoli,
A ja nie jestem jeszcze zaślubioną,
Ust moich ci dać nie mogę płonących.

LELUM.

Więc rozpuść, Lillo, twoje złote włosy,
Schowaj się za nie, jako za strunami
Harfy ojcowskiej... niechaj przez warkocze
Twych koralowych ust dotknę ustami...

LILLA WENEDA.

O! nie, jak prosty gołąb ja się rzucę
Na wasze łono... kochajcie mnie, bracia,
Bo mi na świecie źle, ciemno i smutno...
Lecz to zwyczajna powieść — bądźcie zdrowi.
Jeśli zapyta o mnie jakie echo,
Mówcie: umarła.

Odchodzi.

LELUM.

Bracie mój! słyszałeś?
Ona ma umrzeć...

POLELUM.

Całe piekło we mnie.
Nie wiecej czułem, gdy topór okropny
Kręciłem w ręku przeciw ojca głowie,
Jak teraz, słysząc wasze szczebiotanie,
Dzieci niedoli. Nie martw się, za trzy dni
Wszyscy będziemy niczem.

LELUM.

O! Polelum,
Ty po mnie zostaniesz.

POLELUM.

Po tobie?

LELUM.

Dlatego ciebie tak nazwała wróżka:
Gdy Lelum skona, żyć będziesz po Lelum.

POLELUM.

Ja zadam kłamstwo wróżbie... ja nie będę
Z waszemi groby żył w kraju niewoli.
Świadczę się tobą, słońce, jeśli kiedy
Ujrzysz mnie żywym na brata kurhanie,
To natęż tak twe oczy, światła Boże,
Aż mi zapalisz włos na tej bezwstydnej
Głowie, co mogła wszystko, wszystkich przeżyć.
Próżno los wróży, że będę ostatnim,
Ostatnią będzie tu jaka kobieta,
Albo rzecz jaka żywa jeszcze słabsza,
Monstrum, któremu Bóg nie dał w rozpaczy
Władzy skonania — to będzie ostatniem.
Słońce zapłoni się, jakby zhańbione,
Że niema komu świecić, tylko gadom
I tym, co umrzeć jak ludzie nie śmieli.
Chodź! wróżka powie nam, jak mamy skonać.

Wychodzą.

SCENA IV.

Sala w zamku Lecha.

GWINONA, RYCERZE, LECH.

GWINONA.

Tak być nie może, nie, tak być nie może.
Z tym starcem trzeba skończyć... przyprowadźcie
Króla Derwida, i z mego pokoju
Przynieście harfę. Klnę się wam na duszę,
Że ta dziewczyna cierpi pomięszanie;
Lub pomięszanie cierpi lub fałszywa;
A w jej białości tyle jest kolorów
Jako na szyi gołębia... harfiarka!
Dumna, że czoło mi stawi... żebraczka!
Otóż mój człowiek.

DERWID, wprowadzony przez rycerzy, staje przed królową, przy nim stawiają harfę.

Postawcie go tutaj,
Bliżej, przy harfie postawcie. Człowieku!
Widzisz, że wolę mam żelazną... słuchaj!
Błysnął ci topór synowski nad głową,
Ale miał litość nad tobą i synem
I tylko trochę urąbał warkocza,
A głowę dla mnie zostawił nietkniętą...
Widzę w tem jednak czarodziejską sprawę;
Topory wasze muszą mieć na ostrzu
Synowskie oczy; harfy — córek serca;
Ta harfa twoja dzisiaj postawiona
Przy łożu mojem o każdej godzinie
Nocnej budziła mię jękiem bolesnym,
Choć nawet wicher nocy ją nie trącił,
Ani się ciche dotknęły motyle.
Naucz mnie twego czarodziejstwa, powiedz,
Jak wy nieżywe rzeczy czarujecie?
A z córki twojej uczynię królewną,
Synowi memu starszemu zaślubię,
Ty będziesz teściem królewica. I cóż?

DERWID.

Harfa jęczała!... co mówisz, jęczała?
Przy tobie stojąc jęczała?

GWINONA.

Cóż, starcze?

DERWID.

Kto słyszał harfy jęk, we trzy dni skona.

GWINONA.

Szalony starzec! śmiercią mi zagraża.

DERWID.

Ty, ty za trzy dni umrzesz.

GWINONA.

Ha?

DERWID.

Słyszałaś.

GWINONA.

Nędzarzu!

DERWID.

Trumno!

GWINONA.

Nieszczęsny!

DERWID.

Śmiertelna!

GWINONA.

Mój niewolniku!

DERWID.

Królowo trzydniowa!

GWINONA.

Umarły!

DERWID.

Jak pies zachrypłaś od krzyku.

GWINONA.

Śliny mam dosyć...

Plwa na starca.

DERWID.

O! Bogi! o! Bogi!
Dajcie mi oczy moje, będę płakał...

GWINONA.

Ha! zczerwieniła ci się twarz, harfiarzu.

DERWID.

Tyś mię oplwała krwią.

GWINONA.

Patrzcie, rycerze,
Ten człowiek królem był!

DERWID.

Patrzcie, rycerze,
Oto gadzina ta — była kobietą!

GWINONA.

Człowiek ten kiedyś miał szacunek ludzki.

DERWID.

I ta kobieta miała niegdyś ojca...

GWINONA.

Proś w mego ojca imię, toć przebaczę.

DERWID.

W imię cię ojca potępiam, przeklinam,
I bogom daję piekielnym za trzy dni...

GWINONA.

Za to, żem ciebie zabiła?

DERWID.

Że dręczysz.

GWINONA.

Ha! więc ty czujesz?

DERWID.

Ha! więc ty się cieszysz?

GWINONA.

Już nacieszyłam się, teraz zabiję.

DERWID.

Ukąsisz tylko i umrę z wścieklizny.

GWINONA.

Lękasz się mego zęba?

DERWID.

Nie choroby.

GWINONA.

Rycerze, proszę, zlitujcie się nad nim.
To człowiek biedny... to człowiek szalony.
Harfiarzu, klęknij!

DERWID.

Rzuć tu na podłogę
Twe czarne serce, pod moje kolana.

GWINONA.

Nudzi mię kłótniarz ten... Daj mu w policzek.

DERWID.

Stój! splamisz ręce, ja mam twarz oplwaną.

GWINONA.

Cóż to, ja sama mam bić tego króla?
Masz!

Uderza go.

DERWID.

Nikczemnico! niech cię Bóg obali.
O! serce moje! o!

Mdleje

GWINONA.

Wynieście trupa,
I rzućcie wężom.

Rycerze wynoszą Derwida

Gryfie! ty dopilnuj,
Niech do wężowej wieży rzucą starca.

Gryf wychodzi.

Głupie, bez serca rycerstwo patrzało,
Gdy we mnie wzbierał gniew; kiedym ja wrzała,
To stali cicho, jak uliczne chłopcy,
Sykaniem szczwając psa mojego gniewu.
Milczeli wszyscy. Gdyby tylko jeden
Na starca słowem uderzył gryzącem
I mej bezsilnej kobiecej wściekłości
Przyszedł z pomocą, byłabym ostygła.
Lecz nie, milczeli; a jam się rzucała
W przepaść wściekłości, rozkoronowana,
Znienawidzona i nienawidząca;
Z całego serca ich nienawidząca!

LILLA WENDA wchodzi.

LILLA WENEDA.

Pani! gdzie ojca mego niosą?

GWINONA.

Na śmierć.

LILLA WENEDA.

Powiedz, na jaką śmierć ty go skazałaś?

GWINONA.

Kazałam rzucić na pożarcie wężom.

LILLA WENEDA.

Wężom?!

GWINONA.

Spojrzałam wczoraj w jednę wieżę
Która przy zamku stoi zrujnowana;
Spojrzałam: z gadzin okropne powoje —
Błyszczące, pełne ślin, pną się na ściany;
A w głębokości gniazda wężów leżą,
Błyskają oczy, wiją się ogony,
I ciągły słychać świst, sykanie, gwary,
Jak w garnku wrącym. Tam, w ciemność okropną,
W tę sykającą ciemność, w to wężowe
Błoto, w ten straszny ul kazałam rzucić
Twojego ojca.

LILLA WENEDA.

O! Boże! O! Boże!
Mój ojciec wężom jest rzucony głodnym!
Węże nie będą mieć nad nim litości!
O! więc mi skonać!

GWINONA.

I cóż, gołębico?
Żadnego teraz ratunku, wybiegu,
Tu nie pomoże topór twego brata,
Tu nie pomogą twoje łzy... pożarty
I rozszarpany między gadzinami
Twój stary ojciec.

LILLA WENEDA.

Ta harfa go zbawi
Chwyta za harfę i wybiega.

GWINONA.

Harfa... Idź z Bogiem, warjatko smętna,
Czegóż dokażesz harfą uzbrojona
Przeciwko zemście wężów i kobiety?
Wychodzi.

SCENA V.

Sala taż sama. — LECH i SYGOŃ wchodzą.

LECH.

Sygonie, człowiek ten nie jest Salmonem.
Przy uczcie jeden mu dał w łeb talerzem.
Ten człowiek, widząc krew cieknącą z czoła,
Zawołał: octu! — Gdyby to był Salmon,
Byłby zawołał: szabli. Wiesz, co myślę?
Już postawiłem go na straży w bramie,
Zmieniwszy zbroję, razem nań wpadniemy;
Jeżeli, zamiast bronić się jak Salmon,
Będzie o życie błagał na kolanach,
Każę go jak psa powiesić i ścwiczyć.
GONIEC wchodzi.

GONIEC.

Lechu! nowiny są okropne z pola.
Wenedy znów się rzucają do broni.
Lechon, najstarszy twój syn, zostawiony
Na drugiej stronie Gopła ze stu ludźmi,
Wzięty w niewolę.

LECH.

Nie mówić Gwinonie!
Ona miłuje bardzo tego syna.
Każ ostrzyć miecze i naprawiać tarcze,
W ostatniej walce dzidami pokłute...
To dobrze, mój Sygonie. Bój zaczęty...
O! syn mój biedny!... Ale te psy wściekłe
Nie będą śmieli jeńca zamordować?
Nie mówić tylko nic o tem Gwinonie,
Syna odbiję, nim się ona dowie.

GONIEC.

Różne biegają straszne przepowiednie
O przyszłej walce między Wenedami;
Wszystkie te wróżby sieje czarownica
Młoda i piękna, co na łysej górze
Ma wykopany loch, podobny gniazdom
Rzecznych jaskółek.

LECH.

Cóż za wróżby, powiedz?

GONIEC.

Mówią, że wódz ich będzie miał dwie głowy,
Dwa serca, oczu czworo płomienistych,
Lecz jeden tylko oszczep, jedną tarczę.

LECH.

Na Boga! ja mu odetnę dwie głowy,
Ja mu rozrąbię tą szablą dwa serca;
Lepiejby wyszli, gdyby miał dwie tarcze
I dwa oszczepy, a mózg tylko jeden,

GONIEC.

Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno.

GONIEC.

Ta czarownica z góry zapowiada,
Że po tej walce, martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie...
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy,

I wódz ten z dwoma głowami i mściciel.
Dosyć! już ciemno, dosyć już tych bredni!
Bić się będziemy i to jest najlepsza...
Chodźmy Salmona wypróbować męstwo.

Wychodzą.

SCENA VI.

Dziedziniec w zamku Lecha.

ŚLAZ, na straży przy bramie. — Noc

ŚLAZ.

Trzeba Salmoństwo to skończyć... dalibóg!
Salmoństwo moje bardzo niebezpieczne
I różnych rzeczy wymaga; naprzykład:
Odwagi. Gdybym wiedział, że ze zbroją
Spadają na mnie takie obligacje,
Byłbym nie tykał jej... ani tych rzeczy,
Które rycerza są... Co widzę? Chryste!
Pan mój dawniejszy prosto w bramę dąży.
Wyda się kłamstwo... po radę do głowy...

Słychać stukanie do drzwi. — Ślaz otwiera drzwi i ujrzawszy ŚWIĘTEGO GWALBERTA, zatrzymuje go halabardą u wejścia.

Ktoś ty?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Domowi temu niosę pokój.

ŚLAZ.

A więc nie wejdziesz, my żyjemy z wojny.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Puść mię do Lecha, puść, mężny rycerzu,
Niech cię *Spiritus Sanctus*... O! pohańcze!
Mówię ci, puść mię, bo ci spadnie głowa.
Ty się wielkiemu sprzeciwiasz cudowi;
Dziś nad jeziorem, równa gołębiowi
Białością, cała powietrzem tęczowa,
Z gwiazdy sinymi, matka Chrystusowa
Pokazała się — ukląkłem, a ona:
Idź, bo stary Derwid kona,
Córka jego, mój gołąbek,
Z bolu umiera.
Tak mówiąc, w tęczy się rąbek
Owinęła postać święta,
I uniosła ją anielska sfera
Z tęczą, z gwiazdami, z tysiącem promieni.

ŚLAZ.

Czemuś nie nabrał tych gwiazd do kieszeni,
Mógłbyś zapłacić teraz odźwiernemu.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Zapłacić? święci nic nie płacą.

ŚLAZ.

Czemu?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bóg daje wszystko temu, kto jest z Bogiem.
Ale nie trzymaj mnie przed zamku progiem,
Twój upór sługę mego przypomina.

ŚLAZ.

Co to za człowiek był?

ŚWIĘTY GWALBERT.

At, łajdaczyna!

ŚLAZ.

Gdzież jest?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Już teraz djabeł wziął do piekła.

ŚLAZ.

Już w piekle?

ŚWIĘTY GWALBERT.

W piekle.

ŚLAZ.

Hum... dobra nowina.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Miałem łajdaka sługę, skradł mi wszystko
I spalił czaszkę wielkiego olbrzyma,
Z której ja sobie uczyniłem celę;
Tak że w tej czaszce, gdzie niegdyś mieszkały
Bogi Walhalli, teraz się świeciła
Czystość dziewicza w gwiaździstej koronie
I odzywała się czysta modlitwa.

ŚLAZ.

To jakiś sługa niewierny!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Bies sługa!
Teraz ja myślę, że to sam Lucyfer
Podjął się u mnie służby i oszukał
Lecz nie przełamie djabeł mocy Boga,
Ani piekielne pokusy przemogą.
Jeżeli jeszcze ten djabeł bezwstydny
Jest w ludzkiej skórze, to pod dyscypliną...
Lecz zdaje mi się, że to nie był djabeł,
Rycerzu, on był na djabła za głupi.

ŚLAZ, *na stronie.*

Wolałbym, żeby trzymał się był o mnie
Pierwszej opinji. Ach! Ach! myśl szczęśliwa!
Przemienię tego siwosza w Salmona.

Głośno.

Chodź tu, staruszku święty!

ŚWIĘTY GWALBERT.

Dzięki Bogu,
Poganin zaczął już przezierać w światło.
Nazwał mię świętym, — do chrztu niedaleko.

ŚLAZ, *na stronie.*

Ja ciebie ochrzcę, dalibóg, że ochrzcę!
Usalmonuję ciebie.

Głośno.

Przewielebny,
Już noc, Lech teraz śpi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Pokaż mi drogę,
Ja go obudzę.

ŚLAZ.

Pomyśl! to lew srogi,
Gotów się rzucić na ciebie i pożreć.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Więc mi to będzie wieniec męczennika.

ŚLAZ.

Staruszku, ty masz oczy bazyliszka
W świętym czerepie, mnie oczarowałeś.
Już gotów jestem zaraz zejść ze straży,
Choć za to można jak nic zgubić głowę,
Lecz na usługi twoje jestem gotów.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Uczyń to, uczyń, a nagroda w niebie.

ŚLAZ.

Więc mi oddadzą w niebie moją głowę?
Ja wcale innej nie żądam nagrody,
Ja moją głowę bardzo kocham, cenię;
Jeśli przyrzekasz, że tak głowę stracę,
To ją odzyskam, pójdę budzić Lecha.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Przeczuwasz prawie święte pismo boże.
Kto tutaj, mówi Chrystus, straci duszę,
A straci dla mnie, to duszę swą zyska.

ŚLAZ.

Ale nic Chrystus nie mówi o głowie?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Głowa jest niczem, gdzie chodzi o duszę.

ŚLAZ.

Kiedy nic Chrystus nie mówi o głowie,
To dla mnie wcale nie ma bezpieczeństwa,
Ja wolę głowę niż duszę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Nędzniku!
Ja ci dowiodę, że światowe szczęście...

ŚLAZ.

Ty mi dowodzisz, a twój Derwid ginie.
Lepiej-że moją zbroję weź na siebie
I postój za mnie na straży przy bramie,
To pójdę Lecha obudzę i wrócę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Rycerzu, daj mi zbroję i zbudź Lecha.

ŚLAZ.

Stój-że tu, stary, dzida w ręce prawej
Przeciwko wrogom, tak... hełm na łysinę.

Na stronie.

A teraz-że mu zamknąłem przyłbicę.
Jeśli otworzy, będzie mądry.

Głośno.

Stój tu...
Jeśli spytając: Kto? odpowiedz: Salmon.
Ja jestem Salmon... Za chwilę powrócę.

Wykrada się za bramę zamku i ucieka.

ŚWIĘTY GWALBERT, *w zbroi, chodząc wielkim krokiem.*

Więc że to, Boże, i w rycerskim stanie
Dobrzy są ludzie, dobrzy, choć poganie.
Otóż włożyłem rycerską kolczugę,
Najświętsza Panno, patrz na twego sługę.
Oto ja rycerz z pod twojego znaku,
Jak nowy olbrzym Gedeon[1] w szyszaku,
Trąbą mi teraz tylko walić mury
I piorunować grzeszniki i króle.
Cóż to za zbrojni ludzie z latarniami?

LECH i SYGOŃ, *z latarniami, zbrojno.*

LECH.

Tu był na straży Salmon.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Jestem Salmon.

LECH.

Sygonie, patrzaj na tego człowieka.
Jeśli to Salmon, to się znów odmienił.
To jakiś możny jest czarownik. Mówisz,
Że jesteś Salmon; Salmon straci głowę,
Jeśli się wyda, że nie jesteś Salmon.

ŚWIĘTY GWALBERT.

O! nieba... jestem Salmon.

LECH.

Patrz no, Sygoń
Włos mu wygląda siwy z pod szyszaka,
Króciutkie nogi w łapciach z pod puklerza,
To jakiś możny djabeł, możny djabeł.
O! czarowniku, jeżeliś ty Salmon,
Po śmierci w ciało ubrany djabelskie,
To na kawałki potnę twoje ciało,
Aż dusza twoja w ogniu gorejąca
Nie będzie miała w co się ubrać... broń się!

Napada z mieczem.

---

[1] Gedeon, bohater biblijny.

ŚWIĘTY GWALBERT.

O! panie! ja nie Salmon!

LECH.

Któż ty taki?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Nazywają mnie powszechnie Gwalbertem,
Świętym Gwalbertem. Otwórzcie przyłbicę,
Bo ja nie umiem tej klatki otworzyć.

LECH.

To tak jak tamten. Wymówka ta sama.
Nędzniku, wziąłeś na się inną postać;
Przebiegły jesteś... włos ci czarny zbielał;
Jam ciebie chudym widział przed godziną,
Teraz żołądek masz pełny, i może
Płonących węgli masz pełny żołądek.
Na Boga! czarów nie będę igraszką.
Do mnie, rycerze.

Klaszcze, wchodzi kilku rycerzy.

Weźcie tego djabła.
Sygoń, niech rzucą go wężom, do wieży.

ŚWIĘTY GWALBERT

Święta Marjo! broń twojego sługi.

Żołnierstwo wynosi Świętego Gwalberta, który krzyczy i wyrywa się, Sygoń wychodzi za nimi. Na krzyk starca wbiega GWINONA.

GWINONA.

Co to jest za zgiełk! co to są za krzyki?

LECH.

Kazałem wężom rzucić czarownika.
Ten Salmon, żono, to był zły duch mocny.

GWINONA.

Węże niegłodne, dziś zjadły człowieka.

Sygoń wraca.

LECH.

Sygonie! Cóż to, powróciłeś blady?

SYGOŃ.

Panie! powracam z nad wężowej wieży.

GWINONA.

I tam widziałeś poszarpane członki
Człowieka, w paszczy wężowej trzeszczące?
I tam słyszałeś gadzin smętne świsty?
I tam widziałeś jęczącą dziewczynę,
Która nad straszną wieżą nachylona,
Jak słowik, gdy się na węża zapatrzy,
Skrzydełek tylko lekkiem trzepotaniem
Okazywała strach?

SYGOŃ.

Ja tam widziałem
Rzecz, która ludzkie przechodzi umysły.
Przy wieży biała księżycem dziewica
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej
W krąg stoją węże tak wyprostowane,
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną;
Ona te węże czarodziejską pieśnią
Zaczarowane trzyma i spokojne;
Ale już widać, że jej białe ręce
Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy
Z życiem harfiarki w głodnych wężów paszczy.

GWINONA.

Więc wieża, gdzie ten stary człowiek?...

SYGOŃ.

Pusta.
Spoczywa w głębi i śpi Derwid stary.
Bo wszystkie węże, pieśnią wywabione,
Są słuchaczami córki.

GWINONA.

Zwyciężyła!
Dobądźcie z wieży starego Derwida.
O! głupie węże! o! przeklęte gady!
Córce odebrać harfę i wypędzić.
Derwida zamknąć w podziemne ciemnice;
Czego nie zrobił wąż, dokażę głodem.
Czy go nakarmi córka, zobaczycie.

SYGOŃ.

A z tym Salmonem co zrobić?

LECH.

Zamknąć go
W jednem więzieniu z Derwidem... zamorzyć;
Oba są warci zgonu czarownicy.

Wychodzą.

CHÓR DWUNASTU HARFIARZY.

O! święta ziemio polska! arko ludu!
Jak zajrzeć tylko myślą, krew się lała.
W przeszłości słychać dźwięk tej harfy cudu,
Co wężom dała łzy i serca dała.
Słuchajcież wy! gdy ognie zaczną buchać,
Jeżeli harfy jęk przyleci zdala,
Będziecież wy jak węże stać i słuchać?
Będziecież wy jak morska czekać fala,
Aż ścichnie pieśń i krew oziębnie znowu
I znów się staną z was pełznące węże?
Aż rzucą was do mogilnego rowu,
Gdzie z zimnych jak wy serc się hańba lęże?
Już czas wam wstać!
Już czas wam wstać i bić i truć oręże.

AKT IV.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha.

LECH, GWINONA, GRYF. Wchodzi LILLA WENEDA.

LILLA WENEDA.

W niezawiązanej przychodzę koszuli,
Nie niosę chleba, nie mam nic przy sobie,
Lecz wy mnie puśćcie do ojca mojego,
Który od dwóch dni jest morzony głodem.
Ja go zobaczyć chcę tylko przed śmiercią,
Jam go nie mogła zbawić, więc pożegnam.
Dlatego głowę ubrałam w lilije,
W te wodne kwiaty, które u nas kładną
Dziewicom zmarłym na ostygłe czoła.
O! Pani! spuść ty ze swojej srogości!
Ja biedna zimne węże rozczuliłam,
I tak się do mnie gady przywiązały,
Że za mną cały kłębek biegł i syczał,
Jak pies wyjący smutnie z przywiązania.
I cóż ja winna, że węże wolały
Słuchać mej pieśni niż mojego płaczu?
A żem ja węże zimne rozczuliła,
Dlaczegóż w tobie powiększyłam srogość?
Czy ty zazdrościsz mi, pani, zwycięstwa,
Które mi ojca mego wybawiło?

O! jeśli tak jest, to weź go za ojca,
A ja go będę na śmierć skazywała,
A ty go będziesz bronić — i zwyciężysz,
Bo ten zwycięża tu zawsze, kto broni.
Lecz nie, ja teraz jestem zwyciężoną,
Mój ojciec pewnie już od głodu skonał;
A ja chcę tylko widzieć jego ciało,
W czoło chcę tylko pocałować zimne,
Powiedzieć jego głuchemi trupowi,
Że go nie mogłam zbawić — lecz kochałam.
O! patrz! koszula moja niezwiązana,
Nie niosę chleba, ani żadnej strawy;
Może się boisz, że jak drzwi otworzę,
To wleci za mną jaka muszka złota
I ten ją starzec zje?... O! pani moja,
Bóg muchy strzeże od śmierci... ta muszka
Będzie mieć jaką córkę, co ją zbawi.
Ja tylko jedna, ja nie mam nikogo,
I nikt się o mnie biedną nie upomni.
O! proszę ja was, każcie wy mnie wpuścić
Do mego ojca głodnego.

LECH.

Gwinona,
Na Boga, te łzy miecz mi rozhartują.

GWINONA.

I ty jej wierzysz? to są łzy zmyślone,
Ona dwa razy tak płakała głośno,
Za te trzy płacze, ona się trzy razy
Odśmieje ze mnie, jeśli ojca zbawi.

LECH.

I cóż ci ludzki śmiech, Gwinono, szkodzi?

GWINONA.

Lechu! śmiech ludzki jest zabójczą bronią,
Więcej on strącił koron z głów posępnych,
Niż ci się zdaje; o! śmiech to gadzina,
Która się w sercu wyśmianego kryje
I tam go kąsa, kąsa, do krwi kąsa,
Aż wreszcie siły w człowieku omdleją
I powie sobie: jestem zwyciężony.
Śmiech nas pozbawia zaufania w sobie
I rodzi niemoc; ja znam takich ludzi,
Z których się żaden żywy śmiać nie waży;
Ci ludzie mają królestwo nad tymi,
Którzy są śmiechu ludzkiego poddani.

LILLA WENEDA.

Królowo! czegóż ty się teraz boisz?
Czy tu są tacy, co wyśmieją litość?
Widziałam w twoim sypialnym pokoju
Okno, którego nigdy nie zamykasz,
Bo w niem jaskółka uwinęła gniazdo:
Więc ty masz litość: a czy kto się śmieje,
Że ty masz litość nad jaskółką? Pani!
Więc ja znalazłam w twojem sercu litość!
Trzebaż być jeszcze, jeszcze nieszczęśliwszą,
Ażebyś ty się, pani, zlitowała?
Więc każ mi wydrzeć te spłakane oczy,
A potem zlituj się nademną ślepą
I każ mnie wpuścić do ojca ślepego.
O! proszę! proszę! każ mi wydrzeć oczy.

GWINONA.

Smutny to żebrak, co grosz wydrze nudą.

LILLA WENEDA.

O! będę nudzić, nudzić, aż zezwolisz.

GWINONA.

Gryfie, każ wpuścić ją do tej ciemnicy,
Gdzie siedzi ojciec jej morzony głodem.

Lilla Weneda i Gryf wychodzą.

Lechu! na twoję to zrobiłam prośbę.
Cóż mi tak smutny stoisz i ponury?

LECH.

Gwinono, syn nasz w niewoli.

GWINONA.

W niewoli?
Mój syn w niewoli? mój Lechon w niewoli?
Nie... ty mię straszysz... Nie wiesz sam, co mówisz.
On mi się dzisiaj śnił... O! Boże! Boże!
Na syna mego zgubę pracowałam.
Syn u Wenedów, Lechon u Wenedów!
Lechon... on niema takiej córki!

LECH.

Żono!
Ja go odbiję.

GWINONA.

Trupa ty odbijesz!
O! Lechu, na koń! na koń! na koń, Lechu!
Wszyscy rycerze! zbierz wszystkich rycerzy!

Jeśli wrócicie żywi bez Lechona,
Ja się zabiję... będę pławała w oczy!
Ja się zabiję... Cóż, wy tchórze? na koń!

Wybiega.

LECH.

Niech się wykrzyczy, krzyk nic nie pomoże
Dziś za mego Lechona stu trupem położę.

Wychodzi.

SCENA II.

Błonie.

ŚLAZ, *wchodzi.*

Moja nieboszczka matula mówiła,
Że kłamstwem wyjdę na pana — to kłamstwo,
Co mi matula mówiła o kłamstwie —
Ergo: jeżeli więc mówiła kłamstwo,
Powinna była zrobić tem fortunę:
Umarła goła jak Lazarus, a ja
Ledwom się kłamstwem nie usalmonował
Na wieki wieków; to szczęście, że jakoś
Mojego pana zrobiwszy Salmonem,
(Niechaj mu światło wiekuiste świeci!)
Uciekłem z zamku i dobrze się stało;
Gwalbertus, mój pan, został męczennikiem
I pod imieniem świętego Salmona
Króluje w niebie, więc dobrze się stało. —
Lecz tu kwestja... *quo modo* uniknąć
Głodu na puszczy i zrobić fortunę?
Już próbowałem chrześcijańskiej paszy,
Już próbowałem rycerskiego chleba,
I zawsze chudy jak słomka... więc *ergo,*
Pan Ślaz niech rusza do dziczy — rzecz prosta!
Pan Ślaz niech rusza prosto do Wenedów —
W jakim kolorze? w kolorze Wenedów.
Jako szpieg? a fuj — nie szpieg, lecz nowiniarz.
Zemsty nowiniarz, blekotnik nowiniarz;
Człowiek ognistej mowy, krwawych zębów
I czerwonego języka... więc *ergo,*
Gdy zapytają: czy widziałeś Lecha?
Widziałem; a co robi?... Gdym go widział,
To jadł Weneda z solą. A Gwinona?
Gwinona we krwi się dziatek kąpała.
A cóż się stało z naszym starym królem?

A ja pokażę tak: język wywalę
I zamknę oczy: wasz król *est finitus.*
A jego córka? A ja łzy jak z wiadra
Popuszczę na to i nic nie odpowiem,
Albo odpowiem jakie nowe kłamstwo,
Takie żałosne kłamstwo, że uwierzą
I jeść mi dadzą... za to, żem się spłakał.

Wychodzi.

SCENA III.

Sala w zamku Lecha.

LECH, GWINONA, RYCERZE.

LECH.

Na Boga! bądźże cierpliwą! na Boga!
Mój oddział jeszcze z podjazdu nie wrócił.

GWINONA.

Ty gadasz! a tam mój syn roztargany?
O! straszna! głupia jest cierpliwość twoja!
Jak nienawidzę w ludziach cierpliwości!
Często im wcale czekać niepotrzeba,
Ale dlatego, że ktoś prosi: *śpiesz się,*
To oni różne wynajdują zwłoki,
Aby pokazać wyższość i rozwagę,
I nad palącem się sercem panować.
Lechu! czy wiesz ty, ile chwil potrzeba,
Aby zabito bezbronnego jeńca?
Dziwna cierpliwość! okropna cierpliwość!
O! Lechu, jeśli mój syn biedny zginie,
To w dzień i w nocy będę ci krzyczała:
Tyś syna twego zabił cierpliwością!
Ja wtenczas będę w wyrzutach cierpliwą.
Cierpliwie będę ci kąsała serce;
We mnie ty zbrzydzisz cierpliwość. . o! kacie!
O! kacie twego nieszczęsnego syna!
Ach! Boże, daj co gryść mojemu sercu,
Bo jabym teraz serce męża gryzła.
Ja wiem, co powiem: Lechu! jesteś tchórzem!

LECH.

Tchórzem nie jestem.

GWINONA.

Więc ojcem nie jesteś!
Czemże ty jesteś?... kawałkiem żelaza?

LECH.

O! tego nadto! nadto!... Ty dotychczas
Byłaś w domostwie samowładną panią.
Jam ci ulegał, bojący się wrzasku,
Ty napełniałaś mój dom okrucieństwem.
Na Boga! już mi się to wreszcie nudzi.
Rycerzy moich garsteczka maleńka,
Podjazdem i te siły rozerwane;
A ci Wenedzi z dwunastu się krain
Zeszli i całe okrywają pole.
Tam są olbrzymie Scyty, co krew piją
W człowieczych czaszkach, wyznawce Odyna;
Tam są Letoni, co na hełmach noszą
Rogi żywemu wyrwane turowi;
Tam jest Mazonów lekkie pokolenie,
Co głowy jako szczygły ubierają
W czerwoną krasę i pomiędzy hełmy
Migocące się niosą pióra pawie;
Nad tymi tłumy dwunastu harfiarzy;
Nad harfiarzami straszna prorokini,
Na samym szczycie ludzkiej piramidy
Błyskawicami gadająca — a ja
Z rycerzy garstką mam wstąpić w mrowisko?
Ja, co te ludy chcę wyciąć do szczętu?
Nie czekać, aby mi w noc błyskawicową
Z nieba lejące pomogą pioruny?
Szalona jesteś... szalona, kobieto!

GWINONA.

O! widzę, że już ciebie nie przełamię!
Widzę już! widzę mego syna trupem!

LECH.

Syn twój powróci, syn powróci, nie płacz.

GWINONA.

O! jużem ja go teraz opłakała.
O! rozpacz! rozpacz!... o! rozpacz! on skonał.

LILLA WENEDA wchodzi bez wianka lilijowego na głowie.

LILLA WENEDA.

Królowo! ojca mego nakarmiłam.
Mój ojciec do mnie należy, królowo!
Widzisz, powracam bez kwiatów, bez wieńca,
W lilijach było mego ojca życie;

Ja życie ojca przyniosłam na głowie,
Jego zbawieniem ukoronowana.
Nie wierzysz? spytaj każdego Weneda:
Lilije wodne nas od głodu bronią,
Ilekroć zboże roku nie dotrzyma.
Ty nie wiedziałaś, że ten wieniec biały
Zdziecinniałemu będzie piersią matki,
Że on go będzie ssał, śmiał się i płakał,
Podnosząc puste powieki do nieba,
Bogu dziękował za córkę i kwiaty.
O! teraz ojciec!... jam go zbawiła.
Lechu, słyszałeś, jaki był warunek?
Nie pozwól, królu, żonie łamać wiary.

GWINONA.

Patrz! patrz! patrz! ona ojca wybawiła
I tu mię przyszła zagłuszyć radością;
A kiedy ona mówiła o ojcu,
To ja nieszczęsna myślałam o synie;
A kiedy ona lała łzy rozpaczy,
To ja nieszczęsna krwią płakałam w sercu.
Weź ojca swego! weź — ja potrzebuję
Nauczyć teraz was wszystkich litości,
Jabym głaskała ręką wasze tury,
Prosząc o łaskę ich nad moim synem;
Jabym szczepiła wasze kwaśne grusze
Miodem litości... a sosen szumowi
Dałabym matki głos, jęki i prośbę.
O każcie tutaj starca przyprowadzić,
Ja go odeślę ojcem memu dziecku.

Rycerzy kilku wychodzi.

LILLA WENEDA

Pani! ty dobra jesteś, o! ty dobra.
Już ja nie powiem, żem ojca zbawiła;
Ale żety mi dałaś mego ojca.
Obaczysz; jak to serce drży z radości
Temu, kto biednym ludziom dopomoże.

DERWID wchodzi i RYCERZE.

Ojcze, wracamy do nas — ta królowa
Dała mi ciebie. Ojcze, chodź na słońce,
Bądźcie mi zdrowi, królu i królowo,
Chodź, ojcze... Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!

DERWID.

Córko! a moja harfa?

LILLA WENEDA.

O! królowo!
Widzisz, mój ojciec cały drży z radości.
Aleś ty pewnie, pani, zapomniała,
Że ci nie może dziękować oczyma,
Więc ja za niego leję łzy... i jeszcze
Za ojca mego muszę być natrętną:
Ja ciebie proszę, wróć mu harfę złotą,
Którą mój ojciec miał od swego ojca;
O! wróć mu, pani, tę harfę! o! wróć mu.

GWINONA.

Przynieście harfę, którą ja kazałam
W cedrowej skrzyni uśpić rozpłakaną.

LILLA WENEDA.

Ojcze, ty harfę mieć będziesz.

DERWID.

Oddała?...

GWINONA, *na stronie do Lecha.*

Widziałeś, Lechu, gdy wspomniał o harfie,
To z jego powiek wybiegły czerwone
Dwie łzy, ogromne łzy. — czy uważałeś?
To były straszne łzy...

LECH.

I cóż, kobieto?

GWINONA.

Co?... nie rozumiesz... Córka albo harfa
Zostanie tutaj zakładnicą... widzisz,
Ten człowiek musi wybrać między dwiema,
A ja w zakładzie wezmę rzecz wybraną:
Rozumiesz? Gdyby nie te łzy czerwone,
Anibym kiedy była pomyślała,
Że tu jest wybór.

LECH.

Już widzę, już widzę.

GWINONA.

Milcz!

Do Derwida.

O! Derwidzie, wy, Wenedzi, macie
Nienasycone serca... Przed godziną,
Wiercony srogim głodem aż do kości
Byłbyś poprzestał na kawałku chleba...

Lecz teraz, w miarę łask, żądania rosną,
Dałam ci wolność, tyś harfy zażądał —
A otrzymawszy wszystko, będziesz mścił się...

DERWID.

Każ odprowadzić mnie więc do więzienia;
Trupy się nie mszczą.

GWINONA.

O! twardy człowiecku,
Nigdyż twe serce przedemną nie zadrży?

DERWID.

Wyjm je i zobacz.

GWINONA.

Ja ci daję wolność...

DERWID.

I chcesz tu z króla uczynić żebraka?
Już mię z postaci masz prawie żebrakiem,
Jeszcze chcesz serca mego żebraniny?
Na moje ciało ty liczysz zgrzybiałe?
Na me kolana ty rachujesz drżące,
Że mnie przed tobą powalą?... Nie, jędzo!
Nie! nie! nie!... Córko, daj mi rękę... Jędzo!
Przed tobą skonam stojąc i zastygnę,
Wtenczas twe dziecko mnie paluszkiem trąci
I padnę... padnę... ale pókim żywy,
To jestem równy tobie... król i człowiek.

GWINONA, *do wnoszących harfę.*

Postawcie przy nim bliżej harfę złotą,
Niechaj się na niej oprze ręką drugą.

Stawiają harfę przy Derwidzie. Starzec jednę rękę na harfie, drugą kładzie na głowie córki.

Widzisz, ta harfa równa córce wzrostem;
A gdyś w niewoli był, obie zarówno
Płakały... obie jak córki... o! teraz
Wybierz pomiędzy płaczkami, Derwidzie,
I niech wybrana idzie z tobą w lasy,
A druga córka twoja odrzucona
Ze mną zostanie... i będzie zakładem.

DERWID.

Córko! co ona mówi?

LILLA WENEDA.

Ojcze drogi,
Ta pani harfę ci oddaje złotą.

DERWID.

Tę harfę?

LILLA WENEDA.

Ojcze, harfę.

DERWID.

Już oddała?
To chodźmy, córko.

LILLA WENEDA, *do Gwinony.*

Pani, ja powrócę,
I będę twoją niewolnicą... Ojcze!
Chodźmy już.

GWINONA.

Harfę porzucasz, Derwidzie?...

LILLA WENEDA.

Nie mów tak głośno... jam cię zrozumiała.
Okropną jesteś... zlituj się nademną.
Jeśli mnie żywą chcesz mieć, to nie żądaj
Mieć porzuconą przez własnego ojca.
Serce mi pęknie i będziesz tu miała
Trupa nie córkę o! bo w mojem sercu
Jest tyle złotych strun, jak na tej harfie,
Lecz wszystkie pękną od razu z boleści
Jednym wyrazem ojcowskim stargane...
I nad nim także litość miej i nad nim!
Proszę cię, sroga, miej i nad nim litość!

GWINONA.

Będziesz li zawsze jak mała ptaszyna
Skrzydełkiem w oczy być błyszczące węża?
Jeślim wyrzekła... to chcę. Kto mi wzbroni
Spróbować serca ojcowskiego? i tu
Usprawiedliwić siebie, żem je gryzła?
Wytłumacz ojcu sama, czego pragnę.

LILLA WENEDA.

O! nielitosna... Ojcze, ta królowa
Oddaje tobie tylko jedno dziecię.
Ty wybierz dziecko, które śpiewa.
A zostaw dziecko, które tylko płacze...
Ja wiem, że ty mnie kochasz, ojcze drogi,
Lecz nie wybieraj mnie, bo nieszczęśliwy,
Jeżeli zechesz o nieszczęściu śpiewać,
To znajdziesz we mnie tylko echo płaczu,
A w harfie echo nieśmiertelne. Ojcze,
Wybierz, co kochasz, a to, co odrzucisz,
Kochaj...

DERWID.

Niebiosa!... córko, gdzie ty jesteś?...
Ja kocham moją córkę. O! gołąbku,
Chodź i ślepego prowadź. Córko... prowadź
I wyjdźmy prędzej stąd... Córko, a harfa?

LILLA WENEDA.

O! harfa skarży się, żeś ją opuścił.

Trąca o struny.

DERWID.

Harfa się skarży na mnie?

LILLA WENEDA.

Ojcze, jęczy.

DERWID.

Jęczy!... Gdzie moja harfa?... czy to mara,
Czy to duch mojej harfy rozpłakanej
Stoi przedemną w promieniach; i skrzydła
Roztworzył, jakby z płaczącemi jęki
Już odlatywał do nieba... Ha!...

Lilla porusza struny.

I znów.

Słyszycie! harfa jęknęła... słyszycie?
O! dajcie, niech ją obejmę w ramiona!
Dajcie! to córka królów rozpłakana.

Chwyta harfę, obejmuje ją i ucieka z nią.

Gdzie drzwi?... rycerze, gońcie mnie z mieczami!
O! ja tej harfy nie dam!... Harfy nie dam!

Pada piersią na harfie.

LILLA WENEDA.

Widzicie! ręce pokrwawił na strunach.
Wstań, dobry ojcze... O! patrzcie! o! patrzcie!
Usta położył na strunach, całuje,
A te niedobre struny i niewdzięczne
Usta mu krwawią... O! struny! o! struny!
Wy nie jesteście córkami... Królowo,
Widzisz, mój ojciec wybrał; lecz jeżeli
Myślisz ty, pani, że ja teraz płaczę
Dlatego, że mnie ojciec mój porzucił,
O! bądź przeklęta za tę myśl... To radość
Wyrywa z oczu moich łzy; to radość!
Niechaj nikt ojca mojego nie sądzi!

Dzisiaj karmiony starzec lilijami
Mnie tak całował w usta i we włosy,
I do mnie tak się przytulał rozpacznie,
Jak się do harfy odzyskanej tuli.
A że ja płaczę, to tylko dlatego,
Że przypominam ojca pocałunki
W ciemnem więzieniu... i łzy moje głupie
Pytają same serca, czemu płacze.

GWINONA.

Odedrzeć starca od harfy.

LILLA WENEDA, *podnosząc ojca.*

Widzicie,
On już łagodny, jak baranek.

GWINONA.

Starcze!
Syn mój najstarszy, Lechon, syn mój drogi,
Jest niewolnikiem twoim, a ta harfa
W zakładzie, moją będzie niewolnicą,
Aż mi żywego wrócisz syna.

DERWID.

Harfa?
Ja stąd bez harfy nie wyjdę.

LILLA WENEDA.

O! pani!
Więc jeszcze raz się rzucę na kolana
I będę ciebie prosiła ze łzami,
Oddaj mu harfę, a mnie weź. Czy myślisz,
Że twego syna, jeśli jeszcze żywy,
Ten starzec nie da za córkę? O! pozwól!
Niech tylko mego ojca odprowadzę,
On ślepy... tylko odprowadzę ojca,
A sama wrócę; a że ja powrócę,
To niech ci harfa ta będzie zakładem .
Ale przysięgnij, że za niewolnicę,
Królewnę-harfę wypuścisz z niewoli;
A gdy przysięgniesz, to ja pewnie wrócę.
Bo cóż mi teraz życie! cóż mi życie!
O! ty wiesz sama, że ja pewnie wrócę.

GWINONA.

Jakiż mi zakład z córki niekochanej?

LECH.

Na Boga! dosyć, Gwinona! już dosyć!
Ta córka warta dziesięciu Lechonów.
Przysięgam, jeśli z Lechonem powróci,
To weźmie harfę, Lechona i moje
Błogosławieństwo; jeśli wróci sama,
To i tak za nią, przysięgam na Bogi!
Oddasz kawałek płaczącego drewna.

GWINONA.

Słyszysz! jak mówi mój mąż, tak się stanie.

LILLA WENEDA.

Dzięki wam! dzięki! — Ojcze, dziś wieczorem
Harfę ci twoją postawię do grania.
Ty wiesz, jak dotąd nigdy nie skłamałam.
A teraz... o! królowie, do widzenia.
Przyjdzie po harfę Lilla niewolnica.
Chodź, dobry ojcze.

DERWID.

A harfa?

LILLA WENEDA.

Ta idzie
Za nami, ojcze.

DO Lecha.

Szlachetny rycerzu!
W twojem więzieniu został smętny starzec,
Także niewinny.

Odchodzi z ojcem.

LECH.

Ha... to ten czarownik. —
Sygonie, każ go wypuścić na wolność.
W ludziach anielstwa tyle, że nie można
Traktować jak psów... wypuścić go z wieży.
A teraz chodźmy stroić się do walki.

Wychodzi.

GWINONA.

Połóżcie harfę w skrzyni cedrowej — ta harfa
Dla mnie jest teraz Lechonem. — Nie kładźcie
W tej trumnie z drzewa harfy... bo pomyślę,
Że syn mój drogi, Lechon, w trumnie leży;
A jeśli stanie się jakie nieszczęście
Z mojem kochanem dzieckiem, to przypomnę

Tę harfę w trumnie i będę myślała,
Że sama syna położyłam w trumnie.
Natura może stąd wziąć pochop i to
Wtrumnienie harfy strasznie naśladować
Rzeczywistością. — Wynieście ją za mną —
Okropny zachód słońca — i te mury
Zdają się krwawe od promieni. — Gryfie,
Dziś w nocy będzie burza — chmury warczą.
Wy się będziecie dziś bić ostatecznie.
Wychodzą.

SCENA IV.

Grota wróżki oświecona czerwonym blaskiem. ROZA WENEDA stoi przy otworze groty i do zachodzącego słońca śpiewa runiczną inwokację. — DWUNASTU HARFIARZY.

ROZA WENEDA.

Do krwi, złote słońce! do krwi, słońce!
Ty, ostatnie słońce, we krwi gaśnij!
Tu na walkę, wrony! kruki! orły!
Tu na walkę, psy wyjące smutnie!
Tu na walkę, chmury z piorunami!
Tu, szumiące wichry! — słońce, gaśnij!
Kruki! orły, wichry i pioruny,
Dajcie hasło! chmury dajcie hasło!
Słychać daleki grom.

HARFIARZE.

Grom usłyszał i odzywa się głucho.

ROZA WENEDA.

Do mnie! do mnie! do mnie! tu, pioruny!
Tu, nad głową moją jako wieniec.
Niech ja mściwa z was mam włos, pioruny!
Kiedy wyjdę z groty w krew rozlaną,
Gdy za ojca mego stanę tronem,
Słuchająca jęków i czerwona
W krwi wyziewach, w koronie z błyskawic.

HARFIARZ.

Cóż ci mówią wróżby? cóż wyrzekły?

ROZA WENEDA.

Człek na człeka jak pies pójdzie wściekły.
Grom czerwony się gryść będzie z błękitnym.
Krew poniesie z sobą tron Derwida
I król będzie płynął z harfą, z tronem,
Jako kawał kry.

HARFIARZE.

O! biada! biada!

ROZA WENEDA.

Okropniejszą rzecz widziałam blada.
Krew podmyła tron i wzięła z sobą.
Król na tronie włosy rwał i rzucał,
A pioruny je paliły w powietrzu.
Lecz nie mówcie nic jutrzejszym trupom.

HARFIARZE.

Cóż wyrzekły wróżby, powiedz, straszna?

ROZA WENEDA.

Wczoraj kości warzyłam na polu,
Mózg gotował się w czaszkach człowieczych
I wilgotna kość jęczała na ogniu.
Słuchająca wrzasku tych umarłych,
Pomazałam krwią zamknięte oczy...
I nagle!
Widmo straszne wyszło z ognia do mnie
I zawiodło mnie na walkę duchów.
Słuchajcie!
Wódz dwie głowy miał: wtem jedna głowa
Oczy nagle jako trup zawarła,
Spadła na nią iskra piorunowa;
I ta głowa smętna, już umarła,
Jęła smutnie mówić z drugą żywą,
Aż skry zjadły jak smolne łuczywo
Rozpłakaną tułowu koronę..
I spojrzałam w drugą walki stronę,
Odwróciwszy się jak od gasnącej głowni
Od półmartwej osoby.
I tam stali ludzie w szyku, równi,
Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.
Wtem ktoś cicho wykrzyknął: giniemy!
I tysięcy sześć... nietkniętych żelazem...
Sześć tysięcy bez ducha upadło,
Jakby je kto struł... Nadeszłam z nożem...
Otworzyłam jeden tułów trupowy,
I znalazłam, że w nim serce zbladło
I tak trzęsło się jak liść olchowy:
Więc plunęłam temu sercu w usta
I rozcięłam drugą pierś dla ptaków;
Lecz znalazłam w niej kłębek robaków

Zamiast serca... I pierś trzecią rozdarłam
I spojrzałam w nią... lecz była pusta!
I nie było w niej serca! Jak chusta
Zbladłam we śnie i we śnie umarłam,
Widząc, że w niej serca nie było!

HARFIARZ.

Cóż to znaczy?

ROZA WENEDA.

Nad naszą mogiłą
Wejdzie słońce, lecz nie mówcie ludowi.

Dwunastu wodzów wchodzi do groty. Wszyscy różnie ubrani. Jedni na hełmach turze, drudzy jelenie mają rogi, u innych tylko pióro pawie lub czaple. Pancerz z siatki lub z łuski. Miecze olbrzymie w rękach.

ROZA WENEDA.

Oto wodze są... Cóż, piorunowi?
Wiele ludu?

WÓDZ.

Dwanaście tysięcy.

ROZA WENEDA.

Pijcie z czaszek tych i bladej śmierci
Urągajcie się pijąc, niech wyje.

WÓDZ.

Cóż ci mówiły wróżby?

ROZA WENEDA.

Jeśli podczas walki
Ojciec mój z harfą złotą na kamiennym tronie
Zagra pieśń, ową straszną pieśń, od trzech pokoleń
Nie słyszaną! to przy nas zwycięstwo.

WÓDZ.

Twój ojciec
I harfa jego złota w niewoli.

ROZA WENEDA.

Bez wiary! —
Ojciec mój na tronie czarnym stoi
Za swą harfą, jak za słońcem czerwonem.
Każdy harfy ton jak rycerz w zbroi
Na rumaku wybiega szalonym;
Jako rycerz-duch głos każdy leci,

I obala z rumakami rycerzy.
Ile strun, tyle wężów wybieży
Z harfy ojca i oczyma zaświeci,
I skrzydłami ognistymi okręci
Wojsko Lecha.

WÓDZ.

Gdzież wódz jest dwugłowy?

ROZA WENEDA.

Nie wierzycie mi, ludzie przeklęci?
Rzućcie czary te w krąg Derwidowy.
W kręgu trupich głów — wodza postawię.

WÓDZ.

Nie uwierzym, aż ujrzym oczyma.

ROZA WENEDA.

Ty, co nosisz złote piórko pawie,
Migocące od pierwszych błyskawic,
Odwal kamień, ten kamień olbrzyma. —
Cóż? nie możesz? — Więc dwanaście prawic
Niech ten kamień odwali — choć ruszy.

WODZE.

Nie możemy.

ROZA WENEDA.

Więc rękami go duszy
Ja podniosę — i niech idzie do piekła.

WODZE.

Cudy! słowo zaklęte wyrzekła
I ten kamień wstał.

ROZA WENEDA wchodzi, odwaliwszy kamień, do podziemnego lochu i wyprowadza LELUM i POLELUM, przykutych za ręce łańcuchami do siebie.

ROZA WENEDA.

I wódz się zjawił.
Patrzcie! łańcuch, co ręce pokrwawił,
Z dwóch uczynił jednego człowieka. —
Chodź tu między czaszki, wodzu blady,
Bo już piorun niespokojny szczeka. —
Włożę wam zbroję.

Kładzie na czoła braciom dwa hełmy i złączonych razem uzbraja jak jednego rycerza... Tarcza olbrzymia na ręku Lelum zawie-

szona obu braci zakrywa. Polelum w prawą rękę, wolną od łańcucha, miecz bierze... Róża Weneda, zawieszając tarczę, mówi do Lelum:

Ty będziesz bronił swego brata tarczą.

Do Polelum.

Ty go zakryjesz miecza błyskawicą...
Biada, kto swego nie dopełni! biada!
Jesteście jednym rycerzem, mścicielem;
A gdy nie będzie was, to jęk żałosny
Przeleci wieki i zwiąże imiona.
Jęk jeden będzie po dwu zgonach waszych;
Po waszych sercach roztrzaskanych w piersi
Jedna zostanie żałość w tej ojczyźnie,
Nierozróżniona, jako w sercu matki...
Krwi! krwi ofiarnej!

POLELUM.

Weź z mojego łona.

ROZA WENEDA.

Tu krwi potrzeba obcej, z niewolnika.

Wchodzi do lochu i wyprowadza na scenę LECHONA.

To syn królewski. Patrzcie! jaki blady.

LECHON.

Zlitujcie wy się ludzie mej młodości!
Ta grota pełna przerażeń i wasze
Twarze są blade i przygotowane
Do zemsty. Wiem ja, że wy macie prawo
Mścić się nademną i odebrać życie:
Lecz gdyby tutaj była moja matka,
Królowa dumna i sroga kobieta,
Ona by was tu przekonała łzami,
Że ja potrzebny jestem na tym świecie
Jak słońce, księżyc... jej i wam potrzebny.
Że wam śmierć moja na nic się nie przyda,
A życie moje jeszcze może zdać się...
Nie zabijajcie mnie, nie zabijajcie!
Król wasz u mego ojca niewolnikiem,
Za syna swego ojciec odda króla;
Za mój włos każdy da wam ziemi włokę...
A patrzcie, jakie ja mam gęste włosy;
Matka je moja nieraz całowała.....
Czy tu nikt niema matki?... A więc jeszcze
W sierotach większa być powinna litość.

ROZA WENEDA.

Krwi tej nie wezmę... za podła. Idź jęczeć!

Wpycha Lechona do lochu.

Czerwieńszą znajdę krew w sercu gołębia.

ŚLAZ, wchodzi prowadzony przez dwóch wenedyjskich rycerzy.

Cóż to za człowiek?

ŚLAZ.

Ja tu dobrowolnie
Przychodzę, proszę wieszyć..., dobrowolnie.

ROZA WENEDA.

Lechitą jesteś?

ŚLAZ.

O! gdyby nie respekt
Dla was, rycerze, i dla tej mocarki,
Wziąłbym pytanie za obelgę. Mówcie,
Że ja pies... dobrze; mówcie, że ja sowa...
Dobrze; mówcie, że bocian... doskonale!...
Lecz mówić, że ja Lechita!... mnie?... w oczy!...
Gdybym nie mienił to uchybieniem,
Plunąłbym w oczy temu, kto zapytał,
Czy ja Lechita... Cóż to? czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać *in verba magistri?*
Owczarstwo?... czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą,
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra.

ROZA WENEDA.

Milcz.

Do Wenedów.

Gdzie pojmaliście tego człowieka?

RYCERZ.

Dążył od strony Lechitów i wiele
Okropnych rzeczy w drodze opowiadał.
On widział króla naszego Derwida
Zamęczonego, siostrę twą zabitą.

ROZA WENEDA, *do Ślaza.*

Piekielny! kłamiesz.

ŚLAZ.

Klnę się na te czaszki,
Ja sam wrę zemstą, ja sam zemstą płonę;
Dajcie mi w ręce cokolwiek, miecz, rożen,
Pierwszą broń dajcie, a ja mścić się będę.

Szlochając.

Ten król szanowny! ten starzec sędziwy!
Ta niebotyczna królewna!... miecz dajcie,
Jeśli potrzeba wodza — będę wodzem;
Jeśli człowieka tylko trzeba — jestem;
Jeśli tygrysa, adsum; jeśli księdza —
Do usług; jeśli Ganimeda[1] — zgoda.

ROZA WENEDA.

Mówisz o zemście?... tu zemsta pod ziemią.

Bierze nóż i wchodzi do lochu, gdzie Lechon zamknięty.

POLELUM.

Lelum, noc bliska.

LELUM.

Umarła — słyszałeś.
Cicho, mój bracie, zda mi się, że duch jej
Tu, na łańcuchu stoi między nami
I lekką śmierci dłoń na głowy kładnie.
Czy ty nie czujesz umarłej dotknięcia?
Ona tak pójdzie z nami w bój okropny
I serca nasze przejrzawszy do głębi,
Pogardzi, jeśli serca zadrżą strachem.
O! Lillo! tobie ślubuję dziś duszę!
Ducha ty weźmiesz ulatującego.
O! śmierci! śmierci! krwawej śmierci, Boże!
Jakże to łatwo być odważnym w boju!
Nieszczęśliwego Bóg nie zrobi tchórzem.
Gdzie są harfiarze? niech idą za nami
Z harfy złotemi... nie trzeba harfiarzy!
Umarli lepiej widzą i śpiewają
Tę pieśń o sercach strzaskanych boleścią,
O ściętych mieczach i zgasłych nadziejach.
Oni jedynie wiedzą, ile warte
Życie człowieka, ile ulatuje
Ludzkiego szczęścia w czerwonych płomieniach,
Które trzaskają ciało bohatera.
Już o umarłych tylko dbam i Boga,
O nic na ziemi.

ROZA WENEDA wychodzi z lochu z dymiącym się nożem.

[1] Ganimed, szafarz napoi na Olimpie.

ROZA WENEDA.

Patrzcie! nóż czerwony
W sercu Lechona był... patrzcie, czerwony,
Pomażę sobie brwi tą krwią... zobaczę
Dusze umarłych — i wy zobaczycie...
Tam w zczerwienionej ciemności powinni
Zjawić się krwawi: król harfiarz z dziewczyną;
Lecz kto przemówi do umarłych, skona.

Wchodzi DERWID i LILLA WENEDA.

Widzicie! o! widzicie idą trupy!
Ja wywołałam je z pod ziemi — przyszli.

LILLA WENEDA.

Przyprowadziłam wam ojca z niewoli.
Oto wasz ojciec.

DERWID.

Cóż to? nie poznali?
Posadź mię, córko moja, na kamieniu,
Cóż?... nie poznali!

ROZA WENEDA.

Bez harfy przyszedłeś...

DERWID.

Niebiosa!

Zrywając się.

O! ja przyszedłem bez oczu!
Wydarte moje oczy płakać będą,
Jak się dowiedzą o tem. — O! gadzino,
Czy ty się z harfy mojej urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? Lilla, daj rękę,
Prowadź mnie dalej.

LILLA WENEDA.

Gdzie, ojcze?

DERWID.

Do wężów,
Które ty pieśnią tak ułaskawiłaś,
Że mi nie będą gryzły serca.

LILLA WENEDA.

Ojcze!

DERWID.

Gadzina córka; gdy mi darto oczy,
Myślałem, że ta córka wydrze oczy
I włoży w moją czaszkę swoje oczy;
A teraz widzę, że mi wydrze serce

I włoży w swoje piersi puste. — Harfo!
Ty jesteś harfą bez strun! czarownico!
Tak witać ojca? Kiedym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości;
A ty, jako kruk, widząc te czerwone
Oczy, zaglądasz w nie i głodnym dzióbem
Wyjadasz mi łzy czerwone, ostatnie
O! bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie...

ROZA WENEDA.

O! bogdaj mię piorun!
Bo ty bez harfy przyszedłeś o! królu!
I dziś upadniesz na stos... bez królestwa.

LILLA WENEDA.

Nie, on zwycięży dziś bez młodszej córki.
Ale przez córkę młodszą dziś zwycięży.
Widzisz, płaczący usiadł na kamieniu
I duma jako stary bocian ślepy.
Bądź ty mu córką. Niech kto pójdzie za mną
I złotą harfę przyniesie.

ROZA WENEDA.

Co mówisz?
Harfę odzyskasz... jak?

LILLA WENEDA.

Za harfę złotą
Sama się oddam Lechom... i zostanę.

ROZA WENEDA.

Więc idź, bo harfa zwycięży.

LILLA WENEDA.

O! siostro,
Jeśli chcesz harfy... i mnie pragniesz widzieć
Żywą... Lechona mi daj niewolnika!
Za mnie królowa wydać obiecała
Harfę — a moje życie da za syna.

ROZA WENEDA.

Więc zginęliśmy, bo Lechon zabity.
Do Ślaza.
Kłamco ohydny! rzucić go ze skały.

LILLA WENEDA.

Nie plamcie wy krwią tej godziny smętnej
I mej śmiertelnej koszuli... Ten człowiek
Niech idzie ze mną po harfę.

ROZA WENEDA.

Co mówisz?
Ty nie odważysz się wrócić do Lecha.

LILLA WENEDA.

O! siostro moja, jam się obeznała
Ze śmiercią; wierzaj, ja wam harfę przyślę,
Mówisz, że harfa ta wam da zwycięstwo?
O! zwyciężajcie i bądźcie szczęśliwi!
Klęka przed ojcem.
Ojcze! błogosław mi — może nie wrócę,
Ale ci lutnię twoją przyślę złotą;
A jeśli jaka struna z najmaleńszych
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryumfu,
Pomyśl, że struna ci ta przypomina
Najmłodsze dziecko i uderz ją ręką,
Niechaj nie płacze.
Wstaje i do Ślaza mówi.
Codź ze mną, człowieku,
Chodź! chodź! pójdziemy po harfę.
Wychodzi ze Ślazem.

ROZA WENEDA.

Zwycięstwo!
Ten starzec usnął, córki swojej płaczem
Ukołysany... patrzcie! Cóż jest ojciec!!!
Nieście śpiącego na tron Derwidowy.
Zwycięstwo! Sto serc ludzkich... za zwycięstwo!
Wychodzą.

CHÓR. — DWUNASTU HARFIARZY.

O! ileż trzeba ofiar! ile jęku!
Nim zemsty straszna noc jak piorun błyśnie!
Oto zwycięstwa moc w gołąbki ręku;
Tu wodza rąk dwie bratnich łańcuch ciśnie;
Tu król, co jękiem harf zwyciężyć mniema
I głośniej grać... niż mrący ludzie jęczą;
Tu wróżka z krwią na rzęsach stoi niema
I słucha, jak na mieczach miecze brzęczą;
I widzi strasznych czynów ludzkich końce,
Przeczuwa boży sąd... A gdy noc głucha,
To z wiary mrącym ludziom robi słońce,
Woła piorunów, patrzy, jak biją... i słucha.

AKT V.

SCENA I.

Sala w zamku Lecha, oświecona od gęstych piorunów.
LECH, SYGOŃ, ŚWIĘTY GWALBERT.

LECH.

Na koń! straż przednia pierzchła.

ŚWIĘTY GWALBERT.

W imię krzyża
Dajęć zwycięstwo.

LECH.

W czyjekolwiek imię,
Biorę, gdy dajesz; jeśli nie dasz, wydrę.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Każ mi dać konia, bo dzisiejszej nocy
Najświętsza Panna, w celi mej spalona
Objawi mi się nad najświętszym trupem,
Nad krwią najbardziej Bogu ukochaną.
Każ mi dać konia.

LECH.

Ha, pioruny biją.
Jakby się walił świat... Straż przyboczna pierzchła,
Hej! miecz Rolanda...

Wchodzi GWINONA w żałobie.

Moja czarna żono...
Siedź w zamku... i każ wieżycom na czole
Położyć gwiazdę z ognia;... Ile razy
Pioruny zgasną, a we krwi utonę,
Wypłynę z koniem ku twemu ogniowi.
Pocałuj dzieci... Uśpić je musiało
Parne powietrze.

GWINONA.

Arfom się piorunów
Lęka i płacze.

LECH.

Czy chory?

GWINONA.

Zalękły.

LECH.

Na koń, rycerze, a ty zamknij okna,
Żeby nie wleciał tu na miejsce męża
Piorun czerwony. Lechici, do broni!

Wychodzą wszyscy prócz Gwinony.

GWINONA.

Chodźcie tu, dziewki, bo mi samej straszno!

Wchodzą dziewice.

Czy która bajek nie umie? niech gada,
Bo mi tak straszno, jak w śmierci godzinę.
Wiecie, że mój syn już pewnie nie żyje,
Ona po harfę ojca nie wróciła...
Pewnie nie żyje mój syn! Ale jeszcze
Ja mam nadzieję... Ach! jak mi okropnie!
Wy także wszystkie jesteście strwożone,
Jak białych stado łabędzi. Tej nocy
Coś okropnego stanie się... Dziewczęta,
Idźcie spać — sama zostanę wam strażą.

Dziewice wychodzą.

W powietrzu jakiś straszny piorunowy
Zapach i dziwne skargi i płakanie.
Jakby się skarżył mój syn opuszczony
I wołał: matko! matko! matko!... ha! ha!

Wchodzi LILLA WENEDA.

Czy syn mój przyszedł z tobą?...

Lilla Weneda odpowiada gestem rozpaczy.

Nie dręcz ty mię,
Ale odpowiedz prosto, że zabity,
A jeśli żyje, odpowiedz, że żyje;
A ja wygryzę twe błękitne oczka
Pocałunkami...O! powiedz, że żyje.
Lecz jeśli? jeśli mój syn?...

LILLA WENEDA.

Ty okropna...

GWINONA, *zbliżając się wściekle, lecz zwolna.*

Jeśli już?... mój syn... już...

LILLA WENEDA.

Przy bramie czeka...

GWINONA.

Mój syn!

LILLA WENEDA.

Na harfę moją czeka człowiek.

GWINONA.

Harfiarko!

Chwyta ją za szyję.

LILLA WENEDA.

Pani sroga, ty mię dławisz!

GWINONA.

Harfiarko!

LILLA WENEDA.

O! o!

GWINONA.

Krzycz! krzycz! krzycz! harfiarko.

Zrywa pas i dusi Lillę Wenedę.

Krzycz, uduszona... A co?... już bez ducha!...
Do mnie, dziewice! do mnie... trup jest ze mną.

Wbiegają dziewice.

DZIEWICA.

Jakie to wrzaski?

GWINONA.

Co?

DZIEWICA.

Tu coś upadło?

GWINONA.

Ten trup.

DZIEWICA.

Okropność! okropność! okropność!

GWINONA.

Okropność... to ja udusiłam wstążką...
Czy się boicie tknąć rękami trupa?
Ha?...

DZIEWICA.

Uduszona?

GWINONA.

Oni mi zabili

Syna...

DZIEWICA.

O! biedne! bielutkie stworzenie!
Cóż ci zawinił biedny gołąbeczek?
Pozwól przynajmniej, że ją ubierzemy
W srebrną bieliznę, w bławatki, w narcyzy;
I zaśpiewamy nad umarłą lament.
O! jak te piersi krąglutkie ostygły!
Jak te nóżeczki zimne zbłękitniały!
Pomóżcie, siostry, wynieśmy ją razem

Z tego pokoju, gdzie przez okna czarne
Ciekawe patrzą błyskawice z krzykiem.
Ostrożnie! nóżki owińcie koszulą;
Ona się do nas uśmiecha... Ostrożnie!

Wynoszą ciało Lilly Wenedy.

GWINONA.

Gdym ją dusiła, dziesięć matek było
We mnie zamkniętych... teraz przerażona,
Że wszystkie we mnie syczące gadziny
Ucichły... jestem jak trup... Co uczynię?
A ha... odeślę Derwidowi harfę.
A sama włożę zbroję... w krew się rzucę...

Wychodzi.

SCENA II.

Pole przed zamkiem Lecha.

ŚLAZ, *stukając do bramy.*

Hej! hej! czy jest tam kto? czy tu pioruny
Wybiły ludzi? czy się pan odźwierny
Powiesił? hej! hej!... pies wyje żałośnie.
Mości psie, proszę, przypomnij królowej
Że ja tu czekam na harfę... hej! hej hej!...
Nikogo... tylko psy żałośnie wyją
Jakby tam w kogoś miał uderzyć piorun...
Hau! hau... bogdajbyś zdechł! bogdaj cię piorun!
Hau... hau... czy w panu swoim wąchasz trupa?
Czy śmierć kościana ci przeszła pod nosem?...
Brrr... aż mi zimno... Cóż to są za mary?

Otwiera się brama, wychodzą dziewice w bieli z pochodniami, niosąc skrzynię od harfy zamkniętą.

DZIEWICA.

Człowieku!

ŚLAZ.

Jestem.

DZIEWICA.

Oto jest w zamknięciu
Harfa Derwida; odnieś ją i powiedz,
Że dotrzymuje przysięgi Gwinona.

ŚLAZ.

Włóżcie mi, proszę, pudło na ramiona,
Piękne dziewoje.

DZIEWICA.

A spiesz się, człowieku...

Wychodzą.

ŚLAZ.

Pełno teraz po drogach ludzkiego rozcieku,
A śmierć pod swoję kosę głupich ludzi garnie,
A pioruny jej świecą z nieba jak latarnie.
To zaś mój święty Gwalbert zowie światłem wieku...

Wychodzi ze skrzynią na ramionach.

SCENA III.

Pole walki, noc błyskawicowa.

LECH i SYGOŃ wchodzą.

LECH.

O! mój Sygonie! to walka olbrzymów!
Pioruny przeciw nam; bo tylko słuchaj...
Już przez szeregi napół wyrąbane
Przelatywałem na wskróś... już oczyma
Sięgałem w samo krwawe serce wrogów,
Już byłem wpadał... tam, gdzie pod dębami
Starce, pochodnie, harfy zgromadzone
Pod skrzydłem siedzą błyskawic, jak owce
W burzę pod gruszą tulące się wiankiem:
Jużem miał w rękach króla... kiedy nagle
Piorun nad głową moją roztrzaskany
Zabił mi konia.

SYGOŃ.

Panie, rzecz straszniejsza!
Spotkałem czarne straszydło dwugłowe...
Spotkałem wodza Wenedów.

LECH.

Czy straszny?

SYGOŃ.

Wódz ten dwie głowy ma na jednem ciele,
Czasem się obie głowy razem schodzą,
I plączą rogi na hełmach ogromne:
Czasem się jedna zaiskrzona ciska
Z wściekłością węża na ludzi... a druga
Patrzy spokojnie i szuka oczyma
Serc w naszych piersiach.

LECH.

Za mną! ja go znajdę...

Wybiega.

SYGOŃ.

Włos mi osiwiał... ale tak okropnej
Nocy za życia mego nie widziałem.
Chorągwie toną we krwi... jednę piorun
Zapalił złotym płomieniem i bladość
Lekkiego ognia rzucił ludziom w twarze...

LELUM.

Lech! Lech! Lech!

Napadają na Sygonia.

SYGOŃ.

Wodzu ohydny Wenedów,
Jeśli człowiekiem jesteś, będziesz trupem.

Biją się.

POLELUM.

Zakręć łańcuchem koło niego... i związ.

Gdy Polelum walczy, Lelum obiega w koło Sygonia i okręca mu łańcuch na gardle, tak że Sygoń zostaje powieszony na łańcuchu, który łączy ręce bratnie.

LELUM.

Teraz rozbieżmy się, łańcuch udusi.

POLELUM.

Zacharkał... puść go.

LELUM.

Leży uduszony.

Odwijają łańcuch. Sygoń się wali trupem.

Na łuku moim kładź zatrute strzały.
O! gdyby ojca harfy jęk — o! gdyby
Jeden jęk tylko harfy Derwidowej,
A z wszystkich byłyby — o takie trupy.

Wychodzą.

SCENA IV.

Pole toż samo.

LECH, SYGOŃ zabity.

LECH.

Sygoń! tu do mnie! Sygoń! znów zabiłem
Ludzi dwunastu, miecz mi się wyszczerbił.
Co widzę! Stary Sygoń leży trupem?
O! zemsta! zemsta!

Wchodzi ŚWIĘTY GWALBERT z krzyżem.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Jęki króla słyszę.

LECH.

Zdejm z niego zbroję i zobacz, gdzie ranny?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Na ciele żadnej nie odebrał rany,
Lecz ma zsiniałą twarz jak powieszony,
Albo zabity piorunem.

LECH.

O zemsta
Nad piorunami!...

Wychodzi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Biedny poganinie,
Chodź, ja dam tobie pogrzeb chrześcijański.

Wychodzi, ciągnąc trupa.

SCENA V.

Monument z druidycznych kamieni w lesie. — DERWID na tronie kamiennym, w około dwunastu harfiarzy na dwunastu siedzi kamieniach, przy każdym harfa złota i pochodnia w ziemię zatknięta. ROZA WENEDA stoi za ojcem na tronie. Dąb Derwidowy na prawo.

DERWID.

Cóż, jeszcze niema harfy, a ja słyszę
Jęki narodu i szelest płynącej
Krwi... Jeszcze niema harfy — o! Bogowie!

Wchodzi Wened ranny.

WENED.

Przybiegłem ranny. Lechici nas łamią,
Lud czeka pieśni.

DERWID.

O! Boże! o! Boże!

WENED.

Ja konam, królu, graj pieśń... ja umieram.

Pada i kona.

DERWID, *wstając na tronie i rwąc włosy.*

Pioruny, bijcie we mnie! o! pioruny!
Bądźcie wy królem! a ja będę harfą!
Królestwo moje — to puch jak te włosy,
Które wiatr bierze z krwią moją wyrwane.
O! wichry, rwijcie mi włosy! o! wichry!

Lelum i Polelum wchodzą.

LELUM.

Ojcze, giniemy, graj pieśń.

DERWID.

Idźcie skonać,
Ja nie mam harfy.

ROZA WENEDA.

Ustąpcie się wszyscy,
Już słyszę harfę idącą, już słyszę...
Uderzcie w tarcze, niech się zejdą wodze.
Ta pieśń uczyni z nich nieśmiertelniki.
A wszyscy, co ją usłyszą, żyć będą,
A wszyscy, którzy nie usłyszą, pomrą.

Wchodzi ŚLAZ z harfą w skrzyni.

ŚLAZ.

Otom się dobrze wam zasłużył, ludzie...
Przynoszę harfę — gdzie postawić?

ROZA WENEDA.

Daj tu...
O dąb oparta królewski, niech czeka.

ŚLAZ.

A wam królowa kazała powiedzieć,
Że dotrzymuje przysięgi.

ROZA WENEDA.

Precz, wężu!

ŚLAZ.

A to i dobrze, schowam się w bagniska.

Odchodzi.

ROZA WENEDA.

Królu! zwycięstwo daj twemu ludowi.

Wychodzi wodzów dwunastu z obnażonymi mieczami, wszyscy krwawi.

Oto są wodze i pieśni godzina,
Ojcze, przy dębie Derwidowym harfa

DERWID, *wstaje z tronu i zbliża się do harfy.*

O! jak mi serce drży! czy ja potrafię
W złociste struny uderzyć? Już słyszę
Serca bijące w ludziach — gdzie ta harfa?
Czekajcie! Jak mi drży serce; gdzie harfa?
Już czuję w sobie, że wy zwyciężycie,
Jeżeli duszę w pieśń przeleję całą,
A duszę już mam w rękach, tu... jak piorun,
Jak piorun całą ją cisnę na struny
I spiorunuję pieśnią.

Dotyka się omackiem skrzyni harfowej.

Harfa w skrzyni,
Wenedo, otwórz.

ROZA WENEDA zdejmuje wieko ze skrzyni harfowej i cofa się, odciągając ojca za rękę. W skrzyni bowiem zamiast harfy widać umarłą Lillę Wenedę w śmiertelnej koszuli, z wieńcem bławatkowym na głowie.

Puszczajcie do harfy!
Dlaczego wy mnie trzymacie za szaty?
Dlaczego wstręty czynicie starcowi!
Ja jestem pełny ducha! — ja się wyrwę
I ta pieśń moja będzie nieśmiertelną.

Wyrywa się z rąk córki i kładzie ręce na twarzy zmarłej Lilli Wenedy.

Cóż to? rzecz jakaś zimna... to nie struny.
Ja pod palcami mymi czuję trupa.
Co to jest? o! to nie harfa... to ciało
Mojej umarłej córki.

Chwila milczenia. Roza Weneda chce ojca odprowadzić od ciała zmarłej, starzec nie daje się córce.

Precz, gadzino!
Tu moja tamta córka... tu, tu w trumnie.
O! o! umarła! — Czekajcie! czekajcie!
Bo tu jest także pieśń, te złote włosy,
Na których będę grał. — Ja ciebie widzę!
Dzieweczko moja, widzę!... O! ja znajdę
Twoje usteczka... O! nie odrywajcie,
Nie odrywajcie wy mnie od niej, proszę!
Nie odrywajcie.

ROZA WENEDA.

Cóż to, nie słyszycie
Tej pieśni z łez królewskich? idźcie skonać!

DERWID.

O! o! gołąbek mój martwy! o! martwy!
O! już na wieki martwy.

HARFIARZ.

Ojciec płacze.

DERWID.

Ja ciebie widzę, córko! twoja postać
Stoi mi w jamie, tu, powydzieranych
Oczu. — Ja ciebie widzę w grobie głowy.
O! gwiazdeczkami ukoronowana
W pachnącym cedrze, lampo pełna blasku.
Wychodzisz z rączki otwartymi... O! o!
Tu! czy widzicie? tu śmieje się płacząc...
Umarła moja, najmilsza umarła!
Moja jedyna!

ROZA WENEDA.

Wiedziałam ja dawno,
Na jaką zwołam was pieśń, potępiony
Ludu przez Boga... już dawno widziałam
Na waszych czołach napisane krwawo
Życie trzydniowe... Cóż!... czemu tak bladzi?
Któż tu jest kłamcą? los? czy ja? czy rozpacz,
Która niechcących umrzeć oszukała?
Gołębie serca! o! jak wam leniwo
Do kończącego wszystko grobu!... Trzeba
Was było wszystkich oszukać i śmierci
Pędzić, jak białą trzodę owiec, w gardło.
Nie dosyć jeszcze?... o! wy moje włosy
Wyrwane, w garść się wężów przemieniajcie
I dla strupiałych ludzi bądźcie biczem!

PIERWSZY Z WODZÓW.

Wróżko! przyrzekłaś nam zwycięstwa harfę.

ROZA WENEDA.

Ja ci przyrzekłam? co?... Chodź tu i patrzaj!
I ty myślałeś, że więcej jest głosu
W strunach, niż w trupa niewinnego ciszy?
Gdzież taka harfa jak ten trup? Gdzie takie
Tony żałosne, jak płacz tego ojca,
Co w rękach — córki rozwija warkocze
I szuka w nich, jak w strunach drżących, głosu?
O! przysięgnijcie wy na nią, rycerze,
Że się pomścicie... resztę zdajcie gromom
I później zemście czasu... przysięgnijcie!

WODZE.

Zaprzysięgamy zemstę.., aż do śmierci.

Wychodzą.

LELUM, *całując zmarłą siostrę.*

Na ustach twoich, siostro, zaprzysięgam,
Że zobaczymy się dziś. O! Lechici!...

DERWID, *dobywa z zananadrza nóż ofiarny i mówi, przebijając się dwa razy.*

Synowie! o tak — o tak — w Lecha serce!...

Pada martwy.

ROZA WENEDA.

Tam stos na prawo... Weźcie te dwa ciała
I spalcie razem, a w koło stosu
Trzymajcie urny z królów popiołami;
Jeśliby który Lechita szedł gwałtem
I chciał ze stosu porwać ciała święte,
To wy go temi urny przywalicie.

Harfiarze biorą urny i pochodnie. — Czterech zaś kładą na barki ciało DERWIDA i LILLĘ WENEDĘ w skrzyni cedrowej i wychodzą. — ROZA WENEDA obraca się do LELUM i POLELUM i mówi.

Tu na tronowym kamieniu ułożę
Stos z pachnącego drzewa... Czekam na was...

LELUM, POLELUM wychodzą walczyć, ROZA WENEDA odchodzi w głąb lasu.

SCENA VI.

Pole walki. — Noc. — Burza.

LECH, *wchodzi.*

Złamani!... Tych psów wycinać do reszty!
Cóż to za rycerz?....

Wchodzi GWINONA w zbroi.

GWINONA.

Jam się uzbroiła
Mścić się za mego syna! mścić się jeszcze.

LECH.

Można ich teraz rąbać jak barany...
Zupełnie ducha stracili ci ludzie.
Stracili ducha o samej północy
I odtąd rąbią ich nasi jak trzodę.

GWINONA.

Harfiarza! ja chcę harfiarza!

LECH.

Ostrożnie,
Bo przy nim musi być ludzi ostatek.
GWINONA wychodzi. — ŚWIĘTY GWALBERT wchodzi.
A ty co robisz?

ŚWIĘTY GWALBERT.

Ja chrzcę niedobitych.
Aż mi się Matka Chrystusowa zjawi...

LECH.

Chciałbym napotkać dwugłowego wodza
I ofiarować życie potworowi,
Byleby chodził za pługiem.
Wychodzi.

ŚWIĘTY GWALBERT.

A ja tu
Siądę na kępie... Kto noc taką widział,
Ten wie, co waży świat... co warci ludzie...
Litośniejszymi są pioruny złote,
Bo tylko sosnom serca rozdzierają.
Natoż to matkom dzieci swe hodować,
Aby z nich były kiedyś takie jatki?
Każdy trup tyle wart, ile kosztował;
Spytasz się matki, niech oceni trupa,
Zlękniesz się... gdybyś zapłacił, co mówi;
Mogłaby kupić za zmarłego syna
Żywe królestwo, gdzie są miljony
Synów i matek...
ŚLAZ pokazuje głowę z poza kępy.

ŚLAZ.

Prześwięty Gwalbercie!

ŚWIĘTY GWALBERT.

A co tu robisz, Ślazie?

ŚLAZ.

Grzęznę w błocie.

ŚWIĘTY GWALBERT.

A jakże ty się tu znalazłeś?

ŚLAZ.

Święty!
Wprzód mię wyratuj za uszy, bo tonę,
A potem twoje zaspokoję uszy...

ŚWIĘTY GWALBERT.

Łajdaku, ty mi spalił celę.

ŚLAZ.

Nie ja,
Djabeł ją spalił... jam cię, ojcze, szukał,
Aby się tobie na djabła poskarżyć...

ŚWIĘTY GWALBERT.

Dziś odkupienia noc... Gapiu, chodź ze mną.

ŚLAZ.

Teraz do śmierci będę księżym sługą.

Wychodzi.

SCENA VII.

Inna część pola.

LECH, *wchodzi.*

Zabiłem wodza pół...

GRYF, *wchodzi.*

Gdzie Lech?

LECH.

Co słychać?

GRYF.

Małżonka twoja, panie, leży trupem.

LECH.

Zabita?

GRYF.

Panie! okropnie zabita,
A tem okropniej, że już lud Wenedów
Bezbronny, miecze rzucając, uciekał...
Kiedy królowa, obaczywszy wzgórze
I płomień wielki, czerwony, i wieniec
Czarnych postaci przy płomieniu krwawym,
Krzyknęła: Derwid tam musi być stary;
I z obnażonym mieczem szła na górę.
Wtenczas ci czarni stojący przy stosie,
Na którym dwoje paliło się trupa,
Chwycili urny pełne dawnych prochów
I na królową, co się skał imała,
Rzucili z góry straszne popielnice.
Przybiegłem... ona leżała okryta
Prochem i ludzi umarłych kościami
Z piersią okropnie roztrzaskaną — martwa.

LECH.

Biedne me dziatki... będą pytać o nią.
Patrzaj, nie mogę teraz płakać... krwawy.
Nieście do zamku zwłoki nieszczęśliwej
I każcie obmyć z ludzkiego popiołu.
Wychodzą.

SCENA VIII.

Monument druidyczny. — Stos ułożony w miejscu, gdzie stał tron Derwida.

ROZA WENEDA, *sama.*

Już lud wyrżnięty i ustaje burza.
Przed chwilą tu był król, ludzie, pochodnie;
Teraz dwanaście tych pustych kamieni,
I tak na wieki już! i tak na wieki!
Wchodzi POLELUM, niosąc na rękach ciało zabitego brata, jeszcze przykute doń łańcuchem.
I cóż, nie mówisz nic do mnie, Polelum?

POLELUM.

O! patrz, zabity brat na piersiach mi śpi.

ROZA WENEDA.

Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma?

POLELUM.

Nie rusz łańcucha... Gdzie stos dla umarłych?

ROZA WENEDA.

Masz zgliszcze, burza zgasiła pochodnie.

POLELUM.

Poszukaj ognia.

ROZA WENEDA.

Ogień dadzą chmury.
Polelum wchodzi na stos z trupem brata.

POLELUM.

Jam gotów... pieśnią zawołaj piorunów.
O! śpij na piersiach moich, bracie blady.
Wszystko skłonione do snu na tym świecie.
Wróżko, zawołaj piorunów; jam gotów...

ROZA WENEDA.

Podnieś do nieba rękę z ręką trupa.
Wołajcie oba gromów — łańcuchami.
Wchodzi LECH.

LECH.

Stójcie, poganie! przynoszę wam życie.

Wchodzi ŚWIĘTY GWALBERT.

ŚWIĘTY GWALBERT.

Stójcie, poganie! przynoszę wam wiarę.

POLELUM.

Życie i wiarę?!.. Boże! patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego... patrzaj na tych ludzi,
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska?
I przyszli, kiedy mój lud cały skonał!
I przyszli, kiedy mój brat już nie żyje!
I przyszli, kiedy niebo oświecone
Łunami stosów, gdzie się palą trupy!
I tu mi dają życie. O! stworzenia!
Czuję nad wami w sercu wielką litość
I wielką wzgardę! O! nie pozwól, Boże,
Aby grobowiec mój był na tej ziemi,
Gdzie oni żyją. — Chmury! czarne chmury,
Co uciekacie z nad trupiego pola,
Ostatnie miecąc pioruny... o! chmury!
Podnoszę do was tę rękę w łańcuchu,
Z tą drugą ręką mego brata trupa;
Obie te ręce i ten łańcuch proszą
O piorun jasny, litosny, ostatni...
Cóż! nie słuchacie?... Więc tą ręką trupią
I tym łańcuchem wyzywam do walki
Was, napełnione piorunami burze,
Aż prośbą piorun wasz niewywołany
Wydrę przekleństwem!

Piorun bije w stos i drzewo zajmuje się złotym płomieniem. — Lelum i Polelum nikną w blasku. — Powoli nad gasnącym stosem ukazuje się postać Bogarodzicy.

ŚWIĘTY GWALBERT, *pokazując na zjawienie.*

Ave, Nieśmiertelna!

LECH.

Cudowne widmo w obręczu z płomyków.

ROZA WENEDA, wchodząc na stos zagasły, grzebie w popiołach, znajduje łańcuch próżny, którym przykuci byli do siebie Lelum i Polelum, i rzucając go pod stopy LECHA, mówi.

Patrz! co zostało z twoich niewolników.

GRÓB AGAMEMNONA[1]

I.

Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtóruje myśli posępnej i ciemnej —
Bom oto wstąpił w grób Agamemnona[2]
I siedzę cichy w kopule podziemnej,
Co krwią Atrydów zwalana okrutną.
Serce zasnęło, lecz śni. — Jak mi smutno!

II.

O! jak daleko brzmi ta harfa złota,
Której mi tylko echo wiecznie słychać!
Druidyczna to z głazów wielkich grota;
Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać
I ma Elektry[3] głos — ta bieli płótno!
I odzywa się z laurów: jak mi smutno!

III.

Tu po kamieniach z pracowną Arachną[4]
Kłóci się wietrzyk, i rwie jej przędziwo.
Tu cząbry smutne gór spalonych pachną:
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów — a te puchy
Chodzą i w grobie latają, jak duchy.

IV.

Tu świerszcze polne, pomiędzy kamienie
Przed nadgrobowym pochowane słońcem,
Jak by mi chciały nakazać milczenie,
Sykają. — Strasznym jest rapsodu końcem
Owo sykanie, co się w grobach słyszy:
Jest objawieniem — wielką pieśnią ciszy.

---

[1] Pierwotnie utwór ten, pochodzący z cyklu Podróży na Wschód, wydał poeta razem z Lilią Wenedą. [2] Agamemnon, bohater wojny trojańskiej, z rodu Atrydów. Grób jego znajduje się w Mikenach u stóp góry Eljasza. [3] Elektra, córka Agamemnona [4] Arachna, prządka zamieniona w pająka za współzawodnictwo z Pallas Atene.

V.

O! cichy jestem — jak wy, o Atrydzi,
Których popioły śpią pod świerszczów strażą —
Ani mię teraz moja małość wstydzi,
Ani się myśli tak jak orły ważą.
Głęboko jestem pokorny i cichy
Tu, w tym grobowcu sławy, zbrodni, pychy! —

VI.

Nad drzwiami grobu, na granitu zrębie
Wyrasta dąbek w trójkącie z kamieni;
Posadziły go wróble lub gołębie,
I listkami się czarnymi zieleni,
I słońca w ciemny grobowiec nie puszcza;
Zerwałem jeden liść z czarnego kuszcza.

VII.

Nie bronił mi go żaden duch ni mara,
Ani w gałązkach jęknęło widziadło;
Tylko się słońcu stała większa szpara
I wbiegło złote, i do nóg mi padło.
Z razu myślałem, że ten, co się wdziera
Blask, była struna to z harfy Homera —

VIII.

I wyciągnąłem rękę na ciemności,
By ją ułowić i napiąć i drżącą
Przymusić do łez i śpiewu i złości
Nad wielkiem niczem grobów — i milczącą
Garstką popiołów! — ale w mojem ręku
Ta struna drgnęła i pękła bez jęku.

IX.

Tak więc — to los mój, na grobowcach siadać
I szukać smutków błahych, wiotkich, kruchych.
To los mój, senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych,
Albo umarłych — i tak pełny wstrętu —
Na koń! chcę słońca i wichru, tętentu!

X.

Na koń! — Tu łożem suchego potoku,
Gdzie zamiast wody płynie laur różowy,
Ze łzą i wielką błyskawicą w oku,
Jakby mię wicher gnał błyskawicowy,
Lecę — a koń się na powietrzu kładnie,
Jeźli napotka grób rycerzy — padnie.

XI.

Na Termopilach? — Nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi;
Bo jestem z kraju, gdzie widmo nadziei
Dla małowiernych serc — podobne snowi.
Więc jeśli koń mój w biegu się przestraszy,
To tej mogiły, co równa jest — naszej...

XII.

Mnie od mogiły termopilskiej gotów
Odgonić legjon umarłych Spartanów;
Bo jestem z kraju smutnego Ilotów[1],
Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów!
Z kraju — gdzie zawsze, po dniach nieszczęśliwych
Zostaje smutne pół-rycerzy — żywych.

XIII.

Na Termopilach ja się nie odważę
Osadzić konia w wąwozowym szlaku,
Bo tam być muszą tak patrzące twarze,
Że serce kruszy wstyd — w każdym Polaku.
Ja tam nie będę stał przed Grecji duchem —
Nie — pierwej skonam, niż tam iść — z łańcuchem!

XIV.

Na Termopilach — jakąbym zdał sprawę,
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazawszy mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: — „Wielu was było?“ —
Zapomnij, że jest długi wieków przedział —
Gdyby spytali tak — cóżbym powiedział?!

XV.

Na Termopilach, bez złotego pasa,
Bez czerwonego leży trup kontusza —
Ale jest nagi trup Leonidasa,
Jest w marmurowych kształtach piękna dusza;
I długo płakał lud takiej ofiary
Ognia wonnego i rozbitej czary.

XVI.

O Polsko! póki ty duszę anielską
Będziesz więziła w czerepie rubasznym:
Póty kat będzie rąbał twoje cielsko,
Póty nie będzie twój miecz zemsty strasznym;
Póty mieć będziesz hyjenę na sobie —
I grób — i oczy otworzone w grobie!

[1] Ilota, Helota, tu użyty w znaczeniu niewolnik.

XVII.

Zrzuć do ostatka te płachty ohydne,
Tę — Dejaniry[1] palącą koszulę,
A wstań, jak wielkie posągi bezwstydne,
Naga — w styksowym wykąpana mule!
Nowa — nagością żelazną bezczelna —
Niezawstydzona niczem — nieśmiertelna!

XVIII.

Niech ku północy z cichej się mogiły
Podniesie naród — i ludy przelęknie,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie.
Ale z piorunów ma ręce i wieniec —
Gardzący śmiercią wzrok — życia rumieniec.

XIX.

Polsko! lecz ciebie błyskotkami łudzą!
Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą —
Choć wiem, że słowa te nie zadrżą długo
W sercu — gdzie nie trwa myśl nawet godziny:
Mówię, bom smutny — i sam pełen winy!

XX.

Przeklnij! — lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida,[2] przez wężowe rózgi.
Boś ty jedyny syn Prometeusza —
Sęp ci wyjada nie serce — lecz mózgi.
Choć Muzę moję w twojej krwi zaszargam,
Sięgnę do wnętrza twych trzew — i zatargam.

XXI.

Szczeknij z boleści i przeklinaj syna!
Lecz wiedz, że ręka przekleństw, wyciągnięta
Nademną — zwinie się w łęk jak gadzina,
I z ramion ci się odkruszy — zeschnięta!
I w proch ją czarne szatany rozchwycą;
Bo nie masz władzy przekląć — niewolnico!!! —
. . . . . .
. . . . . .

[1] Dejanirę, żonę Heraklesa, usiłował porwać centaur Nessus; raniony śmiertelnie celną strzałą Heraklesa poradził Dejanirze, by umoczyła tkaninę w jego krwi i zachowała ją: w ten sposób posiądzie moc przywracania miłości. Radę tę podyktowała chęć zemsty. Gdy Dejanira, podejrzewając Heraklesa o sprzeniewierzenie się dała mu koszulę umaczaną we krwi Centaura, wżarła się ona w jego ciało, paląc żywym ogniem; Herakles w mękach skonał. [2] Emenida, bogini zemsty.

MAZEPA

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

KRÓL JAN KAZIMIERZ.
MAZEPA, dworzanin króla.
WOJEWODA.
AMELJA, żona Wojewody.
ZBIGNIEW, syn Wojewody z pierwszego małżeństwa.
CHMARA, CHRZĄSTKA } dworzanie Wojewody.
KASZTELANOWA.

Pokojowi królewscy, szlachta, ludzie Wojewody, ksiądz, i t. d.

Scena w zamku Wojewody.

AKT I.

SCENA I.

Sala oświecona jak na bal.

WOJEWODA, ZBIGNIEW, potem KASZTELANOWA.

WOJEWODA.

A przy moździerzach trzymać zapalone lonty.
Waść mi, panie Zbigniewie, synu, zajrzyj w kąty,
Czy wszystko jak potrzeba na królewskie gody?
Do wchodzącej Kasztelanowej.
Mościa Kasztelanowo, mam wielkie powody
Cieszyć się, że cię widzę w zdrowiu i w świeżości.

KASZTELANOWA.

Jakże mi pięknie zamek wygląda waszmości,
Co lamp! co pozłotowin! — A gdzie aści żona?

WOJEWODA.

Dotychczas nie gotowa i nie przystrojona —
A to mój syn zastąpi ją tu przy asiądzce.
Pójdę tymczasem z wieży zajrzeć na gościńce,
Czy się już król nie toczy po drodze lipowej.
Zbigniewie, atentuj się waść Kasztelanowej
I baw jaśnie wielmożną.

KASZTELANOWA, *do Zbigniewa.*

Waść przyjeżdżasz z Padwy?

ZBIGNIEW.

Nie, mościa dobrodziejko, już z wojska.

KASZTELANOWA.

Doprawdy?
Waść w wojsku?

ZBIGNIEW.

Tak, rotmistrzem zostałem pancernym.

KASZTELANOWA.

Strzeż mi się waść, bo zaraz zostaniesz niewiernym,
Płochym uwodzicielem, jak wszyscy rotmistrze.

ZBIGNIEW.

Broń Boże!

KASZTELANOWA.

Masz oczęta, co się błyszczą bystrze,
Ale coś trochę mgliste i afekcjonalne.
I cóż to jest waćpanu... ot, w pancerz cię palnę
Wachlarzykiem i wszystko serduszko wyśpiewa.
Mówże mi co o Włoszech asińdziej.

Słychać zgiełk za sceną.

WOJEWODA.

Cholewa!
Panie Cholewa, co tam za wrzask? Panie Chmara!
Mości Chrząstko! czy wszystkich djabli wzięli? — Wiara!
Szablice dzwonią, trzeba iść pacyfikować.

Wychodzi.

SCENA II.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA, pan CHRZĄSTKA wchodząc innymi drzwiami.

CHRZĄSTKA.

Gdzie Wojewoda?

KASZTELANOWA.

Chciej nas waść zainformować,
Co to za krzyk?

CHRZĄSTKA.

Zdarzenie, mościa dobrodziejko,
Bardzo smutne.

KASZTELANOWA.

A powiedz że?

CHRZĄSTKA.

Bryka za bryk
Wjechała na dziedziniec, mościa dobrodziejko.
Z tych bryk wysiadło szlachty, panów co niemiara.
Jednych prowadził pan marszałek ziemski Szczara,
Lubomirszczyk zajadły, rokoszanin, śmiałek;
Drugim pan Olgopolski przywodził marszałek,
Babińcowym nazwany, bo trzyma z królową
Zeszli się, mościa pani, przed bramą zamkową
Owi dwaj marszałkowie, a każdy jak patron
Caudy swej przyjacielskiej, *amicus* i matron.

KASZTELANOWA.

Proszę waśpana, nie leź w łacinę jak w błoto.

CHRZĄSTKA.

Obu więc tym marszałkom przeciwnym szło o to,
Który z nich krok najpierwszy ma mieć do przedsienia;
Lecz jako oba grzeczni, więc bez ubliżenia
Jeden drugiemu, oba, mając czapki w rękach,
Nuż się kłaniać, we dwoje giąć się, jak na mękach;
Próżno obu łysiny mroził księżyc chłodny,
Jeden krzyczał: niegodny — i drugi: niegodny!
I byłyby na wieki trwały te respekta,
Gdyby jeden z baczących na te kontrefekta
Jezuickiej grzeczności nie był krzyknął z brzucha:
A weźże, Panie Szczara, krok i nakryj ucha.
Co słysząc Olgopolski, jak piorun z obłoku,
W bramę — co widząc, równie *accelerans*[1] kroku
I pan Szczara uczynił. — Waćpani się spytasz,
Co się stało? Jak razem wstąpili w korytarz,
Tak i razem ugrzęźli, brzuch z brzuchem, nos z nosem;
Próżno ich szlachta częstym szturchańcem i głosem
Podżega i na dalsze zaprasza pokoje —
Nie mogą — więc myśl wzięto *seccare*[2] na dwoje
Zaciętych *inimicos*,[3] więc błysnęły szable.
Jako więc w ciasnym porcie dwa wielkie korable,
Które *fortunam* niosą przed burzliwym gromem...

WOJEWODA, *za sceną.*

Rozbić mur, niechaj wejdą Ichmoście wyłomem.
Panie Chmara! rozwalić mur.

KASZTELANOWA.

O! krotochwila.

Chrząstka wychodzi.

SCENA III.

ZBIGNIEW, KASZTELANOWA — wchodzi AMELJA.

KASZTELANOWA.

Cóż to jest za dzieweczka? Ze skrzydeł motyla
Trzewiczki ma; na głowie bez żadnego fiocha.

ZBIGNIEW.

To, mościa dobrodziejko, jest moja macocha.

---

[1] Przyspieszając [2] Rozciąć [3] Nieprzyjaciół.

KASZTELANOWA.

Ta młodziutka? To jeszcze dziecko!

Do Amelji.

A proszę cię
Bądźże mi przyjaciółką, moje piękne dziecię.
Uważaj mię jak swoję. — Cóż? jaka ty ładna!
A to, panie Zbigniewie, cud! z sąsiadek żadna
Nie wyrówna. Nie płoń się, starej wolno mówić.
Trzeba ci było muszek wiosennych nałowić,
Oberwać im skrzydełka i upstrzyć twarzyczkę.
Nadto białą we włosach zatknęłaś różyczkę,
Nadto białą. To jeszcze dzieciątko niewinne.
Panie Zbigniewie, czy masz respekta powinne
Dla takiej młodej matki? jakże wy z nią razem?
To dziwnie, waszeć mi się zdajesz zimnym głazem,
Atentujże się wasze tej młodziutkiej matce.

Do Amelji.

Tobie tu jak białemu gołębiowi w klatce:
Ten zamek bardzo smutny, tobie trzeba słońca.
Cóż — czy cię nudzi starej gawęda bez końca?
Powiem ci coś miłego: tu z królem przybywa
Pan Mazepa.

AMELJA.

Któż to jest?

KASZTELANOWA.

Jakto, nieszczęśliwa!
Ty nigdy nie słyszałaś o panu Mazepie?

AMELJA.

Nie, mościa dobrodziejko.

KASZTELANOWA.

Ja ciebie oślepię,
Jak ci zacznę o złotym mówić sowizdrzale,
A może twoje czyste serduszko rozpalę
Ogniem nieugaszonym. — Obaczysz go sama.
Serce jego otwarte jak przejezdna brama,
Jedna wjeżdża, a druga wyjeżdża za wrota.
Spojrzenia jego nakształt kowalskiego młota,
Ciągle w biedne serduszka uderzają, tłuką
Na miazgę. Niech to będzie asińdźce nauką.

Walą z dział.

AMELJA.

O Boże, król!

KASZTELANOWA.

Nim wejdzie, mamy czasu dużo,
Tam na ganku pan Pasek z powagą papużą
I z wielkim stał papierem — ba! to mówca śliczny,
Przygotował dla króla wiersz makaroniczny.
O czem że ja mówiła, mościa dobrodziejko?
Ha, — otóż paź Mazepa — jeszcze mu czuć mleko
Pod nosem, a już o nim tyle rzeczy plotą.

SCENA IV.

Ciż sami. MAZEPA włazi oknem nie widziany przez aktorów.

KASZTELANOWA.

Wystaw ty sobie, co to za sowizdrzał! co to
Za urwis ten Mazepa.

MAZEPA, *na stronie.*

Ba, tu o mnie mowa.

KASZTELANOWA.

Wystaw sobie, co to jest za przewrotna głowa!
Co to za wróg niewieści! Węża wziął za godło.
Paź kochanek włosami kazał wypchać siodło.

MAZEPA, *kłaniając się Kasztelanowej, nagle.*

Fałsz, mościa dobrodziejko, proszę nie dać wiary.

KASZTELANOWA.

Jakże tu pan przyszedłeś ?

MAZEPA.

Z księżycem przez szpary.
Lecz w czas przychodzę bronić własnego honoru.

KASZTELANOWA.

Lecz jak tu pan przyszedłeś?

MAZEPA.

Jak motylek dworu
Przez okno, mościa pani.

KASZTELANOWA.

Ba, kłamcy masz minę;
Okno wysokie.

MAZEPA.

Z włosów mam różnych drabinę.

KASZTELANOWA.

Z włosów kochanek?

MAZEPA.

Tak jest?

KASZTELANOWA.

Lecz czemuż przez szyby

Nie przez drzwi?

MAZEPA.

Bo we drzwiach jest pan Pasek, niby
Cerber z trzema głowami — krew się w żyłach ścina,
Co jedna skończy mówić, to druga zaczyna.
Myśląc, że to się nigdy nie skończy — uciekłem.

KASZTELANOWA.

Już ja widzę, że waćpan ten dom zrobisz piekłem,
Że tu waćpan przez okno wniesiesz niepokoje.

MAZEPA.

Skądże tak zła opinja?

KASZTELANOWA.

Ja bardzo się boję
Waszej niestateczności. — Niech nas Bóg ochrania.
Waszeć nigdy nie możesz być bez zakochania;
Lecz tutaj wartoby się rozkochać ze skruchą.
Jak się zakochasz, to mi powiesz w kim na ucho,
Ja stara cię nie zdradzę.

MAZEPA, *z ręką na sercu.*

Paź aśćkę przekona.

SCENA V.

Ciż sami. KRÓL, WOJEWODA i wiele szlachty.

WOJEWODA.

Oto jest, najjaśniejszy panie, moja żona,
Która ci się pokornie do kolan uniży.
A to — kasztelanowa Robroncka ze Spiży.
A to mój syn jedynak, twej potencji sługa.

KRÓL.

Cóż to? paź tu?

MAZEPA.

Oracja była bardzo długa,
Nie chciałem się rozczulić, wnet mi oczy mokną,
Wszedłem przez okno...

KRÓL.

Strzeż się wylecieć przez okno.

MAZEPA.

W szczęśliwe pozwól, królu, ufać horoskopy.

KRÓL, *do wojewodziny.*

Pani, racz mi dać rękę. — Te ogniste stropy
Prawdziwie empirejskim zdają się obłokiem,
A ty, wojewodzino...

Kończy do ucha komplement.

WOJEWODA.

Za królewskim krokiem,
Mości panowie, proszę — proszę — bardzo proszę.

Wychodzą wszyscy, oprócz Mazepy, na dalsze pokoje.

SCENA VI.

MAZEPA, *sam.*

O! dziwny świat! ten młody rotmistrz, przy macosze
Tak cudownej, a zimny jak lód się wydaje,
Gdy ja, ledwom ją ujrzał już mi serce taje...
Już chciałbym albo żyć z nią, albo umrzeć dla niej.
Mościa Kasztelanowo, o! zgadłaś waćpani,
Że tu przyjdzie w miłości zapisać się wiecznik.
Zacznę jak słońce, może skończę jak słonecznik,
Ona mi będzie serce obracać oczyma.

Wojewoda wchodzi.

WOJEWODA.

Cóż to — czy mój stół żadnych względów nie otrzyma,
Proszę, wielmożny panie, nie pogardzaj strawą.

Mazepa kłania się i odchodzi.

SCENA VII.

WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Panie Chmara, w ogrodzie czy od lamp jaskrawo?

CHMARA.

Już się palą.

WOJEWODA.

Wyłamać zaraz tę przegrodę.
Niech król zobaczy dobrze w zamku Wojewodę.
Niechaj mu będzie jasno — cóż — wyjąć tę ścianę.

Ludzie wyjmują ścianę w głębi teatru, pokazuje się ogród iluminowany.

To pięknie? Czy tam wszystkie rozkazy wydane?
Czy włość pije, mospanie, czy upiekli wołu?

CHMARA.

Wszystko, panie.

Wchodzi PAN PASEK.

PAN PASEK.

Jegomość król wstaje od stołu,
Już kazał sobie podać z nalewką miednicę.

WOJEWODA.

Panie Pasek, każ urżnąć polskiego muzyce.

Rozchodzą się w różne strony. Wojewoda idzie do króla.

SCENA VIII.

Muzyka gra poloneza. — Król wchodzi w pierwszej parze, prowadząc Wojewodzinę. — Za nim paź Mazepa z Kasztelanową, potem opodal Zbigniew z jakąś panią. — Wojewoda na końcu.

KRÓL, *do Amelji.*

Pani Wojewodzino, to królewskie gody.
Jeśli wola, pójdziemy kołem przez ogrody?

AMELJA.

Sługa waszej królewskiej mości.

KRÓL.

Proszę w ślądy.

Polonez wychodzi do ogrodu.

KASZTELANOWA, *przechodząc do Mazepy.*

A waćpan się już kochasz?

MAZEPA.

Już.

PIERWSZA Z PAŃ, *do Zbigniewa.*

Jak waszmość blady.

ZBIGNIEW.

Mościa pani, zapewne takim byłem wczora.

Wychodzą. Polonez wraca z ogrodu. — Król puszcza rękę Wojewodziny, wszystkie pary rozłączają się.

KRÓL.

Wielmożne panie, proszę iść same, gąsiora.
A teraz nowym wszystkich wyborem zaszczycić.

Kasztelanowa bierze rękę Króla — inne panie wybierają tancerzy — Amelja zostaje na przedzie sceny, a paź z boku — polonez cały wychodzi i bal przenosi się do sal dalszych.

SCENA IX.

AMELJA, MAZEPA.

MAZEPA, *na stronie.*

Udało mi się żadnej ręki nie uchwycić
I zostać z nią sam na sam... Piękności cudowna!
Owiała mię przy tobie trwoga niewymowna,
Jak w miejscu świętem.

AMELJA, *do siebie.*

Tak mi coś na sercu smutno!

MAZEPA, *na stronie.*

Niespokojnością jestem dręczony okrutną.
Jak tu zacząć?

Do Amelji.

Czy wolno panią prosić w tany?

AMELJA.

Niech pan wybaczy.

MAZEPA.

Więc nie?

AMELJA.

Nie.

MAZEPA.

Głosek twój szklany
Wyuczył się harmonji od leśnych słowików;
Oczy twoje z błękitów całe i z promyków
Od gwiazd się nauczyły być tak błękitnymi,
I tak zawsze, tak prosto zlatywać ku ziemi.
Pozwól mi głos usłyszeć i zobaczyć oczy,

Bo pomyślę, żeś gniewna. Ty drżysz? Nikt nie wkroczy,
Wszyscy za królem ciągną po zamku. My sami.
O! to kraj dziwny! tu są niebianek ustami
Róże zamknięte, nie chcą otworzyć się całe...
Widzę na ustach uśmiech... Muszę oczy śmiałe
Odwrócić, bo mię twoich brwi mignienie zgubi.

AMELJA.

Nie wiem, czy waszmość wiejską prostotę polubi,
Ale muszę mu wyznać, że ta jego mowa
Wcale mi się nie zdaje...

MAZEPA.

Bywaj pani zdrowa,
Jeślim obraził...

AMELJA.

O! nie.

MAZEPA.

Idę — i w łeb strzelę.

AMELJA.

Tak żartować!

MAZEPA.

Bynajmniej — jak sobie podchmielę,
Gotów jestem na wszystko, idę pić z rozpaczy.

AMELJA.

A potem?

MAZEPA.

Potem pani z okna mnie zobaczy
Strzelającego sobie w łeb.

AMELJA.

Pan stroi żarty.

MAZEPA.

Cóż mam robić na świecie? co? — czy grać drużbarty,
Albo z królem odmawiać litanije smętne?
Ot — nie mam już w nic wiary, serce moje mętne —
Ciebie bym jeszcze, pani, wziął za spowiednika,
Boś podobna do świętej — ty słuchasz słowika,
A ja mam więcej, pani, z tobą do mówienia.
A ty mnie słuchać nie chcesz.

Do siebie.

Już się zarumienia,
Dobry znak.

Głośno.

O! niebieska, bądź świętą osobą!
Tylko mi się ty pozwól spowiadać przed sobą;
Ja mam wiele na sercu ciążącej spowiedzi.
Pod oknem twem pewnie jaki ptaszek siedzi
I przez całą noc śpiewa piosnkę nieudolną;
Czyliż mi dziś słowika zastąpić nie wolno?
Czy to gniew twój obudzi?

AMELJA.

O, Boże! o, Boże!

MAZEPA.

Jam się rozpytał dobrze o wszystko we dworze.
Wiem, że twój balkon brzozą płaczącą okryty,
Lilijami ubrany.

AMELJA.

Pan nie jesteś skryty,
Gdy się do roli szpiega przyznajesz tak snadnie.

MAZEPA.

Tak, jestem bez honoru.

AMELJA.

Pan tu w przepaść wpadnie.
Ja mam obrońcę, ja tu będę obroniona.

MAZEPA.

Lecz pani będziesz tego żałować, kto skona.

AMELJA.

Próżne słowa, tak błaho nikt życia nie traci
I bez żadnej nadziei.

MAZEPA.

W twej drżącej postaci.
Wiele dla mnie nadziei.

AMELJA.

Żadnej niema — żadnej.
Odchodzi.

SCENA X.

MAZEPA, potem KASZTELANOWA.

MAZEPA.

Już się jak rybka wędki uchwyciła zdradnej,
Przysięgnę, że się z okna dziś do mnie wychyli.
Resztę uczyni djabeł.

Wchodzi Kasztelanowa

KASZTELANOWA.

A gdzież to wy byli,
Mój panie dworzaninie? z kim się to gwarzyło?

MAZEPA.

Z nikim, wielmożna pani.

KASZTELANOWA.

Serduszko się wpiło
Jak kleszcz! Ja ci coś powiem — jestem tu na oku.
Widziałam, jak was Zbigniew wypatrywał z boku;
Strupiałbyś, panie paziu, gdybyś go zobaczył,
Bo tak wyglądał, jak trup. — Żeby waszmość raczył
Podać mi do powozu rękę.

MAZEPA.

Już cię tracę,
Mościa Kasztelanowo?

Daje rękę i wyprowadza Kasztelanową.

SCENA XI.

ZBIGNIEW i WOJEWODA, który przez cały ciąg sceny wyprowadza gości z czapką w ręku i kłania się nisko.

ZBIGNIEW.

Serce mi kołace,
Jakbym miał omdleć. — Tutaj stała nieruchoma —
On gadał do niej, trwoga w niej była widoma.
O czem on do niej mówił? jakimi wyrazy?
Ona się odwróciła, widziałem, dwa razy,
Jakby z niespokojności — trzebaż mi się było
Pokazać? — Ten dom będzie paziowi mogiłą.

WOJEWODA.

Gasić światła! Król się pan ma ku spoczynkowi.

Wychodzi.

ZBIGNIEW.

I nikt-że mi tu z duchów litosnych nie powie,
O czem oni gadali. Nie, ja spać nie będę;
Pójdę, aż się tych myśli dręczących pozbędę,
Ukołysany nocną cichością w ogrodzie.
Jeśli usłyszy — ona mię pozna po chodzie
I przypomni, że jestem na świecie. O! męka.

Wychodzi.

SCENA XII.

Inny pokój w zamku.

KRÓL, WOJEWODA z pochodnią, MAZEPA, POKOJOWI KRÓLEWSCY.

KRÓL.

A niechże waszmość przecie przedemną nie klęka.

WOJEWODA.

Król się pozwoli rozzuć.

KRÓL, *podnosząc go z ziemi.*

Waść zanadto czyni,
Prosimy cię, zostaw nas nocnej monarchini
Djanie, co w te szyby zamierzchłe zagląda,
Sam się ku spoczynkowi miej; Morfeusz żąda
Ofiary po ofierze Bachusa.

Wojewoda kłania się i odchodzi.

Bóg z wami.

Pokojowce królewscy odchodzą.

SCENA XIII.

KRÓL, MAZEPA.

KRÓL.

Podaj mi brewiarz. Niebo iskrzy się gwiazdami.
Ave Maria gratias plena. — Mazo!

MAZEPA.

Panie!

KRÓL.

Czy wiesz acan, gdzie tutaj śpią moi dworzanie?

MAZEPA.

Na lewo.

KRÓL.

A pan zamku?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś kiep.

MAZEPA.

Zgoda.

KRÓL.

Ave Maria. — Nie wiesz, gdzie śpi wojewoda?

MAZEPA.

Nie wiem.

KRÓL.

Toś wielki dureń.

MAZEPA.

Już drugi raz słyszę.

KRÓL.

A ty gdzie śpisz?

MAZEPA.

Ja nie śpię.

KRÓL.

A cóż robisz?

MAZEPA.

Piszę

Dzieje twe, miłościwy panie.

KRÓL.

Sowizdrzale,

Historjografie.

MAZEPA, *na stronie.*

Bogdajś pękł ex-kardynale.

KRÓL.

Co waść mruczysz?

MAZEPA.

Nic wiersze.

KRÓL.

Ba, ja się założę,

Że ty masz jaką schadzkę po nocy.

MAZEPA.

Być może.

KRÓL.

Ja wiem pewnie. Waść gadał już z wojewodziną.

MAZEPA.

Chwaliłem przed nią waszą królewską mość.

KRÓL.

Ino

Mów prawdę. Waść ją będziesz widział dzisiaj jeszcze?

MAZEPA.

Jak tylko serce moje gdziekolwiek umieszczę,
To mi król miłościwy wnet zajrzysz.

KRÓL.

Nie zajrzę
Bynajmniej.

MAZEPA.

Wnet przeszkadzasz mi, królu...

KRÓL.

A dajże
Mi święty pokój, głupcze! tak mi trąbisz w uszy,
Że aż uciekam...

Bierze na siebie płaszcz Mazepy zostawiony na krześle, i kapelusz Mazepy kładzie na głowę.

MAZEPA.

Królu! to mój płaszcz.

KRÓL.

Bez duszy!
Chcesz, żebym dostał febry, bez płaszcza, po rosie.

MAZEPA.

Król miłościwy wszakże masz swój.

KRÓL.

Co? młokosie,
Chcesz, żeby mnie po nocy, w królewskiej odzieży,
Poznało zaraz całe wojsko nietoperzy
I oddawało winne królewskie honory?
Cóż, Mazo, waść nie jesteś na gorączkę chory;
Jeśli mnie płaszcz zarazi czem, to głupstwem chyba.
Czekaj tu waść.

Wychodzi do ogrodu.

SCENA XIV.

MAZEPA, *sam.*

Niech djabli wezmą tego grzyba!
Jemu to w pazia płaszczu po księżycu chodzić,
I pod oknami marznąć — i niewiasty zwodzić!
Ortodoxus! przeklęty Ortodoxus! ckliwy!
Wszak jeszcze wczora włos mu wyrywałem siwy;
Poczekaj! drugi raz mię nie złapiesz tak snadnie
Dalibóg, że mu w moim płaszczu bardzo ładnie,
Gotowa jeszcze okno otworzyć.

SCENA XV.

KRÓL wraca ze szpadą dobytą, ranny w rękę, — MAZEPA.

KRÓL.

Nędzniku!

MAZEPA.

Królu!

KRÓL.

Zdrajco bezczelny.

MAZEPA.

Skądże tyle krzyku?

KRÓL.

Waść mię posłał na zgubę.

MAZEPA.

Ja?

KRÓL.

Zbójcę nasadził.

MAZEPA.

Przysięgam, miłościwy panie...

KRÓL.

Waść mię zdradził...

MAZEPA.

Co widzę? Najjaśniejszy pan masz krew na dłoni!

KRÓL.

Wytłumacz się, urwisie! Niech się waszeć broni,
Będziesz waść ukarany. — Ledwom dał dwa kroki,
Jakiś olbrzym wypada, jak sosna wysoki,
Z szablą dobytą — i wnet, nuż rąbać na ślepo;
Krzycząc, podły Mazepo! tchórzu ty Mazepo!
Nie będziesz ty mi więcej po księżycu łaził.

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

On mię nie obraził,
On waści lżył — a mnie co do tego, mospanie?

MAZEPA.

Lecz on ranił królewską dłoń — i znak zostanie.

KRÓL.

Bogdajeś pękł! — to wszystko ja cierpię za waści.

MAZEPA.

On widział, że król, jego uchodząc napaści,
Zostałeś ranny?

KRÓL.

Widział... krew ciekła z oszczepa,
A mój ludojad krzyczał: jaki tchórz Mazepa,
Ranny już, a z pod szabli jak łajdak uchodzi.

MAZEPA.

I król go nie zabiłeś?

KRÓL.

A cóż to mi szkodzi,
Że ktoś waści nazywa tchórzem?

MAZEPA.

W żaden sposób...

KRÓL.

Injurye[1] takie zawsze należą do osób,
Do których wymierzone są i do nazwiska.

MAZEPA.

Lecz jutro, miłościwy panie, krew odzyska
Swoje prawa

KRÓL.

Co? jakie krew odzyska prawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa

KRÓL.

Co ty mówisz?

MAZEPA.

Racz o tem pomyśleć raz drugi.

KRÓL.

Idź waść i obudź moje pokojowe sługi.
Pakować się — ja jutro wyjeżdżam przed słońcem.
Przeklęta noc!

---

[1] Obelgi.

MAZEPA.

Przeklęta noc!

KRÓL.

I koniec końcem
Wyjedziemy.

MAZEPA.

I koniec końcem, wyjedziemy.

KRÓL.

Ten zabójca rozpapla...

MAZEPA.

Nie musi być niemy.

KRÓL.

Przeklęta noc!

MAZEPA.

Injurye należą do osób...

KRÓL.

Co ty mruczysz?

MAZEPA.

Ot! panie, wynalazłem sposób,
Aby tu zostać jutro.

KRÓL.

Ba! to rzecz ciekawa?

MAZEPA.

Jutro nazwisko tchórza weźmie ręka krwawa.

KRÓL.

No, i cóż? jakże waszeć mój honor obroni?

MAZEPA, *bierze szpadę króla i sam siebie w dłoń rani.*

Oto mi, królu, patrzaj, krew trysnęła z dłoni.

KRÓL, *ściskając go.*

Dziecko moje kochane

MAZEPA.

Cóż jest w tej zadzierce!
Jabym się może, królu, dla niej ranił w serce

AKT II.

SCENA I.

Galerja z arkadami otworzonemi na ogród.

KRÓL, WOJEWODA.

KRÓL.

Mój mości wojewodo! to rzecz nie do wiary,
Paź napadnięty.

WOJEWODA.

Niech mię położą na mary,
Jeśli ja co rozumiem, Najjaśniejszy Panie,
W tej gmatwaninie.

KRÓL.

Niech to już tak i zostanie.
A waszeć, wojewodo, nie wdawaj się w śledztwo.

WOJEWODA.

Co? Miłościwy panie, moje tu szlachectwo
Na szwank jest wystawione, assasynium[1] w domu.

KRÓL

No, przecież się nie stało wielkie zło nikomu,
Paź tylko przywileju wietrznika nadużył
I oberwał, mospanie, to, na co zasłużył;
Dobrze mu tak, niech ładnem się oczkiem nie wabi.
No — cóż tak, wojewodo, dumasz?

WOJEWODA.

Wabik babi,
Ten paź, może się strasznie oparzyć. Mopanek
Niechaj się strzeże, niech tu nie szuka kochanek.
Mój dom nie jest...

KRÓL.

I cóż tak drzesz pas złotolity?

WOJEWODA.

Więc pazik szukał tutaj po nocy kobiety?

KRÓL.

Wojewodo, ja nie wiem.

---

[1] Morderstwo.

WOJEWODA.

Miłościwy panie,
Pozwól mi — pójdę — ranne zastawić śniadanie.

KRÓL.

Dajem wam wszelką wolność.

Wojewoda odchodzi.

SCENA II.

KRÓL, *sam.*

Ten starzec zazdrosny,
Jakże taki charakter w starych ludziach sprosny!
Jaki śmieszny! Rwał wąsa i rozdzierał pasa,
A wszystko więził w sobie, i krwi tylko krasa
Wyszła mu na policzki starością zwiędniałe.
Wstrząsał się, jakby dźwigał na ramionach skałę;
Widziałem, jak mu błysła źrenica czerwona,
Gdy wyrzekłszy, kobieta, w myśli dodał: żona.
Oj wojewodo, tak mi wyglądałeś wasze,
Jak Radziejowski, gdy jadł ze Szwedami kaszę.
Cóż to? wojewodzina?

SCENA III.

KRÓL, AMELJA.

AMELJA.

Panie miłościwy!
Przyszłam ze skargą.

KRÓL.

Jakżem dumny i szczęśliwy.

AMELJA.

Królu, widzisz mię jeszcze drżącą z przelęknienia,
Wielką zniosłam obelgę — twarz mi opłomienia.
Mówić nie mogę. Niech król w lice mi nie patrzy.

KRÓL.

Któżby chciał na tych licach kwiat oglądać bladszy,
Kiedy jesteś tak cudnie piękną, gdy się płonisz.

AMELJA.

Królu, ty mię obronisz — ufam, że obronisz,
Jeśli mię nie chcesz widzieć, panie, pod mogiłą.
Twój dworzanin mnie zelżył, panie.

KRÓL.

Jak to było?

AMELJA.

O tak, królu, jak zwykle, dziś, o słońca wschodzie
Szłam na mszę. Pan Mazepa mnie spotkał w ogrodzie,
Na wąskiej kładce, zewsząd okrytej drzewami.
Ukląkł — jam się bladością okryła i łzami,
Lecz nie chciałam się cofnąć, by nie zdradzić strachu;
Począł mówić, że poznał mię po róż zapachu,
Że mu wschodzące słońce powiedziało o mnie;
Zawstydzona, ile że ubrana mniej skromnie,
Bom nie myślała, że mnie kto z ludzi nadybie,
Musiałam spuścić oczy i w rzeczułki szybie
Wołać rybek na pomoc i prosić o radę.
Gdy ten bezczelnik, lica moje widząc blade,
Rozumiał, że mię z barwą zarazem różaną
Odleciał wstyd — i z trwogi na kładce zachwianą
Zatrzymał tak, że usta uczułam na twarzy.

KRÓL.

O! szatan!

AMELJA.

Więc się, panie, zawstydzona skarży.
Ufam, że się król ujmiesz za sprawą kobiety.

KRÓL.

Osądź go sama.

AMELJA.

Jakto! ja mam sądzić — nie ty?
Królu, ty w naszym domu.

KRÓL, *na stronie.*

Przeklęty paziku!

Do Amelji.

Pani, w naszym kodeksie jest zbrodni bez liku,
Lecz takiej niema zbrodni, ani kary za nią.

AMELJA.

Królu! powiedz mu, że on domu tego panią
Zhańbił, że podłe serce mu w piersiach uderza,
Ani serce Polaka, ni serce rycerza;
Powiedz mu, że my biedne kobiety się bronim
Wzgardą — więc ja pogardzam i zapomnę o nim.
Że choćbym nierządnicą była — nie skorzysta,
Bo jeszcze ja dlań będę za dumna, za czysta.

Powiedz mu, że nikogo nie mając za stróża,
Mogłabym mieć mściciela, lecz mam go za tchórza,
I wzgarda moja litość urodziła we mnie.
Ale mu powiedz, królu, że zrobił nikczemnie,
Powiedz i wypędź, niech go nie widzę przed sobą.

KRÓL.

Czemuż winienem, pani, że z twoją żałobą
Do mnie przyszłaś?

AMELJA.

Sądziłam, że króla przytomność
Nie wstydzi...

KRÓL.

O! szczęśliwy król, któremu skromność
Zawierza i w całem się zdaje zaufaniu;
Szczęśliwy cię oglądać po świeżem spłakaniu,
Jeszcze cichymi łzami żalu brylantową.
O! nie płacz, ja ukarzę pazia — daję słowo,
Ukarzę — i nie ujrzysz go więcej przed tobą.
Teraz o innych rzeczach pomówimy z sobą.
Piękna wojewodzino — o zakład, że zgadnę,
Jak masz imię; być musi imię smętne, ładne,
Jakże twe chrzestne imię?

AMELJA.

Amelja.

KRÓL.

Bóg z nami!
Słowik tej nocy ciągle przed mymi oknami
Śpiewał to imię, jam spał i słyszał po trosze:
Teraz już z serca tego słowika nie spłoszę,
Piękna Ameljo! i tak więdnąć tu odludnie?
Ten zamek nad jeziorem położony cudnie,
Ale smętny jak moje we Francji więzienie.
Te okna, te arkady, te lipowe cienie.
Ale tu całe życie prawie przeżyć trudno.
Ameljo, czy ci w zamku tym czasem nie nudno?
Czy nie żądasz odmiany, tu dnie smutne płyną,
Jabym w tym zamku umarł już, wojewodzino.
To więzienie jak moja francuska wieżyca.
Ach! było i tam dziewczę tak jasnego lica
Jak ty, pani — tak w każdem ujęciu okrętna,
Które mi wtenczas miła — a dziś jest pamiętna.
Jesteś od niej piękniejsza, lecz podobna trochę,
Ty jesteś smutna, tamto dziewczę było płoche,
Nieraz oszukiwała więzienia pachołków,
I list z kraju przyniosła w bukiecie fiołków,
Dziś woń fiołków zawsze mi ją przypomina.

AMELJA.

Jakże się nazywała ta biedna dziewczyna?

KRÓL.

Klaudja.

AMELJA.

Więc kochała i umarła z żalu.

KRÓL.

Wdową jest po marszałku dzisiaj d'Hopitalu.

AMELJA.

Zapomniała? zdradziła?

KRÓL.

Odmieńmy rozmowę.
Dziś gdy mię gryzą kolce korony cierniowe,
Cóżbym nie dał, by dawne powróciły lata,
Gdy chleb spleśniały przy mnie, w oknach była krata,
A serce kochające przy sercu mi biło.
O! pani, jakże teraz samotnemu miło
Znaleść tak piękną smętnych uczuć powiernicę,
Takie dwie łzy, dwie takie w oczach błyskawice,
Co z gniewnym ogniem niosą razem przebaczenie;
Takie słyszeć nad własną niedolą westchnienie,
Tak białą dłoń i miękką mieć do łez otarcia.
Tron i koronę rzucić, bez przyjaciół wsparcia
Opuścić kraj, gdzie ludzie są w sercach zatruci,
Rzucić wszystko, z tą jedną, co nigdy nie rzuci.

AMELJA.

Mogęż odejść?

KRÓL.

O! pani, zostań — jedna chwila.
Ty nie wiesz, że w tej chwili los mój się przesila,
Że mi korona spada z głowy, co się schyla
Przed tobą, czarodziejko.

AMELJA.

Mogęż odejść, panie?

KRÓL.

O! dumna, raz niechętnie dałaś całowanie
Czołu pazia — lecz teraz spotkasz...

AMELJA.

Już mi widne...

KRÓL.

Czoło w koronie...

AMELJA.

Zimne...

KRÓL.

Dokończ...

AMELJA.

I bezwstydne.

Odchodzi.

SCENA IV.

KRÓL, WOJEWODA.

WOJEWODA, *spotykając odchodzącą Amelję.*

Co to jest? Do swych aśćka idź apartamentów.

KRÓL.

Cóż tak srogi?

WOJEWODA.

Mościwy Panie, bez wykrętów,
Coś mi dziś we łbie jęczy pogrzebowym dzwonem,
Krew co się lała, leży pod żony balkonem.

KRÓL.

Co? pazik taki śmiały?

WOJEWODA.

Królu, proszę o to:
Wypraw ty mi z zamczyska tę laleczkę złotą,
Wypraw ją — bo już, Panie Miłościwy, ranna,
To jak się dotknę, stłuc się gotowa jak szklanna;
Ja żony nie podzieram, to święta kobieta.
Lecz ten paź, on się czegoś tu, królu, dopyta.
Ja ciebie może, panie miłościwy, nudzę,
Lecz powiadam, jeśli chcesz mieć w dalszej usłudze
Twojego dworzanina, to go wypraw prędzej,
On się tu może zgubić jak worek pieniędzy:
Złoto wabi, on cały złoty — toć ukradną,
Wypraw go, mciwy panie, ma figurkę ładną,
Ja się o niego boję.

KRÓL.

No, mój wojewodo.
Widzę, że w tobie ta krew, to nie szafran z wodą.
Cieszę się, żeś mi jeszcze czerstwy i ognisty.
Przyślij mi pażia, zaraz mu napiszę listy
I wyślę do Warszawy.

WOJEWODA.

A ja mu dam szkapę.
Odchodzi.

SCENA V.

KRÓL, potem MAZEPA.

KRÓL.

Ja zgrzeszyłem jak dziecko, a paź weźmie w łapę:
To i dobrze, on w moich zamiarach przeszkadza.
A jak widzę, to mnie tu on haniebnie zdradza
I sam pięknie przy własnej patronuje sprawie.
To i dobrze, z listami pazika wyprawię.
Zostanę sam, a pomoc mi rychło przybędzie.
Wchodzi Mazepa.
Nastraszyłeś mi waćpan przed czasem łabędzie.
Próżno spuszczasz oczęta i przygryzasz wargi,
Były tu na waćpana, gapiu, różne skargi;
Wywędrujesz mi stąd precz, z listami do żony.
Do gabinetu za mną.
Wchodzi do pokoju bocznego.

MAZEPA.

Proszę, jaki słony
Mój ortodoxus, nigdy tak źle nie zaczynał.

KRÓL, *za sceną.*

Za mną do gabinetu wać...

MAZEPA.

Djabeł kardynał.
Wychodzi za królem.

SCENA VI.

ZBIGNIEW.

Tu wszedł paź, już go niema, zaczekam tą razą.
Niechaj nas po dniu zimne rozsądzi żelazo.
O! zabić go! a potem zabić się samemu.
Cóż jest w tej cichej śmierci okropnego? czemu

Lękamy się tej ziemi, co nam czoło plami,
I snu z założonymi na piersiach rękami?
Śmierć, innej niema drogi przedemną — o Boże!
Gdyby mi kto powiedział wczora, że być może
Jaki człowiek na ziemi, z sercem ludzkiem w łonie,
Śmielszy, niż róża listkiem kryjąca jej skronie,
Bliższy jej ust, niż swojski jej kanarek złoty,
Szczęśliwszy niż powietrze, niż owe istoty
Muszki wieczorne, którym ja zazdroszczę co dnia,
Ach, nie wiem... wczoraj mi się zdawała to zbrodnia
Dotknąć jej twarzy... dzisiaj możebym szalony...
Tak więc ten, co się pali sam — żar zapalony
Ciska na serca drugich i winien pożogi,
Która człowieka wali losowi pod nogi
Zimnym — zwalanym trupem...

SCENA VII.

WOJEWODA, ZBIGNIEW.

WOJEWODA.

Waść tu czekasz kogo,
Waść widzę porysował marmury ostrogą.
Cóż to jest za rysunek — trupia głowa — synu!
Waszeć mi chcesz się rąbać? wstyd, to człowick z gminu:
Takiego wojewoda pod kijem zatłucze...
Posłałem Chmarę — ja go respektu nauczę...
Melka niewinna, że krew pod oknem — niewinna,
Lecz z paziem, co ją sądził ścierką — to rzecz inna.
Pod kijami odszczeka, już posłałem Chmarę.
Zostaw to wszystko waszeć na to czoło stare.
Czy ty myślisz, że matka o tem nie wiedziała?

ZBIGNIEW.

O! na to przysięgnę.

WOJEWODA.

Panu Bogu chwała,
Że mi nadarzył świętą kobietę za żonę.
Czy waść uważał, miała oczęta czerwone
Od płaczu?

ZBIGNIEW.

Bo też każde posądzenie boli...

WOJEWODA.

Posłałem ludzi — będą przy wielkiej topoli
Koło karczmy na tego czatować gałgana.

ZBIGNIEW.

Lecz jak się król pan dowie?

WOJEWODA.

Króla mam za pana,
Ale nie w moim domu.

SCENA VIII.

Ciż sami. KRÓL i MAZEPA wychodzą z bocznych drzwi.

KRÓL.

Mości wojewodo,
Paź jedzie do Głuchowa, potem z naszą zgodą
Powraca do Warszawy, rzecz ukartowana.
Pozwólże mu waścine uściskać kolana,
I każ mu spuścić mosty.

WOJEWODA.

Niech odjeżdża zdrowo.
A odemnie niech przyjmie szablę turkusową,
I rumakiem murzynem nie gardzi na drogę.
Koń ten bystre ma oczy i lotną ma nogę.
Oby waści szczęśliwie niósł przez nasze pola
Do szczęśliwego celu.

MAZEPA.

Jeśli wasza wola
Przyjmuję oba dary — piękny upominek,
Dobra szabla, a jeszcze koń murzynek,
I bodajby to koń był, co kędyś po lesie
I po łąkach aż na tron pazika zaniesie,
Jak to już wywróżyła cyganka przed laty.

KRÓL.

A lećże mi po łąkach, paziku skrzydlaty,
Wspomnij o mnie na tronie i bądź mi aljantem.
A teraz, wojewodo, chodźmy alikantem
Pić za szczęśliwą podróż tego pretendenta
Do korony.

Do Mazepy.

Niech waszeć o listach pamięta.

Odchodzi z wojewodą.

SCENA IX.

MAZEPA, ZBIGNIEW.

ZBIGNIEW, *dobywając szabli.*

Mości panie, do szabli.

MAZEPA, *dobywa szabli.*

Wiem, co się to znaczy.

ZBIGNIEW.

Strzeż łba.

MAZEPA.

Mości rotmistrzu, jestem syn kozaczy,
Bić się umiem, lecz wcale nie czuję ochoty
Tłuc ojca turkusówką w syna pancerz złoty;
Ani wojewodzica, co jak róża młody,
Zabiwszy, uciec z zamku koniem wojewody,
Wreszcie i to waćpanu w pokorności ducha
Wyznaję, że mnie teraz poruszyła skrucha,
Że się wstydzę tej w zamku odegranej roli;
Więc jeśli szanowny pan Zbigniew pozwoli,
Ścisnąwszy się jak bracia, rozjedziemy w zgodzie.
Czar był jakiś w tym zamku, w księżycu, w ogrodzie,
Co mię obłąkał, ogniem zapalił, miłością;
Czar trwa i mnie uniża teraz przed waszmością,
I szczerym mnie afektem ku niemu zapala.
Cóż mówisz na to waszmość? czy serce pozwala?
Czy od proponowanej jest dalekie zgody?
Wierzaj mi, wrzućmy nasze zatargi do wody
I bądźmy przyjaciółmi.

ZBIGNIEW.

Drwisz? czy jesteś tchórzem?

MAZEPA.

Każdy swego honoru powinien być stróżem.
Zdaj to na mnie; potrafię zniżyć się bez szwanku.

ZBIGNIEW.

Waść zmykałeś tej nocy.

MAZEPA.

Księżyca kochanku.
Czy pewny jesteś, że ja przed waścią umykał?

ZBIGNIEW.

Mój Boże! jak wąż z bolu pod żelazem ksykał.
Zdejm rękawiczkę, krwawe masz na ręku znamię.

MAZEPA.

Pewnyż jesteś, że twoje żelazo i ramię
Temu winne, mospanie, że mam krew na ręce?

ZBIGNIEW.

Wykręcasz się podle.

MAZEPA.

Lecz się nie wykręcę.
Co? Oto moja ręka — tak, dalibóg krwawa,
Lecz nie waćpan ją zranił.

ZBIGNIEW.

Ba! to rzecz ciekawa!

MAZEPA.

Mospanie, jak nabierzesz znajomości świata,
Poznasz, że nieraz cześci albo krwi utrata
Potrzebną jest *ut salvat* miłe nam osoby.
Waćpan jeszcze przez żadne nie przeszedłeś próby.
A jednak w tym się właśnie waść znajdujesz razie,
Że nie tak na odwadze szumnej, na żelazie
Honor najdroższej tobie osoby spoczywa,
Jako na roztropności — to sztuka prawdziwa
Serce mieć pełne ognia, zimne jak lód lice,
I do grobowca z sobą zanieść tajemnicę.

ZBIGNIEW.

Żadnych takich tajemnic nie mam do ukrycia.

MAZEPA.

Więc może ja się mylę. — Każdy ma do picia
Kielich mniej więcej gorzki; a ja się lituję
Nad tym, co się codzienną męką serca truje.
Zdjął mię smutek, gdym ujrzał w chmurach ciemnych losu
Dwie istoty cierpiące bez jęku, bez głosu,
Ciche, co mając serca od Chrystusa krwawsze
Mówią: niestety! dodać zmuszeni: na zawsze!
Jestem dziecko; lecz takie widząc przeznaczenie,
Szczere i wielkie w sercu uczułem cierpienie
I litość — i poświęciłbym siebie.

ZBIGNIEW.

Za kogo?

MAZEPA.

To moja tajemnica.

ZBIGNIEW.

Do szabli!

MAZEPA.

Tak srogo?

ZBIGNIEW.

Serce wydrę...

MAZEPA.

Dlaczegoż pobladłeś jak chusta? —
Pewien mi pocałunek wiecznie zamknął usta.

ZBIGNIEW.

Kłamiesz jak pies!

MAZEPA.

Koniecznie?

ZBIGNIEW.

Do szabli, mospanie!

MAZEPA.

Ha! kochasz ją...

Biją się. — Zbigniew końcem szabli rozdziera i wyrzuca listy królewskie, które paź był schował przy piersi.

ZBIGNIEW.

Dostałeś.

MAZEPA.

Waść lepiej dostanie.

Mazepa wytrąca pałasz z ręki Zbigniewowi i obala go na kolano.

ZBIGNIEW.

Korzystaj z losu, przepędź mi sztychem przez kości.

MAZEPA, *podnosząc go.*

Zbigniewie! proszę teraz drugi raz waszmości
O braterstwo i przyjaźń. Daj zemście spoczynek,
Użyłem słów wabiących gniew i pojedynek,
Abym poznał, czy wasze jest jednym z tych ludzi,
Który się w domu ojca szpiegowaniem trudzi,
I odejmuje pokój starca włosom siwym;
Czy waść jesteś szlachetnym, ale nieszczęśliwym.
O! tak, szczerze waszmości chcę być teraz bratem...

Zbigniew rzuca się w objęcia Mazepy.

Zbigniewie mój, z tym biednym kłócący się światem
Walką wrącego serca, mój drogi, szlachetny!
Ty mi się podobałeś; ty w tym zamku, świetny

Jak rycerz dawnych czasów, ująłeś mi serce;
Słuchaj! twój pożar jeszcze w maleńkiej iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił.
Aniś ty jeszcze w niczem skalał się, przewinił,
W jej szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo...
Wierzaj mi, ty być musisz twego losu sługą,
Bo nie możesz być panem; nie, to niepodobna.
Zostaw ją tu — jak róża kwiatami ozdobna
Niech się błyszczy i cicho na słońcu przekwita
Lecz ty uciekaj! ciebie już skrzydłami chwyta
Straszny duch ognia, tobie uciekać potrzeba,
Wierzaj mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba,
Te wkrótce zetrą serca na proch — tak go znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrącą,
Że wreszcie źródło wspomnień na wieki zamącą —
To się i z tobą stanie. Jedź ze mną, Zbigniewie.
Jak dwa motyle w wichru kręcone powiewie,
Przelecimy przez okna otworzone dworu,
Gdzie gapie, a w kontuszach różnego koloru,
Jak ćmy głupie obsiadły starą Francuzicę.
Przewrócimy ten cały stary świat na nice,
Brzękiem, śmiechem, szyderstwem napełnimy salę.
Jak mi serce zagaśnie, to je znów zapalę
Przy ogniu twego serca — a jak ogień boski
I w tobie zamrze — wtenczas żadne łzy i troski
Już nie wrócą, i będziem śpiewali *victoria*.
Widzisz, moje kazanie gorzkie jak cykorja,
Wycisnęło ci z oczu łzy, drogi Zbigniewie...
I cóż?

ZBIGNIEW.

Pojadę z tobą...

MAZEPA.

Dziś przy wielkiem drzewie
Koło karczmy zaczekam na cię do północy.

ZBIGNIEW.

Nie tam — jedź inną drogą...

MAZEPA.

Co? czy tam Rakocy
Stoi z wojskiem?

ZBIGNIEW.

Nie pytaj, bo mi wstyd wyjawić...

MAZEPA.

Więc potrafię się w bliskiem miasteczku zabawić
Grą w kości, choćby z jakim wojakiem ciemięgą.

ZBIGNIEW.

Czekaj tu, ja ci każę klacz osiodłać tęgą,
Wtenczas wiatr nie doścignie.

MAZEPA.

Idź, chłopaku szczery.

Zbigniew odchodzi.

SCENA X.

MAZEPA, *sam.*

Panie Mazepo! teraz wasze innej cery —
Co się z twoją złoconą zrobiło maszkarą?
Mówiłeś jak ksiądz — próżno djabeł krzyczał: *haro!*[1]
Ty brnął w cnotę, jak w błoto, ani dbał o siebie...
Dwa dni tego humoru, a umrę, i w niebie
Będę siedział po uszy. — Ba — lecz bies powróci.

Podnosi listy królewskie z ziemi.

Aha! królewskie listy... Ten król mi coś czmuci.
Dalibóg! szablą pieczęć przecięta na dwoje —
Schowam — ja się tej szelmy ciekawości boję;
To mój wróg — ba! lecz pieczęć na dwoje złamana.
Tylko troszeczenieczkę...

Zaziera w listy.

„Proszę waszmość pana"
Do Głuchowskiego pisze komendanta...

Przebiega list oczyma.

Nieba!
Ukartowane wszystko na rapt jak potrzeba,
Ortodoxus chce porwać żonę wojewodzie!
Dalej — tu widać jakiś przypisek na spodzie —
Czy ja ślepy? czy bielmo mi na oczach leży?

Czyta.

„Pana Mazepę zaraz zasadzić do wieży,
I strzec aż do dalszego z nim rozporządzenia".

Chowa listy.

Ach, panie ortodoxus! co? mnie do więzienia?
A młodziutką starego żonę w twoje łapy?...
Więc ty myślisz, że wszyscy, włącznie ze mną, gapy?
Że w twoich sidłach muszki uwikłane zginą?
Tej nocy muszę widzieć się z wojewodziną.

[1] W sądownictwie francuskiem okrzykiem tym wzywano pomocy sądu

Jej tylko mogę wyznać tę dziecka ciekawość;
Czegóż się lękam? — Moja zwinność, lotność, prawość
Wszystko ocali. — Będę ją widział tej nocy...
Mam jej honor i własną śmierć we własnej mocy,
Z tem się zgubić nie można.

SCENA XI.

ZBIGNIEW wraca, MAZEPA.

ZBIGNIEW.

Koń czeka gotowy.

MAZEPA.

Do widzenia.

Wychodzi.

ZBIGNIEW, *sam.*

Skończona rzecz! ugiąłem głowy
Przed nieszczęściem — skończona ze mną rzecz — zginąłem.
Gdyby wiedzieć, że człowiek smutny jest aniołem,
Że co tu niespokojnych miłości uniknie,
To będzie miał u Boga. Mój cień wkrótce zniknie,
I w tej krainie więcej o mnie nie usłyszą;
Ale po latach wielu z jaką straszną ciszą
Trumny się starych ludzi w jednym lochu schodzą,
Jakby się nigdy z sobą nie znały, i płodzą
Robactwo obrzydliwe. Patrząc na te kości,
Ktoby wtenczas przypomniał ludziom o miłości,
Odebrałby śmiech dziwny trumien w odpowiedzi
I odszedłby jak głupiec z mistycznej spowiedzi —
Czas jest rozgrzeszycielem. — O! jakże tym błogo,
Co swe gryzące wiecznie serce przeżyć mogą.

SCENA XII.

ZBIGNIEW zamyślony. — Widać AMELJĘ zbliżającą się po drugiej stronie arkad. — KSIĄDZ idzie za nią. — AMELJA staje przed Zbigniewem i uderza go lilją po twarzy.

AMELJA.

Cóż tak smutny?

ZBIGNIEW.

Nic! głowa mi cięży jak ołów.

Amelja daje Zbigniewowi lilję, lecz ksiądz, stojący za nią, wyrywa kwiat z ręki Amelji i mówi srogo.

KSIĄDZ.

Daj do kościoła — lilja jest kwiatem aniołów.

AKT III.

SCENA I.

Pokój wojewody. — WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Więc paź jest tu, w ogrodzie?

CHMARA.

Widziałem na oczy....

WOJEWODA.

Zdejm wacan strzelbę, spróbuj czy zamek odskoczy.
Czemu waść patrzysz na mnie? co? zbierz acan ludzi,
Ale cicho, niech się król jegomość nie zbudzi.
Idź — z ludźmi bądź w ogrodzie.

Chmara wychodzi.

Panie! Chryste Panie!
Oto rzecz! w zamczysku moim polowanie
Na gacha mojej żony! Chryste! Jezu Chryste!
A dajże tym umarłym światło wiekuiste!
Pomrą! piekielnie pomrą!

Wychodzi zbrojny.

SCENA II.

Mieszkanie wojewodziny. — Okno otwarte na balkon — z jednej strony alkowa zasłoniona firankami.

MAZEPA, *włazi oknem.*

Wszystko śpi w zamczysku.
Żadnego po komnatach szmeru ani błysku.
Doskonale! to pokój kobiecy. Gdzież ona?
Może jeszcze w ogrodzie chodzi zamyślona,
Może u swoich niewiast?

Pokazując na alkowę.

Może tam uśnięta.
Co robić? czy tam zajrzeć? — Alkowa przeklęta!
O! najniebezpieczniejsza z zasadzek alkowo!
Za tą zasłoną lekką, wiotką, purpurową,
Ona śpi snem różowa, cicha. — Djable! djable!
Jak ty mnie dręczysz...

Zaziera w alkowę i wraca.

Pusta. — Przysięgam na szablę
Że nie miałem złej myśli ruszając firanek.
Cóż robić?... Ona przyjdzie... skryję się na ganek,
A na wachlarzu kilka słów do niej napiszę...

Pisząc.

Odeślij twe niewiasty — jestem tu...

Rzuca wachlarz.

Co słyszę?
Kroki dwóch osób... mury te dla mnie fatalne!
Ha! jeśli mnie odkryją tu, w łeb sobie palnę.

Wchodzi do alkowy i zasłania firanki.

SCENA III.

AMELJA, ZBIGNIEW.

AMELJA.

Więc to ostatnie twoje ze mną pożegnanie?

ZBIGNIEW.

Tak, moja matko.

AMELJA.

Słyszysz słowików śpiewanie?
Chce mi się płakać — biedna ja! biedna!

ZBIGNIEW.

Dlaczego?

AMELJA.

Nie wiem! ja na tym świecie nie pragnę niczego.
A jednak ja nie jestem szczęśliwa. Ja nie wiem,
Co mi jest. Siedząc teraz z tobą pod modrzewiem,
Zdało mi się, że jakaś okropna godzina
Dzwoni w nocnem powietrzu. — Wczoraj moja sina
Szpileczka turkusowa, którą mam po matce,
Złamała się — to mała rzecz! — lecz na okładce
Książki od nabożeństwa zapisałam sobie
Ten dzień, jak zły dzień. — Boże! skądże przyszło tobie
Odjeżdżać?... ty mi nigdy nie mówiłeś o tem.
Zostanę sama!... Lecz ty odjeżdżasz z powrotem?

ZBIGNIEW.

Nie, matko.

AMELJA.

Nie — więc nigdy tu już nie powrócisz?

ZBIGNIEW.

Nigdy! Nigdy już! nigdy!

AMELJA.

Żałośnie mi nucisz,
Jak szpaczek, co jednego nauczony słowa,
Nie rozumie i gada...

ZBIGNIEW.

O matko! bądź zdrowa!

AMELJA.

Chodź tu! klęknij mi wasze — cóż tak nieserdecznie
Żegnasz się — i ty mówisz, że się żegnasz wiecznie!
Ja ciebie nie rozumiem. Chodź! czoło waszmości
Okropnie zimne.

ZBIGNIEW, *klęka przed nią.*

Matko! o matko! litości...

AMELJA.

Milcz! milcz! ja cię rozumiem! tak padłeś przedemną,
Waćpan przedemną strasznie upadłeś, Bóg ze mną!
Ja waćpanu nie mogę nic, prócz łez, ja sama
Cierpię. — Idź waść.

ZBIGNIEW.

Litości!

AMELJA.

Prócz łez... Jaka plama
Dla mojej czystej duszy tak z waćpanem gadać,
Jak gdybym rozumiała. Nie chcę o nic badać...
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła.
Nie bój się, my niewinni! Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,
Nie mam co dać mu prócz łez. — To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą obleję cię łzami;
Ty będziesz je pamiętał, te łzy. Proszę! proszę!
Proszę te łzy pamiętać... i o mnie. Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo to, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie,
Bądź zdrów!

ZBIGNIEW, *chce wstać i mdleje.*

Ciemno mi w oczach...

AMELJA.

Słyszysz! ktoś nadchodzi.
O! wstań! o! wstań... to ojciec nasz!
Do wchodzącego wojewody.
Niech pan dobrodziej
Ratuje — twój syn leży mi u nóg zemdlały.

SCENA IV.

Ciż sami. WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA, *do ludzi za sceną.*

Pilnować drzwi i okien. — Jeszcze honor cały.
Mój syn tu był na straży.
Do Amedji.
Czyś ty jego struła?

AMELJA.

Ja?

WOJEWODA.

Ty bez cześci.

AMELJA.

Mężu!

WOJEWODA.

Waćpaniś tu czuła
Gacha w komnacie; czarów użyłaś na dziecko.
Wszedł i omdlał.

AMELJA.

Co waćpan mówisz?

WOJEWODA.

O! zdradziecko
Umiesz ty się wykręcać czarna ohydnico.
Panie Chmara! synowi memu pod nos świecą,
Czy żyje?

CHMARA.

Dycha, panie.

WOJEWODA.

Wynieść do ogrodu.

ZBIGNIEW, *przychodząc do zmysłów.*

Gdzie jestem? co to znaczy? ojciec!

WOJEWODA.

Bez wywodu,
Panie synu! nie kryj się waćpan, ja świadomy
Całej rzeczy — Bogdajby mnie trzasnęły gromy!
Bogdajbyśmy obadwa legli od pioruna...
I ta winna! ta sądna! ta przebiegła kuna!
Ta... ta ścierka!

ZBIGNIEW.

Ach! ona mój ojcze, niewinna.

WOJEWODA.

Nie... ona jest, jak mówią, kobieta uczynna,
Nic więcej, ona tylko się...

ZBIGNIEW.

Ojcze! na Boga!

WOJEWODA, *do Amelji.*

Jak mi waćpani płaczesz! jak cię trzęsie trwoga?
Ha! bo też tu się stanie z nami rzecz okropna.
Waćpani mi tu byłaś bardzo nieroztropna!
Waćpaniś prowadziła źle twe ceregiele,
To teraz będą kiry i trumny w kościele;
Przygotuj się waćpani, bo to sprawa czarta.
O! jaka ty na czole ze wstydu wytarta!
Innaby już mi do nóg padła cała długa
I całowała stopy.

AMELJA.

Ja waszmości sługa,
Ale jestem niewinną.

Zbigniew pada do nóg.

WOJEWODA, *do Zbigniewa.*

Ty śmiesz prosić za nią?

ZBIGNIEW.

Nie, ja sam jestem...

WOJEWODA, *przerywając.*

Tak, ty — z twoją matką panią
Złączyliście się...

ZBIGNIEW.

Ojcze!

WOJEWODA.

Przeciw starca głowie,
Aby ją okryć hańbą — niech ci Bóg da zdrowie;
Wybrałeś się tu dobrze z protekcją, wasze.

ZBIGNIEW.

Ojcze! choćbyś miał piorun, to ja go zagaszę
Krwią moją i sam jeden tę winę odkupię.

WOJEWODA.

O! synu krwi wężowej! synu — zimny — trupie!
Bez duszy — i ty żadnym gniewem się nie palisz?
Czy twoje młode kości naruszył paraliż?
Czy serce tylko twoje tknięte paraliżem?

ZBIGNIEW.

Ojcze! te słowa dla mnie są boleści krzyżem —
Reszta będzie bez męki — Syn z pokorą czeka.

WOJEWODA, *do Amelji.*

Waćpani masz w sypialnym pokoju człowieka.

AMELJA.

Ja?...

WOJEWODA.

Patrzcie na nią teraz, patrzcie! jak się chwieje,
Ona tu wnet omdleje.

AMELJA.

Nie — ja nie omdleję.
O! Matko Boska! bądź ty ze mną w tej godzinie.

WOJEWODA.

Przysięgam, że waćpani gach jak mucha zginie,
Panie Chmara, poszukać w alkowie.

AMELJA, *zatrzymując Chmarę.*

Stój, wasze!
Pierwej w tych piersiach srogie utopcie pałasze,
Nim dotkniecie firanek — a ty słuchaj, mężu.

WOJEWODA.

W twoim pokoju człowiek jest — kobieto! wężu!

AMELJA.

Zbigniewie! niema w moim pokoju nikogo.

WOJEWODA.

Da się to widzieć.

ZBIGNIEW.

Ojcze, nim postąpisz nogą,
Pomyśl, co robisz! tu się rzecz okropna stanie...
Ja wierzę i ty musisz wierzyć — o! mój panie!
O! mój ojcze! ty wierzysz? nieprawdaż?

WOJEWODA.

Rufianie?[1]

ZBIGNIEW.

O! mój ojcze!

WOJEWODA.

Dlaczegoż ty się z pasjonatem
Droczysz — i stoisz tutaj — i jesteś mi katem?...
Dlaczegoż ty jej wierzysz? o gadzino sromu!
Waść by mnie teraz wtrącił do szalonych domu?
A jednak ja mam zmysły wszystkie dobrze zdrowe.
Panie Chmara! każ ludziom tę straszną alkowę
Zrewidować — tam niema okien; nie uciecze,
Tu go waćpani kozak za włosy wywlecze,
Będziesz ssać jego rany i całować w usta,
Położysz się na piersiach — lecz pierś będzie pusta,
Bo ja mu z piersi serce jak oko wyłupię.
Ja waćpani pozwolę potem spać przy trupie,
Jeśli nie będziesz chciała, przywiążę jak sukę.
Ja dam niewiernym żonom okropną naukę,
Będą o niej pamiętać, aż Polski nie będzie!
Waćpani będziesz słynąć w sławnych ścierek rzędzie,
Mną będą straszyć dziatwę. Hej, iść pod kotary!

Ludzie zawołani przez Chmarę chcą iść do alkowy. — Zbigniew staje u wejścia i dobywa szabli.

ZBIGNIEW.

Ojcze, każ im się cofnąć, bo pójdą na mary.
Bo ja tu ich nie puszczę.

WOJEWODA, *sam daje krok wprzód.*
Zbigniew dobywa pistoletu i przykłada sobie do piersi.
On ze mną zaczyna.

ZBIGNIEW.

Stój, ojcze! bo na progu tu wstąpisz w krew syna.

WOJEWODA.

A to djabeł zacięty!

[1] W staiej polszczyźn.e oznacza człowieka, który utrzymuje dom rozpusty.

AMELJA.

Zbigniewie! Zbigniewie!
Odsłoń firanki, ja wiem, że twój ojciec nie wie,
Co ja cierpię, lecz niech się przekona oczyma.
Oczy są jego sercem, on innego niema;
Gdyby miał, ulitowałby się tysiąc razy.

Do wojewody.

O! Panie! ja niewinna! ja bez żadnej zmazy,
Lecz patrzaj, co ty robisz tu z sercem kobiety?
Patrz! twój syn do ust kładzie pistolet nabity;
On nie może wytrzymać udręczenia mego,
On się chce zabić, panie.

WOJEWODA.

A wiesz ty dlaczego
Do ust włożył pistolet i za śmiercią dyszał?
Bo tam za sobą szelest człowieka usłyszał,
Bo ja aż tu słyszałem.

AMELJA.

Ten starzec mię łamie!
Zbigniewie! Tyś nie słyszał nic? ten starzec kłamie.

ZBIGNIEW, *jakby pasując się z sobą i wpadając w obłąkanie.*

Nie, ja nic nie słyszałem — nic — to rzecz skończona,
Tam nikt nie wejdzie. Piersi Chrystusa czerwona
Siedmią ranami, tam nikt nie wejdzie — o! Boże!

Idzie ku Amelji.

Matko! — macocho.

Cofa się ze wstrętem i znów wraca przed alkowę.

Ojcze, ja się tu położę
Jak pies i nikt nie wejdzie, miej litość nademną.
Ojcze! o! ja omdleję, słabo mi i ciemno...
Ja omdleję drugi raz. Ta scena mię dręczy!
Ojcze! syn ci na duszę nieśmiertelną ręczy,
Że tam niema nikogo, czy ci nie dość na tem?
Ojcze! o! będzie ze mną tak jak z moim bratem,
Którego ty zabiłeś przed laty niechcący.
Patrzaj, ja cały blady, patrzaj, cały drżący,
Ja słabnę — jeszcze chwila, a serce mi pęknie.

AMELJA, *do wojewody.*

Litości, panie! niechaj twa zaciętość zmięknie,
Ja bardzo cierpię.

WOJEWODA, *ponuro.*

Chciałbym uwierzyć w waćpanią.

Zdejmuje ze ściany krucyfiks.

Przysięgniesz na krucyfiks?

ZBIGNIEW.

Ja przysięgnę za nią!
Ojcze! co myślisz? kazać przysięgać kobiecie?
Ja sam oto na moje nieśmiertelne życie,
Na tym krzyżu obiedwie położywszy ręce,
Przysięgam. Usta kobiet są jak niemowlęce,
Ich straszliwymi słowy nie potrzeba mazać.
Mój ojcze, daj krzyż, ludziom już można rozkazać,
Aby odeszli.

Na stronie.

Cóż to? i ona się zbliża?

AMELJA.

Ja przysięgnę.

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELJA.

I cóż?

ZBIGNIEW, *cicho do ucha Amelji.*

Matko — precz od krzyża.

AMELJA, *kładzie rękę na krucyfiks.*

Na Chrystusowe rany i na matki duszę,
Na wycierpiane teraz krzyżowe katusze
Przysięgam, że niewinnie byłam posądzona,
Niech wam tak Bóg odpuści.

ZBIGNIEW.

Ojcze! rzecz skończona.

WOJEWODA.

Ha?

ZBIGNIEW.

Wszak przysięgła?

WOJEWODA.

Amen.

ZBIGNIEW.

Ojcze, idźmy razem,
Ja sam jestem — jak senny!

WOJEWODA.

Chmara! idź z rozkazem,
Niechaj mi tu mularzy przyśle budowniczy.

Chmara odchodzi.

ZBIGNIEW.

Cóż to jest?

WOJEWODA.

Król Jegomość tutaj sobie życzy
Kaplicę mieć pod bokiem, więc trzeba mularzy.

ZBIGNIEW.

Ojcze! tobie coś patrzy okropnego z twarzy.

WOJEWODA.

Ja, mospanie, spokojny. Na Chrystusa rany,
Spokojny jestem starzec. Choćby teraz w tany,
Tak mi wesoło, tak mię ta przysięga cieszy.
Gdyby nie to, że śmierci się kościotrup spieszy
I już stoi nad głową, śmiałbym się na gardło...
Lecz, mości panie, serce już we mnie umarło;
Śmierć się dotknie i kości na proch się rozsypią...
Cyt, cyt, cyt — czy słyszałeś? jakieś buty skrzypią,
Czemu waść drżysz?

ZBIGNIEW.

Już późno, ojcze, już poranek...

Wchodzą mularze i Chmara.

WOJEWODA.

Zamurować alkowę, nie tykać firanek.

ZBIGNIEW.

Mój ojcze, ta niewiara...

WOJEWODA.

A waść mojej żonie
Wierz, przysięgła na krzyżu, to ja teraz bronię,
Abyś ją waść o krzywą posądził przysięgę.
Zamurować! Na piekieł czerwonych potęgę
Zaklinam się, że nigdy tam nie zajrzą ludzie.
Tam leży tajemnica, tam żeńskiej obłudzie
Jest zamknięta rzecz czarna, dręcząca — tam kara!
Tam po ciemnościach z głodem tłukąca się mara,
Tam letargnik żyjący swego ciała strawą
Ze szklanymi oczyma, z gębą wyschłą, krwawą,
Gryzący ręce. Patrzcie, jak ten mur podrasta,
Otóż to z sercem prawie kamiennem niewiasta,
Żona, co dba o siebie, o honor kobiecy,
Zabójczyni zrobiona nagle z nierządnicy.
Synu! Co wacan myślisz o swojej macosze?

Podczas tych słów mularze już część wejścia zamurowali. Amelja, która stała zamyślona, rzuca się do nóg Wojewody.

AMELJA.

Panie! mój mężu...

WOJEWODA.

Aśćka mi rozkazuj.

AMELJA.

Proszę,
Pozwól, nim alkowę zamurują...

WOJEWODA.

Aha!

AMELJA.

Ja muszę tam wejść, mężu!

WOJEWODA.

Już aśćka się waha,
A przysięgłaś!

AMELJA.

Ja muszę tam wejść, nim dokończą.

WOJEWODA.

Jak waćpanią Bóg złączy — ludzie nie rozłączą.
Gotowi zamurować.

ZBIGNIEW, *na stronie.*

Dzień sądu prawdziwy.

AMELJA, *pokazując na alkowę.*

Panie, tam jest...

WOJEWODA.

Ha — jest kto? i cóż?

AMELJA.

Tam jest żywy...

ZBIGNIEW, *na stronie.*

Kto? czy tam król?

AMELJA.

Konterfekt mej nieboszczki matki.

WOJEWODA.

Na Boga ran siedmioro, wybieg bardzo gładki!
Precz od kolan! a wy tam spieszniej z tą robotą.
Rozwiedziemy się, pani; tę obrączkę złotą
Odbierzesz, cudzołożna żono, w konsystorzu.
A teraz mi acăni utoniesz jak w morzu.
Pod klucz serce, nie będziesz mnie więcej hańbiła.

CHMARA.

Panie, mur dokończony.

WOJEWODA.

Zamknięta mogiła
Na murze krzyż napisać.

Zbigniew znajduje wachlarz rozłożony, na którym był Mazepa o swojem przyjściu napisał. Czyta i chowa wachlarz.

O! nieba, co widzę.

WOJEWODA.

Chodź stąd waćpani, nie płacz, ja z łez próżnych szydzę,
Precz stąd wszyscy, tu będzie królewska kaplica;
A za ołtarzem straszna, trupia tajemnica,
Między tobą, niewierna, a piekłem chowana.
O! straszliwa to ściana! bolesna to ściana!

Do Chmary.

A wy, co tam byliście tego muru bliscy,
Milczcie. *Et requiescat in pace!* I wszyscy
Precz stąd.

Wychodzą wszyscy. Wojewoda ostatni żonę na pół omdlałą wyciąga.

AKT IV.

SCENA I.

Pokój ciemny — okno z kratami — AMELJA sama, potem CHMARA.

AMELJA.

Z wszystkich nędz — najstraszniejsze ludzkie zapomnienie.
O! jak posępnie błyszczą księżyca promienie!
Już druga noc, jam ani godziny nie spała.

CHMARA, *wchodząc z dzbankiem wody i z chlebem.*

Czy pani będzie jadła?

AMELJA.

Nie.

CHMARA.

Pani płakała?

AMELJA.

Nie. Czy nikt się nie pytał ciebie, panie Chmara,
Jak ja się mam?

CHMARA.

Nikt, pani.

AMELJA.

I nikt się nie stara
Za mną? nikt się nie wstawia? Czy jegomość w zdrowiu?
Powiedz, że od tego na dachu ołowiu
Zimno mi, ja mam febrę.

CHMARA.

Czy przysłać doktora?

AMELJA.

O! nie, jeszcze nie jestem ja śmiertelnie chora,
Tylko mi zimno. Czy tu ksiądz nie przyjdzie do mnie,
Ksiądz spowiednik?

CHMARA.

Pan się dziś rozgniewał ogromnie
Na panicza, godzinę się kłócili z synem.

AMELJA.

Ach!

CHMARA.

Panicz się za księdzem ujął kapucynem,
Lecz bardzo było trudno dojść do ładu z panem,
Wreszcie zezwolił. Oto chleb i woda z dzbanem,
Niech się pani posili, wszystko dobrze będzie.
Przypomniały dziś panią panu dwa łabędzie,
Co przypłynęły po żer aż pod okno szklane,
Pan je chciał spłoszyć.

AMELJA.

Moje łabędzie kochane.

CHMARA.

Pan je chciał spłoszyć, nawet już ze strzelby mierzył,
Ale pan Zbigniew ręką po lufach uderzył
I nabój poszedł na wiatr. Jegomość już wzdycha;
Wczoraj ledwo przy stole wziął się do kielicha,
Nie mógł dopić i ryknął jak lew — wstał od stołu
I chciał odbić alkowę . .. ba — pańskiemu czołu
Coś ciąży, coś dolega — wstyd samego siebie.
Ja go znam — on się prędzej pod zamkiem zagrzebie,
Niż przyzna się do żalu, to panisko dumne,
Ja go znam; takim dzieckiem był i pójdzie w trumnę.
Ja go znam, to dotkliwy jest pan na honorze.

AMELJA.

Panie Chmara, acana słowo wiele może.
Proś acan jegomości i nalegaj na to,
Aby zajrzał w alkowę.

CHMARA.

Jużciż, całe lato
Nie przejdzie tak, wypłynie na wierzch tajemnica,
Ale teraz nie można.

AMELJA.

Czemu?

CHMARA.

Tam kaplica,
Gdzie był pokój imości, ołtarz gdzie alkowa,
Królisko się tam ciągle z brewiarzem chowa.
Wpadł w religijny afekt i sprowadził popów
Unitów.

AMELJA.

Panie Chmara, zbierz ty kilku chłopów.
Pójdź w nocy, każ rozwalić mur, pan się przekona,
Że niewierną posądził, że ja wierna żona.
Ty nawet panu wielką uczynisz przysługę.

CHMARA.

Ale, pani, tam człowiek jest — ja w tą framugę
Zajrzałem, stał tam blady jak trup.

AMELJA.

Matko Boska!
Czy to jest urok jaki! Panno Częstochowska!
Czy jaki zły duch ludziom tym pokazał lice.
Człowieku, ty widziałeś szatana źrenice,
Błyszczące się w ciemności ponad mojem łożem.
Idź precz! idź, jesteś kłamcą.

Chmara wychodzi.

SCENA II.

AMELJA, *sama.*

O! gdyby tym nożem
Można się przebić i być spokojną i zasnąć!
Nie, nie, nie mam odwagi — ja muszę zagasnąć
Zwolna, wypiwszy do dna ten kielich goryczy.
Cóż to? słychać po wschodach znów krok tajemniczy?
Ktoś idzie, ksiądz zapewne.

SCENA III.

AMELJA, ZBIGNIEW wchodzi zakapturzony, w księdza habicie.

AMELJA, *rzucając się ku niemu.*

To anioł z obłoków.
Zbigniewie, jam poznała szelest twoich kroków!
To ty!

ZBIGNIEW.

Precz! precz! — zdaleka odemnie.

AMELJA.

Co słyszę?
To musi być kto inny.

ZBIGNIEW, *odsłania twarz.*

To ja.

AMELJA.

Gniew kołysze
Twoją wiotką postacią, jak znikomym cieniem.
I z czemże ty przyszedłeś do mnie?

ZBIGNIEW.

Z potępieniem.

AMELJA.

Za cóż ty mię potępić chcesz? Ty cały drżący.

ZBIGNIEW.

Przyszedłem cię potępić jak umierający,
I przekląć — i przed tobą trupem się położyć,
Lecz pierwej przekląć.

AMELJA.

Skądże ci mnie biedną trwożyć!
Dlaczego ty przeklinać mnie masz? Wszak ty jeden
Nie masz prawa przeklinać.

ZBIGNIEW.

O! tu mi był Eden.
Oczy twe były dla mnie gwiazdami zbawienia,
Hymnem anielskim twoje tłumione westchnienia,
Twoja dusza połową mej duszy weselszą;
Nie mówiłem ci tego, pókiś była bielszą;
Teraz ty czarna, ciebie już słowa nie splamią,
Choćbym powiedział: kocham — oczy twoje kłamią,
Serce twoje jest brudne, usta twoje drżące
Zdają mi się tak na mnie oddychać gorące,
Że mi się czoło pali i więdnie. O! matko,
Zdaleka stój. Przyszedłem się na twoję gładką

Twarz zapatrzeć i ludzkiej piękności urągać,
Nie śmiej już po mnie żadnej przysięgi wyciągać,
Bo już nie mógłbym przysiądz, żeś nie jest fałszywą;
Chociaż ty mnie przysięgać nauczyłaś krzywo,
Ja ciebie teraz czegoś nawzajem nauczę.
Chodź tu, powiem na ucho. Utnij włosy krucze,
I powieś się, lub — słuchaj, zakryj twarz włosami,
Bo się nie płonisz.

AMELJA.

Zbigniew!

ZBIGNIEW.

Ty mię raz już łzami
Oszukałaś, więc oszczędź sobie teraz mdłości,
O! jak ja tę kobietę kochałem! — litości!
O! jak ja tę kobietę kochałem!

AMELJA.

Zbigniewie.

ZBIGNIEW.

Ktoby myślał, że ona nic o żądzach nie wie!
Ja sam myślałem, głupi! Teraz dobrze pomnę,
Jakie mi ona nieraz uściski nieskromne,
Jakie gorące usta na czole mi kładła.
Drżę cały, kiedy myślę — i tego widziadła
Nie mogę teraz wygnać z pamięci, nie mogę!
Śmiała się ze mnie w duchu! Chodź, dam ci przestrogę:
Nie kochaj się ty nigdy w człowieku cnotliwym,
Bo to jest miłość długa i głupia, i żywym
Nie przystoi; lecz musi być wreszcie wyśmianą.

AMELJA.

Jakżem się ja za niego modliła dziś rano!

ZBIGNIEW.

Ty?

AMELJA.

Czy wiesz ty, co do mnie mówiłeś, Zbigniewie?

ZBIGNIEW.

Czy ty go bardzo kochasz?

AMELJA.

Kogo?

ZBIGNIEW.

O! zarzewie
Piekielne! ona pyta kto? — wiesz! twój kochany!
Wiesz, o! ten podły... o! ten tchórz, zamurowany.
Czy ty go bardzo kochasz? mów! mów! klnę się duszą,
Że się rączęta twoje w moich rękach skruszą,
Jeśli nie powiesz — wyznaj, nie potrzeba szlochać,
Ty zamurowanego musisz bardzo kochać,
Bo ty myślisz, że się on poświęcił za ciebie?
Kłamstwo! omdlał ze strachu, to tchórz, jak Bóg w niebie!
To tchórz, ze strachu omdleć musiała gadzina
Ale gdy się obudził, to ciebie przeklina,
To pierś drze, i przeklina; ręce w piersiach broczy,
Ot i chciałby tę swoją krew ci rzucić w oczy,
Tu, gdzie te łzy po czystym migają lazurze:
On cię przeklina, ręce swe krwawi na murze,
Potem je niesie do ust z głodu i krew pije,
Ten człowiek teraz przekleństwami żyje.

Zamyśla się.

Ona go będzie wiecznie kochać umarłego...
To sęk, jak wydrzeć marę z pamięci.... bez tego
Zemsta się jak skorpion własnym jadem chłoszcze.

Ze smutkiem i skargą.

Ameljo! o Ameljo! chodź tu! ja zazdroszczę
Tamtemu człowiekowi i zawiść mię dręczy...
Ameljo! ja jęczałem, jak on teraz jęczy,
Jak on, patrzaj! pogryzłem z bolu ręce obie,
Ja mu będę zazdrościł spokojności w grobie
Tak, jak teraz zazdroszczę męczarni i głodu...
Daj mi ten nóż... to serce chce zimnego lodu.
Obaczysz, jak ja umiem kochać, cierpieć, konać,
Daj nóż! Ja ciebie muszę, kobieto, przekonać,
Że gdybyś mnie kochała, to jabym był godny
Nawet miłości wiecznej.

AMELJA.

Stój! nóż nadto chłodny,
Ja ci go mojem sercem rozdartem ogrzeję;
O! jak ten człowiek straszny! — serce we mnie mdleje.
Zbigniewie! czy ty pewny, że tam był kto taki?

ZBIGNIEW, *rzuca jej wachlarz.*

Patrz!

AMELJA.

Wachlarz mojej matki.

ZBIGNIEW.

Czytaj! tam są znaki,
Po których ja poznałem, że był.

AMELJA.

Chryste Panie!
Prowadź ty mnie, przed królem uczynię wyznanie.
Prowadź mię! ja niewinna, lecz tam człowiek kona.
Potem umrę ze wstydu i w twoje ramiona
Upadnę skonać. — Ty mię uwierzysz niewinną.
O! przed królem ujrzycie wy mnie teraz inną,
Ja was tam dobrze wszystkich i ciebie przekonam,
Ja wam powiem wszystko, co wiem, potem skonam.
To może wy się przecie zmiękczycie litością.

SCENA IV.

Ciż sami. WOJEWODA.

WOJEWODA.

Waćpani masz przed królem stanąć jegomością
Ze mną! Rzecz się odkryła.

Wyciąga za sobą żonę.

ZBIGNIEW.

Bronić ją! niewinna!

Zrzuca habit księdza i wychodzi.

SCENA V.

Pokój jak w trzecim akcie przemieniony w kaplicę. — KRÓL stoi na stopniach ołtarza. — Kilku KSIĘŻY. Potem WOJEWODA, AMELJA, potem ZBIGNIEW.

KRÓL.

A! to, święci ojcowie, jakby powieść gminna,
Mury jęczą — trudno tu strachom nie dać wiary...
Coś mi się bardzo kręci wojewoda stary.
Żona jego zniknęła — może tu zamkniona.

Wojewoda wchodzi z Amelją.

WOJEWODA.

A ot mi, królu, zmartwychwstała żona.

KRÓL.

Lecz tam jęk słychać było, przeniknął mi kości.
A, panie wojewodo, gdzie jest syn waszmości?

WOJEWODA.

Nie wiem!

Wchodzi Zbigniew.

A ot i Pan Bóg zesłał mego syna.

KRÓL.

To rzecz dziwna! Ojcowie święci, to kraina
Zaczarowana — duchy wywołane stają.
Mury te, wojewodo, dziwne rzeczy tają,
Rozkazujemy zaraz tę ścianę rozwalić.

WOJEWODA.

Wolałbym, miłościwy panie, zamek spalić,
Za mur ten nie zajrzawszy — lecz gdy taka wola...
Panie Chmara, rozbić mur... Panie Chmara, hola!
Krzyknij mi tam na ludzi, niechaj przyjdą z młoty.
Lecz, miłościwy panie królu, ten skarb złoty
Będzie należeć do mnie... cały skarb cacany —
Bo to skarb przez małżonkę moję pochowany.

KRÓL.

Rozbić mur.

Ludzie rozwalają mur, jeden z księży wchodzi do alkowy.

Cóż tam?

KSIĄDZ.

Jakiś człek bez zmysłów leży.

KRÓL.

Wynieść go tu!

WOJEWODA.

Lecz, królu, on do mnie należy.

SCENA VI.

Ciż sami. MAZEPA wyprowadzony z alkowy przez księdza.

KRÓL.

Co to znaczy? mój własny paź — to pan Mazepa.

WOJEWODA.

Fortuna mi, jak widzisz, królu, daje ślepa
Twego pazia za trupa.

KRÓL.

Ocucić go winem.
Na Boga! Wojewodo, z twoim panem synem
Odpowiecie przed sądem i przed trybunały!

WOJEWODA.

To mi więc, mości królu, jest krok nazbyt śmiały
Zabić cudzołożnika?

KRÓL.

Rzecz się ta wyświeci...
Gościnny mi się wcale zdaje dom waszeci!
Panie Mazepo, cóż się waćpanu wydarza?

MAZEPA.

Mości królu, wychodzę z pod tego ołtarza
Jak Lazarus, rzecz całą jak była odsłonię,
A przynajmniej, że honor tej pani obronię,
Która niewinnie męża posądzenie znosi.
Potem paź, kogo trzeba pokornie przeprosi,
A komu trzeba — mignie pod oczy żelazem.
Wyprawiony przez ciebie, panie mój, z rozkazem,
Wziąwszy za nadrę listy, groźby i odprawę,
Musiałem tu załatwić honorową sprawę...
W pojedynku zaś owym, przez traf oczywisty,
Przeciwnik mi otworzył szablą twoje listy,
A ja w otwarte, jak paź ciekawy...

KRÓL.

Mazepo!

MAZEPA.

Listy te były takie, żem się tu na ślepo
Wrócił do zamku. — Króla chcąc uniknąć twarzy,
Wkradłem się do ogrodu, nie spotkałem straży,
I długo ważąc w myślach owego wieczora,
Kogoby w mojej biedzie wziąć za protektora,
Albowiem mnie to srogie groziło więzienie,
Wpadłem, bo tak nieszczęsne chciało przeznaczenie,
Do pustego pokoju tej pani. — Wtem słyszę,
Ktoś nadchodzi — osób dwie — kilka słówek piszę
Na wachlarzu jejmości o prezencyj własnej,
Potem z trwogi do ciupy tej wpadam niejasnej
I zapuszczam firanki. — Moja dotąd wina! —
Z wojewodzicem była to wojewodzina.
Jużem chciał łeb wychylić, jak ryba z niewoda,
Gdy oto wpada z ludźmi zbrojny wojewoda,
Krzyczy, grzmi, wietrzy — zwietrzył mnie za tą firanką;
Już miałem wyjść i moją szabelką acanką
Drogę sobie otworzyć i wrota kozacze...
Lecz słucham — ona, panie miłościwy, płacze;
Ona, kiedy mąż wrzeszczy i tupce ciemięga,
Na krzyżu mu najświętszym Chrystusa przysięga,
Że mnie w alkowie niema. — Jakże tu wyjść było?
Przysięgła — jam się kurczył i serce mi biło:

Już myślałem, że burzę przeczekam bez szwanku.
Wtem wojewoda ludzi zawołał z krużganku...
Przyszli — ja słucham — włosy mi wstają na głowie,
Każe mnie kamieniami zawalić w alkowie...
Walą głazy — aj słucham — stosują do węgła...
Lecz jakże było królu, wyjść? — ona przysięgła!
Tej kobiecie by nigdy wtenczas nie wierzono...
Nie wyszedłem. Lecz jakże drżało moje łono,
Gdy usłyszałem już mur rosnący przedemną.
Zamurowali... Ciszę uczułem podziemną...
W oczach stanęły różne młodości obrazy,
Wyciągnąłem przed siebie ręce, czuję głazy
Zimne, nieporuszone... zacząłem żałować,
Że się tak marnie dałem żywcem zamurować..
I zdjął mię strach, o głodzie pierwsza myśl nadbiegła;
Gdzie zajrzę, ciemność; czego się dotknę, to cegła.
I zdjął mię strach i strach mi był bratem do końca.
Nie wiem, wiele tych godzin minęło bez słońca,
Jużem się rezygnował na wszelkie boleści,
Wtem słyszę, coś nademną jęczy i szeleści;
Szukam, przebiegam ręką drżącą czarne ściany,
Znalazłem... to kanarek był zamurowany
I zdychający z głodu. — Te skargi pisklęce,
Trzepiotanie się jego, gdy konał na ręce,
Taką mię zdjęły zgrozą, że padłem bez ducha.

KRÓL.

Byłbyś tam waszeć zamarł, jak w bursztynie mucha,
Gdyby nie ja. — Nad czemże dumasz, wojewodo?
Nie widzimy, aby to było z jaką szkodą
Waścinego honoru, że ten świszczypała
Zmartwychwstał.

WOJEWODA.

Co?

KRÓL.

Ta rzecz się przez omyłkę stała.
Paź mówi prawdę, mógłbym pokazać te listy,
A obaczyłbyś waćpan, że miał zamiar czysty,
Że pragnął owszem honor waściny ocalić.

WOJEWODA.

Na Boga! To mnie, królu, na nic się nie żalić?
Być ukontentowanym, z hańbą zostać wiecznie...
Nieprawdaż?

KRÓL.

Ja tu hańby nie widzę.

WOJEWODA.

To grzecznie!
To, miłościwy panie, dowód twojej łaski...
Więc ty hańby nie widzisz? Ja stawiam zatrzaski
Na wilka, a złowiłem wróbla i czyżyka;
Pokój chcę zamurować — i cudzołożnika
Zamurowałem. — Smutny to wypadek, panie! —
A teraz niech się ze mną wola boska stanie;
Ale ja tego pazia już mam i nie puszczę.

KRÓL.

Co? i ty śmiesz?...

WOJEWODA.

Gdy jeleń wejdzie w moję puszczę,
To, mości królu, jeleń mój, ja dobrze strzelam.
Ja tu was teraz starą męką rozweselam.
Śmiejcie się! i ty, żono, śmiej się, pókiś żywa...

KRÓL.

Cóż to za zemsta w starym twarda i straszliwa!

MAZEPA.

Chodzi mi o tę panią, co u waszej mości
Nie znajdzie obrony, ani też litości...
Cóż pocznie tu obelgom na zęby wydana?
Oto miłościwego mi zaklinam pana,
Aby temu, co powiem, chciał dodać powagi
Królewskiem przyzwoleniem. Oto jest miecz nagi,
Na tym pałaszu honor niewiasty spoczywa:
Kto śmie ją lżyć, niech szabli z jaszczuru dobywa,
Ja żądam sądu Boga.

KRÓL.

Zezwalamy z żalem.

WOJEWODA, *dobywając szabli.*

Chodź się bić!

KRÓL.

Ty sam, starcze?

WOJEWODA.

Ja będę rywalem
Tego gacha, co broni niewiernicy sprośnej;
A jużby też był Pan Bóg bardzo nielitośny,
Gdybym ja go nie zabił.

ZBIGNIEW.

Ojcze, zdaj to na mnie;
Lecz jeżeli ja zginę, to wtenczas przynajmniej
Uwierz ty w jej niewinność... Niechaj żyje błoga,
Krwią ludzką od potwarzy broniona przez Boga.
Przyrzekasz mi? tu boski cios nie może minąć...
Przyrzekasz mi?

AMELJA, *do wojewody.*

Nie pozwól mu iść, on chce zginąć.

WOJEWODA.

Precz! on zwycięży — a ty...

Odpycha ją.

No, synu, do szabli!
Zbigniewie! ot mi teraz szepcą jakby djabli,
Że ty się pomścisz za mnie. Czy czujesz to w sobie?
Jeżeli nie, to zostań.

ZBIGNIEW.

Nie myślę o grobie!
To za wcześnie, za wcześnie. Cóż, panie Mazepo.
Co się tak mamy rąbać i może na ślepo
Przy księżycu, albo li przy pochodni blasku;
Proponuję broń palną. Miejsce w bliskim lasku...
Czekam na pana.

MAZEPA.

Chodźmy!

ZBIGNIEW.

Aha, mości panie!
Nim się tu z nami wola Pana Boga stanie,
Jako rycerz osoby, której cześci bronisz,
Warto, że się jej kornie do kolan ukłonisz,
Że ciebie i obrończą broń pobłogosławi...

WOJEWODA.

Paź przed nią?...

ZBIGNIEW.

Jeśli winna, to pazia odprawi
Z błogosławieństwem zguby... Bóg winnym nie sprzyja.

Mazepa klęka przed Amelją, która stoi nieruchoma.

WOJEWODA, *do Amelji.*

Słyszysz! Błogosławieństwo waćpani zabija,
Błogosław go! Cóż, martwa jak kamień, daj rękę!

AMELJA, *wyrywając rękę wojewodzie.*

Czemu mnie waćpan ciśniesz?

Błogosławiąc Mazepę.

Na Chrystusa mękę,
Bądź błogosławiony. A tamten? a drugi?...

WOJEWODA.

Tamtego błogosławił ojciec... Hej! niech sługi
Wyjdą w las z pochodniami; poświecić synowi.

ZBIGNIEW.

Niech nikt nie idzie za mną.

WOJEWODA, *do Zbigniewa.*

Zamorduj! — strach mrowi
Przenika mnie... Zamorduj! — mierz w serce głęboko.

Zbigniew całuje ojca w rękę i daje znak Mazepie. Wychodzą oba.

SCENA VII.

Ciż sami, prócz Zbigniewa i Mazepy.

KRÓL, *do wojewody.*

Osłupiałeś mi coś waszmość — w ziemię wlepił oko.
Pomyśl, jeszcze czas cofnąć tych szaleńców obu.

WOJEWODA.

Już nie czas, moja krzywda domaga się grobu...
Już nie czas mości królu! Wszak tam winny padnie.
A mój syn... ot mi czoło ni trochę nie bladnie;
Mój syn przeciwko mojej cześci nie zawinił.
Niesprawiedliwość by to sam Pan Bóg uczynił,
Gdyby mój syn nie wrócił. Cyt, proszę o ciszę;
Proszę... o wielką cichość...

Chwila milczenia, słychać strzał z pistoletu.

KSIĄDZ.

To sąd Boga.

WOJEWODA.

Słyszę. —
To mój syn strzelił... drugi nie strzela. Nie strzeli...
Już mu się czoło śmierci okropnością bieli,
Już serce pękło... leży u stóp mego syna.
Bądź pochwalony, Boże! Twoja to przyczyna,

Najświętsza Panno, ciebie moje serce sławi!
Jakże się nad tym trupem mój syn długo bawi...
To dziwnie, strzał był tylko jeden mego syna,
A po nim już ogromna ubiegła godzina —
Trup musiał umrzeć... czemuż tu nie widać mego...

SCENA VIII.

Ciż sami. MAZEPA wchodzi z pistoletem w ręku i staje przy królu.

WOJEWODA.

Gdzie jest mój syn? gdzie syn mój? Gdzie mój syn? Dlaczego
Wy tacy bladzi? — W imię przenajświętszej Panny
Co to jest? — Pokaż mi piersi twoje?
Biegnie do Mazepy i rozdziera mu żupan na piersiach.
Nie ranny!...
Mój syn zabity! — Chłopiec mój zamordowany!!!
Wali się u stóp króla twarzą do ziemi.

KRÓL.

Nie ruszać go, nie mówić nic, bo takie rany
Same się muszą goić — i łzy mają swoje.

WOJEWODA.

Gdzie moje dziecko! ja chcę widzieć dziecko moje!
Wychodzi.

KRÓL.

Iść za nim!
Jeden z księży wychodzi za Wojewodą.

SCENA IX.

Ciż sami, prócz Wojewody.

KRÓL, *do Mazepy.*

Czy się wszystko odbyło z honorem?...

MAZEPA.

Nie pytaj, najjaśniejszy panie; on był wzorem
Szlachetności i wdzięku, śmierć miał bardzo smutną.
Zajmij się ty jej losem; patrz, blada jak płótno,
Posąg, który się trzyma strętwieniem boleści...
Jej ducha anioł teraz podnosi i pieści...
A ona mu rozpaczy ciszą odpowiada.
Patrzcie, powraca stary, wraca mara blada...
Nie zatrzymujcie, idzie obłąkany, puśćcie!

SCENA X.

Ciż sami. Wojewoda wraca niosąc w ręku chustę zbroczoną.

WOJEWODA.

Oto me łzy i syna mego krew na chuście.

AMELJA, *z obłąkaniem postępuje ku niemu.*

To dla mnie.

WOJEWODA, *rzuca jej w twarz chustkę krwawą.*

Masz ją w oczy.

AMELJA.

A!... A!...

Pada na wznak omdlała.

KRÓL.

To dzień sądny!

WOJEWODA.

Królu! proszę na pogrzeb, a będzie porządny...
A ty mi, panie, wszakże nie odmówisz, sądzę,
I ten paź także. U wrót zasunąć wrzeciądze!
I ten paź także... Czarną wywiesić chorągiew...
Tokaju z beczek zaraz utoczyć do stągiew,
Będzie stypa...

KRÓL, *na stronie.*

On, widzę, mię tu więzi gwałtem.

WOJEWODA.

Dla oszczędności, grzebać będziemy ryczałtem.

AKT V.

SCENA I.

Sala w zamku. WOJEWODA, CHMARA.

WOJEWODA.

Czy syn już w trumnie?

CHMARA.

W trumnie już panicz spoczywa.

WOJEWODA.

Czy moja żona jeszcze nie umarła?

CHMARA.

Żywa,
Ale już jej nie długo.

WOJEWODA.

Teraz, panie Chmaro,
Cokolwiek się tu stanie z moją głową starą,
Waćpan mię nie opuścisz?

CHMARA.

Przysięgam na krzyżu.

WOJEWODA.

Więc ty widziałeś wojsko kwarciane w pobliżu?

CHMARA.

Jadąc po trumnę, wojsko spotkałem i działa.
Tu szli.

WOJEWODA.

Stąd o dwie mile?

CHMARA.

O dwie.

WOJEWODA.

Bogu chwała,
Dosyć mam czasu. Król chce wyjechać koniecznie,
Ja króla puszczę: lecz paź tu zostanie, wiecznie,
Choćby mi spadł łeb siwy. Idź, czekaj rozkazu.

Chmara wychodzi.

Proszę, nie zapłakałem jeszcze ani razu,
Tak mi ta zemsta wszystkie łzy w oczach wypiekła.
Lękam się tylko, by mi już z rąk nie uciekła.

SCENA II.

WOJEWODA, KRÓL ubrany jak do podróży, MAZEPA — kilku pokojowych królewskich.

KRÓL.

Mój wojewodo, z naszą by to chęcią było
Nad twojego chłopaka zapłakać mogiłą,
Bo to nam i pancerny tęgi wojak ubył.
Zaprawdę, że to smutna rzecz! on wczoraj tu był,
Śmiał się z nami, rozmawiał, dziś już gdzieś przed Bogiem,
A na nas tu spogląda z litością, i głogiem
Nazywa róże świata. To rzecz jest głęboka,
Kiedy tak nagle młodość nam schodzi z przed oka

I wynosi swe wszystkie za ten świat nadzieje.
Dziwnie, że się i kiedy człowiek głośno śmieje,
Będąc na takim świecie; lecz cóż robić z dolą!
Stary mój druhu, jak ci te rany przebolą,
Zapraszamy cię do nas, do stolicy, w gości.
Dalipan, że mi smutno rzucać dom waszmości,
Ale są interesa Rzeczypospolitej
I te mnie bardzo naglą.

WOJEWODA.

Pogrzeb nie odbyty
A ty, panie, wyjeżdżasz?

KRÓL.

Wierzaj, wojewodo,
Że gdyby to nie było z wielką kraju szkodą...

WOJEWODA.

Ot — na co próżno gadać, miłościwy panie,
Ty wyjeżdżasz; lecz syna mego kat zostanie.

KRÓL.

Na Boga! mości panie, na co?

WOJEWODA.

By zdał sprawę.

KRÓL.

Cóż to? czy waszmość sądną chcesz postawić ławę?
A niechże się coś waszmość na króla ogląda,
Czy waszeć męki, czy waść krwi człowieczej żąda?
Na Boga! a to może, gdy mi pryśniesz w oczy,
I waćpana się głowa po trumnie potoczy.
Śmiałżebyś tutaj zrobić rokoszową próbę?
Czy waść myśli uwięzić królewską osobę?

WOJEWODA.

Król stąd wyruszy — ale bez pazia wyruszy.

KRÓL.

Zobaczymy, czy śmiesz nas trzymać? Waść się puszy,
Ale waść nie śmie.

WOJEWODA.

Żadnej nie użyję siły,
Ale ci, królu, drogę zastąpią mogiły.

KRÓL.

Do szabel, mospanowie.

WOJEWODA.

Moja w pochwie leży.
Kazałem zaszpuntować gardła mych moździerzy.
Ja się nie oprę siłą; tylko w moim dworze
Nieprzestąpiony jeden próg tobie położę...
Próg dla królewskiej nogi.

KRÓL.

Ba — gadzino dumna!

Wojewoda wychodzi do bocznego pokoju i wraca, niosąc na ramionach trumnę syna, którą w drzwiach stawia w poprzek.

WOJEWODA.

Oto jest, mości królu, syna mego trumna,
Oto próg, mości królu, święty trup człowieka
Teraz że, najjaśniejszy panie, ojciec czeka.
Niechaj twoja ostroga to ciało ubodzie,
Niech będzie każda hańba znaną w moim rodzie.
Daj pazia, lub idź, panie.

KRÓL.

Odsuń tego trupa.

WOJEWODA.

O! teraz dobrze moja zamknięta chałupa.
Cóż, panie paziu, ze mną zostajesz? czy zgoda?
Ja waćpana dzień jeden chcę mieć. Dzisiaj środa?
W piątek wypuszczę, żywcem wypuszczę, niech zginę.
Lecz cię żywego będę miał, choć przez godzinę.
Na Matkę się najświętszą klnę, że wyjdziesz żywy,
Ja tylko chcę mieć ciebie w rękach.

MAZEPA, *na stronie.*

O! straszliwy.
W ręce mię chce wężowe owinąć jak bluszcze.

WOJEWODA, *do króla.*

Przysięgam, panie, że ci go żywcem wypuszczę.

MAZEPA, *do króla na boku.*

Panie, zostaw mnie, sam jedź. Twoje szyki blisko.
Przyjedziesz tu, działami otoczysz zamczysko;
Mnie się tu nic nie stanie, król stracisz powagę.
Mam szczęśliwe przeczucie, będę miał odwagę.
Król wrócisz za godzinę.

KRÓL, *namyśliwszy się, do wojewody.*

O! starcze zacięty,
Ja ci pazia zostawiam; lecz za jeden zdjęty
Włosek z niego — za jedną plameczkę na cześci,
Ty mi odpowiesz głową.

WOJEWODA.

W tym domu boleści
Paziowi będzie dobrze.

KRÓL.

Zobaczym się, stary.

Wojewoda trumnę bierze na ramiona, król i pokojowcc wychodzą.

SCENA III.

WOJEWODA, MAZEPA, potem CHMARA i słudzy w żałobie.

WOJEWODA.

Nie wiem, czy do widzenia? tu szerokie mary,
Ja może pójdę z synem — tu śmierć ludzi ściga.
O! patrzajcie, jak człowiek krzyż Chrystusa dźwiga,
Zmorduje się i gotów się powalić trupem.

Kładzie trumnę na środku sali.

MAZEPA na przedzie sceny sam z sobą gada, Wojewoda zaś nad trumną stoi i daje rozkazy.

Zostałem się więc teraz królewskim okupem.
Stary zda się, że nie dba, ani na mnie patrzy,
Lecz się w nim żółć gotuje strasznie, coraz bladszy,
Coś żuje, jakby zemstę żuł.

WOJEWODA.

Hej! panie Chmara.

Wchodzi Chmara i słudzy.

Ustawić tu katafalk — trupów będzie para.

MAZEPA.

Zimno mi trochę

WOJEWODA.

Rzędem postawić gromnice

MAZEPA.

Wolałbym jaką prędką śmierć — jak błyskawicę.

WOJEWODA.

Na drugiej trumnie także przybić moje herby.

MAZEPA.

To nie dla mnie.

WOJEWODA, *do Mazepy, uderzając go po ramieniu*

Mospanie!

MAZEPA.

Co?

WOJEWODA.

Czy liczysz szczerby
Na tym suficie?

MAZEPA.

Patrzę na sufit bez celu.

WOJEWODA.

Stary dom.

MAZEPA.

Jeszcze potrwa.

WOJEWODA.

Dłużej niż nas wielu.

MAZEPA.

Życie jest w ręku Boga.

WOJEWODA.

Waszmość mi pozwoli,
Że zostawię samego; jest to dom niedoli,
Ot zostawiam waćpana z nim.

Pokazuje na trumnę syna i do niej mowę obraca.

A wstańże, śpiochu!
Wstańże i baw. Co, nigdy już? Nigdy! Garść prochu!
Kilka desek i wszystko!

MAZEPA, *na stronie.*

Biedny stary.

WOJEWODA.

Proszę,
Zostań waść z tym nudziarzem i baw się potrosze,
Jak można, aż powrócę.

MAZEPA.

Mam suplikę jedną
Do ciebie, mości panie.

WOJEWODA.

Co? masz matkę biedną?
Którą żywisz? ja dam jej dławiącego chleba,
Jak waść umrzesz.

MAZEPA.

Tu mówić otwarcie potrzeba.
Syn twój — wielmożny panie, nim skonał...

WOJEWODA.

Nim? dalej.

MAZEPA.

Kilka mi próśb ostatnich zdał.

WOJEWODA.

Starcze, oszalej!
Syn go egzekutorem zrobił testamentu.

MAZEPA.

Nie chcesz więc słuchać, panie, cierpliwie?

WOJEWODA.

Bez wstrętu.

MAZEPA.

Klnę się Bogiem i śmiercią, jak sądzę, już bliską,
Że mam czyste zamiary. To biedne chłopczysko
Polecił mi, bym widział się tu z matką panią.

WOJEWODA.

Ja ci ją przyślę.

Wychodzi.

SCENA IV.

MAZEPA, później Amelja

MAZEPA.

Boże! o jakże mię ranią,
Słowa tego człowieka, próżno — cierpieć muszę.
Wartoby też i na śmierć przygotować duszę,
I pomodlić się Pannie Najświętszej przy trumnie.
To potem czoło moje będę nosił dumnie,
I będzie mi pomocą Przenajświętsza Trójca.

Wchodzi Amelja z rozpuszczonemi włosami, biało ubrana.

Otóż i ona... Jaka ty blada?

AMELJA, *dając mu znak, aby się nie przybliżał.*
Zabójca!

MAZEPA.

Pozwól mi się przybliżyć, biedna moja pani,
Nie oddalaj mnie ręką, jesteśmy związani
Łańcuchem tajemnicy, jak trzy cienie bratnie.
Ja mam od umarłego zlecenia ostatnie.
On ciebie kochał, pani.

AMELJA.
On!

MAZEPA.
Śmierć jego sama...

Amelja pokazuje ze zgrozą na Mazepę.

O! nie, na czole mojem krwi nie leży plama;
Jam go nie zabił.

Amelja postępuje krokiem ku niemu.

Słuchaj, gdyśmy byli w lasku
Brzozowym, przy księżyca ujrzałem go blasku
Bardzo smutnym i bladym. Co? serce ci bije?

Amelja daje znak ręką, aby mówił dalej.

On mi się rzucił pierwszy z uściskiem na szyję,
I położywszy głowę mi na pierś bijącą,
Milczał długo i rękę moję trzymał drżącą.
Niestety! w mojej ręce była broń nabita!
Nagle strzał usłyszałem. Patrzę — on się chwyta
Rękami za powietrze i na wznak się wali.
Przybiegam — patrzę; mały sznureczek korali
Zbiegał mu po puklerzu i plamił stokrocie.
Otworzył oczy całe w księżycowem złocie,
I rzekł... przebacz! ty byłeś rycerzem zhańbionej,
Ja ginę z ręki przez nią pobłogosławionej,
Przebaczcie mi i razem pamiętajcie o mnie.
Potem zaczął pacierze mówić nieprzytomnie,
I zamknął oczy pełne łez — mówiąc o tobie.

Amelja zaczyna płakać.

O! płacz! o! płacz go, pani — ten, co leży w grobie,
Godzien jest teraz naszej zobopólnej cześci.
Ameljo — oto jestem ci bratem boleści;
Jeśli kiedy ja biedny na dworze sierota...
Wszak nie masz braci? Jeśli więc biedna istota,
Dworskie pacholę, może być tobie pomocą?
Otom jest na kolanach.

AMELJA, *kładąc ręce na głowie klęczącego pazia i nachylając się nad nim.*
Niech ci drogę złocą
Matki Boskiej anieli. Ja umierająca.

SCENA V.

Ciż sami. WOJEWODA.

WOJEWODA, *chwyta za rękę Amelję i odrzuca ją od pazia.*
Co? wobec trupa?

AMELJA.

Niech mię waszmość nie odtrąca,
Ja sama padnę — jestem otruta.

Chwieje się, idzie i klęka przy trumnie.

WOJEWODA.

To dumnie!
A nie kładź się waćpani tam, na dziecka trumnie,
Bo ją splamisz.

MAZEPA.

Okropność! Starcze, daj, niech skona.

WOJEWODA.

Co? trupie ty!

SCENA VI.

Ciż sami. CHMARA, potem GONIEC od króla.

CHMARA.

Posłaniec króla.

WOJEWODA.

Śmierci wrona,
Niech wleci, ścierwo tutaj gotowe i świeże.

Goniec wchodzi.

GONIEC.

Król jegomość, spotkawszy kwarciane żołnierze,
Jest przed zamkiem i każe ci otworzyć wrota,
O dworzanina się też upomina.

WOJEWODA.

Złota
Wolność szlachecka, zamku nie dam. Niech król bierze,
Co zaś do dworzanina, na szlacheckiej wierze
Król może polec, pazia mu wypuszczę żywcem;
Ale król będzie dobrym, mopanku, myśliwcem,
Jeśli go złowi.

GONIEC.

Mości panie, są harmaty.

WOJEWODA.

Da się to słyszeć — idź precz.

Goniec i Chmara odchodzą.

SCENA VII.

WOJEWODA, MAZEPA i AMELJA, umarła na trumnie.

WOJEWODA.

Moje antenaty,
Cieszcie się, ja ostatni nie bez szlachetności
Światowi daję habdank.

MAZEPA, *na stronie.*

Mróz idzie przez kości

WOJEWODA, *zbliżając się do Amelji*

Cóż to? na trumnie! — czy to cudzołożne łoże?
Cóż to? waćpani milczysz. Co? ja ci otworzę
Piersi i tam zobaczę twój strach. Wstań obłudna.
Waćpani mi tak była zawsze czysta, schludna,
A teraz się nie lękasz popiołem powalać.
A wstańże imość i precz!

Zrzuca ją z trumny.

Jak się można skalać,
Dotknąwszy takiej rzeczy rękami — pfu! zgroza!

Do Mazepy, który klęczy nad ciałem Amelji.

Słuchaj mię ty, urwany wisielcze z powroza!
Ty mi nie tykaj żony.

MAZEPA, *wstając.*

Starcze wściekły, siwy,
Żałowałem cię, sądząc, żeś był nieszczęśliwy,
Teraz pogardzam.

WOJEWODA.

Mówisz, paniczu, rozumnie.
Poczekaj — pogadamy — usiądę na trumnie.
No — i cóż?

MAZEPA.

Podłą duszę masz. Jać się nie boję.

WOJEWODA.

Ha...

MAZEPA.

Mogę na proch strzaskać podłe serce twoje.
Mogę cię tu otrętwić jak piorun, co miga,
Ot, wstań z trumny, bo trup się tam pod tobą wzdryga.

WOJEWODA.

Trup mego syna.

MAZEPA.

Syna twego trup się męczy,
On cię nie chce na sobie czuć, on w trumnie jęczy,
Wstań, hańbicielu zmarłych i upadnij czołem,
Bo ja tu jestem dla nich mścicielem aniołem.
Bo ja mam piorun w ustach i przez litość jedno
Nie rzucam go na twoję głowę siwą, biedną.
Na twoję nędzną głowę.

WOJEWODA.

Waszmość jesteś głupi.
Mówisz, a tu w około słuchają cię trupi;
A waszmość jesteś trzecim.

MAZEPA.

Jam się zdał na Boga.
Lecz wać mi, wojewodo, do nóg — bo wieść sroga,
Bo jak powiem — waćpana krew zabić gotowa.

WOJEWODA.

Mów...

MAZEPA.

A waćpan precz z trumny.

WOJEWODA.

Mów, bo twoja głowa...

MAZEPA.

Niechże więc ciebie żółcią zgryzoty napoję. —
Ot — kochało się razem do śmierci tych dwoje!

WOJEWODA, *porywając się z trumny.*

Łżesz!

MAZEPA.

A ty wstałeś z trumny.

WOJEWODA.

Przenajświętsza Trójco!

MAZEPA.

I twój syn był dla żony twojej — samobójcą.

WOJEWODA.

Mój syn — czekaj, przypomnę, czy prawda. — Ohydni!
Słychać huk dział, kilka kul wlatuje do sali.
Idź waćpan stąd — tu kule latają... Bezwstydni!
Idź waść...

MAZEPA.

Powrócę z królem, mości wojewodo!
Syn twój chce leżeć przy niej!...

WOJEWODA.

Precz!

MAZEPA.

Z waszmości zgodą
Oddalam się, cokolwiek mię czeka za progiem.

Wychodzi. — Słychać, że go w korytarzu napadają ludzie zbrojni. — Szczęk krótkiej walki.

SCENA VIII.

WOJEWODA, *sam.*

Biorą go, wiążą... To mi to zemsta nad wrogiem!
Sznury się w mięso wpiły... koń ciało roztarga.
Zimno mi, synu! ojciec waszmości się szarga
We krwi, a ty się krwawej nie przelęknij mary...
Co to jest? jak tu ciemno?... Jakie to poczwary
Całujące się głośno w ciemnym korytarzu?
A wstańże z trumny! wstańże, ohydny nędzarzu!
Powiedz, że to nieprawda!... każ się deskom spaczyć!
Wstań! otwórz ty się, trumno! ja gotów przebaczyć,
Jak mi do nóg upadniesz. — Łzy gotowe pociec...
O, trumno! ja ci gotów przebaczyć — ja, ojciec,
Jeżeli z ciebie wyjdą łzy nad moją nędzą.
Precz, trupy! Niech szatani was przez ognie pędzą!
Dosyć oszukiwania! i dosyć żywota!

SCENA IX.

WOJEWODA, CHMARA, później KRÓL na czele zbrojnych.

CHMARA.

Król...

WOJEWODA.

Daj mi kindżał.

CHMARA.

Panie, ukorz się...

WOJEWODA.

Do błota?...

KRÓL wchodzi.

KRÓL.

Wojewodo! dasz głowę...

WOJEWODA, *zabija się.*

Ot masz... niech ją zwleką,
Lecz każ mnie od tych trupów pogrzebać daleko...

Pada martwy.

(1839)

BEATRYX CENCI

TRAGEDJA W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

ORSINI, wielki dygnitarz państwa.
BEATRYX CENCI.
TOMASO CENCI } jej bracia.
AZO CENCI }
FRANCESCO CENCI, jej ojciec.
LUCREZIA CENCI, jej macocha.
PIETRO NEGRI, domownik rodziny Cencich.
GIANO GIANI, malarz.
CESARIO, przyjaciel Gianiego.
PADRE ANSELMO, zakonnik.
DON LUCENZIO, prawnik.
BARYGIEL, dozorca wiezienia.
DOLORIDA, jego córka.
INKWIZYTOR.
SIGNOR PAMFILIO, mieszczanin.
TRASTEWERYNA, przekupka
ODŹWIERNY WIĘZIENIA
TRZY FURJE.

Penitenci. Sędziowie. Mieszczanie i t. d.

Rzecz dzieje się w Rzymie w roku 1599.

AKT I.

SCENA I.

W pałacu Cencich.

OJCIEC CENCI i BEATRYX.

BEATRYX.

Puszczaj mnie, ojcze!

OJCIEC.

Ha! kąsasz mnie, wężu!

Wchodzi MATKA CENCI.

MATKA.

Puść ją! Beatryx, odejdź! Cóż, człowieku?

OJCIEC.

Cóż, jędzo?

MATKA.

W porę nadeszłam —

OJCIEC.

Zawcześnie!

MATKA.

Ja córkę moję oddam do klasztoru —

OJCIEC.

Ja córkę moję kocham...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Wiedźmo!...

MATKA.

Wężu!...

OJCIEC.

Syreno!

MATKA.

Idź spać, jesteś pijany!...
Gadając toczysz pianę z ust — idź zaśnij...

OJCIEC.

Ohydna strega — ona nigdy nie śpi.

Wychodzi

MATKA.

Idź do alkowy, idź! — O Eumenidy![1]
Dajcie mi wężów garść — niech mu je cisnę
Do jego łoża! dajcie mi tę straszną
Pochodnię, która w waszych bladych rękach
Płonie błękitno: niechaj tem piekielnem
Światłem zapalę dom, gdzie takie rzeczy
Ohydne dzieją się między ścianami!

Do Beatryczy.

Cyt, córko! Chodź tu...

BEATRYX.

Matko! ja nieszczęsna!

MATKA.

Chodź do pokoju mego — noc głęboka —
Nie drżyj! zachowaj strach na inną porę.

Wychodzą.

SCENA II.

TRZY WIEDŹMY.

PIERWSZA WIEDŹMA.

Wołała nas — jesteśmy trzy —

DRUGA.

Spokojna noc, ale dom drży —

TRZECIA.

Poszedł do krwawego łoża
I śpi —

PIERWSZA.

I śpi —

DRUGA.

I śpi —

[1] Bogini zemsty.

TRZECIA.

Daj noża!

PIERWSZA.

Czy sama myślisz robić czyn?
Jest matka, jest córka, jest syn...

DRUGA.

Żegnajmy wężami drzwi —
To nasz dom, to pałac krwi —
Potępione całe plemię. —
Szach pod ziemię — pod ziemię — pod ziemię!

SCENA III.

MATKA CENCI i BEATRYX wracają.

MATKA.

Co to za szelest? Ten dom pełny szmerów
Nieodgadnionych...

BEATRYX.

Słyszałaś co, matko?

MATKA.

Gdym odemknęła drzwi, jakby gasnącą
Widziałam tutaj błyskawicę — Ave!
Idź spać, idź blada spać! Nie myśl o niczem.

Beatryx wychodzi.

Władze piekielne! jeśli wy jesteście
Duchami wszystko wiedzącymi; jeśli
Można śmiertelnej wyzwać was i nagiąć
Do posłuszeństwa; jeśli to wy, duchy,
Trzęsiecie domem tym jak wicher burzy,
Wtenczas gdy parnę powietrze bez ruchu
Cięży na myślach ludzkich... ciemne władze,
Eumenidami nazwane przed wieki,
Wzywam was!...

Wiedźmy się zjawiają.

PIERWSZA WIEDŹMA.

Jestem!

DRUGA.

Jestem!

TRZECIA.

Jestem! Czego?

MATKA.

Okropne!... czy to wasz głos, czy gwizdanie
Waszych warkoczy słyszę, okropnice?
Od was śmiertelny chłód na twarz mi wieje —
Pochodnie wasze cuchną...

TRZY WIEDŹMY.

Czego żądasz?

MATKA.

Wy dobrze wiecie... Ja nieszczęsna matka
Na rzecz okropną ważę się — straszniejszą
Rzeczą przed wami usprawiedliwiona.
Warkocze moje pobielały — oczy
Wpadły do sinych dołów, wykopanych
Zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem...
Mary, pomóżcie mi w robocie strasznej!
Lękam się w sercach dzieci, że tam znajdę
Niepewność — wstręty i myśl świętą grzechu...
Zróbcie z nich Rzymian!...

WIEDŹMY.

Rzymian? Rzymian? Rzymian?

MATKA.

Co znaczy wasze skomlenie ohydne?...

WIEDŹMY.

Cha! cha! cha!

DRUGA WIEDŹMA.

Cha! cha! cha!

TRZECIA.

Cha! cha! cha!

Znikają.

MATKA.

Zniknęły!
Takaż jest pomoc z was, ohydne kruki,
Duszy człowieczej? Dobrze — zobaczymy —
Ja was przelęknę wszystkie... Kto to stuka?...

SCENA IV.

Wchodzi TOMASO.

TOMASO.

Cóż to, ty nie śpisz, matko?

MATKA.

Jeszcze nie śpię.

TOMASO.

Bez światła, sama?

MATKA.

Skąd powracasz?

TOMASO.

Z boju.

MATKA.

Czy odebrałeś mój list?

TOMASO.

Nie, żadnego.

MATKA.

Pisałam wczoraj, byś powracał śpiesznie.
Więc ty nic nie wiesz?

TOMASO.

Nic...

MATKA.

O wydarzenie!
Więc muszę wszystko mówić ustnie —

TOMASO.

Matko!
Najokropniejsze miałem wydarzenie
Tej nocy, kiedym powracał tu krwawy;
Bowiem zdobyliśmy dzisiaj Petrelę
Ze starym djabłem Kolonną, a teraz
Wiesza burmistrza na dzwonach, a z ognia
Porobił więźniom jako czarownicom
Straszne warkocze. Więc kiedy wracałem
Przez głuche stepy Kampanii — ścigany
Hukiem pożaru i wyjącym głosem
Rzniętego miasta — na odludnym stepie
Koniowi memu zaszły drogę mary.
Marami bowiem być muszą bez ciała
Te trzy okropne kształty... a może też
Krew moja, walką rozdąsana w żyłach,
Zalała moje oczy i te mary
Ubrała w czerwień straszną. Ja sam nie wiem,
Kto one były... lecz ile pamiętam,
Włos każda miała ruchomy i jakby
Niezależący od poruszeń ciała,
Dziwnego bardzo połysku, a w rękach
Niosły pochodnie. — Matko, te trzy mary
Koniowi memu zdębionemu stały
Na drodze — a koń ostrogami rznięty
Jęczał jak człowiek.

MATKA.

Cóż się stało? czy co
Rzekły?

TOMASO.

Zaczęły się śmiać okropnice,
Trzęsąc bladymi pochodniami... potem
Wrzasnęły wszystkie: spiesz się, spiesz się, spiesz się —
Siostrę ci gwałcą!... Na te słowa czułem,
Że krew, z oblicza mego odegnana
Trwogą, wróciła z szumem wodotrysku
I mózg pod czaszką rozpierała, jako
Kościół gotowy runąć. Gdym się ocknął,
Mary zniknęły...

MATKA.

I cóż myślisz?

TOMASO.

Mary
Zniknęły. — Wtenczas na koniu drgającym
Siedząc, dobyłem, matko, puginału
I oglądając się w ciemne powietrze
Cicho, jak miejsca przenikniony zgrozą,
Rzekłem: przysięgam śmierć gwałcicielowi!
Na te wyrazy, okropniejsze jeszcze
Wrzaski powstały w powietrzu — jak gdyby
Ta ciemność miała atomami cienia
Człowiecze usta... Matko, i trzy razy
Słyszałem, że mię nazwano po nocy
Strasznem imieniem! —

MATKA.

Mów —

TOMASO.

Matko, nie mogę —

MATKA.

Mów!

TOMASO.

Ty się wzdrygniesz, matko — ty się wzdrygniesz!

MATKA.

Więc ja ci powiem sama... powiem cicho:
Nazwały ciebie ojcobójcą —

TOMASO.

Aha!

MATKA.

Te mary były tu...

TOMASO.

Kiedy?

MATKA.

Tej nocy...

TOMASO.

Lecz to piekielne, matko, są zjawiska.

MATKA.

W piekielnym domu są piekielne goście;
Czy masz odwagę...

TOMASO.

Na co?

MATKA.

Na to, o czem
Mówiły te trzy —

TOMASO.

Matko, za godzinę...

MATKA.

Teraz lub nigdy! Idź, obudź na dole
Pietra... on wszystko wie.

Wychodzi Tomaso.

SCENA V.

MATKA, do wchodzącej właśnie BEATRYX.

Chodź, Beatrycze,
Chodź tu w koszuli. Tomaso przyjechał —

BEATRYX.

Pewnie się waha...

MATKA.

Jak człowiek pijany
Krwią i pół tylko mający rozwagi,
Zdaje się miękkim na wszystko, i w gęszczu
Tych okropności najwyraźniej chwyta
Oczyma twoję hańbę, a na resztę
Zdaje się chować senną obojętność...
Trzeba korzystać, córko, i dzisiejszą
Noc ofiarować bogom tajemniczym
Ciemnej przyszłości...

BEATRYX.

Matko, matko, mdło mi...

MATKA.

Chowaj krew zimną! Kazałam zawołać
Pietra...

AZO wbiega na scenę.

Ha! co to? z łóżka wstał maleńki
Azo?

AZO.

O mamo! mamo!

MATKA.

Co?

AZO.

Po domu
Czerwone duchy chodzą!

MATKA.

Czemu nie śpisz?

AZO.

Nie mogę zasnąć... mamo, tak mi strasznie!

MATKA.

Czego się lękasz?

AZO.

Ciągle przed oczyma
Jakieś czerwone latają mi plamy,
Jakby czerwone gołąbki...

MATKA.

Beatryx,
Weź go na ręce! — Że też wszystkie czyny
W powietrzu mają świadków! Cyt! — już idą —

SCENA VI.

TOMASO i PIETRO NEGRI wchodzą.

PIETRO.

Jesteście wszyscy... byłem na modlitwie,
Kiedy ten człowiek, na twarzy zielony,
Wszedł cicho. Cóż to, czy nowa narada?

MATKA.

Dziś albo nigdy! Pietro, daj sztylety!

PIETRO.

Ręce umywam...

MATKA.

Ty? O! na Chrystusa,
Ty poradziłeś sam! Czy nie pamiętasz
Tej nocy, kiedy ścigana po gmachu,
Leciałam boso, wołając ratunku
Dla mnie i córki — ty sam poradziłeś:
Zabijcie tego węża, bo inaczej
Mieć nie będziecie pokoju... A teraz
Mówisz inaczej?

PIETRO.

Czy on śpi?

MATKA.

Nie słyszysz
W tamtym pokoju chrapania! cyt, Azo!
Śpi jak zabity. — Córko, daj sztylety —
Kto pójdzie pierwszy? ha!... kto ma odwagę?
Ty chodź Tomaso za mną — Cóż ty?... we śnie?

TOMASO.

Tam w korytarzu, matko, te trzy mary
Stoją i w rękach mają krwawe chusty —
Ja tam nie pójdę — nie — to rzecz piekielna!

MATKA.

Więc zginęliśmy!— ha! ten człowiek stchórzył!
Czy ty się lękasz mar? chodź jako świadek —
Cóż? — twój nam sztylet niepotrzebny — zakrzesz
Ognia sztyletem... patrzaj — tu masz krzemień —
Przy tych czerwonych błyskawicach widzę
Naszą gromadę owczą... Wstyd! skupieni
Jak owce burzy! — Cóż? czy pójdziesz teraz?
Co robisz? z lampą idziesz? — Beatrycze,
Weź mu z rąk światło, i niosąc nad głową
Wiedź nas w korytarz ciemny!...

AZO.

Mamo, mamo!

MATKA.

Zaduście dziecka krzyk.

Wychodzą.

PIETRO.

Sza! nie krzycz mały!

AZO.

Dlaczegoż wszyscy tak gadają cicho!

PIETRO.

Idź zobacz —

Azo idzie za nimi.

Gadzin rodzino — o! teraz
Mam ciebie w ręku, Hekate[1]) — okropna,
Ale piękniejsza, niż wszystkie marmury
Z grobów dobyte!... Cyt... dziś go spoiłem
Blekotem — musi spać jak martwe drzewo —
Ja ułatwiłem czyn... widząc, że łatwość
Dla kobiet jest zachętą, a najmniejsza
Trudność odstrasza...

SCENA VII.

MATKA CENCI wraca.

MATKA.

Pietro, rzecz skończona!
Lecz mój syn stchórzył... ja dobrze wiedziałam,
Że mój syn stchórzy.

PIETRO.

I cóż? nie zabity?

MATKA.

Ona zabiła... mój syn starszy stchórzył...
Ja sama nie wiem, co było. — Beatryx...

BEATRYX wchodzi i rzuca sztylet.

BEATRYX.

Jestem spokojną. —

MATKA.

Ja chciałam już krzyczeć,
Syn mój upuścił sztylet na podłogę...
Wtem ona przyszła z lampą i sztyletem
Skończyła...

Wchodzi TOMASO, prowadząc AZA.

TOMASO.

Weźcie to dziecko czerwone,
Pod łóżkiem je znalazłem. Chodźmy, Pietro,
Wyniesiem trupa — idźcie spać, kobiety!
Spać!... spać!...

---

[1] Bóstwo podziemne, będące w posiadaniu wszelkich magicznych i tajemniczych sił przyrody.

MATKA.

Beatryx, weź dziecko na ręce,
A wy wynieście trupa na ulicę,
Potem zacznijcie lament — i śród płaczu
Mieszajcie imię Orsinich — z przekleństwem.
Rzućcie krew jego na Orsinich głowy!
Tak się ukryje cała rzecz. My chodźmy
I na ulicę wybieżmy w koszuli,
Jakby zerwane z łoża przerażeniem.

SCENA VIII.

Plac przed pałacem Cencich.

PIERWSZA WIEDŹMA.

Radość! radość! radość! radość!
Kręgiem, jak przed burzą śmiecie!
Czy widziałaś węży bladość,
Sztylet w pacierzowym grzbiecie?
Ha! ha! ha! ohydna noc!

DRUGA.

Cóż teraz robić będziemy?

TRZECIA.

Z człeka trup — a z trupa kloc!
Przeleciałyśmy gmach niemy
Szach — szach — skrzydłami szach — szach!
Piękność kobieca to szych —
Jej trzeba kochanka...

DRUGA.

A mnich?

PIERWSZA.

Czwarta, czwarta, bije czwarta!
Zlatujmy w dół! zlatujemy w dół! —
Pokażmy ją oczom bękarta —
Zakocha się, będzie truł. —
Czy nie warta?... czy nie warta?
Kss — kss — kss — kss! urodzi czarta,
Będzie ślub uciętych głów. —

TRZECIA.

Cicho mów — cicho mów!
Słyszysz idzie człowiek nasz,
Cyt — cyt — cyt — cyt — pokażmy twarz.

SCENA IX.

Nadchodzą GIANI i CESARIO zamaskowani.

GIANI.

Jaka noc parna, pozrzucajmy maski
Cesario patrzaj — tam, przy obelisku —
Czy widzisz? jakieś trzy straszydła czarne,
Z bladymi stoją pochodniami.

CESARIO.

Chodźmy!

GIANI.

Stój! w ich brzydkości jest jakaś wstydliwość.
Widzisz, jak się w cień usuwają? — za mną!
Muszę przemówić do nich. — Moje matki,
Co wy robicie na odludnym placu
We trzy, ze światłem w rękach? Czy wy macie
Jakie poselstwo od mocniejszej władzy,
Które musicie spełnić uzbrojone
W narzędzia strachu? Czy wasze zjawienie
Ma z moim przyszłym losem jaką styczność?
Czy mi się tylko nasuwacie, jako
Widma potrzebne malarzowi, aby
Ubrał je w kolor i ludziom zdziwionym
Pokazał rzeczy śnione?... Mówcie do mnie!...

PIERWSZA WIEDŹMA.

Patrz!

DRUGA.

Patrz!

TRZECIA.

Patrz!

Pokazują mu ściętą głowę Beatryczy.

GIANI.

Co widzę! czyż wy z pod waszych fartuchów
Wydobyłyście tę rzecz straszną? — Patrzaj
Cesario — głowa cudownej piękności,
Lecz bez podstawy wisi na warkoczach,
Które do sinych rąk tych kobiet lipną;
Dreszcz mię przechodzi — patrzaj, jak ta głowa
Miłosne oczy we mnie utopiła,
Aż tu do serca... Słabo mi, Cesario —
Omdlałość-że to mnie pozbawia wzroku?
Czyli te widma ciemność między siebie
Na niewyraźne kształty rozebrała?
Wiedźmy nikną.

CESARIO.

Zniknienie tych mar dziwne! Ty powiadasz,
Że coś trzymały w ręku?

GIANI.

O Sesario!
Ty nie widziałeś tej głowy?

CESARIO.

Nie, zgoła!

GIANI.

To rzecz nadludzka. — O! piękna piekielnie
Była ta głowa! A co jest dziwniejsza,
Że tak piekielna rzecz, jak przeźroczysta
Anielskiem światłem urna, miała dla mnie
Uśmiech i litość! O! nic nie mów do mnie,
Aż to, czego jest pamięć moja pełna,
Przeleję w płótno i od znikomego
Gaśnienia myśli obronię...

CESARIO.

Dziwaku!

GIANI.

Bądź zdrów, Cesario — idę żyć w pustyni.

Wychodzi.

CESARIO.

O dziwna głowa! pełna przywidzenia!...
Wychodzą jacyś ludzie, jak złodzieje...
Coś niosą — skryjmy się za obeliskiem.

SCENA X.

Wchodzą TOMASO i PIETRO, niosąc ciało ojca Cenci.

PIETRO.

Połóżmy trupa tu na środku placu.

TOMASO.

Czy nikt nie widzi?

PIETRO.

Niema żywej duszy.
Ja się oddalę, a ty zacznij wołać.
Wtenczas nadejdę — Matka zbudzi sługi,
Przylecą wszyscy na plac z pochodniami.

Odchodzi.

PIETRO.

O! gwałtu! ludzie! gwałtu! gwałtu! ogień!
Pali się! gwałtu!

OBYWATEL Z OKNA.

Co to za krzyk?
Gwałtu!

DRUGI Z OKNA.

Co to za wrzaski?

PIETRO.

Trup leży na placu!
Wbiega Tomaso.

TOMASO.

Co to za krzyki? kogo tu zabito?

PIETRO.

Latarni — światła — ratunku — lekarzy!
Wchodzą ludzie z latarniami.

TOMASO.

O! to mój ojciec! mój ojciec — mój ojciec!
Ratunku! w bramę stukajcie do Cencich —
To Cenci leży skrwawiony — mój ojciec!
Stukajcie w bramę do Cencich — ratunku!
Obudźcie moją matkę — o morderstwo!

SCENA XI.

Wbiega MATKA CENCI, potem BEATRYX i ludzie z pochodniami.

MATKA.

Słyszę głos mego syna i lamenty,
Ze snu się zrywam...

JEDEN Z MIESZCZAN.

Zabitego żona!
O nie puszczajcie kobiet!

MATKA.

Ach okropność!
Mój mąż zabity — na bruku — o Boże!
Szukajcie zbójcy! — O! tysiąc dukatów,
Kto sprawcę zbrodni wykryje — słyszycie!

O! noc okropna, boleść niespodziana —
O! córko — biedne my, osierocone —
Kto tu jest tylko, niechaj będzie świadkiem
Tego zabójstwa! niech zabójcę ściga!

TOMASO.

Matko, Orsinich to być musi sprawa!

MATKA.

Orsinich mówisz? O! tak! Jeszcze wczora
Kardynałowi mój mąż odpowiedział
Kwaśnemi słowy... O! biedny człowieku,
Za słowa tobie odpłacił sztyletem!
Widzicie wszyscy, jaki czyn haniebny —
Widzicie wszyscy, jak ohydna zbrodnia!

OBYWATEL.

Biedna kobieta, zachrypła od płaczu!

MATKA.

Córko, strętwiałaś! biedna córko moja!

OBYWATEL.

My wam do domu zaniesiemy trupa.
Płacz na ulicach — to śmiechy puszczyka...

MATKA.

O! pozwólcie mi rzucić się na ciało!

TOMASO.

Matko, do komnat idź — wyniosę gwałtem...

OBYWATEL.

Biedna rodzina! zanieśmy im trupa,
Resztę tej nocy niech przelamentują.

Wynoszą trupa do domu Cencich.

SCENA XII.

CESARIO wychodzi z poza obelisku.

CESARIO.

To dziwna scena — i lament wysoki!
Co się to znaczy, nie wiem i nie zgadnę —
A raczej myśli czem innem zajęte
Nie chcą wysilić się w poszukiwania

Bezowocowe. Jedna mnie tu tylko
Twarz zadziwiła... ta córka w bieliźnie,
Albowiem matka ją nazwała córką,
Nieporuszona stała i ku ziemi
Trzymając oczy i pochodnię — jakby
Posąg przeszłości, na którego twarzy
To, co obecne, nie zostawia śladu,
Ani się może odbić. — Pośród zgrai
Lamentującej — ona jedna cicha
I z surowymi na ustach uśmiechy
Stała — myślałby kto, że sprawiedliwość
Ważąca trupią krew na swojej szali...
Ta twarz zostanie mi wiernie w pamięci!
Resztę wyświecą jutro ludzkie gwary.

AKT II.

SCENA I.

Pracownia malarza Giani.

CESARIO.

Gdybyś był został dłużej na tym placu,
Widziałbyś wszystko.

GIANI.

To dziwnie, Cesario.
Czy ci się furje trzy nie śniły w nocy?

CESARIO.

Nie. —
Ja nie spałem, ale patrz, na płótnie
Wymalowałem twarz, którą mi w rękach
Te straszne mary pokazały... patrzaj — —

CESARIO.

Jezus Marja!

GIANI

Anielskie oblicze!
Lecz to jest tylko sen — filtrum szatańskie
Na obłąkanie moich zmysłów — prawda?
Na ziemi taka piękność nie istnieje.

CESARIO.

Więc to jest głowa mar — czy jesteś pewny?

GIANI.

Jam jej nie stworzył — wierz mi, jam ją widział.

CESARIO.

I chcesz ją żywą zobaczyć?

GIANI.

Cesario!...

CESARIO.

Nie drżyj tak! Powiedz, chcesz ją widzieć żywą?

GIANI.

Cesario!

CESARIO.

Chodź, chodź! Lecz ubiór Orsinich
Zakryj dominem czarnem — i mnie pożycz
Nieznaczonego żadną cyfrą płaszcza.

GIANI.

Lecz to nie może być!

CESARIO.

Chodź — a zobaczysz
Wychodzą.

SCENA II.

Plac przed kościołem.

GIANI i CESARIO.

PIERWSZA WIEDŹMA.

Śmierć nie cuchnie od nas w dzień —
Co masz zamiast nogi?

DRUGA.

Pień!
A ty — a ty?

TRZECIA.

Kocie trzewy,
Koło kości wiszą jak cholewy.
Daj grosz, panie! daj grosz — daj grosz —

PIERWSZA.

Przyniosłam kosz
Woskowych świec —
Zakrystjan fryc
Trupa gromnicami piecze,
W gromnicach sadło człowiecze
Cuchnie, cuchnie, cuchnie, jak dżuma.

DRUGA.

Czy zaczęłá się nad trupem suma?

PIERWSZA.

Już dzwon bije — już dzwon bije —
Już na krzesłach kawki siedzą
I kłaniają się, kłaniają — łzy cedzą,
I kłaniają się — i gną szyję,
Godzinę mają szkaradną;
Szyje bolą — głowy spadną —
Cyt — cyt — don don — dzwon uderza.

TRZECIA.

Szach! — skrzydłami nietoperza
Na cmentarz! już biją dzwony
Po ojcobójcy grosz złocony,
Co się na mogiłach zetrze...
Szach — na cmentarz — już wicher i parne powietrze.

Znikają.

SCENA III.

Wchodzą GIANI i CESARIO.

GIANI.

Widziałeś tu ohydne żebraczki w spróchniałych
Szatach? one mi nocne furje odnowiły
W zatartej już pamięci —

CESARIO.

Stańmy tu na boku. —
Widzisz przygotowane krzesła dla rodziny,
Gdzie zasiędzie pokorne oddawać ukłony
Przyjaciołom zmarłego, idącym za trumną.

GIANI.

O! smutny obowiązek i grzeczność trudząca!
Lecz cóż to ma za związek z tą cudowną twarzą,
Którą mi obiecałeś ukazać na oczy?

CESARIO.

Zaczekaj — lud się kupi — zakryj oczy płaszczem.
Wszyscy wiedzą, że jesteś Orsinich malarzem —
Odkrycie tu być może fatalne — stój cicho...

SCENA IV.

Wchodzą MATKA, BEATRYX i siadają na krzesłach; przy nich TOMASO z gronem przyjaciół; rozpoczyna się pochód pogrzebny.

GIANI.

Co widzę! — jest-że to sen? — O! Cesario,
To ona...

CESARIO.

Płaszcza nie odkrywaj z ramion!

GIANI.

Puść mię! — Na Boga, oczy me znalazły
Cel zapatrzenia się na całą wieczność,
I już z uczuciem zaczęły rozmowę
O niezliczonych wdziękach tej dziewicy...
Odtąd — to będzie mojem zatrudnieniem.
Jak się nazywa? — o! nie mów nazwiska!
Już ją nazwałem sam takiem nazwiskiem,
Jakiego niema świat. — Ach! bowiem ona
Nie może tu być przez ludzi nazwana,
Tylko westchnieniem...

CESARIO.

Nie mieszaj się, Giani,
Z trumny orszakiem.

GIANI.

O patrz! pomyślałem —
I w myśli tylko stworzone pytanie
Posłałem do niéj oczyma i na to
Odpowiedziała mi schyleniem głowy,
Choć w inną stronę zapatrzona, jakby
Oczu ją moich głos doleciał i już
Zmusił miłośnie ulec. O! anielska...

CESARIO.

W pochodzie trupa jakieś zamieszanie —
O! nie wyrywaj się, Giani — szalony!

PIERWSZY OBYWATEL.

Co to zgiełki?... żona z krzesła spada!

DRUGI

Krew się rzuciła z trupa.

PIERWSZY.

Cóż to znaczy?

DRUGI.

Zabójców w tłumie trup sam wyszukuje. —

CESARIO.

Giani! oddalmy się, tu niebezpiecznie.

GIANI.

Tu? — co ty mówisz!... możeli być jakie
Niebezpieczeństwo przy niej? — Patrzaj na nią —
Od niej strach żaden nie trąca mi duszy
I nie zaraża. Patrzaj teraz na nią:
Spokojna — jako cyprys, nadto smutny,
Aby nim ruszył wiatr... nieporuszona —
A te galonki, co się zowią łzami,
Ze srebra, lekko u szat zaczepione
Ledwo łyskają przy pochodni blasku.

CESARIO.

O Giani! Ty się odsłoniłeś cały —
Syn zabitego ma ciebie na oku...

Tomaso przystępuje do Gianiego i chwyta go.

GIANI.

Puszczaj mnie!...

TOMASO.

Śmiałku, krew cię oskarżyła!
Patrzcie! to z domu Orsinich młodzieniec —
Na niego to krew wytrysnęła z trupa.

GIANI.

Czego ten człowiek blady chce odemnie?

TOMASO.

Zabiwszy, trupa przyszedłeś na pogrzeb?
Przepowiedziałem, że się w tłumie kryje
Jakiś z Orsinich — szpieg, albo zabójca.

GIANI.

Nie jestem jednym ani drugim — a ty?

TOMASO.

Cóż to, człowieku? ja syn zabitego...

GIANI.

A więc do pochwy włóż twoje żelazo,
Bo ja nie będę nigdy twoim wrogiem!

CESARIO.

Oszalał! Giani, co słyszę? — oszalał!
Cenci, ja także jestem na usługi
Twojej wściekłości — ja także z Orsinich.

TOMASO.

Oba mi za krew ojca zapłacicie...

Bije się z Cesario — Cesario pada.

CESARIO.

Giani! zabity jestem — o! zabity —
Pomścij się za mnie...

Umiera.

GIANI.

O! drogi Cesario!...
Co ja zrobiłem?!...

Do Tomasa.

Broń się — ty mój krewny!

TOMASO.

Nie jestem z tobą wcale spokrewniony —

GIANI.

Krewnym nazwałem cię od krwi — broń serca..

Biją się — wpada BEATRYX.

BEATRYX.

Stójcie!... już dosyć krwi na mojej duszy!

TOMASO.

Milcz ty szalona!...

BEATRYX.

Panie! ty nam przebacz
I zabierz z sobą ciało przyjaciela,
A prędzej progi opuszczaj fatalne!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Odejdź!

GIANI.

Te progi?

BEATRYX.

Oddal się!
Trumnie tej strasznej zastępujesz drogę —

GIANI.

Niech mię oddali trumna, ale nie ty...

BEATRYX.

Nie rozkazują trumny — lecz słuchają —

GIANI.

Lecz posłuszeństwo mnie położy w trumnę.

TOMASO.

Siostro, ja mu dam odpowiedź na szpadzie...

GIANI.

Śmierć moję zostaw siostrze...

BEATRYX.

O! bezwstydna!
W żałobie słucham, czego nawet w bieli
Nie winnam słuchać! Odejdź stąd, młodzieńcze!
Ten dom nieszczęściem przepełniony — odejdź.
Weź tę gałązkę smutnego cyprysu,
Abyś miał ubrać w co — ostygłe ciało
Twego martwego przyjaciela. Bądź zdrów! —
Tomaso, prowadź mię na czarne krzesło.

GIANI.

Jestem bez mowy, bez myśli, bez czucia.
Cesario! ty mi kupiłeś ten cyprys
I zapłaciłeś śmiercią. — O nieszczęsny!...
Mieszczanie! trupa mi nieście do domu!

Wychodzi i pogrzeb mija; ciało Cesaria wynoszą.

SCENA V.

Dom Cencich. PIETRO NEGRI.

PIETRO.

Łzy nastrajają serce do miłości.
Teraz czas! Wróci z pogrzebu płacząca —
Odejmę maskę i pokażę siebie
Takim, jak jestem. — Kiedy miasto całe
Przerażającym hukiem dzwonów wyje:
Użyję mocy podszeptów i miodu

Nakłaniających rad do tajemniczych
Słodyczy. Jeśli się oprze — zabiję!
To jednak dziwna rzecz, jak się ta miłość
I ta nadzieja we mnie połączyła
Z wiedzą wewnętrzną mej własnej brzydoty...
Dotychczas wiodłem życie pełne brudu,
Nędzy, pogardy, i niejednę ślinę
Miałem na twarzy: bękart — ...syn...
Wziąłem się kiedyś do pędzla i każda
Z wymalowanych przezemnie piękności
Z płótna mi jak psu urągała, krzycząc:
Masz mnie na płótnie cichą: żywa — plunę!...
Podarłem wszystkie te widma — i teraz
Próbuję ciepłych ciał — a w mych namowach
Jestem malarzem żądzy...

Wchodzi BEATRYX.

BEATRYX.

Cóż się dzieje
Z moją omdlałą matką?

PIETRO.

Ocucona.

BEATRYX.

Pójdę ją cieszyć...

PIETRO.

Widok twój, Signora,
Rozrzewni —

BEATRYX.

Powiedz: przestraszy —

PIETRO.

Signora,
Kogóżby twoja postać przeraziła?
Lecz twoja matka jest w okropnym stanie!
Żółta jak drewno — wyjąca jak wicher —
Przeklina wszystko — gnie palcami srebra,
Rzuca z lekarstwem kryształy o ścianę —
Synka małego, gdy zawołał: mamo,
Za krtań chwyciła i zaczęła dusić
Krzycząc: przeklęty dzień twoich urodzin!...

BEATRYX.

Powiedz mi, Pietro Negri, czy tak ma być
Aż do skończenia świata w naszym domu?
Czy ciągle w sercach będą rosły bole?

PIETRO.

Jeżeli w serce nie zachwycisz ognia
Od jakiej innej żądzy, to sumienie
Krzewić się będzie wiecznie i gryźć serce.

BEATRYX.

Jakąż ja żądzą mogę karmić duszę?

PIETRO.

Miłość!...

BEATRYX.

Któż mego serca się nie zlęknie?

PIETRO.

Każdy, kto ciebie, Signora, zna dobrze,
Kto umie w zbrodni nawet szukać cnoty.
Gdyby nie mój garb — o! gdyby natura
Dała mi ciało odpowiednie duszy —
Albowiem ja wiem, że zwyczajna miłość
Od zmysłów bierze pierwszy popęd, który
Znów przez uczucie traci swą cielesność
I w jedno zmysły i duszę jednoczy.
O! gdyby moje czoło pomarszczone
Było tak gładkie, jak czoło pierwszego
Głupca na świecie, który nigdy nie czuł
Żadnego ognia ani namiętności!
Gdybym był jeszcze niepewny, że każda
Niewiasta daje się złowić za skrzydła
Przez miłość własną — i wtenczas szczęśliwa,
Kiedy tę bańkę mydlaną obaczy
Swatem pomiędzy nią a jej kochankiem —
Gdybym nie wiedział, że wszystkie kobiety
Na ubiór patrzą, pióra i trzewiki...
Ja, który chodzę ubogo i boso —
Wierzaj mi — śmiej się z tego, co wyrzeknę —
Sądziłbym wtenczas, że cię tylko moja
Miłość zrozumieć może — i ocalić...
Śmiej się! patrz, jestem garbaty — co mówię,
Nie może żadnej mieć wagi zamiaru.

BEATRYX.

O mów! bo moja myśl te słowa chwyta,

PIETRO.

Miłość dziwaczną jest i fantastyczną.
Łączy pomiędzy sobą ludzi w pary —
Nie żąda nawet podobieństwa — owszem
Z przeciwieństw często jedność dziwną tworzy,
Jak owę dziwną platońską istotę
Androginesem nazwaną —

BEATRYX.

O! miłość!

PIETRO.

Wzdychasz!... I twoje łzy, jak niespokojne
Rosy perełki na trzęsionym kwiecie,
Łyskają w oczach. W ziemię utopiłaś
Oczy rozwarte, błyszczące i chciwe.
O! takie oczy nie widzą, lecz tworzą
Same obrazy — i na utworzone
Patrzą z litością lub zamiłowaniem...

Na stronie.

Dotąd ją ojciec trzymał uwięzioną,
Nikogo nie zna...

BEATRYX.

Czy ty mnie nie zdradzisz?

PIETRO.

Przysięgą tobie dodam zaufania.

BEATRYX.

Pocałuj ten krzyż — tu, gdzie plama — tutaj!
Ten krzyż na piersiach miałam dziś — przysięgnij!

PIETRO.

Na ten krzyż i na piekło...

BEATRYX.

Przysiąż na mnie,
Bo ja straszniejsza, niż piekło —

PIETRO.

Przysięgam
Na wdzięki twoje i na oczy twoje!

BEATRYX.

Ja kocham...

PIETRO.

Nie kończ!...

BEATRYX.

Już wiesz? — Ty widziałeś,
Jak stałam przed nim — byłeś na pogrzebie.
On się zapatrzył we mnie i upuścił
Krwawe żelazo. Idź, szukaj go, Pietro,
Powiedz mu wszystko, tak jakbym ja sama,
Gdyby mię nazwał czystą i niewinną,
Wszystkobym usty drżącemi wyrzekła.

Idź — znajdź go — powiedz, żem ojca zabiła,
I patrz mu w oczy — i zapisz to w sercu,
Co jego oczy czarne odpowiedzą,
Bo to mi będzie sądem, karą, śmiercią!...
Lecz kiedy wierzyć nie zechce: wróć do mnie,
Bo to jest człowiek czysty — i po drodze
Kup mi trucizny. Lecz jeśli zapyta,
Dlaczego ojca zabiłam — to powiedz,
Że przeczuciami dawno rozkochana
W nim jednym, jemu broniłam wierności
I ciała mego okupiłam czystość
Straszną ofiarą. — Idź — wszystko to powiedz;
Bo chociaż żadnej nie karmię nadziei
Zgubiona, krwawa i przerażająca,
Choć bez nadziei: — nie jestem gotowa
Umrzeć, nim on mię potępi... bez serca.

PIETRO.

Któż jest ten człowiek?

BEATRYX.

Raz go zobaczyłam,
Nie wiem nazwiska...

PIETRO.

Jak go poznać, po czem?

BEATRYX.

Pytaj się o dwóch, co dziś na pogrzebie
Mojego ojca szpad dobyli razem.
Jeden z nich martwy — drugiego ja kocham!
Pietro! jeżeli tobie nie uwierzy,
Że jestem krwawą i winną: przyprowadź
Pod moje okno; a ja go przekonam,
Że mnie nie można kochać.
Odchodzi.

PIETRO.

O! fatalność!
Miłość straszliwym płomieniem wybucha
Z tej okropnicy... Co robić? — co robić?...
Jej ciało dla mnie, a jej dusza piekłu!

SCENA VI.

TOMASO — PIETRO NEGRI.

TOMASO.

Gdzie są niewiasty?

PIETRO.

W komnatach.

TOMASO.

O Pietro!
Jestże to straszny sen ta noc okropna?
Jaki dom teraz pusty!

PIETRO.

Tak zwyczajnie.
Przed dziećmi muszą umierać rodzice.

TOMASO.

Stojąc nad grobem, gdy spuszczano trumnę,
Musiałem rzucić garść gliny do grobu.
Ścisnąłem ziemię w ręku, i krew czarna
Wyciekła z garści — jako praczce, kiedy
Czerwone chusty pierze... ha!

PIETRO.

Przesądy!

TOMASO.

Cóż mówisz o tych trzech jędzach?

PIETRO.

Widzenie!

TOMASO.

Przynajmniej siostra spokojna i matka?

PIETRO.

Byle milczały...

TOMASO.

Czy lękasz się o nie?

PIETRO.

Uważaj dobrze, a w siostrze spostrzeżesz
Dziwny fenomen. Ta zbrodnia jej cięży
I chce ją zrzucić z siebie — niespokojna;
A to uczyni, skoro się narai
Pora — na jaki powiernik. Uważaj,
Ona się brzydzi nie krwią — lecz przymusem
I fałszywością. W pierwszej to rozmowie
Spostrzeżesz.

TOMASO.

Co ty mówisz? —

PIETRO.

Słuchaj!
To jest rzecz ważna. — Ona dziś widziała
Człowieka, który nas zgubi. Uważaj,
Ona ci powie bezwstydnie, że kocha
Tego człowieka; — nazwij to szczerością,

Ale ta szczerość w młodej i niewinnej
Jest nadzwyczajną — i źle bardzo wróży...
Jest to jakoby duma grzechu. Rozważ,
Przez zapłonienie miłość się objawia
W zwyczajnych sercach; lecz u niej — przeciwnie
Przez bladą hardość...

TOMASO.

Precz z nią! do klasztoru!

PIETRO.

Dobra myśl! klasztor... klasztor... w samej rzeczy,
Nie widzę innej rady. — Na Montorio
Jest jeden klasztor pod moim dozorem.
Tam ją osadzić, a choćby przymusem!...

TOMASO.

Chodź, pogadamy o tem z naszą matką.

Wychodzą.

SCENA VII.

Dziedziniec w domu Cencich.

PIERWSZA WIEDŹMA.

Skwarno! skwarno! ciemno! skwarno!
Słońce piecze — w bramie czarno.
Tu krew każdy djabeł zwącha...
Pod fontaną tętni koncha
Din, din, słyszycie? din don —
To jest płacz za ojca zgon,
To płacz za piekielne dusze...
Co robisz?

DRUGA.

Gołębia duszę,
Licom cery dobrej doda...

PIERWSZA.

Rubinowych nóżek szkoda!
Biały jak śnieg — biały jak śnieg,
Z ptaszęcia krew — rumieniec streg —
Na kogo tu czekasz, ty maro?

TRZECIA.

Przyjdzie tutaj w porę szarą
Bieliznę prać...

DRUGA.

Bieliznę prać?
Powiedz, kto? czy córka, czy mać?

PIERWSZA.

Sza! sza! obie... sza! dom pusty,
Przyjdą prać czerwone chusty...
W czarnej bramie — sza! do kąta!
Niech się gospodyni krząta!
Ohydna!... ohydna!... ohydna!
Patrzcie, w korytarzu widna,
Idzie tu, chusty rozwinąć
Jęknąć i wrzeszczeć i truchleć i zginąć.
Giną z jękiem.

SCENA VIII.

Wchodzą MATKA CENCI i BEATRYX.

MATKA.

Słyszałaś ten jęk, córko?

BEATRYX.

To był plusk fontanny.

MATKA.

Gołąb skrwawiony, patrzaj, w konsze pływa.

BEATRYX.

Idź, matko — umysł ty masz nastrojony
Do strasznych wrażeń...

MATKA.

Daj mi zawinięcie.
Trzeba te rzeczy wyprać — stań przy bramie!
Jeśli usłyszysz kogo, krzycz na Boga,
Żeby nas nie zszedł kto...

BEATRYX.

Bojaźń ohydna!

MATKA.

Czy rusztowania chcesz? Daj mi bieliznę —
A gdzie koszulka dziecka? — — ha!...

BEATRYX.

Brr... zgroza!...

MATKA.

Patrz, ile tu krwi! na rany Chrystusa,
Ten się człek krwawił strasznie... Czy kto idzie?

BEATRYX.

Ulica pusta w upał południowy.

MATKA.

Ja słyszę jakieś... cyt... cyt!... Ktoś tak syka,
Jakby nakazać chciał święte milczenie...

BEATRYX.

To świerszcze...

MATKA.

Świerszcze?...

BEATRYX.

Cóż! dajesz mi chusty?
Ja się nie dotknę tych chust — wolę umrzeć!...

MATKA.

Umrzesz, nieszczęsna, umrzesz ty okropnie,
Dumna dziewczyno!

BEATRYX.

I dobrze...

MATKA.

O! dobrze!
Śmierć jest przepaścią czerwoną — ha!

BEATRYX.

Ciemną!

MATKA.

Mocno wlepiwszy oczy w samo łono
Rzeczy pośmiertnych można widzieć więcej,
Niż ci się zdaje... Rozwieś tę bieliznę,
Niech wyschnie — powieś koszulkę dziecinną
Tam — ot na krzyżu!

BEATRYX.

Zgroza! dom szalonych!...
Matko! nie szukaj córki...

Otwiera bramę i ucieka na ulicę.

MATKA.

Gwałtu — gwałtu!
Tomaso! Pietro! Moja córka! gwałtu!

SCENA IX.

Wpadają TOMASO i PIETRO.

TOMASO.

I cóż się stało?

MATKA.

Przeklęta! biegajcie!
Brama otwarta — za nią! o przeklęta!...
Tu przyprowadźcie żywą lub umarłą!
Uciekła z domu — krew wyniosła z sobą —

TOMASO.
Już jej nie widać, matko, na ulicy!
Gdzież biec?

MATKA.
Ach! sen mój wyniosła i ciszę!...
Bieżcie na wszystkie strony i pytajcie,
Czy kto nie widział, gdzie poszła —

TOMASO.
Cóż, Negri?

PIETRO.
Idź! szukaj siostry! Rozsądną ci dałem
Radę, gdym radził zamknąć do klasztoru.
Biegnij i szukaj jej po całym Rzymie,
A ty, Signora... idź i módl się...
Wychodzą Tomaso i Matka Cenci.
Piekło!
Co mam tu ginąć z tą czarną rodziną?...
Wolę ocalić się jako delator[1].
Wychodzi.

SCENA X.

Ogród klasztorny — OJCIEC ANSELMO kopie — GIANO GIANI

GIANI.
Ojcze, te furje trzy w rękach skościałych
Trzymały głowę uciętą — a moje
Oczy w tej głowy oczach utonęły
Jako w głębokim morzu zachwycenia.

ANSELMO.
Słucham, mów dalej. — Chociaż teraz myślę
O tych cebulkach w ziemi pogrzebanych,
W których są dziwne anioły kolorów,
Zmartwychwstające pod promieniem słońca:
Nie jestem wszakże bez ucha dla ciebie,
Młodziku żywy, z ognia — mów więc! Głowa
Była tak piękną, żeś ją zapamiętał
I z mózgu swego przeniosłeś na płótno,
A potem obraz swój postrzegłeś żywy?
Rzecz to jest dziwna, lecz prawdopodobna.
Przynieś mi obraz, przynieś — niech zobaczę.
Bowiem natury każda tajemnica,
Zwłaszcza natura przeczuć, była zawsze
Celem rozwagi mojej — przynieś obraz!
Wychodzi Giani.

[1] Oskarżyciel.

Nie trzeba sprzeczać się z młodością, ale
Potakiwaniem skłaniać do ufności,
A tym sposobem uzyskawszy władzę
Nad tą ognistą, stopniami ochładzać. —
Starości siła leży w odwlekaniu
Nauk, aż pora sposobna się zdarzy.
Inaczej czyniąc, stary się rozbraja...
Któżto z ulicy stuka do klasztoru?
Co widzę? jakaś Signora... w żałobie!...

Wchodzi BEATRYX zakryta.

BEATRYX.

Ścigana jestem — dzięki, żeś otworzył!
Chwilę mi tylko pozwól, dobry Ojcze,
W twoim ogrodzie skryć się, tylko chwilę!

ANSELMO.

Signora —

BEATRYX.

Czy tu jesteś sam?

ANSELMO.

W tych murach
Ja tylko jeden, oraz pewien malarz,
Człowiek dyskretny — chociaż bardzo młody.

BEATRYX.

Możesz mię ukryć, Ojcze, do wieczora
I sam być tylko moim powiernikiem?

ANSELMO.

Signora, malarz ów za chwilę wróci.
Jeżeli nie chcesz, aby cię zobaczył,
W tej bukszpanowej ukryj się alei.
Skoro wyprawię młodzieńca z ogrodu,
Dam ci schronienie; a co jeszcze lepsza,
Radę staruszka... bo jej potrzebujesz,
Jak widzę. cała drżąca, niespokojna —
Już słyszę... idzie korytarzem — skryj się!

Beatryx wchodzi do alei, która arkadą swoją otwarta jest dla sceny.

Zwolna a zwolna wyprawmy malarza.

Kopie — Giani wchodzi z obrazem.

GIANI.

Patrz na nią —

ANSELMO.

Boże, co widzę?

GIANI.

Czy znasz ją?...

Czego oglądasz się na wszystkie strony?
Czy teraz ci ją pokazały duchy?
Czy furje były tu.

ANSELMO.

Ciszej, człowieku!
To jest podobny obraz —

GIANI

Dla niej zginąć!...

ANSELMO.

Czyś tu na kogo dziś czekał, mój synu?
Zakryj ten obraz i odnieś do celi;
Sam nie uważaj, że słońce — idź, przejdź się!
Ty masz gorączkę... Odwiedź Orsiniego.
Od czasu lekceważysz jego względy,
Jego paternum amorem... rozumiesz?
Takie się rzeczy mówią po łacinie,
Język umarły jest czysty dla ucha...

GIANI.

Ty mię oddalasz?... Lecz miłośnik hardy,
Jeśli się waży raz zrobić wyznanie,
Jak bluszcz przyczepia się do powiernika
I ssie go listki wszystkimi. — Mój Ojcze,
Ja kocham! jam ją widział — kocham duszą —
Kocham z rozpaczą — kocham ją szalenie —
A jednak mądrze kocham! Bo z tysiąca
Ona najczystszą jest i najpiękniejszą!
Pomyślał o niej Bóg, gdy tworzył słońce
I z myśli światła ją stworzył — a ona
Dała początek tęczom i kolorom,
Które ze słońca duszy mają duszę!...
Gdy myślę o niej, braknie mi powietrza —
Jestem jak człowiek, który we śnie lata
I czuję, że mu nie stanie błękitu
Albo odwagi —

ANSELMO.

Czy wie, że ją kochasz?

GIANI.

Jam ją raz tylko widział...

ANSELMO.

Kiedy?

GIANI.

Dzisiaj —

ANSELMO.

Gdzie?

GIANI.

Na pogrzebie jej ojca —

ANSELMO.

Nazwisko?

GIANI.

Cenci —

Wychodzi Beatryx.

BEATRYX.

Strasznego wywołałeś ducha!

ANSELMO.

Wyście tu starca podeszli oboje!
W ogrodzie schadzka miłosna!...

BEATRYX.

Milcz, księże!...
Ja teraz jestem strasznie zatrudniona
Czytaniem duszy na tej bladej twarzy
Oddal się, księże — zostaw! My się znamy —
Ja jestem jego siostrą.

Do Gianiego.

Każ mu odejść!

GIANI.

Ojcze! mój dobry! oddal się — na Boga!
Jestem w tej chwili niebezpieczny —

ANSELMO.

Przemoc?!

GIANI.

Idź do szatana, dziwny, głuchy starcze!

Wypycha go do klasztoru.

Giani przez chwilę w milczeniu spogląda na Beatryczę, którą widzi w rozpaczy.

GIANI.

Pani! dlaczego twoje ręce białe
Dręczą twe włosy... oczy zakrywają?
Czemu twe usta drżą? — Czemu się cofasz,
Jak do ucieczki nimfa obrócona,
I znów niepewnym stąpasz naprzód krokiem?...
O! powiedz...

BEATRYX.

Słuchaj! nie wiem, kto ty jesteś!
Ale przez twoje ręce pragnę skonać!
Ale przez twoje ręce — być zabitą,
A przez twe oczy, tak smutne — płakaną,
A przez twe serce czyste — przebaczoną...
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

GIANI.

Sztylet?
O! co ty mówisz? co mówisz? O! patrzaj,
Ja na kolanach proszę, abyś żyła;
Abyś mi dała życie z twojej ręki;
Abyś mi dała oczu twoich niebo,
A jednem słowem twojem — nieśmiertelność!...

BEATRYX.

O! śmierć ja daję, nie zaś nieśmiertelność!

GIANI.

Twoim kochankom?

BEATRYX.

Tak! moim kochankom...

GIANI.

Ja ciebie kocham — chcę umrzeć!

BEATRYX.

Zdaleka!
Zdaleka! Czy wiesz? czy wiesz, co się stało?
Cenci zabity... ja...

GIANI.

Księże Anselmo!

BEATRYX.

Nie wołaj księdza!... ja zabiłam ojca —
Splamioną byłam — ha!!

GIANI.

Padre Anselmo!

Wchodzi ANSELMO.

Weź tę umarłą! — Ja pójdę po trumny,
Po dwie — po jednę tylko... lecz szeroką!

Zasłona spada.

AKT III.

SCENA I.

Ulica — OBYWATELE.

PIERWSZY OBYWATEL.

Mości Pamfilio, cóż nowego słychać?

PAMFILIO.

Ogromna zbrodnia! Cenci zabili ojca. Aresztowano tej nocy matkę i syna i dziecko małe — lecz córka uciekła.

DRUGI OBYWATEL.

Rzecz niesłychana! Któż wydał?

PAMFILIO.

Abate jakiś, zwie się Pietro Negri.

PIERWSZY OBYWATEL.

Kiedyż będą sądzić?

PAMFILIO.

Niewiadomo.

PIERWSZY OBYWATEL.

Ja ci powiadam, że to Orsinich zawiść z Kolonnami, a nie żadna zbrodnia. To pretekst. Cenci był prawą ręką djabła Kolonny

DRUGI OBYWATEL.

Zbrodnia, Panie Pamfilio, zbrodnia! Tryumf nad cnotą! Zbiry znaleźli łóżko krwawe i sztylet pod łóżkiem.

PIERWSZY OBYWATEL.

Doprawdy?...

PAMFILIO.

I na ścianie z prawej strony rękę krwawą — jak mi Bóg miły — z pięciu palcami na ścianie...

PIERWSZY OBYWATEL.

Czy być może?

PAMFILIO.

Któreś z zabójców musiało się zachwiać i oparło się o ścianę. Teraz lud się kupi i nawiedza dom, gdzie ta krwawa ręka jak nietoperz oczy przeraża.

DRUGI OBYWATEL.

I lud nie roztargał zabójców?

PAMFILIO.

Aresztowano ich w nocy, dziś o ósmej godzinie. Nikt o tem nie wiedział, wszystko odbyło się spokojnie.

PIERWSZY OBYWATEL.

Chodź Waćpan — opowiedz mojej żonie wszystkie szczegóły. Proszę na wieczerzę i na butelkę Kianti. To rzecz ciekawa... Ojca zabili!... Ja się tylko dziwię, że taka rzecz może przyjść ludziom do głowy...

SCENA II.

Cela klasztoru OJCIEC ANSELMO — BEATRYX.

ANSELMO.

Zmęczona jesteś — nie łam się daremnie
Z ociężałością zmysłów! Rzecz zwyczajna,
Że po ogromnej gorączce — strętwienie.
Oto jest łoże, twarde — lecz spokojne;
Ja na niem miałem ciche sny i dobre.

BEATRYX.

Jak wróci, to mnie obudzisz...

ANSELMO.

Śpij cicho.
Zostawię lampę przy tobie — dobra noc!

Wychodzi.

BEATRYX.

Jestem jak kamień — O Jezu kochany,
Czuwaj nademną! Oczy mi się kleją,
Jakby na rzęsach krew gęstniała lipka.

Usypia.

Zjawia się cień OJCA CENCI.

CIEŃ.

Piekło mi z ognia dało wyjść, i ciebie
Przerazić śpiącą. Wczora było ciemno —
Nie przypatrzyłaś się memu trupowi
I posiniałej twarzy! Co? Czy dosyć?...
Muszę ci zimną ręką dotknąć piersi —
Muszę wzdrygniętą widzieć — i posłuszną...
Wstań, i odprowadzź mię z lampą do trumny!

Beatryx wstaje śpiąca i bierze lampę.

Za mną — za mną — pod ziemię śpiąca za mną!

Wychodzi, Beatryx za nim.

SCENA III.

Wchodzą OJCIEC ANSELMO i GIANI.

ANSELMO.

Synu mój, ona tu śpi. Chcesz ją zbawić?
Zbudź i wyprowadź przez drzwiczki ogrodu.
Zbiry chcą trupa rewidować ciało —
Muszę z latarnią prowadzić do lochów.

GIANI.

Ojcze! to łóżko próżne...

ANSELMO.

Być nie może!
Te drzwiczki na klucz zamknięte — klucz u mnie!

GIANI.

Ona stąd wyszła...

ANSELMO.

Zbiry już stukają,
Muszę otworzyć...

GIANI.

Chciałem się z nią otruć —
Ja jej katowi nie dam! Księże! zdrajco!
Ty ją gdzieś ukrył...

GŁOSY Z ZEWNĄTRZ.

Otwórzcie! justycja!

GIANI.

Jeśli ją wydasz — patrzaj, śmierć!
Grozi sztyletem.

GŁOS.

Otwórzcie!

ANSELMO.

Zgubisz mnie! święta Inkwizycja czeka...

GIANI.

Na wszystkich djabłów, księże! — pod sztyletem
Wyznaj, gdzie ona? — Wyznaj — bo na Boga
Sztylet uczujesz w sercu!...

ANSELMO.

Gwałtu! gwałtu!

GIANI.

Milcz! Na Chrystusa mów! Nim drzwi wyłamią,
Będziesz jak kamień — — —

ANSELMO.

Cóż ja ci odpowiem?
Wyszła — uciekła — skoczyła do Tybru —

GIANI, *obalając go.*

Djable!...

ANSELMO.

Zabójstwo!!

Wywalają drzwi. Wchodzi INKWIZYTOR, PIETRO NEGRI, DON LUCENZIO, prawnik i ZBIRY.

SCENA IV.

INKWIZYTOR.

W imię Zbawiciela!
Tu się gwałt dzieje! Podnieście go z ziemi! —
Dlaczego, księże, drzwi nie odemknąłeś? —
Kto się sprzeciwiał prawu?

ANSELMO.

Moja starość,
Moja zgrzybiała starość, Monsignore.
W nogach rumatyzm siedzi — i musiałem
Wołać na pomoc Signora malarza,
Który tu w bliskiej celi ma warsztaty.
Nim przybiegł, czekać musieliście trochę...

INKWIZYTOR.

Prowadź nas, księże do kościelnych lochów,
Gdzie leży człowiek dzisiaj pochowany.
Obejrzeć przyszliśmy występku lice
I ślady wszystkie porównać z delacją.[1]

GIANI.

Któż delatorem jest?

INKWIZYTOR.

Pytanie śmiałe!
Oto jest — Pietro Negri...

GIANI.

Co ja widzę?
Mój brat — stracony mój brat — Gino — brat mój!

[1] Doniesienie.

PIETRO.

Tak — uściskajmy się, Giani...

GIANI.

Nikczemny!

Plwa mu w oczy i wychodzi.

INKWIZYTOR.

Księże, weź klucze i prowadź do lochów.

Wychodzą.

SCENA V.

Lochy kościelne.

Wchodzi CIEŃ CENCI, za nim BEATRYX śpiąca.

CIEŃ.

Pościel mi w trumnie, bo nie mogę zasnąć,
Lecz pierwej ręce obetrzyj! — Tu trumna...

Beatryx ściele trumnę.

Dobranoc! przykryj mię wiekiem na wieki.
O! jak tu zimno — Córko, dobrej nocy!
Długiej, ostatniej, ciemnej, wiecznej, dobrej!

Kładzie się do trumny. Beatryx go wiekiem przykrywa.

BEATRYX, *budząc się.*

Gdzież jestem? byłże to sen? gdzie ja przyszła?
Ja tu nie sama szłam, lecz prowadzona
Przez jakieś widmo blade. — O! czym we śnie?
Czy mi się śniło, że mymi rękami
Słałam skrawioną pościel trupa w trumnie?...
Jezus Marja! — ha! — czy pochowana
W letargu — żywam się tu obudziła
I będę jadła z głodu moje ręce,
Skrwawione moje ręce?... Okropności!
Trumny, otwórzcie się jedna po drugiej,
Bo nie wiem, która moja, pusta trumna,
Tylko przeczuciem jednę z was poznałam —
Tę, z której moje oczy... przez szczeliny
Krew wysysają. — O! to drzewo jęczy!...
Ha! kto mnie woła?... ha!... ratujcie ducha!...

Wchodzą ANSELMO, INKWIZYTOR i ZBIRY.

INKWIZYTOR.

Z pochodnią, księże, z pochodnią przed nami!

BEATRYX.

Ojcze! . . .

ANSELMO.

Nieszczęsna, cicho!

Gasi pochodnię.

INKWIZYTOR.

Co to znaczy?
Kto tu zagasił pochodnię?

ANSELMO.

Wiatr grobów
Buchnął z otwartych drzwi i zgasił światło . . .

Cicho do Beatryczy.

Signora, skryj się za trumny . . .

INKWIZYTOR.

Kto szepce?

ANSELMO.

To ja z przestrachu w grobach mówię pacierz —

Do Beatryczy.

Signora, skryj się! — już poszli po światło —
Matka i bracia twoi uwięzieni —
Z nami delator jest — jakiś Don Pietro . . .

INKWIZYTOR.

Z kim ty rozmawiasz w grobie?

ANSELMO.

Monsignore,
Jest to zwyczajem starości, chorobą,
Starzy do siebie mówią . . .

Do Beatryczy.

Nieszczęśliwa!
Biedny mój malarz umrze, jak się dowie . . .

BEATRYX.

Czy z wami przyszedł?

ANSELMO.

Nie —

BEATRYX.

Więc go pożegnaj!
Drżałam należąc do niego — lecz teraz
Jestem własnością ludu i aktorką.
On wydarł ze mnie więcej, niż ogniste

Wydrą tortury, niż ta blada mara,
Która mnie tutaj prowadziła... Powiedz —
Lecz nie! — najlepiej do serca kochanka
Mówi milczący grób. Ten mnie wyprosi
Od zapomnienia... Przyszli z pochodniami —
Prowadź mnie do nich i powiedz, kto jestem,

ANSELMO.

Tu, Monsignore, przez zrządzenie boskie
W grobie znalazła się Signora Cenci,
Która się sama dla uniewinnienia
W sprawiedliwości oto daje ręce...

INKWIZYTOR.

Gdzie jest delator? niech ją pozna!

PIETRO.

Boże!

BEATRYX.

Od wczoraj tyle rzeczy szlachetniejszych
Wygluzowało tę twarz z mego serca,
Żem go na wieki zapomniała. — Bądź zdrów!...
Widać, że garb twój był tylko tłumokiem,
W którym nosiłeś podłość. — Bądź szczęśliwy!
Więcej nie powiem nawet na torturach —
Jesteś kamieniem dla mnie — żyj spokojny!

INKWIZYTOR.

Otwórzcie trumnę —

BEATRYX.

Ten trup przed minutą
Zasnął, a wy go znowu turbujecie.
We mnie jest także pierś z krwawymi usty,
Która wygada więcej, niż ten człowiek,
Jeśli mię wasze tortury przymuszą...

Trumnę otwierają

INKWIZYTOR.

Zapisać! piersi rozdarte sztyletem —
Sztylet do rany przypada. — Signora,
Teraz cię będę konsygnował ja sam
Barygielowi świętego Anioła.

Wychodzą.

ANSELMO.

Bogdaj ją Anioł zbawił!... biedna ona! —
Lecz cóż? — Skończona rzecz! nic nie pomogę.
Już zorza — pójdę sadzić moje kwiaty.

Wychodzi.

SCENA VI.

Pałac Orsinich.

ORSINI i komisarz sprawiedliwości DON LUCENZIO

ORSINI.

Ciemna zbrodnia — straszna zbrodnia! Papież przerażony, nakazał post. Don Lucenzio, czy zdjąłeś pierwszą interrogacją?

DON LUCENZIO.

Oto jest, Monsignore —

ORSINI.

Zaparli się. Czy widzisz Acan w tej interrogacji jaką sprzeczność, z którejby można wyciągnąć dowód ad confusionem? . . .

DON LUCENZIO.

Żadnego, Monsignore.

ORSINI.

To znów Kolonna będzie szczekał po Rzymie, będzie obgadywał moją sprawiedliwość — sprawiedliwość, Don Lucenzio, która jest siostrą Ukrzyżowanego, a matką prawa.

Wchodzi przełożony ZBIRÓW.

ZBIR.

Rzecz dziwna, prawdziwe boskie zrządzenie. W grobie Cencego znaleziono córkę Cencego. Podinkwizytor ją aresztował.

ORSINI.

Don Lucenzio, zdjąć z niej interrogacją, lecz łagodnie, bez przymusu — ale zręcznie! Okropna zbrodnia — ludzie zamieniają się w Etyopów. Przysłać mi tu Pietra Negri! Ja go sam wypytam, wyssę, wycisnę, wymyję go mydłem, pod którem puści, jeżeli źle farbowany —

Wychodzą Zbir i Lucenzio.

Jakże to smutnie wykrywać z urzędu
Błędy ludzkości i szaleństwa krwawe!
Każdy dzień, w którym sądzę drugich ludzi,
Ciągnie bezsenną noc — a co jest gorsza,
Dukata ciągnie dla Eskulapiego,
Który mię potem z bezsenności leczy. —
Ta krwawa zbrodnia nie ujdzie bezkarnie . . .

Wchodzi PIETRO NEGRI.

Ten mię garbaty człowiek we śnie ściga. —
Przystąp tu Acan — podnieś Acan oczy!
Muszę Waćpanu tu rzec bez ogródek,
Że jego spława zły bierze kierunek,
A brak dowodów oczywisty... Primo:
Mieszczanie świadczą, że Waćpan najpierwszy
Zbudziłeś miasto, wołając ratunku
Owej to nocy, kiedy Cenci zginął.
Nie mogę tego Waćpanu zataić,
Że się zabójca odkrył sam, i równie
Jest uwięziony. Delacja Waćpana
Może mieć bardzo złe, bardzo złe skutki!...
Wreszcie zostaje jeszcze jakaś ciemność
Circa Waćpana samego. — Kto jesteś?
Nikt ciebie nie zna — nikt się nie przyznaje
Do znajomości z tobą, szary człeku!

PIETRO.

Jeżeli o to chodzi, Monsignore,
Znalazłem w Rzymie rodzonego brata;
Ten może o mnie poświadczyć.

ORSINI.

Ja w Rzymie
O żadnym drugim Negri nie słyszałem —

PIETRO.

Nieśmiało — ale z poufałością.
Okoliczności nieraz przymuszają
Zmienić nazwisko...

ORSINI.

Dalej szczerze ze mną!

PIETRO.

Mój brat malarzem jest, i Monsignore
Znasz go zapewne... Jesteśmy obadwa
Dziećmi miłości i grzechu — bliźnięta...

ORSINI.

Czy imię Negri masz z matki?

---

[1] Wkładam tu ustęp ze sceny dłuższej, którą autor w rękopiśmie przemazał. Zdawało mi się, że bez tego ustępu zbyt niejasną byłaby dla czytelnika cała tajemnica rodu i pokrewieństwa Negrego z osobami, których się to dotyczy. (*Przyp. Wyd.*).

PIETRO.

Nie wcale!
Imię to wziąłem z malarstwa, od czerni...
Przedtem nosiłem imię nieco bielsze,
Które mój dotąd nosi brat...

ORSINI, *zagadując.*

To dobrze!
Waćpan się staraj o świadectwo, dobrze!
Ale to jeszcze nie koniec, mój Mości!
Ta zbrodnia, to jest ta delacja, pachnie
Sznurem dla niego samego! Minimum,
Że na torturze skończy się — jeżeli
Nie zdołasz prawnie dowieść zaskarżenia...

PIETRO.

Dowody jasne są —

ORSINI.

Niedostateczne!

PIETRO.

Tortury srogie są —

ORSINI.

Boleść się znosi.

PIETRO.

Sumienie gada —

ORSINI.

Nie przed ludźmi!

PIETRO.

Panie!...

ORSINI.

Cóż mówisz?...

PIETRO.

Dawniej trudniłem się sztuką — —

ORSINI.

Jaką!

PIETRO.

Malarstwem.

ORSINI.

Szkoda, wielka szkoda,
Żeś nie mógł sobie wymalować ciała,
I dać na model Bogu, nim cię stworzył...

PIETRO.

Mogęż otwarcie mówić, Monsignore?

ORSINI.

Mów —

PIETRO.

Zbrodnia taka nawet i w sądzeniu
Wymaga pewnej sztuki, a justycja
Stawszy się muzą, poddanką Eschyla,[1]
Winna zdjąć z czoła chustę — a przywołać
Z gwiazdami inne siostry ku pomocy.
Jeżeli moja delacja upadnie
I swym upadkiem zgniecie delatora,
Co za zysk, co za chwała, Monsignore?
Jedni powiedzą: kalumniator periit,
A ten głos znajdzie echo wyszydzenia
W pałacu Djabła Kolonny! Lecz drudzy
Przypiszą moję śmierć Temidzie[2] ślepej
Lub przerażonej liczbą obwinionych...
Twe Jowiszowe brwi, o Monsignore,
Próżno mi grożą, siwę kładąc chmury
Na błyskawicach. Jestem w mojem prawie
I mogę mówić wszystko na obronę.
Więc, Monsignore, powtarzam, że Cenci
Winni są zbrodni, winni ojcobójstwa;
Że jeśli będzie wolno mnie samemu,
(A nie przez bojaźń to mówię, lecz w chęci
Odkrycia prawdy) jeśli będzie wolno
Podać sposoby, którymi być może
Zeznanie zbrodni ze zbrodniarzów miane:
Ja się podejmę! Choć wiem, że rzecz taka
Do trybunału należy, do sędziów.

ORSINI.

Miałżebyś jaki dowód pod kapturem?

PIETRO.

Nie, Monsignore! Lecz jestem artystą,
Malarzem jestem. Spróbuj, Monsignore,
Pytań, podstępów, głodu, kajdan, tortur;
A jeśli wszystko moc ludzi pokona:
Wystąpię z moją torturą — ostatnią,
Z torturą duszy, nie ciała... z torturą
Łagodną — ale okropną i pewną!...
Upraszam tylko, abyś Monsignore
Kazał mi warsztat postawić malarski
W miejscu dogodnem — i czekał cierpliwie,
Aż tajemnica milczenia dojrzeje...

[1] Eschylus, twórca tragedji greckiej. [2] Bogini porządku społecznego, wyobrażano ją jako boginię sprawiedliwości, z zawiązanemi oczyma.

ORSINI.

Chodź — a w odległem pałacowem skrzydle
Każę urządzić wszystko, jako żądasz.

SCENA VII.

W klasztorze Ojca Anselma. OJCIEC ANSELMO — GIANI.

GIANI.

Nie patrz tak na mnie, księże! Ja spokojny...
Weź rydel i kop tulipany —

ANSELMO.

Giani!
Wszystko najlepiej Bóg wielki układa.
Gdyby się miłość ta zajęła w tobie
Karmiona dłuższą nieuwagą... — A tak
Dobrze, to będzie na przyszłość nauka —
Prędko zajęty ogień prędko gaśnie...

GIANI.

Piękny dziś ranek! słońce wybuchnęło
Gwałtownie ponad cyprysami Rzymu...

ANSELMO.

Spokojny ranek, lecz będzie gorąco,
Bo już bukszpany pachną mocno...

GIANI.

Ojcze,
Jak ty przepędzisz cały dzień?

ANSELMO.

Jak zawsze.

GIANI.

Nie czekaj na mnie z wieczerzą, mój Ojcze,
Bo noc przepędzę dzisiaj z przyjacioły —

ANSELMO.

Niech cię Bóg strzeże! — A ostrożnie, Giani,
Bo zabijają w nocy po ulicach...
Ostrożnie! Ale szukaj roztargnienia.

Wyprowadza go.

SCENA VIII.

W więzieniu Ś-go Anioła. BEATRYX — BARIGIEL.

BEATRYX.

Gdzie moja matka?

BARIGIEL.

Czekaj tu, Signora.
Matka i bracia teraz na torturach —

BEATRYX.

I dziecko?!

BARIGIEL.

Dziecko tylko patrzy.

BEATRYX.

Zgroza!!
Ohydny Rzymie — o! krwawa jaskinio! —
Wy nazywacie to zamkiem Anioła?!

BARIGIEL.

Anioł brązowy na tym zamku stoi —

BEATRYX.

O! niechaj boskie strącą go pioruny!

Wnoszą omdlałą MATKĘ. Wchodzą TOMASO i AZO.

BEATRYX.

Omdlała?

TOMASO.

Widzisz —

BARIGIEL, *do straży.*

Precz stąd, zbiry — precz stąd!

Wychodzi ze Zbirami.

BEATRYX.

Czarna godzina — módlmy się!...

AZO.

Czy mama umarła?

BEATRYX.

Umrze, jeżeli będziesz płakał. Powiedziała co?

TOMASO.

Nic.

BEATRYX.

A ty?

TOMASO.

Usta moje słone — krwi pełne. Język pokąsałem z bólu, ale głowa moja do mnie należy. Skronie matce nacieraj, bo moje ręce jak rozpalone żelazo, gorące i suche. Ją posadzono na żelaznem krześle — a jam wisiał na wyłamanej ręce — w powietrzu. I targano mię, i kości moje krzyczały w ciele o pomoc; ale moja dusza zagłuszyła wołanie kości i wrzask podły cielesnych władz, zbuntowanych przeciwko językowi — łkającemu...

BEATRYX.

Cicho, matka się budzi...

MATKA.

Beatryx...

BEATRYX.

Matko...

MATKA.

Czy ja nic nie powiedziałam?...

BEATRYX.

Nic.

MATKA.

A wy?

TOMASO.

Nic.

MATKA.

Jeżeli nas Chrystus wyratuje, oddam mu część mego światła na ziemi: każę sobie wydrzeć oczy — przysięgam. A ciebie, córko, kto wydał w ręce katów?

BEATRYX.

Ojciec...

MATKA.

Ha!!

BEATRYX.

To był sen okropny!...

MATKA.

Każde z nas ma tu filar — i kamień. Jak tu sztraszno!... Terazby mogły wyjść te furje czerwone, gdy smutni siedzimy po kątach, i przepowiedzieć nam jutro...

TOMASO.

Te okropne?...

AZO.

Mamo, ja senny.

MATKA.

Tu, psiątko, przy nogach, na kamieniu...

TOMASO.

Głowa mi cięży, nie mogę się oprzeć snowi —

MATKA.

Ha! kto tu gadał?

BEATRYX.

Poddaj się matko zmysłom, twoje myśli błądzą senne i ciężkie...

MATKA.

Jezu!

Wszyscy zasypiają oprócz Beatryczy.

BEATRYX.

Śpią umęczeni, straszni i spokojni
W kątach — żałobne posągi nieszczęścia!...
A słońca smutny snop — jako czerwony
Piorun bez huku, ze sklepień upada
I trwa w powietrzu ciemnem nieruchomy,
Krwawiąc ciemności środek... O! tu... tu... tu...
Jestże to morze ze krwi promienistej,
W której się będę kąpała wzdrygnięta?
Czy z tego światła czerwonego wyjdą
Mary ohydne, co nieszczęścia szmerem
Dom napełniały przed czynem rąk naszych,
Zawsze przytomne, bliskie, niewidzialne...

TOMASO, *przez sen.*

Do mnie, Kolonna!

BEATRYX.

Mój brat przez sen gada.

TOMASO.

Mieczami kata!... ho! tu, tu, tu lancą!...

BEATRYX.

Na swych rycerzy krzyczy — z rusztowania...
O! sen straszliwy i spełnienia bliski.

MATKA, *przez sen*

Z Chrystusa płynie krew, a w piersiach słońce —
O! o! ratuj nas!

BEATRYX.

Sumienia bezsenne!...

AZO, *przez sen.*

O! mamo, główka moja...

BEATRYX.

I ten ptaszek?...
Władze dręczące, precz od śpiących ludzi!
Podłe szatany, precz od niebronionych! —
Ha! drzwi więzienia skrzypią. Kto to? cicho!

Wchodzi DOLORIDA.

Piękne dziewczątko jakieś. Czegoś przyszła?

DOLORIDA.

Jestem, Signora, Barigiela córką.

BEATRYX.

Jak się nazywasz, miła?

DOLORIDA.

Dolorida.

BEATRYX.

O! dobre imię, stworzone dla świata!
Dlaczego patrzysz na mnie tak ciekawie?

DOLORIDA.

Signora...

BEATRYX.

Nie drżyj — nie mięszaj się, ładna.
Jestem łagodną i cichą — chodź bliżej!
Jeżeli jakie wypełniasz poselstwo,
Mów, moje dziewczę...

DOLORIDA.

Mam listek od kogoś...

BEATRYX.

Daj! daj, daj, gdzie go ukryłaś?

DOLORIDA.

We włosach.

BEATRYX.

Chodź tu pod słońce i klęknij — ja sama
Będę dziś twoją pokojówką...

Wyjmuje strzałę srebrną z włosów Doloridy, rozpuszcza jej warkocze i wyjmuje list.

Czerwone słońce więzień, teraz nie zagaśnij,
Aż ten list we mnie zagasi nadzieje!
Dzieweczko! ten list pachnie sercem,
A jednak nie śmiem zajrzeć w jego serce.
Kto ci dał ten list?...

DOLORIDA.

Młody, piękny panicz.

BEATRYX.

Spokojny jaki człowiek?

DOLORIDA.

Hojny panicz,
Bo mi dał listek i ten sznur korali
I... pocałunek — ale taki zimny,
Że go nie można nazwać pocałunkiem.

BEATRYX.

Zimne są usta, gdy się pali serce.
Błogosławiona bądź, dzieweczko moja,
Bo w twoich kruczych przyniosłaś warkoczach
List od kochanka i śmierci narzędzie...
Jeśli zrani list — to strzała zabije.

DOLORIDA.

Pani, ty ojca mojego zabijesz!...

BEATRYX.

Twojego ojca? — ja?

DOLORIDA.

Tak, twoją śmiercią.

BEATRYX.

Więc weź odemnie to. O! do mnie, do mnie,
Myśli rozpierzchłe — do mnie, jak gołębie
W upał źródlanej wody upragnione!
Tu jest fontana łez... tu w tym listeczku
Najada płaczu jęczy w upał słońca
I rozognione moje myśli wabi —
A jednak może tu jest śmierć w tym liście —

Czyta.

Patrz — pisze do mnie Giani, że mnie kocha...
Czy ty nie wierzysz? Patrz, pisze, że kocha!
Więc ja nie mogę wydrzeć mu osoby,
Którą on kocha — prawda? Ja nie swoja,
Ale kochanka jestem służebnicą. —
Gdyby cię kochał tak piękny kochanek,
Chciałażbyś umrzeć? powiedz, Dolorido! —
Czy taki dziki list nie uniewinnia,
A takie wielkie łzy nie myją duszy?
O Boże! Boże! — Chodź tu, Dolorido!
Daj mi tę srebrną strzałę bez bojaźni:

Ona mi będzie niczem — tylko piórem,
Które miłości bóg wyrwał ze skrzydeł
I dał mi w ręce drżące; a ta chustka,
Jeszcze wilgotna od łez, będzie kartą,
Na której miłość wypisze sztyletem
Całą historję skruchy i żałości...
Ale czem pisać? — Czy w ciemne powietrze
Więzienia tego pióro me umoczę?
Czy w tę czerwoną promienistą jasność?
Czy w moje serce teraz rozjaśnione?...
O! gdybym mogła w serce... lecz nie, lecz nie!
Pocóż zabijać serce już nie moje?
Pocóż tę miłość pisać krwi rubinem?
Pocóż tę chustkę oczerniać słowami?...
Zanieś mu chustkę i powiedz, że na niej
Są łzy, przysięgi, skargi, pożegnania...
Powiedz, że mnie tu widziałaś spokojną,
O nim myślącą i pełną radości...
Powiedz, że kocham go — jemu posłuszna;
Że czekam śmierci — ale z jego woli,
Z jego rozkazu, z jego osądzenia,
Z jego wyroku; i to mię uczyni
Dla katów rzeczą cudzą, nietykalną,
I nieśmiertelną, tak jak miłość moja...

DOLORIDA.

Będzież on płakał — biedny, biedny człowiek!

BEATRYX.

Gdzież ty go dzisiaj obaczysz, dziewczyno?

DOLORIDA.

Czekać mię będzie na małym cmentarzu,
Koło świętego Piotra —

BEATRYX.

Znam ten cmentarz

DOLORIDA.

Bądź zdrowa — młoda, piękna moja pani!
Wychodzi.

BEATRYX.

Wejście tej czystej sen przyniosło cichy
Tym ciemnym, śpiącym; a mnie — żądzę życia

AKT IV.

SCENA I.

Na cmentarzu. GIANI sam.

GIANI.

Na tym cmentarzu leży Cesario mój drogi.
Oto jego mogiła — jeszcze biała... o! o!
Jak mi teraz potrzebny przyjaciel Cesario!
Czy ty mnie słyszysz? czy się litujesz nademną?...
Czuję, że teraz, mocno natężywszy pamięć,
Mógłbym cię wydrzeć z ziemi. Ale pamięć moja
Jest jak zbite zwierciadło... Egoizm, egoizm!
Dla siebie chciałbym z grobu obudzić człowieka
I uczynić go żywym. Okropna nieprzyjaźń! —
O! tę mi chustkę białą przysłała... Cesario,
Co ty o tej kobiety łzach myślisz i sercu?
Cóż? — żadnej odpowiedzi?... i tylko cyprysy,
Sługi grobów, ruszyły się czarne przy ścianach,
Jakby tu zejść się chciały, otoczyć mnie w koło,
I zacząć ze mną o mej miłości rozmowę...
Cóż? — nikogo w powietrzu cmentarzowem? ha! ha!
Świat się stał ciałem, z duchów wyludniał... A jednak
Czuję w powietrzu, że sam nie jestem, lecz blisko
Niewyjawione twarzą kupią się straszydła
I dotykając ręką zimną moich włosów,
Szczepią w nie jakieś straszne myśli, przerażenia...
Gotowy jestem — na co? sam nie wiem, a jednak
Czuję, że mam przed sobą coś niewyraźnego,
A to coś — będzie rzeczą spełnioną, nim słońce
Ten blady księżyc zetrze...

GŁOS WIEDŹMY.

Spiesz się! spiesz się! spiesz się!

GIANI.

Na Boga! To wasz jęk, trzy piekielnice!
Do głosu tego braknie waszych twarzy...
Myślą dorobię wam, co braknie, mary,
Przygotowany jestem, widma — do mnie!

GŁOS.

Mamy nad tobą litość, mamy litość —

GIANI.

O! o! nieprawdaż, że ja nieszczęśliwy,
Że mi czas tu być pod tą cichą ziemią?
Wy same smętne, patrząc na mnie! i wasz
Głos stał się więcej kobiecym, niewiasty...

Przez kogokolwiek przysłane jesteście,
Skoro moc macie nad mymi zmysłami:
Jestem gotowy prawie wam się cały
Oddać i waszym radom się powierzyć.
Byleście były ze mną aż do końca
I nie rzuciły z samym sobą, nim się
Ta rzecz rozwiąże...

GŁOSY.

Zbaw ją!

Zbaw ją!

Zbaw ją!

GIANI.

Czy mogę zbawić? Powiedzcie, czy mogę?
Wytężcie oczy skrawe w ciemną przyszłość
I tam zobaczcie, czy mi przeznaczono
Wybawicielem jej być i obrońcą...
Błagam was, mówcie! mówcie! ja was błagam...

GŁOS.

Od brata twego ją broń, broń od brata!

GIANI.

Co słyszę? miałżeby ten wąż na plecach wzdęty
Do końca ścigać ją?...

GŁOS.

Twój brat ją kocha.

GIANI.

Co? w jego myśli ta piękna już była
Z szat rozebrana? On — ten człowiek sprosny!...
O mary, widzę, że mnie opuszczacie,
Uległe władzy silniejszej zniknienia,
Niż moja władza zaklęć. — Jeszcze słowo!
Mój brat... co słyszę? cmentarzowe echo
Odpowiedziało: kat!... ha!... drżą mi nogi...
Tu straszne myśli są w powietrzu... brat mój...
Brat mój... okropny wiatr mnie stąd wypycha.

Wychodzi.

SCENA II.

Pracownia malarska. PIETRO NEGRI — ORSINI

ORSINI.

Opowiedziałem już Trybunałowi
Waćpana zamiar, i uznał go zmyślnym,
Zwłaszcza że sztuka malarska raz pierwszy
Użyta jako tortura w procesie,

Oprócz piękności duchowego celu
Osiągnie drugi cel — użyteczności.
Waćpana pierwszy charakter uzyskał
Niby pozłotę od pochwał i wagę...
Kończ obraz — jutro uczynimy próbę.

Wychodzi.

PIETRO.

A więc do pędzla! — kończmy dzieło piekła.
Ta lampa płonie blado — niespokojnie,
A obrzydliwy gość, nietoperz szary,
W powietrzu kreśli koła tajemnicze
I miga czarnym błyskiem. Cyt — ktoś idzie...
To z halabardą strażnik pałacowy
Po korytarzu przechadza się — Dobrze!
Jest bezpieczeństwo. Do pędzla, do pędzla!...
Nie mogę — jakaś nadzwyczajna trwoga
Mrozi mi w żyłach krew. — Ten obraz straszny,
Wystawiający człowieka zarżnięcie,
Strasznym jest w nocy towarzyszem. Wszystkie
Osoby — oprócz trupa, poruszone
Lampy miganiem, żyją, drżą i szepcą
Straszne wyrazy. — Cyt!... co to?... stuknięcie...
Ktoś w korytarzu upadł... ha!... co widzę?

Wchodzi GIANO GIANI.

Co widzę? brat mój — rozczochrany — blady!
Co ci jest? czego przychodzisz tak późno?
Kto cię tu puścił? jesteś cały we krwi...
Puszczaj — zawołam ludzi!

GIANI.

Stój, piekielny!

PIETRO.

Gwałtu, zabójstwo!

Lampa gaśnie.

GIANI.

Trup jest w korytarzu,
Ale nie słyszy. Sza! jesteś zgubiony...
Mary, co robić? kto zagasił lampę?
Zieloność twojej twarzy jest mi lampą,
Twarz obrzydliwa twoja jest mi słońcem — —

PIETRO.

O! bracie!...

GŁOS.

W serce!

GIANI.

Ha! jesteście ze mną?
Zdejmcie więc ze mnie braterstwo...

PIETRO.

O matko!

GIANI.

Matki na pomoc wołasz?... tyś ją zabił!...
Zbójco, na pomoc wołasz matki? ha! ha!
Czy wy słyszycie, furje? Ten morderca
Woła na pomoc tu — zamordowanych
I mnie tu robi sprawiedliwym...

PIETRO.

Puść mnie!...

GIANI.

Do piekła puszczę z rąk, morderco czarny!
Zmów pacierz!

PIETRO.

Pozwól, niechaj złożę ręce,
Niechaj krzyż wezmę...

GIANI.

Twój krzyż ostry, i rznie...

Chwyta sztylet Negrego.

Tym samym krzyżem giń! giń! giń!

PIETRO.

O Boże!
Sztyletem Cencich zabijasz... ratunku!
Konam — ratunku!... Zimno mi... o! zimno —
W oczach mi stoi bratobójca... o! tu...
Za nim osoby straszne z pochodniami —
Piekło otwarte — o! pożar i węże —
Krew, krew na brata — ziębnę — jestem trupem...

Kona.

GIANI.

Ja nie wołałem was, lecz teraz czuję,
Że wy jesteście z piekła. O! jak prędko
Myśl zaszczepiona przez was krwią się stała,
Matki rozpaczy! O! wy jako matki
Targacie włosy z okropności, bledsze
Niż przed godziną... ha!...

PIERWSZA WIEDŹMA.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Nie przerażajcie mnie, bo ja się gotów
Rzucić pomiędzy was z sztyletem — wściekły
Przeciwko waszej naturze, i szukać
Śmierci pomiędzy wami, jak śród wichru
Piorunowego...

WIEDŹMY.

Zbliż się! zbliż się! zbliż się!

GIANI.

Gdzie drzwi?... To trupy są, z żywymi włosy,
Które podniosła im na czołach trwoga,
Jak garść płomieni... Gdzie drzwi? to są trupy!
Ja stąd nie mogę wyjść — przed moją ręką
Ucieka w ciemność mur...

WIEDŹMY.

Uciekaj z nożem!

GIANI.

Bladość mi własna świeci... tu... niech trupy
Gonią mię — ha! ha! — lampa w korytarzu...

Wychodzi.

PIERWSZA WIEDŹMA.

Widzisz! widzisz! widzisz — trup!
Krwawa szata — oczy w słup...
Złożyć jemu ręce w krzyż...

DRUGA.

Czemu ty blada?

TRZECIA.

A ty czemu drżysz?

PIERWSZA.

Na jutrznię usłyszałam dzwon,
Zebrałyśmy zbrodni plon,
Reszta jest dziełem dla katów i wron,
Wężami sądową zamiotłyśmy kurję,
Trzy głowy, trzech katów, trzy piekła, trzy furje.

Znikają.

SCENA III.

Sala sądowa.

DON LUCENZIO — ODŹWIERNY.

DON LUCENZIO.

Która godzina?

ODŹWIERNY.

Piąta.

DON LUCENZIO.

Czy już biła?

ODŹWIERNY.

O! właśnie teraz bije na zegarze.

DON LUCENZIO.

Bogdajby prędzej zeszli się sędziowie!
Ciekawy proces —

ODŹWIERNY.

Tak, ciekawy proces!
Żona dziś moja w nocy poroniła,
Słysząc od starej wiedźmy rozczochranej
Wszystkie szczegóły zbrodni, Don Lucenzio.
Ale ja sądzę, że nie z przerażenia,
Lecz z ciekawości zroniła mi żona.
Kobiety — to gotowe zawsze zbyć się płodu
Przed karnawałem albo egzekucją.

DON LUCENZIO.

Tą razą, Mości Kustode, być może,
Że egzekucji nie będzie —

ODŹWIERNY.

Na Boga?!

Wchodzi GIANI i siada na ławie.

DON LUCENZIO.

Cóż to za człowiek tam w kącie usiada
Płaszczem okryty?

ODŹWIERNY.

Jakiś Avocato —

GIANI.

Jeszcze raz ujrzę ją — po raz ostatni...

Wchodzi OJCIEC ANSELMO.

ANSELMO.
Tu pewnie znajdę mojego malarza —
W nocy nie wrócił...

DON LUCENZIO.
Dobry dzień, mój Ojcze!
Ha, ha?... ogródek opuściłeś cichy
I tu przywiodła ciekawość?

ANSELMO.
Mój Boże!
Jak to wy prędko potępiacie ludzi...
Ha! otóż widzę tam mojego ptaszka...
O! dzięki Bogu, Giani, że cię widzę,
Bom był o ciebie mocno niespokojny.

GIANI.
Ojcze! nie siadaj przy mnie...

ANSELMO.
Cóż takiego?
Ja zmordowany. Cóż? coś robił w nocy?
A raczej spytam ciebie, co tu robisz?
Jestże to miejsce dla ciebie — szalony,
Słuchać o krwawych rzeczach, o zabójstwach,
O rusztowaniach? Giani! chodź do domu!

GIANI.
O starcze, będziesz ty mnie dręczył?

ANSELMO.
Synu!
To mi przynajmniej przyrzecz, że w tym kącie
Będziesz spokojny i nieporuszony.

GIANI.
Będę spokojny —

ANSELMO.
Daj mi na to rękę!

GIANI.
Rękę?...

ANSELMO.
Jakiż ty jesteś dzisiaj trudny!
Widzę, że trzeba mi być twoim stróżem.
Wchodzą SĘDZIOWIE i siadają.
Pamiętaj, Giani, że sądu prezesem
Orsini, ojciec twój. Nie zrób mu wstydu!
Ty jeszcze może tę ohydną kochasz,
Nie sercem, ale głową?

GIANI.

Kocham głową...
Głowa ta, co ją kocha, ojcze, spadnie!

ANSELMO.

Co?

GIANI.

Spadnie mi na serce — jestem senny...
Pozwól mi nieco spocząć tu, przy ścianie.

ANSELMO.

Śpij, śpij... Nie wiedzieć, poco tu przyszedłem.

Orsini dzwoni.

ORSINI.

Wprowadzić obwinionych! Nie puszczać tu więcej ludu. Niech halabardniki strzegą drzwi od pospólstwa.

ANSELMO.

Nie wiedzieć, po co tu przyszedłem. Święty Boże! Taka sama cisza będzie przed sądem ostatecznym... Jezu drogi!

Wchodzą obwinieni: MATKA CENCI, TOMASO, AZO, BEATRYX.

ORSINI.

Jak się nazywasz?

MATKA.

Matka Cencich.

ORSINI.

A ty?

TOMASO.

Tomaso Cenci, kapitan w kompanji Kolonny.

ORSINI.

A ty?

AZO.

Azo Cenci.

ORSINI.

A ty obwiniona?

BEATRYX.

Beatryx. —

ORSINI.

Oskarżeni jesteście o zabójstwo ojca waszego.

MATKA.

Kto skarży?

ORSINI.

Pietro Negri.

MATKA.

Więc zawołajcie — niechaj powie w oczy,
Niechaj mi spojrzy w oczy i powtórzy!
Bo ja w tej chwili mam zabójcze oczy;
Bo jeśli kogo w życiu chciałam zabić,
A na czyn taki miałam dosyć mocy,
To teraz zabić go chcę w oczach waszych
Mymi oczyma... Gdzie jest ten ohydny?
Czy już go chęcią zabicia zabiłam?
A więc mnie sądźcie, bo chciałam go zabić...
Chęć moja była sztyletem, piorunem,
I wypełniła się, jak słowo boże.

ORSINI.

Żywy jest człowiek, o którym ty mówisz,
I wprowadzony będzie na czas —

MATKA.

Synu!
Powiedz tym sędziom, że są zabójcami...

TOMASO.

Orsini sądzi, to dosyć!... Orsini...
Więc się nie dziwię, że chce sądzić na śmierć.
Przed trzema dniami koń mój kopytami
Druzgotał herby niedźwiedzie i kości;
Ręka paliła Orsyńczyków wieże,
Miecz rąbał bramy. Cóż? niema tu w sali
Jednego nawet z Kolonnów — choćby psa,
Coby wył, widząc mnie oskarżonego
Tak niegodziwie przez tego szatana?
Lecz i ten szatan nie pokazał twarzy
W całym procesie — tylko swoją duszę
Przelał w tortury, które nas dręczyły...
O! więc nie on mię skarży, lecz tortury...

MATKA.

Nie sprawiedliwość sądzi, lecz Orsini...

TOMASO.

Nie prawdę z nas chcą wycisnąć, lecz krew!...

MATKA.

Azo, o dziecko moje rośnij ty na zemstę!
Ciebie przynajmniej katy nie zabiją...
Pamiętaj o mnie, małe dziecko moje!
Niechaj przekleństwa moje rosną z tobą
I rosną w tobie!... i rośnij na zemstę;

BEATRYX.

Orsini! Sądu i sprawiedliwości...

GIANI.

Mówi!...

ANSELMO.

Mój synu, nie wstawaj, zaklinam!
Widzisz — im teraz potrzebna przytomność,
A twarz znajoma, nagle ukazana,
Pomięsza myśli...

GIANI.

Boże, czuwaj nad nią!

ORSINI.

Akuzatora postawić im w oczy!

GIANI.

Anselmo, słabo mi...

ANSELMO.

Oprzyj się na mnie...
Co widzę? ręka twoja krwią zwalana?

GIANI.

Trup gotów powstać...

ANSELMO.

Jaki trup? na Boga!
O czem ty gadasz z twarzą tak okropną?

GIANI.

Anselmo!

ANSELMO.

Usiądź, uf! jak tu gorąco...

Wchodzi ZBIR.

ORSINI.

Gdzież Pietro Negri, oskarżyciel?

ZBIR.

Monsignore, Pietro Negri zabity —

ORSINI.

Co???

ZBIR.

Zamordowany.

ORSINI.

Przez kogo?

ZBIR.

Nie wiadomo. Strażnik, który stał na korytarzu, nie żyje. Negri leży we krwi na podłodze, a od trupa aż do drzwi znaleźliśmy ślad krwawy zabójcy i ten sztylet —

ORSINI.

Ten sztylet należał do procesu. Cenci, to wasz sztylet?

BEATRYX.

Mój!

Wyciąga ręce po niego.

ORSINI.

Signora, nie dam ci do rąk żelaza. Życie twoje należy do sądu —

ANSELMO.

Sąd, przerażony wieścią o zabiciu delatora, waha się. To dobrze dla Cencich!

GIANI.

Dobrze?

ANSELMO.

Orsini wydaje cicho jakieś rozkazy —

MATKA.

Ha! gdzież delator wasz?... gdzie wasz delator?
Trupy z sądzących! — ha!

ORSINI.

Tryumfujecie!
Kolonna znalazł zabójcę — to dobrze!
W Kolonny fakcji jest wielu zabójców —
Wielu zabójców, przyjaciół zabójców —

BEATRYX.

O Monsignore, ty nam nie urągaj!
A ty, o matko, oddaj się modlitwie.
Bo wola twoja straszną jest i rządzi
Mocą tajemnych władz...

MATKA.

Więc jestem silna!
O! jestem silna. I chcecież wy teraz,
To wam wywołam delatora z grobu
I tu postawię za twem, Monsignore,
Krzesłem... Ja śmierci tej się nie zapieram —
Jam go zabiła przez mury... przez ziemię!
Bo ja pod ziemią byłam uwięziona,
Ale przegryzłam się myślą przez ziemię
I w samo łotra serce ukąsiłam —
Czuję na zębach krew... Cóż, Monsignore?
Czy chcesz mię zamknąć pod ziemię — i zaśniesz?

TOMASO.

Czy zaśniesz, póki jest w Rzymie Kolonna?

ORSINI, *do sędziów.*

Cóż wy mówicie?

SĘDZIA.

Wielki brak dowodów...

GIANI.

Księże, o! widzisz ją? uniewinniona!

ANSELMO.

Jezus Marja! ręka twoja we krwi...
Krew masz na ręce suchą — kto cię ranił? —
Ty pokazałeś na nią palcem krwawym...

GIANI.

Ją uniewinnią...

ANSELMO.

Słuchaj — sędzia mówi.

GIANI.

Ojcze, niewinna! Powiedz, ojcze!

ANSELMO.

Nie krzycz!...

GIANI.

Jabym chciał w ustach jego być wyrazem,
Jednym wyrazem: niewinna!... Cóż to jest?
Wnoszą zakryty obraz. Księże, co to?

ORSINI.

Winnych niech własne potępi sumienie.
Bracia, uważnie patrzcie na ich twarze,
Bo porównani będą z delatorem...

GIANI.

Nie widzę — co to jest?...

ORSINI.

Odkryć zasłonę!
Sumienia ludzi — gadajcie!

GIANI.

O! bladną!...

AZO.

Mamo! papa we krwi —

MATKA.

Ha!...

GIANI.

Jak się im twarze mienią!

MATKA.

Ha! to tak — to tak — o! krew — my zbrodniarze!
O Jezu! kto to wymalował? — Jezu!
Dzieci, nie patrzcie — Jezu! łóżko z trupem —
Strwożony mój syn, biały jak trup — patrzy
W ciemność, a córka moja... ha! — czy już?
Czy już?... już... już? ha!!! czy już umarły?
Dajcie mi lampę... sza!... Tomaso stchórzył...
Zobaczę z lampą trupa... jaki krwawy!...
Jaki okropny. . o!!

Mdleje.

TOMASO.

Zabójstwo żyje!

AZO.

Mama umarła!...

BEATRYX.

Dosyć tej tortury!
Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy
Pozabijane własnymi oczyma?...
Zasłońcie obraz ten rozdzierający!
Mnie samę zimny zlał pot i rozstroił
Tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki...
Więc mnie potępcie — bo choć jestem biała,
To jestem jako najbielsza z gołębic,
Co się w kałuży krwawej chciała kąpać
I opryskała krwią całą rodzinę...
Oni niewinni! Ja jedna znalazłam
Sztyletem serce ojca. Oni wszyscy
Niewinni. Trup miał jedno tylko serce,
I jednę córkę, i jednę miał ranę...
To rzecz okropna — i straszne wyznanie!
Lecz gdybym miała zasłonę na twarzy
I mogła mówić z twarzą niewidzialną:
Opowiedziałabym straszną historją,
Któraby wstrzęsła was, a mnie spłoniła...
Na miejscu, gdzie krew moję rozlejecie,
Postawcie ołtarz białemu wstydowi
I z alabastru posąg przeźroczysty;
A szyję jego krwią oczerwieniwszy,
Zakryjcie perły albo lilijami;
A będzie to bóg nowy — w nowym Rzymie!...
I to jest całą obroną — Rzymianki.

ORSINI.

Rzucić welony czarne na tych ludzi
I odprowadzić ich w ciemne więzienia! —

GIANI.

Ha! ha! ha! ojcze —

ANSELMO.

Płaszcz mi został w ręku.
Gdzie ten szalony leci?

GIANI.

Beatrycze!

ORSINI.

Zbiry, młodzieńca tego wyprowadzić!
Precz, do więzienia iść z potępionymi!

Wyprowadzają Cencich — Beatryx wychodząc ogląda się w stronę, gdzie Zbiry chwytają za ręce pasującego się ze sztyletem Giani.

GIANI.

Precz — precz odemnie! Czy wy nie widzicie,
Żem cały we krwi i na swojem miejscu?...
Orsini dzisiaj pracuje dla kata —
Ja pracowałem dziś dla Orsiniego.
O! usta pełne śmierci otwórz, starcze,
Otwórz raz jeszcze i potęp zbrodniarza!
Tu brakowało jeszcze delatora
I brakowało zabójcy z sztyletem: —
Oto więc macie sztylet i zabójcę,
Który zostawił krwawy ślad przy trupie
I ścigającym furjom pokazywał
Krwią zczerwienione podeszwy. O sędzio!
Jeśli nie dosyć, żem zabił człowieka —
Jeżeli moja zbrodnia przy promieniach
Krwawego słońca ojcobójców blednie:
Ja rozczerwienię ją nowem wyznaniem
I śmierć kryjącą się pod waszym stołem
Wywołam — żółtą, cichą — ale wściekłą...
O! śmierci — wystąp — i bądź urodzona
Słowami sądu! Śmierci, ja cię pragnę,
A ty mnie zimną twoją zetnij kosą
Tu przed Orsinim — u nóg tego starca,
Który dziś swoję własną krew potępi
Za to, że jego krew... rozlała własną —
On nie wie... żem jest bratobójcą!

PIERWSZY SĘDZIA.

Nieba!
Monsignor mdleje — wody — octu — mdleje!...

ANSELMO.

O! wielki Boże, jak twe sądy straszne!...

AKT V.

SCENA I.

Mieszkanie Barygiela. BARYGIEL — DOLORIDA.

BARYGIEL.

Czego ty płaczesz, głupia? — Za godzinę
Egzekwowani będą nasi ludzie.
Dobry dla kata dzień!... za cztery głowy —
Każda po dziesięć dukatów — czterdzieści.
Czego ty płaczesz, księżniczko zaklęta?

DOLORIDA.

Ten młody biedny człowiek pozawczora
Przyszedł tu do mnie, gdy grałam na harfie,
Jakąś zabawną piosneczkę śpiewając...
Taki spokojny zdawał mi się człowiek,
Taki łagodny — tak miły w rozmowie...
Jabym przysięgła była, że to święty
I dobry człowiek, nie żaden zabójca...
Oczy miał takie smutne!...

BARYGIEL.

Cyt... ktoś stuka —

DOLORIDA.

Czy już ich przyszli brać? — o! ja omdleję...

Barygiel otwiera, wchodzi OJCIEC ANSELMO.

ANSELMO.

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony —

BARYGIEL.

Na wieki wieków. — Czy spowiednik?

ANSELMO.

Czytaj!

BARYGIEL.

Najwyższej władzy rozkaz...

ANSELMO.

Czytaj cicho!
To jest tajemna rzecz... rozumiesz Waćpan!
Monsignor tu Orsini przyśle ludzi
Z pomiędzy szarych penitentów — i tak,
Jak tutaj stoi w papierze, stanie się.
Wmięszasz to Waćpan zgrabnie do napoju...

Daje mu proszek w pakieciku.

Rozumiesz? —

BARYGIEL.

Córko, chodź — dam ci rozkazy.

ANSELMO.

O! moje kości — com ja się nalatał!
Co na tym świecie trudów i żałości —
Ledwie ułożysz rzecz z rozwagą starca,
Młodość wnet wpadnie i pomięsza wszystko...
Panie Barygiel, chodź tu Waćpan do mnie...
Jak dziś spał więzień twój, Signore Giani?...

BARYGIEL.

Spokojnie...

ANSELMO.

To jest młodość, mospanie!
Przed śmiercią śpi, jak zabity. — A powiedz:
Gdy zapytano go dawnym zwyczajem,
Czegoby pragnął przed śmierci godziną —
Ten młokos dumne miał zawsze fantazje —
Ciekawy jestem, o co prosił?

BARYGIEL.

Córko,
O co maestro prosił?

DOLORIDA.

Ojcze drogi,
O pół godziny rozmowy samotnej
Z Signorą Cenci...

ANSELMO.

Nie pozwalać!...

DOLORIDA.

Czemu?

ANSELMO.

Oni gotowi zapłakać się na śmierć...
A ta panienka o co was prosiła?

DOLORIDA.

Gdyby wiedziała, że kochanek blisko,
Pewnie prosiłaby mnie o kochanka.
Ale nie wiedząc, że Signore Giani
Przez mur więzienia tylko... biedny człowiek
Na rusztowanie skazany... Bo ona
Nic nie wie, ojcze, o swoim kochanku
I myśli, że Signore Giani, jak zwyczajnie,
Już się pocieszył i wyjechał z Rzymu...

Więc gdy spytałam ją dziś, czego żąda?
Biedaczka z takim żałosnym uśmiechem
Rzekła: przynieść mi koszyk napełniony
Różami — aż mi łzy stanęły w oczach —
Patrz, ojcze, róże stoją; o! czy widzisz,
Jaka biedaczka?

ANSELMO.

Bu!... ja stary płaksa!
To dobrze, córko — zanieś biednej róże!...
A wreszcie... to jej zaprowadź kochanka!
Niech płaczą. — Ja to wszystko znów naprawię...

Odchodzi.

BARYGIEL.

Addio, księże!...

ANSELMO, *we drzwiach.*

Wrócę niezabawem,
A Waćpan wszystko zrób, jak rozkazano.

BARYGIEL.

Córko, zanieś jej róże — a ja pójdę
I drzwi otworzę do niej malarzowi.

SCENA II.

Więzienie. MATKA CENCI, TOMASO, AZO i BEATRYX.

MATKA.

Pobłogosławię was po raz ostatni.
Już za więzieniem słychać straszne gwary
Ludzi ciekawych. — O dzieci, odwagi!...
Ja was zgubiłam, przebaczcie mi, dzieci!
Jam się oddała czarnym duchom, które
Czyhały na krew naszę.

Do Tomasa.

Cóż, człowieku?
Nie stchórz — i nie bądź blady! A ty Azo,
Ty jeden, naszą krwią okryty, rośnij,
A ja do ciebie będę przychodziła
We śnie... i uczyć będę rzeczy strasznych,
O których wiedzieć trzeba człowiekowi
Krwią oblanemu matczyną w dzieciństwie.
Furje! oddaję wam dziecko w opiekę!...

BEATRYX.

Matko! ja znajdę dziecku opiekuna,
Który przez pamięć i litość nademną
Będzie mu starszym bratem...

TOMASO.

Moja siostro,
Nie śmiem cię w czoło pocałować — siostro,
Módl się i za mnie...

MATKA, *do Tomasa.*

Chodź, spowiednik czeka.

AZO.

Mamo, ja pójdę z tobą...

MATKA.

Chodź, kurczątko...

Wychodzą.

BEATRYX.

Jam nie wybrała jeszcze spowiednika
I wszystko mi się snem wydaje strasznym.

Wchodzi DOLORIDA.

DOLORIDA.

Signora, róże przyniosłam...

BEATRYX.

Kochanko,
Postaw tu koszyk pod mymi nogami...
Niech się zapatrzę na kwiaty spokojne. —
Która godzina?

DOLORIDA.

Jeszcze do zachodu
Długie godziny pół, długie... o długie!

BEATRYX.

Słońce zajść musi. —

DOLORIDA.

Gdybym była, Pani,
Panną Najświętszą, nie zaszłoby słońce...

BEATRYX.

Moja dziewczynko, czy ty masz kochanka?

DOLORIDA.

Lat jedenaście mam — to jeszcze nie czas...

BEATRYX.

Spiesz się i kochaj — lecz wybierz człowieka,
Który ma pamięć dobrą... dobrą pamięć
I dobre serce...

Wchodzi GIANI, bez szpady i BARYGIEL. — Barygiel daje znak ręką córce, aby odeszła.

DOLORIDA, *do Gianiego.*

Nie mów jej, że umrzesz...

BEATRYX, *do wychodzącej.*

Kochaj — i bądź zbawioną — i żyj długo!...

Dolorida z Ojcem wychodzą.

O! żyj tak cicho, jak te róże łzawe,
Jak te ucięte głowy róż... te głowy,
Które są piękne i świeże... ucięte
I rozsypane, o tak, po więzieniu,
Jak prześcieradło śmiertelne —

Spostrzega Gianiego.

Ach Giani!

GIANI.

Beatryx!

Roztwiera ręce, Beatryx rzuca się w jego objęcia

BEATRYX.

Usta twoje!

GIANI.

Twoje usta!

BEATRYX.

Czy ty mój jesteś kochanek?...

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ziemio, pochłoń nas!...

GIANI.

Śmierci! teraz śmierci!
Jaki to nagły dreszcz? — czemuś wzdrygnięta?

BEATRYX.

Jak ty przyszedłeś tu? Prócz spowiednika
I Barygiela, tu nikt nie przychodzi;
A kto przychodzi — śmierć go wyprowadza...
O! mów, mów — mów mi, kto cię tutaj wpuścił?

GIANI.

Kto?

BEATRYX.

Wychodź, blady mój kochanku — wychodź!
Ja tu zostanę sama. Kto cię wpuścił?

GIANI.

O bądź spokojna! miłość mię przywiodła.

BEATRYX.
Ty spokojniejszy, niźli mój kochanek. —

GIANI.
Ja cię spokojnie kocham — ale wiecznie...

BEATRYX.
Jeśli mnie kochasz, uciekaj na słońce!

GIANI.
Słońce... ty moje słońce — ja cię kocham. —
Dlaczego ty mnie odsyłasz do ludzi?
O! zapomnijmy o nich, duszo moja!...

BEATRYX.
O! zapomnijmy o nich. — Siądź tu, Giani,
A ja upadnę na drżące kolana
Tutaj na różach — i będę mówiła,
Jak ty masz o mnie pamiętać... O Giani!
Jestem spokojną teraz i szczęśliwą...
Pamiętaj o mnie — pamiętaj ty o mnie
Inaczej, niż lud, który się lituje;
Inaczej, niż Bóg, co patrzy bez żalu.
Pamiętaj o mnie — jako o Rzymiance
Nieskazitelnej, strasznej, nieszczęśliwej,
Którą... splamioną... miłość oczyściła
Ze wszelkiej zmazy. — Ja się czuję czystą!
Lecz miłość przyszła późno... Słuchaj, Giani!
Ty weźmiesz mego małego braciszka
I będziesz kochał — co? będziesz go kochał?
A jeśli przyjdzie do ciebie spłakany,
Że go odepchnął jaki człek zwyczajny,
Przejęty zgrozą... weźmiesz go na ręce
I będziesz mu łzy ocierał — ustami...
To mój braciszek. — Cóż?... będziesz go kochał?
Dzisiaj go tobie przywiodą wieczorem —
Sam umyjesz mu rączki — sam — i uśpisz,
Bo on się będzie lękał... Przebacz, Giani —
Ja ci rozdzieram serce, ale muszę. —
Dzisiaj wieczorem — ty będziesz... Nie mogę
Wystawić sobie — dziś — tam — w twojej celi
Ciebie — bezemnie — ha! Lecz bądź spokojny,
Zaklinam ciebie — dziwnie rozczulona;
Bo nie myślałam nawet, żem ja zdolna
Tak miękko i tak łzawo mówić z tobą.
Lecz ta godzina jest bez drugiej dla mnie,
I ty nareszcie znikniesz mi z przed oczu...
I Bóg mnie weźmie... o! tak rozpłakaną...

Słychać głos dzwonów i hałas głuchy.

GIANI.

Co to za dzwony są? co to za głosy?

BEATRYX.

Straszne zbudzenie — to czytają wyrok.

GIANI.

Komu czytają ?...

BEATRYX.

Tutaj, przed więzieniem.

GIANI.

Słuchajmy, moja kochanko.

BEATRYX.

Słuchajmy...

GŁOS.

Obwinieni i przekonani mają być nakryci czarną zasłoną ojcobójców, prowadzeni na rusztowanie i ścięci przez kata: Lukrecja Cenci, żona — Tomaso Cenci, syn — i Beatryx Cenci, córka zabitego. Niech Bóg odpuści duszom zmarłych!

BEATRYX.

Amen! odpowiedz, Giani: Amen...

GIANI.

Amen...

GŁOS.

Ma być zaprowadzony pod rusztowanie Azo Cenci, syn zabitego, który patrzał oczyma swymi na czyn zbrodni, aby oblany był krwią zbrodniarzy. Niech Bóg oczyści duszę dziecka! Amen.

BEATRYX.

Słyszałeś ?...

GIANI.

Słuchaj!

BEATRYX.

Co ?... wyrok skończony!
O Boże, ten sam głos pod oknami wyje.

GŁOS.

Obwiniony i przekonany o zabójstwo Pietra Negri, powszechnie nazwanego Gino, zaprowadzony ma być na rusztowanie, okryty zasłoną bratobójców i ścięty przez kata brat zabitego, Giano Giani. Boże, świeć nad jego duszą.

GIANI.

Beatryx!

BEATRYX.

Ścięty — ścięty — ścięty!...

GIANI.

Amen.

BEATRYX.

Ty?

GIANI.

O Beatryx — ja! — idziemy razem!

BEATRYX.

I nie przeczułam, że on zabił Pietra!
O! jak okropne nas związały losy!
O! jak mi będzie strasznie skonać...

Wchodzi OJCIEC ANSELMO i drugi kapłan.

ANSELMO

Dzieci,
Przyszła godzina — trzeba się rozłączyć.

BEATRYX.

O! o! tu Giani, na serce...

GIANI.

Beatryx!...

ANSELMO

Przyszła godzina, trzeba się rozłączyć...

GIANI.

Do zobaczenia!... Anselmo — ty ją weź..
A ty chodź, ojcze nieznajomy, ze mną
I porusz słońce, niech prędzej zachodzi!

Wychodzą.

ANSELMO

Chodź, moja córko, odwagi, odwagi!

BEATRYX.

Czy on ma umrzeć? — czy on skonać musi?

ANSELMO

Córko — ja ciebie pocieszę... Orsini
Wyprosił życie syna u Papieża;
I oto zaraz mu dadzą w napoju
Usypiający napój Penitenci
I do mej celi zaniosą śpiącego...

BEATRYX.

O dzięki tobie! bo mi dałeś życie...

ANSELMO

Biedna — ja tobie życia dać nie mogę!
Ty nie masz żadnej nadziei, prócz w Bogu —
A Boga zyskaj skruchą i spowiedzią...

SCENA III.

Plac Ponte Sant' Angelo.

TŁUM LUDU.

PIERWSZY Z LUDU.

Nudzą nas, mówię — nudzą nielitośnie!

DRUGI.

Co jeszcze gorsza, powiadam, co gorsza,
Że pewnie wszystkich głów nie zobaczymy!
Powiadam, czterech głów. Panie Pamfilio,
Powiadam, że nam czterech głów nie dadzą.

PIERWSZY.

Parno, jak w piecu! — Hej! Trastewerina!
Z pomarańczami tu! — hej! moja Juno —

TRASTEWERINA.

Cóż, mój signore Babuino?

PAMFILIO.

Eheu,
Tu, Atalante [1] z Hesperyd owocem!...

TRZECI.

Ephemerido, wiele za bajoka?

TRASTEWERINA.

Trzy, Signor Bacco!

Per Bacco! daj quatro!

DRUGI.

Cztery pomarańcz, głowa w głowę cztery!...
A ta maleńka, powiadam, w przydatku —
Za główkę dziecka daj w przydatku piątą.

TRASTEWERINA.

Piąta na drzewie wisi — idź pod drzewo
I urwij sobie piątą z szubienicy...

[1] Atalanta, córka Jazusa i Klimeny z Arkadji, sławna z celnych strzałów z łuku. [2] Hesperydy, córki Nocy, strzegły wraz ze stugłowym smokiem złotych jabłek w jego ogrodach.

PAMFILIO.

Cyt —cyt — więzienie się otwiera czarne,
Pochodnie blade wychodzą na słońce.

PANTALON.

Ta pierwsza — matka...

PAMFILIO.

Mości Secretario,
Co na welonach napisano białem?

PANTALON.

Biało na czarnem stoi: p a r r i c i d a[1].

PAMFILIO.

Po grecku? — to ja rozumiem — po grecku!

TRASTEWERINA.

Ha! ojcobójce — dobrze wam tak, dobrze!
Chcecie pomarańcz? hej hej! parricidi!
Chcecie pomarańcz, co pod zębem ciekną
Czerwoną śliną?... ho! ho! apelcyny
Czerwone wszystkie głowa w głowę.

PAMFILIO.

Furjo!

TRASTEWERINA.

Socrate!

PAMFILIO.

Wiedźmo, czego krzyczysz?...

TRASTEWERINA.

Krzyczę,
Bo to zabójce... to zabójce... słyszysz?...

PIERWSZY Z LUDU.

Idzie ostatnia pod czarnym fartuchem,
Idzie, jak jaka królowa z dzieciątkiem
I białą świecą — ona najwinniejsza!

KOBIETA.

Niesprawiedliwość, że idzie ostatnia!
Powinnaby iść pierwsza — Santo Padre,
Powinnaby iść pierwsza!

PENITENCI i DOLORIDA wchodzą.

[1] Parricida, ojcobójce.

DOLORIDA.

Penitenci!
Bierzcie z tej tacy, dawajcie ubogim,
Niech proszą za nich!

Penitenci rozdają pieniądze.

PIERWSZY PENITENT.

Starcze! weź bajocco,
Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRACZKA.

Kaleka, uboga...

DRUGI PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

ŻEBRAK.

Un bajocco!...

TRZECI PENITENT.

Módl się za dusze Cencich.

GŁOS W TŁUMIE.

Zdrowaś Marja —

PIERWSZY PENITENT.

Módlcie się za nich, za matkę i syna,
I za panienkę...

PIERWSZY Z LUDU.

O widok okropny!
Rozpłakała się, gdy kat uciął włosy.

DOLORIDA.

Płakała...

PIERWSZY Z LUDU.

A z nią i lud zaczął płakać,
Jak małe dziecko...

DOLORIDA.

Gracja! gracja! gracja!
Wszyscy wy idźcie za mną na Watykan!
Chodźmy do Ojca Świętego po łaskę!...
Ucięto włosy — czyż nie dosyć? — gracja!

ŻEBRACY.

Na kulach za nią! — gracja, Santo padre!

Wchodzi PANTALON i PAMFILIO.

PANTALON.

Signor Pamfilio, widok był okropny!
Czego ci ludzie krzyczą?

PAMFILIO.

At! jak zawsze.
Krzyczą zapóźno i chcą zmartwychwstania!
Jakby prosili, aby zachodzące
Słońce wróciło. Idźmy spać do domu.

SCENA IV.

Cela Giano Giani.

Penitenci wnoszą na noszach śpiącego GIANI i mówią po łacinie na dwa głosy Ave Maria.

PIERWSZY PENITENT.

Tu go połóżmy śpiącego na łożu.
Trzeba opatrzyć, czy gdzie niema broni
I zabrać noże — to rozpaczny człowiek...

DRUGI PENITENT.

Niech śpi! Za chwilę wróci Don Anselmo

Zdejmują broń ze ściany i wychodzą.

WIEDŹMY.

PIERWSZA WIEDŹMA.

W oczy jego blaskiem rzuć!
Dotknij go wężem i zbudź —

DRUGA.

Poco?

TRZECIA.

Niech zobaczy życie!

PIERWSZA.

Sza! zawieśmy na suficie
Głowę ściętą — on widzi śpiąc...

DRUGA.

Dajcie mu pokój — zabije go ksiądz.

PIERWSZA i TRZECIA.

Czem? czem? czem? czem?

DRUGA.

Ha! siostrzyce,
Rzućmy tu trzy błyskawice,
Rzućmy ciche ognie trzy!
Niech się jemu w oczach skrzy,
Niech okropność w oczach błyśnie,
Aż serce się skurczy i zadrży i pryśnie.

WSZYSTKIE.

Djabeł tutaj księdza śle.
W powietrze! znikajmy w mgłe...

Znikają.

GIANI.

Oh!... gdzie ja jestem? — żywy to ja, Jezu?
Czy ta noc śmiercią jest? gdzie Beatrycze?
Aha! to księdza mieszkanie — o! widzę
Całą okropność rzeczy. Gdzie sztylety?

Rzuca się na ścianę, skąd penitenci zabrali broń.

Tu była moja broń — zabrano — żywy!
Wszak słońce zaszło już — okropne słońce.
Które widziałem za krwawymi plamy.
Kiedy? — dziś, we śnie... Ha! więcem ja zasnął! —
O! morze ciemnej okropności... czarne,
Rozwidniające się teraz stopniami,
Gdy tonę w strasznej pamięci oczyma —
Morze krwi! pochłoń mnie... pochłoń mię, ziemio!

Wchodzi ANSELMO z latarnią, prowadząc AZA za rękę.

ANSELMO

Gdzie tu mój Giani, mój syn ukochany?
Cóż to? na ziemi leży mój syn twarzą?
Jestże to człowiek? rozumne stworzenie? —
O! wstań, mój synu — i odgoń od siebie
Rozpacz bez celu... smutek bez nadziei!

GIANI.

Więc już umarły?

ANSELMO.

Co te jęki znaczą,
Które do ucha mówisz tej podłodze?...
Wstań! tu jest ciepłe łono przyjaciela...

GIANI.

Ziemia mnie woła...

ANSELMO.

Wstań i obacz, Giani,
Z kim ja przyszedłem... Wstań, bo mnie przerażasz!
Podnosi go.
O! — wstań, ja ciebie nie udźwignę, martwy!
Mamże na ziemię paść, synu, przy tobie?

GIANI.

Czegoż odemnie ty chcesz, starcze? — wstałem.

ANSELMO.

Bogdajby w tobie tak powstała dusza!
Maleńki! — przystąp do tego człowieka
I zaszczebiotaj mu, jak cię uczono.

AZO.

Panie! kazała prosić cię siostrzyczka,
Abyś mnie kochał...

GIANI.

Nie tul się ty do mnie!

ANSELMO.

I cóż? odpychasz go?

GIANI.

To jest... ostatni?...

ANSELMO.

Tak...

GIANI.

Jeśli głodny, daj mu jeść —

ANSELMO.

Mój synu,
Ja nie poznaję ciebie — twarde serce
I twarda jakaś obojętność dla mnie!...
Ja nie poznaję ciebie.

GIANI.

Czy mam płakać?

ANSELMO.

Płakać?... O! mógłbyś ty płakać nad sobą!
Teraz godzina, że serce zmiękczone
Winnoby płakać przestępstwa. — O Giani!
Jestto okropna nauka i krwawa.

Ale na całe życie pozostanie. —
Tak! kto bez Boga, lecz z ciemnymi duchy
Chce porządkować świat, często go łamie
Bóg, tak jak ciebie, i myli go w drodze.
Tyś ją chciał zbawić — jak? — okropną zbrodnią?
A zbrodnia ta się nagle obróciła
Przeciwko właśnie tej drogiej osobie,
Którą ty chciałeś zbawić. — Sam się dowiesz,
Że Ojciec święty, poruszony wdziękiem
Tej biednej panny — już umoczył pióro
I chciał podpisać już ułaskawienie:
Gdy oto nagle... druga w Rzymie zbrodnia,
Jakby świadcząca o strasznej zarazie
Upadającej na Rzymianów ducha,
Z rąk Papieżowi wytrąciła pióro —
A zaś tę drugą tyś popełnił zbrodnię. —

GIANI.

Ha! okropności! —

ANSELMO.

Boleścią się zrywa —
Co ja wyrzekłem!!....

GIANI.

Nic — tylko rzuciłeś
Do mego serca wianek gadzin. Starcze,
Onaby żyła, gdyby nie ja... Starcze,
O! tu mi serce boli — ha — tu, starcze!
Zrobiłeś ze mnie zabójcę i kata...
To jest rzecz.... onaby żyła, bo papież
Chciał ułaskawić...

Tłucze szybę i szkło połyka.

ANSELMO.

Boże! szkłem się truje —
Matko Najświętsza! szkłem!...

GIANI.

Cicho! daj rękę!
Bo tam — w ciemności furje widzę ciemne.
Przyszły po ducha. — Precz! ohydne mary —
Krwią plwam na wasze węże — precz! precz, matki!
Widzisz — zniknęły. Patrz, ja na tej szybie
Najświętszą Pannę sam wymalowałem,
A teraz zbita — w tęczę blasków — o! tu —
Pod sercem tu już!...

Upada.

ANSELMO.

Ociężał i skonał...
Skonał — mój drogi syn — mój słodki chłopiec!
A ja z tem dzieckiem sam — w cichym klasztorze...
Dobra noc, Giani! — Niewdzięczni są ludzie
I to im powiem na ostatnim sądzie.
Ja go kochałem jak mojego syna:
Tyle nadziei moich... leży w grobie! —

FANTAZY

(NOWA DEJANIRA)

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

OSOBY:

HRABIA RESPEKT, były marszałek powiatowy.
HRABINA RESPEKTOWA, jego żona.
DIANNA, STELLA } ich córki.
HRABIA FANTAZY DAFNICKI.
RZECZNICKI. marszałek powiatowy, jego przyjaciel.
HRABINA IDALJA.
KSIĄDZ LOGA, kapelan.
WOŁDEMAR HAWRYŁOWICZ, rodem Czerkies, stary major rosyjski.
JAN, zesłany na Sybir w sołdaty.
KAJETAN, kamerdyner hr. Respektów.
HELENKA, pokojowa Idalji.
KAŁMUK, sługa majora.

Rzecz dzieje się około r. 1841 — w trzech pierwszych aktach w domu hr. Respektów, w obu ostatnich — w majętności hr. Idalji.

AKT I.

SCENA I.

(Salon hr. Respektów).

FANTAZY i RZECZNICKI. Później HR. RESPEKT.

FANTAZY.

Widziałeś Wasan, jakie w przedpokoju
Hamadriady,[1] Laokonty,[2] Psylle[3]
W ojca Adama przenajświętszym stroju
Stoją... z lokajstwem... w zgodzie?... A nie tyle
Lokajów, ile posągów!.. a wszyscy
Postaci większej, niźli chce natura.
Bo ci lokaje są sufitów bliscy
Głowami... a ich olbrzymia struktura
Herkulesowe przypomina członki...
Sądzę więc... że i panny siół znajdziemy
Jako Driady[4] albo Amazonki,[5]
Nadludzkie... Ślepy więc będę lub niemy,
A ty, rozsądny... patrz za mnie — i gadaj;
Co człowieczego znajdziesz pod boskością
Kształtu, wydobądź, ojca wyspowiadaj
Z politycznego sumienia, z Jejmością
Wejdź w jak najbliższe stosunki, aż ci się
Przyzna, pod jakie jarzmo zegnie zięcia —
Słowem: jak gdybyś zjechał na komisję,
Gadaj, rób i patrz; a ja za dziecięcia
Ujdę... i dam się wszystkim za nos wodzić.

---

[1] Nimfy, żyjące w drzewach, rodzące się i umierające wraz z niemi. Opiewa je homeryckí hymn do Afrodyty. [2] Laokoon, kapłan trojański, który sprzeciwiał się przeczuwając podstęp wprowadzeniu do Troi drewnianego konia. Zginął wraz z synami w uściskach wężów przez pomstę Apolla. [3] Psylle, lud bajeczny, znający moce czarnoksięskie. [4] Nimfy leśne. [5] Wojownicze plemię kobiet, zamieszkujące wybrzeża Morza Czarnego.

RZECZNICKI.

Lecz ciebie znają...

FANTAZY.

Cóż? Że kilka listów,
Które w gorączce można było spłodzić,
Przepisać... nawet przez płatnych kopistów,
Samemu nawet pisać nie umiejąc —
Że kilka listów, które na Podolu
Panny czytały wyuczone, mdlejąc
I krzycząc: „Ach, ten list w(prost z Kapitolu)
Był napisany... a ten z W(ezuwjusza),
Latał jak gołąb aż (w północne chłody),
Że wykrzykniki te: „Ach, (jaka dusza!)
Ach, co za długie, o(krągłe perjody!“)
Brzmiały tu stokroć razy... to ja, hrabia
Fantazjusz, głupim być... już nie mam prawa?
A cóż to, powiedz, jest opinja babia?
Czy to szacunku godna rzecz?... czy strawa,
Na której serce tyje? czy poduszka,
Na której głowa leży? Mój Rzecznicki,
Ty mój swat... ty mój — raczej moja drużka,
Bo się jak panna spłonię, w jezuicki
Talerz... wlepiwszy me panieńskie wzroki;
Ty mnie zachwalaj... wynoś pod lazury,
Nad Wezuwjusze, nad Alpy, obłoki!
Mów, żem napisał poemat... ponury
O czterech wiatrach... złoć mnie jak barana,
A mnie pozwól się troszeczkę zagapić
I z siebie lakier byroński szatana
Zrzucić...

RZECZNICKI.

Fantazy! możesz się poszkapić
I źle wyjść...

FANTAZY.

Jakto?

RZECZNICKI.

Pierwsze złe wrażenie
Trudno się ściera...

FANTAZY.

Nie dbaj, nie dbaj o to!
Jeśli zakocham się, — to się odmienię;
Jeśli nie...

SCENA II.

Ciż sami i HRABIA RESPEKT.

RZECZNICKI.

Hrabia Respekt...

HR. RESPEKT.

Jak to? co to?
Sami? nikogo na wasze przyjęcie?
Sami?... Przepraszam was za moje baby —
Przynajmniej tu was...

RZECZNICKI, *na stronie do Fantazego.*

Nie chodź mi po pięcie!

HR. RESPEKT.

Przynajmniej tu was moje główne sztaby
Przedpokojowe...

FANTAZY, *do Rzecznickiego.*

Rekomendujże mię!

RZECZNICKI.

Hrabia Fantazy, mój przyjaciel...

HR. RESPEKT.

Miły
Będzie mi w domu gość... Ziemia o ziemię
Nasze dwa dwory, a bogdajby były
Serce o serce... nasze dwa stosunki!
Lecz gdzie to moja żona i figlarne
Córki? — Gdzie moje kobiety? Korunki
Mówią, czy jakie gdzie romanse czarne
Gryzą po kątach i żółć w sobie płodzą?
(do lokaja)
Kajetan! gości zaanonsuj paniom! —
Ha! Otóż przecie i są — otóż wchodzą.

SCENA III.

Wchodzą HRABINA RESPEKTOWA, DIANNA i STELLA.

HR. RESPEKT.

Hrabia Dafnicki.

HRABINA.

Pana opisaniom
Rzymu winniśmy bardzo miłe chwile!
Znamy go dobrze... taki ogień w piórze
I tyle serca, entuzjazmu tyle!

Ach! listy Pana... to są na marmurze
Pisane ławą... Czy prawda Dianno?
Te dwie fontanny, co przed Watykanem
Jak duchy — tęczą opasane ranną,
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z Panem
Dawno się znamy... dawno...

FANTAZY.

To być może,
Żeśmy się znali przed śmiercią...

HRABINA.

Słyszałam,
Że Pan jest mistyk... teraz się założę,
Że Pan jest mistyk... Ach! jak ja się bałam,
Że Pana znajdę mistycznym...

HR. RESPEKT.

Marjanno,
Nie zaczynajże zaraz z gościem kłótni!
Proszę was za mną, proszę. Ty, Dianno,
Zagrasz nam. A was ostrzegam, że smutni
Ludzie są w moim sercu podejrzani
O brak szczerości...

Wychodzą wszyscy oprócz Hrabiny.

SCENA IV.

HRABINA, LOKAJ.

HRABINA.

Kajetanie!

Lokaj wchodzi.

LOKAJ.

Pani,
Co pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody
Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary
Anton zapuści swoją sieć do wody
I tam pod wierzbą siądzie — obok pary
Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.
Opodal żeńców postawić gromadę
I niech śpiewają! Anna niechaj pasie
Kozy na skałach. — Ach! puścić kaskadę!

Pamiętaj... puścić kaskadę wieczorem,
Wprzód, nim wstaniemy od stołu... Ach, jeszcze
Powiedz Dubynie, niech stanie za dworem
I pieśń Padury[1] śpiewa!...

LOKAJ.

Ale deszcze
Popsuły rurę w kaskadzie...

HRABINA.

Nowina!
No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, Pani...

HRABINA.

Ale — co ale? —

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna
Pojechał kupić cukru i araku
Do Berdyczowa...

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie... ale pomnij o rybaku,
(O) trzodach (pomnij) i...

LOKAJ.

Suma do sumy:
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą...

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce...

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób, co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!
Zawsze czegoś w nim brak: to się altana
Złamie, to (z) wzgórza krzyż umyślnie krzywy
Zwali... o mało co nie zabił pana.
Ach, jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Ręką daje lokajowi znak, żeby odszedł. Lokaj odchodzi.
Stelko!

[1] Tymko Padura, poeta ukraiński z epoki romantyzmu.

SCENA V.

HRABINA, STELLA, później LOKAJ.

STELLA, *za sceną.*

Co?

HRABINA.

Stelko, chodź tutaj!

STELLA, *wchodzi.*

Co mamo?

HRABINA.

Czy pan Fantazy już z Dianką gada?

STELLA.

Nie.
Zostaw, Stelko, ją w salonie samą,
A ty idź dziadka odwiedź, potem biało
Ubierz się cała, i wiesz... tam nad stawem,
Pod brzozą naszą płaczką stań... pod skałą
I wab łabędzie — bo my niezabawem
Wyjdziemy z gośćmi pod dąb Wernyhory
Pić kawę...

STELLA.

Dobrze, mamo — ale potem
Pozwolisz mi pójść z Hanką na nieszpory?

HRABINA.

Dobrze. Lecz cóż to widzę? Ach, pod płotem
Kibitka jakaś i konne baszkiry.[1]
do wchodzącego lokaja.
Co to?

LOKAJ.

Oficer moskiewski, gwardzista.

HRABINA.

Proś!... ach! drżę cała... Nie wiesz, czy kwatyry
Żąda?

LOKAJ.

Nic nie wiem.

HRABINA.

Proś!... Matko przeczysta!
Jeśli to jaki feldjegier... drżę cała...
Idź — ostrzeż ojca, Stelko!
Stella wybiega.

[1] Plemię mongolskie, zasymilowane przez Rosję, zamieszkujące gub. orenburska i permską.

SCENA VI.

HRABINA, MAJOR.

HRABINA, *do wchodzącego majora.*

Witam Pana...
Kogoż mam honor?...

MAJOR.

Pani nie poznała?

HRABINA.

Ach! Pan Wołdemar! Ach! cóż za kochana
Siurpryza!... Mężu! Steluniu! Dianko!

Wbiegają wołani, a za nimi Fantazy i Recznicki

SCENA VII.

HRABINA z CÓRKAMI, FANTAZY, RZECZNICKI.

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Patrzcie! nasz dawny znajomy!

HR. RESPEKT.

Ach Major! — Przyjąć-że go pełną szklanką!
Illuminować-że mój dach poziomy!
Cukrem wysypać srebrnym mój dziedziniec
I zamienić mu w Sybir! — Mój ty drogi!

ściska go.

Teraz-że widzisz... ot ja, Ukrainiec,
Już nie twój więzień... już tobie bez trwogi
Patrzę na mundur, czy zeń nie wyziera
Jaki róg biały... carskiego ukazu...
Panowie... w rękach tego oficera
Był mój los... a on, mówię, ani razu
Nie dał mi uczuć niewoli, i owszem —
Gdym z żoną, z dziećmi... w pobliżu Tobolska
Siedział... zasłany tam... jakoby w zdrowszem
Dla mnie powietrzu... aby dżuma polska
Nie zaraziła mi skóry... bo wiecie
Żem takiej rządu pieczołowitości
O moje zdrowie... jako tu w powiecie
Pierwszy urzędnik, doznał... on, litości
Pełny, widząc mię z córkami i z żoną

W małej wioszczynie... w dziurawej stodole,
Był nam pomocą wtenczas i obroną,
Tak, że nas wszystkie sybirskie Eole [1]
Nie rozdmuchały...

MAJOR.

Szczęsny, żeście w zdrowiu.

HRABINA.

A jak się ma pop Osip?

MAJOR.

Pijany z duszą!

STELLA.

A moje gile czerwone?

MAJOR.

W pustkowiu
Świszczą po drzewach... i w róże się puszą,
Smutne, że nie ma Panny na Sybirze.

STELLA.

A oswojone szczygiełki?

MAJOR.

Jak w raju,
U kaznaczeja... [2]

DIANNA.

A trzy polskie krzyże?

MAJOR.

Stoją.

HRABINA.

A Pani Potopof?

MAJOR.

Przy czaju,
W zielonej sukni.

HRABINA.

I zawsze w zielonej?

MAJOR.

I w kokoszniku. [3]

STELLA.

Z którego ja chciałam
Zrobić gniazdeczko suczce oszczenionej.
Ach, jak tam zimno być musi! — Zadrżałam
Myśląc, jak zimno tam Pani Potopof!
Dianko, a nasz?...

---

[1] Eol (Ajolos) był królem baśniowej wyspy Eolji. Dzeus oddał mu władzę nad wszystkiemi wiatrami. [2] Kaznaczej, (z ros.) kasjer, urzędnik skarbu. [3] kokosznik, czepiec, noszony przez kobiety w Rosji.

DIANNA.

Kto nasz?

STELLA.

Kto?... Nasz drogi,
Nasz biedny pan Jan, co na czele chłopów
Z kosą wzięty był... On taki ubogi,
A taki dobry... aresztant... i taki
Piękny, jak Michał Anioł[2] na obrazie...

MAJOR.

Ten wasz przyjaciel dał nam się we znaki:
Buntował nam lud... a dziś na Kaukazie
Bije się, w proste posłany sołdaty.

STELLA.

Patrzaj, Dianko!

HRABINA.

Dość, Steluniu! Prowadź
Pana Majora do pólskiej herbaty,
Którą przyrzekłaś jego uczęstować
Za kwas sybirski.

Wychodzą wszyscy oprócz Fantazego i Rzecznickiego.

SCENA VIII.

FANTAZY i RZECZNICKI, przy końcu STELLA.

FANTAZY.

O nas zapomnieli...

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAZY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dianny spojrzeń — i łez Stelli.

FANTAZY.

Jeszcze nie kocham...

---

[1] mowa tu oczywiście, o Archaniele Michale.

RZECZNICKI.

Ale się już złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie... Ale powiedz mi, Rzecznicki,
Kto to jest — ów to pan Jan, — wzięty z kosą?

RZECZNICKI.

Jakiś kosynier...

FANTAZY.

Jesteś jak delficki
Posąg... wyrocznie twoje... prosto miosą
W sam cel i samo serce prawdy. — Ale
Radbym dowiedzieć się, jaki to smutny
Upiór... nad srebrne gdzieś sybirskie fale
Pierś pokazuje i łańcuch okrutny
Wstrząsa... i w panien tych ładnej pamięci
Staje... z ranioną piersią — i z brylantem
Tej łzy; co mu się w oczach mglistych kręci,
Próżno roniona... Z takim aresztantem
Adonis...[1] nie mógłby walczyć... o miłość
Szlachetnej Polki...

RZECZNICKI.

Przecudna tyrada...
Perjody długie...

FANTAZY.

Ta dawna zażyłość
Sybirska... chmura ta błękitno-blada
Szronu złotego, która go obwiewa...
Te pod nim jary, pełne wilczych kości,
Te nad nim czarne sosny, straszne drzewa,
I to nieszczęście czarne...

RZECZNICKI.

I w czarności
Komina białą napisane kredą
Imię Dianny...

FANTAZY.

Przeklęty człowieku,[2]
Któremu jeszcze dziś świątynie w Knido
Dostarczą wody kastalskiej!... O! ćwieku
Z byronowego krzyża! O! baranie,
O którym niegdyś w mistycznem widzeniu

[1] Adonis, kochanek Afrodyty, piękny młodzieniec. [2] Przeklęty człowieku, któremu jeszcze dziś świątynie w Knido dostarczą wody kastalskiej. Znaczy to, że z świątyni Wenery zaczerpnie natchnienia do poezji, uczucia erotyczne go natchną.

Śnił Sanczo Pansa... w niebie niespodzianie
Ujrzawszy bydło!... O! ty, co w płomieniu
Wiekowym głupstwa jesteś salamandrą
I w ogniu będąc, tyjesz... o Rzecznicki!

RZECZNICKI.

O! nieszczęśliwy wieszczu!

FANTAZY.

O! Kassandro
Przedkontraktowa![1]

RZECZNICKI.

O ty, potrzebnicki
Zdrowego sensu!

FANTAZY.

O ty, sekaturo!
Patrz — poszli wszyscy na ogród, a o nas
Ani kto wspomniał...

RZECZNICKI.

Bo ty jesteś pióro,
Które sonety pisze... *et andronas*
Scribit... i bawisz ludzi, gdy się nudzą,
A nudzisz, gdy się bawią...

FANTAZY.

To być może...

RZECZNICKI.

Abyś się widział sam, weź głowę cudzą
I włóż na swój kark.

FANTAZY.

A moją położę
Na twoim?

RZECZNICKI.

W karty przegraj twoją głowę,
Jeśli na stawkę szulery pozwolą
Stawić wiatr, a nie pieniądze gotowe.
Lecz pierwej złap ją tak, jak wróbla... solą
Na ogon, bo ci z rąk samych wyleci...

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz... Same jakieś światła
Chodzą po mojej głowie, jak u dzieci,
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote... rzucone przez Wenecjanina

[1] Fantazy parodjuje tu rolę Rzecznickiego, który źle wróży o konkurach, przyrównywując go do wieszczki trojańskiej.

Świętych postacie... różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego... a ma niewytłómaczony
Urok dla ucha. — W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc... koło mnie chodzą,
Każda ze swoją twarzą — swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę — w postać... Ach! jak szkodzą
Uczuciom... myśli nadto rozwinięte!
Zda się, upiory... piękniejsze, że mętne —
Zdaje się, kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa, krwią nie namiętne,
Ale grzejące... słonecznością lica,
W wieńcach, w kameljach z gwiazd... których kolory
Niepewne, jako półtęcze księżyca
Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...

RZECZNICKI.

Bądź zdrów, bałaguło,
Który handlujesz końmi Apollina!...

FANTAZY.

Stój!

RZECZNICKI.

A co?

FANTAZY.

Serce moje coś uczuło.

RZECZNICKI.

Fenomen!...

FANTAZY.

Słuchaj... ta w czerni dziewczyna,
Ta wybielona wiatrem na Sybirze
Dianna... która czarnemi oczyma
Widzi tam jakieś mogiły i krzyże,
Słyszy tam jakieś łańcuchy, i trzyma
Ręce na piersiach, jak posąg słuchania
I bolu... słuchaj... ta... Dianna dumna,
Co pod piorunem tu zatradowania,
Pod ruinami gmachu, jak kolumna
Ostatnia trzyma wysoko swe czoło,
Ta — która patrząc na matki aktorstwo
I na twarz ojca — zbladłą, a wesołą
Dla ludzi... czuje całe gladjatorstwo
Nędzy domowej, ze światem walczącej,
Ona, co na mnie jako narzeczona
Patrzeć tu musi, a w duszy gorącej
Czuje, że będzie majątkiem kupiona,
A cierpliwością wypłacić się musi —

Ta panna... Czuję, że to podłość we mnie!
Ale mnie jakiś szatan wnętrzny kusi
Popełnić taką podłość i nikczemnie
Kupić ją... złotych polskich pół-miljonem!

RZECZNICKI.

Rzecz ułożona?

FANTAZY.

Tak, lecz jakim tonem
Mówić z nią?

RZECZNICKI.

Tonem kupca trzeciej gildy.

SCENA IX.

Wchodzi STELLA.

STELLA.

Mama przysyła mię zaprosić Panów
Pod dąb, na małą wysepkę Matyldy.[1]

FANTAZY.

Z romansu Cottin...

STELLA.

Bo do trzech kurhanów
Pójdziemy potem na spacer.

FANTAZY.

Cudownie!

Fantazy i Rzecznicki wychodzą.

SCENA X.

STELLA, *sama.*

Smutni dziś wszyscy... Dianka — tak blada,
Jakby opłatek, wzdryga się gwałtownie
I drży jak w febrze i z nóg, zda się, pada...
Papa... nie mówi anekdot... a mama,
Kiedy spojrzałam na nią, tom się zlękła!
Taka przy oczach szafirowa plama
I taka wielka łza w jej oczach pękła
I taka twarz się wydaje stroskana!...
Ach! Jakiś Baszkir... Baszkir... ach! w drzwi wpada!
Baszkir...

Wbiega do pokoju Jan.

[1] Nazwa wzięta od tytułu powieści Marji Cottin, autorki powieści sentymentalnych.

SCENA XI.

STELLA, JAN.

STELLA.

Czego pan chce?... Ach! proszę Pana,
Ja jestem sama...

JAN.

Stelka mi nie rada?

STELLA.

Ach! Pan Jan!..

JAN.

Cyt! — Cyt!...

STELLA.

Ach! Pan Jan przebrany!

JAN.

Moja Steluniu. cicho!... Jak urosła!
Jaki z niej kwiatek biały i różany!

STELLA.

Puść mię — ażebym Diance doniosła,
Że jesteś blisko...

JAN.

Moja dobrodziko,
Mój aniołeczku... o tem ani słowa!
Pamiętaj. że mnie prosiłaś na mleko
I miód z pasieki twojej... jak królowa
Rusałek... kwiatów podolskich caryna.
Bądźże mi teraz wierną i zaklętą,
Jak czar... bo dla mnie ta cała kraina
Musi być tylko snem i wizją świętą,
Na którą muszę patrzeć tak, jak we śnie —
Z uśmiechem, ale w milczeniu... O! biada
Tym, co stracili Ojczyznę!...

STELLA.

Boleśnie
Gadasz... i słyszę, jak za ciebie gada
Głuchy sybirski wiatr, co tak okropnie
Wył, w szyby bijąc brzęczące...

JAN.

Milutka!
Proszę cię... teraz postępuj roztropnie,
Widząc mię tutaj... jedna bowiem krótka
Radość mogłaby mnie i dom wasz cały
Strącić w nieszczęście...

STELLA.

Pan zawsze w niewoli?

JAN.

Zawsze..

STELLA.

I wraca znów na Sybir biały?

JAN.

Wracam...

STELLA.

I Pan mi mówić nie pozwoli,
Że Pan przyjechał?

JAN.

Zgubiłabyś obu,
Mnie i Majora!

STELLA.

Cóż mam robić?...

JAN.

Oto
Ja, Stello... szukam jakiego sposobu,
Abym Diannie tę obrączkę złotą,
Zgubioną... dawno w śniegu... dziś wieczorem
Oddał... O wschodzie słońca wyjeżdżamy.

STELLA.

Jakże to zrobić? Ach!... oto za dworem
Jest staw... i łódka, którą my pływamy,
Czasami same nawet tylko panny,
Na drugą stronę... do ładnej pasieki...
Lasek należy cały do Dianny;
Lecz teraz, jak nam tutaj mnichy Greki
Wzięli kościółek i parafją, w dworku
Pasiecznym mieszka nasz ksiądz... ojciec Loga.
Otóż w tym, jak dziś zwiemy go, klasztorku
Często z Dianką... prosiłyśmy Boga
Za ciebie... biedny Panie Janie... często
Wieczorem... kiedy w łąkach derkacz krzyczy,
A staw nakryty mgłą srebrną i gęstą,
Pełny różowych smug, a głos słowiczy
Po czarnym lasku girlandami spada
Z dębów, aż na staw... i za stawem jęczy,
Często Dianka księdzu Lodze gada
O tobie... o tej śnieżno-złotej tęczy,
Która świeciła... gdyście wy cyganki
Na Sybirze się o wasz los pytali. —

Nie wiem, czy równie ty nas, dwie wygnanki,
Pamiętał... — Jak ty westchnąłeś!... — Cóż dalej?...
Cóż ja mówiłam? — Ha! — więc do tej chaty,
Jeśli chcesz, siostrę moją zaprowadzę.

JAN.

Ale nic nie mów!

STELLA.

Nic.

JAN.

Ptaszku szkrzydlaty!
Zawsze, jak widzę, masz rusałki władzę
Nad twoją siostrą.

STELLA.

O! zawsze mnie słucha!

JAN.

Więc dobrze, będę wieczorem w pasiece.

Wychodzi.

STELLA.

Powiem Diance, że zobaczy ducha.
Ducha zobaczy! — Ach! zaraz polecę
I powiem Diani, że ducha zobaczy.

Chce wychodzić — wchodzi Hrabina Idalja.

SCENA XII.

STELLA i HRABINA IDALJA.

IDALJA.

Stelko!

STELLA.

Ach! Pani Hrabina...

IDALJA.

Gdzie mama?

STELLA.

Niech Pani chwilę tu zaczekać raczy!
Pobiegnę... powiem...

IDALJA.

Stój! — ja pójdę sama —
Powiedz mi...

STELLA.

Pani jesteś cała drżąca.

IDALJA.

To nic — bije mi serce — jestem chora,
Z podróży jestem... z wielkiego gorąca...
Prędko jechałam — pomimo doktora
Rad... mimo własne stokrotne zakazy.

na stronie.

O! nieszczęśliwa ja!... ach, i szalona!

głośno.

Czy są tu goście?...

STELLA.

Jest hrabia Fantazy
Z panem Rzecznickim.

IDALJA.

Czy niepostrzeżona
Mogłabym... powiedz... podejść tam, gdzie oni
Są teraz wszyscy?

STELLA.

Wszyscy są nad wodą...

IDALJA.

Czy mię tam jaka aleja zasłoni?
Powiedz... czy jakie drzewa tam dowiodą
Aż do nich — blisko... abym niewidziana
Mogła... dać jaki znak twej mamie?... Stello!
Patrzaj ty, jak drżą pode mną kolana,
Jak moje oczy... *(do siebie)* Ach! piorunem strzelą
Na czoło tego zmiennika — sztyletem
Przebiją serce jego!...

STELLA.

Chodźmy, Pani!
Staniemy za drzew kląbowych bukietem
W kląbach georgin...

IDALJA, *do siebie.*

Ach, z kwiatów otchłani
Wyjdę... jak mara, ogirlandowana
Georginami, jak tęczą gwiazd różnych.

STELLA.

Zdziwi się mama, że tak niespodziana
Wizyta Pani — tylu dziś podróżnych...

Wychodzą.

SCENA XIII.

Pod dębem w ogrodzie.

HRABIA i HRABINA RESPEKTOWIE, DIANNA, MAJOR, FANTAZY i RZECZNICKI.

DIANNA.

Pan Major herbaty?

MAJOR.

Dawno ja takie widział jasne kwiaty
I takie drzewa...

HRABINA.

Bez kultury rosną.

MAJOR.

Wasz kraj ogrodem zdaje się i wiosną
Temu, kto stoi w śniegach garnizonem.
Nie dziw, że tęskno wam do waszej ziemi,
Że wy wzdychali za nią pełnem łonem,
Ja to czuł dobrze!

DIANNA, *do Fantazego pogrążonego w zamyśleniu.*

Z uszkami złotemi
Ta filiżanka *grotesque*... się należy
Panu Hrabiemu... Panie Hrabio, proszę...

RZECZNICKI.

Fantazy!

FANTAZY.

Niechaj piorun mię uderzy!...
Chociaż amulet koralowy noszę
Od złego oka... słyszałem za sobą
Szelest... i znany krok... czyścowej duszy!

HRABINA.

Ta dusza miłą być musi osobą,
Że tak... w Hrabiego sercu wszystko głuszy
I tak daleko od nas odprowadza
Myśli... i w taką nieprzytomność wtrąca!

FANTAZY.

Przepraszam Panią... to mi nie przeszkadza
Być tu... jak światło bladego miesiąca
Nie szkodzi lampom...

HRABINA.

Więc Pan Hrabia z nami?

FANTAZY.
Duszą i ciałem — sercem i oczyma...

HRABINA.
I nie zostało nic teraz z duchami?

FANTAZY.
Ani jednego włosa...

DIANNA.
Czy Pan trzyma?
Niechże Pan trzyma! Ach!... Pan puszcza z ręki!
Filiżanka pada i tłucze się.

HRABINA.
To nic... Dianko, nalej Panu drugą!

FANTAZY.
Na Chrystusowe się zaklinam męki,
Że nie umyślnie! — Jestem Pani sługą
Najpokorniejszym... przepraszam Ją za to;
Ale w tej chwili... gdybyś była Pani
W oczy mi wlała gorącą herbatą,
Byłbym nie poczuł... *(na stronie)*. Sami tu szatani
Grają komedję ze mną... najsmutniejszą.

HRABINA.
Dianko — nalejże Panu Hrabiemu,
Lecz patrz... herbatę mu daj jak najlżejszą,
Daj cień herbaty.

FANTAZY.
Cień jej? — a to czemu?

HRABINA.
Szanuję Pana nerwy...
Widać za plecami Fantazego stojącą śród zarośli Idalję.
Co ja widzę?
Kłania się głową.

FANTAZY.
Co to jest? Komuż ukłon ten, Hrabino?

HRABINA.
Nic... Stella, widząc na jednej łodydze
Kwiat rzadki... za tą w gwiazdach georginą —
Gestem pytała... czy zerwać pozwolę,
A jam jej na to odkłoniła głową...
Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku.

HRABINA.

Któż tam z naszych?

FANTAZY.

Daję słowo,
Że oprócz kilku wielkich dziwolągów
Suchych.. co jeden za drugim się wleką,
Powysychani nakształt wodociągów [1]
I wydają się ruinom opieką,
Jak mech i chwasty — niema w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał...

HRABINA.

Przecież dla nas, sielan,
Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzymie
Jeden katolik... Polak i szambelan
Cesarskiej Mości... Wielki filharmonik,
Rogaty złotą lirą Apollina,
Śpiewa... ale tak, jak Egerji ponik, [2]
Mrucząc — niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa — młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą,
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą... siedzi w nim — i rzecby można,
Że swojej szkolnej zasady nie łamie.

HRABINA.

Któż więcej?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna, [3]
Której spadają loki aż na ramie,
A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik albo Monsignore...

HRABINA.

Dewotka... Jakież są więcej kobiety?

---

[1] Powysychani nakształt wodociągów. Słowacki porównywa emigrantów z dawnemi nieczynnemi wodociągami rzymskiemi z czasów starożytnosci. [2] Ponik, strumień; Egerja, nimfa. [3] Księżna stolnikowa Czartoryska.

FANTAZY.

Najwięcej — blade są — i bardzo chore...
Ruiny kobiet... resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty — zgasłe Wezuwjusze.

HRABINA.

Zacytuj mi Pan jedną dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi — na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalja,
Rodzaj Pani Staël[2] — machina parowa
Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?...

FANTAZY.

Jej talja
Jest do połowy syrena... połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — zresztą w oczach cała —

HRABINA.

Piękne?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białem...

HRABINA.

Taka biała?

FANTAZY.

Jak prześcieradło...

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament...

HRABINA.

Widzę ją przed sobą...

FANTAZY.

Kto sztyletem te prześcieradło zbroczy,
Popełni... wielką poezją... z osobą,
Którąby dała dziś... dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną.

[2] Pani Staël, autorka sławnej książki *O Niemczech*, zwiastunka romantyzmu we Francji.

Jej trzeba rany... Usta ma do picia
Trucizny. — Byłaby osobą śliczną,
Mając rozdarte serce — lub sumnienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie,
Że jako okręt, rozbity na piasku,
Siedzi... i czeka... lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył — chciała mię poznać. — Ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy[1] beczką — w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy...
Przychodzę — była zajęta ideją,
Że... miłość... wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą... bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze...
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“[2]
I powiedziałem mojej pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną,
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba
Świecącą w oczach skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego[3] wyrwało się szalu,
A ten szal — amjant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach,
Amjant[4] prawdziwy... Tu rzekłem, że widzę
Na jej błękitno-kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała, że szydzę,
Z początku — ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden... w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię... co ja czuję —
Na jaką jestem samotność wskazana...
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej — druga
Z tej samej pary — i z tego numeru.

HRABINA.

Przepraszam Pana — Stelka na mnie mruga.

Wychodzi ku Idalji i odchodzi z nią razem.
Hr. Respekt z Majorem odchodzą w inną stronę ogrodu.

[1] Kara córek króla Danaosa polegała na nalewaniu wody w beczki bez dna. [2] Haro!, tutaj tyle co „dość“, w sądownictwie francuskiem okrzykiem tym wzywano pomocy sądu. [3] Burnus, szerokie okrycie orjentalne. [4] Amjant, tkanina, używana przez starożytnych do owijania zmarłych, ogniotrwała.

RZECZNICKI, *na stronie do Fantazego.*

Teraz, Fantazy, z drugiego krateru
Sypnij... Diannie w oczy!...

FANTAZY.

Idź do djabła!...

RZECZNICKI, *do Dianny.*

Zapewne Mamie Pani co się stało...
Może tam w domu Stelunia zasłabła:
Pójdę zobaczę...

Do Fantazego.

Przypuść szturm — a śmiało!

Odchodzi.

SCENA XIV.

FANTAZY i DIANNA sami.

DIANNA.

Chce pan herbaty?

FANTAZY.

Nie.

DIANNA.

Chce Pan odwiedzić
Moją ptaszkarnię?

FANTAZY.

Nie... Pozwól mi Pani
Przy samowarze tym... co zaczął cedzić
Ukrop — pozwól mi z Plutona otchłani
Wydobyć słowo, które na cmentarzu
Żywych jest, jako trupia głowa w kwiatach.

DIANNA.

Pan mówi?

FANTAZY.

Prosto mówię — o marjażu.

DIANNA.

Ha!

FANTAZY.

Czy mam klęknąć?

DIANNA.

W tych namiętnych światach,
W których Pan żyjesz, klękanie nie w modzie.

FANTAZY.

Zaprawdę — trochę już się zestarzało.

DIANNA.

Więc...

FANTAZY.

Więc, Hrabianko?...

DIANNA.

W słowach tych na spodzie
Jest oświadczenie...

FANTAZY.

Cukier...

DIANNA.

To za śmiało,
Mój Panie Hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się Pan po... towar... Gdzie łokieć?
I gdzie są szalki? Szlacheckiemu dziecku
Bóg dał... patrz, Hrabio, nawet ten paznokieć
U palca, jako rubin, gdzieś obmyty
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na wezyrze!
Me łzy... patrz, są jak perły Amfitryty,[1]
Bom obrażona we łzach... W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych... całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkiemi i całą
Myśli ich piękność... ja mam po nich w spadku...
A ten mój posag ich — to moje ciało...
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę... i o niej nie mówiła wcale,
Traktując z tobą o siebie — na funty,
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze — oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną...
Jakto? — więc chciałeś, Hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową — zrumienić jej lice
I grubiaństwem... cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią źrenice
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,

[1] Amfitryta, bogini morza, przebywająca w głębi oceanu.

Żeś w okolicy sławny... że się ludzka
Miłość za tobą goni... żeś pomięty,
Jak dziwna jaka perła kałakucka,[1]
Tem droższa... że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie:
To już myślałeś, że ja się zapalę
Do tego dziwu... jak dziecko ubogie,
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące
Na twej koszuli?... Bo wyznasz mi, Hrabio,
Że Endymjona[2] mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków...
Dobrze więc, oto odpowiem ci szczerze,
Tem szczerzej, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. — Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół mijona w kaźnie,[3]
A jutro — wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdej chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te... jutro posłyszę,
Że krzyczą: „Boże!“ a Bóg nie uderza
Piorunem... jeśli duch, co we mnie dysze,
Modlitwą o! tej wioski nie obroni;
Jeśli mię chłopki okrążą i padną
Do nóg... jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach — a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;
Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która, podobna do cudu,
Ten lud obroni... to się do zamęścia
Z Panem — przychylę...

Wychodzi.

SCENA XV.

FANTAZY, RZECZNICKI.

FANTAZY.

Co za duch! — O Jezu!

RZECZNICKI, *wychodząc z za drzew.*

A cóż? — Za drzewem stałem...

---

[1] Perła indyjska z Kalkuty. Słowacki stale używał tej formy. [2] Endymjon, pasterz, kochanek bogini księżyca, Selene. [3] Kazna, (ros.) kasa skarbowa.

FANTAZY.

Wichry! burze!
Jestem szalony! —

RZECZNICKI.

Napij się Xerezu.[1]

FANTAZY.

Rzecznicki! w mojej duchowej naturze
Wielka się stała, ogromna przemiana.

RZECZNICKI.

Wiwat... A cóż? rzecz czy do skutku doszła?
Czy panna w tobie szczerze zakochana?

FANTAZY.

Duchowi memu dała w pysk i poszła!

RZECZNICKI.

Wiwat!...

FANTAZY.

Lecz partja ta nierozegrana...
Wybiega.

RZECZNICKI.

Poleciał... Dziwnie ten Fantazjusz żyje:
Z babami się jak na pałasze bije...

AKT II.

SCENA I.

Ogród.

IDALJA, *sama.*

Nie! nie! Ja w domu (tym), gdzie oni żyją,
Nie będę... tylko wytchnę sobie z drogi
I tu, gdzie różne się powoje wiją
Około sosen... w domku księdza Logi
Pomieszkam... Niech te źródła, gdzie Dianna
Widziała swą twarz... widzą me oblicze;
Niech widzą, że ja, chociaż w serce ranna.
Bez trucizn jestem... Nie! — ja jej nie życzę

[1] Xerez, gatunek wina hiszpańskiego.

Żadnej tortury!... Ja egzaltowana,
Mówią... dlatego właśnie — przebaczyłam...
I w osty moje kolące ubrana,
W osty, które ja łzami uiskrzyłam,
Podobna jestem... do jakiej Rzymianki
Lub Florentynki, co poety słucha
I ma kolczate na warkoczach wianki,
Jak gdyby burza, powstająca z ducha,
Tłómaczyła się... wieńca rozczochraniem
I kolcem liści, zjeżonych na głowie...
Poetą moim jest przeszłość... śpiewaniem
Mego poety... jestem tu w połowie
Smutna... i razem na poły radosną
Jestem... że mnie ta pieśń — nad nich podnosi.
Widzę, że trzeba mi będzie wziąć krosno,
Jak w dawnej Polsce — i ten duch, co prosi
O piękność.... a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem,
Trzeba go, widzę, pięknością prostoty
Upoić i mieć nad moim stolikiem
Zamiast miesiąca... twarz prababki białą,
Groźną... świętości lampę... twarz umarłą.
Tak... tak — wrzeciono będzie mi burczało
I tańcząc, złote me dywany darło,
A ja pomyślę, patrząc: Tak się kręci
Świat... tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą — tak się w jedwab mody
Okręca, i tak, — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch... a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tak będę drwić ze świata,
Przędąc jedwabie...

SCENA II.

Wchodzą STELLA i JAN.

JAN.

Steleczko lubiezna![1]
A cóż?

IDALJA.

Ktoś idzie! Skryjmy się do groty.
Wchodzi do groty.

STELLA.

Niech Pan Jan do mnie po rusku nie gada.

[1] Lubieżna, (ros.) miła.

JAN.

Słuchaj — to język jest mojej tęsknoty,
Język, który mi z piersi tak wypada,
Jak pies... i wyje — wyje... jak przy trumnie,
A czasem w ustach, jak karabin, szczęknie.

STELLA.

Dobrze, lecz Pan tu na gościnie u mnie,
W mojej pasiece; a więc to niepięknie
W moim królestwie — i przy moim piesku,
Który jest moim ministrem policji,
Niepięknie, że Pan mówi po moskiewsku...

JAN.

Dowcipny ptaszku...

STELLA.

Pies mój ciebie chwyci
Za piętę, jak cię poczuje Moskalem,
Bo nauczony tak... wziął edukacją...

JAN.

Gdzież jest Dianna?

STELLA.

Z bardzo wielkim żalem
Nie mogła tu przyjść.

JAN.

Ha!

STELLA.

Humla[1] warjacją
Na fortepianie gra...

JAN.

I tu nie przyjdzie?

STELLA.

Nie wiem. Jak skończy, to może spacerem...
Bo wiesz, że ona jutro zamąż idzie...

JAN.

Jutro?...

STELLA.

Cóż ci to?

JAN.

Prawda ... to jest zerem
W moim rachunku... Jutro więc... drżę cały.
Dianna zamąż idzie — a za kogo?...

[1] Hummel Jan, popularny niemiecki kompozytor.

STELLA.

Ach! jak szczęknęły dziwnie twoje strzały
W kołczanie!... Słuchaj — teraz z wielką trwogą
Patrzę na ciebie — teraz ty zupełny
Baszkir... ach, czarny teraz Baszkir z ciebie!
Czemu ty patrzysz tak na księżyc pełny?

JAN.

To nic, Steluniu — szukałem na niebie
Tych gwiazd — tych siedmiu gwiazd, związanych razem,
Które ty niegdyś, astronomka złota,
Pokazałaś mi... nad strasznym obrazem
Zmrożonej nędzy — zgasłego żywota,
Śnieżnego piekła... Tutaj być powinny,
W tej stronie niebios... te skrzypce z gwiazd — skrzypce,
Po których ty, jak aniołek niewinny
Wodziłaś smyczkiem... Twej pasieki lipce
Nie są tak słodkie, jako ta muzyka,
Która na gwiazdach po tobie została;
I kiedym siadał pośród mogilnika,
To na Sybirze mi tam — grała — grała,
Grała... jak wasz głos... panny...

Do siebie.

Czy w łeb strzelę
Sobie?... czy pójdę po żołniersku spić się?

STELLA.

Skrzypeczka ta z gwiazd?

JAN.

Na siostry wesele
Sprowadź ją z nieba!

STELLA.

Więc ty musisz kryć się?
Więc ty nie przyjdziesz jutro do kościoła?
Więc ty...

JAN.

O! biedny! biedny! biedny! biedny.
Który ojczyznę straci.

STELLA.

Nie kryj czoła!
My z Dianią pacierz kończyły powszedny
Twoim imieniem... ty byłeś tu z nami
Każdej niedzieli i każdego piątku;
Djanka twojemi gadała słowami,

Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan... Djanka dziś szlocha,
Djanka dziś blada, Djanka dzisiaj chora.
O! ty wiesz, ty wiesz — że cię Djanka kocha!

JAN.

Ha!.—

STELLA.

Ale Mama z Papą przyszli wczora,
Na łóżku siedli — mnie kazali iść precz,
Zamknęli na klucz drzwi — i coś tam siostrze
Gadali. — Ona krzyczała: „To miecz!
Trucizny dajcie! — Sama nóż wyostrzę
I sobie gardło poderżnę po ślubie!“
A Mama z Papą do niej: „Jesteś głupia!
Gadasz, jak gdybyś żyła w jakiej grubie
Albo w romansach!... A tu nędza trupia!
A tu rodziny naszej honor trzeba
Ratować!... A ty, głupia fircynelo...[1]
Myślisz... co? — z torbą po kawałek chleba
Naprzód... a starych nas dwoje ze Stellą
Za tobą — grać po kawiarniach w Kijowie
Na starych harfach?“ — Tu zaczęła Mama
Mdleć — i mój Papa załamał na głowie
Ręce... i nie wiem, co — ale ja sama
Pod drzwiami płakać zaczęłam i ryczeć,
Aż do mnie biedna Dianka wypadła,
Wzięła na ręce i zaczęła krzyczeć:
„Wezmę krzyż! wezmę krzyż!...“ i prześcieradła
Wlokąc, na ręku mię w ogród wyniosła,
Jak obłąkana... krzycząc: — „Wezmę krzyża,
Bo widzę, żem tu w domu na to rosła!...“

JAN.

To tak?... Więc niechaj do mnie się nie zbliża
Ta męczennica!... Stelko... daj mi rączkę...
Proszę cię... teraz... na wszystko zaklinam,
Weź... oto widzisz tę złotą obrączkę!
Czekaj — bo jeszcze czegoś zapominam —
Weź... i ten suchy pierwiosnek... urwany
W dalekiej ziemi łez, do której wrócę
Kończyć swój straszny czas... dźwigać kajdany.
Cóż mi więc z tego, że tu... w serce rzucę
Więcej boleści i otworzę rany,
Zamiast... o! Stelko, dokończ tych wyrazów.
I te... oto masz drogie dla mnie dary —
Schowaj!... I kiedyś, później... gdy z obrazów

[1] Fircynela, odpowiednik żeński do fircyka.

Przeszłości żołdak, wasz przyjaciel stary,
Na umilenie jakiego wieczora
Wtrąci się nagle do waszej rozmowy;
Gdy ten dom czarny z postacią upiora,
Cały sybirską zorzą purpurowy,
W oczach wam stanie... gdy to wszystko dawne,
Co kiedyś serce nam biedne dręczyło,
Stanie się marą — ty wtenczas te jawne
Ślady przeszłości — z twarzą taką miłą,
Jak anioł, który w niebie przypomina
Boleści nasze, już dawno przebyte —
Rzucisz przed siostrą twoją do komina...
I w skrach... pokażesz... czarne — łez już syte
I obrócone w popiół...

STELLA.

Więc już z tobą? —

JAN.

Więcej już ze mną nic...

STELLA.

Lecz cię zobaczę?

JAN.

W tym domu żadną nie jestem osobą,
Ale mundurem... Mniej niż człowiek znaczę,
A więcej żądałbym, niż król niebieski!
Więc wolę nie mieć nic... niż mieć pod miarą.
Nawet już, Stelko, te perłowe łezki,
Które ty, co mi serduszkiem i wiarą
Dotrwałaś, sączysz odwrócona bokiem,
Że są litością — to mi są obrazą...
Idź — Stelko — ja tu sobie nad potokiem
Legnę i strzałek mych będę żelazo
Ostrzył... bo w biedzie przywykłem do pracy
Jest mi kochanką... Mam takie piosenki,
Które śpiewamy sobie my żołdacy,
A w których jest brud śmiechu — i są jęki...
Bądź zdrowa!...

Stella odchodzi.

SCENA III.

JAN, IDALJA.

IDALJA.

Poszła!... O! cudowna scena!...

JAN, *kładzie się i śpiewa.*

Hej! hej!... Kaukaz nasz!
Hej! hej!... kopalnia cyn!

Hej! matka gorzałka!
Hej! kochanka mi pałka!
Hej!... ojczyzny ja syn!
Kto idiot? — Swój! — Ty mój? — Ja nie wasz!

Dobrze ta straszna pieśń... tu z echem wyje...
Jeszcze raz niechaj mi jaka Kamena[1]
Da głos... i schwyci mię razem za szyję,
Abym zacharkał i wył jak hyjena —

Hej! hej! trzymaj straż!
Hej! hej! zabębnił grzmot!
Hej! siostra gorzałka!
A śmierć generałka!
Hej na konia, taj wlot!
Kto idiot? — Swój! — Ty mój? — Ja nie wasz!

IDALJA.

Jaka cudowna pieśń!... Szczekają skały,
Jakby stu wilków otworzyło paszcze
I razem z głosem... czarną krwią rzygały.
Po pieśni — jęczy powietrze i klaszcze,
Jak czarownica... A on... u strumienia,
Niby cudowny rycerz z Ariosta:
Głowę w swój kołczan srebrzysty wpromienia
I zda się, ciepłe te powietrze chłosta
Energją głosu. Sylaby ostatnie
Jeszcze grzymią. — Ach! to jedna z dusz ranionych,
Jedna z dusz, które są mi dawno bratnie...
Znam go — ach! i tych wyłogów czerwonych
Dotknę się — nie tak, jak ten świat francuski,
Ale się dotknę, jak relikwij świętych...

Podchodzi ku niemu.

JAN.

Kto takoj?

IDALJA.

Polka!

JAN.

Nu tak szto? Ja Ruski!

IDALJA.

Czy wielu takich jest na Sybir wziętych,
Jak ty? Przebacz mi... że cię prosto t y k a m,

[1] Boginki wodne, użyczające poetom natchnienia. Poeta utożsamiał je z Muzami.

A nie obrzucam cię światowym P a n e m.
W tym t y... ja wiele — ja wiele zamykam!
I więcej daję ci nad ludzi stanem
Wyższości, niż świat da Jaśnie Wielmożnym.

JAN.

Nu — ja nie znaju szto't... ja z moim chanem
Z majorem... tak my tu za podorożnym
Zjechali pocztą.

IDALJA.

Biedny ty — człowieku,
Że się wystrzegać musisz własnej mowy
I ciągle... być za serce na tym ćwieku
Twojego krzyża!... Jam mniejszej połowy
Historji twojej... wysłuchała, w grocie
Ukrytą będąc... domyślam się reszty.

JAN.

Jeśli tak, powiem Pani, że w istocie
Śpiewałem z bolu... i z męki...

IDALJA.

A wiesz ty,
Że ja słuchając, przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że tej boleści — pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione... Nie pytaj o więcej,
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele...
Ty ustępujesz... bo kochasz goręcej,
Boś jest mężczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci męska nie pozwala
Za prawo serca... przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść... Lecz ja — ja... mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotemi
Płynącą... tu ja... próchnieję — ja, dawniej
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniej,
Niźli... niejedna Neapolitanka,
Sztyletem romans kończąca... a przecie
Tak porzucona... jak Basia lub Rózia,
W której się cała palestra w powiecie
Kocha... i wierszem dzwoni, że jej buzia
Jest pełna cukru!... Horor! mówię tobie,
Bo, że ojczyzna ta mre... to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje

W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca wieszając wzięte — u zegarka;
Potem poezje piszą — i bilanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce... To też wszystko blade,
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,
Każdy... od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje... Słuchaj! ja jestem kobieta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku,
Wzgardę — ogromną wzgardę — błyskawicę!
Otóż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże...
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia... i coś rzucam w mgłę — coś tworzę,
Coś — sama nie wiem... ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek... zdarzenie,
Które tonącej mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

JAN.

Darujesz mi Pani,
Lecz jeśli tutaj jest jaka kobieca
Zemsta...

IDALJA.

To ona się nie ukołczani!
Co? — to ty, rycerz, nie spadniesz z księżyca
Na Ariostowym koniu...[1] i kochanki
Jak sokół sobie nie weźmiesz z dziedzińca?
To za mnie bić się ty nie pójdziesz w szranki?
Cha! cha! cha!... ludzie myślą, że prócz sińca
Nic ofiarować nie można kobiecie!
Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę...
Daj serce... sercem mi pomagaj skrycie!
Myśl twoją zawieś tak jako rybitwę
Nademną... sercem bijącą — krzykliwą!
Niechaj mię broni... niech wiem, że nademną
Jest kto — mój — z parą skrzydeł sprawiedliwą,
Z szalą, która tu przez rękę nikczemną
Niesfałszowaną była. Ach i więcej,
Więcej żądałabym jeszcze od ciebie...
Ale to ledwo za kilka tysięcy
Lat człowiek będzie mógł dać zaraz z siebie
Na pierwszą prośbę, anielską a szczerą.

[1] Mowa tu o koniu skrzydlatym, hipogryfie, z poematu o *Orlandzie Szalonym*.

JAN.

Cóż to za taka prośba?

IDALJA.

O pokorę.

JAN.

A! to jest dla mnie, Pani, wielkie zero!
Ja, który teraz z kazny co rok biorę
Na żołd pół rubla, a resztę u chłopa
Muszę wyżebrać, mam pokory tyle!

IDALJA.

Nie masz jej dosyć!

JAN.

Patrzaj, moja stopa
Wygląda z buta...

IDALJA.

Słuchaj... ja się schylę
I pocałuję w tę krzyczącą ranę
Twojego buta — jeśli mi dasz słowo...

JAN.

Że...

IDALJA.

Słuchaj, wioski te są zrujnowane,
Połową jedną szlachcie, a połową
Skarbowi dłużne — słuchaj... ślub Dianny
Jest — oto takim buta załataniem.

JAN.

A więc jest święty!

IDALJA.

Towar z niej nie tanny
Zrobiono... długim bardzo targowaniem!
Na pół miljona zbito — panny cenę
I teraz idzie z domu w pół-miljonie!

JAN.

Niedrogo!

IDALJA.

Prosto idź na targu scenę
I mów, że siostra ci jedna po zgonie
Na zagranicznym banku zostawiła
Tyle, ile ci ludzie chcą za córkę...
Ja jestem twoją siostrą —

JAN.

Pani miła!
To przypomina mi „Z g o r k i n a g o r k ę“,
Piosenkę ruską...

IDALJA.

U nóg twych... Jak z miedzi
Twe czoło — i twarz zda się nieczłowiecza.

JAN.

Nie, nie! — Coś w sercu tu polskiego siedzi,
Coś w sercu siedzi tutaj i zaprzecza
Takiego czynu — jakieś straszne *veto*,
Przeciw, któremu nic... świat cały!... Nawet
Gdybyś nie była, o Pani, kobietą,
Czuję, że musiałbym zaraz wet-za-wet
Na twoją złotą kulę... odpowiedzieć
Ciężką, żebracką kulą — ołowianą...
Co to los! — Można nad strumieniem siedzieć
I kwiatów wonią oddychać różaną
I mieć w boleści — ulgę od natury,
Co wszystkie, zda się, części zna bolące
I wie, gdzie dotknąć kości, a gdzie skóry.
Lecz człowiek, choćby wyższy nad tysiące
Ludzi, choć z chęcią najlepszą się zbliży,
Choć, jak ty, Pani, od róż weźmie woni
W słowach... to zaraz czymś — albo poniży
Albo łzę taką nad człekiem uroni,
Że ona jemu pali... nawskróś czoło
I czerni wstydem...

IDALJA.

Ha! widzisz, jak trudno
Wejść w czarodziejskie tych aniołów koło,
Dla których taki czyn już byłby cudną
Pokorą brata...

JAN.

Na Boga! na Boga!
Opuść mię, Pani — to jest dar szalonej!

IDALJA.

Bo ja szaloną jestem... bo złowroga
Gwiazda świeciła wcześnie urodzonej
Pomiędzy ludźmi, którzy jeszcze rosną,
Nie śmiejąc kroku zstąpić z bitej drogi.
Tak — twa szlachetność jest cudowną wiosną
Dojrzalszych twych lat... Każdy dziś ubogi...

Nie lokaj, ani piszczyk,[1] wierz mi, Panie
Tak jak ty, rzuciłby mi złotem w oczy!...
Nie idzie za tem, by to odrzucanie
Było boskością: ono tak się toczy
Po bitej drodze ludzkiego zwyczaju,
Jak stara państwa Rzecznickich kareta...

JAN.

Tego już, Pani, ja nie ponimaju[2]
I śmiech mię bierze...

IDALJA.

Śmiech, że ja, kobieta,
Moim majątkiem rzucam tak, jak błotem,
A sama choćbym poszła za klucznicę?...

JAN.

Kto Pani jesteś?

IDALJA.

Jestem tu przelotem
Przelatujący anioł... błyskawicę
Rzuciłam w oczy ci... i tak znikniona
Jestem dla oczu twych, jak błysk na niebie...

JAN.

Stój!

IDALJA.

Nie idź za mną!...

Odchodzi.

SCENA IV.

JAN.

To jakaś szalona!
Lecz widzę, (żeby) oddała w potrzebie
Duszę... choć djabłu! Co do mnie, to może
Złoto swe rzucić tu, do stawu prosto,
Bo mnie jak więźnia karmią ręce boże
I jestem sobie jak drugi Arjosto
Na mojej nędzy...
Jednak — ja nie wiem — ona mi wszczepiła
W to serce jakiś gniew na tego człeka,
Który tu... który, jak pieniężna siła,
Jak wódz — od swych wojsk dukatowych czeka

[1] Pogardliwa nazwa, znaczy tyleż, co pisarek. [2] Ponimaju, (ros.) pojmuję.

Zwycięstwa — a sam... spokojnie i cicho
Nie wytężywszy żadnej serca władzy,
Weźmie ją... Pójdę... bo jakieś mi licho
Ubronzowane, jak ja, trochą sadzy,
Wściekłe, jak Baszkir gdzieś odźwierciedlony,
Pokazuje swe zęby zgrzytające.
O! cobym nie dał za plac rozmierzony
W dziesiątek kroków... i w ręku gorące
Dwa pistolety!... O! gdyby nie słowo,
Które odemnie Major ma, że będę
Jako baranek... i nic własną głową
Nie przedsięwezmę, ale na komendę
Jako machina będę się obracał
I wszystko czynił, co mi on rozkaże:
O! jakżebym dziś te lalki wywracał
I tym światowym ludziom zajrzał w twarze
Spokojnie — ale marmurowo, krwawo,
Jak niegdyś w gardła harmat pod Warszawą...

SCENA V.

JAN — wchodzi KSIĄDZ LOGA.

KSIĄDZ LOGA.

Pobiegła... Męka to jakaś okrutna,
Która tę panią tak po lasach goni!
Chciałem przyjść z radą — a ona furt! za dom
I poleciała nad staw... jak cyranka.
A byłbym tu dał miejsce kilku radom
Dobrym... pokazał jej śmierć i kochanka
W świetle właściwym. — Czego chce odemnie
Ten ruski żołdak?

JAN.

Pomówić z Waćpanem.

KSIĄDZ LOGA.

Polak?

JAN.

Tak, Polak.

KSIĄDZ LOGA.

I Waćpan nikczemnie —
Po polsku czysto mówiący, więc stanem
Zapewne nie chłop rekrutowy, ale
Szlachcic — w moskiewskiej służbie, z dobrej woli?...
Czego Waćpan chcesz?

JAN.

W tym twoim zapale
Czuć, że na twojej, mój staruszku, roli
Nie rośnie zdrada... Więc się tobie zwierzę
Pod tajemnicą jakoby spowiedzi,
Żem szlachcic, w proste posłany żołnierze
Za rewolucją... że tu we mnie siedzi
Polska... Że tutaj przybyłem sekretnie,
Abym się pozbył jednego ciężaru,
Który przez czasy mię dziesięcioletnie
Dręczył i nakształt straszliwego czaru
Myśl moją ciągle wypijał z płomienia,
Serce mi z ognia mojego wyniszczał...
Proszę cię, księże, byś z tego pierścienia...

Zdejmuje pierścień z palca i daje go księdzu Lodze.

KSIĄDZ LOGA, *oglądając.*

Złoty pierścionek...

JAN.

Który mi tak błyszczał,
Jak gwiazda, co zaświeciła na kucją
W domu rodzinnym...

KSIĄDZ LOGA.

Bym pierścionka tego?...

JAN.

Proszę, ażebyś zrobił restytucją,
Bo go ukradłem.

KSIĄDZ LOGA.

Nie!

JAN.

Na Boga mego!
Bo go ukradłem...

KSIĄDZ LOGA.

Z męką ty straszliwą
Mówisz! — a ja ci mówię, ojciec stary:
Przedemną oto nie przysięgaj krzywo,
Bo ja ten pierścień znam, bom go u fary
Dawniej poświęcił.

JAN.

Więc wiesz, że jest zdjęty?
Że ja do niego, ojcze, nie mam prawa?

KSIĄDZ LOGA.

Dobrze... wypełniasz obowiązek święty.
Niechaj ci, synu mój, wiara i sława
I *patria*[1] będą pomyślne i dadzą
Swoje trzy wieńce... wieńce te zwyczajne,
Które na grobie wielkich ludzi sadzą
Te trzy kochanki. — Bo ci to nie tajne,
Że ludzie wprzód do trumny odprowadzą,
Potem kochają... Cierp więc podług stanu,
A znoś cierpienia podług wielkiej duszy,
A ja pamiętać będę o Waćpanu
W moich pacierzach...

JAN, *do siebie.*

I perłami pruszy
Ze źrennic, jak król jaki ze skarbnicy.

Głośno.

Bądź zdrów, staruszku! — Dobrzy w Polszcze ludzie!

Odchodzi.

SCENA VI.

KSIĄDZ LOGA, *sam.*

Otóż sumnienie tej młodej dziewicy,
Która zrobiła ślub w sybirskiej budzie,
Wolne jest... Pójdę i pierścionek (wrócę).

AKT III.

SCENA I.

Salon, jak w akcie pierwszym.

FANTAZY i RZECZNICKI.

FANTAZY.

Rzecznicki! Dasia tu jest, albo była.

RZECZNICKI.

A bah!

FANTAZY.

Czułem ją po zapachu.

RZECZNICKI.

A bah!

---

[1] (łac.) często używane dawniej zamiast wyrazu „ojczyzna".

FANTAZY.

Mówię ci, że się już nademną mściła
Przez tego czarta goliata — draba,
Baszkira... już jej wenecki sztylecik
Uczułem... i wiatr z jej ust pełny szpilek
Już mnie obleciał... już miałem pasztecik
Z jej kuchni... już, już ten zemsty motylek
Zrzucił poczwarkę swoją — i tu lata,
Zrobiwszy traktat z ludźmi na mą zgubę.

RZECZNICKI.

Mści się nad tobą?

FANTAZY.

Tak, jako harmata,
Nabita puszką ćwieków.

RZECZNICKI.

Daj mi próbę,
Bo nie uwierzę.

FANTAZY.

Ten Baszkir najęty,
Ten Baszkir połknąć mię chce, jak Jonasza.
Dziś właśnie, kiedy ranne diamenty
Stały na kwiatach...

RZECZNICKI.

Słuchaj, niech ta kasza
Z gwiazd, z diamentów — z kwiatów...

FANTAZY.

Jesteś gapem!
Otóż ci powiem prosto... Dziś stoimy
Na ganku... Baszkir z ogromnym harapem,
W futrach, jak bożek gdzieś sybirskiej zimy,
Ujeżdża konie... panny z ganku patrzą,
Starosta swoje anegdoty plecie....

RZECZNICKI.

Ty stoisz z twarzą od księżyca bladszą,
Jak Manfred...[1]

FANTAZY.

A ty, mój swat, przy bukiecie,
Jak Gaweł...

RZECZNICKI.

No! kończ! —

[1] Manfred, bohater poematu Byrona.

FANTAZY.

Wtem Baszkir niecnota
Naprzód... mi konia... prawie na pierś wsadza
Ogonem... zmykać przymusza, od błota
Spędza jak wróbla, pałaszem zawadza
O moje złote na piersiach binokle
I ciągnie...

RZECZNICKI.

No! to wszystko jest przypadek.
Takie zdarzenie mieli Temistokle [1]
Na olimpijskich grach... Ustępuj z kładek,
Kiedy przez błoto konie idą kłusa.
Baszkir nie winien nic.

FANTAZY.

Ale mi potem
Bestja — mojego zabił Spartakusa!

RZECZNICKI.

Jak to?

FANTAZY.

Kiedy mię już obrzucał błotem,
Djabeł podszepnął jakiś pannie Steli,
Że do Majora przybiegła i prosi:
„Niechaj, Majorze, Baszkir z łuku strzeli!"
Ojciec tę prośbę natychmiast podnosi,
Robi uczoną wielką dysertacją
O sławnym z łuku strzelaniu Baszkirów,
Dowodząc, że zna strzał przez ewelacją.
Schodzą się panny — do niebios szafirów
Odprowadzają tę strzałę oczyma;
Ja sam aż w gwiazdy okiem idę za nią,
Widzę, jak srebrna się na niebie trzyma,
Maleńka — komar pod niebieską banią —
Potem przechyla — skręca — w ziemię mierzy
Główeczką srebrną, daje świdra, młyńca —
Spadła — patrzcie, gdzie? Mój Spartakus leży,
Mój wyżeł leży na środku dziedzińca,
Drgając łapami! — Czy tybyś uwierzył
Albo spodziewał się? — W niebiosa godził,
A szelma w mego Spartaka wymierzył!

RZECZNICKI.

Prosta, bo Spartak po dziedzińcu chodził.
To los...

[1] Temistokles, Ateńczyk, wsławiony w bitwie przeciw Persom pod Salaminą.

FANTAZY.

Psów było jak psów...

RZECZNICKI, *przerywa.*

Więc Baszkir miał racją,
Że najpiękniejszy wybrał cel. — Fantazy,
Strzelając, widzisz, tak przez ewelacją,
Trzeba mieć piękność celem...

FANTAZY.

Po sto razy
Mówię ci, że w tym czuć rękę Idasi.

RZECZNICKI.

Strzeliła z łuku?

FANTAZY.

No! zgryzłem to w sobie.
Wtem Stelka, co się do każdego łasi,
A coś djabełka ma w swojej osobie,
Pyta Baszkira, jak się to przez barki
Ow kołczan wkłada? czy ciężki? czy z blachy?

RZECZNICKI.

No? i ten Baszkir?...

FANTAZY.

Syn jakiejś Tatarki,
Zdjął kołczan... i mnie, co jemu pod pachy
Byłem, a właśnie wylazłem był z kąta
I stałem przy nim z maleńką dziewczynką —
Przez głowę rzucił nagle jak chomąta,
Ten kołczan — pasy te żółtawą glinką
Pomalowane... i nagle przed okiem
Panien zniknąłem, jakby syn Latony, [1]
Okryty białej kurzawy obłokiem,
Osiodłan, jak koń. — Wstał na ganku klamor. [2]
A gdy opadł kurz, tom się przy łajdaku
Baszkirze żabsku pokazał, jak Amor
W moim tużurku czarnym... i sajdaku,
Pokrzyżowany pasem ładownicy.
O, tak!...

RZECZNICKI.

Idalka więc w zmowie z tym chłopem?

---

[1] Latona, matka Apollina. [2] Klamor, (łac.) krzyk.

FANTAZY.

Przysięgnę, że gdzieś stała w okolicy
Na wieży... lub na dębie... z teleskopem.

RZECZNICKI.

A bah!

FANTAZY.

Ty zawsze „A bah!...“

SCENA II.

FANTAZY, RZECZNICKI, wchodzi HRABIA RESPEKT.

HR. RESPEKT.

Cóż, Panowie?
Major nadzwyczaj smętny z tych wypadków,
Z żołdakiem się tym obejdzie surowie.
Kochałeś może tego psa? bez świadków
Może i parę łez nad nim zroniłeś?
Niech cię pocieszy to, że moja żona,
Której ty dawno głowę zawróciłeś
Twemi listami, już jest zatrudniona
Obraniem miejsca pięknego w ogrodzie
Na grób dla twego psa... i monumenta...
Gdybyście byli z moją córką w zgodzie
Lepszej — to możeby jakie mementa[1]
Znalazła w książce angielskiej — i napis
Godny... Lecz z moją córką coś ty, Hrabio,
Chciałbym was widzieć, jak lazuli-lapis
Błękitnych... chciałbym tu, pod czwartą schabią
Zobaczyć, czy ty masz serce?... Masz serce —
Ale zobaczyć chciałbym... czy się wreście —
Wiesz, Hrabio, ojcem jestem... a kobierce
Nagotowane...

FANTAZY.

A my tu po kweście
Waszych serc...

HR. RESPEKT.

Niechże pan Fantazy gada,
Jeżeli można, bez żadnych floresów
Na chwilę...

FANTAZY, *na Rzecznickiego wskazując.*

Ten pan mój podpis posiada.

[1] Memento, (łac.) wspomnienie.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! nie lubisz, widzę, interesów.
Dobrze... idź, same róże zrywaj — a my
Weźmiemy ciebie w siatkę... weźmiem w siatkę
I myśli twoje ładne pochwytamy
W piękne więzienie. — Masz ojca i matkę;
We mnie masz ojca, matkę — w mojej żonie.

Do Rzecznickiego.

A my, jak ludzie zimni, chodźmy pisać.

Wychodzi z Rzecznickim.

SCENA III.

FANTAZY, *sam.*

Czoło mi jeszcze całe wstydem płonie
Za tego starca... Jak on się kołysać
Musiał — uśmiechać się... i pół dowcipnie
A napół serjo rzucać mi na szyję
Tę córkę!... Krew tak czerwona nie lipnie
Do rąk zabójcy, ani modre żmije
Nie okręcają takiemi uściski
Laokontowych ramion, jak on zięcia!
To dziwnie! jak on żebraka był bliski,
Jak cały drżący porwał mię w objęcia,
Jak od psa zaczął, a skończył na sobie,
Niby wyraźnie mówiąc: „Nad psem płaczę
Więc płacz nademną!“ — Kiedy te łzy obie,
Co w oczach jego błysnęły, tłómaczę,
To mu odpuszczam uśmiech ów fałszywy,
Którym się zakrył przedemną jak maską.

SCENA IV.

FANTAZY, HRABINA RESPEKTOWA.

HRABINA, wchodząc.

Hrabio!

FANTAZY.

Jej sługa!

HRABINA.

Mąż mój... dzień szczęśliwy!
Sądzę, że Pan Bóg nam swą świętą łaską
Pomoże... Hrabio! we łzach jestem cała,
Widzisz mnie drżącą — nie dziw się — ja matka!

FANTAZY.

Pani mię mocno tym zobowiązała,
Żeś mnie tu wzięła pierwszego za świadka
Tych łez... Umiem je cenić.

HRABINA.

Niech Pan będzie
Pewny, że moja Dianna... zrozumie
To serce jego... i chociaż nie wszędzie —
Bo ona latać po gwiazdach nie umie —
Poleci za nim... to przecież go w żadnym
Złym losie — córka moja nie opuści.
Ona ci będzie, Hrabio, kwiatem ładnym
W domu... przed twoją błyskawicą spuści
Oczy, i będzie płakała, nie wiedząc,
Skąd te łzy, czemu się po licach toczą...
Nigdy cię ona nie obrazi, śledząc
Twoich czynności... ani z twą proroczą
Przyszłości myślą będzie się kłóciła,
Ani z przeszłością twych złotych pamiątek
W bój wstąpi... Dla nas ona wszystkich była
Jak w domu jaki czarodziejski kątek,
Gdzie jest najlepiej... smutnym!... Ale, Panie,
Ja, matka — muszę przewidywać za nią
I muszę matki to przewidywanie
Powierzyć tobie.

FANTAZY.

Od tej chwili z Panią
Nie powinienem mieć żadnych tajemnic.

HRABINA.

O tak! — nieprawdaż? — otwarci oboje
Wpuściemy oczy do najskrytszych ciemnic
Naszego czucia... Hrabio, ja się boję,
Że tu... pod lawą tą... jakaś Westalka
Rzymska ma ogień jeszcze niezagasły...

FANTAZY, *do siebie.*

Jak widzę, była tu moja Idalka.

Głośno.

Pani, tym ogniem się serdecznym pasły
Różne — cóż powiem — różne salamandry
I w ogniu żyły...

HRABINA.

I są jeszcze żywe?

FANTAZY.

Nie wiem... Nimfy się takie w oleandry
Zmieniały dawniej... albo nieszczęśliwe
W źródła płaczące — lecz w ręku poety
Dafne[1] zmieniała się zazwyczaj w laury.
Powinnyby dziś to polskie kobiety
Dobrze rozważyć...

HRABINA.

Wy jesteście giaury,[2]
Wy wszyscy giaury! Wy zawsze wracacie
Do pierwszych waszych snów... na śmierci łożu...

FANTAZY.

Czy tu przybyła?

HRABINA.

Jest.

FANTAZY.

Gdzie?

HRABINA.

W małej chacie
U księdza Logi.

FANTAZY.

Chora?

HRABINA.

Jak na morzu!

FANTAZY.

Co?... ma chorobę morską?

HRABINA.

Ciągle mdleje.

FANTAZY.

Pójdę — to moje fatum ta kobieta!

Wybiega.

HRABINA.

Mężu! Dianno! Stelko!...

SCENA V.

HRABINA i HR. RESPEKTOWIE, DIANNA, STELLA, MAJOR i RZECZNICKI.

HR. RESPEKT.

Co się dzieje?

HRABINA.

Poleciał do niej!

---

[1] Nimfa Dafne, chcąc skryć się przed ścigającym ją Apollinem, zmieniła się w laur. [2] Jesteście wierni pierwszej wielkiej miłości; bohater Byrona z poematu p. t. *Giaur* wierny jest do śmierci.

HR. RESPEKT.

Wojna więc odkryta?
Jak się to skończy?

HRABINA.

Ach! jak to się skończy?
Nieszczęście jakieś wyniknie...

MAJOR.

Paniska!
Czart złączył — Moskal tę parę rozłączy.
Bom ja zrozumiał — z mego stanowiska,
O co tu chodzi... Tak dziś ja z Baszkirem
Moim... nie wiele sobie pogadawszy,
Zrozumiał, że tu marjaż — a tam wirem
Jakaś kobieta kręci... Tak ja krwawszy
Był żalem, niż wy, że mój Baszkir w zmowie
Z tamtą kobietą — drwił z waszego zięcia...
Więc ja rozwidnił Baszkirowi w głowie,
Że on... zobaczył waszego dziecięcia
Nieszczęście... i sam zapłakał nad wami
I przyrzekł... pomóc wam... przeciw tej furji.
Tak jeśli wam to nic, tak my tu sami
Zrobiemy sztukę... Tak ja na dyżurji [1]
Przy sobie teraz zatrzymał Kałmuka,
A Baszkirowi kazał jechać w pole.
Tak on tej pani hrabiny poszuka
I wsadzi w powóz, na i przez Podole
Babu do domu...

HR. RESPEKT.

Piorun!

MAJOR.

Nasza sztuka!
Co wam do tego?... Nu, ja jomu
Prykazał grzecznie być... a kiedy nie chce,
Tak po kozacku...

HRABINA.

O! O! w naszym domu...

MAJOR.

Bądźcie spokojni!

HR. RESPEKT.

Lecz, panie Majorze,
Taki rapt...

[1] Na służbie dyżurnej przy swym boku.

MAJOR.
Co? Ja — źle zrobił?

RZECZNICKI.
Nikomu
Do głowy ani przyszło, byś Pan sobie
Tak śmiał postąpić.

MAJOR.
Tak ja źle się sprawił?...

HRABINA.
Majorze, lepiej, abyś był nas obie
Zaaresztował...

HR. RESPEKT.
Mnie przed sądem stawił...

STELLA.
Nas kazał odwieźć wszystkich do Kijowa...

HR. RESPEKT.
Mnie starca kazał chwycić na kibitkę...

MAJOR.
Nu! cóż ja zrobił?!

HRABINA.
Nic już! — ani słowa! —
Mężu! każ zaprząc!... Dianko, włóż świtkę
Czarną, podszytą łabędziami! — Stelko,
Przynieś mi boa! — sama włóż szlafroczek!
Tak jak kompanją tu jesteśmy wielką,
Jedźmy! —

Hrabia idzie do drzwi; służba się krząta; panny wychodzą i wchodzą przebrane.

MAJOR.
Ot, piwa nawarzył!...

RZECZNICKI.
W tłómoczek
Włóżcie czem trzeźwić!

HRABINA.
Prawda! — Kajetanie!
Włóż do powozu o! te dwa flakony.
Jedźmy!

MAJOR.
Ja zaraz tam dopędzę Panie
Z moim Baszkirem.

LOKAJ.
Powóz zaprzężony!

HRABINA.
Jedźmy kompanją całą w przeprosiny!
Pan Major konno niechaj przodem rusza!

MAJOR.
Nu tak! ja przodem...

HR. RESPEKT.
Przez lasek brzeziny...

Wszyscy oprócz Rzecznickiego wychodzą.

RZECZNICKI.
A ja na mego czekam Fantazjusza.

SCENA VI.

Wpada FANTAZY.

FANTAZY.
Rzecznicki!

RZECZNICKI.
Co to?

FANTAZY.
Konia!

RZECZNICKI.
Intercyza
Już podpisana...

FANTAZY.
Słuchaj, w moich oczach
Porwał ją — przez pół, chwycił jak narcyza!
Róże, co były w jej czarnych warkoczach,
Wytrząsał... uniósł jak wicher!... Rumaka
I pistoletów!...

RZECZNICKI.
Stój!

FANTAZY.
Póki na siodle
Dosiedzi jedna kosteczka Polaka,
To będzie rąbać!

RZECZNICKI.
Bah!

FANTAZY.
Jeśli ją podle
Opuszczę, to mi w twarz pluń! — Do widzenia!

RZECZNICKI.

Poczekaj! Jakże to było?

FANTAZY.

Podchodzę,
Widzę ją zdala — nad brzegiem strumienia
Smętnie idącą... Już się napół godzę
Z tą dawną myśli moich Pelejadą[1] —
Wtem... patrzę: jakiś Kałmuk przed nią staje.
Pokorny zda się zrazu... czy z doradą,
Czy z prośbą?... Słucham, co?... Wtem klasły gaje:
Dała mu ręką w twarz — do oczu skacze —
On ją porywa wpół... jak zwierz, unosi...
Horor!! puść... konia mojego kulbaczę —
Lecę... Jeżeli ten Major się zgłosi
O swego człeka do sądu, daj parol
Za mnie, że człowiek ten wymazan z pułku
Znajdzie się w piekle!...

Wylatuje.

SCENA VII.

RZECZNICKI, *sam.*

Widzę, że wziął rzecz z poetycznej strony!
A więc ja szłapię także — dla trzeźwienia
Różnych mdlejących — a zaś dla obrony
Od djabła, (z) którym już walczyć nie mogę,
Wezmę na bryczkę moją ksiedza Logę.

Chce wychodzić, wtem wchodzi Idalja.

SCENA VIII.

RZECZNICKI, IDALJA.

IDALJA.

Ha! Pan Rzecznicki...

RZECZNICKI.

Co widzę!...

IDALJA.

Dlaczego
Oczy Pan sobie przecierasz? Zapewne
Cieniem się, marą wydają dla niego!...
Obadwa macie serca bardzo rzewne:
Płaczecie trupów, nim umrą... a żywych
Macie za mary... gdy wam stają w oczach...
Cóż więc? natrętna jestem dla szczęśliwych?

[1] Nazwa gwiazdy; od nazwy zbiorowej tych gwiazd pochodzi słowo „plejada“ używane jako synonim słowa — grupa, szereg.

RZECZNICKI.

Czy ja śnię?

IDALJA.

Pan drwi?

RZECZNICKI.

Róże w jej warkoczach
Mówi Fantazy — powylatywały!
Baszkir uchwycił ją wpół, jak narcyza...

IDALJA.

Gdzie są ci państwo... i gdzie jest dwór cały?
Słyszałam, że już młodych intercyza
Jest podpisana... Wszystkie serca moce
Zebrałam — świadkiem szczęścia być przychodzę...

RZECZNICKI.

To więc ten Kałmuk...?

IDALJA.

Co za Kałmuk?

RZECZNICKI.

Noce
Szecherazady![1]

IDALJA.

Czy tu panu szkodzę
W jakich intrygach?

RZECZNICKI.

Bynajmniej — nie widzę,
Abyś mi Pani teraz w czem szkodziła,
Sam jestem tylko w ogromnej intrydze:
Przed chwilą Pani Hrabina tu była
Porwaną...

IDALJA.

Jakto? ja? — przez kogo? proszę.

RZECZNICKI.

Przez... przez... przez...

Do siebie.

W zmowie jest baba z Kałmukiem.

Głośno.

Pani, jak widzę, masz wielkie rozkosze
Jak dawniej, rządzić amorowym łukiem,

[1] Szecherezada jest postacią z bajek Tysiąca i jednej nocy. Znaczy to, iż Rzecznicki opowiadanie uważa za wymysł Idalji.

Wszystko zamieniać jak pendzel Albana[1]
W obrazek pełny róż i Kupidynów.

IDALJA.

Co to za Sfinks jest nowy? — Proszę Pana
Mówić tu prozą!

RZECZNICKI.

Śród róż i jaśminów
Stojąc, jak słońce, co oku doskwira,
Z oczu olśnionych kochankowi zniknąć,
Zniknąć... Z Centaurem, tak jak Dejanira,[2]

IDALJA.

Jak Dejanira?... Pan musiał nawyknąć
Lub do poezji, albo też do wódki
I spirytusu — Żałuję go mocno!

RZECZNICKI.

Widać, że Pani czas wystarczył krótki
Na tę przejażdżkę, zdrowiu tak pomocną
I fantastyczną...

IDALJA.

Czy Pan do mnie gada?

RZECZNICKI.

Pytam się Pani, czy koń dobrze niesie?

IDALJA.

Jaki koń?

RZECZNICKI.

Centaur...

IDALJA.

Jestem bardzo rada,
Że Pan tak mocny mitolog... w zakresie
Swojego głupstwa.

RZECZNICKI.

Jam także szczęśliwy,
Że Pani wracasz bez żadnego szwanku.

---

[1] Francesco Albani, malarz włoski (1578—1660), wielbiony przez sentymentalistów, gdyż malował iddylle. [2] Dejanirę, żonę Heraklesa, usiłował porwać Centaur Nessus; raniony śmiertelnie przez Heraklesa, poradził Dejanirze, by umoczyła w jego krwi tkaninę, w ten sposób posiądzie moc przywracania miłości. Radę tę podyktowała mu chęć zemsty. Gdy Dejanira, podejrzewając Heraklesa o sprzeniewierzenie się, dała mu koszulę z tej tkaniny, wżarła się ona w jego ciało, paląc żywym ogniem; Herakles w mękach skonał.

IDALJA.

Dziękuję, że Pan taki dla mnie tkliwy.

RZECZNICKI.

A gdzie jest Nessus?

IDALJA.

Czy Pan?... Mój kochanku,
Zawsześ lokajski spełniał obowiązek.
Gdy Fanio w Rzymie był... toś od służącej
Mojej dostawał dla niego podwiązek,
Róż, które w balu na piersi gorącej
Uwiędły — stałeś jako szpieg, przy bramie,
Czekając, abyś doniósł, gdzie wyjadę...
A ja mówiłam: oto psie ma znamie
Ten człowiek — wierny jest... i nad gromadę
Ludzi wiernością wyższy jest ten człowiek,
A więc ma dobre serce, myśli świetne...
Choć więc z pod twoich szarych, wężych powiek
Odrażająca szła skra... nieszlachetne
Choć z ciebie jakieś pary wychodziły
I odrażały mnie instynktem ducha —
Tylem zdobyła, że mi stał się miły
Twój widok i głos dla mojego ucha
Umiłowanym... Miej więc dziś torturę
Z tej jednej męki, która żre głęboko
Tą myślą, żeś był podniesiony w górę,
Że w jednej stałeś opinji wysoko,
Że w jednej myśli ty byłeś istotą
Wyższą nad ludzi... żem była gotowa
Klęknąć przed tobą — a ty byłeś błoto,
Jednego nie wart spojrzenia i słowa,
Chodzący dowód, że mój sąd o świecie
Był sądem młodej kobiety — pomyłką!
Teraz tu jesteś marszałkiem w powiecie.
Jego pieniądze wzniosły cię. — Z posyłką
Już cię nie poślę... po mego trzewika
Albo po zwiędły kwiat — pan teraz z ciebie! —
Lecz to, co ludziom serce tu odmyka,
Szczęście... to ciebie tak, jak kreta, grzebie,
W intrygi — w lochy idące podziemnie —
W pochlebstwa, które ci u niego służą.
Cóż? — czemu teraz Pan już nie drwisz ze mnie?
Jakąż to mię Pan po stepach podróżą
Prześladowałeś?... Mów — uwieńczę laurem
Komiczny talent Pana. Cóż? — ciekawa,
Z jakim mnie tu Pan wyprawiasz centaurem?
Milczysz?

RZECZNICKI.

Więc to jest ta koszula krwawa,
Którą dał Nessus?

IDALJA.

Cóż, ciągle te żarty?

RZECZNICKI.

Wybacz mi Pani! — Cha! cha! cha! — nie mogę —
Pozwól mi Pani, że będę otwarty
I spytam: Dobrą Pani miałaś drogę?
Czy trakt był bity i gładki i suchy?
Czy zdala widać było Kapitole?
Ach! — jak to się te nazywają muchy
Świecące? proszę Pani — czy lucjole
Za konia grzywą leciały jak grzywa
Z gwiazd?... Wszak podobno tak bywa w Italji —
Słowem, czy centaur ten, który porywa
Z konia chwytając dziewicę w pół talji —
Czy nie obraził?....

IDALJA.

Więc Panu się zdaje,
Że ja porwaną byłam?

RZECZNICKI.

Tak wieść niesie.
Zresztą, patrz Pani — państwo i lokaje,
Wszystko rozbiegło się oto po lesie...

IDALJA.

Gdzie?

RZECZNICKI.

Całe nasze poszło towarzystwo
W pogoń za Panią — sprzyja pora ranna —
Fantazy nawet tak jak na myśliwstwo
Wziął trąbkę.

IDALJA.

I on?...

RZECZNICKI.

A panna Dianna
Wzięła lornetkę.

IDALJA.

Ha!

RZECZNICKI.

I Pani Fanio
Wziął pistolety.

IDALJA.
Zrozumieć nie mogę.

RZECZNICKI.
Ja także, wierny sługa, chciałem za Nią
Pędzić się jak wiatr, wziąwszy księdza Logę,
Nie wiedząc, czy ślub, czy pogrzeb wypadnie
Z natury rzeczy.

IDALJA.
I Pan sam we dworze?

RZECZNICKI.
Samiutki!

IDALJA.
I dwór wyjechał gromadnie?

RZECZNICKI.
Wszyscy — i Baszkir nawet przy Majorze
Poowałowali.

IDALJA.
Więc i Pańska żona?

RZECZNICKI.
Jakto?...

IDALJA.
I żona Pańska z niemi razem?

RZECZNICKI.
Ja tutaj jestem nakształt Korydona.[1]
Tęskniący za jej dalekim obrazem.
Szczęście to dla niej, bo z tą katolicką
Duszą, o Pani słysząca przygodzie...

IDALJA.
Jakto?... Ja z panią Omfalją Rzecznicką[2]
Tu przed godziną gadałam w ogrodzie.

RZECZNICKI.
Pani żartuje...

IDALJA.
Nie żartuję wcale!
Owszem mówiła, że ci chce siurpryzę
Zrobić — ubrała się w błękitne szale
I w blondynową wielką moją kryzę —

[1] Korydon, imię pasterza z sielanki starożytnej. [2] U królowej Omfalji przebywał czas jakiś Herakles. Przebrany za kobietę musiał pełnić prace, ubliżające jego godności męskiej, i rząść i t. p. imię to kojarzyło się i z całą, dotyczącą Heraklesa, legendą o porwaniu Dejaniry i — z drugiej strony — z wyobrażeniem karykaturalnem heroda-baby, dlatego Słowacki zapewne nadał to imię pani Rzecznickiej.

RZECZNICKI.

I w Pani kryzę?...

IDALJA.

Nawet wyznać muszę,
Że Pana chciała podejść... w moim stroju
I pomieniała się na kapelusze
Ze mną...

RZECZNICKI.

I pieszo szła?

IDALJA.

Jak dla podboju
Serca Pańskiego...

RZECZNICKI.

Szła pieszo... ogrodem?...

IDALJA.

Przez parkan do mnie skoczyła z powozu.

RZECZNICKI.

Prru! prru! prru!

IDALJA.

Że mnie naśladuje chodem,
To wiesz...

RZECZNICKI, *do siebie.*

Czuję dreszcz — prru! ściętym od mrozu...

IDALJA.

Czy Panu słabo?

RZECZNICKI.

To nic... *(do siebie)* Z mego łona
Wychodzą mrówki... za serce mię chwyta!
Głośno.
Czy Pani pewna, że to moja żona?

IDALJA.

Jak to?

RZECZNICKI.

Może to kto?... jaka wizyta?...
Ktoś wzrostem do niej podobny?... Jej talja
Nie jest znacząca...

IDALJA.

Ja panu powiadam
Wyraźnie: Pani Rzecznicka Omfalja,
Z którą ja...

RZECZNICKI.

Więc — więc — więc do nóg upadam!
Chce wychodzić.

IDALJA.

Gdzież Pan?

RZECZNICKI.

Niech Pani Hrabina przebaczy!
Droga mi każda chwila i minuta.

Do siebie.

Ten Kałmuk... moja żona... stokartaczy!!....

IDALJA.

Ha! więc tu jakaś intryga popsuta.

RZECZNICKI.

Tak, tak! intryga jakaś —

Krzyczy przez okno.

Wyprząc z bryczki,
I włożyć siodło!

IDALJA.

Pan jest niespokojny?

RZECZNICKI.

Ale czy Pani pewna?

IDALJA.

Przez uliczki
Te jaśminowe szkła...

RZECZNICKI.

I Kałmuk zbrojny...?

IDALJA.

Co?

RZECZNICKI.

Kałmuk zbrojny podjechał?

IDALJA.

Cha! cha! cha!
Teraz rozumiem!..

RZECZNICKI.

Tak, Pani rozumie,
Że taki afront...

IDALJA.

Przejażdżka!... Gdzieś macha
Z Kałmukiem, jak wiatr...

RZECZNICKI, *przez okno.*

Ten szelma nie umie
Położyć siodła!... Podepnij strzemiona!
Ale jeszcze raz błagam na kolanach,
Czy Pani pewna, że to moja żona,
Którą —

IDALJA.

Tak, którą —

RZECZNICKI.

Niesie po kurhanach..
Nie! nie, nie! — bo to przechodzi granice
Wszelkiej na świecie znanej... tak nie było!...
Ale —

IDALJA.

Być mogło...

RZECZNICKI, *krzyczy w okno.*

Wkładaj-że terlicę![1]
Na Boga! Czy ty masz serce, Hawryło?
Cóż ty tam myślisz?.

IDALJA.

Więc Pan także kłusa,
Jako Kupidyn[2] w obrazku Albana?...

RZECZNICKI.

Pani widziałaś ją?...

IDALJA.

Nim przez Nessusa
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Pani dzisiaj zrana
Widziałaś?

IDALJA.

Dzisiaj.

RZECZNICKI.

Czy spytać pozwoli,
Jak to być może dawno?

IDALJA.

Niezbyt dawno!

[1] Terlica, szkielet siodła. [2] Por. obj. na str. 459.

RZECZNICKI.

Karczmy dwie! — Jeśli jechali powoli,
To przy tych karczmach... To jest bardzo jawno,
Że jeszcze nie są w lesie... Tak! być muszą
Przy karczmach... Gdyby tam jaki znajomy
Był taki dobry!...

IDALJA.

Nim do lasu ruszą...

RZECZNICKI.

Ha! Pani ze mnie drwisz?... Niech trzasną gromy
We mnie i w moją hańbę!!

Wybiega.

IDALJA.

Przecięż — człowiek!
Gdy ból mu wszystkie zęby powyrywał,
Zacierpiał sercem... krwią — i trysnął z powiek
Iskrą człowieka... Lecz jak długo pływał
W błocie... i patrzeć mi pozwolił z góry
Na konwulsyjne swoje śmieszne męki!
Ja, nawykniona śród każdej tortury
Nadziei z serca, a trucizny z ręki,
Zawszem gotowa powitać wypadek
Uśmiechem, albo śmiertelną bladością.
Lecz ten rozsądny i kościany dziadek
Za swą porwaną poleciał Imością
Już bez rozumu — na wychudłej szkapie,
Butów cholewy pokazując szare.
I to się zowie świat zimny... co chrapie!
Kiedy mu serce, miłość albo wiarę
Wspomnisz — wszystko to romansem nazywa!
A gdy sam w romans wpadnie — kawał błota,
Jak żad na koniu wychudłym się kiwa!
Gdyby na drodze stały, podruzgota
Apollinowe posągi... i wróci
Z małżonką w ręku, jako Hesperyda[1]
Z jabłkiem... O ten świat, że anioły smuci,
Nie dziw! — Mnie samą wzgarda i ohyda
Bierze, gdy widzę, że takie gadziny
Rozsądkiem przeciw egzaltacji świszczą...
A jakieżto w tym domu były czyny
Ludzi, co sercem i rozumem błyszczą?

---

[1] Bogini Gaja podarowała Herze złote jabłka w dzień jej zaślubin z Dzeusem. Rosły one na złotej jabłoni na zachodnim krańcu ziemi, strzeżone przez trzy siostry Hesperydy.

Przedali córkę — mnie, natrętną marę,
Chcieli oddalić — jak? — afrontowaną,
Tak że mi chyba wziąć habity szare
I za klasztorną trzeba było ścianą
Przeżyć ostatek... Precz, serca przedajne!
Za was rumienię się, jak róża sromu. —
Szczęściem, że blisko konie mam rozstajne,
I wrócę — sama — do smętnego domu...
Z moją niedolą i z moim cierpieniem
Dawnym, lecz mędrsza stokroć doświadczeniem.

AKT IV.

SCENA I.

Mieszkanie hrabiny Idalji.

RZECZNICKI i HELENKA.

RZECZNICKI.

Helusiu, widzisz... do waszego domu
Musiałem z moją żoną — była chora.
Proszę... (nic) nie mów Panienka nikomu,
Że ja tu konno z nią. — Tego wieczora
Miałem przypadek... powóz mi się złamał;
Musiałem na koń wziąć — żona mi słabła...
Czy doktór już był?

HELENKA, *do siebie.*

Oto się wykłamał!
Żona w malignie mówi, że przez djabła
Była porwaną...

RZECZNICKI.

Co mówisz Acanna?

HELENKA.

Mówię, że Pani Marszałkowa chora.

RZECZNICKI.

Tak, chora trochę. Ta przejażdżka ranna...
Ona ma nerwy słabe... do wieczora
Na koniu... aura zła... więc nieco słaba...
To to kobieta delikatna, święta!

HELENKA, *na stronie.*

O! delikatna ta czerwona baba! —
Prawda, że teraz tak, jak z krzyża zdjęta
I rozczochrana...

RZECZNICKI.

Patrzajno Acanna,
Czyj to jest powóz?

HELENKA.

Jedzie Pani nasza!

RZECZNICKI.

Idź, popatrz, czy tam mojej żonie wanna
Przygotowana? Niech się nie rozgłasza
Ta awantura między służącemi...
Idź! ja tu Panią przyjmę... i powitam.

Helenka odchodzi.

SCENA II.

IDALJA, RZECZNICKI.

IDALJA.

Wchodzi, nie spostrzegając Rzecznickiego.

O! jak tu miło drzewami ciemnemi
Pozasłaniane okna — piersią chwytam
Powietrze pełne kwiatów....

Zobaczywszy Rzecznickiego.

Co? Pan u mnie?

RZECZNICKI.

Pani, pod samym jej domem... wypadło
Do niej zajechać...

IDALJA.

I żona?

RZECZNICKI.

Jak w trumnie,
Jako grobowe, okropne widziadło.

IDALJA.

Tu?...

RZECZNICKI.

Tak, Wielmożna Mościa Dobrodziejko,
Tutaj, na moich przyniesiona rękach.

IDALJA.

Gdzież ją Pan?... Lecz nie! nie jestem tak dziką,
Ażebym (w) Pana wycierpianych mękach
Szukała zemsty. Czyś Pan mógł zasłonić
Przed ciekawością sług?

RZECZNICKI.

Pani, ja sądzę...

IDALJA.

Że?

RZECZNICKI.

Że nie wiedzą...

IDALJA.

Chciałabym obronić
Pana, więc muszę... Nessus?

RZECZNICKI.

Wziął pieniądze.

IDALJA.

To słuchaj mię Pan! — Awantura taka
Dla was, którzy tu jesteście na świecie
Nakrochmaleni — każdy pół Polaka,
A pół aktora w swym znany powiecie,
Jak na aptecznych półkach... różne flaszki
Z etykietami: ten polityk dzielny —
Ten sensat — a ten dowcipny na fraszki —
Wamby, powiadam, niosła cios śmiertelny
Śmieszność, zabiłaby was na wiek wieków,
Na dzieci wasze spadła i na wnuki!
Bo z was można drwić, lecz tak jak z kaleków...
Nie potrącając nigdy krzywej sztuki
Waszego ciała... Twoje więc kalectwo
W dowcipkowaniu było — a tyś ranny
W ten garb rozumu... na całe sąsiedztwo
Sławny!... Rogaty miesiącem Dianny,[1]
Zgubiony człowiek, jeśli ja na siebie
Nie wezmę garbu twego... i niosąca
Ciężar, ciężaru tak nie upotrzebię,
Że skrzydlatością i blaskiem miesiąca
Moje ramiona dumne uwachlarzy
I upiękni mię, zamiast ciebie zabić...
Odmień więc, proszę, Pan tej smętnej twarzy,
Ja Mu przyrzekam przynajmniej osłabić
Pierwsze wrażenie — oczu mych szafiry
I postać moją ułożywszy zgodnie
Ze smutną rolą nowej Dejaniry.

[1] Diana, bogini kwitnącej przyrody, gajów i zwierząt, oddawała się namiętnie polowaniu, jeździła też w srebrzystym rydwanie co noc jako bogini księżyca.

RZECZNICKI.

Nie! To nie może być! ja udowodnię,
Że jestem człowiek! —

IDALJA.

Lecz, szanowny Panie,
Tu przyjechałeś z żoną — twoją bryczką —
Kałmuk pieniądze dostał — i dostanie
Rozkaz milczenia. Ja stoję z pożyczką
Mego honoru — ty szlachcic, bierz sumę,
Ani się pytaj... bierz ją bez procentu!

RZECZNICKI.

Ja także, Pani, mam tu swoją dumę
I tę rzecz biorę także z fundamentu.

IDALJA.

Lecz patrz! Hrabiostwo Respektowie jadą:
A więc ty powiesz im, że twoja żona...?

RZECZNICKI.

Ja nie wymówię tego.

IDALJA.

Więc tę radę,
Którą ci dałam, przyjmij! — Rzecz skończona:
Ja byłam w stepie przez ciebie odbitą,
Ja jestem teraz w łóżku moim chora...
Mów — żartuj ze mnie — baw ich — bądź kobietą,
Baw ich plotkami...

RZECZNICKI.

Lecz tego wieczora
Ja moją zrobię rzecz...

IDALJA.

Dobrze, pozwalam,
Lecz do wieczora ja rzecz moją zrobię,
I te małżeństwa wasze porozwalam —
Albo... odejdę was, a wy na grobie
Grajcie komedją...

Odchodzi.

SCENA III.

RZECZNICKI, *sam.*

Zda się dobra rada:
Na czas niech ona będzie tu na celu
Żartom. Ja potem zrobię rzecz nie lada;
Bo trzeba, żeby na obywatelu
nie było plamy...

SCENA IV.

RZECZNICKI, HRABIA RESPEKT, HRABINA, DIANNA i STELLA.

HR. RESPEKT.

Witaj mi, Rzecznicki!
A cóż tu, mówią, chora?

RZECZNICKI.

Tak, tą jazdą...

HR. RESPEKT.

Cyt! cyt!... to jej dom — to kościół delficki!
Widzisz, przywiozłem całe moje gniazdo.
I Major z nami, ale go ukryłem
Poza kulisy... w sam czas wyprowadzę
Na perypecją.... Ja z nim długo żyłem;
To prosty człowiek, dobry...

HRABINA.

Czy ma władzę
We wszystkich członkach?

RZECZNICKI.

Co?

HRABINA.

Czy jej oszczędzał?

RZECZNICKI.

Tak, dosyć...

HR. RESPEKT.

Czy gdzie nie zawadził w lesie?

RZECZNICKI.

Nie.

STELLA.

Więc nie bardzo rumaka rozpędzał?

HR. RESPEKT.

Dosyć, widzicie, że stanął na kresie.
To dosyć... lecz nas nabawił kłopotu:
Wszyscy w cierniowej jesteśmy koronie!
Widzisz, Rzecznicki, takiego powrotu
Niktby nie życzył swojej własnej żonie.
W głębi — taka rzecz jest niemałej wagi!...
Co to jest?!... Krew się na to każda burzy.

RZECZNICKI.

Gdzie jest Fantazy?

HR. RESPEKT.

Brakło mu odwagi!
W ogrodzie chodzi — wena mu tam służy.
Coś komponuje... *(do żony)* Wypraw do ogrodu
Diannę, niech ze Stelką idą obie.

HRABINA.

Czy położyli jej na głowę lodu?

RZECZNICKI.

Tak, położyli...

HR. RESPEKT.

Przywieźliśmy tobie
Kapelusz...

RZECZNICKI.

Jak to?

HR. RESPEKT.

Przestrzelony z łuka,
Strzałą rogaty, tak — strzałą rogaty!
Widzisz, był rozkaz dany dla Kałmuka,
Ażeby leciał, jak Amor skrzydlaty,
A nie pozwolił odbić tej hrabiny —
Major mu to sam wyraźnie powielił.[1]
No, tak on widząc twe rycerskie czyny,
Gdyś go dopadał: przymierzył i strzelił,
Jakgdyby na twój rycerski kartelusz
Odpowiadając, prosto tobie z łuka.
Szczęściem, że trafił ci tylko w kapelusz!
Stelusiu, niech go Kajetan poszuka,
Niech tu przyniesie.

Stella wychodzi.

Pokazać ci chcemy,
Że twój rycerski czyn nie uszedł oka;
I ubierzemy ciebie — ubierzemy
W strzały.

RZECZNICKI.

Rzecz to jest zanadto wysoka,
Aby żartować.

HR. RESPEKT.

No— ty jesteś skromny,
Ja wiem... ty skromny jesteś... Cały w locie
Możeś był nawet sobie nieprzytomny,
Gdy cię... ten Kałmuk...

[1] Powielił, (ros.) nakazał.

RZECZNICKI, *przerywa.*

Tak, Hrabio, w istocie!

HR. RESPEKT.

Gdy cię ten Kałmuk ubrał, ubrał w strzały...
Numida jakiś...

RZECZNICKI.

Więc Pan wie?

HR. RESPEKT.

Numida,[1]
Mówię ci, jeździec jesteś doskonały!
Widzisz, talent się taki zaraz wyda,
Mój ty kochany Rzecznicki!...

RZECZNICKI.

Co, Hrabio?

HR. RESPEKT.

Daj, niech cię z serca uściskam! — Szałaput!
Jeżeli w tobie lata nie osłabią
Tej żyłki, to gdzieś zrobisz verte-caput.[2]
Orlando...[3] gonił się jak za podradem![4]
Orlando!

RZECZNICKI.

Hrabia się powtarza...

HR. RESPEKT.

Drogi!

RZECZNICKI, *do siebie.*

Zemszczę się! *(głośno)* Czy Hrabia, jadąc moim śladem,
Nie znalazł — czy gdzie nie postawił nogi
Na tym papierze...? Otóż to przypadek!
Intercyza mi wypadła z kieszeni.

HR. RESPEKT.

Cóż? — ty sam stoisz jak układów świadek.
Rzecz małej wagi — papier się odmieni.
Lekka odmiana... Nową intercyzę
Przypieczętujesz litewską Pogonią
Tak! Pogoń teraz weźmiesz za dewizę,
Pogoń ognistą z uwieńczoną skronią.

---

[1] Numidja, kraj w północnej Afryce. Mieszkańcy jej słynęli w starożytności jako niezrównani łucznicy. [2] t. zn. uwiedziesz, porwiesz, dosłownie: zawrócisz głowę. [3] Porównanie z poematu o Orlandzie Szalonym. [4] Podrad, po rosyjsku dostawa do wojska, podwoda.

Lecz widzę, że zły jesteś... a to zwykła
Rzecz... w ludziach, co się heroizmu wstydzą,
Wstydzą... i tak się czerwienią jak ćwikła,
Kiedy się nagle... w laurach jasnych widzą
A niby niemi gardzą... Moja żono,
Pójdźmy na ogród z dziećmi, nim Hrabina
Zgodzi się... naszą postać zasmuconą
Oglądać.

Wychodzą.

RZECZNICKI.

Piekło! Piekło!... Starowina
Pod paznogcie mi w nogi wbija drzazgi!
Na mękach jestem!...

Wbiega Fantazy.

SCENA V.

RZECZNICKI, FANTAZY.

FANTAZY.

Rzecznicki, jestem trup!

RZECZNICKI.

Co to znaczy?!

FANTAZY.

Okropny, mówię, miałem pojedynek!

RZECZNICKI.

Z kim?

FANTAZY.

Z tym Moskalem...

RZECZNICKI.

Tysiąc sto kartaczy!
Bez sekundarjuszów?...

FANTAZY.

„Wieczny odpoczynek"
Mów za mnie... jestem trup!

RZECZNICKI.

Na Pana Boga!
Gdzieżeś raniony?... Jesteś żywy... cały!

FANTAZY.

Mówię ci, że już moja prawa noga
W grobie i moje złote ideały

Biorą twarz... czaszki... W myślach moich zamęt!
Masz papier? siadaj, proszę i bierz pióro:
Chciałbym... w trzech słowach tutaj mój testament
Napisać...

RZECZNICKI

Słuchaj...

FANTAZY.

Pisz! —

Rzecznicki siada i bierze pióro do ręki.

Miljon z górą
Mego majątku, kiedy się spieniężу,
Zamienić w złoto — w jeden złać pierścionek
Spleciony kształtem saturnowych węży, [1]
Poświęcić — wyryć na nim: T r u p m a ł ż o n e k
S w e j n a r z e c z o n e j... i Pannie Diannie
Wtoczyć go... Jeśli nie weźmie — w staw rzucić! —

RZECZNICKI.

Cóż ty oszalał?!

FANTAZY.

Ja tej młodej pannie
Winienem wiele. — Gdybym mógł powrócić
Z grobu, to życie zacząłbym inaczej,
Prościej — i młody, starałbym się o nią.
Jutro — jak ona w trumnie mię zobaczy,
To pewny jestem, że mię siostry dłonią
Uściśnie... Ale ostatnia godzina
Moja... innym się tu duchom należy.

RZECZNICKI.

Panie Fantazy! w imie Ojca, Syna...
Gdybym cię nie znał...

FANTAZY.

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu spieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł, to nie trafisz wcale;
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną, [1]
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone... inne są jak perły białe,
I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!... Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane... ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

---

[1] Kronos, bóg czasu, trzymał w ręku węża, gryzącego się w ogon, ten zamknięty pierścień symbolizował wieczność. [2] Znaczy to, iż tyle dróg wiedzie do śmierci, ile bram w Tebach. Teby (w Egipcie) miały sto bram.

RZECZNICKI.

Niech cię sto piorunów!

FANTAZY.

Ha! ha! ha! teraz pod laurami drzymnę
I Plutonowych[2] dosiędę biegunów
We śnie... Rzymianin jestem...

Wychodzi.

SCENA VI.

RZECZNICKI.

Co to znaczy?
Na Boga! muszę widzieć się z Majorem
Twarz w twarz... on mi to wszystko wytłómaczy
I pod właściwym te rzeczy kolorem
Musi obaczyć ze mną... i traktować
Jak ze człowiekiem...

Wchodzi Idalja.

SCENA VII.

RZECZNICKI, IDALJA.

IDALJA.

A cóż?

RZECZNICKI.

Niechaj Pani
Leci! Fantazy coś zaczął warjować...
Wszyscy w tym domu jak powarjowani!
Ja także myślę po warjacku skończyć.
Do nóg upadam!...

Wychodzi.

SCENA VIII.

IDALJA, *sama.*

Co mówił? — Fantazy
Warjuje?... Cóż to? Ach, jak łatwo złączyć
Miłość z szaleństwem! Są to dwa wyrazy
Nierozłączone... Warjacja więc wraca
Do tych różanych uczuć... owiniętych
Girlandą kwiatów i gwiazd — i zbogaca
Krainę duchów... moc pieśni natchniętych

[2] Pluton, władca podziemi, gdzie przebywały dusze po śmierci.

Rzucając wiatrom... Ach! gdyby godzina
Tego żywota... gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary — gdy nakształt murzyna
Otellowego[1] — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?
A uśmiech z oczu moich nie uciekał,
Ale jak pająk, który z blasku przędzie
Swe pajęczyny złote na szafirze
Jakiego kwiatu... podobnie mi radość,
Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,
Opromieniała oczy. — O! jak bladość
Śmierci daleka była od tej bieli,
Którą on wtenczas zwał alabastrową!
O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim oddychać różami Cezarów
I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Któremi całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skala się tym ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

SCENA IX.

IDALJA, HELENKA.

HELENKA, *wchodząc.*

Pani nie przyjmie więc Hrabiny?

IDALJA.

Potem.

HELENKA.

Koniecznie Panią chce widzieć Hrabina,
Ze łzami prosi.

IDALJA.

Więc wpuść ją; Helenko;
A gdyby chciał tu wejść... i pan Fantazy,
To... to mnie ostrzeż wprzód jaką piosenką...
Albo przed drzwiami kaszlnij kilka razy,
A teraz wpuść tę Walterskotkę.[2]

Helenka wychodzi.

---

[1] Murzyna z tragedji Szekspira p. t. Otello. [2] Wykarmiona na romansach Walter Scott'a.

SCENA X.

IDALJA, HRABINA RESPEKTOWA.

HRABINA.

Droga!
Mojemi łzami zlana — krew bym dała!
Bogdajby tutaj nigdy moja noga
Nigdy, ach! nigdy więcej nie postała:
Jeśli ja winna co, że tobie, duszo
Anielska, taki sztylet!... Ja to czuję...
Wszystkie się żółci we mnie tym poruszą,
Bo ja kobieta... bo mnie także truje
Ten świat, przeciwko nam ciągle... i wszędy
Na wspak idący... Ja tego Majora,
Gdyby nie mój mąż... tobym do komendy
W łańcuszkach była... odesłała wczora...
Z mojego domu! — O! kraj nieszczęśliwy,
Gdzie Moskal, widzisz, pjany robi burdy,
A my musiemy cierpieć!... Jak Bóg żywy,
Polacy dawniej byli haraburdy,
Lecz teraz... są mniej, niż...

IDALJA.

Nie płacz, Hrabino,
I nie utyskuj: moja reputacja
Jest taką dzisiaj odzłoconą — cyną
I woskiem...

HRABINA.

Ja wiem, że ci aprobacja
Ludzi niczem jest... bo ty w sobie złota,
W sobie zamknięta... jak brylant bez ceny...
Pogardzasz każdą garścią tego błota,
Którym świat... Lecz ten z nad Oki czy Leny
Major... prawdziwy jakiś barbarzyniec.
Wstyd mi, że w moim domu — wstyd mi wielki!
To ja zelżona! Wyjdę na gościniec
I siądę w karczmie — bo obywatelki
Dom stał się karczmą...

IDALJA.

Odmieńmy rozmowę,
Proszę... Powiedz mi, gdzie wyprawę szyto
Dla twej Dianki?

HRABINA.

Ach! ja tracę głowę!
Ten marjaż!... Głowę mi, Pani, nakryto
Jak kuropatwie... jam ani wiedziała,
Że pan Fantazy... nie jest sercem wolny.

IDALJA.

On wolny...

HRABINA.

I tyż to mówisz, Idalko...
On, co powinien był... a był niezdolny,
Uznać... że tobie będąca rywalką
Moja Dianna — bez pochlebstwa gadam —
Gaśnie, jak świeca gaśnie — w słońca blasku...
O nie — Ja jemu teraz w oczy zadam
Fałsz! — Nie myśl, proszę, że my go w zatrzasku
Trzymamy, jako złowionego szczygła:
On wolny...

IDALJA.

Wolny? wszakże już kontrakta
Pomiędzy wami...

HRABINA.

O nie! tyś prześcigła
Za rzeczywistość. Czyżby jakieś akta
Mogły poprzedzić... czyn... gdzie miłość sama...?
Ty to rozumiesz... marjaż jest osnuty
Na sercu...

IDALJA.

O tak, na sercu.

SCENA XI.

Wpada STELLA na scenę. HR. RESPEKTOWA, IDALJA.

STELLA.

Niech Mama
Leci!

HRABINA.

Co...

STELLA.

Dianka...

HRABINA.

Co?...

Wybiega z Stelką.

SCENA XII.

IDALJA, *sama.*

Marjaż popsuty
Sercem... Zeszła się Djanka z panem Janem...
Sztambuch przejrzała — i zeszła się w sieni

Twarz w twarz z tym pięknym bronzowym ułanem,
Co teraz nosi koszulę z pierścieni
I burkę — straszny na miłości scenie
Aktor...

Wbiega Helenka.

SCENA XIII.

IDALJA, HELENKA.

DIANNA.

Helenko, co?

HELENKA.

Panna omdlała
I padła głową swoją na kamienie.
Gdy ją podjęto, z czoła krew się lała,
Zbladła jak kreda, a łkała jak dziecko.

DIANNA.

Ale nie mocno ranna?

HELENKA.

Nie! przytomna...

IDALJA, *do siebie.*

Czuję, że scena ta była zdradziecką;
Ten sztambuch — potem on... taka ogromna
Nagłość — i takie przejście... *(głośno).* Daj mi burnus![1]
Do siebie.
Lecz nie — ja się tam teraz nie pokażę;
Tu będę, jak ten bronzowy Saturnus,
Co nieruchomy siedzi na zegarze
I pod nogami swemi ma godziny
Obracające się...

SCENA XIV.

IDALJA, HELENKA, LOKAJ wnosi karteczkę i sztylet.

LOKAJ.

Pani, ten bilet...

DIANNA.

Co widzę!... Boże! Boże mój jedyny! *(czyta)*
Daj burnus!... Ha! ha! ten wenecki sztylet
Tu!... Jezus! Marja!

Wybiega ze sztyletem a bilet zostawia.

[1] Burnus, szerokie okrycie orjentalne.

SCENA XV.

HELENKA, LOKAJ.

HELENKA.

Co to?

LOKAJ.

Pan Fantazy
Dał mi... i kazał pani oddać w ręce.

Helenka bierze bilet i czyta go.

HELENKA.

Niezrozumiałe są dla mnie wyrazy!
Próżno ten papier w rękach gnę i kręcę.
Muszę biec za nią.

LOKAJ.

Daj... niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
„Dziś... o północy...“

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy jest tutaj sens?

LOKAJ.

„Czarami złotemi
„Ostatni toast... dziś... lub z tobą razem
„Piję aniołom... albo też samotny...“
Święty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie
Wydrukowane... Djabli jacyś wodzą
Pióra tym panom... piszą niepokaźnie
W gzygzaki.

Czyta.

„Tam, gdzie na świecie się schodzą
„Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juljet [1]
„Obudziła się... i zasnęła — czekam“.

HELENKA.

Muszę wziąć pani ten łabędzi duljet [2]
I zanieść, bo to rosa. Psy powściekam,
Ażeby panią odstraszyć na zawsze
Od tych przechadzek nocnych po pustyni.
Bo to stworzenie dla ludzi łaskawsze,
Niż zwykle bywa jaka monarchini

[1] Mowa tu o Julji z szekspirowskiej tragedji. [2] Duljet, kaftanik jedwabny, watowany, z francuskiego douillette.

A zła, jak djabli! U państwa Rzecznickich
Nie można służyć dla zimna a głodu.
A gdzie jest też dom w rękach jezuickich,
To także trzeba płakać bez powodu
Co piątek, albo oczy trzeć cebulą,
Gdy człowiek idzie na mszę... za hrabiną.
A tu się ludzie w domu jakoś tulą
I —

Wpada Hrabia Respekt, za nim Major.

SCENA XVI.

Ciżsami, HR. RESPEKT i MAJOR.

HR. RESPEKT.

Gdzie jest Pani?

HELENKA.

Nie wiem,

HR. RESPEKT.

Nad dziewczyną
Moją śmierć wisi!... Proszę cię, doktora!

Helenka i Lokaj wychodzą.

Majorze! — z naszą ty, widzisz, krainą
Nie jesteś w tonie... jednego wieczora,
A tyleś mi tu napsuł!... Po co było
Tego człowieka... przywozić?! — Że dzieci
Poznawszy się tam... sentymentu siłą
Były porwane wśród śniegów zamieci
I strasznych, białych sybirskich hororów...
Że sobie tęczę usnuli... z sympatji:
To trzebaż było tu... do naszych dworów
Z tej antologji albo chrestomatji
Wyrwaną kartkę?... Jednym słowem, mówię,
Żeś Major mi tu, może z serca — aleś...
Ćwieków nasypał strasznych pod obuwie!
Ten Sybir — to to straszna jakaś zaleś
I kraj hororów![1]

MAJOR.

Nu! Hrabia bogaty —
Tak puskaj...[2] niechaj córka sercem bierze!

HR. RESPEKT.

Co mi tak gadasz? Dobryś do harmaty,
Ale nie do serc! — Mówię tobie szczerze,
Że... niech cię wszyscy djabli, mój Majorze!
Zięć mi się gotów ten zerwać... z kontraktu!

[1] Horor, (łac.) okropność. [2] Puskaj, (ros.) pozwól.

MAJOR.

Który zięć?

HR. RESPEKT.

Wszak wiesz, że mam zięcia...

MAJOR.

Może,

HR. RESPEKT.

Jakto? — przytomny podpisowi aktu
Ślubnego, wątpisz... że ja wkrótce będę
Kołysał wnuki?... Co? wątpisz?

MAJOR.

Jej Bogu,
Ja wątpię.

HR. RESPEKT.

Cha! cha! cha! zięcia pozbędę?...
A to jak?

MAJOR.

Nu! jak? — Tak karta na rogu
Kiedy zagięta przegra... tak prepały
Pieniądze. — Nu, tak zięć panu Hrabiemu
Może się ze mną grając, przegrał cały.

HR. RESPEKT.

Co to jest? — jak to? — po co? — jak i czemu?
Zięć mój z Majorem grał?... i o co... chodzi?

MAJOR.

Nu tak, o zięcia chodzi.

HR. RESPEKT.

Zgrał się w karty?
Głową mi tylko kiwasz Pan Dobrodziej;
Mów proszę... proszę, bądź ze mną otwarty!
Nie wiesz, ile w tem... mego interesu...
Leży, jak wielki w tem interes... leży!

MAJOR.

Nu, tak weź Hrabia tu z pugilaresu
Ten kontrakt. — Mój pysk do niego należy,
A do mnie jego łeb — wygrany w karty.
Nu — tak Hrabiemu ja ten łeb daruję,
A z pyska mego ręką honor zdarty
Zdejmę u Boga!

Oddaje mu papier.

Niech Pan Hrabia czuje,
Że ja nie człowiek zły... głupstwem zaszkodził,
A swoim własnym honorem zapłacił.

HR. RESPEKT, *przeczytawszy dany mu papier.*

Ach, ach, ach! — Piorun warjactwa ugodził
W mózgi tych ludzi. Zięć mój głowę stracił!
Marjanno! Zięć nasz truje się! Marjanno,
Zięć nasz zabija się!

Wybiega.

MAJOR.

Ot, i teatry!

Jan wchodzi.

SCENA XVII.

JAN i MAJOR.

JAN.

Majorze!

MAJOR.

A cóż? obaczył się z panną?

JAN.

Jedźmy... w sybirskie nasze mgły i wiatry!
Major mi będziesz — ojcem — tak, jak dawniej,
I przyjacielem... Ten świat to zagadka...
Gdybyś ty widział, jak tam najzabawniej,
Najwścieklej na mnie wrzeszczała ta matka:
— „Dzieckoś mi zabił! Idź precz! nie stój blisko,
Podły!... bo śmierdzisz tu prostym żołdakiem,
Bo cuchniesz, cuchniesz tak, jak lokaisko,
Bo cię czuć wódką prostą — i tombakiem [1]
Spleśniałym!... precz mi z oczu!“ —
Na te krzyki
Córka omdlała podniosła powieki
I wzrok rzuciła na nią taki dziki,
A na mnie taki anielski, że wieki
Będę pamiętał, jakie są balsamy
W rozmiłowanych oczach... u dziewczyny!

MAJOR.

Nu, my w Sybirze tobie dziewcząt damy
Piękniejszych.

[1] Tombak, lichy metal; tu może zam. „tabakiem“.

JAN.

Jedźmy, jedźmy z tej krainy,
Która mi we snach była szczęścia rajem
Matką! — a teraz jest... taką macochą!
Słuchaj: nazwała wygnańca lokajem
I w te bolesne me serce tak płocho
Wrzuciła ziarno gniewu...

MAJOR.

Tak duj babu!
A ja pomogę — Wot, Wot! — polskie grafy!
A kazał ty już Kałmukowi drabu,
Żeby zaprzęgał?

JAN.

Już...

MAJOR.

Nu, tak wagsztafy[1]
Zakurym w trubkach... taj na pożegnanie
Temu szlachectwu dym!...

JAN.

Jedźmy, Majorze!
Temu, kto wpadnie raz w nieszczęścia morze,
Trzeba iść na dno i dać falom głowę.
Oczęta sine we łzach — bądźcie zdrowe!

AKT V.

SCENA I.

Cmentarz — w głębi kaplica zamknięta. — Miesięczna noc.

Wchodzą FANTAZY z IDALJĄ.

FANTAZY.

Oto są Idy[2] marcowe Cezara
Śmiertelne... bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dotrzymałem słowa?... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą,
Miesiąc nasz złoty już jest i dotrzymał
Słowa... na ucztę śmierci przyszedł pierwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,

[1] Wagsztaf, gatunek tytoniu. Zakurym, zapalimy sobie. Trubka, cygarniczka, fajka. [2] Idus u starożytnych oznaczał 13-ty, w niektórych miesiącach 15 dzień. Według przepowiedni ten dzień miał być fatalnym dla Cezara.

Gdy oddam ducha... Tony moje drwiące
Były boleścią ducha ostateczną.
Siądź tu... W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne... będziesz mi harmonją wieczną,
A oczy — wiecznym źródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALJA.

Ten cmentarz zawsze był najmilszą grzędą
Mego ogrodu... Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip... i głazów twarze
I na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

Ja ci tam pokażę
Tęczowe duchy... twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko...
I to zrobiły, żem tak głupio, marnie
Życie me rzucił...

IDALJA.

Co tam za zjawisko?

FANTAZY.

Nic! to są we mgle chodzące latarnie;
Pewnie szukają nas.

IDALJA.

Daruj mi Fanio,
Jeszcze raz spytam ciebie... spytam ciebie...
Bo wszak życia nie można tak tanio
Oddawać ludziom! bo wszakże na niebie
My zapisani jesteśmy u Boga
I tu aż... przezeń tu przyprowadzeni. —
Słuchaj — zdejmuje mię tu jakaś trwoga,
Tyś drgnął: jesteśmy oboje ruszeni
Skrzydłami śmierci... Przyszłość ta bez kształtu
Okropność swoją ma. Słuchaj mię, Panie,
Ja nie doznałam tu żadnego gwałtu,
I ta przyczyna śmierci — to porwanie —
Tak los uczynił, że obelga cała
Spadła na inną zupełnie osobę.
Jam więc jest winna — winna, żem skłamała;
Jam winna, żem tu całą jedną dobę
Chciała aktorką być — i podług świata
Fałszem dopomóc sobie na tej ziemi...
Owszem — posłuchaj: ta śmierć, która lata
Jak nocny motyl, skrzydły kościanemi

Gruchocąc, marną jest — i nam urąga
Jak dzieciom głupim — boś nie za mnie mścił się.
Ale za jakąś furję — dziwoląga —
Ze Rzecznickiego, który podły krył się
Ze swą obelgą... ze swoją kuchcianą
Żoną... z łachmanem swoim przewietrzonym,
Który ja w domu dziś znalazłam rano
W wannie z rumianku, z fontaziem czerwonym
Na czepcu — z krzykiem i z twarzą koguta,
Na cały cichy dom krzyczącą: „Gwałtu!“

FANTAZY.

Cha! cha! cha! — Pani Rzecznicka popsuta!
Cha! cha! cha!... Gdyby sam Rzecznicki stał tu
I o truciznę prosił, to nie dałbym
Łezki opjatu! — Cha! cha! żyj, Brutusie!
Cha! cha! cha! jeszcze raz z Rzecznickim chciałbym
Zejść się na ziemi... i w tym famulusie
Mego Faustyzmu niewydrwioną stronę
Wydrwić... ażeby drwin posągiem stanął
Na moim grobie... Cha! cha! cha! Utonę
We łzach serdecznych! — Cha! Kałmuk archanioł,
Porywający z ręku Jezuitom
Panią Rzecznicką — i w galop — i w galop!...
Cha! cha! cha! śmiech mój gwiazdom i błękitom.
Wiwat typ wszystkich dewotek i salop...[1]
Pani Rzecznicka, która była duchem,
W pielgrzymce! Djabli! djabli! cha! cha! cha! cha!

IDALJA.

Ten śmiech —

FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
O! o! koncercie śmiechu i słowików,
Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepcu nowa Dejanira
Poprzedza orszak — nasz... dwie nasze trumny,
I krzyczy: „za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory...“

[1] Salopa, kobieta złych obyczajów.

IDALJA.
O! szał nierozumny!...

FANTAZY.
Co? wybijam cię ze snu?... Masz! w tej lasce,
W tej złotej gałce... jest snu na lat tysiąc...

IDALJA.
Więc to trucizna?

FANTAZY.
Tak! w cukrowej masce
Zamaskowana złość! możnaby przysiąc,
Że rzecz uczciwa...

IDALJA.
O niema ratunku?

FANTAZY.
Jest!...

IDALJA.
A więc użyj go... żyj dla Ojczyzny!!

FANTAZY.
Na to — o! na to trzebaby trefunku
Wielkiego...

IDALJA.
Aby?...

FANTAZY.
Aby na siwizny
Majora głowy... która jak Eolid [1]
Harfa pod moim policzkiem odjękła,
Spadł albo piorun lub aereolit [2]
Przed... przed kwadransem...

IDALJA.
Jakto?

FANTAZY.
Aby pękła
Harfa, na której ja honoru strunę
Urwałem... Kontrakt, widzisz... jest wyraźny,
Że północ jedną dziś zapełni trunę —
Na stemplowanym papierze — do kazny
Weszło pół rubla... za ten papier, który
Poważnym kiedyś będzie dokumentem...
Daj laskę!

[1] Eolidy, córki Eola, króla wiatrów. [2] Aereolit, meteoryt.

IDALJA.

Wieszczu! do góry! do góry!
Śmierć jest okropnym, słuchaj, sakramentem.
Nie jedz trucizny z taką twarzą.

FANTAZY.

Co to?

IDALJA.

Po szatańsku się twarz tobie skrzywiła...

FANTAZY.

Nie prawda... śmierć jest tą kolumną złotą
Powietrza. — O! w tym powietrzu jest siła!...
O! te powietrze i ciepłe i wonne,
O! te ramiony memi ogarnięte,
Ma w sobie duchy piękne i niezgonne,
Jak ja, wyrwane z ciał, dawno poczęte,
Pełne miłości, jak ja... niewidziane,
A kształtem swoim świat rozpierające.
Czekaj, przy tobie tak za chwilę stanę
Powietrzem...

IDALJA.

Widzisz me piersi dyszące?
O! znajdź, znajdź jakie słowo... większej mocy,
Aby mnie w ciemnej śmierci rozmiłować!

FANTAZY.

Patrz, ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata lać... sakramentalnie!
Jutro ten kościół tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło... i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode,
Jak pieśń, która nam dzieciom w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię tej ciemnej wiodę.
Astarte!...[1] o ty, bez lauru na skroni.
Nieznanego tu ducha Beatrycze,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! — i w madonn się wpatrzaj oblicze
I w zachwyceniu świętym daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichej... twoją głowę!
Co mówię! — na niej stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty, z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu

[1] Syryjska bogini miłości.

Postawi... czoła nasze na granicy
Ostatniej, kędy ludzki duch dolata.
Chodź! chodź! chodź do tej, o siostro, kaplicy!
Chodź ze mną... stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja... chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

IDALJA.

Duchu! w ręce twoje,
W twe usta ducha mego!

FANTAZY.

Z błyskawicy
Twe usta, duchu mój!

IDALJA.

Chodź do kaplicy,
Niech świat za nami pędzi!

Słychać bliski strzał.

FANTAZY.

Stój! co słyszę?
Strzelono...

IDALJA.

Słuchaj! jęk...

Głos Majora.

Pomiłuj, Boże!

FANTAZY.

Co to jest? Kto śmie tę miesięczną ciszę?...

Głos Rzecznickiego.

Ratunku!

IDALJA.

Nie idź!

Głos Rzecznickiego.

Ohe!...

FANTAZY.

Na ugorze,
Blisko cmentarza...

Głos Rzecznickiego.

Kto tu w Boga wierzy,
Niech mi pomoże! — ho!...

FANTAZY.

Rzecznicki krzyczy.

Głos Hr. Respekta, za sceną.

Strzelono!... Niechaj kto na cmentarz bieży!
Stamtąd strzał...

FANTAZY.

Hrabia! — Zegarek mi liczy
Pięć minut życia... Miałyżby te chwile
Z gadułą starcem tym minąć (mi) marnie?

SCENA II.

Ciż sami, HR. RESPEKT i MAJOR, służba z latarniami.

HR. RESPEKT.

Tu był strzał — tu są!... Tu!... tu! na mogile
Widzę... białego coś... tu! tu, latarnie!
Tu Pan Fantazy jest z Panią Hrabiną.
Tu! tu! — oboje żywi, Bogu chwała!
Co robisz? Dziecko, stój... Młodzieńce giną,
Idąc na wały, reduty i działa.
A nie tak, jak ty! — *(daje mu skrypt Majora)*
Struj się tym papierem
I tajemnicę połknij — i żyj z nami!

Spostrzega Majora leżącego we krwi.

Cóż to znów?...

RZECZNICKI.

Niech kto pójdzie z giwerem[1]
Po wodę!...

MAJOR.

Nu, ja trup... pod chorągwiami
Bóharodycy... jak człowiek honoru
Dał satysfakcją... i za honor ginę...

Do Fantazego.

Nu, tak nie będzie teraz z nami sporu
O trumnę, Panie Hrabio... Na godzinę
Dwunastą ja się zamelduję Bohu,
A ty zmów za mnie pacierz — ściśnij ruku,
Bud — zdorow! — Szkoda, że ja się nie mohu
Tłómaczyć jaśniej. — Ja twojego stuku
Po twarzy nie czuł już... Czuł — to zapomniał,
A nie zapomniał, to odpustył z duszy.

IDALJA.

Ach! jak ten człowiek cudownie zogromiał
W śmierci godzinie — prosty...

---

[1] Giwer, rosyjski kołpak żołnierski.

MAJOR, *do Idalji.*

Łzami prószy
Duszeczka moja... Daj ruku!... nie płacz ty!
Ja stary człowiek — czas do grobu dawno.

FANTAZY.

Sprowadzić powóz!...

MAJOR.

Nu! nu! nu! a zacz ty
Do Chrysta, myślisz wozom?... Sławno! sławno!
Ot i żart!... trupa sadzą do karety!

Do Respekta.

Hrabio! na ucho proszę coś...

HR. RESPEKT, *po chwili rozmowy.*

Rzecznicki,
Sprowadź tu... sprowadź tu moje kobiety.
Pan Major jako człowiek katolicki —

MAJOR.

Grecki!...

HR. RESPEKT.

Chce... z moją widzieć się rodziną
I niektóre swej myśli testamenta
Objawić...

MAJOR.

Nu tak! Niech matka z dziewczyną
Przyjdzie i niechaj to sobie pamięta,
Że ja, człek prosty — na śmiertelnym progu
Tak będę prosić o śmiertelną łaskę...

Rzecznicki odchodzi.

SCENA III.

Ciż sami, wpada JAN i KAŁMUK.

JAN.

Gdzie Major?

HR. RESPEKT.

Tutaj, na grobie...

MAJOR.

Przy Bogu,

JAN.

Co to jest?! Pustą znalazłem kolaskę
W karczmie. — Wyprawił mnie Major z posyłką.

Sam wyprawiony przodem, byłbym gonił
Aż do Tobolska, gdyby nie przeczucie
I strach... Co to jest?... Głowę tak pokłonił,
Jak... jak... jak...

MAJOR.

Ruku daj...

FANTAZY, *do Idalji.*

Nasze otrucie
Było błazeństwem!... Patrz — patrz! — jak bez jęku
Przez ręce oni gadają do siebie...
Patrz, patrz... dziesięć lat sybirskich w tym ręku
Ściśniętych... jak wosk...

SCENA IV.

Ciż sami, wpada HRABINA z córkami — RECZNICKI zdala za niemi.

HRABINA.

O święci na niebie!
Co to jest?

HR. RESPEKT.

Cicho! Okropny wypadek:
W pojedynku nasz Major zastrzelony!

HRABINA.

Patrzaj, list...

HR. RESPEKT.

Co to jest?

HRABINA.

Umarł nasz dziadek...

HR. RESPEKT.

Co?!

HRABINA.

Dzisiaj w nocy...

HR. RESPEKT.

Ha!...

HRABINA, *cicho.*

Jesteś czerwony,
Jak upiór!

HR. RESPEKT.

Krew mi uderzyła w głowę,
Jakby siekierą.

HRABINA.

Pokryj to... wrażenie!

HR. RESPEKT.

To jest odmiana wielka... i domowe
Rzeczy...

HRABINA.

Schowaj ten list, mówię, w kieszenie
I nie pokazuj twarzy, bo ci z oczu
Ta śmierć wygląda i pójdzie pod wnioski.

HR. RESPEKT.

Czy wiedzą dzieci?

HRABINA.

Nie... *(głośno)* Może go w koczu
Można położyć?...

FANTAZY.

Cyt!... Ten sen przedboski,
Który mu igra uśmiechem na twarzy,
Gdy anioł śmierci siwym włosem rusza,
Szanuj!... On teraz o czemś takim marzy,
Że pewnie, pewnie cała jego dusza
Jest jako słońce... Cyt! oczy otwiera.
Majorze! oto jest z dziećmi Hrabina...

MAJOR.

Dajcie mi wody potiahnut[1] z giwera! *(pije)*
Nu, tak — jeszcze świat... W imie Ojca, Syna
I Ducha!... Proszę Hrabiny tu bliżej
I dzieci proszę tu, koło mogiły...
Nie mógł ja ludzi kochać ani szczyrzej,
Ani otwarciej, jak was. — Syn Hawryły
Wołdemar Major, wasz dawny znajomy,
Serdecznie wasze serca umiłował.
Ot, i odwiedził wasze dobre domy,
Przyjaciel... i tu u was zanocował
Aż do prysudnych[2] dni... Kałmuk! szatułu!...[3]

Kałmuk odchodzi.

Słuchaj Hrabina... Ja czerkieski plennik,[4]
Porwany kiedyś dzieciątkiem z aułu...[5]
Taj zmoskalony Grek, łotr i moszennik,[6]

[1] Potiahnut', (ukr.) pociągnąć. [2] prysudnych dni, sądnych. [3] szatuła, szkatuła. [4] plennik, jeniec. [5] auł, tak nazywają się wioski na Kaukazie. [6] moszennik, oszust.

(Odpusti meni Boh!...) byłby jenerał
Już, tak jak drudzy, by nie Murawjewy [7]
Z któremi ja był — człowiek i liberał,
Dopóki żyli. — Dziś pod temi drzewy
Ranny... ot wspomniał ja ich sobie czule,
Na własną patrząc krew... Ach! pod senatem
Gdyby ja był miał w sercu tutaj kulę,
Byłoby lepiej — fff! ze mną i ze światem...
Ufff! Apostołow! ufff!... ufff! — Apostolczyk...
Oj! czemu ja was wspomniał, moje dziatki?...

HRABINA.

Majorze!...

FANTAZY.

Cicho, Pani!...

MAJOR.

Ot, ten kolczyk
Od Apostoła... ja miał starej matki,
Której... kawałek wtenczas przyniósł drzewa
Od szubienicy... fff! fff! fff! — Staruszka —
Nu, tak ja potem przez Arakczejewa [1]
Wyrobił sobie, że był bez łańcuszka
Posłan w sybirskie komendy — w degradzie,
W upokorzeniu... Jak wy mnie poznali,
To ja w domeczku tam małym i w sadzie
Cały dzień... trubku kurzył... a wy stali,
Patrząc na smutek mój, że ja milczący
Nie odpowiadał wam, gdzie serce boli.
Wot... liberalność tu, jak żar gorący —
Wot czarny smutek był, wot mej niedoli
Była przyczyna!... Wot gdy panna śpiewa
Piosenki smutne, to ja stojąc w kącie
Wspomniał, bywało, sobie Bestużewa, [2]
Taj potem wspomniał, że ja stał przy loncie
I nie wystrzelił... Taka boleść była
Na sercu moim wężem i kamieniem!
Kiedyście znali mnie... Wołdemar Hawryła,
Ja tam przed wami stał z upokorzeniem
I z trwogą, że wy mną... biednym gardzicie,
Jak starym, siwym, durnym liberałem,
Który miał w ręku harmatę i życie
Carskie — i trzymał ogień nad zapałem

[1] Sergjusz i Aleksander Murawjew, spiskowcy rosyjscy, dekabryści.
[2] Arakczejew, zaufany Aleksandra I, wcielenie tyrańskiego, moskiewskiego biurokratyzmu. [3] Wymieniony tu Bestużew, podobnie jak Rumin i Pestel, byli dekabrystami.

Taj zadrżał... widząc w gwiaździstym szeregu
Cara i główny sztab w tęczowych lentach,[1]
Taj lont... syczący przyłożył do śniegu,
Uczuł strach w sercu i w głowie i w piętach
Taj paszoł w durnie —

IDALJA.

Na Boga, Majorze!
Krew ci się rzuca z rany... mów spokojnie!

MAJOR.

Nu, tak to wszystko wielkie sądy boże!
Bo ja był kiedyś na tureckiej wojnie,
Z Persami się bił.... w kwarantannach służył,
I śmierci palcem dotykał — nie blady!
Nu, a przed carem wtenczas jednym stchórzył
I tak, jak dziecko darmo oddał szpady,
Gdy po nią przyszli...

Kałmuk wraca na scenę ze szkatułą.

HR. RESPEKT.

Cóż to? chory gada?
Zabronić jemu!...

MAJOR.

Cóż?... zabronić mowy?
Nu, niech Pan Hrabia tu poważnie siada
I słucha, bo ja człowiek już grobowy,
Mówię ostatkiem duszy... Na Sybirze
Ja miał jednego sercem przyjaciela.
Tak my z nim często chodzili pod krzyże,
Na których imie Rumina, Pestela
I drugich... z tylu jednego kościoła
Postawili my... na cichą pamiątkę...
Tak tam mojego pamięć Apostoła,
Którego kochał ja — i lat dziesiątkę
Bez niego musiał żyć... i byłby skonał,
Gdyby żył dziesięć lat bez przyjaciela!
Nu, on... zmocował mnie — sercem pokonał!
Apostoła ja stracił — a Chrzciciela
Dostał... kotoryj mnie ochrestyw łzami
Tak cóż ja jemu dam... jak mnie nie stanie ?...

Do Dianny.

Diwoczka, siuda! Nu tak ty, z różami
Na ustach... stań tu... ot przy tym hułanie

[1] Lenta, (ros.) wstęga.

I tu rodzicom pokińcieś oboje...
A ja, ja z wami trzeci. — Kałmuk, siuda!

Wstając.

Nu, ot ja, chociaż ranny. ot ja stoję
I wam do kolan ot... *(klęka).* Na boskie cuda!
Nie odmawiajcie !... przez krew moją proszę,
Nie odmawiajcie !....

HR. RESPEKT.

Lecz tu związki rodu —

MAJOR.

Słuchajcie! — Ot, ja zebrał wielkie grosze,
A sam żył z gaży, z mojego ogrodu,
Z domu... No — niegdyś w kwarantannach srogi
Dla kupców — nu tak przyjął podwieczorek
I okręt sobie przepuścił przez nogi
Z żaglami, z masztem, a chwycił za worek,
Jak za kotwicę... Nu, tak i basetla
I skrzypce... na to wesele u żyda
Leżą w Hamburgu... Graf !... wot bankocetla...

Do Kałmuka.

Stupaj — stupaj procz! Cyt! — cyt! — córkę wyda!
My miljonisty... pfu!...

HR. RESPEKT.

Panie Majorze!
Tu pieniądz, chociaż w dosyć znacznej sumie,
Jest niczem...

MAJOR.

Nu, ja znaju.

HRABINA.

Ach, mój Boże!
Pan Major może myśli i rozumie —

MAJOR.

Nu, ja nie myślę nic...

HR. RESPEKT.

Lecz nasze słowo
Ma pan Fantazy...

MAJOR.

Nu tak, pan Fantazy —
Ja przed nim pójdę moją siwą głową
W proch...

FANTAZY.

Stój, na Boga!

MAJOR.

W proch...

FANTAZY.

Twoje rozkazy
Są jak aniołów... *(do Dianny)*. Ręka ta szlechetna
Nie była jeszcze moją... dotąd wolna...
Oczarowałaś mię, jak gwiazda świetna.
Sądzę, że Pani będziesz sercem zdolna
Ocenić powód — dla którego muszę
Tę rękę z mych rąk wypuścić... na zawsze...

Do Idalji.

Brat twój... Hrabino, dziś do Rzymu ruszę
I sądzę, że twe serce, najłaskawsze
Z serc, po królewsku obejdzie się ze mną,
Mniej biorąc, niż dać mogę...

IDALJA.

Chce szacunku.

FANTAZY.

Pani! przez tę śmierć, tak krwawą i ciemną,
Jestem człowiekiem ochrzczon!.... Pocałunku
W serce ten człowiek wart... Żegnaj, Majorze!
Przyszlę doktora mego... miej nadzieję!

MAJOR.

Nu, tak już teraz Pan Hrabia nie może
Odmówić córki. — Krew ze mnie się leje,
Ot, z boku mego krew strumieniem leci
I prosi — prosi łaski, zmiłowania !...

HR. RESPEKT.

Majorze! — no to weź sobie te dzieci!

MAJOR.

Ha! ot i z Janem moim moja Dania
Na wieki!... Więcej nie mogę!... W pigułce
Tej pistoletowej sto ognistych mieczy...
Dania — Jan — Dania — poszukaj w szkatułce...
Chce się do niebios już....

Umiera.

ZŁOTA CZASZKA

(SZCZĄTEK DRAMATU)

OSOBY.

Pan KONIECPOLSKI, alias GWINT.
ZŁOTA CZASZKA, strażnik krzemieniecki.
Pani STRAŻNIKOWA, jego żona.
Panna AGNIESZKA, jego córka.
Pan GĄSKA, regent.
Pan MILOWICZ, szlachcic.
Ksiądz PROWINCJAŁ, franciszkański.
Inny KSIĄDZ.
ZAKRYSTJAN.
JANKIEL, Żyd arendarz.
STANISŁAW, skrybent.
JAN, KLEOFAS, SZAWEŁ } studenci od Jezuitów.
MAGDA, dziewka.
SKOPEK, kaleka.

Rzecz dzieje się w Krzemieńcu za panowania Jana Kaźmierza.

AKT I.

SCENA I.

Stancyjka Stanisława.

STANISŁAW, JAN, później GĄSKA.

STANISŁAW.

Cóż tam, Panie Janie? źle słychać. Podobno, że pan Strażnik krzemieniecki Złota Czaszka wydaje córkę swoją, pannę Agnieszkę, za pana Regenta Gąskę... A cóż będzie z Waćpanem?

JAN.

Będzie co Bóg zechce.

STANISŁAW.

Zdaje mi się, że trzebaby złemu zapobiec.

JAN.

A jakim sposoboem?

STANISŁAW.

Pana Gąskę od małżeństwa odstraszyć? Słuchaj ja ćwik! Masz mnie: jeżeli chcesz, to usłużę. Oto naprzód — patrz: wykleiłem sobie wertep z papieru i będę chodził po domach, pokazując djabła i anioła. To mi przyniesie kilka groszy — i będzie czem Boże Narodzenie pokropić. A Waćpana podobno z domu Strażnika wypędzono? — Otóż pomaluj sobie korkiem brwi, naucz się kolędy — a ja Waćpanu wejście do domu pana Strażnika ułatwię: pomówisz z panną Agnieszką w ciemnym kącie — a ja dziatwie i starym będę pokazywał djabła w wertepie.

JAN.

Cóż ja jej powiem? — ja jestem ubogi...
Pan Regent jasnych atłasów naniesie,
Przyjedzie końmi karymi w kolesie,
Opowie, jakie ma pod domem stogi,
Jakie baranów, owiec pełne góry;
Jak te barany jutro w Berdyczowie
Przemieni w pereł kałakuckich sznury
I ją ubierze — że jak aniołowie

Będzie świeciła między siostry swymi,
Okryta blaskiem i gwiazdy złotymi!
A ja — co powiem? ja, student, żak szkolny,
Co ja przyniosę?... Czy bławatek polny?
Czy narcyz biały? — Tu cały fundament
Urząd — podkówki srebrne — aksamity;
Potrzeba czasem wyprawić traktament,
Potrzeba miejskie plotkarki, kobiety
Przynęcić i mieć wszystkie poza sobą;
A wiesz, że moja biedna matka wdowa — —
Jedna jest tylko u nas w domu krowa,
I ta nie daje mleka! a ozdobą
Domu naszego jest — bocian na dachu
Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki!
U matki mojej przędą biedne dziewki —
Ona przedaje płótno... Tak, mój Stachu,
Być mi żołnierzem, nie Strażnika zięciem!

STANISŁAW.

Wiem, że nie jesteś hrabią ani księciem,
Ale pan Strażnik także nie majestat.
Waćpan się tylko strój — niech panna kocha...
Lecz ot — ktoś wchodzi. —

Wchodzi Gąska.

Co widzę? Pan Gąska!

GĄSKA.

Czy tu mieszka pan Stanisław, skrybent?

STANISŁAW.

Ja jestem; do usług WPana.

GĄSKA.

Hum... czy Waćpan komponujesz wiersze?

STANISŁAW.

Komponuję; co WPan rozkaże?

GĄSKA.

Radbym mieć wierszem ułożoną kolędę... amoroso... w sposobie miłosnym... dla jednej panny, dla której mam affekt i postanowienie...

JAN.

Dla Agnieszki?

GĄSKA.

Skomponuj mi Waćpan i napisz na najpiękniejszym papierze; rozumiesz? Na wierzchu mają być kaligraficznie wydane

dwa serca, jednemu uległe postrzałowi; strzała srebrna, Mocium panie, przeszywająca na wylot; — pod spodem miejsce na podpis.. i jakie łacińskie symptoma.

STANISŁAW.

Rozumiem, WPanie.

GĄSKA.

Co za to będzie należało — zapłacę. A proszę aby dobrze było rezonowane i assumpt z wysoka; masz zadatek!

Wychodzi.

STANISŁAW.

Dukata rzucił! — Niech go djabli — dukata rzucił! — Wiesz ty co?... że... panna Agnieszka... e... e... e... dukata rzucił!... Idź na żołnierza... idź na żołnierza! — Tu niema co robić gołemu człowiekowi, gołemu jak bizunus. Niech go djabli, jak płaci!

śpiewa:

Póki nie obrośniesz pierzem,
Póki masz pchły za kołnierzem,
Requiescas!

Uf! to jakiś studukatowy szlachcic! — Chodź na wino do Jankiela!

śpiewa:

Póki nie ustrzyże Parka
Żydóweczka nam szynkarka
Lej, lej, lej!
Adonisie, z miłości się
Śmiej, śmiej, śmiej!
Chodź do Jankiela na wino!

JAN.

Lecz co będzie z moją miłością?

STANISŁAW.

Co? — Czy ja wiem, co będzie z twoją miłością? — Zatknij kwiat do czapki, ubierz się fantastycznie — i złap sobie jaką ciepłą wdowę, co ma pieniążki...

Wychodzą.

SCENA II.

Szynk w zajezdnym domu.

Pan KONIECPOLSKI — JANKIEL, szynkarz.

JANKIEL.

Nu — a co tam słychać w Krakowie?

KONIECPOLSKI.

Źle, Żydzie, słychać: Szwedy w Krakowie — a Kozaki na Podolu — a jeszcze i Rakocy ciągnie. Król Jan Kazimierz nie ma piędzi ziemi w Polsce.

JANKIEL.

Nu — tak cóż on zrobi? a gdzie on?

KONIECPOLSKI.

W górach karpackich siedzi.

JANKIEL.

A co będzie, jak z gór wypędzą?

KONIECPOLSKI.

To pójdzie za góry.

JANKIEL.

A co będzie, jak za góry za nim pójdą?

KONIECPOLSKI.

Gałganie Żydzie, co ty mi pędzasz króla jak Hamana? Zrobimy tu konfederacją i wypędzimy Szwedów!

JANKIEL.

Ja nie przęczę.

KONIECPOLSKI.

Któż tu ma największe między szlachtą znaczenie?

JANKIEL.

Tak tu różnych jest panów; ale najbojowszy pan, to pan Strażnik, co dostał złotej czaszki.

KONIECPOLSKI.

Wytłumacz się, Żydzie!

JANKIEL.

Tak to nie wielki pan, ale kochany bardzo i między swymi i między nas Żydków. Tak to pan, co miał stłuczony łeb, a sprawił sobie złotą głowę, jak moja Siora, co nosi perły na głowie i brylanty. On ma złoty łeb — i dobry łeb — i stary łeb! — Pani Strażnikowa, to dobra kobieta; jest i panienka w domu, cymes panienka! — a idzie za mąż za bogatego szlachcica . . .

KONIECPOLSKI.

Gdzie mieszkają ci państwo?

JANKIEL.

Tak Pan idź na prawo; tam jest nad potokiem pod górą dworek biały i dwie lipy: tam państwo wielmożni Strażnikowie mieszkają.

KONIECPOLSKI.

Trzeba mi do nich zapukać.

Wychodzi.

JANKIEL.

To jakiś Haraburda! — Przyszedł robić szablistość... A czego on tu? Handel upadnie przez niego; przyszedł robić z a b i j — w y t n i j — m o r d u j! Ja nie widzę, żeby ten król był potrzebny, kiedy się bez niego obeszło... Trzeba mi zobaczyć, gdzie on idzie.

Wychodzi.

SCENA III.

Piekarnia w domu Strażnikowstwa.

Pan STRAŻNIK i pani STRAŻNIKOWA.

STRAŻNIK.

A cóż? każ serce, niech się dziewki zejdą na kolędę. Czy rozdałaś im wstążki?

STRAŻNIKOWA.

Dałam każdej po wstążce i po tynfie — kontente! Ambrożemu nie dałam nic gotówką, boby się upił, ale kupiłam czapkę z barankiem...

STRAŻNIK.

A Gnusi coś dała?

STRAŻNIKOWA.

Kornecik z czarnej koronki z różami.

STRAŻNIK.

A ja tobie co dam?

STRAŻNIKOWA.

Nie szalej, dziadu! Czy ja jeszcze głodna na twoje fatałachy?... Ot wiesz co? Spraw Gnusi złotem szyte trzewiczki na korkach.

STRAŻNIK.

A weź, serce, na to z biórka pieniędzy i daj odemnie.

Schodzą się DZIEWKI.

No! dziewczęta, poprawcie kagańca i zaśpiewajmy o Bożem Narodzeniu. Serce, każ Gnusi, niech przyjdzie.

Śpiewają:

Chrystus Pan się narodzi,
Świat się cały odmłodził
Et mentes;
Nad sianem, nad żłobeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.
Przyleciały wróbelki
Do Panny Zbawicielki
Cantantes;
Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes:
Puchu wzięła troszeczkę,
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;
Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

AGNIESZKA, *wchodzi.*

Tatku, jakiś pan chce z Tatkiem mówić.

STRAŻNIK.

Proś go tu, do piekarni.

Agnieszka wychodzi.

KONIECPOLSKI, *wchodzi.*

Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

STRAŻNIK.

Na wieki wieków! — Kto Waćpan jesteś?

KONIECPOLSKI.

Jestem wojak, Mości Dobrodzieju!

STRAŻNIK.

A z jakich stron?

KONIECPOLSKI.

Z Ukrainy.

STRAŻNIK.

A jak godność?

KONIECPOLSKI.

Nazywam się Gwint.

STRAŻNIK.

Familja Acana Dobrodzieja mi nie znajoma.

KONIECPOLSKI.

Wierzę; jestem z małej szlachty.

STRAŻNIK.

Ja także z małej...

KONIECPOLSKI.

Ale, jak słyszałem, z tęgiej?

STRAŻNIK.

Tak sobie! — Czemże mogę służyć Acanu Dobrodziejowi? — Dziś dzień święty; zastałeś mię, że z ludźmi śpiewałem kolędę. Siadaj Waćpan! — Magdo, przynieś sztofik z szafki i pierniczki... Proszę, siadaj Waćpan...

KONIECPOLSKI.

Prosto Waćpanu Dobrodziejowi powiem, że przyjechałem tu robić konfederacją.

STRAŻNIK.

U nas?

KONIECPOLSKI.

Czy to Waćpana dziwi?

STRAŻNIK.

Miasteczko żydowskie, Mościdzieju!...

KONIECPOLSKI.

Ale przecież tu mieszka i szlachta?

STRAŻNIK.

Są — są — ale nie tędzy!

KONIECPOLSKI.

Uważasz Waćpan, że tu nie tak chodzi o rzecz, którąby miała szczęśliwy sukces — jak o danie pierwsze hasła narodowi niszczonemu przez Szwedów i Kozaków. Wszak Waćpan służyłeś w wojsku?

STRAŻNIK.

Dotknij Wać palcem: czy czujesz?... twardy mam łeb — z kruszczu, Mości Dobrodzieju! Widać, że byłem cięty.

KONIECPOLSKI.

Słyszałem.

STRAŻNIK.

Więc Waćpan jesteś przysłany do zrobienia konfederacji. — A kto przysyła?... Czy wolno spytać, kto przysyła?

KONIECPOLSKI.

Oto jest list.

STRAŻNIK.

Gnusiu!

Wchodzi panna AGNIESZKA.

AGNIESZKA.

Co, Tatku?

STRAŻNIK.

Daj mi okulary... Widzisz, jaką mam tęgą dziewkę! Słabe to, sucherlawe, ale nieszpetne; co?

KONIECPOLSKI.

Przystojna panna!

STRAŻNIK.

I dobra...

Bierze okulary.

Idź precz, bo tu my mamy z sobą do pomówienia.

Czyta.

Więc Waćpana sam król upoważnił? Ha!

Wstaje.

Zrobimy, co się da... zrobimy... Jutro wysłuchawszy trzech mszy u Franciszkanów, sproszę tu panów braci szlachtę — i wypróbuję... A gdzie Waćpan mieszkasz?

KONIECPOLSKI.

U żyda Jankiela.

STRAŻNIK.

Przenieś się do mnie, tu będzie wygodniej.

KONIECPOLSKI.

Nie długo tu bawię, więc nie chciałbym Waćpanu Dobrodziejowi domu przewracać do góry nogami.

STRAŻNIK.

Jak wola; szczerem sercem proszę.

Koniecpolski wychodzi.

Gnusiu, zawołaj mi matki.

Wchodzi Strażnikowa.

STRAŻNIKOWA.

A co, serce?

STRAŻNIK.

Jutro, serce, będziemy mieli wiele gości; przygotuj się na to, serduniu.

STRAŻNIKOWA.

Ż jakimże to deszczem spadną ci goście?

STRAŻNIK.

Spadną, bo zaproszę — więcej babom wiedzieć nie trzeba. A słuchajno, serce! Trzebaby, żeby już ten pan Gąska, były Marszałek, z naszą córką skończył; bo my nie długowieczni — a spadek nie wielki. Cóż, czy ona się przychyla?

STRAŻNIKOWA.

Nie męcz dziecka!

STRAŻNIK.

Waćpani jesteś nadto powolna; w tych rzeczach trzeba trochę musu.

STRAŻNIKOWA.

Ale daj czas!

STRAŻNIK.

Bhu! Bhu!

STRAŻNIKOWA.

Cóż to tak parskasz, dziadu?

STRAŻNIK.

Przygotuj Waćpani córkę, bo się lękam, że pierwej mi zadzwonią na pogrzeb, niż na córki wesele.

STRAŻNIKOWA.

Idź spać — idź spać, zrzędo, proroku czarny!

STRAŻNIK.

Dobrej nocy, moja babo!

Wychodzi.

STRAŻNIKOWA.

Biedna moja Gnusia! Iść za takiego drewnianego człowieka w aksamicie!... Gnusiu, a chodź tu!

AGNIESZKA.

Co, Mamo?

STRAŻNIKOWA.

Staremu się coś ubrdało, chce koniecznie przyspieszyć twoje wesele.

AGNIESZKA.

O nie! o nie! Niech mnie Mama broni, póki można.

STRAŻNIKOWA.

Cóż ja będę zawsze ciebie bronić?... Trzeba, żebyś się zdecydowała. Pan Gąska przysłał podarunki. — Magdo! dobądźno tam z komody zawinięcie w jedwabnej płachcie i przynieś...

Magda przynosi.

Widzisz? więcej tu jest złota, niż ty warta, błaźnico; łokieć tej koronki kosztuje pewnie dwa holenderskie dukaty, Jankielowa mi dawała czternaście tynfów bez targu... Cóż ty się tak skrzywiła? Smorgońska fioko, fiu, fiu w głowie! przefuchasz ty panieństwo i zostaniesz na koszu. Magdusiu, przypnij jej do głowy tego narcysa!

AGNIESZKA.

Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Wyrywa kwiat i depce go nogami.

STRAŻNIKOWA.

Ale, Gnusiu, cóż będzie? — Trzeba panu Gąsce coś odpowiedzieć.

AGNIESZKA.

Niech czeka.

STRAŻNIKOWA.

Więc mu nie rekuzujesz?

AGNIESZKA.

Rekuzuję.

STRAŻNIKOWA.

Ale, Gnusiu, ojciec chce...

AGNIESZKA.

Mało czego ojciec chce! Powiedz mu Mama, że ja za młoda, że jeszcze nie mam do stanu małżeńskiego powołania.

STRAŻNIKOWA.

A skąd ty się nauczyła takich ekskuz, moja panno? Skąd takie kaprysy?... Za młoda! — W twoim wieku już byłam matką Michała — niechaj Pan Bóg świeci dziecięciu! Byłby już teraz wojakiem, gdyby żył. Bóg daje, Bóg odbiera: niech będzie Jego wola przenajświętsza!... Ja widzę z miarki twojej na gorsecie, że ci czas na męża: namyśl się, bo okazja raz stracona nie wraca. Ja nie bardzom także kochała mego szczygła ze złotą głową i z podrąbaną wargą, kiedym szła za niego — a teraz mi z nim dobrze. Trzy razy już adamaszek na kotarach naszego łóżka zblakował, a Bóg widzi, że nigdy nie odwróciłam się w gniewie od mego dziada, ani w niechęci zasypiałam. Pamiętaj, Gnusiu, że małżeństwo — to nie pierwsza para w draganta, co jak skrzypak przestanie digać swoje, tak i ona tańcować. Małżeństwo — to sakrament!... A jak nas Bóg zabierze, to przy kim ty się uwiesisz?... A pamiętasz, jak odwiedzaliśmy siostrę moję zakonnicę we Lwowie? — Piernikami cię nakarmiła — fioków papierowych nasypała do fartucha — i płakała! Wiesz ty, czego płakała? bo się jej chciało dyrnąć z klasztoru i być choćby żoną chłopa a nie zakonnicą! Pamiętaj, pamiętaj!

AGNIESZKA.

Czy Mama się od księdza Przeora nauczyła gadać kazanie?

STRAŻNIKOWA.

Błaźnico jedna, przyganiasz ty matce?! — Myłam to, czesałam to, póki było młode — a teraz mam na starość autorament w tej mendeweszce! A chore to, a nędzne to! a strzeż jak porcynelę na stoliku! No, jeśli mi ty się stłuczesz, kraszanko! Pamiętaj: pókiś cała, to jeszcze dbam o ciebie; ale jeśli mi się stłuczesz...

AGNIESZKA.

Co Mama gada?

Wychodzi.

STRAŻNIKOWA.

Zaczerwieniła się. — Magdusiu!

MAGDA.

Co Imość?

STRAŻNIKOWA.

Nic, nic! Obudzisz mię jutro, jak świt i rozczynisz ciasto w nieckach wielkich. Jegomość zapowiedział gości.

Wychodzą.

SCENA IV.

Dom zajezdny. Noc.

Pan KLEOFAS i SZAWEŁ, studenci. JANKIEL.

SZAWEŁ.

Jankiel, wina!

JANKIEL.

A kto płaci?

SZAWEŁ.

Wina, żydzie!

JANKIEL.

A kto funduje? Waćpanowie studenty, nie ojce familjom.

SZAWEŁ.

Wina, żydzie! masz dukata!

JANKIEL.

Nu — kiedy dukata, to dukata...

Kłania się.

A jakiego wina?

SZAWEŁ.

Jakie ksiądz Gwardjan franciszkański pije w piątek.

JANKIEL.

Zaraz przyjdzie.

Odchodzi.

SZAWEŁ.

I cóż dalej było z twoją miłością, Kleofazissime?

KLEOFAS.

Co dnia o godzinie piątej rano chodziłem na ulicy około dworku Pana Strażnika czatując, jak będzie otwierała okienice. Suka czarna Znajda już nie szczekała na mnie; okienice także, które zrazu skrzypiały na zawiasach, zaczęły się otwierać cicho, jakby je kto namaścił oliwą. Kamień był jeden pod murem na załamaniu ulicy, gdzie siadywałem z wielką zawsze konfuzją et incertitudine . . .

Żyd przynosi wino.

SZAWEŁ.

Podlej gardła.

JANKIEL.

Dobranoc, JW. Panowie studenty! A zagasicie szabasówkę, idąc precz.

SZAWEŁ.

I podpalimy karczmę.

JANKIEL.

A za co karczmę?

SZAWEŁ.

Za to, że ukrzyżowała Pana naszego Jezusa Chrystusa, rozumiesz, Żydzie?

JANKIEL.

Nu — karczma nie winna.

Rusza ramionami i wychodzi.

SZAWEŁ.

Cóż dalej?

KLEOFAS.

Co dnia więc o rannej zorzy
Stawała mi w okienicy;
Czekałem, aż okno otworzy,
I tak jak od błyskawicy
Ślepłem białością olśnięty.

SZAWEŁ.

Rozumiem.

KLEOFAS.

Oczy jej to djamenty
Morską napełnione falą,
Zielone, gwiazdowe, przeczyste —
Jak błyskawica ogniste;
Leją się strumieniem — palą,
Odwrócić się od nich nie można...

SZAWEŁ.

Oczy zielone...

KLEOFAS.

Pobożna!
Widziałem, jak w usta bierze
Nieco powietrza i słońca
I czyste mówi pacierze,
I w pierś bije się bez końca.
„Moja wina! moja wina!"
Niewinna mówi dziewczyna,
Złocista w słońca promyku;
A u mej białej dzieweczki
Dwie róże, jak aniołeczki,
Siedzą w białym korneciku
I słuchają — i śmieją się z win...

SZAWEŁ.

Potem dzwonnik franciszkański
Zadzwoni na Anioł Pański:
Din don din! din don din!
A ty uciekasz; wszak tak?

KLEOFAS.

Potem w swoje ręce bierze
Jak iris tęczowy szlak,
I mówiąc ranne pacierze —
Jasna cała, jak lilija
Ślicznych jeszcze pełna kras,
Ojcu jasny trzyma pas;
A on się w tęczę obwija,
Poważnie się kręcąc w koło;
Potem ją całuje w czoło,
I w złotym pasie wychodzi
Pod lipy...

SZAWEŁ.

Tatko Dobrodziej!...
Słuchaj — i tak zawsze z daleka patrzysz?

KLEOFAS.

Tak zawsze patrzę zdaleka.
Jak z jej rąk tęcza ucieka,
Jak gołębie z ustek jedzą,
Jak w kornecie białym siedzą
Wielkie rozkwitnięte róże.
Myślami jej w pracy pomagam,
Myślami jak pachołek jej służę;
Gdy ją dotknę myślą, to się wzdragam
I przepraszam na kolanach,
Jak Najświętszą Pannę Marją.

SZAWEŁ.

Her Jejzus! ten młokos zwarjował.

KLEOFAS.

Coś mi śpiewa w domu ścianach,
Jakby je ze strun budował
Dla serc, co młodością biją,
Jaki Anioł — budowniczy!...
Kiedy powraca z pastwiska
Wieczorem ich krowa i ryczy:
Czy z daleka czyli z bliska,
Czy ryknie na światło księżyca
Znam, gdy głos leci z gościńca
I znam, kiedy jałowica
-Woła z kochanki dziedzińca...

SZAWEŁ.

Her Jejzus! zwarjował! Gada jak pozytywek. Podlej gardła!... Lecz ciebie z domu wypędzono?

KLEOFAS.

Nie wspominaj mi!

SZAWEŁ.

Pan Strażnik powiedział, jak słyszałem, że masz obdarte łokcie.

KLEOFAS.

Kto ci to mówił?

SZAWEŁ.

Nie zżymaj się!...

KLEOFAS.

Kto śmiał — powtórzyć?!

SZAWEŁ.

Widzisz? — Zdradziłeś się! Więc nazwał ciebie obdartusem, a ty cierpisz?...

KLEOFAS.

Ja...

SZAWEŁ.

I plamisz w osobie swojej honor szkół! szkolną famę w obeldzie umoczoną gnoisz! Na furdament płasza, jeśli jej nie uwiedziesz, będziesz kpem.

KLEOFAS.

Zgubić ją?

SZAWEŁ.

Cóż to? Czy ty nie wart córki Strażnika Złotoczaszki? Alboż to on senator? — Idź Waé pod okno: już zaczyna szarzeć powietrze — a staraj się, aby ci wyznaczyła schadzkę; o to się tylko staraj!

Wychodzą.

AKT II.

SCENA I.

Sień w domu Strażnika.

Pani STRAŻNIKOWA — MAGDA.

STRAŻNIKOWA.

Magdo, Kachno, wstawajcie! W kadzi niema wody. Ambroży leniuch, zmyję mu głowę. Magdo, Kachno, a dać kurom jeść!... Ave Maria... Magdo! Magdo!

Wchodzi Magda.

MAGDA.

Jestem, Pani.

STRAŻNIKOWA.

Śpiocho ty! idź mi obudź panienkę... Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski, bo Pan Młody także żółty...

Wraca Magda.

A cóż panienka?

MAGDA.

Zaraz przyjdzie — nie śpi już.

STRAŻNIKOWA.

Nie śpi już?

MAGDA.

Podlewała na oknie narcysy, jak weszłam do pokoju.

STRAŻNIKOWA.

Podlewała narcysy?... Gnusiu! Gnusiu!

AGNIESZKA, *z pokoju.*

Zaraz! zaraz idę!

STRAŻNIKOWA.

Czy ubrana była panienka?

MAGDA.

Zasznurowana, ale jeszcze nie włożyła jupki i nie zdjęła kornetu.

STRAŻNIKOWA.

Zasznurowana!... Gnusiu! Gnusiu!

Wchodzi Panna AGNIESZKA.

AGNIESZKA.

Jestem, Mamo.

STRAŻNIKOWA.

A dlaczego ty tak rano wstała?

AGNIESZKA.

Przez serduszko mojej okienicy włazi słońce i zawsze mi bije w same oczy. A potem ten Skopek, co to wiesz, Mamo, ma Walentego chorobę i mnie Ciocią nazywa, spał widać na naszym dziedzińcu dziś na gnoju, i tak chrapał, że spać mi nie dał. — Ot i on włazi do sieni — biedne stworzenie, sparaliżowane!...

SKOPEK.

Tiotia, daj jeść!

STRAŻNIKOWA.

Magdo, przynieś mu obwarzanka.

SKOPEK.

Tiotia! ja tiotię kocham; tiotia! ja tego skubenta kijem — tak, tak, tak! — jak mamę kocham... Czego łazi?

AGNIESZKA.

Jak się on ślini! — Daj mu co, Magdo, i wypraw.

MAGDA, *daje obwarzanek.*

No, idź precz!

SKOPEK.

Hi, hi, hi! Magda krowa!...

Posyła buziaka ręką Pannie Agnusi i wychodzi. Wchodzi Pan STRAŻNIK, z drzwi drugich.

STRAŻNIK.

No, kobiety, zwijajcie się! A potem do kościoła XX. Franciszkanów: będzie tam wielki festyn. Moje serce, czy mi dobrze w tym kontuszu? — Coś mi go Josiel ciasno skroił — co?

STRAŻNIKOWA.

Mnie się zdaje, że w sam raz. Bo ty zawsze chcesz być, jak wilk w worku.

STRAŻNIK.

Gnusiu, a przybierz się Acanna do kościoła, jak wypada.

Wychodzi.

STRAŻNIKOWA.

Do piekarni! do piekarni! miesić ciasto! Gnusiu, weź z poza zwierciadła receptę na marcypanowe ciasto i przynieś.

Wychodzą.

SCENA II.

Zakrystja Franciszkanów.

ZAKRYSTJAN, Później Pan STRAŻNIK.

ZAKRYSTJAN.

Nuż, chłopcy, zamiatać — a żwawo!

Wchodzi Pan Strażnik.

Cóż tak rano sprowadza Waćpana Dobrodzieja?

STRAŻNIK.

Przewielebny ksiądz Gwardjan jeszcze nie wstał?

ZAKRYSTJAN.

Wczasuje się jeszcze, Mości Dobrodzieju.

STRAŻNIK.

Zaczekam.

Zakrystjan podaje stołek; Strażnik siada i opiera się na złotej lasce dumając; Zakrystjan tymczasem fałduje obrusy, nalewa ampułki i obciera z pyłu krucyfiksy. — Wchodzi KSIĄDZ, kłania się Strażnikowi — potem idzie do stołów i ubiera się w ornat. Cisza głęboka. — Wchodzi GWARDJAN. Pan Strażnik wstaje.

STRAŻNIK.

Witam Ojca Gwardjana.

Całuje go w rękę.

GWARDJAN.

A! Pan Strażnik!

STRAŻNIK.

Proszę o posłuchanie.

GWARDJAN.

Czy w potrzebie sumienia jako księdza, czyli w świeckim interesie?

STRAŻNIK.

W świeckiej sprawie.

GWARDJAN.

Siadaj Wacan Dobrodziej.

STRAŻNIK.

Przystąpię do rzeczy bez exordium. Otóż, Mości Dobrodzieju, winienem powiedzieć, iż tej nocy otrzymałem ordynans od JKMości, abym w mieście tutejszem zrobił konfederację w protestacji przeciwko wrogom Ojczyzny naszej — ująwszy się za sprawą JKMości aż do ostatniej kropli krwi mojej...

GWARDJAN.

Domine Jesu Christe, da nobis pacem! — Konferencją?!

STRAŻNIK.

Wysap się Acan Dobrodziej i umityguj się.

GWARDJAN, *siada i składa ręce na brzuchu.*

Słucham Acana Dobrodzieja.

STRAŻNIK.

Gdybyśmy na konsystencji mieli u siebie Chorągiew Pancerną, albo komputowe wojsko: — rzecz byłaby łatwa. — W takim razie ja albo Wacan zwołujemy Koło Chorągwiane: wychodzę Mości Dobrodzieju naprzód, mając za sobą plecami Acana Dobrodzieja: — i odwoławszy się do czystych rycerskich serc, zyskujemy, że z pomiędzy grona naszego wysłana jest deputacja do JWPana Regimentarza, w przełożeniu i z wszelką submisją żądająca, aby się zgodził w sprawie publicznej na rzecz prędkiego potrzebującą ratunku i zadowolenia. Rozumiesz Waćpan Dobrodziej?

GWARDJAN.

Z Chorągwią byłaby rzecz łatwa...

STRAŻNIK.

Lecz my nie mamy Chorągwi — —

GWARDJAN.

Otóż to, że nie mamy Chorągwi!...

STRAŻNIK.

Że trzeba bicz z piasku ukręcić — —

GWARDJAN.

Otóż to jest, że trzeba bicz z piasku ukręcić!...

STRAŻNIK.

A jakże go ukręcić, Mości Dobrodzieju?

GWARDJAN.

Ha!

STRAŻNIK.

Nie poddawaj się nagłej rozpaczy Acan Dobrodziej! Rzecz się da zrobić.

GWARDJAN.

Trudno!

STRAŻNIK.

Ja wiem, że trudno; ale Panu Bogu wszystko jest podobieństwem! — Nim co będzie, każ Waćpan bić we dzwony i poślij cztery trąby na wieżę.

GWARDJAN.

Więc sądzisz Waćpan Dobrodziej, że jak w dzwony uderzą i zatrąbią marsza festynnego, to... to...

STRAŻNIK.

To zbierze się cała szlachta tu osiadła do kościoła.

GWARDJAN.

Masz racją.

STRAŻNIK.

I Waćpan, Wielebny Ojcze, raczysz ze zwykłym darem przekonywania przemówić z ambony, zagrzewając serca ku ratunkowi Ojczyzny.

GWARDJAN.

I sądzisz Waćpan, że moja słaba wymowa —

STRAŻNIK.

Zrobi efekt, Mości Dobrodzieju!

GWARDJAN.

Ale... e... e!...

STRAŻNIK.

Zrobi, Mości Dobrodzieju; przysięgam!

GWARDJAN.

Wątpię, ale spróbuję... ale spróbuję. — Kiedy Waćpan Dobrodziej tego żądasz, to ja spróbuję.

STRAŻNIK.

Krzyżem leżeć będę, a błagać Pana Boga, aby Waćpana Dobrodzieja wymowa zwykła w tym ekscesie nie odbiegła.

GWARDJAN.

Przytomny dosyć jestem w takich razach, przytomny...

STRAŻNIK.

Potem wyprowadzisz Waćpan Dobrodziej to wszystko — celebrując — choć śnieg, na mogiłki: każąc nieść w auxilium ołtarzyk N. Panny Szkaplerznej przed sobą. A zagrawszy w trąby i ucichnąwszy, dozwolisz mi głosu: — a może z pod tej czaszki złotej coś wydobędę na chwałę Ojczyzny, szlachty polskiej i Jezusa Chrystusa, Pana naszego, co równie będzie uwielbieniem i klasztoru, w którym Waćpan Dobrodziej jesteś gwardjanem. Proszę Waćpana Dobrodzieja o postęp w rzeczy...

GWARDJAN.

To jest: trzeba zacząć?...

STRAŻNIK.

Trzeba kazać w dzwony bić, ojcze Gwardjanie.

GWARDJAN.

A jak Szwedy zrujnują klasztor?

STRAŻNIK.

To pan Strażnik będzie chyba nie na mogiłkach — lecz pod mogiłkami! Co mi Wacan mówisz o Szwedach? — Czy to ja przyszedł jak dureń do Waćpana Dobrodzieja, nie pomyślawszy, że w kraju są Szwedy?! Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi i z kościelnymi gratami na górę królowej Bony, do ceglanej ruiny — niby orłowie niebiescy; a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych — i nad nim siły szatańskie nie przemogą! — Postępujmy, Mości Gwardjanie: czas drogi ulatuje na skrzydłach, a my się starzejemy!

GWARDJAN.

Bogdajby to wszystko na dobre wyszło — bogdajby!

Wychodzą.

SCENA III.

Rynek.

OBYWATELE — LUD.

PIERWSZY OBYWATEL.

Słowo stało się ciałem! U Franciszkanów grają w trąby na wieży. Czy ksiądz Gwardjan zwarjował?

DRUGI.

Ksiądz Gwardjan lubi muzykę.

PIERWSZY.

Wracam z kościoła — pełny jarzącego światła, adamaszkami wybity! Pan Strażnik krzyżem leży na samym środku, —

DRUGI.

Krzyżem leży?

PIERWSZY.

I szlocha tak, że się kościół trzęsie.

DRUGI.

Tu przebąknął ktoś o konfederacji.

PIERWSZY.

Co?

DRUGI.

Patrz! patrz! patrz! Jakiś rycerz na koniu wjeżdża na rynek.

Pan GWINT wjeżdża zbrojny i staje śród tłumu.

GWINT.

Na ten miecz przysięgam: kto nie usłucha głosu nieszczęsnej Ojczyzny, będzie ścięty!

LUD.

Jezu drogi! Jezu drogi! Archanioł albo kat jaki przebrany — Szwed! Szwed! Szwed!

GWINT.

Jeżeli dbacie o domy wasze i o trumny wasze: ruszajcie się — bo wytnę do szczętu!

LUD, *śród płaczu i szlochania.*

Jezu drogi! Od powietrza, głodu, wojny ratuj nas!

GWINT.

Podajcie mi tokaju!

Podają wino; on wylewa w hełm i pije.

Jeremiasz książę Wiśniowiecki pije za zdrowie pana Strażnika Złota Czaszka, Marszałka konfederacji na Krzemieńcu!

Rzuca konia w galop; lud za nim.

LUD.

Jeremiasz! Jeremiasz! Jeremiasz!

SCENA IV.

Mogiłki.

Ciągle biją w dzwony. Pan STRAŻNIK wstępuje na najwyższą mogiłkę. Na prawo stoi ksiądz GWARDJAN z monstrancją pod baldachimem; na lewo ołtarzyk Najśw. Panny ubrany w złoto i kwiaty. Pan GASKA w jaskrawym ubiorze — i wiele SZLACHTY toż STUDENTÓW w głębi i na przedzie.

STRAŻNIK.

Wielmożni Mości Panowie Szlachta! Obywatele cechowi tu licznie zebrani! słuchajcie. — Ja Strażnik krzemieniecki, vulgo Złota Czaszka: zebrałem was, wołając z wieży Franciszkanów dzwonami et trombis — a wołałem, abyście biegli ratować Ojczyznę. A nie wołałem dla żadnej innej światowej mamony i dla chwały osobistej mówienia do was. Jeśli więc Złota Czaszka ma u was jaką wiarę i zachowanie: wierzcie mu, że teraz na rany boskie was zaklina, krzyżem przeleżawszy rozesłany podczas Mszy świętej, i podniesiony z prochu jak robak, przez litość jedynie boską i szczere ku sprawie publicznej zamiary. — Wierzcie Złotej Czaszce, bratu i słudze WCPanów Dobrodziejów, a związcie się w konfederacją i obierzcie na tem miejscu Regimentarzem Najświętszą Pannę, Matkę Boską i patronkę królestwa polskiego, abyśmy nie zginęli z duszami, broniąc Ojczyzny naszej! — A nie mówię tego, żebym nie sądził godnym regimentarstwa pana Gąskę. Marszałka tu przytomnego; ani też Wielmożnego Seweryna Milowicza z Dymitrówki z kwitkiem odsyłał, a nie z należytą w konfederacji powagą; ani też innych sądził niegodnymi tego zaszczytu: — lecz Matkę Boską sądzę godniejszą od innych i bezpieczniejszą w tej sprawie dla nas obroną, niż miecze ludzkie i Gotfredowe tarcze — i nawet rozum wasz, który jest ludzki. Na tej mogiłce, Wielmożni Panowie, gdzie stoję — tu podemną, złożone są śmiertelne zwłoki ś. p. Michała, trzechletniego synka mego. Jakżebym chciał was kłamać i na złe prowadzić, mając pod nogami drogie kosteczki dziecka mego, a przed sobą wieczność boską już dla mnie zbliżającą się? A i to wiem, że nie znajdę przy boku moim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku Ojczyźnie

mojej służyłem, a którzy już są w grobach i nie będą widzieć mnie, ani dopomogą. Ale czyż przeto wy, nie mogąc się spytać i dowiedzieć u hetmanów dawnych, Kalinowskiego, że ja jestem tęgi wojak, czy nie uwierzycie mi, że jestem tęgi, kiedy wam to przysięgam na siedm ran Chrystusa, przyrzekam w pierwszem zdarzeniu pokazać i udowodnić, i krew wrogów Ojczyzny przyświadczy mi i wasze oczy zobaczą! Więc umyśliłem napaść na Szwedów stojących w Dubnie, których jest tylko dwieście, dla zaprawienia was i ośmielenia. A jakaż chwała będzie, gdy ich pobijemy i konfederacja nasza pod waszymi skrzydłami, Wielmożni Panowie, rozszerzy się! Czyja więc wola, niech się zapisuje na regestrze złożonym na ten cel w refektarzu, a później zechce zaszczycić dworek mój, albo tego — którego obierzemy Marszałkiem — z zawarowaniem zawsze regimentarstwa dla Najświętszej Panny, orędowniczki naszej, święcącej w gwiazdach nadziei naszej! — Skończyłem i proszę WPanów z procesją do refektarza na gałkowanie.

Okrzyk powszechny, i procesja wychodzi.

SCENA V.

Dziedziniec Strażnika.

Wbiega JANKIEL.

JANKIEL.

Nu, nu, nu, co się dzieje? Miasto całe do góry nogami! a pan Strażnik narobił, a pan Strażnik nie odrobi — a ja wysłał do panów Szwedów mojego Jankielka na koniu; lepiej zapobiec wczas, niech się ta rzecz nie rozidzie po wszystkich gościńcach... Pani Strażnikowa...

STRAŻNIKOWA.

Co tam, Jankielu?

JANKIEL.

Nu, Pani w domu, a pan Strażnik w konfederacji po uszy, i panowie z nim w konfederacji, i miasto w konfederacji! Ja nie wiem, żydów może będą wieszać albo rozbijać — niech Wielmożna Pani przyjmie na skład kilka z mego towarów; ja nie chcę kwitu — niech leżą u JWPani w bezpieczu.

STRAŻNIKOWA.

Co mówisz, konfederacja?

JANKIEL.

Nu, pan Strażnik wlazł na mogiłkę i gadał, że panem Regimentarzem będzie kościół franciszkański — a Szwedy w Dubnie pójdą w kaszę. Ja nic nie wiem, ale to fakt!

STRAŻNIKOWA.

Jaki fakt?

JANKIEL.

Nu, fakt, fakcja — ja nie wiem, ja trzymam się domu JWPani, a ja nic nie wiem...

Słychać strzały.

A, ot! ona już strzela — ta konfederacja!

STRAŻNIKOWA.

W samej rzeczy strzelają na rynku. Jezus, Marja, co to jest?!

JANKIEL.

Wielmożnej Pani męża niosą na rękach, a za nim całe miasto — a ja jeden tu!

Krzyki.

Vivat Marszałek Złota Czaszka!

Wchodzą na dziedziniec cechy z chorągwiami, potem wnoszą Marszałka Złotą Czaszkę na rękach; — za nim pana Gąskę niosą — za nim pana Milowicza.

JANKIEL.

To pierwszy Marszałek, a drugi Chorąży, a trzeci Sekretarz; a ten sekretarz ma suchoty, on umrze; czego jemu było szukać konfederacji?

PIERWSZY OBYWATEL.

Panie Kasperowicz! Waćpan jako krawiec ubierz domek pana Marszałka w chorągwie cechowe.

DRUGI.

Zamykajcie drzwi, bo się nadto ludu naciska!

TRZECI.

A ot! i panienka wychodzi z sztofikiem i z kieliszkiem.

Wchodzą KLEOFAS i SZAWEŁ.

SZAWEŁ.

Jesteśmy deputacją od szkół jezuickich, prosimy wyprosić do nas pana Marszałka...

Do Kleofasa.

Podnieś czoła, odważniejszym bądź! Córka poszła sama do ojca, ale jak spojrzała na ciebie! Fiu, fiu! wy się z sobą znacie! — Czerwony jesteś jak gil, co tam siedzi na lipie; podnieś czoła i najeż wąsa — o tak! — Cóż, czy ci wszy chodzą po sercu?

STRAŻNIK, *za sceną.*

A czego chcą te błazny?

Pokazuje się we drzwiach — za nim panna Agnieszka.

Czego Wacanowie?

SZAWEŁ.

W deputacji od szkół, JW. Marszałku.

STRAŻNIK.

Czy pan prefekt przysyła?

SZAWEŁ.

Libertatem quaerentes przychodzimy motu proprio, JW. Marszałku, zaciągnąć się pod chorągwie i znaki rycerstwa polskiego, wyłamawszy drzwi, gdzie nas zamknięto z przytłumieniem woli naszej i z uhamowaniem zapału naszego. Szkoły jezuickie, Mości Panie Marszałku, zrobiły ten akt liberationis et deliberationis, a mają słuszną sperandę, że nietylko wieniec i dębową koronę, ale słuszne ukaranie księdza Prefekta, hamującego ten szlachetny zapał, otrzymają -- i w obronie Ojczyzny pójdą triumfalnie pod chorągwiami rycerstwa polskiego! Dixi.

STRAŻNIK.

A błazny jedne! a błazny!

PANNA AGNIESZKA.

Tatku...

STRAŻNIK.

A smarkacze wy, z mlekiem pod brodą! Wam do konfederacji? Każę związać, oćwiczę i księdzu Prefektowi odeślę pod bizun. Młokosy jedne, precz mi stąd!

SZAWEŁ.

Panie Złota Czaszka...

STRAŻNIK.

Precz! mówię, obdartusy szkolne, żaki, kanalje! Ja miałbym szafować krwią dzieci, żeby mi rodzice potem wyrzucali, żem ich szlacheckie gniazda ogołocił i zaprzepaścił?! Co to wy myślicie, że to ja konfederat malowany? A to co, infimusy? Wam podnosić rokosz na księdza Prefekta? Na klęczkach mi go przeprosić, błazny — precz stąd!

Panna Agnieszka zakrywa oczy płacząc.

SZAWEŁ.

Panie Złota Czaszka, taka afrontacja...

STRAŻNIK.

Afrontacja?

Do cechów.

Panowie miejscy, wyrzucić mi za płot tych infimusów!

Studenci dobywają szabel. Miejscy chorągwiami wypędzają ich z dziedzińca i gonią ulicą.

STRAŻNIKOWA.

Serce, Agnusia nasza czegoś płacze...

STRAŻNIK.

Precz, baby! — Co innego mi teraz wgłowie, nie panna Agnieszka.

STRAŻNIKOWA.

To idźże do gości.

SCENA VI.

Cela księdza Prowincjała.

ZAKRYSTJAN krząta się; PROWINCJAŁ siedzi na krześle.

PROWINCJAŁ.

Cóż myślisz, Barabaszu, o tem wszystkiem?

ZAKRYSTJAN.

Myślę, że ci panowie powarjowali.

PROWINCJAŁ.

Masz racją.

ZAKRYSTJAN.

A kiedy chcieli byli robić konfederacją, to mieli klasztor księży Jezuitów i klasztor ojców Bazyljanów. Nie — przyszli Księdza Prowincjała wciągnąć! A wie Ksiądz Prowincjał dlaczego? — bo Ksiądz Prowincjał ma dobre stare wino węgierskie w lochu.

PROWINCJAŁ.

Dureń jesteś, stul pysk! A gdzie moja sroka? nie widziałem jej dziś.

ZAKRYSTJAN.

Sroka Księdza Prowincjała, kiedy Ksiądz dziś celebrował, to chodziła za baldachimem jak grzesznik, a kiwała ogonem, tak jakby mówiła: — „Oj Ojcze Prowincjale! oj Ojcze Prowincjale!“ Niech mnie djabli wezmą, jeżeli ta sroka nie mędrsza od nas! A jabym chciał, żeby ta sroka ukradła panu Strażnikowi Złotą Czaszkę i włożyła Księdzu Prowincjałowi do kieszeni... ale sroka nie żyje...

PROWINCJAŁ.

Co?

ZAKRYSTJAN.

Zadeptano w tłumie.

PROWINCJAŁ.

Nie prawda!

ZAKRYSTJAN.

Ojcze, zadeptano! bij mnie — zadeptano.

PROWINCJAŁ.

Nie prawda!

ZAKRYSTJAN.

Zadeptano.

PROWINCJAŁ.

Kłamiesz, kłamiesz! Mój kochany Barabaszu, poszukaj ty jej: ty może myślisz, że to mnie mało martwi — ale ja z tej sroki miał pociechę.

ZAKRYSTJAN.

Mało z czego Ksiądz Prowincjał miał pociechę; a trzeba się będzie przyzwyczaić do zguby! A kto będzie księdzu Prowincjałowi grał na trąbach po niesporach, kiedy trębacze poszli na trębaczy do konfederatów? A ksiądz Prowincjał lubił z panem organistą Fokiem grać w warcaby, a pan organista Fok zapisał się na regestrze w refektarzu, choć Niemiec...

PROWINCJAŁ.

Moich ludzi będę reklamował.

ZAKRYSTJAN.

Tak, reklamował! a gdzie i od kogo reklamować, kiedy Ksiądz Prowincjał jesteś sam regimentarzem?

PROWINCJAŁ.

Ja! — jako żywo!...

ZAKRYSTJAN.

Ksiądz Prowincjał drwi ze mnie.

PROWINCJAŁ.

Ja?!

ZAKRYSTJAN.

Ksiądz Prowincjał stoisz podpisany na regestrze i na uniwersałach, jako regimentarz.

PROWINCJAŁ.

Ale to za Matkę Boską.

ZAKRYSTJAN.

Ale to nie „Ja, Matka Boska, regimentarz“ stoi w regestrze! ale „Ja, Prowincjał księży Franciszkanów, regimentarz“ stoi w regestrze! A co mi tam patrzeć w myśl Księdza Prowincjała!

PROWINCJAŁ.

Jezu drogi! to ja zabrnąłem, mówisz?

ZAKRYSTJAN.

Bez rekursu.

PROWINCJAŁ.

A czemu ty mi nie szepnął na ucho, kiedyś widział, że mnie pan Strażnik w zakrystji atakuje?

ZAKRYSTJAN.

Ksiądz Prowincjał wie lepiej, co klasztorowi czynić przystoi.

PROWINCJAŁ.

Prawda, że wiem: ale tobie trzeba było mnie ostrzec — a teraz przychodzisz, kiedy już po czasie. Ktoś puka.

ZAKRYSTJAN, *otwierając drzwi.*

Jakiś dragan.

PROWINCJAŁ.

A czego on?

Wchodzi DRAGANT.

DRAGANT.

JW. Złota Czaszka Marszałek przysyła z ordynansem, abyś jutro Ksiądz Prowincjał gotów był poświęcić chorągwie i błogosławić regimentowi, który wychodzi na Szweda.

PROWINCJAŁ.

Odpowiedz panu Złotej Czaszce, że dobrze.

Do Zakrystjana.

Widzisz, że ja tylko mam błogosławić.

Pan STRAŻNIK, Pan GĄSKA, Pan MILOWICZ i kilku innych wchodzą.

STRAŻNIK.

Witam Księdza Prowincjała! Przychodzimy na naradę i po radę do Księdza Prowincjała, jako do naszego regimentarza.

ZAKRYSTJAN.

A widzi Ksiądz?

PROWINCJAŁ.

Milcz, durniu! — Bardzom rad! jestem całem sercem na usługi.

MILOWICZ, *grobowym głosem.*

Zafundujesz nam przecie wina, Księże Prowincjale.

ZAKRYSTJAN.

A widzi Ksiądz?

PROWINCJAŁ.

Milcz, błaźnie! —

Głośno.

Barabaszu, przynieś antałek i szklanki.

Zakrystjan wychodzi i po niejakim czasie wraca z winem.

STRAŻNIK.

Coś mi, Księże Prowincjale, dumasz?

PROWINCJAŁ.

Czy my się nie pospieszyli zanadto?

STRAŻNIK.

Waćpan Dobrodziej słuchasz zanadto kościelnego sługi, który Acpanu głowę troskami nabija i w przedsięwzięciach go hamuje. Jeszcze Ksiądz Prowincjał masz czas ku odwróceniu od nas swoich afektów; a ja się oddam księżom Jezuitom albo Bazyljanom: — a wtedy co będzie?

PROWINCJAŁ.

Panie Strażniku!

STRAŻNIK.

Udałem się do Księdza Prowincjała, albowiem uważałem w nim największy majestat i blask, a w ceremonjale nikt mu nie wyrówna...

PROWINCJAŁ.

Co, czy byliście kontenci z procesji?

STRAŻNIK.

Niech pan Gąska powie; mówiłem mu otwarcie, żem się nie spodziewał takiego festynu. Tu Ksiądz Prowincjał posuwa się — a tu przed nim sypią różane listeczki — a tu trąby na wieży grzmią, aż trzęsła się góra królowej Bony! — myślałem, że pójdzie w taniec...

GĄSKA.

Góra, czy Ksiądz Prowincjał?

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

MILOWICZ.

Góra z Księdzem Prowincjałem!

WSZYSCY.

Cha! cha! cha!

PROWINCJAŁ, *do Zakrystjana.*

Postaw tu, durniu, antałek i ponalewaj lampeczki JW. Panom. — Miałem wielkie zmartwienie w dniu dzisiejszym, zadeptano mi sroczkę moję.

STRAŻNIK.

Przyślę Księdzu Prowincjałowi pierwszego Szweda, którego mi się uda złapać, aby mu był wynagrodzeniem; tymczasem niech się Ksiądz Prowincjał uzbraja.

SCENA VII.

Pokoik Panny Agnieszki.

Panna AGNIESZKA i MAGDA.

AGNIESZKA, *płacząc.*

Magdo, daj mi chustkę.

MAGDA.

Tak, tak! Jak panienka z żałości umrze, a Jegomość będzie płakał: powiem — dobrze Jegomości tak! Jegomość zabił dziecko, a teraz płacze! dobrze Jegomości tak!

AGNIESZKA.

A skąd ty wiesz, Magdo, dlaczego ja płaczę?

MAGDA.

Z miłości płacze Panienka; ja wiem, że z miłości.

AGNIESZKA.

Otóż ja nie z miłości płaczę — ja tak płaczę.

MAGDA.

Ha, ha! jabym w to uwierzyła? Jaka mi Panienka mądra! jabym w to uwierzyła?

Wchodzi Pani STRAŻNIKOWA.

STRAŻNIKOWA.

Co to mi za szlochy, Gnusiu? Ojciec pyta o ciebie; pan Gąska chce wnosić zdrowie twoje.

AGNIESZKA.

Powiedz Mama, że ja nie pójdę, że ja chora, że ja umarła, że ja leżę na cmentarzu Zołobieckim pod śniegiem, że ja siebie zabiję i pana Gąskę otruję. Weź sobie mama ten kornecik z różami — ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czego wy chcecie odemnie? czy ja wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie! — Ja się chcę uspokoić: zostawcie mnie!

Wchodzą Pan STRAŻNIK i Pan GĄSKA.

STRAŻNIK.

A kto tu szlocha?... a dlaczego to Waćpanna szlocha?

STRAŻNIKOWA.

Daj pokój — przy obcych ludziach!...

Agnusia ociera łzy i staje przed ojcem ze spuszczonymi oczyma.

STRAŻNIK.

Widzisz mi płaksę? — Obetrzyj Waćpanna łzy i podnieś oczy: — pan Gąska przyszedł z komplementem.

AGNIESZKA.

Dziękuję.

GĄSKA.

Niech mię Panna Strażnikówna nie wyklina: nie przyszedłem woli wielmożnej Acanny Dobrodziejki wiolentować... W cierpliwości oczekiwać będę, aż moja afekcja...

STRAŻNIK.

Patrz — płaksa roześmiała się!

GĄSKA.

Rozjaśnienie jej czoła szczęśliwą mi jest wróżbą. Czy mogę upraszać o jednego z tych narcysów, co stoją na oknie?

AGNIESZKA.

Nie.

STRAŻNIK.

Grzeczna mi bądź, błaźnico!

GĄSKA.

Pozwól mi Acan Dobrodziej, pozwól mi: — tu ja sam jestem wystawiony na szwank, niech mam wszelką wolność.

Do Panny Agnieszki.

Czy moja osoba jest przedmiotem jakiejkolwiek odrazy? — proszę szczerze...

AGNIESZKA.

Żadnej odrazy nie czuję do Acana Dobrodzieja, ale ja szczęścia Pańskiego nie zrobię: ja nic nie umiem, jestem w domu jak obrazek malowany...

STRAŻNIK, *do żony.*

Serce, a wydobądźno krosienka i pokaż panu Gąsce apparatum, które wyszyła złotem do franciszkańskiego ołtarza. Wierz mi, panie Gąsko, że to rozumna główka — a bierz, bo to skarb.

GĄSKA.

Jabym chciał dać czas pannie Strażnikównie do namysłu.

STRAŻNIK.

Cóż to, czy mi się Waćpan rekuzujesz?

GĄSKA.

Prędzejbym żywota mego odstąpił i duszę moję opuścił, niż wyrzekł się złotej dla mnie nadziei! Ale sądzę, że szablą, ponieważ się zdarzyła okazja, potrafię w oczach panny Strażnikówny przydać sobie waloru. Dlatego więc proszę, abyś WPan Dobrodziej, ponieważ otwartej nie mam jeszcze rekuzy, zostawił to w sperandzie i w ekspektatywie. Wszak tak? ostatecznie mi Panna nie rekuzujesz?

AGNIESZKA, *spojrzawszy na ojca groźną twarzą.*

Nie.

STRAŻNIK.

Jest to konsensum.

GĄSKA.

Wróćmy do kielicha.

Wychodzą.

STRAŻNIKOWA.

Bardzoś była mądra; aż rosłam słysząc, jak ty przytomnie odpowiadasz. Dobrze, Gnusiu! I on mi się podobał: bardzo rozsądny i stateczny. Widziałaś ty, jaką miał karmazynową sajetę na żupanie? Takiej sam król nie nosi. Zielony kontusz z tureckiej materyjki w kwiateczki, także dobrze dobrany... Cóż ty, kwoczko?

AGNIESZKA.

O nieszczęśliwa ja! zanieście wy mnie na cmentarz!

Więc widzieliście w chorągwie cechowe
Ubrany dworek starego szlachcica;
Kto myślą sięgnął w niebo lazurowe,
Widział, jak duchy i Bogarodzica
W promieniach zorzy trzymająca głowę,
A stopy dzierżąc na srebrze księżyca,
Na dom jasnością piorunową biła
I z ponad starych lip błogosławiła.

Chorągwie dworek okryły ubogi,
Że był jak namiot jakiego mocarza,
Z jedwabiu cały — a złote miał rogi,
A w środku jasną cnotę gospodarza.
Dla nędzy także otworzone progi,
I obwarzanek biały dla nędzarza;
I piękność chował dawnych, szczerych rysów
Napełniającą dom wonią narcysów.

Tam, kiedy w cichą noc duchowie czarni
W śniegowej korzą się burzy i wichrze,
Jasna kolęda w przyćmionej piekarni
Płakała — w rytmy ubrana najlichsze.
Z nią usypiali ludzie gospodarni,
A od serc naszych serca mieli cichsze,
A gdy się rwali z ubogiej pościeli,
To więc do szabli albo do kądzieli!

I pokazałem wam klasztorne życie —
I pokazałem studentów i żaków,
I pokazałem w przeszłości błękicie
Lud, co nazywał się ludem Polaków. —
Teraz, przy dalszej zorzy zobaczycie
Las pływający rozwiniętych znaków,
Ten domek w zieleń wiośnianą ubrany —
I usłyszycie, jak puka do ściany

Nieszczęście... Bądźcie więc wyrozumiali
Dla tych rubasznych serc i szorstkich dłoni!
Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara, chociaż czystość broni;
A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni
. . . . . .
. . . . . .

Reszty brak.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

TREŚĆ TOMU II-GO:

str.

Balladyna 5

Lilla Weneda 145

Grób Agamemnona 240

Mazepa 245

Beatryx Cenci 319

Fantazy (Nowa Dejanira) 405

Złota Czaszka 499

110618
21 П, 36

UNIVERSITY OF ILLINOIS-URBANA
891.85 S63IK83 C001 v.1-2 IN 1
Pisma /
3 0112 093579180